

CHARLOTTE BRONTE

Villette

Tom I

Przekład Róża Centnerszwerowa

OFICyna WYDAWNICZA RYTM WARSZAWA 1994

Tytuł oryginału angielskiego:

Projekt graficzny serii: Renata Obniska-Wolska

Na okładce wykorzystano materiały z: LE COSTUME EN RUSSJE XVIIIe DEBUT DU XXe SIECLE,

Aurora 1979

Reprodukcje wykonali: Zbyszko i Maciej Siemaszko

Opracowanie redakcyjne: Lidia Wrzosek

Korekta:

Maria Laskowska

Ewa Popławska

Lidia Wrzosek

Redaktor serii: Maria Laskowska

Tekst opracowano na podstawie edycji Towarzystwa Wydawniczego „R6j” z 1939 roku

© Copyright by Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1994

ISBN 83-85249-32-X

Zamówienia na książki można składać

w dziale handlowym Wydawnictwa:

ul. Górczewska 8, 01-180 Warszawa,

tel. 32-82-55, 32-02-21 w. 18, fax 32-18-95

ROZDZIAŁ I

Bretton

Moja chrzestna matka mieszkała w ładnym domu starożytnego, schludnego miasta Bretton. Rodzina jej męża osiadła tutaj od wielu pokoleń, nosząc nawet nazwisko jednobrzmiące z nazwą kolebki jej rodu: Brettonowie z Bretton. Czy stało się to jedynie dzięki osobliwemu zbiegowi okoliczności, czy też daleki jakiś przodek był osobistością odpowiednio wybitną i dostatecznie doniosłego znaczenia, aby przekazać swoje nazwisko zamieszkiwanej przez niego okolicy?

— nic mi o tym nie wiadomo.

Kiedy byłam małą dziewczynką, jeździłam do Bretton mniej więcej dwa razy w roku, zawsze rada bardzo tym odwiedzinom. Dom i jego mieszkańcy szczególnie przypadli mi do gustu.

Obszerne, ciche pokoje, starannie dobrane meble, wielkie, jasne okna, balkon z widokiem na piękną, starą ulicę, na której — zdawało się

— stale panował nastrój niedzielnie odświeżony, tak była cicha, spokojna i czysta. Wszystko to podobało mi się niezmiernie. W domu zamieszkanym przez ludzi dorosłych jedyne znajdujące się wśród nich dziecko bywa zazwyczaj przedmiotem ogólnego zainteresowania. I mną również wielce interesowała się — w sposób zrównoważony — pani Bretton, owdowiała, zanim jeszcze poznałam ją i mająca tylko jedyne syna. Jej mąż, lekarz, umarł, kiedy była jeszcze młodą i przystojną kobietą.

Nie pamiętam jej młodą; w czasie kiedy ją poznałam, była wciąż jeszcze przystojna, wysoka, dobrze zbudowana i, mimo że miała ciemną cerę jak na Angielkę, smagłe jej policzki jaśniały zawsze rumieńcem zdrowia, tryskającego również z jej pięknych, pogodnie patrzących na świat, czarnych oczu. Uważano powszechnie za godny pożałowania fakt, że nie przekazała cery synowi, który

miął niebieskie oczy —już w wieku chłopięcym nader przenikliwe — ani koloru jego długich włosów, których barwy nie odważali się jego przyjaciele określić ściślej, nazywając je złotymi, ilekroć padał na nie blask słońca. Odziedziczył natomiast po matce rysy twarzy, jak również białe zęby, wzrost (a raczej zapowiedź wzrostu, nie był jeszcze bowiem rozwinięty w pełni), a nade wszystko, co znacznie lepsze, nieskazitelne zdrowie oraz usposobienie zrównoważone i pogodne, warte więcej, aniżeli posiadanie największej fortuny.

Na jesieni roku... bawiłam w Bretton, dokąd zabrała mnie moja matka chrzestna, przyjechawszy po mnie do krewnych, u których stale mieszkałam w owym czasie. Przypuszczam, że już wówczas przewidywać musiała przyszły bieg wypadków, których ja osobiście nie podejrzewałam nawet, jakkolwiek ich nieokreślone, mętne przeczuwanie wystarczało do omroczenia cieniem smutku mojego ówczesnego życia; zadowolona też byłam z tej zmiany środowiska i otaczających mnie osób.

Czas upływał mi zawsze mile przy boku mojej matki chrzestnej, nie z zawrotną szybkością wprawdzie, ale łagodnie, niby wezbrana rzeka, przepływająca przez równinę. Moje odwiedziny u niej podobne były do pobytu Christiana i Hopeful nad pewnym miłym strumykiem, obsadzonym po obu brzegach zielonymi drzewami i łąkami, pięknie pstrzącymi się przez cały rok liliami i innym kwieciami. Nie było tu uroku urozmaicenia ani podniety nieprzewidzianych wydarzeń; tak jednak lubiłam spokój i tak mało żądna byłam podnieć, że kiedy przyszły wreszcie, odczułam je raczej jako niepożądane zakłócenie spokoju, żałując, że nie pozostały z dala ode mnie.

Pewnego dnia nadszedł list, którego treść była dla pani Bretton niespodzianką, a zarazem niemile ją zaskoczyła. Myślałam w pierwszej chwili, że to wiadomość od moich krewnych, donoszących o Bóg wie jakiej katastrofie; nie było jednak w liście żadnej wzmianki o mnie. Chmura zdawała się rozpraszać.

Nazajutrz, kiedy po powrocie z długiej przechadzki weszłam

6

do zajmowanego przeze mnie pokoju, zastałam w nim niespodziewaną zmianę. Oprócz mojego francuskiego łóżka, któremu charakteru mile ocienionego ustronia nadawały osłaniające je kotary, stało w rogu udrapowane na biało łóżeczko, a oprócz mojej komody — mała komódka z różanego drewna. Patrzyłam zdumiona.

— Co oznaczają te sprząty? — zapytałam. Odpowiedź była wyraźna i jasna.

— Przybywa nowy gość. Pani Bretton oczekuje jeszcze kogoś. Przy obiedzie, na który zesłałam niebawem, wyjaśniło się

wszystko. Wkrótce będę miała towarzyszkę, małą dziewczynkę, córeczkę przyjaciela i dalekiego krewnego nieboszczyka doktora Brettona. Dziewczynka ta — objaśniono mnie — straciła niedawno matkę, jakkolwiek — dodała pani Bretton — strata nie była tak wielka, jak zrazu mogłoby się wydawać. Pani Home (tak brzmiało nazwisko rodziców oczekiwanego gościa) była kobietą bardzo przystojną, ale płochą, zaniedbującą swoje dziecko i sprawiającą swojemu mężowi wiele rozczarowań i zawodów. Związek ich okazał się tak bardzo daleki od małżeńskiej harmonii, że doszło wreszcie do separacji, za zgodą obopólną, bez przeprowadzania tej sprawy przez sądy. Rychło po tym pani Home, przemęczywszy się zbytnio na balu, zaziębiła się, zapadła na gorączkową jakąś chorobę i wkrótce umarła. Mąż jej, człowiek wielce uczuciowy i wrażliwy z natury, wstrząśnięty nazbyt nagłym zakomunikowaniem mu tej wiadomości, wmówił sobie — i niepodobna było przekonać go, aby mogło być inaczej — że jego nadmierna surowość względem żony, brak cierpliwości i wyrozumiałości dla niej przyczyniły się do przyspieszenia tragicznego jej końca. Tak bardzo trapił się tą myślą, że oddziało to w końcu nader ujemnie na jego psychikę. Lekarze zalecili mu dłuższą podróż, licząc na skuteczny wpływ zupełnej zmiany warunków i otoczenia. Pani Bretton zaofiarowała się zaopiekować na ten czas jego małą córeczką.

7

— Mam nadzieję — rzekła moja chrzestna — że dziecko nie wda się w matkę i nie będzie taką płochą, trzpiotowatą, o ptasim mózdzku zalotnicą, z jaką prawdziwie rozsądnemu człowiekowi nie przysłoby na myśl się ożenić. Pan Home może być, co prawda, uważany za człowieka rozsądnego — na swój sposób — jakkolwiek niezbyt praktycznego. Rozmiłowany w nauce, spędza pół życia w laboratorium na robieniu doświadczeń — czego jego motylkowata żona nie była nigdy w stanie zrozumieć ani znieść. Muszę przyznać — dodała szczerze moja chrzestna matka — że i mnie samej nie bardzo by się to podobało.

Na zadane jej w tej sprawie pytanie wyjaśniła mi, że, jak utrzymywał jej nieboszczyk mąż, pan Home odziedziczył naukowe upodobania po wuju z linii macierzystej, znanym francuskim uczonym. Albowiem pan Home był pochodzenia francuskiego i szkockiego, i miał krewnych we Francji, z których niejeden pisał swoje nazwisko z poprzedzającym je arystokratycznym de i uważał swój ród za szlachecki.

Tego samego wieczoru wysłano służącego na spotkanie kolasy pocztowej, którą miał przybyć nasz mały gość. Pani Bretton i ja siedziałyśmy w salonie w oczekiwaniu na przyjazd dziecka, same ze względu na nieobecność Johna Grahama, który pojechał w odwiedzinach do jednego z kolegów szkolnych, mieszkającego na wsi. Moja matka chrzestna skracala sobie czas oczekiwania czytaniem gazety wieczornej, a ja szylam. Wieczór był burzliwy i słotny, deszcz siekł o szyby, wiatr dął nieustannie, zawodząc żałośnie.

— Biedne dziecko! — wzdychała pani Bretton od czasu do czasu. — Jaka okropna pogoda do podróŜowania! Chciałabym, aby znalazła się już bezpiecznie tutaj.

Na krótko przed dziesiątą jęknął dzwonek przy drzwiach wejściowych, oznajmiając powrót Warrena (tak nazywał się wysłany po małą służący). Gdy tylko otworzono drzwi na dole, zbiegłam do hallu, gdzie stał już kufer oraz kilka tekturowych pudeł, a przy nich

8

młoda piastunka, zaś u podnóŜa schodów Warren, niosący na rękach i tulący do siebie jakieś poowijane w szale zawiniątko.

— Czy to jest przywiezione dziecko? — zapytałam.

— Tak, proszę panienki.

Chciałam odwinąć szale, aby zobaczyć małą, ona jednak pospiesznie odwróciła głowę i ukryła twarz na ramieniu Warrena.

— Proszę mnie puścić na podłogę — szepnęło dziecko cichutkim głosem w chwili, kiedy Warren otwierał drzwi salonu — i zdjęć ze mnie ten szal — dodało, usiłując równocześnie wyciągnąć maleńką rączką szpilkę, przytrzymującą szal, aby z rodzajem kapryśnego pośpiechu zrzucić z siebie niezdarne opatulenie. Istotka, która wyłoniła się spod niego, próbowała złożyć szal, okazał się on jednak zbyt ciężki i wielki, aby mogła mu sprostać siłą drobniutkich rączek.

— Proszę to dać Harriet — rozkazała maleńka. — Już ona złoży go jak trzeba.

Po wydaniu tego rozporządzenia zwróciła się ku pani Bretton, w której twarzy utkwiła badawcze spojrzanie.

— Chodź, kochanie — zachęciła ją pani Bretton. — Muszę zobaczyć, czy nie przemokłaś i nie zziębłaś. Ogrzejesz się przy kominku.

Dziecko pospieszyło na to wezwanie. Uwolniona z opatulenia figurka okazała się niepomierne drobna, zarazem zgrabniutka, lekka jak piórko, nadzwyczaj kształtna i pociągająca. Siedząc na kolanach mojej matki chrzestnej, sprawiała wrażenie lalki raczej niż dziecka. Podobieństwo do lalki potęgowała w moich oczach jej szyjka, cieniutka i delikatna jak utoczona z wosku, a także główka okryta gąszczem jedwabistych loków.

Pani Bretton, rozcierając dłonie, nóżki i ramiona małej, przemawiała do niej krótkimi, pieszczotliwymi zdaniem. Dziecko zrazu wpatrywało się w starszą kobietę z wnikliwą ciekawością, rychło jednak jej twarzyczkę opromienił uśmiech pełen ujmującego wdzięku.

Pani Bretton nie należała do osób nazbyt łatwo i hojnie darzą-

cych pieśzcotami; nawet w stosunku do uwielbianego jedyne go syna rzadko dawała powodować się sentymentem, często wręcz przeciwnie nawet, była czy też udawała oschłą. Kiedy jednak ta drobna dziecina uśmiechnęła się do niej, pocałowała ją i zapytała:

— Jak cię zwa, ptaszyno?

— Panienką.

— A jak jeszcze, prócz panienki?

— Polly — tak nazywa ją ojczulek — dodała opiekunka.

— A czy Polly chętnie zamieszka u mnie?

— Nie na zawsze; tylko dopóki nie powróci ojczulek. Odjechał — dodała, potrząsając wymownie główką.

— Ojczulek powróci do swojej Polly albo przyśle po nią.

— Na pewno powróci, proszę pani? Czy pani wie o tym?

— Myślę, że tak.

— A Harriet myśli, że nie; przynajmniej, że nie tak prędko. Jest chory.

Oczy jej zaszkliły się łzami. Wysunęła rączkę z ręki pani Bret-ton i spróbowała zsunąć się z jej kolan; napotkawszy wszakże opór, rzekła:

— Chciałabym zejść już, proszę pani. Mogę siedzieć na stołeczku.

Pani Bretton pozwo liła jej ześlizgnąć się, a wówczas mała wzięła stołeczek, przeniosła go do pograżonego w najgłębszym cieniu kąta i tam usiadła pospiesznie. Pani Bretton, jakkolwiek natura władcza, a w sprawach poważnych nawet nieubłaganie stanowcza, bywała często bierna i ustępliwa w drobiazgach: nie sprzeciwiła się też dziecku, pozostawiając małej wolną wolę.

— Nie zwracaj na nią uwagi na razie — ostrzegła mnie.

Ja jednak zwróciłam na małą uwagę, a raczej nie odwracałam ani na chwilę od niej uwagi, obserwując ją, opierającą drobny łokieć na drobniutkim kolanku, a główkę na rączce.

Dostrzegłam, że wyjęła z kieszonki swojej małej spódniczki czworokątny cieniutki kawałek

10

batystu, który miał służyć jej za chustkę do nosa. Po chwili do moich wyjątkowo wrażliwych uszu doleciał cichutki odgłos łkania. Inne dzieci zwykły, kiedy je coś boli czy smuci, płakać głośno, hałaśliwie, nie wstydząc się ani nie powstrzymując łez. Ta maleńka istota łkała prawie niedosłyszalnie, od czasu do czasu tylko zdradzając swoje wzruszenie leciutkim pociąganiem nosem. Pani Bretton nie słyszała tego, na szczęście. Niebawem głosik, dochodzący z ciemnego kąta, zapytał:

— Czy można zadzwonić na Harriet? Zadzwoniłam. Wezwana piastunka przyszła niebawem.

— Trzeba mnie położyć do łóżka — rozkazała jej malutka pani. — Musisz zapytać, gdzie będę spała.

Harriet wyjaśniła, że zdążyła już się dowiedzieć.

— Zapytaj, czy wolno ci będzie spać ze mną — poleciła mała.

— Nie, panienko — odparła Harriet. — Ma panienczka spać w jednym pokoju z tą panią — wskazała głową na mnie.

„Panienczka” pozostała w ciemnym kącie, zauważyłam jednak, że szuka mnie wzrokiem.

Przyglądała mi się badawczo przez chwilę, po czym skierowała się do wyjścia.

— Życzę pani dobrej nocy — powiedziała, zwracając się do pani Bretton, mnie zaś ominęła w milczeniu.

— Dobranoc ci, Polly — powiedziałam.

— Nie ma potrzeby mówić mi dobranoc; mamy przecież spać w tym samym pokoju — odpowiedziała, po czym znikła za drzwiami salonu. Usłyszałyśmy jeszcze tylko propozycję Harriet zaniesienia jej na górę.

— Nie ma potrzeby — brzmiała odpowiedź. — Nie ma potrzeby! Nie ma potrzeby! — wołała, wspinając się mozolnie po schodach i wyraźnie powłócząc zmęczonymi drobnymi stopami.

Gdy w godzinę później przyszedłam do sypialni, mała jeszcze nie spała. Ułożyła poduszki w ten sposób, aby mogły podtrzymać ją w

11

pozycji siedzącej: obie jej rączki spoczywały na kołdrze, splecione gestem cichej rezygnacji. Przez jakiś czas nie odzywałam się do niej, wszakże przed zgaszeniem świecy poradziłam jej, aby położyła się wygodniej.

— I to przyjdzie — brzmiała odpowiedź.

— Ale zaziębisz się w ten sposób, mała panienko.

Wzięła z krzesła, stojącego przy jej łóżeczku, drobną jakąś sztukę ubrania i narzuciła ją sobie na ramionka. Pozwoliłam jej robić, co chciała. Wsłuchując się przez chwilę w ciemności, zdałam sobie sprawę, że ona wciąż jeszcze płacze, usiłuje jednak czynić to możliwie najciszej i najpowściągliwiej.

Obudziwszy się o świcie, usłyszałam szum wody, ściekającej jak gdyby cienką strużką.

Spojrzałam w stronę, skąd dochodził ten odgłos i ujrzałam Polly, która już wstała i wdrapawszy się na krzesło przy umywalni, z wysiłkiem przechylała dzbanek (którego nie była w stanie udźwignąć), aby przelać jego zawartość do miski. Ciekawy był widok jej myjącej się i ubierającej. Drobną jej figurką uwijała się przy tych czynnościach tak żywo, a zarazem tak bezszelestnie! Widoczne było, że nie przywykła obywać się przy ubieraniu bez cudzej pomocy: guziki, haftki, wstążeczki, tasiemki i dziurki do ich przewlekania nastrecały jej wiele trudności, które usiłowała pokonywać z wzruszającą wytrwałością. Złożyła porządnie swoją koszulkę nocną, wygładziła, jak tylko umiała najlepiej, fałdy pośłania, po czym, cofnąwszy się do kącika, w którym ukrywały ją zwoje drapu-jących łóżeczko białych muślinowych firanek, zachowywała się cicho. Uniosłam się na łóżku i wyciągnęłam głowę, aby zobaczyć, co robi. Klęczała, oparłszy czoło na dłoniach. Widoczne było, że odmawia pacierze.

Piastunka zastukała do drzwi. Mała zerwała się.

— Jestem ubrana, Harriet — rzekła. — Sama się ubrałam, na pewno jednak nie jestem pozapinana porządnie. Popraw na mnie wszystko.

12

— Dlaczego panienczka ubrała się sama?

— Cicho, Harriet! Nie mów tak głośno, żeby nie obudzić tej dziewczyny. — Oczywiście było, że mówi o mnie przypuszczając, że śpię, ponownie bowiem położyłam się i zamknęłam oczy.

— Ubrałam się umyślnie sama, żeby umieć, jak odjedziesz ode mnie.

— Czy panienczka chce, żebym odjechała?

— Kiedy byłaś zła, nieraz chciałam, żebyś odeszła od nas, ale teraz nie. Zawiąz mi porządnie szarfę w pasie i przyglądź mi włosy, jak należy, proszę cię.

— Szarfa panienczki leży jak ulana. Jaka z panienczki porządnicka.

— Nie, nie, trzeba zawiązać ją jeszcze raz. Proszę cię, zrób to. — Dobrze już, dobrze. Ale jak pojedę, musi panienczka prosić

tę młodą panią, żeby pomogła przy ubieraniu.

— Za nic w świecie.

— Dlaczego? Jest bardzo miła. Spodziewam się, że panienczka będzie grzeczna dla niej i nie będzie zadzierała nosa po swojemu.

— Nie chcę, żeby mnie ubierała! Nie chcę, słyszysz? Za żadne skarby!

— Śmieszne z panienczki stworzenie.

— Nie robisz mi równego przedziału, Harriet. Będzie znów pokręcony.

— Kto by tam kiedy dogodził panience. No, a teraz dobrze?

— Tak sobie. Dokąd mam iść teraz, kiedy jestem ubrana?

— Zaprowadzę panienczkę do pokoju śniadaniowego.

— Dobrze. Chodźmy.

Skierowały się ku drzwiom. Nagle mała zatrzymała się. — O, Harriet, dlaczego to nie jest dom ojczulka! Nie znam tych wszystkich ludzi!

— Niech panienczka będzie grzeczna i nie kaprysi.

— Jestem grzeczna, ale boli mnie tutaj — dotknęła ręką okolicy serca. — Ojczulku! Ojczulku!

— zawodziła płacząco.

13

Podniosłam się, aby położyć kres tej scenie, dopóki jeszcze można było zapobiec gwałtownemu wybuchowi.

— Niech panienska powie dzień dobry młodej pani — nakazała Harriet.

Rzuciła pośpiesznie „dzień dobry”, po czym wyszła za piastunką z pokoju.

Harriet wyjechała tego samego dnia, udając się do swoich znajomych, mieszkających w sąsiedztwie.

Zszedłszy na dół, zastałam Paulinę (dziecko mówiło o sobie: Polly, pełne jej wszakże, nie zdrobniałe imię brzmiało Paulina Maria) siedzącą przy stole śniadaniowym tuż obok pani Bretton. Stał przed nią kubek mleka, a mała kromka chleba wypełniała rączkę, leżącą bez ruchu na obrusie. Mała nie jadła.

— Nie mam pojęcia, jak damy sobie radę z tym stworzonkiem — zwróciła się do mnie moja matka chrzestna po śniadaniu i odejściu Polly. — Nic nie bierze do ust, a po jej oczach i całej twarzy widać wyraźnie, że nie spała.

Uspokoiłam panią Bretton, wyrażając ufność we wpływ czasu i serdecznego obchodzenia się z dzieckiem.

— Gdyby polubiła kogoś w naszym domu, przyzwyczaiłaby się wkrótce, nie wcześniej jednak — odparła pani Bretton.

■

ROZDZIAŁ II

Paulina

Upłynęło kilka dni i, jak się zdawało, trudno było liczyć na to, aby dziecko miało polubić kogoś szczególnie w domu nowej opiekunki. Nie była właściwie niegrzeczna ani kapryśna, nie można byłoby nawet nazwać jej nieposłuszną. Trudno wszakże o istotę, której nie sposób tak jak jej ukoić, kierować nią, a chociażby przystosować do nowych warunków. Była zgnębiona, tak wyraźnie zgnębiona, że żadna osoba dorosła nie mogłaby równie bezsprzecznie wyrażać swego smutku układem twarzy i całej postaci. Żadne poźłobione zmarszczkami oblicze dorosłego wygnańca, przebywającego na antypodach i tęskniącego za Europą, nie mogłoby zdradzać wyraźniejszych oznak tęsknoty za domem rodzinnym, aniżeli twarzyczka tego dziecka. Zdawała się starzeć, szczupleć i mizernieć w oczach. Ja osobiście, nie obdarzona udręką nazbyt bujnej i przeczulonej wyobraźni, doznawałam zawsze dziwnego uczucia, ilekroć, otworzywszy drzwi, zastawałam małą samą jedną, przykucniętą w kącie i opierającą główkę na drobniutkiej rączce. Pokój, w którym przebywałam, wydawał mi się nie zamieszkały, ale nawiedzony przez zjawę upiorną.

A niekiedy znów, gdy budziłam się w noc księżycową, dostrzegałam jej maleńką białą figurkę w nocnej koszulce, klęczącą na łóżku i modlącą się żarliwie, jak gorąca katoliczka czy metodystka — sprawiała na mnie wrażenie świętej w ekstazie zachwycenia. Nie wiedziałam wówczas, co mam o tym myśleć, czułam jednak, że fantazjuję tak samo niezdrowo i nielogicznie, jak ta, trawiona nie-dziecięcą tęsknotą, mała dziewczynka.

Rzadko moje ucho podchwytywało pojedyncze słowa jej modlitwy, tak cicho ją szeptała; czasem nawet była to modlitwa zupełnie

15

niema, nie wypowiedana artykułowanymi dźwiękami. O ile jednak czasami udawało mi się rozróżnić jakieś słowa, było to niezmiennie wezwanie: „Ojczulku, mój drogi ojczulku!”. Zrozumiałam, że mam przed sobą niezwykłą konstrukcję psychiczną, zdradzającą skłonności maniackalne, które uważałam zawsze za największą klęskę, jaką może być dotknięta natura ludzka.

Trudno przewidzieć, do czego mogłoby w końcu doprowadzić małą jej samoudręczenie, gdyby trwało w dalszym ciągu, nie udaremnione przez nikogo. Na szczęście wszakże nastrój dziecka uległ naglemu i niespodziewanemu zwrotowi.

Pewnego dnia pani Bretton, chcąc wydostać małą z kąta, w którym stale zaszywała się, i zając czymś jej umysł, posadziła ją na ławeczce pod oknem i poleciła jej policzyć, ile pań i ilu panów przejdzie ulicą w ciągu określonego czasu. Dziecko jednak siedziało z miną tępą i obojętną, nie patrząc prawie, a już na pewno nie licząc, gdy nagle — nie spuszczałam z niej przez cały czas oczu — dostrzegłam na jej twarzy zmianę błyskawiczną. Takie niebezpiecznie przewrażliwione (jak to się nazywa) natury nastęrczają wiele ciekawych spostrzeżeń obserwującym je osobom, szczęśliwie chronionym — dzięki chłodniejszemu temperamentowi — przed uleganiem nierównym nastrojom i czczemu fantazjowaniu. Wpatrzona w jeden punkt oczy dziewczynki rozpały się, drobne, stale nachmurzone czołko rozjaśniło się promiennie, wyraz smutku i przygnębienia znikł, jak gdyby zdmuchnięty czarem, z jej twarzyczki, ustępując miejsca naglemu ożywieniu i podnieceniu.

— Tak! To on! — wyrwało się z jej ust.

I z szybkością ptaka czy wyrzuconej z łuku strzały pomknęła z pokoju. W jaki sposób udało jej się otworzyć ciężkie drzwi wejściowe na dole, nie mam pojęcia, chyba że szczęśliwym dla niej trafem były uchylone. A może zetknęła się z Warrenem, który nie mógł oprzeć się jej żądaniu — wyobrażam sobie, jak dalece natarczywemu i gwałtownemu! W każdym razie, wypatrując z zaciekawieniem

16

przez okno, ujrzałam maleńką figurkę w czarnej sukience i w zgrabnym, drobno plisowanym fartuszk (niepodobna było skłonić Polly do noszenia ochraniających całą sukienkę fartuchów, tak wielki żywiła do nich wstręt), biegnącą pędem przez jezdnię. W chwili gdy zamierałam zwrócić się do pani Bretton, aby ją ostrzec, że mała wybiegła jak oszałała na ulicę i że należałoby natychmiast pospieszyć po nią, zobaczyłam, że dziecko zostało pochwycone przez kogoś i ukryte na czyjejś piersi zarówno przed moim wzrokiem, jak i przed zdumionymi spojrzeniami przechodniów. Porwania tego dokonał jakiś pan, który teraz, okrywszy maleńką swoim płaszczem, skierował się wraz z nią ku domowi, skąd wybiegła. Przypuszczałam, że odda dziecko służącemu, a sam odejdzie, wbrew mojemu przewidywaniu jednak wszedł i on także, towarzysząc małej na piętro.

Sposób przyjęcia go przez panią Bretton ujawnił mi od razu, że jego osoba jest jej dobrze znana. Powitała go serdecznie, wydając się jednak spłoszona, zdziwiona i nieco niemile zaskoczona. Niemy wyrzut, jaki przybyły wyczytał w jej spojrzeniu, skłonił go do wyjaśnienia:

— Nie byłem w stanie oprzeć się, droga pani; nie mogłem opuścić kraju, nie przekonawszy się osobiście, czy moja maleńka jprzyzwyczała się do nowego otoczenia.

— Pańskie przybycie znów ją od niego odzwyczała.

— Mam nadzieję, że nie. I cóż, jak się ma i co porabia najśłodsza kruszynka ojczusiowa?

Z pytaniem tym zwrócił się do Pauliny, siadając na krześle i stawiając ją na podłodze przed sobą.

— Jak się ma i co porabia kruszynka ojczusiowa? — powtórzyła pytanie, przytulona do kolan ojca i wpatrzona w zachwycie w jego twarz.

Była to cicha i poza tymi kilkoma słowami niema scena, tak głębojco wszakże wzruszająca dzięki modlitewnemu nieledwie sku-

17

pieniu, w jakim się odbyła, że tym bardziej przygnębiające sprawiła na mnie wrażenie. Przy wszelkich, nie powściąganym siłą woli, nieopanowanych wybuchach sprawia widzowi ulgę poczucie pewnej ich śmieszności, i stąd wzgardy dla nich; za najbardziej przytłaczającą natomiast uważałam zawsze tego rodzaju wrażliwość, która gnębi siłą własnej potęgi — olbrzym niewolnik uginający się pod panowaniem trzeźwego rozsądku.

Pan Home był mężczyzną o surowych — może nawet należałoby powiedzieć twardych — rysach; czoło miał pobrużdżone, kości policzkowe wystające. Była to twarz typowo szkocka, w oczach jego wszakże malowała się niezwykła u Szkotów głębia uczucia, w tej chwili ujawnionego wyraźnie w podnieceniu, którego nie był zdolny pokonać. Jego północny akcent w mowie harmonizował z całą jego fizjonomią. Wyglądem swoim sprawiał wrażenie człowieka zarazem dumnego i prostolinijnego.

Położył dłoń na podniesionej ku niemu główce dziecka, które szepnęło:

— Pocałuj swoją Polly, ojczulku!

Pocałował ją. Pragnęłam usłyszeć z ust dziecka jakiś spazmatyczny okrzyk, który przyniosłby mi ulgę i przywróciłby mi spokój. Mała zachowywała się wszakże zadziwiająco cicho: jak gdyby spełniło się wszystko, czego pragnęła i dlatego była upojona szczęściem i radością.

Nie przypominając swego ojca ani rysami, ani wyrazem twarzy, była przecież jego nieodrodną córką: usposobienie jej kształtowało się pod jego wpływem, jej umysł napełniony był treścią jego umysłu, niczym filizanka — płynem wlanym do niej z dzbanka.

Pan Home umiał niewątpliwie po męsku panować nad sobą, niezależnie od emocji, jakie wywoływały w nim pewne sprawy.

— Polly — rzekł wpatrzony w swoją małą córeczkę — zejdź do hallu; leży tam na krześle moje palto; przeszukaj kieszenie,

18

znajdziesz w jednej z nich chustkę do nosa, którą przyniesiesz mi tutaj.

Usłuchała od razu, poszła i powróciła szybko, czekając posłusznie z chustką w ręczce.

Wyglądała prawdziwie jak obrazek z tą swoją zgrabną, drobną figurką, oparta o kolana Hore'a. Widząc jednak, że ojciec nie przestaje rozmawiać, jak gdyby nieświadomy jej powrotu, ujęła jego rękę, odchyliła nie opierając się temu gestowi palce i wsunęła pomiędzy nie chustkę. Przez chwilę zdawał się w dalszym ciągu nie widzieć małej i nie czuć jej obecności, rychło jednak pochylił się ku niej i posadził ją na kolanach, a ona przytuliła się do niego. I mimo że nie patrzyli na siebie ani też nie zamienili słowa w ciągu godziny, byli, jak przypuszczam, oboje zadowoleni w pełni.

Podczas popołudniowej herbaty zachowanie małej sprawiało, jak zazwyczaj, prawdziwą rozkosz obecnym. Zaczęła od pokierowania Warrenem, jak ma ustawić krzesła.

— Proszę postawić krzesło mojego ojczulka tutaj, a moje tuż obok, pomiędzy ojczulkiem a panią Bretton: muszę podać mu herbatę — powiedziała.

Usiadła i wskazała ojcu miejsce obok siebie.

— Usiądź obok mnie, jak gdybyśmy byli u nas w domu.

A potem, gdy wzięła filizankę napełnioną herbatą, którą własnoręcznie osłodziła i do której wlała śmietankę, dodała:

— Zawsze w domu robiłam to dla ciebie; nikt nie umiał ci tak dogodzić, jak ja, nawet ty sam, ojczulku, nie umiałeś.

Przez cały czas posiłku krzątała się usługując ojcu, w sposób zabawnie niedorzeczny chwilami. Szczypce do cukru były za wielkie dla jednej rączki, musiała więc użyć obu przy posługiwaniu się tym instrumentem. Podźwignięcie srebrnego dzbanuszka do śmietanki, półmiska z kromkami chleba z masłem, a nawet filiżanki i spodeczka było zadaniem przerastającym jej siły i możliwości; odważnie jednak usiłowała sprostać temu zadaniu, manewrując każ-

19

dym z przedmiotów, szczęśliwie też podołała wszystkiemu, nie rozlawszy nic ani nie uszkodziwszy. Prawdę mówiąc, uważałam ją za małą kręcicką, ojciec jej wszakże, zaślepiony jak wszyscy rodzice, zdawał się z wielkim zadowoleniem przyjmować usługi, cudownie ukojony jej krzątaniem.

— To jedyna moja pociecha w życiu — nie mógł powstrzymać się od uczynienia wyznania pani Bretton.

Moja matka chrzestna miała taką samą „pociechę”, nieporównanie tylko większych rozmiarów, w tym momencie nieobecna w domu, potrafiła więc zrozumieć i odczuć słabą stronę swojego gościa.

Ta druga „pociecha” ukazała się na widowni jeszcze tego samego wieczoru. Wiedziałam, że na ten dzień oznaczony był jego powrót, zdawałam też sobie sprawę, że pani Bretton pozostawała od rana już w transie oczekiwania. Siedzieliśmy wszyscy po herbacie przy kominku, gdy do naszego koła przyłączył się także Graham. Należałoby raczej powiedzieć: przerwał je i wprowadził zamieszanie. Pojawienie się młodego chłopca wywołało oczywiście nagły rozgwar, wobec tego zaś, że świeżo przybyły pościł przez cały dzień, jak utrzymywał, trzeba było go solidnie nakarmić. On i pan Home przywitani się jak dobrzy znajomi; na małą dziewczynkę Graham nie zwrócił wcale uwagi.

Po posiłku chłopiec odpowiedział na niezliczone pytania matki, wstał od stołu i usiadł przy kominku. Naprzeciwko niego siedział pan Home, a tuż przy nim dziecko. Mówiąc o niej dziecko, używam niewłaściwego określenia. Pojęcie dziecko wyraża wszystko inne raczej, aniżeli wizję poważnej, skupionej małej osóбки w żałobnej sukience i białym fartuszk, mogącymi nadawać się równie dobrze na ubranie większych rozmiarów lalki. Osóбка ta siedziała na wysokim krzeselku obok stolika z białą, z politurowanego drewna szkatułką do ręcznych robótek i trzymała w rączce kawałek batystu, który pilnie obrębiała, przekłuwając go raz w raz igłą, podobną w jej

20

paluszkach do różna kuchennego nieledwie. Manewrując nią nieporadnie, kłuła się wciąż i pozostawiała na białym batyście wiele maleńkich czerwonych plamek; od czasu do czasu wzdrygała się, ilekroć nieposłuszne narzędzie wymykało się spod jej władzy i wpijało głębiej niż zazwyczaj w maleńki paluszek. Nie ustawała jednak w pracy, cicha wciąż, pilna, przejęta wykonywanym zadaniem, prawdziwa mała kobietka.

Graham był w owym czasie przystojnym szesnastoletnim wyrostkiem, którego wygląd nie wzbudzał jednak zbyt wielkiego zaufania do jego solidności. Zaznaczam ten rys nie dlatego, aby chłopiec miał być w istocie szczególnie przewrotny z natury, ale dlatego, że określenie to wydaje mi się odpowiednie do opisanego jasnej, celtyckiej (nie saksońskiej) urody, falujących jasnokasztanowych włosów, smukłej, kształtnej postaci oraz często goszczącego na jego twarzy uśmiechu, nie pozbawionego ani pociągającego uroku, ani przebiegłości (nie w ujemnym sensie jednak). W owym okresie Graham był rozpieszczonym, samowolnym chłopcem.

Przez dłuższy czas przyglądał się w milczeniu drobnej figurce, siedzącej naprzeciw niego z poważną, skupioną miną, a kiedy chwilowa nieobecność w pokoju pana Hote'a przestała zmuszać go do nieśmiałego półuśmiechu — jedyne u niego objawu onieśmienia — zwrócił się do pani Bretton:

— Mamo, widzę w naszym towarzystwie młodą damę, której nie miałem dotychczas zaszczytu być przedstawionym.

— Masz pewno na myśli córeczkę pana Hore'a — odparła matka.

— Tak, w samej rzeczy, łaskawa pani — skłonił się syn. — Uważam jednak sposób wyrażania się łaskawej pani za zbyt mało ceremonialny; mówiąc o młodej damie, którą mam na myśli, nazwałbym ją panną Home.

— Słuchaj, Grahamie, nie pozwolę ci droczyć się z dzieckiem. Nie wyobrażaj sobie, że zgodzę się, abyś zrobił z niej twoją ofiarę.

21

— Łaskawa pani — zwrócił się do małej, nie stropiony naganą z ust matki — czy mogę mieć zaszczyt przedstawienia się pani, skoro nikt inny nie zdradza chęci wyświadczenia pani ani mnie tej uprzejmości? Powolny sługa łaskawej pani, John Graham Bretton.

Spojrzała na niego wstającego z krzesła i składającego przed nią głęboki ukłon. Odłożyła poważnie napastrzek, nożyczki i robotę, zesła ostrożnie z wysokiego krzesła i dygając przed nim nisko z niewypowiedzianą powagą, przywitała go uprzejmie:

— Jak się pan ma?

— Cieszę się pozostawaniem w dobrym zdrowiu, nieco tylko znużony jestem pospieszną podróżą. Mam nadzieję, łaskawa pani, że i pani także dobrze się miewa.

— Wcale znoń...śnie — brzmiała ambitna odpowiedź małej kobietki, która, po wypowiedzeniu jej, usiłowała zająć uprzednie wysokie swoje stanowisko; czując jednak, że nie będzie mogła tego dokonać bez pewnego wysiłku i niezgrabnego wspinania się pod górę — a nie mogła przecież narazić w ten sposób na szwank swojej godności — z drugiej zaś strony nie decydując się za nic w świecie na szukanie cudzej pomocy w obecności tego młodego panicza, zrzekła się wysokiego krzesła na korzyść niskiego stołeczka. Ku temu stołeczкови przysunął Graham swoje krzesło.

— Mam nadzieję, łaskawa pani, że jej obecna rezydencja, dom mojej matki, wydaje się pani odpowiednią siedzibą?

— Nie nade-zwy-czaj-nie; chciałabym wrócić do domu.

— Zupełnie naturalne i godne pochwały dążenie, łaskawa pani; będę jednak czynił, co tylko będzie w mojej mocy, aby mu się przeciwstawić. Liczę na to, że uda mi się uzyskać dzięki pani odrobinę cennego pierwiastka, zwanego zabawą, której moja matka i obecna tu panna Snowe nie były zdolne mi zapewnić.

— Wyjadę z moim ojczulkiem i nie pozostanę długo u matki łaskawego pana.

— Tak, tak, pozostanie pani u nas, ze mną, jestem pewien. Mam

22

kucyka, na którym będzie pani jeździła, i mnóstwo książek z obrazkami, które będę pani pokazywał.

— Czy i pan będzie mieszkał teraz tutaj?

— Mieszkam tutaj. Jest pani z tego zadowolona? Podobam się pani?

— Nie.

— Dlaczego?

— Wydaje mi się pan jakiś dziwny.

— Moja twarz, łaskawa pani?

— Twarz pana i wszystko w panu. Ma pan długie czerwone włosy.

— Kasztanowe, jeśli łaska: mama nazywa je kasztanowymi albo złotymi. Tego samego zdania są o nich wszystkie jej przyjaciółki. Ale nawet z moimi „długimi czerwonymi włosami" (potrząsnął z rodzajem triumfu bujną czupryną, o której sam dobrze wiedział, że ma

plowy odcień, i dumny był z tej lwiej barwy) nie mógłbym być dziwniejszy niż wasza łaskawość, szanowna pani.

— Nazywa mnie pan dziwną?...

— Oczywiście.

Po chwili milczenia dziewczynka powiedziała:

— Myślę, że powinnam już iść spać.

— Takie małe stworzonko powinno już od wielu godzin być w łóżeczku, ale czekała pani na pewno na mnie, aby przyjrzeć mi się, jak wyglądam, prawda?

— Nie. Wcale nie.

— Jestem pewien, że powodem tego opóźnionego pójścia spać była chęć korzystania z przyjemności, jaką darzy moje towarzystwo. Wiedziała pani, że przyjadę dzisiaj i stąd to czekanie, żeby mnie zobaczyć?

— Nie poszłam spać dlatego, że jest tutaj mój ojczulek, a wcale nie kto inny.

— Ślicznie, łaskawa pani. Stanę się na pewno pani ulubieńcem:

23

polubi pani wkrótce moje towarzystwo bardziej jeszcze, niż towarzystwo swego ojczulka, ośmielę się wyrazić przypuszczenie.

Powiedziała dobranoc pani Bretton i mnie; zawahała się niepewna, czy Graham zasługuje na te same względy, ale on w tejże chwili pochwyił ją i uniósł w górę jedną ręką i tą jedną ręką trzymał ją wysoko ponad swoją głowę. Odbicie własne w tej pozycji ujrzała w lustrze, umieszczonym nad kominkiem. Nagłość i łobuzerska bezceremonialność tego gestu, a nade wszystko okazany przez Grahama brak szacunku dla jej osoby, były nie do zniesienia.

— Mógłby się pan wstydzić, panie Grahamie! — krzyknęła z oburzeniem. — Proszę mnie puścić!

A kiedy stanęła ponownie na własnych nogach na podłodze, dodała z powagą:

— Ciekawa jestem, co pomyślałby pan o mnie, gdybym chciała zrobić to samo z panem i podniosłabym pana jedną ręką (pogroziła mu imponująco), jak służący Warren podnosi małą kotkę.

Powiedziawszy to, z godnością wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ III Towarzysze zabaw

Pan Home pozostał dwa dni. Przez cały czas pobytu niepodobna było skłonić go do wyjścia z domu: siedział wciąż przy kominku, chwilami w milczeniu, czasem znów słuchając uprzejmie uwag pani Bretton i odpowiadając na jej pytania. Gawędy pani Bretton były odpowiednio dostrojone do chorobliwie zgnębnego nastroju jej gościa. Umiała być nie nazbyt litującą się, zarazem jednak współczującą i rozsądną; zdobywała się nawet na ton macierzyński. By a o tyle starsza od niego, że mogła sobie pozwolić na podobną rolę;

Co się tyczy małej Polly, była ona równocześnie uszczęśliwiona i milcząca, pochłonięta i czujna. Ojciec często sadzał ją sobie na kolana; była wówczas cichutka, przytulona do niego, dopóki nie poczuła czy też nie wyobraziła sobie, że zaczyna on kręcić się niespokojnie.

Zwracała się wówczas do niego, mówiąc:

— Puść mnie, ojczulku, na podłogę, zanadto ci ciężę.

Z tymi słowami zsuwał się ów „ciężar” z ojcowskich kolan na dywan, na którym przykucał przy samych nogach „ojczulka” i wyjmował z białej skrzynki do robót ręcznych poplamiony krwią batystowy kwadracik. Miała to być, jak się zdawało, chusteczka, przeznaczona na upominek dla „ojczulka”, musiała więc być obrębiona przed jego wyjazdem; stąd pilność małej szwaczki, niezdolnej zrobić więcej niż kilkanaście ściągów w ciągu pół godziny.

Wieczór, sprowadzający Grahama pod dach macierzyński (cały dzień chłopiec spędzał w szkole), był dla nas równocześnie czasem wzmożonego ożywienia — nie osłabionego

bynajmniej scenami, jakie rozgrywały się nieodmiennie pomiędzy nim a „panną Paulina Home”.

25

Oburzona jego zachowaniem pierwszego wieczoru, traktowała zuchwalca w sposób pełen wyniosłej obcości. Ilekroć zwracał się do niej, odpowiadała:

— Nie mogę dotrzymać panu towarzystwa: mam tyle spraw do przemyślenia.

Na błagania, aby wyjawiała, jakie to sprawy, odpowiadała:

— Ważne interesy.

Graham próbował zainteresować ją niezmiernie różnorodną zawartością swojego biurka: wyjmował śliczne pieczątki, barwne pałeczki wosku, scyzoryki z różnymi napisami, niektóre nawet wesoło kolorowane i skrzętnie przez niego gromadzone. Nie można utrzymywać, aby kuszenie to było zupełnie daremne: zaciekawione spojrzenia małej, rzucane ukradkiem sponad roboty, biegły w stronę biurka, usianego interesującymi obrazkami. Rycina z wizerunkiem dziecka bawiącego się z wiernym swoim towarzyszem, potulnym wyżłem, upadła na podłogę, jak gdyby przypadkiem.

— Ładny piesek! — zawołała zachwycona.

Graham przezornie udawał, że nie słyszy jej słów. Po chwili, wysunąwszy się ze swojego kącika, podeszła bliżej, aby móc lepiej obejrzeć obrazek. Nie była w stanie oprzeć się czarowi wielkich oczu psa i długich jego uszu, a także kapelusza i strojnej sukienki dziecka.

— Ładny — przyznała łaskawie.

— Proszę go sobie wziąć, jeśli się jaśnie panience podoba — rzekł Graham.

Zdawała się wahać. Chęć posiadania obrazka była przemożna, przyjęcie go byłoby jednak ustępstwem z ujmą dla własnej godności. Nie. Odłożyła rycinę i odeszła.

— Nie chcesz więc jej wziąć, Polly? — zapytał, zwracając się do niej tonem naturalnie poufałym, koleżeńskim.

— Nie. Wolę nie. Dziękuję.

26

— Chcesz wiedzieć, co zrobię z tą ryciną, jeśli jej nie weźmiesz.'

Zawróciła w połowie drogi.

__Potnę ją na fidibusy¹ do zapalania świecy.

— Nie!

__Właśnie że tak zrobię.

— Proszę, nie!

Graham pozostał jednak nieugięty pomimo jej błagalnego tonu i wyjął nożyczki z koszyka do robót swojej matki.

__Uwaga, tnę! — rzekł, robiąc groźny gest. — Widzisz, tędy, przez sam środek głowy Fida, i przy tym odetnę połowę nosa małemu Harry'tmu.

— Nie! Nie! Nie!

— To chodź do mnie! Ale prędiutko, bo inaczej zrobię, co mówię.

Zawahała się, ociągała się chwilkę i wreszcie uległa.

— A teraz chcesz ją mieć?

— Proszę.

— Ale będę żądał zapłaty.

— Ile?

— Całusa.

— Proszę najpierw dać mi obrazek do ręki.

Teraz Polly z kolei sprawiała wrażenie podstępnej. Graham dał jej rycinę. W tej samej chwili wymknęła się swojemu wierzycielowi i uciekła do ojca, znajdując bezpieczne schronienie na

jego kolanach. Graham udał wielce zagniewanego i skoczył za nią. W strachu przed nim ukryła twarz w fałdach ojcowej kamizelki.

— Ojczulku!... Ojczulku!... Każ mu odejść!

1 Fidybus albo fidybus (przest.) — kilkakrotnie wzdłuż złożony (aby długo płonął) skrawek papieru do zapalania fajki lub świecy (przyp. red.).

27

— Nie odejdę! — zagroził Graham.

Z odwróconą twarzą wyciągnęła rączkę gestem odpychającym, aby nie dopuścić go do siebie.

— W takim razie pocałuję cię w rękę — rzekł. W tej samej chwili jednak rączka zacisnęła się w miniaturową piąstkę, która wymierzyła mu zapłatę w drobnej monecie, niepodobnej bynajmniej do pocałunku.

Graham — na swój sposób nie ustępując przebiegłością małej towarzysze zabawy — odskoczył na pozór mocno skonfundowany i rzucił się na kanapę, tuląc głowę do poduszki, jak gdyby w przystępie gwałtownego bólu. Polly, zdumiona jego milczeniem, zerknęła na niego ukradkiem. Twarz chłopca ukryta była w dłoniach. Zaniepokojona odwróciła się w jego stronę, nie schodząc jednak z kolan ojca, i wpatrywała się z niepokojem w swojego przeciwnika. Graham jęknął.

— Ojczulku, co mu się stało? — szepnęła.

— Sama go lepiej zapytaj, Polly.

— Czy uderzyłam go tak mocno? Powtórny jęk.

— Sądząc z jego jęków, bardzo mocno — odparł pan Home.

— Mamo — rzekł Graham słabym głosem — myślę, że należy posłać po doktora. O! Moje oko!

Ponowna cisza, zakłócona tylko utyskiwaniem Grahama.

— Co będzie, jeśli oślepnę?! — zawołał. Krzywdzicielka jego nie była w stanie znieść podobnej myśli.

— Proszę mi pokazać; nie chciałam trafić w oko, tylko w usta. Nie przypuszczałam, że uderzyłam tak bardzo mocno.

Odpowiedzią było milczenie. Twarzyczka Polly zaczęła drgać.

— Tak mi przykro! Tak mi przykro!... — zawołała. Wzruszenie znalazło ujście w łkaniu.

— Dość już dręczenia dziecka! — oburzyła się pani Bretton.

— To tylko żarty, moja pieszcotko — zawołał pan Home.

W tej chwili Graham podniósł się nagłym skokiem, raz jeszcze porwał ją wysoko w górę, a ona powtórnie go ukarała targając jego lwią czuprynę, po czym nastąpił grad wyzwisk:

— Ty najniegodziwszy, najgorszy, najbardziej niegrzeczny ze wszystkich człowieku! Ty najstraszniejszy kłamczuchu, jaki tylko może być na świecie!

Rano, w dniu wyjazdu, pan Home i jego córka odbyli rozmowę sam na sam, ukryci na ławeczce za firankami okiennymi.

— Czy nie mogłabym zapakować mojej skrzynki i pojechać razem z tobą, ojczulku? — szepnęła zupełnie poważnie.

Potrząsnął przecząco głową.

— Sprawiałabym ci kłopot?

— Tak, Polly.

— Dlatego, że jestem mała?

— Dlatego, że jesteś mała i wątła. Podróżować mogą tylko dorośli, silni ludzie. Nie miej jednak takiej smutnej minki, małe moje kochanie; łamiesz mi tym serce. Ojczulek powróci wkrótce do swojej Polly.

— Nie jestem wcale smutna, wcale nie jestem smutna, ojczulku.

— Przykro byłoby mojej Polly, gdyby miała sprawić ból swojemu ojczulkowi, prawda?

— Jeszcze bardziej niż przykro.

— W takim razie moja Polly musi być wesółą, nie może płakać przy pożegnaniu ani smucić się po moim wyjeździe. Musi myśleć o tym, że będziemy znów wkrótce razem i starać się być wesółą do tego czasu. Czy mogę liczyć na to, że moja ptaszyna będzie się starała być wesółą?

— Będzie się starała.

— Wierzę, że tak będzie. Żegnaj więc, kochanie. Czas już na mnie.

29

— Teraz?! Już teraz?!...—powiedziała drżącym głosem.

Podąła ojcu drgające usta. Ojciec załkał, ale Polly — zauważyłam to — nie płakała.

Zsunawszy ją ze swoich kolan, uściskał na pożegnanie ręce wszystkich obecnych i odjechał.

Kiedy drzwi wejściowe do hallu zamknęły się za nim, opadła na kolana przy krześle z okrzykiem: „Ojczulku!”.

Okrzyk był przyciszony, ale przeciągły. Brzmiało w nim bolesne pytanie: „Dlaczego mnie opuściłeś?”.

Widziałam, że przez pierwszych kilka minut dziecko cierpiało męki. W tym krótkim ułamku swojego dzieciństwa doznała wzruszeń, jakich niektórzy nie przeżywają nigdy. Taką miała naturę, a to zapowiadało, że czekają więcej takich chwil, o ile będzie żyła. Nikt nie powiedział ani słowa. Pani Bretton, jako matka, uroniła kilka łez. Graham, zajęty pisaniem, podniósł głowę i utkwiał wzrok w Polly. Ja, Lucy Snowe, nie straciłam równowagi.

Mała istotka, pozostawiona w ten sposób w spokoju i nie nagabywana przez nikogo, dokonała dla samej siebie tego, czego nikt inny nie mógłby dla niej uczynić — pogodziła się z bólem nie do zniesienia, jak się zdawało, i niebawem opanowała go nawet. Ani tego dnia, ani następnego nie byłaby zdolna przyjąć słów pociechy od nikogo. Stopniowo, z czasem, stawała się coraz bardziej bierna.

Trzeciego wieczoru, kiedy cicha i zgnębiona siedziała na pod- *, łodze, Graham, który wszedł do pokoju, podniósł ją łagodnie, nie mówiąc ani słowa. Nie opierała mu się, przytuliła się nawet do niego, jak gdyby wyczerpana. Złożyła główkę na jego ramieniu i po chwili zasnęła; uśpioną zaniósł na górę do jej łóżeczka. Nie byłam wcale zdziwiona, gdy nazajutrz z rana pierwszym jej pytaniem było:

— Gdzie jest pan Graham?

Tak się złożyło, że Graham nie przyszedł tego dnia na śniadanie. Miał do napisania jakieś wypracowanie, które powinien jeszcze

30

tego samego dnia wręczyć nauczycielowi w klasie, poprosił więc matkę, aby przysłała mu filiżankę herbaty do pokoju. Polly sama zaofiarowała się, że ją zaniesie: musi przecież zająć się czymś, dbać o kogoś. Filiżanka, nalana po brzegi, została jej powierzona; mimo że była małą kręcicką, odznaczała się wielką starannością i ostrożnością. Pokój, w którym Graham odrabiał lekcje, położony był naprzeciwko pokoju śniadaniowego i przy otwartych drzwiach słychać było rozmowę.

— Co pan robi? — zapytała, wchodząc do pokoju Grahama.

— Piszę.

— Dlaczego nie przychodzi pan na śniadanie, żeby zjeść je razem ze swoją mamą?

— Jestem zanadto zajęty.

— Chce pan dostać śniadanie?

— Naturalnie.

— Proszę, przyniosłam je.

Rzekłszy to, postawiła filiżankę na dywanie, niby dozorca więzienny, przynoszący więźniowi kubek wody do drzwi jego celi, i cofnęła się. Po chwili wróciła.

— Co pan chciałby dostać do jedzenia... oprócz herbaty?

— Coś dobrego. Przynieś mi coś szczególnie dobrego, jak prawdziwa dobra mała kobietka.

Polly powróciła do pani Bretton.

— Proszę, niech pani pošle swojemu synowi coś bardzo dobrego.

— Sama coś wybierz, Polly. Jak myślisz, co mamy mu pošłać? Mała wzięła po porcji ze wszystkiego, co było najlepsze na stole, a niebawem wróciła, prosząc szeptem o osobliwą jakąś marmoladę, której tu nie było. Otrzymała żądany przysmak (pani Bretton nie odmawiała nigdy niczego swojemu spadkobiercy) i wnet usłyszeliśmy Grahama, wychwalającego pod niebiosa małą opiekunkę i przyrzekającego jej, że jak będzie miał własny dom, przyj-

31

mie ją za gospodynię, a może nawet — o ile okaże prawdziwy talent kulinarny — za kucharkę. Długo nie wracała, pošłam więc po nią i zastałam oboje, Grahama i Polly, śniadających tete-ń-IIIe. Stała obok niego i dzieliła z nim posiłek, z wyjątkiem marmolady, której z wielkim taktem nie tknęła w obawie, aby, jak przypuszczam, nie wydawało się, że postarała się o ten smakołyk nie tylko dla niego, ale i dla siebie. Stale ujawniała podobnie miłe porywy, świadczące o niezwyklej delikatności uczuć.

Związek przyjaźni, zadzierzgnięty w ten sposób, nie rozwiął się pospiesznie. Okazało się wprost przeciwnie, czas i okoliczności przyczyniły się raczej do umocnienia niż do osłabienia go. Mimo że oboje byli niedobrani wiekiem, dążeniami i wszystkim w ogóle, w niewytłumaczony sposób mieli sobie wzajem bardzo wiele do powiedzenia. Co się tyczy Polly, zauważyłam, że jej prawdziwa natura ujawniała się w pełni jedynie w towarzystwie młodego Brettona. Kiedy na dobre już oswoiła się i przywykła do domu pani Bretton, okazała się dzieckiem łatwym do prowadzenia. Moja matka chrzestna zupełnie dobrze dawała sobie z nią radę. Całymi dniami dziewczynka siadywała na stołeczku u stóp pani Bretton, ucząc się zadanych lekcji albo też szyjąc czy pisząc cyfry szyferkiem na tabliczce, nigdy jednak nie odzywając się z niczym oryginalnym ani też nie zdradzając żadnego przebłysku osobliwej natury. Przestałam ją obserwować, ponieważ nie budziła w takich chwilach większego zainteresowania. Kiedy wszakże wieczorem rozlegało się pukanie do drzwi powracającego do domu Grahama, w małej dokonywało się momentalne przeistoczenie. W jednej sekundzie była na górnym podeście klatki schodowej. Jej powitanie bywało stale wymówką albo groźbą.

— Nie wytarłeś — tykała go już — jak się należy nóg o słomiankę. Powiem twojej mamie!

— Już jesteś, mała wiercipięto?!

— Tak, ale nie możesz mnie dosięgnąć. Stoję wyżej niż ty —

32

aliła się, wysuwając główkę przez pręty balustrady (nawet sta-C na czubkach palców nie mogła przechylić się przez nią).

ją° _ Polly!

___ Co, drogi chłopcze? — tak nazywała go często, przejąwszy ten zwrot od jego matki.

___ Umieram ze zmęczenia—oświadczał Graham, opierając się ścianę pasażu i udając zupełnie wyczerpanego. — Doktor Digby, nasz dyrektor, wykończył mnie do reszty dodatkowymi zadaniami. Zejdź na dół i pomóż mi zanieść na górę książki i zeszyty.

— O, wiem, wiem! Chcesz mnie złapać!

— Wcale nie. Mówię najprawdziwszą prawdę. Jestem słaby jak trzcinka. Zejdź i pomóż mi.

— Oczywiście są spokojne, jak u burej kotki, ale boję się, że skoczysz na mnie.

— Ja?! Skoczyć?! Nic podobnego! Nie mam sił do skakania. Zejdź, a przekonasz się.

— Może nawet zejde, jeżeli mi przyrzekniesz, że mnie nie tkniesz, że nie porwiesz mnie w górę i nie będziesz kręcił mną jak wiatrakiem.

— O! Nie byłbym w stanie tego zrobić! — jęczał, osuwając się bezsilnie na krzesło.

— No, dobrze. Połóż książki na pierwszym schodku, a sam odejdz o trzy kroki w tył.

Kiedy stawało się wedle jej życzenia, zbiegała na dół, nie spuszczać oka z osłabionego Grahama. Oczywiście jej zbliżenie poruszało go od razu, budząc w nim nagły, gwałtowny przypływ sił: zabawa musiała udać się w tych warunkach. Czasem wpadała w prawdziwy gniew, czasem jednak odbywało się wszystko względnie gładko; pomagała Grahamowi wejść po schodach i mówiła:

— A teraz, drogi chłopcze, chodź i napij się herbaty. Jestem pewna, że tego ci potrzeba.

33

Zabawne było obserwować ją, gdy siadała przy Grahamie pod czas posiłku. W jego nieobecności była cichą, milczącą osobką; przy nim ożywiała się od razu, zaaferowana, nadskakująca, ruchliwa ja żywe srebro. Przychodziło mi nieraz na myśl, że lepiej byłoby gdyby myślała więcej o sobie i była spokojniejsza. Nic z tego jednak jej własna osoba schodziła zupełnie na drugi plan; cała jej uwagi zaprzątnięta była wyłącznie nim. W jej pojęciu nie mógł być ani dostatecznie, ani dość starannie obsłużony; Wielki Mogoł był w jej oczach niczym w porównaniu z nim. Gromadziła dokoła niego wszystkie półmiski i koszyki z pieczywem i ciastem, a kiedy sądził by można, że miał pod ręką wszystko, czego zapragnął, wpadała na nowy jeszcze pomysł.

— Proszę pani — przybiegała, szepcząc na ucho pani Brettol — może syn pani chciałby zjeść ciastko, wiem, że jest tutaj -m wskazywała paluszkami na kredens. Pani Bretton była z zasad przeciwna jedzeniu ciastek do herbaty, Polly bywała jednak szczerą golnie natarczywa. — Jedno maleńkie ciasteczko, proszę pani, tyłki dla niego, musi przecież jeszcze raz iść do szkoły. Dziewczętom! takim jak ja i jak panna Snowe, nie jest potrzebne dogadzanie, ale jemu — tak. Tak bardzo lubi ciastka...

Graham w istocie bardzo lubił ciastka i prawie stale je dostawał. Należy oddać mu sprawiedliwość, że miał zawsze najszczerze intencje dzielenia się nimi z tą, której je zawdzięczał. Nigdy jednak nie zgadzała się na to. Naleganie na nią w tej mierze było niezawodnym sposobem, żeby zepsuć jej humor na cały wieczór. Jedyną nagrodą, jakiej pragnęła za swoje starania, była możliwość krzątania się przy nim, stania przy jego kolanach i zagarniania podczas tych posiłków na wyłączną swoją własność całej jego uwagi i jego towarzystwa.

Ze zdumiewającą gotowością zajmowała się wszystkim, c mogło go interesować. Można było pomyśleć, że dziecko to nie ma własnego życia ani własnych zainteresowań, musi więc z konieczności żyć cudzimi.

Teraz, kiedy ojciec jej był daleko, przyłgnęła do Grahama, zdając się być zdolną do odczuwania jego wrażliwością jedynie, istnieć jego istnieniem wyłącznie. Umiała wyliczyć z pamięci nie tylko wszystkie nazwiska, ale i wszystkie przezwiska jego kolegów szkolnych; przejęła od Grahama jego sposób określania każdego z nich z osobna; jedno jego słówko wystarczało jej, aby domyślić się, o kim mówi. Nigdy nie zapominała ani nie myliła charakterystycznych cech żadnego z nich; zdarzało jej się nieraz całymi wieczorami mówić z Grahamem o jego kolegach i nauczycielach, których nie widziała ani razu w swoim życiu, zdając się być najzupełniej świadomą ich wyglądu, gestów, sposobu zachowania i upodobań. Potrafiła nawet naśladować ich: jeden z młodszych nauczycieli, do którego młody Bretton czuł szczególną odrazę, wyróżniał się jakimiś słabostkami, które w mig podchwyciła z opowiadań Grahama i nauczyła się przedrzeźniać go ku wielkiej ucieście swojego towarzysza. Pani Bretton zganiała ją jednak za to surowo i zakazała podobnej zabawy.

Młoda parka rzadko się sprzeczała. Raz wszakże wynikła pomiędzy obojgiem scysja, która zadała dotkliwy cios jej uczuciom.

Pewnego dnia miał Graham z racji swoich urodzin przyjąć u siebie kilku przyjaciół — chłopców w jego wieku. Pani Bretton zaprosiła ich na obiad. Polly żywo interesowała się tą wizytą; tak często mówiła z Grahamem o spodziewanych gościach; o nich to opowiadał jej najczęściej. Po obiedzie pozostawiono chłopców samych w jadalni, gdzie zrobiło się

niebawem bardzo wesoło, jak świadczyły dolatujące stamtąd hałasy. Przechodząc przypadkiem przez hall, zobaczyłam małą Polly, siedzącą samotnie na najniższym stopniu schodów, wpatrzoną w połyskujące kolorowe szyby oszklonych drzwi stołowego pokoju, w których odbijało się światło lampy. Drobne czoło dziewczynki zasępione było ponurym rozmyślaniami.

— O czym tak myślisz, Polly?

34

35

— O niczym nadzwyczajnym; chciałabym tylko, żeby ta szyb w drzwiach była przezroczysta: mogłabym zajrzeć przez nią. Chłol cy są tacy weseli. Chciałabym wejść do nich, chciałabym być Grahamem i przyjrzeć się jego kolegom.

— Cóż ci przeszkadza wejść?

— Boję się. Ale, jak pani myśli, czy mogłabym? Czy mogł^ bym zapukać do drzwi i poprosić, żeby mnie wpuścili?

Przypuszczałam, że chłopcy nie będą mieli nic przeciwko je towarzystwu i dlatego zachęciłam ją do zapukania.

Zapukała, zbyt słabo zrazu, aby można było to pukanie usłyszeć przez zamknięte drzwi, po ponowionej wszakże próbie drzwi uchyliły się i ukazała się w nich głowa Grahama, rozbawionego, a zarazem zniecierpliwionego.

— Czego chcesz, mała małpko?

— Wejść do was.

— Tylko tyle? Bardzo potrzebna nam tu jesteś! Ciekaw jesten zWo?

Ani Warrenowi, ani kucharce nie udało się jej podnieść, zostawiliśmy ją więc w sP°koJu i pozwoliliśmy jej leżeć, dopóki sama z własnej woli nie uznała za właściwe wstać i odejść. Graham tego samego jeszcze wieczoru zapomniał o swoim zniecierpliwieniu i, po odejściu kolegów, zwrócił się, jak zwykle, do małej towarzyszk zabaw. Wyrwała mu się wszakże z rąk, oczy jej rozbłysły gniewem, nie chciała powiedzieć mu dobranoc, nie chciała patrzeć na niego. Nazajutrz zachował się wobec niej obojętnie, a ona była sztywna i zimna jak marmur. W ten sposób minął jeszcze jeden dzień. Gdy dopytywał się, jaki jest właściwie powód jej dąsów, nie otworzyła ust. Nie mógł oczywiście gniewać się na nią prawdziwie: zbyt niedobraną stanowili pod każdym względem parę; zrazu też próbował ją ułagodzić, a potem ponownie zdręczał pytaniami:

— Dlaczego jesteś taka zagniewana na mnie? Co ci zrobiłem

co robilibyśmy z tobą. Zmykaj do mamy i do panny Snowe, J powiedz im, żeby położyły cię spać

Kasztanowa grzywa i zaczerwieniona twarz Grahama znikły drzwi zatrzasnęły się za nim z hałasem. Polly stała oszołomiona oniemiała

— Dlaczego mówił do mnie tak ostro? — szepnęła po chwili — Nigdy nie mówi do mnie w taki sposób. Co mu zrobiłam złego)

— Nic, Polly, nie zrobiłaś mu nic złego, tylko, widzisz, Grahaj zajęty jest swoimi kolegami.

— Tak. I lubi ich bardziej niż mnie! Odpędza mnie teraz, bj ma ich u siebie!

Chciałam pocieszyć ją, a zarazem skorzystać ze sposobności przekazać jej parę podstawowych maksym filozoficznych, któryc okazały zasób miałam zawsze w pogotowiu. Powstrzymała mni

36

Za całą odpowiedź rozplakała się, a wtedy ukoił ją pieszczotami, które przywróciły dawną ich przyjaźń. Należała jednak do istot, po których podobne wydarzenia nie prześlizgują się bez śladu. Zauważyłam, że po tej historii nigdy już więcej nie szukała go, nie wpraszała się do jego towarzystwa ani też nie narzucała mu się w żaden sposób. Poleciłam jej pewnego razu, aby zaniósła mu książkę, kiedy siedział zamknięty w swoim pokoju do nauki.

— Poczekam, aż wyjdzie—odparła dumnie. — Nie chcę, żeby przeze mnie wstawał od biurka i otwierał mi drzwi.

Młody Bretton miał ulubionego kucyka, na którym wyjeżdżał często na spacer; Polly śledziła zawsze przez okno jego odjazd i przyjazd. Ambicją jej było móc objechać na kucyku chociażby jeden raz podwórze dokoła, nigdy jednak nie prosiła o dostąpienie tego zaszczytu. Pewnego dnia zeszła na podwórze, aby być obecną przy jednak przy pierwszym moim słowie, zatkawszy sobie uszy palusi zsiadaniu Grahama z kucyka. Gdy stała oparta o furtkę, pragnienie kami, i rzuciła się na słomiankę twarzą do fliz kamiennej posadzki przejazdki płonęło ogniem w jej oczach.

37

— Cóż, Polly, masz ochotę przejechać się? — zapytał Grahama nutę spokoju; wieczory niedzielne poświęcał przeważnie niewin-nieco niedbale. Przypuszczam, że ton jego wydał jej się zbyt obnym) może tylko nieco gnuśnym zabawom przy kominku. Najczęściej-jętny i lekceważący. czej brał w posiadanie kanapkę i

wzywał do siebie Polly.

— Nie, dziękuję ci — odparła, odwracając się z doskonałym Graham był chłopcem zupełnie niepodobnym do rówieśników; udawaną oziębłością.

Inie szukał wyłącznie rozkoszy w czynie; był skłonny do wpadania

— Radzę ci, przejeźdź się — powtórzył. — Wiem, że sprawiła Czasu do czasu w zadumę; znajdował także przyjemność w czy-to przyjemność.

Itaniu, a jego lektura nie była dobierana przypadkowo, byle jak, na

— Nie wyobrażaj sobie, że dbam chociaż trochę o to — odpałoślep. Miał wyraźne, charakterystyczne upodobania, a nawet prze-wyniośle.

Łłyski intuicyjnego gustu w wyborze. Rzadko, co prawda, robił

— Nieprawda. Powiedziałaś Lucy Snowe, że bardzo pragnieŁwagi o tym, co czytał, niejednokrotnie jednak widywałam go sie-się przejechać.

Łżącego i rozmyślającego o przeczytanym dziele.

— Lucy Snowe jest płoktarką — brzmiała jej odpowiedź Polly klęczała przy nim na małej poduszeczce, umieszczonej (lekkie seplenienie i przekręcanie liter w niektórych wyrazach b) na dywanie. Rozmowa, jaka zawiązywała się pomiędzy obojgiem, jedyną jej cechą prawdziwie dziecięcą). Powiedziawszy to, wes: do domu. Graham, który wrócił wkrótce po niej, odezwał się matki:

— Mamo, myślę, że to stworzenie musi być chyba pomyłoi istny gabinet osobliwości. Nudno jednak byłoby mi bez niej. Ba mnie daleko więcej, aniżeli ty i Lucy Snowe.

— Panno Lucy — zwróciła się do mnie Polly (powoli przyw ibym je powiedziała?) kła wdawać się ze mną w pogawędki, kiedy byliśmy wieczore same w naszym pokoju) — wie pani, którego dnia w tygodn najbardziej lubię Grahama? możliwe, aby istniał taki dzień spośród siedmiu, w którym Grana jest inny niż w pozostałe sześć?

Rozumie się, że jest! Jak to?! Czy pani tego nie rozum

bo mamy go w niedzielę cały dzień i jest wtenczas taki spokój a wieczorem jest t a k i dobry.

Uwaga nie była bynajmniej bezpodstawna: chodzenie do kc

ozpoczynała się zazwyczaj szeptem, przyciszonym, ale dosłyszonym. Tu i ówdzie podchwytywałam jej urywki, w istocie też przy-nać musiałam, że jakiś lepszy i podnioślejszy nastrój zdawał się isposabiać Grahama osobliwie łagodnie.

— Nauczyłaś się nowych hymnów w tym tygodniu, Polly?

— Nauczyłam się bardzo ładnego. Ma cztery wersety. Chcesz,

— Dobrze, ale mów ładnie. Nie spiesz się. Polly na wpół śpiewnie wyrecytowała hymn, a on przystąpił do wykazania błędów jej recytacji, udzielając wsłuchanej w jego słowa

Skądże mogłabym wiedzieć coś podobnie dziwnego? C Iziewczynce formalnego wykładu na ten temat. Uczyla się łatwo i z owną łatwością naśladowała podany wzór, nade wszystko zaś przy-emność, jaką sprawiało jej poczucie, że zadowolila Grahama, czy-liła z niej doskonały materiał na uczennicę. Później następowało

Nie wie pani takiej prostej rzeczy? Jest najdoskonalszy w niedzie 5*ośne czytanie — czasem rozdziału z Biblii: tutaj rzadko potrzebne yło poprawianie. Dziecko czytało płynnie i wnikliwie wszelkie istępy opisowe, a kiedy natrafiła na temat, który była w stanie Rozumieć, a zwłaszcza jeśli mógł ją zainteresować, wyrazistość i ciola i inne tego rodzaju obowiązki nastrajały Grahama w niedzie s'Cbia uczucia jej recytacji były wręcz zdumiewające. Józef wrzu-

38

39

:

viaio

)żne irzo-

TIOŹi

eony do studni, Daniel w jaskini lwów — były jej ulubiony] opowieściami: zwłaszcza pierwsza szczerze ją wzruszała.

— Biedny Jakub! — wołała często ze wzruszeniem. — Jai bardzo kochał swojego syna, Józefa! Tak bardzo — dodała pewnego razu — tak bardzo, Grahamie, jak ja Kocham Ciebie; gdybyś mii umrzeć (otworzyła ponownie księęę, odszukała werset i odczyta go):

„Odmawiałabym wszelkich słów pociechy i zstąpiłabym J twojego grobu w żalobie”.

Objęła Grahama drobnymi ramionami, przyciągając ku sobl jego głowę z gęstą grzywą włosów. Gest ten uderzył mnie wówczas — dobrze to pamiętam—jako nieopanowany, porywczy; sprawi» to wrażenie, jakiego można by doznać na widok zwierzęcia, groźn] go z natury, jednak na wpół oswojonego i nazbyt nieostrożnie da nego pieścotami. Nie dlatego, abym się obawiała, że Graham m wyrządzić jej krzywdę albo też nazbyt szorstko odtrącić ją, przychl dziło mi jednak na myśl, że mała naraża się na niecierpliwe czy obi jętne traktowanie, co byłoby dla niej gorsze aniżeli faktyczny cior

Na ogół wszakże Graham przyjmował takie wybuchy miłości z jej strony raczej biernie: czasem nawet wyraz zadowolonego zdumienia wobec jej poważnych oświadczyń rozpałał wesołe błyski I jego oczach. Pewnego dnia powiedział:

— Lubisz mnie prawie tak samo, jak gdybyś była moją mai siostrzyczką, prawda, Polly?

— O, tak, lubię cię — odrzekła — lubię cię bardzo!

Nie było mi dane zabawiać się długo studiowaniem ciekawej charakteru dziewczynki. Zaledwie od dwóch miesięcy przebywali w Bretton, kiedy nadszedł list od pana Home'a, donoszącego, A osiedlił się obecnie na kontynencie w pobliżu swojej rodziny z linfl macierzystej. Wobec tego zaś, że nic go nie ciągnie do Anglii, którl stała mu się zdecydowanie niemiła, nie myśli powrócić tutaj w ciągu długich lat może, życzy sobie też niezwłocznego powrotu swojej małej córeczki.

40

— Ciekawa jestem, jak mała przyjmie tę wiadomość — rzekła ni Bretton po przeczytaniu listu. I ja także ciekawa tego byłam, dzieła01 się więc zakomunikowania Polly ważnej nowiny. Udawszy się do salonu — gdzie, ze względu na jego ciszę i nastrój, lubiła przebywać sama i gdzie można było śmiało ją pozostawić, nie dotykała bowiem niczego, a w każdym razie nie brudziła niczego dotknięciem swoich paluszków — zastałam ją siedzącą w pozie odaliski na kanapce, na wpół ocienionej opadającymi fałdami kotar sąsiedniego okna. Wydawała się szczęśliwa; wszystkie jej narzędzia pracy umieszczone

były dokoła: biała drewniana skrzyneczka do robót, parę kawałków batystu, trochę wstążek — słowem wszystko, co mogło być jej potrzebne do sfabrykowania kapelusza dla lalki. Lalka w nocnym stroju spoczywała w swoim łóżeczku; jej opiekunka usypiała ją nuceniem kołysanki, zdając się najgłębiej przeświadczoną o usypiającym wpływie własnego śpiewu. Równocześnie przeglądała książkę z obrazkami.

— O, panno Lucy — szepnęła — to cudowna książka! Kandu-sia (lalka, ochrzczona tym imieniem przez Grahama) usnęła teraz, mogę więc opowiedzieć pani o książce, ale musimy obie mówić cichutko, żeby jej nie obudzić. Dał mi tę książkę Graham; opisuje ona dalekie kraje, do których trzeba bardzo długo jechać z Anglii; żaden podróżnik nie może się tam dostać, nie przepływając tysięcy mil po morzach. W krajach tych mieszkają dzicy ludzie, wie pani? Ubierają się zupełnie inaczej niż my, niektórzy z nich nie noszą prawie żadnego ubrania, bo chcą, żeby im było chłodno. Tam u nich, widzi pani, jest strasznie gorąco. Niech pani przyjrzy się — tutaj, na tym obrazku, są tysiące ich na pustyni — nic, tylko piaski i piaski. Wszyscy oni zebrali się dokoła jakiegoś pana w czarnym ubraniu — dobrego, dobrego Anglika, misjonarza, który ma do nich kazanie pod drzewem palmowym. — Wskazała palcem na kolorową rycinę. — A tutaj — dodała — są obrazki jeszcze zadziwiajątsze (w zapale opowiadania zapomniała o prawidłach gramatycznych).

41

O, tutaj, widzi pani, jest ten cudowny Wielki Mur Chiński, a JI Usta jej drgały. Pospieszyłam zakomunikować jej wiadomość taj chińska pani, ma nóżki jeszcze mniejsze niż moje. A tutaj dził jjście ojca i jego życzeniu, że ona i Harriet mają niezwłocznie koń tatarski... O, a tutaj coś jeszcze dziwniejszego niż wszystko -J .^jechać, tam gdzie zamieszkał teraz.

kraj samych śniegów i lodów, bez zielonych pól, ogrodów i lasóJ W tym kraju znaleziono — mówi Graham — kości jakiegoś mamJ ta: teraz nie ma tam już mamutów. Jestem pewna, że pani nie wiJ panno Lucy, jak taki mamut wyglądał, ale ja wiem, mogę go pal opisać, bo Graham opowiedział mi o nim. Strasznie wielki. Taki wysoki, jak ten pokój, i taki długi, jak nasz hall, ale nie drapieźnj nie mięsożerny — tak myśli Graham. Mówi, że gdybym spotkaj takiego mamuta w lesie, nie pożarłby mnie, chyba że podeszłabyjj do niego bardzo, ale to bardzo blisko. Wtedy mógłby rozdeptl jej głosu, kiedy zwracała się do Grahama

mnie wielkimi swoimi łapami pośród krzewów, tak samo jak I mogłabym rozdeptać konika polnego na łące i nic nie wiedziałabym o tym.

Gwarzyłaby tak bez końca, gdybym nie przerwała jej zapytd niem:

— Chciałabyś podróżować, Polly?

— Nie teraz jeszcze — odparła przezornie. — Może za jakd dwadzieścia lat, kiedy będę dorosłą kobietą, taką dużą jak pani Bretton, będę mogła podróżować z Grahamem. Chcemy pojechać d^ Szwajcarii i dostać się tam na Mont Blanc — tak się nazywa ich największa góra. A kiedyś może nawet popłyniemy do AmeryJ Południowej i wdrapiemy się na Kim... kim... borazo.

— A nie chciałabyś podróżować teraz z ojczulkiem? Odpowiedź, której udzieliła mi nie od razu, ale dopiero pj

dłuższej pauzie, wykazała skłonność małej do niespodziewanyc wybuchów rozdrażnienia.

— Na co się zda mówienie o takich niemożliwych głupstwach^ — zawołała. — Dlaczego wspomniała pani o ojczulku? Co pani może obchodzić mój ojczulek? Zaczęłam już właśnie uspokajać si i nie myśleć o nim tak dużo — i znów wszystko zacznie się na nowo

__I cóż, Polly, jesteś zadowolona? — dodałam.

Nie odpowiedziała nic. Upuściła książkę na podłogę i przestała kołysać swoją lalkę, wlepiwszy we mnie oczy z niezwykłą nawet u niej powagą.

— Czyżbyś nie miała ochoty jechać do twojego ojczulka?

— Rozumie się, że mam ochotę — odcięła mi się, jak zwykle

ostrym, stanowczym tonem, zupełnie odmiennym od jej sposobu mówienia z panią Bretton i zasadniczo różniącym się od brzmienia

Pragnęłam poznać bliżej bieg jej myśli, nie chciała jednak rozmawiać ze mną więcej na ten temat i pobiegła od razu do pani Bretton, aby zapytać, czy wiadomość, jaką jej przekazałam, jest prawdziwa. Usłyszała, oczywiście, z ust mojej matki chrzestnej całkowite potwierdzenie ścisłości mojej informacji. Doniosłe znaczenie tej nowiny utrzymało ją przez cały dzień w poważnym nastroju. Wieczorem, gdy Graham otwierał drzwi wejściowe do hallu, podbiegła do mnie i zaczęła niespodziewanie poprawiać rozluźnioną wstążkę, jaką miałam dokoła szyi, wyjmować i przekładać grzebyki, podtrzymujące moją fryzurę.

— Niech go pani przygotuje powoli do tego, że odjeżdżam — szepnęła mi do ucha.

Zakomunikowałam mu najświeższą nowinę podczas popołudniowej herbaty. Głowa chłopca była w tej chwili zaprzątnięta pewnym, rozpisany przez szkołę, zadaniem konkursowym do nagrody, o którą Graham także zamierzał się ubiegać. Tak był zamyślony, że musiałam powtórzyć dwa razy wiadomość, zanim dotarła wreszcie do jego świadomości, a nawet i wówczas przemknęła przez nią tylko przelotnie.

— Co takiego?! Polly ma odjechać?! Jaka szkoda! Droga,

42

43

kochana Myszka. Szkoda mi będzie ją utracić!... Ale musi przyjd chać do nas znów, mamó! Przełknąwszy pospiesznie herbatę, wziął świecę, którą postawi wraz ze swoimi książkami na małym stoliku, i po chwili pogrążył się w pracy.

„Kochana Myszka” przysunęła się do niego i przykucnęła ni dywanie u jego nóg, opuściwszy główkę tak nisko, że nieomal dotykała nią dywanu. Niema i nieporuszona, utrzymała tę pozycję aż do chwili pójścia spać. W pewnym momencie dostrzegłam, ią Graham — prawdopodobnie zupełnie nieświadomy jej obecności tak blisko — popchnął ją końcem będącej w nieustannym ruchu nogi. W następnej chwili jedna rączka, wysunięta spod ukrywającej się pod nią twarzyczki dziecka, czule pogłaskała nieuważną stopę! Na uwagę, że czas już iść spać, podniosła się i wyszła posłusznie z pokoju, złożony wszystkim obecnym bardzo przyciszonym głó-j sem życzenia dobrej nocy.

Nie powiem, abym w godzinę później obawiała się pójść na górę do naszej wspólnej sypialni, poszłam tam jednak z wyraźnym uczuciem niepokoju, przeczuwając, że mała nie śpi.

Przecucia nia myliły mnie. Zziębnięta Polly siedziała jak skulony mały ptaszek na krawędzi łódeczka. Nie wiedziałam, jak się do niej zbliżyć, niepo-J dozna było przecież postąpić z nią, jak należałoby postąpić w takim razie z każdym innym dzieckiem. Ona jednak zwróciła się do mnie pierwszej. W chwili, kiedy zamknąwszy za sobą drzwi, postawiłam] na toaletce zapaloną świecę, jęknęła:

— Nie mogę... nie mogę spać... I tak samo nie mogę... nie mogę żyć!

Zapytałam, co jej dolega.

— Straszne zmart...wienie — wyseplenila, jak zwyklej w momentach wielkiego wzruszenia.

— Czy mam poprosić tutaj panią Bretton?

■

44

— To byłoby zupełnie głupie — brzmiała zniecierpliwiona odpowiedź.

Ja, co prawda, wiedziałam, że na odgłos kroków pani Bretton mała wsunęłaby się pod kołdrę cichutko jak myszka. Nie krępując sje wcale z ujawnianiem swoich dziwactw wobec mnie — dla której nie siliła się udawać serdecznych uczuć ani nawet szacunku — wobec mojej matki chrzestnej nie zdradzała nigdy ani cienia właściwej swojej istoty, zachowując się zawsze jak grzeczne, posłuszne, może nieco tylko niezwykle dziewczątko. Spojrzałam na nią: policzki jej były szkarłatne, rozbiegane oczy o rozszerzonych źrenicach płonęły niespokojnie. Zdałam sobie sprawę, że nie można pozostawić dziecka w tym stanie przez całą noc. Domyśliłam się, co tak straszliwie jej doskwierało.

— Może chciałabyś powiedzieć raz jeszcze dobranoc Grahamowi? — zapytałam. — Nie poszedł jeszcze do swojego pokoju.

Wyciągnęła do mnie od razu drobne ramionka, aby ją podnieść. Otuliwszy małą ciepłym szalem, zaniosiłam ją z powrotem do salonu. Graham wychodził właśnie stamtąd.

— Nie może zasnąć, zanim nie zobaczy się i nie pomówi z panem raz jeszcze — rzekłam. — Martwi się na myśl, że będzie musiała rozstać się z panem.

— Rozpieściłem ją — odparł, biorąc małą z moich rąk i całując jej rozgorączkowaną twarz i płonące usta.

— Czy naprawdę kochasz mnie bardziej niż ojczulka?

— Tak, kocham cię, ale ty wcale mnie nie kochasz — szepnęła w odpowiedzi.

Zapewnił ją, że jest w błędzie, pocałował raz jeszcze, a potem oddał mi dziecko, abym odniosła je z powrotem do łóżeczka, niestety, wcale nie ukojone.

Kiedy wydało mi się, że zdolna jest mnie wysłuchać, powiedziałam:

45

- Nie powinnaś zamartwiać się, Polly, że Graham nie kocha cię tak bardzo, jak ty jego. Tak być musi.

Jej podniesione badawczo oczy wyraźnie pytały, dlaczego tali być musi.

— Dlatego, że jest chłopcem, a ty dziewczynką; o n ma szesl naście lat, a ty dopiero sześć; on jest silny i wesoły z natury, a ty masz usposobienie zupełnie odmienne.

— Ale ja kocham go tak bardzo; powinien kochać mnie chód troszeczkę.

— Kocha cię. Kocha cię prawdziwie. Jesteś jego ulubienicą. I

— Naprawdę jestem ulubienicą Grahama?

— Tak. Bardziej niż którekolwiek z dzieci, jakie znam. Zapewnienie to uspokoiło ją nieco.

Uśmiechnęła się nawet.

— Nie żądaj jednak od niego zbyt wiele — dodałam — żebył mu się nie uprzykrzyć, bo wtedy będzie po wszystkim.

— Po wszystkim — jęknęła słabym echem. — O, w takim razieł będę dobra i spokojna. Będę starała się być dobra i spokojna, panno Lucy.

Położyłam ją do łóżeczka.

— Czy tylko wybaczy mi ten jeden raz? — usłyszałam jej pytanie, kiedy zaczęłam już rozbierać się. Zapewniłam, że jej wyba-j czy, że, jak dotychczas, kocha ją po dawnemu i że musi być tylko ostrożna na przyszłość.

— Nie będzie żadnej przyszłości — rzekła. — Odjeżdżam. Czy kiedyś... jeszcze... zobaczę go, jak wyjadę z Anglii?

Uspokoiłam ją zapewnieniem, że niewątpliwie zobaczy go kie-i dys znowu. Zgasilał świecę.

Upłynęło jeszcze pół godziny. Przypuszczałam, że Polly usnęła, kiedy nagle maleńka biała postać unio-1 sła się na łóżeczku i cichy głos zapytał:

— Lubi pani Grahama, panno Lucy?

— Tak. Dość go lubię.

— Tylko dość? Czy lubi pani go tak samo, jak ja go lubię?

46

— Myślę, że nie. Nie, nie tak jak ty.

— A czy lubi go pani bardzo?

— Powiedziała ci przecież, że lubię go tylko dość. Tak sobie. Dlaczego miałabym kochać go tak bardzo? Ma tak wiele wad.

— Naprawdę?

— Wszyscy chłopcy mają wiele wad.

— Więcej jeszcze niż dziewczynki?

— Tak mi się wydaje. Mądrzy ludzie mówią, że nierozsądnie jest uważać jakiegokolwiek człowieka za doskonałość, a co się tyczy lubienia i nielubienia, powinniśmy być życzliwie i przyjacielsko usposobieni do wszystkich, nie ubóstwiać jednak nikogo.

— Czy pani, panno Lucy, jest mądrą osobą?

— Chciałabym być nią. Ale teraz śpij.

— Nie mogę usnąć. Czy panią nie boli tutaj? — zapytała, kładąc swoją małą rączkę na równie miniaturowej piersi. — Nie czuje pani bólu tutaj na myśl, że będzie pani musiała opuścić Grahama? Bo przecież to nie jest pani dom?

— Doprawdy, Polly, nie powinno cię to tak bardzo boleć; masz przecież jechać do twojego ojczulka, z którym będziesz wkrótce razem. Czy nie pragniesz już być jego małą towarzyszką?

Martwa cisza zapadła po tym pytaniu, na które nie otrzymałam odpowiedzi.

— Połóż się, mała, i usnij — prosiłam.

— Tak wyziębło moje łóżko — jęknęła. — Nie mogę się ogrzać.

Widziałam, że mała istotnie drży z zimna.

— Chodź do mnie — rzekłam pragnąc, zarazem jednak nie mając nadziei, aby przyjęła moje zaproszenie. Była takim niesłychanie dziwnym, kapryśnym małym stworzonkiem, kapryśnym zwłaszcza i nierównym w stosunku do mojej osoby. Natychmiast wszakże przyszła do mnie, prześlizgnąwszy się bezszelestnie po dywanie, niby drobny biały duszek. Przytuliłam ją do siebie. Była skostniała.

47

Ogrzałam ją w moich ramionach. Drżała nerwowo. Powoli udało mi się ją uspokoić. Wreszcie zasnęła.

Wyjątkowe dziecko — pomyślałam, przyglądając się jej, uspioj jej, w mdłym świetle księżyca i ostrożnie osuszając cienką batystową chusteczką jej mokre od płaczu powieki i policzki.

— W jaki sposób zdoła przejść przez życie i zwalczać jego przeciwności? Jak potrafi znieść ciosy i rozczarowania, upokorzenia i klęski, które, jak poucza mnie książki i jak podszeptuje mi mój własny rozum, przeznaczone są każdej żyjącej istocie?

Odjechała nazajutrz, drżąc jak listek w momencie pożegnania usiłując wszakże opanować się i względnie panując nad sobą.

ROZDZIAŁ IV

Panna Marchmont

Opuściłam Bretton w parę tygodni po wyjeździe małej Polly — nie przewidywałam wówczas, że już nigdy więcej nie odwiedzę tej miłej siedziby i nigdy nie będę stąpać po cichych uliczkach starodawnego miasteczka — powróciłam do domu po półrocznej w nim nieobecności. Należałoby sądzić, że byłam zadowolona z powrotu na łono rodziny. W naturalnym takim przypuszczeniu nie może w żadnym razie być nic uwłaczającego ani krzywdzącego, nie starajmy się więc temu zaprzeczać. Nie myśląc też bynajmniej czynić tego, pozwałam, aby czytelnik wyobraził sobie mnie drzemiącą w ciągu najbliższych ośmiu lat, niby łódź w pogodę bezwietrzną, na nieporuszonych jak szkło wodach przystani, gdy sternik leży wyciągnięty na deskach pokładu z twarzą zwróconą ku niebu i zamkniętymi

oczami, pogrążony, można by przypuścić, w długiej modlitwie. Panuje powszechne mniemanie, że wielki zastęp kobiet i dziewcząt spędza życie w taki właśnie sposób, dlaczegóż bym więc i ja nie miała iść ich śladem?

Wyobraź więc sobie mnie, czytelniku, pulchną i zadowoloną, pławiącą się beczynn timer słońcu, na wysłanym miękko pokładzie, stale ogrzewaną słonecznymi promieniami i kołysaną na fali, łagodnie poruszanej lekkim powiewem wietrzyka. Nie da się jednak zataić, że gdyby tak być miało, należałoby wyobrazić sobie, że uległam snadź w jakiś sposób katastrofie, zostałam wyrzucona za burtę albo też że moja łódź się rozbiła. I ja sama także pamiętam czas — długi okres — chłodu, niebezpieczeństw, zwad. Do dnia dzisiejszego, ilekroć dławi mnie nocna zmora, doznaję ponownie owego uczucia słoności napływającej mi do przetyku wody i jej mroźnego ucisku na płuca. Wiem nawet, że rozpętała się burza, i to burza, która trwała

49

nie godzinę czy jeden dzień tylko. W ciągu wielu dni i nocy nie zajaśniało słońce ani też nie zabłysnęły na niebie gwiazdy; własnymi rękami wyrzucaliśmy takielunek z naszego statku; nad naszymi głowami srożył się sztorm, straciliśmy wszelką nadzieję, że uda nam się uratować. W końcu statek uległ rozbiciu, a cała załoga poszła na dno.

Jak daleko sięgam pamięcią, nie uskarżałam się nigdy przed nikim na te ciężkie przejścia. Przed kim właściwie miałabym się uskarżać? Panią Bretton od dawna straciłam z oczu.

Przeszkody, wzniesione przez osoby trzecie, przed laty już stanęły pomiędzy nami, uniemożliwiając nasze wzajemne porozumienie. Nadto czas przyniósł zmiany także w jej życiu: pokaźna fortuna, na której straży stała, aby utrzymać ją i przekazać nietkniętą synowi, umieszczona w pewnym przedsiębiorstwie jako jego kapitał zakładowy, skurczyła się, jak utrzymywano, do drobnej cząstki pierwotnej swojej wartości. Graham, o czym słyszałam od osób postronnych, obrał zawód lekarza i wraz z matką opuścił Bretton, aby, o ile było mi wiadomo, osiedlić się w Londynie.

Nie mogłam liczyć na czyjąkolwiek pomoc, musiałam sama myśleć o sobie. Nie wydaje mi się, abym należała do natur samodzielnych czy przedsiębiorczych; zarówno jednak samodzielność, jak przedsiębiorczość zostały mi narzucone przez warunki, w jakich się znalazłam, na równi zresztą z tysiącami innych ludzi. Kiedy więc przysłała po mnie panna Marchmont, starsza niezamężna dama, zamieszkała w naszej okolicy, posłuszna byłam z całą gotowością jej wezwaniu w nadziei, że powierzy mi jakąś misję, której potrafię podołać. Panna Marchmont była osobą zamożną, zajmowała piękną rezydencję, była wszelako zreumatyzowaną, zniedołężniałą kaleką, pozbawioną od dwudziestu lat władzy w rękach i w nogach. Przebywała stale na górnym piętrze swojej siedziby, nie schodząc nigdy na dół. Salon jej przylegał do sypialni. Słyszałam wiele o niej i o jej dziwactwach (miała opinię osoby wielce ekscentrycznej), nigdy jed-

50

nak jeszcze do owego czasu nie miałam okazji jej zobaczyć ani z nią rozrniawiać.

Wprowadzona do jej pokoju, znalazłam się wobec pomarszczonej, siwowłosej kobiety o poważnym, surowym wyglądzie, który mógł być wynikiem zarówno jej długotrwałego osamotnienia, jak jej dolegliwości fizycznych. Temu może również należało przypisać jej drażliwość i kapryśność. Jak się okazało, jej służąca, a właściwie towarzyszka, która pielęgnowała ją przez wiele lat, miała wyjść za mąż. Słyszając więc o moim osamotnieniu i o trudnych warunkach, w jakich się znalazłam, posłała panna Marchmont po mnie w nadziei, że może potrafię zastąpić przy niej tamtą. Kiedy więc po wypiciu pospołu popołudniowej herbaty siedziałyśmy obie przy kominku, zrobiła mi odpowiednią propozycję.

— Nie będzie to łatwe życie — uprzedziła mnie lojalnie — wymagam wiele obsługi, będzie też pani przez większą część dnia zamknięta tutaj ze mną; może jednak, w przeciwieństwie do życia, jakie wiodła pani dotychczas, zajęcie u mnie wyda się pani dość znośne.

Rozważyłam w myśli uczynioną mi propozycję; ofiarowane mi stanowisko powinno byłoby oczywiście wydać mi się znośne — usiłowałam przekonać sama siebie—okazało się jednak, że wskutek szczególnego jakiegoś, ciężącego na mnie fatalizmu przewidywania te nie ziściły się. Nie mogły, co prawda, uśmiechać mi się osobiście widoki stałego przebywania tutaj, w tym szczelnie zamkniętym pokoju, będąc świadkiem nieustannych cierpień — czasem może ofiarą złego humoru — i spędzenia w ten sposób reszty młodości, wiedząc, że wszystko co było, minęło, wyrażając się najogólniej, nie nazbyt szczęśliwie! Zabrakło mi na chwilę odwagi, wnet jednak odzyskałam ją, jakkolwiek bowiem zmuszałam się do uprzytomnienia sobie złych stron, byłam jednak zbyt przyziemna, aby idealizować je, a tym samym wyolbrzymiać nadmiernie.

— Nie jestem pewna, czy starczy mi sił potrzebnych do pełnienia tych zadań — rzekłam.

51

— I ja także mam podobne obawy — zgodziła się. — Sprawia pani wrażenie wymizerowanej, wyczerpanej.

Byłam mizerna i wyczerpana. Zerknęłam do lustra i zobaczyłam siebie w sukni żałobnej, dziwnie wyblakłą, z głęboko wpadniętymi, podkrążonymi oczami. Tak. Nie był to widok obiecujący. Te oznaki przywiednięcia były jednak tylko zewnętrzne, tak wydawały mi się przynajmniej: czułam wciąż jeszcze w sobie życie, tętniące niezamarłe w jego źródle.

— Czy ma pani coś innego na widoku?

— Jak dotychczas nic wyraźnego, mogłabym jednak znaleźć, przypuszczam.

— Tak sobie pani wyobraża, może nie bez słusności. Dobrze. Niech więc pani próbuje w dalszym ciągu poszukiwać na własną rękę. O ile jednak zawiodą one panią, proszę powrócić do mojej oferty. Pozostawiam pani otwartą możliwość przyjęcia jej w ciągu trzech miesięcy. Było to wielce uprzejme z jej strony postawienie sprawy. Powiedziała, co o tym myślę i wyraziłam moją wdzięczność. W tej samej chwili chwycił ją ostry atak bólu. Zajęłam się cierpiącą, zastosowałam wskazane mi przez nią środki i, zanim jeszcze zdążyły one przynieść jej ulgę, nawiązało się między nami coś w rodzaju poufałości. Ze sposobu, w jaki zniosła ten ostry napad, przekonałam się, że mam przed sobą dzielną, cierpliwą kobietę (cierpliwą wobec dolegliwości fizycznych, czasem tylko może podrażnioną pod wpływem cierpień moralnych), ona zaś, widząc moją dobrą wolę, przekonała się, że może wzbudzić we mnie współczucie. Przysłała po mnie zaraz nazajutrz, powtarzając te wezwania pięć czy sześć dni z rzędu. Po bliższym poznaniu, mimo że ujawniło mi ono niektóre cechujące ją dziwactwa i wady, przekonałam się, że mam do czynienia z charakterem zdolnym wzbudzić szczerzy szacunek. Bywała, co prawda, surowa czasem, a nawet ponura, nie przeszkadzało mi to jednak pielęgnować jej i siedzieć przy niej ze spokojem, jaki potra-

52

fimy zawsze zachować, ilekroć czujemy, że nasza obecność, nasz sposób zachowania podobają się i sprawiają ulgę osobom, którym oddajemy usługi. Nawet kiedy łajała mnie, i to dość cierpko — co zdarzało się od czasu do czasu — czyniła to w sposób, który nie upokarzał mnie i nie pozostawiał dokuczliwego żądła. Przypominała raczej rozgniewaną matkę, karcącą swoją córkę, aniżeli surową chle-bodawczynię, czyniącą ostre wyrzuty opłacanej przez nią pracownicy. Nie umiała zrzędzić, czasem tylko wpadała w gwałtowny gniew. Co najważniejsze jednak, umiała opamiętać się w chwilach największej pasji: logika nie zawodziła jej w roznamiętnieniu nawet. Rychło też wzrastające uczucie szczerego przywiązania pozwoliło mi w nowym zupełnie świetle rozważyć myśl pozostania przy niej w charakterze towarzyszki: po tygodniu zgodziłam się na objęcie tego stanowiska.

W ten sposób moim światem stały się dwa duszne, szczelnie pozamykane pokoje, a zniedołężniała, schorowana stara kobieta moją panią, moją przyjaciółką, wszystkim dla mnie. Pełnienie służby przy niej było moim obowiązkiem; jej ból — moim cierpieniem; myśl o uldze, jaką mogłam jej przynieść — jedyną moją pociechą; jej niezadowolenie — moją karą;

jej uśmiech — moją nagrodą. Zapomniałam o istnieniu pól, lasów, rzek, jezior, mórz i wciąż zmieniającego się nieba poza osłepłymi, zachodzącymi wciąż od nowa parą szybami okiennymi. Czułam się prawie zadowolona, a wszystkie moje pragnienia ograniczyły się do sumiennego wypełniania codziennych obowiązków wobec chorej. Cicha i łagodna z natury, zahartowana przez los, nie tęskniłam za spacerami na otwartej przestrzeni; mój głód zaspokajały w zupełności skromne, mikroskopijne posiłki, podawane zgodnie z apetytem i wymaganiami pacjentki; co najważniejsze wszakże, dawała mi ona sama możliwość studiowania niezwykłości jej charakteru; podziwiania niewzruszonej stałości jej cnót, potęgi jej pasji, ufania szczerości jej uczuć. Miała wszystkie te cechy i dla tych jej cech właśnie przywiązałam się do niej.

53

Gotowa byłabym pozostać przy niej jeszcze przez dwadzieścia lat, gdyby udręka jej życia miała trwać jeszcze tak długo. Inny los wszakże przeznaczony był nam obu. Co się mnie tyczy, zdawać się mogło, że przeznaczenie pcha mnie nieustannie do twórczego wysiłku, że podnieca, pobudza do czynu utajoną, drzemiącą we mnie energię. Drobnej kruszynie przywiązania ludzkiego, jaka przypadła mi w udziale i jaką ceniłam niby klejnot, przeznaczone było tajać w moich rękach i przeciekać przez palce, jak gdyby była stopionym w ciepłe soplem lodu. Skromne obowiązki, jakie przyjmowałam na siebie, musiały być wyrywane przemocą z mojego, zadowolającego się tak małym, sumienia. Chciałam wchodzić w układy z losem: celem uniknięcia mogących spaść na mnie wielkich klęsk, gotowa byłam przyjąć z poddaniem całe życie, na które składałyby się same wyrzeczenia i drobne dokuczliwości. Ale los nie dał się ułagodzić przeze mnie w ten sposób, ani też opatrność nie zgodziła się na usankcjonowanie gnuśnego, tchórzliwego unikania czynu.

Pewnej nocy lutowej — pamiętam dobrze ten moment — rozległ się w pobliżu siedziby panny Marchmont głos słyszany przez wszystkich mieszkańców domu, zrozumiany wszakże przez jedną tylko osobę. Po względnie łagodnej zimie przyszły burze wiosenne. Ułożyłam pannę Marchmont w łóżku, a sama usiadłam z robótką przy kominku. Wiatr wył i zawodził za oknami: przez cały dzień wyprawiał swoje harce, w nocy wszakże wycie jego przybrało głębszy, surowszy ton — dziwnie przejmujący, wpadający do ucha nieomal wyraźnie artykułowanymi dźwiękami jękliwej skargi, boleśnie szarpiącej nerwy, drgającej w każdym nowym poświście.

— O! Uciszyć się! Uciszyć się! — powtarzałam w duchu zgnębiona, upuszczając na kolana moją robótkę i daremnie usiłując zatkać uszy, aby nie docierał do nich ten błagalny, jak gdyby wzywający pomocy, jękliwy szloch. Już dawniej słyszałam ten sam złowieszczy głos; obserwacja narzuciła mi teorię związanych z nim przepowiedni. Trzykrotnie w ciągu mojego życia pouczył mnie bieg wypadków, że

54

dziwne odgłosy burzy, ów nieustannie powtarzany beznadziejny jęk, zapowiada stan atmosfery nie sprzyjający życiu. Doświadczenie wszczepiło mi wiarę w to, że wybuchy epidemii zapowiadane bywają często przez taki boleśnie jękliwy, łkający, zawodzący wiatr wschodni. Stąd może, jak wywnioskowałam, powstała legenda o Banshee. Tak sobie wyobrażałam, nie posiadałam jednakże dostatecznej wiedzy, aby uchwycić związek, jaki mógłby zachodzić pomiędzy tymi okolicznościami. Docierały do nas równocześnie ze srożeniem się takiego wichru wieści o wstrząsach wulkanicznych w dalekich częściach świata; o rzekach, które nagle wzbierały gwałtownie, wychodząc z brzegów i zalewając całą okolicę, a także o niezwykle wysoko spiętrzonych falach, wściekle zatapiających nizinne wybrzeża morskie.

Kula ziemiska — mówiłam sobie wówczas — wydaje się w takich okresach szarpana i rozdzierana na części; słabsi spośród nas giną w podmuchach jej wściekłego oddechu, który wyrzuca na powierzchnię ognistą lawę dymiących kraterów!

Wsluchiwałam się z zamierającym sercem w wycie wichru.

Około północy burza w ciągu pół godziny przycichła stopniowo, ustępując wreszcie miejsca imponującej ciszy. Ogień na kominku, dotychczas słabo zaledwie tlejący, buchnął żywszym płomieniem. Wyczułam do razu zmianę w powietrzu i wraz z nią powróciła mi otucha.

Rozsunawszy nieco firanki, wyjrzałam na zewnątrz i dostrzegłam migotanie gwiazd, występujące zazwyczaj podczas ostrego mrozu.

Odwróciłam się od okna i moje spojrzenie padło na pannę Marchmont. Zbudzona uniosła głowę z poduszki i wpatrywała się we mnie z niezwykłą uwagą.

1 Celtycka legenda o nadprzyrodzonej istocie, której zadaniem jest uprzedzać rodzinę o mającej nastąpić śmierci jednego z jej członków (przyp. tłum.).

55

— Piękna dziś noc? — zagadnęła mnie.

Na zapytanie to dałam twierdzącą odpowiedź.

— Przypuszczałam, że tak być musi. Czuję się wyjątkowo silna i zdrowa. Niech mi pani pomoże podnieść się. Wydaje mi się — dodała — że jestem dziwnie odmłodzona. Tak, jestem po dawnemu młoda i tak niezwykle lekko mi na sercu; czuję się szczęśliwa. A może naprawdę nastąpił zwrot w stanie mojego zdrowia i przeznaczono mi jeszcze cieszyć się pełnią sił? Byłby to cud!

Nie, nie, to nie są dni cudów — przemknęło mi przez myśl. Zdziwiły mnie jej słowa. W dalszym ciągu kierowała rozmowę ku przeszłości, szczególnie żywo odtwarzając w pamięci różne wydarzenia, sceny i osoby.

— Przyjemnie mi dzisiaj wspominać o tym wszystkim — rzekła. — Cenię pamięć, uważam ją za najlepszą moją przyjaciółkę. Dostarcza mi ona w tej chwili głębokiej rozkoszy; od nowa wyczarowuje w sercu rzeczywistość tętniącą minionym pięknym życiem, wszystko to, co, jak sądziłam, zmurszało, zamarło od dawna, wsiąk-ło w glinę i piasek mogiły. Odzyskałam ponownie godziny, myśli i nadzieje mojej młodości. Obudziła się w moim sercu jedyna miłość — jedyne niemal tkliwe uczucie — jedyne przywiązanie w moim życiu... Bo widzisz, dziecko, nie jestem kobietą szczególnie dobrą, nie należę do istot, które dają się kochać. A przecież i ja także kochałam uczuciem silnym, zogniskowanym na jedynej osobie, równie drogiej mojemu sercu w bezwzględnej swojej wyłączości, jak drogie są dla większości ludzi, mężczyzn i kobiet, wszystkie te niezliczone istoty i rzeczy, które obdzielają oni swoimi uczuciami. Wówczas, kiedy kochałam i byłam kochana, jakże cudowne wiodłam życie, jak upojnie cieszyłam się nim! Jaki wspaniały rok przypominam sobie — jak promiennie jaśniej on teraz w moim wspomnieniu. Jaka urocza wiosna, jakie ciepłe, radosne lato, jakie srebrzyste noce księżycowe, jakie nieziemsko owiane mgłą wieczory jesienne, jaka potęga nadziei pod wo-

56

darni skutymi lodowym pancerzem i pod skibami niw zwarzonych mrozem zimowym! Przez cały ten rok moje serce biło dla Franka, pospołu z jego sercem. O, mój szlachetny Franku — mój wierny Franku — mój dobry Franku! O tyle lepszy niż ja! Mający zapatrywania na wszystko o tyle wznioślejsze niż moje. Teraz dopiero rozumiem to i mówię o tym: jeśli nawet niewiele kobiet cierpiało tak straszliwie, jak bolałam ja nad jego utratą, niewielu danym było zaznać tyle rozkoszy, ile ja zaznałam w jego miłości. Była to miłość nieporównanie wyższa i szlachetniejsza od pospolitej. Nie żywiłam żadnych wątpliwości co do jego i co do naszych uczuć wzajemnych: łączyła nas miłość nieskazitelna, opiekuńcza i szlachetna, uszczęśliwiająca tę, której stała się darem. Pragnęłabym rozważyć teraz, kiedy mój i mój odzyskał tak niezwykłą jasność — pragnęłabym zrozumieć, Cłaczego została mi odebrana. Za jaką zbrodnię zostałam potępiona i skazana po jednym roku błogosławionego szczęścia na trzydzieści lat smutku i udręki?

— Nie wiem — odpowiedziała samej sobie po dłuższym milczeniu. — Nie mogę, nie mogę dopatrzeć się powodu. A jednak w tej godzinie mogę powiedzieć szczerze to, czego nie próbowałam mówić nigdy dawniej: Boże, Ty, którego wyroki są niezbadane, niech się dzieje wola Twoja! W tej chwili wierzę, że śmierć zwróci mnie Frankowi, zwróci mi jego miłość. Nigdy dotychczas nie wierzyłam w to.

— Nie żyje więc? — zapytałam przyciszonym głosem.

— Słuchaj, drogie dziecko — zaczęła. — W pewną radosną wigilię Bożego Narodzenia ubierałam się i stroiłam w oczekiwaniu na przybycie mojego ukochanego, który niebawem miał zostać moim mężem. Usiadłam czekając. Widzę przed sobą ponownie tę chwilę. Widzę ośnieżony zmierzch, przesączający się przez okno, którego firanki nie były opuszczone, chciałam bowiem dostrzec go z daleka, nadjeżdżającego konno białą ścieżką. Widzę i czuję przyćmione światło kominka, tak mile rozgrzewające mnie, rzucające tak

57

wesołe iskierki na moją suknię jedwabną i ukazujące mi w zwierciadle odbicie mojej własnej młodej, promiennej postaci. Widzę księżyc, płynący po niebie w cichą noc zimową, jaśniejący zimnym światłem ponad atramentowo czarnym gąszczem krzewów i nad ośnieżonym piaszczystym gruntem mojej posiadłości. Czekałam z przyspieszającym nieco mój puls zniecierpliwieniem, nie budziły się jednak w moim sercu żadne obawy ani wątpliwości. Ogień przygasł na kominku, ciągle jednak żarzyły się zwęglone szczapy; księżyc był już wysoko na niebie, ale wciąż jeszcze zaglądał do okna. Dochodziła dziesiąta. Rzadko dawał czekać na siebie dłużej, a właściwie raz tylko czy dwa zatrzymany był aż do tej godziny.

Czyżby miał zrobić mi zawód?! Nie, nie mogłoby się to zdarzyć! Ani razu! O, oto przybywa!... Nadjeżdża pędem, aby wynagrodzić mi stracony czas. Franku! Szalony jeździec! — wołałam w myśli, wsłuchując się z radością i niepokojem zarazem w coraz bliższy tętent galopu. — Wyłaję cię za to. Powiem ci, że to mój kark narażasz na niebezpieczeństwo, bo przecież wszystko, co twoje, jest w stokrotnie droższym i tkliwszym znaczeniu moje własne. Nadjeżdżał już: widziałam go pędzącego ku mnie, miałam jednak widocznie łzy w oczach, gdyż wzrok mi się zaćmił. Ujrzałam niewyraźnie konia, słyszałam tętent kopyt... spostrzegłam jakąś masę... ogłuszył mnie niesamowity hałas... Czy był to koń?! Cóż to za ciężkie, dziwne, ciemne ciało wlokło się po ośnieżonej murawie?!... Czy mogłam rozpoznać je w świetle księżyca? Czy podobieństwem było dla mnie dać wyraz uczuciu, jakie zrodziło się nagle w mojej piersi? Jedyne co mogłam uczynić, to wybiec koniowi na spotkanie. Wielkie zwierzę, czarny wierzchowiec Franka stał przede mną, dygocąc całym ciałem, ciężko, chrapliwie dysząc. Trzymał go mężczyzna — Frank, jak wydało mi się.

— Co się stało?! — zawołałam.

Zamiast niego jednak odpowiedział mi urywanym głosem mój służący, Tomasz:

58

— Niech pani wejdzie do domu!

A potem, wezwawszy jedną ze służących, która wybiegła pędem z kuchni, jak gdyby gnana instynktem, rozkazał jej:

— Ruth, zabierz panią natychmiast do domu!

Nie pozwoliłam jednak tknąć się i padłam na kolana w śnieg obok czegoś leżącego przede mną, czegoś, co przed chwilą widziałam ciągnięte po ziemi, czegoś ciężko oddychającego i jęczącego na mojej piersi, kiedy uniosłam tę nieruchomą, bezwładną masę i przytuliłam ją do siebie. Żył jeszcze; zachował nawet resztkę przytomności. Kazałam wnieść go do domu, nie dając się odciągnąć od niego ani na chwilę. Moje otoczenie próbowało traktować mnie jak dziecko, jak to zazwyczaj robi się w stosunku do ludzi, na których spadła karzica dłoń boża. Nie ustąpiłam jednak miejsca przy nim nikomu poza chirurgiem, a kiedy zrobił on wszystko, co było do zrobienia, sama zajęłam się umierającym Frankiem. Miał jeszcze dość sił, aby

objąć mnie ramieniem, zdobył się jeszcze na wymówienie mojego imienia, słyszał mnie modlącą się szeptem przy nim, czuł pieszczotliwe ruchy i gesty, jakimi usiłowałam przynieść mu ulgę.

— Mario — szepnął drętwiącymi ustami — umieram z rajskim uczuciem...

Ostatnie tchnienie oddał ze słowami wiernej miłości dla mnie. O świtaniu dnia Bożego Narodzenia był już mój Frank u wrót bożych.

— Stało się to — dodała — trzydzieści lat temu. Od tego czasu cierpiałam męki. Nie sądzę, abym umiała jak należy wykorzystać cios, który mnie spotkał. Natury miękkie i tkliwe wzniosłyby się pod wpływem podobnego nieszczęścia do wyżyn świętości, z umysłów silnych, ale opornych, zrobiłoby ono demony, co się zaś mnie tyczy, stałam się zgnębianą bólem i wyłącznie nim pochłoniętą, samolubną kobietą.

— Robiła pani wiele dobrego — rzekłam. Znana była bowiem panna Marchmont z hojności, z jaką udzielała wsparć i zapomóg.

59

— Chce pani powiedzieć, że nie skąpiłam pieniędzy, tam gdzie mogły one przynieść ulgę? I cóż z tego? Nie przychodziło mi to z wysiłkiem. Mam jednak nadzieję, że od dzisiaj rozpocznę lepsze życie, aby przygotować się godnie do spotkania z moim Frankiem. Bo widzi pani, wciąż jeszcze myślę o Franku więcej niż o Bogu, o ile więc to oddanie się jednemu człowiekowi tak bezmierne, tak wyłączne i przez tak długie lata będzie mi poczytane za bluźnienie Bogu, słabe będą moje szanse zbawienia. A co pani sądzi o tym, kochana panno Lucy? Niech pani weźmie na siebie rolę mojego spowiednika i powie mi szczerze swoje zdanie.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć jej: brakło mi słów. Okazało się to wszakże zbędne.

Mówiła w dalszym ciągu, jak gdyby otrzymała ode mnie odpowiedź.

— Bardzo słusznie, moje dziecko. Powinniśmy uznać, że Bóg jest miłosierny, mimo że wyroki Jego nie zawsze są dla nas zrozumiałe. Musimy przyjmować z poddaniem los, jaki nam zsyła, jakikolwiek byłby on, i starać się, o ile to jest w naszej mocy, ulżyć losowi innych. Prawda? Otóż, od jutra zacznę od pani, moje dziecko, i uczynię, co będę mogła, aby uszczęśliwić panią. A przynajmniej postaram się zrobić coś dla pani, coś takiego, z czego będzie pani mogła korzystać, kiedy nie będzie mnie już na tym świecie. Głowa mnie rozboleła od mówienia, jestem jednak zadowolona i szczęśliwa. Niech już pani położy się spać. Biję druga. O, do jak późnej godziny przesiaduje pani przy mnie, a raczej do jak późnej godziny przetrzymuję panią samolubnie przy sobie! Ale teraz niech już pani idzie spać. Może pani być zupełnie spokojna o mnie; czuję, że będę spała doskonale.

Ułożyła się do snu. I ja także położyłam się spać w pokoiku, sąsiadującym z jej sypialnią. Noc przeszła spokojnie. Bardzo spokojny musiał być jej koniec: spokojny i bezbolesny. Z rana znaleźliśmy ją w łóżku nieżywą; ciało było już prawie zimne. Na twarzy jej zastygł wyraz niezmaczonego spokoju. Niezwykle podniecenie i

60

zmiana nastroju, jakie ujawniła poprzedniego wieczoru, były widocznie zapowiedzią napadu tak silnego, że wystarczył do ostatecznego zerwania wątlej nici, na jakiej trzymało się przez tak długi czas jej życie, zakłócone nieustannie głębokim duchowym cierpieniem.

■

ROZDZIAŁ V Odwrócenie nowej karty

Pozostawszy zupełnie sama na świecie po śmierci mojej chle-] bodawczyni, zmuszona byłam poszukać nowego miejsca. Ostatnie przeżycia niewątpliwie nadszarpnęły mi nerwy. Odbiło

się to ujemnie na moim wyglądzie. Wychudzona, blada, z podsiniętymi oczami, sprawiałam wrażenie osoby zmuszonej wiele czuć po nocach, j przepracowywać się czy zamartwiać niemożnością wyplątania się ze zobowiązań i długów. Czuwałam w rzeczywistości po nocach, bywałam nieraz przepracowana, długów jednak nie miałam. Nie byłam też zupełnie pozbawiona środków, jakkolwiek bowiem panna Marchmont nie zdążyła zrobić zamierzonego zapisu na moją korzyść, wypłacił mi daleki kuzyn, który został jej spadkobiercą, całą zaległą pensję. Jego krogulczo zaostrzony nos i osobliwie zwężona przy skroniach czaszka zdradzały naturę skąpca, jakim okazał się faktycznie. Stanowił pod tym względem skrajne przeciwieństwo szczodrej, wspaniałomyślniej swojej krewnej i tym samym przyczynił się do błogosławienia po dzień dzisiejszy jej pamięci przez wszystkich korzystających z jej pomocy biedaków.

Jako posiadaczka piętnastu funtów, ze zdrowiem nadszarpniętym wprawdzie, nie załamany jednak w zupełności oraz w podobnym mniej więcej stanie ducha, mogłam, w porównaniu z wieloma innymi ludźmi, być uważana za osobę będącą w położeniu godnym zazdrości. Zarazem jednak było to położenie dość kłopotliwe. W przededniu opuszczenia mojego dotychczasowego miejsca schronienia nie miałam jeszcze zapewnionego żadnego innego dachu nad głową.

W tych warunkach nie pozostawało mi inne wyjście poza za-sięgnięciem porady jedynej bliskiej mi obecnie istoty, dawnej na-

62

szej służącej, mojej piastunki niegdyś, a obecnie gospodyni u właściciela jednego z większych majątków w bliskim sąsiedztwie siedziby zmarłej panny Marchmont. Spędziłam u poczciwej mojej byłej piastunki kilka godzin, uspokojona przez nią i ukojona, i ona jednak nie miała pojęcia, jaką mogłaby dać mi radę. O zmierzchu, czując pustkę dokoła siebie i w sobie, opuściłam ją, czekał mnie bowiem jeszcze dwumilowy spacer do przebycia, a noc zapowiadała się mroźna, chociaż jasna. Pomimo osamotnienia, braku widoków na najbliższą przyszłość i naturalnego, zdawałoby się, przygnębienia tym wszystkim, serce moje, podtrzymywane ufnością i energią młodości — liczyłam wówczas dwadzieścia trzy lata niespełna — było równomiernie i wcale nie słabo. Że nie było słabo, poznawałam po odwadze, z jaką bez drżenia puściłam się samotnie w drogę prowadzącą przez puste pola, na których nie widać było nigdzie wiosek, domów mieszkalnych ani zabudowań folwarcznych. Gwiazdy jedynie, z braku księżycy, wskazywały mi słabo majaczącą w ich świetle ścieżkę. Odwaga moja i hart tym bardziej godne były podziwu, że zauważyłam niezwykłą obecność jaśniejszej w stronie północnej ruchomej, tajemniczej Aurory Borealis. Zamiast budzenia we mnie lęku, ujawniła ona w inny sposób swój wpływ na mnie — natchnęła mnie nową siłą, jak się zdawało. Wraz z surowym, mroźnym tchnieniem wciągnęłam w płuca ożywczy przyływ nowej energii, aż wreszcie, opanowana nią, odważyłam się dać wyraz śmiałej myśli, zrodzonej w moim dziwnie okrzepłym umyśle.

— Opuść tę pustkę — podszeptął mi głos wewnętrzny — i udaj się tam!

— Dokąd? — zagadnęłam samą siebie.

Nie miałam potrzeby szukać odpowiedzi daleko; zwracając się myślą z tego pustkowiecia ku bogatej płaszczyźnie środkowej Anglii, ujrzałam przed sobą wizję tego, czego nigdy nie oglądałam w rzeczywistości — wizję Londynu.

63

Nazajutrz powróciłam do mojej dawnej piastunki, aby wyjawic jej powzięty plan.

Pani Barrett — tak brzmiało jej nazwisko — była poważną, rozsądną kobietą, znającą jednak świat równie mało jak ja. Mimo całego swojego rozsądku i powagi nie skarciła mnie i nie zaprotestowała z oburzeniem, że musiałam chyba postradać zmysły, aby ważyć się na podobny projekt. Było widocznie w moim postępowaniu dużo stateczności, która służyła mi zawsze za najbezpieczniejszą ostoję i przewodniczkę, skoro umożliwiła mi ona bezkarne, a

bodaj nawet popierane przez nią, urzeczywistnienie zamierzeń, mogących, o ile przystąpiłabym z mniejszą równowagą i spokojem do ich wykonania, ściągnąć na mnie zarzut, że jestem marzycielką-fan-tastką.

Pani Barrett, zajęta przygotowywaniem skórek pomarańczowych na marmoladę, próbowała zwrócić mi uwagę na trudności, związane z wprowadzeniem w czyn mojego pomysłu, kiedy nagle do pokoju wpadł w podskokach mały chłopiec. Śliczne to stworzonko, które nie było dla mnie obce, znałam bowiem jego matkę, młodą, zamężną córkę chlebobawców mojej piastunki, podbiegło ku mnie z czarującym uśmiechem, pośpieszyłam też wziąć je na kolana. Mimo wielkiej różnicy naszych pozycji towarzyskich matka chłopczyka i ja kształciłyśmy się na tej samej pensji. Miałam wówczas dziesięć lat, a ona szesnaście, mimo to uczęszczała do klasy niższej niż moja. Pamiętam, że choć była przystojna, wyglądała pospolicie i mało interesująco.

Wpatrywałam się z podziwem w przepiękne ciemne oczy malca, kiedy do pokoju weszła jego matka, pani Leigh. W jak dorodną, imponującą, a zarazem po pańsku uprzejmą młodą kobietę przeistoczyła się poczciwa i dobroduszna za czasów szkolnych, ale mało roztargnięta, tępą dziewczyna! Tak dodatnio i korzystnie wpłynęło na nią zamęście i macierzyństwo. Miałam niejednokrotnie okazję stwierdzić doborczy wpływ obu tych czynników na słabiej jesz-

64

cze niż ona zapowiadające się osóbkę. Pani Leigh nie przypominała mnie sobie zupełnie. I ja także zmieniłam się, obawiam się jednak, że nie na korzyść, niestety. Nie próbowałam wcale nawiązywać do wspomnień i odnawiać znajomości. W jakim celu miałabym to czynić? Przyszła po swojego małego synka, aby zabrać go na przechadzkę, a tuż za nią szła piastunka, niosąca na ręku niemowlę. Wspominam o tym dlatego jedynie, że pani Leigh, zwracając się do piastunki, mówiła po francusku, bardzo lichą francuszczyzną zresztą, z fatalnym akcentem, który żywo przypominał mi nasze szkolne czasy. Chłopczyk natomiast paplał biegle po francusku. Kiedy cała kompania wyszła z pokoju, pani Barrett opowiedziała mi, że córka jej chlebobawców przywiozła z sobą przed dwoma laty z podróży po kontynencie cudzoziemską piastunkę, którą traktowano w domu jak guwernantkę, nie każąc jej nic robić poza wynoszeniem niemowlęcia na spacer i paplaniem po francusku z małym Karolkiem. — Pani Leigh utrzymuje — dodała zacna pani Barrett — że spotkała za granicą wiele Angielek, które zajmują takie same posady w zamożnych domach cudzoziemskich na kontynencie i są tak samo dobrze traktowane jak ta Francuzka.

Zapisałam sobie w pamięci tę przypadkową informację, jak zapobiegliwa gospodyni zwykła skrętnie notować wiadomości, które, jak trafnie przewiduje, mogłyby przydać jej się kiedyś. Zanim rozstałam się z moją ząną przyjaciółką, dała mi ona adres godnego zaufania, przyzwoitego zajazdu w Londynie, w którym, jak zapamiętała, zwykli zatrzymywać się niegdyś moi stryjowie.

Moja podróż do Londynu była mniej awanturycznym przedsięwzięciem i narażała mnie na mniejsze ryzyko, aniżeli mógłby czytelnik sądzić. Cała odległość wynosiła nie więcej niż pięćdziesiąt mil. Środki, jak obliczyłam, wystarczą mi na podróż do stolicy, na pokrycie wydatków związanych z utrzymaniem w ciągu kilku dni oraz na ewentualną drogę powrotną, o ile nie znalazłabym możliwości pozostania w Londynie, to znaczy o ile nie udałoby mi się znaleźć

65

tam żadnego zajęcia. Uważałam wycieczkę tę za rodzaj krótkich! wakacji raczej, na jakie postanowiłam sobie pozwolić w celu rozej. I rzenia się, aniżeli za szukanie ostatniej deski ratunku. Nie ma nic lepszego nad skromne poczynanie sobie w życiu i krojenie na umiar-] kowaną skalę. Jest to najbardziej niezawodny sposób utrzymania! równowagi cielesnej i duchowej, gdy, przeciwnie, rzucanie się nieopatrznie na szerokie wody wielkich, zawrotnych pomysłów narażaj na zbyt rychłe spalanie się ciała i ducha w nadmiernej gorączce, i]

Przebycie pięćdziesięciu mil wymagało w owym czasie całodziennej podróży (mówię o dawno minionych czasach: moje włosy, które do niedawna jeszcze opierały się zwycięsko mrozącemu wpływowi lat, są już teraz zupełnie białe pod białym czepeczkiem, niby śnieg pod śniegiem). Około dziewiątej w słotny wieczór lutowy stanęłam w Londynie.

Wiem, że czytelnik mój nie będzie mi wdzięczny za poskąpienie mu szczegółowego, kunsztownego zdania sprawy z pierwszych moich wrażeń artystycznych. Sądzę jednak, że słusznie postępuję z tego względu chociażby, iż nie miałam czasu ani też nie byłam odpowiednio usposobiona do notowania ich i przejmowania się nimi. Nie mogło w istocie natchnąć mnie szczególną wrażliwością w| tym kierunku przybycie o późnej godzinie w chłodny, słotny, ciemny wieczór do Babilonu, którego obcość i przerażająca rozległość wystawiły na najcięższą próbę jasność i trzeźwość sądu, jak również] zdolność panowania nad sobą, jakimi, z braku świetniej szych talentów, spodobało się naturze obdarzyć mnie. Z chwilą gdy wysiadłam z dylizansu, uderzył mnie osobliwy sposób mówienia dorożkarzy londyńskich i innych osób zgromadzonych w oczekiwaniu karetki pocztowej. Mowa ich wydała mi się III pierwszym momencie jakaś obca, jak gdyby cudzoziemska. Nigdy dotychczas nie słyszałam języka angielskiego siekanego w ten sposób. Udało mi się jednak zrozumieć zdania, z jakimi zwracano się do mnie i być wzajem zrozumiana przez moich rozmówców, o tyle

66

przynajmniej, aby zostać bezpiecznie przewieziona wraz z moim bagażem do wskazanego mi przez dawną naszą piastunkę zajazdu. O? jak nieskończenie trudna, nużąca i niebezpieczna wydała mi się moja eskapada! Znalazłam się po raz pierwszy w życiu w Londynie, po raz pierwszy w zajeździe; zmęczona podróżą, spłoszona ciemnością, zdrętwiała od chłodu; pozbawiona wszelkich wskazówek, a tym bardziej doświadczenia, jak zabrać się do rzeczy, co przedsięwziąć, a przecież zmuszona działać samodzielnie.

Postanowiłam nade wszystko kierować się zdrowym rozsądkiem. Mój zdrowy rozsądek był jednak równie zmrożony i oszołomiony, jak wszystkie inne moje cechy duchowe, i tylko pod presją nieubłaganej konieczności dawał o sobie znać. Pobudzona biczem surowych wymagań, podyktowała mi ta właściwość mojego ducha obowiązek zapłacenia tragarzowi, przy czym trudno było wziąć jej za złe, że w krytycznym momencie dała się mocno oszukać; kazała mi następnie zapytać portiera zajazdu o pokój, z kolei trwożliwie wezwać pokojówkę, i co więcej, znieść z godnością wyniosłe traktowanie mnie przez tę młodą damę, kiedy raczyła wreszcie się zjawić.

O ile sobie przypominam, pokojówka ta była wzorem miejskiego szyku i elegancji. Taką zręczną, szczupłą miała figurkę, taki zgrabny, wytworny był jej czepeczek, tak umiejętnie skrojona i uszyta jej sukienka, że przyglądałam się jej ze szczerym zdziwieniem i zaciekawieniem. Mowę jej cechował osobliwy akcent, który, wraz z łatwością i płynnością przesadnego wysławiania się, wzgardliwie niejako urągał mojemu sposobowi mówienia, tak samo jak sztuczna nieco, wymuszona wytworność jej stroju zdawała się z szyderstwem podkreślać wiejską prostotę mojego ubrania.

Trudno, nie ma na to rady — pomyślałam. — A zresztą i środowisko, i okoliczności są nowe. Jakoś to będzie.

Zachowaniem zupełnego spokoju i godności osobistej wobec tej aroganckiej dziewczyny, a potem wobec wyglądającego jak

67

ksiądz, ubranego na czarno z białym halsztukiem kelnera, wymóg. łam rychło na obojgu bardziej uprzejmy sposób traktowania mnie Przymiarkuję, iż z początku wzięli mnie oboje za służącą, wnet jednak zmienili zdanie, niezdecydowani, czy mają odzywać się do mnie w sposób wyniosłe protekcyjny, czy służalczo uprzejmy, i

Trzymałam się dosyć godnie, dopóki, pokrzepiona nieco jedzeniem i ogrzana przy ogniu, nie zamknęłam się bezpiecznie w roju pokoju. Kiedy jednak usiadłam na krawędzi łóżka, oparłszy głowę na poduszce, doznałam uczucia straszliwego przygnębienia. Od razu stanęła mi przed oczami cała upiorność mojej sytuacji. Uświadomiłam sobie jej nienormalność, rozpaczliwe osamotnienie, beznadziejność nieledwie. Co robię tu sama w tym wielkim Londynie? Co mam przedsięwziąć następnego dnia? Co czeka mnie w dalszym moim życiu? Jakich mam przyjaciół na świecie? Skąd przybywam? Dokąd dążę? Co mam wreszcie czynić? Łzami, które trysnęły mi z oczu, zrosiłam poduszkę, ramiona i włosy. Po tym wybuchu nastąpił ponury moment najbardziej gorzkich myśli, mimo wszystko jednak nie żałowałam podjętych kroków, ani też nie pragnęłam cofnąć się w pół drogi. Ponad wszystkimi innymi uczuciami górowało silne, jakkolwiek mętne przeświadczenie, że lepiej jest iść naprzód, anizeli cofać się, i że mogę iść naprzód, że jakaś droga — bodaj najtrudniejsza — otworzy się przede mną. Pod wpływem tej myśli uspokoiłam się na tyle, że zdolna byłam odmówić wieczorne pacierze i przygotować się do snu. Zgasiłam właśnie świecę i położyłam się, kiedy nagle wśród nocnej ciszy zawibrował głęboki, niski, potężny dźwięk. Zrazu nie wiedziałam, co mogłoby to być, gdy jednak dźwięk ten powtórzył się dwanaście razy, zrozumiałam jego znaczenie i, po przebrzmieniu długim, drżącym echem ostatniego uderzenia dzwonu, powiedziałam sobie: Leżę w cieniu katedry Świętego Pawła.

68

ROZDZIAŁ VI

Londyn

Nazajutrz przypadł pierwszy dzień marca i kiedy po przebudzeniu wstałam i rozsunęłam zasłony okienne, ujrzałam przedzierające się poprzez mgłę promienie wschodzącego słońca. Ponad moją głowę, ponad dachami domów, ujrzałam sięgający obłoków nieledwie, potężny, kopulasty masyw, ciemnoniebieski i niewyraźny — katedrę. W tym momencie doznałam wstrząsu i równocześnie olśniło mnie nagłe poczucie, jakbym ja, która nigdy dotychczas nie żyłam naprawdę, miała wreszcie zakosztować życia. Tego rana moja dusza rozrastała się i pęczniała tak szybko jak bania, która wyrosła nad Jonaszem.

Dobrze uczyniłam, przybywając tutaj — powiedziałam sobie, ubierając się pospiesznie. — Podobna mi się nastrój tego wielkiego Londynu, który czuję dokoła siebie. Kto, prócz zwykłych tchórzów jedynie, poprzestałby na spędzeniu całego życia w nędznej chacie, wyrzekając się na zawsze rozwinięcia swoich zdolności, pozostawionych na łup przeżerającej je rdzy mroku?

Ubrawszy się zeszałam na dół, nie wyczerpana i zdrożona, jak poprzedniego wieczoru, ale świeża, schludna i wypoczęta. Kiedy kelner przyniósł mi śniadanie, zdołałam zwrócić się do niego stanowczo, ale pogodnie; dziesięciominutowa rozmowa, jaką odbyliśmy, pozwoliła nam poznać się nawzajem w sposób wystarczający.

Kelner był starszym, siwym mężczyzną, który, jak się okazało, pozostawał na obecnej służbie od dwudziestu lat. Stwierdziwszy to, pewna byłam, że przypomni sobie obu moich stryjów: Karola i Wilmonta, którzy przed piętnastu laty bywali tutaj częstymi gośćmi. Wymieniłam ich imiona i nazwisko, które przypomniawszy sobie w istocie od razu, powtarzając je z szacunkiem. Z chwilą ujawnienia

69

w ten sposób moich stosunków rodzinnych zyskałam dla siebie w oczach kelnera należyty, zupełnie wyraźny respekt. Uważał, że jes-1 tern podobna do stryja Karola: myślę nawet, że mówił prawdę, pani Barrett bowiem także zwykła utrzymywać to samo. Uprzejma usługa zastąpiła teraz niedawny, wyraźnie lekceważący sposób jego zachowania wobec mnie, nie miałam też już odtąd wątpliwości, że ■ otrzymam grzeczną odpowiedź na każde rozsądne pytanie.

Ulica, na którą wychodziło okno mojego pokoiku, była wąska, bardzo cicha i niezbyt brudna: nieliczni przechodnie przypominali swoim wyglądem tych, jakich widuje się w miastach prowincjonalnych; nie było tu nic potężnego ani olśniewającego — czułam, że mogę odważyć się wyjść sama.

Po śniadaniu wyszłam istotnie. Ogarnął mnie radosny i podniosły nastrój: samodzielna przechadzka po ulicach Londynu wydała mi się nie byle przygodą. Niebawem znalazłam się w alei noszącej nazwę Paternoster Row. Weszłam tu do księgarni, prowadzonej przez niejakiego Jonesa i nabyłam książeczkę — marnotrawstwo, na które nie mogłam właściwie sobie pozwolić, przyszło mi wszelako na myśl, że będę mogła ją ofiarować czy posłać pani Barrett. Pan Jones, zasuszony stary kupiec, stał za ladą; wydał mi się jedną z najwspanialszych, a ja sama jedną z najszcześniejszych istot na świecie.

Zdumiewająca była żywotność, jaka kipiała we mnie tego ranka. Znalazłszy się przed katedrą Świętego Pawła, wszłam do środka i wdrapałam się aż pod szczyt jej kopuły, skąd roztaczał się przede mną Londyn ze wszystkimi jego kościołami, z rzeką i jej mostami; ujrzałam odwieczny Westminster i zielone ogrody — Tempie Gardens — oświetlone słońcem, które radośnie jaśniało na gładkim błękitnym niebie wczesnej wiosny, zasnutym tu i ówdzie niezbyt gęstym obłoczkiem mgły.

Zszedłszy ponownie na dół, ruszyłam w dalszą wędrówkę bez celu, zachwycona, rozradowana poczuciem swobody, jakiej zazna-

70

łam w pełni. Po dłuższym wędrowaniu dotarłam — sama nie wiem, w jaki sposób — do serca miasta tętniącego życiem. Ujrzałam nareszcie i poczułam prawdziwy Londyn. Znalazłam się na nabrzeżu Tamizy — na Strandzie — przeszłam przez Cornhill, wsiąknąwszy tutaj w ruch i gwar uliczny, odważając się nawet na niebezpieczeństwo przechodzenia na przełaj przez jezdnię. Świadomość, że zdobyłam się na odwagę uczynienia tego, w dodatku bez niczyjej pomocy ani opieki, dała mi niewspółmierne może do wyczynu, ale prawdziwe uczucie zadowolenia. Po owym dniu oglądałam West End, parki, piękne place, nieporównanie bardziej wszakże podoba mi się serce miasta: City. Wydaje mi się ono o wiele bardziej tchnące powagą: jego ruch, panujący tu zgiełk, wszystkie te skłócone dźwięki i odgłosy są tak pełne rzeczywistego, doniosłego znaczenia. City pracuje na utrzymanie własne i całej stolicy, West End korzysta jedynie z uciech życia, West End dostarcza rozrywek tylko, City natomiast podnieca i porusza do głębi.

Zmęczona i głodna (od lat już nie doświadczyłam równie zdrowego głodu) powróciłam około drugiej po południu do cichego, ciemnego, staroświeckiego zajazdu. Obiad, jaki mi podano, składał się z dwóch potraw — ze sporego plastra pieczeni i z jarzyn. Obie wydały mi się wyborne; o ileż smaczniejsze od maleńkich porcyjek wyszukanych posiłków, które przysyłała stara kucharka panny Marchmont dla drogiej mojej zmarłej chlebobawczyni i dla mnie.

Rozkosznie zmęczona urządziłam sobie posłanie z trzech krzesel (w pokoju nie było kanapki) i wnet usnęłam, a po przebudzeniu rozmyślałam przez dwie godziny.

Mój stan ducha wraz ze wszystkimi towarzyszącymi mu okolicznościami sprzyjał jak najbardziej zdecydowaniu się na nową, śmiałą może i ryzykowną — bodaj rozpaczliwą nawet — linię postępowania. Nie miałam nic do stracenia. Niewypowiedziana pogarda dla mojej dotychczasowej egzystencji nie dopuszczała możliwości cofnięcia się i powrotu do niej. O ile nie powiedzie mi się plan,

71

w ten sposób moich stosunków rodzinnych zyskałam dla siebie w oczach kelnera należny, zupełnie wyraźny respekt. Uważał, że jest podobna do stryja Karola: myślę nawet, że mówił prawdę, pani Barrett bowiem także zwykła utrzymywać to samo. Uprzejma usłużność zastąpiła teraz niedawny, wyraźnie lekceważący sposób jego zachowania wobec mnie,

nie miałam też już odtąd wątpliwości, że 1 otrzymam grzeczną odpowiedź na każde rozsądne pytanie.

Ulica na którą wychodziło okno mojego pokoiku, była wąska, bardzo cicha i niezbyt brudna: nieliczni przechodnie przypominali swoim wyglądem tych, jakich widuje się w miastach prowincjonalnych; nie było tu nic potężnego ani olśniewającego — czułam, żel mogę odważyć się wyjść sama.

Po śniadaniu wyszłam istotnie. Ogarnął mnie radosny i podniosły nastrój: samodzielna przechadzka po ulicach Londynu wydała mi się nie byle przygodą. Niebawem znalazłam się w alei noszącej nazwę Paternoster Row. Weszłam tu do księgarni, prowadzonej przez niejakiego Jonesa i nabyłam książeczkę — marnotrawstwo, na które nie mogłam właściwie sobie pozwolić, przyszło mi wszelako na myśl, że będę mogła ją ofiarować czy posłać pani Barrett. Pan Jones, zasuszony stary kupiec, stał za ladą; wydał mi się jedną z najwspanialszych, a ja sama jedną z najszcześliwszych istot na świecie.

Zdumiewająca była żywotność, jaka kipiała we mnie tego ranka. Znalazłszy się przed katedrą Świętego Pawła, weszłam do środka i wdrapałam się aż pod szczyt jej kopuły, skąd roztaczał się przede mną Londyn ze wszystkimi jego kościołami, z rzeką i jej mostami; ujrzałam odwieczny Westminster i zielone ogrody — Tempie Garden — oświetlone słońcem, które radośnie jaśniało na gładkim

błękitnym niebie wczesnej wiosny, zasnutym tu i ówdzie niezbyt gęstym obłoczkiem mgły. Zszedłszy ponownie na dół, ruszyłam w dalszą wędrówkę bez celu zachwycona, rozradowana poczuciem swobody, jakiej zazna-

70

łam w pełni. Po dłuższym wędrowaniu dotarłam — sama nie wiem, w jaki sposób — do serca miasta tętniącego życiem. Ujrzałam nareszcie i poczułam prawdziwy Londyn. Znalazłam się na nabrzeżu Tamizy — na Strandzie — przeszłam przez Cornhill, wsiąknąwszy tutaj w ruch i gwar uliczny, odważając się nawet na niebezpieczeństwo przechodzenia na przełaj przez jezdnię. Świadomość, że zdobyłam się na odwagę uczynienia tego, w dodatku bez niczyjej pomocy ani opieki, dała mi niewspółmierne może do wyczynu, ale prawdziwe uczucie zadowolenia. Po owym dniu oglądałam West End, parki, piękne place, nieporównanie bardziej wszakże podoba mi się serce miasta: City. Wydaje mi się ono o wiele bardziej tchnące powagą: jego ruch, panujący tu zgiełk, wszystkie te skłócone dźwięki i odgłosy są tak pełne rzeczywistego, doniosłego znaczenia. City pracuje na utrzymanie własne i całej stolicy, West End korzysta jedynie z uciech życia, West End dostarcza rozrywek tylko, City natomiast podnieca i porusza do głębi.

Zmęczona i głodna (od lat już nie doświadczyłam równie zdrowego głodu) powróciłam około drugiej po południu do cichego, ciemnego, staroświeckiego zajazdu. Obiad, jaki mi podano, składał się z dwóch potraw — ze sporego plastra pieczeni i z jarzyn. Obie wydały mi się wyborne; o ileż smaczniejsze od maleńkich porcyjek wyszukanych posiłków, które przysyłała stara kucharka panny Marchmont dla drogiej mojej zmarłej chlebobawczyni i dla mnie. Rozkosznie zmęczona urządziłam sobie posłanie z trzech krzeseł (w pokoju nie było kanapki) i wnet usnęłam, a po przebudzeniu rozmyślałam przez dwie godziny.

Mój stan ducha wraz ze wszystkimi towarzyszącymi mu okolicznościami sprzyjał jak najbardziej zdecydowaniu się na nową, śmiałą może i ryzykowną — bodaj rozpaczliwą nawet — linię postępowania. Nie miałam nic do stracenia. Niewypowiedziana pogarda dla mojej dotychczasowej egzystencji nie dopuszczała możliwości cofnięcia się i powrotu do niej. O ile nie powiedzie mi się plan,

71

jaki zamierzałam urzeczywistnić, któż poza mną ucierpi na tym? Gdybym umarła — z dala od domu, chciałam powiedzieć, nie miałam jednak domu — z dala od Anglii, kto płakałby po mnie?

Możliwe, że czekają mnie cierpienia, przywykłam jednak do cierpień. Nawet śmierć — przyszło mi na myśl — nie jest dla mnie tak straszna, jak dla większości ludzi, których los bardziej oszczędzał niż mnie. Dotychczas myślałam o śmierci ze spokojem i bez lęku. Uzbrojona w ten sposób przeciwko wszelkim przeciwnościom i niepomyślnym wynikom, obmyśliłam mój projekt.

Tegoż jeszcze wieczoru zdobyłam od mojego przyjaciela — starego kelnera — potrzebne informacje, dotyczące terminu odpłynięcia statku do upatrzonego portu na kontynencie — Boue-Marine. Uważałam, że nie mogę tracić czasu: tej nocy jeszcze muszę zająć kabinę. Mogłam, oczywiście, zaczekać z tym do rana, nie chciałam jednak narazić się na spóźnienie. — Radzę pani zająć kabinę od razu — ostrzegł mnie kelner. Uznając słuszność tej rady, pospieszyłam uiścić rachunek, wynagrodziwszy przy tym usługi, okazane mi przez mojego przyjaciela, w sposób, który, jak obliczam teraz, był królewski nieledwie, a który w jego oczach wydał się na pewno niedorzeczny. Wsuwając do kieszeni wręczone mu przeze mnie monety, uśmiechnął się z lekka, jak gdyby chcąc dać wyraz swojej opinii o znajomości życia, jaką wykazała hojna ofiarodawczyni, po czym wyszedł, aby sprowadzić mi wehikuł. Nie poprzestał jednak na tym i polecił mnie woźnicy, nakazawszy mu, aby dojechał ze mną do samej przystani, nie pozostawiając mnie na łup przewoźników. Woźnica obiecał wykonać uczciwie dane mu polecenie, oczywiście jednak nie dotrzymał słowa, traktując mnie jak ofiarę ciągnioną na rzeź, każąc mi wysiąść pośrodku gromady przewoźników i zdając mnie na ich łaskę i niełaskę.

Naraziło mnie to na fatalne przejście. Noc była ciemna, woźnica odjechał czym prędzej, z chwilą gdy wręczyłam mu zapłatę za

72

przejazd, i od razu rozpoczęła się zażarta walka przewoźników o moją osobę i o mój bagaż. Jeszcze teraz brzmiały mi w uszach przekleństwa rzucane przez nich podczas tej walki: podziałyły one na mój filozoficzny spokój bardziej wstrząsająco niż ciemna noc, osamotnienie i niezwykłość sytuacji, w jakiej się znalazłam. Pochwycono mój bagaż; przyglądałam się temu z bezradną biernością, kiedy jednak inny z przewoźników chciał w taki sam sposób pochwytać mnie samą, obruszyłam się, odepchnęłam go i wsiadłam od razu do jednej z łodzi, nakazawszy władczy tonem, aby umieszczono w niej mój kufer, co zostało natychmiast wykonane, jako że właściciel łodzi stał się z tą chwilą moim sojusznikiem. Odpłynęłam.

Rzeka była czarna niczym atrament; tu i ówdzie tylko ślizgały się po niej światła, rzucane z okien gmachów nadbrzeżnych; na jej powierzchni kołysało się mnóstwo statków. Załoga łodzi podwoziła mnie kolejno do szeregu okrętów, których nazwy, wypisane wielkimi białymi literami na ciemnym tle, mogłam odczytać przy świetle latarni. „Ocean”, „Feniks”, „Księżę Małzonek”, „Delfin”—nie, nie, to nie ten! Mój statek nazywał się „Iskra” i stał, jak się zdawało, na kotwicy znacznie dalej.

Płynęliśmy po płytkiej fali. Nasunęło mi się porównanie ze Styksem i z Charonem, przewożącym samotną duszę do Krainy Cieni. W tej dziwnej sytuacji, wobec wichru dmącego mi prosto w twarz i bryzgów deszczu, strącanych przez ciężkie chmury ponad moją głowę, mając za towarzyszy dwóch brutalnych przewoźników, dręczących moje uszy dzikimi przekleństwami, zapytywałam samą siebie, czy jestem bardziej wystraszona, czy przygnębiona. Nie byłam jednak w rzeczywistości ani wystraszona, ani przygnębiona. Wielokrotnie w moim życiu doznawałam obu tych uczuć w znacznie wyższym stopniu, w warunkach o wiele korzystniejszych.

Jak to możliwe? — zadawałam sobie pytanie. — Wydaje mi się, że jestem raczej podniecona i czujna, zamiast być wystraszoną i zgnębiaoną?

73

Nie umiałam sobie tego wyjaśnić.

Wreszcie zarysował się w oddali kadłub „Iskry”, bielejący wyraźnie na tle czarnej nocy.

— Jesteśmy! — oznajmił przewoźnik, zażądawszy równocześnie zapłacenia mu sześciu szylingów.

— Żąda pan za wiele — rzekłam, w odpowiedzi jednak na mój protest odepchnął energicznie łódź od statku oświadczając, że nie wysadzi mnie na pokład, dopóki nie otrzyma żądanej zapłaty. Na pokładzie, oparty o balustradę, stał młody mężczyzna — jak dowiedziałam się później, jeden ze stewardów okrętowych. W przewidywaniu walki, jaka zapowiadała się pomiędzy mną a przewoźnikiem, wyszczerzył już zęby w złośliwym uśmiechu, aby więc rozczarować go, zapłaciłam. Trzykrotnie w ciągu tego popołudnia dawałam korony tam, gdzie należało dawać szylingi, pocieszyła mnie jednak myśl, że za tę cenę zdobywam tak niezbędne w moich warunkach doświadczenie.

— Oszukał panią! — zatriumfował steward, kiedy dostałam się wreszcie na pokład.

— Wiem o tym — odpowiedziałam obojętnie i zesłam na dół. Zastałam tam korpulentną, przystojną, dobrze prezentującą się

niewiastę, którą zapytałam o moją kajutę. Spojrzała na mnie ostro, mruknąwszy coś o niezwykłości przybywania pasażerów na statek o tej godzinie, skłonna, jak się zdawało, do potraktowania mnie niezbyt uprzejmie. Dziwną miała twarz — taką przystojną, a zarazem taką zuchwałą i samolubną!

— Trudno. Teraz, kiedy jestem już na pokładzie, pozostanę tu oczywiście — odpowiedziałam. — Poproszę panią o łaskawe wskazanie mi mojej kabiny.

Zastosowała się, acz z wyraźną niechęcią, do mojej prośby. Zdjęłam kapelusz, ustawiłam moje rzeczy i położyłam się. Miałam już za sobą wiele trudności, przy których pokonaniu odniosłam do pewnego stopnia zwycięstwo. Moja bezdomność i brak bezpiecznej

74

Ostoi w życiu mogły znów na krótki czas przestać mnie dręczyć. Dopóki „Iskra” nie zarzuci kotwicy na przystani, nie będę zmuszona zdobywać się na żaden dalszy krok. Potem jednak... O, nie byłam w stanie myśleć, co nastąpi potem. Wyczerpana, oszołomiona, leżałam w półśnie czy w półodrętwieniu.

Stewardesa gadała przez całą noc; nie ze mną, ale z młodym stewardem, który, jak się okazało, był jej synem, łudzaco do niej podobnym. Wchodził do kabiny i wychodził nieustannie: dysputowali, kłócili się i znów godzili, powtarzając to niezliczone razy w ciągu nocy. Powiedziała mu, że pisze list do domu — do swego ojca — i odczytywała głośno synowi ustępy tego listu, nie zwracając najmniejszej uwagi na mnie, jak gdybym była martwą kłodą: przypuszczała prawdopodobnie, że śpię. Niektóre z tych odczytywanych głośno ustępów zawierały tajemnice rodzinne, dotyczące zwłaszcza niejkiej Charlotte, młodszej siostry, która, sądząc z listu, była w przededniu zawarcia romantycznego, nierozważnego związku. Starsza niewiasta protestowała z głośnym oburzeniem przeciwko ohydному postępkowi młodszej. Syn wyśmiewał szydlerczo ton korespondencji matki, ona zaś wściekle broniła zajętego przez siebie stanowiska. Tworzyli niezwykłą parę. Matka mogła mieć co najwyżej trzydzieści dziewięć lub czterdzieści lat i musiała być kwitnącą, urodziwą dziewczyną, mając lat dwadzieścia. Krzykliwa, próżna, despotyczna i ambitna, zdawała się niespożyta zarówno cieleśnie, jak duchowo. Przypuszczam, że od najmłodszych lat przywykła żyć i obracać się w miejscach publicznych; za młodu była prawdopodobnie kelnerka w barze.

C

Nad ranem podjęła w rozmowie inny temat: Watsonów — spodziewanej rodziny pasażerów, których знаła już, jak się zdawało, i wielce ceniła ze względu na wysokie napiwki, jakie jej zawsze pozostawiali. Wyraziła się, że może liczyć na wcale okazałą sumkę, ilekroć rodzina ta odbywa podróż ich statkiem.

O świecie zapanował na pokładzie wielki ruch, gdyż wraz ze

75

wschodem słońca zaczęli przybywać pasażerowie. Powitanie Watsonów przez stewardesę było niezmiernie hałaśliwe i wylewne: cała załoga kręciła się i uwijała tylko dokoła nich. Towarzystwo Watsonów składało się z czterech osób: z dwóch mężczyzn i z dwóch kobiet. Oprócz nich była jeszcze tylko jedna młoda pasażerka, którą odprowadzał na pokład wytworny, ale nieco chorowicie wyglądający pan. Obie te grupy różniły się zasadniczo, stanowiąc wyraźny kontrast. Watsonowie byli niewątpliwie ludźmi bogatymi; zdradzała to pewność siebie i świadomość potęgi posiadanego majątku, cechująca ich sposób bycia. Kobiety ich — obie wyglądające młodo, przy czym jedna była skończoną piękną — ubrane były szycownie i bogato, może tylko zbyt jaskrawo i nieodpowiednio do okoliczności. Ich kapelusze przybrane suto kwiatami, ich aksamitne narzutki i jedwabne suknie nadawałyby się raczej do przechadzki po alejach parkowych, aniżeli do krążenia w nich po mokrych deskach pokładu okrętowego. Mężczyźni byli otyli, przysadziści, brzydzy i pospolici. Starszy, brzydszy, bardziej otyły i krępy, był, jak niebawem zorientowałam się, mężem, a raczej narzeczonym chyba, pięknej dziewczyny, zbyt młodziutkiej, aby mogła już być mężatką. Zdumienie moje z tego powodu było niezmiernie, zwłaszcza kiedy stwierdziłam, że zamiast czuć się bezgranicznie nieszczęśliwa z racji tak nieodpowiedniego związku, zdawała się być nieomal upojona wesołością.

Jej śmiech — przyszło mi zrazu na myśl — musi być zapamiętaniem tylko, podyktowanym rozpaczą.

W tej samej chwili wszakże, kiedy olśniła mnie ta myśl — stałam wówczas oparta o balustradę okrętu, milcząca i samotna — podbiegła do mnie ta śliczna dziewczyna, mimo że zupełnie mi obca, z krzeselkiem składanym w rękę i, uśmiechnięta beztrąsko w sposób iście zagadkowy dla mnie, odsłaniając dwa rzędy nieskazitelnych ząbków, zaoferowała mi skorzystanie ze stołeczka. Odmówiłam, oczywiście, z największą grzecznością, na jaką potrafiłam się zdo-

76

być, a ona oddaliła się tanecznym krokiem, wesoła i lekka jak ptak. Przypuszczałam, że musi być dobra z natury; co jednak mogło ją skłonić do poślubienia tego osobnika, podobniejszego raczej do beczi tłuszczu aniżeli do mężczyzny?

Owa pasażerka, którą przywiózł na statek wytwornie wyglądający pan, była jeszcze zupełnie młoda, jasnowłosa i przystojna. Jej skromna gładka suknia, niczym nie przybrany słomkowy kapelusz i duży, zręcznie zarzucony na ramiona szal, przypominały w prostocie swojej strój kwakerski nieomal, było jej w nim jednak bardzo do twarzy.

Zauważyłam, że zanim towarzyszący jej mężczyzna opuścił ją, rozejrzał się badawczo po wszystkich pozostałych podróżnych, jak, gdyby chciał przekonać się, w jakim towarzystwie ją pozostawia. Z nie ukrywanym niesmakiem odwrócił wzrok od obu pań w jasnych kwiecistych strojach, po czym spojrzał na mnie. Równocześnie powiedział coś swojej córce, siostrzenicy czy kimkolwiek ona była w stosunku do niego, ona zaś wyraźnie zerknęła w moją stronę i z lekka rozchyliła ładne małe usta. Nie wiem, czy moja osoba, czy też niewyszukany, uszyty w domu mój żalobny strój wywołały ten grymas pogardy: przypuszczam, że i jedno, i drugie. Rozległ się dźwięk gongu, ojciec jej (dowiedziałam się potem, że był to jej ojciec) uściskał ją i zszedł na ląd. Statek rozwinął żagle i odpłynął. Cudzoziemcy są zdania, że jedynie angielskie młode dziewczęta można puścić bez opieki w podróż. Tych samych cudzoziemców niezmiernie dziwi jednak lekkomyślna ufność angielskich rodziców i opiekunów. Co się tyczy samych młodych Miss, są one za swą odwagę

i samodzielność uważane przez niektórych za nazbyt męskie i „nieprzyzwoite”; inni znów widzą w nich bierne ofiary systemu wychowawczego i religijnego, uznającego wszelką surveillance — nadzorowanie — za zbędne. Nie wiem, a raczej nie wiedziałam wówczas, czy owa młoda dama należała do rzędu tych, które mogą

77

być pozostawione bezpiecznie bez opieki, rychło wszakże miało okazać się, że dostojeństwo samotności nie przypadło jej szczególnie do gustu. Zaczęła spacerować tam i z powrotem po pokładzie, spoglądając z lekką pogardą na szeleszczące jedwabie i aksamity, a także na nadskakujące im niezdarne, niedźwiedziowate postacie opasłych mężczyzn, wreszcie zbliżyła się do mnie pytając:

— Jest pani amatorką morskich podróży?

Wyjaśniłam jej, że moje amatorstwo jest wystawione dopiero na próbę pierwszego doświadczenia, dotychczas bowiem nie miałam pod tym względem żadnego.

— O, jakie to ciekawe! — zawołała. — Zazdroszczę pani nowości wrażenia: pierwsze przeżycia tego rodzaju są zawsze bardzo miłe. Co się mnie tyczy, mam ich już tyle za sobą, że zdołałam zapomnieć zupełnie o pierwszym. Jestem całkowicie znudzonaorskimi podróżami i wielu innymi podobnymi doznaniem.

Nie mogłam powstrzymać mimowolnego uśmiechu.

— Dlaczego śmieje się pani ze mnie? — zapytała ze szczerością, która bardziej podobała mi się niż jej poprzednie słowa.

— Dlatego, że jest pani zbyt młoda, aby być znudzona czymkolwiek — odparłam.

— Mam siedemnaście lat — oznajmiła tonem z lekką urażonym.

— Wygląda pani co najwyżej na szesnastkę. Chętnie podróżuje pani sama?

— O, jest mi to najzupełniej obojętne! Przeplłynęłam już kanał jakie dziesięć razy bez niczyjej asysty i opieki; staram się jednak być możliwie najkrócej sama; udaje mi się zwykle zawierać miłe znajomości.

— Wątpię, czy uda się pani zawrzeć je tym razem — zauważyłam, zerknąwszy na grupę Watsonów, głośno śmiejących się teraz i czyniących niesłychany zamęt i hałas na pokładzie.

— Oczywiście, z nikim spośród tych wstrętnych mężczyzn i

78

kobiet — rzekła. — Tego rodzaju ludzie powinni właściwie być pasażerami najniższej klasy. Jedzie pani na pensję?

— Nie.

— Dokąd więc w takim razie?

— Nie mam o tym najmniejszego pojęcia poza tym, że najbliższym celem mojej podróży jest port Boue-Marine.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem, nie przestając jednak w dalszym ciągu paplać beztrąsko.

— Jadę na pensję. O, na ilu już pensjach cudzoziemskich byłam w moim życiu! Mimo to jestem zupełną ignorantką. Nie umiem nic, ale to absolutnie nic — zapewniam panią — poza tym, że pięknie gram i tańczę, umiem także naturalnie mówić po francusku i po niemiecku, chociaż niezbyt dobrze czytam i piszę w tych językach. Kilka dni temu kazano mi przetłumaczyć stroniczkę łatwej niemieckiej książki na angielski, nie potrafiłam tego zrobić. Ojciec mój był bardzo zmartwiony i powiedział, że pan de Bassompierre — mój ojciec chrzestny, który płaci wszystkie rachunki za moją pensję — wyrzuca pieniądze w błoto. Bo muszę przyznać się pani, że co do historii, geografii, arytmetyki i innych podobnych nudnych przedmiotów jestem zupełnie nierozwiniętym dzieckiem jeszcze, a po angielsku piszę bardzo źle — robię błędy gramatyczne i ortograficzne. W dodatku zdążyłam zapomnieć już wszystko, czego nauczono mnie na religii. Nazywają mnie protestantką, wie pani? Ale tak między Bogiem a prawdą, nie mam pewności, czy jestem nią, czy nie. Niezupełnie zdaję

sobie sprawę z różnicy pomiędzy katolicyzmem a protestantyzmem. Jest mi to zresztą zupełnie obojętne. Kiedyś w Bonn — kochane, czarujące Bonn, gdzie jest tylu przystojnych studentów! — byłam luteranką. Każda ładna dziewczyna na naszej pensji w Bonn miała wielbiciela. Każdy z takich panów wiedział, w jakich godzinach wychodzimy na spacer, urządzał się też tak, aby spotkać się ze swoją wybranką i przejść tuż obok niej. Schónes Mddchen! — mówił każdy damie swojego serca, a mówił

79

to tak głośno, że wyraźnie mogliśmy słyszeć jego słowa. Byłam rajsco szczęśliwa w Bonn! — A gdzie jest pani teraz? — zapytałam.

— O, w... w chose! — rzekła.

Panna Ginevra Fanshave (tak brzmiało imię i nazwisko młodej osoby) zastąpiła oczywiście wyrazem chose chwilowo zagubioną w jej pamięci właściwą nazwę miejscowości. Używanie co chwilę wyrazu chose było jej zwyczajem; powtarzane przy każdej okazji, stało się bardzo wygodnym słówkiem zastępczym zamiast brakującego, czego właściwego słowa w każdym języku, jakim mówiła w danym momencie. Dziewczęta francuskie dopomagają sobie często w ten sposób i od nich właśnie przejęła panna Ginevra Fanshave ten nawyk. W danym wypadku, jak dowiedziałam się później, miało owo chose zastąpić Villette — wielką stolicę wielkiego królestwa Labas-secour.

— Podoba się pani Villette? — zapytałam.

— Wcale niezgorzej. Mieszkańcy tamtejsi są potwornie głupi i pospolici; zamieszkuje tam jednak kilka miłych rodzin angielskich.

— Jest pani na pensji?

— Tak.

— Czy to dobra pensja?

— O, nie, ohydna! Ale wychodzę co niedziela, nic sobie też nie robię ze wszystkich naszych mattresses i z naszych professeurs — nauczycielek i profesorów — także ze wszystkich eleves — uczeń nic — wszystkie lekcje posyłam au diable (nie śmiałybym powie dzieć „do diabła” po angielsku, ale po francusku brzmi to wcale dobrze) i w ten sposób daję sobie świetnie radę... I znów śmieje się pani ze mnie?

— Nie, uśmiecham się tylko do moich własnych myśli.

— A jakie są te pani myśli? — zainteresowała się, nie czekając

1 Chose — rzecz.

80

jednak na moją odpowiedź, dodała. — Niech mi pani powie prawdę, dokąd pani jedzie?

— Dokąd mnie poprowadzi czuwająca nade mną opatrność, jestem zmuszona szukać sposobu zarobkowania, gdziekolwiek go znajdę.

— Sposobu zarobkowania?—zawołała stropiona. — Jest więc pani biedna w takim razie!

— Biedna jak Hiob.

Po chwilowej pauzie, westchnąwszy z lekka, dodała:

— O, jakie to przykre, ale i ja także wiem, co znaczy być biedną: moi w domu, ojciec i mama, i oni wszyscy są aż nadto biedni. Mój ojciec nazywa się kapitan Fanshave; jest emerytowany i dostaje pół pensji oficerskiej, na szczęście pochodzi z dobrej rodziny, mamy też nie byle jakie stosunki i wielu bogatych krewnych, ale z nich wszystkich tylko pan de Bassompierre, mój wuj i ojciec chrzestny zarazem, mieszkający we Francji, pomaga nam: kształci nas, dziewczęta. Mam pięć siostr i trzech braci. Jedna po drugiej powychodzimy za mąż — prawdopodobnie za starszych panów, posiadających gotówkę. Ojciec i mama postarają się już o to. Moja najstarsza siostra, Augusta, wyszła już za mąż za człowieka, który wygląda starzej niż nasz ojciec. Augusta jest bardzo piękna — nie w moim stylu, smagła — jej mąż, pan

Davies, przechodził żółtą febrę w Indiach i wciąż jeszcze ma twarz koloru złotej monety. Ale jest bogaty i Augusta ma własny powóz i pałac. Uważamy wszyscy, że doskonale zrobiła. Lepsze to przecież niż „zarabianie na utrzymanie”, jak pani to nazywa. Ale, ale, czy pani jest utalentowana?

— Nie, wcale nie.

— Umie pani grać na fortepianie, śpiewać i mówić trzema czy czterema językami ?

— Ani mowy o tym.

— A jednak myślę, że pani jest utalentowana! — zamilkła na chwilę i ziewnęła.

81

— Będzie pani chorowała na morzu?

— A pani?

— O, strasznie, jak tylko zobaczymy morze z daleka: już teraz zaczynam coś odczuwać, zejść na dół i puszczyć w ruch tę grubą, wstępną stewardesę usługującą na statku.

Heureusement je sais faire aller mon mendé. 1

Zeszła na dół.

Niedługo pozostali pasażerowie poszli w jej ślady: w ciągu popołudnia tylko ja pozostałam na pokładzie. Kiedy przypominam sobie « spokojny, a nawet szczęśliwy nastrój, w jakim spędziłam te godziny, i uświadamiam sobie równocześnie położenie, w jakim znalazłam się wówczas, jego niepewność — niektórzy powiedzieliby nawet: beznadziejność — czuję, że jak:

Mury kamienne nie czynią więzienia,

Ani też klatki — pręty z żelaza, tak samo ryzyko sytuacji, osamotnienie i niepewność jutra nie powód przygnębienia, dopóki ciało jest zdrowe i zdolność rozumowania nieograniczona; dopóki wolność używa nam swoich skrzydeł, a gwiazda nadziei nie przestaje nam przyświecać i kierować nami.

Zachorowałam dopiero wówczas, kiedy byliśmy daleko już poza, Margate, z prawdziwą też rozkoszą wchłonęłam pierwszy powiew morza. Uczuciem boskiego upojenia przejęły mnie piętrzące się fale kanału, widok ptactwa morskiego, przysiadającego na ich grzbietach, białych żagli na ciemniejszej dali morza i spokojnego, choć zasnutego chmurami nieba, rozpiętego ponad tym wszystkim.

W rozmarzeniu wyobrażałam już sobie ląd europejski, niby wyśnioną krainę z bajki.

Opromieniało ją światło słoneczne, czyniąc rdu-giego wybrzeża nieprzerwaną smugę złota.

Tu i ówdzie uroz-

1 N"ci szczęście umiem dawać sobie radę z ludźmi, dyrygować nimi

82

maicały linię architektoniczną drobne osiedla miejskie z ośnieżonymi błyszczącymi w słońcu wieżami, ciemne zwarte gąszcze lasów i gładkie szmaragdowe powierzchnie pastwisk, poprzeryzanych mile przręczymi widok taflami strumyków. Wszystko to zarysowywało się wdzięcznie na tle nieba, uroczyście ciemnognanatowego, na którym, jako zapowiedź niezawodnego szczęścia, połyskiwała czerwonymi barwami przerzucona ręką Boga od północy ku południowi, niby łuk nadziei, lśniąca wstęga tęczy.

Wyobraź sobie, miły czytelniku, to wszystko, a raczej pozwól temu wszystkiemu pozostać i wyciągnij z tego morał, wypisywany we wzorach tekstów:

„Marzenia na jawie są ułudnymi podszeptami złych duchów”.

Kiedy wreszcie zmogła mnie choroba morska, powlokłam się na dół do kajuty.

Przypadek zrządził, że kajuta panny Fanshave sąsiadowała z moją, z przykrością zmuszona też jestem stwierdzić, że dręczyła mnie ona z bezwzględny samolubstwem przez cały czas zaznawanych przez nas pospołu dokuczliwości. Niecierpliwość jej i zdenerwowanie przechodziły wszelkie możliwe granice. Watsonowie, którzy chorowali tak samo jak my i

których stewardesa obsługiwała z bezwstydnie stronnicyznym wyróżnianiem, zachowywali się po stoicku w porównaniu z moją najbliższą sąsiadką. Niejednokrotnie od tego czasu stwierdzałam u osób takich, jak Ginevra Fanshave, o lekkomyślnej, nie liczącej się z nikim i z niczym naturze i o jasnej, subtelnej urodzie, całkowitą niezdolność znoszenia cierpień i zawodów. Charaktery podobne zdają się gorzknieć i kwaśnieć pod wpływem niepowodzeń, niczym piwo podczas burzy. Mężczyzna, poślubiający taką kobietę, powinien być przygotowany z góry już, że będzie musiał zapewnić jej egzystencję, opromienioną bez przerwy blaskiem słonecznym.

Oburzona w końcu jej natrętną zrzędlivością cierpko zażądałam, aby „zamknęła usta”. Ta szorstka odprawa dobrze na nią wpły-

83

nęła, muszę też zaznaczyć, że nie odbiła się ujemnie na naszych stosunkach.

Wraz z zapadnięciem nocnego mroku morze stawało się coraz bardziej wzburzone: coraz wyżej piętrzące się fale uderzały gwałtownie o burty statku. Dziwnego uczucia doznawałam na myśl, że mam dokoła siebie czarną ciemność i roztrącane fale, roztrącane przez statek, torujący sobie drogę mimo ciemności, przez jaką zmuszony był przedzierać się, i ogłuszającego łoskotu, jaki towarzyszył pruciu przezeń fal. Pakunki zaczęły spadać z półek, tak że trzeba było wszystko umocować na miejscach. Pasażerowie cierpieli bardziej niż kiedykolwiek; panna Fanshave zapewniała jękliwie, że czuje nieuchronną śmierć.

— O, nie tak prędko jeszcze — pocieszała ją stewardesa. — Wpływamy właśnie do portu.

Po kwadransie w istocie uciszyło się wszystko; około północy podróż nasza dobiegła kresu.

Żal mi było rozstawać się ze statkiem; tak, żal mi było. Skończyły się moje ferie; trudności i obawy o przyszłość stanęły znów przede mną w całej swojej grozie. Kiedy wyszłam na pokład, doznałam uczucia, że lodowate tchnienie nocy i zalegające dokoła ciemności zdają się natrzasać z mojego spokoju i z pewności siebie, z jaką puściłam się w tę drogę. Światelka, migocące ze wszystkich stron w oknach domów portowego miasta dokoła tej obcej przystani, skierowały ku mnie niezliczone, groźnie ostrzegające oczy. Na pokładzie zaroilo się od przyjaciół, którzy przybyli na powitanie Wat-sonów; zaprzyjaźniona z panną Fanshave liczna rodzina okrążyła ją i zabrała z sobą, gdy ja... nie miałam odwagi porównywać mojego własnego i jej położenia.

Dokąd miałam się udać? Musiałam przecież znaleźć jakieś schronienie. Konieczność nie narzuca się ludziom w sposób miły. Przy wręczaniu napiwku dozorczyńi okrętowej, która zdawała się być zdziwiona otrzymaniem monety o wartości wyższej niż ta, na

84

iąką mogła liczyć ze strony osoby w mojej sytuacji — poprosiłam ją o pomoc.

— Czy nie chciałaby pani być tak uprzejma i wskazać mi jakiś cichy, niedrogi, ale przyzwoity zajazd, gdzie mogłabym przenocować?

Ujęta widocznie wysokością napiwku, nie tylko udzieliła mi potrzebnej wskazówki, ale zawołała tragarza i poleciła jego opiece nie tyle mój kufer, odesłany już na komorę celną, ile mnie samą.

Poszłam za moim chwilowym opiekunem wyboistą uliczką, oświetloną jedynie kapryśnie rozbłyskującą i ponownie niknącą jasnością księżycy, aż wreszcie stanęłam przed zajazdem. Dałam tragarzowi sześciopensową monetę, której jednak nie przyjął. Przypuszczając, że uważa ofiarowany napiwek za niewystarczający, wręczyłam mu szylinga, którego przyjęcia również odmówił, rzucając równocześnie kilka ostrych słów w języku niezrozumiałym dla mnie. Kelner, który w tej samej chwili wyszedł mi naprzeciw do oświetlonego lampą przedionka, zwrócił mi łamaną angielszczyzną uwagę, że moje cudzoziemskie pieniądze nie mają tutaj wartości obiegowej. Zrozumiawszy, dlaczego tragarz odmówił przyjęcia napiwku, poprosiłam kelnera, aby wymienił mi suwerena. Dopiero po dokonaniu tej operacji zażądałam

wskazania mi wolnego pokoju. Resztki morskiej choroby, zdenerwowanie i ogólne roztrzęsienie nie pozwoliły mi myśleć o spożyciu wieczerzy.

O, jak niewypowiedzianie rada byłam, mogąc wreszcie zamknąć i odgradzić od świata samą siebie i krańcowe moje wyczerpanie w maleńkim, oddanym mi na tę noc pokoiku! I znów mogłam wypocząć, wiedząc jednak, że nazajutrz nie rozstąpią się ani na jotę zawisłe nad moją głową ciężkie chmury wątpliwości, że konieczność usilnych starań narzuci mi się z większą niż dotychczas surowością, a niebezpieczeństwo zagłady będzie jeszcze bliższe, walka o byt jeszcze surowsza.

85

ROZDZIAŁ VII

Villette

Obudziłam się nazajutrz z rana z odrodzoną odwagą, pokrzepiona na duchu: wyczerpanie fizyczne nie zaćmiewało już trzeźwości mojego sądu; gotowa byłam do posunięć stanowczych i niezwłocznych.

W momencie kiedy kończyłam ubierać się, zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — rzekłam, spodziewając się pokojówki. Zamiast niej ukazał się rosły, silny chłop, który zwrócił się do mnie z żądaniem:

— Niech mi pani da swoje klucze.

— W jakim celu? — zdziwiłam się.

— Proszę dać! — powtórzył tonem nakazu i wyrwawszy je nieomal z moich rąk, dodał:

— W porządku. Kufer będzie zaraz.

Na szczęście okazało się wszystko istotnie w porządku: rzekomy intruz był funkcjonariuszem komory celnej. Nie miałam pojęcia, dokąd mam się udać, aby dostać śniadanie. Zesłam jednak na dół, nie bez pewnego wahania, co prawda.

Teraz dopiero zorientowałam się, że zajazd ten — czego nie dostrzegłam poprzedniego wieczoru, będąc zbyt wyczerpana, aby zdawać sobie dokładnie sprawę z czegokolwiek—był w rzeczywistości dużym hotelem; kiedy też schodziłam z wolna po stopniach szerokiej klatki schodowej, zatrzymywałam się na każdym stopniu (wcale nie spieszyło mi się stanąć na dole) i zadzierałam głowę do góry, aby przyjrzeć się wysokiemu sufitowi, potem z kolei oglądałam pięknie malowane ściany dokoła, wielkie okna, dające swobodny dostęp rozjaśniającym cały dom potokom światła i bogato żyłkowane marmurowe schody, po których stapałam, nie nazbyt czyste

86

zresztą i nie wysłane dywanem. Porównując wszystkie te wspaniałości z rozmiarami norki, wskazanej mi jako pokój do przespania się i z krańcowym ubóstwem jej umeblowania, wpadłam w nastrój filozoficzny.

Zdumienie zwłaszcza budziła we mnie szczególna domyślność, okazana przez pokojówki, portiera i kelnerów, zdolnych tak trafnie dostosowywać do wyglądu gościa rozmiary i urządzenie wskazywanych pokoi. W jaki sposób mogła służba w zajazdach, a także stewardzi i stewardesy na okrętach, zawsze i wszędzie odgadnąć na pierwszy rzut oka, że ja, na przykład, jestem osobą bez żadnej pozycji towarzyskiej, a co gorsza, słabo wyposażoną w gotówkę? Wyraźne było, że musieli wiedzieć o tym: wiedziałam, że wszyscy oni w jednym mgnieniu oka oceniali mnie jednakowo minimalną, ułamkową liczbą wartości. Fakt ten wydawał mi się ciekawy zarazem i brzemienny w doniosłe dla mnie wskazania. Nie łudziłam się co do jego znaczenia, nie poddając się jednak gnębiącemu jego wpływowi.

Znalazłszy się wreszcie w wielkim hallu, zalanym światłem padającym przez okna w suficie, skierowałam się w stronę pokoju, który szczęśliwie okazał się hotelową kawiarnią. Nie mogę zaprzeczyć, że wchodząc do kawiarni, dygotałam z lekka. Czułam się niepewna, osamotniona, nieszczęśliwa i pragnęłam z głębi duszy, aby niebo natchnęło mnie świadomością, czy postępuję źle, czy dobrze. Byłam przekonana, że raczej to pierwsze, nie

mogłam jednak nic na to poradzić. Ze spokojem fatalistki, poddającej się nieuniknionej konieczności, usiadłam przy jednym ze stolików, zastawionym usłużnie przez kelnera. Śniadanie spożyłam wszakże w nastroju nieszczęśliwie sprzyjającym trawieniu. W tym samym pokoju było jeszcze wiele innych osób, jedzących śniadanie przy stolikach. Czułabym się spokojniejsza, gdybym pośród nich mogła dostrzec także kobiety. Nie było, niestety, ani jednej. Sami mężczyźni tylko. Jak się zdawało jednak, nie przychodziło nikomu na myśl,

87

że robię coś złego. Ten czy ów z panów obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, nikt jednak nie przyglądał mi się zbyt natarczywie. Przypuszczam, że jeżeli nawet obecność moja tutaj mogła wydawać się pewnego rodzaju ekscentrycznością, przypisywali ją mojemu angielskiemu pochodzeniu. L'Anglaise! — było wystarczającym dla nich wyjaśnieniem. Po wypiciu porannej kawy musiałam wreszcie wyjść. Ale dokąd? W jakim kierunku? — Udać się do Villette! — podszepnął mi głos wewnętrzny pod wpływem, jak przypuszczam, zapamiętanego zdania, rzuconego przypadkowo, bez żadnej specjalnej intencji, przez pannę Fanshave w chwili naszego rozstania: „Chciałabym, żeby pani mogła dostać się do Madame Beck; ma ona kilkoro dzieci, których mogłaby pani doglądać; potrzebna jej jest angielska guwernantka, a przynajmniej potrzebna jej była przed dwoma miesiącami”. Kim była Madame Beck i gdzie mieszkała, nie miałam pojęcia. Zapytałam o to wprawdzie, nie otrzymałam jednak odpowiedzi, w tym samym momencie bowiem panna Fanshave, przynaglona przez swoich przyjaciół, rozstała się ze mną na dobre, nie dosłyszawszy może nawet mojego pytania. Przypuszczałam jednak, że miejscem zamieszkania Madame Beck było Villette, postanowiłam więc udać się tam. Miejscowość ta odległa była o czterdzieści mil, wiedziałam też, że chwytam się słomki, ale w przepastnej głębi, w jakiej się znalazłam, gotowa byłam uchwycić się bodaj pajęczyny. Wywiedziawszy się o sposób dotarcia do Villette, zamówiłam miejsce w dyliżansie, którym ruszyłam w poszukiwaniu tego słabego cienia możliwości. Zanim jednak potępisz mnie, czytelniku, za mój nagły, nierozważny krok, zechciej cofnąć się myślą do mojego punktu wyjścia; weź pod uwagę pustkę, jaką pozostawiłam za sobą, a zrozumiesz, jak mało ryzykowałam: w grze, w jaką się wdałam, nie może grający nic stracić, nie jest jednak wykluczone, że mógłby wygrać.

88

Zaznaczam z naciskiem, że nie należę do osób obdarzonych temperamentem artystycznym, mam jednak widocznie ową właściwą artystom zdolność należytego wykorzystywania każdej przyjemnej chwili, to znaczy takiej, która odpowiada moim upodobaniom. Cieszyłam się tym dniem, mimo że podróż odbywała się w tempie nader powolnym, było zimno i padał deszcz. Okolica, którą przejeżdżaliśmy, była nizinna, naga i pozbawiona drzew; wzdłuż drogi snuł się zamulony kanał, niby na wpół odrętwiałe cielsko zielonego węża; rosochate wierzby obrzeżały równinne pola, zaorane i uprawione, jak grządki ogrodu warzywnego. I niebo także było jednostajnie szare; powietrze zatęchłe i wilgotne. Bez względu wszakże na tę martwość orolicy moja fantazja roiła tęcze obrazy, a serce pławiło się w słonecznych blaskach. Nieodłączna jednak, jakkolwiek tajona w głębi duszy, świadomość czającego się niepokoju, niby tygrys przyczajony w dżungli i gotów w każdej chwili do skoku, trzymała uczucia te na uwięzi, nie pozwalając im zagościć swobodnie. Miałam nieustannie w uszach ciężki oddech drapieżnej bestii; jej okrutne, krwiożercze serce tętniło w takt z moim; nie poruszała się w swoim legowisku, czułam jednak wciąż jej obecność: wiedziałam, że czeka tylko na zachód słońca, aby z wściekłością wyskoczyć z zasadzki.

Miałam nadzieję, że uda nam się dostać do Villette przed zapadnięciem nocy i że dzięki temu zdołam uniknąć poważniejszych powikłań i utrudnień, jakimi ciemność potęguje i pogłębia przykre uczucie przybycia po raz pierwszy do miejscowości obcej i nieznannej. Ponieważ jednak posuwaliśmy się naprzód powoli, postoje były częste i długie, mgła gęstniała i padał

rześniste deszcz, nie spełniły się moje nadzieje i nieprzenikniony mrok okrył już ulice miasta, kiedy dotarliśmy wreszcie do rogatek.

Wiem, że przejechaliśmy przez jakieś wrota, w których stali na straży żołnierze — tyle mogłam dostrzec przy świetle latarni, po czym nasz dyliżans, pozostawivszy za sobą błotnisty gościniec, z

89

głównym turkotem potoczył się po twardym i wyboistym miejskim bruku Kiedy wreszcie stanął przed jakimś biurem, wysiedli wszyscy pasażerowie, jeden po drugim. Pierwszą moją czynnością było odebranie kufra, c° innym mogło wydawać się drobiazgiem bez znaczenia, dla mnie wszelako było kwestią najważniejszą. Zdając sobie sprawę, że najlepiej zrobię, nie domagając się zbyt natarczywie wydania mi bagażu, czekałam cierpliwie i obserwowałam czujnie wyładowywanie innych sztuk. Stałam tedy skromnie na uboczu, wpatrzona w wyładowywanie w te czcś wehikułu, w której na moich oczach umieszczone bezpiecznie w Boue-Marine mój kuferek, ukryty pod stosem spiętrzonych na nim rozmaitych worków, skrzyń, kufrów i pudeł*— Widziałam, jak zdejmowano je, jedną sztukę po drugiej wyładowywano na chodnik przed biurem i zabierano. Byłam pewna, że mój kuferek wyłoni się lada chwila, nie wyłonił się jednak Umocniłam przy nim zieloną wstążeczką kartę z wypisanym na niej; moim nazwiskiem i miejscem przeznaczenia bagażu, abym mogła rozpoznać niezawodnie na pierwszy rzut oka — nie dostrzegłam jednak ani źdźbła niczego zielonego. Wreszcie wyładowano wszystkie pakunki do ostatniego: każdą skrzynkę blaszaną, każdy kosz i każde ciemne pudło tekturowe, zwinięto okrywającą bagaż ceratę, i nic już me pozostało ani na dachu, ani wewnątrz

dyliżansu — widziałam to wyraźnie — ani jeden parasol, ani jedna laska, kapelusze okrycie, ani jedno pudełko.

A mój kuferek z całym moim dobytkiem w postaci ubrań i bielizny, a także pugilaresu, mieszczącego w swoim wnętrzu pozostałość moich piętnastu funtów — gdzie podziało się wszystko?

Zadaję to pytanie w chwili obecnej, w owym momencie jednak nie byłam w stanie go zadać. Nie mogłam w ogóle nic powiedzieć. Nie władałam językiem francuskim, a wszyscy dokoła paplali tylko po francusku. Cały świat zdawał się znać ten język jedynie. Co robić?

Podbiegłam do woźnicy, położyłam rękę na jego ramieniu, drugą ręką wsiadłam na stojące na chodniku kufry, potem na dach

90

dyliżansu, usiłując przy tym wyjaśnić mu sytuację błagalnym wyrazem oczu. Woźnica fałszywie jednak zrozumiał mnie, schwycił bowiem pierwszy z brzegu kufer, w którego kierunku wyciągnęłam rękę i był już gotów załadować go dla mnie na jakiś wehikuł, kiedy nagle rozległ się gniewny okrzyk, rzucony najlepszą angielszczyzną:

— Nie ruszać tego!...— A potem wyjaśnienie już po francusku: Qu'est ce que vous faites donc? Cette maile est a moi!

Usłyszałam jednak dźwięki mowy ojczystej. Napełniły one radością moje serce.

— Szanowny panie! — zawołałam do właściciela kufra błagalnym tonem, nie zwracając nawet uwagi, jak wygląda ten, którego pomocy i opieki wezwałam. — Nie umiem mówić po francusku. Czy mogłabym prosić pana o zapytanie woźnicy, co zrobił z moim kuferkiem?

Nie rozróżniając w danej chwili, z kim mam do czynienia, zdałam sobie jednak sprawę, że moja prośba wywołała na twarzy obcego wyraz na poły zdumienia i na poły wątpliwości, czy jego interwencja odniesie pożądany skutek.

— O, błagam pana, niech pan go zapyta! — zawołałam. — Zapewniam pana, że zrobiłabym to samo dla pana.

Nie wiem, czy przyjął mój wybuch uśmiechem, odpowiedział jednak tonem świadczącym o towarzyskim obyciu, to znaczy ani surowym, ani onieśmielającym:

— Jak wyglądała pani kuferek?

Opisałam go, nie pominawszy w moim opisie zielonej wstążeczki. Bezpośrednio po otrzymaniu ode mnie tego wyjaśnienia natarł energicznie na woźnicę, czułam też poprzez burzę francuskich wymysłów, jakimi go obrzucił, że przyparł winowajcę ostro do muru, używając różnorodnych argumentów. Po chwili zwrócił się ponownie do mnie.

1 Co pan robi, u licha? Ten kufer należy do mnie!

91

— Ten łotr zapewnia, że był przeciążony ładunkiem, przyznaje też, że usunął w istocie pani kuferek już po tym, jak go pani widziała na dachu dylizansu, i pozostawił w Boue-Marine wraz z innym jeszcze bagażem. Przyrzeka jednak solennie, że wyekspeduje go jutro, a za dwa dni znajdzie pani swój kufer tutaj w biurze.

— Dziękuję panu — rzekłam, nie czując się jednak bynajmniej uspokojona.

Co robić tymczasem? Rodak mój dostrzegł może z wyrazu mojej twarzy, że opuściła mnie od razu cała odwaga, zapytał bowiem uprzejmie:

— Ma pani kogoś bliskiego w tym mieście?

— Nikogo. Nie wiem też, dokąd mam się udać — odpowiedziałam szczerze.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Dzięki temu, że zwrócił głowę w moją stronę, w świetle padającym z zawieszzonej ponad biurem latarni dostrzegłam, że jest młodym, przystojnym, dystyngowanym wyglądającym mężczyzną. Mógł być lordem, a kto wie, godnym nawet mitry książęcej, jak mi się wydało. Twarz miał bardzo pociągającą, patrzył na ludzi nieco wyniośle, ale nie arogancko, po męsku, ale nie władczo. Świadoma braku wszelkiego prawa do żądania i spodziewania się pomocy z jego strony, zamierzałam cofnąć się, kiedy nagle zapytał, zatrzymując mnie:

— Czy miała pani w swoim kufierku całą posiadaną gotówkę? O, jak prawdziwie rada byłam, mogąc odpowiedzieć zgodnie z prawdą:

— Nie. Mam dość w sakiewce (miałam w niej około dwudziestu franków), aby utrzymać się za to do pojutrze w jakimś tanim zajeździe, Villette jest jednak dla mnie miastem zupełnie obcym, nie znam tu ulic ani zajazdów.

— Dam pani chętnie adres zajazdu, jakiego pani potrzeba — rzekł — znajduje się on w pobliżu; pomogę go pani odnaleźć.

Wydarł z notatnika kartkę, napisał na niej kilka słów i wręczył

92

mi ją. Podziękowałam mu, jak potrafiłam najuprzejmiej. Taki był przecież dla mnie dobry! Nie wpadłoby mi ani na chwilę na myśl nie ufać mu, mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do jego rady i podanego adresu. Tak święcie wierzyłam mu, równie daleka nieomal od wszelkiego braku ufności w szczerść jego intencji, jak braku wiary i ufności w Biblię. Twarz jego i całe zachowanie tchnęły nazbyt wyraźnie dobrocią, w jego oczach można było czytać zacność i uczciwość.

— Najbliższa droga do zajazdu, który pani wskazałam, prowadzi przez bulwar i park — dodał — jest jednak zbyt późno i zbyt ciemno, aby młoda dama mogła ważyć się przejść o tej porze sama przez park. Pozwolę sobie odprowadzić panią kawałek.

Poszedł naprzód, a ja za nim. Było ciemno i nie przestawał mżyć deszcz. Bulwar — Boulevard po miejscowemu — był zupełnie opustoszały, błotnisty, wiatr strącał nieustannie krople wody z drzew. W gęstym mroku, spowodowanym zarówno mgłą, jak cieniem zarośli, nie mogłam widzieć mojego przewodnika; jedyne, co mogłam uczynić, to iść śladem jego kroków. Nie doświadczałam najmniejszego lęku. Wydaje mi się, że bez cienia obawy czy

niepokoję poszłabym za tym męskim, silnym krokiem poprzez nieustanny mrok na sam koniec świata.

— A teraz — rzekł, kiedy minęliśmy już park — pójdzie pani tą szeroką ulicą, aż do schodów. Dwie latarnie wskażą jej pani z daleka. Tymi schodami zejdzie pani na dół, na węższą ulicę, na której końcu mieści się ów zajazd. Mówią tam po angielsku, dzięki czemu skończą się niebawem wszystkie pani trudności. Dobranoc.

— Dobranoc szanownemu panu. I proszę przyjąć moje najserdeczniejsze dzięki. Dobranoc. Rozstaliśmy się.

Wspomnienie o jego zachowaniu, nacechowanym taką życzliwością dla istoty bezbronnej, pozbawionej wszelkiej opieki, pobrzmiewający wciąż jeszcze w moich uszach dźwięk jego głosu,

93

zdradzającego naturę rycerską w stosunku do słabych i potrzebujących pomocy, zarówno jak jego młodzieńcza uroda, były dla mnie przez długi jeszcze czas pokrzepieniem. Uosabiał w moich oczach prawdziwy typ szlachetnie urodzonego młodego Anglika.

Poszłam spiesźnie naprzód wspaniałą ulicą i placem, okolonym okazałymi domami, ponad którymi górowały dumnie zarysy niezmiernie imponującego gmachu, pałacu czy kościoła, nie umiałabym powiedzieć. W tej samej chwili, kiedy mijałam jego bramę, wyłonili się z niej nagle dwaj wąsaci waszmoście, palący cygara i ubrani z wyraźną intencją uchodzenia za gentlemanów. Nie na wiele zdało się to jednak biedakom! Zdradzali zbyt jawnie dusze plebejskie. Przemówili do mnie tonem zuchwałym i mimo że starałam się iść, jak mogłam najszybciej, dotrzymywali mi kroku duży kawał drogi. W końcu wreszcie natrafiłam na rodzaj patrolu policyjnego, co uniemożliwiło moim prześladowcom dalszą pogoń za mną. Ta przygoda tak mnie oszołomiła, że kiedy wreszcie odzyskałam w pełni przytomność umysłu, nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Musiałam minąć już dawno owe schody. Stropiona, ledwie dysząc z przerażenia, z dzikim pulsowaniem krwi w żyłach, nie miałam pojęcia, w którą zwrócić się stronę. Drętwiałam na myśl, że mogę znów natknąć się na obu wąsatych i brodatych gburów, byłam jednak zmuszona ponownie odbyć drogę, która mnie tutaj przywiodła, aby odnaleźć wreszcie owe schody.

Szczęśliwie dotarłam w końcu do starych, zbutwiałych, wiodących w dół stopni i zeszałam po nich śmiało. Ulica, na którą prowadziły, była istotnie wąska, nie było na niej wszakże żadnego zajazdu. Na chodniku przy bardzo cichej, względnie czystej, wybrukowanej jezdni dostrzegłam światło palące się nad drzwiami dość okazałego domu, wyższego o jedno piętro od innych, jakie otaczały go z obu stron. Może to właśnie będzie zajazd, którego szukałam? Pospieszyłam w tę stronę. Kolana dygotały pode mną; bliska byłam zupełnego wyczerpania.

94

Nie był to zajazd. Mosiężna tabliczka, zdobiąca wielkie drzwi wejściowe, nosiła napis: Pensionnat de Demoiselles, a pod napisem widniało nazwisko Madame Beck.

Wzdrygnęłam się. W jednej chwili zawirowały mi w głowie setki myśli. Nie zrodził się w niej jednak żaden plan, nie powstała żadna decyzja. Nie było czasu na to. Głos opatrności wyraźnie podszeptał mi: „Nie idź dalej! Zatrzymaj się tutaj. To jest twój zajazd!”. Los uchwycił mnie mocno w dłonie, pokierował moją wolą i moimi czynami. Pociągnęłam za dzwonek.

W oczekiwaniu na otworzenie mi nie zastanawiałam się ani też nie rozmyślałam nad niczym. Wpatrzyłam się w kamienie bruku ulicznego, na które padało światło latarni, liczyłam je, przyglądałam się ich odcieniom i połyskowi wilgoci na krawędziach. Po chwili pociągnęłam za dzwonek powtórnie. Otworzono mi wreszcie. Stała przede mną pokojówka w eleganckim czepeczku.

— Czy mogę widzieć się z Madame Beck? — zapytałam. Przypuszczam, że gdybym zapytała o to po francusku, nie

zostałabym wpuszczona, że jednak mówiłam po angielsku, wyobraziła sobie widocznie, iż jestem cudzoziemską nauczycielką, przybyłą w sprawach związanych ze szkołą, i dlatego bez wahania wpuściła mnie pomimo tak późnej pory.

Wprowadzona do mieszkania, usiadłam w błyszczącym, zimnym salonie. W białym, porcelanowym piecu napalono tego dnia. Pstrzyło się tutaj od złotych ozdób, a posadzka była wywoskowana i lśniła jak lustro. Zegar, stojący na kominku, wybił godzinę dziewiątą. Minął kwadrans. O, jak gorączkowo pulsowała mi krew w żyłach! Robiło mi się zimno i gorąco na przemian. Siedziałam, utkwivszy oczy w drzwiach — w wielkich, białych, dwuskrzydłowych drzwiach ze złożonymi ozdobami. Wszystko jednak pozostawało nieporuszone; martwej ciszy nie zakłócał żaden odgłos. Białe drzwi były zamknięte, niedostępne.

— Czy pani Miss angielska? — rozległ się nagle głos tuż przy

95

mnie. Omal nie podskoczyłam, tak bardzo spłoszył mnie nieoczekiwany dźwięk wypowiedzianych słów; byłam całkiem pewna, że jestem w pokoju zupełnie sama. Przede mną nie stał jednak żaden duch ani też zjawa bezcielesna, ale pulchniutka, drobna kobietka w wielkim szalu, zarzuconym na szlafrok i w śnieżnobiałym, ozdobnym nocnym czepeczku.

Odpowiedziałam, że jestem Angielką i bezpośrednio po tym moim oświadczeniu nawiązała się pomiędzy nami rozmowa najbardziej niezwykła, jaka być może. Madame Beck (była to bowiem ona we własnej osobie) weszła tylnymi drzwiami, do których zwrócona byłam plecami, że zaś obuta była w kaptcie na miękkich filcowych podszwach, nie słyszałam ani jej wejścia, ani zbliżenia się do mnie. Okazało się jednak, że Madame Beck wygłoszonym zabawną angielszczyzną zapytaniem, czy jestem Angielką, wyczerpała całą swoją znajomość języka wyspiarskiego, od razu też przeszła na swój język rodowity, którym posługiwała się z niesłychaną, zawrotną wręcz elokwencją i płynnością. Odpowiadałam jej po angielsku. Zdaje się, że częściowo rozumiała mnie, że jednak ja zupełnie nie rozumiałam jej mowy, mimo że obie razem robiłyśmy przeraźliwie dużo wrzawy (nie tylko nie słyszałam do owego dnia, ale wprost nie mogłam wyobrazić sobie podobnego daru wymowy, jaki cechował Madame Beck) — nie bardzo mogliśmy się dogadać. W pewnej chwili wreszcie zadzwoniła po pomoc, która nadeszła w postaci jednej z maitresses, wychowywanej przez jakiś czas w irlandzkim klasztorze i dlatego uważanej za biegle władającą angielskim. Była to bardzo pewna siebie niewiasta, typowa, od stóp do głowy, La-bassecourienne — rodowita mieszkanka Labassecour, straszliwie kalecząca język Albionu, jako tako wszakże udało jej się przetłumaczyć na użytek Madame Beck opowiedziane przeze mnie treściwie i zupełnie bez upiększania moje dzieje. Opowiedziałam jej, dlaczego opuściłam moją ojczyznę w zamiarze rozszerzenia skromnego zakresu mojej wiedzy i zarabiania na własne utrzymanie.

Zapewniłam,

96

Że jestem gotowa pełnić wszelkiego rodzaju posługi, byleby powierzane mi zajęcia nie były nieuczciwe ani poniżające. Mogłabym na przykład być piastunką małych dzieci czy panną służącą, nie odmówiłabym też wykonywania wszelkich robót domowych dostosowanych do moich sił fizycznych. Madame wysłuchiwała tego wszystkiego, ja zaś, obserwując wnikliwie jej sposób reagowania na usłyszaną spowiedź, doznałam wrażenia, że trafiła jej do przekonania.

— *Il'y a que des Anglaises pour ces sortes d'entreprises* — stwierdziła — *sont elles intrepides ces femmes-lu!*

Wypytała mnie o imię, nazwisko, o mój wiek; siedziała, przypatrując mi się nie z politowaniem jednak ani nawet z zainteresowaniem: nie zdołałam podczas całej tej rozmowy podchwycić ani jednego objawu sympatii, ani cienia współczucia w jej zachowaniu i w wyrazie twarzy. Czułam, że nie należy ona do osób, które w najmniejszym stopniu

powodowałyby się w swoim postępowaniu względami uczuciowymi: poważna i skupiona wpatrywała się we mnie i słuchała, tłumaczonego przez wychowaną w Irlandii maitres-se, mojego opowiadania, trzeźwo rozważając szczegóły. Nagle rozbrzmiał dźwięk dzwonu. — *Voilà pour la priere du soir!*² — oznajmiła, wstając z krzesła. Przez naszą pośredniczkę w rozmowie poleciła mi, abym zjawiła się nazajutrz z rana, co nie odpowiadało mi jednak. Nie byłam w stanie znieść myśli narażenia się raz jeszcze na niebezpieczeństwa związane z samotnym wędrowaniem nocą po mrocznych ulicach. Zdobywszy się tedy na niezwykłą u mnie energię, w sposób spokojny wszakże i opanowany, zwróciłam się do niej osobiście, a nie za pośrednictwem *mattresse*:

— Mogę zapewnić łaskawą panią, że zaangażowanie mnie

1 Jedynie Angielki są zdolne do tego rodzaju przedsięwzięć; jakież nieustraszone są te kobiety!

2 To na modlitwę wieczorną.

97

bezzwłoczne będzie tylko z korzyścią, a nie ze szkodą dla pani: znajdzie pani we mnie osobę, której dążeniem będzie dać pracą swoją pełną równowartość otrzymywanej płacy. Jeśli zaś zdecyduje się pani przyjąć mnie, lepiej byłoby, abym pozostała już tutaj od razu na noc. Nie mam żadnych znajomych w *Villette*, w dodatku nie znam tutejszego języka, w jaki więc sposób mogłabym znaleźć gdzieś mieszkanie?

— To prawda — przyznała. — Mogłaby jednak pani przynajmniej powołać się na kogoś?

— Nie mogłabym. Na nikogo.

Zapytała mnie o mój bagaż. Powiedziałam, kiedy mogę liczyć na jego przybycie. Zamyśliła się. Chwilową ciszę przerwał nagle odgłos męskich kroków, zbliżających się pospiesznie ku drzwiom przedpokoju. Będę zdawała w dalszym ciągu sprawę z tego fragmentu moich przeżyć, jak gdybym rozumiała wówczas wszystko, co mówiono w związku z moją osobą, jakkolwiek bowiem w owym czasie sens prowadzonej rozmowy nader mgliście docierał do mojej świadomości, powtórzono mi te szczegóły później w przekładzie na angielski.

— *Monsieur Paul* — oznajmiła nauczycielka. — Był dzisiaj wieczorem na wykładzie w najwyższej klasie.

— O, pragnęłabym jego właśnie poradzić się w tej chwili. Proszę, niech pani zechce go poprosić.

Nauczycielka pobiegła ku drzwiom, aby wezwać pana Paula. Po chwili wszedł drobny, smagły, szczupły mężczyzna w okularach.

— *Mon cousin* — zwróciła się *Madame* do niego (był widocznie jej kuzynem) — chciałabym zasięgnąć twojej rady. Wiem, jak dobrze znasz się na fizjonomiach; chciałabym wykorzystać teraz tę twoją zdolność. Odczytaj tę oto. ,

Drobny człowieczek wpatrzył się we mnie przez szkła okularów. Stanowcze zacięcie warg i zmarszczenie brwi zdawało się zapowiadać, że zamierza przejrzeć mnie na wskroś.

98

— Odczytuję — oznajmił.

— *Et qu'en dites — vous?*¹

— *Mais — bien des choses*² — odpowiedział tonem wyroczni.

— Złych czy dobrych?

— I jednych, i drugich, niewątpliwie — odparł odgadywacz.

— Czy można zaufać temu, co mówi?

— Omawiasz z nią rzeczy ważne?

— Chce, abym przyjęła ją jako bonę czy guwernantkę; opowiedziała historię swojego życia, brzmiącą dość prawdopodobnie, nie może jednak przedstawić mi żadnych referencji.

Angielka, jak łatwo poznać.

— Mówi po francusku?

— Ani słowa.

— Rozumie przynajmniej?

— Nie.

— Można więc mówić swobodnie w jej obecności?

— Niewątpliwie.

— Potrzebne ci są jej usługi? — zapytał, nie odrywając ode mnie oczu.

— Mogłaby mi się przydać. Mam już dość Madame Svini.

Badał mnie wnikliwie wciąż jeszcze. Ostateczna opinia, kiedy nareszcie orzekł ją, była równie mglista i niezdecydowana, jak wszystko co wypowiedział uprzednio.

— Można ją przyjąć. O ile w tej naturze dobro góruje nad złem, postępek twój siłą rzeczy da w wyniku swoją nagrodę, o ile zaś zło — eh bien, ma cousine, ce sera toujours une bonne oeuvre³.

Ukłon, rzucone krótko bon soir — i sędzia wyrokujący o moim losie znikł za drzwiami.

1 I cóż ty na to?

2 O, bardzo wiele.

3 I cóż, kuzynko, będzie to zawsze dobry uczynek.

99

W wyniku narady Madame przyjęła mnie tegoż wieczoru. Zaoszczędzona mi została w ten sposób dzięki łasce opatrności konieczność ponownego znalezienia się w przytłaczająco ponurej, złowrogiej pustce ulicznej.

r

ROZDZIAŁ VIII

Madame Beck

Zdana na opiekę owej nauczycielki — maitresse, jak nazwała ją Madame Beck — przeszłam z nią przez długi wąski pasaż do kuchni, bardzo czystej, zarazem jednak wyglądającej dość niezwykle. Nie mogłam dostrzec w niej żadnego urządzenia do gotowania — ani komina, ani pieca: nie rozumiałam, że wielka czarna płyta na wysokiej podstawie, wypełniająca jeden róg pomieszczenia, sprawnie zastępowała wszelkie inne urządzenia kuchenne. Duma na pewno nie zdążyła jeszcze zakiełkować w moim sercu, mimo to doznałam uczucia ulgi, kiedy, wbrew przewidywaniu, zamiast być pozostawiona w kuchni, zostałam wprowadzona do niewielkiego pokoju, określonego jako cabinet. Kuchcik w białej płóciennej kurtce, krótkim spódniczkowatym fartuchu i sabotach przyniósł dla mnie wieczerzę, na którą składało się mięso, podane w kwaśnym jakimś, dziwnym, ale smacznym sosie, tłuczone kartofle, okraszone sama nie wiem czym — jak mi się zdaje oliwą — i przyprawione octem i cukrem — oraz kromkę chleba posmarowaną masłem, czyli tzw. tartine i osmażoną gruszkę. Byłam wygłodzona, zjadłam więc wszystko, szczerze wdzięczna za posiłek.

Po modlitwie wieczornej Prière du soir przysła sama Madame, aby przyjrzeć mi się raz jeszcze. Zażądała, abym poszła z nią na górę. Minąwszy długi szereg maleńkich zabawnych sypialni — które, jak dowiedziałam się później, były celami mniszek, jako że ta część domu pochodziła z bardzo dawnych czasów — potem kaplicę: długą, niską, ponurą salę, w której, bielejąc na ścianie, wisiał krucyfiks i stale płonęły dwie wielkie świece — zaprowadziła mnie do obszernej sypialni, gdzie w trzech łóżeczkach spało troje dzieci. Mocno rozgrzany piec czynił atmosferę tego pokoju osobliwie cię-

101

żką. W dodatku zalatywało tu czymś raczej mocnym niż subtelnym. Zapach zdumiewający istotnie i zgoła nieoczekiwany w pokoju sypialnym: mieszanina dymu papierosowego i jakiegoś napoju spirytusowego — krótko mówiąc — whisky.

Przy stole, na którym dopalała się świeca, topniejąca i kapiąca na podstawę, siedziała głęboko uśpiona kobieta o grubych, prostackich rysach, dziwacznie ustrojona w fałdzistą, pasiastą, jaskrawą jedwabną szatę i wełniany fartuch. Dla dopełnienia obrazu, nie pozostawiającego żadnych wątpliwości co do właściwego stanu rzeczy, wspomnieć należy o butelce i pustym kieliszku, stojących na stole przy uśpionej piękności.

Madame patrzyła na zdumiewający obraz z przedziwnym spokojem: nie uśmiechnęła się ani nachmurzyła; żaden wyraźny ślad gniewu, odrazy czy zdumienia nie zmącił równowagi jej dostojnego zachowania; nie obudziła nawet śpiącej. Wskazując obojętnym ruchem czwarte łóżko, dała mi do zrozumienia, że będzie ono moje. Zaraz po tym, zgasiwszy świecę, zamiast której zapaliła lampkę nocną, wysunęła się z pokoju drzwiami w głębi. Było to wejście do jej własnej sypialni, obszernego, dostatnio umeblowanego pokoju, jak mogłam zauważyć przez uchylone drzwi.

Moje modlitwy tego wieczoru były wyłącznie dziękczynne. Opatrzność cudownie kierowała moimi krokami od tego rana, ustalając mój los w sposób iście nieoczekiwany. Trudno mi było uwierzyć, że zaledwie czterdzieści osiem godzin upłynęło od chwili, kiedy opuściłam Londyn. Nie czuwała nade mną żadna inna opieka poza tą, która strzeże ptaki przelotne. Wyruszając w drogę, nie miałam żadnych innych widoków na przyszłość, prócz złudnych nadziei.

Sypiałam zawsze lekko; w nocy zbudziłam się nagle. W pokoju panowała zupełna cisza. Nic w nim nie poruszało się poza białą postacią — Madame w nocnej bieliźnie — snującą się bezszelestnie, przechodzącą od jednego łóżeczka dziecięcego do drugiego, potem

102
do trzeciego, i z kolei zbliżającą się do mojej pościeli. Udałam głęboko uśpioną, aby jej nie spłoszyć. Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę. Rozpoczęła się dziwna, ciekawa pantomima. Około kwadransa siedziała na krawędzi mojego łóżka, wpatrzona w moją twarz. Potem przysunęła się jeszcze bliżej, pochylona tuż nade mną, leciutko uniosła brzeg mojego czepeczka nocnego, tak aby móc widzieć ukryte pod nim włosy i przyjrzała się mojej ręce, leżącej na kołdrze. Napatrzywszy mi się snadź dostatecznie, skierowała z kolei swoją ciekawość ku stojącemu przy łóżku krzesłu, na którym było złożone moje ubranie. Słyszając, że je obmacuje i podnosi, rozchyliłam ostrożnie powieki, ciekawa, jak daleko ją zaprowadzi jej dziwny instynkt śledczy. Doprowadził ją bardzo daleko: do pilnego przejrzania i zbadania każdej sztuki oddzielnie. Domyśliłam się kierującego nią motywu. Była nim chęć utworzenia sobie — na podstawie stanu bielizny i ubrania — wyraźniejszego sądu o ich właścicielce, o jej pozycji towarzyskiej, o jej środkach, o umiłowaniu czy braku porządku. Cel nie był w zasadzie naganny, środki wszakże, użyte do osiągnięcia go, niezbyt godne ani możliwe do usprawiedliwienia.

Moja spódnica zaopatrzona była w kieszeń, którą Madame bez namysłu wywróciła podszewką na wierzch, przeliczyła pieniądze w mojej sakiewce, otworzyła mały notatnik, którego treść przejrzała ze spokojem, wyjęła spomiędzy kartek mały lok siwych włosów nieboszczki panny Marchmont. Szczególną uwagę zwróciła na pęczek kluczyków: jeden otwierający mój kuferek, drugi — pulpit i trzeci — pudełko do robót. Z tymi kluczykami przeszła na chwilę do swojej sypialni. Uniosłam się z lekka na łóżku, aby mocją obserwować. Otóż klucze te, łaskawy czytelniku, nie zostały przyniesione z powrotem, zanim nie pozostawiły na toalecie przyległego pokoju swojego odcisku w wosku. Po dokonaniu tego wszystkiego systematycznie i w porządku cała moja własność powróciła na uprzednio zajmowane miejsce, poukładana zupełnie tak, jak zwykłam to czynić ja sama.

103

Jakie wnioski, dotyczące mojej osoby, nasunęło Madame prze. prowadzone przez nią tak skrupulatnie śledztwo? Czy były one korzystne dla mnie, czy odwrotnie? Daremne pytanie. Kamienne oblicze Madame nie zdradzało niczym jej nastroju. Nieporuszone jak kamień było

ono w istocie tej nocy, gdy, przeciwnie, w salonie igrał na nim uśmiech macierzyński życzliwy.

Po spełnieniu swojego obowiązku — czułam, że uważa przeprowadzenie badania za swój święty obowiązek — wstała i bezszelestnie, niby cień, skierowała się ku własnej sypialni. Stanąwszy już przy drzwiach, odwróciła się, wpatrzona przez chwilę we właścicielkę butelki, uśpioną przez cały czas nieprzerwanie i głośno pochrapującą. Los pani Svini (łatwo było domyślić się, że musiała to być ona) był wyraźnie przypieczętowany, sądząc z wyrazu oczu Madame Beck. Nie mogła zachodzić co do tego żadna wątpliwość. Reakcja Madame na wykroczenia i zaniedbania mogła dać dłużej czy krócej czekać na siebie, musiała wszakże nastąpić nieuchronnie. Wszystko to było bardzo nieangielskie. Prawda jednak... znajdowałam się przecież w obcym kraju.

Następnego dnia poznałam bliżej panią Svini (po angielsku Sveeny). O ile mogłam wywnioskować, przedstawiła się ona swojej chlebodawczyni jako angielska dama, mająca chwilowo trudności materialne i pochodząca jakoby z Middlesex, a zatem mówiąca po angielsku, jak zapewniała, najczystszym akcentem stołecznym. Madame, ufna we własne, nie zawodzące jej nigdy metody wykrywania w porę istotnego stanu rzeczy — okazywała zdumiewającą odwagę przyjmowania personelu bez dłuższego namysłu. Wystarczający dała tego dowód w stosunku do mojej osoby.

Otóż Madame przyjęła panią Svini czy Sveeny na guwernantkę trojga swoich dzieci. Zbędne byłoby chyba moje wyjaśnienie czytelnikom, że dama owa była rodowitą Irlandką; trudno mi określić jej sytuację towarzyską, mimo że ona sama oświadczała z niezachwianym tupetem, jakoby „wychowywana była tak, jak zazwyczaj wy-

104

chowywane bywają córki i synowie markizów". Skłonna jestem jednak przypuszczać raczej, że była służącą, niańką, kucharką czy pomywaczką w jakiejś rodzinie irlandzkiej. Mówiła nieco złagodzonego akcentem irlandzkim, język jej nie był wolny jednak od wyrażen londyńskiego gminu. Nie wiadomo, jakimi drogami doszła do posiadania garderoby dość wątpliwej elegancji — sukien ze sztywnego, dość kosztownego jedwabiu, nie skrojonych przeważnie na jej figurę i dlatego wiszących na niej; czepeczków przybranych prawdziwymi koronkami i — głównej pozycji ubraniowego inwentarza, używającej jej osobie osobliwego nimbu, jaki otaczał ją w oczach domowników, zwykłych wzgardliwie traktować bony i guwernantki — prawdziwego szala indyjskiego — un verhable cachemire, jak określała go ze złością i podziwem sama Madame, niezdolna równie jak inni oprzeć się czarowi majestatycznych draperii, opływających szerokie plecy właścicielki. Jestem przekonana, że gdyby nie ten cachemire, pani Svini nie utrzymałaby dłużej niż dwa dni swojego stanowiska w pensjonacie. Jedyne dzięki szalowi pozostała jeszcze cały miesiąc.

Z chwilą wszakże kiedy dowiedziała się, że przyjęta zostałam na jej miejsce, ujawniła w pełni, kim jest, wyładowując swój gniew i oburzenie na Madame i oczywiście na mnie także. Madame zniósła jej wybuch z takim stoicyzmem, że i ja, przez samą ambicję, musiałam również zachować się ze spokojem... i godnością. Na jedną krótką chwilę oddaliła się Madame z pokoju i w dziesięć minut potem stanął przed nami rosły policjant. Pani Svini wraz z całym jej dobytkiem została usunięta z placu boju. Na czole Madame nie zarysowała się przez cały ten czas ani jedna zmarszczka gniewu, z ust jej nie wyszło ani jedno ostrzejsze słowo.

Cała krótka procedura wydalenia załatwiona została ostatecznie przed śniadaniem jeszcze: wymówienie posady pani Svini, wezwanie policjanta, wyrzucenie buntującej się, wywietrzenie i uprząknięcie chambre d'enfant — pokoju dzieciennego — otworzenie w

105

nim okien na oścież i zatarcie wszelkich śladów pozostawiania pani Svini przez cały miesiąc w pensjonacie przy Rue Fossette, aż do zapachu tytoniu i spirytualii, który tak niezbitcie ujawnił winę wydalonej.

Wszystko to dokonane zostało, zaznaczam, w ciągu krótkiego czasu pomiędzy chwilą wyłonienia się Madame Beck, niby Aurory, z konchy jej sypialni a momentem, kiedy, zupełnie opanowana już i chłodna, usiadła przy stole śniadaniowym, aby nalać pierwszą filiżankę kawy.

Około południa zostałam wezwana, aby dopomóc Madame przy ubieraniu (jak się okazało, moja posada miała mieć podwójny charakter: guwernantki dzieci i garderobianej pani domu). Do południa Madame krążyła po wszystkich pokojach w szlafroku, w zarzuconym na nim szalu i bezszelestnych filcowych kapciach. Ciekawa jestem, jak zapatrywałyby się na podobny obyczaj kierowniczką angielskiej pensji żeńskiej.

Ułożenie jej fryzury stanowiło dla mnie poważne zagrożenie; miała bardzo obfite włosy jasnokasztanowe bez domieszki siwizny, mimo że dobiegała czterdziestki. Zauważywszy moje zakłopotanie, rzekła tonem dobrotliwym:

— Nie była pani nigdy garderobianą we własnym kraju?

Wzięła z moich rąk szczotkę do włosów i odsunawszy mnie łagodnie, bez gniewu, na bok, uczesała się sama. Przy dokonywaniu czynności toaletowych na wpół kierowała mną i na wpół pomagała mi, nie zdradzając żadnych oznak zniecierpliwienia czy niezadowolenia. Po raz pierwszy, i po raz ostatni zarazem, zostałam tego dnia wezwana do ubierania jej. Odtąd obowiązek ten spadł na odźwierną Rozyne.

W pełnej gali prezentowała się Madame Beck jako osoba nieco krępa i korpulentna, mimo to pełna swoistego wdzięku. Miała cerę świeżą i zaróżowioną, nie nazbyt rumianą jednak; oczy—niebieskie o pogodnym wyrazie. Jej figura była kształtna, a ciemna jedwabna

106

suknia leżała na niej jak ulał, jak tylko francuskie modniarki potrafią skroić i uszyć suknię. Wyglądała w swoim stroju dobrze, jakkolwiek nieco po mieszczańsku zażywnie; była też w rzeczywistości typową mieszczką. Nie umiałabym powiedzieć, na czym polegała harmonijność całej jej postaci, twarz jej jedynie stanowiła pewien kontrast w zestawieniu z całością. Rysy jej różniły się od tych, jakie widzimy zazwyczaj przy cerze tak świeżej i wypoczętej; były poważne, nieomal surowe, czoło wysokie, ale wąskie, zdradzające wyższe uzdolnienia, zarazem pewną dobrotliwość, nie ujawniało wszakże na zewnątrz żadnych odczuć i nastrojów. Podobnie też jej spokojne, ale czujne oczy nie znały ognia zapału, mającego źródło w dobroci serca i w prawdziwej tkliwości, która ujawnia się w spojrzeniu. Usta jej były twarde, chwilami nawet ponuro zacięte; wargi miała wąskie. Pomimo całej pozornej jej wrażliwości i wysubtelnienia czułam, że Madame umiałaby być prawdziwym Minosem w spódnicy.

Wieloletnie obcowanie z nią nauczyło mnie, że potrafiłaby być także czymś innym jeszcze w spódnicy. Pełne jej imię i nazwisko brzmiało: Modesta Maria Beck, z domu Kint — née Kint — powinno było być: Ignacja. Była miłosierna i spełniała wiele dobrych uczynków. Nie istniała nigdy przełożona, rządząca w sposób łagodniejszy swoim państewkiem. Opowiadano mi, że nigdy nie robiła wymówek trudnej do zniesienia pani Svini, nawet bez względu na jej stały stan podchmienia, na zupełny jej brak poczucia porządku i na ogólne niedbalstwo. A jednak pani Svini została usunięta, zmuszona do odejścia, z chwilą kiedy jej odejście stało się pożądane. Dowiedziałam się również, że nigdy nikomu spośród personelu nauczycielskiego tego pensjonatu nie czyniono żadnych zarzutów. Skład jego zmieniał się jednak bardzo często; poszczególni członkowie znikali z widowni, a na ich miejsce zjawiali się inni, przy czym nikt nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób i dlaczego tak się stało.

Zakład wychowawczy był zarazem internatem i szkołą dla uczennic przychodzących z miasta. Liczba tych ostatnich wynosiła

setkę, przewyższając pięciokrotnie liczbę pensjonarek stałych, których było zaledwie około dwudziestu. Madame miała, jak się zdawało, wybitne zdolności administracyjne; kierowała wszystkim, nie wyłączając czterech nauczycielek, ośmiu wychowawczyń, sześciorga służby i trojga własnych dzieci, dając sobie poza tym świetnie radę z rodzicami uczennic i pensjonarek, opiekunami ich i przyjaciółmi. Przychodziło jej to łatwo na pozór, bez wysiłku; robiła wszystko spokojnie, bez hałasu i zamętu, znużenia i rozgorączkowania, bez śladu zbędnego zgoła podniecenia. Była stale zajęta, rzadko wszakże zapracowana. Prawda, że miała własny system wprowadzania w ruch i regulowania całej maszynierii, bardzo sympatyczny zresztą system, z którego próbką zapoznał się czytelnik, asystując — w opisie — przy akcji wywracania mojej kieszeni podszewką na wierzch i przeglądania moich prywatnych notatek.

Surveillance—ściśły nadzór i espionnage—szpiegostwo były jej hasłami.

Nie należy jednak przypuszczać, aby Madame miała być pozbawiona poczucia uczciwości: wiedziała, co to jest prawość i ceniła ją — to znaczy, o ile nie narzucała niezręcznych skrupułów jej woli ani jej interesom. Żywiła szacunek dla Angletterre jako kraju; jeśli chodzi o Angielki — les Anglaises, postanowiła, że nie powierzy pielęgnowania własnych dzieci kobietom żadnej innej narodowości, o ile to będzie tylko zależało od niej.

Często wieczorami, po wysłuchaniu plotek i sprawozdań z knutych intryg, a potem pokierowaniu kontrofensywą, aby pokrzyżować zamiary ich autorów, po szpiegowaniu osobistym i odebraniu raportów od swoich konfidentek, przychodziła do mojego pokoju na górę z wypisanymi wyraźnie na czole oznakami zmęczenia, siadała na fotelu i przysłuchiwała się pacierzom, odmawianym po angielsku przez jej małą trójkę: tym trojgu katolickim dzieciom wolno było śpiewać pod moim kierunkiem hymn „Słodki Jezusie” i odmawiać angielskie modlitwy. Po ułożeniu przeze mnie dziatwy do łóżeczek

pozostawała jeszcze, gawędząc ze mną (wkrótce zrobiłam takie postępy we francuskim, że nie tylko rozumiałam ją, ale potrafiłam nawet jej odpowiadać). Tematem naszych rozmów była Anglia i kobiety angielskie, a także powody, które skłaniały Madame do uznawania ich wyższości intelektualnej, a nade wszystko ich wyższej i bardziej godnej zaufania moralności. Często w takich pogawędkach ujawniała wiele rozsądku i zdrowych poglądów. Zdawała sobie na przykład dokładnie sprawę, że zamykanie dziewczętom oczu na prawdy życiowe, stałe okazywanie im uwłaczającej nieufności przez nieustanne czuwanie nad nimi, bez pozostawiania im chwili swobody czy kącika, gdzie mogłyby uniknąć owej tak ciężkiej im surveillance — nie jest najwłaściwszą metodą wychowania ich na uczciwe, skromne kobiety. Zarazem jednak zapewniała mnie, że stosowanie innych metod przy wychowywaniu dziewcząt na kontynencie doprowadziłoby nieuchronnie do wyników wręcz katastrofalnych: tak przywykły do stałego nadzorowania i ograniczania swobody, że najłżejsze odstępstwo od tego systemu byłoby fałszywie rozumiane i fatalnie nadużywane. Oświadczała, że jej samej obmierzły sposoby, jakie musi stosować, nie może ich jednak zaniechać. Często po takich oświadczeniach, zazwyczaj wypowiedzianych w rozmowie ze mną z wielką godnością i subtelnością, odchodziła, aby przekradać się jak duch po całym domu na swoich cichostępach — souliers de silence, jak je nazywała, podglądając i szpiegując wszystko, zaglądając przez każdą dziurkę od klucza, podsłuchując pod każdymi drzwiami.

Należy jednak oddać Madame sprawiedliwość, że system jej nie był zły. Trudno było o lepsze zarządzenia, aniżeli te, jakie wprowadziła, mając na względzie zdrowie fizyczne swoich wychowanek. W szkole jej nie przeciążano młodych umysłów; lekcje były umiejętnie rozłożone i dostosowane do poziomu intelektualnego uczennic, aby możliwie ułatwić im przyswajanie wiedzy. Dbano w dostatecznej mierze o rozrywki dla dziewcząt i o ćwiczenia fizyczne,

niezbędne dla wyrobienia sprawności ich mięśni; odżywianie był obfite i smaczne, i może dzięki wszystkim tym warunkom nie wi działo się w instytucie wychowawczym przy Rue Fossette twarz bladych ani mizernych. Madame nigdy nie skąpiła dziewczęto-ferii, wyznaczała im dość czasu na sen, na ubieranie się, mycie i jedzenie. W tych sprawach kierowała się zawsze tolerancją i rozsądkiem, a nade wszystko dbałością o zdrowie pupilek. Niejedna surowa przełożona internatu i szkoły angielskiej dobrze zrobiłaby, gdyby chciała ją naśladować. Przypuszczam nawet, że niejedna zrobiłaby to chętnie, gdyby pozwolili na to wymagający angielscy rodzice.

Posługując się niezawodną w jej pojęciu metodą espionnage, Madame musiała oczywiście utrzymywać dokoła siebie cały sztab szpiegów: nie miała jednak bynajmniej złudzeń co do wartości tych „narzędzi” swojej pracy. Nie żywiła żadnych skrupułów, o ile chodziło o użycie najbrudniejszych spośród nich do osobliwie brudnych spraw, odrzucając w następstwie swoje pomocnice, jak odrzucamy łupiny, obierzyny i skórki po należytych wyciśnięciu soku z owocu. Bywała natomiast wyjątkowo wybredna w doborze szlachetnego kruszcu do czystego użytku. A kiedy udało jej się znaleźć nieskazitelne, nierdzewne narzędzie, umiała należycie ocenić jego wartość, i starannie owijała je w jedwab i watę.

Biada wszelako temu — zarówno mężczyźnie, jak kobiecie — kto liczyłby na nią, przekraczając o jeden cal chociażby obszar, w którego granicach leżało w jej własnym interesie być godną tego zaufania. Interes był podstawowym kluczem jej natury, główną sprężyną jej czynów, alfą i omegą jej życia. Bywałam świadkiem odwoływania się ludzi do jej u c z u ć; naiwność odwołujących się budziła we mnie jedynie uśmiech politowania i szyderstwa.

Tą drogą nie trafił do niej nigdy nikt, ani też nie zdołał nikt nigdy odwieść jej od zamierzeń. Próba poruszenia jej serca była, wręcz przeciwnie, najpewniejszą drogą wzbudzenia jej antypatii i zrobienia sobie z niej skrytego wroga. Starczyła jej za dowód, że nie

ma serca, które można byłoby wzruszyć: przypominała jej własną niemoc i martwość w tym punkcie. Różnica zachodząca pomiędzy dobroczynnością a miłosierdziem nie uwydatniała się nigdy wymowniej, aniżeli na jej przykładzie. Wyzbyta współczucia, miała jednak dostateczny zasób wyrozumowanej dobroczynności, obdarzała chętnie ludzi, których nie oglądała nigdy na oczy — chętniej wszelako grupy społeczne, aniżeli poszczególne osoby. Pour les pauvres — dla biednych — otwierała szeroko swoją sakiewkę; wobec biedaka trzymała ją zazwyczaj szczelnie zamkniętą. W organizacjach filantropijnych, mających na względzie ogół społeczeństwa, brała udział z szczerą gotowością, nie wzruszała jej natomiast niczyja troska osobista. Żadne cierpienie, nagromadzone w jednym sercu, nie było zdolne przejąć jej szczerym współczuciem. Niczyja Kalwaria, żadna męka w Getsemani, nie wycisnęłyby jednej łzy z jej oczu.

Powtarzam raz jeszcze, że Madame była wybitną i wielce u-zdolnioną kobietą. Szkoła była dla jej uzdolnień nazbyt ograniczonym polem działania; powinna była rządzić całym narodem, przewodniczyć roznamiętnionemu, hałaśliwemu zgromadzeniu prawodawczemu. Nikomu nie udało się pokonać jej, stropić jej swoim zuchwalstwem, wyprowadzić z równowagi stalowych nerwów, wyczerpać jej cierpliwości ani okazać się przebieglejszym i sprytniejszym od niej. W jednej swojej osobie potrafiłaby połączyć — i umiejętnie im sprostać — obowiązki prezesa ministrów i głównego naczelnika policji. Mądra, stanowcza, nie cofająca się przed popełnieniem zdrady; skryta, podstępna, wyzbyta namiętności; przenikliwa i nieczuła — a przy tym umiejąca z najwyższą perfekcją zachować należyte pozory — czegoż jeszcze można było żądać?

Rozsądny czytelnik nie przypuści chyba, że zdobyłam wszystkie powyżej streszczone na jego użytek wiadomości w ciągu jednego miesiąca czy jednego półrocza nawet. Nie! Tym, co uderzyło mnie na pierwszy rzut oka, była kwitnąca strona zewnętrzna wielkiego i

111

cieszącego się świetnym powodzeniem zakładu wychowawczego. Obszerny dom, pełen zdrowych, wesołych, ochoczych dziewcząt, jedna w drugą starannie ubranych i przeważnie przystojnych, zdobywających wiedzę, podawaną im cudownie uproszczoną metodą, bez udręki nadmiernego wysiłku i zbędnego przeciążania pamięci; nie wykazujących może zdumiewająco błyskawicznych postępów w niczym, może nawet prześlizgujących się po powierzchni wielu dziedzin wiedzy, zawsze jednak zajętych pracą, nie znających znużenia ani przygnębienia. Personelowi nauczycielskiemu i wychowawczemu tego zakładu stawiano nader surowe wymagania: cała faktyczna ciężka praca obarczała go właśnie, byleby oszczędzić wychowawce i uczennice. Obowiązki ciała pedagogicznego były wszakże tak przewidująco i z taką ścisłością obmyślane, że wszyscy razem pomagali sobie, zastępowali i dopełniali się wzajem, gdziekolwiek zbyt trudno było jednej osobie podołać szczególnie zawilemu zadaniu.

Była to, słowem, szkoła cudzoziemska, obca dla mnie i tym ciekawsza. Jej odmienny system nauczania, pomysłowość i różnorodność metod czyniła z niej zupełny, osobliwie pociągający kontrast w zestawieniu z większością angielskich instytucji tego rodzaju.

Na tyłach domu mieścił się duży ogród, dzięki czemu w lecie wychowanki przebywały stale niemal na świeżym powietrzu pośród krzewów róż i drzew owocowych. W obszernej, oplecionej dzikim winem altanie, nazywanej zabawnie kołyską — berceau — spędzała Madame w lecie popołudniowe godziny, wzywając do siebie uczennice kolejno, klasami, jedną po drugiej, aby, zgrupowane dokoła niej, szyły pod jej kierunkiem, słuchając głośnego czytania. Do ogrodu również przychodzili profesorowie i nauczycielki, wygłaszając krótkie, ale bardzo ciekawe pogadanki i odczyty, umiejętnie zastępujące stereotypowe lekcje; uczennice robiły notatki wedle ich wskazówek albo też n i e robiły ich — zależnie od własnej woli i nastroju — pewne, że w razie zaniedbania tego obowiązku będą

112

mogły przepisać notatki pilniejszych koleżanek. Niezależnie od stałych comiesięcznych jours de sortie — dni wychodnych — według obrządku katolickiego obchodzenie świąt dostarczało w ciągu roku szkolnego wiele dodatkowych wolnych dni. Czasem też, w pogodne letnie popołudnia, zabierano pensjonarki na długie przechadzki po okolicy. Zaopatrywano się wówczas w gaufres — ciasteczka — przegryzane do wina — vin blanc, albo też raczono się świeżo udojonym mlekiem i kromkami razowego chleba — pain bb, lub pistolets au beurre — podłużnego kształtu białym pieczywem — z masłem, albo też popijano kawą. Wszystko to wydawało się bardzo przyjemne, Madame — wcieloną dobrocią, nauczycielki wcale nie tak złe — mogłyby być przecież gorsze — a uczennice może nieco hałaśliwe i rozbrykane, ale zdrowe i zadowolone.

Takim ukazał mi się zrazu zakład wychowawczy Madame Beck, oglądany z dystansu. Rychło wszakże nadejść miał czas, kiedy dystans ten rozwiął się, to znaczy, kiedy wezwano mnie do zejścia na dół z samotnej wieży, jaką był dla mnie pokój dziecinny, z którego do tego czasu robiłam moje obserwacje. Odtąd miałam wejść w bliższy, bezpośredni kontakt z małym światkiem z Rue Fossette.

Pewnego dnia siedziałam na górze, jak zwykle zajęta z trójką dzieci odrabianiem lekcji angielskiego i równocześnie nicowaniem jedwabnej sukni Madame, kiedy nagle zjawiała się ona sama, poważnie zamyślona, jak gdyby zatroskana, co przydarzało się od czasu do czasu, nadając jej wyraz pewnej wyższości i oderwania. Osunąwszy się na krzesło, stojące naprzeciw mnie, kilka minut przysłuchiwała się w milczeniu. Desirée, najstarsza

dziewczynka, czytała na głos łatwy szkic pani Barbaud, tłumacząc go dość płynnie z angielskiego na francuski. Madame słuchała z zainteresowaniem.

Nagle, bez żadnych wstępów ani przygotowań, powiedziała tonem stwierdzenia faktu raczej, aniżeli pytania:

— Była pani w Anglii nauczycielką.

113

— Nie, mylił się pani.

— Jest to więc pani pierwsza próba nauczania? Na moich dzieciach?

Zapewniłam ją, że tak. Jest. Zamilkła ponownie, kiedy jednak podniosłam głowę, aby wyjąć szpilkę z leżącej przede mną po-duszczeni, przekonałam się, że byłam przedmiotem wnikliwej obserwacji ze strony Madame: zdawała się, studiując mnie pilnie i rozmyślając równocześnie nad czymś związanym z moją osobą, oceniać czy i o ile nadam się do, jej samej tylko wiadomych, zamierzeń i celów. Do owego czasu zdążyła pilnie przetrząsnąć już wszystko, co było w moim posiadaniu, powinna więc być chyba uważać, że dostatecznie poznała mnie na tej podstawie. Począwszy wszakże od tego dnia poddała mnie nowym próbom, które trwały około dwóch tygodni, podsłuchiwała pod drzwiami dzieciennego pokoju, kiedy byłam zamknięta w nim z dziećmi; śledziła mnie — z odległości ~_ kiedy wychodziłam z nimi na przechadzkę.

Po sumiennym przeprowadzeniu wstępnych przygotowań wywiadowców zrobiła krok decydujący.

Pewnego dnia podeszła do mnie nagle, jak gdyby w pośpiechu, i zakomunikowała mi> że znalazła się wobec pewnej trudności. Pan Wilson, nauczyciel języka angielskiego, nie przyszedł o właściwej godzinie; zachodzi obawa, czy nie jest chory, uczennice czekają na niego w klasie; nie ma na razie nikogo, kto mógłby go zastąpić. Czy nie miałabym w tym jednym wypadku nic przeciwko urzędzeniu dla klasy małego dyktanda, aby nie nazywało się, że godzina lekcji angielskiego została stracona?

— W klasie, proszę pani? — zapytałam.

— Tak, w klasie. W drugim oddziale.

— W którym jest sześćdziesiąt uczennic — rzekłam. Wiedziałam o tym i z moim zwykłym haniebnym tchórzostwem usiłowałam zamknąć się w gnuśności, jak ślimak w swojej skorupie, pod pretekstem nieudolności i braku wprawy, byleby uniknąć zdobycia się na

114

odważny czyn. Gdyby pozostawiono mi wolność wyboru, pozwoliłabym niewątpliwie, że zwykłą moją biernością, aby ominęła mnie ta wyjątkowa okazja. Mój brak odwagi i ambitnych, podniecających do czynu, pobudek praktycznych sprawił, że gotowa byłam przesiedzieć dwadzieścia lat, ucząc dzieci z elementarza, nicując suknie Madame i szyjąc dla małych ubranka. Nie dlatego bynajmniej, aby prawdziwe zadowolenie z mojego losu miało usprawiedliwiać tę dobrowolną rezygnację. Rodzaj mojego zajęcia nie odpowiadał moim upodobaniom ani też nie budził osobliwego zainteresowania, już to samo jednak wydawało mi się wielką wygraną, że wolna byłam od ciężkich trosk i niepokojów: brak poważniejszych strapień był najbardziej zbliżony do szczęścia, jakiego miałam nadzieję zaznać kiedykolwiek. Poza tym żyłam jakby w podwójnym świecie: duchowym i realnym. Myślami przebywałam w dziwnej krainie upiornych rojeń i fantazji, zaś moje czyny ograniczały się do zdobywania chleba powszedniego i zapewniania sobie dachu nad głową całodzienną pracą zarobkową.

— Niech pani zejdzie ze mną — przynagliła mnie Madame, mimo że pochyliłam się ze zdwojoną gorliwością nad przykrawaniem fartuszka dziecięcego. — Odłóż pani tę robotę na kiedy indziej.

— Ale Fifince potrzebny jest ten fartuszek — próbowałam protestować.

— Fifinka będzie musiała obejść się bez niego, bo ja nie mogę obejść się bez pani.

A ponieważ byłam rzeczywiście potrzebna Madame, która tego dnia nie mogła naprawdę obejść się beze mnie, postanowiła zabrać mnie — tym bardziej że od dawna już była niezadowolona z nauczyciela języka angielskiego, z jego wykroczeń przeciwko bezwzględnie obowiązującej w jej szkole zasadzie punktualności, a także z jego niedbałej metody nauczania. Że zaś nie brakło jej stanowczości i umiejętności praktycznego rozwiązywania zagad-

115

nień, bez ceremonii wyjęła mi nożyczki z rąk, ujęła za ramię i sprowadziła na dół. Kiedy znalazłyśmy się obie w *carre*, jak zwano czworoboczny hall na dole, oddzielający dom mieszkalny od pomieszczeń szkolnych, zatrzymała się, puściła moją rękę i ogarnęła mnie badawczym spojrzeniem, stwierdziwszy, że jestem czerwona jak rak i dygocę wyraźnie od stóp do głowy. Myślę nawet — choć wstyd mi przyznać się do tego — że miałam łzy w oczach.

Trudności, wobec jakich stanęłam, nie były w istocie wyimaginowane, niektóre z nich były nawet aż nadto realne. Przede wszystkim polegały na braku należytego opanowania środka pomocniczego, jakim zmuszona byłam posługiwać się przy nauczaniu. Po przybyciu do *Villette* uczyłam się wprawdzie pilnie języka francuskiego, poznając jego arkana praktycznie w ciągu dnia, zaś teorię w każdej wolnej chwili wieczorem aż do najpóźniejszej godziny, do której przepisy domowe pozwalały na palenie lampy, mimo to daleka byłam jeszcze od ufania swojej zdolności poprawnego wysławiania się w tym języku.

— *Dites donc* — odezwała się Madame surowo — *vous sentez — vous reellement trop faible?* Mogłam powiedzieć „tak”, powrócić do pokoju dziecinnego i tam pleśnieć może przez całą resztę mojego życia. Spojrzawszy wszakże na Madame, podchwyciłam w wyrazie jej oczu coś takiego, co kazało mi dobrze namyślić się przed powzięciem decyzji. W tej chwili nie sprawiała wrażenia łagodnej, tkliwej kobiety, ale stanowczego, despotycznie władczego mężczyzny. Niezwykła siła woli, jakiej ja sama nie miałam nigdy, napięta była w każdym rysie jej twarzy, nie budząc jednak we mnie ani wtóru, ani sympatii, ani także chęci podporządkowania się jej. Zdawać się mogło, jak gdyby dwie przeciwstawne natury rzuciły sobie wzajem wyzwanie; uświadomiłam sobie też nagle, jaką hańbą jest ta moja niewiara we własne siły,

1 Niech pani powie, czy naprawdę nie czuje się pani na siłach?

116

moja małoduszność i bierność, moja opieszałość w dążeniu ku lepszemu.

— Czy chce pani cofnąć się, czy iść naprzód? — zapytała, wskazując ręką najpierw małe pojedyncze drzwi, prowadzące do domu mieszkalnego, a potem na wielkie, monumentalne podwoje sal klasowych.

— *En want!* — *Naprzód!* — rzekłam.

— Czy ma pani jednak odwagę stanąć wobec klasy, czy może jest pani nadmiernie podniecona? — dodała wyraźnie chłodnąc, w miarę jak ja się ożywiałam, nie przestając wszakże wpatrywać się we mnie twardo i budząc tym tak wielką moją odrazę, że to samo wystarczyło już, aby natchnąć mnie siłą i stanowczością.

Powiedziała to tonem z lekka szyderczym: podniecenie nerwowe nie należało do przejawów będących w guście Madame.

— Nie jestem bardziej podniecona niż ten kamień — odparłam, uderzając nogą w flizę posadzki — ani też od pani samej — dodałam, patrząc jej prosto w oczy.

— *Bon!* — Dobrze. Muszę jednak uprzedzić panią, że nie są to spokojne, dobrze ułożone dziewczęta angielskie, z którymi będzie pani miała do czynienia. *Ce sont des Labassecouriennes, rondes, franches, brusqu.es, et tant soit peu rebelles.* — Są to rodowite *Labassekuryjki*, śmiałe, szorstkie i buntownicze poniekąd.

— Wiem — odparłam — i wiem również, że pomimo pilnego uczenia się języka francuskiego od czasu mojego przybycia tutaj, wciąż jeszcze zbyt opornie nim władam, zbyt mało poprawnie mówię po francusku, aby wzbudzić w dziewczętach tutejszych szacunek. Wiem, że będę robiła błędy, które narażą mnie na szyderstwo największych ignorantek. Mimo to postanowiłam przeprowadzić tę lekcję.

— Nie mają one nigdy uznania dla nieśmiałych nauczycieli — rzekła.

— I o tym wiem także, proszę pani; słyszałam o ich buntowaniu się przeciwko pannie Turnet i o sposobie, w jaki ją prześladowały.

Panna Turnet była biedną, nie mającą tutaj żadnych przyjaciół nauczycielką języka angielskiego, którą Madame zaangażowała, a potem oddaliła bez pardonu. Jej żalosne dzieje nie były mi obce.

— Cest vrai — to prawda — rzekła oziębłe. — Panna Turnet nie umiała zyskać sobie większego poważania, niż gdyby była zwyczajną pomocnicą kuchenną. Była osobą słabej woli, niezdecydowaną, nie miała taktu ani inteligencji, ani stanowczości, ani także Poczucia własnej godności. Panna Turnet nie nadawałaby się zupełnie dla tych dziewcząt. Nie odpowiedziałam. Skierowałam się bez słowa ku zamkniętym drzwiom, prowadzącym do klasy.

— Nie może pani liczyć na moją pomoc, ani na niczyją inną — ostrzegła Madame. — Napiętnowałoby to panią od razu jako niezdolną do pełnienia powierzonego jej zadania. Otworzyłam drzwi, przez grzeczność pozwalając jej wejść pierwszej, a potem weszłam zaraz za nią. Były trzy pokoje klasowe, Wszystkie obszerne. Klasa wyznaczona dla drugiego oddziału, w której miałam właśnie wystąpić w roli wykładowczyni, była znacznie większych rozmiarów niż dwie pozostałe, dzięki czemu nadawała się do pomieszczenia gromady o wiele liczniejszej, hałaśliwej i nieskończenie trudniejszej do opanowania aniżeli tamte dwie. Później, kiedy lepiej zapoznałam się z warunkami miejscowymi, Przychodziło*mi czasem na myśl (o ile wolno przeprowadzić podobne porównanie), że spokojny, utemperowany, ogładzony pierwszy oddział pozostawał w takim samym stosunku do buńczucznego, agresywnego oddziału drugiego, w jakim angielska Izba Lordów Pozostaje do angielskiej Izby Gmin.

Na pierwszy rzut oka dostrzegłam, że dość liczne jednostki spośród uczennic były już czymś więcej niż młodymi dziewczętami — były dojrzałymi bez mała młodymi kobietami.

Wiedziałam, że

118

niektóre z nich pochodziły z rodzin arystokratycznych — specyficznego typu arystokracji Labassecour — byłam też przeświadczona, że ani jedna nie pozostaje w nieświadomości stanowiska, jakie zajmowała w domu Madame Beck. Wstąpiwszy na podniesioną o jeden tylko stopień ponad poziom podłogi katedrę, na której stało krzesło nauczyciela oraz jego pulpit, ujrzałam naprzeciwko siebie szereg utkwionych we mnie groźnych oczu i skupionych surowo, zdradzających burzliwy wyraz twarzy — oczu, w których czały się złowrogie błyski, i twarzy nieporuszonych, twardych jak marmur.

„Płeć żeńska” na kontynencie uosobiona jest przez istoty odmienne od „wyspiarek”, należących do tej samej warstwy społecznej i do tego samego wieku: nie widywałam nigdy w Anglii takich oczu i twarzy o takim wyrazie. Madame Beck przedstawiła mnie jednym obojętnym, wypowiedzianym chłodno, krótkim zdaniem, wyszła dostojnym krokiem z pokoju i pozostawiła mnie samą w mojej nowej roli.

Nie zapomnę nigdy tej pierwszej lekcji ani też nieprzeczuwanego podziemnego nurtu życia i charakterów, jakie odsłoniła ona przede mną. Po raz pierwszy zaczęłam wówczas jasno zdawać sobie sprawę z przepastnej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy idealną jeune filie — młodym dziewczęciem — w opisach poetów i powieściopisarzy, a tą samą jeune filie, jaką jest ona w rzeczywistości.

Jak się zdaje, trzy utytułowane młode panie z pierwszego rzędu zajęły swoje miejsca, z góry już powziąwszy postanowienie, że une bonne d'enfant — służąca do dzieci, bona czy nianka — nie będzie udzielała im lekcji języka angielskiego. Udało im się dotychczas usunąć trzy nauczycielki, które im nie odpowiadały. Nie było też dla pewnych siebie młodych dziewcząt tajemnicą, że Madame nie zawaha się w każdej chwili wyrzucić nauczyciela czy mattresse, którzy nie będą umieli zyskać uznania uczennic, że nigdy nie stanie ona po stronie niezdolnych obronić się i nie pomoże im utrzymać posady.

119

Jeśli oni sami nie okażą dość siły do walki czy dość taktu, niezbędnego do zdobycia szacunku, los ich będzie przesądzony. Dlatego też wpatrzono złowrogo w „Miss Snowe”, obiecywały sobie łatwe nad nią zwycięstwo.

Panny: Blanche, Virginie i Angélique rozpoczęły kampanię serią tłumionych szeptów i chichotów, które rychło przerodziły się w głośniejsze śmiechy i pomruki, podchwycone przez dalsze rzędy i powtórzone przez nie jeszcze głośniej. Ten wzmagający się bunt sześćdziesięciu przeciwko jednej stał się niebawem upiornie dręczący, zwłaszcza wobec słabego mojego władania francuszczyzną, którą musiałam się posłużyć w tak okrutnych warunkach.

Gdybym mogła przemówić po angielsku, czułam, że zdołałabym zyskać posłuch. Mim^o ze sprawiałam wrażenie istoty słabej i pod wieloma względami byłam nią w rzeczywistości, to jednak natura obdarzyła mnie donośnym głosem, zwłaszcza gdy jego siłę potęgowało podniecenie czy pogłębiało wzruszenie. Nadto, jakkolwiek w normalnych warunkach mowa moja nie wyróżniała się po-toczystością ani swadą, kapiąc cienkim, urywanym strumykiem, jednakże pod wpływem szczególnej podniety — jaką była dla mnie teraz w najwyższym stopniu ta zbuntowana przeciwko mnie gromada — potrafiłabym od razu znaleźć gotowe angielskie frazesy, tak silnie piętnujące ich zachowanie, jak zasługiwało ono na to. Sarkazm, zaprawiony goryczą wzgardy dla zapaśniczek, złagodzony łatwą drwiną ze słabszych, a zarazem mniej nikczemnych naśladow-czyń, pomógłby mi prawdopodobnie opanować rozwydrzoną, dziką hałastrę i nakłonić ją do opamiętania. W obecnych wszakże warunkach jedyne, co mi pozostało do zrobienia, było podejść do Blanche — panny de Melcy, młodej baronówny — najstarszej, najwyższej, najprzystojniejszej, najbardziej znarowionej i krnąbrnej ze wszystkich trzech przywódczyń — stanąć przed jej pulpitem, wyrwać jej z ręki zeszyt r ćwiczeniami, powrócić na katedrę i rozmyślnie głośno przeczytać jej wypracowanie, niesłychanie głupie i nieudolne, i rów-

120

nie rozmyślnie wobec całej klasy przedrzeć na dwoje poprzekreślaną i pozamazywaną stronicę.

Aktem tym ściągnęłam na siebie uwagę wszystkich i zahamowałam dalsze hałasy. Jedna już tylko uczennica, siedząca daleko w tyle, nie przestawała awanturować się z niewyczerpaną energią. Spojrzałam na nią badawczo. Miała bladą twarz, kruczoczarne włosy, szerokie, gęste brwi, wyraziste rysy oraz ciemne, o buntowniczym, ponurym błysku oczy. Siedziała tuż przy małych drzwiczkach, które, jak wiedziałam, łączyły pokój klasowy z małym schowkiem, służącym za składnicę książek. Dziewczyna wstała z miejsca, aby móc z większą energią i swobodą hałasować i podniecać koleżanki do cz 'nienia zamętu. Zmierzyłam wzrokiem jej wzrost, aby ocenić jej siic; wydawała się wysoka i sprawna, przyszło mi jednak na myśl, że o ile atak spadnie na nią nieoczekiwanie i zderzenie nasze będzie błyskawiczne, może potrafię sobie z nią poradzić.

Przeszłam przez klasę krokiem tak spokojnym i tak obojętnym, na jaki tylko stać mnie było w danych warunkach. Nie dając nic poznać po sobie, wyglądając na niewiniątko — n'ayant l'air de rien

— jak wyrażano się tutaj — pchnęłam lekko drzwi, które okazały się uchylone. Równocześnie nagłym zwrotem przyskoczyłam do dziewczyny, która po chwili znalazła się za drzwiami, zamkniętymi przeze mnie na klucz, który spoczął na dnie kieszeni. Dziewczyna ta — na imię jej było Dolores — pochodziła z Katalonii. Znienawidzona przez wszystkie koleżanki ze względu na swoją obcość, budziła w nich zarazem lęk. Dzięki temu prawdopodobnie doraźne wymierzenie jej przeze mnie sprawiedliwości zyskało poklask całej klasy. Nie było ani jednej wśród obecnych, która w głębi duszy nie pochwalałaby mojego sposobu zareagowania i nie byłaby mu rada. Na chwilę uciszyło się wszystko, potem uśmiech — nie śmiech, tylko uśmiech — zarysował się na ustach wszystkich — od pulpitu do pulpitu. Poważnie i spokojnie powróciłam na katedrę i tonem stanowczym, nie dopuszczającym sprzeciwu, naka-

121

załam ciszę, przystąpiwszy od razu do dyktowania, jak gdyby nic w ogóle nie zaszło. Zaskrzypiały pióra, posuwając się posłusznie po papierze i cała lekcja odbyła się spokojnie, w porządku i bez żadnych przeszkód.

— Cest hien — wyraziła Madame swoje uznanie, kiedy z wypiekami na twarzy i nieco wyczerpana wyszłam z klasy. — Ca ira!

Podsluchiwała i podpatrywała przez cały czas przez maleńkie okienko j udaszowe.

Od tego dnia przestałam być piastunką małej trójki Madame Beck i awansowałam na nauczycielkę języka angielskiego. Madame podniosła mi pensję, kazała mi jednak pracować trzy razy więcej, niż pracował pan Wilson, płacąc mi połowę tego, co jemu.

1 Dobrze... Pójdzie.

ROZDZIAŁ IX Izidor

Czas mój był teraz wypełniony całkowicie i pożytecznie. Nauczając innych i ucząc się sama, nie miałam prawie wolnej chwili. Było to przyjemne. Czułam, że posuwam się naprzód, że umysł mój nie gnuśnieje w bezczynności, ale rozwija się i doskonali nieustannym ćwiczeniem. Miałam niemałe pole gromadzenia różnorodnych doświadczeń. Villette jest miastem o charakterze kosmopolitycznym i w szkole Madame Beck nie brakło przedstawicielek wszystkich nieomal na odowości Eurony, zarazem najrozmaitszych warstw społecznych. W Labassecour panuje równość, jakkolwiek też nie ma tu republikańskiej formy rządów, góruje nastawienie demokratyczne. W szkole Madame Beck młoda hrabianka zajmowała miejsce na tej samej ławce co młoda mieszczanica. Nie zawsze też można było, sądząc z zewnętrznego wyglądu, odróżnić patrycjuszkę od plebejuszki: ta ostatnia miewała często maniery bardziej opanowane i układne, gdy pierwszą cechowało dopełniające się wzajem połączenie zuchwalstwa i podstępnego kłamania. Gorąca krew francuska miewała tu często domieszkę flegmatyczności kraju nizinnego, z przykrością wszakże muszę zaznaczyć, że ów żar krwi galijskiej ujawniał się przeważnie w potocznej obrotowości, z jaką płynęło z ust dziewcząt rasy łacińskiej pochlebstwo i kłamstwo, a także w swobodniejszym i żywszym ich zachowaniu, często zdradzającym nieszczerłość i brak serca.

Chcąc oddać sprawiedliwość wszystkim, zaznaczyć należy, że i rodowitym Labassecouriennes również nie brakło swoistej obłudności, była ona jednak tak bardzo oczywista i szyta tak grubymi nićmi, że nie mogła wprowadzić w błąd nikogo. Ilekroć kłamstwo potrzebne im było dla celów osobistych, zdobywały się na nie z łatwością i

123

spokojem, bez najłżejszych wyrzutów sumienia. Ani jedna żywa dusza w całym zakładzie wychowawczym Madame Beck, począwszy od pomywaczki kuchennej i kończąc na samej przełożonej, nie wstydziła się kłamać; kłamstwo nie było w ich oczach występkiem: nie uważały może blagowania za cnotę, ale za grzech najbardziej wybaczalny. J'ai menu plusieurs fois — skłamałam kilka razy — stanowiło nieodmiennie powtarzającą się pozycję w cotygodniowej spowiedzi każdej z tych dziewcząt i kobiet. Ksiądz wysłuchiwał tego

wyznania nieporuszony i bez sprzeciwu dawał rozgrzeszenie. Jeśli natomiast opuściły chociaż raz mszę albo przeczytały rozdział zakazanej powieści, sytuacja stawała się poważniejsza; były to przestępstwa, za które nieuchronnie spotykały winowajczynie ostre wyrzuty i surowe kary.

Częściowo tylko zdając sobie wówczas sprawę z tego stanu rzeczy i nie doświadczywszy na sobie samej jego skutków, czułam się w moim nowym otoczeniu zupełnie dobrze. Po kilku pierwszych trudnych lekcjach, odbytych w burzliwej atmosferze nieustannie zagrażającego mi niebezpieczeństwa, na skraju moralnego wulkanu, huczącego pod moimi stopami, rozpalającego iskry w oczach i zalewającego policzki falą gorącej krwi, uciszył się przynajmniej w stosunku do mojej osoby nastrój wybuchowy.

Postanowiłam, że muszę zwyciężyć: nie mogłam znieść myśli, aby w tej pierwszej próbie zrobienia kroku naprzód na drodze życia miała mnie pokonać wroga krnąbrność i pospolita nieustępliwość. Godzinami leżałam w nocy nie śpiąc i rozmyślając, jak postępować, aby trwale opanować te buntownicze charaktery, ugiąć sztywne karki i podporządkować odporne słuchaczki mojej woli i mojemu wpływowi.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości co do tego, że nie mogę liczyć na pomoc Madame w żadnej formie. Zrozumiałam jej dążeniem było utrzymanie dobrych stosunków z wychowanekami, chociażby nawet kosztem sprawiedliwości i ulżenia ciężkiemu losowi

124

wykładowców. Szukanie przez kogośkolwiek z członków personelu nauczycielskiego jej pomocy w przypadku nieposłuszeństwa ze strony uczennic równało się nieuchronnej dymisji. W stosunkach z uczennicami Madame zachowywała stale i niezmiennie stanowisko życzliwie przyjacielskie i aprobujące. Członkom ciała pedagogicznego surowo zalecała rozwiązywanie sytuacji konfliktowych bez włączania jej osoby. Unikała interwencji we wszystkich scysjach w obawie, że mogłoby to narazić ją na utratę sympatii wychowanek. W tym stanie rzeczy nie pozostawało mi nic innego, jak liczyć wyłącznie na własne siły.

Przed wszystkim było dla mnie jasne jak dzień, że na nic by się nie zdało użycie siły wobec odpornej, niegodziwej gromady. Należało znosić cierpliwie wybryki buntowniczo usposobionych dziewcząt, patrząc na nie przez palce. Najpewniej działał na nie grzeszny, choć surowy sposób postępowania; dobrze także robiło rzucanie od czasu do czasu, z rzadka jednak tylko, złośliwej drwiny. Nie były w stanie (a może nie chciały) znieść stałego wysiłku umysłowego — odrzucały też bezwzględnie wszelkie próby obciążania ich pamięci, ich zdolności rozumowania, skupiania uwagi. Tam gdzie obdarzona przeciętnymi zdolnościami i przeciętnie pilna młoda dziewczyna angielska zgodziłaby się posłusznie na odrobienie zadania, starając się wykonać je z możliwie największym zrozumieniem i umiejętnością, roześmiałaby się młoda Labassecourienne nauczycielowi prosto w twarz i odrzuciłaby opornie jego żądanie, mówiąc: Dieu, quec'est difficile! Je n'en veux pas. Ceia t'ennie trop! Nauczyciel (czy nauczycielka) zdający sobie sprawę, na czym polega jego rola, bez wahania, protestu czy oporu zabrałby się natychmiast, z przesadną może nawet gorliwością, do usunięcia wszelkich trudności, do uprzyśtępnienia podawanego słuchaczkom materiału, dostosowania wykładu do poziomu umysłowego uczennic i

1 Boże! Jakie to trudne! Nie chcę tego. To mnie zanadto nudzi!

125

podania im stawy duchowej w ułatwiony sposób, nie szcędząc przy tym bicza sarkazmu. Poczulyby jego ciecie, moze nawet czulyby sie urazone, nie mialyby jednak za zle, pod warunkiem jedynie, aby sarkazm nie byl zbyt kaslrawy i okrutny. Gotowe sa awanturowac sie glošno z powodu trzech wierszy, zadanych dodatkowo na następną lekcję, nigdy jednak nie widziałam, aby buntowały się przeciwko zadaniu rany ich miłości własnej. Niewielki zasób tej zalety z łatwością można było zmiażdżyć.

Stopniowo zdobywałam umiejętność płynnego, swobodnego władania językiem francuskim. Umożliwiało mi to stosowanie — odpowiednio do okoliczności — jędrnych, soczystych wyrażeń; starsze i inteligentniejsze dziewczęta zaczęły traktować mnie bardziej przychylnie, oczywiście na swój sposób. Zauważyłam, że ilekroć udawało mi się pobudzić szlachetną ambicję w sercu uczennicy, albo też poruszyć drzemiące gdzieś na dnie jej duszy poczucie wstydu, pozyskiwałam ją już tym samym dla siebie. Jeśli tylko raz chociażby udało mi się sprawić, że (wielkie zazwyczaj) uszy uczennic rozgorzały zawstydzeniem pod gęstymi zwojami włosów, wszystko szło względnie dobrze. Z czasem zaczęły zjawiać się na mojej katedrze składane z rana wiązanki kwiatów. Aby odwdzińczyć się za ten dowód sympatii, wprowadziłam zwyczaj przechadzania się podczas rekreacji z kilkoma wybranymi. W trakcie rozmowy zdarzało mi się dokonać nie obmyślonej naprzód próby prostowania ich spaczonych zasad i pojęć moralnych. Ze szczególnym naciskiem wyrażałam zwłaszcza moją opinię o hańbiącej nikczemności kłamstwa. Kiedyś nawet, bez zastanowienia, dość nieopatrznie powiedziałam, że z dwójga złego uważam grzeszenie przeciwko prawdzie za gorsze, aniżeli zaniedbanie czasem pójścia do kościoła.

Otóż obowiązkiem specjalnie przyuczanych do tego dziewcząt było powtarzanie ich katolickiemu spowiednikowi wszystkiego, co słyszały z ust protestanckiej nauczycielki. Ten nakaz nie pozostał

126

bez efektu. Pomiędzy mnie a tych kilka najlepszych uczennic wślizgnął się jakiś żywioł niedostrzegalny, nieokreślony, nie dający się nazwać; wiązanki kwiatów składane były wprawdzie w dalszym ciągu na moim pulpicie, nasze rozmowy jednak były odtąd niemożliwe. Nie zdarzyło się od tej chwili nigdy, ilekroć siedziałam w berceau czy przechadzałam się po alejach, a któraś z uczennic czy ich grupka przyłączała się do mnie, aby nie wyrastała niezwłocznie jak spod ziemi jedna z nauczycielek i nie powiększała naszego grona. Dziwne też było, jak często bezszelestnie cichostępy samej Madame sprowadzały ją za moje plecy niespodziewanie i niedosłyszalnie, niby przelotny zefirek.

Pogląd mojego katolickiego otoczenia na to, co czeka mnie po śmierci, został pewnego razu ujawniony dość naiwnie. Jedna z pensjonarek, której zdarzyło mi się oddać drobną przysługę, zawołała pewnego dnia:

— O Mademoiselle, jaka straszna szkoda, że pani jest protestantką!

— Dlaczego, moja Izabello?

— Parceque, quand vous serez morte-vous brulerez tout de suite dans l'Enfer.

—Croyez-vous T

— Certainement que j'y crois: tout le monde le sait; et d'ail-leurs lepretre me l'a dit.

Izabella była zabawną tępą istotą. Po chwili dodała:

— Pour assurer votre salut la-haut, on ferait bien de vous bruler toute vive ici-bas .

1 — Bo jak pani umrze, będzie pani od razu smażyła się w piekle.

2 — Sądzi pani?

3 — Naturalnie, wierzę w to; wszyscy o tym wiedzą; a zresztą, ksiądz mi to powiedział.

4 — Aby zapewnić pani zbawienie w niebie, dobrze by zrobiono, gdyby spalono panią żywcem tu na ziemi.

127

Roześmiałam się. Trudno było w istocie przyjąć jej naiwne uwagi inaczej niż ze śmiechem. Czy zapomniał już czytelnik o pannie Fanshave? Gdyby tak było, musiałabym przedstawić mu powtórnie tę młodą damę, jako kwitnącą zdrowiem i urodą wychowankę pensji Madame Beck. Była nią w rzeczywistości. Po przybyciu na Rue Fossette, w dwa czy trzy dni po moim nagłym zainstalowaniu się tutaj, zetknęła się ze mną bez wielkiego zdziwienia. Musiała w jej żyłach płynąć dobra krew, nigdy bowiem nie była żadna księżna doskonalej, bezwzględniej i bardziej otwarcie n o n s z a l a n c k a niż ona; nie istniało dla niej uczucie zdziwienia, co

najwyżej w postaci słabego, przelotnego spłoszenia. Jej serce i umysł zdawały się pozostawać w stanie takiej samej powierzchownej płytkości: jej upodobania i niechęci, jej miłość i nienawiść były nikłe jak pajęczyna czy babie lato. Jedyną jej cechą prawdziwie mocną, wyraźną i trwałą było... samo-lubstwo.

Nie była dumna, i mimo że zajmowałam wówczas skromne stanowisko *bonne d'enfant*, a więc służącej, gotowa była zrobić ze mnie od razu rodzaj powiernicy i przyjaciółki.

Naprzykrzała mi się wlewaniem w moje uszy tysięcy czczych, bezpodstawnych skarg na oszczędności, wprowadzone jakoby w gospodarstwie domowym Madame Beck, także na drobne intrygi pensyjne; kuchnia nie odpowiadała jej gustowi; cały otaczający nas mały światek: nauczyciele, nauczycielki, uczennice, domownicy zasługiwali według niej na pogardę, jako że składali się wyłącznie z cudzoziemców. Godziłam się jeszcze jako tako, dopóki tylko mogłam, z jej narzekaniem na zbyt częste podawanie w piątki solonych ryb i jajek na twardo, usiłowałam znosić cierpliwie przez jakiś czas jej sarkanie na zupy, pieczywo i kawę — w końcu wszakże, znużona powtarzaniem wiecznie jednego i tego samego w kółko, obruszyłam się na dobre i surowo ją zgromiłam. Powinnam właściwie zrobić to zaraz z samego

128

początku, zwłaszcza że zdrowe przetrzepanie moralne dobrze na nią zawsze wpływało. Znacznie dłużej zmuszona byłam znosić narzucanie mi roboty. Jej wierzchnia garderoba była wytworna i w nienagannie dobrym stanie; inne części ubrania, nie eksponowane na widok publiczny, wymagały częstej naprawy. Nienawidziła sama parania się igłą, często też znosiła mi stopy swoich pończoch i bielizny do cerowania i łatania. Spełnianie jej żądań w ciągu kilku tygodni groziło możliwością przeistoczenia się tej dokuczliwości w stały, nużący obowiązek, zmuszona więc byłam w końcu oświadczyć jej otwarcie, że musi zdecydować się naprawiać swoje ubrania sama, bez mojej pomocy. Rozpłakała się, usłyszawszy to oznajmienie i obrzuciła mnie wymówkami, że sprzeniewierzyłam się jej i przestałam być jej przyjaciółką; okazałam się wszelako nieugięta i obojętnie przyjął ten histeryczny wybuch. Bez względu jednak na słabostki te i inne, o których nie warto wspominać, zwłaszcza że nie znamionowały wysokiej kultury duchowej — zaznaczyć muszę nieprzeciętną jej urodę. Jak czarująco wyglądała pewnego letniego słonecznego poranka, ślicznie ubrana i doskonale usposobiona, strojna w bladoliliowy jedwab, z długimi jasnymi lokami opadającymi na ramiona i plecy. Niedziela była świętem, które spędzała u zamieszkałych w tym mieście przyjaciół, przy czym dała mi od razu do zrozumienia, że w ich gronie znajduje się ten, który pragnie zostać kimś bliższym dla niej. Rzucone tu i ówdzie słówko, jakiś nagły gest, a także ogólne ożywienie widoczne na twarzy i w całej postaci ujawniły mi niebawem, że potrafiła wzbudzić gorące uwielbienie, a bodaj nawet prawdziwą miłość. Nazywała swojego wielbiciela Izydorem, zaznaczając zarazem, że nie jest to jego prawdziwe imię; jego własne, jak pozwoliła mi domyślić się, jego prawdziwe imię jest „bardzo ładne”. Pewnego dnia, słuchając jej przechwałek na temat żaru miłości, jakiego Izydor dawał jej dowody, zapytałam, czy i ona go kocha.

129

— *Corte cela* — tak sobie — odparła. — Jest bardzo przystojny i adoracja jego jest dla mnie miłą rozrywką; *ca suffit* — to wystarczy.

Przekonawszy się, że jej znajomość z Izydorem trwa dłużej, aniżeli mogłam przypuścić, sądząc z jej bardzo kapryśnych, zmiennych gustów, pozwoliłam sobie pewnego razu zapytać zupełnie poważnie, czy młody człowiek, o którym mowa, odpowiada wymaganiom, jakie mogą stawiać przyszłemu zięciowi jej rodzice, a nade wszystko jej wuj i ojciec chrzestny zarazem, od którego tak bardzo jest uzależniona. Wyznała mi, że uważa to za mocno wątpliwe, nie przypuszcza bowiem, aby Izydor miał posiadać wiele pieniędzy.

— *Zachęca go pani?* — zapytałam.

— Szalenie. Czasem — odparła.

— Nie będąc pewną, czy pozwolą pani wyjść za niego za mąż?

— O, jaka z pani skrupulantka! Wcale nie mam ochoty wyjść za mąż. Jestem jeszcze za młoda.

— Ale, jeśli on panią kocha tak bardzo, jak pani mówi, a w końcu okaże się, że nic z tego nie będzie, unieszczęśliwi go pani przecież.

— Rozumie się, że złamie mu to serce. Byłabym urażona i rozczarowana, gdyby tak się nie stało.

— Wie pani, myślę, że ten pan Izydor musi być głupi.

— Tak, jest głupi, jeśli chodzi o miłość... Ale pod każdym innym względem jest mądry, a ce qu'on dit! Pani Cholmondeley uważa go za nadzwyczaj mądrego; mówi, że dzięki swoim uzdolnieniom na pewno wybiję się rychło i osiągnie sukces; co się mnie tyczy, wiem to jedynie, że w mojej obecności nie robi nic innego, tylko wzdycha wciąż i wzdycha, i przewraca oczami. Mogę go sobie owinąć dokoła małego palca.

Pragnąc zyskać jakieś bardziej określone pojęcie o tym szale-

1 Tak mówią.

130

jącym z miłości panu Izydorze, którego stanowisko wydawało mi się mocno niepewne, prosiłam pannę Fanshave, aby opisała mi go dokładnie. Nie potrafiła wszelako dać mi wyraźnego jego obrazu: brakło jej odpowiednich słów i określeń, jak również zdolności logicznego ich wiązania, aby się mogły złożyć na plastyczną całość. Opis sprawiał nawet takie wrażenie, jak gdyby nie zdołała należycie przyjrzeć się swojemu wielbicielowi: nic w jego wyglądzie, żaden z jego rysów, nic z wyrazu twarzy nie dotarło do jej serca, nie pozostawiło na stałe śladu w jej pamięci. Wszystko, co potrafiła o nim powiedzieć, streszczało się w zapewnieniu, że jest beau, maisplutdt bel homme, auejoli garçon! Moja cierpliwość mogłaby się szybko wyczerpać i zainteresowanie jej opowieściami by osłabło, gdyby nie jeden wzgląd. Wszelkie rzucane przez nią aluzje, wszelkie podawane przez nią szczegóły, nieświadomie może dla niej samej, zdawały się wskazywać, że hołdy, składane jej przez owego pana Izydora wyrażane były z wielkim szacunkiem i delikatnością. Powiedziałam jej to wręcz, że nie jest go warta i równie szczerze oświadczyłam, że uważam ją za pustą zalotnicę. Roześmiała się, potrząsnęła głową, aby odrzucić opadające na oczy złote loki, i oddaliła się w płasach, jak gdybym powiedziała jej największy komplement. Studia szkolne panny Ginevry Fanshave były nominalne właściwie. Trzem tylko działom oddawała się poważnie: muzyce, śpiewowi i tańcom, a także haftowaniu cieniutkich batystowych chusteczek, na jakich kupno nie mogła sobie pozwolić. O drobiazgi takie, jak lekcje historii, geografii, gramatyki i arytmetyki, nie troszczyła się wcale, co najwyżej pozwalając innym odrabiać je za siebie. Bardzo wiele czasu poświęcała na składanie wizyt. Madame, która zdawała sobie jasno sprawę, że jej pobyt na pensji nie potrwa już długo, niezależnie od tego, czy wykaże dostateczne postępy w nauce, czy nie, była dla niej szczególnie wyrozumiała. Młoda dziewczyna-

1 Piękny, ale jest raczej pięknym mężczyzną niż ładnym chłopcem.

131

na korzystala z możliwie największej swobody, odwiedzała znajomych i przyjaciół, jak często sama tego chciała. Pani Cholmondeley, jej chaperon — przyzwoitka__ wesola, wytworna, światowa dama, zapraszała ją, ilekroć spodziewała się gości we własnym domu i często również zabierała ją na zabawy do osób, z którymi była zaprzyjaźniona. Ginevra pochwałała wielce ten system, który miał dla niej jedyną tylko ujemną stronę: zmuszał ją do bardzo wykwintnego strojenia się, na co zupełnie nie miała pieniędzy. Nic więc dziwnego, że cała jej myśl wytężona była w tym kierunku, do jakich sposobów ma się uciec, aby pokonać te trudności. Najwyższy podziw

budziła żywość i przedsiębiorczość jej gnuśnego w innych sprawach intelektu, niezwykła śmiałość i nieustraszość, z jaką ważyła się na czyny najbardziej ryzykowne, o ile pobudzała ją do tego konieczność zdobywania środków na kupno toalet, chęć popisywania się nimi i błyszczenia.

Zuchwale zwracała się z natarczywymi prośbami do pani Cholmondeley —zuchwale, zaznaczam, nie czyniła tego bowiem z uczuciem zażenowania, ale narzucając się bez ceremonii.

— Droga pani! Nie mam nic, ale to nic literalnie, do włożenia na przyjęcie u pani w przyszłym tygodniu: musi mi pani sprawić muślinową suknię i pasek bleu celeste — jasnoblękitny — do tego. Zrobi to pani, prawda? Jest pani przecież taka anielska!...

„Anielska” pani Cholmondeley ustępowała zrazu, przekonawszy się jednak, że wymagania panny Ginevry wzrastały równocześnie z uleganiem jej prośbom, zmuszona była, podobnie jak wszyscy przyjaciele panny Fanshave, coraz częściej przeciwstawiać się jej zachłannej natarczywości. Po pewnym czasie nie słyszałam już nic o prezentach od pani Cholmondeley, mimo to panna Fansha-ve bywała na balach i zebraniach, zdobywając niezbędne w jej mniemaniu, coraz to nowe toalety, jak również kosztowne dodatki do nich: rękawiczki, pantofelki, a nawet biżuterię. Wszystkie te rzeczy — wbrew zwyczajowi, a nawet naturze, nie należała bowiem

132

do istot skrytych—były jak najskrzętniej ukrywane przez jakiś czas przed ludzkim wzrokiem, pewnego wieczoru wszakże, kiedy wybierała się na wielkie przyjęcie, na które należało ustroić się ze szczególną starannością i elegancją, nie mogła oprzeć się chęci popisania się przede mną. Zjawiała się przed samym wyjazdem, aby zaprezentować mi się w pełnej gali. Wyglądała pięknie: ozdabiała ją młodość, świeżość, delikatność cery i zwiewna giętkość całej postaci, cechy typowo angielskie, jakim równych niepodobna byłoby znaleźć pośród wdzięków, wyróżniających kobiety na kontynencie. Suknia jej była nowa, kosztowna i uszyta nieskazitelnie. Dostrzegłam, że nie brakło w stroju Ginevry ani jednego z owych uzupełniających szykowną toaletę szczegółów, które kosztują wprawdzie bardzo drogo, nadają wszelako całości urok rzeczy skończonej pięknej i doskonałej.

Obejrzałam Ginevrę i jej strój od stóp do głowy, ona zaś lekko obracała się dokoła, abym mogła podziwiać ją ze wszystkich stron. Świadoma czaru, jaki ją opromieniał, była w świetnym humorze; jej nieco zbyt małe oczy skrzyły się zadowoleniem. Rzuciła mi się na szyję, aby obdarzyć mnie pocałunkiem, mającym po pensjonarsku naiwnie wyrazić jej radość, nie dopuściłam jednak do tego.

— Spokojnie! — ofuknęłam ją surowym tonem. — Chciałabym wiedzieć, co oznacza ten wspaniały strój? — Spłoszona nieco moim pytaniem, odsunęła się ode mnie na odległość pozwalającą mi trzeźwiej i spokojniej przyjrzeć się jej.

— I cóż? Jak się pani zdaje? Wywrę odpowiednie wrażenie? — zagadnęła mnie zamiast odpowiedzi.

— Wrażenie? — powtórzyłam. — Są różne sposoby wywierania wrażenia, przyznać jednak muszę, że nie rozumiem tych, jakich pani używa.

— Mniejsza o to. Ale jak wyglądam?

— Wygląda pani na osobę dobrze ubraną.

Uważała widocznie pochwałę moją za nie dość entuzjastyczną,

133

zaczęła bowiem sama zwracać mi uwagę na rozmaite szczegóły, podnoszące efekt jej stroju.

— Niech pani się przyjrzy tej parure — rzekła — tym wszystkim klejnotom: broszce, kolczykom, bransoletkom — nikt w całej szkole nie posiada takiego kompletu, nawet sama Madame.

— Widzę to wszystko — odparłam. — Czy tymi klejnotami obdarzył panią pan de Bassompierre? — dodałam po chwili milczenia.

— Mój wuj nic o nich nie wie.

— A może są to prezenty od pani Cholmondeley?

— Nie. Pani Cholmondeley, to obrzydliwe stare skąpiradło: nie dała mi nic już od dawna. Wolałam nie zadawać dalszych pytań; szorstko odwróciłam się od niej.

— O, kochany mój zaskorupiały żółwiu, mój poczciwy, mądry Diogenesie (chrzciała mnie zazwyczaj tymi określeniami, ilekroć nie zgadzałam się z nią w czymkolwiek). Cóż tam znów takiego ma mi pani do zarzucenia?

— Proszę stąd wyjść! Zabrać się razem ze swoją parure! Nie sprawia mi przyjemności przyglądanie się pani i jej klejnotom.

Przez chwilę zdawała się być zaskoczona.

— Ależ dlaczego? Skąd ten gniew, wcielona mądrości? Nie zadłużyłam się przecież na kupno tej parure ani rękawiczek i wiązanki. Za suknię nie zapłaciłam naturalnie, ale wuj de Bassompierre pokryje te rachunki razem z innymi: nie zwraca nigdy uwagi na oddzielne pozycje, patrzy tylko na ogólną sumę. Jest tak bogaty, że nie ma potrzeby martwić się, czy płaci o pięć gwinei więcej czy mniej.

— Prosiłam panią, żeby pani wyszła. Chcę zamknąć drzwi... Ludzie będą może uważali, że jest pani bardzo ładna w tym stroju balowym, dla mnie jednak nie będzie pani w niczym wyglądała tak ładnie, jak w perkalikowej sukience i w skromnej, bez żadnego

134

przybrania, słomkowej pasterce, w jakiej widziałam panią po raz pierwszy.

— O, inni ludzie nie mają purytańskich gustów — odparła zirytowana. — A zresztą, nie widzę, co pani upoważnia do prawienia mi kazań.

— Oczywiście, że nic mnie do tego nie upoważnia, ale pani tym bardziej nic nie upoważnia, żeby wpadać do mojego pokoju, wystrojona niczym sroka w pożyczane piórka. Nie mam najmniejszego szacunku dla piórek pani, panno Fanshave, a zwłaszcza dla tych pawich piórek, które podoba się pani nazywać swojaparare. Byłyby to ładne szkiełka, gdyby kupiła je pani za własne pieniądze, niepotrzebne pani na nic innego, nie są jednak wcale ładne w obecnych pani warunkach.

— On est iñ pour Mademoiselle Fanshave.fl — oznajmiła odźwierna i Ginevra wybiegła pędem z pokoju.

Tajemnica nieszczęsnej parure została mi ujawniona w dwa czy trzy dni później, kiedy Ginevra przyszła dobrowolnie wypowiedzieć się przede mną.

— Nie widzę powodu, żeby gniewała się pani na mnie, panno Lucy — zaczęła. — Wyobraża sobie pani, że wciągam mojego papę w długi, czy też naciągam pana de Bassompierre na wydatki. Zapewniam panią, że wszystko jest zapłacone, z wyjątkiem paru ostatnich sukien. Na tym właśnie polega tajemnica — pomyślałam.

— Nie zostało to wszystko ofiarowane ci w prezencie przez panią Cholmondeley, a twoje własne środki są zbyt ograniczone; rozporządzasz zaledwie kilkoma szylingami, z których wydawaniem jesteś niezmiernie przezorna, jak mi wiadomo.

— Ecoutez! — Proszę mnie wysłuchać! — dodała, podchodząc do mnie i zniżając głos do poufnego szeptu. Moje „dąsanie się” na

1 Przyjechano po pannę Fanshave.

135

nią, jak to nazywała, było jej nie na rękę: wolała, abym mówiła z nią i słuchała jej, chociażbym nawet mówiła z nią po to tylko, aby ją strofować i słuchała, aby ją wyszydzać.

— Ecoutez, chere grogneuse — niech pani posłucha, kochana zrzędo. Wyznam pani wszystko, jak i co było, a przekona się pani nie tylko, jak dalece nie ma w tym nic złego, ale jak mądrze była cała rzecz urządzona. Zaczyna się od tego, że muszę bywać w towarzystwie.

Sam papa mój powiedział, że chce, abym zobaczyła trochę świata; zwrócił specjalnie uwagę pani Cholmondeley, że jakkolwiek jestem słodkim stworzonkiem, sprawiam jednak zanadto wrażenie skromnej pensjonarki, pragnąłby też bardzo, abym pozbyła się tego wyglądu, co da się osiągnąć przez wprowadzenie mnie do tutejszego eleganckiego towarzystwa przed właściwym moim debiutem w Anglii. Jednakże, o ile mam bywać, muszę ubierać się elegancko. Pani Cholmondeley stała się strasznym skąpiradłem i nie chce mi już nic dawać. Nadużywaniem dobroci wuja byłoby kazać mu płacić za wszystko, czego mi potrzeba — temu chyba nie może pani zaprzeczyć, zgadza się to z pani teoriami. Otóż znalazł się ktoś, kto usłyszał (zupełnie przypadkowo, zapewniam panią) moje wyrzekanie wobec pani Cholmondeley na fatalne moje warunki, na to, jakich wysiłków muszę użyć, aby sprawić sobie ten czy ów z niezbędnych dodatków toaletowych — otóż ten k t o ś jest zachwycony możliwością ofiarowania mi różnych drobiazgów. Szkoda, że pani nie mogła widzieć, jak wyglądał, mówiąc o tym po raz pierwszy: jąkał się, czerwienił, był stropiony jak młokos, jak prawdziwy gołowąs — Blanc-bec — trząsał się faktycznie z obawy usłyszenia ostrej odprawy z moich ust.

— Dobrze więc. Jak się zdaje, należy zrozumieć słowa pani w tym sensie, że dobroczyńcą tym jest pan Izydor, że od niego otrzymała pani i przyjęła kosztowną parure, że on jest tym, który stale dostarcza pani wiązanek i rękawiczek?

— Wyraża się pani w sposób tak przykry — rzekła — że sama

136

nie wiem, jak mam pani odpowiedzieć. Tak, od czasu do czasu użyczam Izydorowi tej przyjemności i pozwalam mu na zaszczyt złożenia mi swojego hołdu w postaci ofiarowania jakiegoś drobiazgu.

— To na jedno wychodzi... A zresztą, mówiąc prawdę, panno Ginevro, nie bardzo dobrze rozumiem się na podobnych rzeczach, wydaje mi się jednak, że postępuje pani źle, całkiem źle. Może jednak rozmyśliła się pani i gotowa jest pani naprawdę wyjść za mąż za pana Izydora? Może rodzice pani i wuj dali swoje przyzwolenie, a pani kocha Izydora?

— Mais pas du tout! — posiłkowałam się zawsze francuskim, ilekroć miała powiedzieć coś szczególnie przewrotnego i świadczącego o zupełnym braku serca. — Je suis sa reine, mais U n'est pas mon roi! Jestem jego królową, ale on nie jest moim królem.

— Daruje pani, ale nie mogę uwierzyć, aby słowa pani nie były jedynie niedorzeczną kokieterią. Nie widzę w pani żadnej wzniosłości, myślę jednak, że jest pani w gruncie rzeczy wyższa ponad pospolite wyzyskiwanie dobroci i kieszeni człowieka, do którego nic pani nie czuje. Kocha pani pana Izydora o wiele bardziej, niż sama pani przypuszcza, czy chce przyznać się do tego.

— Nie. Tańczyłam wczoraj z młodym ładnym oficerem, który tysiąc razy więcej podoba mi się niż Izydor. Nieraz myślę o tym, dlaczego Izydor jest mi tak obojętny, bo przecież wszyscy utrzymują, że jest bardzo przystojny; inne panie zachwycają się nim, a mnie nudzi on po prostu: chciałabym zdać sobie sprawę, dlaczego tak jest...

Zdawała się natężyć myśli, usiłując zrozumieć. Z mojej strony mogła znaleźć tylko zachętę do tego.

— Tak — rzekłam — niech pani postara się jasno rozeznąć w swoich uczuciach, w których panuje straszliwy zamęt, niczym w worku z rupieciami.

1 Ależ wcale nie!

137

— Cała rzecz polega na tym, jak przypuszczam — wykrzyknęła niebawem — że Izydor jest zbyt romantyczny i zanadto zakochany we mnie, spodziewa się też po mnie czegoś więcej, aniżeli uważam za właściwe dać mu z siebie. Widzi we mnie doskonałość, jest przekonany, że mam wszelkie nadzwyczajne zalety i cnoty, jakich w rzeczywistości nigdy nie posiadałam, ani też nie mam wcale zamiaru posiadać kiedykolwiek. Otóż w jego obecności muszę starać

się usprawiedliwić to jego dobre mniemanie o mnie, a to jest takie męczące udawać cnotliwa i wysilać się na mądre zdania — bo trzeba pani wiedzieć, że uważa mnie naprawdę za mądrą. Czuję się bardziej swobodna nawet z panią, poważna moja staruszko, z panią, kochana, stara zrędo — która dopatruje się we mnie najgorszych wad, pomawiając mnie o zalotność, przypisując mi nieuctwo, flirciarstwo, głupotę, samolubstwo i wszelkie inne wady, stanowiące zdaniem pani — a i moim własnym także — składową część właściwej mojej natury.

— Wszystko to bardzo pięknie — odrzekłam, usiłując zachować sztywność i surowość, poważnie zagrożone tą nagłą potulnością. — Nie zmienia to jednak w niczym fatalnej sprawy prezentów. Niech pani będzie rozsądną, uczciwą dziewczyną, panno Ginevro, zapakuje to wszystko ładnie i odeśle z powrotem.

— O, ani mi się śni! — burknęła.

— Oszukuje więc pani swojego Izydora. Oczywiście jest rzeczą, że przyjmując od niego prezenty, daje mu pani tym samym nadzieję, że kiedyś, w przyszłości, zostanie wynagrodzony za nie wzajemnością z pani strony...

— Nie ma wcale potrzeby czekać na to — przerwała mi — aż nadto wystarczającą dla niego nagrodą jest już teraz przyjemność, jaką sprawia mu oglądanie swoich prezentów na mojej szyi, w moich uszach, na moich rękach... Musi mu to w zupełności wystarczyć: jest przecież tylko zwykłym mieszczaninem, nie żadnym arystokratą.

138

To bezduszenie aroganckie, bezsensowne zdanie wyleczyło mnie od razu ze słabości, jakiej uległam chwilowo i jaka wpłynęła na złagodzenie surowości mego tonu i wyrazu mojej twarzy.

— Chcę teraz — paplała w dalszym ciągu — cieszyć się moją młodością, a nie wiązać się przyrzeczeniami czy ślubami z tym czy owym mężczyzną. Kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z nim, myślałam, że pomoże mi wykorzystać życie w pełni. Przypuszczałam, że wystarczy mu to, iż jestem ładną dziewczyną, że będziemy spotykali się, potem rozstawali się, fruując wesoło i swobodnie, jak dwa motylki i... będziemy szczęśliwi. A tymczasem?! Bywa często poważny i surowy jak sędzia, głęboko przejęty, zamyślony, zatroskany. Bah! Les penseurs, les hommes profonds et passionnés ne sont pas à mon goût! Pułkownik Alfred de Hamal podoba mi się i odpowiada mi daleko bardziej. Va pour les beaux faits et les jolis fripons! Vive les joies et les plaisirs! A bas les grandes passions et les sévères vertus!

Czekała wyraźnie na moją odpowiedź na tę tyradę. Milczałam jednak.

— J'aime mon beau Colonel — dodała — je n'aimerais jamais son rival. Je ne serai jamais femme de bourgeois, moi.

Oświadczyłam jej, że mój pokój musi być bezwzględnie uwolniony od zaszczytu jej obecności. Wyszła ze śmiechem.

1 O, myśliciele, ludzie rozumni i namiętni nie są w moim guście!

2 Zgoda na pięknych pustaków i ładnych łotrzyków! Niech żyją zabawy i rozrywki! Precz z wielkimi miłościami i surowymi cnotami!

3 Kocham mojego pięknego pułkownika i nie będę nigdy kochała jego rywala. Nie będę nigdy żoną pospolitego mieszczanina!

139

ROZDZIAŁ X Doktor John

Madame Beck była osobą niezmiernie konsekwentną: uprzejma i ustępliwa wobec każdego, nie żywiła jednak tkliwszych uczuć dla nikogo. Własne dzieci nawet nie były zdolne zachwiać jej stoickiej równowagi i spokoju. Dbała o swoich najbliższych, troszczyła się o ich sprawy, czuwała nad ich zdrowiem fizycznym, zdawała się jednak nie zaznawać nigdy chęci przytulenia ich, objęcia czułym uściskiem, obdarzenia tkliwą pieśczęcią, serdecznym słowem.

Obserwowałam ją wielokrotnie, gdy siedziała w ogrodzie i spoglądała z dala na swoją trójkę, która przechadzała się z nową piastunką, Trinette. Twarz Madame zdradzała w tych momentach dbałość i przezorność. Wiedziałam, że niejednokrotnie rozmyślała poważnie nad tym, co je czeka w przyszłości — dans lew avenir, jak się wyrażała, ilekroć jednak najmłodsze z nich, wątłe, miłe i ujmujące maleństwo, wykrywszy przypadkowo obecność matki, umykało od piastunki, i chwając się na nieco jeszcze niepewnych nóżkach, podbiegało zadyszane i roześmiane, aby objąć matczyne kolana, Madame wyciągała spokojnym ruchem rękę, aby nie dopuścić do niepożądanego wstrząsu, spowodowanego nagłym wybuchem czułości dziecka, i ostrzegając je obojętnym tonem: Prends garde, mon enfant! — Ostrożnie, moje dziecko! — cierpliwie pozwalała maleństwu stać parę chwil, a potem z uśmiechem, pocałunkiem czy miłym słówkiem podnosiła się i odprowadzała je z powrotem do Trinette. Jej zachowanie w stosunku do najstarszej dziewczynki było równie charakterystyczne pod innym względem. Było to dziecko zepsute czy o wrodzonych złych instynktach. Quelle peste que

140

cette Desiree! Quel poison que cet enfant — iï! Tak brzmiały wyrażenia, jakimi określano ją w kuchni i w klasie. Miała rozwiniętą w dużym stopniu skłonność do podstępów i prowokowania, zdolna nieraz doprowadzić omal do szału piastunkę i inne służące. Przekradała się do ich izdebek na poddaszu, otwierała szuflady i skrzynki, umyślnie darła ich najładniejsze czepeczki, brukała i plamiła ich najlepsze muslinowe napierśniki. Wykorzystywała każdą okazję, żeby dostać się do kredensu w jadalni, z którego wyciągała talerze czy kieliszki, albo też do szafy w spiżarni, gdzie myszkowała do woli pośród słoików z konfiturami, wypijała słodkie wino, tłukła butelki i słoiki, maskując się w ten sposób, aby podejrzenie padło na kucharkę lub na dziewczynę kuchenną. O ile te sprawy dostrzegane były przez Madame lub dochodziły do jej wiadomości, jedyną reakcją z jej strony, wypowiedaną z całym spokojem, bywała uwaga: Desirée a besoin d'une surveillance toute particulière .

Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek w szczerej rozmowie uświadomiła dziewczynce wyraźnie jej wady, wyjaśniła nie-godziwość podobnego postępowania czy usiłowała otworzyć jej oczy na nieuniknione skutki. Surveillance — miało być jedynym sposobem wyleczenia jej i oczywiście sposób ten zawiódł całkowicie. Służba strzegła się Desirée jak ognia i trzymała dziewczynkę z dala od siebie, toteż matka stała się celem i ofiarą przewrotnych, spaczonych instynktów małej. Desirée kradła i ukrywała wszystko, co dostało się jej w ręce z rzeczy należących do wyposażenia matczynego stolika z robotami. Madame widziała to, udawała jednak, dopóki mogła, że nie widzi: nie miała dość szczerości i prostolinijności na otwarte ujawnienie wobec dziecka jego wy-

1 Co za nieznośny, niegodziwy bęben z tej Desiree! Jaka zatruta jędza z tego dziecka!

2 Desiree wymaga szczególnie czujnego nadzoru.

141

stępków. Ilekroć ginął jakiś przedmiot, którego wartość czy użyteczność czyniły go nieodzownym, wyrażała przypuszczenie, że Desirée zabrała go do zabawy, prosiła ją więc o oddanie. Mała nie pozwalała jednak oszukiwać się w ten sposób. Nauczyło ją to jedynie wykrętów i kłamstw, wypierała się też w żywe oczy, jakoby miała tknąć matczyną broszkę, nożyczki czy pierścionek, matka zaś, nie odstępując od swojego systemu obłudy, udawała, że wierzy zapewnieniom dziewczynki, a potem śledziła ją tak ustawicznie, że wreszcie wytropiła kryjówkę: dziurę w murze ogrodowym, szczelinę na strychu lub w altanie. Potem wysyłała Desirée z piastunką na przechadzkę, i korzystając z jej nieobecności, okradała złodzieja. Desirée okazywała się w podobnych wypadkach nieodrodną córką swojej przebiegłej matki, nigdy bowiem nie zdradzała najmniejszych śladów zawstydzenia z powodu wykrycia kradzieży.

Drugie z rzędu dziecko, Fifinka, miała, jak utrzymywano, wrodzić się w swego ojca. Nie ulegało wątpliwości, że jakkolwiek odziedziczyła po matce jej zdrowy wygląd, błękitne oczy i rumiane policzki, nie jej zawdzięczała cechy moralne. Była to prawa, pogodna dziewczynka, tkliwa, o żywym, pobudliwym usposobieniu, wskutek tej jednak żywości i pobudliwości narażana na rozmaitego rodzaju niebezpieczeństwa i kłopotliwe sytuacje. Pewnego dnia spadła z kilkunastu stromych stopni kamiennych na sam dół, a kiedy Madame, usłyszawszy huk spadającego ciała (zawsze słyszała każdy niezwykle odgłos), wyszła z jadalni i podniosła małą, stwierdziła spokojnie:

— Cet enfant a un os de casse .

Zrazu mieliśmy wszyscy nadzieję, że nie jest tak źle. Niestety, okazało się, że Madame miała słuszność: jedna pulchniutka rączka zwiślała bezwładnie.

1 To dziecko ma złamaną rękę.

142

• — Niech Miss (mowa była o mnie) zabierze ją - - rzekła Madame — et qu'on aille tout de suite chercher unfiacre¹.

Zamiast posłać kogoś, sama pojechała po doktora sprowadzoną niezwłocznie dorożką.

Nie znalazłszy stałego lekarza pensjonatowego w domu, nie stropiła się tym bynajmniej; szukała i nie spoczęła, dopóki nie udało jej się natrafić na zastępcę, który wydał się jej odpowiedni i którego przywiozła od razu z sobą. Ja tymczasem rozcięłam rękaw ubranka dziecka, aby uwolnić złamaną rączkę; rozebrałam małą i położyłam ją do łóżeczka.

Żadna z nas (używając liczby mnogiej, mam na myśli kucharkę, odźwierną i siebie samą) stłoczonych w małym, przegrzonym pokoju nie przyglądała się szczególnie wnikliwie nowemu doktorowi, kiedy wszedł do sypialni dziecka. Ja w każdym razie byłam pochłonięta uspokajaniem Fifinki, której krzyków (miała zdrowe płuca) niepodobna było słuchać. Krzyki te przybrały na sile, gdy obcy pan zbliżył się do jej łóżeczka, a kiedy podniósł ją, wrzasnęła łamaną angielszczyzną (cała trójka dzieci mówiła po angielsku):

— Puścić! Nie chcę tego pana! Chcę doktora Pillule — doktora Pigułkę!

— Doktor Pillule jest moim przyjacielem — brzmiała odpowiedź wypowiedziana nieskazitelną angielszczyzną — ale doktor Pillule wyjechał. Jest u chorego o trzy mile stąd, i dlatego ja przyszedłem zamiast niego. Jak tylko uspokoisz się, mała panienko, zajmę się twoją biedną rączką, zabandażuję ją i doprowadzę do porządku.

Kazał przynieść szklankę ocukrzanej wody, dał małej kilka łyków słodkiego napoju, który wlewał jej do ust łyżeczką (Fifinka była łakomczuchem i dlatego droga do jej serca prowadziła najpewniej przez podniebienie). Obiecał, że po opatunku dostanie

1 Niech natychmiast sprowadzą dorożkę.

143

jeszcze trochę napoju i nie zwlekając przystąpił do dzieła. Wobec tego, że potrzebna mu była pomoc, zażądał jej od kucharki, zdrowej silnej kobiety, uciekła ona jednak natychmiast wraz z odźwierną i piastunką. Jeśli chodzi o mnie, to bałam się najlżejszym dotknięciem urazić małe, bolące ramionko; wiedząc wszelako, że nie ma innej rady, wyciągnęłam z gotowością rękę, aby czynić, czego lekarz będzie ode mnie żądał. Wyprzedziła mnie jednak Madame; jej ręka ani drgnęła, gdy moja trzęsła się jak galareta.

— Ca vaudra tiens¹ — oświadczył doktor.

Wybór jego okazał się trafny. Ja sama zdobyłabym się co najwyżej na udawany spokój, na sztucznie wymuszoną odwagę. Jej odwaga nie była ani wymuszona, ani udawana.

—Merci, Madame, tresbien, fortMen!— pochwalił ją chirurg po nałożeniu opatunku. —

Voila un sang-froid bien opportun et qui vautmille elans de sensibilite deplacee².

Doktorowi podobała się jej nieugięta stanowczość, jej zaś podobał się komplement.

Prawdopodobnie korzystnie usposobił ją już sam wygląd doktora, głos, wyraz twarzy i manieri. Istotnie też, kiedy przyjrzałam mu się bliżej przy świetle wniesionej lampy —

zapadł już zmierzch — przekonałam się, że Madame nie musiałaby być kobietą, gdyby doznała innego wrażenia. Młody doktor (był rzeczywiście młody) miał powierzchowność niepospolitą. Wzrostu imponująco wysokiego — co szczególnie uderzało w tym małym pokoju, pośród gromady kobiet o krępych sylwetkach typowych Holenderek — miał piękny, wyrazisty, ostro zarysowany profil. Oczy jego zbyt szybko może, zbyt wnikliwie i zbyt często prześlizgiwały się z jednej twarzy na drugą, były wszelako bardzo pociągające, tak samo jak jego usta. Podbródek miał zaokrąglony, miękki i

1 Tak będzie lepiej.

2 Dziękuję pani. Dobrze, bardzo dobrze! Oto zimna krew, nader pożądana, warta więcej niż tysiące porywów nie na miejscu.

144

przedzielony pośrodku. Co się tyczy jego uśmiechu, trudno było od razu znaleźć odpowiednie określenie: było w nim coś dziwnie ujmującego, zarazem jednak coś takiego, co patrzącym na ten uśmiech uświadamiało własne słabostki i strony ujemne, jak gdyby ironia tego uśmiechu ich właśnie dotyczyła. Fifince zdecydowanie podobał się jednak doktor i jak widać natchnął ją ufnością, albowiem, pomimo bólu, jaki sprawił jej opatrunek, wyciągnęła do doktora zdrową rączkę, aby uściśnąć go przyjaźnie na dobranoc. Ujęty tym poklepał ją serdecznie po zdrowej ręce, a potem zszedł na dół z Madame, doskonale usposobioną i rozmowną, on zaś słuchał jej opowiadań z wyrazem pogodnie uprzejmym, niewolnym jednak od nieświadomie złośliwej żartobliwości, trudnej prawdziwie do opisanie.

Zauważyłam, że jakkolwiek mówił po francusku płynnie i poprawnie, lepiej jednak władał językiem angielskim. Miał też cerę, oczy i budowę Anglika. I jeszcze coś więcej zauważyłam. Wychodząc zwrócił się twarzą w moją stronę — nie po to zresztą, aby odezwać się do mnie, ale do Madame — w ten sposób, że byłam zmuszona nieledwie do patrzenia na niego. W moim umyśle coraz wyraźniej zaczęło kształtować się pewne wspomnienie, które zaświtało w nim po raz pierwszy w momencie usłyszenia jego głosu. Tak, był to ten sam pan, z którym mówiłam w biurze po przyjeździe dylizansem, ten sam, który pomógł mi odzyskać bagaż i który przeprowadził mnie przez ciemny park. Poznałam nawet sposób jego chodzenia nasłuchując, kiedy mijał długi przedsionek, aby wyjść na ulicę. Tak, był to ten sam równy i silny krok, którego śladem podążałam pod ociekającymi deszczem drzewami.

Należało sądzić, że pierwsza wizyta młodego chirurga w pensjonacie przy Rue Fossette będzie ostatnią zarazem. Wobec tego, że powszechnie szanowany i uznawany doktor Pillule (doktor Pigułka) miał powrócić nazajutrz, nie było powodu, aby jego młody zastępca miał w dalszym ciągu pełnić tę rolę. Okazało się jednak, że los zrządził inaczej.

145

Doktor Pillule został wezwany do bogatego hipochondryka, mieszkającego w starożytnym mieście uniwersyteckim Bouquin--Moisi (Zapleśniały Foliał), a kiedy zalecił choremu, jako najodpowiedniejszy środek, zmianę powietrza i podróżowanie, zażądano od niego, aby towarzyszył lekliwemu pacjentowi w kilkutygodniowej wycieczce. Ponieważ doktor Pillule przyjął tę propozycję, nie pozostało nowemu lekarzowi nic innego, jak tylko zastępować go w dalszym ciągu na Rue Fossette, przynajmniej na czas leczenia złamanej rączki małej Fifinki. Widywałam go często. Madame nie chciała powierzyć chorego dziecka opiece Trinette, życząc sobie, abym spędzała w pokoju dzieciennym możliwie jak najwięcej czasu. Dzięki temu miałam okazję przekonać się, jak zręcznym i umiejętnym chirurgiem był doktor John. Fifinka szybko odzyskała pod jego opieką dawną sprawność rączki, jednakże nawet w okresie rekonwalescencji doktor składał wizyty w pensjonacie Madame Beck. Zdawać się mogło, że przeznaczenie i Madame działały we wzajemnym porozumieniu, prowadzącym do bliższego poznania się doktora Johna zarówno z życiem przedsionka, jak i klatki schodowej, wiodącej do prywatnego mieszkania oraz do górnych pokoiów zakładu wychowawczego przy Rue Fossette.

Zaledwie zdążył uwolnić się od leczenia Fifinki, kiedy Desirée oświadczyła, że jest chora. Uprzykrzone to dziecko miało osobliwy talent do symulowania. Widząc pobłażliwość, okazywaną chorej siostrzyczce, Desirée doszła do wniosku, że choroba odpowiada najzupełniej jej upodobaniom, udała więc cierpiącą i położyła się do łóżka. Udawała dobrze, a jej matka jeszcze lepiej. Mimo że gra dziewczynki była dla mnie oczywista, traktowała całą sprawę ze zdumiewającym przekonaniem, z odpowiednią powagą i dobrą wiarą. Najbardziej wszakże zdumiewało mnie, że doktor John — tym imieniem nauczyła się mała Fifinka nazywać angielskiego doktora;

146

weszło to w stały zwyczaj i odtąd znany był przy Rue Fossette tylko jako doktor John i nikt więcej — otóż zdumiewało mnie, że doktor John milcząco przejął taktykę Madame Beck, jak gdyby działał w cichym porozumieniu z nią. Zdradzał zrazu, co prawda, zabawne powątpiewanie, rzucił parę razy pospiesznie okiem na matkę i na dziecko, potem zamyślił się na krótko, jak gdyby coś rozważał, w końcu wszakże zrezygnował, jak widać było, z wszelkiej opozycji, godząc się bez sprzeciwu odegrać przypadającą na niego rolę w tej farsie. Desirée jadła jak zgłodniały wilczek, doskonale bawiła się przez cały dzień w łóżku, urządziła namiot z prześcieradła, poduszek i kołdry, wylegiwała się gnuśnie jak Turek w miękkiej pościeli, znajdowała osobliwą przyjemność w ciskaniu pantoflami w piastunkę, w strojeniu min do sióstr — słowem tryskała wesołością, zdrowiem i upodobaniem do złośliwych psot. Z chwilą kiedy wchodzili do niej matka i lekarz, odwiedzający pacjentkę codziennie, przybierała wyraz chorobliwie bolejący. Madame Beck rada była, jak dobrze wiedziałam, trzymania przekornej dziewczynki w łóżku, dlatego że nie miała możliwości popełniania grubszych przewinień, podziw mój budziła jedynie cierpliwość doktora Johna, któremu nie sprzykrzyła się ta komedia.

Codziennie, udając zainteresowanie stanem chorej, przychodził ją badać; Madame przyjmowała go z jednakową zawsze skwap-liwością, z tym samym słonecznym uśmiechem i cudownie odgrywanym zaniepokojeniem o stan dziecka. Doktor John zapisywał niewinne lekarstwa pacjentce i przyglądał się przy tym matce ze złośliwym błyskiem w oku. Madame podchwytowała drwiące z lekka jego spojrzenia, nie biorąc mu ich za złe — była na to zbyt rozumna. Mimo że młody doktor mógł słusznie wydać się nazbyt giętki i ustępliwy, trudno było pogardzać nim za to. Ustępliwość jego nie mogła tłumaczyć się chęcią przypodobania się pani domu: wyraźne było wprawdzie, że chętnie przychodzi na Rue Fossette w charakterze lekarza, zachowywał się tu jednak jak czło-

147

wiek niezależny, nieledwie nie dbający o niczyje uznanie; zarazem bywał często zamyślony i zatroskany.

Nie powinnam może zajmować się obserwowaniem jego zagadkowego zachowania, a tym bardziej doszukiwać się utajonych przyczyn i źródła jego troski, trudno mi jednak było w sytuacji, w jakiej znajdowałam się, nie czynić tego. Nie przychodziło mu wcale na myśl ukrywać się czy udawać wobec mnie, o tyle też tylko brał pod uwagę moją obecność w pokoju, o ile osoba, tak niepozorna jak ja, mogła ściągać na siebie czyjąkolwiek uwagę, to znaczy nie większą niż byle sprzęt, nie rzucający się w oczy, nie wyróżniający się niczym szczególnym: krzesło zwykłej stolarskiej roboty czy dywan o pospolitym fabrycznym deseniu. Częstokroć, czekając na przyjęcie Madame, uśmiechał się, zamyślał czy nasłuchiwał, jak człowiek, który wyobraża sobie, że jest sam w pokoju. Dawało mi to możność zastanawiania się nad jego zachowaniem, obserwowania jego gestów i ruchów i dziwienia się, jakie może mieć znaczenie jego na pozór żywy udział w całej komedii, jego zainteresowanie, zaprawione posmakiem nieufności, i dziwny niewyjaśniony czar, pociągający go ku temu na wpół klasztornemu zamknięciu zakładu wychowawczego, ukrytego w samym sercu stolicy.

On jednak zdawał się nie pamiętać wcale, że mam oczy, zdolne patrzeć, a tym mniej mózg, zdolny rozważać i kombinować.

Może też nie uświadomiłby sobie tego nigdy, gdyby nie pewien drobny fakt. Otóż pewnego dnia, kiedy siedział w pełnym słońcu, przyglądałam się bacznie barwie jego włosów, kolorowi zarostu na twarzy i jego cerze, uwydatnionym w tej chwili tak uderzająco, jak tylko pełnia światła może je uwydatnić (przypominam sobie nawet, że w myśli porównywałam jego głowę do „złotego obrazu”, jaki tworzyła głowa króla Nabuchodonozora). Nagle nowe, przerażające odkrycie przykuło moją uwagę. Nie wiem i dzisiaj jeszcze, w jak dalece wnikliwy sposób wpatrywałam się w niego: moje zdumienie, a równocześnie przeświadczenie, było tak wielkie, że zapomniałam

148

o wszystkim i odzyskałam świadomość tego, co robię, wówczas dopiero, gdy spostrzegłam, że doktor John śledzi z zainteresowaniem każdy mój ruch w małym lusterku umieszczonym w kąciku okna. Ten zdradliwy judasz pomagał zazwyczaj Madame śledzić z ukrycia osoby przechadzające się na dole w ogrodzie. Pomimo żywego i pogodnie sangwicznego temperamentu cechowała doktora pewna nerwowa wrażliwość i bezpośrednie wpatrywanie się w niego niecierpliwiło go i wyprowadzało z równowagi. Przyłapawszy mnie więc na tym, odwrócił ku mnie głowę i rzucił tonem w zasadzie grzecznym może, ale tak oschłym, że zdradzał najwyraźniej cień zniecierpliwienia, i przez to samo już brzmiał poniekąd jak wymówka.

— Mademoiselle raczy, jak widzę, poświęcać mi wnikliwą swoją uwagę; nie jestem dość próżny, abym miał wyobrażać sobie, że zawdzięczam ją jakimś moim szczególnym zaletom, muszą więc to być raczej jakieś braki czy defekty mojej powierzchowności. Czy wolno mi zapytać, co właściwie zastanawia panią tak dalece we mnie?

Jak łatwo domyślić się może czytelnik, byłam spłoszona. Spłoszenie moje jednak nie miało nic wspólnego z beznadziejnym przygnębieniem. Zdawałam sobie przecież doskonale sprawę, że tego słusznego zarzutu nie ściągnęłam na siebie zdradzeniem wzruszenia, nieostrożnego zachwytu ani także niewłaściwej, nie dającej się usprawiedliwić ciekawości. Mogłam oczyścić się od razu z wszelkiej winy, nie chciałam jednak. Nie odpowiedziałam doktorowi ani słowem. Nie zwykłam prowadzić z nim rozmów. Pozwalając mu w ten sposób myśleć o mnie, co tylko chciał, i zarzucać mi, co mu się tylko podobało, zabrałam się ponownie do mojej robotki i przez cały czas pozostawania doktora w pokoju nie podniosłam pochylonej nad nią głowy. Dziwna, niewytłumaczalna jakaś przekora umysłu sprawa, że opaczne rozumienie nas przez kogoś wpływa na nas raczej kojąco niż drażniąco, i że tam, gdzie nie możemy

149

dać się poznać jak należy, wolimy raczej być całkowicie ignorowani. Czy znajdzie się uczciwy człowiek, który — przypadkowo wzięty za włamywacza — nie czułby się podniecony raczej, aniżeli zirytowany tą pomyłką?

ROZDZIAŁ XI

Loża odźwiernej

Lato tego roku było wyjątkowo upalne. Georgette, najmłodsza córeczka Madame Beck, zapadła na jakąś chorobę, której towarzyszyła wysoka gorączka. Desirée, uleczona nagle ze swoich dolegliwości, została odesłana razem z Fifinką do babci na wieś, żeby uniknąć zarażenia. Opieka lekarska była teraz rzeczywiście potrzebna. Madame udając, że nie wie nic o powrocie doktora Pillule'a do Villette już od tygodnia, wezwała do chorego dziecka jego angielskiego kolegę i konkurenta. Zdarzyło się w tym czasie, że dwie spośród pensjonarek również skarżyły się na ból głowy, budząc obawy, czy nie zaraziły się od małej Georgette.

Teraz wreszcie—pomyślałam—będzie musiał zostać wezwany doktor Pillule: przezorna przełożona nie narazi się przecież rodzicom i opiekunom swoich pensjonarek, powierzając tak młodemu lekarzowi opiekę nad ich zdrowiem.

Madame była istotnie bardzo przezorną przełożoną, umiała jednak zdobyć się na odwagę. Dała tego dowód i tym razem, śmiało wprowadzając doktora Johna do oddziału szkolnego i powierzając mu opiekę nad zdrowiem dumnej, przystojnej Blanche de Meley, a także próżnej, zarozumiałej flirtarki, Angélique, przyjaciółki Blanche. Młodemu lekarzowi wyraźnie pochlebił, jak mi się wydało, ten dowód zaufania, o ile też oględność i powściągliwość zachowania mogły usprawiedliwić podobny krok przełożonej, miałoby to w tym wypadku hajzupełniejsze zastosowanie.

W Labassecour wszelako, w tej krainie klasztorów i konfesjonałów, nie mogła być bezkarnie tolerowana w Pensionnat des demo-iselles — na pensji dla panien — obecność młodego i przystojnego mężczyzny, jakim był doktor John. W pokojach szkolnych zaczęto

151

plotkować, w kuchni szeptać, wieści o tym przedostały się na miasto, wylęknieni rodzice nadsyłali listy lub też przychodzili z wyrzutami. Gdyby Madame okazała słabość charakteru, byłaby stracona: wiele współzawodniczących z jej pensjonatem żeńskich zakładów wychowawczych skwapliwie gotowych było podchwycić i wyolbrzymić to fałszywe posunięcie — o ile można je było uważać za fałszywe — i rozpętać nad jej głową burzę, rujnując dobre imię zakładu przy Rue Fossette. Ale Madame nie była istotą słabą, mimo że w gruncie rzeczy uważałam ją za jezuitkę, przyklaskiwałam jednak z całego serca jej odwadze, podziwiając umiejętność jej zachowania, zręczność, spokój, niezachwianą stanowczość i nieustępliwość w tym wypadku.

Zaniepokojonych rodziców przyjęła ze zwykłym sobie, nie-zmącenie pogodnym, pełnym wdzięku uśmiechem. Nikt nie potrafił jej dorównać — nie wiem, czy w przyswojeniu sobie, a może tylko w łudzącym udawaniu dobrotliwej szczeroci i naturalności obejścia — *rondeur et franchise de bonne femme* — czym w najróżnorodniejszych wypadkach trafiała do zamierzonego celu z natychmiastowym i zupełnym powodzeniem, tam gdzie surowa powaga zawiodłaby prawdopodobnie.

— *Ce pauvre docteur* Joh.nl — zawołała, chichocząc i wesoło zacierając małe, pulchne, białe rączki — *ce cherjeune homme, la meilleure creature du monde!*1 — i zaczęła rozwodzić się nad tym, w jaki sposób natrafiła na niego, kiedy szło o ratowanie jej własnych dzieci, które tak go polubiły, że zapłakałyby się chyba na śmierć na samą myśl o wezwaniu do nich innego lekarza. Czy mogła więc postąpić inaczej? Czy mogła człowiekowi, któremu bez zastrzeżeń powierzyła pieczę nad zdrowiem własnych dzieci, nie zaufać równie bezwzględnie, kiedy szło o cudze? A zresztą, to jednak zupełnie

1 Ten biedny doktor John! Ten kochany młody człowiek, najlepsze stworzenie na s'wiecie!

152

przypadkowe tylko, chwilowe zastępstwo: Blanche i Angélique miały migrenę, zapisał im więc jakiś środek — *voila tout!* — oto wszystko.

Zamknęła tym usta rodzicom. Blanche i Angélique zaoszczędziły jej dalszych wyjaśnień prześciganiem się w głoszeniu hymnów pochwalnych na cześć lekarza; pozostałe wychowanki przytakiwały im jednogłośnie, oświadczając, że o ile one same miałyby zachorować, nie dopuszczą do siebie żadnego innego doktora poza doktorem Johnem. Madame roześmiała się, roześmieli się także rodzice. Znaną jest rzeczą, że Labassecouriens posiadają w wysokim stopniu dar wielbienia własnej progenitury, a w każdym razie ich pobłażliwość dla niej nie» mai nie zna granic. Wola dzieci jest prawem, czynnikiem decydującym u większości tutejszych rodzin. Skończyło się też na tym, że Madame zyskała pełne uznanie rodziców za zapobiegliwość prawdziwie macierzyńską, wyszła też z sali konferencyjnej z rozpromienioną twarzą, świadoma, że jej opinia w oczach ogółu, jako

przełożonej zakładu wychowawczego dla młodych panienek, nie tylko nie ucierpiała, ale znacznie się podniosła.

Do dnia dzisiejszego nie byłam zdolna zrozumieć, jakim motywem kierowała się, narażając na — bardzo możliwy — szwank własne interesy dla dobra doktora Johna. Co o tym mówiono, nie było dla mnie tajemnicą oczywiście. Wszyscy w całym domu: wychowanki, personel nauczycielski, nie wyłączając służby nawet — twierdzili z całą pewnością, że Madame zamierza wydać się za mąż za doktora. Do takiego wniosku doszli; różnica lat nie zdawała się być w ich pojęciu żadną przeszkodą: będzie tak, nie ulegało to dla nich wątpliwości.

Przyznać należy, że pozory nie zdawały się przeczyć podobnemu ujęciu sprawy. Madame bardzo ubiegała się o utrzymanie go na stałe jako lekarza w swoim domu i szkole, zapominając zupełnie o dawnym protegowanym, doktorze Pillule. Co ważniejsze, starała się zawsze przyjmować go osobiście, ilekroć przychodził i była w sto-

153

sufliku do niego tak radośnie nastrojona, tak rozpromieniona, traktowała go z tak przyjacielską życzliwością, że trudno było w istocie nie wyprowadzać podobnego wniosku. I jeden znamieny punkt jeszcze: w tym czasie zaczęła zwracać szczególną uwagę na swój strój; znikły ranne dezabyle, czepeczki, pantofle i szale. Składając wczesne wizyty lekarskie, doktor John zastawał ją niezmiennie kunsztownie ufryzowaną — jasnokasztanowe warkocze uplecione bez zarzutu dokoła kształtnej głowy — w świetnie skrojonych jedwabnych sukniach i w sznurowanych zgrabnych pantofelkach, zamiast zwykłych porannych, nieco rozchlapanych, miękkich filcowych brodequins; słowem, ustrojona jak z pudełka, świeża jak kwiat.

Nie przypuszczam jednak, aby zamierzenia jej w tym wszystkim sięgały czegoś więcej, aniżeli wykazania młodemu, przystojnemu mężczyźnie, że nie jest stara ani brzydka. I w istocie, nie była brzydka. Nie mając klasycznych rysów ani wrodzonej wytworności sylwetki, mogła podobać się i podobała się na ogół. Nie będąc już pierwszej młodości, nie mogąc czarować promiennym jej wdziękiem, umiała jednak siać dokoła siebie radość życia. Obcowanie z nią nie mogło nigdy uprzykrzyć się: nie nużyła jednostajnością, głupotą, bezbarwnością ani płytkością. Jej nieprzyblakłe wciąż jeszcze włosy, jej oczy, lśniące ciepłym światłem błękitu, jej policzki, ożywione rumieńcem zdrowia i nęcące puszką dojrzalego owocu — podobały się stale i niezmiennie, zdolne budzić wszelako umiarkowany zachwyty jedynie.

Czyżby istotnie miała snuć wizję uczynienia z doktora Johna swojego męża, przyjęcia go do swojego dobrze wyposażonego domu, dzielenia się z nim swoimi oszczędnościami, o których utrzymywano, że sięgały dość okazałej sumy, i w ten sposób zabezpieczenia mu egzystencji na całą resztę jego życia? A doktor John, czy podejrzewał ją o podobne rojenia? Widywałam go wychodzącego od niej ze złośliwym półśmieszkim, igrającym dokoła warg, gdy

154

w oczach skrzył się błysk zadowolonej męskiej próżności. Przy całej wielkiej urodzie i wrodzonej uprzejmości nie był bez wad, musiał mieć ich sporo, jeśli obłudnie popierał dążenie do celów, których urzeczywistnienie nie należało bynajmniej do jego zamierzeń. Czy jednak nie miał takiego zamiaru? Mówiono, że nie posiada majątku i że tym samym czerpie środki utrzymania jedynie z dochodów, jakie daje mu uprawianie jego zawodu. Madame, starsza od niego o jakieś lat czternaście, należała do typu kobiet, które nigdy się nie starzeją, nigdy nie wędną i nigdy nie załamują się całkowicie. Nie ulega wątpliwości, że ich wzajemny stosunek był jak najbardziej przyjazny, a bodaj nawet i coś więcej jeszcze. O n nie był może zakochany, iluż jednak znajdzie się na świecie takich, którzy kochają naprawdę, a przynajmniej takich, którzy żenią się z miłości? Czekaliśmy więc cierpliwie k(ńca).

Na co czekał on — nie wiem, ani też czego wypatrywał, faktem jest wszelako, że ani na chwilę nie zmienił swego dziwaczego zachowania, nie przygasały czujność i bystrość jego spojrzenia. Raczej rzec można, wzmagały się one. Nigdy nie mogłam przeniknąć go dokładnie, jak gdyby pozostawał poza zasięgiem mojej przenikliwości; mam też wrażenie, że odsuwał się coraz dalej ode mnie poza ten krąg.

Pewnego rana wzmogła się gorączka małej Georgette. Dziecina marudziła bardziej niż zwykle; płakała i kaprysiła i niczym nie można jej było uspokoić. Przypuszczałam, że mógł źle na nią podziałać zlecony ostatnio przez lekarza nowy środek, nie wydawało mi się też wskazane dalsze stosowanie go. Nic dziwnego więc, że czekałam niecierpliwie na przybycie doktora Johna, aby zasięgnąć jego porady.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Otworzono doktorowi. Byłam pewna, że to on, usłyszałam bowiem jego głos, gdy zwrócił się do odźwiernej. Zwykle przychodził od razu na górę do dziecinnego pokoju, przy czym biegł szybko, przeskakując po

155

trzy schody naraz. Była to dla nas zawsze miła niespodzianka. Tym razem wszakże upłynęło pięć minut, potem dziesięć, a wciąż jeszcze go nie było. Co mógł robić na dole? Może czekał na korytarzu? Mała Georgette popłakiwała i pojękiwała wciąż żałośnie, zwracając się do mnie jak zwykle:

— Minnie, Minnie, boli, boli... "

Jękliwe zawodzenie dziecka odezwało się bolesnym echem w moim sercu. Wreszcie, niezdolna dłużej już znieść tego, zesłam pospiesznie na dół, aby przekonać się, dlaczego doktor nie przychodzi do małej pacjentki. Korytarz był pusty. Gdzież więc podział się doktor John? Czy był z Madame w salle à manger — w jadalni? Niemożliwe. Pozostałam ją przed chwilą, ubierającą się w jej własnym pokoju. Dochodziły jakieś głosy. Trzy uczennice ćwiczyły na fortepianie w trzech najbliższych pokojach: w jadalni oraz w większym i mniejszym salonie; pomiędzy nimi a korytarzem mieściła się jedynie łoża odźwiernej, sąsiadująca bezpośrednio z obu salonami i przeznaczona pierwotnie na buduar. Nieco dalej, przy czwartym instrumencie, fisharmonii, znajdującej się w kaplicy, kilkanaście uczennic odbywało lekcję śpiewu chóralnego. Śpiewały jakąś barkarolę, w której, jak pamiętam teraz jeszcze, rymowały się słowa: fraiche brise — świeży powiew — i Venise — Wenecja. Trudno mi było zorientować się w tych warunkach. A jednak usłyszałam coś, co wielce mnie zastanowiło.

Tak, do moich uszu doleciał trzpiotowaty, płochy chichot, powtórzony trzykrotnie w wymienionej powyżej łoży, przy której drzwiach stałam. Drzwi były z lekka uchylone; głęboki, czuły, brzmiący błagalnie głos męski wypowiedział kilka wyrazów, w odpowiedzi na które usłyszałam tylko groźne ostrzeżenie: „Na miłość boską!”. W parę sekund potem drzwi łoży odźwiernej otworzyły się szerzej. Wszedł z nich doktor John. Żywszy niż zwykle błysk w jego oku nie był wszelako błyskiem radości ani triumfu. Policzki o jasnym angielskim kolorycie załała fala mocnego rumieńca; na

156

zmarszczonym czole osiadł wyraz niepokoju, bodaj udręki nawet, a zarazem dziwnej tkliwości.

Ukryłam się za otwartymi drzwiami, czyniąc z nich rodzaj parawanu dla siebie, przypuszczam jednak, że gdybym znalazła się wprost na jego drodze, minąłby mnie, nie dostrzegłszy wcale mojej obecności. Pochłonięty był najwidoczniej jakąś głęboką troską czy podrażnieniem, a bodaj może, o ile mam oddać wiernie wrażenie, jakie sprawił na mnie wówczas, omraczającym duszę jego smutkiem. Wydawało mi się jednak, że bolesny cios zadany został nie tyle jego dumie, ile jego uczuciu, zranionemu w sposób okrutny, jak przypuszczałam. Kto był jednak tym okrutnym dręczycielem? Kto z mieszkańców tego domu posiadał nad nim taką władzę? Byłam przekonana, że Madame jest w swoim pokoju; łoża, z

której wyszedł, była przeznaczona wyłącznie na użytek odzwiernej, Rozyny Matout, przystojnej, fertycznej francuskiej gryzетки, wyzbytej zasad moralnych, próżnej, płoczej, lubiącej się stroić, zarazem chciwej grosza. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nie z jej ręki padł cios, jaki, sądząc z wyglądu doktora, ugodził w niego celnie.

W chwili kiedy rozmyślałam nad tym, rozległ się poprzez uchylone drzwi jej głos, dźwięczny, może tylko nieco ostry, nucący francuską lekką piosenkę. Nie dowierając mojemu słuchowi, rzuciłam okiem do wnętrza łoży. Przy stole siedziała Rozyna w szykownej sukience z jaconas rose, z różowego muślinu; prócz niej nie było w pokoiku żywej istoty, z wyjątkiem paru złotych rybek, pływających w wypełnionej wodą szklanej kuli.

Stałam wobec niemożliwej dla mnie do rozwikłania zagadki. Nie mogłam jednak na razie zająć się rozwiązywaniem jej; musiałam pobiec na górę i zapytać doktora, czy należy dawać małej w dalszym ciągu owo zalecone przez niego lekarstwo.

Doktor John siedział na krześle przy łóżeczku pacjentki. Madame stała przy nim, Georgette, zbadana już i ukojona, leżała spokojnie w pościeli. Madame Beck w chwili mego wejścia mówiła z dokto-

157

rem o własnym jego zdrowiu, dostrzegła bowiem czy wyimaginowała sobie, że jest zmieniony, zarzucała mu więc, że nie dba dostatecznie o siebie i niepotrzebnie przepracowuje się, nalegała też, aby wypoczął i zmienił warunki. Wysłuchał jej bez sprzeciwu, ale z na wpół drwiącą obojętnością, mówiąc, że jest trop bonne — zbyt dobra — i zapewniając ją, że czuje się zupełnie zdrow. Nic a nic mu nie jest. Wówczas Madame zwróciła się do mnie, abym osądziła sprawę. Usłyszawszy moje imię, doktor John gwałtownie odwrócił głowę, obrzucając mnie wzrokiem zdającym się wyrażać zdumienie — dlatego prawdopodobnie, że ta, od której żądano rozstrzygnięcia sporu, była istotą tak zupełnie bez znaczenia.

— Jak pani sądzi, miss Lucy — zapytała Madame — prawda, że pan doktor mocno przybladł i zeszczupiał?

Z ust moich rzadko wychodziło w obecności doktora Johna coś więcej niż jednosylabowe „tak” lub „nie”; należał on do rzędu tych, dla których miałam prawdopodobnie pozostać na zawsze bezosobową bierną istotą, za jaką mnie uważał. Teraz wszelako pozwoliłam sobie odpowiedzieć pełnym zdaniem, i to zdaniem, któremu rozmyślnie nadałam znaczenie zupełnie wyraźne.

— Tak, pan doktor wygląda źle w tej chwili, może jednak zachodzi szczególny tego powód: jakaś chwilowa przykrość czy niemiłe rozczarowanie.

Nie mogę powiedzieć, w jaki sposób przyjął moje oświadczenie, nie spojrzałam bowiem na niego, aby poszukać odpowiedzi w wyrazie jego twarzy. Georgette zażądała ode mnie w tej chwili swoją łamaną angielszczyzną szklanki eau sucee — ocukrzony wody — na co odpowiedziałam jej również po angielsku. Po raz pierwszy wówczas, jak mi się zdaje, zwrócił uwagę, że mówię jego rodzowitym językiem. Dotychczas brał mnie za cudzoziemkę nieokreślonej narodowości, nazywając mnie stale Mademoiselle i udzielając mi po francusku wskazówek w sprawie pielęgnowania jego małych pacjentek. W pierwszej chwili zdawał się bliski zrobienia jakiejś uwagi,

158

namyślił się jednak widocznie i powstrzymał gotowe już do wypowiedzenia słowa.

Madame ponownie zaczęła upominać go i dawać mu rady, on jednak potrząsnął głową ze śmiechem, wciąż z obojętną miną człowieka z lekka znudzonego nadmierną troską.

Po jego odejściu Madame osunęła się na opróżnione przez niego krzesło, oparła podbródek na dłoni; całe jej ożywienie i uśmiech, jakie przed chwilą jeszcze opromieniały jej twarz, znikły niby zdmuchnięte. Rysy jej stężały, kamienne, sztywne, znieruchomiałe w ponurej zadumie.

Westchnęła ciężko. Rozległ się pierwszy głośny dzwonek, obwieszczający rozpoczęcie lekcji. Wstała z krzesła i, przechodząc obok lustra, rzuciła okiem na swoje odbicie. Jeden wyraźny

siwy włos srebrzył się wśród jasnokasztanowych włosów; wyrwała go z dreszczem zgrozy. W pełnym świetle letniego dnia było widoczne, że jej twarz, jakkolwiek świeża i rumiana, zatraciła urok młodości. A co się stało z młodzieńczym owalem tej twarzy? O, Madame, przy całym swoim rozumie nawet i pani także zaznała chwili słabości! Nigdy dotychczas nie litowałam się nad Madame, serce moje zmiękło jednak dla niej, kiedy sposepniała nagle, odwróciła się od lustra. Dotknęła ją klęska. Zły czarownik — rozczarowanie — rzucił jej złowrózby okrzyk powitalny, na którego odgłos wzdygnęła się, zatykając z przerażeniem uszy.

Czyżby naprawdę Rozyna? Moje oszołomienie urąga wszelkiemu opisowi. Wyzyskałam pięć okazji przejścia przez jej lożę tego dnia, aby móc bliżej przyjrzeć się jej wdziękowi i zbadać tajemnicę ich wpływu. Była młoda, przystojna i miała na sobie zręcznie uszytą sukienkę. Wszystko to przemawiało niewątpliwie na jej korzyść, mogłoby też, jak sądzę, w zupełności usprawiedliwić w oczach każdego logicznie rozumującego człowieka spustoszenie i zgębienie, jakie osoba jej wywołała w sercu i umyśle młodego człowieka w rodzaju doktora Johna. Nie byłam jednak zdolna oprzeć się cieniowi żalu, że doktor John nie jest moim bratem, a przynajmniej, że

159

nie ma siostry ani matki, które miałyby prawo tkliwie go napominać. Zaznaczam wszelako, że był to z mojej strony tylko cień żalu, który zdławiłam w sobie, zanim jeszcze mógł stać się prawdziwym, wyraźnym żalem. Zorientowałam się w porę, jak niemożliwe do zrealizowania byłoby podobne życzenie.

Mógłby ktoś równie dobrze — powiedziałam sobie — wypalić solidne kazanie Madame za jej młodego doktora; jaki byłby tego skutek wszakże?

Myślę, że Madame sama wypaliła sobie odpowiednie kazanie. Nie uległa słabości ani też nie okryła się śmiesznością. Co prawda, nie miała do czynienia z silnym uczuciem, które zmuszona byłaby pokonać, ani także z głębokim przywiązaniem, którego wydarcie zadałoby jej sercu dotkliwy ból. Prawda również, że znajdowała doniosłą przeciwwagę w poważnej pracy zawodowej, która wypełniała cały jej czas, odciągała jej myśli i podzielała jej zainteresowania. Nade wszystko jednak miała dużą dozę trzeźwego rozsądku, będącego rzadko udziałem kobiet, a także mężczyźni. Wszystko to sprawiło, że zdołała wyjść zwycięsko z przeżywanego przełomu, zachować się godnie i mądrze. Bravo! Raz jeszcze bravo, czcigodna Madame Beck! Widziałam panią, staczającą dzielnie walkę z Apollyonem¹ — wrogiem, któremu musiała pani przeciwstawić własną siłę — i wychodzącą z tej walki zwycięsko!

1 Apollyon — anioł bezdennej przepaści. W utworze Pilgrim's Progress Bunyana, mistyka angielskiego z XVIII w., jest on nieprzyjacielem, zwyciężonym przez Christiana (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XII Szkatułka

Na tyłach domu przy Rue Fossette znajdował się ogród, rozległy, biorąc pod uwagę, że położony był w samym centrum miasta. W mojej pamięci zapisał się jako szczególnie przyciągający, pozostając takim po dzień dzisiejszy. Zarówno czas, jak odległość, użyczają pewnym miejscowościom i sceneriom wpływu osobliwie miękko zacierającego ostrość ich zarysów. Tam gdzie wszystko dokoła jest kamieniem, gładkim murem i rozgrzanym brukiem, jak beżmiernie cenny wydaje się każdy krzew, jak przedziwnie miła zamknięta przestrzeń porosłego zielenią gruntu!

Wedle tradycji dom Madame Beck miał być niegdyś klasztorem. W czasach minionych — jak dawno minionych, trudno mi powiedzieć, sądzę jednak, że przed kilku wiekami, zanim miasto rozrosło się, zagarniając również tę dzielnicę, która była wówczas uprawnym gruntem i zielonym gąszczem, w jakiego obrębie powinien kryć się klasztor — otóż w owych

minionych czasach mogły niewątpliwie dziać się w tych okolicach wydarzenia budzące grozę i omraczające miejsca związaną z nimi na stałe, przekazywaną przez wieki legendą o nawiedzających dom i ogród duchach. Krążyła tedy niejasna opowieść o odzianej w czarno-biały strój mniszce, którą od czasu do czasu, nocą, czy nocami, widywać miano snującą się tutaj. Legenda o tej zjawie musiała powstać już przed wiekami, obecnie bowiem wznosiły się wszędzie dokoła kamienice czynszowe i tylko w ogrodzie przy domu Madame Beck pozostały jeszcze pewne, uświęcające to miejsce, zabytki klasztorne w postaci starych, potężnie rozrosłych drzew owocowych. Jedno z tych drzew — licząca matuzalowe lata grusza — prawie całkowicie już zamarło. Tylko kilka konarów odradzało się jeszcze każdego roku, kwitnąc wiosną i owocując

161

jesienią. U stóp tej gruszy, po oskrobaniu porosłej mchem ziemi, można było zobaczyć połyskującą pomiędzy na wpół obnażonymi korzeniami twardą, gładką, czarną płytę kamienną. Według nie uwierzytelnionej, wciąż jednak szerzonej legendy, było to wejście do sklepienia ukrytego głęboko pod ziemią, na której obficie rosła obecnie trawa i kwitły kwiaty, i kryjącego w swoim wnętrzu szczątki młodej dziewczyny, którą zgromadzenie mnichów ponurego średniowiecza pogrzebało tutaj żywcem za złamanie ślubów zakonnych. Jej to cień właśnie miał straszyć przez wiele pokoleń już po obróceniu się w proch jej doczesnej powłoki. Czarna szata i biały welon, wyczarowane przed strwożonymi oczami światłem księżyca i cieniem, falowały na nocnym wietrze w gąszczu drzew i zarośli ogrodowych. Niezależnie wszakże od tych romantycznych gadek stary ogród przyciągał mnie swoim urokiem. W letnie poranki zwykłam zrywać się wcześniej, aby móc rozkoszować się nim w samotności; w letnie wieczory, również sama, pozostawałam tu w oczekiwaniu na wschód księżyca, na zaznanie rozkoszy pocałunku wieczornego wietrzyka i na wyobrażanie sobie raczej, aniżeli istotne odczuwanie, słodczy i świeżości opadającej mgły. Murawa zieleniła się, wysypane piaskiem ścieżki żółciły się wyraźnie, złociste nasturcje kwitły jaskrawymi bukietami pośród wystających korzeni na wpół uschniętych, ale wciąż jeszcze rodzących owoce olbrzymów. Była tu altana, ocieniona rozłożystymi konarami akacji, i druga, o wiele mniejsza i bardziej ukryta altanka, schowana w gąszczu szlachetnego wina, obrastającego od strony południowej szary mur ogrodowy. Długie łoży wiły się, wdzięcznie oplecione dokoła zwisających obficie gronowych kiści, splecione z wonnym jaśminem i połyskującym ciemniejszą zielenią bluszczem.

W biały dzień oczywiście, w południe czy w godzinach popołudniowych, licznie uczęszczana pensja Madame Beck napełniała się ruchem i wrzawą. Pensjonarki i uczennice przychodnie współzawodniczyły z wychowankami mieszczącego się w pobliżu kolegium

162

dla chłopców w wywoływaniu hałasu. O tej porze trawniki, zarośla i ścieżki ogrodowe były niewątpliwie pospolitym, wydeptanym tysiącrotnie miejscem. Ale o zmierzchu, w godzinie salut, kiedy dzwoniono na Anioł Pański, to znaczy kiedy przychodnie uczennice wracały już do swoich domów, a pensjonarki siedziały pilnie przy odrabianiu lekcji, miło było błąkać się samotnie po owych alejach, w rytm rozkołysanych dzwonów kościoła św. Jana Baptysty, których pieszczotliwy dźwięk dziwnie słodko i podniośle zarazem nastrojał duszę.

Przechadzałam się tu pewnego wieczoru, zatrzymana dłużej niż zwykle już po zupełnym zapadnięciu zmierzchu urokiem coraz głębszej ciszy, orzeźwiającego chłodu i upajających zapachów, jakich nie wydzielają nigdy kwiaty we dnie, w słońcu, a jakie jest z nich zdolna wyczarować jedynie rosa wieczorna. Światło w oknie kaplicy zdradzało, że katolicycy domownicy zgromadzili się tu na wieczorne modły, rytuał, od którego ja, jako protestantka, uwalniałam się od czasu do czasu.

Pozostań jeszcze chwilę — kusila samotność i sierp letniego księżycy — teraz dopiero panuje tu prawdziwa cisza; możesz darować sobie jeszcze kwadransik, nie jesteś tam nikomu potrzebna. Żar i zamęt całego dnia znużyły cię, skorzystaj z tych bezcennych chwil. Pozbawione okien, wychodzące na ogród ściany przyległych domów kryły poza sobą długi szereg pomieszczeń, w których lokowano pensjonariuszy sąsiadującego z nami kolegium. Kamiennej, gładkiej jednostajności murów nie przerywało nic, z wyjątkiem niewielkich otworów, umieszczonych wysoko na poddaszu i stanowiących okienka sypialnych izb służby oraz jednego okna na niższym piętrze, gdzie, jak mówiono, miał znajdować się pokój mieszkalny czy gabinet jednego z wychowawców. Wzdłuż wysokiego muru w tej stronie ogrodu biegła aleja, niedostępna dla uczennic. Nosila nawet nazwę allee defendue — Zakazanej Alei. Uczennica, która odważyła się przekroczyć ten zakaz, narażona była na tak surową

163

karę, na jaką tylko pozwalały łagodne przepisy zakładu wychowawczego przy Rue Fossette. Nauczycielki i wychowawczynie mogły oczywiście spacerować tam do woli, że jednak ścieżka ta, szumnie nazwana aleją, była wąska, a nie przetrzebiana zarośla zagęściły się nadmiernie po obu jej stronach, tworząc nieprzenikniony dla promieni słonecznych dach zieleni, aleja ta rzadko bywała uczęszczana za dnia, a po zapadnięciu zmierzchu trwożliwie omijana.

Od samego początku kusilo mnie, żeby przełamać tę stałą zasadę unikania allee defendue. Pociągał mnie ku niej urok zupełnej izolacji od świata i panującego tu stale mroku. Przez długi czas wszakże powstrzymywała mnie obawa wydania się dziwaczką; stopniowo jednak, w miarę jak otoczenie przyzwyczajało się do mnie, do mojego zachowania oraz do drobnych, właściwych mojej naturze dziwactw, nie dość oryginalnych zresztą, aby uczynić mnie interesującą i może nie dość rażących, aby miały wykraczać przeciwko dobrym obyczajom — słowem, dziwactw moich, z którymi żyto się, jako z moją cechą nieodłączną — zaczęłam coraz częściej kierować moje kroki w stronę tej wąskiej, gęsto po obu stronach zarośniętej ścieżki. Podjęłam się tu dobrowolnie pełnienia obowiązków ogrodniczki, pielęgnując zabląkane w gąszczu nie znane mi z nazwy kwiaty; usunęłam grubą warstwę pozostałości minionej czy minionych jesieni, odsłoniwszy w ten sposób ukrytą na końcu alejki ławkę, którą, dzięki użyczonemu mi łaskawie przez kucharkę, pocziwą Goton, kubłowi wody i szczotce do szorowania, doprowadziłam do stanu używalności. Madame, zaskoczywszy mnie przy tej pracy, uśmiechnęła się, jak gdyby z uznaniem. Czy uśmiech ten i to uznanie były szczere, trudno mi osądzić, wydawały się jednak szczere.

— Voyez-vous — zawołała — comme elle est propre cette demoiselleLucie? Vous aimez donc cette allee, Miss?1

1 Patrzcie, jaka to czyściocha z tej panny Lucy. Lubi pani zatem tę aleję, Miss?

164

— Tak — odparłam — jest taka cicha i cienista.

— Cestjuste! — rzekła życzliwym tonem, uprzejmie zachęciwszy mnie, abym korzystała z tego ukrycia, ile tylko zechcę. Zaznaczyła przy tym, niby mimochodem, że nie ciąży przecież na mnie obowiązek suveillance, nie mam więc potrzeby zabierania tam z sobą uczennic; nie miałyby jednak nic przeciwko temu, abym pozwoliła jej własnym dzieciom odbywać tu z nią godziny angielskiej konwersacji.

Otóż owego wieczoru, o którym mowa, siedziałam na ukrytej przed oczyma wszystkich ławeczce, oczyszczonej przeze mnie z mchu i pleśni, i wsłuchiwałam się w to, co wydawało mi się dalekimi odgłosami miasta. W rzeczywistości nie były one tak dalekie: nasza szkoła położona była w samym centrum Vilette, tym samym więc od parku miejskiego oddzielało nas nie więcej niż pięć minut drogi, a zaledwie dziewięć od wspaniałych gmachów stołecznych. Tuż w pobliżu ciągnęły się jarząco oświetlone ulice, tętniące w tej chwili

życiem: toczyło się po nich wiele świetnych pojazdów, wiozących strojną publiczność do teatrów, na koncerty, na bale. Ta sama godzina, która nakazywała gaszenie świateł w naszym klasztorze, gdzie opadały zasłony dokoła wszystkich łóżek, i otulała cały gmach niezmaconą ciszą nocy, wydzwaniała w rozbawionym mieście hasło do wszelkiego rodzaju odświętnych rozrywek. Nie myślałam jednak o tym kontraście; instynkt zabawy i wesołości nie leżał w mojej naturze; nie byłam nigdy na balu ani w operze, ani też nie brałam bezpośredniego udziału w podobnych rozrywkach. Czułam, że nie nadaję się do błyszczącego na świetnych zebraniach, nie dążyłam też bynajmniej do uczestniczenia w nich, byłam tylko ciekawa, jak one wyglądają w rzeczywistości.

Księżyc świecił jasno. Nie była to wprawdzie jego pełnia, sierp tylko, widzialny poprzez gałęzie. On i jaśniejące dokoła niego

1 Słusznie.

165

gwiazdy nie były dla mnie zjawiskiem obcym pośród rzeczy i istot dalekich mi i nie znanych. Znałam je od dzieciństwa. Widziałam ten złocisty znak, płynący po ciemnym błękitnie ponad kępą starych cierni, które rosły pośród tak dobrze znanego pola w kochanej mojej Anglii za dawnych dni, zupełnie tak samo jak płynął teraz ponad jedną z dumnych, strzelających w niebo wieżyc tej okolicy na kontynencie.

O, moje dzieciństwo! Nie byłam wyzbyta gorących uczuć. Przy całej mojej bierności i małowówności, przy całym moim pozornym chłodzie, na myśl o przeszłości czułam, że w mojej piersi bije serce zdolne do głębokiego odczuwania. W stosunku do terażniejszości lepiej było zachować surowy stoicyzm, zaś do przyszłości — przyszłości takiej jak moja — nieczułość i martwość głazu. Odrętwienie to skutecznie powściągało właściwą mojej naturze żywość uczuć.

Pamiętam, że w owym czasie budziły we mnie lęk pewne zjawiska, które mogłyby mnie podniecać: stany pogody na przykład wywoływały we mnie uczucia, które stale usiłowałam zagłuszać. Pewnej nocy zerwała się burza gradowa. Huragan wstrząsał nami w naszych łóżkach; ogarnięte paniką dziewczęta katolickie klękły na posłaniach, modląc się do swoich świętych. I mnie także burza chwyciła w swe szpony, roztaczając nade mną władczą, tyrańską potęgę, zrywając mnie z łóżka i zmuszając do należytego wykorzystania jej widoku. Wstałam i ubrałam się, po czym przekradłszy się ku oknu, otworzyłam je, usiadłam na parapecie i oparłam nogi na dachu sąsiedniego, niższego budynku. Smugi gradu i deszczu, chłostane dzikimi podmuchami wichru, padały pośród atramentowej ciemności. W sypialni klęczały przerażone dziewczęta dokoła nocnej lampki, modląc się głośno. Ja jedna tylko nie mogłam zdecydować się wejść do pokoju: nie mogłam oprzeć się rozkoszy bezpośredniego doznawania o tej niezwyklej godzinie dziko rozpętanego żywiołu, wsłuchiwania się w niesamowite, budzące najwyższą grozę

166

wycie, wpatrywania się w rwące szaleńczym pędem chmury, rozdzierane raz w raz oślepiającymi wstęgami błyskawic.

Siedziałam długo, nie mogąc ani w danej chwili, ani w ciągu dwudziestu czterech godzin potem, uśmierzyć mojej tęsknoty za czymś, co wyrwałoby mnie z obecnego mojego istnienia, porwałoby mnie naprzód i uniosłoby mnie na wyżyny. Rozumiałam, że muszę wybić sobie z głowy podobnego rodzaju tęsknoty, co uczyniłam też symbolicznie, przebijając wzorem Jaeli¹ gwoździem ich skronie. W przeciwieństwie wszakże do Sysery², nie zgładziło ich to, co najwyżej tylko ogłuszyło je i oszołomiło chwilowo, co pewien czas też obluźniało gwoźdź; skronie krwawiły wówczas, a mózg poruszony był do samych podstaw.

Owego wieczoru wszakże nie byłam nastrojona tak buntowniczo ani też nie czułam się tak przygnębiona. Mój Sysera leżał śpiąc spokojnie w swoim namiocie, a jeśli nawet pojękiwał z bólu przez sen, jakiś anioł — ideał — klęczał przy jego wezglowiu, lejąc mu balsam na

skronie, trzymając przed zamkniętymi powiekami szkiełko czarodziejskie, którego słodkie, upojne wizje odtwarzały się w rojeniach sennych i rzucając świetlne odbicie swoich osrebrzonych księżycowym blaskiem skrzydeł i swojej szaty na przebitego gwoździem śpiącego, na próg namiotu, na cały roztaczający się na zewnątrz pejzaż. Jaela, ponura, surowa niewiasta, siedziała nieco z dala, dziwnie złagodniała w stosunku do swojego jeńca, bardziej skłonna do wiernego czekania na powrót do domu Habera. Przez to porównanie chcę powiedzieć, że cisza, panująca dokoła, rzeźwiący chłód wieczorny i upojność pachnącej rosy tchnęły w moje serce słodycz nadziei; nie tyle nadziei na pewnym określonym punkcie, ile uczucia ulgi, ukojenia i zachęty.

1 Jaela — żona Habera Cynejczyka.

2 Sysera — hetman wojska chanaanajskiego. Patrz: Ks. Sędziów, rozdz. IV (przyp. tłum.).
167

Czyżby podobny nastrój, taka cisza i rozsiewana przez nią dokoła słodycz nie miały być zwiastunami pomyślności? Niestety, dla mnie przynajmniej nie wynikało z tego nic szczególnie pomyśl: nego ani dobrego. W danym momencie zakłóciła ją brutalna rzeczywistość w najgorszej, najbardziej odrażającej, najnikczemniejszej swojej postaci. Niezmaconą ciszę, jaką tchnęły budynki kamienne, spiętrzone ponad moją ulubioną alejką, ponad drzewami i wysokim murem ogrodowym, zakłócił nagle zgrzytliwy, skrzypiący odgłos: to skrzypnęły zawiasy okienne. Zanim miałam czas podnieść głowę, aby przekonać się, kto i na którym piętrze otworzył okno, konary drzewa nad moją głową ugięły się, jak gdyby trafił na nie pocisk i wprost pod moje nogi upadł jakiś przedmiot.

Zegar na wieży kościoła św. Jana Baptysty wydzwaniał dziewiątą; zmierzchało już, nie było jednak jeszcze zupełnie ciemno. Sierp księżycyca nie dodawał wiele światła; jedynie mocniej rozzłocony punkt na niebie, gdzie słońce promieniowało ostatnio, oraz kryształowa przejrzystość szerokiego pasa ponad tym punktem, podtrzymywały letni zmrok; nawet na tej ciemnej ścieżce mogłam, zbliżywszy się do szerzej rozchylonych gałęzi, czytać drobny druk. Tym łatwiej więc dostrzegłam, że ów rzucony z okna pocisk był małą szkatułką z białej i kolorowanej kości słoniowej; jej nie domknięta górna połowa otworzyła się w moich rękach, ukazując leżące wewnątrz fiołki, a na nich złożoną ćwiarteczkę różowego papieru, na której napis głosił: Pour la robe grise — dla szarej sukni. Traf chciał, że tego dnia miałam na sobie suknię barwy popielatej.

Ślicznie. Czyżby miał to być czuły bilecik? — un billet-dowcl Rzecz, o której słyszałam, dotychczas jednak nie dostąpiłam zaszczytu trzymania jej w ręku. Czyżby miało nią być to, co w tej chwili spoczywało pomiędzy moim wskazującym i wielkim palcem?

Trudno mi było w to wierzyć. Nie wyobrażałam sobie, że
168

mogłabym mieć wielbiciela lub starającego się o moją rękę. Myśli wszystkich nauczycielek były zaprzątnięte rojeniami o tego rodzaju osobnikach; jedna z nich nawet—oczywiście z gatunku szczególnie łatwowiernych — wierzyła święcie w przyszłe swoje zamążpójście. Każda uczennica powyżej czternastu lat marzyła o przyszłym narzeczonym; dwie czy trzy zostały już nawet związane narzeczeństwem przez rodziców, kiedy były jeszcze w kolebce. Moje myśli, a tym mniej moje przewidywania, nie znajdowały nigdy podniety do wkraczania w zakres podobnych nadziei i uczuć.

Ilekcioć inne nauczycielki szły do miasta czy odbywały przechadzkę po bulwarach albo też były obecne w kościele na mszy, mogły liczyć (sądząc z ich opowiadań) na spotkanie z osobnikami „płci odmiernej”, których rozkochane, pełne podziwu spojrzenia przekonywały je o potędze ich uroku i o ich sile przyciągania mężczyzn. Nie mogłabym powiedzieć, aby moje doświadczenia życiowe miały pouczać mnie o tym samym. Bywałam w kościele, chodziłam na spacer, byłam jednak zupełnie przekonana, że nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej

uwagi. W zakładzie wychowawczym przy Rue Fossette nie było ani jednej młodej kobiety czy dziewczyny, która nie zapewniałaby, że tu i ówdzie spoczęło na niej pełne zachwyty spojrzenie błękitnych oczu naszego młodego doktora. Co do mnie, muszę niestety stwierdzić, chociażby miało to brzmieć bardzo upokarzająco dla mojej osoby, że stanowiłam pod tym względem niewątpliwy wyjątek. W stosunku do mnie nie ponosiły jego błękitne oczy, spokojne jak niebo i zbliżone barwą do nieba, żadnej tego rodzaju winy. Chociaż więc słuchałam rozmów moich koleżanek, dziwiąc się często ich wesołości, pewności siebie i zadowoleniu z samych siebie, nie pomyślałam jednak nigdy, by je naśladować i pójść drogą, na której one czuły się tak pewnie. Nie był to więc billet-dowc, przeświadczona o tym bez skrupułów otworzyłam liścik. Brzmiał on, jak następuje:

„Aniele mojego serca! Tysięczne dzięki za dotrzymanie przy-

169

rzeczenia, o czym nie śmiałem marzyć prawie. Sądziłem, że jest to tylko coś w rodzaju żartu z Twojej strony; sama uważałaś zresztą ten krok za bardzo ryzykowny ze względu na porę tak wielce nieodpowiednią i alejkę tak zupełnie samotną, obraną na miejsce przechadzek przez tego smoka, nauczycielkę angielskiego — *une véritable begueule Britannhje* a ce que vous dites — *espece de monstre, brusque et rude comme un vieux caporal de grenadiers, et reveche comme une religieuse!* — (Zechce czytelnik łaskawie wybaczyć skromność, z jaką oddaję ten schlebający mi wizerunek w jego autentycznym brzmieniu.) Domyślasz się, aniele mój — wyczytałam w dalszym ciągu listu — że mały Gustaw z powodu jego choroby został przeniesiony do pokoju wychowawcy — do tego uprzywilejowanego pokoju, którego okno wychodzi na ogród waszego więzienia. Otóż ja, wzór troskliwego wujaszka, mam prawo odwiedzać Gustawa. Z jakim drzeniem podszedłem do okna i zajrzałem do Raju — Raju dla mnie, mimo że jest pustynią dla Ciebie! — jakim lękiem przejmowała mnie myśl, że nie dostrzegę w nim nikogo albo też ujrzę jedynie wspomnianego smoka. O, jak radośnie zatrzepotało moje serce, kiedy poprzez rozchylenie pomiędzy konarami drzew dostrzegłem od razu błysk twojej wielkiej, prześlicznej, słomianej pasterki i falowanie uroczej popielatej sukni, którą rozpoznałbym pośród tysięcy. Ale dlaczego, mój aniele, nie chcesz podnieść oczu i spojrzeć w moją stronę? Okrutnico, dlaczego nie chcesz użyczyć mi chociażby jednego promiennego błysku twych czarownych oczu? Jak wiele sił i otuchy dodałoby mi jedno takie spojrzenie! Kreślę te słowa w gorączkowym pośpiechu, korzystając z tego, że lekarz bada Gustawa. Ośmielam się włożyć do małej szkatułki liścik niniejszy wraz z bukietkiem fiołków, najrozkoszniejszych słodkim

I Wierutnie fałszywa skromnisia brytyjska, jak mówisz — rodzaj potwora, opryskliwego i szorstkiego, jak stary kapral grenadierów, cierpka jak zakonnica.

170

swoim zapachem — nie tak rozkosznych wszakże, jak ty, moja Peri — moja ty najczarowniejsza z istot! Na wieki twój — wiesz dobrze, kto!"

— Szkoda, że ja nie wiem, kto — brzmiał mój komentarz, dotyczący w wyższym jeszcze bodaj stopniu osoby, do której list był adresowany, aniżeli autora wytwornie czulej epistoły. Może była ona dziełem narzeczonego jednej z zaręczonych uczennic, a w takim razie nie stanowiła ta oryginalna korespondencja tak wielkiego przestępstwa, co najwyżej pewne wykroczenie przeciwko regulaminowi zakładowemu. Niektóre spośród dziewcząt — nawet bodaj większość — miały braci i kuzynów w sąsiadującym z nami kolegium męskim. Ale *la robe grise, le chapeau depaille* — suknia popielata, kapelusz słomkowy — w nich niewątpliwie tkwił klucz zagadki, wyjątkowo trudnej do odgadnięcia. Pasterka słomkowa była zwykłym nakryciem głowy, używanym przy wychodzeniu do ogrodu, noszonym poza mną przez dziesiątki nauczycielek i uczennic. Popielata suknia nie mogła również służyć jako wyraźna wskazówka. Sama Madame nawet zwykła nosić suknie w tym odcieniu; jeszcze

jedna nauczycielka i trzy pensjonarki miały popielate suknie z tego samego materiału co moja: był to odcień modny w owym czasie na użytek codzienny.

W trakcie tych rozmyślań zdałam sobie nagle sprawę, że muszę już wrócić do domu. Światła, rozbłyskujące w sypialniach, świadczyły, że skończyła się wieczorna modlitwa i że pensjonarki udają się na spoczynek. Za nie więcej niż pół godziny będą pozamykane wszystkie drzwi — wszystkie światła pogaszone. Otwarte było na oścież jedynie wejście frontowe, aby wpuścić do rozgrzanego wnętrza domu świeży powiew letniej nocy. W oknie położonej najbliższej łoży odzwiernejąca połyskiwała światło lampy, oświetlającej przez uchylone drzwi podłużny przedsionek z dwojgiem drzwi salonu po jednej stronie i z wielkim wejściem frontowym, zamykającym widok na ogród.

171

Nagle przy furtce ostro zadźwięczał dzwonek — ostro, ale nie głośno — jak gdyby ostrzegawczo. Rozyna wybiegła ze swojej łoży, aby otworzyć. Osoba, którą wpuściła, zatrzymała się, rozmawiając z nią jeszcze parę minut; sprawiało to wrażenie wzdragania się czy zwlekania. Rozyna, zbiegłszy do furtki, miała w ręku latarkę. Stała przez chwilę, rozglądając się niepewnie dokoła.

— Quel eonie ?—zawołała z zalotnym uśmiechem. — Person-пен'ы а ete.

— Niech mnie pani wpuści — prosił jakiś znany mi głos. — Tylko na pięć minut.

Znajoma sylwetka, wysoka i imponująca (przywykliśmy wszyscy przy Rue Fossette uważać ją za taką), wsunęła się do ogrodu i zaczęła pospiesznie krążyć pośród grządek kwiatowych i ścieżek. Świętokradztwem było przedostanie się tutaj mężczyzny o podobnej porze.

Widocznie jednak ten, który wszedł, miał prawo uważać się za uprzywilejowanego, a może też liczył na sprzyjający mu mrok nocy. Krążył po alejkach i ścieżkach, zaglądając tu i ówdzie pomiędzy krzewy, deptąc kwiaty na rabatach i łamiąc gałęzie, aż wreszcie dostał się na allee defendue, skąd wysłałam mu naprzeciw, niby zjawą.

— To, czego pan szuka, zostało znalezione, panie doktorze Johnnie!

Nie zapytał, kto znalazł zgubę: bystre jego oko dostrzegło, że trzymam szkatułkę w ręku.

— Niech pani jej nie zdradzi — szepnęła, spojrzawszy na mnie tak, jak gdybym była naprawdę smokiem.

— Gdyby nawet w mojej naturze tkwiły skłonności do zdrady, nie mogłabym zdradzić ani tego, kogo nie znam, ani tego, o czym nie wiem — brzmiała moja odpowiedź. — Niech pan przeczyta kartkę, a przekona się pan, jak mało ona wyjawia.

1 Co za bajka! Nie było tu nikogo.

172

Powiedziałam to, nie mogąc jednak uwierzyć, aby doktor John ją napisał. Niepodobna, aby miał to być jego styl, a zresztą w głupocie mojej wyobrażałam sobie, że niemożliwym z jego strony zuchwalstwem byłoby użycie w związku z moją osobą tak uwłaczających epitetów. Mogłam też czuć się dostatecznie pomszczona wyraźną konfuzją, jaką zdradziła jego twarz. Przy czytaniu notatki spłonął gorącym rumieńcem wstydu czy oburzenia.

— Tego już doprawdy za wiele!... To okrucieństwo! Znieważające, haniebne okrucieństwo!

— zawołał wyraźnie przejęty. I ja również byłam zmuszona uznać to za haniebne okrucieństwo. Bez względu jednak na to, czy on sam ponosił winę, czy nie, ktoś przecież musiał być winowajcą.

— Jak pani zamierza postąpić? — zapytał. — Czy powie pani Madame Beck o tym, co pani znalazła i wywoła tym skandal — un esclandre?

Uważałam, że powinnam powiedzieć i oznajmiłam mu to szczerze, dodając jednak, że nie przypuszczam, aby zawiadomienie Madame miało doprowadzić do skandalu.

— Madame — rzekłam — jest zbyt przezorna, aby rozgłaszać sprawę tego rodzaju, mającą miejsce w jej zakładzie wychowawczym.

Stał opuściwszy nisko głowę i rozmyślał. Był zbyt dumny i zbyt honorowy zarazem, aby prosić mnie o utrzymanie w tajemnicy całej rzeczy, której podanie do wiadomości przełożonej nakazywał mi obowiązek. Chciałam postąpić lojalnie, było mi wszakże nad wyraz przykro wyrządzić mu tym jakąś krzywdę. W tej chwili właśnie Rozyna zerknęła przez otwarte drzwi. Nie mogła nas widzieć, ja natomiast, spoglądając poprzez szpary pomiędzy konarami drzew, widziałam ją wyraźnie: jej suknia była popielata, w tym samym odcieniu co moja... Okoliczność ta, w połączeniu z poprzednimi faktami, nasunęła mi myśl, że jakkolwiek wydarzenie to jest bardzo niemiłe, nie nakłada jednak na mnie obowiązku wtrącania się do

173
całej tej sprawy ani też interesowania się nią. Pod wpływem tego przypuszczenia powiedziałam:

— O ile pan może zapewnić mnie, że nie wchodzi tu w grę żadna z wychowawczyń ani uczennic Madame Beck, będę rada, mogąc trzymać się najzupełniej z dala od wszystkiego. Niech pan zabierze szkatułkę, kwiaty i bilecik, a ja ze swojej strony obiecuję puścić całą rzecz w niepamięć.

— Niech pani spojrzy! — szepnął nagle, zaciskając rękę na podanych mu przeze mnie przedmiotach i równocześnie wskazując ruchem głowy jakiś punkt dostrzegalny przez gałęzie.

Spojrzałam. Była to Madame schodząca bezszelestnie ze schodów, w szalu, szlafroku i pantoflach, a potem przekradająca się cicho jak kot ścieżkami ogrodu. Nie upłynęłyby dwie minuty, a wpadłaby niechybnie na doktora Johna. O ile jednak Madame zwinnością swoją przypominała kota, doktor John chyżością i lekkością swoich kroków dorównywał leopardowi. W chwili też, kiedy skręciła za róg, przeskoczył dwoma susami cały ogród. Kiedy Madame wyłoniła się ponownie, nie było już po nim śladu. Rozyna pomogła mu pospiesznie, zatrzasnąwszy od razu furtkę i w ten sposób odgradziwszy go skutecznie od prześladowczyni. I ja także mogłam uciec, wołałam wszakże zetknąć się z Madame otwarcie. Mimo że znano powszechnie mój zwyczaj częstego przebywania o zmierzchu w ogrodzie, nigdy jednak jeszcze, aż do owego wieczoru, nie pozostawałam tu do tak późnej godziny. Przypuszczając, że byłam potrzebna Madame, która wyszła, aby mnie odszukać, zamierzając przychwycić mnie jak winowajcę, na gorącym uczynku, byłam przygotowana na surową reprymendę. Wbrew moim przypuszczeniom Madame była słodka jak ulepek. Nie zrobiła mi cienia wyrzutu, nie okazała nawet zdziwienia. Ze zwykłym sobie niezrównanym taktem, w czym nie potrafił chyba prześcignąć jej nikt, zapewniła, że wyszła jedynie, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — la brise du soir.

174

— Quelle belle nuit! — jaka piękna noc! — zawołała, podniósłszy oczy ku rozgwieżdżonemu niebu.

Księżyc skrył się już poza kopiastrą wieżę kościoła św. Jana Baptysty.

— Qu'il fait bon! Que l'air est frais!

I zamiast kazać mi pójść do domu, zatrzymała mnie, aby przejść się wraz ze mną kilkakrotnie po głównej alei. Kiedy wracałyśmy, oparła się po przyjacielsku na moim ramieniu przy wchodzeniu na schody wejściowe. Na dobranoc podstawiła mi swój policzek, bym go dotknęła wargami i rzekła uprzejmie: Bonsoir ma bonne amie; dormez bien!

Przylapałam samą siebie na uśmiechu, kiedy, leżąc w sypialni przed zaśnięciem, pomyślałam o Madame. Wiedziałam, że namaszczone ton i wyjątkowa łaskawość zachowania były nieomylną oznaką wylęgnięcia się w jej mózgu wyraźnego podejrzenia. Z jej samej tylko znanego punktu obserwacyjnego, poprzez rozchylenie pomiędzy gałęziami czy przez któreś z otwartych okien, musiała podchwycić przebłysk, bliższy czy dalszy, zdradzający czy wyjaśniający to, co zaszło tej nocy w ogrodzie. Przy jej niesłychanie wyostrzonym zmyśle surveillance niemożliwością nieledwie było, aby szkatułka mogła zostać rzucona do ogrodu

jej zakładu wychowawczego, a także, aby ktoś niepowołany mógł zakraść się poza furtkę celem przeszukania ścieżek, grządek i zarośli, i aby nie zdradził go przy tym trzask łamanej gałązki, prześlizgujący się cień, niezwykle szelest czy cichy szept (jakkolwiek doktor John bardzo przyciszonym tonem wypowiedział tych kilka słów, jakie zamienił ze mną, jednakże brzmienie jego męskiego głosu rozległo się, jak mi się wydało, po całym obszarze dawnych gruntów klasztornych). Wszystko to, jak zaznaczyłam, musiało uświadomić jej, że w zasięgu jej władzy

1 Jak jest pięknie i dobrze! Jakie świeże powietrze!

2 Dobranoc, moja dobra przyjaciółko; niech pani śpi dobrze.

175

dzieje się coś niezwykłego. To zaś, czego żadna miarą nie mogła dostrzec czy wykryć w owym czasie, kusilo ją tym bardziej do rozwikłania knutej intrygi, jaką wyczuwała dokoła siebie i w jakiej ośrodku zamieściła „Miss Lucy”, wplątaną w misterną sieć pajęczą, niby nierozważną, młodą muszkę, jaką wówczas byłam.

ROZDZIAŁ XIII Kichnięcie nie w porę

W ciągu dwudziestu czterech godzin po drobnym, opisanym w poprzednim rozdziale incydencie ponownie miałam okazję uśmiechnąć się na myśl o Madame — nie, nie tylko uśmiechnąć się, ale śmiać się z niej.

Villette ma klimat równie zmienny, jak pierwsze lepsze miasto angielskie, może tylko nie tak wilgotny. Po cichym, pogodnym zachodzie słońca zerwał się w nocy gwałtowny wicher, a cały następny dzień upłynął pod znakiem suchej burzy; niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami, mimo to nie spadła ani jedna kropla deszczu. Ulice były aż ciemne z powodu kłębiącego się w powietrzu kurzu i lotnego piasku, naniesionego z bulwarów. Nawet piękna pogoda nie skusiłaby mnie do spędzenia wolnej od zajęć godziny zmierzchu tam, gdzie spędziłam ją dnia poprzedniego. Moja ulubiona alejka, podobnie jak wszystkie ścieżki, drzewa i zarośla, przybrała odmienny, nieszczerólnie zachęcający widok; jej zaciszna samotność wydawała się pełna zasadzek, a jej spokój — złowróżbny, niebezpieczny. Okno, z którego padały billets-dowc, spospolitowało tak drogi mi niegdyś zakątek, na jaki wychodziło. Skądinąd znów wydawało mi się, że kwiaty widzą, a sęki pni drzewnych podłuchują niby ukryte uszy. Niektóre rośliny zostały w istocie potratowane przez doktora Johna podczas jego gorączkowych poszukiwań w tej części ogrodu, pragnęłam też móc podnosić je i podlewać, i przywrócić je w ten sposób do życia. Pozostawił i na zagonach także ślady, które udało mi się jednak, pomimo dmącego wichru, zatrzeć z samego rana, zanim mogłyby wykryć je niepowołane oczy. Zamyślona, zasiadłam późnym popołudniem przy biurku do nauki niemieckiego, mając dokoła siebie zajęte odrabianiem lekcji uczen-

177

nice i wychowawczynie, tak zwane damy klasowe, szyjące czy robiące roboty ręczne. Te etudes de soir — studia wieczorne — odbywały się zawsze w refektarzu, znacznie mniejszym pomieszczeniu aniżeli każda z trzech sal wykładowych. Wystarczało ono jednak najzupełniej dla dwudziestu stałych pensjonarek, dla których wyłącznie było przeznaczone. Liczba pensjonarek nigdy nie była większa, a przychodnie uczennice nie korzystały z tego miejsca studiów z tej prostej przyczyny, że nie było ich nigdy tutaj o tej porze. Dwie lampy, zwisające z sufitu, rzucały kręgi świetlne na umieszczone pośrodku refektarza dwa stoły. Lampy te zapalano w porze zapadania zmierzchu, i roz-błyśnięcie ich stawało się sygnałem do odkładania na bok książek szkolnych, nastrajania się na poważną, skupioną nutę ogólnego milczenia, po czym rozpoczynała się lecturepieuse — pobożna lektura. Owa lecture pieuse była, o czym dowiedziałam się niebawem, zalecana nade wszystko jako umoralniająca umartwienie intelektu, jako nader wskazane upokorzenie rozumu, w dawce nadającej się do wchłonięcia jej przez zdrowy rozsądek, który winien był wyzyskać ją w wolnej od zajęć godzinie z największą dla siebie korzyścią.

Książka, którą wyciągano (zawsze ta sama, nie zmieniano jej nigdy, a z chwilą doczytania do końca rozpoczynano ją na nowo od początku), była pokaźnym, czcigodnym tomem, starym jak wzgórze dokoła Villette, szarym jak Hotel de Ville — Ratusz Miejski.

Ofiarowałabym dwa franki za możliwość dostania raz bodaj tej książki w moje ręce, odwracania uświęconych pożółkłych jej kart, dokładnego poznania tytułu i przebiegnięcia własnymi oczami olbrzymich ustępów, które, jako niegodnej heretyczce, wolno mi było jedynie wchłonąć oszołomionymi uszami. Na treść książki składały się legendy o świętych. Boże wielki! — wymawiam te słowa z szacunkiem — jakież to były legendy! Jacy pyszałkowaci musieli być ci święci, jeśli mogli chełpić się wszystkimi tymi wyczynami czy wymyślać opowiadania o wszystkich tych cudach. Legendy te

178

nie były jednak niczym innym, jak tylko opisem popełnianych przez mnichów dziwactw i ekstrawagancji, z których można było co najwyżej śmiać się w głębi duszy. Poza tymi legendami książka nadto omawiała sprawy księży, opisywana tu wszakże księża polityka była o wiele gorsza, aniżeli opisy czynów, zaczerpnięte z życia zakonników. Uszy paliły mnie przy słuchaniu opowieści o moralnym męczeństwie, narzucanym przez Rzym, o siejących postrach niedyskrecjach spowiedników, którzy niecierpliwie nadużywali przywilejów konfesjonału, aby w straszliwy sposób gnębić damy wysokiego rodu, czyniąc z hrabin i księżniczek najbardziej udręczone pod słońcem niewolnice. Opowiadania w rodzaju takich, jak o Konradzie Węgierskim i Elżbiecie, powtarzały się nieustannie z całą grozą przeraźliwej przestępczości, ohydnej tyranii i potwornej bezbożności: opowieści, które były dla mnie przytłaczającą zmorą ciemnienia, udręki i nędzy.

Asystowałam przy tej lecture pieuse w ciągu kilku wieczorów, usiłując zachować spokój. Raz tylko złamałam końce nożyczek, bezwiednie wbijając je zbyt głęboko w zmurszałą, stoczoną przez korniki krawędź stojącego przede mną stołu. W końcu wszakże do tego stopnia nie byłam w stanie opanować wzburzenia, czułam w skroniach tak gwałtowny napływ krwi, tętniącej wzmoczoną falą we wszystkich żyłach i odzywającej się bólem fizycznym wręcz w moim sercu, tak fatalnie zakłócony był mój sen, że zmuszona byłam wyrzec się dalszego słuchania. Przezorność nakazywała jak najszybciej usunąć się z tego miejsca z chwilą, gdy wyjmowano czcigodną księgę, winowajczynię zamięcenia spokoju mojego ciała i ducha. Żadna Mause Headrigg nie czuła silniejszego porywu świadczenia przeciwko sierżantowi Bothwellowi, aniżeli ja — wyjawienia mojego zdania o tej lecture pieuse. Potrafiłam jednak powściągnąć się i opanować, z chwilą też, kiedy Rozyna przychodziła zapalić lampę, wysuwałam się pospiesznie z refektarza, czyniąc to jednak z odpowiednim spokojem.

Korzyszałam zawsze z momentu ogólnego za-

179

mieszania, aby zniknąć, zanim pensjonarki zdążyły odłożyć swoje szkolne zeszyty i książki. Zniknąwszy zaszywałam się w ciemności. Nie wolno nam było przenosić świec i dlatego nauczycielka, która wychodziła z refektarza, mogła znaleźć schronienie bądź w nie oświetlonym przedsionku, bądź w jednym z równie ciemnych pokojów klasowych lub też w sypialni, w której oczywiście nie było także światła. W zimie udawałam się do jednej z południowych sal klasowych, przemierzając ją nieustannie, ażeby nie zziębnąć na kość. W lecie nigdy nie zapadała zupełna ciemność, szłam więc na górę do mojego kąta w długiej sali sypialnej, otwierałam okno (pokój ten oświetlało pięć okien wielkich jak drzwi) i, wychylona przez nie, spoglądałam ku położonemu poza ogrodem miastu, przysłuchiwałam się muzyce dolatującej z parku czy ze skweru przed pałacem, pogrążona we własnych myślach, rozważająca bieg własnego życia, zamknięta w moim cichym, mrocznym świątku.

Tego wieczoru, umknąwszy jak zwykle przed lecture pieuse, poszłam na górę do sypialni i spokojnie otworzyłam drzwi, starannie zawsze zamknięte i, jak wszystkie inne drzwi w tym domu, obracające się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Zanim jeszcze

przekonałam się o tym naocznie, poczułam obecność w obszernym, zazwyczaj pustym zupełnie pokoju żywej istoty; nie zdradziło jej wprawdzie żadne poruszenie ani nawet głośniejszy oddech, brak tu było wszakże zwykłej pustki i samotności. Wszystkie białe anielskie łóżeczka, lits d'ange, jak nazywano je poetycznie, były nietknięte, nie zajęte przez żadną z ich właścicielek. Do uszu moich doleciał przyciszony zgrzyt wysuwanej szuflady; cofnąwszy się szybko w cień, mogłam bez przeszkód ogarnąć bystrym spojrzeniem cały pokój, a nade wszystko moje własne łóżko i toaletkę, na której stała zamknięta skrzynka do robót. Szuflady toaletki przezornie zamykałam zawsze na klucz.

Niewielka, pulchniutka, skromnie otulona szalem postać, której

180

włosy były ukryte pod śnieżnobiałym czepeczkiem, stała przed toaletką, pilnie zajęta, jak się zdawało, usługowym sprzątaniami za mnie nieładu, panującego w moim meuble — sprzączku. Skrzynka do robót otwarta, wyciągnięta górna szuflada, potem kolejno wyciągana i sumiennie opróżniana każda z pozostałych szuflad; nic z ich zawartości, ani jeden przedmiot, nie został pominięty przy tym dokładnym przeglądzie, ani jeden papierek nie był odłożony bez uważnego odczytania go czy przejrzenia, żadne pudełeczko nie pozostało zamknięte, a wszystko to dokonane zadziwiająco skrupulatnie, niezrównanie szybko i sprawnie. Madame pracowała z „nieustającą, a jednak niespieszną” gorliwością sunącej po niebie gwiazdy. Nie mogę zaprzeczyć, że przyglądałam się jej robocie z tajonym rozbawieniem. Gdybym była mężczyzną, Madame znalazłaby najwyższe uznanie w moich oczach, tak zręczna, dokładna i porządna była we wszystkim, co robiła. Są ludzie, których poruszenia budzą mimowolną odrazę niezdarnością i niecelowością, jej ruchy natomiast pociągały precyzją i świadomością swoich celów. Krótko mówiąc, stałam oczarowana, czułam jednak, że należy w jakiś sposób wyzwolić się spod tego czaru, należy umknąć z tego miejsca co najrychlej. Obszukująca tak skwapliwie moją toaletkę mogła odwrócić głowę i dostrzec mnie; awantura byłaby wówczas nieunikniona, przy czym obie od razu, za jednym zamachem, musiałybyśmy odłonić wzajem przed sobą swoje karty; skończyłoby się raz na zawsze z wszelkimi konwenansami, z wzajemnym ukrywaniem przed sobą swoich przekonań, sądów i myśli — musiałybyśmy też obie równocześnie dojść do przekonania, że drogi nasze muszą rozejść się niezwłocznie, że praca pospołu stała się odtąd dla nas obu niepodobieństwem.

Jaki byłby cel narażania się na podobną katastrofę? Nie byłam wcale rozgniewana i nie miałam najmniejszej ochoty opuszczenia zakładu wychowawczego Madame Beck. Trudno byłoby mi wyobrazić sobie chlebobdawczynię, której jarzmo byłoby równie łatwe do

181

dźwigania. Lubiałam ją zresztą za jej trzeźwy rozum, bez względu na mój sąd o jej zasadach. Co się tyczy jej systemu szpiegowania, nie wyrządzał mi on żadnej krzywdy; mogła stosować go do mojej osoby, ile tylko chciała. Byłam tak samo zabezpieczona przed szpiegami w beznadziejnym ubóstwie mojego serca, jak puste sakwy żebraka chronią go przed złodziejem. Zdecydowana w jednej chwili, zawróciłam i zbiegłam ze schodów szybko i bezszelestnie, jak pająk, który w tej samej chwili prześlizgnął się po krawędzi balustrady schodów.

O, jak szczerze śmiałam się, znalazłszy się szczęśliwie w sali klasowej. Wiedziałam teraz na pewno, że Madame rozpoznała doktora Johna w ogrodzie; wiedziałam również, co o tym myśli. Ubawił mnie widok tej podejrzliwej istoty, tak śmiesznie sprowadzonej na manowce zrodzonymi w jej własnej wyobraźni domysłami. Kiedy jednak uśmiech zamarł mi na ustach, ogarnął mnie rodzaj gniewnego rozgoryczenia. Jak gdyby uderzono w skałę, z której trysnęły wody Meriby. Nigdy jeszcze nie byłam wydana na łup tak dziwnych i tak sprzecznych uczuć, stwarzających w duszy mojej tak wielki chaos, jak w ciągu jednej godziny tego wieczoru: moje serce targane było bólem zarazem i podniecane do śmiechu, opanowane głębokim smutkiem i ogniem zapалу. Płakałam gorącymi łzami, nie dlatego, że Madame podejrzewała

mnie — nie dbałam ani trochę o skierowanie w moją stronę jej podejrzenia — ale z innych powodów. Cały mój spokój wewnętrzny załamał się, wstrząśnięty skomplikowanymi, niepokojącymi myślami. Ten stan chaotycznego rozdwojenia ustąpił niebawem: nazajutrz byłam już znów dawną Lucy Snowe.

W moich szufladach, pozamykanych skrupulatnie po dokładnym zbadaniu ich zawartości, nie mogłam, pomimo jak najbardziej drobiazgowych poszukiwań, dostrzec śladu zmiany czy najdrobniejszego przestawienia przedmiotów. I w szafce także znalazłam nieliczne moje sukienki, zawieszane zupełnie tak samo, jak je pozosta-

182

wiłam; bukietek zasuszonych białych fiołków (podarowanych mi niegdyś przez obcego człowieka, który nie powiedział przy tym ani słowa i pozostał obcy dla mnie na zawsze) ukryty w fałdach odświętnej sukni był nietknięty; moja czarna szarfa, koronkowe żaboty i kołnierzyki ułożone gładziutko, bez żadnej fałdki. Gdyby zgniotła jedną bodaj z należących do mnie rzeczy, byłoby mi trudniej wybaczyć jej; znalazłszy wszakże wszystko w nieskazitelnym porządku, pomyślałam: „Połóżmy krzyż na tym, co się stało. Nie wyrządziła mi żadnej krzywdy: z jakiej racji miałabym żywić żal do niej?”

Jedna rzecz wszelako była dla mnie zagadką, szukałam też we własnym mózgu klucza do jej rozwiązania prawie tak samo uporczywie, jak Madame szukała w szufladach mojej toalety i w mojej szafce nitki wiodącej do kłębka upragnionego poznania. W jaki sposób to się stało, że doktor John, o ile nie on był winowajcą, dowiedział się, że skrzynka z fiołkami i bilecikiem z o s t a ł a rzucona do ogrodu i tak szybko znalazł się na miejscu, aby ją odszukać. Tak natrętnie narzucała mi się chęć uporania się z tym zagadnieniem, że zaczęłam rozważać śmiały zamiar: dlaczego nie miałabym, o ile tylko nastęczyłaby się okazja, zapytać o to wprost samego doktora Johna i zażądać od niego wyjaśnienia?

Dopóki doktor John był nieobecny, byłam naprawdę przekonana, że nie zbraknie mi odwagi zwrócenia się do niego bezpośrednio z podobnym pytaniem.

Mała Georgette była teraz rekonwalescentką i dlatego lekarz odwiedzał ją bardzo rzadko; może nawet zaniechałby całkowicie swoich wizyt, gdyby Madame nie zażądała od niego wpadania od czasu do czasu, dopóki dziecko nie będzie zupełnie zdrowe.

Pewnego wieczoru, wnet potem, gdy wysłuchiwałam wyszcze-biotanych łamaną angielszczyzną modlitw małej i położyłam ją do łóżeczka, Madame weszła do pokoju dziecinnego. Ujawszy Georgette za rączkę, rzekła:

— Cette enfant a toujours un peu de fièvre — i ogarnawszy

183

mnie bystrzejszym spojrzeniem, aniżeli było to jej zwyczajem, dodała: — Le Docteur John l'a-t-il vue dernièrement? Non, n'est-ce pas!

Wiedziała o tym oczywiście lepiej, niż ktokolwiek inny w domu.

— Wychodzę teraz — dodała — pour faire quelques courses enfiacre — pojedę dorożką, aby załatwić kilka spraw. Wstąpię do doktora Johna i przyślę go do małej. Chciałabym, aby zbadał ją jeszcze dzisiaj wieczorem: dziecko ma mocno zaczerwienione policzki i zbyt przyspieszony puls. Pani, Miss Lucy, będzie musiała przyjąć go zamiast mnie. Nie będzie mnie w domu.

Dziecko było zdrowe, a zarumienione policzki miało z powodu lipcowego upału. Zupełnie tak samo nie zachodziła potrzeba posłania po księdza, aby namaścił ją przed śmiercią olejami, jak po doktora, aby zapisał jej jakieś lekarstwo. Z drugiej zaś strony Madame bardzo rzadko robiła courses — załatwiała sprawy — wieczorem, a co więcej, po raz pierwszy tego dnia zdecydowała się być nieobecna podczas wizyty doktora Johna. Wszystko to razem wskazywało na jakiś ukryty plan, co zrozumiałam od razu. Nie budziło jednak we mnie żadnego niepokoju.

Cha, cha! Madame! — śmiał się w duszy mojej żebrak Lekko-duch — przebiegłość i spryt łaskawej pani są na fałszywym tropie.

Odjechała, ustrojona bardzo elegancko, otulona kosztownym szalem, w kapeluszu koloru bladozielonego — *vert tendre* — dość ryzykownej barwy dla cery mniej świeżej niż jej. Madame wszakże było w tym kapeluszu wcale do twarzy. Ciekawa byłam, jakie właściwie knuje zamiary: czy naprawdę przyśle doktora Johna; czy doktor przyjdzie rzeczywiście — możliwe wszak, że będzie zajęty.

Madame poleciła mi, abym nie dała małej zasnąć przed wizytą

1 Dziecko ma wciąż jeszcze trochę gorączki. (...) Czy doktor John widział ją ostatnio? Nie, prawda, że nie.

184

doktora. Miałam wskutek tego dość zajęcia z opowiadaniem bajek i prowadzeniem z nią odpowiednich rozmów. Lubiłam Georgette; była wrażliwym, tkliwym dzieckiem; przyjemnością było dla mnie tulenie jej czy noszenie na rękach. Tego wieczoru żądała, abym położyła głowę na poduszce obok niej, zarzuciła mi nawet ramionka na szyję. Uścisk jej ciepłych, miękkich rączek i pieśczośliwe przytulenie świeżego jej policzka do mojego, wzruszyły mnie prawie do łez. Dom ten nie sprzyjał rozwijaniu ani okazywaniu żadnych cieplejszych uczuć, tym słodsza była też dla mnie ta drobna czysta kropelka z nieskazitelnie kryształowej krynicy dziecięcego serduszka; docierała ona do głębi mojej duszy i wilżyła rosą wzruszenia moje oczy.

Minęło w ten sposób pół godziny czy godzina. Georgette wyszeptała swoją miękko seplenioną angielszczyznę, że zaczyna być śpiąca.

Ipowinnaś usnąć — pomyślałam — *malgrevotremamon et le mcdecin* — bez względu na twoją matkę i lekarza — o ile nie będą tutaj za dziesięć minut co najwyżej.

Trr!... Dzwonek... Po chwili zadudniły szybkie kroki na schodach. Rozyna wprowadziła doktora Johna i ze swobodą, właściwą nie tyle jej samej, ile cechującą w ogóle służbę w *Villette*, stanęła na progu, aby usłyszeć, co doktor ma do powiedzenia. Obecność Madame zmusiłaby ją do wycofania się do swojej łoży czy do przedsionka; mną, tak samo jak każdą inną z nauczycielek, nie krępowała się ani trochę. Szykowna, zręczna i zuchwała stanęła, wsunawszy ręce w kieszonki eleganckiego fartuszka, oczekując na doktora Johna z tak samo niewzruszoną swobodą, jak gdyby był namalowanym obrazkiem, a nie człowiekiem z krwi i kości.

— *Le marmot n'a rien, n'est cepas?*¹ — zapytała, wskazując ruchem głowy małą Georgette.

1 Nic nie jest brzdącowi, prawda?

185

— *Pas beaucoup* — nic wielkiego — odparł doktor, gryzmołąc pospiesznie na wyrwanej z receptariusza kartce jakiś niewinny przepis.

— *Eh bien. I c'öz* — zagadnęła go Rozyna, podchodząc do niego, w chwili kiedy odkładał ołówek. — *A szkatułka? Znalazł ją pan doktor? Uciekł pan wtedy jak zmieciony; nie miałam czasu zapytać.*

— *Znalazłem. Tak.*

— *Kto ją rzucił?* — badała w dalszym ciągu Rozyna, wypowiadając z niezrównaną swobodą pytania, które ja sama tak bardzo pragnęłam zadać, nie miałam jednak ani zręczności, ani śmiałości zwrócenia się z nimi do niego. Jak krótką drogą, która innym wydaje się nieosiągalna, umieją niektórzy docierać do zamierzonego celu!

— *Może to jest moja tajemnica* — odparł doktor John krótko, jednak bez cienia wyniosłości. Zdawał się najzupełniej rozumieć cechy typowej gryzетки, jaką była nasza fertyczna odźwierna.

— Mais enfin — ostatecznie jednak — dodała niezrażona — pan doktor wiedział, że została rzucona, skoro przyszedł pan do nas jej szukać?! Skąd mógłby pan wiedzieć?

— Odwiedzałem właśnie małego pacjenta w męskim kolegium tuż obok i widziałem, jak wypadła z okna. Dlatego przyszedłem ją podnieść.

Jakie proste i naturalne wyjaśnienie całej sprawy! W liściku była w istocie wzmianka o „lekarzu, który badał w tym momencie Gustawa”.

— Ah ja! — bąknęła Rozyna z wyrazem rozczarowania — U n'ya donc Henri iñ — dessous: pas de my stère, pas d'amourette, par exarpie?!

1 O, nie ma więc nic w tym wszystkim?! Żadnej tajemnicy, żadnej miłości, prawda?
186

— Pas plus que sur ma main! — zapewnił lekarz, wskazując na swoją dłoń.

— Quel dommage! — westchnęła gryzетка — et moi, a qui tout cela commençait a donner des idées .

— Vraiment? Vous en etes pour vos frais! — zbył ją doktor oziębło.

Odeła wargi grymasem dąsu. Doktor uśmiechnął się z lekka na widok jej moue — grymasu. Opromieniona uśmiechem jego twarz przybrała dziwnie dobrotliwy wyraz. Dostrzegłam, że sięgnął ręką do kieszeni.

— Ile razy otwierała mi panienka drzwi w tym miesiącu? — zapytał.

— Pov inien był pan doktor zapisywać za każdym razem — odcięła się Rozyna.

— Naturalnie, nie miałbym nic innego do roboty! — odpowiedział tym samym tonem, widziałam jednak, że wręczył jej złotą monetę, którą przyjęła bez skrępowań, a potem wybiegła tanecznym krokiem, aby otworzyć komuś dzwoniącemu. Dzwonek wejściowy rozlegał się teraz co pięć minut. To służące przychodziły po swoje panienki — pensjonarki mieszkające w mieście.

Czytelnik nie powinien mieć zbyt złej opinii o Rozynie; nie była typem złym, nie miała tylko pojęcia, że może być coś uwłaczającego w wyciąganiu z gotowością ręki po wszystko, co w nią wpadało; nie było też żadnego zuchwalstwa w paplaniu bezmyślnie jak sroka wobec najlepszego człowieka w całym chrześcijaństwie.

Scena powyższa pouczyła mnie o jednym jeszcze, poza sprawą samej skrzynki z kości słoniowej, o tym mianowicie, że nie właścicielka muslinowej sukienki, różowej czy popielatej, ani także ele-

1 Nie więcej niż na mojej dłoni.

2 Jaka szkoda! A ja zaczęłam już roić na ten temat różne domysły.

3 Naprawdę? Nadaremnie więc się pani trudziła.

187

ganckiego fartuszka z falbankami i kieszonkami, była sprawczynią złamania serca doktora Johna: ta strojna gryzетка ponosiła w równie małym stopniu winę, jak leżąca w łóżeczku w swoim bladoniebieskim szlafrocжку mała Georgette. Tym lepiej. Kogo jednak obciążała ta wina? Jaka była podstawa, jakie źródło, jakie ostateczne wyjaśnienie całej tej sprawy?

Niektóre jej punkty zostały wyjaśnione, ileż jednak pozostaje w dalszym ciągu ciemnych jak noc?

Bądź co bądź — powiedziałam sobie — nie może i nie powinno cię to nic obchodzić. To nie twoja sprawa. Odwróciwszy wzrok od twarzy, w którą nieświadomie się wpatrywałam, spojrzałam przez okno wychodzące na ogród. Doktor, który stał przy łóżeczku małej, zaczął powoli wciągać rękawiczki, przyglądając się dziecku przymykającemu już sennie oczy i rozchylającemu w regularnym oddechu różowawate usta. Czekałam na jego odejście po pospiesznym, jak zazwyczaj, skinięciu mi głową na pożegnanie i, co najwyżej, bąknięciu „dobranoc”. W chwili właśnie, kiedy ujmował za kapelusz, oczy moje utkwione w wysokich domach przylegających do ogródka dostrzegły, że jedno okratowanie okienne uchyla się ostrożnie; przez otwór wysunęła się czyjaś ręka i biała rękawiczka — obie dawały wyraźnie

znaki. Nie wiem, czy odpowiedź na to hasło została dana z jakiegoś niewidzialnego punktu naszego gmachu mieszkalnego, bezpośrednio wszakże potem zawirował w powietrzu i upadł na ziemię wyrzucony przez owo uchylone okno drobny, lekki, biały przedmiot — bilecik, tym razem drugi już z kolei.

— Tam! — wyrwało mi się mimo woli z ust.

— Gdzie? — żywo zapytał doktor John, przyskoczywszy jednym susem do okna. — Co to było?

— Drugi raz to samo — odpowiedziałam. — Ręka zatrzepotała, dając znak rękawiczką i coś upadło — dodałam, wskazując na okratowanie okna zamkniętego teraz na głucho i wyglądającego niewinnie ponad możliwość jakiegokolwiek zarzutu.

— Niech pani pobiegnie natychmiast, podniesie bilecik i przy-

188

niesie go tutaj — rozkazał dodając — na panią nie zwróci nikt uwagi, mnie zauważono by od razu.

Zbiegłam na dół bez oporu. Po krótkim szukaniu znalazłam złożoną ćwiarteczkę papieru, która utkwiała pomiędzy dolnymi gałęziami jednego z krzewów; wzięłam bilecik i przyniosłam go bezpośrednio doktorowi Johnowi. Tym razem Rozyna nawet, jak sądzę, nie dostrzegła mnie.

Doktor podał bilecik od razu na drobne kawałki, nie przeczytawszy go nawet.

— Proszę zapamiętać, że nie ma w tym ani trochę jej winy — rzekł, patrząc na mnie surowo.

— Cz y j e j winy? — zapytałam. — O k i m mowa?

— Więc pani jeszcze nic nie wie?

— Nie mam pojęcia.

— Nie domyśla się pani?

— Nie. Ani trochę.

— Gdybym znał panią lepiej, mógłbym zaryzykować zwierzenie i zapewnić sobie tym sposobem pani opiekę nad niewinną w gruncie rzeczy i nieposzlakowaną, ale nieco niedoświadczoną istotą.

— W roli powiernicy? — zapytałam.

— Tak — odpowiedział z roztargnieniem. — Jakież sidła na nią zastawiono! — dodał w zadumie. W tej chwili na pewno po raz pierwszy przyjrzał się uważnie, z wyraźnym niepokojem, mojej twarzy, aby przekonać się, czy jakiś życzliwszy błysk na niej będzie mu rękojmią trafnego polecenia mojej opiece i pobłażliwości owej eterycznej istoty, na której zgubę miały czyhać ciemne jakoweś moce. Nie czułam w sobie powołania do podjęcia się tego rodzaju surveillance nad eterycznymi istotami, przypomniawszy sobie wszakże scenę w biurze dyliżansów, poczułam, że teraz ja z kolei winna jestem ówczesnemu mojemu opiekunowi wyświadczenie przysługi. Dałam mu więc do zrozumienia, że gotowa jestem zrobić,

189

co będzie w mojej mocy, aby roztoczyć opiekę nad interesującą go istotą.

— Jestem zainteresowany jedynie jako obserwator — odparł ze skromnością, która wydała mi się czarująca. — Znam przypadkowo — dodał — niegodny charakter człowieka, który z przeciwległego domu dwukrotnie już usiłował zbecześcić świętość tego miejsca; miałem również sposobność spotkania w towarzystwie ofiary niewczesnych jego zapędów. Jej niezrównana wyższość i wrodzona subtelność powinny — należałoby mniemać — odstraszyć imperty-nenta i pozbawić go od razu odwagi niegodziwego czynu. Nie jest tak jednak; pragnąłbym też z całej duszy, gdybym tylko mógł, ochronić tę niewinną, nic nie podejrzewającą istotę przed wszelkim złem. Osobiście wszakże nie jestem w mocy nic uczynić: nie mogę zbliżyć się do niej — dodał po chwili.

— Dobrze więc, gotowa jestem pomóc panu, panie doktorze — rzekłam — proszę jednak, niech mi pan wskaże, w jaki sposób.

Szybko przebiegłam w myśli listę stałych mieszkanek zakładu, szukając pośród nich owego wzoru wszelkich cnót, owej perły bezcennej, owego klejnotu nieskalanego. Nie może to być nikt inny poza Madame — doszłam do wniosku — ona jedynie spośród nas wszystkich posiadała sztukę wydawania się istotą wyższą: co się tyczy wszakże jej niedoświadczenia i łatwowierności... nie powinien doktor John zbyt się tym trapić. Skoro jednak taki jest jego kaprys, nie mam bynajmniej zamiaru przeczyć mu; niech się stanie, jak chce — jego anioł pozostanie w jego mniemaniu aniołem.

— Proszę, niech pan zechce wskazać mi stronę, w którą mam skierować moją czujność — dodałam poważnie, z trudnością wszakże tając śmiech, jaki mnie ogarnął na myśl, że mam stanąć na straży cnoty samej Madame czy którejkolwiek z jej wychowanek.

Doktor John posiadał widocznie subtelne wyczucie nastrojów, od razu bowiem zrozumiał instynktownie to, czego nie wykryłby osobnik mniej wrażliwy — mianowicie, że bawi mnie z lekka on

190

sam i cała sytuacja. Zarumienił się nagle, z półuśmiechem odwrócił się i wziął kapelusz, zamierzając widocznie odejść. Serce zabiło we mnie żywiej.

— Pomogę panu, tak, chcę panu pomóc — pospieszyłam zapewnić go. — Zrobię wszystko, czego tylko pan sobie życzy. Będę czuwała nad pańskim aniołem, roztoczę opiekę nad ową ofiarą złych mocy, proszę mi tylko powiedzieć, kto to taki.

— Ależ pani m u s i przecież wiedzieć — szepnął bardzo cicho, ale zupełnie poważnie. —

Taka nieskalana! Taka idealnie dobra! Taka niewypowiedzianie piękna! Niepodobna przecież, aby pod tym dachem przebywały dwie takie istoty. Mam oczywiście na myśli... W tej samej chwili szcęknęła nagle klamka u drzwi pokoju Madame (sąsiadującego z pokojem dziecięcym), jak gdyby ręka, ujmująca za klamkę, wzdrygnęła się niespodziewanie, i równocześnie rozległo się głośne, niemożliwe widocznie do powstrzymania kichnięcie. Podobne wypadki zdarzają się każdemu z nas. Madame, niezrównana istota, była więc na posterunku! Powróciła do domu cichaczem, przekradła się na palcach do siebie na górę i była już od dłuższego czasu w swoim pokoju. Gdyby nie kichnęła, usłyszałaby wszystko. Tak samo usłyszałabym i ja. To kichnięcie nie w porę spłoszyło doktora Johna. Stał jeszcze oszołomiony, kiedy weszła spokojna, opanowana, w najlepszym usposobieniu: ten tylko, kto nie znał jeszcze jej zwyczajów, mógłby uwierzyć, że wróciła do domu przed chwilą dopiero, ani przypuszczając, że jej ucho przyklejone było co najmniej przez dziesięć minut do dziurki od klucza. Udała ponowne kichnięcie, oświadczając, że jest enrhumée — zakatarzona — a potem zaczęła żywo wyliczać, ile spraw zdążyła załatwić, posługując się dorożką, par ses courses enfiacre.

Rozbrzmiał dzwon wzywający na modlitwę. Wyszłam, pozostawiając ją sam na sam z doktorem.

■

ROZDZIAŁ XIV Uroczystość

Gdy tylko Georgette wyzdrowiała, Madame Beck wysłała ją na wieś'. Przykro mi było; przywiązałam się szczerze do dziewczyny i rozstanie z nią uczyniło mnie uboższą, aniżeli czułam się przed jej odjazdem. Nie mogłam też mieć tyle towarzystwa, ile sama chciałam. Wolałam jednak samotność. Każda z nauczycielek z kolei ofiarowała mi się na swój sposób z propozycją przyjaźni: badałam je jedną po drugiej. Jedna była kobietą zacną, ale poglądy jej były zbyt wąskie, a sfera uczuć zbyt uboga, nazbyt samolubnie myślała wyłącznie o sobie. Następna z kolei była paryżanką, zewnątrznie dość ogładzoną, zepsutą wszakże, wyzbytą wiary, zasad i serdecznych uczuć; po zdrapaniu lekkiego zewnętrznego poloni towarzyskiego ukazała się brudna, zabagniona, odstręczająca treść. Cechowała ją zwłaszcza pasja

dopraszania się o prezenty. Pod tym względem była do niej bardzo podobna trzecia nauczycielka, osoba nieciekawa, bez charakteru, a przynajmniej bez wybitniejszych jego cech. Wyróżniał ją jedyny rys — posunięte do ostatecznych granic sknerstwo. Kochała pieniądze dla samych pieniędzy. Widok złotej monety rozpalał zielone błyski w jej oczach. Pewnego razu, chcąc okazać mi w ten sposób szczególne względy, zabrała mnie na górę do swojego pokoju, gdzie, otworzywszy tajemny schowek, pokazała mi skarb, na który składała się górka pięciofrankówek ogólnej wartości około piętnastu gwinei. Kochała ten skarb miłością ptaka do wyklutych piskląt. Były to jej oszczędności. Lubiła przychodzić do mnie, aby mówić o nich z upojnym, nie słabnącym ani na chwilę uwielbieniem, niezrozumiałym wręcz u osoby, nie mającej jeszcze skończonych dwudziestu pięciu lat.

Paryżanka, wprost przeciwnie, była marnotrawna, rozrzutna i

192

nierzetelna — z natury przynajmniej — czy i w czynach także, nie miałam sposobności przekonać się o tym. Nierzetelność jej dała mi znać o sobie, wysuwając bardzo ostrożnie na jaw swój „łeb żmii”. Dziwny wydał mi się ten płaz na pierwszy rzut oka; nowość jego widoku zaostriła moją ciekawość: gdyby wystąpił śmiało na widownię, potrafiłabym może filozoficznie pogodzić się z nim i obojętnie przyjrzałabym się mu w całej jego okazałości, od rozwidlonego języka do koniuszka łuszczastego ogona. Prześlizgnął się tylko jednak pospiesznie pomiędzy kartkami lichej powieści i przy pierwszym zetknięciu z nieostrożnym, przedwczesnym ujawnieniem gniewu na niego, tchórzliwie zwinął się w kłębek i umknął, sycząc zjadliwie.

Paryżanka znenawidziła mnie od tego dnia.

Tkwiała zawsze po uszy w długach: pobierała stale naprzód swoją pensję nauczycielską, trwoniąc ją nie tylko na sprawianie wciąż nowych szatek, ale także na kupowanie perfum, kosmetyków i różnych łakoci. Jak zimną, nieczułą epikurejką była we wszystkich tych rzeczach! Widzę ją teraz wyraźnie przed sobą: szczupłą, o chudej, zapadniętej twarzy, o cerze bladej, niezdrowej, o regularnych rysach i nieskazitelnych zębach, o cienkiej jak nitka linii ust, szerokim, wystającym podbródku i zimnym, lodowatym wyrazie jasnych oczu.

Śmiertelnie nienawidziła pracy, miłując jedynie to, co nazywała przyjemnościami i rozrywkami, a co w rzeczywistości było głupim, bezsensownym, bezcelowym marnowaniem czasu.

Madame Beck nie miała najmniejszych złudzeń co do wartości moralnych tej kobiety.

Mówiła pewnego razu ze mną o niej z dziwnym połączeniem obojętności, surowej, potępiającej krytyki i nienawiści. Zapytałam wobec tego, dlaczego trzymają w swoim zakładzie wychowawczym. Odpowiedziała mi otwarcie, nie krępując się bynajmniej, że dogadza to jej interesom jako przełożonej. Mademoi-selle St. Pierre posiada w niezrównanym wprost stopniu dar utrzymywania w karności najbardziej rozwydrzonych uczennic. Wywiera na nie wpływ kamienujący nieledwie, i to w sposób niesłychanie

193

spokojny, nie posługując się żadnymi środkami gwałtu. Nie podnosząc głosu, trzyma je w ryzach i skutecznie hamuje ich zapędy, podobnie jak mroźne powietrze skuwa i unieruchamia wezbrane gwałtownie wody potoku.

— Je sais bien qu'elle n'a pas de principes, ni peut-etre de moeurs — przyznała Madame szczerze, wyjaśniając filozoficznie: — son maintien en classe est toujours convenable et remplit tère d'une certaine dignite; c'est tout ce qu'il faut. Ni les eleves ni les parents ne regardent plus loin, ni, par consequent, moi non plus .

Zabawny, hałaśliwy, pełen pustoty światek zaludniał szkołę Madame Beck: uczyniono tu wszystko, aby kwiatami zamaskować ogniwa łańcuchów niewoli, krępującej swobodę wychowanek. Subtelny duch papizmu przenikał wszystko: jako przeciwwagę nakładanych na dziewczęta silnych hamulców, zgadzano się stosować większą pobłażliwość w zadowalaniu

ich potrzeb zmysłowych (o ile można tak się wyrazić). Umysł każdej z młodych dziewcząt był zaprawiony do ulegania pętom niewoli, aby jednak nie dopuścić do zbędnego rozmyślania nad tym faktem, korzystano z każdego pretekstu zaprzątania ich uwagi cielesnymi rozrywkami, których miały pod dostatkiem. I tutaj, tak samo jak w innych punktach, Kościół dążył do urabiania swoich wychowanek na silne fizycznie, acz słabe duchowo jednostki, krzepkie, tęgie, wesołe, jak najmniej myślące i wiedzące, nie interesujące się niczym. „Jedzcie, pijcie i żyjcie! — oto jego hasło w stosunku do nich. — Hartujcie i rozwijajcie wasze ciała, a troskę o wasze dusze pozostawcie mnie. Sprawuję nad nimi pieczę, kieruję nimi, odpowiadam za ich los". Układ taki uważa

I Wiem dobrze, że nie ma ona żadnych zasad ani może nawet obyczajności. Jej zachowanie w klasie jest zawsze przyzwoite, a nawet poniekąd pełne godności; to wszystko, czego potrzeba. Ani rodzice, ani uczennice nie patrzą dalej, ani też, tym samym, i ja również.

194

każdy wierzący katolik za korzystny dla siebie. Lucyfer ofiarowuje takie same warunki: „Dam ci maksimum władzy tutaj na ziemi, zapewnię ci sławę, jaką tylko można osiąść i jaka może być czy-inkolwiek udziałem. O ile więc zgodzisz się wielbić mnie, wszystko to będzie twoje".

W tym czasie — w pełni lata — dom Madame Beck stawał się miejscem tak wesołym, jakim szkoła zasadniczo być powinna. Przez cały dzień wielkie paradne drzwi wejściowe były szeroko otwarte, słońce było tutaj towarzyszem nieodstępnym, chmury rozstały się i jak gdyby znikły z widnokręgu, ginąc poza linią morza i sadowiąc się najprawdopodobniej ponad wyspami takimi jak Anglia — nasza droga kraina mgieł. Ponad suchym lądem stałym nie było ich ani śladu. Mieszkaliśmy wszyscy bardziej w ogrodzie niż pod dachem; w grand berceau odbywały się nie tylko lekcje i wykłady, ale spożywano tu również posiłki. Przygotowywanie się do wielkich ferii letnich zaznaczało się przeistoczeniem swobody w rozkielznanie nieledwie. Jesienne długie ferie rozpoczynały się już za dwa miesiące, przedtem wszakże miało odbyć się wielkie doroczne święto — fetę de Madame — obchodzone obyczajem katolickim imieniny przełożonej.

Aranżacją całego obchodu zajmowała się Mademoiselle St. Pierre. Madame, jako solenizantka, trzymała się z dala, udając nawet nieświadomą będących w pełnym toku przygotowań, jak gdyby nie interesując się nimi wcale. Nade wszystko zaś nie wiedziała ani nawet nie podejrzewała jakoby, że w całej szkole zbierano składki pieniężne na zakupienie odpowiednio wspaniałego corocznego podarunku. Wrodzony takt łaskawego czytelnika pozwoli mu wykreślić z pamięci krótką, tajemną naradę, odbytą w tej materii w sypialni Madame.

— Co chciałaby pani dostać w tym roku? — zagadnęła ją paryska jej adiutantka.

— O, to nieważne! Dajmy temu spokój! Pozwólmy biednej

195

dziatwie zatrzymać swoje grosze — rzekła Madame ze skromnym, dobrodusznym uśmiechem.

Mademoiselle St. Pierre, znająca Madame na wylot, wysunęła dolną szczękę; dla takiego uśmiechu przełożonej — son air de bonte miała tylko jedną pogardliwą nazwę: des gñmaces — udawanie. Jej samej nie przychodziło na myśl udawać ani przez chwilę, że wierzy w szczerłość Madame.

— Vite! — prędko — wołała oschle. — Niech pani wymieni ten przedmiot. Czy ma to być coś z biżuterii, czy z porcelany, srebra, towarów łokciowych lub szmuklerszczyzny?

— Eh hieni Dewc ou trois cuillers et autant de fourchettes en argent .

Wynikiem tej rozmowy była ładna kasetka, zawierająca srebrne nakrycia za trzysta franków.

Program uroczystości tego dnia obejmował: ofiarowanie prezentu, spożycie drugiego śniadania w ogrodzie, przedstawienie teatralne, w którym nauczycielki i uczennice występowały jako wykonawczynie ról, tańce i odświętną wieszczkę. Program ten wydał mi się imponujący — pamiętam dobrze wrażenie, jakie na mnie wywarł. Zélie St. Pierre znała się na urządzaniu takich obchodów i aranżowała je po mistrzowsku.

Punktem kulminacyjnym było przedstawienie, wymagające całego miesiąca uprzednich przygotowań. Wybór aktorów musiał być dokonany ze szczególną starannością, po czym dopiero następowały lekcje dykcji, ruchów i wreszcie praca przy nieskończonych próbach. Jak łatwo domyślić się, nie wystarczyłaby na podolewanie temu wszystkiemu sama tylko Zélie St. Pierre: niezbędne było innego jeszcze rodzaju znawstwo, inne talenty niż te, jakimi rozporządzała wszechstronna paryżanka. Miał je, na szczęście, jeden z wykładowców, Mr. Paul Emmanuel, profesor literatury. Nie udało mi się nigdy

1 A więc: dwie czy trzy łyżki srebrne i tyleż srebrnych widelców. 196

być obecną na prowadzonych przez niego wykładach sztuki aktorskiej, często jednak widywałam go, przechodzącego przez *carre* (jak już zaznaczyłam, zwano tak czworoboczny przedsionek, oddzielający dom mieszkalny od pomieszczeń szkolnych). Czasem też, w ciepłe wieczory, słyszałam przez otwarte drzwi wykłady Mr. Paula. Ze wszystkich stron także wpadały mi w uszy opowiadane o nim anegdoty oraz odmieniane przez wszystkie przypadki jego imię. Panna Ginevra Fanshave zwłaszcza, powołana do odegrania głównej roli w sztuce, zwykła, spędzając ze mną znaczną część wolnych godzin, szpikować swoje rozmowy i opowiadania częstymi wzmiankami o jego sposobie wyrażania się.

Uważała go za potwornie brzydkiego, zapewniając, że sam dźwięk jego głosu i echo jego kroków są zdolne doprowadzić ją do ataku hysterii. W rzeczywistości był drobnym, smagłym człowiekiem, uszczypliwym i ponurym. I mnie również wydawało się wszystko w nim niemile szorstkie: jego ostrzyżone przy samej skórze czarne włosy, szerokie, blade czoło, zapadnięte, chude policzki, szerokie, nerwowo drgające nozdrza, gorączkowo pospieszne ruchy i ostre, świdrujące spojrzenie. Był niesłychanie drażliwy: można to było wyczuć z burzliwej gwałtowności, z jaką rzucał krytyczne uwagi o grze pozostających pod jego rozkazami nieudolnych artystek-amateerek. Nierzadko też doprowadzały go one do wybuchów zniecierpliwienia fałszywym ujmowaniem myśli autora, oschłością interpretacji, brakiem uzdolnień artystycznych.

— *Ecoutez!* — grzmiał w najwyższej irytacji. — *Vous n'avez pas de passiona vous autres ? Vous ne sentez donc rien ? Votre chaire est de neige, votre sang de glace ? Moi, je veux que tout cela s'allu-me, qu'il ait une vie, une ame!*

1 Słuchajcie! Czy nie jesteście zdolne do żadnych gorętszych uczuć? Czy nic nie czujecie? Wasze ciało jest ze śniegu, krew wasza zlodowaciała! Chcę, aby wszystko to rozpałiło się, aby miało życie, duszę!

197

Daremne usiłowania! A kiedy wreszcie przekonał się, że są daremne, dał nagle za wygraną. Próbował pierwotnie wyuczyć je tekstu wielkiego utworu tragicznego; doprowadzony do ostateczności, podarł egzemplarz tragedii na strzępy i nazajutrz zjawił się ze scenariuszem jakiejś farsy. Przypadła im ona bardziej do smaku, łatwiej mu też było wbić ją w okrągłe, gładkie, ale jakże odporne ich główki.

Mademoiselle St. Pierre bywała stale obecna na lekcjach pana Paula Emmanuela, dochodziły też mnie wieści, że zjednywały go jej wielce dystygowane maniery, jej wsłuchiwanie się w jego wykład z pozornym przejściem, jej takt i wdzięk, jak mu się zdawało, wrodzony. Miała w istocie dar podobania się zrazu każdemu, komu chciała się podobać; nie trwało to jednak długo: zachwyt dla niej wysychał jak rosa, rozwiewał się i ulatywał jak babie lato.

Wigilia imienin Madame była prawie tak samo świętem, jak dzień właściwej uroczystości. Poświęcano ją na uprzątnięcie, urządzenie i dekorowanie trzech sal szkolnych. Panowało w nich niezwykle gwarne, wesołe ożywienie: ani na górze, ani na dole niepodobieństwem było dla osoby szukającej samotności znaleźć jeden chociażby zaciszny kącik. Ja, na przykład, zmuszona byłam szukać schronienia w ogrodzie. Przez cały dzień przechadzałam się tam lub przesiadywałam samotnie, grzejąc się w blaskach słońca, znajdując miły cień pośród drzew. Za jedyne towarzystwo miałam własne myśli, które mi wystarczały. Dobrze pamiętam, że tego dnia nie zamieniłam nawet dwóch zdań z żadną żywą duszą, samotność nie ciążyła mi jednak. Byłam rada spokojowi, jaki mnie otaczał. Dla postronnego widza wystarczyło raz lub dwa przejść przez pokoje szkolne, aby przekonać się, jakie zmiany zostały w nich dokonane, jak przeistoczono jedną z sal w udekorowaną pięknie zielenią widownię, tuż obok której zarezerwowano miejsce na szatnię; w głębi widowni była specjalnie zbudowana na podobne okazje scenka z odpowiedni-

198

mi kulisami. Paul Emmanuel oraz Mademoiselle St. Pierre objęli naczelne kierownictwo, a doborowy zespół uczennic pracował gorliwie pod ich przewodem. Nadszedł wreszcie wielki dzień. Słońce wstało gorące, niebo było bez jednej chmurki i takie pozostało aż do wieczora. Wszystkie drzwi i wszystkie okna były otwarte na oścież, co nadawało wnętrzu miły charakter letniej swobody; zupełna dowolność zdawała się w istocie głównym hasłem dnia. Nauczycielki i uczennice zjawily się na śniadaniu w szlafroczkach i zakreconych papilotach: myśląc avec delices—z rozkoszą — o swoich toaletach wieczorowych, zdawały się lubować rzadko udzielanym im prawem zaniedbania w stroju w ciągu całego przedpołudnia, niby radni miejscy, poszcząjący przez cały dzień, aby godnie przygotować się do czekającego ich wieczorem bankietu. Około dziewiątej z rana dano nam znać o przybyciu osobistości, sprawującej funkcję szczególnie doniosłą — du coiffeur — fryzjera. Było to może świętokradztwem, stwierdzić wszakże należy gwoli prawdzie, że swoją główną kwaterę rozbił on w kaplicy, aby tutaj, w obecności benitier — kropielnicy, świec i krucyfiksu, odprawiać misteria swojej sztuki. Każda z dziewcząt wzywana była kolejno, aby wyłonić się potem z główką gładką jak z pudełeczka, przedzieloną nieskazitelnie symetryczną linią przedziałka i oplecioną dokoła greckimi warkoczami, lśniącymi, jak gdyby były świeżo polakierowane. I ja z kolei wraz z innymi poddałam moją głowę zabiegom czarodzieja, który okazał się nim w istocie, kiedy bowiem, wydostawszy się z jego rąk, spojrzałam do lusterka, nie mogłam wręcz uwierzyć w metamorfozę, jaką mi ono odzwierciedliło: tak dalece zdumiewające było bogactwo loków, uwitych z moich ciemnych włosów, że budziło obawę, czy wszystkie one wyrosły naprawdę na mojej głowie, nie uspokoiłam się też, dopóki mocne, kilkakrotne pociągnięcie za nie w rozmaitych miejscach i kierunkach nie przekonało mnie, że obawy te są płonne. Musiałam wobec tego przyznać, że fryzjer jest pierwszorzędnym

199

artystą, zdolnym wyczarować cuda z najmniej wdzięcznego nawet materiału. Po zamknięciu kaplicy sypialnie stały się miejscem dokonywania podstawowych obrządków stroju, zaczynając oczywiście od gruntownych ablucji. Było i będzie dla mnie zawsze zagadką, jak to się dzieje, że kobiety poświęcają tak wiele czasu na zabiegi toaletowe, osiągając w zamian tak nikłe rezultaty. Praca ich wydawała mi się tego dnia zwłaszcza tak skomplikowana, długotrwała, a wynik tak skromny! Świeżo wyprana — albo nowa — biała muślinowa sukienka, błękitna szarfa (kolory Matki Boskiej), para białych czy koloru słomkowego skórkowych rękawiczek — taki był strój galowy, którego wdzianie kosztowało każdą z naszych nauczycielek i wychowanek trzy bite godziny. Przyznać jednak należy, że jakkolwiek skromny, był ten strój niezrównany pod względem kroju, świeżości i wdzięku, jaki nadawał każdej postaci. Że zaś wszystkie główki były

uczesane w sposób idealnie twarzowy, odpowiadający zaokrąglonym zarysom ogólnej sylwetki tych rodowitych z krwi i kości Labassecouriennes — może nieco ciężkawych dla lubujących się w bardziej zwiewnym uroku — efekt ogólny był wcale pociągający. Patrząc na jasnowłosą, przeważnie na białą ubraną gromadkę, poczułam — dobrze to pamiętam — że muszę, w zestawieniu z nią, sprawiać wrażenie ciemnej plamy na nieskałanie śnieżnym tle, brakło mi jednak odwagi pójścia w ich ślady i ustrojenia się w przejrzystą, białą szatę. Z konieczności oczywiście musiałam wdziąć na siebie coś lekkiego, cienkiego: było zbyt gorąco na wszelkie grubsze materiały — przeszukałam więc starannie tuzin sklepów co najmniej, aby wreszcie natrafić na rodzaj cienkiej krepy w popielatoróżowym odcieniu, przypominającym barwę, a raczej bezbarwność mgły, spowijającej wrzosowisko w pełnym rozkwicie.

Moja tailleuse—krawcowa—życzliwie nie pożałowała trudu, aby zrobić z tego materiału, co tylko się dało, jak słusznie bowiem

200

zauważyła, był on si triste, sipeu voyant — taki smutny, tak mało jaskrawy — że należało podwójny nacisk położyć na staranność kroju i szycia. Dobrze się stało, że była ona tego zdania, ja bowiem nie miałam nic: ani kwiatka, ani klejnotu, aby ożywić tę przytłumioną, nikłą całość. Nade wszystko jednak moja cera nie miała naturalnego różowego zabarwienia, stanowiącego najkorzystniejsze tło ogólne każdego stroju.

Braki takie nie rzucają się tak bardzo w oczy i nie dają znać o sobie w codziennej rutynie obowiązków, narzucają się jednak świadomości w sposób nader niemiły, ilekroć jakaś szczególna okazja wymaga uświetnienia ogólnej aparycji.

Muszę przyznać, że ja osobiście czułam się w tej ciemnej sukni — w zestawieniu z ogólną białością — dziwnie swobodnie i swojsko, jak na pewno nie czułabym się w żadnym stroju jaśniejszym ani barwniejszym. Dotrzymywała mi pod tym względem towarzystwa sama Madame, której suknia była prawie w takim samym spokojnym odcieniu jak moja, poza tym, że zdobiła ją bransoleta oraz wielka, złota, wysadzana pięknymi drogimi kamieniami brosza. Spotkałyśmy się przypadkowo na schodach. Skinęła przyjaźnie głową na mój widok i uśmiechnęła się z uznaniem. Nie dlatego, aby miała uważać, że jest mi w moim stroju szczególnie do twarzy — trudno przypuszczać, aby mogło ją to tak bardzo interesować — uważała jednak, że jestem ubrana corvenablement i decemment — odpowiednio i przyzwoicie — a odpowiedniość i przyzwoitość były głównymi bożyszczami, jakim hołdowała nade wszystko. Zatrzymała się nawet, położyła mi na ramieniu ubraną w rękawiczkę rękę, w której trzymała haftowaną, uperfumowaną chusteczkę i szepnęła mi do ucha sarkastyczną uwagę o innych nauczycielkach (którym przed chwilą prawiała komplementy z racji korzystnego ich wyglądu).

— Nie istnieje nic równie niedorzecznego — rzekła — jak sposób ubierania się desfemmes mures — kobiet dojrzałych — tak

201

samo, jak ubierają się piętnastoletnie podlotki. Quant a la St. Pierre, elle a l'air d'une vieille coquette, quifa.it l'ingenuel.

Będąc zupełnie gotowa o parę godzin wcześniej od wszystkich innych, udałam się z przyjemnością — nie do ogrodu, gdzie służba zajęta była ustawianiem długich stołów na kozłach, przynoszeniem krzeseł i ławek i nakrywaniem do kolacji — ale do pokojów szkolnych, w tej chwili zupełnie pustych, cichych, przewiewnych i czystych; ściany ich były świeżo pomalowane, posadzki zaciągnięte, wyfroterowane i pachnące woskiem; w każdym kącie pełno kwitnących roślin w wielkich donicach; założone dopiero wczoraj czyste firanki były pięknie udrapowane przy wielkich oknach.

Cofnąwszy się do pierwszej klasy, mniejszego i jeszcze miłszego pokoju, niż oba pozostałe i wydstawszy z oszklonej szafki, od której klucz był stale w moim posiadaniu, książkę o ciekawie zapowiadającym się tytule, usiadłam, aby móc czytać ją w spokoju. Oszklone drzwi tej sali prowadziły wprost do wielkiego berceau; gałęzie akacji zwisały na szybach, sięgając aż do krzewu różanego, kwitnącego przy balustradzie przeciwległego okna. Wśród gałęzi tego krzewu uwijały się z radosnym brzękiem znęcone miodnym zapachem pszczoły. Zaczęłam czytać. Ciche pobrzękiwanie pracowitych owadów, miły cień, utworzony przez splecione gałęzie, ciepły, samotny spokój mojego schronienia zaczęły nastrojać mnie do marzeń o dalekich wyśnionych krainach. Nagle przywrócił mnie do przytomności dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych, najostrzejszy, jakim rozbrzmiewał kiedykolwiek ten stale nad miarę tarmoszony instrument.

Dzwonienie nie przestawało alarmować przez cały ranek: robotnicy, służba, coiffeur, tailleuses raz w raz przychodzili i

1 Co się tyczy panny St. Pierre, wygląda ona jak stara zalotnica, udająca niewiniątko.
202

wychodzili. Nie było nadto powodu przypuszczać, aby to alarmowanie miało ustać i w godzinach popołudniowych, spodziewano się bowiem przybycia powozami, karetami i dorożkami wielu uczennic zamiejscowych. Nie można było również liczyć na zamilknięcie dzwonka i w ciągu wieczoru, kiedy licznie będą gromadzić się rodzice uczennic i ich znajomi, zaproszeni na przedstawienie. W tych warunkach najostrzejszy nawet dźwięk dzwonka był rzeczą najzupełniej naturalną, a jednak od razu stargał i rozproszył przedziwo moich rojeń, każąc mi wzdrygnąć się lekliwie, przy czym książka stoczyła się z moich kolan na podłogę. Nachyliłam się, aby ją podnieść, kiedy rozległy się silne, szybkie, stanowcze kroki męskie, zdążające w moją stronę wprost przez przedsionek, korytarz, carré, przez pierwszy, potem przez drugi oddział i przez wielką salę. Zamknięte drzwi pierwszej klasy, w której znalazłam schronienie, nie stanowiły przeszkody dla przybywającego, rozwarły się bowiem, mocno snadź szarpnięte; ukazało się palto i bonnet grec — rodzaj wydłużonego beretu — a para błyszczących oczu rozejrzała się w pierwszej chwili niepewnie, wnet wszakże wpila się w moją twarz.

— Cest celu! — zawołał szorstki głos. — Je la connais; l'Anglaise. Tantpis. Toute Anglaise, et par consequent, toutebegu-eule qu'elle soit —elle jera mon affaire, et je sauraipou.rqu.oi . I z poważną uprzejmością (wyobrażał sobie widocznie, że nie doszły moich uszu jego niezbyt uprzejme pomruki) zwrócił się do mnie i naj potworniej zniekształconą angielszczyzną bąknął:

— Miss... musi pani grać! Nie ruszę się stąd!

— Czym mogę panu służyć, Mr. Paul? — zapytałam. Był to

1 Tak. Ona właśnie. Znam ją: to Angielka. Tym gorzej. Chociaż jest Angielką, a tym samym skromnisią — nada mi się i będę wiedział, dlaczego.

203

jyjr< paul we własnej osobie, w stanie większego podniecenia niż kiedykolwiek.

,-Musi pani grać- Nie może pani wykręcać się ani grymasić, ani udawać skromnisi.

Przejrzałam panią na wylot zaraz pierwszego wieczór kiedy pani zjawiła się tutaj. Widzę pani moyens — środki; potrafi pani grać, musi pani grać.

-"0 c2ym pan mówi, Mr. Paul?! Nie rozumiem pana.

--Nie ma CZasu do stracenia — mówił, a raczej trzepał dalej po francusku — musimy rzucić do licha wszystkie wahania, wykręty, wsZ*a minoderię. Musi pani przyjąć rolę.

-'W Wodewilu?!

-'W Wodewilu. Nareszcie pani zrozumiała.

Zaparło mi oddech z przerażenia. O czym ten człowiek mówi?

--Niech pani posłucha — rzekł. — Wyjaśnię pani, o co idzie, a paniΦ^ie „Tak!” albo „Nie!” — i zależnie od odpowiedzi będę wiedział, co mam o pani myśleć.

policzki jego płonęły opanowanym z trudnością podnieceniem, najwy^ym, do jakiego zdolna była jego niesłychanie pobudliwa, gwałt0wna natura; jego oczy rzucały ostre błyski. Nie ulegało wątpliwości- że wszelka, nie odpowiadająca jego zamierzeniom, niemila mu decyzja, wszelkie opieranie się, wahania, a nade wszystko odmowa m^gły doprowadzić go do wybuchu niepohamowanej gwałtowności' Jedynym, co mogło jako tako ukoić jego wzburzenie, było zacho*nie milczenia: nie przerywając mu więc ani jednym słowem, słuchałam.

--Ws^yStko wali się, grozi przegraną na całej linii — zaczął. __Luiza Vanderkelkov rozchorowała się. Tak przynajmniej utrzymuje jej śmieszna, niedorzeczna matka; ja osobiście jestem pewien, że mogiaby grać, gdyby chciała; brak jej tylko dobrej woli. Miała odegrać główną rolę, jak pani wiadomo, albo może nie wiadomo — mniejsi o to zresztą: bez tej roli cała sztuka jest nie do pomyślenia. Pozostał0 już teraz tylko parę godzin do wyuczenia się jej; niepo-

204

dobna byłoby przekonać ani jednej z dziewcząt w całej szkole, niepodobna byłoby przemówić żadnej do rozsądku, aby zgodziła się podjąć tego zadania. Bogiem a prawdą nie jest to rola ani interesująca, ani przyjemna; ich nędzna amour propre — miłość własna — ta marna właściwość, która w tak wysokim stopniu cechuje kobiety, wzdrygnęłaby się przed podobną decyzją. Kobiety angielskie bywają bądź najgorsze, bądź najlepsze spośród przedstawicielek swojej płci. Dieu sait que je les deteste comme la peste ordinairement — mruknął przez zęby.

— Zwracam się więc po ratunek do kobiety angielskiej. Co mi ona odpowie? Tak czy nie? Tysiące najsluszniejszych sprzeciwów wołało głośno „nie!” w moim mózgu. Obcy język, krótki czas na wyuczenie się, wystąpienie publiczne... Wrodzone moje usposobienie wzdrygało się, poczucie własnych możliwości kazało mi się cofnąć, szacunek dla siebie samej czy miłość własna (ta nikczemna właściwość) powstrzymywały mnie całą siłą. Non, non, non! — Nie, nie, nie! — burzyło się to wszystko, kiedy wszakże spojrzałam na Mr. Paula i z jego rozpromienionych, badawczo utkwionych we mnie oczu wyczytałam, poza groźbami, jakie ciskały, prośbę błagalną, wyrwała mi się odpowiedź: „tak!” — Oui!

Na chwilę sztywność i napięcie jego rysów złagodniały, ustępując miejsca wyrazowi zadowolenia, rozpromienienia nawet. Wnet jednak opamiętał się i przybrał ponownie władczy ton.

— Vite ñ l'ouvrage! — Szybko do roboty! Oto książka, proszę czytać.

Zaczęłam czytać. Nie robił żadnych uwag, przy niektórych tylko ustępach gniewnie pomrukiwał i niecierpliwie uderzał obcasem o podłogę. Potem on sam odczytał mi całość.

Usiłowałam pilnie naśladować go. Była to bardzo niesympatyczna rola — mężczyzny, pustogłowego fanfaron. Niepodobna było włożyć wiele serca w

1 Bogu jedynie wiadomo, że nienawidzę ich zazwyczaj jak zarazy.

205

odtworzenie tej postaci: znienawidziłam ją od razu. Akcja sztuki — krotchwili raczej — toczyła się wokół zabiegów, czynionych przez dwóch rywali o zdobycie ręki pięknej zalotnicy. Jeden z nich przezwany był Niedźwiedziem. Był to zacny i dzielny, ale nieogładzony prostak, coś w rodzaju nie szlifowanego brylantu; drugi — płochy wietrznik, pyszałek i przeniewierca: tym wietrznikiem, pyszałkiem i przeniewierca miałam być właśnie ja.

Robiłam, co było w mojej mocy — wiedziałam, że było to niewiele — mój sposób odtwarzania wywołał jednak niezadowolenie Mr. Paula, który zaczął wyraźnie się pienić. Zdwoiłam wysiłki, dzięki czemu udało mi się przewyższyć własne możliwości.

Przypuszczam, że moja dobra wola zdołała przejednać surowego krytyka. Oświadczył, że jest

nawet trochę zadowolony. — Ca ira! — pójdzie! —zawołał, że zaś z ogrodu zaczęły dolatywać liczne głosy, a białe suknie migały raz w raz pośród drzew, dodał: — Musi pani wycofać się; musi pani być zupełnie sama, aby nauczyć się swojej roli. Proszę iść za mną! Nie pozostawiwszy mi ani możliwości, ani czasu do namysłu, porwał mnie w tej samej chwili z gwałtownością wichru za sobą po schodach, dwa — nie, trzy piętra w górę (zapaleniec ten zdawał się, wiedziony instynktem, odnajdywać drogę wszędzie), aż wreszcie znaleźliśmy się na samotnym, wysokim poddaszu. Wepchnął mnie do wnętrza i zamknął w nim na klucz, który wsunął do swojej kieszeni, po czym znikł momentalnie.

Poddasze nie było miłym miejscem: przypuszczam, że on sam nie wiedział, jak bardzo niemiłym, nie zamknąłby mnie w nim bowiem tak bez wszelkich ceremonii. W ten upalny letni dzień panował tam żar afrykański; w zimie, przeciwnie, była tu istna Grenlandia. Całe poddasze wypełnione było mnóstwem skrzyń i wszelkiego rodzaju rupieci; stare, niemodne suknie zawieszane były na nie malowanych ścianach, pajęczyny zasnuły nie omiataną nigdy powałą. Wiadomo było, że zagnieżdżyły się tam szczury, czarne

206

karaluchy i chrząszcze, a nawet, wedle podawanej z ust do ust legendy, miano spotkać tu raz upiorną zjawę mniszki, zwykłej krążyć po ścieżkach ogrodu jedynie. Ciemność zaległa w jednej części tego poddasza, oddzielonej jak gdyby dla spotęgowania jej tajemniczości, grubą zgrzebną kotarą, która miała służyć za rodzaj osłony dla zimowych okryć, zwisających każde na swoim gwoździu, niby złoczyńca na szubienicy. Utrzymywano, jakoby mniszka miała wyłaniać się spośród tych okryć, spoza kotary. Nie wierzyłam temu, nie budziła też we mnie lęku myśl o podobnej możliwości, wystraszył mnie natomiast widok bardzo ciemnego, opasłego szczura z długim ogonem, wysuwającego się chyłkiem z mrocznej alkowy; a bardziej jeszcze przerażyły mnie czarne karaluchy, pstrzące ruchomymi ciemnymi plamami podłogę. Te akcesoria mojego zamknięcia wyprowadziły mnie bardziej z równowagi, aniżeli rozsądek pozwoliłby mi przyznać się do tego. Nie mniej przygnębiająco podziały na mnie kurz, śmieci, zaduch i spiekota, jakie panowały tu wszechwładnie. Te warunki zaciążyłyby mi rychło w sposób nie do zniesienia, gdyby nie udało mi się szczęśliwie odemknąć i podeprzeć otworu w powale, a tym samym umożliwić częściowy przynajmniej dopływ świeżego powietrza. Pod ten otwór podsunęłam sporych rozmiarów pustą skrzynię, na niej umieściłam mniejszą skrzynkę, jako tako starłam z obu pokrywające je pokłady kurzu, zebrałam ostrożnie dokoła siebie fałdy mojej sukni (mojej najlepszej sukni, zapamiętać winieneś, łaskawy czytelniku, i dlatego przedmiotu usprawiedliwionej troski) i wdrapałam się na ten chwilowy, nie nazbyt pewny tron. Usadowiona na nim wreszcie, zabrałam się do przyswajania sobie tekstu roli. Ucząc się nie zapominałam równocześnie o konieczności zwracania bacznej uwagi na zagrażające mi zewsząd czarne karaluchy, których bałam się jeszcze bardziej niż szczurów.

Pierwszym moim wrażeniem było, że to, czego podjęłam się, okaże się dla mnie niemożliwe do wykonania, z tym większą też stanowczością i energią postanowiłam zrobić, co będzie w mojej

207

l

o

гп

mocy, z góry zakładając, że wynik moich usiłowań może być żalorny. Rychło wszakże przekonałam się, że jedna część tej bardzo krótkiej zresztą sztuki nie będzie zbyt trudna do pamięciowego opanowania w ciągu paru pozostających mi godzin. Zaczęłam uczyć się jej z początku szeptem, potem głośno. Zupełnie zabezpieczona przed ludzkimi uszami i oczami, śmiało odgrywałam moją rolę wobec zasiedlającego poddasze robactwa. Przejąwszy się pustotą, płocnością i zakłamaniem postaci, którą miałam odtworzyć i którą w gruncie rzeczy

pogardzałam, zemściłam się na tym fanfaronie, obłudniku i zarozumialcu możliwym podkreśleniem, uwydatnieniem i spotęgowaniem jego zarozumialstwa, fanfaronady i obłudy. Na tych usiłowaniach upłynęło mi całe popołudnie. Zmierzchało się już, że zaś nie jadłam nic od rana, zaczął coraz mocniej doskwierać mi głód. Przyszła mi na myśl wieczerza, którą niewątpliwie raczono się już na dole w ogrodzie. Widziałam, przechodząc przez przedsionek, koszyk pełen pates a la creme — ciastek z kremem — ponad które nie istniał w moim pojęciu żaden bardziej ponętny przysmak. Byłby on w tej chwili bardzo a propos — pożądanym — powiedziałam sobie, w miarę też wzmagania się mojej tęsknoty za owymi pates, uświadamiałam sobie z coraz większą goryczą, jaką niesprawiedliwością jest głodzenie mnie i zamykanie w więzieniu w dniu tak uroczystym. Mimo że poddasze było znacznie oddalone od furtki zamykającej ogród od ulicy i równie oddalone od drzwi prowadzących do hallu, dochodził do mnie, wprawdzie nieco przytłumiony, ale wyraźny, nie ustający nieledwie ani na chwilę odgłos dzwonka, i tak samo nie ustający turkot kół po wyboistym bruku. Wiedziałam, że ogród i dom są zatłoczone i że wszędzie panuje wesoły, radosny nastrój. A tutaj, na górze, zaczęło ściemniać się na dobre. Przestałam już nawet dostrzegać karaluchy; drżałam, że mógłby który z nich wleźć na mój tron i nie zauważony dostać się w fałdy mojego ubrania. Zniecierpliwiona i wylękniona,

208

zaczęłam głośno wypowiadać moją rolę, byle zabić czymś czas. Doszłam już prawie do końca, kiedy skrzypnął klucz obrócony w zamku. O, jakże upragniony dla moich uszu odgłos! Mr. Paul (mogłam nawet w tym gęstniejącym z każdą chwilą mroku rozpoznać, że był to Mr. Paul, tyle bowiem jeszcze pozostało światła, aby uwydatnić aksamitną czerń jego krótko ostrzyżonych włosów i błądźliwość czoła) zajrzał do wnętrza.

— Bravo! — zawołał, otwierając drzwi szeroko i pozostając na progu. — *Γai tout entendu. Cest assez bien. Encore.*¹

Zawahałam się na chwilę.

— Encore! — powtórzył surowo. — *Et point de grimaces! A bas la timidite.*

Wyrecytowałam raz jeszcze całą rolę, od początku do końca, bez porównania gorzej jednak, aniżeli kiedy byłam sama.

— *Enfin elle sait* — umie przynajmniej — mruknął niezupełnie zadowolony. Sam jednak rozumiał, że nie należało wymagać za wiele w tych warunkach, dodał więc: — *Może pani poświęcić jeszcze dwadzieścia minut na przygotowanie; au revoir!* — do widzenia — i zamierzał wyjść.

— Proszę pana! — zawołałam, zdobywając się na odwagę.

— *Eh bien, qu'est-ce que c'est, mademoiseller* — *Γai bienfaim.*⁴

— *Comment, vous avez faim? Et la collation* —: Nic mi o niej nie wiadomo. Zamknięta tutaj, nie widziałam jej nawet.

— *Ah, c'est vraif* — zawołał.

1 Słyszałem wszystko. Wcale dobrze. Jeszcze raz!

2 Jeszcze raz! I żadnych grymasów! Precz z nieśmiałością!

3 No i cóż tam takiego, proszę pani?

4 Jestem bardzo głodna.

5 Jak to, jest pani głodna? A wieczerza?

6 O, to prawda!

209

o

o

W jednej chwili rzekłam się tronu, opuściłam poddasze i powtórny, w odwrotnym kierunku, impet, który sprowadził mnie tutaj na górę, ściągnął mnie na dół do kuchni. Byłam pewna, że zatrzymam się dopiero w piwnicy. Ale nie! Szczęśliwie wylądowaliśmy w kuchni, gdzie

kucharz otrzymał rozkaz dostarczenia mi jadła, a ja rozkaz zjedzenia wszystkiego, co mi podano. Ku mojej wielkiej radości ograniczyło się to jedynie do kawy, bułek z masłem i ciastek. Obawiałam się wina i deseru, czego nie lubiłam. W jaki sposób zdołał kucharz odgadnąć, że najbardziej pożądane były dla mnie pates a la creme — nie umiałabym powiedzieć; fakt jednak, że poszedł dokądś i przyniósł mi jedno kremowe ciastko. Bardzo potulnie i ochoczo zarazem zjadłam wszystko inne i wypięłam kawę, pozostawiając sobie ulubioną kremówkę na deser — pour bonne bouche. Mr. Paul czuwał nad posiłkiem, zmuszając mnie nieledwie do przełknięcia większych ilości, aniżeli mogłam podołać. — Ala bonne heure! — w dobrą chwilę! — na zdrowie! — rzekł, kiedy dałam mu poznać, że naprawdę nie jestem w stanie zjeść nic więcej i, podniósłszy ręce do góry, wyraziłam tym gestem błagalną prośbę, aby nie zmuszał mnie do zjedzenia jeszcze jednej bułki, którą właśnie smarował dla mnie masłem.

— Zaliczy mnie pani do rodzaju tyranów, Sinobrodych, morzących kobiety głodem i zamykających je na poddaszu, a przecież nie jestem takim okrutnikiem. No, a teraz, panienko, czy ma pani odwagę i czy czuje się pani na siłach wystąpić?

Wyraziłam przypuszczenie, że będę mogła wystąpić, jakkolwiek w rzeczywistości czułam się fatalnie. Trudno byłoby mi nawet powiedzieć, co właściwie nękało mnie najbardziej. Na szczęście jednak Mr. Paul należał do tych, którym niepodobna się oprzeć, zwłaszcza gdy przeciwnik nie miał siły wystarczającej do przeciwstawienia się jego woli.

— Chodźmy w takim razie — rzekł, podając mi ramię. Wsunęłam pod nie rękę i pospieszyłam za nim, zmuszona,

210

chcąc dorównać jego krokom, prawie do biegu. Zatrzymał się na chwilę w oświetlonym wielkimi lampami carre. Paradne, prowadzące do sal szkolnych podwoje były szeroko otwarte, tak samo jak drzwi ogrodowe, wychodzące na taras, pięknie udekorowany drzewami pomarańczowymi w wielkich drewnianych kubłach oraz wysokimi kwitnącymi roślinami w doniczkach. Pośród kwiatów snuły się po tarasie grupy pań i panów w balowych strojach. Wszystkie trzy klasy, widoczne w jednej nieprzerwanej perspektywie, wypełnione były hałaśliwą, żywo poruszającą się gromadą w powiewnych strojach różowych, błękitnych i śnieżnobiałych. Zwisające z sufitu kryształowe żyrandole rzucały na ten barwny tłum jasne błyski; na końcu sali wznosiła się scena, ukryta za opuszczoną odświeżoną zieloną kurtyną, którą oświetlał od dołu szereg świateł rampy.

— N'est — ce pas que c'est beau? — zagadnął mnie mój towarzysz.

Powinnam dać twierdzącą odpowiedź, tak gwałtownie jednak biło mi serce, że niemal czułam je w krtani i nie byłam w stanie wypowiedzieć ani słowa. Mr. Paul dostrzegł to, spojrzał na mnie z ukosa, usiłując podnieść mnie na duchu.

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, chciałabym jednak, ażeby było już po wszystkim — rzekłam, po czym zapytałam: — Czy będziemy musieli przedostać się przez całą tę ciżbę?

— Ani mi się śni: umiem lepiej sobie radzić. Przejdziemy tędy, przez ogród.

W jednej chwili znaleźliśmy się na otwartym powietrzu i od razu odświeżyła mnie chłodna, cicha noc. Nie było księżycy, ale odbłask wielu iluminowanych okien rzucał jasny krąg światła na ogród, a nawet, słabszy nieco, na aleje i ścieżki. Chmury nie przysłaśniały ciemnego szafiru nieba, wspaniale rozedrganego żywymi,

1 Prawda, że to piękne?

211

!°tliwymi ognikami gwiazd. Jakie łagodne są noce na kontynen-II J^kie ciche, balsamiczne i bezwietrzne! Nie ma tu mgieł mors- </> Hie ma mrożącej do szpiku kości wilgoci: bezmgliste jak po-

ii' "

"i*116, świeże jak poranek.

I Przebiegłszy na przelaj przez ogród, dostaliśmy się szklanymi ^iftmi do pierwszej klasy. Drzwi były otwarte, podobnie jak yystkie inne drzwi tej nocy, toteż z łatwością mój towarzyszy y Prowadził mnie do małego gabinetu, oddzielającego dzięki prze-L^niu pierwszą klasę od wielkiej sali, przeznaczonej na uroczys-f ^chód. I tutaj także, w gabinecie, olśniła mnie mnogość światła, lljus^ył Zgiełk licznych głosów, chwyciła za gardło duszna atmos-4 stłoczonego wnętrza.

> ~~~ De l'ordrel Du silence! — Porządek! Cisza! — nakazał Mr. JI. ^_ Co to za hałas?! — krzyknął gniewnie i od razu się uciszyło. ^st^rczyło kilkanaście wypowiedzianych przez niego słów i tyleż iY^ionycn gestów, aby wyprosić za drzwi połowę obecnych i /sić pozostałe osoby do zachowania porządku i spokoju. Potem YełO wprowadził mnie i przedstawił. Otworzono szeroko oczy; tu 'l^^zie rozległy się tłumione chichoty. Było to dla wszystkich '/Podzięką: ani im przez myśl nie przeszło, aby „Angielka" j/\$h wystąpić w wodewilu. Ginevra Fanshave, wspaniale ustrojona-jak wymagała tego jej rola, i wyglądająca prześlizgnie, wpatrzyła i|w'^ mnie ze zdumieniem. Moje zjawienie się było dla niej zgrzy-/» niemiłe zakłócającym jej radosne upojenie na myśl o wystapie-yl Publicznym wobec setek olśnionych jej aparycją widzów. Ona i13- nie doznawała ani tremy, ani zawstydzienia. Na pewno wymknęłaby głośno na mój widok, gdyby Mr. Paul nie trzymał jej /^o, tak samo jak wszystkich innych.

Rozejrzawszy się krytycznym wzrokiem po obecnych, zwrócił jf**» mnie:

— I pani także musi przebrać się odpowiednio do swojej roli.

— Tak! Musi przebrać się za mężczyznę! — zawołała Zćlie St.

Pierre i, wyskakując naprzód i narzucając się natrętnie, dodała: — Ja sama ją przebiorę!

Nie uśmiechała mi się bynajmniej myśl wystąpienia w męskim przebraniu. Nie byłoby ono odpowiednie dla mnie. Zgodziłam się odegrać rolę mężczyzny, co się tyczyło wszakże włożenia na siebie męskiego stroju: halte —iñ — hola! basta! — Nie. Zatrzymam mój własny ubiór. Niech się dzieje, co chce. Mr. Paul może się awanturować i złościć do woli: zatrzymam mój strój. Oświadczyłam to stanowczo, tonem nieprzejednanym, mimo że cichym i bodaj nawet nieco niepewnym i drżącym głosem.

Nie zareagował na moje oświadczenie nagłym wybuchem, jak byłam na to przygotowana: stał milczący, jak gdyby oszołomiony. Ale Mademoiselle Zćlie wtrąciła się ponownie:

— Będzie z niej wspaniały elegancik —petit-maitre. Mam tu właśnie garnitur męski...

wszystko, wszystko w komplecie... Może trochę za szeroki, ale zaraz temu zaradzę.

Chodźmy, chere amie, belle Anglaise!l

Roześmiała się szyderczo, daleko było mi bowiem do belle __ pięknej. Opierałam się jednak z całej mocy.

— Narazi pani na szwank całą pikanterię sztuki, zepsuje pani publiczności całą zabawę, poświęcając w ten sposób wszystko dla swojego amour propre — dla swojej miłości własnej. Byłoby to zbyt niegodziwe. Monsieur nie pozwoli nigdy na coś podobnego, prawda?

Spojrzała mu w oczy. I ja także przez chwilę czekałam na jego spojrzenie. Rzucił okiem na nią, a potem na mnie.

— Hola! — rzekł wreszcie, powstrzymując zapędy panny St. Pierre, usiłującej przemocą pociągnąć mnie za sobą. Wszyscy skamienieli w oczekiwaniu na jego decyzję, pewni jego gwałtownego wybuchu. Okazało się jednak, że nie był ani zły, ani zirytowany. Zauważyłam to i odzyskałam nieco odwagi.

1 Droga przyjaciółko, piękna Angielko!

213

__Nie ma pani ochoty na to ubranie? — zapytał. — Na męski strój?

__Nie miałabym nic przeciwko niektórym jego częściom, ale aie chcę całości.

__Jakże więc ma to być? Jak wyobraża sobie pani objęcie roli Mężczyzny i wystąpienie na scenie w ubraniu kobiecym? Prawda, że to przedstawienie amatorskie — un vaudeville depensionnat — Wodewil na pensji żeńskiej; muszę wobec tego zgodzić się na pewne kodyfikacje, ale i pani również musi zaznaczyć czymś przynależć postaci do płci męskiej.

— Zaznaczę ją, oczywiście, ale chcę się ubrać wedle własnego P°mysłu; nikt nie może mieć prawa wtrącać się do tego ani też zrzucać mi w niczym swojej woli. Niech mi pan pozwoli ubrać się

SatHej.

Mr. Paul, nie dodając ani słowa więcej, wziął strój męski z rąk St- Pierre i dał mi go pozwalając, abym przeszła do ubieralni. Pozostawszy sama, uspokoiłam się i zabrałam się do razu do dzieła, otrzymawszy całkowicie moje ubranie, bez najmniejszej zmiany, ^ożyłam na nie jedynie męską kamizelkę, kołnierzyk i krawat, a na t0 krótki żakiecik (wszystkie te sztuki ubrania stanowiły własność brata jednej z naszych uczennic). Rozpuściwszy włosy, zaczesalam Je do góry, zgarnęłam resztę na bok, podsunąwszy wszystkie pod ^Cski kapelusz, wzięłam rękawiczki do ręki i w tym przebraniu wyszłam. Mr. Paul czekał niecierpliwie, tak samo jak wszyscy inni.

spojrzał na mnie.

__Może to ostatecznie ująć na pensji żeńskiej — mruknął, po cryt dodał bez gniewu:—Courage, mon amil Unpeu de sangfroid ^-unpeu d'aplomb, MrLucien, et tout ira bien!1

St. Pierre roześmiała się z szyderczą zjadliwością zmii.

1 Odwagi, przyjacielu! Trochę zimnej krwi — trochę pewności siebie, panie Lucjanie, a wszystko pójdzie dobrze!

214

Podrażniona wskutek podniecenia i tremy, nie byłam w stanie przemóc się, aby nie rzucić uwagi, że gdyby nie była damą, a ja gentlemanem, gotowa byłabym wyzwać ją na pojedynek. —Po odegraniu sztuki! Po odegraniu sztuki! — uspokajał mnie Mr. Paul. — Podzielę wtedy pomiędzy was moje dwa pistolety i załatwimy całą sprawę ściśle według przepisów kodeksu honorowego: będzie to tylko dalszy ciąg zadawnionego sporu pomiędzy Anglią a Francją. Zbliżała się chwila rozpoczęcia przedstawienia. Mr. Paul, ustawivszy nas przed sobą, wygłosił do nas krótką przemowę, niczym generał do żołnierzy przed bitwą. Nie pamiętam, co powiedział poza tym, że zalecił każdej z nas, aby jak najmniej myślała o sobie. Bogu jedynie wiadomo, jak dalece rada ta była zbędna dla niektórych spośród nas. Rozległ się dzwonek. Ja i jeszcze dwie osoby zostałyśmy wprowadzone na scenę. Powtórnie zadzwieczał dzwonek. Miałam wypowiedzieć pierwsze słowa.

— Niech pani nie patrzy na tłum ani nie myśli o nim — szepnął mi Mr. Paul do ucha. — Proszę wyobrazić sobie, że jest pani na poddaszu i gra wobec audytorium złożonego ze szcurów.

Znikł. Kurtyna, pociągnięta w górę, zawisła skurczona pod samym sufitem. Oślepiło mnie jarzące oświetlenie długiej, wypełnionej rozbawionym tłumem sali. Przypomniałam sobie czarne karaluchy, stare skrzynie, spróchniałe, wyrzucone do lamusa sprząty. Wykrztusiłam pierwsze zdanie źle, ale wykrztusiłam je. Prawdziwą trudność sprawiło mi jedynie wypowiedzenie pierwszych słów; u-świadomiłam sobie, że nie tyle obawiałam się tłumowi, ile własnego głosu. Wszyscy ci obcy ludzie, nieznajomi, niebyli niczym dla mnie. Nie myślałam o nich wcale. Z chwilą gdy mój język odzyskał sprawność, a głos — naturalny ton i właściwe brzmienie, myślałam już tylko o postaci, którą odtwarzałam, i jeszcze tylko o Mr. Paulu, który

mnie słuchał, śledził czujnie moją grę i w myśli podpowiadał mi, stojąc przez cały czas pomiędzy bocznymi kulisami.

215

Czując, że zaczynam zyskiwać właściwą siłę ekspresji — źródło jej musiało przede wszystkim wytrysnąć z głębi mojej duszy — zdobyłam się na tyle spokoju, że mogłam zdać sobie sprawę z obecności i gry moich współtowarzyszek. Niektóre z nich grały bardzo dobrze, zwłaszcza Ginevra Franshave, której przypadło kokietować równocześnie dwóch ubiegających się o jej względy. Nic dziwnego, że doskonale sobie z tym radziła: była przecież w swoim żywiole. Zauważyłam, że parokrotnie zaznaczyła pewien wyraźniejszy odcień sprzyjania mojej osobie, fanfaronowi, fircykowi, jakim byłam na scenie. Z takim ożywieniem wyróżniała mnie, takie porozumiewawcze spojrzenia rzucała w stronę zasłuchanego, oklaskującego ją tłumu, że dla mnie, znającej ją dobrze, jasnym było granie jej dla kogoś. Zwróciłam wzrok w kierunku jej spojrzeń, jej uśmiechów, jej gestów, aby przekonać się niebawem, że miały one na względzie jeden pociągający, dystygowanie wyglądający cel, ku któremu słały swoje zabójcze pociski. Na ich linii, górując wzrostem nad resztą publiczności, tym pewniej więc wystawiony na ich przyjęcie, stał, spokojny na pozór, faktycznie jednak wpatrzony i wsłuchany z napięciem — doktor John.

Odgrywana scena zdawała się przenikać w głąb jego duszy. Oczy jego przemawiały najwyraźniej, nie umiałam jednak rozróżnić, co właściwie mówiły. Podnieciło mnie to, wysnułam też z tej wymiany spojrzeń całą opowieść, której treścią zabarwiłam odgrywaną przeze mnie rolę, mój sposób ubiegania się o Ginevrę. W „Niedźwiedziu”, czyli szczerym kochanku, dopatrzyłam się doktora Johna. Czy wzbudził litość w moim sercu? Nie. Skrzepiłam jeszcze bardziej całą moją moc uwodzicielską, aby skutecznie z nim współzawodniczyć i wyjść z tych zawodów zwycięsko. Wiedziałam, że jestem tylko fanfaronem i fircykiem, tej wszakże, która zdolna była odrzucić j ego — ja mogłam i powinnam podobać się w tej odgrywanej przeze mnie postaci. Wiem teraz, że grałam jak ten, kto pragnie i zdecydowany jest wygrać kampanię, dokonać zwycięskiego podbo-

216

ju. Ginevra pomagała mi skutecznie; wspólne nasze usiłowania wpłynęły na wydatne przeistoczenie mojej roli: wyłociliły fanfaron i fircyka od stóp do głowy.

Mr. Paul powiedział nam pomiędzy jednym aktem a drugim, że nie ma pojęcia, co nas opętało i zaznaczył na wpół z wyrzutem:

— Cest peut-etre plus beau que votre modele, mais ce n'est pas juste!

Ja sama także nie zdawałam sobie sprawy, co właściwie mnie opętało, w niewytłumaczony wszakże dla siebie sposób dążyłam do zaćmienia „Niedźwiedzia”, to znaczy — doktora Johna. Ginevra była czuła i tkliwa; jakże więc nie miałam zdobywać się na rycerskość? Trzy* łając się z dosłowną wiernością tekstu roli, zmieniałam zasadniczo] ?j ducha. Gdybym nie włożyła w jej odtworzenie całego serca i szczerego zainteresowania, nie mogłabym odegrać jej wcale. A przecież musiałam ją odegrać — zabarwiłam ją więc w sposób przypadający mi do gustu i tak zmienioną odegrałam z upodobaniem.

Co czułam tego wieczoru i czego dokonałam, było dla mnie samej równie nieprzewidzianą, niemożliwą, zdało się, do ziszczenia niespodzianką, jak nadzieja dostania się w transie upojenia do siódmego nieba. Obojętnie, z niechęcią i obawą podjęłam się odegrania tej roli, aby zadowolić człowieka, który mnie o to prosił; rychło wszakże, zapalona, zainteresowana, zdobywając się na odwagę, grałam, aby dogodzić samej sobie. Nazajutrz wszakże, kiedy rozważyłam całą rzecz na chłodno, potępiłam w myśli tego rodzaju przedstawienia amatorskie. Jakkolwiek też rada byłam, że udało mi się wyświadczyć przysługę Mr. Paulowi i wypróbować raz jeden bodaj własne siły w tym kierunku, postanowiłam nieodwołalnie, że nigdy więcej nie dam się wciągnąć do czegoś podobnego. Żywa skłonność do szukania dramatycznego wyrazu okazała się czymś wrodzonym

1 Może jest to piękniejsze niż pierwowzór pani, ale nie jest wierne.

217

mi, związanym z moją naturą: pielęgnowanie i rozwijanie tej świeżo odkrytej zdolności mogło darzyć mnie nieskończoną rozkoszą, nie odpowiadałoby jednak mojemu charakterowi widza jedynie, postronnego obserwatora sceny życia. Zdolność ta i tęsknota za jej rozwinięciem i zastosowaniem musiały zostać złożone ad acta. Złożyłam je i zamknęłam na klucz decyzji, której ani czas, ani pokusa nie były już nigdy odtąd zdolne podważyć. Z chwilą zakończenia, szczęśliwego zakończenia przedstawienia, porywczy i despotyczny Mr. Paul uległ całkowitej metamorfozie. Wraz ze zrzuceniem z siebie odpowiedzialności kierownika wyzbył się od razu swojej surowości i nieprzystępności, i zaraz w następnej chwili stanął pomiędzy nami, radośnie ożywiony, towarzyski, uprzejmy, ścisnął serdecznie ręce wszystkich, dziękował każdej z wykonawczyń z osobna, oświadczając, że każda musi być kolejno jego tancerką na balu, jaki ma się odbyć. Kiedy zwrócił się z tym do mnie, odpowiedziałam mu, że nie tańczę.

— Ten jedyny raz musi pani zatańczyć — odpowiedział i gdybym się nie wymknęła i przez cały wieczór nie usuwała mu się przezornie z drogi, zmusiłby mnie niewątpliwie do ustąpienia mu i w tym także. Miałam już jednak dość przebywania w przednich szeregach, czas był najwyższy wycofać się i zamknąć ponownie w ramach zwykłego życia. Moja suknia barwy gęstej mgły doskonale nadała się do noszenia pod męskim żakietem na scenie; w walcu czy kontredansie byłaby nie na miejscu. Zasywwszy się w cichy kącik, skąd, nie zauważona przez nikogo, mogłam przyglądać się i obserwować do woli, widziałam rozgrywający się przed moimi oczami cały przebieg balu z jego wspaniałością i radosnym ożywieniem, niby odgrywane dla mnie specjalnie widowisko.

I znów królowała Ginevra Fanshave urodą, wdziękiem i wesołością. Wyglądała prześlicznie, tańczyła z niezrównaną gracją, uśmiewała się czarownic Występy podobne były triumfami tego dziecka stworzonego do zabawy. Praca i cierpienie nie istniały dla

218

niej; ugięła się bezsilnie pod ich przemocą, broniła się więc przed nimi i odrzucała je, nie dając im do siebie przystępu. Wesołość jedynie rozwijała w pełni jej motyle skrzydła, iskrzyła się złotym pyłem w aureoli jasnych włosów, rozpaliała ogniste błyski w jej oczach, barwiła rumieńcem jej policzki, nadawała jej olśniewającą świetność klejnotu i niezrównany czar kwiatu.

Zwykłym jadłem gardziła: codzienne napoje kurczyły jej gardło niesmakiem; odymała na nie pogardliwie usta; kremami i lodami raczyła się jak koliber wysysanymi z kwiatów sokami. Słodkie wina były jej żywiołem, a ciastka — jej chlebem powszednim. Żyła pełnią życia jedyne na sali balowej, poza jej obrębem związała skrzydła i opadała znidzona.

Nie w; obrażaj sobie, czytelniku, że kwitła tak i iskrzyła się ze względu na V. Paula, swojego tancerza, albo też, aby miała roztaczać szczerze swoje czarowne wdzięki ku uciesze i rozrywce własnych towarzyszek czy rodziców i dziadków, zapelniających carre i obsiadających kanapy pod ścianami sali balowej. Przed tak skromnym i pozbawionym większego znaczenia audytorium, powodowana względami tak nikłymi i znikomymi, raczyłaby Ginevra co najwyżej przetańczyć albo raczej przespacerować jednego kontre-dansa, przy czym tego wieczoru znużenie i skwaszenie zastąpiłyby niechybnie jej ożywienie i dobry humor. Musiała wszelako istnieć dla niej jakaś osobliwa podnieta, działająca jak zaczyn na tę ciężką skądinąd, uroczystą masę i zaczyn ten przydawał w jej oczach całej atmosferze ruchu i życia; jakaś szczególna zaprawa, dzięki której nabierała dla niej wyjątkowego smaku ta naiwna, zdawałoby się, uroczystość; musiały istnieć jakieś niezwykle powody, w pełni usprawiedliwiające roztaczanie przez Ginevrę najbardziej kuszących uroków.

W całej sali balowej niepodobna byłoby w istocie znaleźć widza płci męskiej, który nie byłby człowiekiem żonatym i mocno już podtatusiałym. Wyjątek stanowił Mr. Paul, jedyny mężczyzna,

219

któremu wolno było poprowadzić tę czy ową z uczennic do tańca. Ten przywilej przysługiwał mu po części z racji ustalonego od dawna zwyczaju (był krewnym Madame Beck, ulegającej mu bezwzględnie), po części zaś dlatego, że zawsze i we wszystkim Mr. Paul przeprowadzał własną wolę i robił co chciał, i wreszcie dlatego również, że mimo całej nerwowej zmienności nastrojów i humorów, gwałtowności usposobienia i stronniczości — był człowiekiem nieposzlakowanego honoru, któremu śmiało można było powierzyć zastęp najpiękniejszych i najniewinniejszych dziewcząt, bez cienia obawy, aby mogło im w jego towarzystwie stać się coś złego.

Niejedna spośród dziewcząt — pozwolę sobie to zaznaczyć — nie była wcale taka niewinna i taka czysta myślą; raczej było wręcz przeciwnie, żadna z nich jednak nie ośmieliła się zdradzić wobec Mr. Paula skalania swojego intelektu, tak samo jak nie miałyby odwagi rozmyślnie nastąpić surowemu profesorowi na nagniotek, śmiać mu się prosto w twarz podczas burzliwego rzucania przez niego na słuchaczki gromów czy odezwać się głośniejsz w chwili jego rozdrażnienia, które przeistaczało jego ludzkie oblicze w maskę inteligentnego tygrysa. Otóż Mr. Paul miał prawo tańczyć z kim tylko chciał, biada też temu, kto odważyłby się przeszkodzić mu i zmącić rytm jego pas — kroków tanecznych.

Wszyscy inni mężczyźni byli dopuszczani na fetę de Madame jedynie w roli widzów — i to z (udawaną) niechęcią, pod naciskiem próśb i zaklęć, dzięki szczególnym względom i dobroci pani przełożonej. Nad wszystkimi tymi łaskawie dopuszczanymi do sanktuarium sprawowała ona przez cały wieczór czujną osobistą surveillance, trzymając ich w najdalszym, najbardziej samotnym, najciemniejszym kącie *carre*, w który wślizgała całą tę nieliczną osamotnioną gromadkę de *jeunes gens* — młodych ludzi — pochodzących z najlepszych rodzin, dorosłych synów obecnych tu matek i braci panienek, kształcących się na pensji. Przez cały wieczór

220

Madame stała na straży tych *jeunes gens*, opiekując się nimi czujnie i troskliwie jak matka, nieubłaganie wszakże jak smok. Odgrodziła ich jak gdyby kordonem, daremne były też ich błagania i zaklęcia, aby pozwoliła im przedostać się poza tę nieprzebytą zaporę i chociażby raz zatańczyć z tą *belle blonde* — piękną blondynką czy z ową *Julie brune* — przystojną brunetką — czy wreszcie z tą *jeune fille magnifique avec cheveux noirs comme le jais* — z tą wspaniałą młodą dziewczyną o włosach czarnych jak węgiel.

— *Taisez-vous!* — odpowiadała Madame nieubłagana i bohaterska. — *Vous ne passerez pas a moins que ce ne soit sur mon cadavre, et vous ne danserez qu'avec la nonnette du jardin!* (powołując się na legendę). — Po takiej odprawie majestatycznie, niby mały Bonaparte, przechadzała się w dalszym ciągu wzdłuż smutnego, zgnębionego szeregu, tam i z powrotem, w swojej jedwabnej szacie mysiego koloru.

Madame wiedziała coś niecoś o świecie; Madame знаła naturę ludzką na wskroś. Nie sądzę, aby jakkolwiek inna przełożona pensji żeńskiej w *Villette* odważyła się otworzyć jej podwoje któremukolwiek *jeune homme*, Madame wszakże wiedziała, że udzielając podobnego pozwolenia z tak wyjątkowej okazji, jak obecna, waży się wprowadzić na śmiały krok, może jednak wiele zyskać.

Przed wszystkim rodzice panienek byli współwinowajcami tego wykroczenia, pozwolenia bowiem udzielano jedynie na ich prośbę i za ich pośrednictwem. Po wtóre, wpuszczenie upragnionych, a tak niebezpiecznych grzechotników przyczyniało się do wyraźniejszego ukazania talentu Madame jako *surveillante* — dozorującej. Po trzecie, ich obecność zaprawiała zabawę posmakiem osobliwej pikanterii: uczennice wiedziały o tym, widziały to, a widok takich złotych jabłek, lśniących z dala, choć nieosiągalnych,

1 Zamilcz pan. Przejdzie pan po moim trupie chyba i będzie pan tańczył jedynie z mniszką z ogrodu.

221

ożywiał je w sposób, w jaki nie zdołałaby tego uczynić żadna inna okoliczność. Przyjemność, jaką miały dzieci, rozgrzewała serca rodziców, dzięki czemu na sali balowej panowała atmosfera zadowolenia i radości. Sami nawet jeunes gens, mimo że trzymani z dala, byli rozbawieni — Madame nie pozwalała im ani na chwilę nudzić się — iw ten sposób doroczne święto — la fetę de Madame — dzień imienin Madame — miało zapewniony sukces, jakiego nie osiągały nigdy imieniny żadnej innej z przełożonych.

Zauważyłam, że doktor John korzystał tego dnia z prawa swobodnego krążenia po salach szkolnych: biła od niego prawdziwie męska powaga, która przyćmiewała nie tylko jego młodość, ale i urodę. Z chwilą wszakże rozpoczęcia balu Madame podbiegła ku niemu.

— Chodź pan, panie wilku — zawołała śmiejąc się — przybrał pan wprawdzie pozór skromnego baranka, musi pan jednak opuścić owczarnię. Chodź pan: mam tutaj piękną menażerię, złożoną z dwudziestu wybranych egzemplarzy, które umieściłam w carre. Pozwoli pan, że umieszczę pana również w ich doborowym gronie.

— Zgoda, ale przede wszystkim pozwoli pani, że zatańczę z wybraną przeze mnie jedną z pani pupilek.

— Ośmiela się pan występować z podobnym żądaniem? Ależ to szaleństwo! To bluźnierstwo! Sortez, sortez, auplus vite! I

Pociągnęła go za sobą i przemocą wypchnęła poza kordon, wewnątrz którego został wnet uwięziony.

Ginevra, zmęczona tańcem, jak sądziłam, odszukała mnie w mojej kryjówce, osunęła się na ławkę obok mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję (wybuch czułości, bez którego mogłabym obejść się najzupełniej).

— Lucy Snowe! Lucy Snowe! — zawołała histerycznie, łkając nieomal.

1 Wyjdź pan, wyjdź pan jak najprędzej!

222

— Co się stało?! — zagadnęłam ją oschle.

— Jak wyglądam dzisiaj? Jak wyglądam? — zapytała, zamiast mi odpowiedzieć.

— Jak zwykle — odparłam — jak niedorzecznie próżna istota.

— Zjadliwe stworzenie! Nie ma pani nigdy miłego słowa dla mnie. A właśnie, na złość pani i wszystkim innym zazdrosnym oszczercom, wiem, że jestem piękna; czuję to, widzę to. Zawieszono przecież w ubieralni wielkie lustro, w którym można przejrzeć się od stóp do głów. Chodźmy tam i stańmy obie przed nim.

— Zgoda. Stanie się, jak pani sobie życzy, panno Fanshave. Będziemy mogły przejrzeć się w całej okazałości.

Ubieralnia była bardzo blisko, weszłyśmy więc do niej- Ująwszy moje ramię, zaciągnęła mnie przed lustro. Nie opierając się, me oponując ani jednym słowem, nie czyniąc żadnych uwag, stanęłam obok niej, pozwalając jej miłości własnej napawać się triumfem do syta. Ciekawa byłam jedynie, jak wielką jego porcję będzie w stanie przełknąć, a raczej, czy znajdzie się dość wielka, aby mogła ją nasycić; czy jakiś cień względów dla mnie zdolny będzie przeniknąć do jej serca i powściągnąć nieco chełpliwe upajanie się zachwytem nad własną osobą.

Nic podobnego. Wykręcała się przed lustrem dokoła i wykręcała przed nim mnie także; obejrzała mnie i siebie, zdjęła i przewiązała na nowo opasującą ją szarfę, rozprostowała fałdy swojej sukni, i wreszcie, puściwszy moje ramię i złożywszy przede mną dworski dyg, oświadczyła:

— Nie zamieniłabym się z panią za żadne skarby!

Uwaga ta była zbyt naiwna, aby mogła pobudzić rrioj gniew, toteż odparłam:

— Bardzo słusznie.

— A co dałaby pani za to, aby być mną? — rzuciła wezwanie. — Ani dziurawego szeląga, mimo że wyda się to pani dziwne zapewniłam ją. — Marne z pani stworzenie.

223

— Nie myśli paui tak naprawdę. W głębi serca kryje pani inne o mnie pojęcie.

— Nie. W głębi serca i w ogóle w moim sercu nie ma dla pani ani odrobiny miejsca. Czasem tylko, przy jakiejś okazji, zaprzątnięty bywa mój umysł rozważaniem o pani.

— Ślicznie — rzekła tonem wyjaśnienia — niech pani wysłucha mnie jednak i weźmie pod uwagę różnicę naszych stanowisk, a wtedy zda pani sobie sprawę, jak szczęśliwy jest mój los, a jak nędzny pani.

— Proszę, słucham.

— Przede wszystkim jestem córką człowieka, należącego do wyższej sfery towarzyskiej, jakkolwiek też ojciec mój nie jest bogaty, mam prawo liczyć na wuja. Po drugie: skończyłam zaledwie osiemnaście lat — jestem więc w najczarowniejszym rozkwicie wiosny. Po trzecie, otrzymałam wykształcenie na kontynencie, i chociaż nie umiem pisać zbyt poprawnie, posiadam najrozmaitsze talenty. Dalej: jestem ładna, nie może pani chyba zaprzeczyć. Mogę mieć tylu wielbicieli, ilu zapragnę. Dzisiejszego wieczoru zламаłam serca dwóch wielbicieli i właśnie w tak świetny humor wprawiło mnie rozpaczliwe spojrzenie, jakie jeden z nich zatopił przed chwilą w mojej twarzy. Tak wielką przyjemność sprawia mi obserwowanie, jak oblewają się rumieńcem i bledną na przemian, obrzucają się wzajem rozwścieczonymi spojrzeniami i patrzą błagalnie na mnie. Oto ma pani przed sobą szczęśliwą osobę. A teraz kolej na panią, biedna istoto! Przypuszczam, że rodzice pani nie pochodzą z żadnej sfery i nie mają żadnych stosunków, bo w przeciwnym razie nie przyjęłaby pani miejsca piastunki do dzieci, kiedy przybyła tu pani z początku; nie ma pani żadnych krewnych, nie może pani, mając dwadzieścia trzy lata, mieć pretensji uchodzenia za młodziutką; nie ma pani urody ani olśniewających talentów. Co się tyczy wielbicieli, wątpię nawet, czy wie pani, jak taki pan wygląda; nie umie pani wcale prowadzić i podtrzymywać rozmowy na ten temat; siedzi pani

224

jak niema, kiedy inne nauczycielki opowiadają o swoich podbojach. Przypuszczam, że nigdy nie była pani ani nie będzie zakochana, że nie zna pani wcale tego uczucia; tym lepiej zresztą, bowiem, jakkolwiek mogłaby pani sama mieć złamane serce, nie uda się pani nigdy złamać niczyjego. Niech pani powie, czy nie mam racji?

— Znaczna część tego, co pani powiedziała, jest prawdą niezłomną, równie niezłomną jak Ewangelia, w dodatku sprytnie, chociaż tak złośliwie obmyślaną prawdą. Musi w pani jednak, aby mówić tak szczerze, tkwić dobre jakieś ziarno, panno Ginevro. Nawet taka żmija, jak Zélie St. Pierre, nie odważyłaby się nigdy na powiedzenie tego, co wyszło z pani ust. Mimo że podobało się pani odmalować mnie i mój los w świetle tak beznadziejnym, powtarzam raz jeszcze, że nie dałabym złamanego szeląga za możliwość zamienienia się z panią, zyskania wraz z ciałem pani i jej duszy także.

— Tak, dlatego że nie jestem mądra, jak się pani wydaje. Nikt na świecie poza panią nie dba dzisiaj o rozum.

— Przeciwnie, uważam, że jest pani mądra — na swój sposób, oczywiście... i bardzo sprytna także. Ale wspomniała pani o łamaniu serc — o tej budującej rozrywce, której wartości nie potrafię należycie ocenić. O kim to pani próżność pozwala przypuszczać, że zadała mu pani dzisiejszego wieczoru śmiertelny cios?

Przytknąwszy usta do mojego ucha, szepnęła:

— Izydor i Alfred de Hamal są obaj tutaj dzisiejszego wieczoru.

— O, są obaj?! Chciałabym ich zobaczyć.

— No, nareszcie udało mi się zaciekawić panią. Niech pani pójdzie ze mną. Wskażę pani ich obu.

Dumnie poszła naprzód, torując mi drogę.

— Ale nie będzie pani mogła widzieć ich dobrze z pokoiów szkolnych — rzekła, odwracając się do mnie. — Madame trzyma ich zanadto z daleka. Przejdźmy przez ogród, a potem wejdziemy do

225

korytarza i w ten sposób, okrążywszy ich od tyłu, znajdziemy się bliżej nich; oberwałybyśmy porządnie, gdyby nas ktoś dostrzegł, nie róbmy sobie jednak nic z tego.

Tym razem ustąpiłam. Przeszliśmy na przełaj przez ogród i przedostawszy się stamtąd na korytarz rzadko używanym wejściem, zbliżyliśmy się do carre. Ukryte w cieniu korytarza, miałyśmy otwarty widok na grupę jeunes gens.

Sądzę, że potrafiłabym sama, nawet gdyby mi go nie wskazano, poznać od razu zwycięskiego de Hamala. Był to typowy mały dandys, o prostym nosie i regularnych rysach. Mówię „mały dandys”, mimo że był wzrostu nie niższego niż średni, ale budowy drobnej i szczupłej; miał także małe dłonie i stopy. Przystojny, o gładkiej jak kobieta twarzy, ubrany jak z obrazka, z włosami kunsztownie utre-fionymi, w eleganckich butach i rękawiczkach, wyglądał nieskazitelnie i był naprawdę czarujący. Nie mogłam oprzeć się chęci zawołania:

— O, jaki śliczny! — po czym entuzjastycznie pochwaliłam gust Ginevry i zapytałam ją, jak myśli, co też zrobił de Hamal ze szczątkami złamanego przez nią serca — czy przechował je w puzderku z wonnościami, aby zakonserwować je w esencji różanej?... Zauważyłam także z prawdziwym podziwem, że ręce pułkownika de Hamala nie są o wiele większe niż ręce samej panny Fanshave, pozwoliłam sobie też na uwagę, że to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności: będzie mógł w razie potrzeby nosić jej rękawiczki. Powiedziałam jej również, że zachwycam się jego ślicznymi loczkami, co się zaś tyczy niskiego, prawdziwie greckiego czoła i pięknego kształtu jego głowy, wyznałam, że brak mi słów na należyte ich określenie.

— A gdyby kochał się w pani? — podsunęła mi Ginevra z okrucieństwem triumfatorki.

— O, Boże, jakie to byłoby szczęście! — zawołałam. — Ale niech pani nie będzie tak bezlitosna, panno Fanshave; podsuwanie

226

mi podobnych myśli jest nie mniejszym okrucieństwem, niż ukazywanie widoków raj u biednemu, wyrzuconemu z niego Kainowi.

— Podoba się więc pani?

— Tak, zupełnie tak samo, jak podobają mi się słodycze: cukierki, ciastka i konfitury, także kwiaty cieplarniane.

Ginevra podziwiała mój dobry gust; ona także ubóstwiała wszystkie te rzeczy.

— A teraz niech mi pani wskaże Izydora — rzekłam. Muszę przyznać, że bardziej jeszcze zaciekawiał mnie on, aniżeli jego rywal, ale Ginevra żywiej przejęta była de Hamalem.

— Alfred otrzymał prawo wstępu tutaj dzisiaj wieczorem za pośrednictwem swojej ciotki, pani baronowej de Dorlodot — rzekła. — I cóż, teraz, kiedy go pani widziała, rozumie pani chyba, dlaczego byłam taka podniecona cały wieczór, dlaczego grałam tak dobrze, dlaczego tańczyłam z takim ożywieniem i dlaczego jestem teraz szczęśliwa jak królowa? Dieu, Dieu!

— Boże, Boże! — co to była za zabawa rzucać okiem najpierw na jednego, potem na drugiego i doprowadzać obu do szału!...

— Ale ten drugi, któż to taki? Niech mi pani wskaże Izydora.

— Nie mam ochoty.

— Dlaczego?

— Wstyd mi za niego.

— Z jakiego powodu?

— Bo... bo — szepnęła — ma takie bokobrody, czerwone... pomarańczowe...

— Wiem już o tym najgorszym jego kalectwie — uspokoiłam ją. — Mniejsza o to. Niech mi go pani pokaże. Chcę zobaczyć go w każdym razie. Obiecuję pani, że nie zemdleję. Rozejrzała się dokoła. W tej samej chwili właśnie ktoś stojący za nami odezwał się po angielsku:

— Stoją panie w przeciagu; muszą panie wyjść z tego korytarza.

227

— Nie ma tutaj żadnego przeciagu, panie doktorze — rzekłam, odwróciwszy się w stronę, z której dochodził głos doktora Johna.

— Panna Fanshave łatwo się przeziębiam — dodał, patrząc na Ginevrę z niezmierną czułością — Ma bardzo delikatne zdrowie. Należy troskliwie strzec jej i czuwać nad nią. Proszę, niech pani zechce przynieść dla niej jakiś szal.

— Pozwoli pan, że ja osądzę, co jest dla mnie najlepsze — wtrąciła panna Fanshave wyniośle. — Nie potrzeba mi żadnego

— Ma pani na sobie bardzo cieką suknię; tańczyła pani, jest pani zgrzana.

— Zawsze kaznodzieja — odparła. — Nieustanne morały i pouczenia.

Doktor John nie dał na to odpowiedzi, jaką powinien był dać: z wyrazu oczu można było wyczytać wyraźnie, że serce ma zranione. Twarz mu pociemniała, zasępiła się; widać było, że cierpi. Urażony, odsunął się nieco. Wiedziałam, gdzie znajdę w pobliżu mnóstwo narzutek i szali do wyboru; pobiegłam i przyniosłam pierwszy z brzegu.

— Włoży go, chociażbym musiała użyć przemocy — rzekłam i zarzuciłam ciepły szal na cienką muślinową suknię, osłaniając nim starannie jej ramiona.

— Czy to jest Izydor? — zapytałam ostrym nieco szeptem. Odęła wargi, uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— Czy to Izydor? — powtórzyłam, potrząsnąwszy ją mocno za ramię, gotowa powtórzyć ten gest tuzin razy.

— Cest lui-meme—to on sam—rzekła.—Jaki nieogładzony w porównaniu z pułkownikiem hrabią! O, nieba! Te bokobrody...

Doktor John oddalił się tymczasem.

— Pułkownik hrabia! — powtórzyłam. — Ta lalka, ten piesek pokojowy, ten karzełek, biedne niedorozwinięte stworzenie! Zdałby się co najwyżej na lokaja doktora Johna, na jego lokaja, na pucybu-

228

ta!... Czy to możliwe, aby ten urodziwy rycerski mężczyzna — zjawiskowo piękny — ofiarował pani swoje szlachetne nazwisko i szlachetne serce, gotów otoczyć opieką słabą, płytką istotę, jaką pani jest, gotów przeprowadzić panią przez burze i walki życiowe, a pani wzdragała się, raniła go i dręczyła?!... Czy ma pani naprawdę taką władzę nad nim? Kto ją pani dał? Na czym ona polega? Skąd się bierze? Czy jej źródłem jest wyłącznie uroda, białoróżowa cera i jasne włosy? Czy to właśnie wiąże tak mocno jego duszę i rzuca ją pod pani stopy, zgina jego kark pod pani jarzmem? Czy tym zdobyła pani jego uczucie, oddanie, tkliwość? Tym zawiadnęła pani jego myślami, wypełniła jego nadzieje, krąg jego zainteresowań? Czy tym nade wszystko pozyskała pani jego miłość, jego szlachetną, z głębi serca płynącą miłość, którą pani odrzuca? Czy gardzi pani nią? To szal chwilowy, to chyba brednie; nie może pani tak mówić i myśleć na serio. Kocha go pani i tęskni za nim, igra pani jedynie, aby tym niezawodnie uczynić go swoim niewolnikiem?

— O, jak się pani rozpędziła! Nie rozumiem połowy z tego, co pani mówi.

Zdążyłam przez ten czas wyprowadzić Ginevrę* do ogrodu, gdzie posadziłam ją na ławce oświadczając, że nie pozwolę jej ruszyć się stąd, dopóki nie wyzna mi szczerze, kogo w końcu zamierza przyjąć: mężczyznę czy małpkę?

— Ten, którego zwie pani mężczyzną, jest zwykłym bourgeo-ois¹, ma włosy barwy czerwonego piasku i na imię mu doktor John. Cela suffit: je n'en veuxpas². Pułkownik de Hamal jest szlachcicem o pierwszorzędnym stosunkach, ma nieskazitelne maniery, śliczną powierzchowność, bladą, interesującą twarz, a oczy i włosy jak Włoch. Nadto jego towarzystwo jest prawdziwie rozkoszne — oto

1 Mieszczaninem.

2 To wystarcza: nie chcę go.

229

mężczyzna zupełnie w moim guście: nie taki poważny sensat, jak tamten, ale człowiek, z którym można mówić o wszystkim i nie ma potrzeby wysilać się na szczególne mądrości; człowiek, który nie dokucza mi i nie zadrezcza mnie swoimi wzniosłościami i głębią, namiętnościami i uzdolnieniami, dla których nie mam żadnego zrozumienia. Ma pani oto szczerą prawdę. Niech mnie pani nie trzyma tak mocno.

Rozluźniłam chwyt, jakim ją trzymałam. Skorzystała z tego, aby umknąć niezwłocznie. Nie starałam się jej dogonić.

Nie mogłam jednak oprzeć się chęci, by wrócić na korytarz i raz jeszcze zobaczyć doktora Johna, spotkałam go wszakże na stopniach, wiodących do ogrodu. Stał w miejscu, gdzie wyraźnie padało na niego światło z okna. Niepodobna było omylić się na widok kształtnej, skończenie doskonałej w liniach i w proporcjach postaci. Wątpię, czy znalazłby się wśród tego zgromadzenia ktoś inny, zdolny mu dorównać. Trzymał kapelusz w ręku; jego odkryta głowa, jego twarz i pięknie zarysowane czoło tchnęły niezwykłą urodą i męskością; jego rysy nie były wydelikaczone, drobne i kobiece. Mimo że pięknie wykute, nie były tak drobiazgowo wyrzeźbione i wygładzone, aby miały utracić na sile i wyrazistości to, co zyskałyby na wysubtelnieniu i bezdusznej symetrii. Wyrażały one chwilami głębię uczucia, którego większa jeszcze potęga osiadła milcząco w jego oczach. Takim przynajmniej mnie się wydał — taką miarą go oceniłam. Niewypowiedziane, nie dające ująć się w słowa uczucie podziwu przeniknęło mnie, kiedy tak przypatrywałam się temu człowiekowi, zdając sobie sprawę, że niepodobieństwem byłoby, aby mogła znaleźć się istota zdolna wzgardzić nim, odtrącić go. Nie miałam zamiaru zbliżyć się do niego ani rozmawiać z nim tutaj, w ogrodzie; charakter naszej znajomości nie upoważniał mnie do podobnych poufałości. Chciałam tylko dostrzec go wśród tłumu, nie będąc widzianą przez niego. Spotkawszy się z nim jednak sam

230

na sam, cofnęłam się. On szukał mnie widocznie, a właściwie tej, która była ze mną, dlatego też zszedł ze schodków i poszedł w ślad za mną aleją.

— Zna pani pannę Fanshave? Niejednokrotnie pragnęłam dowiedzieć się, czy pani ją zna — rzekł.

— Tak, znam ją.

— Blisko?

— Tak blisko, jak mogłabym sobie tego życzyć.

— Gdzie pani podziwała ją teraz?

Czy jestem jej stróżem? — chciałam zapytać, zamiast tego jednak odpowiedziałam:

— Przemówiłam jak należy do jej sumienia i byłabym przemówiła jeszcze dobitniej, ale wyrwała mi się z rąk i uciekła.

— Czy zechce pani uczynić mi tę łaskę, aby czuwać nad nią tego wieczoru i ustrzec ją przed popełnieniem czegoś nierozsądnego — chociażby na przykład przed wybiegnięciem do ogrodu bezpośrednio po rozgrzaniu się tańcem?

— Mogłabym popilnować jej trochę, skoro pan życzy sobie tego, jest jednak zbyt samowolna, aby chciała poddać się kontroli.

— Jest zbyt młoda, prawdziwe dziecko natury. Nie ma w niej nic sztucznego — zauważył.

— Dla mnie jest ona zagadką — odparłam.

— Naprawdę? — zdziwił się żywo zainteresowany. — Pod jakim względem?

— Trudno byłoby powiedzieć, pod jakim względem, trudno byłoby zwłaszcza wyjawiać to pa
n u.

— Dlaczego zwłaszcza mnie?

— Dziwi mnie, że nie jest bardziej rada okazywanej jej przez pana tak wielkiej przyjaźni.

— Ależ ona nie ma najmniejszego pojęcia, jak wielkim, jak szczerym jestem jej przyjacielem. To właśnie stanowi punkt, którego nie potrafię dostatecznie jej wyjaśnić. Czy wolno mi zapytać panią

231

o jedno? Pragnąłbym wiedzieć, czy panna Ginevra mówiła kiedykolwiek z panią o mnie.

— Mówiła ze mną często o panu, jako o „Izydorze”, muszę wszelako zaznaczyć, że dopiero przed dziesięcioma minutami wykryłam, iż pan i „Izydor” jesteście jedną i tą samą osobą.

Teraz dopiero, od tak krótkiego czasu, wiem, panie doktorze Johnie, że Ginevra Fanshave jest ową mieszkającą pod tym dachem osobą, którą interesuje się pan od dawna, że to ona jest magnesem, przyciągającym pana na Rue Fossette, że przez wzgląd na nią wkrada się pan do naszego ogrodu, aby odszukać skrzynkę, rzuconą przez pańskiego rywala.

— Więc pani wie o wszystkim?

— Wiem to, co panu wyjawiałam.

— Od ponad roku spotykam pannę Fanshave w towarzystwie. Pani Cholmondeley, jej przyjaciółka, jest moją znajomą; dzięki temu widuję pannę Ginevrę co niedziela. Zaznaczyła pani jednak, że często mówiła o mnie, nadając mi imię „Izydor”; czy mogę zapytać — nie narażając pani na zdradzenie pokładanego przez pannę Ginevrę zaufania — jaki był ton, jaki nastrój tych zwierzeń?

— O, jest zmienna: waha się i zmienia kierunek jak wiatr.

— Przypuszczam jednak, że wytworzyła sobie pani ogólne jakieś pojęcie o tej sprawie.

— Tak, nie sądzę jednak, aby było wskazane dzielenie się tym z panem. A zresztą, gdybym nawet powiedziała, że ona pana nie kocha, nie uwierzyłby mi pan. Wiem o tym.

— Jest pani zbyt powściągliwa. Przypuszczam, że nie ma pani dla mnie dobrych wiadomości. Trudno. Jeśli naprawdę ma ona dla mnie tylko chłód, a nawet jeśli czuje odrazę do mnie, starczy to za dowód, że nie jestem jej godzien.

— Wątpi pan w siebie? Uważa się pan za gorszego od pułkownika de Hamala?

232

— Kocham pannę Fanshave znacznie głębiej, aniżeli de Hamal zdolny jest kochać jakąkolwiek żywą istotę, dbałbym też o nią i strzegł jej nieporównanie lepiej niż on. Co się tyczy de Hamala, obawiam się, że ulega ona ułudzie: znam charakter tego człowieka, znane mi są wszystkie jego przeżycia, powikłania, przez jakie przechodził. Nie jest on wart pani pięknej przyjaciółki.

— „Moja piękna przyjaciółka” powinna by wiedzieć o tym; powinna by wyczuwać i wiedzieć, kto jest jej wart — rzekłam. — Jeśli jej piękna dusza i jej rozum nie rozumieją tego, zasługuje na surową nauczkę, jaką da jej doświadczenie.

— Czy nie jest pani nieco zbyt surowa?

— Jestem niezmiernie surowa, surowsza, aniżeli chciałabym okazać to panu. Szkoda, że nie może pan słyszeć surowej krytyki, jakiej nie szczędzę mojej „pięknej, młodej przyjaciółce”. Byłby pan jednak urażony brakiem względów dla jej delikatnej natury.

— Jest taka śliczna; nie można jej traktować inaczej niż z miłością. Pani — jak każda kobieta starsza niż ona — musi odczuwać w stosunku do takiej niewinnej czarodziejki rodzaj macierzyńskiego czy siostrzanego przywiązania. Anioł pełen wdzięku! Czyjej dziecięco czyste i dziecięco naiwne zwierzenia nie wzruszają pani? Jakaż uprzywilejowana z pani istota! — westchnął.

— Jestem zmuszona od czasu do czasu powstrzymać ją dość szorstko od tych zwierzeń — rzekłam. — Przepraszam pana jednak, panie doktorze, czy pozwoli mi pan zmienić na chwilę temat naszej rozmowy? Jaką boską istotą jest pan de Hamal! Jaki nieskazitelnie piękny ma nos! Gdyby chcieć wymodelować go w glinie czy w wosku, niepodobna byłoby uczynić kształtu jego doskonalszym, aniżeli uczyniła go natura. A jak klasyczne są linie jego ust i podbródka! Jego ruchy — idealnie harmonijne...

— De Hamal jest nieznośnym szczeniakiem, poza tym że jest bohaterem nader tchórzliwego autoramentu.

— Pan, doktorze Johnie, tak jak każdy mniej niż on subtelny

233

mężczyzna, ma zapewne dla niego pełne podziwu przywiązanie, takie jakie można sądzić, że Mars oraz inni bogowie o naturach bardziej pierwotnych musieli żywić dla młodego, pełnego czaru i wdzięku Apollina.

__Zarozumiały pyszałek, karciarz, wyzbyty wszelkich zasad moralnych — gniewnie przerwał mi doktor John — karzeł, którego mógłbym jedną ręką podnieść w górę za pasek, a potem rzucić do rynsztoka, gdybym chciał.

__Takiego słodkiego serafina?! — zawołałam. — Jaka okrutna myśl! Czy nie jest pan nieco zbyt surowy, panie doktorze?

Przestałam mówić. Po raz drugi tego wieczoru byłam bliska zapomnienia się i wyjścia poza granice tego, co uważałam za właściwą moją naturę; wypowiedzenia nieprzemyślanych, podyktowanych porywem chwili słów, które mnie samą wprawiły w zdumienie, kiedy zastanowiłam się wreszcie nad tym, co mówię. Czy obudziwszy się dzisiaj rano mogłam przypuszczać, że jeszcze tego dnia, zanim zapadnie wieczór, odegram w wodewilu rolę wesołego kochanka, a w godzinę później będę prowadziła z doktorem Johnem, zupełnie otwarcie, rozmowę na temat jego beznadziejnych zalotów i drwiła z jego złudzeń? Nie mogłam przewidzieć podobnego układu wydarzeń, równie jak niepodobieństwem byłoby dla mnie myśleć o pofrunięciu balonem pod obłoki.

Doktor i ja wracaliśmy po kilkakrotnym przemierzeniu ścieżki tam i z powrotem; refleks, padający z okna, ponownie oświetlił jego twarz: uśmiechał się, ale w jego oczach przyczął się wyraz melancholii. O, jak bardzo pragnęłam przynieść mu ulgę! Jak bardzo smuciło mnie jego cierpienie, zwłaszcza cierpienie spowodowane podobną sprawą! On, mając tyle wybitnych, tyle niepospolitych, tyle wielkich zalet, czyżby naprawdę miał kochać bez wzajemności?! Nie wiedziałam wówczas, że rozmyślania, snute na temat zawodów miłosnych, są czynnikiem najbardziej twórczym dla pewnych umysłów, jak nie przychodziło mi również na myśl, że istnieją pewne

234

trawy, bezwonne w stanie nietkniętym, które wydzielają subtelny aromat, roztarte w rękę.

— Niech pan się nie martwi, niech pan nie będzie taki zatroskany — wybuchnęłam nagle. — Jeśli Ginevra chociaż trochę zasługuje na pańską miłość, odpowie ona, musi odpowiedzieć na nią wzajemnością. Niech pan rozchmurzy czoło, niech pan nie traci nadziei, doktorze Johnie. Kto ma żywić nadzieję, jeśli nie pan?

W odpowiedzi na te słowa spotkało mnie to, na co zasłużyłam, jak sądzę — spojrzenie pełne zdumienia i, jak mi się wydało, nagany zarazem. Rozstaliśmy się. Powróciłam do domu zlodowaciała. Zegary na wieży zaczęły wydzwaniać północ; goście rozjeżdżali się pospiesznie, uroczystość była zakończona, gaszono światła jedne po drugich. Nie upłynęła godzina, a wszystkie okna domu były ciemne, w całym pensjonacie panowała niezmacona cisza. I ja także leżałam w łóżku, ale nie spałam. Nie było mi łatwo zasnąć po dniu tak pełnym wrażeń.

ROZDZIAŁ XV

Długie wakacje

Bezpośrednio po dniu fetę Madame Beck — poprzedzonym trzema tygodniami zwolnionego tempa pracy szkolnej i przygotowaniem do uroczystości, po dwunastu godzinach oszołomienia zabawą i po zupełnym wyczerpaniu sił — nazajutrz nastąpiła reakcja: dwa miesiące prawdziwej pilności, wyteżonej, poważnej nauki. Te dwa ostatnie miesiące de l'année scolaire — roku szkolnego — były w rzeczywistości jedynym okresem rzetelnej pracy. Zarówno dla nauczycielek i profesorów, jak i dla uczennic był to okres, na który przypadł cały ciężar przygotowań do dorocznych egzaminów, po których następowało rozdanie cenzur i nagród. Kandydatki do tych ostatnich musiały pracować bardzo usilnie; nauczycielki i profesorowie poświęcali wiele trudu i czasu na pchanie naprzód całej maszyny, na podciąganie pozostających w tyle i na należyte wyćwiczenie bardziej obiecujących. Ambicją wszystkich było, aby uroczysty popis publiczny wypadł jak najwspanialej, wszelkie więc środki, prowadzące do tego celu, uznane były za godziwe.

Nie zwracałam większej uwagi na to, w jaki sposób radziły sobie inne nauczycielki; miałam dość własnej roboty, która nie należała do najłatwiejszych. Polegała ona na wtłoczeniu w dziewięćdziesiąt młodych mózgowic podstaw trudnej i skomplikowanej — a przynajmniej uważanej przez nie za trudną i skomplikowaną — znajomości języka angielskiego, wdrożeniu dziewięćdziesięciu organów mowy do tego, co było dla nich zadaniem nie do pokonania nieomal — do należytego wymawiania dźwięków mowy wyspiarzy.

Nadszedł dzień egzaminu. Dzień sądu! Wychowanki zakładu wystąpiły starannie, acz z biciem serca, ubrane w strój odpowiadający powadze chwili — nic przezroczyściego ani powiewnego, żadnej

236

białej gazy ani błękitnych wstążek. Nakazem dnia były ciemne, zapięte pod samą szyję wełniane suknie.

Moja rola była tego ranka szczególnie trudna. Na moje barki spadł największy, główny ciężar! Żadna z moich koleżanek nauczycielek nie miała egzaminować uczennic ze swojego przedmiotu nauczania — obowiązek ten brał na siebie Mr. Paul, wykładowca literatury. Ten autokrata szkolny nieugięcie dzierżył skupione w swoim ręku cugle rządów, stale odrzucając ofiarowywaną mu w tym względzie pomoc kolegów i koleżanek. Nie chciał niczyjego współdziałania. Sama Madame nawet, która wolałaby osobiście kierować egzaminem z geografii, stanowiącej jej specjalność, zmuszona była ustąpić i podporządkować się despotycznym rządóm swojego kuzyna. Odsunawszy w ten sposób od pracy egzaminacyjnej cały zespół nauczycielek i nauczycieli, stał Mr. Paul na estradzie sam jeden. Gniewało go tylko, że zmuszony był zgodzić się na jedno jedyne odstępstwo od tej reguły. Nie mógł poradzić sobie z egzaminem z języka angielskiego, którego nie znał; chcąc nie chcąc, nie ukrywając zresztą swojego niezadowolenia i zawodowej zazdrości, pozostawił ten dział nauczycielowi przedmiotu.

Mr. Paul, człowiek gwałtowny i zachłanny, nie pozbawiony dziwactw, toczył nieustanną walkę z amourpropre innych ludzi. Cechowało tego małego człowieczka osobliwe upodobanie do wszelkich publicznych popisów, na których mógł występować jako główna osoba działająca, zarazem jednak żywiołowo nie znosił wszelkiej konkurencji. Nie

dopuszczał do podobnych występów nikogo, tłumił bezwzględnie wszelkie cudze usiłowania w tym kierunku, o ile zaś zmuszony był ustąpić, wrzał i pienił się niczym para nagromadzona pod pokrywką.

W przeddzień egzaminu przechadzałam się wieczorem po ogrodzie, tak jak inne nauczycielki oraz wszystkie stałe pensjonarki. Mr. Emanuel podszedł do mnie w allee defendue. W ustach miał cygaro; jego okrycie — kroju wielce osobliwego, a raczej pozbawio-

237

ne wszelkiego kroju — wisiało na nim ciemne i groźne, chwast bonnet grec ponuro ocieniał jego lewą skroń; czarne bokobrody skręcały się i kłębiły niby zjeżony włos rozgniewanego kota; jego niebieskie oczy omraczał posępny cień.

— Ainsi — zaczął, stając nagle przede mną i przystępując bez wstępów do rzeczy — vous allez trôner comme une reine, demain, trôner a mes cotés? Sans doute vous sa.vou.rez d'avance les delices de l'autor III. Je crois vous voir je ne sais pourquoi rayonnante, petite ambitieuse!

Otóż faktem było, że pozostawał on co do tego w najzupełniej -szym błędzie. Nie spodziewałam się ze strony jutrzejszej publiczności pochlebnej oceny, a tym bardziej zachwyty nademną w tej samej mierze, w jakiej mógł on liczyć na nie. Nie wiem, jakich uczuć doznawałabym, gdyby publiczność ta składała się z tak wielu osobistych moich przyjaciół i znajomych, jakich liczył pośród niej Mr. Paul Emanuel: mówię więc tylko o faktycznym stanie rzeczy. Na mnie triumfy szkolne rzucały słabe odbłaski. Dziwiłam się i dziwię się wciąż jeszcze, jak to być mogło, że w jego oczach gorzały one tak jarzącym światłem i żarem sutego ogniska. On dbał o nie zbyt wiele może, ja zaś prawdopodobnie zbyt mało. Bądź co bądź i ja wszakże miałam własne słabostki, tak jak on. Przyjemność sprawiała mi na przykład obserwowanie przejawów zazdrości Mr. Paula; podniecała go ona i ożywiała duchowo; rzucała zmienne, szybko sobie wzajem ustępujące cienie i blaski na śniadą jego twarz, rozpalala ogień w jego fiołkowobłękitnych oczach (zwykł utrzymywać, że czarne włosy i błękitne oczy są une de ses beautés — jednym z jego uroków). Jego gniew miał w sobie coś pociągającego:

1 A więc będzie pani tronowała jako królowa jutro przy moim boku! Delektuje się pani pewnie, naprzód już, rozkoszą władzy. Wydaje mi się pani, sam nie wiem, dlaczego, promieniejąca radością, ambitne stworzenie!

238

był naturalny, szczery, spontaniczny, poważny w swoich przejawach, zupełnie nieuzasadniony, ale nigdy obłudny ani sztucznie udawany.

Nie wyprowadziłam go ani jednym słowem z błędu co do przypisywanego mi upojenia autorytetem i ograniczyłam się jedynie do zapytania, o jakiej porze odbędzie się egzamin z angielskiego.

— Waham się jeszcze — rzekł — czy wyznaczyć go na sam początek dnia, zanim jeszcze zgromadzi się wiele osób, i tym samym ambitnej pani naturze nie będzie mogło stać się zadość wobec braku liczego audytorium, czy też pod koniec dnia, kiedy wszyscy będą zbyt znużeni, aby móc poświęcić pani popisom coś więcej ponad skąpą tylko uwagę.

— Que vous etes dur, monsieur! — rzekłam, udając przygnębienie.

— Powinno by się być dur wobec pani. Należy pani do istot, które muszą być trzymane krótko. Znam panią! O, znam panią! Wszyscy inni w tym domu, widząc panią przechodzącą, wyobrażają sobie, że przeszedł bezbarwny cień. Co się mnie tyczy, zbadalem pani twarz tylko raz i to mi wystarcza.

— Zadowolony pan więc jest, że mnie pan rozumie? Nie odpowiedziawszy bezpośrednio, dodał:

— Czy nie była pani zadowolona z powodzenia w tym wodewilu? Obserwowałem panią i dostrzegłem w pani oczach i w wyrazie twarzy namiętą żądzę triumfu. Jaki ogień krzesają pani spojrzenia! Nie tylko błyski, ale płomienie. Je me tinspour averti

— To, co odczuwałam przy tej okazji — proszę mi wybaczyć, jeśli odważę się zarzucić panu nieskończoną przesadę w ocenie moich uczuć, zarówno co do ich rozpiętości, jak jakości — miało charakter czysto abstrakcyjny. Mało obchodził mnie sam wodewil.

1 Jaki pan jest surowy!

2 Posłużyło mi to za ostrzeżenie.

239

Odrażą przejmowała mnie powierzona mi rola. Żadna nić sympatii nie zadzierzgnęła się także pomiędzy mną a publicznością na widowni. Są to niewątpliwie zacni ludzie, czy znam ich jednak? Czy łączy ich coś ze mną? Czy może mi zależeć na ponownym wystąpieniu wobec nich jutro? Czy egzamin będzie dla mnie czymś innym jak tylko trudnym, uciążliwym zadaniem, które pragnęłabym mieć już jak najprędzej za sobą?

— Czy mam uwolnić panią od niego?

— Byłabym z całej duszy rada, o ile tylko nie obawia się pan niepowodzenia.

— Spotkałoby mnie ono na pewno. Potrafię powiedzieć po angielsku trzy zdania i parę słów jeszcze co najwyżej. Według mnie lepiej byłoby zaniechać całej sprawy: nie urządzać żadnego egzaminu ze znajomości języka angielskiego. Co pani na to?

— O ile Madame nie zaprotestuje, zgadzam się najchętniej.

— Szczerze?

— Bardzo szczerze.

Palił w milczeniu swoje cygaro. Nagle odwrócił się do mnie.

— Donnez-moi la main — niech mi pani poda rękę — rzekł, wypogodzony nagle, bez cienia gniewu ani zazdrości na opromienionej życzliwym uśmiechem twarzy. — Niech mi pani poda rękę — powtórzył — nie będziemy współzawodnikami, ale przyjaciółmi. Egzamin odbędzie się; wybiorę odpowiednio korzystny moment i zamiast dokuczać pani i przeszkadzać, jak zamierzałem nie dalej niż przed dziesięcioma minutami — miewam takie nastroje złośliwej dokuczliwości, miewałem je zawsze, od moich lat dziecięcych — będę pani szczerze pomocny. Jest pani samotna i obca wśród nas, musi pani utorować sobie drogę i zarabiać na chleb; może okazać się przydatne dla pani, że ludzie panią poznają. Będziemy przyjaciółmi, zgoda?

— Z całego serca cieszę się, że zyskałam przyjaciela; wolę to niż wszelkie triumfy.

240

- Pauvrette - - biedulka — rzekł, odwrócił się i znikł na zakręcie alei.

Egzamin powiódł się dobrze. Mr. Paul dotrzymał słowa: robił, co było w jego mocy, aby ułatwić mi moją misję. Nazajutrz odbyło się rozdanie nagród, i to również minęło. Rok szkolny dobiegł kresu, uczennice porozeżdżały się do domów, rozpoczął się okres długich wakacji.

O, te wakacje! Czy zapomnę o nich kiedykolwiek? Madame Beck wyjechała pierwszego dnia zaraz po zakończeniu roku szkolnego do swoich dzieci, bawiących nad morzem. Trzy miejscowe nauczycielki miały krewnych czy przyjaciół, u których znalazły schronienie.

Wszyscy nauczyciele opuścili miasto: niektórzy udali się do Paryża, inni do Bouemarine; Mr. Paul wyruszył w pielgrzymkę do Rzymu. Dom opustoszał zupełnie, nie pozostał w nim nikt prócz mnie, jednej ze służących i biednej, kalekiej, niedorozwiniętej uczennicy, której macocha, mieszkająca na dalekiej prowincji, nie zgodziła się zabrać na czas ferii do domu.

Serce zamierało nieledwie w mojej piersi; nieukojoną tęsknota boleśnie dawała wciąż znać o sobie. O, jak nieskończenie długie były dni wrześnie! Jakie ciche, jakie martwe! Jak wielki i pusty wydawał mi się cały dom! Jak posępny był opuszczony przez wszystkich ogród, poszarzały teraz z powodu pokładów pyłu, jakie osadziło na nim lato w mieście! Już z

samego początku tych nieszczęsnych ośmiu tygodni nie wyobrażałam sobie, w jaki sposób zdołam je przeżyć i doczekać ich końca. Z chwilą gdy zabrakło mi stałego, obowiązkowego zajęcia, zaczął mnie przytłaczać smutek coraz bardziej beznadziejny. Nie byłam zdolna nawet pocieszyć się myślą o przyszłości. Z każdym dniem wzrastało moje zubożenie dla życia; rozpacz podsuwała niejednokrotnie myśl o rezygnacji z dalszej walki.

Niestety! Teraz, kiedy miałam pod dostatkiem wolnych chwil do rozważania własnej egzystencji w sposób, w jaki powinna ona

241

być rozważona przez istoty takie jak ja, wydało mi się moje życie beznadziejną pustką: gdzie tylko okiem rzucić — jałowe piaski; nigdzie zielonych pól, nigdzie drzew palmowych ani oazy rzeźwiącej. Nie znałam, nie mogłam znać nadziei, tak drogiej dla młodzieży, którą podtrzymuje ona i prowadzi. Jeśli nawet pukała czasem do wrót mojego serca, ono odgradzało się od niej niegościnnie zasunięciem od wewnątrz niedostępnej zapory. Kiedy, odrzucona w ten sposób, odwracała się ode mnie, płynęły mi z oczu potoki gorzkich łez. Nie było jednak na to rady: nie wolno było mojemu sercu gościć takiej zawodnej zwiastunki. Tak śmiertelnie obawiałam się grzechu i słabości żywienia nadziei zbyt śmiałych.

Gotów jesteś niewątpliwie, pobożny czytelniku, wypalić mi długie kazanie za to, co napisałam przed chwilą; i to samo skłonny będziesz uczynić ty, moralisto, i ty także, mędrco surowy, i ty, stoiku, zmarszczysz gniewnie czoło; ty, cyniku, szydzić ze mnie będziesz, a ty, epikurejczyku, roześmiejesz się. Pozwalam wam, każdemu z osobna, zapatrywać się na to, jak wam dyktuje wasze przekonanie. Wysłucham kazania, potulnie przyjmę zmarszczkę gniewu na czole, szyderstwo i śmiech; możliwe, że macie wszyscy słuszność; może jednak, znalazłszy się w takich jak ja warunkach, postępowalibyście równie niesłusznie jak ja. Tak czy owak, dłużył mi się pierwszy miesiąc nieskończenie, ponury i ciężki nie do zniesienia. Moja podopieczna nie zdawała się cierpieć. Staralam się odżywiać ją, jak tylko mogłam najlepiej, i zapewnić jej jak najwięcej ciepła i słońca, a jedzenie i słońce, zaś z braku słońca ciepło ognia na kominku, stanowiło wszystko, czego było jej potrzeba do szczęścia. Słabemu jej rozwojowi umysłowemu najbardziej odpowiadał stan zupełnego bezruchu; jej mózg, oczy, uszy, serce spały, zadowolone z tego, niezdolne zbudzić się do czynu, i tym samym stan letargu był dla nich rajem.

W ciągu trzech pierwszych tygodni ferii utrzymywała się stale

242

pogoda słoneczna, piękna i sucha, czwarty i piąty tydzień natomiast były burzliwe i deszczowe. Nie wiem, dlaczego ta zmiana pogody oddziaływała na mnie w sposób tak okrutny, dlaczego szalejące burze i ulewne deszcze skuły śmiertelnym bezwładem moją wolę i ciało w wyższym jeszcze stopniu, aniżeli miało to miejsce, dopóki panowała pogoda słoneczna. Przypuszczam, że mój system nerwowy nie był widocznie dłużej w stanie znieść egzystencji, jaką wiodłam od tyłu dni i nocy w tym wielkim, pustym domu. O, jakie modły gorące wznosiłam do niebios, błagając o ratunek i pomoc! Z jak straszliwą siłą opanowywało mnie przeświadczenie, że los jest moim nieprzejednanym wrogiem, którego nie uda mi się przebłagać. Nie wzywałam nigdy z głębi duszy zmiłowania bożego ani boskiej sprawiedliwości, aby pomogły mi zwalczyć okrutnego przeciwnika; doszłam do przekonania, że niezbadane, wielkie plany Stwórcy wymagają, aby niektórzy głęboko cierpieli za życia tu, na ziemi, przejęta też byłam niezłomną pewnością, że ja właśnie należę do ich grona. Odczułam ulgę, kiedy jedna z ciotek biednej dziewczyny przybyła wreszcie, aby zabrać niedorozwiniętą moją towarzyszkę. Nieszczęśliwa ta istota bywała dla mnie czasem ciężarem nie do zniesienia; nie mogłam zabierać jej dalej niż do ogrodu, nie mogłam także zostawić jej ani na chwilę bez opieki; jej słaby umysł, tak samo jak jej zniekształcone ciało były skażone wrodzoną skłonnością do złego. Jej bezmyślna złośliwość i wrogość, niezrozumiała, dziwna potrzeba wyrządzania szkód zmuszały mnie do nieustannej czujności. Że zaś bardzo rzadko

odzywała się i godzinami siadywała nadą-sana, wykrzywiając twarz ohydny, trudny do opisanego grymasami, doznawałam uczucia, że jestem uwięziona z dziwnym jakimś, nie dającym się oswoić zwierzątkiem raczej, aniżeli z istotą ludzką. Zmuszona byłam także oddawać jej osobiste fizyczne usługi, wymagające zahartowania i umiejętności fachowej pielęgniarki; odwaga moja narażona bywała na próby, załamujące mnie zupełnie i doprowadzające wręcz do stanu chorobliwego.

243

Obowiązki te nie powinny były właściwie spaść na mnie; pełniła je dotychczas jedna ze służących, nieobecna podczas ferii; w pośpiechu i zamęcie wyjazdu nie pomyślano o zastąpieniu jej kimś odpowiednim. Ciężary te i przejścia nie były bynajmniej najmniejszą dokuczliwością, jakiej zaznałam w życiu. Mimo jednak, że u-sługi te budziły we mnie odrazę, bardziej od nich dręczyły mnie cierpienia duchowe, wyczerpujące i nużące bezgranicznie. Pełnienie tego rodzaju posług odbierało mi często chęć i możliwość spożywania posiłków; omdlewając nieomal z obrzydzenia, ratowałam się przed tym stanem, wybiegając na świeże powietrze. Nigdy wszelako pełnienie tych obowiązków nie szarpało i nie krwawiło mi serca, ani też nie wypełniało moich oczu i nie paliło moich policzków łzami gorącymi niczym rozpalony ołów, mającymi źródło w cierpieniach duchowych.

Po odjeździe ostatniej pensjonarki mogłam pozwolić sobie na dalekie przechadzki. Zrazu nie wychodziłam daleko poza Rue Fos-sette, brak mi było odwagi, stopniowo wszakże zaczęłam zapuszczać się poza bramy miejskie, po czym swobodnie już wędrowałam po gościńcach, przez pola, natrafiając po drodze na cmentarze, katolicki i protestancki, na osady folwarczne, łąki, laski i zagajniki, i sama nie wiem na co jeszcze. Dziwna jakaś gorączka pędziła mnie nieustannie, nie pozwalając mi zaznać spoczynku. Ciągły ruch nie wystarczał mi jednak: potrzebowałam towarzystwa i bardzo cierpiałam z powodu jego braku. Spędzałam często na takich wędrowkach całe dni, od rozprążonego południa, poprzez spiekło godziny zachodu, aż do zmierzchu wieczornego, powracając do domu dopiero w porze wypłynięcia księżyca na niebo.

Wędrując tak samotnie, rozmyślałam, co też mogą porabiać teraz wszyscy moi znajomi. Wyobrażałam sobie Madame Beck, zażywającą miłej wilegiatury nad morzem w otoczeniu dzieci, matki i całego mnóstwa przyjaciół, którzy obrali tę samą miejscowość na swój letni wypoczynek. Z'elie St. Pierre bawiła w Paryżu u krew-

244

nych, inne nauczycielki spędzały ferie w domach swoich rodziców. Ginevrę Fanshave zabrali jacyś znajomi na bardzo przyjemny objazd wspaniałych siedzib rodowych, położonych na południu Francji. Los Ginevry wydawał mi się najszczęśliwszy. Oglądała piękne pejzaże, patrzyła na złocące się we wrześniowym słońcu żyzne równiny, na których zboże i wino dojrzewały pod dobroczynnymi jego promieniami. Miałam wyraźną wizję złocistej, opalizującej tarczy księżyca, którego blask rozświetlał ciemny szafir nieba na dalekim widnokręgu, poznaczonym majaczącą niewyraźnie zębatą linią gór.

Wszystko to jednak było niczym dla mnie. I mnie także ogrzewały promienie jesiennego słońca; i ja także oglądałam wypływającą na niebo złotą tarczę księżyca, a przecież pragnęłam nieomal leżeć już pod ziemią i murawą, zagrzebana głęboko, nie mogąc już ani widzieć, ani odczuwać tych wspaniałości. Nie mogłam żyć w świetle tych promieni, ani przywiązać się do nich i uczynić ich swoimi towarzyszami. Ginevra, w przeciwieństwie do mnie, obdarzona była przez naturę szczęśliwym usposobieniem, które zbroiło ją w energię, w siłę i w radość życia, umożliwiało jej korzystanie z jego rozkoszy, z pełni światła dziennego, z aromatów nocy. Najbardziej przyjazne spośród dobrych, strzegących ludzkość geniuszów świata wzięły ją pod swoje skrzydła i roztoczyły nad nią opiekę. Towarzyszyła jej nieodstępnie wierna miłość, która nie pozwalała jej nigdy czuć się samotną. Czyżby miała ona być nieczuła na jej obecność? Wydawało mi się to niemożliwe: nie byłam zdolna wyobrazić

sobie podobnej oschłości, pewna byłam, że kocha jednak, jakkolwiek nieco powściągliwie jeszcze, wszelako kiedyś, w przyszłości, gotowa będzie ujawnić, jak bardzo, jak prawdziwie kocha. Jej wierny bohater na wpół może tylko świadomy był nieśmiało budzącego się uczucia. Wystarczyło to jednak, aby pocieszać go w chwilach zwątpień i koić jego obawy. Domyślałam się magnetycznego prądu sympatii pomiędzy obojgiem, łączącej ich nici wzajemnego zrozumienia, które podtrzymywało związek serc i dusz poprzez dzielące ich przestrze-

245

nie setek mil, przesyłało — przez góry i doliny — życzenia, modły i śluby, jakie wymieniali wzajem. Ginevra zaczęła stopniowo urastać w moim pojęciu do wyżyn bohaterki.

Pewnego dnia, zdając sobie trzeźwiej niż kiedykolwiek sprawę z zyskującego wciąż na sile tego urojenia, powiedziałam sobie:

— Przypuszczam, że moje nerwy są zbyt napięte: za wiele przecierpiałam duchowo; zagraża im stan zupełnego rozprężenia. Co mam uczynić? Gdzie szukać ratunku? W czym znaleźć uzdrowienie?

Nie było istotnie sposobu znalezienia w podobnych warunkach leku uzdrawiającego.

Wreszcie, po dniu i nocy szczególnie przytłaczającej depresji, objawy fizycznej choroby uniemożliwiły mi wstawanie z łóżka. Mniej więcej w tym samym czasie zakończyło się upalne lato i rozpoczął się towarzyszący zrównaniu dnia z nocą okres burz.

Dziewięć ciemnych, ponurych, deszczowych dni, których monotonię zakłócały jedynie szalejące wichry, przeleżałam trawiona dziwną gorączką nerwów i krwi. Sen opuścił mnie zupełnie. Wstawałam w nocy, błagając niebo o możliwość odzyskania go. Na rozpaczliwe błagania odpowiadał mi jedynie brzęk wstrząsanych wichrem szyb okiennych, świst szalejącej burzy — sen nie przychodził jednak.

Mylę się. Przyszedł raz jeden, nie był jednak kojący. Zniecierpliwiony moją natarczywością zemścił się, sprowadzając upiorne widziadła. Wskazówki zegara na wieży kościoła św.

Baptysty przesunęły się zaledwie o piętnaście minut, tyle trwał mój sen — krótki okres, ale wystarczający, aby zesłać na mnie nową, nieznaną dotychczas udrękę. Jak gdyby dostrzeżony w przelocie błysk wieczności przejął całe moje jestestwo niewypowiedzianą grozą. Pomiedzy północą a godziną pierwszą owej nocy poczułam przytkniętą do ust czarę ciemnego jakiegoś napoju, dziwnego, nie zaczerpniętego z żadnej studni. Napełniona była ta czara czymś wrzącym, z bezden-

246

nego, bezkresnego morza. Cierpienie, dotykające chwilowo, odmierzone dającą się obliczyć miarą, doprawione tak, aby mogły wchłonąć je usta śmiertelnika, nie ma takiego smaku, jaki miało to właśnie. Przełknęłam ów napój i obudziłam się, pewna, że jest już po wszystkim; nadszedł koniec i przeminał. Drżąc z przerażenia — w miarę odzyskiwania świadomości — gotowa krzyknąć, wzywając na pomoc jakąś miłosierną istotę i wiedząc zarazem, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć to moje rozpaczliwe wezwanie — pocziwa Gotton w odległej izdebce na poddaszu nie mogła mnie usłyszeć — ukłękłam na łóżku.

Upłynęło parę straszliwych godzin. Niepodobna opisać udręki i zgnębienia, jakie przecierpiałam. Myślę, że była to najgorsza ze wszystkich potworności snu. Miałam przez chwilę wizję uwielbianych moich zmarłych, którzy niegdyś za życia kochali mnie tak tkliwie, a którzy teraz spotkali się ze mną w innym jakimś świecie, dalecy mi już i obcy. Napełniło to goryczą moje serce i nieopisana rozpacz ogarnęła mnie na myśl o tym, co mnie może czekać. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym pragnąć żyć i wyzdrowieć, mimo to nie do zniesienia dręczący był głos, jakim wzywała mnie śmierć do jej nieznanego, przerażającego królestwa. Chciałam się modlić, zaledwie jednak zdolna byłam wypowiedzieć słowa:

„Od młodości mojej przecierpiałam grozy Twoje z duszą zmaconą”.

Była to prawda najszczerza.

Gotton, przyniósłszy mi herbatę nazajutrz z rana, nalegała, abym wezwała lekarza. Nie chciałam jednak: nie wierzyłam, aby jakikolwiek lekarz mógł mnie uzdrowić.

Pewnego wieczoru — nie bredziłam, byłam najzupełniej przytomna — wstałam i ubrałam się, drżąc, zaledwie zdolna utrzymać się na niepewnych nogach. Nie mogłam, nie byłam w stanie znieść dłużej martwej ciszy sypialni: upiornie białe łóżka prześladowały mnie niczym zjawy; zakończenia ich grzbietów stawały się w mojej

247

wyobraźni trupimi czaszkami, wielkimi i wybielonymi przez słońce; w ich szeroko rozwartych oczodołach tkwiły zakłète, zamarłe marzenia o dawniejszym jakimś s'wiecie i potężniejszej rasie ludzkiej. Tego wieczoru bardziej niezachwianie niż kiedykolwiek nabrałam przeświadczenia, że los jest twardym nieubłaganym kamieniem, a nadzieja — bożkiem fałszywym, ślepym, wyzbytym krwi, twardym jak granit. Czułam, że próby i przeżycia, przeznaczone mi przez Boga, dosięgają punktu kulminacyjnego, muszą też zostać odwrócone moimi własnymi rękami, mimo że tak bardzo rozgorączkowanymi, słabymi i drżącymi.

Deszcz lał wciąż jeszcze, a i wichur dał w dalszym ciągu, mniej gwałtowny jednak i mniej rozszalały, niż przez cały dzień. Tak wydawało mi się przynajmniej. Zapadał zmierzch: przez szyby okienne widziałam nisko przepływające obłoki, podobne do zwisających smutno chorągwi. Doznałam wrażenia, że o zmierzchu także w niebie musi panować smutek i współczucie z powodu cierpień, doznawanych na ziemskim padole. Przypuszczenie to ujęło ciężaru przeraźliwemu widzeniu sennemu, uczyniło mniej straszliwą myśl, że nie jestem już kochana przez nikogo, że ani jedna z istot, tak bliskich mi niegdyś, nie przyznaje się już do mnie. Lęk ustąpił miejsca nadziei, że może jednak jest inaczej niż przypuszczam. Nabrałam nieomal pewności, że nadzieja ta ziści się i ujawni wyraźnie, o ile zdołam, wydostawszy się spod tego dachu, który mi ciążył, niby zatrzaśnięte wieko trumny, wyjść za miasto i wspiąć się na ciche wzgórze, wznoszące się daleko wśród pól. Otulona w białe okrycie (musiałam być zupełnie przytomna, jeśli miałam tyle rozsądku i przezorności, aby ubrać się ciepło) wyruszyłam z domu. Dzwony jednego z pobliskich kościołów zatrzymały mnie w przejściu; zdawały się wzywać mnie na Anioł Pański, weszłam więc do świątyni. Udział w uroczystym nabożeństwie, widok szczerzej pobożności, możność bezpośredniego zwrócenia się do Boga były dla mnie nie mniej pożądane i upragnione, aniżeli chleb dla ginącego z

248

głodu. Uklękałam wraz z innymi na kamiennej posadzce. Był to stary, cichy kościółek, w którego wnętrzu panował mrok przepojony purpurową łuną, jaką rzucało światło, przedostające się przez kolorowe szyby okienne.

W kościele zgromadzeni byli nieliczni wierni, których połowa wyszła po przebrzmieniu salut — pozdrowienia anielskiego. Stwierdziłam niebawem, że ci, którzy pozostali, uczynili to, aby wypowiadać się. Nie ruszyłam się z miejsca. Służba kościelna pozamykała starannie wszystkie drzwi; zapadła cisza; wszystkich nas, zamkniętych w kościele, ogarnął swoimi skrzydłami cień uroczysty. Po krótkiej chwili, spędzonej w skupieniu modlitewnym, podeszła jedna z penitentek do konfesjonału. Obserwowałam ją pilnie. Spowij dała się szeptem; ksiądz udzielił jej, szeptem również, rozgrzeszenia, odeszła bowiem od konfesjonału wyraźnie uspokojona. Po niej podeszła następna, potem jeszcze inna. Jakaś błada dama, klęcząca obok mnie, szepnęła cichym, uprzejmym głosem:

— Niech pani idzie teraz; nie jestem jeszcze całkowicie przygotowana do odbycia spowiedzi. Automatycznie posłuszna, wstałam i skierowałam się ku konfesjonałowi. Nie zrobiłam tego bez zastanowienia. Wiedziałam, co robię. Z błyskawiczną szybkością obmyśliłam zamiar. Wypowiadanie się nie mogło bardziej jeszcze zgębić mnie moralnie, raczej możliwe było, że mnie ukoi.

Ksiądz zasiadający w konfesjonale ani razu nie odwrócił ku mnie głowy, aby przyjrzeć mi się; spokojnym, nawykowym gestem pochylił ucho ku moim ustom. Mógł to być człowiek zacny, dobry z natury, obowiązek ten wszelako stał się dla niego rodzajem formy jedynie: odbywał obrządek spowiadania penitentów z obojętnością i zwykłą rutyną. Zawahałam się; nie znałam obowiązującej formuły spowiedzi. Zamiast rozpoczęcia jej od zwykłego wstępu, rzekłam:

249
— Monpère, je suis protestant^'.

Odwrócił się ku mnie nagle. Nie był stąd: księża miejscowi, urodzeni w tym kraju i pochodzący z rdzennych jego warstw, mają prawie nieodmiennie twarze płaskie, prostacze. Subtelny profil i zarys czoła tego księdza wskazywał, że jest on Francuzem; mimo że siwy i posunięty w latach, zachował twarz człowieka myślącego i wrażliwego. Zapytał mnie przede wszystkim, bez gniewu jednak, dlaczego, będąc protestantką, przyszłam do niego. Powiedziałam, że zginę, jeśli nie otrzymam mądrej rady i życzliwych słów pociechy. Od kilku tygodni jestem zupełnie osamotniona; zachorowałam; czuję się tak przeraźliwie przygnębiona, że nie wydaje mi się, abym była zdolna znieść dłużej ciężar, który mnie przytłacza.

— Czy dolega ci świadomość popełnionego grzechu lub występku, moje dziecko? — zapytał. Uspokoiłam go co do tego i jak mogłam najprzystępniej wyjaśniłam, na czym właściwie polega moja udręka. Zdawał się strapiiony i zdziwiony.

— Przyznaję — rzekł — że zaskoczyłaś mnie, moje dziecko. Nie miałem nigdy jeszcze w całej dotychczasowej praktyce podobnego wypadku: przygotowani jesteśmy na wiele powikłań niezwykłych, należących jednak do stałej rutyny naszego posłannictwa. Tym razem wszakże spotykam się z czymś takim, co robi poważny wyłom w zwykłym biegu spowiedzi. Wątpię, czy znajdę dla ciebie w tych warunkach odpowiednią radę.

Nie spodziewałam się, oczywiście, że ją znajdzie. Jednakże możliwość zwierzenia się człowiekowi rozumnemu i dobremu, o uświęconym charakterze kapłana, z części bodaj bólów, jakie nękały moją duszę, przyniosła mi ulgę. Czułam się nieco pokrzepiona.

— Czy mam odejść, mój ojczy? — zapytałam.

1 Jestem protestantką, mój ojczy. 250

— Tak, moja córko — rzekł z życzliwością w głosie.

Nie wątpiłam, że był to człowiek życzliwy: dostrzegłam wyraźnie błysk współczucia w jego oku.

— Tak, na razie lepiej będzie, abyś odeszła, zapewniam cię jednak, że słowa twoje uderzyły mnie. Spowiedź, podobnie jak wszystko inne, staje się, stać się może łatwo czczą formalnością jedynie, czymś spopolitowanym, o ile wejdzie w stały zwyczaj. Przyszłaś, córko moja, zrzuciłaś ciężar z własnego serca, podzieliwszy się ze mną tym, co cię trapi — rzadko zdarza mi się wysłuchać czegoś podobnego. Chciałbym mieć czas na przemyślenie twojego zwierzenia w należytych spokoju modlitewnym. Gdybyś należała do naszego Kościoła, wiedziałbym, co mam ci powiedzieć — dusza tak bardzo udrę :zona, jak twoja, może znaleźć spokój jedynie w zupełnym odosotnieniu, w stałym, regularnym pełnieniu obowiązków religijnych. Życie wśród świata, jak niewątpliwie dobrze ci wiadomo, nie daje zadowolenia naturom takim jak twoja. Świątobliwi kapłani polecali penitentkom do ciebie podobnym, aby starały się przez pokutę i pełnienie żmudnych, dobrych uczynków, utorować sobie drogę ku oczyszczeniu. Tu na ziemi dane im są za strawę codzienną łyż, chleb i woda strapienia. Nagroda czeka je później dopiero, w życiu pozagrobowym. Co się mnie tyczy, jestem przeświadczony, że wyobrażenia te, pod których ciężarem uginasz się, moja córko, są wysłańcami bożymi, mającymi misję nawrócenia cię na łono prawdziwego Kościoła.

Zrodzona jesteś do przyjęcia naszej wiary: uwierz w nią, ona jedna zdolna jest uzdrowić cię i dopomóc ci. Protestantyzm jest dla ciebie zbyt suchy, zimny i zbyt przyziemny. Im więcej myślę o twojej sprawie, tym wyraźniej widzę, że odchyła się ona najzupełniej od zwykłego

biegu rzeczy. Nie chciałbym za żadną cenę stracić cię z oczu. Odejdź teraz w pokoju, moja córko, powróć jednak do mnie.

Podniosłam się z klęczek i podziękowałam mu. Zamierzałam już odejść, kiedy dał mi znak, abym zatrzymała się jeszcze.

251

— Nie przychodź do kościoła — rzekł — widzę, że jesteś chora, panuje tutaj zbyt wielki chłód. Przyjdź do mnie do domu: mieszkam... — dał mi swój adres. — Bądź u mnie jutro z rana o dziesiątej.

W odpowiedzi na to polecenie pochyliłam w milczeniu głowę. Opuściwszy na twarz zasłonę i zapiawszy szczelnie okrycie na sobie, wysunęłam się z kościoła.

Jak sądzisz, czytelniku, czy myślałam o powtórnym dostaniu się do zacnego księdza?

Zupełnie tak samo nie przychodził mi ten zamiar do głowy, jak nie wpadłoby mi na myśl leżeć dobrowolnie w paszczę smoka. Kapłan ten posiadał broń, którą mógł na mnie wpływać: był z natury miękki i uprzejmy; posiadał ową wrodzoną miękkość i uczciwość typowo francuską, na którą byłam osobliwie wrażliwa. Nie budziły we mnie szacunku pewne rodzaje afektacji, nie byłam natomiast zdolna oprzeć się przejawom szczerego uczucia, prawdziwej wiary.

Gdybym poszła do niego, niechybnie zdołałby przekonać mnie o kojącej sile, o wzniosłości i prawowitości uczciwego dogmatyzmu papieskiego. Usiłowałby też niewątpliwie wzbudzić we mnie i podsycać żarliwość pełnienia dobrych uczynków. Nie mam pojęcia, jak skończyłoby się to wszystko. Uważamy się za silnych w pewnych punktach, znamy naszą słabość w wielu innych. Jest wielce prawdopodobne, że gdybym udała się w oznaczonym dniu i godzinie pod numer 10 Rue des Mages, moje życie potoczyłoby się zgoła inaczej — zamiast snuć tę heretycką opowieść, przesuwałabym paciorki różańca, odmawiając pacierze w celi klasztoru Karmelitek przy Boulevard de Crécy w Villette. Ten stary, dobrotliwy ksiądz miał w sobie coś z Fenelona, jakkolwiek też jest większość jego braci, cokolwiek myślałabym o jego Kościele i wierze (których nie lubię), zachowam go na zawsze we wdzięcznej pamięci. Był dla mnie dobry wówczas, kiedy tak bardzo potrzebna mi była dobroć ludzka. Oby niebo wynagrodziło go za to!

Zmierzch przeistoczył się w noc, latarnie zapłonęły już na

252

ulicach, kiedy wydostałam się z posępnego kościoła. Możliwy był teraz dla mnie powrót: przestała mnie nękać nieposkromiona, dzika tęsknota za rześkim powietrzem październikowej nocy, za małym wzgórzem poza murami miasta. Teraz już doświadczałam tylko takich pragnień, z jakimi mógł pogodzić się rozsądek; pragnęłam znaleźć się w domu. Zawróciłam, jak mi się wydawało, ku Rue Fossette. Znalazłam się jednak w części miasta, której zupełnie nie znałam. Była to stara część Villette, pełna wąskich uliczek, na których stały odwieczne, zmurszałe, ale malownicze budowle. Byłam zbyt słaba, aby zorientować się od razu, zbyt mało przezorna i zbyt mało świadoma niebezpieczeństwa, jakie mogło mi zagrażać, aby dbać dostatecznie o własną osobę i zwracać uwagę na to, co robię. Idąc na oślep przed siebie, uwikłałam się w płątaninę zakrętów, z której nie byłam zdolna wydostać się, nie umiałam zaś zdobyć się na decyzję poproszenia kogoś z przechodniów o wskazanie mi drogi. Burza, która przycichła w porze zachodu, usiłowała odrobić teraz stracony czas. Gwałtowny huragan, który szedł z północo-za-chodu, sprowadził deszcz, rozpryskujący się na wszystkie strony: jego bryzgi były lodowate, przemarzłam też wnet do szpiku kości. Pochyliłam głowę, aby uniknąć wichru i deszczu, siekły mnie wszakże nieubłagane. Nie zrażało mnie to jednak; żałowałam tylko, że nie mam skrzydeł, aby rozpostrzeć je i ulecieć z wichrem w górę, być porwaną przez pęd powietrza i pomknąć, dokąd mnie on uniesie. W momencie kiedy zaznałam tego pragnienia, przejął mnie chłód jeszcze dokuczliwszy, choć i przedtem było mi bardzo zimno. Dotychczasowa słabość ustąpiła miejsca pełnemu bezwładowi. Usiłowałam dotrzeć do wrót wielkiego gmachu, ale cały jego potężny front i olbrzymia kopuła zlały się

przed moimi oczami w jedną czarną masę, która rozwiała się w następnej chwili. Zamiast osunąć się na schody wejściowe, jak zamierzałam, uczułam — tak mi się przynajmniej wydało — że wpadam głową w dół w jakąś przepaść. Więcej już nic nie pamiętam.

ROZDZIAŁ XVI

Auld lang syne

Dokąd zawędrowała moja dusza podczas tego długiego omdlenia, nie umiałabym powiedzieć. Zachowała na zawsze w tajemnicy to, co widziała, jak i to również, w jakie dziwne tej nocy zapuściła się okolice. Nie podszeptała ani słówka o tym mojej pamięci, pograżywszy moją wyobraźnię w otchłań zapomnienia i nieprzerwanego milczenia. Wzleciała może na wyżyny i ujrzała z dala wiekiuste swoje schronienie, mając nadzieję, że pozwolą jej wreszcie spocząć w spokoju, łudząc się, że jej bolesny związek z materią został zerwany ostatecznie. W chwili kiedy wyobrażała to sobie, mógł jeden z aniołów bożych ostrzec ją, aby nie przestępowała wrót rajskich i sprowadzić ją z powrotem na ziemię, ponownie wcielając rozedrganą, łkającą, opierającą się, w dawne nędzne jej ramy, wyziębione i zmarnowane, w ramy, z którymi łączność nierozzerwalna sprzykrzyła się jej już dawno.

Wiem, że z bólem i niechęcią przekroczyła ponownie próg swojego więzienia; z jej głębi wydarł się potężny jęk, a całą nią wstrząsnął przeciągły dreszcz. Niełatwo było dokonać ponownego sprzężenia ducha z materią; ich powitaniu wzajemnemu nie towarzyszyło ciepło serdecznego uścisku, ale rozpoczynająca się ponownie tortura walki.

Najpierw odzyskałam wzrok: ujrzałam przed sobą bezmiar czerwony, niby morze krwi; obezwładniony chwilowo zmysł słuchu odżył na nowo, ogłuszając mnie głośnie szumem, podobnym do huku grzmotu; odzyskanie przytomności zaznaczyło się przede

1 Auld lang syne — wyrażenie szkockie, oznaczające: dawne dobre czasy.

254
wszystkim gwałtownym wstrząsem lęku. Usiadłam oszołomiona, zdumiona, niezdolna zdać sobie sprawy, w jakie okolice zawędrowałam, wśród jakich dziwnych istot zbudziłam się ponownie do życia. Zrazu nic nie wiedziałam i rozglądałam się z zaciekawieniem dokoła: ściana nie była ścianą, lampa nie wydawała się lampą. Powinnam zdawać sobie sprawę z tego, co właściwie nazywamy zjawą, jak zdawałam ją sobie z istnienia przedmiotów najzwyczajniejszych. Chcę powiedzieć przez to, że wszystko, na co patrzyłam, uderzało mnie swoją upiornością. Rychło wszakże moje zmysły odzyskały uprzednią sprawność.

Nie wiedziałam jednak wciąż jeszcze, gdzie się znajduję. Nie leżałam na najniższym stopniu schodów prowadzących do kościoła: mury, sufit i okna oddzielały mnie od nocy i burzy.

Wniesiona zostałam do jakiegoś domu, do czyjego domu jednak?

Przychodził mi do głowy jedynie pensjonat — szkoła żeńska z Rue Fossette. Na wpół przytomna usiłowałam zorientować się, do którego pokoju zostałam wniesiona: do większej sali sypialnej czy do jednej z małych sypialni? Byłam zdziwiona, nie mogłam bowiem poznać ani jednego mebla. Brakło tu pustych białych łóżek, nie było także długiego szeregu okien.

Nie położono mnie w pokoju Madame Beck — to pewne__

pomyślałam. Nagle wzrok mój padł na fotel obity błękitnym adamaszkiem. Stopniowo odkrywać zaczęłam obecność pozostałych krzesel i foteli, aż wreszcie poszczególne fragmenty mojego bezpośredniego otoczenia złożyły się na widok miłego, zacisznego saloniku z kominkiem, na którym jasnym, wesołym ogniem buzowały szczapy smolne, rzucając blaski na płowy dywan w jaskra woblękit-ne arabeski, na bladokremowe ściany, po których, pośród spletanego gąszczy złotawych liści i łodyg wiły się lekkie, nie kończące się girlandy lazurowych niezapominajek. Przestrzeń pomiędzy dwoma oknami, suto zadrapowanymi błękitną, zebraną ku górze kotarą, wypełniało zwierciadło w złożonych ramach. W zwierciadle tym

255

ujrzałam siebie samą, leżącą nie na łóżku, ale na kanapie. Wyglądałam jak widmo: moje oczy rozwarte były szerzej i wpadnięte głębiej, aniżeli zazwyczaj, stanowiąc dziwny kontrast z wychudzoną, szaro-ziemistą twarzą. Teraz już stało się dla mnie oczywiste, że pokój, w którym się znajdowałam, był obcym, nie znanym mi pokojem w obcym, nie znanym mi domu.

Byłam pewna, że mój umysł nie powrócił jeszcze do normy, im dłużej bowiem wpatrywałam się w obity błękitnym adamaszkiem fotel, tym bardziej wydawał mi się on znajomy, tak samo zresztą jak okrągła kanapa. Nieco mniej znajomy, przypominający mi jednak coś znanego, wydał mi się okrągły stół pośrodku, nakryty błękitną serwetą obrzeżoną szlakiem z liści w barwach jesiennych. Nade wszystko jednak bliskimi znajomymi wydały mi się dwa małe stołeczki, obite haftowaną ręcznie materią, a także niewielkie, ujęte w hebanowe ramy krzesło, którego grzbiet i siedzenie obite były również ręcznie wyhaftowanymi na ciemnym tle, jaskrawymi kwiatami.

Zaskoczona widokiem dobrze znanych mi sprzętów, zaczęłam rozglądać się i badać bliżej. Dziwne to, doznawałam wszelako wrażenia, jak gdybym nagle znalazła się wśród dawnych przyjaciół; znane szkockie powiedzenie: auld lang syne — dawne dobre czasy — uśmiechało się do mnie z każdego kąta. Na gzymsie kominka stały dwie owalne miniatury, których perły nad wysoko spiętrzonymi pudrowanymi koafiurami wryły mi się od dawna w pamięć, tak samo jak aksamitne obramowanie dokoła smukłych białych szyj, sute fałdy muślinowych chusteczek-krzyżówek, a nawet deseń koronkowych mankietów, zdobiących rękawy. Na gzymsie kominka stały również dwie wazki chińskie, pozostałości dawno wytłuczone-go serwisu, gładkie i połyskujące jak emalia, krusze i cienkie jak łupinki jajek. W samym środku gzymsu umieszczona była, mając służyć widocznie za główną ozdobę, klasyczna grupa z alabastra, przechowywana pod szkłem. Umiałabym wyliczyć wszystkie za-
256

draśnięcia, wszystkie najdrobniejsze szczyrby na tych zabytkach, zupełnie jak gdybym była clairvoyante — jasnowidząca. Nade wszystko wszakże były tu dwie zasłonki-ekraniki, ozdobione nader starannie i drobiazgowo rysunkami ołówkiem, wykonanymi tak cieniutką kreseczką, jak najsubtelniejsze rysunki piórkowe. Wpatrując się w nie, przypominałam sobie godziny, podczas których pochylała się nad nimi dziewczyna trzymająca ołówek pensjonarki w słabych, cierpliwych, gorliwie pracujących palcach, w owej chwili bardziej podobnych do szkieletu.

Gdzie znajdowałam się? Dokąd zostałam przeniesiona? Do jakiego zakątka świata, do którego roku? Wszystkie te przedmioty pochodziły bowiem z dawnych, bardzo dawnych dni i z dalekiego kraju. Pożegnałam się z nimi przed dziesięcioma laty; od czternastego roku życia nie zetknęłam się już z nimi. Słabym, ale dosłyszalnym głosem szepnęłam:
— Gdzie jestem?

Czyjaś sylwetka, dotychczas nie zauważona przeze mnie, poruszyła się, wstała i zbliżyła się ku mnie; sylwetka, odcinająca się od otoczenia, a tym samym bardziej jeszcze wikłająca dla mnie zagadkę. Przyjrząwszy się bliżej, przekonałam się, że musi to być służąca, sądząc z kolorowej perkalikowej sukni i typowego czepecz-ka na jasnych włosach. Nie mówiła ani po francusku, ani po angielsku, nie mogłam więc porozumieć się z nią, aby dowiedzieć się czegoś, zasięgnąć tak bardzo interesujących mnie informacji. Zwilżyła mi tylko czoło i skronie jakimś chłodnym i mile pachnącym płynem, poprawiła poduszki pod moją głowę, gestem dała mi do zrozumienia, abym nic nie mówiła, po czym usiadła w nogach kanapy. Usiadłszy zajęła się ponownie swoją robotą na drutach, mogłam więc przyglądać się jej swobodnie, pochylonej nad migającymi w jej rękach narzędziami pracy. Zdziwiło mnie, skąd się tutaj wzięła i co może mieć wspólnego ze środowiskiem, tak bliskim mi z czasów
257

mojego dzieciństwa. Bardziej jednak zdumiewało mnie, co owo środowisko i owe czasy mogą mieć teraz wspólnego ze mną.

Zbyt wyczerpana, aby rozwikłać tę intrygującą zagadkę, usiłowałam pogodzić się z niemożnością jej rozwiązania, mówiąc sobie, że to wszystko musi być niepojętą jakąś omyłką, snem czy fantasmagorią rozgorączkowanej, chorej wyobraźni. W głębi duszy wiedziałam jednak, że nie jest to ani omyłką, ani snem, ani fantasmagorią: nie spałam ani też nie fantazjowałam, będąc najzupełniej przytomna i trzeźwa. Wolałabym, aby pokój, w którym znajdowałam się, nie był tak dobrze oświetlony; nie dostrzegłabym może tak dokładnie małych obrazków, ozdób, zasłonek, haftowanego pokrycia krzesła. Wszystkie te przedmioty, tak jak meble obite błękitnym adamaszkiem, były w rzeczywistości identyczne jak te, które tak dobrze pamiętałam i które były tak bardzo mi bliskie, jako że znajdowały się niegdyś w salonie mojej matki chrzestnej w Bretton. Wydawało mi się jedynie, że pokój jest większy i inaczej rozplanowany.

Przyszedł mi na myśl Bedreddin-Hassan, przeniesiony we śnie z Kairu do bram Damaszku. Czyżby i mnie także jakiś dobry duch, który sfrunął na skrzydłach wichru, zabrał ze schodów wiodących do kościoła, a potem uniósł w powietrze, jak czytamy w baśni wschodniej, przeniósł ponad góry, ponad kraje, ponad morza i oceany, i spokojnie złożył przy ognisku domowym w starej, kochanej Anglii? Ale owo ognisko domowe zgasło już dawno, nie mógł więc złożyć mnie tam mój duch opiekuńczy, zwłaszcza że mieszkańcy domu, w którym płonęło to ognisko, przenieśli się daleko, uniósłszy wraz z sobą swoje lary i pena ty. Służąca zwróciła w tej chwili głowę w moją stronę, a widząc, że mam oczy otwarte, zdradzające wyrazem swoim — tak jej się przynajmniej wydało — podniecenie i zaniepokojenie, odłożyła robotę, podeszła do małego stolika, nalała trochę wody z karafki do kieliszka, odmierzyła do niego pewną ilość kropel z buteleczki, z kieliszkiem w ręku zbliżyła się do mnie i podała mi lekarstwo. Jaki

258

to ciemno zabarwiony napój? Jaki eliksir czarodziejski czy roztwór zaczarowany?

Nie pora była już jednak o to pytać — od razu posłusznie przełknęłam podany mi lek. Spokój zapanował w moich, tak wzburzonych przed chwilą myślach; mózg zalała fala dobroczynna, coraz milej kojąca, niby balsam zbawczy. Bolesna słabość opuściła moje członki, mięśnie obezwładniła senna drętwość. Utraciłam możność poruszania się, że jednak równocześnie utraciłam i chęć wykonywania jakichkolwiek ruchów, nie było to dla mnie przykrością. Uważna służąca postawiła ekran pomiędzy mną a światłem; widziałam ją, jak wstała, aby to uczynić, nie przypominam sobie wszakże, by siadała na zajmowanym uprzednio miejscu. W przerwie pomiędzy dwoma tymi aktami zasnęłam.

Kiedy przebudziłam się, wszystko uległo ponownej zmianie. Otaczało mnie pełne światło dzienne; nie było to wszakże słoneczne światło letniego dnia, raczej ołowiana posępność słotnej jesieni. Byłam pewna teraz, że jestem w pensionnat de demoiselles. Utwierdził mnie w tym mniemaniu siekający o szyby deszcz, świst i wycie wichru wśród drzew, które wskazywały na istnienie ogrodu za oknami, chłód, biel i osamotnienie, pośród których leżałam. Mówię biel, bowiem białe zasłony, opuszczone przy moim francuskim łóżku, zasłaniały mi widok. Rozchyliłam je i wyjrzałam. Mój wzrok, nastawiony na ujrzanie długiej, obszernej, malowanej na biało sali, zdumiał się widokiem ograniczonej przestrzeni niewielkiego pokoju o bladozielonych ścianach. Zamiast pięciu wielkich, niczym nie osłoniętych okien było jedno tylko, wysokie, ocienione kunsztownymi fałdami muślinowych firanek, a zamiast dwóch tuzinów drewnianych meblowych umywalek, z miską i dzbankiem na każdej, była tu toaleta, strojnie, niby dama wybierająca się na bal, przybrana białymi przejrzystymi zwojami muślinu, upiętymi na różowym spodzie. Toaletę wieńczyło ślicznie wypolerowane, spore zwierciadło, pod którym

259

leżała elegancka poduszczonek do szpilek, przybrana dokoła falbanką z koronki. Ten stół toaletowy wraz ze stojącym przed nim niskim fotelikiem obitym białozielonym kretonem w kwiaty i marmurową umywalką z bładozielonym porcelanowym garniturem do mycia wystarczały w zupełności jako umeblowanie tego małego pokoju.

Czytelniku! Byłam przerażona! Z jakiego powodu? — gotów jesteś zapytać. Cóż było takiego w tej skromnej, ale pełnej wdzięku sypialni, co przeraziło tak dalece lękliwą, nieśmiałą osobę? Otóż tylko to jedno: sprzęty te nie mogły być rzeczywistymi, solidnymi meblami: fotelem, zwierciadłem i umywalką — zjawami ich tylko co najwyżej — o ile zaś należałoby odrzucić taką hipotezę, jako nazbyt nieprawdopodobną — co przyznaję, uczyniłam właśnie — nie pozostawało nic innego, jak tylko dojść do wniosku, że mój umysł uległ snadź zaćmieniu, innymi słowy, że muszę być chyba chora i fantazjować. I w takim razie wszakże zaćmienie to było osobliwego rodzaju, niepodobne do żadnego innego, jakiemu zdarzyło się kiedykolwiek dręczył umysł ludzki.

Znałam — niepodobieństwem było, abym ich nie znała — zielony kreton, służący za obicie niskiego fotelika; znany mi był kunsztownie powyginany kształt przytulnego krzesła; znałam rzeźbioną, błyszczącą ramę zwierciadła; połyskliwą bladą zieloność porcelanowego garnituru na umywalni, samą tę umywalkę także z jej szarym marmurowym blatem, z lekka rozłupanym w jednym rogu. Wszystkie te sprzęty musiałam wszak poznać i powitać jako starych znajomych, tak samo jak poprzedniego wieczoru poznałam i powitałam meble z różanego drzewa, draperie i porcelanę w salonie.

Bretton! Bretton i wydarzenia sprzed dziesięciu lat odbijały się w tym lustrze. Dlaczegoż by jednak pamięć miała wskrzesić tak żywo Bretton i czternasty rok mojego życia? Dlaczego narzuciła się mojemu wzrokowi wizja samych sprzętów tylko, gdy pokoje i całe środowisko były zupełnie inne? Tę zalotnie przybraną falbankami z nicianych koronek i złotymi perełkami poduszczonek do szpilek,

260

zrobioną ze szkarłatnego atlasu, miałam takie samo prawo znać, jak miałam prawo znać zasłonki: i pierwsze, i drugie były dziełem moich rąk. Usiadłszy na łóżku, sięgnęłam po poduszczonek, aby przyjrzeć się jej bliżej. Tak. Oto litery L.L.B., wyhaftowane złotymi perełkami i okolone owalnym wianuszkim zrobionym atłaskowym białym haftem. Były to początkowe litery imion i nazwiska mojej matki chrestnej, Luizy Lucy Bretton.

Czy jestem w Anglii? W Bretton? — przyszło mi na myśl. Pospiesznie rozsunawszy kotary przy oknie, wyjrzałam na zewnątrz, aby zorientować się, gdzie jestem, licząc na to, że zobaczę spokojne, stare, miłe oku budowle i czystą, ułożoną ze starych fliz kamiennych jezdnię ulicy Św. Anny, na której końcu zarysują się strzeliste wieże katedry. Gdyby zaś nie miał odsonić się przede mną ten właśnie widok, liczyłam raczej na ujście którejś z ulic w Villette albo też ulicy w jakimś miłym starym mieście angielskim.

A tymczasem, zamiast tej wizji, miałam przed sobą taras z murawy, wyzieraający spoza zagęszczonego dokoła wysokich okien obramowania z liści i opadający ku soczystej łące gazon ocieniony drzewami, które wyrastały z gruntu położonego poniżej — wysokimi drzewami leśnymi, jakich nie widziałam już od dawna. Uginały się one teraz, smagane podmuchami październikowego wichru; pomiędzy ich pniami dostrzegłam aleję, żółtącą się grubą warstwą jesiennych liści, których mnóstwo wirowało w powietrzu. Nie mogłam widzieć dalszych planów krajobrazu, domyślałam się jednak, że okolica musi być płaska i nizinna. Miejsce to zdawała się być jak gdyby odcięta od świata i była zupełnie nieznaną, zdecydowanie obcą.

Położyłam się ponownie. Łóżko moje umieszczone było w małej wgłębionej alkowie.

Wystarczyło odwrócić głowę ku ścianie, aby wykluczyć sprzed oczu cały pokój wraz z tak

bardzo oszałamiającymi mnie jego akcesoriami. Wykluczyć? Nie! Układając się odpowiednio na łóżku w celu odcięcia się od reszty pokoju, a tym

261

samym od związanych z nim narzucających mi się natrętnie wspomnień, ujrzałam na zielonej przestrzeni ściany pomiędzy podniesionymi i upiętymi w górze firankami szeroką połączoną ramę, okalającą portret. Była to dobrze namalowana akwarela, jakkolwiek traktowana szkicowo jedynie; głowa chłopca, świeża, młodzieńcza, jak żywa, jak gdyby miał przemówić. Chłopiec wydawał się szesnastolatkiem o jasnej zdrowej cerze, z długimi kasztanowymi włosami o słonecznym blasku. Oczy chłopca patrzyły przenikliwie, usta zarysowane miał ładnie wygiętym łukiem, ułożone do wesołego uśmiechu. Była to twarz niezmiernie pociągająca, dla tych zwłaszcza, którzy mogli rościć prawo do serdeczniejszych uczuć ze strony pierwowzoru — dla rodziców jego, na przykład, czy sióstr. Byle romantyczna pensjonarka mogłaby zakochać się w samym tym jego portrecie. W oczach chłopca było coś takiego, co pozwalało przypuszczać, że gdy dorośnie i dojrzeje, błyskawicznie zapłonie w nich iskra żywego odzewu na wezwanie miłosne: trudniej byłoby przewidzieć, czy dochowają one wiernie żaru tego uczucia. Kapryśny zarys jego pięknych ust był ostrzeżeniem niejako, że zbyt wyraźnie okazywana mu, zdobyta bez większego wysiłku z jego strony miłość łatwo spotkać się może z lekceważeniem.

Usiłując przyjąć każde nowe odkrycie ze spokojem, na jaki tylko mogłam się zdobyć, szepnęłam sama do siebie: O, ten portrecik wisiał zazwyczaj w pokoju jadalnym nad kominkiem. Zawsze wydawało mi się, że umieszczono go zbyt wysoko. Pamiętam, że zwykłam wlaźć na taboret fortepianowy, aby zdjęć ten portret ze ściany, wziąć go do ręki i napatrzeć się tym wesoło iskrzącym się oczom, których błysk spod orzechowych rzęs zdawał się uwięzionym na płótnie uśmiechem. Pamiętam też, jak bardzo podobało mi się żywe zabarwienie policzków i wyraz oczu. Trudno było mi wyobrazić sobie coś bardziej uroczego, niż ten wykrój ust czy zarys podbródka, i ja nawet w ówczesnej swojej nieświadomości czułam, jak bardzo są one piękne, rozważałam też zadawane sobie samej pytanie: czy

262

możliwe, aby to, co tak bardzo czaruje, zdolne było zarazem ranić boleśnie?

Pewnego razu, tytułem próby, podniosłam małeńką Miss Home i powiedziałam jej, aby przyjrzała się portretowi.

— Podoba ci się ten portret, Polly? — zapytałam. Ale mała nie odpowiedziała nic, wpatrywała się tylko długo w twarz chłopca na portrecie, wreszcie wrażliwe jej oczy omroczył cień smutku.

— Niech mnie pani puści na podłogę — rzekła.

Puściłam ją, pomyślawszy: to dziecko również wyczuwa podświadomie niebezpieczny czar, jakim tchną rysy chłopca.

Wszystko to odżyło nagle w mojej pamięci.

Tak, miał wady, niewątpliwie, mimo to rzadko spotkać można było naturę subtelniejszą, szlachetniejszą i bardziej rycerską.

Rozważania moje znalazły ostateczny wyraz w głośnym wypowiedzeniu imienia: „Graham!”

— Graham! — powtórzył jakiś głos tuż przy moim łóżku. — Chce pani widzieć Grahama?

Podniosłam oczy. Zagadka wikłała się coraz bardziej; zdumienie moje doszło do punktu kulminacyjnego. O ile niesłychanie dziwne wydało mi się dostrzeżenie dobrze zapamiętanego portreciku na ścianie tego pokoju, o tyle dziwniejszy i bardziej niepojęty czekał mnie widok, kiedy odwróciłam głowę i spotkałam się oko w oko z nie mniej dobrze zapamiętaną postacią kobiecą. Przedemną stała niewiasta, której istnienie — na pewno nie była to zjawą, choćby z racji dość pokaźnej tuszy — nie ulegało wątpliwości. Niewiasta była dostatnio ubrana we wdowie jedwabie i w koronkowy czepeczek, zręcznie upięty na macierzyńsko dostojnych,

mocno siwiejących włosach. Twarz jej tchnęła dobrocią: zbyt wyrazista i energiczna, aby mogła być nazwana piękną, świadczyła po dawnemu o rozumie i charakterze. Bardzo niewiele się zmieniła, może nieco tylko spoważniała, trochę też przybladła. Niepodobna było wątpić, że to pani Bretton, moja matka chrzestna.

263

Zachowałam pozorny spokój, byłam jednak niezmiernie podniecona, serce moje tłuło przyspieszonym gwałtownie tętnem, cała krew spłynęła mi z twarzy, zeszywniałej nagle i zmrożonej.

— Gdzie jestem, proszę pani? — zapytałam.

—W bardzo bezpiecznym schronieniu; dobrze umieszczona na razie; może pani pozostać u nas zupełnie spokojnie, dopóki nie powróci pani do zdrowia; tymczasem jeszcze sprawia pani wrażenie osoby chorej.

— Jestem zupełnie oszołomiona; nie wiem, czy mam wierzyć moim zmysłom, czy może omamniają mnie one i wprowadzają w błąd. Mówi pani po angielsku; nie myślę się wszak?

— Słyszysz pani to chyba? Ja sama byłabym zdumiona, gdybym miała prowadzić dłuższą rozmowę po francusku.

— Pochodzi pani z Anglii?

—Niedawno przybyłam stamtąd. A pani, czy dawno jest w tym kraju? Jak widzę, zna pani mojego syna?

— Czyżby? Możliwe, że znam. Czy to pani syn na tym portrecie?

— Tak, to jego portret, kiedy był chłopcem. Patrząc właśnie na ten portret, wymieniła pani jego imię.

— Graham Bretton?! Starsza kobieta skinęła głową.

— Mówię zatem z panią Bretton, pochodzącą z Bretton?

— Oczywiście. A pani, jak słyszę, jest nauczycielką języka angielskiego w jednej z tutejszych szkół: syn mój mówił mi o tym.

— Kto znalazł mnie i gdzie, proszę pani?

— Syn mój opowie pani o tym wszystkim, nie od razu jednak. Jest pani teraz jeszcze zbyt słaba i oszołomiona, aby móc rozmawiać; niech pani postara się zjeść to, co pani przyniosą na śniadanie, a potem zasnąć.

Bez względu na wszystko, co przesłałam, pomimo zmęczenia fizycznego, zaburzeń duchowych i oddziaływania fatalnej pogody

264

— stan mój poprawił się wyraźnie. Spadła gorączka, będąca głównym fizycznym objawem chorobowym i wyniszczająca mój organizm; dzięki temu może ja, która od dziewięciu dni nie byłam w stanie przełknąć kęsa strawy, cierpiąc tylko nieustanne męki pragnienia, poczułam nagły głód. Rzuciłam się łapczywie na grzanek, którą pozwolono mi dodać do przyniesionej na śniadanie filiżanki herbaty. Był to wprawdzie tylko mały kawałek, wystarczył jednak: podtrzymał moje siły aż do czasu, kiedy w dwie godziny później służący podał mi filiżankę bulionu i sucharek.

Zaczęło się zmierzchać, wicher nie przestał jednak dąć z niesłabnącą gwałtownością, a deszcz lał w dalszym ciągu strumieniami. Leżenie w łóżku sprzykrzyło mi się i zmęczyło mnie. Pokój, jakkolwiek ładny i przytulny, był mały. Czułam się jak w zamknięciu, pragnęłam odmiany. Przygnębiająco oddziaływał na mnie również zapadający zmrok i przenikliwy chłód. Pragnęłam oglądać coś innego, widzieć ludzi, ogrzać się przy kominku. Nie przestawałam poza tym myśleć o synu dostojnej niewiasty: kiedy go zobaczę? Niewątpliwie nie wcześniej, aż wyjdę z tego pokoju.

Służąca przyszła poprawić mi poślanie na noc. Chciała otulić mnie kołdrą i posadzić na fotelu, odmówiłam jednak i ubrałam się. Usiadłam, by nieco odpocząć po bądź co bądź męczącym jeszcze dla mnie zadaniu. W tej pozycji zastała mnie pani Bretton.

— Ubrana? — uśmiechnęła się w sposób tak dobrze mi znany. Uśmiech jej był miły, jakkolwiek bynajmniej nie łagodny. — Czujesz się więc lepiej, moje dziecko? Odzyskałaś zupełnie siły?

Przemawiała do mnie, jak dawniej. Ten sam ton z lekka protekcyjny i serdecznie opiekuńczy brzmiał w jej głosie; zachowała w sposobie mówienia ten sam wyrozumiały, życzliwy wyraz twarzy, z jakim spotykałam się z jej strony, będąc podlotkiem, i jaki tak bardzo lubiłam. Wiedziałam wówczas, że ten ton z lekka protekcyjny nie wynika z poczucia własnej wyższości majątkowej czy jej wyższej pozycji socjalnej (pod tym względem zresztą nie zachodziła pomię-

265

dzy nami nierówność: należałam do tej samej klasy towarzyskiej co ona), ale jedynie z przewagi wieku. Był to z jej strony naturalny ton, niczym wyniośle opiekuńczy stosunek drzewa do trawy. Nie krępując się też, poprosiłam, aby pozwoliła mi zejść na dół.

— Zbyt smutno i zimno jest mi w tym pokoju — wytłumaczyłam się.

— Jak najchętniej, o ile czujesz się dość silna, moje dziecko, by znieść tę zmianę — odparła.

— Chodźmy więc — dodała, ujmując mnie pod ramię. Zeszliśmy w ten sposób piętro niżej po wysłanych dywanem schodach na podest, na którym otwarte były wysokie drzwi, wiodące do znanego mi już błękitnego salonu. Jak wesoło i przytulnie wyglądał w świetle lampy z bursztynu i różowej łunie ognia, płonącego na kominku! Jakby dla dopełnienia pociągającego obrazu przygotowano stół do herbaty, do której nakryto w sposób typowo angielski.

Poznałam od razu tak dobrze mi znane niegdyś nakrycie: masywny staroświecki srebrny samowar w kształcie urny, srebrny spory dzbanek do mleka, cienkie, przezroczyste nieomal jak szkło, porcelanowe filiżanki, i także spodeczki i talerzyki, ciem-noszkarałatne z bogato złożonymi obwódkami. Pamiętałam nawet rodzaj drożdżowego ciasta, pieczonego w specjalnej formie, którego nie brakło nigdy przy podwieczorku w Bretton. Graham lubił je, i teraz także, jak zawsze, stało ono przy jego nakryciu wraz ze srebrnym nożem i widelcem do krajania ciasta. Spodziewano się zatem przyjścia Grahama na herbatę; może był już w domu i za kilka minut go zobaczę...

— Proszę, usiądź, dziecko — uprzejmie zaproponowała mi moja przewodniczka, wyczuwszy snadź, że przekraczając próg pokoju, zachwiałam się lekko. Podprowadziła mnie do kominka i chciała posadzić na kanapce, ja jednak, w obawie, aby tuż przy ogniu nie było mi za gorąco, minęłam kanapkę i w jej cieniu znalazłam krzeselko, które wydało mi się bardziej odpowiednie. Narzucanie swojej woli komukolwiek nie było nigdy zwyczajem pani Bretton i

266

tym razem także nie zaoponowała; pozwoliła mi usiąść, gdzie chciałam. Sama przyniosła mi filiżankę herbaty, po czym zabrała się do czytania gazety. Lubiałam niegdyś przypatrywać się ruchom mojej matki chrestnej; były takie młode i takie sprawne. Pani Bretton musiała mieć teraz około pięćdziesięciu lat, a może pięćdziesiąt z ogonkiem, ani duch jej wszakże, ani ciało nawet, nie zdawały się być poważniej draśnięte zębem czasu. Mimo okazałej tuszy była zwinna i zręczna, pogodna przeważnie, chwilami jednak potrafiła być gwałtowna. Dobry stan zdrowia i wesołe usposobienie utrzymywały niezmiennie wiosenną jej świeżość.

Zauważyłam, że czytając nasłuchuje — prawdopodobnie w oczekiwaniu syna. Nie należała do osób zwykłych przyznawać się do niepokoju, burza srożyła się jednak w dalszym ciągu, gdy więc Graham był w taką pogodę poza domem, rozumiałam, że jako matka musi martwić się o niego i przeżywać z nim razem świsty wichru i potoki deszczu.

— Spóźnia się już dziesięć minut — rzekła, rzuciwszy okiem na zegarek, w następnej chwili wszakże podniesienie oczu znad gazety i lekkie pochylenie głowy w kierunku drzwi wskazały mi, że musiał dojść jej uszu upragniony odgłos. Czoło jej rozjaśniło się; równocześnie ja także usłyszałam szcęknięcie zatrzaśniętej żelaznej furtki, potem skrzypienie kroków na

piasku. Wreszcie dzwonek. Przyszedł... Matka zaparzyła świeżą herbatę i przysunęła bliżej do kominka miękko wysłany, obity błękitnym adamaszkiem fotel, jej własny, z prawa przynależny jej fotel, był jednak widocznie w tym domu człowiek, który mógł śmiało i bezkarnie uzurpować sobie to prawo. A kiedy ten człowiek przyszedł na górę — co uczynił niebawem po dokonaniu, jak przypuszczam, pewnych zabiegów toaletowych, niezbędnych w tak wietrzny, deszczowy wieczór — wszedł do pokoju bez pukania.

— Czy to ty, Grahamie? — spytała pani Bretton tonem rozmyślnie szorstkim, ukrywając radosny uśmiech.

267

— A któż inny mógłby to być, mamó? — odpowiedział niepunctualny przybysz, bez skrupułów obejmując równocześnie w posiadanie tron, z którego abdykowała matka.

— Zasługiwałbyś właściwie na zimną herbatę za spóźnienie.

— Jestem spokojny, że nie dostanę tego, na co zasłużyłem; samowar buzuje aż miło.

— Przysuń sobie fotel do stołu, leniwcze: nie umiesz siadać na innym fotelu, tylko właśnie na moim; gdybyś miał iskierkę bodaj poczucia przyzwoitości, nie zajmowałbyś nigdy tego fotela, pozostawiając go zawsze twojej starszej pani.

— Słusznie. Powinien bym, tylko że starsza pani stale mi go podsuwa. Jakże się miewa twoja pacjentka, mamó?

— Może wystąpi na widownię i sama odpowie na to pytanie? — rzekła pani Bretton, zwracając się ku mojemu kącikowi, który opuściłam na tę zachętę. Graham dworsko zerwał się, aby mnie przywitać. Stał w całej okazałości przy kominku, najzupełniej usprawiedliwiając swoim wyglądem nie tajoną dumę matki.

— Zeszła pani na dół — rzekł — czuje się więc pani lepiej, o wiele lepiej, jak widzę. Muszę przyznać, że nie przypuszczałem, abyśmy mieli spotkać się w ten sposób tutaj. Byłem przerażony wczoraj wieczorem i gdybym nie był zmuszony udać się spiesznie do umierającego pacjenta, na pewno nie opuściłbym pani. Ale moja matka sama ma w sobie coś z doktora, a nasza Marta jest doskonałą pielęgniarką. Widziałem, że pani zemdląła tylko, co nie jest jeszcze niczym groźnym. Muszę zbadać dopiero, czym omdlenie to było spowodowane, jak również dowiedzieć się bliższych szczegółów. Na razie chcę wierzyć, że pani naprawdę czuje się lepiej.

— O wiele lepiej — odparłam spokojnie. — Bardzo panu dziękuję, panie doktorze Johnie. Bowiem, czytelniku mój, tym dorodnym młodym człowiekiem — tym uwielbianym synem pani Bretton, a moim łaskawym gospo-

268

darzem, był doktor John, on sam we własnej osobie. Co dziwne jednak, stwierdziłam ten fakt prawie bez zdumienia. A co jeszcze dziwniejsze, kiedy usłyszałam kroki Grahama na schodach, wiedziałam, jaką twarz i postać ujrzę przed sobą, na czyj widok mają być przygotowane moje oczy. Odkrycia tego nie dokonałam wówczas; od dawna już świtać zaczęła ta myśl w mojej świadomości. Doskonale oczywiście pamiętałam młodego Brettona, jakkolwiek też dziesięć lat (od szesnastu do dwudziestu sześciu) musi z konieczności znacznie zmienić chłopca, który przez ten czas stał się dojrzałym mężczyzną, nie mógł jednak czas ten dokonać takiej zmiany, która wystarczyłaby do zupełnego oślepienia moich oczu i zmącenia mojej pamięci.

Doktor John Graham Bretton zachował jeszcze pewną młodzieńczość dawnego szesnastolatka; miał nie zmienione oczy i niektóre z rysów, nade wszystko wyraziście ukształtowaną dolną połowę twarzy. Po tym wszystkim poznałam go rychło. Po raz pierwszy poznałam go przy owej, zaznaczonej o kilka rozdziałów wstecz, okazji, kiedy nieostrożnie utkwivszy w nim badawczy wzrok, zostałam nieco opryskliwie skarcona. Dalsze moje obserwacje potwierdziły w każdym punkcie zasadność owego pierwotnego przypuszczenia. Odnajdowałam w gestach, ruchach, w całej jego postaci i nawykach dojrzałego mężczyzny,

zniszczenie wszystkich zapowiedzi, jakie rokował młody chłopiec. W jego głębokim, męskim głosie dosłuchiwałam się brzmienia chłopięcego z dawnych dni. Pewne zwroty i sposoby wyrażania się, cechujące Grahama przed dziesięciu laty, charakteryzowały doktora Johna i teraz jeszcze, tak samo jak lekkie drgania oczu i warg, uśmiech, nagły błysk, iskrzący się w tęczę pod swoiście zarysowanym czołem.

Powiedzieć coś natemat. napomknąć o moim odkryciu — byłoby rzeczą niezgodną z moim sposobem myślenia i odczuwania. Wolałam, wprost przeciwnie, zachować to odkrycie dla siebie. Przyjemność sprawiało mi móc zaskoczyć go stojącego z

269

chmurą na czole w osobliwym oświetleniu, którego błyski uwydatniały zarys jego głowy i drgały dokoła jego nóg, pozostawiając całą postać w cieniu.

Wiedziałam, że nie sprawiłoby na nim wielkiego wrażenia, gdybym podeszła do niego i oznajmiła mu: „Ma pan przed sobą Lucy Snowe!”. Dlatego też trzymałam się w ukryciu, uważana przez niego za nauczycielkę, o której nazwisko nigdy nie pytał, nie widziałam więc potrzeby podawania go. Słyszał, że nazywają mnie „Miss” albo „Miss Lucy”, nigdy natomiast nie słyszał wymienianego mojego nazwiska „Snowe”. Nie rozpoznał mnie — mimo że moja powierzchowność uległa mniejszej może zmianie niż jego — nie zdawało się nigdy zanosić nawet na to, dlaczego więc miałabym narzucać mu się z przypomnieniem mojej osoby?

Podczas obrządku picia herbaty doktor John zachowywał się uprzejmie, jak zawsze, a kiedy zastawa do herbaty została wyniesiona, urządził sobie wygodne siedzenie, spiętrzywszy kilka poduszek w rogu kanapy i zachęcił mnie, abym zajęła miejsce pośród nich. On i jego matka dorzucili dREW do ognia. Nie upłynęło dziesięć minut od chwili zajęcia miejsca przy kominku, kiedy zauważyłam, że matka Grahama wpatruje się badawczo we mnie. Kobiety zdradzają nieraz większą spostrzegawczość niż mężczyźni.

— Stanowczo! — wykrzyknęła nagle. — Rzadko zdarza mi się widzieć większe podobieństwo! Czy zauważyłeś to, Grahamie?

— Co miałem zauważyć? Co znów stało się naszej starszej pani? Dlaczego wpatrujesz się w panią tak uporczywie, mamó? Nie jesteś wizjonerką, mam nadzieję?

— Powiedz mi, Grahamie, kogo przypomina ci ta młoda osoba? — zapytała syna, wskazując na mnie.

— Ależ, mamó, wprawiasz naszego gościa w zakłopotanie. Zawsze ci powtarzam, że bezpośredniość jest największą twoją wadą; nie zapominaj, że ta pani nie zna cię jeszcze i nie zdążyła przywyknąć do twoich wyskoków.

270

— O, przypatrz się jej teraz, kiedy spuszcza oczy, kiedy odwraca głowę! Do kogo jest podobna?

— Doprawdy, mamó, skoro już upierasz się, żeby mówić zagadkami, może zechciałabyś łaskawie podać nam od razu ich rozwiązanie.

— I powiadasz, że znasz ją już od dłuższego czasu, odkąd zacząłeś bywać jako lekarz na pensji przy Rue Fossette? Nigdy jednak nie wspomniałeś mi ani słowem o tym uderzającym podobieństwie.

— Nie mogłem wspomnieć ci o czymś, co nigdy nie przychodziło mi na myśl i czego nie widzę jeszcze w tej chwili. O czym właściwie mówisz, mamó?

— Niemądry chłopcze! Spójrz na nią!

Graham skierował posłusznie wzrok w moją stronę. Nie mogłam tego dłużej znieść.

Wiedziałam, czym to się skończy, uważałam więc za właściwe przyspieszyć rozwiązanie.

— Doktor John — rzekłam — miał zawsze, od czasu naszego rozstania przy ulicy Św. Anny, tyle roboty i tak bardzo zaprzątnięte myśli czym innym, i mimo iż ja sama poznałam w nim już przed paroma miesiącami Grahama Brettona, nie przychodziło mu nigdy na myśl rozpoznać we mnie Lucy Snowe.

— Lucy Snowe! Tak, wiedziałam! Odgadłam! — zawołała pani Bretton, i podbiegłszy ku mnie, objęła mnie serdecznie i ucałowała. Są kobiety, które zaznaczyłyby podobne rozpoznanie gwałtownymi wybuchami czułości, chociażby nawet nie stanowiło ono dla nich tak bardzo radosnej niespodzianki. Folgowanie uczuciom i gwałtowność nie leżały w naturze mojej matki chrzestnej, która starała się możliwie ograniczyć i przytłumić wzruszenie z powodu radosnego odkrycia, poprzestawszy na kilku słowach i jednym serdecznym, szczerym uścisku. Pozwalam sobie jednak sądzić, że pani Bretton była zadowolona, co się zaś mnie tyczy, wiem, że byłam rada nad wyraz. Kiedy my

271

obie odnawialiśmy w ten sposób naszą znajomość, Graham, siedzący naprzeciwko mnie, w milczeniu przetrawiał swoje zdumienie.

— Mama nazywa mnie niemądrym chłopakiem — rzekł w końcu — myślę też, że muszę naprawdę chyba być głupi: tak często przecież widywałem panią, a przez chwilę nawet nie przyszło mi na myśl podejrzewać coś podobnego. Ale teraz widzę wszystko jasno jak na dłoni. Lucy Snowe?! Ależ tak, naturalnie! Przypominam ją sobie doskonale! I oto teraz ona sama siedzi przede mną! Nie może to ulegać wątpliwości. Ale — dodał — pani chyba nie widziała we mnie przez cały czas dawnego znajomego? Nigdy ani słówkiem nie wspomniała pani o tym.

— Przeciwnie. Poznałam pana.

Doktor John nie odpowiedział nic na to. Przypuszczam, że moje zachowanie w tej sprawie wydać mu się musiało nadmiernie ekscentryczne, powstrzymał się wszakże od wszelkich komentarzy na ten temat. Bliższe dopytywanie się o powody mojej powściągliwości uważałby prawdopodobnie za natrętne zuchwalstwo. Jakkolwiek też był niewątpliwie zainteresowany, nie chciał zaspokoić swojej ciekawości badaniem śledczym, które w jego pojęciu byłoby dopuszczeniem się karygodnej niedyskrecji.

Ja sama odważyłam się zapytać doktora Johna, czy przypomina sobie, jak uporczywie wpatrywałam się w niego pewnego razu. Zniecierpliwienie, jakie zdradził wówczas, może bezwiednie, brzmieniem swojego głosu, wciąż jeszcze tkwiło w mojej pamięci ostrzem zasłużonego wyrzutu.

— Tak, przypominam sobie! — zawołał — przypominam sobie nawet, że byłem zły na panią.

— Uważał mnie pan za nazbyt zuchwałą, prawda?

— Nie, bynajmniej. Jednakże wobec zwykłej pani nieśmiałości i powściągliwości dziwiło mnie to nieco i niepokoiło zarazem. Łamałem sobie głowę, jaka potworność we mnie kazała pani przyglą-

272

dać mi się tak badawczo i nie odwracać ode mnie skromnie spuszczonej zazwyczaj oczu.

— Rozumie mnie pan teraz?

— Najzupełniej.

W tym momencie wdała się w rozmowę pani Bretton. Daleka od skrupułów, jakimi kierował się jej syn, zarzuciła mnie wszelkiego rodzaju pytaniami. Aby zaspokoić jej ciekawość, zmuszona byłam cofnąć się pamięcią do minionych dni, odtworzyć wszystkie przeżyte zdarzenia i troski, i wyjaśnić powody pozornego mojego trzymania się z daleka koniecznością borykania się w pojedynkę z życiem, ze śmiercią, z klęskami, ze złym losem. Z kolei oni oboje opowiedzieli mi o zmianach, jakie zaszły w ich życiu. Okazało się, że i u nich także nie poszło wszystko gładko: fortuna, niegdyś taka szczodra, odwróciła się i przestała darzyć ich po dawnemu swoimi łaskami. Odważna wszelako i energiczna matka, mająca do pomocy tak dzielnie walczącego u jej boku zapaśnika w osobie syna, była należycie uzbrojona do stoczenia zwycięskiej walki ze światem. Doktor John był z rodzaju tych, przy których kołysce musiały czuwać dobre wróżki. Może też urodził się pod pomyślną gwiazdą. Przeciwności mogły najsrożej szczerzyć do niego kły, potrafił zawsze wszelako rozbroić je i pokonać siłą

swojego uśmiechu. Silny, stale dobrej myśli, stanowczy, zarazem rycerski, nie działający nieopatrzenie, acz nieustraszenie odważny, był stworzony do zwycięskiego przeciwstawiania się wyrokom losu i uzyskania z kamiennie nieubłaganych jego oczu przyjaznego nieomal błysku.

W dziedzinie pracy zawodowej, jaką obrał, powodzenie jego było już teraz najzupełniej ustalone. Przed trzema miesiącami, jak opowiedzieli mi oboje, wynajął ten dom (mały pałacyk, odległy o pół mili angielskiej od Porte de Crécý) ze względu na zdrowie swojej matki, której powietrze miejskie stanowczo nie służyło. Kiedy sprowadził ją do tego domu, zabrała z sobą, opuszczając Anglię, dawne umeblowanie z ulicy św. Anny w Bretton, te

przynajmniej ze sprzę-

273
tów, których nie chciała czy nie uważała za właściwe sprzedać. Stąd moje oszołomienie wobec „zjaw” tak dobrze mi niegdyś znanych sprzętów: foteli, krzeseł, zwierciadeł, a także samowara i zastawy do herbaty.

Kiedy zegar wybił jedenastą, doktor John zwrócił się do matki:

— Miss Snowe musi udać się teraz na spoczynek — rzekł — błędnie coraz bardziej. Jutro pozwolę sobie zadać jej kilka zawodowych pytań, dotyczących powodu zasłabnięcia. Zmieniła się znacznie od lipca, kiedy widziałem ją, występującą, nie bez talentu, w roli pięknego pozeracza serc. Jestem pewien, że z fatalną przygodą, jaka spotkała ją tej nocy, wiązać się musi osobliwa jakaś przyczyna, na dzisiaj wszakże dość wypytywania ją o cokolwiek. Dobranoc pani, Lucy.

Powiedziawszy to, uprzejmie odprowadził mnie do drzwi i trzymając zapaloną świecę woskową w ręku, oświetlił mi drogę na pierwsze piętro.

Po odmówieniu modlitwy wieczornej i położeniu się do łóżka zasnęłam z błogim uczuciem, że mam przyjaciół. Nie narzucali się oni wprawdzie z gwałtownym oświadczeniem mi swojej miłości, nie byli złączeni ze mną pokrewieństwem, nie byli nawet ludźmi bliskimi, do których mogłabym z tego tytułu rościć poważniejsze prawa, ale wiedziałam, bądź co bądź, że mogę liczyć na szczerą życzliwość z ich strony, a nawet na pewne przywiązanie. Instynktownie lgnęło do nich moje przepelnione wdzięcznością serce, nauczona wszakże smutnym doświadczeniem, błagałam rozsądek, aby w porę mnie powstrzymał.

— Nie pozwól mi myśleć o nich zbyt często ani z nadmierną miłością — zaklinałam — każ mi zadowolić się niewielkim łykiem, zaczerpniętym z tego źródła; spraw, abym nie biegła spragniona ku zbawczym jego wodom; abym nie wyobrażała sobie, że ma ono słodszy smak, aniżeli zwykły posiadać źródła na ziemi. O, Boże, spraw, abym czuła się dostatecznie pokrzepiona widywaniem moich

274

przyjaciół z rzadka i na krótko, nie monopolizując ich na wyłączną własność, ale spokojnie korzystając z ich towarzystwa: zupełnie spokojnie!

Powtarzając jeszcze te słowa, ułożyłam się do snu; wciąż od nowa powtarzając je, zrosiłam poduszkę łzami.

ROZDZIAŁ XVII

La Terrasse

Walka z własną naturą, z nie dającą się poskromić skłonnością, może wydać się znikoma i bezcelowa, w ostatecznym wszelako wyniku wywiera wpływ dodatni. Przyczynia się w słabym stopniu może, ale niewątpliwie, do nadania czynom i całemu zachowaniu kierunku, który rozum pochwała, a któremu uczucie przeciwstawia się może zbyt często: wpływa

bezsprzecznie na zmianę ogólnego nastawienia życiowego, umożliwiając dokładniejsze jego uregulowanie, zapewniając większą równowagę i pozorny przynajmniej spokój. Świat widzi przecież tylko pozory, to jedynie, co jest na powierzchni, nie sięgając do głębszych pokładów duszy i pozostawiając Bogu to, co leży pod powierzchnią. Człowiek równy nam, równie słaby jak my, nie powołany do tego, aby był naszym sędzią, może nie być dopuszczony do tych głębszych nurtów podskórnych: Stwórca naszemu jedynie ukażmy tajniki ducha, jakiego w nas tchnął — do Niego zwróćmy się z prośbą o pouczenie, jak znosić cierpienia, wyznaczone nam z Jego woli — klękniemy przed Nim i módlmy się z pełnią wiary o światło w ciemności, o siłę w żalosnej słabości, o cierpliwość w ostatecznej potrzebie. Nadejdzie niewątpliwie taka godzina, jakkolwiek może nie nasza godzina, w której poruszą się czekające beczynn timer wody, a zwiastun uzdrowienia ukaże się nam w jakiejś postaci, jakkolwiek nie w tej może, w której śniliśmy o nim, w której ukochaliśmy go, i z tęsknoty za którą wykrwawiały się nasze serca. Pod jego przewodem i za jego sprawą kaleka i ślepiec, niemy i opętany—zostaną skierowani do ożywczej, uzdrawiającej kąpieli. O, zwiastunie, ukaż się jak najprędzej! Tysiące leżą dokoła jeziora, łkając i rozpaczając, że poprzez wolno płynące lata są świadkami pleśnienia jego nieruchomych wód. Długo

276

są okresy niebios: orbity anielskich wysłanników wydają się bezkresne wzrokowi śmiertelników; mogą obejmować wieki: cykl jednego wyjścia i powrotu obejmować może niezliczone pokolenia, a przez ten czas zanikać może wielokrotnie pamięć pyłku, zrodzonego do krótkiego życia w cierpieniu i poprzez przecierpiany ból obracającego się ponownie w pył. Jak wielu okaleczonym i oplakującym milionom ukazuje się pierwszy i jedyny anioł, któremu ludy Wschodu nadają imię AzraelaL.

Próbowałam wstać nazajutrz z rana. Podczas gdy ubierałam się, P°piJaJ?c °d czasu do czasu wodę z karafki stojącej wraz ze szklaneczką na mojej umywalni, aby orzeźwić się nieco i pokonać słabość, weszła do mnie pani Bretton.

— Ależ to niedorzeczność! — zawołała na powitanie. — Nic z tego! —dodała i wzięła mnie od razu w obroty w swój energiczny, władczy sposób, który tak bardzo podobał mi się, stosowany przez nią uprzednio do syna, przeciwstawiającego mu się z całą stanowczością; w ciągu dwóch minut unieruchomiła mnie ponownie w wielkim francuskim łóżku.

— Będziesz tu leżała do popołudnia — oznajmiła mi. — Mój chłopiec wydał takie rozporządzenie przed wyjściem z domu, a mogę cię zapewnić, że mój syn jest panem, którego rozkazom musisz się podporządkować. Przede wszystkim zjesz śniadanie.

Przyniosła je niebawem, dźwigając własnymi sprawnymi, silnymi rękami suto zastawioną tacę i ani myśląc wyręczać się służbą. Postawiwszy przy mnie śniadanie, usiadła na łóżku i nie podniosła się przez cały czas mojego posiłku. Nie każdego, nawet spośród najbardziej cenionych przyjaciół i darzonych sympatią znajomych, z którymi chętnie obcujemy, radzi bylibyśmy mieć przy sobie nieustannie, przyjmować jego usługi i traktowanie z poufałością pielęgniarki w stosunku do pacjenta. Pani Bretton była tą jedyną osobą, której obecność w czasie mojej choroby działała na mnie kojąco. Oddawane mi przez nią posługi pielęgniarskie były mi zawsze u-

277

pragnione. Jadło i napoje nie smakowały mi nigdy tak bardzo, jak wówczas, kiedy przechodziły przez jej ręce. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek jej wejście do pokoju nie czyniło go dla mnie od razu miłszym i weselszym. Nasze natury mają te same i tak samo dziwne upodobania i antypatie. Są jednostki, przed którymi cofamy się i z którymi pragnęlibyśmy unikać osobistego zetknięcia, mimo że nasz rozum uznać w nich musi ludzi dobrych; są natomiast inni, którzy mają bezsprzeczne wady usposobienia czy nawet charakteru, a z którymi chętnie jednak współżyjemy, jak gdyby otaczająca ich atmosfera wpływała na nas korzystnie. Ruchliwe czarne oczy mojej matki chrzestnej, jej tryskające

zdrowiem smagłe policzki, jej ciepłe, sprawne ręce, jej zależne od chwilowych porywów wyskoki, jej dzielność i stanowczość dobroczynnie oddziaływały na mnie, jak uzdrawiający klimat. Syn zwykł nazywać ją starszą panią, a mnie ogarniało zawsze miłe zdumienie na widok młodzieńczej żwawości i energii, cechujących niezmiennie jej osobę i wszystko, co z niej promieniowało.

— Chętnie przyniosłabym tutaj moją robótkę — rzekła, odbierając mi opróżnioną filiżankę po herbacie — i siedziałabym tutaj z tobą przez cały dzień, gdyby ten despotyczny John Graham nie postawił stanowczego weta przeciwko podobnym moim zachciankom. „Zapamiętaj sobie, mamó — powiedział, wychodząc z domu — żebyś nie męczyła twojej chrestnej córki plotkowaniem”. Zalecił mi wyraźnie, abym siedziała w moim pokoju i szczydziła ci mojego miłego towarzystwa. Wydaje mu się, jak mówi, że przechodziłaś nerwową gorączkę, moja Lucy. Tak przynajmniej sądzi z twojego wyglądu. Czy było tak naprawdę?

Odpowiedziałam, że nie wiem dokładnie, co mi było, bardzo jednak cierpiałam w istocie, zwłaszcza duchowo. Nie uważałam za właściwe udzielać pani Bretton bliższych wyjaśnień w tym względzie, jako że szczegóły bolesnych przeżyć dotyczyły tej strony mojej egzystencji, w której trudno byłoby spodziewać się zrozumienia u

278

V

matki chrestnej. Jakie nowe strefy życia odsłoniłoby moje wyznanie przed tą naturą zasadniczo zdrową i pogodną? Różnica, zachodząca pomiędzy mną a nią, mogła być zobrazowana przez porównanie okazałego okrętu, żeglującego bezpiecznie po spokojnych, gładkich wodach wraz z całą swoją załogą i dzielnym, przezornym, wesołym kapitanem na czele, z barką leżącą przez większą część roku beczynnym w starym, zmurszałym, ciemnym doku i wyruszającą na morze wówczas jedynie, kiedy fale groźnie piętrzą się w burzliwą pogodę, kiedy zwały chmur opadają nisko, dotykając nie-ledwie powierzchni wody; kiedy niebezpieczeństwo i śmierć żądzą pospołu tajnikami głębin. Nie. Luiza Bretton nie znajdowała się nigdy w taką noc i wśród podobnej grozy poza bezpieczną przystanią; jej załoga nie mogłaby wyobrazić sobie podobnej grozy. Dlatego żeglarz, kierujący swoją na wpół zatopioną barką życiową, nie dzieli się z nikim smutnymi doświadczeniami i doznaniem, nie pozwala sobie na snucie żadnych o nich opowieści.

Wyszła z mojego pokoju, a ja chętnie pozostałam w łóżku. Jak pocziwie ze strony Grahama, że pamiętał o mnie, wychodząc z domu!

Dzień spędziłam samotnie, lecz nadzieja wieczoru skróciła samotne godziny i opromieniła je radością. Czułam się zresztą słaba i dlatego odpoczynek wydawał mi się pożądanym. Po przeminieciu godzin porannych — tych godzin, które darzą nawet ludzi nie mających żadnego zajęcia poczuciem pewnych obowiązków, koniecznych do spełnienia, zabiegów, czekających na ich dokonanie — po przeminieciu ruchliwego tego czasu i uciszeniu się odgłosów biegania służby po schodach i uwijania się jej w pokojach, ogarnął mnie miły senny nastrój.

Mój cichy pokoik wydał mi się pieczarą w morzu. Tonął cały w jednolitym białym i bładozielonym zabarwieniu, przypominającym pianę i głębię wodną; bielony gzyms dookoła sufitu był ozdobiony ornamentem z muszli, w rogach sufitu snuły się postacie

279

delfinów. Jedyna nawet plama barwna, jaką tworzył na tym jednolitym tle czerwony atlas poduszczeni do szpilek, zbliżona była odcieniem do koralu; w ciemnej, połyskującej szybie zwierciadła mogły przeglądać się najady i syreny. Zamknąwszy oczy, słyszałam przycichający ryk wiatru, którego poświsty uderzały o fasadę domu, niby napływająca fala o s'cianę skalną. Słyszałam, jak słabły i cichły w dali, niczym fala przyplwy, oddalająca się od wybrzeża tam w górze — od świata wznoszącego się tak wysoko, że przyplwy

najpotężniejszych fal mógł docierać do tych głębin podwodnych jedynie jako cichy szept kołysanki.

Na tych rojeniach sennych upłynęło mi całe popołudnie aż do wieczora, kiedy to Marta przyniosła lampę. Z pomocą jej zręcznych, usłużnych rąk ubrałam się szybko i silniejsza, aniżeli tego rana, zeszałam na dół do błękitnego salonu sama, bez niczyjej asysty.

Jak się okazało, doktor John zakończył swój cykl wizyt lekarskich wcześniej niż zazwyczaj. Gdy przestąpiłam próg salonu, zobaczyłam najpierw jego sylwetkę. Stał w zagłębieniu okiennym, naprzeciwko drzwi, zajęty odczytywaniem drobnego druku gazety przy resztkę światła, jakie dawał mający się ku schyłkowi dzień. Ogień na kominku płonął jasno, na stole natomiast stała nie zapalona jeszcze lampa, a zastawa do herbaty nie była jeszcze wniesiona. Moja matka chrzestna, która — jako osoba bardzo aktywna — spędziła cały dzień poza domem, na wół leżała na miękko wysłanym głębokim fotelu, drzemiąc w tej chwili. Syn jej pospiesznie podszedł do mnie. Zauważyłam, że stąpał bardzo ostrożnie, aby nie obudzić śpiącej. Jego miękki głos nie miewał nigdy akcentów ostrzejszych; umiarkowany, jak w tej chwili, obliczony był raczej na kołysanie do snu, aniżeli na budzenie z niego.

— To cichy mały pałacyk — chateau — zameczek — jak go tutaj nazywają — zaznaczył, zapraszając mnie do zajęcia miejsca przy oknie — nie wiem, czy pani miała możliwość zauważenia go

280

podczas swoich spacerów; nie jest widoczny od strony gościńca; uszedłszy około mili angielskiej od Porte de Crécy, należy skręcić i pójść ścieżką, która niebawem przechodzi w ocienioną aleję i prowadzi wzdłuż łąk aż do naszych drzwi. Nie jest to dom nowoczesny. Zbudowany został w dawnym stylu Basse-Ville; nie tyle jako chateau, ile manoir — dwór. Nosi nazwę La Terrasse, dlatego że front jego wznosi się sponad szerokiego, porośłego murawą występu, z którego stopnie prowadzą wzdłuż zielonego zbocza ku alei. Niech pani spojrzy w tamtą stronę! Wschodzi księżyc, którego światło ślicznie przedziera się przez gąszcz liści.

Gdzie właściwie księżyc nie wygląda pięknie? Czy istnieje taki pejzaż, któft go nie czarowałoby, nie otaczałoby aureolą szczególnej świętości lśnienie jego kuli? Różowy, o płomiennym zabarwieniu, wypływał w owej chwili ponad niedalekim wałem. Podczas naszej obserwacji wznosił się coraz wyżej, przybierał odcień bardziej złocisty i po krótkiej chwili wynurzył się zupełnie złoty już na rozjaśnione niebo. Czy światło księżycy wpływało na doktora Brettona kojąco, czy przygnębiająco? Czy przemawiało do niego swoją romantycznością? Sądzę, że tak. Mimo że nie był typem wzdychającego trubadura, przyglądając mu się, westchnął z cicha, sam do siebie; westchnienie to było snadź wtórem do jego myśli. Zbędnym byłoby zastanawiać się bliżej nad przyczyną jego chwilowego smutku. Wiem, że wzbudził go widok piękna; myśl jego ulatywała niewątpliwie ku Ginevrze. Poczułam, że skoro wiem o tym, jest moim obowiązkiem wymienić imię tej, która wypełniała jego myśli. Był w każdej chwili gotów najchętniej podjąć ten temat: w jego oczach wyczytałam żywe zainteresowanie, z trudnością hamowany pęd do mówienia o ukochanej i chęć dania upustu swoim uczuciom dla niej. Zawahałam się, od czego zacząć, aby nie wprawić go w zakłopotanie, którego chciałam zaoszczędzić mu za wszelką cenę. Czulałam, że wystarczy wymienić imię jego bogini, a wytryśnie od razu niepowstrzymany potok miłosnej litanii. Obmyśliłam wstępnie zdanie:

281

„Czy wiadomo panu, że panna Fanshave podróżuje z panią Chol-mondeley?”.

Otwierałam już usta, aby zadać mu to pytanie, kiedy nagle udaremnił moje plany poruszeniem innego tematu.

— Pierwszym moim zadaniem dzisiaj rano — rzekł, wyzbywając się od razu wszelkich sentymentów i powracając na ziemię ze swojej wędrówki podobłocznej, usiadł na najbliższym krześle — było udać się na Rue Fossette, aby uspokoić waszą cuisiniere — kucharkę — że jest pani w bezpiecznym schronieniu, w dobrych rękach. Niech sobie pani wyobrazi, że nie zdążyła ona jeszcze zauważyć nieobecności pani w domu: była przekonana, że śpi pani spokojnie w sypialni. Sądząc z tego, łatwo domyślić się, jak starannie była pani dogładana i pielęgnowana!

— O, to zupełnie zrozumiałe — pospieszyłam uspokoić go. — Gotton nie mogła nic więcej zrobić dla mnie poza przynoszeniem mi od czasu do czasu filiżanki ziółek, sławnej ich tisane i kawałka chleba, ja zaś tak często w ciągu ostatniego tygodnia odmawiałam przyjęcia jednego i drugiego, że mogło uprzykrzyć się zacnej niewieście bezcelowe dreptanie z kuchni na górę do sypialni, skończyło się też na tym, że tylko raz dziennie przychodziła przesłać mi łóżko. Proszę mi wierzyć jednak, że jest to istota bardzo dobra z natury. Niewątpliwie z przyjemnością usmażyłaby mi kotlet jagnięcy — ich ulubiony cotelette de mouton — gdybym tylko była w stanie go zjeść.

— Jak mogła Madame Beck pozostawić panią zupełnie samą?

— Madame Beck nie mogła przecież przewidzieć, że się rozchoruję.

— Cierpiała pani głównie z powodu dolegliwości systemu nerwowego.

— Nie wiem, jaka wina obciąża mój system nerwowy, faktem jest wszelako, że czułam się przeraźliwie przygnębiona.

— Wobec tego nie ma co karmić pani pigułkami czy kordiała-
282

mi. Nie potrafią one pokrzepić nikogo na duchu. Moja sztuka kończy się na progu hipochondrii, zagląda tylko i widzi izbę tortur, nie może jednak ani powiedzieć wiele, ani zrobić. Najbardziej przydałoby się pani wesołe towarzystwo; powinna pani unikać samotności, zażywać ruchu i rozrywek.

Milczałam w odpowiedzi na te uwagi, których słuszność najzupełniej uznawałam. Stale powtarzane, zgodnie z przyjętym w podobnych wypadkach zwyczajem, brzmiały one zupełnie rozsądnie.

— Miss Snowe — zaczął doktor John od nowa, wyczerpawszy snadź, ku szczerzej mojej uldze, temat mojego zdrowia, łącznie z moim systemem nerwowym — czy wolno mi zapytać panią o jej wyznanie? Test pani katoliczką?

Podnieć chciałam na niego oczy ze zdziwieniem.

— KaU liczka? Nie. Co mogło nasunąć panu podobną myśl?

— Nasunął mi ją sposób, w jaki oddana pani została w moje ręce onegdaj wieczorem.

— Oddana zostałam w pana ręce?! Nie pamiętam nic w istocie. Mogę dowiedzieć się od pana dopiero szczegółów całego wydarzenia.

— Otóż stało się to w okolicznościach, które wprawiły mnie w zdumienie. Przez cały dzień byłem zajęty przy niebezpiecznie chorym na bardzo ciekawą chorobę pacjencie; wobec rzadko występujących cierpień tego typu leczenie nastęcza szczególne trudności. Udało mi się kiedyś jednak obserwować podobny wypadek w jednym ze szpitali paryskich... Ale prawda! Niewiele może to panią interesować!... Uwolniłem się wreszcie od mojego chorego dzięki zaaplikowaniu mu środków, które złagodziły najbardziej dokuczliwe i niepokojące objawy, jakie towarzyszą tej chorobie — gwałtowne bóle — udałem się też w drogę powrotną do domu. Najkrótsza trasa, którą obrałem ze względu na wyjątkowo ciemną, słotną i wietrzną noc, prowadziła przez dolne miasto — Basse-Ville. Przejeżdżając obok starego kościoła, należącego do zakonu mniszek —

Béguines — dostrzegłem przy świetle palącej się ponad głęboką wnęką wejściową latarni — księdza, który dźwignął w górę ze schodków przed kościołem coś ciężkiego. Latarnia płonęła dostatecznie jasno, aby wyraźnie oświetlić rysy księdza, którego poznałem też od razu. Miałem często okazję widywać go u chorych, zarówno bogatych, jak biednych, przeważnie jednak u tych ostatnich. Jak mi się wydaje, musi to być zacny starzec, znacznie lepszy niż większość współtowarzyszy jego posłannictwa w tym kraju. Przewyższa on ich w każdym razie walorami intelektualnymi i poczuciem obowiązku. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Zawołał mnie prosząc, abym zatrzymał mój wehikuł. Ciężarem, dźwigniętym przez niego ze stopni kościoła, okazała się kobieta, zemdlona czy umierająca. Wyskoczyłem z wolantu. — To pańska rodaczka — rzekł ksiądz. — Uratuj ją, doktorze, jeśli żyje jeszcze... — Moja rodaczka, jak stwierdziłem wnet, okazała się nauczycielką języka angielskiego na pensji Madame Beck. Była nieprzytomna, blada, jak gdyby nie miała ani kropli krwi w żyłach, zmarznięta prawie na kość. — Co to wszystko znaczy? — zapytałem. Ksiądz opowiedział mi ciekawą historię. Była pani podobno tego wieczoru przy jego konfesjonale; uderzyło go niezwykle wyczerpanie i wyraz cierpienia na pani twarzy, co, wraz z niektórymi wypowiedzianymi przez panią słowami...

— Słowami, wypowiedzianymi przeze mnie?!... Co mogłam powiedzieć?

— Wyznała pani niewątpliwie jakieś swoje straszne zbrodnie; nie zdradził jednak, co to było. Tajemnica, obowiązująca spowiednika w sprawie wyznań uczynionych mu przy konfesjonale, powstrzymała jego gadatliwość i zarazem moją ciekawość. Zwierzenia pani nie uczyniły jednak z tego zacnego księdza jej nieprzyjaciela. Jak mi się wydaje, tak bardzo było mu żal młodej osoby, która znalazła się poza domem w taką noc, że uważał za swój chrześcijański obowiązek bacznie obserwować panią po wyjściu z kościoła, aby nie stracić

284

pani z oczu, dopóki nie dostanie się pani z powrotem pod własny dach. Możliwe, że godny kapłan, na wpół świadomie nawet, poszedł zarazem za głosem swojego powołania i chciał przekonać się, gdzie pani mieszka... Czy wyjawiała mu to pani w czasie spowiedzi?

— Nie wyjawiałam. Wprost przeciwnie, starannie unikałam bliższych wskazówek w tym względzie. Co się zaś tyczy mojego przystąpienia do spowiedzi, przypuszczam, że pan, panie doktorze, będzie uważał mój postępek za szalony. Proszę mi wierzyć jednak, że nie byłam w stanie oprzeć się chęci szukania ratunku tą drogą bodaj. Kto wie, czy całe moje postępowanie nie było wynikiem tego, co pan nazywa stanem „mojego systemu nerwowego”. Nie potrafię wypowiedzieć słowami tego, co mnie nękało, zapewniam pana jednak, że i dni, i noce stały się nie do zniesienia. Nie przestawało dręczyć mnie nade wszystko poczucie okrutnej pustki i samotności. Uczucie to musiało wreszcie znaleźć jakieś ujście, o ile nie miało mnie zabić. Porównać je mogę jedynie z prądem (na pewno zrozumie pan mnie, panie doktorze), jaki przepływa przez serce i jaki, o ile stan chorobowy zatyka jego naturalne drogi, szuka ujścia anormalnego. Potrzeba mi było towarzystwa, potrzebna mi była przyjaźń, potrzebna mi była rada. Nie mogąc znaleźć ani jednego z tych niezbędnych mi do życia czynników w całym pustym domu, poszłam szukać ich w kościele i w konfesjonale. To co mówiłam, nie było ani zwierzeniem się, ani opowiadaniem. Nie popełniłam nic złego: moje życie było zbyt monotonne, aby mogło znaleźć się w nim miejsce na jakikolwiek ciemny uczynek, wymaginowany czy rzeczywisty; tak więc wszystko, co uzewnętrzniłam z głębin własnej duszy, było tylko mętną, rozpaczliwą skargą.

— Lucy, powinna by pani na pół roku co najmniej udać się w podróż: tak spokojna zazwyczaj, stała się pani niemożliwie rozdrażniona! Niech lichy porwie Madame Beck! Czy ta fertyczna wdówka nie ma oleju w głowie, żeby skazywać najlepszą swoją nauczycielkę na samotne zamknięcie przez całe lato?

285

— Nie było to wcale winę Madame Beck — rzekłam — nie jest to niczyją na całym świecie winą, nie chcę też, aby obarczano nią kogokolwiek.

— Kto więc zawinił, moja Lucy?

— Ja, doktorze Johnie, ja sama tylko i wielkie niewiadome, na którego szerokie barki składam chętnie góry potępienia; i ja, i ono byliśmy tak wykuci, aby móc dźwigać mnie i mój los.

— W takim razie ta właściwa winowajczyni, to „ja”, musi bardziej dbać o siebie na przyszłość — uśmiechnął się praktyczny młody doktor, dodając: — Moja recepta brzmi: zmiana powietrza, zmiana otoczenia. To przede wszystkim. Powróćmy jednak do naszych spraw, do naszych jagniąt, jak mówią tutaj — й nos moutons. Jak dotychczas, ojciec Silas (mówią, że jest jezuitą) pomimo zręcznej taktyki nie dowiedział się więcej, aniżeli pani chciała, aby wiedział: zamiast skierować się ku Rue Fossette — musiała pani istotnie mieć wysoką gorączkę i majaczyć...

— Nie, doktorze, gorączka spadła właśnie tej nocy. Niech pan nie posądza mnie o majaczenie. Wiem, że tak nie było.

— Niech i tak będzie! Była pani tak przytomna, jak ja w tej chwili. Zgadza się nie wątpić o tym. Fakt jednak, że poszła pani w stronę odwrotną, nie do pensjonatu. Tuż przy Béguinage, pośród wichru, ulewy i ciemności, i pod ich naporem, zemdląła pani i upadła. Ksiądz pospieszył pani na pomoc, a wnet, jak wiemy, zjawił się i lekarz. Wspólnymi siłami umieściliśmy panią w wehikule i przywieźliśmy tutaj. Pere Silas, mimo że jest stary, sam zaniósł panią na górę i położył na kanapie. Pozostałby niewątpliwie przy pani, tak samo jak ja, dopóki nie ocknęłaby się pani z omdlenia, gdyby w tej samej chwili nie przybiegł zdyszany wysłannik od umierającego pacjenta, którego tak niedawno opuściłem, a do którego wzywano nas obu. Ostatnia wizyta lekarza i ostatnia przedśmiertna posługa kapłana; namaszczenie świętymi olejami musiało być dokonane niezwłocznie. Pospieszyliśmy obaj pospołu: pere Silas i ja. Moja matka

286

spędzała wieczór poza domem, powierzyliśmy więc panią opiece Marty, wydawszy jej polecenia, które spełniła z powodzeniem, jak się zdaje. A teraz, kiedy wie pani już wszystko, niech mi pani powie: jest pani katoliczką?

— Jeszcze nie — odparłam z uśmiechem. — Ale proszę, niech pan nie pozwoli, aby pere Silas dowiedział się, gdzie mieszkam; usiłowałby prawdopodobnie nawrócić mnie.

Chciałabym tylko, aby wyraził mu pan, gdy go pan zobaczy, moje najserdeczniejsze podziękowania. O ile miałabym zbogacić się kiedykolwiek, nie omieszkałbym posłać mu trochę pieniędzy na jego jałmużny... Proszę spojrzeć, panie doktorze: matka pańska obudziła się; powinien pan zadzwonić, aby przyniesiono herbatę.

Uczył to, a kiedy pani Bretton wyprostowała się na fotelu, oburzona na samą siebie za ulegnięcie karygodnej słabości, jak uważała, a zarazem bezwzględnie zdecydowana przeczyć, jakoby miała uciąć drzemkę, syn żartobliwie natarł na nią.

— Tss... mamusiu, nie przerywaj sobie snu. Wyglądasz w twoim uśpieniu jak obraz niewinności.

— W moim uśpieniu, Johnie Grahamie! Co ty pleciesz? Wiesz dobrze, że nigdy nie usypiam we dnie; zdrzemnęłam się tylko na chwilę.

— Oczywiście! Na jedno mgnienie oka! Sen czarodziejski. Zawsze w takich wypadkach przypominasz mi Tytanie, mamo.

— Pewnie dlatego, że ty sam jesteś taki podobny do Spodka. — Słyszała pani kiedykolwiek, Miss Snowe, osobę tak dowcipną jak mama? Jest najdowcipniejsza z kobiet jej tuszy i wieku.

— Zatrzymaj swoje komplementy dla siebie, mój paniczku i nie lekceważ własnej tuszy: zdaje się ona znacznie powiększać ostatnio. Powiedz sama, Lucy, czy nie jest on wiernym obrazem Johna Bulla, i to wcale nie w stadium początkowym jego okazałości? Był dawniej smukły jak

węgorz, a teraz widzę zagrażające mu niebezpieczeństwo stania się bawołem. Zdradza skłonności pożera-

287

cza wołowiny . Zapamiętaj sobie, Grahamie: jeśli się roztyjesz, wyprę się ciebie!
Mogłabyś z równym skutkiem wypręć się samej siebie, mamó! Bo widzi pani, Miss Lucy, jestem niezbędny do szczęścia naszej starszej pani. Uschłaby, zżółkłaby i zzieleniałaby z melancholii, gdyby jej zabrakło moich niegodziwych sześciu stóp do pomstowania na nie. Utrzymuje ją to przy życiu — nie daje zakisnąć zdrowemu zaczynowi jej humoru. Oboje siedzieli teraz naprzeciwko siebie, po obu stronach kominka. Żartobliwe ich utarczki nie ujawniały osobliwych skarbów uczuć, ale wyraz twarzy i oczu każdego z nich stokrotnie wynagradzał ten brak. Najcenniejszy, największy skarb całego życia pani Bretton to był jej syn; w jego sercu pulsowało najżywsze jej tętno. Co się jego tyczy, dzielił on swoje uczucia pomiędzy miłość synowską a innego rodzaju miłość; niewątpliwie też była jego beniaminkiem ta inna, zrodzona ostatnio. Ginevra! Ginevra! Czy wiadomo już było pani Bretton, u czyich stóp złożyło swoje serce jej własne młode bóstwo? Czy pochwaliłaby ten wybór? Trudno byłoby mi odpowiedzieć na to; niewątpliwie jednak, gdyby знаła stosunek panny Fanshave do Grahama, jej zmienne nastroje, przechodzące od chłodu do przymilania się, od odpychania go do wabienia; gdyby mogła podejrzewać bodaj, jak boleśnie raniła go ta syrena; gdyby mogła zobaczyć, jak gnębi go ta zwodnica, jak go dręczy wyróżnianiem w jego obecności człowieka, nie dorównującego mu pod żadnym względem, człowieka, czynionego przez nią narzędziem upokorzenia Grahama — o, niewątpliwie nazwałaby pani Bretton Ginevrę głupią gęsią czy też przewrotną kobietą, albo też jednym i drugim zarazem. I ja także byłam najzupełniej tego samego zdania.

1 Beef-eater — zjadacz wołowiny — szlachcic na służbie królewskiej (przyp. tłum.).

Ten drugi wieczór przeszedł równie miło jak pierwszy, bodaj nawet jeszcze milej; korzystaliśmy z łatwiejszej i głębszej wymiany myśli. Nie powracaliśmy już więcej do dawnych trosk, znajomość nasza była mocniej ugruntowana, czułam się jeszcze szczęśliwsza, swobodniejsza i bardziej zadomowiona tutaj. Tej nocy, zamiast płakać, pograżyłam się w krainie marzeń sennych, dostawszy się do niej ścieżką, obrzeżoną miłymi myślami.

ROZDZIAŁ XVIII Sprzeczymy się

W pierwszych dniach mojego pobytu w La Terrasse Graham nie siadał nigdy obok mnie, a kiedy jak zwykle przemierzał pokój tam i z powrotem, nie zbliżał się ku miejscu, gdzie siedziałam; był poważniejszy niż zazwyczaj i stale sprawiał wrażenie pochłoniętego jakimiś troskami. Podejrzewałam wówczas, że myśli jego muszą krążyć dokoła panny Fanshave. Byłam w każdym razie stale w pogotowiu na przyjęcie czułych zwierzeń. Nakazałam własnej cierpliwości pozostawanie wciąż pod bronią, a sympatia moja dla niego zniewalała mnie do stałego odnawiania jej zasobu, aby móc darzyć go nią jakby z rogu obfitości. Pewnego dnia wreszcie, po krótkiej wewnętrznej walce, którą dostrzegłam i uszanowałam, poruszył ten temat. Dotknął go delikatnie, anonimowo niejako.

— Przyjaciółka pani spędza wakacje na podróżowaniu, jak słyszałem?

„Przyjaciółka"! Zaprawdę! — pomyślałam nie bez ironii, nie uważałam jednak za właściwe zaoponować. Niech myśli, co i jak mu się podoba: chce uważać ją za moją przyjaciółkę — niech i tak będzie. Zgadzam się na tego rodzaju posądzenie. Nie mogłam jednak, tytułem próby chociażby, powstrzymać się od zapytania, kogo właściwie ma na myśli.

Usiadł przy moim stoliku do robót; wyraźnie zdenerwowany wziął do ręki kłębuszek bawełny i zaczął odwijać go bezmyślnie.

— Czy Ginevra — zaczął i wnet poprawił się — czy panna Fanshave udała się wraz z państwem Cholmondeley na objazd południowej Francji?

— Tak.

290

— Czy panie korespondujecie ze sobą?

— Zdziwi się pan, jeśli powiem, że nigdy nie przychodziło mi na myśl starać się o zdobycie tego przywileju.

— Miała pani okazję widywania jej listów?

— Tak. Kilku, do jej wuja.

— Nie brak w nich było prawdopodobnie ani polotu, ani owej przedziwnej naiveté zarazem; tyle ognia płonie w jej duszy, a równocześnie tak mało w niej sztuczności.

— Pisuje w sposób nader przejrzysty i zrozumiały, o ile przynajmniej dotyczy to jej listów do pana de Bassompierre: tak wyraźnie i jasno tłumaczą się, że niepodobna ich nie rozumieć (listy Ginevry do bogatego krewniaka miawały przeważnie charakter dokumentów handlowych, niedwuznacznych żądań pieniędzy).

— A jej charakter pisma? Jest na pewno ładny, subtelny, prawdziwy charakter pisma wytwornej damy, prawda?

Był rzeczywiście taki; przyznałam mu, że przypuszczenie jego jest zupełnie słuszne.

— Jestem przekonany, że wszystko, co panna Fanshave robi, jest dobrze zrobione — rzekł, że zaś nie spieszo mi było odezwać się potakująco i przyznać tym samym rację jego uwadze, dodał:

— Czy mogłaby pani, która zna ją dobrze, wymienić mi jakikolwiek z jej braków?

— Robi wiele rzeczy bardzo dobrze — powiedziałam. Między innymi niezrównanie uprawia flirt — dodałam w myśli.

— Jak sądzi pani, kiedy wróci do miasta? — zapytał.

— Pozwoli pan, panie doktorze Johnie, że wyjaśnię panu przede wszystkim pewną okoliczność. Zbytńio zaszczyca mnie pan przypisywaniem mi wyższego stopnia poufałości z panną Fanshave aniżeli ten, z jakiego mam szczęście korzystać. Ginevra nie zwierzała mi się nigdy ani ze swoich tajemnic, ani ze swoich planów. Najbliższych jej przyjaciół znajdzie pan w innej, aniżeli moja, sferze ludzi: pośród takich Cholmondeleyów na przykład.

291

Był przekonany, że powoduje mną zazdrość podobna do jego własnej. u

— Niech jej pani nie bierze za złe — rzekł — niech ją pani sądzi z większą wyrozumiałością; olśniewa ją światowe życie, rychło wszakże przekona się, jak bardzo płytki są ci ludzie, powróci też do pani ze zdwojonym przywiązaniem i pogłębioną ufnością. Wiem coś niecoś o tych Cholmondeleyach: to ludzie powierzchowni, lubiący popisywać się, samolubni. Może mi pani wierzyć, że Ginevra w głębi duszy ceni panią nieskończenie wyżej od dziesiątków takich jak oni.

— Bardzo pan łaskaw — odparłam krótko. Chęć wyparcia się przypisywanych Ginevrze uczuć dla mnie paliła mi wargi, opanowałam jednak mój niewczesny zapał. Zgodziłam się uchodzić za poniżoną, wzgardzoną i odrażoną, tęskniącą za odzyskaniem roli powiernicy dystygowanej panny Fanshave, wierz mi wszakże, czytelniku, że niełatwo było mi zdecydować się na to.

— Rozumie pani jednak — mówił Graham w dalszym ciągu — że, pocieszając panią w ten sposób, nie mogę znajdować podobnej pociechy dla samego siebie; nie mogę żywić nadziei, aby miała ona w przyszłości ocenić sprawiedliwie także i mnie. De Hamal jest jednostką zupełnie bezwartościową, czuję jednak, że on się jej podoba. Nieszczęsne zaślepienie! W tym momencie straciłam ostatecznie cierpliwość. Bez żadnych przygotowań i wstępów wybuchłam od razu. Przypuszczam, że przebyta niedawno choroba i pozostała po niej słabość przyczyniły się do tego załamania.

— Panie doktorze — oświadczyłam — jeżeli kto ulega zaślepieniu, to właśnie pan. Jest pan zdrowo w zasadzie myślącym, odważnym, szczerym, trzeźwym, jasno zapatrującym się na rzeczy męzczyzną: w tym jedynym punkcie stał się pan bezwolnym sługą, niewolnikiem.

Oświadczam panu wręcz, że o ile sprawy dotyczą panny Fanshave, nie zasługuje pan na szacunek; ja w każdym razie nie mam go dla pana.

292

Podniosłam się wielce wzburzona i wyszłam z pokoju.

Drobna ta scysja odbyła się z rana; zetknęłam się z doktorem Brettonem ponownie wieczorem. Przekonałam się wówczas, jak bardzo zblądziłam. Nie był on ulepiony ze zwykłej gliny, ani też nie złożyły się na ukształtowanie go pospolite materiały. Zewnętrznie wydawał się silny i odporny, głębiej wszakże ukryte składniki jego istoty duchowej były koronkową robotą o kobiecej nieledwie subtelności wykonania: delikatniejsze, o wiele delikatniejsze, aniżeli można było się spodziewać, aniżeli można byłoby podejrzewać nawet po latach bliższego z nim obcowania. W istocie też dopóki nad miarę ostre szarpnięcie jego nerwów nie zdradziło skutkami swoimi niezwyklej nadwrażliwości i kunsztowności ich budowy, można było nie domyślać się tego wcale, zwłaszcza że nie należał do natur pochopnie roztkliwiających się nad innymi. Zdolność przejmowania się porywami serca i duszy innych ludzi i dar podchwytywania w lot cudzych odczuć — są dwiema różnymi właściwościami; nieliczni są obdarzeni jedną i drugą w jednakiej mierze; niektórzy nie mają żadnej. Doktora Johna cechowała jedna z nich w stopniu najdoskonalszym. Że zaś nie był on obdarzony i drugą, według mnie, w stopniu równie wielkim, zmuszona jestem prosić czytelnika, aby zechciał powstrzymać się od wyciągania z tego stwierdzenia zbyt daleko idących wniosków i uznania go za nieczułego, zimnego. Byłoby to wnioskowaniem zgoła fałszywym, należał on bowiem do natur wyjątkowo współczujących i wspaniałomyślnych. Wystarczyło szczerze i otwarcie wyznać mu swoje troski i potrzeby, aby jego ręka otwierała się szczerze. Nie był nigdy nieczuły na cudze bolączki. O ile jednak spodziewalibyśmy się po nim wyjątkowej subtelności uczuć, cudów intuicji, spotkałoby nas na pewno rozczarowanie. Tego wieczoru, kiedy doktor John wszedł do jasno oświetlonego salonu, przejrzałam go od razu na wskroś. Jego stosunek do osoby, która poważyła się nazwać go niewolnikiem i uznała go niegodnym jej szacunku, zapewne był wyjątko-

293

wy, Nie próbował nawet przeczyć, że nie było to zasłużone. Gotów był nawet spokojnie potwierdzić możliwość podobnych braków u siebie. W zasadności czynionych mu przeze mnie zarzutów upatrywał przyczynę niepowodzenia, które tak mąciło i zatruchiło mu spokój i poiło go tak wielką goryczą. To samoudręczenie znajdowało wyraz zewnętrzny w jego zachowaniu, które i mnie, i jego matce wydało się dziwnie poważne, może nawet nieco oziębłe. Nie wyczuwało się w nim gniewu, rozgoryczenia czy żalu ani też małostkowych pretensji do kogokolwiek. Nawet w tym przygnębieniu jaśniał pięknem prawdziwie męskiej szlachetnej dostojności. Kiedy, nie czekając na służbę, przysunęłam jego krzesło do stołu i drżącymi nieco rękami podawałam mu filiżankę herbaty, skinął głową i rzekł: — Dziękuję pani, panno Lucy — tak uprzejmym tonem, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałam z jego ust.

Co się tyczy mnie samej, miałam przed sobą jedną tylko drogę i jeden powzięłam plan: muszę za wszelką cenę, o ile mam w ogóle zasnąć tej nocy, okupić karygodną gwałtowność mojego wystąpienia. Podobny stosunek nie zda się na nic; nie byłabym w stanie znieść go; nie udawałam ani na chwilę przed samą sobą, abym zdolna była podtrzymywać w tych warunkach stan wojenny pomiędzy mną a nim. Gotowa byłam raczej znieść wszystko: samotność, klasztorną ciszę i martwość pensjonatu, aniżeli żyć w konflikcie z doktorem Johnem. Co zaś do Ginevry, pozwolę jej ustroić się w srebrzyste skrzydła gołębiczy czy innego, symbolizującego anielską łagodność ptaka, i wznieść się na najbardziej niebosiężne szczyty, pośród najbardziej niedostępne gwiazdy, gdzie wymaginowany najwyższy lot wielbiciela umieścić zechce konstelację jej wdzięków: nigdy więcej nie poważę się krytykować, a tym bardziej rozwiewać tej ułudy.

Przez długi czas usiłowałam skrzyżować z nim spojrzenie. Jego oczy wielokrotnie spoczywały na mnie, nie mając wszakże nic do powiedzenia, odwracał wzrok pozostawiając mnie strapioną i zawie-

294

dzioną. Po wypiciu herbaty przesiedział jakiś czas spokojny i smutny, czytając książkę. Pragnęłam zdobyć się na odwagę podejścia do niego i zajęcia miejsca przy nim, wydawało mi się jednak, że gdybym odważyła się na podobną śmiałość, ujawniłby niezawodnie swoją niechęć, a bodaj oburzyłby się nawet. Pragnęłam całą duszą przemówić, a nie zdobyłam się na szepnięcie chociażby. Kiedy matka jego wyszła z pokoju, nie wytrzymałam już dłużej nękającej mnie zgrzyoty i jęknęłam zdławionym głosem:

— Panie doktorze!...

Podniósł oczy znad książki; oczy te nie były ani zimne, ani nieprzyjazne, ust jego nie skrzywił cyniczny uśmiech. Zdawał się gotów wysłuchać, co mam mu do powiedzenia; jego usposobienie było zbyt łagodne i szlachetne, aby miał zacinać się i gorzknieć w burzliwym nastroju.

— Panie doktorze, niech mi pan wybaczy moje nieopatrzone słowa! Proszę, niech mi je pan naprawdę wybaczy!

Uśmiechnął się.

— Były może trafne i usprawiedliwione, panno Lucy. Jeśli nie żywi pani dla mnie szacunku, pewien jestem, że nie zasługuję nań w istocie. Obawiam się, że jestem niezdarnym, niepoprawnym głupcem: nie umiem widocznie postępować jak należy, gdziekolwiek bowiem pragnąłbym podobać się, okazuje się, że nie jestem zdolny zyskać uznania.

— O, nie może pan twierdzić, że tak jest. A gdyby nawet tak było, czy nie jest to raczej wynikiem fałszywego ujmowania sprawy przez innych, a nie winą pańskiego charakteru? Nade wszystko wszakże, proszę, niech mi pan pozwoli cofnąć wypowiedziane niebacznie słowa. Głęboko poważam pana pod każdym względem, bez wyjątku. Czymże innym bowiem, jeśli nie najwyższą doskonałością pańską, wytłumaczyć daje się to pańskie szacowanie siebie samego tak nisko, a innych tak wysoko?

— Czyż mógłbym szacować zbyt wysoko Ginevrę?

295

— Ja sędzę, że tak, pan zaś jest przeświadczony, że nie. Pozostawmy każde przy swoim mniemaniu. Nade wszystko wszakże, proszę, niech mi pan wybaczy. Na tym mi jedynie zależy.

— Czy naprawdę mogłaby pani posądzać mnie o żywienie urazy z powodu jednego złego słowa?

— Tak, jestem pewna, że nie jest pan zdolny do tego. Proszę jednak, niech mi pan powie wyraźnie: „Wybaczam pani, Lucy!”. Niech pan powie mi to, aby serce moje przestało krwawić z żalu.

— Niech pani uspokoi swoje serce, tak samo jak ja uspokoję moje, bo naprawdę zraniła je pani, Lucy. A teraz, kiedy ból już minął, nie tylko wybaczam pani, ale jestem pani wdzięczny, jako osobie szczerze pragnącej mojego dobra.

— Tak, ma pan słusność, szczerze, z całej duszy pragnę pańskiego dobra.

Na tym zakończył się nasz spór.

Zechciej wybaczyć mi, czytelniku, jeśli w toku tego opowiadania przekonasz się, że sąd mój o doktorze Johnie jest nazbyt zmienny. Oddaję tutaj moje doznania w tej postaci, w jakiej odczuwałam je w owym czasie; opisuję charakter doktora Johna takim, jakim wydawał mi się w opisywanej przeze mnie chwili.

Przedziwna subtelność i szlachetność jego natury ujawniła się w tym chociażby, że po owym nieporozumieniu był dla mnie bardziej serdeczny niż przedtem. Co więcej, wydarzenie to,

które, w moim pojęciu, powinno było w pewnym stopniu oddalić go ode mnie, wpłynęło w istocie na zmianę naszych wzajemnych stosunków, nie w tym sensie wszakże, jakiego tak bardzo się obawiałam. Do owego czasu dzieliło nas coś niewidzialnego, ale wyczuwalnie chłodnego, jakaś zaporą bardzo cieniutką, bardzo przejrzystą, a jednak niewątpliwie mrozująca, jak gdyby przegroda lodowa nie dopuszczała pomiędzy nami możliwości bliższego, bezpośredniego porozumiewania się. Tych kilka cieplejszych słów, jakkolwiek rozgrzanych tylko gniewem, roztopiło cienką lodową zaporę, która runęła nieba-

296

wem. Od tego dnia, jak mi się wydaje, przez cały czas trwania naszej przyjaźni, nie pozostał nigdy, ani na chwilę, w rozmowach ze mną na stopie ceremonialnej. Zdawał się wyczuwać, że ilekroć zechce mówić o sobie, o tym, co go najbardziej interesowało, sprawi mi tym najwyższą satysfakcję, spełni moje najgłębsze pragnienia. Zrozumiałe jest, oczywiście, że w dalszym ciągu wypowiadał nader często imię Ginevry.

Ginevra! Widział ją oczami duszy tak dobrą, tak piękną; mówił z tak tkliwą miłością o jej powabach, o jej słodyczy, o jej niewinności, że wbrew trzeźwej mojej świadomości istotnego stanu rzeczy, odblask tego zachwytu bezwiednie dla mnie samej opromienił i moje pojęcie o jej osobie. Zmuszona wszakże jestem szczerze wyznać ci, czytelniku, że mówił często niedorzeczności; mimo to nie przestałam być dla niego wyrozumiała.

Wystarczyła mi najzupełniej ta jedna lekcja. Przekonałam się, jakim bólem nie do zniesienia byłoby dla mnie sprawienie mu przykrości, a tym bardziej rozczarowania. W dziwny, dotychczas jeszcze niepojęty dla mnie sposób stałam się największą w świecie egoistką, najzupełniej niezdolną oprzeć się rozkoszy ulegania jego woli i pragnieniom, odpowiadania zgodnym wtórem na jego nastroje. Nie przestawał wprawdzie wydawać mi się niedorzeczny, kiedy uparcie wątpił w możliwość, w zdolność pozyskania wzajemności panny Fanshave. Mocniej niż kiedykolwiek utrwalalo się we mnie przeświadczenie, że kokietowała go jedynie, aby tym silniej go podniecić, ale że w głębi serca chłonęła pożądliwie każde jego słówko, każde jego spojrzenie.

Czasem doktor John drażnił mnie, wbrew mojemu postanowieniu cierpliwego wysłuchiwania i znoszenia wszystkiego. Wśród nieopisanej gorzkiej rozkoszy słuchania go tak mocny cios trafiał w krzemienisty pokład mojej stanowczości, że krzesał zeń dawny ogień.

Pewnego dnia, pragnąc ukoić jego zniecierpliwienie, stwierdzi-

297

łam wreszcie, że ja sama, w głębi duszy, zdobyłam pewność, iż panna Fanshave przyjmie go prędzej czy później.

— Pewność! Łatwo to powiedzieć, czy jednak ma pani jakieś podstawy, aby tak sądzić?

— Najpewniejsze podstawy.

— O Lucy, niech mi pani wyjawi!

— Zna je pan równie dobrze, jak ja; dziwię się też, że, znając je, nie ufa pan niezachwianej wierności Ginevry. Wątpić w tych warunkach, to znieważać ją nieledwie.

— Zapala się pani i zaczyna mówić prędko, nie mogąc złapać tchu; może pani mówić jeszcze prędzej i jeszcze bardziej zadyszeć się, ale musi pani wyjaśnić mi dokładnie, co pani ma na myśli. Musi pani!

— Dam panu to wyjaśnienie. W niektórych wypadkach jest pan, doktorze Johnie, szczerym, wspaniałomyślnym człowiekiem: wielbicielem, zawsze gotowym do składania ofiar. Gdyby ojcu Sila-sowi udało się kiedykolwiek nawrócić pana, udzielałby pan hojnie jałmużny jego ubogim, stroiłby pan jego ołtarze świecami i kwiatami, uczyniłby pan, co byłoby w pańskiej mocy, aby zbogacić ołtarz wielbionej przez pana świętej. Ginevra, doktorze Johnie...

— Cicho! — powstrzymał mnie. — Niech pani nie mówi dalej.

— Nie uciszę się, nie zamilknę, będę mówiła w dalszym ciągu! Ginevra miała ręce pełne pańskich darów więcej razy, aniżeli zdolny pan jest policzyć. Wyszukiwał pan dla niej

najkosztowniejsze cieplarniane kwiaty; łamał pan sobie głowę nad obmyśleniem prezentów i ofiarował je w możliwie najdelikatniejszy sposób, na jaki kobieta jedynie potrafiłaby się zdobyć. Panna Fanshave posiada także zbiór klejnotów, na których nabycie musiała szczodrość pańska posunąć się do granic szaleństwa.

Skromność, jakiej sama Ginevra nie okazała nigdy w tej sprawie, załapała teraz gorącym rumieńcem twarz jej wielbiciela.

— Ależ skąd znowu! — obruszył się, odcinając w zapale moimi

298

nożyczkami pasemko jedwabiu. — Poważylem się ofiarować jej te drobiazgi, aby sprawić przyjemność samemu sobie. Czułem, że panna Fanshave wyświadcza mi łaskę, decydując sieje przyjąć.

— Wyświadczyła panu więcej niż łaskę. Przyjmując je, zobowiązała się tym samym honorem, że odwdzieczy się panu w jakiś sposób za ten dar, o ile bowiem byłaby świadoma, że nie będzie mogła spłacić tego długu godnym odzewem na pańskie uczucia, byłoby jej obowiązkiem wręczyć panu równowartość handlową w postaci odpowiedniej ilości sztuk złota.

— Ależ nie rozumie jej pani, Lucy! Jest zbyt bezinteresowna, aby miała odpowiednio ocenić moje podarunki, których wartości nie zna i nie domyśla się w prostocie swojego ducha. Roześmiałam się: słyszałam ją, wymieniającą przypuszczalną cenę każdej sztuki z osobna. Dobrze wiedziałam, że sprawy pieniężne, względy materialne, plany zdobycia gotówki i sposoby urzeczywistnienia tych planów stanowiły ulubiony temat jej rozważań przez całe lata.

— Szkoda, że pani nie mogła jej widzieć, gdy ofiarowywałem jej te drobiazgi — mówił w dalszym ciągu. — Była taka obojętna, taka nieporuszona! Nie zdradzała najmniejszego zainteresowania, nawet im się dokładnie nie przyjrzała. Jedynie przez uprzejmość czy niechęć urażenia mnie pozwalała, aby bukiet czy inny dar leżał przy niej, a nawet zgadzała się go przyjąć. Albo też, o ile udawało mi się zapiąć bransoletkę na jej jak gdyby utoczonym z kości słoniowej ramieniu, chociażby nawet ofiarowany klejnocik był Bóg wie jak piękny (zawsze starannie wybierałem to, co wydawało mi się najpiękniejsze), blask jego nie olśniewał nigdy jej oczu, zaledwie też raczyła rzucić przelotne spojrzenie na mój dar.

— W takim razie, nie przywiązując do niego wagi, powinna by odpiąć go i zwrócić panu?

— Nie! Jest zbyt dobra, aby wyrządzić mi podobną obelgę. Raczyła zapominać o mojej śmiałości i przyjmowała mój dar ze

299

spokojem i obojętnością wielkiej damy, łaskawie puszczającej w niepamięć tego rodzaju przewiny. Jakże więc może mężczyzna w tych warunkach dopatrywać się w przyjmowaniu jego darów upragnionego przez siebie objawu? Co się mnie tyczy, gdybym nawet złożył u jej stóp wszystko, co posiadam, a ona zechciała przyjąć to w swojej dobroci i niezdolności powodowania się jakimikolwiek niskimi, przyziemnymi względami, nie przyszłoby mi na myśl przypuszczać, aby miało to bodaj o krok posunąć naprzód moją sprawę. — Doktorze Johnie — zaczęłam — miłość jest ślepa. — W tej samej chwili wszakże subtelny błysk, jakim zaiskrzył się błękit jego oczu, przypomniał mi dawne czasy, przypomniał mi portret chłopięcy Grahama, każąc mi podejrzewać nieomal, że głoszona przez niego wiara w naiveté panny Fanshave nie była tak bardzo szczerą. Skłonna byłam nawet zaryzykować wniosek, że przy wszystkich zachwytach nad jej urodą i usprawiedliwianiu jej słabostek, trzeźwiej zdaje sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, aniżeli można by to sądzić z jego sposobu wyrażania się o niej. A zresztą, mógłby to być błysk przypadkowy tylko, a może też przejaw chwilowego wrażenia jedynie. Nie zastanawiając się tedy bliżej, czy był on jedynie dziełem przypadku, czy też gestem rozmyślnym, rzeczywistością czy tworem mojej wyobraźni, zakończyłam rozmowę.

ROZDZIAŁ XIX

Kleopatra

Mój pobyt w La Terrasse przedłużył się o dwa tygodnie poza koniec ferii. Zawdzięczałam ten dłuższy odpoczynek życzliwym staraniom pani Bretton. Kiedy pewnego dnia syn jej oświadczył kategorycznie: „Lucy nie jest jeszcze dostatecznie silna, aby móc bezkarnie powrócić do tej swojej orki w pensjonacie”, pojechała od razu na Rue Fossette i odbyła tam rozmowę z przełożoną, która wyraziła zgodę na przedłużenie mojego wypoczynku, niezbędnego do zupełnego odzyskania sił. Zaszczyczona zostałam tym nawet, bez czego mogłabym doskonale obejść się — uprzejmą wizytą Madame Beck.

Pewnego dnia dama ta przybyła wynajętym wehikułem do chateau. Posądzam ją, że chciała naocznie przekonać się, jak wygląda siedziba zamieszkiwana przez doktora Johna. Jak się zdawało, ładne położenie i mile urządzone wnętrza przeszły wszelkie jej oczekiwania; unosiła się nad wszystkim, co widziała. Błękitny salon nazwała unepiece magnifujue — wspaniałą komnatą — wylewnie i wielosłownie winszując mi zyskania przyjaciół tak godnych, sympatycznych i tak bardzo zasługujących na szacunek — tellement dignes, aimables et respectables. Dodała również zręczny komplement skierowany w moją stronę. Kiedy zjawił się doktor John, podbiegła ku niemu z młodzieńczą żywością, dając równocześnie upust niesłychanej wylewności słów, wyrażających powinszowania i najwyższe zachwyty nad jego chateau, nad madame sa merę, la digne chateleine — godną kasztelanką — także nad jego własnym wyglądem, w istocie kwitnącym, a w danym momencie podniesionym jeszcze dobrotliwym, rozbawionym uśmiechem, z jakim stale słuchał płynnej, kunsztownej francuszczyzny Madame Beck. Słowem, Madame była w świetnym usposobieniu tego dnia, olśniewała

301

kaskadami pochwał, uniesień i wszelkich komplementów i uprzejmości. Na wpół rozmyślnie, a na wpół powodowana chęcią dowiedzenia się o pewne sprawy szkolne, odprowadziłam ją do wehikułu, po czym zajrzałam raz jeszcze do wnętrza, kiedy usadowiła się w nim już i drzwiczki zostały zatrzaśnięte. Jakaż zmiana dokonała się na jej twarzy! Uśmiechnięta, rozpromieniona, żartująca, nagle, w ciągu jednej sekundy, sposepniała, nachmurzona niczym sędzia, pogrążona w głębszej zadumie niż mędrzec. Dziwna kobieta!

Powróciwszy do pokoju, zaczęłam droczyć się z doktorem Johnem mówiąc, że Madame zakochała się w nim. Roześmiał się beztrząsco. Jaki żartobliwy ognik roziskrzył się w kącikach jego oczu na wspomnienie rzucanych przez nią kunsztownych frazesów, które powtarzał, naśladowując potoczystością mowy! Miał ogromne poczucie humoru, czyniące go najmilszym w świecie towarzyszem — w chwilach, kiedy zdolny był zapomnieć o pannie Fanshave.

Przesiadanie w ciszy i w słońcu uważane jest za najlepszy lek dla ludzi słabych, którzy odzyskują żywotne siły. Kiedy mała Georgette Beck była rekonwalescentką po długotrwałej chorobie, zwykłam brać ją na ręce i przechadzać się z nią po ogrodzie wzdłuż południowej ściany, gdzie dojrzewały w słońcu kiście winogron. Promienie słońca pieściły jej bladą twarzyczkę tak samo skutecznie, jak darzyły słodyczą złociste grona.

Istnieją usposobienia pogodne, promienne i serdeczne, które wpływają równie dobroczynnie na ubogich duchem, jak promienie słoneczne na słabych cieleśnie. Do takich natur wybranych należeli niewątpliwie doktor Bretton i jego matka. Lubili oboje siać dokoła siebie szczęście, jak inni — cierpienie. Czynili to instynktownie, bez widocznego wysiłku, jak się zdawało, nieświadomie dla samych siebie: sposoby uszczęśliwiania przychodziły im do głowy spontanicznie.

Codziennie przez cały czas mojego pobytu w ich domu tworzo-

302

no jakieś nowe projekty, mające na względzie dostarczenie mi rozrywki. Mimo stałego wypełnienia całego dnia wizytami u chorych, doktor John usiłował zawsze tak się urządzić, aby towarzyszyć nam w naszych wycieczkach. Nie umiałabym powiedzieć, w jaki sposób potrafił pogodzić to z licznymi obowiązkami, tak umiejętnie jednak planował je, że codziennie pozostawało mu parę wolnych godzin. Widywałam go często zapracowanego, a nawet przepracowanego, nigdy jednak nie tracił humoru ani równowagi. Wszystko co robił, było dokonywane ze sprawnością i wdziękiem niewyczerpanego, zdało się, zasobu sił, z czarującą pogodą nie załamującej się nigdy energii.

Pod jego przewodnictwem poznałam w ciągu tych radosnych dwóch tygodni lepiej i dokładniej Villette i jego okolice, zbliżyłam się bardziej do tubylczych mieszkańców, aniżeli w ciągu ośmiu miesięcy mojego przebywania na pensji Madame Beck. Oprowadzał mnie po wszystkich ciekawszych ulicach i gmachach, których nazwy nawet nie docierały wcześniej do moich uszu; chętnie i ze szczerym ożywieniem udzielał mi wyczerpujących informacji, nie uważając nigdy za nazbyt uciążliwe dla siebie wyjaśnianie mi najrozmaitszych szczegółów, ja zaś nigdy nie miałam dość słuchania go. Nie traktował żadnej sprawy chłodno i powierzchniowo, rzadko zadowalał się uogólnieniem i pobieżnym omówieniem poruszanego tematu. Zdawał się tak samo lubować w podawaniu miłych szczegółów, jak ja to czyniłam; analizował charaktery wnikliwie, zarazem wszakże nie nazbyt, a często nawet nie dość krytycznie. Wszelkie te właściwości ubarwiały nasze rozmowy, a jego bezpośrednie wyciąganie wniosków z własnej obserwacji, nie zaś powtarzanie, raczej kradzenie ich z książek—zarówno suchych faktów, jak trafnych poglądów — czyniły rozmowę równie podniecającą swoją świeżością, jak pociągająca rzadkim swoim czarem. Wydawało mi się, że jego usposobienie zmienia się nieustannie na lepsze; co dnia wstawał w podnioslejszym i pogodniejszym nastroju.

303

Jego matkę cechowała w równie wysokim stopniu wrodzona dobroć i uczynność; dobroć i uczynność Grahama wszakże miała głębsze podłoże. Przekonałam się, towarzysząc mu do Basse-Ville — dzielnicy gęsto zaludnionej przez biedotę — że jego odwiedzin tutaj były tyleż odwiedzinami filantropa, ile lekarza. Zrozumiałam, że pełniąc z upodobaniem swą dobroczynną misję i nie uważając tego za osobliwą zasługę, dokonywał na rzecz wszystkich tych nędzarzy niezliczonych miłosiernych uczynków. Otoczony też był szczerym uwielbieniem; w szpitalach ubodzy pacjenci witali w nim z zapalem swojego zbawcę. Ale dość; nie wolno mi z wiernego sprawozdawcy-opisywacza przeistoczyć się w stronniczego, zapalonego chwalcę. Wiem, oczywiście, wiem aż nadto dobrze, że doktor John nie był doskonałością, tak jak i ja nią nie byłam. Ujawniał pod wieloma względami ułomności czysto ludzkie: nie było takiego dnia, ani takiej chwili przez cały czas, jaki spędziłam w jego towarzystwie, aby w czynie, w mowie lub spojrzeniu nie zdradził jakiegoś rysu, bardzo dalekiego od boskości. Bogowie nie bywają tak przeraźliwie próżni ani tak lekkomyślni, jak on bywał często. Żaden z nieśmiertelnych nie mógłby przypominać go zdolnością puszczania w niepamięć wszystkiego innego poza tym, co działo się w danej chwili, ani jego rychło przemijającym upajaniem się chwilą obecną, ujawnianym samolubnie w umiejętności wyciągania z niej możliwie najwięcej czynników schlebiających miłości własnej. Z rozkoszą podsycił zachłanne to uczucie, nie myśląc o cenie, płaconej za to przez jego ofiary, nie dbając, ile je kosztuje podporządkowywanie się tym jego instyktom.

Chciałabym, aby łaskawy czytelnik zauważył pozorną sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy podanymi mu dwoma poglądami na Grahama Brettona —jako na osobę publiczną i prywatną, to znaczy występującą na zewnątrz i w stosunkach domowych. W pierwszej roli przedstawiony on został jako zapominający o samym sobie,

304

równie skromny w ujawnianiu swojej tężyzny życiowej, jak poważny w wykonywaniu swoich czynności. W drugiej postaci, w jakiej występuje przy domowym ognisku, najzupełniej świadom jest tego, co posiada i tego, czym jest; znajduje przyjemność w składanych mu hołdach, nieopatrznie podnieca do zachwyków nad swoją osobą, których dowody mile łechcą jego próżność. Obydwa wizerunki wiernie odpowiadają rzeczywistości. Trudno było sprawić doktorowi Johnowi przyjemną niespodziankę spokojnie i w tajemnicy. Ilekroć było się pewnym, że przygotowanie jakiegoś przeznaczonego na jego użytek drobiazgu dokonane zostało w ukryciu i że, jak zwykli to czynić mężczyźni, posłuży się nim, o ile znajdzie dany przedmiot na podorędziu, nie badając bliżej, skąd się wziął, doktor John wprawiał nagle w zakłopotanie rzuconą z uśmiechem uwagą świadczącą, że doskonale widział całą robotę od początku do końca, że wiedział o całym projekcie, śledził postęp i kolejne etapy roboty aż do ostatniego momentu. Był zadowolony, że otoczenie pamięta o nim i dba o jego wygody; oczy jego i usta zdradzały wyraźnie to zadowolenie.

Wszystko to byłoby bardzo piękne, gdyby nie uzupełniał swojej życzliwej i nie narzucającej się czujności chęcią bezpośredniego wywiązania się z tego, co nazywał swoim długiem. Ilekroć matka wykonywała jakąś pracę dla niego, wynagradzał ją, ostrząc dowcip w sposób jeszcze bardziej ożywiony i uszczypliwy aniżeli ten, w jaki zwykł wyrażać swoje tkliwe uczucia dla niej. O ile wykrywał, że Lucy zajmuje się taką robotą, w nagrodę obmyślał za to miłe z niej żarciki.

Zdumiona bywałam często jego świetną znajomością Villette; znajomością nie ograniczającą się tylko do ulic, ale rozciągającą się na wszystkie galerie, sale i muzea; do każdego drzwi, za którymi znajdowało się cośkolwiek godnego widzenia, do każdej sali, poświęconej jakiegokolwiek działowi sztuki czy nauki, zdawał się posiadać poświęcone zakłęcie:

„Sezamie, otwórz się!”. Nie miałam

305

nigdy zdolności do oddawania się poważnie sztuce czy nauce, nieświadomy wszakże, ślepy instynkt skłaniał mnie raczej ku sztuce. Lubiłam zwiedzać galerie obrazów, zwłaszcza być pozostawiona w nich sama. W towarzystwie utrudniała mi nieszczęsna idiosynkraz-ja zarówno samo oglądanie, jak i odczuwanie piękna oglądanych rzeczy. W obcym otoczeniu, zmuszona do podtrzymywania stale rozmowy na aktualne tematy, byłam po pół godzinie już śmiertelnie wyczerpana fizycznie i zupełnie pozbawiona zdolności logicznego wnioskowania. Nie spotkałam nigdy starannie edukowanego dziecka — nie mówiąc już o wykształconej osobie dorosłej — które nie potrafiłoby zawstydzić mnie swoją inteligencją przy gromadnym zwiedzaniu galerii obrazów, zabytków historycznych, gmachów publicznych czy wszelkich w ogóle przedmiotów powszechnego zainteresowania.

Doktor Bretton był przewodnikiem, jakiego było mi właśnie potrzeba; wprowadzał mnie zawczasu, zanim jeszcze galerie zdołały zapełnić się, pozostawiał tam na dwie lub trzy godziny i przychodził po mnie po odrobieniu najpilniejszych wizyt lekarskich. Przez te parę godzin czułam się szczęśliwa, nie będąc zmuszaną do zachwyków i uniesień, mogąc oglądać, badać i formułować wnioski i sądy samoistnie. W początku tego zwiedzania wydarzały się często scysje i wynikające stąd walki pomiędzy narzuconą mi obcą wolą a mocą własnego przekonania. Pierwsza z nich domagała się zachwyty dla tego, co uważane było powszechnie za zasługujące na zachwyty; druga — przeciwstawiała temu ogólnemu pędowi osobistą niezdolność składania czołobitnych hołdów wbrew własnemu poczuciu. Szydziłam wówczas z samej siebie, zacinałam się biczem samokrytyki, usiłowałam pobudzić się do wysubtelnienia smaku, do zaostrenia własnej wrażliwości. Im większe wszakże czyniłam samej

1 Idiosynkrazja — uczulenie wrodzone (med.), potocznie wstręt, antypatia (przyp. red.).

306

sobie zarzuty, na tym większy natrafiałam opór. Przekonawszy się stopniowo, że wynikiem tych wysiłków było niepojęte uczucie znużenia i zniechęcenia, zaczęłam zastanawiać się, czy nie lepiej dać za wygraną i poniechać tej niewdzięcznej pracy. A kiedy doszłam do przekonania, że istotnie lepiej byłoby, pozwoliłam sobie na ignorowanie dziewięćdziesięciu dzieł ze stu wystawionych płócien. Wydawało mi się, że oryginalny, nie naśladowany, dobry obraz jest taką samą rzadkością, jak oryginalna, nie naśladowana i dobra książka. W końcu też nie wahałam się ani trochę powiedzieć sobie, stojąc przed którymkolwiek z uznanych chefd'oeuvres — arcydzieł — podpisanych wielkimi nazwiskami:

— Nie przypomina to ani trochę natury. Naturalne światło dzienne nie miewa nigdy tej barwy. Nie bywa nigdy takie zmacone ani podczas burzy, ani w dzień pochmurny, jak namalowano je tutaj, pod niebem koloru farbki, które nie jest eterem. A to zielsko, nasmarowane na nim, to nie są drzewa.

W niektórych bardzo dobrze wykonanych, przystojnych, zażywnych postaciach niewieścich nie mogłam w żadnym razie dopatrzeć się bogiń, za jakie one same zdawały się uważać. Dziesiątki kunsztownie wykończonych małych obrazków flamandzkich, także szkiców, świetnie nadających się na ilustracje książek poświęconych modom, prezentujących bowiem najrozmaitsze stroje z najprzedniejszych materiałów, świadczyły o chwalebnej pracowitości, której podobało się znajdować ujście w zamalowywaniu tych płócien. Natrafiało się jednak tu i ówdzie na przejawy przemawiającej do przekonania prawdy, na rozjaśniające scenerię błyski. Potęga przyrody ujawniała się tutaj w postaci zwałów zawiei śnieżnej, tam znów olśniewała pełnią światła i ciepłem w obrazie dnia słonecznego na południu. Głębia wyrazu, jakim tchnął ten czy ów portret, świadczyła o wnikliwym wczuciu się w duszę modela; jedna z twarzy na obrazie historycznym w sposób uderzający świadczyła żywym synowskim podobieństwem, że zrodził ją geniusz.

307

Pokochałam te wyjątki; stały mi się one drogimi przyjaciółmi.

Pewnego dnia o cichej, wczesnej porze znalazłam się prawie sama w galerii, gdzie jeden szczególnie wyróżniony obraz olbrzymich rozmiarów umieszczony został w możliwie najlepszym świetle, oddzielony przeciągniętym dokoła niego sznurem od pogrążonych w zachwycie znawców. Dla ich to wygody postawiono miękko wysłaną ławkę, aby, znużeni oddawaniem arcydziełu należnego hołdu na stojąco, mogli czynić to w dalszym ciągu, siedząc wygodnie. Obraz ten zdawał się sam uważać i był uważany za króla całej kolekcji arcydzieł. Wyobrażał kobietę, znacznie większych, jak mi się wydało, rozmiarów, niż mogła istnieć w naturze. Obliczyłam, że dama ta, postawiona na odpowiednio potężnej, dostosowanej do olbrzymiej masy jej ciała wadze, wykazałaby niezawodnie ciężar od czternastu do szesnastu kamieni. Sprawiała w istocie wrażenie doskonale odżywianej górami befsztyków i innego mięsiwa — nie mówiąc już o chlebie, jarzynach i pochłanianych przez nią płynach — aby móc osiągnąć podobną szerokość i wysokość, tę masę świetnie rozwiniętych mięśni, to nagromadzenie ciała i tłuszczu. Spoczywała, na wpeł leżąc, na posłaniu — trudno było właściwie powiedzieć dlaczego, wobec otaczającej ją pełni światła dziennego. Zdawała się też cieszyć wybornym zdrowiem i zasobem sił, wystarczającym na wykonywanie przez nią pracy dwu zwykłych kucharek. Nie mogła użalać się również na słabość krzyża, powinna więc była stać, a przynajmniej siedzieć prosto. Nie wiadomo było właściwie, z jakiej racji wylegiwała się na miękkim posłaniu w biały dzień, w samo południe. Powinna była również mieć na sobie przyzwoite jakieś szaty: suknię, która okrywałaby ją dostatecznie, co bynajmniej nie miało miejsca. Z obfitości materiału — dwudziestu siedmiu jardów, jak

1 Kamień — jednostka wagi prawnie obowiązująca w Anglii i licząca 14 funtów (przyp. tłum.).

308

wydało mi się na oko, użytych na draperię — nie potrafiła wykombinować dla siebie dostatecznie okrywającego ją ubrania. Trudno byłoby też znaleźć usprawiedliwienie dla fatalnego nieładu, jaki ją otaczał. Garnki i rondle — należałoby może powiedzieć: wazy i puchary — stłoczone były tu i ówdzie na pierwszym planie; łączyło się z nimi całe śmietnisko kwiatów, a olbrzymia, w nieładzie spiętrzona masa materacy i poduszek wyścielała łoże, opadając nawet na podłogę. Zajrzawszy do katalogu, dowiedziałam się, że znakomity ten utwór sztuki plastycznej nosi nazwę „Kleopatra”.

Siedziałam przyglądając się temu dziełu z podziwem (nie uważałam za właściwe pozbawiać się wygody: skorzystałam z postawionej tu ławki). Im dłużej wpatrywałam się w obraz, tym mniej miałam wątpliwości, że jakkolwiek niektóre ze szczegółów, jak: róże, złote czary, klejnoty i tym podobne, były malowane bardzo ładnie i finezyjnie, całość stanowiła olbrzymie, obliczone na efekt smarowidło. Podczas tych rozważań sala, wcześniej pusta, zappełniła się. Nie zwracając uwagi na tę okoliczność (która zresztą mało mnie obchodziła), siedziałam w dalszym ciągu na kanapce, raczej aby należycie wypocząć, aniżeli aby przyglądać się tej ogromnej, smągłolicej cygańskiej królowej, której widok, prawdę powiedziawszy, uprzykrzył mi się rychło. Dla odświeżenia wzroku i umysłu zaczęłam rozglądać się po ślicznych, drobnych obrazkach przedstawiających martwą naturę: polne kwiaty, owoce, mchy i paprocie leśne, ułożone w koszyku jajka, podobne do pereł, oglądanych poprzez przejrzyste zieloną wodę morską. Wszystko to skromnie zawieszono było pod rzucającym się natrętnie w oczy olbrzymim płótniskiem.

Nagle uczułam lekkie uderzenie w ramię. Wzdrygnęłam się i odwróciłam głowę. Zobaczyłam pochyloną nade mną twarz, gniewnie zmarszczoną, nieomal przerażoną.

— Que faites-vous ki?1 — zapytał czyjś głos.

1 Co pani robi tutaj?

309

— Mais, monsieur, je m'amuse! Ależ panie, bawię się!

— Vous vous amusez, et a quoi, s'U vous plait? Mais d'abord, faites moi le plaisir de vous lever; prenez mon bras, et allons de l'autre côté.1

Zrobiłam, jak mi kazał. Mr. Paul Emanuel (był to on) powrócił z Rzymu. Człowiek, który tak wiele podróżował, zwiedziwszy kawał świata, nie zdawał się jednak sądzić braku karności pobłażliwiej, aniżeli przed dodaniem tego nowego listka do wieńca wawrzynu, zdobiącego jego czoło.

— Pozwoli pani, że odprowadzę panią do jej towarzystwa — rzekł w momencie, gdy przechodziliśmy przez salę.

— Nie mam tu żadnego towarzystwa.

— Nie jest pani chyba sama tutaj?

— Tak, panie, jestem sama.

— Przyszła tu pani bez niczyjej opieki?

— Nie, proszę pana. Przyprowadził mnie doktor Bretton.

— Doktor Bretton i szanowna matka jego, oczywiście?

— Nie. Sam tylko doktor Bretton.

— I to on polecił pani przyjrzeć się temu obrazowi?

— Bynajmniej; odnalazłam go sama.

Włosy pana Paula były przystrzyżone krótko, tuż przy skórze, niby kruczy puch; gdyby nie to, stanęłyby niewątpliwie dęba na jego głowie. Zrozumiawszy wreszcie, do czego zmierza, doznałam szczególnej przyjemności w zachowaniu oziębłego spokoju i doprowadzeniu go tym do pasji.

— Zdumiewające zuchwalstwo wyspiarki! — zawołał profesor. — Singulieres femmes que ces Anglaisesr

1 Bawi się pani, a czym to, proszę? Ale przede wszystkim, niech pani zechce wstać; niech pani przyjmie moje ramię; przejdziemy na drugą stronę.

2 Dziwne kobiety te Angielki!

310

— O czym pan mówi?

— O czym mówię?! Jak pani śmie, młoda osobo, siedzieć spokojnie i z obojętnością młodego mężczyzny patrzeć na taki obraz?!

— Ma pan słuszość. To bardzo brzydki obraz, nie rozumiem jednak, dlaczego nie miałabym go oglądać?

— Bon, bon! — dobrze, dobrze! — Nie mówmy o tym więcej. Nie powinna pani znajdować się tutaj sama.

— A jeżeli jednak nie mam żadnego towarzystwa, żadnej opieki, jak pan to nazywa? A zresztą, jaka różnica, czy jestem sama, czy w towarzystwie? Nikt nie interesuje się mną.

— Taisez vous et asseyez-vous ïï!... ïï! — rzekł, stawiając wymownym gestem krzesło w najbardziej posępnym kącie przed szeregiem szczególnie nudnych obrazów (cadres—jak je nazywał).

— Mais, monsieur!

— Mais, mademoiselle, asseyez-vous et ne bougez pasenten-dez-vous? Jusqu'on vienne vous chercher, ou que je vous donne permission:

— Quel triste coin — zawołałam — et quels laids tableawcr Laid — beznadziejnie smutne były naprawdę. Wszystkie cztery objęte były w katalogu ogólnym tytułem: La vie d'une femme — Życie kobiety. Malowane były osobiwą techniką — płaskie, martwe, blade i bez wyrazu. Pierwszy przedstawiał une jeune filie — młodą dziewczynę — wychodzącą z kościoła z modlitewnikiem w ręku, w bardzo skromnej sukni; oczy miała spuszczone, usta ściągnięte — obraz najnędrniejszej, najbardziej przedwcześnie dojrzałej hipokrytki. Następne z kolei malowidło było wizerunkiem Marice

1 Proszę zamilczeć i usiąść tam... tam!

2 Ależ, proszę pana!

3 Niech pani usiądzie i nie rusza się, słyszy pani? Dopóki po panią nie przyjdę albo dopóki nie dam pani pozwolenia!

4 Jaki smutny kąt i jakie brzydkie obrazy!

311

— oblubienicy — w długim białym welonie, klęczącej na klęczniku —prie-Dieu — w swojej komnacie, z rękami złożonymi do modlitwy, to znaczy, z przytkniętymi do siebie wzajem końcami palców obu dłoni. Oczy miała podniesione w górę w sposób uwidoczniający całe białka. Trzeci obraz, zatytułowany Jeune merę — Młoda matka — wyobrażał niewiastę pochyloną nad rozdetym, jak gdyby z gliny ulepionym niemowlęciem, którego twarz przypominała błądy księżyc w pełni. Czwarty — Veuve — Wdowa — czarną kobietę, trzymającą za rękę małą czarną dziewczynkę, obie wpatrzone badawczo w elegancki francuski pomnik, wystawiony w jakimś kącie Pere-La-chaise. Wszystkie te cztery „anioły" były ponure i szare niby nocni włamywacze, zimne i mgliste jak duchy. Jakie okropne kobiety. Jakie przeraźliwie nudne musiało być współżycie z nimi! Nieszczere, skwaśniałe, bezkrwiste, bezmózgie zera! Tak samo ohydne w swoim rodzaju, jak rozleniwiona, ciemnoskóra olbrzymka, Kleopatra.

Nie mogłam skupić uwagi przez dłuższy czas na tych arcydziełach, dlatego też po chwili odwróciłam od nich oczy i zaczęłam rozglądać się po całej galerii.

Tłum widzów zdążył już zgromadzić się przed lwicą galerii, z której bliskości zostałam wygnana. Nieomal połowę tego tłumu stanowiły panie, jak jednak wyjaśnił mi później pan Paul, były to des dames — panie zameżne — którym wolno było przyglądać się temu, na co żadnej demoiselle — pannie — nie przystoi rzucić okiem nawet.

Powiedziałam mu otwarcie, że nie mogę zgodzić się z podobną teorią, której znaczenia nie rozumiem, on wszakże ze swoim zwykłym absolutyzmem kazał mi zamilknąć, zarzucając mi ignorancję i nieprzystojną porywczosć. Nigdy chyba nie zasiadał na katedrze profesorskiej człowiek bardziej despotyczny niż pan Paul. Zauważyłam przy sposobności, że on sam zupełnie swobodnie przypatrywał się obrazowi, a nawet nie odrywał przez dłuższy czas oczu od

312

rozłożystej piękności; zarazem jednak nie zapominał rzucić od czasu do czasu okiem w moją stronę, aby, jak przypuszczam, upewnić się, czy spełniam jego polecenie i nie wyłamuję się spod surowego zakazu. Po chwili ponownie zwrócił się do mnie.

Pragnął dowiedzieć się, czy byłam chora, przypuszczając z góry, że odpowiedź moja będzie twierdząca.

— Tak, ale teraz mam się już zupełnie dobrze.

— Gdzie spędziła pani ferie?

— Przeważnie na Rue Fossette, część ich wszakże u pani Bretton.

— G'ly to prawda, że pozostawiono panią samą na Rue Fossette?

— Nie zupełnie samą: była ze mną Marie Broc (opóźniona w rozwoju).

Wzruszył ramionami; na twarzy jego odmalowały się różnego rodzaju, szybko ustępujące sobie wzajem uczucia. Znał dobrze Marie Broc; nie minęła ani jedna jego lekcja w trzecim oddziale (w którym zgromadzono najbardziej tępe, robiące najpowolniejsze postępy uczennice), aby nie pobudzała go ona do najostrzejszych konfliktów wewnętrznych i nie wywoływała w nim najbardziej sprzecznych doznań. Jej odrażająca powierzchowność, jej odpychający sposób zachowania, jej częstokroć nie poddające się żadnym wpływom usposobienie drażniły jego wrażliwość, budząc w nim najgwałtowniejszą antypatię: łatwo wpadał w ten nastrój, ilekroć raniło coś jego smak estetyczny czy też ilekroć przeciwstawiano się jego despotycznej woli.

Z drugiej wszakże strony nieszczęsny los biednej dziewczynki wzbudzał w nim litość, której nie zwykł nikomu odmawiać — nie leżało to w jego usposobieniu — stąd ponawiały się codziennie staczane przez niego walki pomiędzy zniecierpliwieniem i wstrętem z jednej strony, a poczuciem litości i sprawiedliwości — z drugiej. Należy wyznać na jego pochwałę, że pierwsze z tych po-

313

budek rzadko brały w nim górę, kiedy jednak zdarzało się to, pan Paul ujawniał tę stronę swojego charakteru, która budziła grozę. Skłonny był do żywienia uczuć namiętnych, gwałtownych; jego nienawiść i jego życzliwość wyrażały się jednakowo silnie: jego zdolność opanowywania zarówno uczuć dodatnich, jak ujemnych nie była władna osłabić rzucającej się w oczy gwałtowności jego pasji. Siłą rzeczy niejako narzucało się przypuszczenie, że wobec podobnych skłonności musiał budzić w umysłach pospolitych niechęć i obawę, błędem wszelako byłoby lękać się go. Nic nie wyprowadzało go bardziej z równowagi, aniżeli okazywana mu lękliwa nieufność; i odwrotnie, nic nie było zdolne koić go bardziej niż łagodne i szczere wyznanie. Na to wszelako zdobyć się mógł ten tylko, kto znał go na wskroś i rozumiał, a tacy należeli do rzadkich wyjątków.

— Jak pani dawała sobie radę z Marie Broc? — zapytał po chwili milczenia.

— Robiłam, co mogłam; strasznie jednak było pozostawać z nią sam na sam.

— To słabość serca z pani strony! Brak odwagi? A może nawet litości. Nie ma pani zalet nieodzownych do wyszkolenia się na siostrę miłosierdzia.

(Byłczłowiekiem szczerze religijnym: polegająca na ofiarności i samozaparciu zasada religii katolickiej budziła w nim głęboki szacunek i wywoływała oddźwięk hołdu w jego duszy.)

— Nie wiem doprawdy; usiłowałam opiekować się nią i dbać o nią, jak potrafiłam najlepiej, kiedy jednak przyjechała jej ciotka, aby ją zabrać, było to dla mnie ulgą niewypowiedzianą.

— O, tak, jest pani egoistką! Istnieją kobiety, które poświęcają się pielęgnowaniu podobnie nieszczęśliwych stworzeń w przepelnionych szpitalach. Ale pani nie umiałaby zdobyć się na to.

— A czy pan sam potrafiłby?
— Kobiety, zasługujące prawdziwie na tę nazwę, winny by

314
nieskończenie przewyższać naszą brutalną, skłoną do błędzenia i dogadzania samej sobie płęć, zdolnością pełnienia tego rodzaju obowiązków.

— Myłam ją, utrzymywałam w czystości, karmiłam, starałam się ją zabawić; ona zaś zamiast ze mną rozmawiać, stroiła do mnie ohydne grymasy.

— I wyobraża sobie pani, że dokonała pani wielkiego dzieła?

— Nie. Ale tak wielkiego, na jakie mogłam się zdobyć.

— Najlepszy dowód, że możliwości pani są nader ograniczone, skoro pielęgnowanie jednej nieszczęsnej dziewczyny przyprawiło panią o chi robę.

— Nit to przyprawiło mnie o chorobę. Przechodziłam nerwową gorączk — dusza moja była chora.

— Vra\ment! Vous valezpeu de chose. — Naprawdę! Niewiele jest pani warta. Nie jest pani stworzona na bohaterkę; odwaga nie wystarcza pani na podtrzymanie w samotności; zbroi ona panią jedynie w zuchwalstwo przyglądania się z zimną krwią wizerunkowi Kleopatry.

Łatwo byłoby okazać gniew wobec jego dokuczliwego, nieprzyjaznego tonu. Nigdy jednak dotychczas nie byłam rozgniewana na niego, nie miałam też wcale ochoty ani zamiaru rozpoczynania

teraz dąsów.

— Kleopatra! — powtórzyłam spokojnie. — I pan także przyglądał się Kleopatrze. Jakiego zdania jest pan o tym obrazie?

— Cela ne vaut rien — odparł. — Une femme superbe, une taille d'imperatrke, desformes deJunon, mais une personne, dont je ne voudrais nipour femme, ni pour filie, nipour soeur. Aussi vous ne jetterez plus un seulcoup d'oeil de ce côté.

1 To nic nie warte. Przepyszna kobieta, postać cesarzowej, kształty Junony, ale osobistość, której nie chciałbym ani za żonę, ani za córkę, ani za siostrę! Nie rzuci też pani więcej okiem w tę stronę!

315

— Właśnie że patrzyłam na nią i patrzę, podczas kiedy pan mówi do mnie. Doskonale widzę ją z tego kąta.

— Niech się pani odwróci do ściany i studiuje te cztery obrazy z życia kobiety.

— Przepraszam pana, ale są zbyt ohydne; jeśli jednak podobają się panu, pozwoli pan, że zwolnię to krzesło i pozostawię panu możność zachwycania się nimi bez przeszkód.

— Mademoiselle — rzekł, układając twarz do półuśmiechu, a właściwie do zamierzonego uśmiechu, który w rzeczywistości był raczej ponurym skrzywieniem. — Wy, wychowanki protestantyzmu, zdumiewacie mnie wręcz. Wy, obywające się bez czyjejkolwiek opieki, młode Angielki spacerujecie spokojnie pośród rozpalonego do czerwoności żelastwa i potrafiacie uniknąć oparzenia. Przypuszczam, że gdyby którąkolwiek z was wrzucono do najbardziej rozżarzonego wielkiego paleniska Nabuchodonozora, wyszłaby z niego nietknięta.

— Mogę prosić pana o łaskawe posunięcie głowy o cal w tamtą stronę?

— A to w jakim celu? Na co się pani znów zagapiła? A może poznaje pani kogoś ze znajomych w tej grupie jeunes gens?

— Tak. Tak mi się wydaje. Dostrzegam pomiędzy nimi kogoś, kogo znam.

Dostrzegłam w istocie głowę zbyt ładną, aby mogła należeć do kogo innego, niż do groźnego pułkownika de Hamala. Jaka wytworna, wyrafinowana w każdym calu postać! Jaka zręczna, elegancka sylwetka! Jakie kobieco drobne i kształtne nogi i ręce! Jak pańsko wyniosłym ruchem przytyka do oczu lorgnon! Z jakim zachwytem wpatruje się w obraz Kleopatry, a potem jak ujmująco uśmiecha się i szeptem coś do osoby, stojącej za nim. O, jaki rozumny człowiek! Jaki przedni ma gust, jaki niezrównany takt! Obserwowałam go od dziesięciu minut może, zauważyłam też, jak niesłychanie porwany jest smagłą urodą okazałej Wenus Nilu. Tak bardzo interesowało

316

mnie jego zachowanie, tak pochłonięta byłam możliwością studiowania, raczej odgadywania jego charakteru z twarzy i ruchów, że zapomniałam chwilowo nawet o panu Paulu. W pewnym momencie jakaś grupa rozdzieliła nas. A może też uraziło go moje wpatrywanie się w innego i rozmyślnie wycofał się z pola mojego widzenia? Faktem było w każdym razie, że kiedy znów rozejrzałam się dokoła, nie dostrzegłam go już.

Zobaczyłam nie jego, ale inną, niepodobną zupełnie do niego postać, bardzo wyraźną i łatwo dostrzegalną wśród stłoczonej ciżby, wyróżniającą się zarówno wzrostem, jak ruchami.

Zbliżał się w moją stronę doktor John, tak bardzo niepodobny rysami twarzy, całą sylwetką i odcieniem cery do ciemnowłosego, cierpkiego, uszczypliwego profesorka, jak niepodobny byłby owoc Hesperyd do tarki wyrosłej w dzikim gąszczu tarniny, albo jak odważny, ale łagodny i posłuszny koń arabski niepodobny jest do dzikiego, upartego kucyka szkockiego.

Widoczne było, że doktor John szuka mnie, nie dostrzegł jednak jeszcze kąta, do którego wsadził mnie za karę surowy nauczyciel szkolny. Czekałam spokojnie na mojego przewodnika i opiekuna, po chwili wszakże zainteresowało mnie coś zgoła osobliwego.

Doktor John zbliżył się do Hamala i zatrzymał koło niego. Wydawało mi się, że sprawia mu przyjemność spoglądanie ponad głowę tamtego. I doktor Bretton także przyjrzał się Kleopatrze. Wątpię, czy mogła mu się podobać; nie wdzięczył się i nie uśmiechał zdawkowo, jak mały hrabia; usta jego miały wyraz pogardliwy, oczy były obojętne, nie okazujące ani cienia zachwyty, zarazem nie ujawniające uczuć odmiennych. Po chwili odszedł od obrazu, pozostawiając innym miejsce przy nim. Widziałam, że czeka teraz na mnie i dlatego wstałam i wyszłam mu naprzeciw.

Obeszliśmy galerię dokoła; w towarzystwie Grahama było to prawdziwą przyjemnością. Lubiłam zawsze przysłuchiwać się temu, co miał do powiedzenia o obrazach i książkach. Nie udając znawcy,

317

wypowiadał otwarcie swoje zdanie, nie zapożyczone od nikogo, tchnące świeżością myśli, bardzo często trafne i dosadne. Miło także było opowiadać mu o rzeczach, o których nie wiedział: słuchał tak uważnie i tak chętnie, nie żywiąc żadnych skrupułów ani obaw, czy pochyleniem swojej pięknej głowy, aby wysłuchać nieśmiało sformułowanego przez kobietę wyjaśnienia, nie obniży swego męskiego autorytetu. A kiedy on z kolei miał mi coś do zakomunikowania, czynił to tak jasno, dobitnie i treściwie, że słowa jego pozostawały trwale wyryte w mojej pamięci. Nie zapomniałam nigdy ani jednego z danych mi przez niego wyjaśnień, żadnego z przytoczonych mi przez niego faktów.

Po naszym wyjściu z galerii zapytałam, co myśli o Kleopatrze. Przedtem jeszcze rozbawiłam go opowiadaniem, jak profesor Paul Emanuel zabronił mi studiować obraz i kazał oglądać prawdziwe dzieła sztuki, owe cztery naiwne obrazki, które pokazałam także Grahamowi.

— O! — rzekł lekceważąco. — Moja matka jest przystojniejsza od niej. Słyszałem unoszących się nad „Kleopatrami” francuskich chłystków, określających ją jako *le type du voluptueux* — symbol lubieżności. Gdyby tak być miało w istocie, muszę powiedzieć, że typ lubieżnicy nie jest bynajmniej w moim guście. Niech pani porówna tę Mulatkę z Ginevrą!

ROZDZIAŁ XX Koncert

Pewnego dnia pani Bretton weszła pospiesznie do mojego pokoju i zażądała, abym otworzyła szafę, powyciągała szuflady i pokazała jej moje toalety, co też uczyniłam bez słowa zapytania o cel i powód dość dziwnego żądania.

— Nic z tego wszystkiego nie nada się — rzekła, obejrzawszy całą moją garderobę. — Musisz mieć nową suknię.

Wyszła i wnet powróciła w towarzystwie krawcowej. Kazała wziąć miarę.

— Chcę — oznajmiła — ubrać cię wedle mojego gustu i zająć się tym osobiście.

W dwa dni później przyniesiono mi... różową suknię!

— To nieodpowiednie dla mnie — pospieszyłam zapewnić czując, że raczej gotowa byłabym przebrać się w kostium chińskiej damy dworu.

— Przekonamy się, czy to odpowiednie dla ciebie, czy nie — odparła moja chrzestna matka.

— Zapamiętaj sobie — dodała tonem stanowczym, wobec którego nie było możliwości sprzeciwu ani oporu — że włożysz na siebie dzisiaj wieczorem tę suknię.

Postanowiłam w duchu, że jej nie włożę, że żadna siła ludzka nie zmusi mnie do ustrojenia się w te dziewczęce różowości. Różowa suknia! Nie dla mnie! Ani też ja dla niej! Nie przymierzyłam jej nawet.

Tego wieczoru miałyśmy pojechać z Grahamem na koncert, na wspaniały koncert — jak oświadczyła moja matka chrzestna — w Towarzystwie Muzycznym. Wystąpią najbardziej wyróżniające się uczennice konserwatorium. Po koncercie urządzona ma być loteria au benefice despauvres — na korzyść biednych. I co najważniejsze,

319

król, królowa i księżę następcą tronu — Prince de Labassecour — obiecali uświetnić koncert swoją obecnością. Graham, przysyłając bilety, zaznaczył, że ze względu na obecność domu panującego należy wystąpić w galowych strojach. Zwrócił także uwagę, że musimy być gotowe punktualnie o siódmej.

Około szóstej zaprowadzono mnie na górę. Bezwolna, nie pytana wcale o zdanie, niezdolna oponować, musiałam podporządkować się cudzym nakazom, cudzemu, objętemu nade mną despotycznie kierownictwu. Różowa suknia została włożona na mnie, przyćmiona tylko nieco udrapowaniem na niej czarnej koronki. Oświadczone mi, że jestem en grande tenue — w galowym stroju — i kazano obejrzeć się w lustrze. Uczyniłam to nie bez lęklivego drżenia, wnet jednak z jeszcze bardziej lęklwym drżeniem odwróciłam się od zwierciadła. Wybiła siódma. Przybył doktor Bretton. Moja chrzestna matka i ja zeszłyśmy na dół. Pani Bretton ustrojona była w ciemnobrązową aksamitną suknię. Idąc za nią, w jej cieniu, zazdrościłam tych ciemnych, dostojnie opływających ją majestatycznych fałd. Graham czekał na nas na progu salonu.

O, Boże, byle tylko nie pomyślał, że ustroiłam się tak, aby ściągnąć na siebie uwagę — modliłam się w duchu.

— Proszę, Lucy, kilka kwiatków dla pani — rzekł, wręczając mi wiązkę. Nie wyraził ani jednym słowem swojego zdania o mojej sukni, zaznaczywszy aprobatę życzliwym uśmiechem jedynie i kiwnięciem głową z zadowoleniem. Uspokoilo mnie to od razu.

Pierzchły moje obawy, że wydam się śmieszna w tym nieodpowiednim dla mnie stroju.

Suknia była zresztą uszyta z wielką prostotą, bez wszelkich zbędnych falbanek i ozdób.

Przerażała mnie jedynie jej jasna barwa i przejrzystość tkaniny, z jakiej była zrobiona. Skoro jednak Graham nie dostrzegł w moim stroju nic niedorzecznego ani rażącego, pogodziłam się wnet z różową suknią.

Przypuszczam, że ludzie przywykli do bywania co wieczór w miejscach zabaw publicznych, nie są zdolni do odczuwania owego

320

podniosłego, odświeżonego nastroju, w jakim wchodzi do sali koncertowej czy na widowie teatralną ci, dla których wielką rzadkością jest korzystanie z tego rodzaju rozrywek. Nie umiałabym powiedzieć, czy spodziewałam się wielkiej przyjemności z tego koncertu, jako że nie miałam nazbyt jasnego pojęcia o jego charakterze, sama już jednak jazda do gmachu Towarzystwa Muzycznego była dla mnie prawdziwą rozkoszą. Przytulność zamkniętej karety w chłodną, ale przepiękną noc, wesołe towarzystwo osób tak mi bliskich i tak życzliwych; widok gwiazd, połyskujących poprzez konary i gałęzie drzew podczas jazdy wzdłuż szerokiej alei, a potem szersze i swobodniejsze odsłonięcie się rozgwieżdżonego nieba, kiedy wjechaliśmy na otwarty gościniec; jasno oświetlona brama miejska, gdzie straż poddała nas pobieżnej, wielce dla mnie zabawnej inspekcji — wszystkie te drobiazgi miały dla mnie, nienawykłej do czegoś podobnego, osobliwy urok nowości. Ile z tego przypisać należało atmosferze przyjaźni, nie miałam pojęcia: doktor John i jego matka byli oboje w jak najlepszym nastroju, drocząc się z sobą z zabawnym ożywieniem przez cały czas jazdy, tak serdeczni oboje dla mnie, jak gdybym była osobą im najbliższą.

Droga prowadziła przez kilka najwspanialszych ulic Vilette, jasno oświetlonych, i mimo tak późnej pory, bardziej ruchliwych aniżeli w samo południe. Jak świetne wydały mi się wystawy sklepowe! Jak radośnie i rozlewnie przepływała fala życia po gładkich chodnikach i szerokiej jezdni. Przeglądając się temu wszystkiemu, przypomniałam sobie Rue Fossette — otoczony wysokim murem ogród, budynek pensjonatu i dom mieszkalny, i ciemne, wielkie classes — sale szkolne — po których zwykłam wędrować o tej właśnie godzinie, samotna, wpatrzona w gwiazdy przez wysokie, nie osłonięte okna, wsłuchana bezwiednie w dochodzące z refektarza odgłosy monotonnie odklepywanej lecture pieuse. Wkrótce będę znów wpatrywała się tak i wsłuchiwała. Ten cień przyszłości od razu przytłumił i zaćmił promienną radość chwili obecnej.

321

Wsiąkliśmy wreszcie w szeroki strumień pojazdów, zdążających w jednym i tym samym kierunku, rychło też olśnił nasze oczy wspaniale oświetlony front wielkiego gmachu. O tym, co miałam zobaczyć wewnątrz, słabe zaledwie, jak to już zaznaczyłam, miałam pojęcie. Nigdy w życiu do owego dnia nie przestąpiłam wszak progu miejsca przeznaczonego na zabawy publiczne.

Wysiedliśmy pod portykiem, gdzie panował już ogromny ruch i zgromadzony był liczny tłum, nie pamiętam jednak dokładnie bliższych szczegółów, poprzedzających wstępowanie na majestatyczną klatkę schodową, uderzającą imponującymi rozmiarami i wygodnymi, łatwymi do wchodzenia stopniami. Wyścielał je puszysty szkarłatny dywan, doprowadzający do wielkich, uroczyste zawartych podwoi, udekorowanych również szkarłatnymi drape-riami. Nie zdołałam nawet zauważyć, mocą jakich czarów i zaklęć podwoje te zniewolone zostały do rozsunięcia się; rozsunęły się wszakże, ukazując moim olśnionym oczom ogromną, szeroką i wysoką salę, której ściany, biegnące zaokrąglonymi, dzięki ścięciu kantów, liniami, a także kopulasty strop sufitu, wydawały mi się zrobione z matowego złota (na taki w istocie odcień były pomalowane z wielkim kunsztem). Ten matowozłoty odcień uwydatniał się jeszcze bardziej dzięki gzymsom, ozdobom i wyźłobieniom górnego szlaku, dzięki olśniewającym śnieżną jak alabaster bielą, liliom i błyszczącemu złotu liści, z jakich uwite były girlandy. Draperie, dywany i poduszki, wyścielające fotele, były jednolitego ciemno-szkarłatnego koloru. Ze stropu zwisał olbrzymich rozmiarów, jarzący mnóstwem rzeczywistych i odbitych światła, pajak z górskiego kryształu, jak mi się wydawało, skrzący się gwiazdami w każdej grani, w każdej kulce, niby w perlece rosy, barwiący się kolorami ni to rozszczępionej w nim tęczy, ni rozpuszczonymi w nim klejnotami. W rzeczywistości był to tylko zwykły kandelabr, moim wszelako nienawykłym do takich wspaniałości oczom wydał się on dzie-

322

łem czarodziejów Wschodu. Skłonna byłam nieledwie do szukania wzrokiem „sługi lampy”, krążącego pośród świetlanej, wonnej atmosfery kopuły, aby strzec cudownego, zaklętego w niej skarbu. Poszliśmy dalej — nie zdawałam sobie wcale sprawy dokąd — kiedy nagle na jednym z zakrętów ujrzałam grupę, zbliżającą się ku nam z przeciwnej strony. Widzę teraz jeszcze tę grupę, jak ukazała mi się w pierwszym momencie. Przystojna dama w średnim wieku, strojna w ciemny aksamit, młody człowiek, który mógł być jej synem — najpiękniejsza, wydało mi się, twarz i najkształtniej-sza postać, jaką oglądałam kiedykolwiek — i trzecia jeszcze osoba w różowej sukni i zarzuconym na nią czarnym koronkowym okryciu.

Zauważyłam wszystkie te postacie — trzecią równie wyraźnie jak pierwszą i drugą — i wzięwszy przez ułamek sekundy wszystkich troje za osoby obce, mogłam bezstronnie ocenić na pierwszy rzut oka ich wygląd. Nie zdołało jednak ustalić się to pierwsze złudne wrażenie, a już rozwiła je świadomość, że znalazłam się przed wielkim zwierciadłem, wypełniającym przestrzeń pomiędzy dwiema kolumnami, i że grupą, którą miałam przed sobą, było odbicie w zwierciadle nas trojga: pani Bretton, jej syna i moje własne. Po raz pierwszy wówczas i jedyny w moim życiu miałam okazję widzieć się taką, jaką widzą mnie inni. Nie mam potrzeby roztrząsać bliżej wyniku tej „okazji”. Spowodowała ona zgrzyt dys-harmonii, który przeszył mnie uczuciem żalu; widok nie był nazbyt schlebiający, ostatecznie jednak należało być wdzięczną poniekąd

— mogło być gorzej.

Zajęliśmy wreszcie miejsca, z których dobrze widać było całą tę obszerną i olśniewającą, ale ciepłą i wesołą salę. Była już wypełniona po brzegi świetną publicznością. Nie wiem, czy kobiety były naprawdę bardzo piękne, ich stroje wyróżniały się w każdym razie wielką elegancją i wytwornym gustem. Mieszkanki kontynentu — nawet te, których w domowym życiu nie cechuje bynajmniej szcze-

323

gólny wdzięk, posiadają kunszt wydawania się na arenie publicznej pełnymi ujmującego uroku. Bez względu na to, jak nieokrzesane i nieopanowane są u siebie w domu, w szlafroku, papilotach i pantoflach, jest w ich postaci, w przezornie zachowanym na odświętne okazje, wdzięcznym pochyleniu głowy i ramion, w wyrazie ust i oczu coś czarującego, w co przystrajają się urzędowo wraz z przywdziewaniem na siebie grandę toilette — toalety od wielkiego dzwonu — i klejnotów — parure.

Tu i ówdzie wyróżniały się postacie wyjątkowo piękne, uosabiające szczególny rodzaj urody, nigdy, jak mi się wydaje, nie oglądany w Anglii: solidne, osadzone na silnym kośćcu, po mistrzowsku wyrzeźbione kształty, zdające się nie mieć kantów, podobne prężnością swą do wykutych w marmurze kariatyd. Postać bogini dłuta Fidiasza nie może być doskonalsza i bardziej majestatyczna. Rysy tutejszych piękności przypominają te, jakie holenderscy malarze nadają swoim madonnom: klasycznie regularne, nieco nadmiernie może zaokrąglone, nieskazitelne w liniach, ale tępe, a ich pozbawiony wyrazu, niezmacony, beznamietny spokój można porównać jedynie do śnieżnych bezkresów podbiegunowych. Kobietom o takim typie urody nie są potrzebne klejnoty, rzadko też je noszą; ich gładkie włosy, splecione w grube bicze warkoczy, stanowią wystarczające obramowanie jeszcze gładszych policzków i czoła; ich toalet nie może nigdy cechować zbyt wielką prostotą; ich krągłe, pięknie toczony ramiona i cudownie kształtne szyje nie potrzebują bransolet ani naszyjników.

Z jedną z takich piękności miałam kiedyś zaszczyt i rozkosz pozostawać w stosunkach dość zażyłych: niezachwiana siła wrosłej głęboko w jej serce miłości dla własnej osoby była godna najwyższego podziwu; mogła ją przewyższyć jedynie jej wyniosła niezdolność dbania o jakąkolwiek inną żyjącą istotę. W żyłach jej nie zdawała się płynąć żywa krew: wypełniała je i nieomal zapychała gęsta, ociążała limfa.

324

Taka właśnie Junona siedziała wprost przed nami. Była niejako celem, ku któremu kierowały się oczy wszystkich. Najzupełniej świadoma, że tak jest, zdawała się jednak nieczuła na magnetyczny wpływ utkwionych w nią spojrzeń. Zimna, krągła, jasnowłosa, o cerze olśniewającej, była piękna niby biała o złożonym kapitulu kolumna, wznosząca się tuż obok. Zauważywszy, że wzrok doktora Johna skierowany jest nieustannie w jej stronę, błagałam go szeptem, aby „na miłość boską, opancerzył dobrze swoje serce”.

— Nie wolno panu zakochać się w tego rodzaju niewieście — powiedziałam — gdyż, uprzedzam pana, mógłby pan umrzeć u jej stóp, a nie odwzajemni się panu cieplejszym uczuciem.

— Ślicznie — odparł — skąd jednak może pani wiedzieć, że jej bezwzględna niewrażliwość nie będzie dla mnie najsilniejszą pobudką do składania jej hołdów? Beznadziejność zdaje się być najpotężniej działającą na moje uczucia podniętą, ale — dodał, wzruszając ramionami — pani nic nie wie o tych rzeczach. Zwrócę się z tym lepiej do matki. Mamo, zagraża mi niebezpieczeństwo — oznajmił, zwracając się do pani Bretton.

— Wyobrażasz sobie, że mnie to interesuje tak bardzo? — odcięła się.

— O, jaki okrutny jest mój los! — wykrzyknął. — Żaden syn nie miał nigdy równie wyzbytej wszelkich uczuć matki, jak ja. Nie przychodzi jej nawet na myśl, aby mogła spaść na nią taka klęska, jak synowa.

— Jeżeli nawet nie przychodzi mi to na myśl, to na pewno nie z powodu braku podobnego miecza damoklesowego, zawisłego nad moją głową: nie przestajesz grozić mi tym od dziesięciu lat. „Mamo, zamierzam ożenić się wkrótce” — powtarzałeś od chwili, kiedy jako tako dorosłeś.

— Przekonasz się, niewierna, że groźba ta spełni się lada dzień. Nagle, kiedy wydawać ci się będzie, że jesteś najbardziej bezpiecz-

325

na, wyruszę jak Jakub czy Ezaw, czy każdy inny patriarcha, i wezmę sobie żonę: może spośród córek tego kraju.

— Na twoją własną odpowiedzialność uczynisz to, Johnie Grahamie! Tyle tylko mogę ci powiedzieć.

— Widzi pani, panno Lucy, moja wyrodna matka chciałaby, abym został starym kawalerem. A to wszystko przez zazdrość! Ale, proszę cię, mamu, spójrz na tę imponującą istotę w bładoniebieskiej atlasowej sukni z włosami jasnokasztanowymi, na których lśnią reflęty satines — atlasowe połyski — jak na jej sukni. Przyznaj, mamu, czy nie byłabyś dumna, gdybym pewnego pięknego poranka sprowadził ci do domu taką boginię i przedstawił jako młodszą panią Bretton?

— Nie sprowadzisz żadnej bogini do La Terrasse: w tym małym chateau nie ma miejsca dla dwóch pań, zwłaszcza gdyby ta druga odznaczała się takim wzrostem, objętością i masywnością, jak ta ogromna lalka wystrugana i ulepiona z drzewa, wosku, atlasu i glansowanej skórki na rękawiczki.

— Ależ mamu, pomyśl tylko! Wypełniłaby tak wspaniale twój błękitny fotel!

— Wypełniłaby mój fotel?! Nie zgadzam się na cudzoziemską uzurpatorkę! Byłby on dla niej łóżem madejowym... Ale cicho, Johnie Grahamie! Zamknij usta i otwórz oczy!

Przez cały czas tej słownej utarczki pomiędzy doktorem Johnem a jego matką, do sali, która wydawała mi się już w chwili naszego wejścia wypełniona po brzegi, napływały coraz nowe fale ludzkie, aż wreszcie półkole przed estradą przeistoczyło się w zwartą masę głów, wtłoczoną we wznoszące się amfiteatralnie rzędy od podłogi aż pod sam sufit. I estrada także, specjalnie wzniesiona na tę uroczystość, obszerniejsza, niż bywają estrady zazwyczaj, pusta jeszcze pół godziny temu, kipiała teraz życiem: dokoła dwóch fortepianów, umieszczonych pośrodku, stłoczona była hałaśliwa gromada biało ubranych uczennic konserwatorium.

Zauważyłam

ich zlot na estradę podczas zabawnego przekomarzania się doktora Johna z matką na temat piękności w bladoniebieskich atlasach i obserwowałam z zaciekawieniem. Gromadzie dziewcząt towarzyszyli dwaj panowie, z których w każdym poznałam znajomego. Jeden z nich, wyglądający jak artysta, z długimi włosami i brodą, był znanym pianistą, a zarazem najlepszym nauczycielem gry na fortepianie w Villette. Dwa razy w tygodniu przychodził na pensję Madame Beck, gdzie udzielał lekcji muzyki kilku uczennicom, których rodzice byli dość bogaci, aby pozwolić sobie na doskonalenie córek w pianistyce pod tak wytrawnym kierunkiem. Nazywał się Joseph Emanuel i był przyrodnim bratem Mr. Paula, którego rozpoznałam w drugim z obu panów, towarzyszących biało ubranej gromadce.

Mr. Paul bawił mnie; uśmiechnęłam się też do samej siebie, widząc jego zaaferowanie. Był wyraźnie w swoim żywiole; stał w pierwszym planie wobec olbrzymiego zgromadzenia, dyrygując grupą młodych dziewcząt, pewien, że każda z nich truchleje na jego widok, wpatrzona w niego jak w tęczę. Brał całą rzecz najzupełniej na serio: nie szczędził energii i usiłowań, a nade wszystko bezwzględnej surowości. Co tu właściwie robił? Co miał wspólnego z muzyką i z konserwatorium? On, który zaledwie potrafił odróżnić jedną nutę od drugiej? Wiedziałam, że sprowadziła go tutaj nieustanna chęć popisu i wystawiania się na pokaz — nieszkodliwa dlatego jedynie, że taka naiwna. W tej chwili wyraźne było, że jego przyrodni brat Joseph podporządkowuje mu się w takim samym stopniu, jak wszystkie te młode dziewczęta. Mr. Paul wydał mi się zachłanny i drapieżny, niczym jastrzęb.

Po chwili ukazało się na estradzie kilku znanych śpiewaków i muzyków. Zjawienie się tych gwiazd było sygnałem dla podobnego do komety profesorka. Niezdolny był znieść obecności istot wybitnych, opromienionych sławą: o ile nie mógł zaćmiewać, wolał wycofać się. Wszystko zdawało się już przygotowane. Jedna tylko część sali

327

czekała na zapełnienie — część przystrojona szkarłatnymi draperiami, takimi samymi, jak paradna klatka schodowa i drzwi; umeblowana miękko wysłanymi i okrytymi mnóstwem barwnych poduszek ławkami, ustawionymi po obu stronach dwóch tronowych foteli, ponad którymi wznosiły się przysługujące majestatowi królewskiemu uroczyste baldachimy.

Dano sygnał, podwoje rozsunęły się, zgromadzona publiczność zerwała się z miejsc, orkiestra odegrała hymn, i przy ogłuszających dźwiękach chóralnego, entuzjastycznego powitania wszedł król, a z nim królowa i cały dwór Labassecour.

Nigdy jeszcze do owego dnia nie oglądałam prawdziwego żywego króla ani królowej, łatwo więc sobie wyobrazić, jak bardzo wyteężałam wzrok, aby napawać się widokiem obu koronowanych głów. Ktokolwiek po raz pierwszy ma sposobność zetknąć się oko w oko z majestatem królewskim, musi poniekąd doznać zdumienia, graniczącego nawet z rozczarowaniem. Podświadomie wyobrażał sobie króla i królową, siedzących stale na tronie, w koronie na głowie i z berłem w rękę. I ja także, podświadomie spodziewając się ujżenia wymaganych postaci króla i królowej, doznałam na widok żołnierza w średnim wieku i dość młodej damy uczucia zawodu zarazem i wcale miłej niespodzianki.

Dobrze zapamiętałam króla zwłaszcza, pięćdziesięcioletniego mniej więcej, nieco zgarbionego, siwiejącego już; w całym tym zgromadzeniu nie było ani jednej twarzy przypominającej go rysami. Nie czytałam nigdy nic bliższego o jego charakterze ani też nigdy nie opowiadano mi o nim, mimo to jednak wyraźne znaki hieroglificzne, jak gdyby rylcem żelaznym wryte na jego czole, dokoła oczu i z obu stron ust, uderzyły mnie instynktownie, na pierwszy rzut oka, jako coś zagadkowego. Rychło wszakże, jeżeli nawet nie wiedziałam, to wyczułam, co oznaczały te nie wypisane niczyją ręką, a tak wyraźne przeciw znaki. Miałam przed sobą człowieka cierpiącego w milczeniu, melancholika. Oczy te

328

oglądały widmo. Od dłuższego już czasu czekały i śledziły przybywanie i odchodzenie najdziwniejszego i najbardziej uprzykrzonego z widm — widma hipochondrii. Może i teraz widział je na tej estradzie, naprzeciw siebie, pośród tego świetnego tłumu. Hipochondria zwykła w ten sposób zjawiać się nagle pośród najliczniejszych zgromadzeń — ciemna i ponura jak los, blada jak cierpienie i nie-zmożona jak śmierć. Jej towarzyszowi i ofierze w jednej osobie, uwolnionemu od niej na chwilę, wydaje się, że jest szczęśliwy. „O, nie, nie wyobrażaj sobie, że tak jest — mówi mu ona — przychodzę, jestem”. Słowa te mrozą krew w jego żyłach i kirem smutku przysłaniają światło w jego oczach.

Powiedzieć gotowi niektórzy, że to obca korona, ciężąca na czole królewskim, żłobi na nim tę osobliwą bruzdę; inni znów skłonni są dopatrywać się w tym stygmacie smutku królewskiego pomazańca skutków wczesnego jego osierocenia. Jedno i drugie po trosze wpłynęło niewątpliwie na wyrycie tej oznaki, najsilniej wszakże i najgłębiej zatruł duszę króla najbardziej ponury, najzawzięty wróg ludzkości — wrodzona melancholia. Królowa wiedziała o tym: wydało mi się, że głęboka troska o królewskiego małżonka ocieniała jej dobrotliwą twarz. Monarchini sprawiała wrażenie łagodnej, rozumnej, pełnej wdzięku kobiety. Nie była piękną, a w każdym razie nie przypominała wszystkich tych kobiet o solidnie ugruntowanych wdziękach, o sercach zimnych jak marmur, które wcześniej opisałam. Postać królowej była raczej smukłą; rysy jej twarzy, mimo że dystygowane, zbyt wyraźnie przypominały rodzinne rysy panujących dynastii, aby mogły sprawiać miłe wrażenie. W tej chwili wszakże wyraz, okraszający ten dumny profil, był wyjątkowo przyjemny; mimo woli jednak nasuwało się w myśli porównanie z zapamiętanymi wizerunkami, na których uwiecznione były podobne rysy, znamionujące ludzi o cechach ujemnych: słabych, zmysłowych czy podstępnych, zależnie od tego, jak chciał traf. Jedynym bezsprzecznie własnym rysem królowej były jej oczy, bosko rozjaśnio-

329

ne światłem miłosierdzia, dobroci i tkliwego współczucia. Nie sprawiała wrażenia surowej władczyni, ale dobrej, kochającej kobiety, wytwornej damy. Oparty o kolana matki, siedział obok jej mały synek — następca tronu Labassecour. Parę razy w ciągu tego wieczoru dostrzegłam wzrok monarchini, skierowany w stronę siedzącego obok niej małżonka, którego posępność nie uchodziła jej zatroskanych oczu, pragnąc też oderwać jego uwagę od przytłaczających go smutnych myśli, usiłowała kierować je na syna. Pochylała często głowę, aby wysłuchać uwag chłopca, a potem z miłym uśmiechem powtarzała je mężowi. Pogrążony w zadumie król wzdrygał się, starał się skupić uwagę, słuchał, rozjaśniał twarz na moment, niezmiennie wszakże, z chwilą gdy przebrzmiewały słowa jego opiekuńczego anioła, wpadał w poprzedni, posępny nastrój. Był to żalony i znamieny widok! Nie umniejszał jego tragizmu fakt, że zarówno arystokracja, jak burżuazja Labassecour nie zdawały się dostrzegać tych smutnych cech, szczególnie wyróżniających monarchę: nie zdołałam wykryć ani na jednej twarzy spośród wszystkich obecnych śladu wzruszenia czy przejęcia.

Królowi i królowej towarzyszył ich dwór, a także kilku ambasadorów obcych mocarstw, którzy ściągnęli również z sobą przebywającą w owym czasie w Vilette elitę cudzoziemską. Członkowie dworu królewskiego, ambasadorowie i wybitni cudzoziemcy zajęli obite szkarłatem i wymoszczone poduszkami ławy po obu stronach foteli królewskich. Przeważnie jednak usiadły na nich panie, większość panów stała; szereg ich odzianych w czarne fraki i wypełniających tylny plan sprawiał wrażenie ciemnej ozdoby, dodanej dla uwydatnienia wspaniałości toalet i sylwetek siedzących na przedzie dam. Wspaniałość ta podlegała zresztą odmianom i stopniowaniu światła i cieni: przestrzeń środkową zajmowały matrony strojone w aksamity i atłasy, w pióra i klejnoty; ławki wysunięte bardziej na plan pierwszy, na prawo od fotela królowej, zdawały się przeznaczone wyłącznie dla młodych dziewcząt, dla kwiatu — a

330

pączka — arystokracji Villette. Nie widać było tutaj ani klejnotów, ani spiętrzonych piórami fryzur, ani odbłyśków aksamitu czy atlasu: prostota, skromność i urok młodości panowały niepodzielnie w tym gronie. Widziało się tu same młode główki, oplecione skromnie warkoczami i wdzięczne jasne sylwetki (zamierzałam napisać zwiewne, byłoby to jednak zupełną nieprawdą: niektóre z tych jeunes filles, zaledwie szesnasto- czy siedemnastoletnich, odznaczały się formami tak krzepkimi i solidnymi, że nie powstydzilyby się ich okazałej tuszy dwudziestopięcioletnia niewiasta angielska). Ten szereg ujmujących postaci, strojnych w białe, bladoróżowe czy lazurowe sukienki, nasuwał wizje nieba i aniołów. Rozpoznałam wśród tych „różowo-białych” okazów dwie znajome twarze. Były to dwie uczennice pensji Madame Beck — Mesdemoiselles Mathilde et Angelique, które w ostatnim swoim roku nauki pensyjnej powinny były przechodzić kurs klasy najwyższej, ale którym ich rozwój umysłowy nie pozwalał przekroczyć granic drugiego oddziału. Lekcji angielskiego udzielałam im ja oczywiście, nie lada zadaniem było też dla mnie nauczyć je jako tako wiernie przełożyć stroniczkę „Wikarego z Wakefield”. W ciągu trzech miesięcy jedna z nich była moim vis-à-vis przy stole, miałam więc możność naocznie stwierdzić, jakie nieprawdopodobne ilości domowego chleba, masła i konfitur pochłaniała na drugie śniadanie. Ponadto miała zwyczaj chowania do kieszeni kromek, których nie była w stanie zjeść od razu. Tak wyglądała istotna, nie upiększona idealizowaniem prawda.

Znałam jeszcze jedną z tych anielskich postaci — najładniejszą, a w każdym razie wyglądającą najmniej sztywno i obłudnie z całej gromady. Zajmowała ona miejsce obok córki para angielskiego, z aczej również, ale niemile wyniosłej dziewczyny: obie przybyły w orszaku ambasady brytyjskiej. Owa moja znajoma wyróżniała się drobną, smukłą figurką, zupełnie odmienną od kształtów wszystkich tych cudzoziemek, a jej włosy nie oplatały ciasno głowy, jak u większości, tworząc rodzaj przylegającej ściśle, lśniącej, jedwabistej

331

czapeczki; wyglądały naprawdę jak włosy, falując na jej głowie i opadając długimi, puszystymi, wijącymi się lokami. Gawędziła z ożywieniem, należąc, jak się zdawało, do typu istot beztroskich, zadowolonych z siebie i ze stanowiska, jakie zajmowały w wielkim s'wiecie. Nie patrzyłam na doktora Brettona, wiedziałam jednak, że on także dostrzegł Ginevrę Fanshave (ona to była oczywiście). Przycichł nagle, odpowiadając lakonicznie na uwagi swojej matki; często wymykało mu się z piersi ciężkie westchnienie. Dlaczego właściwie wzdychał? Powiedział przecież, że lubi zdobywać miłość, przewyciężając w tym celu wszelkie trudności, a tutaj znajdował pełną możność uczynienia zadość swojemu upodobaniu. Wybrana jego serca wznosiła się wysoko ponad nim, szybując w opromieniającej ją glorii, w sferze dla niego niedostępnej. Nie miał możności zbliżyć się do niej; nie był zresztą pewien, czy obdarzyłaby go bodaj przelotnym spojrzeniem.

Obserwowałam, aby przekonać się, czy to uczyni. Miejsca nasze były dość blisko ławek obciążonych szkarłatną materią; siedzący na nich musieli z konieczności widzieć nas, tym bardziej więc dostrzec nas musiało oko tak bystre i rozglądające się tak badawczo dokoła, jak oko panny Fanshave. Rychło istotnie skierowała wzrok w naszą stronę, a przynajmniej na doktora Brettona i jego matkę. Co się mnie tyczy, ukryłam się bardziej w cieniu, poza polem jej widzenia, nie chcąc być rozpoznana od razu. Patrzyła uporczywie na doktora Brettona, nie odrywając od niego oczu, a potem wyniosłym gestem przyłożyła do nich lorgnon, aby lepiej przyjrzeć się jego matce. Po minucie czy dwóch takiego przypatrywania szepnęła coś ze śmiechem do ucha swojej najbliższej sąsiadce, w tej samej chwili wszakże rozpoczął się koncert, musiała więc skierować swoją rozproszoną uwagę na to, co działo się na estradzie. Nie widzę potrzeby szczegółowego opisywania samego koncertu; nie przypuszczam, aby miało interesować czytelników wrażenie, jakie wywarły na mnie występy, nie byłoby zresztą warto opisywać moich impresji, jako że były to impresje zupełnej ignorantki.

332

Młode adeptki konserwatorium, nad miarę wystraszone widocznie, zdradzały niezwykłą treść, która nie mogła oczywiście wyjść na dobre ich grze. Klawisze dwóch wielkich fortepianów dygotały pod zdenerwowanymi palcami. Pan Joseph Emanuel stał przy artystkach podczas ich gry, nie miał jednak ani taktu, ani siły charakteru swojego krewniaka, który w podobnych okolicznościach zmusiłby na pewno swoje pupilki do zapanowania po bohatersku nad treścią. Mr. Paul postawiłby rozhisteryzowane debiutantki pomiędzy dwa ognie: obawy przed widownią i obawy przed nim samym, i natchnąłby je desperacką odwagą, czyniąc tę drugą groźę nieporównanie sroższą od pierwszej. Mr. Joseph nie potrafił tego dokonać.

Po strojnych w białe muśliny pianistkach wystąpiła piękna, mimo że o posępnym wyglądzie, dama w wieku zupełnie dojrzałym, ubrana w białą atlasową szatę. Śpiewała. Śpiew jej sprawił na mnie wrażenie zaklinań czarownika. Ciekawa byłam, jak ona to robi, w jaki sposób udaje się jej tak nagle obniżyć i podnosić głos, urządzając nim przedziwne jakieś łamańce. Faktem było jednak, że zwykła szkocka piosenka, zaśpiewana przez nieuczonego śpiewaka ulicznego, daleko głębiej nieraz przemawiała mi do duszy.

Z kolei wystąpił jakiś pan, który, zginając się wielokrotnie wpół w ukłonach przed parą królewską i przytykając równie często dłoń w białej rękawiczce do serca, wydawał pełne goryczy okrzyki, skierowane przeciwko jakiejś/cume/sabeHe— fałszywej Izabelli. Zdawał się specjalnie zabiegać o współczucie królowej, jednak, o ile się nie mylę, uwaga monarchini skierowana była ku estradzie raczej z chłodnym spokojem uprzejmości, aniżeli z przejęciem i szczerym zainteresowaniem. Duchowa udreka, jaka nękała śpiewaka, wpływała na mnie tak przytłaczająco, że rada byłam, kiedy wreszcie przestał dawać jej wyraz w estradowych popisach.

Kilka produkcji chóralnych wydało mi się najlepszą częścią koncertu. Występowali przedstawiciele najlepszych zespołów prowincjonalnych, opaśli brzuchacze o sylwetkach baryłek, autentyczni

333

Labassecouriens. Śpiewali pełnymi głosami, nie żałując gardła ani płuc. Ich uczciwe wyczyny miały jednak przynajmniej niewątpliwie dodatni wynik: uszy słuchaczy doznawały dzięki nim wrażenia potęgi-

Przez cały czas występów nieśmiałyłch duetów, pewnych siebie solowych popisów wokalnych, śpiewów chóralnych, tak ogłuszających, jak gdyby wykonawcy mieli mosiężne płuca —jednym okiem tylko patrzyłam na to, co odbywało się na estradzie i tak samo jednym tylko uchem słuchałam; drugie oko i ucho były stale skierowane ku doktorowi Brettonowi: nie mogłam ani zapomnieć o nim, ani przestać zadawać sobie pytania, co czuł, o czym myślał, czy koncert bawił go, czy też nudził. Po długim milczeniu przemówił wreszcie:

— I cóż, jak się pani podoba to wszystko, panno Lucy? Taka jest pani milcząca — rzekł swoim zwykłym pogodnym głosem.

— Milczę — odparłam — bo jestem bardzo zainteresowana wszystkim: nie tylko samą muzyką, ale wszystkim dokoła mnie.

Zrobił jeszcze kilka uwag z takim spokojem i z takim opanowaniem, że zaczęłam wątpić, aby i on także dostrzegł to, co ja widziałam, szepnęłam więc:

— Jest tutaj panna Fanshave. Zauważył ją pan?

— Tak. I zauważyłem, że pani dostrzegła ją również.

— Jak pan sądzi, czy przyszła z panią Cholmondeley?

— Pani Cholmondeley jest tutaj w bardzo licznym towarzystwie. Tak, Ginevra była w jej orszaku, a pani Cholmondeley z kolei była w orszaku lady X..., która znów należy do orszaku królowej. Gdyby dwór królewski Labassecour nie był jednym z mniejszych dworów europejskich, których ceremoniał oficjalny nie jest o wiele bardziej imponujący od ich życia

codziennego, rodzinnego, i których galowa odświętność jest jedynie tym samym obyczajem domowym w niedzielnym wydaniu, brzmiałoby to wszystko wspaniale.

— Ginevra musiała widzieć pana, sądzę?

334

— I ja tak przypuszczam. Niejednokrotnie kierowałem wzrok w jej stronę, kiedy pani przestała patrzeć na nią, miałem też zaszczyt być świadkiem pewnego drobnego zajścia, którego widok został pani zaoszczędzony. Nie zapytałam, co to mogło być. Czekałam na dobrowolne wyjaśnienie w tym względzie, co też nastąpiło niebawem.

— Panna Fanshave — rzekł — siedziała obok młodej damy z najwyższej arystokracji. Znam przypadkiem lady Sarę z widzenia; jej dostojna matka wezwała mnie kiedyś jako lekarza. Córka jest dumną młodą dziewczyną, nie ma w sobie jednak ani cienia wyniosłego zuchwalstwa, wątpię też, czy Ginevra wiele zyskała w jej oczach wydrwiwaniem swoich sąsiadów.

— Jakich sąsiadów?

— Nikogo innego, tylko mojej matki i mnie. Co się mnie tyczy, jest to zupełnie naturalne: czy może być ktoś bardziej nadający się jako cel pośmiewiska, niż młody lekarz z burżuazji? Ale moja matka! Nikt nigdy jeszcze dotychczas nie považał się wyśmiewać z niej! Wie pani, te pogardliwie odęte wargi i sarkastycznie skierowane w naszą stronę lorgnon wzbudziły we mnie ciekawe uczucie.

— Niech pan nie zaprzęta sobie tym głowy, panie doktorze. Nie warto. Ginevra, będąc w nastroju tak zawrotnego upojenia, w jakim wyraźnie jest dzisiaj, mogłaby bez najmniejszych skrupułów wyśmiewać się z tej łagodnej, smutno zamyślanej królowej czy nawet z jej melancholijnego małżonka. Nie kieruje nią złośliwość, ale jedynie nie licząca się z niczym bezmyślność. Dla takiej, mającej pustkę w głowie pensjonarki nie istnieje nic świętego.

— Zapomina pani jednak, że nie przywykłem zapatrywać się na pannę Fanshave jako na „mającą pustkę w głowie pensjonarkę”... Była dla mnie bóstwem, aniołem moich marzeń!

— Hm! Na tym właśnie polegał pański błąd.

— Jeśli wolno mi wyznać szczerze, bez czezej gadaniny czy romantycznego upiększania, był taki moment przed sześcioma mie-

335

siącami, Kiedy uważałem ją za boską istotę. Pamięta pani naszą rozmowę o prezentach? Nie byłem wtedy zupełnie szczerzy wobec pani; bawił mnie zapał, z jakim pani podjęła ten temat. Chcąc dokładnie poznać pani pogląd i wykorzystać wiadomości jej w tej sprawie, pozwoliłem, aby pani przypuszczała, że jestem bardziej zaślepiony i mniej świadomy istotnego stanu rzeczy, niżeli byłem w istocie. Ta właśnie próba prezentów otworzyła mi oczy na to, że Ginevra jest zwykłą śmiertelniczką. Jej uroda nie przestała jednak mnie czarować: nie dalej niż przed trzema dniami — niż przed trzema godzinami nawet — byłem jej niewolnikiem. Kiedy przeszła obok mnie dzisiaj wieczorem, promienna glorią swojej piękności, głębokie wzruszenie, jakiego doznałem na jej widok, było najbardziej godnym jej urody hołdem, jaki mogłem jej złożyć. Gdyby nie to jedno nieszczęsne szyderstwo, byłbym w dalszym ciągu najpo-korniejszym jej sługą. Gdyby obrała mnie za cel swoich drwin, zraniłaby mnie, lecz nie stałaby mi się obca; nie stargałaby łączącej mnie z nią więzi uczuciowej. Skierowaniem drwiny w moją stronę nie osiągnęłaby w ciągu dziesięciu lat tego, co uczyniła w jednej chwili, poważając się zadrwić z mojej matki.

Umilkł. Nigdy dotychczas nie widziałam tyle ognia i tak mało światła słonecznego w niebieskich oczach doktora Johna, jak w tym momencie.

— Lucy — rzekł po chwili — niech pani przyjrzy się dobrze mojej matce i niech pani powie szczerze, obiektywnie i bez obawy: jaką wydaje się ona pani w tej chwili?

— Taką, jaką wydawała mi się zawsze — godną najwyższego szacunku angielską niewiastą z klasy średniej; dobrze, dostatnio, mimo że poważnie ubraną, niezdolną nigdy udawać, naturalną, zrównoważoną i pogodną.

— I mnie wydaje się taką także moja matka! Weseli mogą śmiać się wraz z mamą, słabi jednak tylko zdolni są śmiać się z n i ej. Nie pozwolę, aby ktokolwiek wyśmiewał się z niej; nie stanie

336

się to, z moją wiedzą i aprobatą przynajmniej; ani też bez mojej wzdargy... bez mojej antypatii... bez mojegc»...

Urwał. Czas był po temu najwyższy, w tak wielkie wpadł rozdrażnienie, większe niż, jak zdawałoby się, zasługiwała na to cała sprawa. Nie wiedziałam jednak wówczas, że był świadkiem zajścia, powodującego jego podwójne oburzenie na pannę Fanshave. Płomienny rumieniec, jakim rozgorzały jego policzki, drganie rozszerzonych nozdrzy, ostre skrzywienie jego pięknie zarysowanej dolnej wargi, jakim wyraził najwyższą pogardę, ukazały mi go w nowej, prawdziwie pociągającej fazie, mimo że roznamiętnienie, rzadko przydarzające się człowiekowi zazwyczaj łagodnemu i pogodnemu, nie należy do szczególnie miłych widoków. Nie podobało mi się też mściwe podniecenie, jakim rozedrgane było jego młode krzepkie ciało.

— Przeraziłem panią, Lucy? — zapyta }.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pan tak bardzo rozgniewany.

— Wie pani, dlaczego? — szepnął mi do ucha. — Oto dlatego, że Ginevra nie jest ani aniołem, ani kobietą niewinnej, czystej myśli.

— Głupstwa pan gada! A co najmniej przesadza pan. Ginevra nie byłaby zdolna świadomie skrzywdzić nikogo.

— W moim pojęciu zdolna byłaby najzupełniej. Aż nadto nawet. Teraz ja widzę tam, gdzie pani jest zaślepiona w dalszym ciągu. Ale skończmy ten temat. Mam ochotę podroczyć się z mama. Wmówię jej, że oklapła albo że zdrzemnęła się... Mamo, proszę cię, otrząśnij się! Śpisz?

— Ej, Johnie, żebym ja tobą nie potrząsnęła! Zrobię to na pewno, jeżeli nie będziesz sprawował się przyzwoicie. Może zechcielibyście zamilknąć, ty i Lucy, żeby można było lepiej słyszeć śpiew?

Chór grzmiał w tej chwili właśnie z całej siły, przygłuszając prowadzony przez nas półgłosem dialog.

- Ty słyszysz śpiew, mamo?! Gotów jestem postawić o za-

337

kład moje spinki do mankietów, jak ci wiadomo prawdziwe, przeciwko twojej broszce z fałszywych kamieni...

— Mojej broszce z fałszywych kamieni, Grahamie?! Błuznie-rcó! Świętokradco! Wiesz przecież, że to drogocenny brylant!

— O, to jeden z twoich przesądów, jedna z legend, w którą wierzysz uparcie: oszukano cię na tym kupnie. Wyprowadzono cię w pole.

— Nie tak łatwo mnie oszukać ani wyprowadzić w pole, jak sobie wyobrazasz. Skąd u ciebie znajomości pośród dam dworu, Johnie? Zauważyłam, że dwie spośród nich wpatrywały się w ciebie nader bacznie w ciągu ostatniej pół godziny.

— Wolałbym, żebyś nie patrzyła na nie.

— Dlaczego nie? Dlatego, że jedna z nich drwiąco przypatrywała mi się przez swoje szkiełko? Ładna, ale głupia. A może boisz się, że jej chichoty onieśmielą twoją starszą panią?

— Mądra, niezrównana, cudowna starsza pani! Mamo, wolę jednak ciebie niż dziesięć żon!

— Nie rozczulaj się, Johnie, bo jeszcze zemdleję ze wzruszenia i będziesz musiał wynieść mnie z sali. A gdybyś był naprawdę zmuszony dźwignąć taki ciężar, zmieniłbyś zdanie i

zawołałbyś: „Matko, dziesięć żon nie mogłoby zaciążyć mi gorzej, dokuczyć mi bardziej, niż ty jedna!”

Po koncercie rozpoczęła się loteria au benefice des pauvres: wcześniejsza przerwa umożliwiła wszystkim swobodny wypoczynek, powodując miłe ogólne poruszenie i ożywienie. Białe stadko opuściło estradę, otoczone wnet gorliwie przez uwijającą się dokoła gromadę młodych panów, zajętych przygotowaniami do ciągnięcia losów. Najbardziej ożywiona z całego grona była dobrze mi znana figurka, niewysoka, ale bardzo ruchliwa, zdolna energią i ruchliwością prześcignąć trzech rosnących mężczyzn. O, jak żywo, z jakim zapałem krzątał się i uwijał Mr. Paul! Jak władczo rzucał na wszys-

338

tkie strony rozkazy! A równocześnie jak ofiarnie nie szczędził własnych rąk przy pracy! Pół tuzina pomocników było na jego rozkazy, aby usunąć fortepian i pełnić tym podobne posługi, uważał jednak za niezbędne podstawić także i własne ramię pod ciężar. Nadmierna krzątanina była tyleż drażniąca, ile niezbędna w jego mniemaniu; ja przynajmniej burzyłam się w duszy, szydząc z czynionego przez niego zamętu. Zarazem jednak, irytując się na niego i krytykując go w myśli, nie mogłam oprzeć się uczuciu, że wszystko, co mówi i co robi, nacechowane jest pewną dość miłą naiveté. Zmuszona byłam także — nie byłam ślepa — dopatrzeć się pewnych mocno wyrażonych cech charakterystycznych w jego twarzy, tym bardziej uderzających teraz, prawem kontrastu, na tle przeważającej większości fizjonomii tępych, płaskich, obojętnych, pozbawionych wyrazu. Nie mogłam nie dostrzec głębokiej, skupionej siły i bystrości jego wzroku, władczego zarysu czoła, bladego, szerokiego i wypukłego, ruchliwości zmieniających wciąż swój wyraz ust. Brakło mu imponującej siły, posiadał wszakże, w stopniu najwyższym, zapał, dzielność i obrotność.

Na widowni panowało niezwykle podniecenie: większość powstawała z miejsc i nie siadała ponownie, chcąc rozprostować kości; niektórzy przechadzali się nawet, wszyscy rozmawiali, żartowali i śmieli się. Ozdobiona szkarłatną draperią część sali uderzała szczególnie ożywieniem. Chmara panów we frakach rozproszyła się teraz i zmieszała z gromadą tęczowo strojnych pań; dwaj czy trzej panowie w mundurach wojskowych podeszli do króla, który wszczął z nimi rozmowę. Królowa, wstawszy ze swojego fotela, przeszła wzdłuż szeregu młodych dziewcząt, pochylających głęboko główki i nisko przysiadających w dworskim ukłonie; do każdej z nich zwróciła się z uprzejmym słówkiem, życzliwym spojrzeniem i miłym uśmiechem. Z obiema ślicznymi młodymi Angielkami: lady Sarą i Ginevrą Fanshave — zamieniła kilka zdań; kiedy odeszła od nich, obie, a zwłaszcza Ginevra, zdawały się promienieć dumą i radością.

339

Przyskoczył do nich wnet zastęp panów: najbliżej Ginevry znalazł się hrabia de Hamal.

— Można się tu udusić w tej sali z gorąca! — zawołał doktor Bretton, zrywając się z nagłym zniecierpliwieniem. — Lucy, mam, nie miałybyście panie ochoty przejść się trochę na świeżym powietrzu?

— Idź z nim, Lucy — rzekła pani Bretton. — Nie mam ochoty ruszać się z miejsca.

Pozostałabym chętnie i ja, lecz życzenie Grahama była dla mnie rozkazem; poszłam z nim.

Po duchocie panującej w sali powietrze nocne było szczególnie rześkie, mnie przynajmniej wydało się takie. Graham nie spostrzegwał snadź tego. Nie było jednak wiatru; ani jedna chmurka nie plamiła rozgwieżdżonego nieba. Otuliłam się futrzaną narzutką. Przeszliśmy się parę razy po jezdni; kiedy znaleźliśmy się w kręgu światła latarni, nasze spojrzenia się spotkały.

— Wydaje się pani zamyślona, Lucy: czy to przeze mnie?

— Obawiam się tylko, czy nie jest pan zmartwiony.

— Ani trochę; niech pani będzie dobrej myśli i nic sobie z tego nie robi, tak jak ja. Kiedykolwiek przyjdzie mi umrzeć, jestem pewien, że nie nastąpi to z powodu złamanego serca. Mogę być zraniony, mogę nawet zwiesić bezradnie głowę na jakiś czas, jak dotychczas jednak żaden ból ani choroba serca nie podkopały mojego organizmu. Zawsze chyba widywała mnie pani wesołym w domu, prawda?

— Tak. Na ogół.

— Cieszę się, że panna Ginevra pozwoliła sobie wydrwić moją matkę. Nie oddałbym naszej starszej pani za tuzin młodych piękności. Szyderstwem tym wyświadczyła mi panna Fanshave wielką przysługę. Dziękuję pani za nie, panno Fanshave! — zawołał, zrywając kapelusz z falujących włosów i składając ironiczny ukłon. — Tak — powtórzył — jestem jej wdzięczny. Odczułem dzięki temu, że

340

dziewięć dziesiątych mojego serca było zdrowych jak rydz, a tylko jedna dziesiąta krwawiła z powodu lekkiego draśnięcia: rana, która wyleczyła się sama w jednej chwili.

— Na razie jest pan rozgniewany, podniecony i wzburzony. Do jutra zmieni pan zdanie: będzie pan czuł i myślał inaczej.

— Ja miałbym być podniecony i wzburzony?! Nie zna mnie pani. Wprost przeciwnie; nie ma już we mnie ani śladu podniecenia, ani żaru. Jestem chłodny jak ta noc, która może być jednak zbyt chłodna dla pani. Powróćmy!

— Zbyt nagła to zmiana, panie doktorze Johnie.

— Bynajmniej; a gdyby nawet miała być nagła, istnieją ważne po temu przyczyny — dwie ważne przyczyny: jedną z nich wyjawilem pani. Ale teraz wracajmy!

Nielatwo przyszło nam dostać się z powrotem na miejsca. Loteria rozpoczęła się, powodując ogólny zamęt; tłumy zatarasowały korytarz, co zmusiło nas do zatrzymania się na dłuższą chwilę. Kiedy rozejrzałam się dokoła — wydało mi się bowiem, że usłyszałam wymienione głośno moje imię — dostrzegłam zupełnie blisko wszechobecnego Mr. Paula. Patrzył na mnie surowo i przenikliwie — nie tyle na mnie właściwie, ile na moją różową suknię, a szyderczy błysk zaiskrzył się w jego oczach. Nie był dla mnie nowiną jego surowy, krytyczny stosunek do sposobu ubierania się zarówno uczennic, jak nauczycielek na pensji Madame Beck, co te ostatnie miały mu wielce za złe, uważając taką zbędną krytykę za dokuczliwe zuchwalstwo z jego strony. Ja osobiście nie doświadczyłam do owego dnia tej dokuczliwości: mój ciemny codzienny strój nie mógł razić nikogo, a więc i jego także. Tego wieczoru nie byłam w nastroju, by potulnie znosić jakąkolwiek krytykę, wołałam więc udać, że nie dostrzegam ani jego obecności, ani jego milczącej nagany. Wołałam zwrócić głowę w stronę rękawa wieczorowego stroju doktora Johna, uważając rękaw ten za miłszy i bardziej krzepiący, przyjaźniejszy i darzący większą otuchą, aniżeli posępna,

341

nieprzyjazna twarz profesora. Doktor John zdawał się nieświadomie sankcjonować niejako ten mój manewr, spojrzał bowiem na mnie przyjaźnie i rzekł tonem życzliwej zachęty:

— Niech pani trzyma się mojego boku, Lucy. Ci tłoczący się i przepychający łokciami Biirgers — obywatele — nie mają szacunku ani względów dla nikogo.

Nie mogłam jednak zastosować się do jego polecenia. Bezwiednie, pod wpływem jakiegoś impulsu ponownie rzuciłam okiem dokoła, aby przekonać się, czy Mr. Paul jest jeszcze, czy już poszedł... Tak, stał na tym samym miejscu, wpatrzony w dalszym ciągu we mnie, ze zmienionym wszakże wyrazem twarzy. Przeniknął widocznie moją myśl, odgadł mój zamiar uniknięcia spotkania się z nim oko w oko. Szydercze, ale nie gniewne pierwotne spojrzenie ustąpiło miejsca ponurej złości, a kiedy, chcąc go przebłagać, ukłoniłam się pochylem głowy, odwzajemnił ukłon najsztynniejszym i najzimniejszym kiwnięciem, na jakie go było stać.

— Kogo tak pani rozgniewała, Lucy?—zapytał doktor Bretton z uśmiechem.

— Jednego z profesorów na pensji Madame Beck: wielce zaciętrzewionego małego człowieka.

— Tak. Wygląda w tej chwili jak uosobienie złości. Czym go tak pani skrzywdziła? O, Lucy, Lucy, niech mi pani wyjaśni, co to może znaczyć?

— Zapewniam pana, że nie ma w tym żadnej tajemnicy. Mr. Emanuel jest bardzo wymagający, a ponieważ patrzyłam na rękaw pańskiego ubrania, zamiast dygnąć i złożyć mu głęboki ukłon, uważa, że nie zachowałam się wobec niego z należytyym szacunkiem.

— Ten mały... — zaczął doktor John. Nie wiem, co dodałby jeszcze, gdybym w tej chwili nie została odepchnięta od niego przez napór ciżby ludzkiej i rzucona nieomal pod nogi tłumu. Mr. Paul gwałtownie przedarł się łokciami przez wszystkich stojących mu na zawadzie, torując sobie drogę z tak krańcowym lekceważeniem nie

342

tylko wygody, ale wręcz bezpieczeństwa wszystkich obecnych, że wynikiem tego wyładowania energii było stłoczenie się wzajemne jednych z drugimi.

— Sądzę, że jest on un méchant—złośnikiem, jak sam nazwałby takiego jak on — rzekł doktor Bretton, kiedy znów szczęśliwie znalazłam się przy nim.

Byłam tego samego zdania.

Z wolna i z wysiłkiem przedostawaliśmy się przez pasaż, zanim wreszcie udało nam się powrócić na nasze miejsca. Ciągnięcie losów loteryjnych trwało prawie godzinę. Było to zabawne, tętniące życiem i wesołością widowisko, że zaś każdy z nas zaopatrzony był w bilety, braliśmy udział w ogólnym zainteresowaniu wynikiem każdego kolejnego obrotu koła. Przechodziliśmy wraz z wszystkimi innymi od nadziei większej wygranej do rozczarowania z powodu doznanego zawodu. Dwie malutkie dziewczynki, pięcio- i sześciolatka, wyciągały numery, po czym następowało ogłoszenie z estrady przypadających wybrańcom fortuny wygranych. Wygrane te były bardzo liczne, przeważnie niezbyt wielkiej wartości. Traf chciał, że i ja, i doktor John wygraliśmy po jednym fencie: mnie dostała się papierośnica, a jemu damski stroik na głowę — rodzaj powiewnego biało-srebrnego turbanu, przybranego, niby śnieżnym obłoczkiem, pękiem piórek z jednego boku. Doktor Bretton chciał koniecznie zamienić się ze mną, nie dałam się jednak nakłonić do tego. Do dnia dzisiejszego przechowuję papierośnicę: ilekroć patrzę na nią, przypominają mi się dawne czasy i jeden prawdziwie szczęśliwy wieczór.

Doktor trzymał swój turban w wyciągniętej ręce pomiędzy wskazującym i dużym palcem, patrząc na to cacko z niesłychanie komiczną mieszaniną szacunku i zakłopotania. Gdy już nacieszył się swoją wygraną, obojętnie zamierzał złożyć zwiewne cacko na podłogę pomiędzy własnymi nogami, zdając się nie mieć pojęcia, co począć z tym fantem (w dosłownym znaczeniu tym rarer). Gdyby

343

matka nie przyszła mu z pomocą, wcisnąłby go sobie ostatecznie pod pachę, niby szapoklak. Na szczęście zdążyła jeszcze odebrać mu stroik i włożyć go do pudełka, z którego został wyjęty.

Graham był wesoły i ożywiony przez cały wieczór i ta jego wesołość i ożywienie wydawały się zupełnie niewymuszone i naturalne. Niełatwo opisać jego zachowanie i wygląd, było w nich wszelako coś osobliwego, coś oryginalnego. Niezwykłość ta polegała w moim pojęciu na zdolności panowania nad sobą, powściągnięcia swoich pasji. Miał w sobie dość siły, by bez większego trudu przewycięzać własne rozczarowania i zawody. Jego zachowanie przypomniło mi zalety, jakie zauważyłam w nim w momencie niesienia pomocy lekarskiej biedakom, więzniom i innym cierpiącym i upośledzonym z Basse-Ville: był tak samo stanowczy jak wówczas, cierpliwy i łagodny. Któż mógłby go nie kochać? Nie zdradzał nigdy owej słabości, zwykłej nękać chwiejność naszych odczuć rozważaniami, w jaki sposób mamy umocnić je i podtrzymać: nigdy rozdrażnieniem czy złym usposobieniem nie mącił spokoju i

nie tłumił wesołości innych; nie czynił nigdy uszczypliwych, raniących do głębi, krytycznych uwag; oko jego nie przeszywało nigdy jadowitą strzałą niczyjego serca na wskroś; jego bliska obecność zapewniała spokój, darzyła poczuciem bezpieczeństwa, otaczała atmosferą pogody i słońca.

Nie wybaczył jednak panie Fashave, ani też nie zapomniał o jej przewinieniu. Wątpię, czy rozgniewany i dotknięty prawdziwie, dałby się kiedykolwiek przebłagać — poczuwszy się raz obcym, czy zbliżyłby się ponownie. Patrzył na nią niejednokrotnie: ani ukradkiem, ani pokornie, ale uporczywie i wnikliwie. De Hamal stała teraz tkwiła przy niej; tuż obok siedziała pani Cholmondeley. Wszyscy troje zaabsorbowani byli wesołą, podniecającą rozmową, jaka w tym samym stopniu ożywiała siedzących na obciążonych purpurą ławach, co i plebejuszowską część sali. W czasie szczególnie ożywionej dyskusji Ginevra podniosła kilkakrotnie rękę, na której iskrzyły

344

się ognie, rzucane przez cenne kamienie, jakimi wysadzana była piękna bransoletka.

Dostrzegłam, że widok tej ozdoby rozpalił i w oczach doktora Johna błyski, ale były to wyraźnie błyski ironii. Roześmiał się:

— Myślę, że najlepiej zrobię, składając mój turban na zwykłym ołtarzu ofiarnym; tam przynajmniej może on być pewien łaskawego przyjęcia; żadna gryzетка nie umie przyjmować darów łatwiej i bardziej ochoczo niż ona. Dziwne to! Bo przecież ostatecznie pochodzi z dobrego gniazda!

— Nie wie pan jednak, panie doktorze Johnie, w jaki sposób została wychowana — rzekłam.

— Przerzucana przez całe swoje życie z jednej zagranicznej pensji na drugą, mogłaby nieświadomością złego iłl prawiedliwić większość swoich braków i błędów. A nadto, sądząc z jej opowiadań, musieli i jej rodzice również otrzymać podobne wychowanie.

— Domyślałem się zawsze, że nie są to ludzie zamożni, przyznam też, że świadomość ta sprawiała mi niegdyś zadowolenie — odparł.

— Wiem od niej samej, że w domu jej rodziców panuje nieomal ubóstwo: Ginevra nie ukrywa wcale tych spraw, mówi o nich zupełnie otwarcie. Ma niewątpliwie tę wielką zaletę, że nie kłamie, jak te wszystkie cudzoziemki. Jej rodzice mają licznych krewnych i bogatych znajomych, co w ich pojęciu zobowiązuje ich do życia na odpowiednim poziomie, a przynajmniej do stwarzania takich pozorów. Konieczność — nieodzowna według nich — w połączeniu z wrodzoną bezmyślnością złożyły się na jak najdalej idący, nie liczący się z niczym brak skrupułów w zdobywaniu środków tej egzystencji na pokaz. Taki jest prawdziwy stan rzeczy, jedyny, z jakim stykała się od dziecka aż po dzień dzisiejszy.

— I ja tak sądzę. Pragnąłem jednak urobić ją na coś lepszego. Ale widzi pani, Lucy, jeśli mam być zupełnie szczery, doznałem zupełnie nowego uczucia dzisiaj wieczorem, widząc ją i de Hamalę.

345

Poczułem to, zanim jeszcze zraziła mnie impertynencja, z jaką pozwoliła sobie przyglądać się mojej matce. Dostrzegłem wymianę spojrzeń pomiędzy Ginevrą a de Hamalem bezpośrednio po jej wejściu do sali koncertowej. Spostrzeżenie to ukazało mi ich oboje w całkiem nowym, fatalnym świetle.

— Co pan przez to rozumie? Wiedział pan przecież od dawna o ich flircie?

— O, flirt! Mógłby on być niewinną grą dziewczęcą, przynętą obliczoną na podniecenie prawdziwego, wiernego wielbiciela! To wszakże, o czym mówię, nie było flirtem; była to wymiana spojrzeń, zdradzająca tajemne porozumienie wzajemne—gra ani dziewczęcą, ani niewinna. Nie mógłbym nigdy pojąć za żonę kobiety zdolnej do podobnych spojrzeń, chociażby nawet była piękna jak Wenus. Raczej gotów byłbym poślubić skromną wieśniaczkę w krótkiej spódniczce i wysokim czepeczku, bylebym tylko mógł mieć pewność, że mam do czynienia z istotą uczciwą.

Nie umiałam powstrzymać uśmiechu. Byłam pewna, że przecenia teraz doniosłość całej sprawy: Ginevra, pomimo swej istotnej płochości, była jednak w zasadzie uczciwa. Powiedziałam mu to. On jednak potrząsnął przecząco głową, oświadczając, że nie zaufałyby jej na tyle, by powierzyć jej honor swojego nazwiska.

— To jedyna rzecz — odparłam — którą mógłby pan śmiało jej powierzyć. Potrafiłaby bez skrupułów narażać na straty sakiewkę i własność swojego męża, niebacznie wystawiać na próby jego cierpliwość i wyprowadzać go z równowagi, nie sądzę wszelako, aby miała pozwolić samej sobie czy komu innemu na najłżejsze skażenie jego honoru.

— Staje się pani jej adwokatką — rzekł. — Czy chciałaby pani, abym wprzągnął się od nowa w dawne jarzmo?

— Nie; rada jestem, że widzę pana wyzwolonego, wierzę też, że pozostanie pan długo wolny. Niech pan jednak będzie zarazem sprawiedliwy.

346

— Jestem sprawiedliwy. Sprawiedliwy jak Radamantys. Gdy jednak poczuję się zupełnie obcy, nie potrafię sądzić inaczej niż surowo... Ale niech pani uważa: król i królowa wstają. Podoba mi się królowa: sprawia wrażenie takiej dobrej i łagodnej. I matka moja także jest przemęczona; nie dowieziemy naszej starszej pani żywej i całej do domu, jeżeli nie zabierzemy jej zaraz. Bardzo jesteś zmęczona, mammo?

— Ja miałabym być zmęczona, Johnie?! — zawołała pani Bretton, sprawiająca istotnie wrażenie tak samo świeżej i rześkiej, jak jej syn. — Mogłabym siedzieć tutaj dłużej od was. Pozostaniemy oboje, ja i ty, do rana, a przekonamy się, kto z nas będzie bardziej zielony o wschodzie słońca.

— Nie aodjąłbym się takiej próby, bo ty, mammo, jesteś naprawdę najmniej wędnącą z wiecznie zielonych roślin i najświeższą ze wszystkich niewiast. Niech więc słabe zdrowie i wrażliwe nerwy twojego syna starczą ci za usprawiedliwienie mojej prośby o rychły nasz powrót do domu.

— Gnuśny młodzieńcze! Pragnąłbyś niewątpliwie być już w łóżku; ha, trudno, widzę, że trzeba będzie ci ulec. I Lucy także wygląda jak przywiedły kwiat. Nie wstyd ci, Lucy? Kiedy byłam w twoim wieku, spędzanie przez cały tydzień wieczorów poza domem nie czyniło mnie ani o źdźbło bledszą. Chodźcie, chodźcie oboje. Możecie też śmiać się do woli z waszej starszej pani, która ani myśli pozostawić tutaj pudełka z turbanem. Zabiorę je.

Zabrała pudło w istocie. Zaofiarowałam się wyręczyć ją, propozycja moja została odrzucona wszakże z życzliwą wzgardą: moja matka chrzestna oświadczyła, że zupełnie wystarczy mi pamiętanie o samej sobie, bez brania na barki dodatkowych ciężarów.

1 Radamantys — syn Zeusa i Europy, brat Minosa, wraz z nim i Eakiem uważany za sędziego dusz zmarłych, czczony był przez całą starożytność za wyjątkową sprawiedliwość (przyp. tłum.).

347

Nie zmuszona już — wobec odjazdu króla i królowej i powstałego wnet potem jeszcze gorszego zamętu — do ceremonialnego zachowania, wyszła pani Bretton pierwsza, energicznie torując nam obojgu drogę poprzez tłum. Graham poszedł za nią, podżartowując ze swojej matki, że z pudłem do stroików przewieszonym przez ramię wygląda jak najzręczniejsza prawdziwa gryzетка, podkpiwał także z jej zauroczenia turbanem, który zapewne ujrzymy niebawem na jej głowie.

Noc teraz była już bardzo chłodna i bardzo ciemna. Szybko odnaleźliśmy nasz pojazd, ciepły i przytulny, w którym ulokowaliśmy się, niczym w promieniach kominkowego ognia. Powrót do domu był jeszcze przyjemniejszy bodaj, aniżeli jazda na koncert. Był przyjemny, mimo że woźnica oczekując na nas spędził u marchand de vin — w winiarni — część czasu i zawiózł nas ciemnym samotnym gościńcem znacznie dalej niż było potrzeba, ominąwszy zakręt drogi,

jaki wiódł wprost do La Terrasse. Rozgadani i roześmiani, nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego błędzenia, aż wreszcie pani Bretton zwróciła uwagę, że jakkolwiek chateau jest w istocie, w jej pojęciu, miejscem nader odległym od wszelkich siedzib ludzkich, nie przypuszczała wszelako nigdy, aby był położony na końcu świata, jak widzi teraz. — Jedziemy już jakie półtorej godziny — rzekła — a wciąż jeszcze nie skręciliśmy w aleję prowadzącą do La Terrasse.

Pod wpływem uwagi matki Graham wyjrzał na drogę. Dostrzegłszy jedynie tonące we mgle poza niewidocznymi ogrodzeniami pola, obrzeżone nie znanymi mu szeregami lip o poprzycinanych konarach, zorientował się, co właściwie zaszło. Nie było innej rady, jak tylko kazać woźnicy stanąć, po czym Graham wyskoczył z pojazdu, zajął miejsce na koźle i sam ujął cugle. Dzięki temu przybyliśmy cało i zdrowo do domu, spóźnieni nie więcej niż półtorej godziny.

Marta nie zapomniała o nas: na kominku wesoło buzował
348

ogień, a na stole w jadalni czekała zastawiona wieczerza. Radzi byliśmy temu. Zbliżał się szary, zimowy, późny brzask, kiedy znaleźliśmy się wreszcie w naszych sypialniach. Zdjęłam z siebie czarną koronkową narzutkę i różową suknię. Byłam w nastroju znacznie radośniejszym niż wówczas, kiedy pozwoliłam się w nie ustroić. Nie wszyscy może, olśniewający wspaniałością toalet na koncercie, mogli powiedzieć o sobie to samo, nie wszystkim bowiem przypadło w udziale szczęście przyjaźni, darzącej takim poczuciem spokoju, bezpieczeństwa i, miarkowanych rozsądkiem, skromnych nadziei.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

SPIS TREŚCI

I. Bretton.....	5
II. Paulina.....	15
III. Towarzysze zabaw.....	25
IV. Panna Marchmont.....	49
V. Odwrócenie nowej karty	62
VI. Londyn.....	69
VII. Villette.....	86
VIII. Madame Beck.....	101
IX. Izydor	123
X. Doktor John.....	140
XI. Łoża odźwiernej.....	151
XII. Szkatułka.....	161
XIII. Kichnięcie nie w porę.....	177
XIV. Uroczystość	192
XV. Drugie wakacje	236
XVI. Auldlangsyne.....	254
XVII. LaTerrasse	276
XVIII. Sprzeczamy się	290
XIX. Kleopatra	301
XX. Koncert	319

Druk i oprawa: Tomaszowskie Zakłady Graficzne
97-200 Tomaszów Maz., ul. Farbiarska 32/34
Zam. 421

f ' I I
CHARLOTTE BRONTE
Villette
2006 -08- 2 /
' 2007 -m-19
CHARLOTTE BRONTE
Yillette
Tom 2
Przekład Róża Centnerszwerowa

OFICYNA WYDAWNICZA RYTM WARSZAWA 1 994

,-
CHARLOTTE BRONTE

Villette
Tom 2
Przekład Róża Centnerszwerowa

OFICYNA WYDAWNICZA RYTM WARSZAWA 1 994

Tytuł oryginału angielskiego:

iiii / „Villette”

Projekt graficzny serii: Renata Obniska-Wolska

Na okładce wykorzystano materiały z: LE COSTUME EN RUSSJE XVDIe DEBUT DU
XXe SIECLE,

Aurora 1979

Reprodukcje wykonali: Zbyszko i Maciej Siemaszko

Opracowanie redakcyjne: Lidia Wrzosek

Korekta:

Małgorzata Golembnik

Lidia Wrzosek

Redaktor serii: Maria Laskowska

Tekst opracowano na podstawie edycji Towarzystwa Wydawniczego „Rój” z 1939 roku

© Copyright by Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1994

ISBN 83-85249-32-X

Zamówienia na książki można składać

w dziale handlowym Wydawnictwa:

ul. Górczewska 8, 01-180 Warszawa,

tel. 32-82-55, 32-02-21 w. 18, fax 32-18-95

Rozdział I Reakcja

Jeszcze tylko trzy dni, a potem trzeba wracać na pensję. Nieomal odliczałam na zegarze poszczególne minuty tych ostatnich godzin. O, jak bardzo pragnęłam powstrzymać ich nieubłagany bieg! Przesuwały się jednak, podczas gdy ja śledziłam je czujnie, z niepokojem, i znikwały bezpowrotnie w momencie, kiedy wciąż jeszcze myślałam z lękiem o tym, że przeminęły.

— Lucy nie odjedzie od nas dzisiaj — rzekła pani Bretton przy pierwszym śniadaniu tonem przymilnej prośby. — Wie przecież, że będziemy mogli jeszcze raz uzyskać dla niej zwłokę. — Nie chciałabym o nią prosić, chociażby miało wystarczyć w tym celu bodaj jedno słowo — odparłam. — Pragnę mieć już poza sobą chwilę rozstania i znaleźć się znów na Rue Fossette. Muszę odjechać dzisiaj z rana, zaraz po śniadaniu. Mój kosz jest zapakowany i zasnurowany.

Okazało się jednak, że mój odjazd był uzależniony od Grahama. Ofiarował się odwiedzić mnie, a tak się złożyło, że był zajęty przez cały dzień i powrócił do domu dopiero o zmierzchu. Nastąpiła mała utarczka słowna pomiędzy mną a gościnnymi gospodarzami. Pani Bretton i jej syn nalegali, abym pozostała w ich domu jeszcze przez tę jedną noc. Omal nie rozplakałam się, tak pilno mi było odjechać. Pragnęłam już rozstać się z nimi, jak przestępca na miejscu stracenia pragnie, aby topór spadł już jak najprędzej na jego szyję. Chce mieć jak najrychlej ten straszliwy ból poza sobą. Nie domyślali się, że ja również pragnęłam mieć już za sobą tę okrutną chwilę. Nie byli w stanie zrozumieć mnie w tym momencie. Nie doświadczyli nigdy niczego podobnego!

Było już zupełnie ciemno, kiedy doktor John pomógł mi wy-

5

siąść ze swego wolanta przed drzwiami Zakładu Wychowawczego Madame Beck. Latarnia przy wejściu była zapalona, mżył typowy deszcz listopadowy, który nie ustalał przez cały dzień; światło latarni rzucało drżące błyski na mokry chodnik przed domem. W taki sam wieczór przed niespełna rokiem po raz pierwszy przestąpiłam ten próg w takiej samej scenerii. Zapamiętałam kształt kamieni bruku, którym przyglądałam się, nie mając nic innego do roboty, gdy czekałam, aż otworzą się przede mną te drzwi, przed którymi stałam samotna, pokorna. I wówczas również na krótką przelotną chwilę spotkałam tego, który teraz mi towarzyszył. Czy kiedykolwiek przypominałam mu to nasze pierwsze spotkanie albo też wyjaśniłam mu je? Nie, nie uczyniłam tego nigdy ani też nie miałam nigdy ochoty tego uczynić: była to miła myśl, zazdrośnie ukryta na dnie mojej pamięci, gdzie spoczywała nieporuszona.

Graham pociągnął za dzwonek- Drzwi otworzyły się natychmiast: była to właśnie pora wieczorna, w której uczennice przychodnie wracały do swoich domów i dlatego Rozyna stała w pogotowiu, aby otwierać przychodzącym po panienki.

— Niech pan nie wchodzi — rzekłam, on jednak, nie usłuchawszy mnie, zatrzymał się na chwilę w jasno oświetlonym przedsionku. Nie chciałam, aby dostrzegł łzy w moich oczach; miał zbyt współczujące serce, którego nie należało ranić bez potrzeby takim przejawem bólu. Dążeniem doktora Johna było zawsze leczyć — a przynajmniej koić, przynosić ulgę, ilekroć uleczenie nie leżało w jego mocy.

— Niech się pani zdobędzie na odwagę, droga Lucy. Niech pani pamięta, że moja matka i ja jesteśmy i pozostaniemy zawsze szczerymi, wiernymi przyjaciółmi pani. Nie zapomnimy o pani nigdy.

— Ja też nie zapomnę nigdy o pańskiej matce ani o panu, doktorze Johnie.

Wniesiono mój bagaż, wymieniliśmy ostatni uścisk dłoni; dok-

6

tor odwrócił się już, aby odejść, zatrzymał się jednak: nie wystarczyło mu snadź to, co powiedział, do uczynienia zadość szlachetnym porywom jego duszy i serca.

— Lucy — szepnął, zbliżywszy się do mnie — czy będzie pani czuła się tutaj bardzo samotna?

— Z początku — tak.

— Moja matka odwiedzi panią wkrótce, a tymczasem wie pani, co zrobię? Będę pisywał do pani, ot, byle głupstwa, jakie przyjdą mi na myśl, aby tylko dodać pani otuchy, rozweselić panią nieco. Pozwała mi pani?

O, szlachetne, rycerskie serce! — pomyślałam, potrząsnęłam jednak głową i rzekłam z uśmiechem: — Niech pan nawet nie myśli o nakładaniu na siebie podobnego obowiązku. Pan miałby pisać do mnie?!... Nie będzie pan miał na to czasu.

— Znajdę czas! Muszę znaleźć! Do widzenia!

Poszedł. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim — topór spadł — przeszył mnie ból.

Nie pozostawiając sobie czasu na odczucie go ani na rozmyślanie o nim, przełknęłam łzy, jak gdyby były winem i weszłam od razu do bawialni Madame, aby ją przywitać i wyrazić należny jej szacunek.

Przyjęła mnie z doskonale odegraną serdecznością — była nawet wylewna, mimo że udzielona mi przez nią audiencja trwała krótko. Po dziesięciu minutach pożegnała mnie. Z salle a manger — jadalni — przeszłam do refektarza, gdzie uczennice i nauczycielki zebrały się już na naukę wieczorną; i znów zostałam powitana, tym razem jednak, jak sądzę, z nie tylko udawaną serdecznością. Po tym przywitaniu mogłam wreszcie udać się do sypialni.

— Czy Graham naprawdę napisze? — zadałam sobie pytanie, gdy znużona przeżyciami dnia osunęłam się na krawędź łóżka.

Rozum, przekradając się do mnie poprzez mroki długiego, posępnego pokoju, podszeptował rozważnie:

7

— Może raz napisze... Jest taki dobry i zacny, że zdobędzie się na ten wysiłek. Nie może to jednak trwać długo, prawdopodobnie nawet się nie powtórzy. Wielkim szaleństwem byłoby opierać jakieś nadzieje na takim przyrzeczeniu — obłędem byłoby dopatrywać się w chwilowej, utworzonej przez deszcz kałuży, zawierającej co najwyżej łyk wody, stale wytryskającego źródła, dostatecznie zraszającego całą okolicę.

Opuściwszy głowę na pierś, przesiedziałam przez godzinę jeszcze. Rozum nie przestawał podszeptywać mi ostrzeżeń, kładąc na moim ramieniu zwiędłą ze starości dłoń, mroząc mi ucho lodowatym chłodem sinych warg.

— A gdyby nawet — mówił — gdyby nawet miał napisać, to i cóż z tego? Myślisz o przyjemności, jaką ci sprawi odpisywanie mu? O, głupia, bezmyślna dziewczyno! Ostrzegam cię! Odpowiedź twoja musi być lakoniczna. Nie licz na płynącą stąd rozkosz dla serca — ani na przyjemność dla intelektu, jaką mogłaby obdarzyć cię ta korespondencja: nie pozwalaj sobie na wylewność, nie dawaj swobodnego ujścia żadnym uczuciom, nie ulegaj pokusie bez troskłej wymiany myśli, nie żyw nadziei na związek serc...

— Rozmawiałam z Grahamem, a nie karcieś mnie przecież — próbowałam perswadować bezlitosnemu rozumowi.

— Nie — przyznał. — Nie było potrzeby. Rozmowa jest doskonałym ćwiczeniem dla twojego intelektu. Nie potrafisz prowadzić jej z należytą swobodą. Rozmawianie nie jest dla ciebie równoznaczne z zapominaniem o twojej niższości i podtrzymywaniem w sobie złudzeń: twojej mowie nadają osobliwe piętno cierpienie, braki, niedostatek...

— Ale przecież — przerwałam mu — tam gdzie nie ma obecności cielesnej, a rozmowa grzeszy brakiem wyrobienia, niepodobna błędzić szukaniem w mowie pisanej pełniejszego wyrazu niż ten, na jaki potrafią się zdobyć drżące, niepewne usta?

— Podtrzymuj w sobie tę wiarę na własną odpowiedzialność

8

— odparł rozum — i na własną również odpowiedzialność pozwól tej wierze wpływać na charakter twoich listów.

— Skoro jednak czuję, czyż nie mam nigdy tego wypowiadać?

— Nigdy! — oświadczył rozum z naciskiem.

Jęknęłam uderzona jego nieprzejednaną stanowczością. Nigdy! O, jaki wyraz nieubłagany! Ten okrutnik — rozum — nie pozwoli mi podnieść oczu ani uśmiechnąć się, ani łudzić się nadzieją; nie uspokoi się, dopóki nie będę zupełnie zmiażdżona, wyzbyta resztek odwagi, złamana ostatecznie na duchu. W jego mniemaniu zrodzona zostałam jedynie po to, aby zapracować na kawałek chleba, czekać z poddaniem na mękę śmierci i stale, przez całe życie, wątpić i rozpaczać. Może ma słuszność; cóż jednak dziwnego, że czasem jesteśmy skłonni buntować się przeciwko niemu, wymykać się spod jego karcącej różdżki i pozwalać wyobraźni — jego jasnej, miłej nieprzyjaciółce — na pobujanie swobodne, na snucie słodkich wizji nadziei, cudownej, boskiej, zesłanej nam z nieba pocieszycielki. Musimy zrywać od czasu do czasu pęta, jakie nakłada na nas rozum, bez względu na straszliwą, czekającą nas za to karę. Rozum jest diabelsko mściwy; dla mnie, niczym zła macocha, miał on zawsze w zanadru trujące żądło. Jeśli byłam mu posłuszna, czyniłam to jedynie pod wpływem lęku, a nie miłości. Gdyby nie owa przyjaź-niejsza siła, stale, mimo że tajemnie, dochowująca mi wierności, nie żyłabym już od dawna wskutek jego prześladowania, krępowania mnie surowymi ograniczeniami, mrożenia chłodem, maltretowania twardymi deskami zimnego łóża, zadawania mi nieustannych ciosów.

Jakże często rozum wypędzał mnie nocą, wśród zimy, na zlodowaciały śnieg, rzucając mi za całe pożywienie poobgryzane kości, których nie chciał tknąć nawet pies i zapewniając, że los nie przeznaczona dla mnie nic innego, nie przyznaje mi prawa domagania się czegoś lepszego... W takich chwilach podnosiłam oczy w górę i na niebie pośród

9

Krających gwiazd, z których największa i najjaśniejsza słała ku mnie łagodny, kojący promień, dostrzegałam głowę. Duch, tkliwszy i bar-Złej dobrotliwy niż rozum ludzki, spływał bezszelestnie na skrzyd-ch> rozsiewając dokoła atmosferę wiekuistego lata, niosąc balsamiczne wonie nigdy nie więdnących kwiatów i drzew, których owoc darzy życiem, przywiewając czyste tchnienia ze świata, któremu nie Jest potrzebne słońce, aby go oświetlić. Ten anioł nasycił mój głód P°karmem słodkim i nieznanym, zebrany pośród pokłosa anielskiego przez duchy opiekuńcze, gromadzące swoje sperlone rosą zm\vo 0 pierwszej, najwcześniejszej godzinie boskiego poranku. * oliwie osuszył nie do zniesienia gorzkie łzy, wraz z którymi spływa rYcie samo, ukoił cichym spoczynkiem śmiertelne znużenie, tchnął nadzieję i nowy impuls do życia w bezduszną, paraliżującą rozpacz be2nadziejności. Boski, współczujący, pomocny wpływ. Jeśli kiedykolwiek uklęknę przed kim innym niż przed Bogiem, to tylko przed w°imi białymi, uskrzydłonymi stopami, jaśniejącymi na wyżynach 1 ^a równinie. Świątynie wznoszono na cześć Słońca, ołtarze polecano Księżycowi. Ale, o glorio tysiackroć większa! Na twoją ch\wałę niczyje ręce nie wznosiły świątyń ni ołtarzy, niczyje usta nie Czciły cie modlitwą, serca wszelako wielbiły cię i dochowały ci Wlerności poprzez wieki. Twoja siedziba jest zbyt obszerna, by ją ot°czyć murami, zbyt wysoka, aby wzniesć ponad nią kopułę — sxwiątynia, której posadzką jest przestwór — rytuał, którego tajniki uJawniają się w przedziwnej harmonii światów!

Władczyni najwyższa! Aby móc ostać się i przetrwać, miałaś Wlelką armię męczenników; aby uszczęśliwić ludzkość—wybrany zastęp najgodniejszych. Bóstwo niewątpliwe, istotą twoją niweczysz e^enienty upadku i rozkładu.

Ta córa niebios przypomniała sobie o mnie tego wieczoru. Widziała moje łzy i dlatego zstąpiła z wyżyn do mojego łóża, niosąc °ti słowa pocieszenia.

— Śpij! — rzekła. — Śpij spokojnie. Ozłocę twoje sny!

10

Dotrzymała słowa, czuwając nad moim wypoczynkiem nocnym. Ale o świcie rozum ponownie objął straż nade mną. Zbudziłam się z nagłym wzdrygnięciem; deszcz siekł jednostajnie o szyby, a wiatr wył gniewnie w regularnych odstępach. Nocna lampka, ustawiona pośrodku sypialni na czarnym okrągłym cokole, przygasła powoli: rozpoczynał

się nowy dzień. O, jak bardzo współczuję tym, których cierpienia duszy budzą nagłym wzdrgnięciem, zamiast podniecić i natchnąć nową energią. Tego rana wzdrgnięcie, z jakim zbudziłam się, było tak silne, że poderwało mnie z łóżka, niby chwyt ręki olbrzyma. Jak szybko ubrałam się w przejmującym chłodzie brzasku! Jaki głęboki haust lodowatej wody nalałam sobie z karafki i wypilałam duszkiem! Woda była zawsze moim kordialem, po który, jak pijacy, sięgałam natychmiast, ilekroć gnębił mnie smutek.

Niebawem dzwonek obwieścił reveillee — porę budzenia się — całej szkole. Ubrawszy się zeszłam sama do refektarza, w którym napalono w piecu, dzięki czemu panowało tu miłe ciepło. W całym domu poza refektarzem było zimno, przejmujące typowo surowym chłodem zimy na kontynencie. Mimo że był dopiero początek listopada, wiatr wiejący z północy zmroził lodowatym tchnieniem cały nieomal obszar Europy. Pamiętam, jak bardzo nie podobały mi się czarne piece, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy; z czasem jednak nauczyłam się kojarzyć je z przytulnym ciepłem i polubiłam, tak jak w Anglii lubimy ogień płonący na kominku.

Usiadłszy przy tym ciemnym pocieszycielu, mogłam spokojnie pograć się w rozmyślaniach nad życiem i zmiennością losu, nad przeznaczeniem i jego wyrokami. Spokojniejsza i bardziej zrównoważona niż poprzedniej nocy, nakreśliłam sobie cały szereg nakazów i reguł życiowych, nie pozwalających — pod groźą najsurowszych kar — wszelkich jałowych rozpamiętywań minionego szczęścia, nakazujących cierpliwe przedzieranie się przez zawilości i zawody chwili obecnej, czerpanie siły i energii z wiary, tłumienie pędu do bałwochwalczego wielbienia i przekreślenie raz na zawsze

11

wszelkich tęsknot za wyśnioną krainą obiecaną. Wiedziałam, że do jej rzek nie dotrzemy nigdy, chyba tylko w gorączkowych wizjach konania, a jej soczyste łąki moglibyśmy oglądać jedynie z pustynnego mogilnego szczytu wyżyny Nebo na krańcu Morza Martwego. Stopniowo poczucie pokrzepionej siły i bólu zarazem opancerzyło moje serce, podtrzymując je, a przynajmniej powściągając jego kołatanie i uczyniło mnie zdolną do spełniania codziennych zadań.

Podniosłam głowę.

Jak już zaznaczyłam, siedziałam przy piecu, wmurowanym w ten sposób w ścianę dzielącą refektarz od carre, aby mógł ogrzać oba pomieszczenia. W tej samej ścianie, tuż obok pieca, przebite było okno, wychodzące również na carre. Podniósłszy w pewnej chwili głowę, ujrzałam za szybą chwast bonnet grec, wysokie czoło i dwoje bystro patrzących, przenikliwych oczu; spojrzenie ich u-tkwione było we mnie dziwnie badawczo. Nie wiedziałam do owego momentu, że policzki mam mokre od łez, nagle jednak poczułam na twarzy ich słoną wilgoć.

Dziwny był to dom, gdzie nie znalazłbyś kącika wolnego od natrętnej, wścibskiej ciekawości, gdzie nie można było uronić łzy ani zamyślić się głębiej, aby nie znalazł się pod ręką szpieg, podglądający czujnie i usiłujący odgadnąć, co może kryć się pod tymi przejawami. Co jednak sprowadziło tutaj tego pozadomowego, męskiego szpiega o tak niezwyklej godzinie? Jakim prawem wtrącał się w ten sposób do mnie? Żaden inny profesor nie odważyłby się przekroczyć carre przed dzwonkiem szkolnym, ale Monsieur Emanuel nie liczył się ani z rozkładem dnia, ani z regulaminem: chciał przejrzeć jakąś księgę, złożoną w bibliotece pierwszej klasy; szukał jej i po drodze mijał właśnie refektarz. Rozglądając się swoim zwyczajem na wszystkie strony: przed siebie, poza siebie, na lewo i na prawo, dostrzegł mnie przez szybę, otworzył bez ceremonii drzwi i stanął na progu.

12

— Mademoiselle, vous etes triste ?!

— Monsieur, j'en ai bien le droit.

— Vous etes malade de coeur et d'humeur — dodał. — Jest pani smutna i zarazem buntuje się pani przeciw temu. Widzę na policzkach dwie łzy, o których wiem, że są gorące jak dwie iskry i słone jak dwa kryształy morskie. Kiedy mówię, przygląda mi się pani tak dziwnie. Czy mam powiedzieć, co mi się przypomina, gdy panią obserwuję?

— Zostanę wezwana wkrótce na modlitwę, proszę pana; niewiele mam czasu na rozmowę o tej porze dnia. Wybacz pan...

— Wybaczę wszystko — przerwał mi. — Jestem w takim nastroju, że ani szorstka odprawa, ani obelga nawet nie byłyby w stanie mnie zirytować. Otóż przypomina mi pani młodą, płochliwą, dziką sarenkę leśną, świeżo pochwyconą, nieoswojoną jeszcze, przyjmującą z błyskiem gniewu w oczach i z lękiem zarazem obcego, natrętnego przybysza.

Niczym nie usprawiedliwiona poufałość! Bezzasadnie szorstka, o ile skierowana do uczennicy; w stosunku do nauczycielki nie do przyjęcia. Sądził, że wywoła nią żywą reakcję; niejednokrotnie bywałam świadkiem podniecania przez niego do wybuchu osób bardziej gwałtownych, mnie wszakże — powiedziałam sobie — nie uda mu się sprowokować do gniewu. Milczałam.

— Wygląda pani na osobę gotową sięgnąć chętnie po łyk słodkiej trucizny, otrząsając się natomiast ze wstrętem na zdrową goryczkę.

— Istotnie, nigdy nie lubiłam goryczy, nie uważam jej też za zdrową. A temu, co słodkie, czy będzie to trucizna, czy zdrowy pokarm, nie może pan odmówić jednej przynajmniej pociągającej

1 Jest pani smutna?

2 Mam chyba do tego prawo, mój panie.

3 Chore jest pani serce i usposobienie.

13

zalety—słodocy. Kto wie, czy nie lepiej umrzeć rychlej przyjemną śmiercią, niż wieść przez długie lata żywot wyzbyty wszelkiego uroku.

— A jednak — odparł — jest pani obowiązkiem zażywać codziennie przeznaczoną sobie dawkę goryczy; zmusiłbym panią do jej wchłonięcia, gdyby to było w mojej mocy. A co do trucizny, gotów byłbym bodaj roztrzaskać czarę, która ją zawiera.

Ostro odwróciłam głowę od niego, po części dlatego, że jego obecność była dla mnie zdecydowanie przykra, zarazem też dlatego, że pragnęłam uniknąć dalszych pytań; obawiałam się, że w moim obecnym nastroju wysiłek dawania odpowiedzi mógłby wytrącić mnie z równowagi i pozbawić zdolności panowania nad sobą.

— Proszę — dodał łagodnie — niech mi pani powie prawdę: pani smutek jest spowodowany rozstaniem z przyjaciółmi, czy tak?

Jego przypoehlebna łagodność była równie nie do zniesienia jak badawcza ciekawość.

Monsieur Paul wszedł do pokoju, usiadł na ławce w odległości jakich dwóch jardów ode mnie, usiłując z niezwykłą jak na niego cierpliwością i wytrwałością wciągnąć mnie do rozmowy. Usiłowania jego były jednak daremne — nie mogłam mówić. Zwróciłam się wreszcie do niego z błagalną prośbą, aby pozostawił mnie w spokoju. W momencie gdy wypowiadałam tę prośbę, głos mi się załamał, a głowa opadła na oparte na stole ramiona. Rozplakałam się. Łkałam długo i gorzko. Przesiedział przy mnie jakiś czas jeszcze. Nie mówiłam nic i nie podniosłam oczu, dopóki jego oddalające się kroki nie uspokoily mnie, że odszedł wreszcie. Łzy przyniosły mi ulgę.

Miałam jeszcze trochę czasu na umycie oczu przed śniadaniem; wydaje mi się, że zasiadłam do niego równie spokojna i pogodna jak wszyscy inni, na pewno tylko nie tak wesoła i rozbawiona jak młoda osóbką, która zajęła przy stole miejsce naprzeciwko mnie, utkwivszy we mnie małe, radośnie rozbłyśnięte oczy i wyciągnąwszy do mnie poprzez szerokość stołu białą rękę na powitanie. Podróże pan-

14

ny Fanshave, miłe rozrywki, jakich używała pod dostatkiem i wreszcie flirty, jakich sobie nie skąpiła, wpłynęły nader dodatnio na jej powierzchowność: twarz jej wypełniła się, policzki były krągłe i rumiane jak jabłuszka. Widziałam ją ostatnio w eleganckiej toalecie wieczorowej. Nie wydawało mi się wszakże, aby teraz wyglądała mniej uroczo w zwykłym ubraniu szkolnym, w gładkiej, skromnej sukni z ciemnogrnatowej wełny w niewyraźną czarną kratkę. Ta ciemna suknia dodawała nawet jej urodzie osobliwego powabu, bardziej jeszcze, prawem kontrastu, uwydatniając jasność cery, świeżość kwitnącej twarzy i olśniewającą złocistymi połyskami puszystość włosów.

— Cieszę się, że pani powróciła, surowy Tymonie. — Tymon było jednym z tuzina przezwisk, jakie mi nadawała. — Nie ma pani wcale pojęcia, jak często brak mi było pani w tej ponurej dziurze.

— O, naprawdę? W takim razie, skoro byłam pani potrzebna, chciała pani czegoś ode mnie; miała pani może pończochy do zacerowania?

Nie uwierzyłam ani na chwilę w bezinteresowność Ginevry.

— Opryskliwa i cierpka jak zawsze! — oburzyła się. — Mogłam się tego spodziewać. Nie byłaby pani sobą, gdyby nie odpowiedziała pani szorstko na serdeczne słowa. Ale mniejsza o to, staruszek. Mam nadzieję, że tak samo jak zawsze lubi pani kawę i tak samo jak zawsze nie lubi pani tych tutejszych podłużnych bułek — pistolets. Ma pani ochotę na urządzenie handlu zamiennego?

— Może pani zrobić, jak się pani podoba.

Podobało jej się zawsze zmuszać mnie do ustępstw i do podporządkowywania się jej woli. Nie lubiła kawy podawanej z rana na pensji: napój ten nie był u Madame Beck ani dość mocny, ani dość słodki jak na jej gust, natomiast, jak wszystkie zdrowe młode dziewczyny, miała tęgi, zdrowy apetyt, nigdy też nie można jej było nastarczyć owych pistolets, smacznych w istocie, codziennie z rana świeżo pieczonych, ciepłychjeszcze i przyjemnie chrupiących. Każ-

15

demu z domowników podawano pewną określoną ich liczbę, że zaś porcja ta przekraczała moje zapotrzebowanie na pieczywo do rannej kawy, oddawałam stale połowę Ginevrze, nie licząc się z tym nawet, że i wiele innych osób w zamian oddawało mi czasem trochę swojej kawy. Tego dnia rada byłam z dodatkowego łyku: nie byłam głodna, tylko straszliwie spragniona. Nie wiem także dlaczego, o ile tak się składało, że dwie osoby musiały dzielić jedną filiżankę czy jeden talerz, jak to bywało na wycieczkach na przykład, kiedy po długiej przechadzce zatrzymywałyśmy się gdzieś w folwarku, by się czegoś napić, urządzałam się zawsze w ten sposób, aby dzielić kubek czy szklankę z Ginevrą. Pozwalałam jej przy tym korzystać z lwiej części podanego nam białego piwa, słodkiego wina owocowego czy świeżo udojonego mleka. Tak bywało stale: wiedziała dobrze, że jestem wobec niej ustępliwa i mimo naszych wiecznych utarczek nigdy nie poróżniłyśmy się na dobre.

Po śniadaniu zwykle udawałam się do pierwszej, to znaczy najwyższej klasy i przesiadywałam tam samotnie, czytając lub rozmyślając (częściej to ostatnie) aż do dziewiątej, kiedy, wraz z wybiciem zegara, otwierały się szeroko podwoje klas przed chmarą spieszących do zajęć pensjonarek stałych i przychodnich. Z tą chwilą rozpoczynał się w szkole ożywiony ruch, trwający z krótkimi przerwami do piątej po południu.

Zaledwie zdążyłam usiąść tego rana na moim zwykłym miejscu w pierwszej klasie, kiedy zapukano do drzwi.

— Pardon, mademoiselle — przeprosiła mnie jedna z pensjonarek, wszedłszy do pokoju klasowego, aby zabrać ze swojej kasetki jakąś potrzebną jej książkę czy kajet, po czym wycofała się na palcach. Kiedy mnie mijiała, szepnęła:

— Que mademoiselle est appliquée! — Jaka pani pilna! Appliquée?!^N samej rzeczy!

Atrybuty pilności rozłożone były

przede mną, nie robiłam jednak nic i nie miałam zamiaru nic robić. Często przypisuje się nam w ten sposób zasługi, których w rzeczy-

16

wistości wcale nie ponosimy. Sama nawet Madame Beck uważała mnie za typ bas-bleu— sawantki —zwykła też powtarzać poważne ostrzeżenia, abym nie oddawała się studiom tak usilnie, „bo krew może uderzyć mi do głowy”. Wszyscy na pensji przy Rue Fossette podtrzymywali legendę „uczoności Miss Lucy”, z wyjątkiem jedynie Monsieur Paula, który w niejasny dla mnie, jemu samemu tylko znany sposób trafnie ocenił moje rzeczywiste kwalifikacje umysłowe. Ze zwykłą u niego złośliwością lubił szeptać mi do ucha satyryczne uwagi o ich skąnym zasobie. Ja sama nie troszczyłam się nigdy o moje braki pod tym względem. Szczerze lubię snuć własne myśli; wiele przyjemności sprawiało mi i sprawia zawsze czytanie, nielicznych jednak, książek; nigdy natomiast nie znosiłam połykania mnóstwa ich. Najchętniej czytuję zawsze te, których styl czy wypowiedane w nich myśli i uczucia zdradzają właściwą naturę autora, odrzucam zaś z niechęcią książki pozbawione wyraźnego charakteru, chociażby były najmądrzejsze i miały najwięcej zalet literackich. Zdaję sobie dokładnie sprawę, że, o ile dotyczy to mojego umysłu, zadowolona się opatrnością obdarzeniem mnie ograniczonymi środkami i możliwościami, ale jestem jej wdzięczna i za tę odrobinę: nie mam większych ambicji ani też nie dążę do zdobycia wyższej kultury umysłowej.

Zaledwie zamknęły się drzwi za ową ugrzecznioną uczennicą, kiedy, tym razem bez żadnej ceremonii, nie uprzedziwszy nawet o swoim najściu zapukaniem, wpadł drugi z kolei natręt. Gdybym nawet oślepla nagle, wiedziałabym, kto to taki. Wrodzona powściągliwość i stałe trzymanie się z dala od wszystkich pomogły mi zaobserwować i poznać cechy charakteru i obyczaje moich współto-warzyszek i współmieszkanek pensyjnych, toteż rzadko zdarzało mi się do owego czasu cierpieć z powodu szorstkiego czy natrętnego traktowania mnie przez kogokolwiek. W początkach mojego pobytu na pensji Madame Beck zdarzało się tu i ówdzie, że jakaś bardziej nieokrzesa-
Niemka pozwalała sobie poklepać mnie poufale po

17

plecach i wezwać do urzędzenia wyścigu z nią, albo też któraś z hałaśliwych Labassecouriennes chwytła mnie za ramię, aby pociągnąć za sobą na plac gier i zabaw. Często również proponowano mi wzięcie udziału w biegu dokoła słupa z unoszeniem się możliwie najwyżej w górę, czyli tak zwanym Pas de géant — kroku olbrzyma — albo też w osobliwym rodzaju gry w chowanego, zwanym Un, dewc, trois — raz, dwa, trzy. Wszystko to jednak ustało od dość dawna bez zmuszania mnie do przykrej konieczności opryskliwej odmowy. Nie byłam już teraz narażona na zbyt poufale traktowanie mnie przez nikogo, z wyjątkiem jednej jedynej istoty. Że jednak była nią Angielka, łatwiej mogłam znieść poufałość z jej strony. Ginevra Fanshave bez żadnych skrupułów chwytła mnie w chwili, kiedy przechodziłam przez carre, porywała i okręcała mnie w dzikim, zawrotnym kołowrocie walca, po łobuzersku rada, że udawało jej się swoją bezceremonialnością oszołomić mnie i stropić. I teraz także wpadła Ginevra Fanshave, nie licząc się z tym, że przerywa mi chwilę „skupienia przy studiach”.

— Czas na ćwiczenia fortepianowe — zwróciłam jej uwagę. — Powinna pani już być w małym salonie.

— Nie pójdę, dopóki nie rozmówię się z panią, chere amie. Wiem, gdzie pani spędziła wakacje i w jaki sposób zaczęła pani wreszcie hołdować życiu towarzyskiemu, bawić się i korzystać z rozrywek, jak każda inna belle—ślicznotka. Widziałam panią ostatnio na koncercie, ubraną odpowiednio, tak samo jak ubieramy się my wszystkie. Kto jest pani tailleuse — krawcową?

—Niemądre gadanie! Moja tailleuse? Też pani wymyśliła! Nic z tego! Proszę wynosić się, panno Ginevro! Nie życzę sobie teraz pani towarzystwa.

— Co mnie może obchodzić, że pani nie życzy sobie mojego towarzystwa, jeśli ja życzę sobie paninego, petite farouche — mała niedotykalska. Dieu merci — chwała Bogu — wiem, jak sobie radzić z naszą utalentowaną rodaczką, z uczoną ourse Britannique

18

__niedźwiedzicą brytyjską. Tak więc, niedźwiedziątko, zna pani

Izydora?

— Znam Johna Brettona.

— ■ Cicho! — syknęła, zatykając sobie uszy palcami. — Przedziurawią mi pani bębenki uszne swoimi szorstkimi anglicyzmami! Jakże się miewa nasz ukochany John? Niech mi pani coś o nim opowie. W smutnym nastroju musi być, biedaczysko. Co powiedział na moje zachowanie wobec niego i jego rodzicielki owego wieczoru? Prawda, że byłam okrutna?

— Wyobraża sobie pani, że zwróciłam na panią uwagę?!

— O, to był rozkoszny wieczór! Boski de Hamal! A jaką przednią miałam zabawę patrząc na tamtego, ginącego z zazdrości i nie odważającego się podejść bliżej! A ta stara dama, moja przyszła teściowa! Obawiam się tylko, że ja i lady Sara troszkę za śmiało pozwoliliśmy sobie podkpiwać z niej.

— Lady Sara nie brała wcale udziału w tym „podkpiwaniu”, a co do pani zachowania, może pani być zupełnie spokojna: pani Bretton nie tylko przeżyje pani podkpiwanie z niej, ale łatwo się z nim upora.

— Możliwe. Stare niewiasty są wytrzymałe. Ale ten jej biedny syn! Niech mi pani powie, jak on to przyjął. Widziałam, że był bardzo przygnębiony. Co powiedział?

— Powiedział, że wyglądała pani tak, jak gdyby w duszy czuła się pani już Madame de Hamal.

— Naprawdę? — zawołała rozpromieniona. — Zauważył to? O, jak cudownie! Byłam pewna, że szaleje z zazdrości.

— Panno Ginevro! Czy zupełnie na serio zerwała pani z doktorem Brettonem? Czy naprawdę pani pragnie, aby zrzekł się wszelkich praw do pani?

— O, dobrze pani wiadomo, że nie mógłby, nie byłby w stanie wyrzec się mnie. Chcę tylko wiedzieć, czy szalał z zazdrości.

— Tak. Szalał niczym zając w marcu.

— W jaki sposób udało się wam, jego matce i pani, dowieźć go do domu?

__W jaki sposób? Nie lituje się pani wcale nade mną i nad jego matką? Czy może sobie pani wyobrazić, jakiego wysiłku musiałyśmy użyć, aby utrzymać go w powozie, gdy biedak miotał się w szale, doprowadzając tym wszystkich nieomal do obłądzenia. Woźnica nawet stracił zupełnie głowę, wskutek czego zabłąkaliśmy się w drodze powrotnej.

— Co też pani mówi? Coś mi się wydaje, że drwi pani ze mnie. Proszę panią, panno Lucy...

__Zapewniam panią, że to najprawdziwsza prawda, tak samo jak prawdą jest, że nie mogłyśmy utrzymać doktora Brettona w powozie. Wyrwał się nam i pojechał sam konno, aby nie mieć nas przy sobie.

— A co się stało potem?

— Potem, kiedy przyjechałyśmy nareszcie do domu? O, nastąpiła scena, której nie da się opisać.

— Niech mi ją pani opisz! To takie zabawne!

__Zabawne dla pani, panno Fanshave, ale — dodałam, marszcząc surowo brwi — wszak pani wiadomo, że to co dla jednego jest zabawą, może być śmiercią dla innego.

— Dalej, dalej, niech pani opowie, co było dalej, droga, najdroższa Tymonko!

— Nie, doprawdy nie mogę, chyba że da mi pani dowód posiadania chociażby odrobiny serca.

— Może pani być pewna, że mam go nie tylko odrobinę, ale olbrzymią moc! Nie wiedziała pani o tym?

— Dobrze. W takim razie będzie pani w stanie wyobrazić sobie doktora Brettona, odsuwającego gwałtownym gestem swoją wieczerzę — zimne kurczę i mleczko cielęce; jego ulubione, specjalnie dla niego przygotowane potrawy pozostały na stole nietknięte. Potem — ale w jakim celu miałabym rozwodzić się nad tymi upiornymi szcze-

20

gółami? Niech pani wystarczy, że nigdy, w najbardziej burzliwych momentach jego dzieciństwa, matka nie miała tyle pracy przy ułożeniu go w łóżku i utuleniu do snu, jak tego wieczoru.

— Nie mógł uleżeć spokojnie?

— Nie, nie mógł uleżeć spokojnie. Trzeba było przytrzymywać go siłą.

— A co mówił przy tym?

— Domyśla się pani chyba, że rozpaczliwie wzywał swoją boską Ginevrę, miotał najstraszliwsze klątwy na tego szatana, de Hamala, bredził o złotych lokach, o błękitnych oczach, białych ramionach i lśniących bransoletach...

— Naprawdę?! Widział więc bransoletę?!

— Czy ją widział? Tak samo wyraźnie, jak ja widzę ją w tej chwili, i może po raz pierwszy dostrzegł piętno, jakie odcisnęła ona na pani ramieniu, panno Ginevro... Ale teraz dość tego

— dodałam surowym, mentorskim tonem, podnosząc się równocześnie. — Proszę iść do swojego fortepianu! — nakazałam, otwierając przed nią drzwi.

— Nie opowiedziała mi pani wszystkiego.

— Radzę nie czekać, aż opowiem pani wszystko. Tego rodzaju zbędna zupełnie szczerłość nie mogłaby sprawić pani przyjemności. Proszę iść!

— Zła, niegodziwa istoto! — burknęła, usłuchała mnie jednak. Pierwsza klasa stanowiła terytorium podlegające mojej bezpośredniej władzy, wobec czego Ginevra była zmuszona podporządkować się wydanemu jej nakazowi.

Jeśli mam jednak wyznać prawdę, nigdy nie byłam mniej niezadowolona z niej aniżeli tego dnia. Przyjemnie było myśleć o kontraście, jaki zachodził pomiędzy rzeczywistością a moim opisem, przypominać sobie pogodny, radosny nieomal nastrój doktora Johna w drodze powrotnej, wyborny apetyt, z jakim spożywał swoją wieczerzę i chrześcijańską rezygnację, z jaką udał się na spoczynek.

21

Wówczas jedynie, kiedy widziałam go prawdziwie nieszczęśliwym, odczuwałam głęboki żal do zwiewnej, tak anielsko wyglądającej sprawczyni jego cierpień.

Minęły dwa tygodnie. Wprzęgåłam się ponownie w jarzmo szkolne, dzięki czemu gwałtowny ból zmiany ustąpił miejsca tępemu cierpieniu nawyku. Pewnego popołudnia, przechodząc przez carré po drodze do pierwszej klasy, gdzie miałam być obecna na wykładzie „literatury i stylistyki”, ujrzałam odźwierną Rozynę, stojącą przy jednym z wysokich, wielkich okien. Postawa jej była, jak zwykle, niedbała; jedną rękę trzymała w kieszeni fartuszka, drugą podnosiła w tej chwili do oczu list w kopercie z wypisanym na niej adresem i odcisniętą pieczętką, którą usiłowała widocznie odcyfrować.

List! Wizja listu podobnego do tego nie odstępowała mnie co najmniej od tygodnia. Ostatniej nocy śniła mi się nawet taka sama koperta. Niepokonana siła jak magnes pociągnęła mnie teraz ku trzymanemu przez Rozynę białemu prostokątowi, nie wiem jednak, czy odważyłabym się prosić naszą odźwierną o prawo rzucenia okiem chociażby na upragniony przedmiot moich rojeń we śnie i na jawie, od którego czerwonej woskowej pieczętki nie byłam w stanie oderwać olśnionego wzroku. Myślę jednak, że prześlizgnęłabym się obok Rozyny i listu, zdjęta śmiertelną trwogą przed możliwym rozczarowaniem; tym bardziej niespokojnie zabiło też moje serce, kiedy wydało mi się, że słyszę za sobą jej kroki. Nerwy

splątały mi jednak figła, wprowadziły mnie w błąd: był to szybki krok profesora literatury, przebiegającego w tej chwili przez korytarz. Uciekłam przed nim. Gdybym zdążyła przed przybyciem profesora usiąść spokojnie przy moim biurku, zajęta utrzymaniem klasy w karnym pogotowiu oczekiwania na jego wejście, może nie zwróciłby na mnie uwagi. Jeślibym wszakże zatrzymała się w carré, nie uniknęłabym na pewno badawczego

22

wzroku Monsieur Paula i odpowiedniego zagadnięcia mnie. Dlatego uciekłam przed nim. Miałam szczęśliwie czas usiąść, nakazać i uzyskać ciszę, wyjąć moją robotę i zabrać się do niej wśród ogólnego natychmiastowego posłusznego umilknięcia, kiedy Monsieur Paul wpadł do klasy jak bomba, wnosząc z sobą od razu zapowiedź burzy.

Wejście jego odbyło się z błyskawiczną szybkością, jak zwykle, zamiast jednak wbiec pędem na katedrę, zatrzymał się przy moim biurku. Zwrócony twarzą w stronę moją i okna, a plecami do uczennic i do pokoju, spojrzał na mnie w sposób, który winien był skłonić mnie do zerwania się na równe nogi i zapytania go, o co mu właściwie idzie. Wzrok ten wyrażał gniew, oburzenie i najwyższą nieufność zarazem.

— Yoilh! Pour vous! — Oto! Dla pani! — rzekł, wyciągając z kieszeni rękę i rzucając na moje biurko list, który przed chwilą widziałam w ręku Rozyny; list, którego śnieżnobiała koperta z jaskra woczerwoną plamą woskowej pieczęci, ziejącej, niby oko cyklopa, w punkcie środkowym, odcisnęła się tak wyraźną wizją na mojej duszy. Wiedziałam, czułam, że jest to list stanowiący ziszczenie moich nadziei, spełnienie moich pragnień, list przynoszący mi wyzwolenie ze wszystkich moich wątpliwości, okup za przecierpiane trwogi i męki. Monsieur Paul ze zwykłym swoim bezceremonialnym wtrącaniem się do wszystkiego wziął list od Rozyny, aby wręczyć mi go osobiście.

Powinno mnie to właściwie rozgniewać, nie zdobyłam się jednak ani przez sekundę nawet na uczucie gniewu. Miałam przecież w ręku nie lakoniczną karteczkę, ale cały list, kopertę, która na pewno zawiera jeden arkusik co najmniej. Już na dotyk zapowiadała zawartość pokaźną, zdolną zadowolić najśmielsze moje pragnienia. Wyraźnie wypisany był na niej adresat: Miss Lucy Snowe, męskim, stanowczym, równym charakterem pisma. Czerwona pieczęć z wosku przyłożona była z precyzyjną dokładnością, pewną ręką, która nie

23

zadrżała, odciskając na białej kopercie tak dobrze znane mi i tak drogie inicjały: J. G. B. Doznałam uczucia szczęścia — radosnego wzruszenia, które napędziło mi do serca gorącą falę krwi, rozlewając się żywym ciepłem po żyłach. Tym razem spełniły się moje nadzieje: trzymałam w ręku solidny, namacalny dowód szczęścia; nie złudne marzenie, nie zwiewną wizję jedynie ani też jeden z owych wysnutych z fantazji obrazów, bez których ludzkość żyć nie mogłaby, mimo że dają one pokarm dla duszy tylko, a nie dla ciała — ale boski, często jakże trujący dla śmiertelnych, dar zesłany z niebios. Była to owa ofiara, której stary, umierający patriarcha żądał od swojego syna Ezawa, przyobiecując mu w zamian pobłogosławienie go ostatnim swoim tchnieniem. Z głębi duszy podziękowałam Bogu, który w swej nieskończonej łaskawości i dobroci raczył obdarzyć mnie takim szczęściem bezmiernym.

Pomimo głębokiego przejęcia i wzruszenia zdołałam zachować pozorny spokój, z jakim podziękowałam oddawcy:

— Dziękuję panu, bardzo panu dziękuję, Monsieur] Monsieur odął wargi, spojrzał na mnie gniewnie i zawrócił ku katedrze. Nie był, stanowczo nie był dobrym, kochanym człowiekiem, jakkolwiek miał pewne cechy dodatnie.

Czy zabrałam się z miejsca do odczytania mojego listu? Czy pochłonęłam „słodką truciznę” od razu, jednym haustem, jak gdyby boża manna spływała z niebios codziennie?

Byłam na to zbyt rozważna. Koperta z adresem — z woskową pieczęcią, na której widniały wyraźnie odcisnięte trzy litery — była aż do zbytku hojnym darem, opromieniającym chwilę obecną. Wsunęłam się cichaczem z pokoju, zaopatrzyłam się w klucz do dużej sypialni, zamykanej stale za dnia i pospieszyłam z drzeniem niepokoju w stronę biurka. W obawie, aby Madame Beck nie wyszpiego-wała mnie i nie przekradła się w ślad za mną na górę, otworzyłam szufladę, wyciągnęłam szkatułkę i, nasyciwszy raz jeszcze wzrok

24

widokiem adresu i pieczęci na kopercie, przytknąwszy z uczuciem uwielbienia, zawstydzienia i rozkoszy zarazem pieczęć do ust, owinęłam nietknięty, nienaruszony skarb w srebrny papier i schowałam do szkatułki, po czym zamkniętą na kluczyk szkatułkę włożyłam do szuflady. Zamknąwszy ją z kolei starannie, powróciłam do klasy czując, że baśnie czarodziejskie i dary dobrych wróżek nie są dziecięcym marzeniem jedynie. Nie znany mi dotychczas upojny obłęd! List, to źródło mojego upojenia, pozostawał wciąż jeszcze nie odczytany: liczba wierszy nawet, jakie zawierał, była dla mnie słodką niewiadomą.

Kiedy weszłam ponownie do klasy, zastałam Monsieur Paula w napadzie opętańczego rozwścieczenia. Któraś z uczennic nie odpowiadała d) ść wyraźnie czy dość dosłyszalnie dla jego uszu, a teraz płakała i inn i także wraz z nią. Monsieur Paul miotał na nie pioruny gniewu, blade jak płótno z wielkiego uniesienia. Zabawne, że kiedy ukazałam się, napadł z furią na mnie.

Czy jestem, czy nie jestem wychowawczynią tych dziewcząt? Czy uważam za mój obowiązek uczyć je zachowywać się, jak przystoi młodym damom? Czy to ja pozwalam im, a nawet — nie wątpi o tym — zachęcam je do dławienia języka ojczystego w swoich krtaniach, do tarcia go i drobienia między zębami, jak gdyby, powodowane niskimi jakimiś pobudkami, wstydziły się wypowiedanych słów?! Czy robią to przez skromność? O, zna się on dobrze na tych rzeczach! To raczej nędzny zakłamaný sentymentalizm — groźna zapowiedź najgorszych instynktów. Zamiast znosić te grymasy i te wykrzywiania, te rozcierania w zębach, to ohydne zniekształcanie i wykoślawianie szlachetnego języka ojczystego, tę sztuczną, wstrętną afektację i ten doprowadzający do szału krnąbrny, zacięty upór uczennic najwyższej klasy, woli raczej rzucić je na pastwę petites maitresses — nauczycielek dla początkujących — i poświęcić się nauczaniu abecadła maleństw z klasy trzeciej.

Cóż mogłam odpowiedzieć na ten niepoczytalny wybuch? Nic,

25

oczywiście. Miałam nadzieję, że pozwoli mi milczeć. Moje milczenie sprawiło jednak, że burza rozsrożyła się od nowa.

Nie raczę zatem nawet udzielić odpowiedzi na te pytania? Tutaj, w t y m miejscu, w tym buduarze zarozumiałych pierwszokla-sistek z jego pretensjonalnymi szafkami na książki, z jego malowanymi na zielono pulpitemi, z jego śmietnikiem kwiatowym, z jego godnymi rupieciarni oprawnymi w ramki obrazkami i mapami, z jego cudzoziemską surveillante nade wszystko! — tutaj, w tym miejscu, zdaje się panować przekonanie, że profesor literatury nie jest godzien zaszczytowania go odpowiedzią na jego pytania! Tak, tak, panują tu nowe poglądy, przemycane — nie wątpi o tym — wprost z la Grandę Bretagne — Wielkiej Brytanii. Czuć je z daleka wyspiarską arogancją i wyspiarskim zuchwalstwem.

Zapanowała martwa cisza. Dziewczęta, z których żadna nie uroniła nigdy łzy z powodu wyrzutów i napaści żadnego innego z wykładowców i żadnej z wykładowczyń, tonęły teraz w potokach łez, roztapiając się, niby posągi ze śniegu, pod wpływem niepohamowanego żaru słów Monsieur Emanuela; tylko ja siedziałam nie-poruszona nieomal, odważając się nawet zabrać ponownie do przerwanej chwilowo ręcznej roboty.

Coś szczególnego — czy w zachowywaniu przeze mnie w dalszym ciągu milczenia, czy może w jednostajnym ruchu mojej ręki przy haftowaniu — wzburzyło Monsieur Emanuela ponad wszelką miarę, skoczył bowiem z katedry jak tygrys i, podbiegłszy do pieca, stojącego

tuż przy moim biurku, rzucił się z furią na jego małe żelazne drzwiczki. Wyrwawszy je nieomal z zawiasów, rozsypał opał na podłogę.

— Est-ce que vous avez l'intention de m'insulter? — syknął stłumionym wściekłością szeptem, udając równocześnie, że poprawia ogień w piecu.

1 Czy pani zamierza mnie znieważać?

26

Czułam, że czas już najwyższy uśmierzyć nieco — o ile to możliwe — jego szaleńczy wybuch.

— Mais Monsieur — odparłam — ani myślałam znieważać pana. Byłam jak najdalej od tego. Pamiętam przecież aż nadto dobrze, jak kiedyś pan powiedział, że mamy być przyjaciółmi.

Nie chciałam pozwolić mojemu głosowi zadrzeć, drgnął jednak; raczej, sędzę, pod wpływem podniecenia doznaną tego dnia rozkoszą niż przerażenia wybuchem Monsieur Paula. Muszę przyznać jednak, że w jego gniewie było coś takiego... osobliwe jakiegoś roznamiętnienie, które mogło poruszyć do głębi, a nawet pobudzić do łez. Ni * czułam się ani trochę zgnębiona i nieszczęśliwa, ani nawet wystaszona, a jednak rozplakałam się.

— Allez! allez! — niech się pani uspokoi! Niech się panie wszystkie uspokoją — dodał, rozejrzawszy się po całej klasie i spostrzegłszy ogólny potop. — Tak, tak! Jestem stanowczo brutalem i potworem! Mam tylko jedną chustkę do nosa — szepnął zawstydzony. — Gdybym miał ich dwadzieścia, ofiarowałbym każdej z pań po jednej. Że jednak mam tylko jedną, niech więc wasza surveillante będzie waszą przedstawicielką. Proszę, Miss Lucy.

Rzekłszy to, wyciągnął z kieszeni czystą jedwabną chustkę. Każdy, kto nie znał Monsieur Paula, kto nie był przyzwyczajony do jego wybuchów i nagłych ataków, obruszyłby się na pewno na tę ofertę i odrzuciłby ją oczywiście. Ja jednak czułam zbyt wyraźnie, że byłoby to posunięciem zgoła fałszywym; najłżejsze wahanie wpłynęłoby fatalnie na zaledwie zapoczątkowane zawarcie traktatu pokojowego. Wstałam, aby wziąć od niego chusteczkę, którą przyjął z należytych ukłonem, otarłam nią oczy i, usiadłszy ponownie na moim miejscu, zatrzymałam sztandar rozejmu, złożony starannie na kolanach, unikając aż do końca lekcji tknięcia napaństwa, nożyczek i muślinu. Dostrzegłam, że Monsieur Paul niejednokrotnie zazdrośnie rzucał okiem na moje szycie i haft; wiedziałam, że śmiertelnie ich nienawidzi, uważając je za źródło roztargnienia, odciąga-

27

jące mnie od skupiania należytej uwagi na jego osobie i na jego słowach. Wykład tego dnia był wyjątkowy, porywający, utrzymany do samego końca w tonie życzliwym i przyjacielskim. Zanim lekcja dobiegła końca, rozproszyły się chmury, zajaśniało w pełni słońce, a łzy ustąpiły miejsca uśmiechom.

Wychodząc z klasy, zatrzymał się raz jeszcze przy moim biurku.

— A pani list? — zapytał, tym razem w sposób nie tak szorstki.

— Nie przeczytałam go jeszcze, Monsieur.

— Tak! Rozumiem! Jest zbyt drogi, aby przeczytać go od razu. Zachowuje go pani sobie na później, tak samo jak ja, kiedy byłem małym chłopcem, zachowywałem na później wyjątkowo pięknie dojrzałą brzoskwinię z tych, jakie zwykłem dostawać!

Domysł jego był tak bliski prawdy, że nie byłam w stanie powstrzymać się od zdradzenia żywym rumieńcem, jak dalece powiedzeniem tym trafił w samo sedno.

— Obiecuje sobie pani miłą chwilę przy czytaniu tego listu, który otworzy pani dopiero wówczas, kiedy będzie pani zupełnie sama — n'est-cepas? — prawda? — O, uśmiech pani i jej rumieniec są dostateczną odpowiedzią! Trudno! Nie należy być zbyt surowym. Lajeunesse n'a qu'un temps!

—Monsieur, monsieur!—zawołałam, a raczej szepnęłam, aby go powstrzymać od odejścia.

— Niech pan nie odchodzi, zanim nie zdążę wyprowadzić pana z błędu. To list tylko od przyjaciela. Nie przeczytawszy nawet, mogę zapewnić pana o tym, co zawiera.

—Je conçois, je conçois; on sait ce que c'est qu'un ami. Adieu, mademoiselle .

— Proszę pana, oto pańska chusteczka.

1 Raz tylko jest się młodym.

2 Rozumiem, rozumiem; wiadomo, czym jest taki przyjaciel. Żegnam panią.

28

— Niech ją pani zachowa, dopóki list nie będzie przeczytany, a potem dopiero odnieście mi ją pani; z pani oczu odczytam charakter listu.

Po jego odejściu i po uprzednim jeszcze wybiegnięciu uczennic do berceau, a stąd do ogrodu na zwykłą rekreację przed obiadem, podawanym o piątej, stałam przez chwilę, rozmyślając i w roztargnieniu okręcając sobie chustkę Monsieur Paula dokoła ramienia. Nagle, nie wiadomo z jakiego powodu: przebłysku złotych wspomnień mojego wesołego, pełnego radości i ożywienia dzieciństwa, zadowolenia z odzyskania wolności po całodziennej wyteżonej pracy, a nade wszystko rozkosznej świadomości posiadania skarbu ukrytego w skrzyneczce w moim pulpicie — zaczęłam bawić się chustką, podrzucając ją w górę jak piłkę, a potem chwytając ją w powietrzu. Zabawę tę przerwało przytrzymanie mojej ręki przez obcą dłoń, wyłaniającą się z rękawa palta; dłoń ta pochwyciła chustkę i zabrała ją. Usłyszałam gniewny pomruk:

—Je vois bien que vous vous moquez de moi et de mes effets .

Ten mały wszędobylski człowieczek był naprawdę straszny: niespodziewanymi, zgoła nieprzewidzianymi kapryсами oszałamiał tych, którzy mieli z nim do czynienia; nie wiedziało się nigdy, z czym, gdzie i kiedy wyskoczy nagle jak z procy.

Widzę, że pani kpi sobie ze mnie i z moich rzeczy.

Rozdział II

■

List

W domu zapanowała cisza; było już po hałaśliwej godzinie rekreacji, zapadł zmrok wieczorny i w sali refektarzowej zapalono lampę. Półpensjonarki porozchodziły się do swoich domów. Zamilkł wreszcie brzękliwy dzwonek i ustał stuk otwieranych i zamykanych ustawicznie drzwi wejściowych. Kiedy Madame bezpiecznie usadowiła się w salle a manger w towarzystwie swojej matki i dzieci oraz kilku przyjaciół, mogłam wymknąć się do kuchni, gdzie wyprosiłam dla siebie pół świecy na szczególną okazję. Moja przyjaciółka, Got-ton, bardzo chętnie udzieliła mi jej i powiedziała życzliwie:

—Mais certainement, chou-chou, vous en aurez devc, si vous voulez.

Ze świecą w ręku bezszelestnie pobiegłam do sypialni.

Bardzo się jednak zmartwiłam, zastawszy tu — jak sądziłam —jedną z uczennic, leżącą na łóżku z powodu nagłej niedyspozycji. Rozczarowanie moje wzmoгло się jeszcze, kiedy wśród muślinów i koronek nocnego czepeczka rozpoznałam la figurę chiffonnee panny Ginevry Fanshave. Mimo że wyglądała w tej chwili na pogrążoną we śnie, mogłam liczyć na pewno, że obudzi się i ogłuszy mnie swoją gadaniną w momencie, kiedy rozmowa z nią będzie mi najbardziej nie na rękę. W istocie: kiedy przyjrzałam się jej baczniej, ledwie dostrzegalne drganie jej powiek ostrzegło mnie, że jej pozorny spokój jest tylko podstępem, aby móc tym czujniej podpatrzeć każde „poruszenie Tymonki”. Wiedziałam z doświadczenia, że nie

1 Ależ oczywiście, dziecinko, dam ci dwie, jeśli zechcesz.

2 Figurę chiffonnee — oznacza właściwie twarz zmiętą, o nieregularnych rysach.

należy ufać Ginevrze. A tak bardzo pragnęłam znaleźć się w sypialni zupełnie sama, aby w spokoju odczytać mój bezcenny list.

Nie było innej rady, musiałam iść do jednej z klas. Odszukawszy mój skarb w szufladzie pulpitu i wyjąwszy go ze szkatułki, zesłam z nim na dół. Niepowodzenie prześladowało mnie jednak. W klasach odbywało się cotygodniowe generalne sprzątanie: ławki stały spiętrzone na biurkach i stołach; unoszące się w powietrzu tumany kurzu opadały na wilgotne fusy kawy (używane przez służące w Labassecour zamiast pozostałych po naparzaniu listków herbaty, stosowanych w tym celu w Anglii), które leżały grubą warstwą na podłodze; klasy przedstawiały obraz zupełnego chaosu. Zawiedziona, ale nie zniechęcona, wycofałam się, zdecydowana za wszelką cenę znaleźć jakiś samotny kącik.

Zabrawszy klucz ze znanego mi schowka, wdrapałam się na trzecie piętro. Na ciemnym, wąskim podeście klatki schodowej otworzyłam stare, zmurszałe drzwiczki, weszłam i od razu zanurzyłam się w czeluści głębokiego, ciemnego, zimnego poddasza. Tutaj nikt już chyba za mną nie trafi; nikt mi nie przeszkodzi, nawet i sama Madame. Zamknęłam za sobą drzwi poddasza; umieściłam świecę na starej komodzie, ledwie trzymającej się na stoczonych przez robaki nóżkach, otuliłam się szalem, co było niezbędne wobec panującego tu lodowatego zimna, wzięłam list-i, drżąc z przejęcia i słodkiego wzruszenia, złamałam pieczęć.

Czy będzie długi, czy krótki?—było pierwszą moją myślą przy otwieraniu koperty.

Był długi.

Czy będzie chłodny, czy serdeczny?

Był serdeczny.

Wobec powściąganych, trzymanyh mocno na uwężi, więcej niż skromnych moich nadziei wydał mi się nawet bardzo serdeczny; wobec moich tęsknot i niczym nie podsycanych pragnień wydał mi się może jeszcze serdeczniejszy, niż był w istocie.

31

Na tak niewiele liczyłam, tak bardzo obawiałam się rozczarowania, że tym pełniejszą rozkoszą napawało mnie ziszczenie najśmielszych moich oczekiwań. Jak wielu ludzi przechodzi przez życie, nie zaznawszy ani razu podobnego uczucia! Biedna nauczycielka angielskiego, kuląca się z zimna na ciemnym, zatechłym poddaszu i przy mdłym blasku świecy odczytująca list utrzymany w zwykłym, przyjaznym, życzliwym tonie — to było w zasadzie wszystko; a przecież życzliwość ta wydała jej się wówczas boska i dlatego czuła się szczęśliwsza niż większość królowych w ich pałacach.

Szczęście płynące z tak płytkiego źródła musiało z natury rzeczy być krótkotrwałe, dopóki wszakże trwało, było prawdziwe i niezrównane; bańka mydlana, ale jakże słodka -istna rosa miodna. Doktor John napisał do mnie obszernie; napisał do mnie chętnie, z przyjemnością; napisał w tonie serdecznym, zatrzymując się z promiennym zadowoleniem na epizodach, jakie przesunęły się przed jego i moimi oczami — na miejscach zwiedzanych przez nas pospołu — na rozmowach przez nas prowadzonych — na wszystkich owych drobnych sprawach kilku ostatnich cichych, szczęśliwych tygodni. Najgłębszą wszakże istotą doznawanej przeze mnie rozkoszy było radosne przeświadczenie, że skierowanych do mnie tak wspaniałomyślnie słów nie dyktowała chęć sprawienia przyjemności mnie tylko — ale zarazem i samemu sobie także. Przyjemności, której nigdy może nie będzie już więcej pragnął ani szukał powtórnie. To przypuszczenie dotyczyło jednak przyszłości. Chwili obecnej nie mącił nawet cień bólu, braku czy skazy; upajałam się czystym, pełnym, doskonałym uczuciem szczęścia. Jak gdyby musnęły mnie w przelocie skrzydła anielskie, dotknąwszy z mięką, kojącą pieczęcią mojego serca, na którym spoczęły przez chwilę. O, doktorze Johnie, zadał mi pan niejeden ból, ale wybaczę panu wszelkie zło — szczerze i chętnie — za tę jedną, zapamiętaną na zawsze, drogą mi, dobrą chwilę!

32

Czy istnieją złe duchy, stwory nieziemskie, zdolne zazdrościć ludziom szczęścia? Czy istnieją złe, krążące w powietrzu i zatruwające je dla człowieka technienia? Co krążyło dokoła mnie? Uderzył mnie jakiś szmer, który zabrzmiał podejrzenie na tym obszernym, opuszczonym poddaszu. Byłam pewna, że usłyszałam przekradające się tutaj po podłodze kroki; jak gdyby ktoś wyslizgnął się z głębi ciemnego kąta, zapelnionego wyglądającymi jak duchy starymi ubraniami. Odwróciłam się: pełzające światło świecy mdło oświetlało długie poddasze, mimo to, jako żywo, dostrzegłam pośrodku tego upiornego pomieszczenia czarno-białą postać: wąska obcisła spódnica była czarna, głowa, obandażowana, zakwefiona woalem — biała. Możesz mówić, czytelniku, co chcesz; możesz uważać mnie za rozhisteryzowaną czy nawet dotkniętą chwilowym obłędem; utrzymywać, że podniecenie wytrąciło mnie ze zwykłej równowagi; przypuszczać, że śniło mi się to tylko — przysięgam wszakże na wszystko, co święte, że widziałam — widziałam najwyraźniej — owej nocy na poddaszu postać podobną do mniszki.

Krzyknęłam, zrobiło mi się słabo. Gdyby ta postać zbliżyła się do mnie, zemdlałabym na dobre. Cofnęła się wszakże, a ja rzuciłam się ku drzwiom. W jaki sposób udało mi się zbiec ze wszystkich schodów trzech pięter na dół — nie wiem sama, doprawdy. Instynktownie ominęłam refektarz, wbiegłam wprost do bawialni Madame i krzyknęłam:

— Jest ktoś na poddaszu! Byłam tam! Widziałam! Niech wszyscy państwo pobiegną na górę i przekonają się!

Powiedziałam „wszyscy państwo”, pokój wydał mi się bowiem pełen ludzi, mimo że w rzeczywistości były w nim tylko cztery osoby: Madame Beck, jej matka, Madame Kint, chwilowo niezdrowa i dlatego przebywająca u córki; brat Madame Beck, pan Wiktor Kint i jeszcze jeden pan, rozmawiający z Madame Kint w chwili, kiedy wpadłam do bawialni, i odwrócony plecami do drzwi.

33

Śmiertelne przerażenie i stan bliski omdlenia nadały mojej twarzy trupio blady kolor.

Dygotałam, złodowaciała z przestachu. Wszyscy zerwali się stropieni i podbiegli do mnie. Błagałam, aby pospieszyli na poddasze; obecność mężczyzn pokrzepiła mnie i dodała mi otuchy, jak gdyby darząc pewnością pomocy. Skierowałam się ku drzwiom, dając im znak, aby poszli za mną. Chcieli mnie powstrzymać, powiedziałam im jednak, że muszą pójść, dokąd im wskażę, muszą zobaczyć na własne oczy to, co ja widziałam: niesamowitą, upiorną postać, stojącą pośrodku poddasza.

W tej samej jednak chwili przypomniałam sobie list, który w pośpiechu pozostawiłam na komódce obok świecy. Mój bezcenny list! Dla odzyskania tego skarbu gotowa byłam walczyć z duchami i z diabłami bodaj! Popędziłam na górę, tym szybciej, że wszyscy inni pospieszyli za mną. Musieli pospieszyć za mną — wiedziałam o tym.

Niestety! Kiedy wpadłam na poddasze, panowała tu nieprzejrzana ciemność. Świeca zgasła czy została zdmuchnięta. Na szczęście jedna z osób — Madame, jak przypuszczam — ze zwykłym swoim spokojem i trzeźwością, pomyślała o zabraniu z sobą lampy z pokoju. Z chwilą kiedy biegnący za mną znaleźli się na poddaszu, krąg światła rozproszył nieprzejrzone mroki, pozwalając dostrzec zgaszoną świecę na komódce. Gdzie jednak podział się list? Szukałam teraz już tylko listu, a nie mniszki.

— Mój list! Mój list! — krzyczałam i zawodziłam, prawie nieprzytomna z rozpacz i, osunąwszy się na podłogę, załamywałam bezradnie ręce. O, losie okrutny! Dlaczego sądzona mi była taka okrutna męka? Dlaczego wyrwano mi w sposób urągający wszelkim prawom natury tę jedyną pociechę, zanim jeszcze zdążyłam jej zakosztować?!

Nie wiem, co robili inni: nie mogłam ich śledzić. Zadawali mi pytania, na które nie byłam w stanie odpowiadać; zaglądali wszędzie i przetrząsali wszystkie kąty; robili uwagi z powodu dostrzeżonej tej

34

czy owej zmiany w zawieszeniu ubrań, jakiejś rysy na szybie górnego okienka czy pęknięcia jej nawet — sama nie wiem zresztą, co mówili.

— Ktoś tu był, a może coś tu było — przyznano logicznie.

— O, zabrali mi list! —jęczałam i zawodziłam, nie przestając z uporem maniaczki czołgać się po podłodze i obszukiwać jej cal za cal.

— Jaki list? Jaki list, droga panno Lucy? — zapytał znany, o, jak dobrze znany mi głos. Czy mogłam wierzyć własnym uszom? Nie! Podniosłam oczy. Czy mogłam zaufać własnym oczom? Czy poznałam brzmienie głosu? Czyżbym naprawdę miała przed sobą autora listu? Czy tym człowiekiem, stojącym obok mnie na ponurym, zimnym poddaszu, miałby być w rzeczywistości John Graham? Doktor Bretton we własnej osobie?!

Tak. To był on. Wezwano go tego samego wieczoru do cierpiącej Madame Kint; on właśnie był owym drugim mężczyzną, obecnym w *salle à manger*, w chwili kiedy wpadłam tam, przerażona upiorną zjawą.

— Czy to był mój list, panno Lucy?

— Tak. Pański list. List, który pan do mnie napisał. Ukryłam się tutaj na poddaszu, aby przeczytać go w spokoju. Nie mogłam znaleźć żadnego innego kąta, gdzie byłabym zupełnie sama. Chowałam list przez cały dzień, nie otworzyłam go aż do wieczora; zaledwie zdążyłam rzucić nań okiem; nie mogę znieść myśli, że go straciłam. O, mój list! Mój list!

— Cicho, Lucy! Niech się pani nie martwi i nie płacze tak okrutnie! Czy to warto? Cicho! Niech pani opuści to zimne poddasze; Madame Beck postanowiła posłać po policję, aby zbadała tę tajemniczą sprawę. Uważam, że nie ma sensu pozostawać tutaj dłużej. Zejdźmy na dół.

Ciepłą dłonią ujął moje zimne palce i sprowadził mnie na dół do ogrzanego pokoju, gdzie oboje, doktor John i ja, usiedliśmy przy

35

piecu. Mówił do mnie i uspokajał mnie z niewypowiedzianą dobrocią, przyobiecując dwadzieścia listów za ten jeden utracony. Istnieją słowa ostre jak noże, których głębokie cięcia i zadane przez nie rany nie goją się nigdy, istnieją również słowa pociechy, wypowiedane tonem tak głęboko i nieuchwytnie subtelnym, że może je odczuć jedynie tkliwe serce, które zachowuje na wieki ich zbawcze echo: kojące, serdeczne słowa, zapamiętane na całe życie, wspominane z czułością i zjawiające się na wezwanie z jednakim zawsze, nigdy nie przygasającym blaskiem, który opromienia nawet kruczą, złowieszczą chmurę śmierci. Przekonywano mnie później, że doktor Bretton nie był wcale taką doskonałością, jak to sobie wyobrażałam; jego charakteru nie cechowała wcale taka głębia ani wzniosłość, stałość i siła, w jakie stroiła go moja wyobraźnia. Nie wiem, ile było w tym słuszności: mnie wydawał się równie nieoceniony, jak chłodna orzeźwiająca krynica spragnionemu wędrowcowi. Pamiętam bohaterstwo, jakiego dawał niejednokrotnie dowody. Nie przestaję uważać go za bohatera po dzień

dzisiejszy.

Zapytał mnie z uśmiechem, dlaczego ten list tak bardzo jest mi drogi, dlaczego zależy mi na nim tak bardzo. Pomyślałam — nie powiedziałam jednak tego—że jest dla mnie równie cenny jak krew w moich żyłach. Odpowiedziałam zamiast tego, że bardzo mało otrzymywałam w moim życiu listów, o które dbałabym tak bardzo, jak o ten właśnie.

— Jestem pewien, że pani go nie czytała — rzekł. — Gdyby było odwrotnie, nie przypisywałaby mu pani tak wielkiej wartości.

— Przeczytałam go, ale tylko raz. Pragnęłam odczytać go po raz drugi. Martwię się bardzo, że go utraciłam. — Przy tych słowach znów nie byłam w stanie powstrzymać się od łez.

— Lucy, Lucy, biedna moja chrestna siostrzyczko (o ile istnieje takie pokrewieństwo), oto masz twój list! Naprawdę nie jest on wart takich łez i tak czulego przesadnego przywiązania.

36

Ciekawy, charakterystyczny manewr! Jego spostrzegawcze, bystre oczy dostrzegły list na podłodze, tam gdzie ja daremnie go szukałam; jego ręce, żywe i sprawne, pochwyliły go. Ukrył list w kieszeni. Gdyby moje zgnębienie i niepokój były o źdźbło mniej szczerze i gwałtowne, wątpię, czy przyznałby się w ogóle do znalezienia mojej zguby i czy zwróciłby mi ją. Łzy o temperaturze o jeden stopień niższej aniżeli te, które przelałam, rozbawiłyby doktora Johna co najwyżej, ale nie wzruszyły.

Zadowolenie z odzyskania skarbu, który uważałam już za utracony, kazało mi zapomnieć o obrzuceniu doktora Brettona zasłużonymi wyrzutami za dokuczliwe przekomarzenie się ze mną; moja radość była tak wielka, że nie byłam zdolna jej ukryć, wydaje mi się jednak, że uzewnętrzniłam ją raczej zachowaniem niż słowami. Niewiele powiedziałam.

— Jest pani teraz zadowolona? — zapytał doktor John. Odparłam, że jestem nie tylko zadowolona, ale i szczęśliwa.

— A jak czuje się pani fizycznie? — dodał. — Uspokoiła się już pani? Nie bardzo, jak widzę, bo wciąż jeszcze dygoce pani jak liść na wietrze.

Mnie wszelako wydawało się, że jestem już zupełnie opanowana; nie czułam w każdym razie niepokoję ani przygnębienia. Uważałam, że najzupełniej odzyskałam tak mocno zachwianą równowagę.

— Mogłaby pani zdać mi dokładnie sprawę z tego, co pani widziała? Opowiadanie pani było chaotyczne. Była pani blada jak ściana, wspomniała pani tylko o „czymś”, nie określając bliżej, co mogłoby to być. Czy był to mężczyzna? A może zwierzę? Co to było takiego?

— Nie potrafię powiedzieć dokładnie, co widziałam — odrzekłam. — Chyba że ktoś inny zobaczy to również; będę mogła wówczas uzupełnić cudze świadectwo; w przeciwnym razie byłabym zdyskredytowana, posądzona o bredzenie.

37

piecu. Mówił do mnie i uspokajał mnie z niewypowiedzianą dobrocią, przyobiecując dwadzieścia listów za ten jeden utracony. Istnieją słowa ostre jak noże, których głębokie cięcia i zadane przez nie rany nie goją się nigdy, istnieją również słowa pociechy, wypowiedziane tonem tak głęboko i nieuchwytnie subtelnym, że może je odczuć jedynie tkliwe serce, które zachowuje na wieki ich zbawcze echo: kojące, serdeczne słowa, zapamiętane na całe życie, wspominane z czułością i zjawiające się na wezwanie z jednakim zawsze, nigdy nie przygasającym blaskiem, który opromienia nawet kruczą, złowieszczą chmurę śmierci. Przekonywano mnie później, że doktor Bretton nie był wcale taką doskonałością, jak to sobie wyobrażałam; jego charakteru nie cechowała wcale taka głębia ani wzniosłość, stałość i siła, w jakie stroiła go moja wyobraźnia. Nie wiem, ile było w tym słuszności: mnie wydawał się równie nieoceniony, jak chłodna orzeźwiająca krynica spragnionemu wędrowcowi. Pamiętam bohaterstwo, jakiego dawał niejednokrotnie dowody. Nie przestaję uważać go za bohatera po dzień

dzisiejszy.

Zapytał mnie z uśmiechem, dlaczego ten list tak bardzo jest mi drogi, dlaczego zależy mi na nim tak bardzo. Pomyślałam — nie powiedziałam jednak tego — że jest dla mnie równie cenny jak krew w moich żyłach. Odpowiedziałam zamiast tego, że bardzo mało otrzymywałam w moim życiu listów, o które dbałabym tak bardzo, jak o ten właśnie.

— Jestem pewien, że pani go nie czytała — rzekł. — Gdyby było odwrotnie, nie przypisywałaby mu pani tak wielkiej wartości.

— Przeczytałam go, ale tylko raz. Pragnęłam odczytać go po raz drugi. Martwię się bardzo, że go utraciłam. — Przy tych słowach znów nie byłam w stanie powstrzymać się od łez.

— Lucy, Lucy, biedna moja chrestna siostrzyczko (o ile istnieje takie pokrewieństwo), oto masz twój list! Naprawdę nie jest on wart takich łez i tak czulego przesadnego przywiązania.

36

Ciekawy, charakterystyczny manewr! Jego spostrzegawcze, bystre oczy dostrzegły list na podłodze, tam gdzie ja daremnie go szukałam; jego ręce, żywe i sprawne, pochwyciły go. Ukrył list w kieszeni. Gdyby moje zgnębienie i niepokój były o źdźbło mniej szczerze i gwałtowne, wątpię, czy przyznałby się w ogóle do znalezienia mojej zguby i czy zwróciłby mi ją. Łzy o temperaturze o jeden stopień niższej aniżeli te, które przelałam, rozbawiłyby doktora Johna co najwyżej, ale nie wzruszyły.

Zadowolenie z odzyskania skarbu, który uważałam już za utracony, kazało mi zapomnieć o obrzuceniu doktora Brettona zasłużonymi wyrzutami za dokuczliwe przekomarzanie się ze mną; moja radość była tak wielka, że nie byłam zdolna jej ukryć, wydaje mi się jednak, że uzewnętrzniłam ją raczej zachowaniem niż słowami. Niewiele powiedziałam.

— Jest pani teraz zadowolona? — zapytał doktor John. Odparłam, że jestem nie tylko zadowolona, ale i szczęśliwa.

— A jak czuje się pani fizycznie? — dodał. — Uspokoiła się już pani? Nie bardzo, jak widzę, bo wciąż jeszcze dygoce pani jak liść na wietrze.

Mnie wszelako wydawało się, że jestem już zupełnie opanowana; nie czułam w każdym razie niepokoju ani przygnębienia. Uważałam, że najzupełniej odzyskałam tak mocno zachwianą równowagę.

— Mogłaby pani zdać mi dokładnie sprawę z tego, co pani widziała? Opowiadanie pani było chaotyczne. Była pani blada jak ściana, wspomniała pani tylko o „czymś”, nie określając bliżej, co mogłoby to być. Czy był to mężczyzna? A może zwierzę? Co to było takiego?

— Nie potrafię powiedzieć dokładnie, co widziałam — odrzekłam. — Chyba że ktoś inny zobaczy to również; będę mogła wówczas uzupełnić cudze świadectwo; w przeciwnym razie byłabym zdyskredytowana, posądzona o bredzenie.

37

— Niech pani stara się opisać mi możliwie dokładnie, jako lekarzowi, co pani widziała — rzekł doktor Bretton. — Potraktuję panią teraz jak pacjentkę. Czytam w pani niespokojnych, roziskrzonych oczach wszystko, co może chciałaby pani ukryć. To samo zdradzają policzki, z których uciekła cała krew, ręce, których drżenia nie jest pani w stanie opanować. Niech mi pani zaufa, panno Lucy, i opowie mi wszystko.

— Wyśmiej mnie pan...

— Jeśli mi pani nie powie, nie dostanie pani ode mnie ani jednego listu więcej.

— O, teraz już kpi pan wyraźnie ze mnie.

— Odbiorę pani i ten pierwszy, ten jedyny list; napisałem go, mam więc prawo żądać jego zwrotu.

Wyczułam lekką drwinę w jego głosie: przywróciło mi to od razu spokój i równowagę, na wszelki wypadek wszakże złożyłam list i ukryłam go przed wzrokiem doktora Johna.

— Nic nie pomoże ukrywanie listu, będę go miał, kiedy tylko zechcę. Nie zna pani wcale mojej zręczności; śmiało mógłbym pokazywać sztuczki magiczne. Mama mówi nawet czasem, że szczególnie potrafię władać językiem i oczami, pani jednak nie dostrzegła u mnie nigdy tej właściwości, prawda, panno Lucy?

— Owszem, owszem, dostrzegłam ją, kiedy pan był małym chłopcem. Dostrzegałam w panu obie te cechy, rozwinięte wówczas w znacznie wyższym stopniu aniżeli obecnie. Teraz bierze pan wszystko siłą, a siła jest wrogiem subtelności. W dalszym ciągu jednak ma pan, panie doktorze Johnie, to, co tutaj, w Labassecour, nazywają un airfin — cechę człowieka sprytnego i przenikliwego. Madame Beck dostrzegła to i...

— I podobało jej się to, bo sama ma tę cechę — dokończył doktor John ze śmiechem. — Ale, Lucy, niech mi pani da ten list. Nie zależy pani przecież na nim naprawdę.

Nie odpowiedziałam ani słowem na taką prowokację. Kiedy

38

Graham zaczyna wesoło podrwiwać, nie należy zbyt pozwalać mu na to. W pewnej chwili właśnie nowego rodzaju uśmiech zarysował się dokoła jego ust: uśmiech bardzo miły, uraził mnie jednak — w oczach jego zaiskrzył się nowy błysk — nie był on nieprzyjazny, ale też i nie mógł działać uspokajająco. Wstałam, aby odejść i nieco smutnym głosem życzyłam mu dobrej nocy.

Ze zwykłą swoją wrażliwością — z tą osobliwą badawczą ostrożnością — wyczuł od razu nie ujętą w słowa skargę, jak gdyby cień wyrzutu, uczynionego mu przeze mnie w myśli. Z cechującą go prostolinijnością zapytał też, czy jestem urażona. Potrząsnęłam głową na znak przeczenia.

— Pozwoli mi pani w takim razie pomówić z sobą nieco poważniej, zanim pani odejdzie. Znajduje się pani w stanie wielkiego nerwowego podrażnienia. Mimo że usiłuje pani panować nad sobą, jestem pewien, sądząc z wyrazu oczu i z całego pani zachowania, że kiedy była pani dzisiaj wieczorem sama na tym zabójczym, ponurym jak grób poddaszu, w tym cuchnącym stęchlizną siedlisku gruźlicy i wszelkich chorób, w istnym więzieniu pod ołowianym dachem¹ — w miejscu, którego progu nie powinna pani nigdy prze-stępować — otóż że widziała pani tam, albo też wydawało się pani, że widziała jakąś zjawę, która szczególnie pobudziła pani wyobraźnię. Wiem, że nie jest pani ani też nigdy nie była skłonna do przesadnego lękania się rozbójników ani złodziei. Nie jestem jednak pewien, czy zjawa, mająca charakter upiorny, nie wywołałaby wstrząsu w pani umyśle. Mogę panią uspokoić. Wszystko to sprawa nerwów, jak widzę. Niech mi pani jednak określi bliżej tę wizję.

— Nie powie pan nikomu?

■

¹ Więzienie pod ołowianym dachem — / Piombi — w Wenecji, słynne między innymi z Pamiętników Casanovy, który tam odsiadywał karę i z którego udało mu się zbiec. (Przyp. tłum.)

39

— Nikomu, zapewniam panią. Może mi pani zaufać tak bezwzględnie, jak zaufała pani ojcu Silasowi. Doktor jest w samej rzeczy bezpieczniejszym spowiednikiem aniżeli ksiądz, chociażby nawet nie miał siwych włosów.

— A nie wyśmiej mnie pan?

— Gdybym nawet miał wyśmiać, to tylko dla pani dobra. Nie byłby to na pewno śmiech szydery. Nieśmiała natura niełatwo zdobywa się na ufność, niech mi pani jednak wierzy, Lucy, że jestem prawdziwym jej przyjacielem.

Wyglądał teraz jak prawdziwy przyjaciel: znikł ów nie dający się opisać uśmiech i błysk oczu, znikło zastraszające odęcie warg, drganie nozdrzy, łukowate podniesienie i wygięcie brwi; twarz jego cechowały teraz spokój i skupienie, mile łagodzące jej wyraz. Czując, że mogę mu zaufać, opowiedziałam dokładnie, co widziałam. Już dawniej, kiedy oboje, on i ja, odbywaliśmy w ciepłe październikowe popołudnie przejażdżkę po Bois de l'Etang, opowiedziałam mu związaną z tymi murami legendę.

Usiadł i zamyślił się. W tej samej chwili usłyszeliśmy, że reszta towarzystwa schodzi na dół.

— Czy gotowi są nam przeszkodzić? — spytał, spoglądając z gniewem na zamknięte drzwi.

— Nie, przyjdą tutaj — odparłam, znajdowaliśmy się bowiem w małym saloniku, w którym Madame nie przesiadywała wieczorami. Przypadkiem jedynie piec był tutaj jeszcze dość ciepły. Przewidywania moje okazały się słuszne: minawszy drzwi, przeszli wszyscy do salle à manger.

— Teraz — powrócił do przerwanej rozmowy — będą snuli fantastyczne domysły i opowiadali sobie historie o złodziejach, o włamywaczach i tym podobnych grozach; pozostawmy ich w tym mniemaniu. Ostrzegam panią, aby pani nic im nie mówiła i trzymała

się niezachwianie swojego rozumnego postanowienia. Radzę nie opisywać nikomu zjawy mniszki, jaka ukazała się pani.

40

Możliwe, że ukaże się ona pani ponownie — ale niech to pani nie przeraża.

— Sądzi pan więc — rzekłam, wzdrygnąwszy się mimo woli

— że była to tylko wizja, wytwór chorej wyobraźni, że wizja ta

rozwiąła się obecnie, mogłaby jednak stanąć ponownie przed moimi oczami w chwili, kiedy najmniej będę się jej spodziewała?

— Myślę, że to był rodzaj zjawy, która narzuciła się pani, jak się obawiam, w wyniku długotrwałej wewnętrznej walki.

— O, doktorze Johnie, przerażenie ogarnia mnie na myśl, że mogłabym w istocie podlegać podobnym ułudom! Zjawy ta jednak wydawała mi się dziwnie rzeczywista! Czy nie istnieje sposób uleczenia tego stanu, niedopuszczenia do powtórzenia się czegoś podobnego?

— Szczęście jest najlepszym i jedynym lekarstwem, a wesoły, pogodny nastrój najskuteczniejszą ochroną. Niech pani stara się go utrzymać.

Nie istnieje w moim pojęciu szyderstwo bardziej puste i bez-treściwe, aniżeli rada utrzymania wesołego, pogodnego nastroju. Co ona właściwie oznacza? Szczęście i pogoda umysłu nie są jak kartofle, które można hodować, sadząc je w starannie nawożonym gruncie. Uczucie szczęścia jest glorią, której promienie zsyłają na nas niebiosy. Jest rosą boską, która spada na duszę człowieka w słoneczne letnie poranki z szkarłatnego kwiecica i złocistych owoców rajy.

— Starać się być szczęśliwą — powtórzyłam za całą odpowiedź. — A czy pan stara się być szczęśliwy?... Jak pan to robi?

— Jestem pogodny z natury, a przeciwności losu nigdy nie potrafiły mnie zmóc. Wszelkie niepowodzenia wywoływały u mojej matki i u mnie tylko gniewny pomruk; nie dawaliśmy się im jednak, a nawet drwiliśmy z nich, omijały nas więc i szły dalej.

— Nie widzę w tym jednak żadnego starania się o szczęście, żadnego hodowania go.

41

— Nie pozwalam sobie ulegać melancholii.

— Z powodu Ginevry Fanshave, prawda? Owszem: widziałam pana w złym nastroju. Czy nie czuł się pan chwilami nieszczęśliwy z jej powodu?

— Głupstwo! Nonsens! Widzi pani, że wyleczyłem się już z tego.

O ile śmiejące się oczy, twarz tchnąca promiennym zadowoleniem i zdrową energią, miały świadczyć o jego uleczeniu, był w istocie uleczony, i to całkowicie.

— Tak, nie wygląda pan na mocno strapionego ani nawet na wyraźnie zasmuconego — przyznałam.

— A dlaczegoż by i pani także, Lucy, nie miała wyglądać i czuć się tak samo jak ja — odważna, energiczna, gotowa stawić czoła wszystkim mniszkom i wszystkim flirtom w całym chrześcijaństwie? Zapłaciłbym złotem za możliwość widzenia pani drwiącej ze wszystkiego. Niech pani spróbuje tej sztuki.

— A gdybym tak sprowadziła panu teraz pannę Fanshave?

— Zapewniam panią, droga Lucy, że nie poruszyłoby mnie to ani trochę. Mogłoby mnie poruszyć w jednym tylko przypadku — gdybym widział z jej strony prawdziwe, głębokie uczucie. Jedynie za taką cenę zdolny byłbym wybaczyć jej.

— Naprawdę?! A przecież jej uśmiech był dla pana szczęściem tak niedawno jeszcze?!

— Jestem przeistoczony, Lucy, przeistoczony! Przypomina sobie pani, że nazwała mnie pani niegdyś niewolnikiem? Otóż teraz jestem już wolnym człowiekiem!

Sprężył się: cała jego postawa, dumnie podniesiona głowa, świetliste oczy i rozjaśniona twarz promieniały pełnią swobody, w której było coś więcej niż wyzwolenie — była pogarda dla dawnych niewolniczych więzów.

— Panna Fanshave — dodał — wzbudziła i podtrzymywała we mnie nastrój, który już minął: wszedłem teraz w odmienną fazę,

42

zdecydowany żądać miłości w zamian za miłość, namiętności za namiętność, i to odmierzonej sutą miarą.

— O, doktorze, doktorze — przypomniałam mu — powiedział pan kiedyś, że w pańskiej naturze leży zdobywanie miłości w trudnych warunkach i że prawdziwe uczucie może w panu wzbudzić tylko osoba dumna, nieprzystępna!

Roześmiał się i odpowiedział:

— Natura moja jest zmienna: nastrój jednej godziny bywa czasem przedmiotem szyderstwa dla następnej... I cóż, Lucy — zmienił nagle temat, wkładając równocześnie rękawiczki na znak odejścia — jak pani sądzi, czy mniszka zjawi się dzisiaj raz jeszcze?

— Nie przypuszczam, aby miała się zjawić.

— Niech jej się pani pokłoni ode mnie, gdyby się jednak zjawiała—niech jej pani odda pozdrowienie od doktora Johna i niech ją pani poprosi, aby zechciała łaskawie oczekiwać jego odwiedzin. Czy była ładna, przystojna? Jaką miała twarz? Tego mi pani jeszcze nie powiedziała, a to właśnie jest bardzo ważne.

— Twarz miała osłoniętą czymś białym — rzekłam — ale oczy jej błyszczały.

— Niech licho porwie jej diabelskie zasadzki! — zawołał z pogardą. — Miała jednak przynajmniej ładne oczy, błyszczące i czułe.

— Nie, zimne i przeszywające.

— O, precz z nią. Niech idzie do wszystkich diabłów! Nie chcemy oglądać jej więcej! Nie będzie nawiedzała już pani, kochana Lucy. A gdyby miała przyjść znowu, niech pani mocno uściś-nie jej rękę. Czy zniosłaby podobne potraktowanie, jak pani sądzi?

Uważałam, że jak na ducha byłby to gest zbyt bezceremonialny, przyjacielski, a takiego traktowania nie mógłby znieść na pewno. Z uśmiechem powiedziałam doktorowi „dobranoc”.

43

Czy w ogóle było coś na poddaszu? Czy wykryto coś, czy kogoś? Myślę, że po najstaranniejszym przetrząśnięciu wszystkich kątów i zakamarków wykryto jedynie mało znaczące drobiazgi. Mówiono zrazu o jakimś nieładzie wśród porozwieszanych ubrań, Madame Beck uznała jednak później, że wisiały w takim samym porządku, w jakim je umieszczono. Co zaś do pękniętej szyby w górnym okienku poddasza, zapewniała, że rzadko obywało się w nim bez jednej, a nawet bez paru stłuczonych czy popękanych szyb. Dodała nadto, że przed paroma dniami spadł wielki grad, któremu można było równie dobrze przypisać wyrządzenie tej szkody. Madame wypytywała mnie bardzo dokładnie o to, co widziałam; pamiętałam jednak ostrzeżenia doktora Johna i zapewniłam ją, że były to jedynie mgliste zarysy jakiejś czarno odzianej postaci. Bardzo przezornie uniknęłam użycia wyrazu mniszka. Wiedziałam, że nasunąłby jej trzeźwemu umysłowi pojęcie czegoś romantycznie nierealnego. Ona sama zobowiązała mnie zresztą, abym nikomu nie opowiadała o tym zajściu: ani służbie, ani uczennicom, ani także nauczycielkom — zarazem pochwaliła mnie za roztropność, jaką wykazałam, przybiegłszy z tą wiadomością do jej prywatnej salle ó manger, a nie do ogólnego refektarza.

Na tym wyczerpałyśmy temat.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko smutnie rozważać w tajemnicy przed wszystkimi, czy dziwny ten stwór był z tego świata, czy z królestwa pozagrobowego, czy też może był on wytworem chorej wyobraźni, a ja sama jej nieszczęśliwą ofiarą.

Rozdział III

Vashti

Rozwazać smutnie — napisałam? Nie, na bieg mojego życia zaczął oddziaływać nowy czynnik, nie dający przystępu — na pewien czas przynajmniej — żadnym smutkom. Wyobraź sobie, czytelniku, ukryty w gąszczu leśnym zakątek, spowity w mroku i mgle, porosły wilgotną, bladą murawą, do której nie dociera promyk światła. Nagle burza czy siekiera czyni wielki wyłom pośród dębów i innych olbrzymów leśnych; wiatr zyskuje dzięki temu swobodny dostęp, słońce dostaje się już z łatwością; smutny, wilgotny, porośnięty bladymi, wątłymi roślinkami zakątek leśny nabiera barw wskutek obficie krążących w roślinach soków życiodajnych; pełnia lata ozłaca go i rozblękitnia świetnością dobroczynnego nieba, jakiego zamorzony, posępny zakątek nigdy dotychczas nie oglądał.

Zycie tchnęło we mnie nową wiarę — wiarę w możliwość szczęścia.

Trzy tygodnie upłynęły od owego wydarzenia na poddaszu. W szkatułce na górze, w szufladzie mojego pulpitu, obok owego pierwszego listu spoczęły cztery inne, kreślone męskim, energicznym charakterem pisma, zapieczętowane tą samą, mocno odciśniętą, pełną wspaniałych obietnic czerwoną woskową pieczęcią. W owym czasie te listy były dla mnie spełnieniem cudownych marzeń; po latach odczytałam je ponownie: były to miłe, tchnące życzliwością i pogodą kartki, j, isane przez człowieka zadowolonego z siebie i ze świata; końcowe wiersze ostatnich dwóch były na wpół wesołe i tkliwe, „muśnięte u c z u c i e m, ale nie przepojone nim”. Czas, drogi czytelniku, osłabił ich wymowę, nadając im charakter miłe rzeźwiącego napoju; kiedy wszakże po raz pierwszy zakosztowałam tego

45

eliksiru, świeżo zaczerpniętego z tak wielbionego źródła, wydawał mi się on boskim nektarem.

Czy uważny czytelnik, pamiętający, co było powiedziane o kilka stron wstecz, chciałby dowiedzieć się, jak odpisywałam na te listy? Czy ulegałam powściągliwemu działaniu rozsądku, czy też pozwalałam, aby ponosiło mnie niepohamowane uczucie?

Jeśli mam wyznać prawdę, przy układaniu odpowiedzi podlegałam obu wpływom równocześnie: służyłam obu panom, klękałam przed jednym i drugim ołtarzem. Pisałam dwie odpowiedzi — jedną dla ulżenia samej sobie, drugą dla Grahama.

Nade wszystko jednak uczucie i ja wspólnie wyrzuciliśmy rozsądek za drzwi, zawarłszy za nim rygle i zasuwę, po czym oboje pospołu rozpostarliśmy przed sobą arkusz papieru, zanurzyliśmy pióro w kałamarzu i z wielkim zadowoleniem przystąpiliśmy do dawania swobodnego, szczerego upustu wylewom serca. Kiedy uporaliśmy się z tym, zapelniliśmy dwa arkusiki tekstem wyrażającym uczucie głębokiej i trwałej wdzięczności (raz na zawsze zastrzegam się jak najkategoryczniej przeciwko wszelkiemu, jakie mogłoby wkraść się, podejrzeniu mnie o cieplejsze uczucia. Kobiety nie żywią ich tam, gdzie od początku znajomości i poprzez cały jej bieg nie mogły łudzić się co do tego, że podtrzymywanie podobnych uczuć byłoby niedorzecznością. Nikt nie puszcza się na rwące, zmacone wody miłości, o ile nie przyświeca mu gwiazda nadziei. Nie, w moich listach dawałam jedynie wyraz serdecznemu, szczeremu uczuciu szacunku, przywiązania i wdzięczności). W moim przywiązaniu dominowała chęć i gotowość dźwignięcia na własnych barkach wszystkiego, co mogło zaważyć boleśnie na losach przedmiotu tego przywiązania, dążenie do odsunięcia wszelkich burz i ciosów, mogących zagrażać istnieniu, dokoła którego krążyły najtkliwsze moje myśli i najgłębsze troski. W takich chwilach moje serce było bezbronne. Wówczas jednak wpadał trzymający je na uwięzi rozum, mściwy i potężny, wychwytywał z moich rąk zapisane kartki, od-

46

czytywał je, obsypywał szyderstwem, nakazując mi drzeć je i przepisywać na nowo, w innej postaci, składać, pieczętować i wysyłać przeistoczone w duchu nieubłaganej trzeźwości krótkie, jednostro-nicowe liściki.

Miał słuszną rozum. Dobrze robił.

Nie żyłam samymi listami: odwiedzano mnie, dbano o mnie, zabierano do La Terrasse, okazywano mi wiele dobroci i starań. Doktor Bretton powtarzał mi przy tym, że roztacza nade mną taką opiekę, aby „trzymać z dala ode mnie mniszkę”. Postanowił wydrzeć jej z rąk upatrzoną przez nią ofiarę. Zapewniał, że czuje do niej odrazę głównie z powodu białej płóciennej opaski na twarzy i zimnych, szarych oczu. Od chwili kiedy dowiedział się ode mnie o tych odrażających cechach jej postaci, ogarnęło go pragnienie, by jej się przeciwstawić, by wypróbować, kto okaże się zwycięzcą w tej walce: ona czy on. Pragnął z całej duszy, aby ukazała mi się raz jeszcze, ale w jego obecności. Do tego jednak nie kwapiła się. Stosunek Grahama do mnie był stosunkiem lekarza i naukowca do pacjentki; pełniąc obowiązki wynikające z zawodu, czynił zarazem zadość wrodzonej potrzebie okazywania dobroci, traktując mnie z prawdziwie serdeczną życzliwością i uwagą.

Pewnego grudniowego wieczoru, pierwszego dnia tego miesiąca, znajdowałam się zupełnie sama w *carre*. Była godzina szósta po południu; drzwi sal klasowych były pozamykane; zgromadzone w klasach uczennice zażywały swobody rekreacji wieczornej, czyniąc zwykły w takich momentach chaotyczny zgiełk i zamęt. W *carre* panowała zupełna ciemność z wyjątkiem czerwonej łuny dokoła żarzącego się w piecu ognia. Wielkie szyby okienne były zamrożone; kryształowe iskierki świetlne, skrzące się wśród lodu, złociły tu i ówdzie jego blade wzory. Niebo było rozgwieżdżone, noc jasna, choć bezksiężycowa. Fakt, że odważyłam się pozostawać sama pośród ciemności świadczył, iż nerwy moje odzyskały dawną równowagę. Myślałam o mniszce, nie obawiałam się jej jednak, mimo że

47

klatka schodowa, mającą w mroku poza mną, prowadziła poprzez zwartą, nieprzejrzaną, czarną noc z piętra na piętro, wprost na nieszczęsne, nawiedzane przez zjawy poddasze. Przyznaję jednak, że serce zabiło gwałtowniej w mojej piersi i krew zaczęła żywiej krążyć w moich żyłach, kiedy nagle usłyszałam za sobą ciężki, przyspieszony oddech i szybkie kroki. Odwróciwszy się dostrzegłam w ciemnym cieniu schodów jeszcze ciemniejszy cień — ruchomy zarys postaci schodzącej na dół. Postać ta zatrzymała się na chwilę przy drzwiach klasowych, po czym prześlizgnęła się bezszelestnie koło mnie. Równocześnie rozległ się dźwięk dalekiego dzwonka przy drzwiach. Normalne odgłosy świata przywracają poczucie normalnego życia codziennego: zarysy były zbyt okrągłe, postać zbyt przysadzista jak na smukłą mniszkę. Była to tylko Madame Beck, czyniąca zwykły obchód wieczorny.

— Mademoiselle Lucy! — zawołała Rozyna, wpadając z korytarza z lampą w rękę. — On est là pour vous au salon .

Madame widziała mnie, a ja widziałam Madame, Rozyna widziała nas obie; nie było jednak wzajemnego rozpoznania. Skierowałam się wprost do salonu, gdzie zastałam tego, kogo, przyznaję, spodziewałam się zastać — doktora Brettona. Był w stroju wieczorowym.

— Powóz stoi przed domem. Matka przysłała mnie, abym zabrał panią do teatru. Zamierzała sama pojechać, przeszkodziła jej wszakże niespodziewana wizyta. Zaproponowała mi od razu: „Zabierz Lucy zamiast mnie”. Pojedzie pani?

— Teraz? W tej chwili? Nie jestem ubrana! — zawołałam, spoglądając z wyrazem rozpacz na moją ciemną merynosową suknię.

— Ma pani pół godziny na przebranie. Powiniennem był uprzedzić panią, jednak decyzję pójścia do teatru powziąłem dopiero o

1 Panno Lucy, czekają na panią w salonie.

48

piątej po południu, z chwilą gdy dowiedziałem się, że czeka nas prawdziwa uczta dzięki występowi wielkiej artystki.

Mówiąc o wielkiej artystce, wymienił nazwisko, którego brzmienie przejmowało w owym czasie dreszczem zachwytu nie tylko mnie, ale i całą Europę. Obecnie poszło ono już w zapomnienie; przebrzmiały echa grzmiących oklasków, jakimi ją przyjmowano; ona sama wycofała się ze sceny; mrok niepamięci zagęścił się dokoła głośnego niegdyś, a potem przebrzmiałego jej imienia, w owym czasie wszakże jej sława dosięgła szczytu, błyszczała pełnym, jasnym blaskiem, rozbrzmiewała donośnie.

— Pojadę! Będę gotowa za dziesięć minut! — zawołałam zachwycona. Wybiegłam lotem strzały i przyznać muszę, mój czytelniku, że ani na chwilę nie stropiła mnie myśl, która tobie może przyszła w tym momencie do głowy, że pójdziecie dokądkolwiek z samym tylko Grahamem, bez pani Bretton, mogłoby być źle widziane. Nie mogłabym wcale powziąć, a tym bardziej wypowiedzieć wobec Grahama podobnego skrupułu bez obawy narażenia się na szyderczą odpowiedź i, co ważniejsze, bez rozniecenia wewnętrznego ognia zawstydzienia tak nieugaszonego i tak pochłaniającego, że zdmuchnąłby on niebawem samo życie w moich żyłach. A zresztą, mojej matce chrzestnej, znającej tak dobrze swojego syna i mnie, przysłoby raczej na myśl danie przyzwoitki siostrze wybierającej się na jakieś zebranie z bratem rodzonym, aniżeli potrzeba trwożnego czuwania nad naszym wspólnym bywaniem gdziekolwiek.

Pójście do teatru nie wymagało szczególnie strojnej toalety; moja suknia z jasnopopielatej krepki, barwy mgły, nada się jak najlepiej; pośpieszyłam odszukać ją w szafach garderoby, gdzie wisiało nie mniej niż czterdzieści sukien. Okazało się jednak, że porobiono w przepełnionych w istocie szafach zimowe porządki. Część sukien, między innymi i moją, wyniesiono na poddasze, trzeba było więc znieść ją z tego niemiłego schowka. Wydostałam klucz i popędziłam

49

ha górę, nie doznając ani przez chwilę lęku, nie myśląc nieomal o hiczym. Otworzyłam drzwi poddasza i zanurzyłam się od razu w hnroczną głębinę. Czytelnik może wierzyć albo nie — jak chce — kiedy jednak wpadłam tam nagle, nie było tak zupełnie ciemno, jak bowinno być: z jednego kąta padało światło podobne do światła gwiazdy, jaśniejące jednak na szerszej przestrzeni. Oświetlało tak Wyraźnie ten fragment poddasza, że zobaczyłam głęboką alkowę Wraz z częścią wypłowiałej, szkarłatnej firanki. W tej samej chwili znikło światło i równocześnie znikła także alkowa wraz z osłaniającą ją firanką; cała ta część poddasza stała się czarna jak noc. Nie myślałam wcale o bliższym zbadaniu tej zagadki; nie miałam na to ani czasu, ani ochoty; porwawszy z kołka moją suknię, na szczęście Wiszącą blisko wejścia, wybiegłam najszybciej jak mogłam, zatrzasnęłam drzwi i popędziłam na dół do sypialni. Ręce dygotały mi jednak tak przeraźliwie, że nie byłam w stanie się ubrać: nie mogłam samodzielnie ani porządnie uczesać się, ani nawet pozapinać, jak należało, wszystkich guzików i haftek. Nie było innej rady, musiałam wezwać Rozynę i przekupić ją odpowiednim datkiem, aby mi pomogła. Rozyna chętnie dała się przekupić, postarała się też zadowolić mnie, jak umiała najlepiej: rozczesała mi włosy i zaplotła je w warkocze, które ułożyła dokoła głowy tak umiejętnie, jak zrobiłby to zawodowy fryzjer, upięła dokoła dekoltu mojej sukni z dokładnością matematyczną nieledwie koronkowy kołnierzyk, artystycznie zawiązała wstążkę, słowem — dokonała swojego dzieła niczym legendarna Filis, jaką umiała być, jeśli tylko chciała. Podawszy mi chusteczkę i rękawiczki, poświeciła mi przy zejściu na parter do hallu, a kiedy okazało się, że zapomniałam zabrać szal, pobięła po ten niezbędny element toalety. W hallu zastałam czekającego już na mnie doktora Johna.

— Co się stało, Lucy?—zapytał, przyjrząwszy mi się uważnie. — Jest pani znów po dawnemu podniecona. Może i tym razem mniszka?

50

Zaprzeczyłam jednak temu stanowczo: przykro mi było być podejrzaną po raz drugi o uleganie ułudom. Nie dał się wszakże wprowadzić w błąd.

— Mniszka, jako żywo! — powtórzył. — Ta zjawa pozostawia w pani oczach osobliwy błysk i wyraz, którego niepodobna nie poznać od razu.

— Nie było żadnej mniszki — zapewniłam, mogąc bez popełnienia kłamstwa zaprzeczyć, jakobym miała widzieć ponownie zjawę.

— Pojawiły się znów dawne symptomy — twierdził uparcie — jakaś dziwna bladość, wylęknienie i, jak nazywają to Szkoci, podniesiony wyraz oczu.

Tak bardzo nastawał, że uważałam za właściwe powiedzieć mu, co naprawdę widziałam. I tym razem oczywiście przypisał całe to wydarzenie tej samej przyczynie: złudzeniu optycznemu, chorobliwemu stanowi nerwów. Nie odważyłam się zaprzeczyć: lekarze są tak uparci, tak niezłomnie pewni swoich diagnoz, tak niewzruszenie wierzą w słuszność materialistycznego ujmowania zjawisk, że niepodobna podawać w wątpliwość ich racji.

Rozyna przybiegła z szalem, po czym już bez przeszkód usadowiłam się w powozie.

Teatr był przepelniony, wszystkie miejsca pozajmowane aż do sufitu; dwór i arystokracja stały się w komplecie: pałace i wielkie hotele opróżniły swoje pokoje z lokatorów, aby zapelnąć nimi łóżka i fotele nabitego ludźmi, mimo to uroczyście wyciszonego przybytku.

Czułam się prawdziwie uprzywilejowana, mogąc zająć tego wieczoru miejsce na widowni; od dawna gorąco pragnęłam zobaczyć na scenie istotę, o której talencie tyle słyszałam, i spodziewałam się z oglądania jej gry Bóg wie jakich podniosłych wrażeń. Ciekawa byłam, czy usprawiedliwi swoją sławę, czekałam więc na podniesienie kurtyny poważna, skupiona, z uczuciem głębokiego zainteresowania i dziwnego zaciekawienia zarazem. Wielka artystka była dla

51

mnie zjawiskiem, jakiego nie oglądały do owego dnia moje oczy, nową, nieznaną planetą. W jakiej wszakże ukaże mi się postaci? Czekałam na jej pojawienie się na firmamencie.

Ujrzałam ją o dziewiątej tego grudniowego wieczoru: o tej godzinie punktualnie zjawiła się na widnokręgu. Jej gwiazda wciąż jeszcze świeciła potężnym blaskiem, mimo że chyliła się już ku zmierzchowi. Oglądana z bliska była na wpół zgaszoną lawą, na wpół żarzącym się ogniem.

Nieraz obito mi się o uszy, że mówiono o niej „brzydka”. Byłam przygotowana na ujrzanie postaci kościstej, wielkiej, kanciastej, posępnej. To, co ujrzałam, było cieniem królewskiej Yashti1 — królowa, niegdyś piękna jak dzień, teraz przyblakła jak zmierzch i stopniała niczym wosk w ogniu.

Przez chwilę — przez dość długą chwilę — uważałam ją za kobietę tylko, jakkolwiek za kobietę wybraną, jedyną, poruszającą się przed tłumem z powagą majestatu, z niezrównanym wdziękiem zarazem. Stopniowo wszakże zaczęłam coraz bardziej rozumieć, jak dalece byłam w błędzie. Dostrzegłam w niej coś szczególnego, ani kobiecego, ani męskiego; w jej oczach, w każdym z osobna, przyczaiły się diabły. Obie te złe moce podtrzymywały jej słabe siły przez cały przebieg tragedii. Była wątłą z natury istotą, lecz wraz z rozwojem akcji i potęgowaniem się wzruszeń audytorium coraz gwałtowniej wstrząsał nią ogień szatańskich namiętności. Diabły wyraźnie wypisały „PIEKŁO” na jej gładkim, wyniosłym czole.

Nastrajały jej głos na brzmienie udreki. Krzywiły królewskie oblicze, nadając mu piętno maski demonicznej. Stała przed nami niby wcielenie nienawiści, zbrodni i szalu.

Był to widok zdumiewający, objawienie potężne.

1 Jedna z osób występujących w dramacie Racine'a Esther. Jej duma i wyniosłość spowodowały wyrzeczenie się jej przez męża, króla perskiego, Assuerusa, na rzecz Estery.

(Przyp. tłum.)

52

Widowisko potworne w swojej nikczemności, ohydne, niemoralne.

Widok rycerzy przebijanych mieczami na wskroś, umierających w kałuży własnej krwi na piasku areny czy też byków dobijających rogami konie z powypruwanymi wnętrzościami byłby dla publiczności łagodniejszą strawą aniżeli Vashti, dręczona przez siedmiu szatanów, przez szatanów, których ogłuszające wrzaski rozdzierały nawiedzoną przez nie siedzibę, nie dając się jednak odżegnać.

Cierpienie wyiły głębokie ślady na tej władczyni sceny. Stała przed widownią nieustępliwa, nie poddająca się ani także nie odczuwająca w dostatecznej mierze swojej udręki; stała w napięciu walki, nieugięte oporna. Stała nie tyle ubrana, ile okryta jasną tkaniną, udrapowaną w antyczne fałdy, wysoka i kształtna, niby klasyczna rzeźba. Ciemnoszkarlatne tło uwydatniało jej alabastrową, srebrzystą białłość, czyniąc ją podobną do posągu śmierci. Gdzie był artysta, gdzie duch twórczy Kleopatry? Niech przyjdzie, niech usiądzie i studiuje tę odmienną wizję. Niech odszuka w tym posągu potężną krzepkość, napięte mięśnie, bujnie płynącą krew, bogato odżywiane ciało, które wielbił; niech wszyscy materialści świata zgromadzą się tutaj i przyjrzą się.

Zaznaczyłam, że nie czuje ona żalu za swoje krzywdy. Nie, słabość tego wyrazu zadałaby kłam samemu pojęciu. Dla niej siła, która rani, staje się niezwłocznie wcielona; zapatruje się na nią jako na stwór, na który można od razu natrzeć, zmiażdżyć go, poszarpać na strzępy. Sama, bardziej zbliżona do ducha niż do materii, skłonna jest walczyć z abstrakcjami. Wobec klęski staje się tygrysią; pożera swoich nieprzyjaciół, budząc w nich dreszcz zgrozy i wstrętu. Cierpienie dla niej nie przetwarza się w dobro; łzy nie zraszają żniwa poznania; zachowuje postawę buntowniczą wobec choroby, wobec śmierci nawet. Jest może zła, ale silna zarazem, a jej siła zwyciężyła piękno, pokonała wdzięk i wprzęgła jedno i drugie w jej jarzmo, jako

53

niewolników niezrównanie urodziwych i równie uległych jak urodziwych. W najwyższym nawet napięciu energii, w każdym ruchu najdrobniejszym królewska, imperatorska, tchnąca wrodzonym majestatem. Włosy jej, luźno rozpuszczone na ucztach czy na wojnie, są wciąż jeszcze szatą anielską. Pokonana, skazana na banicję, wspomina niebo, gdzie burzyła się buntowniczo. Światło niebieskie, idące za nią na wygnanie, przebija jego granice i odsłania utraconą dal.

Postawcie teraz przed nią jako zaporę Kleopatę czy inną jakąś zażywną postać i przyjrzyjcie się, jak zakrzywiona szabla Saladyna wbija się w jej ciało jak w puchową poduszkę. Niech zmartwychwstanie Paweł Piotr Rubens; sprowadźcie tutaj całą armię jego tłustych kobiet; moc czarodziejska czy dar proroczy, udzielone tej drobnej różdżce mojąszowej, mogłyby za jednym skinieniem sprawić rozstąpienie i ponowne zwanie się fal morskich, przytłaczając ciężki zastęp ciśnięciem nań wałów wodnych.

Vashti nie była dobra, jak mi mówiono, zaznaczyłam też, że nie wyglądała na dobrą: jakkolwiek była duchem, była duchem z Tophet rodem¹. Jeśli tak wielką siłę można czerpać z odmętów piekielnych, dlaczegóż by podobna emanacja uświęconej treści nie miała spłynąć któregoś dnia z wyżyn niebiańskich? Co o tym myślał doktor Graham?

Co pewien czas zapominałam przez dłuższą chwilę obserwować jego zachowanie, pytać go o wrażenia. Niepokonana siła geniuszu pociągnęła ku sobie w sposób niezwykły mój umysł i serce. Widywałam dawniej grę sceniczną, nigdy wszakże nie byłam świadkiem czegoś podobnego: czegoś, wprawiającego w zwątpienie nadzieję i tłumiącego żądzę; odzierającego z podniet i urągającego

¹ Tophet — wyraz o niepewnym znaczeniu i etymologii, występujący w Starym Testamencie (w Ks. Królów XXIII. 10). Nowsi badacze Biblii są zdania, że było to miejsce w dolinie, gdzie składano Molochowi ofiary z palonych na stosie ludzi, zwłaszcza dzieci. (Przyp. tłum.)

54

wszelkiemu rozumieniu; czegoś takiego, co, miast podniecać wyobraźnię myślą o tym, co mogłoby być dokonane i rozplómieniać nerwy świadomością, że nie zostało to dokonane, ujawnia równocześnie siłę, podobną do wezbranej w porze zimowej głębi rzecznej, huczącej wodospadami i unoszącej duszę niby liść na stromym spadku.

Panna Fanshave, która zwykle pochopnie wydawała opinie, określiła doktora Brettona jako człowieka trzeźwego, wyzbytego gorętszych uczuć, zbyt poważnego i zarazem zbyt łatwo ulegającego zmiennym nastrojom. Wręcz odwrotny był mój sąd o nim: nie byłam zdolna obarczać go podobnymi brakami. Nie miał skłonności do medytacji, nie wpadał też łatwo w nastrój sentymentalny; podlegał bodźcom zewnętrznym jak marszcząca się woda, nieomal jednak tak samo był jak woda niewrażliwy: lekki wiaterek, promyk słońca poruszały go; metal nie był zdolny wyryc na nim śladu ani ogień odcisnąć na nim swojej pieczęci.

Doktor John umiał myśleć, i to dobrze, był jednak raczej człowiekiem czynu niż myśli; umiał odczuwać żywo na swój sposób, nie potrafił się jednak entuzjasmować. Chętnie ulegał łagodnym, świetlanym, miłym wpływom, jego oczy były wrażliwe na przejawy piękna, na różane, srebrzyste i perłowe łuny na niebie, na purpurowe obłoki o zachodzie. Wszystko co dzikie, napięte, niebezpieczne, nagłe i rozognione — nie zyskiwało jego sympatii, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Kiedy wreszcie miałam czas i możliwość przyjrzeć się mu, rozbawiło mnie i olśniło nagłym zrozumieniem odkrycie, że przygląda się posępnej władczyni Vashti nie ze zdumieniem ani z zachwytem, ani nawet z trwogą, ale z napiętą ciekawością jedynie. Jej śmiertelna udręka nie zdawała się przejmować go bólem, jej dzikie jęki — gorsze od wrzasków — niezbyt go wzruszały; jej wybuchy wściekłości oburzały go chwilami, nie budziły w nim jednak ani grozy, ani wstrętu. Zimny młody Brytyjczyk! Błede kredowe skały jego ojczyzny nie spoglądają z taką obojętno-

55

cią i z takim spokojem na wody kanału, z jaką przyglądał się Graham tego wieczoru natchnionej Pytii.

Obserwując jego twarz, pragnęłam wiedzieć, co naprawdę o niej sądzi. Pozwoliłam sobie w końcu zadać mu to pytanie. Na dźwięk mojego głosu zbudził się jak gdyby ze snu: był głęboko zadumany, zajęty własnymi myślami.

— Jak podoba się panu Vashti? — zapytałam.

— Hm-hm-hm! — bąknął zrazu niewyraźnie, ale aż nadto znamienne, a potem zobaczyłam na jego twarzy dziwny uśmiech, bezsprzecznie krytyczny, okrutny nieledwie! Przypuszczam, że potrafił być okrutny dla tego rodzaju natur. W kilku zwięzłych zdaniach wyłożył mi swój pogląd i swój stosunek do tej aktorki: sądził ją surowo jako kobietę, nie jako artystkę; był to sąd nieubłagany.

Wieczór ten zaznaczył się w księdze mojego żywota nie białym, ale czerwonym grubym krzyżem. Nie skończył się jednak jeszcze dla mnie: inne momenty miały zostać zapisane na jego karcie niezatartymi zgłoskami.

Okolo północy, kiedy tragedia osiągnęła najposępniejszy moment w końcowej scenie śmierci, a cała widownia słuchała i patrzyła z zapiętym oddechem — nawet doktor John zagryzł dolną wargę i zmarszczył czoło, siedząc w ponurym, skupionym milczeniu. Było to w chwili, kiedy cały teatr zaległa cisza niezmacona; kiedy oczy wszystkich wpiły się w jeden punkt; kiedy nikt nie widział nic poza białą postacią opadłą na łożo, staczającą ostatnią walkę z najzawziętym, najbardziej nienawidzonym wrogiem; kiedy nikt nie słyszał nic poza jej jękami, jej ciężkim oddechem buntu, jej wyzywającym wciąż jeszcze szamotaniem; kiedy niepokonana, jak się zdawało, wola, nie pozwalająca ugiąć się wstrząsanemu drgawkami przedśmiertnymi ciału, wciąż jeszcze podtrzymywała walkę z przeznaczeniem i śmiercią, broniąc rozpaczliwie każdego cala ciała, przelewając kroplę po kropli krew do ostatka, z całych sił, aż do końca

56

opierając się słabości, wciąż jeszcze z napięciem najwyższym usiłując widzieć, słyszeć, czuć, oddychać, żyć — aż do nieubłaganego momentu, kiedy śmierć kładzie kres wszelkiemu czuciu i wszelkiemu istnieniu, mówiąc:

— Dotąd i ani kroku dalej!

W tej właśnie chwili poruszenie złowróżbne powstało poza sceną: rozległ się tupot nóg biegnących w różne strony postaci, doleciał szmer skłóconych głosów. — Co się stało? — wołała zaniepokojona widownia. Odpowiedzią były wyraźne jęczyczki płomieni, odór spalenizny i dymu.

— Pali się! — rozbrzmiało z galerii. — Pali się! — powtarzało się zewsząd, z miejsca na miejsce, jak groźne, wystraszone echo, i równocześnie nieomal, szybciej aniżeli zdolne jest opisać to pióro, wybuchła prąka obłądca, tratująca — ślepy, bezmyślny, samolubny, okrutny, wywołany bezmiernym strachem zamęt.

A doktor John? Widzę go jeszcze, czytelniku, zachowującego swój zwykły miły spokój i krzepiącą odwagę.

— Lucy nie ruszy się z miejsca, wiem o tym — rzekł, spoglądając na mnie z tym samym wyrazem pogodnej dobroci, z tą samą uspokajającą stanowczością, jaką widywałam na jego twarzy, kiedy siedziałam obok niego, całkowicie bezpieczna w domu jego matki. Wezwana w ten sposób, siedziałabym spokojnie w dalszym ciągu pod zawałającą się skałą, przyznać jednak muszę, że i własny mój instynkt także nakazywał mi zachowanie w tych warunkach najzupełniejszego spokoju i nieruszanie się z miejsca. Gdyby jednak nawet nie ostrzegł mnie mój instynkt, nie ruszyłabym się z miejsca za cenę własnego życia, aby nie sprawić Grahamowi kłopotu, nie przeciwstawić się jego woli, nie zmuszać go do zaprzątania sobie w tej chwili głowy moją osobą. Siedzieliśmy na parterze: w ciągu paru minut zapanował dokoła nas straszliwy, nieopisany, obłądny ścisk, zamęt i popłoch.

— Jak łatwo kobiety ulegają panice! — zawołał Graham. —

57

Gdyby jednak mężczyźni nie zachowywali się prawie tak samo, można by bez trudu utrzymać porządek. Przykra to scena: widzę w tej chwili przed sobą pięćdziesięciu brutalnych, z których każdego, gdybym był blisko nich, mógłbym z czystym sumieniem powalić na ziemię. Widzę nawet kilka kobiet odważniejszych od mężczyzn. Jedna zwłaszcza — o, tam!... Boże wielki!...

W tej samej chwili, kiedy Graham zdołał wypowiedzieć te słowa, młoda dziewczyna, która spokojnie siedziała o kilka rzędów przed nami, przy boku starszego siwowłosego pana, została nagle, przez wielkiego jakiegoś, przepychającego się łokciami draba o wyglądzie rzeźnika, oderwana od ramienia swojego opiekuna i pchnięta pod nogi tłumu. Jej zniknięcie trwało zaledwie dwie sekundy. Graham rzucił się ku niej; on i siwowłosy pan o imponującej posturze połączyli swoje siły, aby odepchnąć napierającą ze wszystkich stron zwartą ciżbę: głowa dziewczyny i długie jej włosy opadły na ramię Grahama — zdawała się zemdlona.

— Może pan powierzyć mi ją z zupełnym spokojem: jestem lekarzem — rzekł doktor John.

— Jeśli pan sam nie jest w kobiecym towarzystwie, bardzo chętnie — brzmiała odpowiedź.

— Niech pan trzyma moją córkę, a ja utworzę przemocą przejście: musimy wyprowadzić ją na powietrze.

— Jestem w towarzystwie kobiety — rzekł Graham — nie będzie nam ona jednak ani przeszkodą, ani utrudnieniem.

Dał mi znak oczami — nie mógł inaczej, byliśmy rozdzieleni. Zdecydowana wszelako dostać się do niego, przecisnęłam się przez żywą zaporę, przeczołgując się pod nią, o ile nie mogłam przepchnąć się pomiędzy nią czy obok niej.

— Niech pani mocno trzyma się mnie, Lucy, i nie przestaje torować sobie drogi naprzód — rozkazał. Byłam mu posłuszna.

Nasz siwowłosy pionier okazał się silny i sprawny; wbił się klinem w zwarty tłum, cierpliwym wysiłkiem przepchnął się przez

58

spiętrzoną masę rozgrzanych ciał, tłoczących i duszących się wzajem, i wyprowadził nas na świeże, mroźne powietrze nocy.

— Jest pan Anglikiem? — zwrócił się do doktora Brettona, kiedy nareszcie wydostaliśmy się z teatru na ulicę.

— Tak. Jestem Anglikiem. I mówię z rodakiem? — zapytał Graham z kolei.

— Oczywiście. Proszę, niech pan będzie łaskaw zatrzymać się tutaj na parę minut, dopóki nie odzyskam mojego powozu.

— Ojczulku, nic mi się nie stało — odezwał się dziewczęcy głosik. — Jesteś przy mnie, ojczulku?

— Je:t przy pani przyjacieli, a ojciec pani jest także w pobliżu.

— Nk eh mu pan powie, że nic mi się nie stało — boli mnie tylko ramię. O, moje ramię! Stratowano je!

— Zwi;hnięte może — mruknął doktor. — Miejmy nadzieję, że nic gorszego. Niech mi pani pomoże, Lucy.

Pomogłam mu, jak umiałam, przy nałożeniu prowizorycznego opatrunku i unieruchomieniu ramienia za pomocą chustki. Młoda dziewczyna powstrzymała jęki, leżąc spokojnie i cierpliwie w ramionach Grahama.

— Jest bardzo lekka — rzekł — jak dziecko! Czy to dziecko? — zapytał mnie szeptem. — Mogłaby pani określić jej wiek, Lucy?

— Nie jestem już dzieckiem. Mam siedemnaście lat — odparła pacjentka spokojnie, ale z godnością. I wnet dodała: — Niech pan poprosi ojczulka, żeby przyszedł; jestem niespokojna o niego.

Powóz podjechał; ojciec młodej pacjentki uwolnił Grahama od jego ciężaru, przy przenoszeniu jej wszakże z jednych ramion w drugie urażone zostało cierpiące ramię. Jęknęła boleśnie.

— Kochanie moje! — szepnęła ojciec czule, po czym zwrócił się do Grahama: — Powiedział pan, że pan jest lekarzem?

— Tak. Pozwoli pan, że się przedstawię: doktor Bretton z La Terrasse.

59

— Jak to dobrze! Będzie pan łaskaw wsiąść z nami do powozu?

— Mam tutaj mój własny wehikuł, odzyskam go i pojedę w ślad za państwem.

— Proszę, bądź pan łaskaw. Hotel Crécycy przy Rue Crecy — wymienił swój adres.

Pojechaliśmy za nimi tak szybko, jak tylko mogliśmy nadążyć. Graham milczał podczas jazdy. Całe to wydarzenie wydawało się raczej romantyczną przygodą.

Straciliśmy trochę czasu na odszukanie własnego powozu i dlatego, pomimo popędzania koni, zajechaliśmy przed hotel Crécycy w jakieś dziesięć minut po dostaniu się do domu jego właścicieli. Był to hotel w znaczeniu francuskim: pałac, składający się z kilku budynków mieszkalnych, nie zaś hotel w znaczeniu domu zajezdnego. Główny gmach był obszerny, wysoki, z wielką, łukowato zakończoną bramą od strony ulicy. Z bramy wejściowej prowadziła sklepiona sień do czworokątnego wielkiego hallu.

Wysiedliśmy przed bramą, poszliśmy szerokimi, pięknymi schodami na górę i zatrzymaliśmy się na drugim piętrze przed drzwiami oznaczonymi numerem 2. Pierwsze piętro zajmował jakiś pńnce russe — księżę rosyjski — jak poinformował mnie Graham. Zadzwoniliśmy do imponujących, wielkich drzwi, które natychmiast otworzono i wprowadzono nas do wytwornie urządzonego apartamentu. Zaanonsowani przez służącego w liberii weszliśmy do

salonu. Na kominku płonął typowo angielski ogień, zaś ściany salonu zdobiły cudzoziemskie lustra. Przy kominku ujrzeliśmy grupę: drobna postać dziewczęca, tonąca w głębokim, miękkim fotelu, dwie uwijające się dokoła niej służące i znany nam już siwowłosy pan, wpatrzony z zaniepokojeniem w twarz córki.

— Gdzie Harriet? Chciałabym, żeby przyszła Harriet — odezwał się słaby głosik.

— Gdzie jest pani Hurst? — zniecierpliwiał się siwowłosy pan, zadając to pytanie gniewnym nieco głosem służącemu w liberii.

60

— Bardzo mi przykro, ale pani Hurst nie ma w Villette. Panienska dała jej przecież urlop do jutra.

— Tak. To prawda. Ja sama dałam jej urlop. Pojechała do swojej siostry. Powiedziałam, że może pojechać. Przypominam sobie teraz. Bardzo żałuję jednak, bo Manon i Louison nie rozumieją ani słowa z tego, co do nich mówię i urażają moje ramię, na pewno nie chcąc wcale go urazić.

Doktor John przywitał się z siwowłosym panem, a ja podczas ich parominutowego naradzania się podeszłam do fotela i, zorientowawszy się od razu, czego życzy sobie osłabiona i na wpół omdlała młoda dziewczyna, zrobiłam to dla niej.

Byłam nią zajęta, kiedy zbliżył się Graham. Równie sprawny chirurg, jak umiejętny internista, od razu, po bliższym zbadaniu ramienia, przekonał się, że jego znajomość chirurgii wystarczy w zupełności do leczenia tego przypadku. Przede wszystkim kazał przenieść pacjentkę do jej pokoju i szepnął do mnie:

— Droga Lucy, niech pani pójdzie z tymi kobietami — wydają się dość tępe, będzie pani mogła przynajmniej kierować ich poruszeniami, aby zaoszczędzić biednemu dziecku bólu. Należy przenieść ją bardzo ostrożnie.

Pokój młodej dziewczyny był sypialnią, nieco przyciemnioną bladoniebieskimi draperiami oraz cienkimi jak mgiełka muslinowymi firankami i zazdrostkami. Łóżko wyglądało jak utkane z puchów śnieżnych, białych i nieskalanych, miękkich i pajęczko zwiewnych.

Odsunawszy obie służące, rozebrałam ich młodą panią bez ich chętniej, ale niezdarnej pomocy. Nie miałam dość spokoju, aby móc zwrócić dostateczną uwagę na każdy szczegół ubrania, jakie z niej zdejmowałam, doznałam wszelako ogólnego wrażenia wykwintu, wysubtelnienia i ogromnej dbałości o swoją osobę, o swój strój i o całe swoje otoczenie. Cechy te ujawniały się zarówno w powierzchowności dziewczyny, jak i we wszystkim, co ją otaczało. Kiedy później miałam czas i możliwość zastanowić się nad tym, uderzył

61

mnie kontrast, jaki dostrzegłam pomiędzy toaletą młodej pacjentki a sposobem ubierania się panny Ginevry Fanshave.

Dziewczyna, którą miałam przed sobą, była mała i drobna, ale zbudowana modelowo. Szczesane z czoła pasma obfitych, cienkich i lśniących jak jedwab włosów odłoniły przede mną jej bladą, zmęczoną w tej chwili, ale niezrównanie arystokratyczną twarz. Czoło gładkie i jasne, brwi zakreślone nieskazitelnym łukiem, gęste i zanikające stopniowo ku skroniom, oczy wielkie, głębokie, zdające się wypełniać większą część twarzy, a w każdym razie górować nad poszczególnymi jej rysami. Twarz ta musiała być wyjątkowo wyrazista w normalnych warunkach, teraz wszakże była cierpiąca i wyczerpana. Cerę miała delikatną jak płatek kwiatowy; przez alabastrową skórę szyi i rąk przeświecały cienkie niebieskie żyłki. Pomimo tej dziecięcej nieomal delikatności wyglądu cechował ją wyraz dumy, ujawniony w sposobie patrzenia, w łukowatym odęciu warg — nie wiem czy wrodzonym i nieświadomym — gdybym jednak widziała go u niej po raz pierwszy w normalnym stanie jej zdrowia, uderzyłby mnie jako niczym nie usprawiedliwiony i świadczący o zupełnie fałszywym jej poglądzie na sprawy tego świata i na jej własny do nich stosunek.

Jej zachowanie podczas dokonywanych na chorym ramieniu zabiegów wzbudzało zrazu uśmiech; nie było dziecinne — raczej na ogół dość cierpliwe i stanowcze — parę razy wszakże zwróciła się do doktora Johna w sposób szorstki i opryskliwy, zarzucając mu, że sprawił jej ból i że winien starać się tego unikać. Widziałam także wielkie jej oczy utkwione w jego twarzy z wyrazem poważnego zdziwienia, z jakim zwykle patrzeć rozsądne, myślące dziecko. Nie wiem, czy Graham również to zauważył, ale jeśli nawet tak było, strzegł się zdradzenia nieostrożnym jakimś spojrzeniem, że zdaje sobie z tego sprawę. Uważałam, że swoje zadania wykonywał z niezmierną starannością i niezwykle łagodnością, usiłując możliwie zaoszczędzić pac-

62

jentce cierpienia. Doceniła to widocznie, albowiem po założeniu opatrunku rzekła tonem pełnym wdzięczności:

— Dziękuję panu, panie doktorze. Życzę panu dobrej nocy.

Mówiąc to, nie przestawała wpatrywać się w niego poważnie i badawczo. Ten poważny, skupiony wzrok wydał mi się dziwny i nawet trochę niestosowny.

Obrażenia, jakich doznała, nie były niebezpieczne. Ojciec pacjentki przyjął zapewnienie doktora Johna o tym z uśmiechem radosnym i tak pełnym szczerą szlachetności serca, że zdolny był zjednać nim każdego. Z tak ujmującą powagą wyraził Grahamowi swoją głęboką wdzięczność, jak tylko potrafi uczynić to angielski gentleman w stosunku do człowieka, który wyświadczył mu wielką przysługę, mimo że był mu zupełnie obcy. Poprosił zarazem doktora Johna o złożenie jego córce nazajutrz wizyty lekarskiej.

— Ojczulku — odezwał się głos spoza firanek łóżka — podziękuj i tej pani także. Czy jest jeszcze tutaj?

Odchyliłam z uśmiechem firankę i spojrzałam na leżącą. Znacznie spokojniejsza już teraz, wyglądała bardzo ładnie, mimo że wciąż jeszcze była blada; rysy miała wyjątkowo subtelne i o ile na pierwszy rzut oka twarz jej wydawała się wyniosła i dziwna, łagodził znacznie ten wyraz miły uśmiech, jaki przywarł do jej ust.

— Dziękuję tej pani bardzo serdecznie — rzekł ojciec dziewczyny. — Wyobrażam sobie, jak bardzo dobra była dla mojej córeczki. Myślę, że nie odważymy się powiedzieć pani Hurst, kto ją zastąpił i zrobił za nią to wszystko, co było właściwie jej obowiązkiem. Wiem, jak głęboko czułaby się zawstydzona i jak bardzo byłaby zazdrosna.

I tak, w najżyczliwszym nastroju, po wymianie przyjaznych pożegnań, po uprzejmym, ze względu na późną porę, odmówieniu przez nas zaofiarowanego nam gościnnie poczęstunku, opuściliśmy hotel Crécý.

W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy raz jeszcze obok teatru.

63

Ciemno tu już było i pusto: obłądnie cisnący się ku wyjściu, rozhukany tłum rozproszył się od dawna i znikł; zarówno światła, jak i drobny, niegroźny ogień zostały pogaszone i zapomniane. Nazajutrz dzienniki poranne wyjaśniły, że jedna z luźno zwisających draperii, na którą padła iskra — z papierosa prawdopodobnie — zajęła się, po czym wnet została zdeptana i ugaszona w ten sposób.

Rozdział IV Pan de Bassompierre

Ludzie żyjący w odosobnieniu, których istnienie upływa w zaciszu szkół czy innych zamkniętych zakładów, muszą być przygotowani na to, że ich przyjaciele i znajomi, obywatele szerszego, wolnego świata, łatwo wykreślają ich z pamięci. W sposób niewytłumaczony przeważnie, bezpośrednio po dłuższym okresie wyjątkowo częstego widywania się, sprawia przypadkowy splot drobnych, ale nieco podniecających okoliczności — których naturalnym wynikiem winno raczej być ożywienie niż zerwanie stosunków przyjacielskich — że następuje zupełne zawieszenie, absolutna cisza, długa pustka

zapomnienia. Nieprzerwana, nie wyjaśniona, nie dająca niczym usprawiedliwić się pustka. Listy, drobne przesyłki, dawniej tak częste, zostają zniesione; odwiedziny, ponawiane dawniej systematycznie, ustają całkowicie; nie nadchodzą już nigdy więcej książki, gazety czy inne dowody pamięci.

Istnieją zawsze tysięczne najsluszniejsze, zdawałoby się, uzasadnienia takiego stanu rzeczy, szkoda tylko, że nie może nic wiedzieć o nich odcięty od świata pustelnik. Ta wypełniona pustką przerwa, która trwa dla niego tak nieskończenie długo i przebiega tak powoli, że zegary zdają się wstrzymane, a godziny wloką się niby kroki piechurów znużonych długotrwałą wędrówką, wypatrujących już tylko kamieni wiorstowych, aby na nich wypocząć — ta sama przerwa obfituje może w wydarzenia i dyszy pośpiechem dla jego przyjaciół. Pustelnik — o ile jest rozsądny — puści w niepamięć własne myśli i zamknie na klucz swoje odczucia podczas tych tygodni pustki i mroźnej zimy swojej duszy. Będzie wiedział, że jego przeznaczeniem jest naśladować w pewnych warunkach susła, dostosuje

65

się też do tego: zwinie się w małą kulkę, wypełnie w jakąś dziurę w murze życiowym i ulegnie pokornie okolicznościom, które będą trzymały go w niej, zakonserwowanego w lodzie w ciągu miesięcy, a bodaj lat całych.

Radzę mu, aby przyznał w takich wypadkach, że „wszystko jest w porządku, że zupełnie zasłużył na to, co go spotyka i że tak być powinno widocznie, skoro tak jest”. Może przysypana śniegiem mogiła otworzy się pewnego dnia, może powróci miękkie tchnienie wiosny, a słońce i ciepły wiatr południowy swobodnie dotrą do niego; pączkowanie żywopłotów, śpiewy i szmery wyzwolonych z lodowych pęt strumyków zbudzą go miłośnie do zmartwychwstania. Możliwe, że tak właśnie ułożą się dla niego sprawy, możliwe jednak, że stanie się inaczej: zamróz przeniknie do głębi jego serca, które nigdy już nie odtaje, a kiedy nadejdzie wiosna, wydlubie z muru sroka czy wrona martwy, surowy jego szkielet jedynie. Ale nawet i w tym wypadku będzie wszystko w porządku: wiedział wszak od samego początku, że jest śmiertelny, będzie więc musiał kiedyś pójść tą samą drogą, jaką idą wszystkie istoty z ciała i kości. Prędzej czy później...

Po tym pełnym wydarzeń i wrażeń dniu bytności w teatrze nastąpiło dla mnie siedem tygodni jałowych i tak pustych, jak siedem czystych arkuszy papieru: ani jedno słowo nie było napisane na żadnym z nich; pustki tych siedmiu tygodni nie ożywiły żadne odwiedziny, żaden widzialny znak pamięci.

Mniej więcej w połowie tego czasu zaczęłam sobie wyobrażać, że coś musiało stać się z moimi przyjaciółmi z La Terrasse. W środku takiej długotrwałej pustki zwykły zasnuwać widnokrąg samotnika złowieszcze chmury: jego nerwy są boleśnie napięte od długiego daremnego wyczekiwania; wątpliwości, dotychczas odrzucane, gromadzą się teraz skłębione pod jego czaszką i tym silniejsze, im bardziej spiętrzone, osaczają go z siłą graniczącą nieomal z mściwością. Noc także staje się porą złowrogich myśli, nie dopusz-

66

czających błogosławieństwa snu; niesamowite wizje i walki wewnętrzne zatruwają spokój jego łoża; ponura orkiestra dręczących snów, z grozą czyhającej klęski i śmiertelnym lękiem pełnego osamotnienia na czele, przyłącza się do nieubłaganego grona jego prześladowców. Biedny nieszczęśnik! Czyni, co w jego mocy, aby pokonać te udręki, ale bez skutku: wbrew najlepszym jego usiłowaniom wysysają mu krew z żył, niszczą go duchowo i cieleśnie. Pod koniec tych okrutnych siedmiu tygodni pogodziłam się z myślą, której w ciągu poprzednich sześciu zazdrośnie do siebie nie dopuszczałam — z przeświadczeniem, że ta straszliwa pustka była nieunikniona, że była naturalnym wynikiem, ostatnim ogniwem długiego łańcucha okoliczności, spełnieniem wyroków losu, częścią mojego przeznaczenia

życiowego i, nade wszystko, sprawą, której przyczyn i źródła nie należy nigdy dociekać, na której bolesne skutki nie wolno utyskiwać ani sarkać.

Nie winiłam oczywiście siebie samej za moje cierpienia: miałam, chwała Bogu, zbyt wielkie poczucie sprawiedliwości, aby wpadać w niedorzeczną przesadę samooskarżeń. Jeśli chodzi o potępianie innych za ich milczenie, nie przychodziło mi nic podobnego na myśl: wiedziałam, że nie ciąży na nich żadna wina i z głębi serca uniewinniałam ich najzupełniej. Mimo to droga, jaką musiałam kroczyć, wydała mi się ciężka i kamienista, ponad moje siły, tęskniłam też z całej duszy za lepszymi dniami.

Próbowałam najrozmaitszych środków zapełnienia pustki i podtrzymania mojego istnienia: rozpoczęłam żmudną robotę kunsztownie wypracowanej koronki, z wielką pilnością uczyłam się języka niemieckiego, zabrałam się do stałego, regularnego czytania branych z miejscowego księgozbioru najgrubszych tomów o najbardziej suchej treści, i we wszystkich tych poczynaniach byłam tak wytrwała i niezłomna, jak to było stale moim zwyczajem. Czy obrałam fałszywą drogę? Nie mam pojęcia, to jedno wiem tylko, że wynik tych moich usiłowań był tak samo żaloszny, jak gdybym gryzła

67

stosy papieru, aby nasycić głód, albo piła słońną wodę morską, aby ugasić pragnienie.

Godziną najsrozszej udręki była pora przybycia listonosza. Na nieszczęście, znałam ją aż nadto dobrze, usiłując oszukiwać samą siebie równie żarliwie, jak daremnie. Śmiertelnie obawiałam się zarówno katuszy oczekiwania, jak rozczarowania, poprzedzających codziennie tę morderczą dla mnie godzinę i nieodmiennie następujących po niej.

Wyobrażam sobie, że zwierzęta przetrzymywane w klatce i żywione tak skąpo, że stale są okrutnie wygłodzone, oczekują chwili żywienia ich z równie żarłoczną pożądlivością, z jaką ja oczekiwałam przybycia listonosza i przyniesienia mi przez niego listu. O — jeśli mam wyznać prawdę i porzucić ton fałszywego spokoju, który zamiast podtrzymać, bardziej jeszcze wyczerpuje ludzką zdolność znoszenia udręk — doznawałam przez te siedem tygodni naj-srozszych obaw i cierpień, dręczącego zmagania się z samą sobą, nędznych zawodów nadziei, nie do zniesienia gorzkich rozczarowań, momentów bezbrzeżnej rozpacz, która przeszywała mnie na wskroś. Ale list, tak gorąco oczekiwany list, nie nadchodził, a był on wszak jedyną osłodą życia, jakiej mogłam się spodziewać.

W chwilach takich śmiertelnych zmagani szukałam wciąż od nowa pociechy w zawartości małej szkatułki, zamkniętej w szufladzie mojego pulpitu — w owych pięciu listach. Jak czarowny wydał mi się ów miesiąc, którego niebiosa widziały narodziny tych pięciu gwiazd! Otwierałam błogosławioną szkatułkę zazwyczaj o późnej godzinie, że zaś nie miałam odwagi prosić co wieczór o świecę w kuchni, kupiłam sobie stoczek woskowy i zapalki; każdego wieczoru, kiedy uczennice odrabiały lekcje na dzień następny, przekradałam się do sypialni na górę, gdzie raczyłam się tą prawdziwą dla mnie manną bożą. Nie syciła mnie ona jednak: wychudłam jak szczapa, podobna raczej do cienia niż do żywego człowieka. Nie byłam jednak chora.

68

Pewnego dnia, kiedy, jak zwykle, czytałam w sypialni późną porą, czując, że zatracam już możliwość czytania — listy wskutek nieustannego ich studiowania utraciły dla mnie cały smak i znaczenie; cenny kruszec rozdrabniał się w moich oczach na nikłe kruszynki, potęgujące gorycz rozczarowania — rozległ się nagle na schodach stuk pospiesznych drobnych kroków. Znałam dobrze kroki Ginevry Fanshave; była zaproszona do znajomych w mieście na obiad tego dnia i powróciła już widocznie, przybiegła więc tutaj, aby odłożyć do szafy swoją narzutkę i inne akcesoria stroju.

Tak. To była ona. Wpadła, strojna w jasną jedwabną suknię; szal opadał z jej ramion, a umiejętnie utrefione loki, na wpół rozpuszczone od wilgoci wieczornej, opadały ciężkimi, niedbałymi pasmami na obnażoną szyję. Wydawała się nie w najlepszym humorze.

— O, jaki idiotyczny wieczór: bezgranicznie głupi są ci ludzie! — zawołała na samym wstępie.

— Kto? Pani Cholmondeley i jej goście? O ile mi wiadomo, uważała pani zawsze jej dom za czarujący.

— Wcale nie byłam u pani Cholmondeley.

— Naprawdę? Zawarła pani świeże znajomości?

— Przyjechał mój wuj de Bassompierre.

— Wuj pani, pan de Bassompierre? Nie cieszy się pani? Przecież to pani ukochany krewny.

— Ani mi się śni: to wstrętny człowiek. Nienawidzę go!

— Dlatego że jest cudzoziemcem? Czy też z innych, równie ważnych powodów?

— Nie jest cudzoziemcem. Jest aż nadto Anglikiem. Stuprocentowym Anglikiem. Nie dalej niż przed trzema czy czterema laty nosił angielskie nazwisko. Ale jego matka była cudzoziemką, nazywała się de Bassompierre; po śmierci któregoś z członków rodziny z linii macierzystej wuj odziedziczył majątek zmarłego wraz z jego tytułem i nazwiskiem. Jest teraz wielką osobistością.

— I dlatego właśnie nienawidzi go pani?

69

— Wiem dobrze, co moja matka mówi o nim — nie jest moim rodzonym wujem, poślubił tylko siostrę mojej matki. Mama nie znosi go, utrzymuje, że zabił swoim postępowaniem ciotkę Ginevrę. Sprawia w istocie wrażenie niedźwiedzia. Spędziłam w jego domu wstrętny wieczór! Musi doznawać wyrzutów sumienia, patrząc na mnie: wszyscy u nas w domu utrzymują, że jestem jak dwie krople wody podobna do jego zmarłej żony, a mojej ciotki. Mama mówi, że podobieństwo między nami jest nie tylko uderzające, ale wręcz śmieszne.

— Była pani jego jedynym gościem?

— Czy byłam jedynym gościem? Tak. Prócz mnie była tylko moja mała kuzynka, nieznośne rozpieszczone stworzenie.

— Pan de Bassompierre ma córkę?

— Tak. Tak. Niech mnie pani nie zadręcza pytaniami. O, jaka jestem nieludzko zmęczona! Ziewnęła. Rzucając się bez ceremonii na moje łóżko, dodała:

— Jak się zdaje, Mademoiselle de Bassompierre o mało nie została zgnieciona, stratowana na miazgę przy okazji paniki w teatrze przed kilkoma tygodniami.

— O, naprawdę?! I mieszkają w pałacu przy Rue de Crécy?! — Justement — właśnie. Ale skąd pani wie o tym?

— Byłam tam.

— O, była pani?! Rzeczywiście? Widzę, że bywa pani wszędzie od pewnego czasu. Przypuszczam, że zabrała panią z sobą mama Bretton. Ona i szanowny eskulap mają entree libré — wolny wstęp — do pałacu Bassompierre'ów: jak się zdaje, „mój syn John” wezwany był jako lekarz do panny de Bassompierre z racji jej accident! O, wszystko to udawanie tylko i nic więcej! Nie wydaje mi się, ażeby miała być bardziej poturbowana, aniżeli zasługiwałaby na to za swoje nieznośne fupy. A teraz ani mama, ani synek nie wychodzą z „pałacowych komnat”. Słyszałam coś o „ich dawnej zażyłej znajomości”, o lichu wie jakich dawnych reminiscencjach. Wszyscy byli przeraźliwie idiotyczni!

70

— Wszyscy?! Mówiła pani przecież, że była pani jedynym gościem...

— Mówiłam tak? Naprawdę? Nic w tym zresztą dziwnego. Zapomina się łatwo o obecności starej kobiety i „jej chłopca”.

— Doktor Bretton i jego matka byli dzisiaj wieczorem u pana de Bassompierre?

— Tak! tak! W całej okazałości! A panna de Bassompierre bawiła się w gospodynię. Zarozumiała lalka!

W rozgoryczeniu i zapamiętaniu panna Fanshave bezwiednie zaczęła ujawniać głębsze przyczyny swojego przygnębienia. Jej dawny żarliwy wielbiciel zaprzestał zupełnie składać jej hołdy, otaczać ją atmosferą zachwytów i uwielbienia. Nie pomogła wypróbowana broń zalotności. Daremne były jej zabiegi. Próżnej, zepsutej powodzeniem dziewczynie zadano dotkliwy cios. Nie była w stanie strawić doznanej porażki. Leżała na moim łóżku, irytując się i złościąc niepomierne.

— Czy panna de Bassompierre jest już zupełnie zdrowa?

— Zdrowiusieńka! Zupełnie tak samo, jak ja i pani. To tylko kaprysy. Umyślnie udaje chorą, aby zwrócić na siebie uwagę młodego doktora i przykuć go do siebie. To wstrętne. Ale jeszcze wstrętniejszy jest widok starej Brettonowej, zmuszającej małą gąskę do odpoczywania na kanapie i powołującej się na to, że „mój syn John” zakazał swojej pacjentce wszelkiego podniecania się i przemęczania. Ohydne! Obrzydzenie budziła we mnie cała ta komedia!

— Nie wydawałoby się to pani komedią, gdyby przedmiotem uwagi i starań doktora i jego matki był kto inny: gdyby pani zajęła miejsce panny de Bassompierre.

— Jest pani tego pewna? Otóż oświadczam pani, że nienawidzę „mojego syna Johna”!

— „Mojego syna Johna”? Kogo określa pani w ten sposób? Matka doktora Brettona nie nazywa go tak nigdy.

71

— Jeśli nawet nie nazywa, to powinna go tak nazywać. Istny niedźwiedź, uczony błazen!

— Świadomie mówi pani nieprawdę. Mam już zresztą dość tego tematu. Żądam stanowczo, aby pani zechciała uwolnić moje łóżko i ten pokój od swojej obecności.

— Niepohamowana istoto! Spąsowiała pani z gniewu jak mak. Ciekawe dlaczego jest pani taka drażliwa a l'endroit du gros Jean? — na punkcie grubego Johna — „Joe Anderson! Mój Joe! Mój John!” Bardzo dystyngowane imię!

Dygocąc z oburzenia, którego nie mogłam ująć w słowa — niepodobna było przecież wdawać się w spory z tą pustogłową wietrznicą, z tą éma o opalonych już nieco skrzydełkach — zgasiałam woskowy stoczek, zamknęłam szufladę mojego pulpitu i wobec niechęci opuszczenia pokoju przez Ginevrę, wyszłam ja sama. Gi-nevra była zawsze dokuczliwie uszczypliwa, teraz wszakże stała się niemożliwie, nie do zniesienia skwaśniała.

Nazajutrz był czwartek, dzień na wpół rekreacyjny. Po śniadaniu ukryłam się w pierwszej klasie. Zbliżała się najgorsza dla mnie godzina — godzina nadejścia listonosza — której tak panicznie się bałam, oczekując jej zarazem w takim samym napięciu nerwów, w jakim nawiedzany przez wizje prześladowcze oczekuje ich ukazania się. Mniej niż kiedykolwiek wydawało się prawdopodobne, aby list mógł nadejść tego dnia; mimo iż powtarzałam to sobie nieustannie, nie byłam zdolna zapomnieć, że mogłoby to jednak nastąpić. W miarę zbliżania się tej chwili ogarniał mnie coraz większy niepokój, przewyższający nieomal wszystko, czego doświadczałam pod tym względem do owego dnia. Wiał wschodni zimowy wiatr. Od niedawna nauczyłam się poznawać kierunek i oddziaływanie wiatru, z którym zbratałam się w sposób niezrozumiały zupełnie dla ludzi normalnych i całkowicie zdrowych. Wichry północne i wschodnie wpływały na mnie fatalnie, potęgując niesłychanie wszelkie moje cierpienia, pogłębiając smutki. Wiatr południowy natomiast zdolny

72

był uspokajając i koić, zachodni — rozweselać czasem nawet, o ile, oczywiście, nie przynosił na swoich skrzydłach ciężkich chmur gradowych, które pozbawiały mnie wszelkiej energii i odwagi.

Mimo kąśliwego chłodu i mroku tego dnia styczniowego wybiegłam z klasy na dół bez kapelusza i popędziłam na sam koniec ogrodu; wśród obnażonych z liści krzewów błąkałam się w złudnej nadziei, że dzwonek listonosza zadźwięczy podczas mojej nieobecności, zbyt

daleki, abym mogła usłyszeć go stąd i że tym samym może zaoszczędzony mi będzie wstrząs, którego moje nerwy, zszarpane do cna nieustannie wbijającym się w nie ostrzem obłędnie natrętnej myśli, nie były już w stanie wytrzymać. Dlatego pozostałam w ogrodzie tak długo, jak tylko mogłam bez obawy zwrócenia uwagi Madame na moją nieobecność. Owinęłam głowę fartuchem i zatkałam sobie uszy w obawie podchwycenia nawet z tej odległości dręczącego dźwięku, pewna, że i tym razem nie przyniesie mi nic takiego, co mogłoby przerwać straszliwą dla mnie jałowość pustki. Zdecydowałam się wreszcie powrócić do pierwszej klasy, do której, jako że nie wybiła jeszcze dziewiąta, uczennice nie były wpuszczane. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się tu w oczy, była szeroka płaska biała plama na czarnym tle mojego biurka. Poczta przybyła podczas mojej nieobecności, a ja, będąc daleko, nie słyszałam dzwonka pocztowego. Rozyna była w mojej norce i, niby dobra wróżka, pozostawiła jasny ślad swojej obecności. Ta biała, jaśniejsza plama na czarnym blacie biurka była listem, prawdziwym, najprawdziwszym listem! Dostrzegłam to już z odległości trzech jardów, że zaś mogłam spodziewać się listu od jednego tylko człowieka na świecie, musiał to być list od niego właśnie — od nikogo innego. Więc jeszcze o mnie pamięta! Jak głęboką wdzięczność odczuło moje serce! Oblała je nowa gorąca fala życia.

Podszedłszy do biurka, pochyliłam się nad listem, wpatrzona w wypisane na kopercie litery, przejęta niewzruszoną nieomal nadzieją ujrzenia znanego charakteru pisma. Jakież było wszakże moje roz-

73

czarowanie, kiedy od razu uderzyły mnie znaki, jak mi się wydawało, zupełnie obce, nierówne bazgroły kobiece zamiast stanowczego, męskiego pisma. Pierwszą moją myślą było, że los jest dla mnie zbyt okrutny, syknęłam też głośno prawie:

— To okrucieństwo!

Przewyciężyłam jednak i ten ból także. Życie jest zawsze życiem bez względu na cierpienia, jakie powoduje, na ciosy, jakie zadaje: oczy nasze, uszy i użytek, jaki dano nam z nich robić, domagają się zastosowania ich w każdej okazji, chociażbyśmy nie mieli spodziewać się żadnej przyjemności z tego, co zobaczymy i usłyszymy.

Otworzyłam list, którego pismo zdołałam po chwili już rozpoznać, jako znane mi od dawna. List pisany był z La Terrasse i brzmiał, jak następuje: „Droga Lucy.

Mnie przypada troska dowiedzenia się, co działo się z tobą w ciągu ubiegłego miesiąca, a może nawet dwóch miesięcy. Ani przez jedną chwilę nie przychodzi mi na myśl przypuszczać, abyś miała mieć jakiegokolwiek trudności w zdaniu sprawy z tego, co porabiasz i co porabiałaś przez ten cały czas. Jestem pewna, że byłaś tak samo zajęta i zadowolona, jak my w La Terrasse. Co się tyczy Grahama, zakres jego zajęć i obowiązków zawodowych rozszerza się z każdym dniem: tak bardzo jest poszukiwany, tak zavalony pracą, że obawiam się — i mówię mu to — aby nie wzrósł z tego powodu w pychę, nie stał się bardzo zarozumiały. Jako dobra i rozumna matka, którą jestem, robię co mogę, aby nie dopuścić do tego; nie słyszy nigdy ode mnie, jak ci zresztą dobrze wiadomo, ani jednego pochlebnego słowa. A przecież, moja Lucy, pyszny z niego chłopak; serce jego matki skacze z radości na myśl o nim. Po odbyciu mnóstwa pilnych zawsze wizyt lekarskich, po zmaganiu się z najrozmaitszymi kapryсами i humorami pacjentów, po zwalczeniu setek najdziwniejszych przesądów i uprzedzeń, a czasem patrzeniu na

74

okrutne cierpienia — może tu i ówdzie, jak zarzucam mu, zadawaniu ich — wraca wieczorem do domu, do mnie, w tak miłym, serdecznym usposobieniu, że naprawdę mam wrażenie, jakby życie moje upływało w rodzaju moralnych antypodów, i w te wieczory styczniowe wschodzi dla mnie dzień, wtedy gdy dla innych zapada już noc.

Mimo to chłopak musi być trzymany w ryzach, karcony i powściągany, bynajmniej też nie skąpię mu tej przysługi. Taki jest jednak giętki, tak umie wyślizgiwać się, że nie istnieje możliwość prawdziwie zniecierpliwic go. Ilekroć wydaje mi się, że zmiażdżyłam go do cna, spręza się i odwzajemnia mi się żartami i kpinkami, ale ty, Lucy, znasz przecież dobrze jego samego i wszystkie jego niegodziwe sztuczki, głupia też ze mnie starucha, że czynię z niego główny temat tego listu.

Co się tyczy mnie samej, miałam tutaj odwiedzinę mojego agenta z Bretton, byliśmy więc oboje pogrążeni po uszy w rozważaniu spraw handlowych. Tak bardzo pragnęłabym odzyskać dla Grahama bodaj część tego, co pozostawił mu jego ojciec. Chłopak śmieje się z moich usiłowań w tym kierunku; mówi, że powinnam jemu pozostawić troskę o utrzymanie własne i moje także, i dopytuje się, czego jego «starszej pani» może jeszcze brakować. Wspomina o błękitnych jak niebo toczkach, pomawia mnie o ambicje obwieszania się brylantami, utrzymywania służby liberyjnej, posiadania pałacu, zadawania szyku i służenia za wzór elegancji dla całego klanu angielskiego w Villette.

Mówiąc o błękitnych jak niebo toczkach, żałuję, że nie mogłaś być razem z nami ostatniego wieczoru. Graham powrócił do domu bardzo zmęczony i, po wypiciu herbaty, wyciągnął się ze zwykłym swoim zuchwalstwem na moim fotelu. Ku wielkiemu mojemu zachwytowi uciął od razu smaczną drzemkę. (Pamiętasz, jak droczył się ze mną zawsze o moje zasypianie: ze mną, która nigdy, w żadnym wypadku, nie potrafię zasnąć za dnia!) Kiedy tak patrzyłam

75

na niego śpiącego, wydał mi się bardzo ładny — głupia jest ta moja duma z niego! — kto jednak mógłby nie być dumny z takiego chłopca? Pokaż mi drugiego takiego jak on! Wypatruję oczy na wszystkie strony, nie mogę jednak znaleźć w całym Villette nikogo, kto mógłby mu dorównać. Otóż, wpadło mi na myśl urządzić mu kawał: przyniosłam mój błękitny jak niebo toczek i jak najostrożniej przystroiłam jego głowę w tę wspaniałą damską ozdobę. Zapewniam cię, że było mu w niej wcale do twarzy; wyglądałby zupełnie jak wschodni basza, gdyby nie miał takiej jasnej cery. Nikt jednak nie mógłby zarzucić mu teraz, że ma rude włosy — są prawdziwie kasztanowe — koloru ciemnego, lśniącego kasztana, a kiedy w dodatku zarzuciłam na niego mój wielki szal kaszmirowy, wyglądał jak najpiękniejszy, jakiego można wymarzyć, młody zaimprovizowany dej, bej czy basza. Zabawa była przednia; szkoda, że korzystałam z niej tylko ja, że nie było ciebie tutaj ze mną, moja Lucy.

Po pewnym czasie zbudził się mój wschodni władca: lustro, wiszące nad kominkiem, ujawniło mu od razu metamorfozę, jaka dokonała się w jego wyglądzie, możesz więc łatwo wyobrazić sobie, w jak nieustannym strachu żyję odtąd przed zemstą, jaka czeka mnie z jego strony.

Czas już jednak najwyższy przystąpić do głównego zadania tego listu. Wiem, że czwartek jest dniem na w pół rekreacyjnym w Zakładzie Wychowawczym przy Rue Fossette; bądź gotowa na piątą po południu, bo o tej godzinie zajedzie po ciebie nasz wehikuł, aby przywieźć cię do La Terrasse. Nie zrób mi tylko zawodu: spotkasz się u nas może z dawnymi znajomymi. Bądź zdrowa, moja rozsądna, droga, poważna mała chrześniaczko. Do widzenia. Twoja całym sercem

Luiza Bretton".

O, list taki jak ten przywraca człowiekowi chęć do życia! Nie rozweseliłam się może od razu po przeczytaniu, znacznie się jednak

76

uspokoila; jeśli nawet list ten nie rozproszył mojego smutku, przyniósł mi w każdym razie znaczną ulgę. Dowiedziałam się, że moi przyjaciele przynajmniej są zdrowi i zadowoleni: żaden nieszczęśliwy wypadek nie przytrafił się Grahamowi ani choroba nie dotknęła jego

matki — nie spadła na nich żadna z klęsk, których tak się obawiałam. Ich uczucia dla mnie również nie uległy zmianie — pozostawały w dalszym ciągu takie, jakie były uprzednio. A przecież, jaki uderzający kontrast stanowił sposób spędzenia tych siedmiu tygodni przez panią Bretton w zestawieniu z tymi samymi siedmioma tygodniami, spędzonymi przeze mnie! Jak rozsądnie postępują ludzie znajdujący się w wyjątkowym położeniu, jeśli umieją trzymać język za zębami i nie spieszą się ujawniać światu, jak bardzo to wyjątkowe położenie poi ich żółcią! Świat względnie łatwo rozumie możliwość ginięcia z głodu z powodu braku pożywienia, niewielu jednak znajdzie się ludzi zdolnych pojąć i odczuć przeżycia tych, których osamotnienie i odcięcie od wszystkiego doprowadza do szału. Przyglądają się wypuszczonemu na wolność po długotrwałym odosobnieniu więźniowi, który zidociał zupełnie albo stał się maniakiem, człowiekiem pozbawionym normalnych władz umysłowych. Nerwy jego, zrazu podniecone, wzburzone, przechodziły niewysłowione katusze, aż wreszcie załamały się całkowicie, dotknięte bezwładem. Wszystko to jest sprawą zbyt powikłaną i trudną, aby można było ją zbadać, zbyt niezwykłą i oderwaną, zbyt mało dostępną dla przeciętnego umysłu, aby szersze koła były zdolne ją zrozumieć i wnikać w nią. Próbuje mówić o tym! Moglibyście z równym skutkiem stanąć na pierwszym lepszym placu targowym któregoś z miast europejskich i wygłaszać mętne kazania w nastroju i języku, jakim Nabuchodonozor, ów cesarski hipochondryk, porozumiewał się z oszołomionymi Chaldejczykami. Długo jeszcze rzadkim zjawiskiem pozostaną umysły owych nielicznych, dla których podobne sprawy są niezbadaną tajemnicą i którzy zdolni są wczuć się w przeżycia nieszczęsnych, samotników. Długo

77

może jeszcze będzie utrzymywało się przekonanie, że tylko fizyczne klęski i braki zasługują na prawdziwe, czynne współczucie i że wszystko inne jest jedynie czczym wymysłem. Kiedy świat był młodszy i zdrowszy, niż jest dzisiaj, przeżycia moralne były jeszcze głębszą tajemnicą: w całym królestwie izraelskim znajdował się może jeden tylko Saul — na pewno zaś jeden tylko Dawid, zdolny zrozumieć go i ukoić.

Chłodna, ale bezwietrzna, spokojna aura poranku ustąpiła w późniejszej porze dnia miejsca ostrym poświstom wichru, wiejącego z pustynnych równin rosyjskich: zimna strefa wzięła górę nad umiarkowaną, od razu ścinając wszystko mrozem. Ciężkie zwały śnieżne pędziły ze wschodu i z północy, zaścielając położone bardziej na południe i zachód kraje Europy. W porze popołudniowej rozsrożyła się tak niepomierne gwałtowna śnieżycą, że zachodziła obawa, czy możliwe będzie przysłanie po mnie powozu. Mogłam jednak zaufać mojej chrzestnej matce. Zaprosiłszy mnie, zrobi co tylko będzie w jej mocy, aby sprowadzić swojego gościa. Istotnie też około szóstej wysiadłam z powozu i stanęłam na pokrytych już grubą warstwą śniegu stopniach wejściowych chateau i wprowadzona zostałam do La Terrasse.

Wbiegłszy przez hall na piętro, do salonu, zastałam panią Bretton, promienną niby letni dzień. Gdybym była dwa razy bardziej zziębnięta, niż byłam w istocie, jej serdeczny pocałunek i uścisk wystarczyłyby niewątpliwie, by mnie rozgrzać. Przywykłam od dłuższego czasu do pokojów z niczym nie okrytymi podłogami z desek, do ciemnych ławek, czarnych tablic, pulpity i pieców, toteż niebieski salon wydał mi się szczególnie wspaniały. Już sam ogień na kominku, przypominający Boże Narodzenie, olśnił mnie swoim jasnym, szkarłatnym płomieniem.

Po przytrzymaniu przez krótką chwilę mojej ręki i pogawędzeniu ze mną matka chrzestna wyłajała mnie za to, że zeszczuplałam od czasu naszego ostatniego widzenia, a zauważywszy, że wicher

78

potargał mi włosy, posłała mnie na drugie piętro, do dawnej mojej sypialni, abym przyglądziła je i zdjęła szal.

W moim dawnym miłym pokoju, utrzymanym w zielonkawej barwie wody morskiej, zastałam również suty ogień na kominku i pozapalane światła: dwie wysokie świece woskowe ustawione były po obu stronach wielkiego lustra, przed lustrem wszakże stała, ubierając się, zwiewna istotka, niby z bajki — drobna, szczupła, biała, istny duszek zimowy.

W pierwszej chwili przyszedł mi na myśl Graham i jego teoria omamów wzrokowych. Nieufnym spojrzeniem ogarnęłam szczegóły tej nowej wizji, tchnącej trudnym do opisanie wdziękiem. Miała na sobie białą, z lekka usianą szkarłatnymi kropkami suknię przepasaną pasową szarfą; na jej lśniących włosach upięty był zręcznie wianuszek z liści bluszczowych. Bez względu na to, czy była to zjawą, czy nie, nie miała w sobie nic upiornego ani przejmującego grozą; śmiało podeszłam do niej.

Zwróciwszy się nagłym ruchem w moją stronę i utkwivszy we mnie szeroko rozwarte, zaciekawione oczy, ocienione długimi ciemnymi rzęsami, zawołała cichym, łagodnym głosem, uśmiechając się przy tym przyjaźnie:

— O, przybyła pani nareszcie!

Poznałam ją natychmiast. Kto raz widział tę twarz o wyrzeźbionych najdelikatniejszym dłutem rysach, nie mógł jej nie poznać.

— Panna de Bassompierre! —zawołałam.

— Nie — odparła — dla pa ni nie panna de Bassompierre. Nie pytając, kim mogłaby być dla mnie, jeśli nie panną de

Bassompierre, czekałam cierpliwie na udzielenie mi przez nią odpowiedniej informacji.

— Zmieniła się pani, poznaję panią jednak; jest pani zawsze ta sama — rzekła, podchodząc ku mnie bliżej. — Pamiętam panią dobrze, pani ruchy, kolor włosów, rysy i owal twarzy...

Zbliżyłam się do kominka, ona zaś stała naprzeciwko mnie,

79

wpatrzona wnikliwie w moją twarz, coraz bardziej zamyślona, ożywiona coraz cieplejszym uczuciem, aż wreszcie mgiełka łez przysłoniła jej wzrok.

— Chce mi się płakać na wspomnienia dawnych lat. Nie byłyby to jednak łzy smutku czy sentymentalnego roztkliwienia. Jestem, wręcz przeciwnie, rada, bardzo rada...

Zaciekawiona, niezdolna wszakże połapać się w dziwnej sytuacji, nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, wreszcie po dłuższej chwili wyjąkałam:

— Wydaje mi się, że nigdy nie zetknęłam się z panią aż do owego wieczoru sprzed kilku tygodni, kiedy to odniosła pani obrażenia...

Uśmiechnęła się.

— Zapomniała więc już pani zupełnie, że siadywałam na jej kolanach, że nosiła mnie pani na rękach, a nawet dzieliła pani ze mną swoją poduszkę? Zapomniała już pani o owym wieczorze, kiedy, jako płaczące rozkapryszone dziecko, przyszłam do pani łóżka, a pani wzięła mnie do siebie i utuliła serdecznie? Nie zachowała się w pani pamięci ulga i ukojenie, jakie spłynęły z dobroczynnych rąk i ust pani na prawdziwie, głęboko cierpiące dziecko? Niech pani zechce cofnąć się myślą do Bretton i przypomni sobie pana Hote'a.

Przejrzałam wreszcie. Zrozumiałam wszystko.

— Więc to pani jest ową małą Polly?

— Nazywam się Paulina Maria Home de Bassompierre.

Jakie głębokie zmiany powoduje czas! W drobnych, acz przedziwnie regularnych rysach małej Polly, w jej ruchliwej, łatwo zmieniającej wyraz twarzyczce tkwiła już zapowiedź przyszłego wdzięku; twarz jej obiecywała być szczególnie interesująca. Ale Paulina Maria de Bassompierre wyrosła na piękną młodą dziewczynę, nie uderzającym może od razu oczu wszystkich pięknem róży, pięknem krągłych, pełnych kształtów ani także białoróżową cerą i złocistością włosów jej kuzynki, Ginevry. Jej siedemnasta wiosna przyozdobiła

80

ją subtelnym czarem, nie polegającym na świetności karnacji, mimo że cera jej była jasna i przejrzysta; ani też na klasycznej regularności i harmonijności kształtów, jakkolwiek miała s'liczne rysy i nieskazitelnie kształtne ręce i nogi, ale raczej na promienności jej duszy, jaśniejącej z całej jej powierzchowności. Nie była to czara nieprzejrzysta z cennego kruszcu, ale lampa prześwietlona od wewnątrz s'wiatłem nieskalanym, osłaniająca dziewiczy płomień życia przed zdmuchnięciem go, nie ukrywająca go wszakże przed wielbieniem i składaniem mu hołdów. Mówiąc ojej powabach, nie widzę potrzeby dobierania przesadnych określeń, faktem jest jednak, że były one w moim pojęciu bardzo istotne i zniewalały dla niej serca. Była zbyt drobna, aby mówić o niej jako o istocie doskonale pięknej, czarowała wszakże wytwornym wdziękiem białego fiołka, górującym nad pięknem najwspanialszej kamelii, najświetniejszej dalii, jakie zakwitły kiedykolwiek.

— O, pamięta pani dawne czasy w Bretton?

— Lepiej — odparła — lepiej może niż pani. Pamiętam każdy najdrobniejszy szczegół; zapamiętałam nie tylko cały czas mojego pobytu tam, ale każdy poszczególny dzień, każdą godzinę dnia.

— Musiała pani jednak zapomnieć wiele rzeczy.

— Bardzo niewiele, przypuszczam.

— Była pani wtedy bardzo wrażliwą małą istotką, łatwo zmieniającą nastroje i odczucia; takie to już dawne czasy, że, dorósłszy, musiała pani z natury rzeczy zapomnieć o radościach i smutkach, o przywiązaniach i rozczarowaniach sprzed dziesięciu lat...

— Przypuszcza pani, że zapomniałam o tych, których kochałam, że zapomniałam, jak bardzo ich kochałam, będąc dzieckiem?

— Ostrość odczuć musiała złągodnieć — zatrzeć się nawet musiała głęboka pieczęć, jaką wryły one na dziecięcym umyśle.

— Nie umiem na to odpowiedzieć, wiem tylko, że zachowałam w żywej pamięci wszystko, co dotyczy owych dni.

Sprawiała takie wrażenie, jak gdyby rzeczywiście zapamiętała

81

wszystko. Oczy jej promieniały wyrazem istoty, która nie umie zapominać, istoty, dla której wspomnienia dzieciństwa nie rozwiały się jak sen i której młodość nie przemija bez śladu. Nie brała na pewno życia powierzchownie i bezmyślnie, nie wiążąc przeżytych okresów w jedną całość; nie pozwalała jednej porze roku, jednemu sezonowi towarzyskiemu zatracać się w niepamięci, z chwilą gdy rozpoczynał się następny. Nanizywała na sznurek wspomnień wszystkie po kolei, przebiegając często myślą każdy okres od początku i w ten sposób, w miarę rozwoju i dojrzewania, gromadząc trwale i harmonijnie wspomnienia i przeżyte doznania.

Mimo to nie mogłam oswoić się z myślą, aby wszystkie obrazy, stłoczone teraz w mojej pamięci, miały być dla niej równie żywe i wyraźne. Jej tkliwe przywiązanie, jej gry sportowe i zabawy, walki i spory z ukochanym towarzyszem, cierpliwe, szczere oddanie jej dziecięcego serduszka, jej obawy, taktowna powściągliwość i przezorne trzymanie się z dala, jej drobne przeżycia, zawody i smutki, ostatni przejmujący ból rozstania... Cofnęłam się myślą do tego wszystkiego i potrząsnęłam nieufnie głową. Ona jednak upierała się przy swoim.

— Dziecko siedmioletnie żyje w dalszym ciągu w siedemnastoletniej dziewczynie — rzekła.

— Niezmiernie lubiła pani panią Bretton — zaczęłam, chcąc ją wypróbować. Od razu jednak wyprowadziła mnie z błędu.

— Nie niezmiernie — rzekła. — ■ Lubiłam ją i szanowałam, tak samo jak lubię i szanuję ją teraz. Wydaje mi się bardzo mało zmieniona.

— Nie zmieniała się w istocie — przyznałam. Milczałyśmy przez kilka chwil. Rozejrzawszy się po pokoju,
dodała:

— Widzę tutaj niektóre sprzęty, przywiezione widocznie z Bretton. Pamiętam, że były tam. Zapamiętałam zwłaszcza tę podu-szczkę do szpilek i to lustro.

82

Jej ocena własnej pamięci była, jak się okazało, zupełnie usprawiedliwiona, przynajmniej o ile dotyczyła rzeczy materialnych.

— Wydaje się więc pani, że poznałaby panią Bretton? — badałam w dalszym ciągu.

— Doskonale ją zapamiętałam: jej rysy, oliwkowy odcień cery, czarne włosy, wzrost, chód, ruchy i głos.

— O zapamiętaniu doktora Brettona — dodałam — nie mogło oczywiście być mowy. Wobec tego, że byłam obecna przy waszym ponownym spotkaniu, mogę stwierdzić, że wydał się pani człowiekiem zupełnie obcym.

— Owego pierwszego wieczoru byłam oszołomiona, ale i zdumiona zarazem — odparła.

— W jaki sposób nastąpiło ponowne poznanie jego i ojca pani?

— Wymienili bilety wizytowe. Nazwiska i imiona: „Graham Bretton” i „Home de Bassompierre” dały powód do wzajemnego zadawania pytań i udzielania wyjaśnień. Było to zaraz nazajutrz po owym wypadku w teatrze. Jeszcze przed tym jednak zaczęłam coś wyczuwać.

— Jak to — wyczuwać?!

— O — odparła — jakie to dziwne, że większość ludzi z taką trudnością wyczuwa istotę rzeczy. W czasie paru wizyt lekarskich, jakie złożył mi doktor Bretton, który przy tej sposobności siedział przy mnie i rozmawiał ze mną, miałam możność przyjrzenia się jego sposobowi patrzenia i wyrazowi twarzy, układowi ust, kształtowi podbródka, pochyleniu głowy przy mówieniu, słowem wszystkim, co uderza nas w osobach, z którymi się stykamy. Czy mogłam, drogą narzucającego się samo przez się kojarzenia myśli, nie przypomnieć sobie Grahama Brettona? Graham był szczuplejszy niż doktor Bretton i nie taki wysoki, miał gładszą twarz, dłuższe i jaśniejsze włosy; nie mówił także głosem tak głębokim, ale raczej podobniejszym do głosu dziewczęcego, a jednak jest on Grahamem, zupełnie tak samo, jak ja jestem małą Polly, a pani jest Lucy Snowe.

83

Byłam zupełnie tego samego zdania, zdziwiła mnie jednak nasza jednomyślność w tym względzie: istnieją sprawy, co do których tak rzadko spotykamy się z sądem identycznym jak nasz, że kiedy wydarza nam się coś podobnego, jak w tym wypadku, uważamy to za cud.

— Pani i Graham byliście niegdyś towarzyszami zabaw?

— I pani również zapamiętała to? — zapytała Paulina z kolei.

— Nie wątpię, że i Graham także zapamiętał — odparłam.

— Nie pytałam go o to; niewiele istnieje rzeczy, które zdziwiłyby mnie bardziej, aniżeli przekonanie się, że zapamiętał. Przypuszczam, że jest zawsze po dawnemu wesoły i beztroski?

— Czy było tak dawniej? Uderzyło to panią już wówczas? Takim właśnie zapamiętała go pani?

Pamięć moja nie umiałaby odtworzyć go sobie innym. Miewał okresy wielkiej pilności; inne znów, kiedy bywał bardzo wesoły; niezależnie jednak od tego, czy był w danej chwili bardziej usposobiony do nauki, czy do zabawy, zajmował go nade wszystko przedmiot jego chwilowego upodobania: książki lub gra. Niewiele liczył się wówczas z tymi, z którymi pospołu zajęty był czytaniem czy zabawą.

— Panią jednak wyróżniał zawsze.

— Wyróżniał mnie?! O, nie, miał poza mną innych jeszcze towarzyszy zabaw—swoich kolegów szkolnych. Nie znaczyłam dla niego wiele, z wyjątkiem niedziel: tak, w dni niedzielne bywał szczególnie uprzejmy dla mnie. Pamiętam, że chodziliśmy razem, trzymając się za ręce, do kościoła św. Marii, a on wyszukiwał mi i wskazywał odpowiednie ustępy w mojej książce do nabożeństwa. A jaki dobry i spokojny bywał w niedzielne wieczory! Zbyt łagodny jak na tak żywego, dumnego chłopca! Taki cierpliwy i wyrozumiały na wszystkie moje błędy w czytaniu. Jak cudownie było móc zawsze liczyć na jego towarzystwo: nigdy nie spędzał niedzielnych wieczorów poza domem. Obawiałam się zawsze, że przyjmie jakieś zapro-

84

szenie i opuści nas. Nigdy jednak nie robił tego; zdawał się nie mieć nigdy chęci do wyjścia z domu w niedzielę. Teraz, oczywiście, jest na pewno inaczej. Przypuszczam, że niedziela jest dla doktora Brettona dniem obiadowania poza domem...

— Zejdźcie na dół, dzieci — zawołała pani Bretton. Paulina ociągałyby się jeszcze z zejściem, nakłoniłam ją jednak do usłuchania wezwania pani Bretton. Zeszliśmy.

Rozdział V Mała hrabianka

Pomimo wesołego z natury usposobienia mojej matki chrzestnej i jej usilnych starań, żeby nas zabawić, ten wieczór w La Terrasse nie był szczególnie wesoły, dopóki poprzez dzikie poświsty zimnego wichru nie doszło uszu naszych skrzywienie kół i tętent kopyt końskich. Jak często serca i wyobrażenia kobiet i dziewcząt, siedzących w przytulnym ciepłe kominka, odrywają się od otaczającego je miłego spokoju, wędrują daleko poprzez ciemność nocy, poprzez szarugi, wichry i śnieżne zawieje, wyczekują u wrót samotnie podczas najsroźszej burzy, aby towarzyszyć w myśli przynajmniej ojcu, mężowi czy synowi, których obowiązki zawodowe trzymają w takie noce poza domem!

Ojciec i syn powrócili wreszcie do chateau: tego wieczoru hrabia de Bassompierre towarzyszył doktorowi Brettonowi. Nie wiem, która z naszej trójki pierwsza dosłyszała tętent kopyt końskich: gwałtowność zawiei śnieżnej była aż nadto wystarczającym usprawiedliwieniem naszego zbiegnięcia pędem na dół do hallu na spotkanie i powitanie obu przybyszy, którzy nie pozwolili nam jednak zbliżyć się do siebie — wyglądali obaj jak chodzące góry śnieżne. Pani Bretton kazała im, oczywiście, wejść najpierw do kuchni, ostrzegając ich, pod grozą najsurowszych kar, aby nie wazyli się stąpnąć krokiem na wyłożone dywanem pasadzki, dopóki nie otrzepią się dokładnie z puszystego białego nalotu, który ucharakteryzował każdego z nich na zrobionego najdoskonalej świętego Mikołaja. Towarzyszyliśmy im naturalnie do kuchni, typowo holenderskiej, jasnej, obszernej i bardzo przyjemnej. Mała biała hrabianka tańczyła i uwijała się dokoła nie mniej białego swojego papy, klaszcząc w ręce i wołając:

86

- Ojczulku, ojczulku, wyglądasz jak ogromny niedźwiedź polarny!

Niedźwiedź otrząsnął się, obryzgując hrabiankę, która uciekła czym prędzej od mroźnego natrysku. Wnet jednak powróciła ze śmiechem, aby dopomóc ojcu w uwolnieniu się od podbiegunowego przebrania. Hrabia, wyluskawszy się wreszcie ze swojego spowicia, zagroził córce zrzuć na nią całą lawinę.

— Zrzuć, ojczulku! — zawołała nachylając się, niby dla podstawienia głowy pod lawinę, w momencie jednak, kiedy miała spaść na nią, uskoczyła w bok, zręcznie jak młoda sarenka. Ruchy jej miały giętką miękkość i aksamitny wdzięk kotki, śmiech jej dźwięczał bardziej metalicznie niż odgłos srebrnych dzwoneczków, czyściej niż brzęk potrąconego kryształu. Kiedy, ująwszy w maleńkie dłonie lodowato zimne ręce ojca, rozcierała je i wspięła się na palcach, aby sięgnąć po pocałunek, zdawała się jaśnieć dokoła niej aureola miłostnego upojenia. Poważny, czcigodny rodzic patrzył na nią takim wzrokiem, jakim mężczyźni zwykli patrzeć na istoty, które są ich oczkiem w głowie.

— Niech mnie pani nauczy, droga pani Bretton, co mam robić z tą moją córką czy raczej z tym moim projekciem na córkę! Nie przybywa jej ani rozumu, ani wzrostu. Nie uważa pani, że została prawie takim samym dzieckiem, jakim była dziesięć lat temu?

— Nie jest bardziej dzieckiem niż ten mój dryblas — odparła pani Bretton, spierając się właśnie z synem w kwestii zmiany stroju, uważanej przez nią za wskazaną, odrzucanej wszakże uparcie przez niego. Stał oparty o holenderski kredens, śmiejąc się i nie dopuszczając matki do siebie.

— Zgódź się na kompromis, mamó — rzekł wreszcie — i pozwól nam najpierw rozgrzać się, zarazem wewnątrz i zewnątrz, napić się tutaj w kuchni czegoś mocnego za pomyślnie Boże Narodzenie i wznieść toast na cześć Starej naszej Anglii.

Gdy więc hrabia grzał się przy kominku, a Paulina Maria uwi-
87

jała się radośnie dokoła niego, tańcząc jak sylfida po obszernej, niby hall, kuchni, pani Bretton osobiście dawała wskazówki Marcie, jak odpowiednio zaprawić korzeniami grog. Parujący płyn, po przelaniu go do herbowej flaszki Brettonów, podano obu panom po kolei w tym samym srebrnym naczyniu, w którym rozpoznałam chrzcinowy kubek Grahama.

— To na cześć Auld Lang Syne — rzekł hrabia, podnosząc w górę kubek. A potem, zwróciwszy się do pani Bretton, wypowiedział swój toast starym szkockim narzeczem.

— Po szkocku, po szkocku! — zawołała Paulina. — Ojczulek mówi po szkocku! Sam jest Szkotem po części. Nazywamy się Home i de Bassompierre, jesteście Kaledończykami i Szkotami zarazem.

— A czy to jest szkocki taniec, który tańczysz, mała czarodziejko z Highlands? — zapytał ją ojciec. — Tylko patrzeć, Mrs. Bretton, jak w samym środku pani kuchni utworzy się zielony kołowrót. Nie mogę wcale ręczyć za tego skrzata — dziwne z niej stworzonko.

— Poprosz ojczulku Lucy Snowe, żeby zatańczyła ze mną. Wiesz? To Lucy Snowe!

Pan Home — tyleż w nim było zwykłego, skromnego pana Home'a, ile dumnego hrabiego de Bassompierre — wyciągnął do mnie rękę, zapewniając uprzejmie, że doskonale mnie pamięta. Gdyby nawet jego własna pamięć miała go zawieść, córka tak często powtarzała moje imię, że musiał je zapamiętać. Tak często moje imię i nazwisko obijało się o jego uszy, tyle słyszał z ust Polly opowiadań

o mnie, że muszę z konieczności wydawać mu się dobrą znajomą.

Wszyscy po kolei pokosztowaliśmy gorącego grogu, z wyjątkiem Pauliny, której pas de fee — taniec czarodziejki — ou de fantaisie — czy fantastyczny — był zbyt uroczy, aby ktokolwiek śmiał go przerwać zaproponowaniem jej tak pospolitego napoju.

1 Highlands — górską okolicą północnej Szkocji. 88

Ona sama wszakże upomniała się o należną sobie porcję zwykłej śmiertelniczki.

— Proszę dać mi skosztować — zwróciła się do Grahama, który zamierzał odstawić kubek na półkę kredensu, zbyt wysoko, aby mogła sama sięgnąć po niego.

Pani Bretton i pan Home zajęci byli teraz rozmową. Uwagi doktora Johna nie uszedł czarodziejski taniec: przyglądał mu się, wyraźnie zachwycony. Pomijając już wdzięk i piękno ruchów dziewczyny, przyciągających jego wzrok, zachwycało go swobodne zachowanie Polly w domu jego matki, ułatwiające zarazem sytuację jemu samemu. Ponownie wydała mu się dzieckiem, dawną towarzyszką z aw. Ciekawa byłam, w jaki sposób będzie z nią rozmawiać; dotychczas nie słyszałam, żeby zwracał się do Pauliny bezpośrednio, ale już pierwsze jego słowa świadczyły, że w tej beztrudnej swobodzie ruchów i prawdziwie dziecięcej wesołości odnalazł „dawną Polly” sprzed lat dziesięciu.

— Jaśnie hrabianka raczyła zażądać kubka?

— Sądzę, że dałam to wyraźnie do zrozumienia.

— Nie mogę zgodzić się na uwzględnienie tego życzenia. Niewymownie żałuję, ale nie mogę się zgodzić.

— Dlaczego? Jestem już zupełnie zdrowa. Nie może to przecież zwichnąć mi ponownie ramienia ani złamać obojczyka. Czy to wino?

— Nie; ani rosa także.

— Niepotrzebna mi rosa. Nie lubię rosy. Ale co to jest naprawdę?

— To grog, robiony na mocnej starce, pędzonej wówczas może, kiedy przyszedłem na świat.

— Ciekawe, jak to smakuje. Dobrze?

— Aż nadto dobre.

Rzekłszy to, zdjął butelkę z półki i nalał sobie jeszcze jedną porcję potężnie działającego eliksiru, szelmowsko zmrzął oczy na

89

znak zadowolenia z przedniego smaku napoju, po czym ostentacyjnie odstawił butelkę z powrotem.

— Chciałabym napić się troszkę — rzekła Paulina, podnosząc oczy ku półce. — Nigdy jeszcze nie kosztowałam grogu: słodki?

— Niebezpiecznie słodki — zapewnił Graham.

Paulina patrzyła na półkę pożądliwie, z błagalnym wyrazem twarzy dziecka tęskniącego do zakazanego przysmaku. Doktor zmuszony był ulec wreszcie. Niezdolny opierać się dłużej, zdjął butelkę z półki, robiąc sobie samemu przyjemność pozwolenia Polly na skosztowanie napoju, którego odrobinę nalał dla niej własnoręcznie; jego oczy, zawsze wyraziste przy ujawnianiu miłych wrażeń, świadczyły błyskiem świetlistym i przyczajonym w nich uśmiechem, jak wielką sprawia mu to przyjemność. Świadomie też i celowo przedłużył ją sobie, pochyliwszy naczynie w ten sposób, aby napój po kropelce tylko dostawał się do chciwie wyciągniętych ku niemu różanych ust.

— Troszeńkę więcej, troszeńkę! — prosiła kapryśnie, dotykając wskazującym palcem jego ręki i dając poznać tym gestem, że chce, aby Graham przechylił bardziej nieco butelkę.

— Tak zachęcająco pachnie korzeniami i miodem — dodała — nie mogę jednak skosztować: pana ręka jest taka sztywna, a pan taki skąpy.

Ponownie ustąpił, szepnąwszy jej do ucha z miną konspiratora:

— Niech pani tylko nic o tym nie mówi mojej matce ani panie Lucy. Gniewałyby się. Nie uważałyby tego za odpowiednie. '

— I ja także nie uważam tego za odpowiednie — rzekła, zmieniawszy od razu ton po wchłonięciu większego łyku napoju, którego smak rozczarował ją, jak się zdawało. — Nie uważam bynajmniej tego grogu za słodki — dodała — jest mdły i gorzki, odjął mi możliwość oddychania. Pańska zaprawiona korzeniami starca była pożądana wówczas jedynie, kiedy stanowiła owoc zakazany. Dziękuję panu. Nie chcę już więcej.

90

I z lekkim ukłonem — niedbale wyniosłym, ale równie uroczym jak jej taniec — odsunęła się od niego i posuwistym, tanecznym krokiem prześlizgnęła się ku ojcu.

Myślę, że powiedziała prawdę: w siedemnastoletniej dziewczynie tkwiło wciąż jeszcze siedmioletnie dziecko.

Graham śledził ją wzrokiem nieco stropionym i zdziwionym zarazem. Przez całą resztę wieczoru prawie nie odrywał od niej oczu, ona wszelako nie zdawała się dostrzegać tego. Przy schodzeniu na dół do jadalni na herbatę ujęła ojca pod rękę gestem, który wskazywał, że uważa za jedynie właściwe dla siebie pozostawanie przy jego boku. Cała jej uwaga była zwrócona wyłącznie w jego stronę. Pan de Bassompierre i pani Bretton głównie podtrzymały ali rozmowę w małym naszym kółku; Paulina była naj-wierniejszym i, najuważniejszym ich

sluchaczem, pobudzając ich niejednokrotnie do powtórzenia tego czy owego opowiadania, tej czy owej anegdoty.

— Gdzie byłeś wtedy, ojczulku? Co powiedziałeś na to? Opowiedz pani Bretton, co zdarzyło się w tym czasie.

Wyciągała z niego w ten sposób opowiadania, jedno po drugim.

Jej dziecinna wesołość i bez troskie ożywienie zgasły i nie wróciły więcej: była zamyślona i cicha. Miło było przyjrzeć się jej, składającej życzenia dobrej nocy: ukłon, jaki skierowała w stronę Grahama, nacechowany był powagą i godnością; w lekkim półuśmiechu i spokojnym pochyleniu głowy wyraźnie była hrabianką, której powaga zniewoliła Grahama do odwzajemnienia się równie dostojnym skinieniem głowy. Widziałam, że trudno mu było pogodzić wizję tańczącej czarodziejki z postacią nieco wyniosłej wytwornej damy.

Nazajutrz, kiedy wszyscy zgromadziliśmy się przy stole śniadaniowym, nieco jeszcze drżący z zimna po porannych ablucjach, pani Bretton oświadczyła, że żadna z osób, której nie zmusza do tego smutna konieczność, nie odważy się opuścić jej domu tego dnia.

91

W istocie wyjście na ulicę zdawało się niemożliwością: zwały śniegu przysłoniły dolną część okien, przez które widać było jedynie zamglone niebo oraz goniące się i zawzięcie walczące z sobą dzikie podmuchy wichru, który odrywał od ziemi, od dachów i od drzew gęste, ciężkie kłęby śniegu. Nie padał już, wirował tylko w powietrzu wielkimi płatami przy akompaniamencie świstu i ryku wiatru, a potem opadał ponownie, układając się w tysięczne fantastyczne wzory.

Młoda hrabianka energicznie poparła decyzję pani Bretton. '

— Ojczulek nie wyjdzie — rzekła, stawiając swoje krzesło tuż przy fotelu ojca. — Już ja tego dopilnuję. Nie pojedziesz do miasta, ojczulku, prawda?

— Tak i nie — brzmiała odpowiedź. — O ile ty, Polly, i pani Bretton będziecie dla mnie dobre, uprzejme i usłużne; o ile będziecie obie pieściły mnie i dogadzały mi, mógłbym przeczekać godzinkę po śniadaniu, aby przekonać się, czy ten tnący jak brzytwa wiatr nie ustał. Jak dotychczas jednak, nie dałyście mi nawet śniadania; każecie mi umierać z głodu. Nie dajecie mi nic.

— Prędko, prędko, proszę pani — zwróciła się Polly do pani Bretton — niech pani naleje ojczulkowi kawy, a ja tymczasem zajmę się resztą śniadania hrabiego de Bassompierre. Od czasu swojego hrabiostwa wymaga wiele krzątania dokoła swojej znakomitej osoby. Starannie przekroiła bułeczkę, posmarowała ją masłem i obłożyła serem.

— Masz, ojczulku, to twój pistolet, przygotowany jak lubisz — rzekła. — A tutaj marmolada, zupełnie taki sam rodzaj, jakim zachwycaliśmy się w Bretton. Utrzymałaś, że jest taka dobra, jak gdyby była robiona w Szkocji...

— I o którą małą hrabianką prosiła zawsze dla mojego chłopca. Pamiętasz to, dziecko — wtrąciła pani Bretton. — Pamiętasz, jak przysuwałaś się do mnie, szepcząc cichutko: „Proszę pa-

92

ni, coś smacznego dla Grahama — trochę marmolady, dżemu czy miodu...”

— Nie, mam — wtrącił doktor John śmiejąc się, zarumieniony jednak z zażenowania — na pewno nie było tak. Niepodobna, abym tak bardzo dbał o takie rzeczy.

— Dbał czy nie dbał, jak ci się zdaje, Polly?

— Lubił je — przyznała dziewczyna.

— Nie wstydź się pan tego, panie Johnie — uspokoił go pan Home. — Ja sam bardzo zawsze lubiłem słodczy i lubię je w dalszym ciągu. A Polly okazała dużo rozsądku, dbając o smaczny posiłek dla przyjaciela. To ja właśnie uczyłem ją tej dbałości, robię też co mogę, aby nie zapominała o tym dobrym przyzwyczajeniu. Proszę cię, Polly, podaj mi cienki kawałek ozora.

— Służę ci, ojczulku, pamiętaj jednak, że obsługuję cię tak sumiennie jedynie pod warunkiem, że będziesz rozsądny i pogodzisz się z La Terrasse na całą resztę dnia.

— Łaskawa pani — zwrócił się hrabia de Bassompierre do pani Bretton — chciałbym pozbyć się mojej córki, posłać ją na pensję. Zna pani dobrą jakąś, odpowiednią?

— Mamy tutaj, w Villette, tę, gdzie jest Lucy. Pensję Madame Beck.

— Panna Snowe jest na pensji?

— Jestem nauczycielką — wtrąciłam rada, że mogę to powiedzieć. Przez krótką chwilę doznałam uczucia, że znalazłam się w fałszywej sytuacji. Pani Bretton i jej syn wiedzieli, w jakich warunkach żyję i jakie zajmuję stanowisko, ale hrabia i jego córka nie mieli o tym pojęcia. Ta informacja mogła wpłynąć na pewną zmianę bardzo uprzejmego dotychczas, serdecznego nawet, traktowania mnie przez nich. I dlatego właśnie z taką skwapliwością poinformowałam ich o rodzaju mojego zajęcia. Równocześnie jednak osaczył mnie rój trzymany dotychczas z dala mętnych, niezupełnie uświadomionych myśli, pod których wpływem wyrwało

93

mi się z piersi bezwiedne westchnienie. Pan Home przez długą chwilę nie podnosił oczu znad talerza i nie odzywał się ani słowem. Może nie zdał sobie dość wyraźnie sprawy z tego, co powiedziałam, a może wydało mu się, że uprzejmość towarzyska nie pozwala na komentowanie tego rodzaju zwierzenia. Szkoci są przysłowiowo dumni i mimo prostoty, jaką ujawniał pan Home, bez względu na jego sposób bycia, strój i gusty, miałam zawsze uczucie, że on także ma sporą dozę tej narodowej cechy. Czy była to z jego strony fałszywa duma, czy też jedynie poczucie godności osobistej? Pozostawiam zagadnienie to nie rozstrzygnięte w ogólniejszym jego znaczeniu. O ile dotyczyło ono mnie osobiście, mogę odpowiedzieć na nie w tym sensie, że wówczas, tak samo jak zawsze, okazał się prawdziwym gentlemanem, człowiekiem mającym rozum i serce.

Był z natury człowiekiem wrażliwym i poważnie myślącym; lekki nalot melancholii owiewał jego wzruszenia i rozważania; ta zaledwie uchwytna zazwyczaj mgielka smutku zgęszczała się w chwilach niepokoju i cierpienia w posępną chmurę. Niewiele wiedział o Lucy Snowe, a z tego, co było mu znane, nie zdawał sobie dokładnie sprawy: jego opaczne ujmowanie cech mojego charakteru wywoływało nieraz uśmiech na moich ustach. Uświadamiał sobie jednak, że moja droga życiowa wytyczona jest raczej po kryjącej się w cieniu stronie wzgórza; uznawał szczerą moich usiłowań nie-zbaczania z uczciwej linii prostej; chętnie nawet dopomógłby mi, gdyby tylko mógł, jakkolwiek też nie miał okazji udzielenia mi pomocy, był mi zawsze prawdziwie życzliwy. Ilekroć na mnie spojrzał, w jego oczach widziałam błysk dobroci; ilekroć mówił ze mną, jego głos brzmiał przyjaźnie i ciepło.

— Pani powołanie wymaga uciążliwej pracy — rzekł wreszcie. — Winna pani dbać o zdrowie i siły, aby móc podołać podjętym obowiązkom i pełnić je z powodzeniem.

Jego uroczą młodzianką córką nie przyjęła mojego oświadcze-

94

nia z takim samym spokojem: spojrzała na mnie pełnymi zdumienia, szeroko otwartymi oczami, spłoszona nieledwie.

— Jest pani nauczycielką? — zawołała, po czym, jak gdyby usiłując uświadomić sobie przez chwilę ten trudny dla niej do przyjęcia fakt, dodała: — Nie wiedziałam nigdy, kim pani jest, ani też nie przyszłoby mi nigdy na myśl pytać o to; dla mnie była pani zawsze Lucy Snowe, i na tym koniec.

— A kim jestem teraz? — nie mogłam powstrzymać się od zapytania.

— Tym, oczywiście, kim była pani zawsze. Czy naprawdę jednak udziela pani lekcji tutaj, w Villette?

— Tak.

— I lubi pani swoje zajęcie?

— Nie zawsze.

— Dlaczego w takim razie nie porzuci go pani?

Ojciec jej spojrział na nią w ten sposób, że obawiałam się, aby nie ofuknął jej surowo, odezwał się jednak tylko:

— Śmiało, Polly, śmiało, pokaż, jaka z ciebie mała mądrała. Gdyby panna Snowe zarumieniła się czy też wyglądała na zawstydzoną, kazałbym ci zamilknąć; zawstydziłabyś siebie samą i okryłabyś śmiesznością mnie. Na szczęście panna Lucy uśmiecha się tylko, możesz więc śmiało brać ją w krzyżowy ogień pytań. Niech pani jej odpowie, panno Snowe, dlaczego nie porzuca pani swojego zajęcia.

— Głównie ze względu na pieniądze, jakie zarabiam.

— Zatem nie ze względów czysto ideowych? Polly i ja skłonni byliśmy przyjąć tę hipotezę, jako moment najbardziej łagodzący, zdolny usprawiedliwić ekscentryczność pani postępowania.

— O, nie! Raczej jest to sprawa dachu nad głową i utrzymania, jakie zapewniam sobie w ten sposób, oraz spokoju i zadowolenia, jakie daje mi myśl, że pracując na siebie, nie jestem nikomu ciężarem. Praca zaoszczędza mi tego przykrego uczucia.

— Mów, co chcesz, ojczulku, żal mi jednak Lucy.

95

— Ta litość nie jest mi potrzebna, panno Paulino; radzę pani ująć ją w obie ręce, jak ujęłaby pani małe, nieporadne gąsiątko, które zabłąkało się, opuściwszy bez pozwolenia rodzinne gniazdo; niech ją pani włoży z powrotem do ciepłego gniazdka swojego serduszka, z którego pocziwie wytrysnęła i niech pani zechce przyjąć do wiadomości to, co jej podszeptęłam.

— Gdyby moja Polly miała doświadczyć kiedykolwiek niestałości i niepewności darów fortuny, pragnąłbym, aby postąpiła tak, jak postępuje panna Snowe: aby jęła się samodzielnej pracy i tą drogą uniknęła przykrości stania się ciężarem komukolwiek, rodzinie czy przyjaciółom.

— Tak, ojczulku — rzekła wciąż jeszcze zamyślona, zdająca się wnikać jednak w sytuację.

— Ale biedna Lucy! Myślałam, że jest osobą zamożną i że ma bogatych przyjaciół.

— Sądziłaś jak małe głupiątko. Mnie nigdy nie przychodziło to na myśl. Ilekroć, co zresztą nieczęsto się zdarzało, miałem sposobność przyglądać się zachowaniu panny Lucy, widziałem, że należy do osób zwykłych opiekować się innymi, nie zaś wymagać opieki nad sobą; działać samodzielnie, a nie być przedmiotem starań; służyć innym, a nie być obsługiwaną. To właśnie, jak sądzę, uzbroido ją w doświadczenie, za które, o ile będzie żyła dość długo, aby móc w pełni ocenić korzyści, jakie ono zapewnia, winna być wdzięczna opatrności... Kiedy jednak mowa o tej szkole — dodał, zmieniając ton swojego przemówienia z poważnego na żartobliwy — jak pani sądzi, czy Madame Beck zgodziłaby się przyjąć moją Polly?

Odpowiedziałam, że należałoby zwrócić się z tym do Madame, która bardzo lubi pensjonarki Angielki.

— Jeśli pan de Bassompierre zechce zawieźć pannę de Bassompierre swoim powozem jeszcze dzisiaj po południu, pewna jestem, że Rozyna, nasza odźwierna, nie da państwu czekać długo na otworzenie drzwi wejściowych, a sama Madame wciągnie na ręce najlepszą parę rękawiczek, aby godnie powitać państwa w salonie.

96

- W takim razie — odparł pan Home — nie widzę powodu ani potrzeby dalszej zwłoki. Pani Hurst zapakuje i prześle to, co nazywa rzeczami swojej młodej pani, a moja Polly będzie mogła jeszcze dzisiaj wieczorem zasiąść do elementarza. Mam nadzieję, że pani, panno Lucy, zgodzi się rzucić na nią tu i ówdzie opiekuńczo okiem i dać mi od czasu do czasu znać, jak jej

się wiedzie. Mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu projektowi, panno de Bassompierre?

Mała hrabianka zawahała się.

— Myślałam — rzekła — że moja edukacja jest już skończona.

— Najlepszy to dowód — rzekł jej ojciec — jak bardzo mylne są nasze sądy. Ja osobiście mam o tym całkiem odmienne zdanie, sądzę też, że najzupełniej zgodzą się ze mną ci, którzy mieli okazję zapoznać się dzisiaj rano z twoją głęboką znajomością życia. O, kochane moje dziewczątko, dużo jeszcze pozostało ci do nauczenia; twój ojciec powinien zrobić dla ciebie więcej, aniżeli zdołał to uczynić! Tak, dziecinko, nie ma innej rady. Musimy zwrócić się do Madame Beck. Że zaś pogoda się poprawia, a ja skończyłem już śniadanie...

— Ale, ojczulku!

— Jakie ale?

— Widzę przeszkodę.

— A ja nie widzę żadnej.

— Właśnie, że jest. Ogromna! Nie do pokonania. Jest taka wielka jak ty sam, ojczulku, w twoim wielkim płaszczu, z całą masą śniegu na nim.

— Zdolna będzie jednak roztajać i zniknąć bez śladu, tak samo jak ten śnieg.

— Nie! Nie roztaje i nie zniknie! Jest masą zbyt solidną i ważką: jesteś nią ty sam, ojczulku. Niech pani ostrzeże Madame Beck, panno Lucy, aby nie słuchała żadnych propozycji przyjęcia mnie na swoją pensję. Okaze się w końcu, że będzie musiała przyjąć

97

także ojczulka. A on wcale nie jest łatwy. Zdradzę pani i państwu niejedno o nim. Słuchajcie wszyscy — i pani Bretton także: przed pięciu laty, kiedy byłam dwunastoletnią dziewczynką, ubrdał sobie, że mnie psuje, że wyrosnę niezdolna zupełnie do istnienia na świecie, że... słowem, wyobrażał sobie Bóg wie co jeszcze. Postanowił wobec tego bezapelacyjnie, że odda mnie do szkoły. Płakałam, broniłam się, ale pan de Bassompierre okazał się twardy i nieugięty, pojechałam więc na pensję. Ale jaki był tego wynik? W najcudowniejszy sposób zainstalował się na tej samej pensji: co drugi dzień przyjeżdżał mnie odwiedzać. Pani Aigredoux obruszała się na to, ale nic nie pomogło, aż w końcu oboje, ojczulek i ja, zostaliśmy, że wyrażę się po sztubacku, wylani ze szkoły. Lucy może opowiedzieć Madame Beck tę historyjkę; uczciwość nakazuje uprzedzić ją, czego może się spodziewać.

Pani Bretton zapytała pana Home'a, co ma do powiedzenia na to oświadczenie. Nie potrafił się obronić, zapadł więc wyrok przeciwko niemu i Polly zatriumfowała.

Bywała jednakże w innych nastrojach, aniżeli naiwnego, rozpieszczonego, opornego dziecka. Po śniadaniu, kiedy oboje starsi — pani Bretton i pan Home — przeszli na pogawędkę do innego pokoju, aby, jak przypuszczam, obgadać pewne dotyczące pani Bretton sprawy majątkowe — a mała hrabianka, ja i doktor Bretton pozostaliśmy na krótką chwilę sami, zatraciła się w niej od razu cała dziecięcość; w naszym towarzystwie, w towarzystwie osób bliższych jej wiekiem, stała się młodą damą; nawet twarz jej zmieniła się poniekąd. Owo dziecięce ożywienie rysów i naiwność spojrzenia, które, ilekroć rozmawiała z ojcem, zaokrąglły jej twarzyczkę, złościąc ją uroczyimi dołeczkami, ustąpiły teraz miejsca zamyśleniu, które nadało jej rysom twardszej wyrazistości i pozbawiło ją nadmiernej ruchliwości.

1 Pani Aigredoux — pani Kwaśnosłodka.

98

Graham, tak samo jak ja, niewątpliwie zwrócił uwagę na tę nagłą zmianę. Stał kilka minut przy oknie, patrząc na padający śnieg, po czym odszedł do kominka i wszczął rozmowę, ale nie tak swobodnie jak zwykle. Zdawało się, że brak mu odpowiednich tematów; dobierał je mozolnie, z wahaniem i może dlatego niezbyt szczęśliwie; mówił w sposób trudny do określenia o Villette, o jego mieszkańcach, gmachach i godnych obejrzenia osobliwościach.

Panna de Bassompierre odpowiadała mu z godnością dojrzałej kobiety, inteligentnie, w sposób niezupełnie pozbawiony cech indywidualnych. Od czasu do czasu jednak szczególny ton, gest czy spojrzenie bardzo ożywione, mniej powściągliwe i salonowo odmierzone, przypominały wciąż jeszcze małą Polly. W jej zachowaniu wszakże tyle było wytworności i dystynkcji, tyle spokojnego, uprzejmego wdzięku, łagodzącego dziecięce wyskoki, że człowiek mniej nawet wrażliwy niż Graham nie odważyłby się skorzystać z nich, jako z punktów zaczepnych, skłaniających do większej szczeroci i poufałości.

Mimo że doktor Bretton był w dalszym ciągu dziwnie przygaszony i jak na niego niezwykle spokojny, nie przestawał jednak obserwować. Nie uszedł jego uwagi żaden z owych drobnych porywów i naturalnych wybuchów dawnej towarzyszkich zabaw. Nie ominął żadnego z jej gestów charakterystycznych, żadnego momentu wahania czy najlżejszego seplenienia. Polly chwilami, mówiąc szybko, spontanicznie, wciąż jeszcze po dziecięcemu sepleniła, rumieniąc się jednak za każdym razem i ze zwykłą sobie sumiennocią, równie zabawną jak ta drobna wada wymowy, powtarzała wysepleniony wyraz powoli i wyraźnie.

Ilekcio jej się to zdarzało, doktor Bretton się uśmiechał. Stopniowo, im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej słabło skrępowanie, jakie wyczuwało zrazu każde z nich. Gdyby rozmowa ta przeciągnęła się jeszcze dłużej, stałaby się zupełnie swobodna. Na twarz Pauliny powrócił uśmiech, żłobiący rozkoszne dołeczki w jej policz-

99

kach; wysepleniwszy jakiś trudniejszy wyraz, zapomniała poprawić się. A doktor John? Zmienił się, choć nie umiem powiedzieć, na czym polegała ta zmiana. Nie poweselał ani też nie wpadł swoim zwyczajem w drwiący ton; nie zdradził ani jednym słowem płochoci nastroju, zdawał się jednak bardziej zadowolony z samego siebie, sposób jego mówienia stał się swobodniejszy, ton bardziej miękki i łagodny. Przed dziesięciu laty miała sobie ta parka tak wiele zawsze do powiedzenia; miniona dekada lat nie zmniejszyła na pewno ich doświadczenia życiowego ani też nie zubożyła ich intelektualnie. Istnieją nadto pewne natury, których wzajemne oddziaływanie jest tak wielkie, że im dłużej z sobą przebywają, im więcej rozmawiają, tym więcej mają sobie wciąż jeszcze do powiedzenia. Dla natur tych przestawanie z sobą prowadzi do zespolenia, a zespolenie do ścisłego skojarzenia i zjednoczenia.

Graham zmuszony był jednak wyjść z domu: zawód jego narzuca obowiązki i wymagania, których nie wolno lekceważyć, zaniedbywać ani też odkładać ich wypełnienia. Wszedł z pokoju, zanim jednak opuścił dom, powrócił raz jeszcze pod pozorem zabrania zapomnianej gazety czy czegoś innego z biurka. Jestem pewna, że powrót ten spowodowany był chęcią przekonania się jednym jeszcze rzutem oka, czy powierzchowność Pauliny jest w istocie taka, jaką zatrzymał w pamięci, czy nie widział jej w stronniczym, nieprawdziwym świetle i czy tym samym nie uległ jedynie miłemu omamieniu. Nie! Przekonał się, że jego pierwsze wrażenie było trafne i wierne. Dzięki temu powrotowi zyskał raczej, aniżeli stracił — uniósł z sobą na drogę pożegnalne spojrzenie, nieśmiałe, ale bardzo tkliwe, równie piękne i równie niewinne, jakie rzucić mogła młoda sarenka spod gęstej osłony paproci czy młode jagniętko spośród kępy trawy na łące.

Zostałyśmy same. Milczałyśmy obie jakiś czas. Wyjęłyśmy nasze robótki i zabrawszy się do nich, udawałyśmy bardzo pilnie zajęte. Dawną skrzyneczkę z białego drewna zastąpiła teraz szkatu-

100

ka bogato ozdobiona intarsją z cennych kamieni i zaopatrzona w złote narzędzia do robót ręcznych; maleńkie niegdyś, drzące paluszki, którym trudno było uporać się z igłą, mimo że drobne w dalszym ciągu, były teraz sprawne i obrotne; pozostało wszakże to samo poważne zmarszczenie czoła, ta sama staranność i dokładność, to samo skupienie i pochłonięcie pracą. Nie odrywając się od robótki, na mgnienie tylko potrząsała głową, aby odgarnąć obluźnione

pasmo włosów, lub też pospiesznym ruchem dłoni strzepywała ze swojej jedwabnej spódniczki jakiś wyimaginowany pyłek, jakieś przywarte do jej fałd źdźbło nitki. Tego ranka byłam szczególnie usposobiona do milczenia: posępne wycie zimowej zawiei wpływało na mnie przygnębiająco i zamykało mi usta. Wściekłość styczniowej burzy, białej i bezdusznej, nie uciszyła się jeszcze: wicher ochrypl, nie myślał jednak dać za wygraną. Gdyby Ginevra Fanshave dotrzymywała mi towarzystwa w tym saloniku, nie pozwoliłaby mi trwać w zadumie i słuchać w milczeniu. Tematem jej gadatliwości stałby się ten, który opuścił nas przed chwilą; a jak potrafiłaby rozwodzić się nad tą jedną osobą! Jak przypierałaby mnie do muru pytaniami i przypuszczeniami! Jak drażniłaby mnie wygłaszaniem dowolnych, z palca wyssanych komentarzy, jak gnębiłaby mnie zwierzeniami, których słuchania usiłowałabym uniknąć za wszelką cenę! Paulina Maria rzuciła na mnie parę razy spokojne, mimo że badawcze spojrzenie; jej wargi rozchyliły się, jak gdyby gotowe do wypowiedzenia jakiejś uwagi, milczała jednak, dostrzegłszy moją niechęć do mówienia, którą umiała uszanować. Nie wytrwa długo — pomyślałam, nie przywykłam bowiem do spotykania u młodych kobiet i dziewcząt umiejętności panowania nad sobą i powściągliwości. O ile zdołałam je poznać, okazja wy-wnętrzania się z ich płytkich przeważnie tajemnic czy nader powierzchownych i przelotnych uczuć była dla nich przyjemnością, której nie umiały i nie chciały wyrzec się tak łatwo.

101

Mała hrabianka zdawała się wyjątkiem: szyla wytrwale, aż wreszcie, znużona szyciem, wzięła do ręki książkę.

Traf chciał, że poszukała czegoś odpowiedniego dla siebie wśród książek należących do doktora Brettona. Okazało się, że było to dawne, zabrane z Bretton, ilustrowane dzieło z zakresu historii naturalnej. Widywałam często małą Polly, stojącą przy boku Grahama, który trzymał tę książkę otwartą na swoich kolanach i odczytywał dziewczynce ustępy bardziej dla niej zrozumiałe, urządzając w ten sposób wykład przyrody na użytek małej towarzyszkii. A kiedy lekcja kończyła się, prosiła go, aby wyjaśnił jej znaczenie zawartych w książce rycin. Przyglądałam jej się teraz bacznie: nadarzył się oto najważniejszy moment wypróbowania siły jej pamięci, z której tak była dumna: czy okaże się jej wierna?

Czy okaże się wierna? Nie mogło być wątpliwości co do tego. Odwracała kartkę za kartką, a na jej twarzy pojawiały się rumieńce, które zdradzały osaczające ją uczucia, wyraźnie związane z wspomnieniami przeszłości. Po przejrzeniu tomu do końca powróciła do karty tytułowej i spojrzała na wypisane na niej chłopięcą ręką imię i nazwisko. Wpatrywała się w nie długo, a potem łagodnie przesunęła po literach końcami palców. Wzruszającemu temu gestowi towarzyszył nieświadomy tkliwy uśmiech, czyniący z dotknięcia pieszczotę nieledwie. Paulina kochała przeszłość. Szczególną cechą tego drobnego, wdzięcznego obrazka było to, że nie powiedziała przez cały czas ani słowa; umiała odczuwać, nie dając ujścia swoim uczuciom w potoku słów.

Godzinę prawie zajęta była przeglądaniem półki z książkami; zdejmowała jeden tom po drugim, odnawiając w ten sposób znajomość z każdym z nich. Po ukończeniu tego zajęcia usiadła na niskim stołeczku, oparła policzek na dłoni i zachowując w dalszym ciągu milczenie, rozmyślała.

Stuk otwieranych na dole drzwi wejściowych, nagłe wtargnięcie zimnego wiatru i głos ojca, mówiącego coś do pani Bret-

102

ton, zbudził ją wreszcie z zadumy. Zerwała się i w sekundę była na dole.

— Ojczulku, ojczulku, nie wyjdiesz przecież?

— Muszę iść do miasta, pieszczotko.

— Ale jest za... za zimno, ojczulku.

Pan de Bassompierre pokazał jej, jak doskonale ochronił się przed zimnem, wyjaśniając zarazem, że nie pójdzie przecież pieszo, ale pojedzie powozem, w którym będzie najzupełniej bezpieczny i zapewniając, że nie ma najmniejszego powodu niepokoić się o niego.

— Ale przyrzeknij mi, że będziesz tutaj z powrotem, zanim zapadnie noc, że przyjedziecie razem powozem, ty i doktor Bretton. Pogoda nie jest odpowiednia na jazdę konną.

— Dobrze, jeśli spotkam doktora Brettona, nie omieszkam powiedzieć, że pewna dama nakazała mu, aby dbał o swoje cenne zdrowie i powrócił do domu pod moją eskortą.

— Tak, musisz powiedzieć „pewna dama”. Pomyśli, że to jego matka i będzie posłuszny. Ale pamiętaj, ojczulku, żebyś wrócił wcześniej: będę czekała i nadśluchiwała.

Drzwi zamknęły się i koła powozu potoczyły się miękko po śniegu. Mała hrabianka powróciła do pokoju, zamyślona ponownie i zaniepokojona.

Czuwała i nadśluchiwała w miarę zapadania coraz gęstszego zmierzchu, czyniła to jednak jak mogła najciszej, chodząc tam i z powrotem po pokoju prawie bezszelestnie. Co pewien czas przystawała w tym swoim cichym, jak gdyby aksamitnym krążeniu, nastawiała ucho i wsłuchiwała się w odgłosy nocy, a raczej w ciszę nocną, jako że teraz wreszcie ustał dziko dmący przez cały dzień wicher. Niebo, uwolnione od ciężkich chmur śniegowych, było blade i bezgwiazdne: mogliśmy widzieć je wyraźnie poprzez ogołoczone z liści konary drzew, a zarazem podziwiać polarną wspaniałość noworocznego księżyca —jego tarczę białą jak lodowa kraina. Pora nie

103

była jeszcze zbyt późna, kiedy usłyszałyśmy wreszcie, że powóz wrócił.

Paulina nie rzuciła się na spotkanie ojca, jak zwykle, krokiem tanecznym. Z poważnym zatroskaniem zajęła się nim, biorąc go od razu w wyłączne posiadanie; posadziła go na wybranym przez nią fotelu, obsypywała go czułymi słowami podzięką, że nie dał czekać na siebie zbyt długo i tak uwijała się dokoła niego, że można było przypuścić, iż tylko dzięki zabiegom jej drobnych rąk znalazł się na fotelu, podparty miękkimi poduszkami i wygodnie usadowiony. Silnemu, wielkiemu mężczyźnie zdawało się sprawiać szczególną przyjemność bezwolne poddawanie się czulej tyranii drobnej istotki.

Graham zjawił się w kilka minut po powrocie hrabiego. Paulina zwróciła z lekka głowę w jego kierunku, zamieniła z nim tylko parę słów, palce ich musnęły się wzajem przelotnie.

Pozostała przy boku ojca, a Graham rzucił się na fotel po drugiej stronie pokoju.

Pan Home i pani Bretton mieli sobie, na szczęście, bardzo wiele do powiedzenia, sięgając po tematy rozmowy do niewyczerpanej, zdałoby się, skarbnicy dawnych wspólnych wspomnień. Gdyby nie ich ożywienie, nasze towarzystwo tego wieczoru byłoby rażąco ciche.

Po wieczornej herbacie, przy świetle lampy, poszły w ruch zgrabne złote nożyczki, śliczny złoty napastrzek i sprawna igła Pauliny. Usta dziewczyny nie rozchyłały się jednak, a jej delikatne powieki, obciążone gęstą zasłoną rzęs, niechętnie odrywały się od roboty i podnosiły w górę. Grahama również musiała zmęczyć całodzienna praca: słuchał z uprzejmą uwagą tego, co mówili starsi, sam mówił jednak bardzo mało. Nie odrywał oczu od złocistego blasku migającego raz w raz napastrka, jak gdyby to były skrzydła świetnego motyla czy też przesmykający wskroś traw złocisty łepiek małej żółtej żmijki.

Rozdział VI Pogrzeb

Od tego dnia nie mogłam uskarżać się na brak odmiany w moim życiu: wychodziłam często z wiedzą i najzupełniejszą aprobatą Madame Beck, której imponowało stanowisko społeczne moich przyjaciół. Godna przełożona od samego początku traktowała mnie z szacunkiem, a kiedy dowiedziała się, że bywam często zapraszana do jednego z okolicznych chateauc i do wspaniałego hotel, szacunek jej dla mnie przeobraził się w zaszczytne, pełne względów wyróżnianie mojej osoby.

Nie powodowało nią nigdy budzące wstręt płaszczenie się przed majątkiem czy tytułem. Madame, osoba na wskroś światowa, w niczym jednak nie kierowała się słabością. Mimo górującego nad wszystkimi innymi pobudkami liczenia się z własnym interesem potrafiła zachować umiar i zdrowy rozsądek; mimo nieustannego uganiania się za zarobkiem nie zatracala spokoju i rozważa. I w tym wypadku także zamiast ściągnąć na siebie swoją pogardę okazywaniem nazbyt jawnej służalczości i zbyt wyraźnego schlebiana możliwym tego świata, poprzestawała na pełnym taktu i umiaru zaznaczaniu zadowolenia z tego, że osoby, związane z prowadzonym przez nią zakładem wychowawczym, obracają się w towarzystwie podnoszącym je duchowo i obyczajowo, nie zaś obniżającym ich poziom. Nie wychwalała nigdy ani mnie, ani moich przyjaciół, raz tylko, kiedy siedziała na słońcu w ogrodzie, delektując się filiżanką czarnej kawy przy czytaniu Gazette — pisma codziennego — a ja przyszedłam, aby poprosić ją o pozwolenie wyjścia wieczorem, dała wyraz swemu zadowoleniu, odpowiedziawszy mi z niezwykłą serdecznością:

— Oui, oui, rna bonne omie, je vous donne la permission de

105

coeur et de gre. Votre travail dans ma maison a toujours ete admi-rable, rempli de zele et de discretion: vous avez hien le droit de vous amuser. Sortez tant que vous voudrez. Quant a votre chobc de con-naissances, j'en suis contente; c'est sage, digne, laudable¹.

Zamknęła usta i zabrała się ponownie do czytania swojej Gazette.

Zechce czytelnik nie sądzić zbyt surowo faktu zniknięcia na pewien czas z potrójnie zabezpieczonej szkatułki moich bezcennych pięciu listów. Pierwszym moim odruchem po wykryciu go było naturalnie gorące oburzenie, po chwili jednak zdobyłam się na bardziej wyrozumiałą ocenę tej bolesnej dla mnie nad wyraz sprawy.

Cierpliwości! — powiedziałam sobie. — Nie powiem nic i zaczekam spokojnie: znajdą się rychło z powrotem.

I rzeczywiście, znalazły się rychło z powrotem: na krótko tylko przebywały w pokoju

Madame. Po zbadaniu ich przez nią powróciły na właściwe swoje miejsce. Zaraz nazajutrz znalazłam je tam, gdzie powinny były leżeć.

Ciekawa byłam, jak podobała się jej moja korespondencja. Jak oceniła zdolności epistolarne doktora Johna? Jaki był jej sąd o dosadnych często uwagach i myślach, o zdrowych na ogół, a czasem oryginalnych poglądach, formułowanych stylem bezpretensjonalnym, językiem łatwym i potoczystym. Jak podobała się jej żyłka humorystyczna ich autora, która tyle dała mi rozkoszy? Co myślała o tych kilku uprzejmych, a nawet serdecznych zwrotach, rozsianych tu i ówdzie — nie gęsto, jak diamenty w dolinie Sind-

¹ Tak, tak, kochana przyjaciółko, daję pani zezwolenie z całego serca i z największą chęcią.

Praca pani w moim domu była zawsze godna podziwu, pełna gorliwości i taktu: ma pani zupełne prawo bawić się. Niech pani bywa w towarzystwie, ile tylko pani zechce. Co się tyczy doboru pani znajomości, jestem z niego zadowolona: jest rozumny, godny i chwalebny.

106

bada, ale skąpo, jak te drogocenne kamienie spoczywają w złożach ziemi? O, Madame Beck, jaki był pani sąd o tych rzeczach?

Wydaje mi się, że listy doktora Johna znalazły uznanie w oczach Madame. Nazajutrz powypożyczeniu ich przez nią ode mnie (mówiąc o tak delikatnej kobiecie, należy posługiwać się delikatnymi określeniami) podchwyciłam jej utkwione we mnie z badawczą wnikliwością spojrzenie, nieco zdziwione, ale bezwzględnie życzliwe. Było to w porze krótkiej pauzy pomiędzy lekcjami, podczas której uczennice wychodziły na kwadrans na dziedziniec.

Pozostałyśmy obie, Madame Beck i ja, same w pierwszej klasie; kiedy oczy nasze spotkały się, ujawniła częściowo swoje myśli, rzekłszy:

— Il y a quelque chose de bien remarquable dans le caractere anglais .

— Jak pani to rozumie?

Roześmiała się i odparła po francusku, powtarzając jedynie wyraz „jak” w brzmieniu nadanym mu przeze mnie.

—Je ne saurais vous dire „jak”; mais enfin les Anglais ont des idees a eux, en amitie, en amour, en tout. Mais au moins U n'estpas besoin de les surveiller² — dodała, podnosząc się i odchodząc swoim truchcikiem małego żrebaka.

W takim razie mam nadzieję — pomyślałam — że przestanie pani czytać moje listy. Niestety! W tej samej chwili przypomniałam sobie, że nigdy więcej nie otrzymam takich listów. Coś osobliwego padło mi nagle na oczy, zmacając całkowicie ich pole widzenia, zacierając przede mną widok pokoju szkolnego, ogrodu, jasno świecącego słońca zimowego. Nie będzie już dla mnie więcej listów takich jak te. Kojący strumień, na którego brzegach przebywałam i

1 Jest coś bardzo godnego uwagi w charakterze angielskim.

2 Nie umiałabym pani powiedzieć „Jak”, ale Anglicy mają swoje własne pojęcia o miłości, o przyjaźni, o wszystkim. Przynajmniej jednak nie ma potrzeby ich pilnować.

107

którego kilka ożywczych bryzgów zrosiło moje wargi, zmienił swój kierunek: opuszczał moją małą chatkę i moje wyschłe całkowicie pole, unosząc daleko swe dobroczynne wody. Zmiana była naturalna, słuszna, sprawiedliwa; nie można było ani jednym słowem zaoponować przeciwko niej: kochałam wszelako ten mój Ren, ten mój Nil, wielbiłam nieledwie mój Ganges, smuciłam się więc, że wielka fala toczyć się będzie nie dla mnie, że zniknie niby urojenie. Mimo że siliłam się na stoicyzm, nie byłam prawdziwym stoikiem, krople łez spływały coraz szybciej na moje ręce, na biurko. Wypłakałam cały ich potok, parny, ciężki, acz krótkotrwały.

Rychło powiedziałam sobie: nadzieja, którą oplakuję, sprawiła mi wiele cierpień, zamarła wówczas dopiero, gdy nastąpił ostateczny jej koniec; po tak długotrwałym okresie rozpaczliwego przynębienia śmierć powinna być pożądana.

Usiłowałam uczynić ją pożądaną. Długotrwałe cierpienie nauczyło mnie cierpliwości, czyniąc z niej prawie moją drugą naturę. Zamknęłam w końcu oczy mojemu trupowi, zakryłam mu twarz i z wielkim spokojem ułożyłam mu kończyny.

Musiałam jednak ukryć listy, odłożyć je w bezpieczne miejsce. Ludzie, którzy ponieśli ciężkie straty, zazdrośnie gromadzą i zamykają na cztery spusty pamiątki: ból nie do zniesienia zadają w samo serce momenty nagłego odradzenia się żalu.

Pewnego wolnego popołudnia (we czwartek), otworzywszy mój pulpit, aby postanowić, co mam zrobić z moim skarbem, dostrzegłam — tym razem z żywym uczuciem niezadowolenia — że znów ktoś w nim grzebał: pakiecik leżał wprawdzie na miejscu, ale wstążka, którą był przewiązany, została widocznie zdjęta i ponownie umocowana. Inne oznaki również wskazywały, że ktoś wyciągał moją szufladę i szperał w niej zawzięcie.

Tego było już trochę za wiele. Madame Beck była wcieleniem dyskrecji, niezależnie od tego, że miała tak zdecydowanie zdrowy rozum i tak trzeźwy sąd o rzeczach, jaki tylko mógł zrodzić się

108

kiedykolwiek w głowie męskiej czy kobiecej: nie było może przyjemne, że znała tak na wylot zawartość mojej szuflady, jednak od biedy można to było znieść. Mimo swojej jezuickiej badawczości umiała oceniać sprawy trafnie, widzieć je we właściwym świetle i wydawać o nich sprawiedliwy sąd. Przypuszczenia wszelbko, że mogła udzielić innym zdobytych tą drogą informacji, że urzędowała sobie może, w towarzystwie innych jeszcze osób, zabawę z najbardziej uświęconych dla mnie dokumentów, wstrząsnęły mną okrutnie.

Miałam wszelkie powody obawiać się teraz, że było tak istotnie. Domyślałam się nawet, kto był jej powiernikiem. Krewny jej, Monsieur Paul Emanuel, spędził z nią cały poprzedni wieczór; zwykle radziła się go we wszystkim i rozważała pospołu z nim sprawy, z których nie

zwierzała się nigdy nikomu innemu. Tego samego rana jego mość ten raczył rzucić na mnie bazyliżkowe spojrzenie, zapożyczony chyba od aktorki w roli Vashti. W tamtej chwili nie rozumiałam, co znaczył jego zjadliwy wzrok, miotający wściekły ogień, dopiero teraz wszystko pojęłam. Monsieur Paul nie potrafił, jak mi się zdawało, sądzić łagodnie i sprawiedliwie żadnej rzeczy dotyczącej mojej osoby: był zawsze w stosunku do mnie surowy i podejrzliwy. Myśl, że listy te, listy czysto przyjacielskie, wpadły w jego ręce i mogłyby wpaść w nie ponownie, zraniła mnie do głębi.

Jak miałam postąpić, aby nie dopuścić do tego? W jakim zatraconym kącie tego dziwnego domu możliwe było znaleźć pewne i bezpieczne schronienie? Jakie zamknięcie i gdzie mogłoby być dostatecznym zabezpieczeniem i rękojmią nietykalności jedyne go skarbu?

Na poddaszu? Nie, nie lubiłam poddasza. Nie miałam zaufania do tego miejsca. A zresztą większość zgromadzonych tam mebli była na wpół zbutwiała. Szczury przegryzały się przez spróchniałe drewno, a myszy słały sobie gniazda wśród odpadków i śmieci: moje drogie listy mogłyby być pożarte przez to plugastwo, a już na pewno

109

wilgoć zamazałaby litery nie do poznania. Nie, poddasze nie nada się — ale gdzie w takim razie je ukryć?

Zastanawiałam się nad tym, siedząc na ławce pod oknem sypialni. Było piękne mroźne popołudnie; zachodzące już słońce blade Połyskiwało na czubkach krzewów ogrodowych allee defendue. Z gąszczy wystawała wielka stara grusza, niczym wysoki szkielet nimfy leśnej, szary, wyschły, obnażony. Olśnił mnie pomysł — Jeden z owych dziwnych, fantastycznych pomysłów, jakie czasem miewają ludzie samotni. Włożyłam kapelusz, okrycie, kołnierz i rrmfkę futrzaną, i poszłam do miasta.

Kierując się ku starej historycznej dzielnicy, ku jej ocienionym odwiecznym zakątkom, gdzie ciągnęło mnie zawsze, ilekroć bywa-łam w melancholijnym nastroju, wędrowałam z jednej ulicy na drugą, aż wreszcie, przeszedłszy na przełaj przez na wpół opustoszały plac czy skwer, znalazłam się przed sklepem z wszelkiego rodzaju starzyzną.

Potrzebna mi była metalowa skrzynka, którą można byłoby zaiutować, albo też butla z grubego szkła, którą można by zalakować hermetycznie. W stosie najrozmaitszych, nadających się na szmelc przedmiotów znalazłam i nabyłam odpowiadającą moim zamierzeniom butlę.

Zwinąwszy listy w rulon, owinęłam je w jedwabną ceratkę, owiązałam cienkim szpagatem i, włożywszy rulon do butli, uprosi- tetn starego żyda-handlarza o zakorkowanie i zalakowanie jej tak, aby nie dopuścić zupełnie do jej wnętrza dopływu powietrza. Czy- nęc zadość mojej prośbie, rzucał na mnie od czasu do czasu nieufne spojrzenia spod wyblakłych, jak gdyby zwarzonych mrozem rzęs. Przypuszczał prawdopodobnie, że kryje się w tym coś podejznanego, °oś złego niewątpliwie. Wszystko to sprawiało mi ponurą jakąś — nie tyle przyjemność, ile satysfakcję. Popęd, który pchnął mnie do tego czynu, nastrój, pod którego wpływem pozostawałam, przypominał popęd i nastrój, które skierowały mnie w swoim czasie ku

HO

konfesjonałowi. Pospieszyłam w drogę powrotną i stanęłam przed naszą szkołą w porze zmierzchu, tak że zdążyłam jeszcze na obiad.

Około siódmej wypłynął na niebo księżyc. O wpół do ósmej, kiedy uczennice i nauczycielki zajęte były przygotowaniem lekcji, Madame Beck wraz z matką swoją i dziećmi siedziała w salle a manger, a półpensjonarki porozchodziły się już do domów, dzięki czemu i Rozyna mogła opuścić swój stały posterunek w hallu, otuliłam się szalem i, wzięwszy z sobą zapieczętowaną, zalakowaną butlę, prześlizgnęłam się drzwiami prowadzącymi z pierwszej klasy do berceau, a stąd wprost już do allee defendue.

Licząca lata matuzalowe grusza stała na końcu tej alei, w pobliżu mojej ławki i górowała tu szara, zamglona, ponad skupionymi dokoła niej krzewami. Drzewo to, mimo że takie stare, miało wciąż jeszcze zdrowy pień, w którym jednak utworzyło się tuż nad korzeniami głębokie wydrążenie. Wiedziałam o tym wydrążeniu, mimo że kryły je gęsto obrastające pień zwoje bluszczu i innych pnączy. Tutaj właśnie zamierzałam ukryć mój skarb. Nie tylko jednak chciałam ukryć skarb, ale i zagrzebać wraz z nim mój smutek. Smutek ten, który przy spowijaniu go w całun wycisnął mi tyle łez z oczu, musi być zagrzebany.

Rozsunąwszy bluszcz, znalazłam wgłębienie, dość duże, aby mogła zmieścić się w nim butla, którą wsunęłam głęboko aż na samo dno. W szopie na narzędzia, mieszczącej się w głębi ogrodu, znalazłam resztki materiałów budowlanych, pozostawionych przez robotników murarskich, którzy zajęci byli niedawno niezbędnymi przeróbkami gmachu. Znalazłam tu trochę łupku i zaprawy wapiennej, którą zatkałam otwór wydrążenia, utrwaliłam to cementem, oblepiłam mchem i wreszcie zsunęłam bluszcz na poprzednie miejsce. Po dokonaniu tego stałam jeszcze oparta o drzewo, ociągając się z odejściem, jak każdy żałobnik, niezdolny rozstać się z świeżo wykopanym i zasypanym ziemią grobem.

Nocne powietrze było bardzo spokojne, ale zasnute dziwnymi

111

oparami, przeistaczającymi światło księżyca w mglistą poświatę. W powietrzu czy w tej mgle było coś szczególnego, może jakiś fluid magnetyczny — w każdym razie coś takiego, co w dziwny sposób oddziaływało na mnie. Doznałam uczucia podobnego do tego, jakiemu uległam mniej więcej przed rokiem w Anglii, pewnej nocy, kiedy promieniste smugi świetlne Aurory Borealis pędziły po niebie, a ja, spóźniona wśród samotnych pól, zatrzymałam się, aby obserwować — niby zgromadzone na paradę wojska ze sztandarami — to drganie światełek na szeregach nastawionych dzid, to szybkie wznoszenie się wysłańców Gwiazdy Polarnej ku ciemnemu, wysokiemu sklepieniu nieba. Nie czułam się ani szczęśliwa, ani tym bardziej nieszczęśliwa, ale silna odzyskaną, wzmożoną siłą.

Jeśli życie ma być walką, to moim przeznaczeniem było toczyć ją w pojedynkę. Rozmyślałam teraz, w jaki sposób mogłabym porzucić moje zimowe leże — rozstać się z obozem, w którym zabrakło pożywienia. Może dla dokonania tej zmiany wypadnie stoczyć ponowną regularną bitwę z losem? Byłam na to przygotowana: nie mając nic do stracenia, mogłabym tylko zyskać, o ile taka byłaby wola opatrności. Jaką jednak obrać w tym celu drogę? Jaki powziąć plan? Jaki plan i jaka droga byłyby dla mnie dostępne?

Wciąż jeszcze rozważałam w myśli to zagadnienie, kiedy księżyc, zamglony dotychczas, zajaśniał wyraźniejszym światłem: jeden z jego promieni błysnął nagle biało przed moimi oczami i w świetle tym zarysował się wyraźnie jakiś cień. Wpatrzyłam się uważnie, aby wyjaśnić sobie przyczynę tak ostro zarysowanego kontrastu, wyłonionego nagle w ciemnej alei. Im dłużej się wpatrywałam, tym wyraźniej rozróżniałam jego biało-czarny zarys, który w pewnej chwili przeistoczył się w kształt ściśle określony. Przedemną, w odległości około trzech jardów, stała wysoka, otulona w ciemną szatę, zakwefiona kobieta.

Upłynęło pięć minut. Nie uciekłam; nie krzyknęłam nawet. Zjawa stała nieporuszona.

Przemówiłam:

112

— Kim pani jest? I dlaczego mnie pani nawiedza?

Stała bez słowa. Nie widać było jej rysów: cała twarz prócz oczu była zamaskowana białym woalem; oczy wpatrzone były we mnie.

Nie czułam się szczególnie zbrojna w odwagę, byłam jednak niezłomnie zdecydowana dokonać zadania, wymagającego pewnej dozy bohaterstwa. Postąpiłam krok naprzód i wyciągnęłam rękę, zamierzając dotknąć zjawy, która zdawała się cofać przede mną.

Podeszłam bliżej: jej cofanie, dotychczas spokojne, stało się błyskawiczne. Gąszcz krzewów, zarośli i wszelkiego rodzaju pnączy stanął jak żywa przeszkoda pomiędzy mną a postacią, za

którą pośpieszyłam. Przedarłszy się wreszcie przez tę przeszkodę, rozejrzałam się dokoła. Nie było już nic. Czekałam, zawoławszy głośno:

— Jeśli masz jakąś sprawę do ludzi, powróć i przedstaw ją. Nie było odpowiedzi. Nic nie ukazało się ponownie.

Tym razem nie było doktora Johna, do którego mogłabym się zwrócić; nie było żywej duszy, której odważyłabym się szepnąć bodaj słówko o tym, że „widziałam mniskę ponownie”. Paulina Maria ściągała mnie często na Rue Crécy. Dawniej w Bretton, mimo że nigdy nie ujawniała szczególnego przywiązania do mnie, potrzebowała mojego towarzystwa, może nawet nieświadomie. Spostrzegłam, że ilekroć wycofywałam się do mojego pokoju, przydreptowała pospiesznie w ślad za mną i uchylając drzwi, aby zajrzeć do wnętrza, domagała się swoim zwykłym, nakazującym tonem:

— Niech pani zejdzie na dół. Dlaczego siedzi pani tutaj sama? Musi pani zejść do bawialni. W taki sam sposób nalegała teraz:

— Niech pani porzuci szkołę przy Rue Fossette i zamieszka z nami. Ojczulek płaciłby pani o wiele więcej, aniżeli Madame Beck.

Pan Home zaofiarował mi w istocie pokaźną sumę, trzykrotnie

113

przewyższającą moje ówczesne wynagrodzenie na pensji, o ile zgodziłabym się objąć stanowisko stałej towarzyszkii jego córki. Odmówiłam jednak. Myślę, że powinnam odmówić, nawet gdybym była po trzykroć biedniejsza, aniżeli byłam istotnie, gdybym miała mniej możliwości zarobkowania i bardziej ponure widoki na przyszłość. Tak źle jednak nie było. Mogłam wykładać, mogłam udzielać lekcji, ale stanowisko prywatnej guwernantki czy damy do towarzystwa było czymś przeciwnym mojej naturze. Wolałabym raczej pełnić obowiązki służącej, kupiłabym parę grubych rękawiczek, zamiatałabym i sprzątałabym pokoje sypialne i klatki schodowe, czyściłabym piece i kłamki, byleby zachować swobodę i niezależność. Zamiast być damą do towarzystwa, wolałabym szyć koszule na tuziny i przymierać głodem. Nie umiałabym być bezwolnym cieniem żadnej wytwornej damy — nawet panny de Bassompierre. Tak się składało, że przeznaczeniem moim było pozostawać stale w cieniu, usuwać się na drugi plan. Byłam ustępliwa i mogłam się podporządkować, ale to usuwanie na drugi plan i podporządkowanie musiały być dobrowolne. To mnie trzymało uległą przy moim biurku, pośród grona nawykłych już do mnie uczennic pierwszej klasy szkoły Madame Beck albo też samą we własnym łóżku w sypialni ogólnej czy w alei i na ławce ogrodowej, zwanej moją; moje kwalifikacje nie musiały być tutaj dostosowywane ani przeistaczane; nie mogły służyć za oprawę żadnego klejnotu, za ramę dla żadnej piękności; nie mogły być dopełnieniem żadnej potentatki w całym świecie chrześcijańskim. Madame Beck i ja, nie upodabniając się do siebie, rozumiałyśmy się dobrze nawzajem. Nie byłam jej towarzyszką ani guwernantką jej dzieci; pozostawiła mi swobodę działania; nie byłam u niej związana z nikim ani z niczym — ani z nią, ani nawet z jej interesami. Pewnego razu choroba jednego z najbliższych członków rodziny zatrzymała ją dwa tygodnie poza Villette. Kiedy powróciła pełna niepokoju o to, jak radzono sobie bez niej, przekonała się ku wielkiej

114

swojej radości, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku, jak być powinno; obdarowała wówczas hojnie każdą z nauczycielek i wychowawczyń z osobna w uznaniu wzorowego pełnienia przez nie ich obowiązków. Do mnie przyszła o drugiej w nocy oświadczać, że nie ma dla mnie żadnego prezentu.

— Muszę — rzekła — postępować tak, aby wierność St. Pier-re'ki opłaciła się jej przyniesieniem doraźnych, namacalnych korzyści, gdybym wszakże odważyła się uczynić to samo w stosunku do pani, panno Lucy, doprowadziłoby to do nieporozumień pomiędzy nami, bodaj nawet do naszego rozstania. Jedno wszakże mogę zrobić dla pani: nie ograniczać ani nie naruszać w niczym pani swobody, c'est-ce que je ferai}.

Dotrzymała słowa: od tej chwili zerwała nieodwołalnie wszelkie najłżejsze bodaj pęta, jakimi krępowała kiedykolwiek moją swobodę. Teraz już podwójną przyjemność sprawiało mi dobrowolne stosowanie się do ustanowionych przez nią reguł i przepisów. Chętnie poświęcałam dodatkowe godziny na pracę z uczennicami i dokładałam jeszcze więcej starań przy czuwaniu nad wychowankami, które powierzyła mojej opiece.

Co się tyczy Pauliny Marii de Bassompierre, odwiedzałam ją chętnie, mimo że nie zgodziłam się zamieszkać u niej. Odwiedziny te przekonały mnie rychło, jak trudno było przypuścić, aby moje towarzystwo, ofiarowywane dobrowolnie od czasu do czasu, miało być jej długo jeszcze niezbędne. Pan de Bassompierre ze swojej strony nie zdawał się dopuszczać nawet podobnej myśli, ślepy zupełnie na to, co działo się dokoła niego, nieświadomy jak dziecko wyraźnych oznak rozpoczynania się tego, co, doprowadzone do naturalnego końca, mogłoby nie zyskać jego uznania.

Zastanawiałam się właśnie nad tym, jak przyjąłby ten fakt i czy przyjąłby go całym sercem. Pochłaniały go zainteresowania nauko-

1 i to właśnie zrobię.

115

we. Bystry, przenikliwy, oporny, niełatwo dający przekonać się w sprawach dotyczących ulubionych jego studiów, dociekań i badań, łatwowierny był natomiast i nad miarę ufny w sprawach codziennego życia. Sądząc ze wszystkiego, co mogłam dostrzec, zdawał się uważać swoją „córusię” wciąż jeszcze za dziecko, niezdolny nawet przypuszczać, że ktokolwiek inny mógłby zapatrywać się na nią inaczej. Często mówił na przykład o tym, co będzie trzeba zrobić, kiedy „Poluchna” stanie się prawdziwą kobietą, kiedy dorośnie i dojrzeje, a „Poluchna”, stojąc przy jego fotelu, uśmiechała się, ujmując jego dostojną głowę w swoje małe rączki i całując przyprószone siwizną włosy; czasem znów odymała usta i potrzasała niecierpliwie lokami, nigdy jednak nie odpowiadała:

— Ojczulku, ależ ja jestem już dorosła!

Odmienny był jej sposób zachowania wobec różnych osób. Wobec ojca była zawsze jeszcze dzieckiem albo podobna do dziecka: serdeczna, wesoła, rozbawiona i beztroska. W moim towarzystwie była poważnie myślącą i głęboko czującą kobietą. W stosunku do pani Bretton uległa i ufna, nie wywnętrzała się jednak przed nią. Wobec Grahama była nieśmiała, chwilami bardzo onieśmielona; czasem znów usiłowała być oziębła, a nawet próbowała go unikać. Na odgłos jego kroków wzdrygała się; milkła, ilekroć wchodził do pokoju; kiedy się do niej zwracał, odpowiadała lękliwie; po jego odejściu była, jak się zdawało, niezadowolona z siebie, wyraźnie stropiona. Nawet pan de Bassompierre zauważył to dziwne jej postępowanie.

— Droga moja Poluchno — rzekł pewnego dnia — żyjesz zbyt samotnie, w zbytym oderwaniu od świata. Jeśli, wyrósłszy na kobietę, zachowasz w dalszym ciągu taki nieśmiały sposób bycia, nie nadasz się zupełnie do życia towarzyskiego. Zachowujesz się wobec doktora Brettona, jak gdyby był dla ciebie człowiekiem zupełnie obcym. Dlaczego? Czy nie pamiętasz, że jako mała dziewczynka szczególnie go faworyzowałaś?

116

— Owszem, pamiętam, ojczulku — odpowiedziała z lekka oschłym, mimo to łagodnym i naturalnym tonem.

— A teraz nie lubisz go? Co zrobił ci złego?

— Nic. T...ak, lubię go nawet troszkę; staliśmy się jednak dla siebie obcy.

— Zeskrob w takim razie ten nalot obcości, zeskrob rdzę przywarła do waszego wzajemnego stosunku. Rozmawiaj z nim więcej, kiedy przychodzi tutaj i nie obawiaj się go.

— Nie jest zbyt rozmowny. Jak myślisz, ojczulku, może to on raczej obawia się mnie?

— O, naturalnie! Czy mógłby znaleźć się mężczyzna, który nie obawiałby się takiej milczącej małej panienki?

— W takim razie powiedz mu kiedyś, żeby nie brał mi za złe mojego milczenia. Powiedz, że taka jestem zawsze i że nie czuję żadnej nieprzyjaźni do niego.

— Taka jesteś zawsze? Ty?! Mała gadulka, której buzia nie zamyka się ani na chwilę?! Nie, moja panienko, to tylko twój chwilowy kaprys, ale nie stały zwyczaj.

— W takim razie postaram się poprawić, ojczulku.

Była czarująca, kiedy próbowała nazajutrz dotrzymać słowa. Przyglądałam się, jak usiłowała prowadzić z doktorem Johnem ożywioną miłą rozmowę na ogólne tematy, a ta uprzejmość wywołała na jego twarzy rumieniec przyjemnego zdziwienia. Odpowiadał jej ostrożnie, jak mógł najłagodniej, jak gdyby w powietrzu snuła się pajęczka nieć szczęścia, którą bał się zdmuchnąć zbyt mocnym głosem i głębszym oddechem. Istotnie, zrobiła pierwszy poważny i zarazem nieśmiały krok do nawiązania przyjaźni. Tkwił w tym subtelny czarodziejski urok. Po odejściu doktora podeszła do fotela ojca.

— Dotrzyłam słowa, ojczulku? Dobrze się zachowałam?

— Moja mała Poluchna zachowała się jak królowa. Będę z niej dumny, jeśli poprawa ta będzie trwała w dalszym ciągu. Z czasem

117

będziemy świadkami przyjmowania przez nią moich gości ze spokojem i godnością prawdziwie wielkiej damy. Panna Lucy i ja będziemy musieli pilnie baczyć na nasze maniery, abyśmy nie zostali zaćmieni przez nią. Muszę zwrócić ci jednak uwagę, moja córeczko, że wciąż jeszcze jąkasz się od czasu do czasu, a nawet lekko seplenisz, co przypomina twoją wymowę, kiedy byłaś sześciolatkiem brzdącem.

— Nie, ojczulku — zaprzeczyła z oburzeniem — to nie może być prawda.

— Niech panna Lucy rozstrzygnie, czy nie mam racji. Proszę powiedzieć szczerze: prawda, że na pytanie doktora Brettona, czy widziała kiedy pałac księcia de Bois de l'Etang, odpowiedziała, że widziała go „klika” razy? Czy było tak, czy nie było?

— Jesteś méchant — niegodziwy — ojczulku! Wymawiam zupełnie dobrze wszystkie litery alfabetu, tak samo dobrze i wyraźnie jak ty. Ale proszę cię, powiedz: wymagasz ode mnie szczególnej uprzejmości dla doktora Brettona, a czy ty sam lubisz go tak bardzo?

— Oczywiście! Lubię go z racji dawnej naszej znajomości, a także dlatego, że jest takim dobrym synem dla swojej matki, nie mówiąc już o tym, że jest w ogóle zany, bardzo ludzki, dzielny i świetny w swoim zawodzie: tak, pyszne z niego homo! Jak zwykliśmy mawiać, to callant! — byczy chłop.

— Callanf!\ Odezwał się w tobie Szkot, ojczulku! Czy to wspomnienie z Aberdeenu czy z Edynburga?

— I jedno, i drugie, pieszczotko, a w dodatku i z Glasgow. One właśnie pozwalają mi mówić tak płynnie po francusku: dobrze wygimnastykowany język Szkota radzi sobie zawsze łatwo z tym francuskim.

— Z „tym francuskim”? I znów szkotyizm: jesteś niepoprawny, ojczulku. I tobie także przydałaby się dobra szkoła.

— Nie mam nic przeciwko przeszkoleniu mnie, ale musisz w takim razie nakłonić pannę Lucy, aby przyjęła nas oboje jako ucz-

118

niów, mnie i ciebie: tobie doda pewności siebie, a mnie ogładzi i nauczy mowy klasycznej. Sposób zapatrywania się pana de Bassompierre na „pannę Lucy” i jego opinia o niej sprawiły mi dużą satysfakcję. Jakie sprzeczne, wręcz przeciwstawne cechy charakteru bywają nam przypisywane zależnie od tego, kto wydaje o nas sąd! Madame Beck uważała mnie za osobę wykształconą, za rodzaj bas bleu — sawantki — nawet; panna Fanshave — za uszczypliwą, cyniczną i ironizującą; pan Home — za mistrzowską nauczycielkę, za wzór powagi i powściągliwości, za osobę zbyt surową i skrupulatnie konwencjonalną może, o nieco ciasnych horyzontach myślowych, ale w każdym razie za arcywzór guwernantki, gdy

tyczasem jeszcze ktoś inny — profesor Paul Emanuel — nie pomijał nigdy okazji wydawania sądu ujemnego o mnie, jako o naturze porywczej i zapalczywej, jako o ryzykantce, o nazbyt śmiałej poszukiwacze przygód; jako o osobie nie poddającej się żadnym wpływom, samowolnej i opornej. Przyjmowałam z uśmiechem te wszystkie sądy. Jeśli istniał człowiek znający mnie naprawdę, była nim Paulina Maria.

Ponieważ nie chciałam być nominalną, płatną jej towarzyszką, mimo że nasze wzajemne stosunki układały się coraz naturalniej i bardziej harmonijnie, skłoniła mnie do podjęcia wspólnych z nią studiów, aby tym sposobem zapewnić sobie stały, regularny kontakt ze mną. Zaproponowała wspólną naukę języka niemieckiego, który, podobnie jak i mnie, trudno jej było opanować. Zgodziłyśmy się, że nasze lekcje pod kierunkiem mojej dotychczasowej nauczycielki będą się odbywały na Rue de Crécy. Te lekcje łączyły nas parę razy tygodniowo na kilka godzin. Pan de Bassompierre zdawał się bardzo zadowolony z naszego postanowienia, które najzupełniej odpowiadało jego planom. Rad był, że „Pani Minerwa Powaga”, jak mnie nazywał, poświęci część wolnego czasu na wspólne studia z jego uroczą, drogą córeczką.

Ów inny samozwańczy mój sędzia, dowiedziawszy się o tym,

119

a raczej wykrywszy dzięki stałemu uprawianiu szpiegostwa, że nie przebywam już tak stale, jak dotychczas, w obrębie pensji Madame Beck, ale wychodzę w określone dni o tej samej porze, wziął sobie za zadanie poddać mnie ścisłej kontroli. Utrzymywano, że Monsieur Emanuel został wychowany w środowisku jezuickim. Gotowa byłabym uwierzyć w to, gdyby umiał lepiej ukrywać swoje podstępny. Że jednak zupełnie tego nie potrafił, nie wierzyłam w prawdziwość podobnych legend. Nie istniał bardziej otwarty aniżeli on agent śledczy, szerszy, mniej ukrywający się intrygant. Lubił przesiewać przez sito analizy krytycznej własne swoje machinacje, kunsztownie obmyślać intrygi i zupełnie otwarcie chęłpić się zręcznością ich przeprowadzania. Nie wiem, czy bardziej rozbawiło mnie, czy też oburzyło, kiedy pewnego rana podszedł do mnie, ostrzegając mnie uroczystym szeptem, że „ma na mnie oko”; że przynajmniej on spełni w stosunku do mnie obowiązek szczerego przyjaciela i nie pozostanie obojętny wobec moich niebezpiecznych pomysłów. Postępowanie moje mocno mu się nie podoba, nie wie, w jakim stopniu ciąży na Madame Beck wina tolerowania podobnego rozluźnienia i niestałości obyczajów u osoby należącej do personelu wychowawczego jej pensji. Co może mieć wspólnego nauczycielka, poświęcająca się poważnemu zadaniu kształcenia młodzieży, z światem hrabiów i hrabin, z pałacami i zamkami? Wydaje mu się, że od pewnego czasu jestem ustawicznie en l'air — że fruwać w powietrzu. Jest pewien, że wychodzę sześć razy w tygodniu.

— Przesadza pan — rzekłam. — Prawdą jest niewątpliwie, że więcej korzystam ostatnio z rozrywek, z pewnej odmiany, która bardzo mi się należała. Była mi bardzo potrzebna. Nie nadużywam jej jednak.

— Należała się pani?! Była pani potrzebna?! — I dotychczas chyba, jak ma prawo przypuszczać, nie było mi źle. Potrzebne mi rozrywki?! Potrzebna odmiana?! Powinam, jego zdaniem, porównać moje życie z życiem katolickich religieuses — zakonnice — i

120

zbadać je dokładniej. Im nie jest potrzebna odmiana, nie są potrzebne rozrywki.

Nie wiem, jaki wyraz odbił się na mojej twarzy podczas tego przemówienia Monsieur Paula, sprowokował go on jednak widocznie: zarzucił mi, że nie dbam o nic i o nikogo, że jestem lekkomyślna, nazbyt światowa, że jestem epikurejką, że mam wygórowane ambicje, że dotknięta jestem manią wielkości, że trawi mnie żądza zabaw, umiłowanie błyskotek i przepychu. Przekonuje się teraz, że brak mi zupełnie recueillement i devouement — skupienia i zdolności do poświęceń — że nie dbam o dobrodziejstwo łaski, nie mam wiary ani ducha ofiarności czy samoponizenia i pokory.

Czułam, że wszelka obrona przeciwko tym zarzutom byłaby nadaremny \ trwonieniem słów, toteż w dalszym ciągu w milczeniu poprawiałam zeszyty z angielskimi ćwiczeniami. Nie widzi we mnie ani jednej cechy prawdziwej chrześcijanki: na równi z większością innych protestantów tarzam się w grzechu dumy i samowoli pogaństwa. Odwróciłam z lekka głowę od niego, wtulając się bardziej jeszcze pod opiekuńcze skrzydło milczenia.

Zgrzytnął zębami, mruknawszy coś niewyraźnie: nie mogło to chyba być jur on — przekleństwo — był na to zbyt pobożny, jestem jednak prawie pewna, że usłyszałam wyraz sacre — do licha. Przykro mi wyznać, ten sam wyraz wszakże z dodatkiem mille — tysiąc (diabłów oczywiście) — wyrwał się z jego ust, kiedy w dwie godziny później minęłam go w korytarzu, gotowa do wybrania się na wspólną z Paulina Marią lekcję niemieckiego przy Rue Crécy.

Nie było na świecie lepszego pod pewnymi względami niż Monsieur Paul człowieka, pod innymi wszakże nie istniał dokuczliwszy i bardziej kąśliwy niż on despota. Nasza nauczycielka niemieckiego, Fraulein Anna Braun, była wartościową, dzielną kobietą w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat; powinna była może żyć w epoce królowej Elżbiety, spo-

121

żywała bowiem na pierwsze i drugie śniadanie marynowaną wołowinę — i popijała ją piwem; jej bezpośrednia, wylewna niemiecka natura zdawała się cierpieć okrutnie z powodu naszej, jak ją nazywała, typowo brytyjskiej powściągliwości. My same byłyśmy przekonane, co prawda, że jesteśmy bardzo serdeczne dla niej, nie klepałyśmy jej jednak bez ceremonii po plecach, a jeśli nawet pozwalałyśmy sobie od czasu do czasu pocałować ją w twarz, robiłyśmy to spokojnie, bez euforii. Ten brak w nas wybuchowej bezpośredniości i wylewności wielce ją gnębił, na ogół wszakże zżyłyśmy się z sobą wcale dobrze. Przywykła do nauczania cudzoziemek, niezbyt lubiących myśleć i pracować samodzielnie, nie mających pojęcia o pokonywaniu trudności usilną pracą i bardziej wnikliwym wgłębianiem się, uważała postępy, jakie czyniłyśmy, w rzeczywistości bardzo przeciętne, za prawdziwie zdumiewające. W jej pojęciu byłyśmy dwoma zamrożonymi dziwolągami: zimnymi, dumnymi istotami, prawdziwymi wyskokami natury.

Mała hrabianka była w istocie nieco wyniosła i wybredna; może nawet wrodzona delikatność i jej subtelna uroda usprawiedliwiały te właściwości charakteru, sądzę jednak, że było stanowczo błędem ze strony naszej Niemki przypisywanie ich również mnie. Nie zapomniałam nigdy o serdecznym przywitaniu naszej nauczycielki; Paulina, o ile tylko mogła, zbywała to dość pobieżnie; ani też nie należał do moich środków obronnych lekki grymas pogardy, jakim odymały się czasem usteczka Polly w odpowiedzi na jakiś bardziej bezceremonialny wyskok niemiecki.

Uczciwa Anna Braun odczuwała w pewnym stopniu tę różnicę; na wpół obawiając się Pauliny, na wpół wielbiąc w niej rodzaj uroczej nimfy — undyny — chroniła się chętnie pod moje skrzydła, jako istoty na wskroś ziemskiej, jako zwykłej, bardziej dostępnej śmiertelniczki.

Najbardziej lubiłyśmy czytać i tłumaczyć ballady Schillera. Paulina nauczyła się niebawem pięknie deklamować, czemu nasza

122

Fraulein przysłuchiwała się z rozszerzającym jej usta uśmiechem zadowolenia, twierdząc, że głos Pauliny brzmi jak muzyka. Mała hrabianka tłumaczyła również te ballady nader potoczyście, z wielkim zapalem poetyckim: policzki jej barwił żywy rumieniec, usta rozchyłał drżący uśmiech, piękne oczy zachodziły wilgotną mgiełką rozczulenia. Najpiękniejszych ustępów uczyła się na pamięć i często recytowała je, kiedy byłyśmy same, tylko we dwie. Do najbardziej ulubionych przez nią należała Des Madchen's Klage (Skarga dziewczyny). Lubiała

powtarzać słowa, w których dźwiękach dosłuchiwała się czarownej melodii, mimo że krytykowała ich sens. Pewnego wieczoru, kiedy siedziałyśmy przy kominku, wyrecytowała szeptem:

Du Heilige, rufę dein Kindzuruck, Ich habe genossen das irdische Gluck, Ich habe gelebt und geliebt!1

— Żyłam i kochałam! — powtórzyła. — Czy to ma być szczyt ziemskiego szczęścia, cel życia — kochać? Nie sądzę, aby tak było. Raczej może to być największą klęską dla śmiertelnika, stratą czasu jedynie, bezpłodną udręką uczucia. Gdyby Schiller powiedział: być kochaną — byłby bliższy prawdy. Powiedz, Lucy, czy być kochaną nie jest czymś zgoła odmiennym?

— Przypuszczam, że jest czymś odmiennym, po cóż jednak roztrząsać tę sprawę? Czym jest dla ciebie miłość? Jakie masz o niej pojęcie? Co wiadomo ci o miłości?

Spasowała z irytacji zarazem i ze wstydu.

— Słuchaj, Lucy — rzekła — nie zgadzam się, żebyś mnie tak

1 O, święta, odwołaj twe dziecię z powrotem, Zznałam szczęścia ziemskiego, Żyłam i kochałam.

123

traktowała. Wolno ojczulkowi uważać mnie za dziecko: wolę nawet, że tak zapatruje się na mnie, ty jednak wiesz i powinnaś uznać, że niedługo rozpocznę dziewiętnasty rok życia.

— Nie byłoby w tym wypadku różnicy, gdybyś nawet miała wkrótce rozpocząć dwudziesty dziewiąty rok; nie będziemy wyprzedzały budzenia się uczuć przedwczesnym mówieniem o miłości.

— Oczywiście, oczywiście! — zawołała z gorączkowym podnieceniem. — Możesz zagadywać mnie i powstrzymywać, ile ci się podoba, wiedz jednak, że słyszałam o tym ostatnio i mówiłam o tym również. I to dużo, w sposób nieprzyjemny, drażniący i uszczypliwy, w sposób, który zganiłabyś na pewno.

Podrażnione, triumfujące, śliczne, zbuntowane stworzenie roześmiało się. Nie mogłam zrozumieć, co właściwie miała na myśli, nie chciałam jednak pytać o to; byłam zaskoczona. Widząc jednak najzupełniejszą niewinność w jej zachowaniu — połączoną z lekkim odcieniem przekory i rozkapryszenia — powiedziałam wreszcie:

— Kto mógł mówić z tobą w sposób nieprzyjemny i uszczypliwy o podobnych sprawach? Kto spośród ludzi mających dostęp do ciebie ważyłby się na to?

— Lucy — rzekła tonem znacznie łagodniejszym — jest to osoba, która sprawia nieraz, że czuję się bardzo nieszczęśliwa, chciałabym też, aby trzymała się ode mnie jak najdalej — nie życzę sobie jej towarzystwa.

— Ale kto to może być, Paulino? Twoje słowa są dla mnie prawdziwą zagadką.

— To... to moja kuzynka Ginevra. Ilekroć zmuszona jest przestać bywać u pani Cholmondeley, przychodzi tutaj, a jeśli udaje jej się zastać mnie samą, zaczyna opowiadać mi o swoich wielbicielach. O miłości, naturalnie! Szkoda, że nie możesz słyszeć wszystkiego, co ma do powiedzenia na ten temat.

— O, słyszałam te wywody z jej ust niejednokrotnie — odparłam oziębło. — Może dobrze się stało, że i ty miałaś okazję je

124

usłyszeć. Nie należy żałować tego — wszystko jest w porządku, jak być powinno. Bo przecież umysłowość Ginevry nie może mieć wpływu na twoją. Łatwo jest przejrzeć ją na wskroś, zarówno jej głowę, jak jej serce.

— Przeciwnie, wywiera na mnie wpływ, i to znaczny. Potrafi zmać mi szczęście i zburzyć zupełnie moje sądy. Rani moje uczucia, kalając najdroższych mi ludzi.

— Cóż ona takiego może mówić, Paulino? Daj mi jakiś konkretny przykład. Można by przeciwdziałać krzywdzie, jaką ci wyrządza.

— Osoby, dla których żywiłam najwyższy szacunek, których bliskości pragnęłam całą duszą, zostały oczernione przez nią, poniżone w moich oczach. Nie oszczędza nawet pana Grahama... nie oszczędza... Grahama także.

— Wyobrażam sobie. Ciekawa jestem tylko, w jaki sposób może pogodzić to oczernianie ze swoim uczuciem... ze swoją miłością. Bo chyba musi je jakoś godzić?

— O, jest zuchwała i fałszywa; tak mi się wydaje. Znasz doktora Brettona. Znamy go obie. Jest może nieco lekkomyślny, wyniosły; czy podobna jednak zarzucić mu postępowanie niskie, niegodne, wiarołomne? Codziennie opisuje mi go, klęczącego u jej stóp, nie odstępującego jej ani na krok, wlokącego się za nią jak cień. Zapewnia, że odpycha go od siebie zniewagami, on jednak nie daje się odstraszyć. Jest tak zakochany, że błaga ją o litość. Powiedz, Lucy, czy to może być prawda? Czy cokolwiek z tego, co opowiada Ginevra, jest prawdą?

— Może i prawdą jest, że był czas, kiedy uważał ją za przystojną. Czy w dalszym ciągu panna Fanshave mówi o nim jako o swoim wielbicielu, starającym się o jej rękę?

— Utrzymuje, że mogłaby wyjść za niego za mąż, kiedy tylko kiwnie palcem; Graham czeka z utęsknieniem na wyrażenie przez nią zgody na jego błagalne prośby.

125

— Czy te opowiadania właśnie są przyczyną twojej niezrozumiałej powściągliwości wobec doktora Grahama, która nie uszła już nawet uwagi twego ojca?

— Niewątpliwie posiały one we mnie ziarno wątpliwości co do jego charakteru. Przyznać muszę, że w słowach Ginevry nie czuję szczerości. Przypuszczam, że przesadza ona co najmniej, może nawet zmyśla — chciałabym jednak wiedzieć, w jakim stopniu.

— A gdybyśmy tak poddały pannę Ginevrę pewnej próbie? Gdybyśmy dały jej możliwość udowodnienia, że ma nad nim tę władzę, którą tak się przechwala?

— Mogłabym zrobić to już jutro. Ojczulek zaprosił na obiad kilku panów, samych uczonych. Graham, który, jak ojczulek zaczyna przekonywać się, należy do ich grona, i to nie w jednej tylko dziedzinie wiedzy, jak słyszę, będzie również obecny. Czułabym się oczywiście zbyt zakłopotana, gdybym musiała zasiadać przy stole w podobnym gronie sama, nie wspierana przez nikogo. Nie mogłabym przecież rozmawiać z panami A. i Z. z Akademii Paryskiej. Moja świeżo zdobyta opinia młodej osoby, umiejącej należycie zachować się, byłaby poważnie zagrożona. Ty, Lucy, i pani Bretton musicie przyjść także, przez wzgląd na mnie nade wszystko; co do Ginevry, jestem pewna, że przybiegnie na pierwsze skinienie.

— Doskonale. Zakomunikuję jej w takim razie, że ją zapraszasz. Będzie miała w ten sposób okazję udowodnienia swojej prawdomówności.

Rozdział VII Hotel Crecy

Dzień następny był pełen wydarzeń, których ani Paulina, ani ja — a w każdym razie ja na pewno — nie spodziewałyśmy się. Jeden z młodych księżąt Labassecour — najstarszy, o ile pamiętam, Duc de Dindonneaux — obchodził właśnie urodziny i z tej okazji zarządzono zawieszenie wykładów w szkołach, a zwłaszcza w głównym Athenee, czyli kolegium. Młodzież tego zakładu naukowego zreagowała i postanowiła złożyć adres hołdowniczy, miała też w tym celu zgromadzić się w gmachu publicznym, w którym urządzone były doroczne egzaminy i odbywało się rozdawanie nagród. Po złożeniu adresu hołdowniczego miało nastąpić wygłoszenie discours, czyli oracji, przez jednego z profesorów. Kilku spośród uczonych przyjaciół pana de Bassompierre, bardziej czy mniej blisko związanych z Atheneum, zamierzało wziąć udział w tej uroczystości wraz z serwilistycznym zarządem miejskim Villette, z panem Chevalierem Staasem, burmistrzem, a także z rodzicami i krewnymi wychowanków. Przyjaciele pana de Bassompierre poprosili go, żeby im towarzyszył i wyrazili nadzieję, że jego piękna córka znajdzie się również w ich gronie.

Zaskoczona zaproszeniem, napisała do mnie i do Ginevry, prosząc nas o wczesne przybycie, abyśmy mogli pójść z nią.

W trakcie wspólnego naszego ubierania się, panny Fanshave i mojego, w sypialni szkolnej przy Rue Fossette, Ginevra wybuchła nagle głośnym śmiechem.

— Co się stało? — zapytałam stropiona. Wpatrywała się we mnie tak uporczywie, że na chwilę przestała się stroić.

— O, jakie to dziwne — odparła ze zwykłą swoją uczciwą i zuchwałą zarazem bezpośredniością — że pani pozycja towarzyska

127

i moja zrównały się. Bywamy u ludzi z tej samej sfery i mamy te same stosunki.

— Tak — przyznałam. — Niewielki jednak żywiłam szacunek dla znajomości, jakie uprawiała pani do niedawna: pani Cholmon-deley z całym jej środowiskiem nie była i nigdy nie byłaby w moim guście.

— Kim pani jest właściwie, Miss Snowe? — zagadnęła mnie tonem tak nie ukrywanego, niekłamane go zaciekawienia, że teraz ja z kolei głośno się roześmiałam.

— Sama pani — mówiła dalej — nazywała siebie boną do dzieci i rzeczywiście, kiedy pani po raz pierwszy zjawiała się tutaj, wystąpiła pani w roli bony czy piastunki dzieci pani Beck. Widywałam panią noszącą na ręku małą Georgette, czego nie zwykły robić nawet bony, a teraz Madame Beck zachowuje się wobec pani grzeczniej niż wobec naszej paryżanki, St. Pierre, a ta dumna sroka, moja kuzynka de Bassompierre, traktuje panią jak najserdeczniejszą przyjaciółkę!

— Nadzwyczajne! — przyznałam jej słuszość, ubawiona jej zdumieniem. — Kim jestem istotnie? Może zamaskowaną, występującą w przebraniu wybitną osobistością? Szkoda, że na to nie wyglądam.

— Najciekawsze, że nie zdaje się to pani wcale pochlebiać — dodała — przyjmuje pani wszystko z dziwnym spokojem. O ile jest pani naprawdę zwykłą istotą bez znaczenia, nikim, jak zawsze przypuszczałam, musi w żyłach pani płynąć szczególnie rybia krew.

— O ile jestem zwykłą istotą bez znaczenia, nikim, jak przypuszczała pani zawsze — powtórzyłam nieco podrażniona, nie mając zresztą zamiaru obrażać się na nią. Jakie znaczenie mogło mieć użycie przez niedowarzoną pensjonarkę określeń: nikt czy ktoś? Poprzestałam więc na zrobieniu uwagi, że udało mi się szczęśliwie natrafić na wyjątkowo uprzejmych ludzi.

128

— Czy naprawdę uważa pani — dodałam — że okazywana nam uprzejmość winna oszałamiać nas tak bardzo?

— Niech pani mówi, co chce, jest to jednak bardzo dziwne — upierała się. — Trudno pogodzić się z niektórymi rzeczami.

— Z czym trudno się pogodzić? Z wytworami pani fantazji?!... Gotowa jest pani nareszcie, panno Ginevro?

— Tak. Wezmę panią pod rękę.

— Wołałabym, abyśmy szły obok siebie.

Biorąc mnie pod rękę, opierała się na mnie całym ciężarem swojego ciała, że zaś nie byłam ani mężczyzną, ani jej wielbicielem, nie podobało mi się to.

— I znów to samo! — zawołała. — Chciałam wziąć panią pod rękę, by wykazać moje uznanie dla pani stroju i całego wyglądu; było to z mojej strony pochlebną oceną pani powierzchowności.

— Ach, tak? Innymi słowy, chciała pani wyrazić w ten sposób, że nie wstydy się pokazywać w moim towarzystwie na ulicy? Że w razie gdyby pani Cholmondeley pieściła ulubionego pinczerka w którymś z okien wychodzących na ulicę albo gdyby pułkownik de Hamal zajęty

był na balkonie dłubaniem w zębach i któreś z nich dostrzegło nas obie przypadkiem, nie okryłaby się pani pąsem wstydu za swoją towarzyszkę?

— Tak — potwierdziła ze szczerością, stanowiącą największą jej zaletę i nadającą jej zmyśleniom cechę uczciwej prostoty. Było to zresztą jedyną sympatyczną cechą jej charakteru, który, gdyby nie to, odstraszałby wszystkich.

Zadałam sobie trud, by skomentować owo „tak”, a raczej dolna moja warga pospieszyła wyprzedzić mój organ mowy: szacunek i uroczysta powaga nie były oczywiście uczuciami, jakie wyraziłam rzuconym na nią przy tym spojrzeniem.

— Szydercza, cyniczna istoto! — dodała Ginevra w chwili, kiedy przeszliśmy na przełaj przez wielki skwer i znalazłyśmy się

129

w cichym, miłym parku, stanowiącym najkrótszą drogę na Rue Crécý.

— Nie znam osoby, która peszyłaby mnie w tym stopniu co pani!

— Nie moja w tym wina. Najlepiej zrobiłaby pani, trzymając się ode mnie z daleka i nie interesując się moją osobą. Na pewno ja pierwsza nie zaczepię pani.

— Jak gdyby można było trzymać się z dala i nie interesować się panią! Taka jest pani tajemnicza i dziwna!

— Ta moja rzekoma tajemniczość i dziwaczność jest tylko pani wymysłem. Powtarzam, że najlepiej pani robi, nie strojąc mnie w nie i możliwie wykreślając je z pamięci.

— Ale czy naprawdę jest pani kimś? — nalegała, nie dając się zbić z tropu i, wbrew mojej woli próbując wsunąć mi swą rękę pod ramię, które w sposób wielce niegościnnie przycisnęłam mocno do boku, aby nie dać dostępu intruzowi.

— Tak — rzekłam — należę do typu karierowiczów pnących się coraz wyżej po szczeblach drabiny społecznej; zaczęłam od roli towarzyszki pewnej wiekowej niewiasty, potem byłam piastunką małych dzieci, a teraz jestem nauczycielką szkolną.

— Niech mi pani powie, błagam panią, kim jest pani naprawdę. Nie powtórzę tego nikomu — nalegała, nie dając za wygraną i nie rezygnując ze swojej koncepcji, że jestem kimś innym. Wcisnąwszy przemocą swoją rękę pod moje ramię, które zagarnęła teraz już w wyłączne posiadanie, nie przestawała przymilać się i błagać mnie o wyjaśnienie rzekomej tajemnicy, aż wreszcie doprowadziła mnie do głośnego wybuchu śmiechu, który nie pozwolił mi iść dalej. Musiałam się zatrzymać. Nie zrażona i tym jednak, rozwijała w dalszym ciągu w najfantastyczniejszy sposób ten wymaginowany przez siebie temat, dając swoją upartą wiarą czy niewiarą dowód, że nie jest w stanie wyobrazić sobie osoby, która nie mając oparcia w przywilejach wynikających z urodzenia, majątku, wielkiego nazwiska czy

130

wielce wpływowych stosunków, mogłaby utrzymać pewną niezależność i zyskać szacunek.

Co do mnie, to wystarczało mi najzupełniej przeświadczenie, że znają mnie ci, na których mi zależy. Inne względy, jak: drzewo genealogiczne, pozycja towarzyska czy zasób wiedzy miały dla mnie małe znaczenie, zajmując to samo mniej więcej miejsce i obszar w kręgu moich myśli i zainteresowań. Należały do trzeciorzędnych lokatorów, którym mogłam dać do dyspozycji jedynie skromną bawialnię czy małą tylną sypialnię, chociażby nawet wielka jadalnia i salon były puste. Nie przyszłoby mi nigdy na myśl ulokować ich tam; uważałam, że skromniejsze pomieszczenie jest dla nich bardziej odpowiednie. Przekonałam się, że świat inaczej ocenia te rzeczy i chociaż przyznaję światu słuszność pod tym względem, wierzę jednak zarazem, że i ja nie jestem w zupełnym co do tego błędzie.

Są ludzie, którzy czują się moralnie poniżeni, zajmując poszczególne stanowiska; ludzie, którzy utratę pozycji towarzyskiej okupują utratą szacunku dla samych siebie. Czyż jednostki tego typu nie są usprawiedliwione, przywiązując najwyższe znaczenie do wartości, które są jedyną ich obroną przed samoponiżeniem? Jeśli człowiek uważa, że we własnych oczach stałby się godzien pogardy, gdyby dowiedziano się, że jego przodkowie pochodzili z ludu i

nie posiadali tytułu szlacheckiego, byli ubodzy i nie rozporządzali majątkiem, byli pracownikami, a nie kapitalistami, czy byłoby słuszne potępiać go za ukrywanie przed światem tych faktów, za lęk przed nieprzyjaznym trafem, który mógłby go zdemaskować? Im dłużej żyjemy, tym więcej nabieramy życiowego doświadczenia, tym mniej skłonni jesteśmy do surowego sądenia naszych bliźnich, do podawania w wątpliwość opinii świata. Gdziekolwiek dostrzegamy uciekanie się do drobnych środków obrony, które mają na względzie uchronienie fałszywej cnoty udającej niewinną skromność, czy utrzymanie powszechnego szacunku przez człowieka o wybitnej pozycji towarzyskiej, możemy być pewni, że były one konieczne.

131

Dotarliśmy wreszcie do hotelu Crecy. Zastałyśmy Paulinę gotową już do wyjścia w towarzystwie pani Bretton i ojca; udałyśmy się za nimi na miejsce zgromadzenia, gdzie ulokowano nas wygodnie w pewnej odległości od głównej estrady. Młodzież szkolna z Atheneum wprowadzona została do sali przed nami; zarząd miejski z burmistrzem na czele zajął fotele honorowe, młodzi książęta wraz z ich opiekunami i wychowawcami umieszczeni byli na specjalnie przeznaczonym dla nich podium; resztę obszernej sali wypełniali przedstawiciele miejscowej arystokracji oraz najznakomitsi, najbardziej poważani obywatele miasta.

Do tego momentu nie interesowałam się osobą profesora, który miał wygłosić discours. Przypuszczałam, że na mównicy stanie któryś ze znanych uczonych i wygłosi okolicznościową mowę, która będzie zarazem zobrazowaniem wytycznych misji wychowawczej kierownictwa Atheneum i wyrazem hołdu złożonego młodemu księżętom. W chwili naszego wejścia estrada była jeszcze pusta, nie upłynęło jednak dziesięć minut, a zappełniła się do ostatniego miejsca. Nagle, w jednej sekundzie, wzniosły się ponad przybraną szkarłatem mównicą: głowa, tors i ramiona. Znałam tę głowę. Jej kształt i barwa były dobrze znane zarówno mnie, jak pannie Fanshave: czerń i gładkość oblepionej włosami czaszki, szerokość bladego czoła, ognisty błysk błękitnych oczu stanowiły szczegóły tak mocno wrosłe w naszą pamięć i nasuwające tyle dziwacznych skojarzeń, że nagłe ich zjawienie się przed nami omal nie pobudziło nas do wybuchu śmiechu. Co do mnie, muszę wyznać, że gorąco mi się zrobiło z powstrzymywania całą siłą tej chęci, musiałam się pochylić i zasłonić usta chusteczką, czyniąc z niej jedyne go świadka mojego rozbawienia.

Wydaje mi się, że ucieszył mnie widok Monsieur Paula, że miło było raczej, aniżeli niemiło, mieć go tutaj przed sobą, na tej katedrze, pełnego zapału i szczerości, posępnego i łagodnego, doświadczone-

132

go i nieulękiego, jak gdyby panował nad słuchaczami z katedry w swej klasie. Jego obecność była dla mnie wielką niespodzianką: nie przeszło mi ani na chwilę przez myśl, że spotkam go tutaj, mimo że wiedziałam o zajmowaniu przez niego katedry belles-lettres — literatury — w kolegium. Widząc go na tej trybunie można się było spodziewać, że nie usłyszy się ani czczych formułek, ani pustych pochlebstw. Mimo takiego przeświadczenia wyznaję szczerze, że nie byłam przygotowana na to, co dane nam było wysłuchać, co spadło nagle lawiną na nasze biedne głowy.

Mówił do książąt, do zgromadzonej szlachty, do wysokich urzędników i do obywateli miasta z tą samą surową, gniewną powagą, z jaką zwykł zwracać się do wszystkich trzech oddziałów zakładu naukowego przy Rue Fossette. Do wychowanków kolegium zwracał się nie jak do żaków, ale jako do przyszłych obywateli kraju, w których sercach posiany był zaród miłości ojczyzny. Epoka, jaka miała nastąpić w Europie, nie była jeszcze przeczuwana nawet i dlatego ideologia Monsieur Paula wydawała mi się czymś zgoła nowym, objawieniem nieledwie. Kto mógł wówczas przypuścić, że płaski, żyzny kraj, jakim jest Labassecour,

stanie się kolebką przekonań politycznych i uczuć narodowych z taką mocą wyrażanych w tej chwili? Nie uważam za potrzebne zdawać w tym miejscu sprawy z poglądów politycznych, jakie wygłosił, niech mi wolno będzie jednak powiedzieć, że wierzyłam zarówno w szczerść i głębię jego przekonania, jak w słuszność tego, co mówił. Mimo że ponosił go zapał, był surowy i rozsądny: potępiał bezwzględnie pozbawione realnych podstaw marzenia utopistów; szydził z nie mających szans urzeczywistnienia dzikich urojeń; ilekroć wszakże stykał się z przejawami tyranii, rozbłyskał w jego oczach żar, który warto było oglądać, a kiedy piętnował niesprawiedliwość, głos jego nie brzmiał już niepewnie, przypominając raczej potężny dźwięk trąby, rozlegający się w parku o zmierzchu.

Nie przypuszczam, aby słuchacze w pełni podzielali ten pło-

133

mienny fcał, niektórym jednak spośród młodych wychowanków kolegium udzielił się ogień, z jakim tak wymownie wskazywał im drogę, którą winni kroczyć w imię przyszłości własnego kraju(w imię przyszłości całej Europy. Kiedy zakończył, nagrodzili go hucznymi, długotrwałymi oklaskami; bez względu na jego surowość i gwałtowność był ich ulubionym profesorem.

W chwili kiedy nasze towarzystwo opuszczało hall, stał przy drzwiach wyjściowych.

Dostrzegł mnie, poznał, uchylił kapelusza, podał mi w przejściu rękę i szepnął:

—Qu'en dites-vous?

Pytanie to, tak typowe dla niego, przypomniało mi nawet w momencie jego triumfu ciągły niepokój wewnętrzny, którego nie potrafił opanować oraz porywczosć, którą mnie zrażał do siebie. Nie powinno go wcale obchodzić, co ja czy ktokolwiek inny myślimy o tym; obchodziło go to jednak, był też zbyt szczery, zbyt impulsywny, aby to ukrywać. Otóż, o ile brałam mu za złe nadmierny zapał, podobała mi się jego dziecięca naiwność. Pochwaliłabym go chętnie, byłam pełna najszczerzego uznania dla niego, niestety wszakże, nie umiałam, zdobyć się na słowa pochwały. Kto właściwie znajduje odpowiednie słowa w odpowiednim momencie? Wybąkałam nieudolnie jakieś wyrazy, ustępując z prawdziwą przyjemnością zbliżającej się grupie ludzi, którzy obsypali go komplementami i powin-szowaniami.

Jeden z panów przedstawił go panu de Bassompierre, który, szczerze zachwycony również, zaprosił go na obiad wydawany w hotelu Crécý dla swoich przyjaciół (większość z nich była zarazem przyjaciółmi Monsieur Emanuela). Monsieur Paul nie przyjął jednak zaproszenia, powodowany zwykłym swoim onieśmieleniem wobec uprzejmości okazywanych mu przez ludzi możnych: świadczyło to tyleż o sile jego umysłu, ile o niezawisłości jego charakteru.

Cecha

1 Cóż pani o tym powie?

134

ta nie rzucała się może w oczy od razu, tym miłsze wszelako sprawiała wrażenie, kiedy się ją odkrywało po bliższym poznaniu. Na ponowioną przez pana de Bassompierre prośbę zgodził się przyjść po obiedzie wraz z przyjacielem swoim, panem A., członkiem Francuskiej Akademii Nauk.

Tego wieczoru przy obiedzie obie młode dziewczyny, Ginevra i Paulina, wyglądały, każda w swoim rodzaju, bardzo pięknie: pierwsza z nich górowała może urokiem czysto fizycznym, drugą cechował wdzięk bardziej subtelny, ujawniający się głębią wyrazu i pro-miennoscią oczu, słodyczą, jaką tchnęły rysy jej twarzy, wrażliwej na zmienne odczucia i nastroje.

Ciemnoszkarłatna suknia Ginevry podkreślała złocistość jej loków, harmonizując z jej cerą świeżą jak płatki kwiatu. Strój Pauliny, wytworny, lekki i jasny, biały właściwie, stanowił tło, wdzięcznie uwydatniające kameliową delikatność jej skóry, łagodną miękkość ruchów, wyraz głębokiej tkliwości przyczajony w oczach, jedwabiste bogactwo ciemnych włosów — znacznie ciemniejszych w każdym razie, aniżeli jej kuzynki — i ciemnych również brwi i rzęs, promiennosć tęczy i ruchliwość wielkich źrenic. Natura zaznaczyła te same

szczegóły powierzchowności panny Fanshave w sposób dość lekki, jak gdyby nieco niedbale, gdy każdy rys panny de Bassompierre był skończeniem doskonałym, wyrzeźbiony możliwie najsubtelniej.

Jakkolwiek onieśmielona obecnością tylu ludzi nauki, nie zaniemówiła jednak Paulina całkowicie: od czasu do czasu dorzucała skromne słówko, ujmując pełnym wdzięku brakiem pewności siebie. Widać było, że przychodzi jej to z pewnym wysiłkiem. Tyle było jednak naturalnej słodyczy w jej sposobie mówienia, a zarazem czynione przez nią uwagi były tak rozsądne i trafne, że ojciec niejednokrotnie przerywał własne przemówienie w pół słowa, aby słuchać, co miała do powiedzenia, a co napępniało go szczerą dumą i rozkoszą. Tym, któremu udało się zrećźnie wciągnąć Paulinę do rozmowy, był bardzo gładki, uprzejmy Francuz, wielki uczony, za-

135

razem człowiek o prawdziwie dworskich manierach. Byłam zachwycona nieskazitelną francuszczyzną Pauliny: doskonałym akcentem, literacko prawidłową budową zdań, głębokim wyczuciem ducha języka, nie wyłączając nawet umiejętności posługiwania się jego osobliwymi idiomami. Ginevra, która spędziła połowę życia na kontynencie, w połowie nawet nie dorównywała kuzynce pod tym względem. Nie znaczy to, że brak jej było kiedykolwiek słów, niezdolna była jednak zdobyć się na podobną ścisłość i czystość stylu; trudno było też przypuszczać, aby mogła kiedykolwiek osiągnąć w podobnym stopniu zdolność władania językiem francuskim. I pod tym względem również pan de Bassompierre, wyjątkowo surowy w swoich wymaganiach lingwista, był wielce zadowolony z córki. Wśród obecnych znajdował się jeszcze jeden uważny słuchacz i obserwator, który, z racji obowiązków zawodowych, przybył na obiad mocno spóźniony. W momencie wejścia doktora Brettona i zajęcia przez niego miejsca przy stole obie młode panie były zajęte rozmową, co umożliwiło mu przedłużenie dyskretnej obserwacji. Panna Fanshave rychło jednak spostrzegła widocznie jego obecność, dotychczas bowiem obojętna na to co działo się dookoła niej, ożywiła się nagle, twarz jej okraślił uprzejmy uśmiech, a z ust posypały się kaskady słów. To, co mówiła, nie miało oczywiście wiele sensu — a w każdym razie nie dorastało do ogólnego poziomu rozmowy, prowadzonej tego wieczoru przy stole. Jej lekkie, pozbawione treści szczebiotanie mogło podobać się niegdyś Grahamowi. Kto wie nawet, czy nie podobało mu się w dalszym ciągu. Może wyobrażałam sobie tylko, że jego miłe wrażenia były powierzchowne, a jego żywy umysł i subtelny smak nie znajdowały prawdziwego zadowolenia w słuchaniu jej szczebiotu. Faktem było, bądź co bądź, że na natarczywe narzucanie się Ginevry jego uwadze odpowiadał grzecznie, taktownie, jego zachowanie nie było ani oziębłe, ani szorstkie; Ginevra była jego sąsiadką przy stole, dlatego też przez cały czas trwania obiadu zwracał się prawie wyłącznie do niej. Była z tego bardzo

136

zadowolona i po obiedzie przeszła do salonu w doskonałym humorze.

Jak tylko jednak znalazłyśmy się w tym pozbawionym męskiego towarzystwa ustroniu, sposępniała ponownie i zobojętniała: rzuciwszy się na kanapę, oświadczyła, że jej zdaniem i discours — rozprawy — i sam obiad były potwornie głupie, zapytała też kuzynkę, jak nie przykrzy się jej słuchać gadaniny takiej bandy gros bonnets — nadętych uczonością nudziarzy, których ojciec jej gromadzi przy swoim stole. Jej drwiny i urągania ustały jednak z chwilą, kiedy uszu naszych doszedł odgłos kroków męskich po schodach. Zerwała się natychmiast z kanapki i podbiegła do fortepianu, którego klawisze zaatakowała z wielką energią. Doktor Bretton wszedł jeden z pierwszych i zajął miejsce obok niej. Przyszło mi na myśl, że niedługo tu posiedzi: miałam nadzieję, że pociągnie go grupa zgromadzona przy kominku, okazało się jednak, że poprzestał jedynie na obserwowaniu jej. Przez ten czas grupa się powiększyła, inni stopniowo przyłączali się do niej.

Wdzięk postaci i umysłu Pauliny oczarował poważnych Francuzów: subtelność jej urody, ujmujące obejście, wrodzony niezawodny takt odpowiadały ich gustom, zgromadzili się więc wszyscy dokoła niej, nie po to oczywiście, aby prowadzić z nią uczone rozmowy, czym onieśmieliliby ją do reszty, ale by roztrząsać z nią rozmaite problemy literackie, artystyczne i społeczne, bo na te tematy, jak rychło okazało się, wiele czytała i więcej jeszcze rozmyślała samodzielnie. Słuchałam. Pewna jestem, że jakkolwiek Graham trzymał się z dala, on także przysłuchiwał się uważnie: miał równie wyostrzony słuch jak wzrok, zdolny podchwytować wszystko w lot. Wiedziałam, że śledzi przebieg dyskusji, czułam też, że sposób, w jaki jest prowadzona, podoba mu się niezmiernie, aż do bólu nie-ledwie.

Paulina miała większą siłę zarówno uczucia, jak charakteru, niż można się było spodziewać, niż Graham mógł sobie wyobrazić, niż

137

ona sama skłonna była kiedykolwiek ujawniać wobec ludzi, którzy nie chcieli tego widzieć. Prawdę mówiąc, kochany czytelniku, nie istnieje doskonałe piękno ani skończony wdzięk, ani także głębsza kultura duchowa bez siły w tej samej mierze doskonałej, pełnej i godnej pokładania w niej ufności. Równie mało można byłoby spodziewać się obfitego kwitnienia i owocowania drzewa pozbawionego korzeni i soków, jak wdzięku zdolnego utrzymać się trwale u osoby słabej i zgnuśnialej. Przez krótką chwilę może kwitnący pozór piękna zdobić istotę słabą, nie jest zdolny jednak wytrzymać najłżejszego podmuchu: blaknie i zanika rychło, nawet podczas najbardziej słonecznej pogody. Graham zdumiałby się, gdyby jakiś geniusz opiekuńczy podszeptnął mu uwagę o sile ducha, podtrzymującej tę subtelną istotę, ja wszakże, która znałam ją, kiedy była jeszcze dzieckiem, wiedziałam lub domyślałam się, jak silne i zdrowe korzenie podtrzymywały jej ujmujący wdzięk i jak mocno wiązały go z realnym gruntem.

Gdy doktor Bretton słuchał i czekał na utworzenie wylomu w zwartym zaczarowanym kole, wzrok jego, który błędził niespokojnie od czasu do czasu po całym pokoju, padł przypadkowo na mnie, siedzącą w zacisznym kąciku w pobliżu mojej matki chrzestnej i pana de Bassompierre, zajętych, jak zazwyczaj, przerzucaniem się „na cztery ręce” żartobliwymi docinkami, jak nazwałby to pan Home, czy urządzających sobie miłe tete-u-tete wedle określenia samego hrabiego. Graham uśmiechnął się porozumiewawczo, podszedł ku mnie i zapytał, jak się czuję, przy czym zwrócił uwagę na moją bladłość. Ja także uśmiechnęłam się na myśl o tym, że doktor John nie zamienił ze mną paru słów od trzech miesięcy bez mała, z czego najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy. I teraz usiadł, nie odzywając się więcej do mnie. Wolał, jak się zdaje, patrzeć niż rozmawiać. Ginevra i Paulina siedziały teraz naprzeciwko niego: mógł przypatrywać im się do woli, studiować z jednakową wnikliwością obie postaci i twarze.

138

Po obiedzie zjawilo się w salonie jeszcze kilka osób, pań i panów, którzy wpadli do gościniego domu pana de Bassompierre na wieczorną pogawędkę. Dostrzegłam surową, ciemną sylwetkę, krążącą w jednym z dalszych salonów i wyłaniającą się chwilami w polu mojego widzenia; Monsieur Emanuel znał wielu z obecnych panów, był jednak, sądzę, nie znany większości pań poza mną i Ginevrą. Rzucając okiem w kierunku kominka, musiał mnie zauważyć, zrozumiałe więc, że zrobił ruch taki, jak gdyby chciał podejść do mnie; dostrzegł jednak doktora Brettona, zmienił zamiar i cofnął się. Gdyby skończyło się na tym, nie byłoby powodu do obrazy. Nie poprzestał wszakże na samym wycofaniu się. Ściągnął gniewnie brwi, wysunął pogardliwie dolną wargę i przybrał tak ponurą minę, że odwróciłam oczy od tego niemilego widoku. Wraz z nim przybył także jego brat, Monsieur Joseph Emanuel, który od razu zastąpił tkwiącą wciąż przy fortepianie Ginevrę Fanshave. Jak mistrzowska wydała się jego gra po jej pensjonarskim brzdąkaniu! Jak wspaniale rozbrzmiewały tony klawiszy pod palcami prawdziwego artysty!

— Prawda, Lucy — przerwał wreszcie doktor Bretton milczenie, spoglądając z uśmiechem na Ginevrę, prześlizgującą się obok niego i rzucającą mu w przejściu powłóczyście spojrzenie — prawda, że Miss Fanshave jest piękną dziewczyną?

Przyznałam mu oczywiście słuszność.

— Czy jest — dodał — jeszcze jedna w tym salonie, mogąca dorównać jej wdziękiem?

— Sądzę, że nie ma drugiej równie urodziwej.

— Zgadzą się z panią, Lucy — my oboje zgadzamy się często w gustach, a przynajmniej w sądach.

— Czyżby? — rzekłam z pewnym wahaniem.

— Myślę, że gdyby była pani chłopcem, a nie dziewczyną, chrześniakiem, a nie chrześniaczką mojej matki, stalibyśmy się serdecznymi przyjaciółmi: nasze poglądy i sądy dostroiłyby się nawzajem w zupełności.

139

i

Powiedział to tonem żartobliwym: w jego oku błysnął uśmiech na poły ironiczny, na wpół tkliwy. O, Grahamie! Niejedną samotną chwilę poświęciłam na rozmyślanie, jaki może być twój sąd o Lucy Snowe — czy był on zawsze życzliwy i sprawiedliwy? Czy gdyby Lucy była duchowo tą samą istotą, jaką jest obecnie, posiadała jednak dodatkowe walory — majątek i pozycję w świecie — twoje zachowanie względem niej i twoja ocena jej osoby byłyby zupełnie takie jak obecnie? Zadając sobie to pytanie, nie myślę bynajmniej stawiać panu, panie doktorze Johnie, poważniejszych zarzutów. Nie; zasmucał mnie pan często i zakłócał mi spokój, zaznaczyć jednak muszę na pańskie usprawiedliwienie, że wpadam łatwo w nastrój przygnębienia i że byle co mnie przytłacza. Wystarczy, aby najłżejsza chmurka przyćmiła nieco słońce. Możliwe więc, że w o-czach nieubłaganej Temidy okazałabym się większą winowajczynią niż on.

Usiłując tedy opanować nieuzasadniony ból, przeszywający moje serce na myśl, że Graham, który umie okazać innym tyle szczerego zainteresowania i współczucia, nie może zdobyć się na nic więcej prócz pobłażliwej drwiny w stosunku do Lucy, przyjaciółki z dawnych lat, zagadnęłam go spokojnie:

— W jakich to sprawach jesteście tak bardzo jednomyślni?

— Mamy oboje zdolność obserwowania. Pani, droga Lucy, nie przypisuje mi może tej zdolności, mam ją jednak.

— Mówił pan o gustach: obserwujemy może te same zjawiska, oceniamy je wszakże odmiennie.

— Poddajmy się próbie. Niepodobna oczywiście, aby nie oceniała pani należycie walorów panny Fanshave; a co pani myśli o innych tu obecnych osobach? O mojej matce, na przykład? Albo też o zgromadzonych tu asach, o panach A. i Z., czy wreszcie o tej bladej małej osobce, panie de Bassompierre?

— Wie pan dobrze, co myślę o pańskiej matce. O panach A. i Z. nie myślałam dotychczas wcale.

140

— A o tej trzeciej?

— Myślę, że, jak pan się wyraża, jest ona bladą, małą osobką, bladą w tej chwili oczywiście, jako że jest zmęczona i przewrażliwiona.

— Nie pamięta jej pani jako dziecko?

— Zadaję sobie czasem pytanie, czy pan pamięta ją z tych czasów.

— Zapomniałem o niej; znana jest wszakże rzeczą, że okoliczności, osoby, a nawet wyrazy i spojrzenia, pewne cechy własnego czy cudzego umysłu, które zatarły się w naszej pamięci, zwykły odżywać w pewnych warunkach.

— Zupełnie możliwe.

— A jednak — dodał — wskrzeszenie to nie jest kompletne; wymaga ono potwierdzenia; przypomina tak bardzo senne marzenia czy wytwory naszej fantazji, że stworzenie sobie jasnego, pełnego obrazu wymaga bezwzględnie potwierdzenia go przez naocznego świadka. Była pani wszak gościem w domu mojej matki w Bretton przed dziesięciu laty, kiedy pan Home sprowadził tam i pozostawił pod jej opieką swoją córeczkę, którą nazywaliśmy wówczas „małą Polly”.

— Byłam obecna w dniu jej przybycia, a także w dniu jej odjazdu. /

— Była niezwykłym dzieckiem, prawda? Nie pamiętam już, jak ją traktowałem. Czy lubiłem wtedy dzieci? Czy tkwiły cieplejsze jakieś uczucia, czy było coś pociągającego w tym wybujałym, nie dbającym o nikogo wyrostku szkolnym, jakim byłem wówczas? Nie przypuszczam jednak, aby pani mnie pamiętała.

— Widział pan w La Terrasse swój portret z owego okresu? Bardzo przypomina pański wygląd obecny. Nie zmienił się pan od tego czasu; pod względem zachowania, chcę powiedzieć. Jest pan prawie taki sam teraz, jaki był pan wtedy.

— Czy to możliwe, Lucy? Taka opinia o mnie podnieca moją

141

ciekawość. Jaki jestem teraz? \jaki byłem wówczas, przed dziesięciu laty?

— Dobry, o ile wszyst^o szło po pańskiej myśli — nigdy jednak i wobec nikogo nie był pan ani szorstki, ani okrutny.

— O, nie, Lucy, nie ma panj racji! q ile pamiętam, bywałem brutalny w stosunku do pani chociażby.

— Brutalny?! Nie, panie Grahamie. Nie zniosłabym nigdy brutalnego traktowania.

— To jednak pamiętam doskonale: cicha, łagodna Lucy Snowe nie zaznała nigdy szczególnych względów z mojej strony.

— Równie mało jak pańskiego okrucieństwa.

— Oczywiście! Gdybym był nawet Neronem, nie byłbym w stanie skrzywdzić istoty bezbronnej i niewinnej.

Uśmiechnęłam się, powstrzymując równocześnie jęk bólu... O, pragnęłam tylko, aby zechciał, pozostawić mnie w spokoju, aby zaprzestał aluzji do mojej osoby! Nie chciałam słuchać określania mnie takimi epitetami, jak: „ci^a mała Lucy Snowe” czy „bezbronna i niewinna”. Odrzucałam j^a me z szyderstwem, ale z niezmierną przykrością: ciążyły mi ja^o t^ow> mroziły swoim chłodem. Na szczęście wnet przeskoczył na inny temat.

— Jaki był nasz wzajemny stosunek, Polly i mój? O ile pamięć mnie nie myli, nie byliśmy wróg^o usposobieni...

— Mówi pan o tym w sposób nader mglisty. Czy wyobraża sobie pan, że pamięć małej f^o0lly nje nasuwa jej wyraźniejszych wspomnień?

— O, nie mówimy teraz o małej Polly pr^oszę, niech pani nazywają panną de Bassompie^e: oczywiście, że taka dostojna osoba nie mogła zapamiętać tak skr^omnego szarego człowieka, jak Graham Bretton. Niech się pani przyjrzy jej wielkim, szeroko otwartym oczom: czy potrafią czytać w księdze wspomnień? Czy są to te same oczy, którym pokazywałem litery w elementarzu? Może nie wie nawet, że to ja po części nauc^oylem ja czytać.

142

- Używając do tej nauki Biblii w niedzielne wieczory?

— Ma taki spokojny, piękny profil obecnie, a jaka była z niej kiedyś mała kręcicka! Jakie niestałe są gusta i upodobania dziecięce! Pryskają bez śladu jak bańki mydlane! Czy uwierzyłyby pani, kochana Lucy, że ta dama bardzo mnie lubiła?

— Tak, zdaje mi się, że dość pana lubiła — odparłam powściągliwie.

— Nie pamięta pani więc? I ja także zapomniałem — teraz jednak przypominam sobie. Lubiała mnie najbardziej ze wszystkich i ze wszystkiego, co było w Bretton.

— Tak się panu wydawało.

— Doskonale to pamiętam. Pragnąłbym powiedzieć jej o wszystkim, co zapamiętałem. Pragnąłbym raczej, aby ktoś inny, pani chociażby, droga Lucy, podszeptała jej to wszystko, gdy ja, siedząc tutaj, na tym miejscu, mógłbym zaznać rozkoszy śledzenia wyrazu jej twarzy przy słuchaniu tych wspomnień. Mogłaby pani to dla mnie zrobić i zasłużyć na moją wielką, trwałą wdzięczność?

— Czy mogłabym zasłużyć na pańską wielką, trwałą wdzięczność? — powtórzyłam. — Nie, nie mogłabym.

Czułam, że palce moich rąk skręcają się i zaciskają nerwowo; równocześnie jednak czułam, że zbroję się w odwagę, zalewającą mi serce ciepłą falą buntu. Nie, nie pójdę w tym względzie doktorowi Johnowi na rękę! Ani myślę pójść! W radosnym poczuciu nowej, pożądanej siły zdałam sobie sprawę z zupełnie opacznego ujmowania przez Grahama mojego charakteru i mojej natury. Chciał zawsze narzucać mi jakąś rolę, odmienną od mojej własnej. Natura moja i ja sama stawiliśmy mu opór. Nie domyślał się wcale, co czułam, nie czytał w moich oczach ani w twarzy, ani też w gestach, mimo że wszystko to zdradzało wyraźnie stan mojej duszy. Pochylając się ku mnie przymilnie, szepnął:

— Niech pani zrobi to dla mnie, Lucy.

Zrobiłabym to dla niego, a przynajmniej wyjaśniłabym mu

143

dokładnie, że nie może już nigdy liczyć na odegranie przeze mnie roli zręcznej subretki w dramacie miłosnym; nagle jednak, w tym samym momencie, kiedy usłyszałam jego ciche, gorączkowe, wyszeptane błagalnie: „Niech pani zrobi to dla mnie, Lucy!” — doleciało do moich uszu ostre syknięcie, rzucone mi z drugiej strony.

— Petite chatte, doucerette, coquette! — syknął wąż-dusiciel. — Vous avez l'air bien triste, soumise, réveuse, mais vous ne l'etes pas: c'est moi qui vous le dis. Sauvage! La flamme a l'ame, l'sclair
aux yeux!

— Oui, j'ai la flamme a l'ame, et je dois l'avoir! — odparłam, zwracając się ze słusznym oburzeniem w jego stronę, ale profesor Emanuel syknął swoją obelgę i znikł.

Najgorsze z tego wszystkiego było to, że doktor Bretton, którego słuch, jak zaznaczyłam, był szczególnie wyostrzony, podchwycił każde słowo zwrócone do mnie, zakrył usta chusteczką i trząsł się z powstrzymywanego śmiechu.

— Trafny cios! — zawołał. — Wspaniałe: petite chatte, coquette! O, muszę opowiedzieć o tym mamie! Czy to prawda, Lucy, czy tylko na w pół prawda? Przypuszczam, że musi tak być w istocie: spłoszyła pani, przypominając barwą suknię panny Fanshave. O, naprawdę, teraz, kiedy przyjrzałem mu się bliżej — widzę, że to przecież ten sam człowiek, który tak szorstko obszedł się z panią na koncercie. Tak, ten sam! W tej chwili jest wściekły i na mnie, dostrzegł bowiem mój śmiech. O, muszę się z nim podroczyć!

Ulegając nieposkromionej pokusie zrobienia Monsieur Emanuelowi na złość, śmiał się naumyślnie, żartował i szeptał mi do ucha, aż wreszcie i mnie rozśmieszył do łez.

1 Fałszywa kotko, udana słodyczko, zalotnico! Sprawiasz wrażenie natury bardzo smutnej, uległej, marzycielskiej, nie jesteś nią jednak: ja ci to mówię. Dziczko! Masz płomień w duszy, błyskawice
w oczach!

2 Tak, mam płomień w duszy i powinnam go mieć!

144

Nagle spowaźniał; w pobliżu panny de Bassompierre utworzyło się wolne miejsce: otaczające ją koło zdawało się bliskie rozproszenia. Bystre, czujne, nawet w momencie śmiechu, oczy Grahama podchwyciły od razu to poruszenie. Wstał i, zebrawszy się na odwagę, przeszedł przez pokój, aby wykorzystać sprzyjającą okazję. Doktor John był przez całe życie wybrańcem fortuny — szczęście sprzyjało mu stale i niezmiennie. Czemu zawdzięczał je

właściwie? Otóż temu, oczywiście, że umiał wybrać odpowiedni moment, miał w trafnie obranej chwili odwagę czynu i wytrwałość doprowadzenia podjętej akcji do końca. Żadna namiętność, chociażby najbardziej zachłanna, nie była w stanie go powstrzymać; żaden chwilowy zapal, żadne uleganie przelotnym słabostkom nie hamowały jego pędu ku obranemu celowi. Jak pięknie wyglądał w tej chwili! Kiedy Paulina podniosła oczy na jego powitanie, spotkało się jej spojrzenie z jego spojrzeniem, pełnym ognia, a zarazem powściągliwym; zaróżowienie jego twarzy, kiedy zwracał się do niej, było na wpeł rozpromienieniem. Stał przed nią onieśmielony zarazem i odważny, uległy i nie narzucający się, a jednak nieugięty w dążeniu do celu, jaki sobie nakreślił i jakiemu poświęcił się z całym zapalem. Wystarczył mi jeden rzut oka, aby od razu stwierdzić to wszystko z niezawodną pewnością. Nie miałam czasu na dalsze obserwacje, chociażby nawet nie brakło mi ochoty po temu. Było już późno; my obie: ja i Ginevra powinnyśmy właściwie znajdować się już na Rue Fossette. Podniosłam się i złożyłam życzenia dobrej nocy mojej matce chrzestnej i panu de Bassompierre.

Nie wiem, czy profesor Emanuel zauważył, jak niechętnie przyjmowałam żartobliwe docinki doktora Brettona, czy może też dostrzegł wyraz cierpienia w moich oczach oraz to, że na ogół ten wieczór nie był widocznie nieustannym pasmem rozkoszy dla płochej, uganijającej się za zabawami Mademoiselle Lucie; w chwili, kiedy wychodziłam z pokoju, zatrzymał mnie i zapytał, czy mam kogoś, kto mógłby odprowadzić mnie do domu. Z zapytaniem tym

145
zwrócił się tonem uprzejmym, a nawet jakby usprawiedliwiał się poniekąd i żałował poprzedniego wybuchu. Nie na wiele jednak się to zdało: nie byłam zdolna, w zamian za jedno dobre słówko, puścić w niepamięć tego, jak się zachował wobec mnie. Nigdy dotychczas nie rozgniewała mnie tak poważnie jego szorstkość i nie zmroziła do tego stopnia jego gwałtowność; to, co powiedział tego wieczoru, uważałam za nie dający niczym usprawiedliwić się wyskok. Uważałam za konieczne zaznaczyć w jakiś sposób, z lekka chociażby, że czułam się obrażona, zbyłam go więc lakoniczną odpowiedzią:

— Nie zabraknie mi towarzystwa w drodze powrotnej. Była to zresztą prawda; wiedziałam, że odesłać nas miano, mnie i Ginevrę, na Rue Fossette powozem.

Rzuciwszy mu tę oziębłą, zniechęcającą odpowiedź, minęłam go z lekkim ukłonem, jaki zwykle składały mu w klasie uczennice, przechodzące obok jego katedry.

W tym samym momencie jednak spostrzegłam, że nie mam szala, powróciłam więc do przedsionka, aby odszukać zgubę. Mon-sieur Emanuel stał tam jeszcze, jak gdyby czekał na kogoś. Ujrzawszy mnie powracającą, zrobił uwagę, że noc jest piękna.

— Sądzi pan? — Vous croyez, Monsieur? — odrzekłam tonem, którego lodowata obojętność udała mi się doskonale. Byłam z siebie zadowolona. Tak rzadko miałam okazję, by wyrazić niezadowolnienie chłodnym, powściągliwym potraktowaniem w odpowiedzi na sprawioną mi przykrość, że ten jeden uwieczony powodzeniem wysiłek przejął mnie dumą. To „sądzi pan?” brzmiało zupełnie tak samo wyniośle i sarkastycznie, jak krótkie, oziębłe, suche zdania, rzucane setki razy pogardliwie odętymi koralowymi ustami dziesiątek pewnych siebie miss i mesdemoiselles. Wiedziałam z góry, że Monsieur Paul nie zniesie na dłuższą metę prowadzonego w tym tonie dialogu, uważałam jednak, że zasłużył w zupełności, bym odplaciła mu podobnie niemłą próbką. Przypuszczam, że i on był tego samego

146
zdania, przełknął bowiem zaadministrowaną mu dozę z pełnym spokojem. Spojrzawszy na mój szal, zarzucił mu, że jest zbyt lekki. Odpowiedziałam tonem przecinającym wszelką dyskusję, że jest taki właśnie, jakiego mi potrzeba. Odsunąwszy się od niego, aby stanąć z dala, oparłam się o poręcz schodów, otuliłam się szalem i utkwiałam oczy w ciemniejszym na ścianie nieciekawym obrazie treści religijnej.

Ginevra ociągała się z przyjściem. Czekanie na nią wydało mi się nieznośnie nudne. Monsieur Paul wciąż jeszcze tkwił w przedsionku; byłam pewna, że usłyszę jakąś niemiłą uwagę. Omyliłam się jednak. Po chwili podszedł ku mnie bliżej. Byle znów nie syknął — pomyślałam; gotowa byłam, gdyby taki gest nie był zbyt niegrzeczny, zatkać sobie palcami uszy z lęku przed ponownym usłyszeniem obraźliwego syku. Nie dzieje się jednak nigdy tak, jak się spodziewamy: jeśli przygotowani jesteśmy na usłyszenie gruchania czy szeptu, przerazi nas na pewno okrzyk bólu czy rozpacz. Oczekujemy przeraźliwego wrzasku, gniewnej pogróżki, a mile zadziwi nas odgłos przyjaznego powitania czy łagodnie przyciszzonego szeptu. I tym razem więc byłam przyjemnie zaskoczona, gdy zamiast gniewnego wybuchu Monsieur Paula usłyszałam, że zwrócił się do mnie tonem łagodnym:

— Wyciągam rękę do zgody — rzekł — nie spierajmy się o wypowiedziane w rozdrażnieniu słowa. Proszę, niech mi pani powie, który z nas: ja czy ten grand fat d'Anglais — ten wielki pyszałek angielski (tak pozwolił sobie określić doktora Brettona) — ponosi odpowiedzialność za wilgotny blask pani oczu i za płonące teraz jeszcze policzki?

— Nie wydaje mi się, aby któryś z panów, pan czy ktokolwiek inny, spowodował rzekome moje podniecenie, o jakim pan wspomina — odpowiedziałam lodowatym tonem, zdobywając się ponownie na obcy mojej naturze, świadomy fałsz.

— Cóż ja jednak takiego powiedziałem? — dodał. — Byłem

147
zły: zapomniałem zupełnie, jakich słów użyłem. Niech mi pani przypomni.

— Były takie, że najlepiej zapomnieć o nich — rzekłam, nie wyzbywając się w dalszym ciągu mroźnego, obraźliwie spokojnego tonu.

— Zatem to moje słowa zraniły panią? Proszę, niech pani uważa je za nie wypowiedziane, niech mi pani pozwoli cofnąć je i przyjmie szczerze przeprosiny.

— Nie gniewam się na pana.

— O, widzę w takim razie, że jest pani gorzej niż zagniewana, jest pani zmartwiona. Niech mi pani wybaczy, Miss Lucy.

— Wybaczam panu, Monsieur Emanuel, naprawdę panu wybaczam.

— Chciałbym usłyszeć te słowa wypowiedziane naturalnym głosem, nie tym obcym, przykrym dla mnie tonem. Niech pani powie: Mon ami, je vous pardonne .

Uśmiechnęłam się mimo woli. Kto mógłby nie uśmiechnąć się wobec isticie dziecięcej jego prostoty i nie mniej dziecięcego uporu, a zarazem powagi?

— Bon! — zawołał. — Voila que le jour va poindre. Dites donc, mon ami !

— Monsieur Paul, je vous pardonne.

— Nie chcę żadnego tytułowania mnie „panem”. Niech pani wypowie ten inny wyraz; w przeciwnym razie nie uwierzę w pani szczerłość. Niech pani zdobędzie się na ten jeden wysiłek jeszcze — mon ami, albo w przekładzie na język pani kraju: mój przyjacielu! Nie rozumiał, że słowa „mój przyjacielu” mają inne brzmienie i znaczenie, aniżeli mon ami. Nie mogłabym zwrócić się do Mon-

1 Wybaczam panu, mój przyjacielu.

2 Dobrze! Widzę, że zaświta dzień. Niech więc pani powie, proszę: przyjacielu!

148

sieur Paula, mówiąc: mon ami, mogłabym natomiast, i zrobiłam to bez trudności, nazwać go „moim przyjacielem”. Różnica ta była jednak nieuchwytna dla niego, zadowolili się też w zupełności wypowiedzeniem upragnionych słów po angielsku. Uśmiechnął się. Szkoda, że nie mogłam zobaczyć jego uśmiechu, czytelniku, że nie mogłam zdać sobie sprawy z różnicy jego

zachowania teraz i przed półgodziną. Nie mogę stwierdzić, abym kiedykolwiek do owego czasu była świadkiem uśmiechu zadowolenia, przyjemności czy uprzejmości bodaj, wykwitającego na ustach Monsieur Paula czy rozjaśniającego jego oczy. Setki razy natomiast widywałam na jego twarzy to, co nazywał uśmiechem, a co było wyrazem ironii, sarkazmu, pogardy czy satysfakcji, dlatego też opromienienie tej twarzy łagodniejszym, cieplejszym uczuciem musiało z konieczności uderzyć mnie jako coś zgoła nowego. Zmieniła się ona, jak gdyby z maski stała się teraz dopiero twarzą; wygładziły się złobiące ją głębokie rysy, cera nawet wydała mi się czystsza i świeższa: południowa smagłość, zdradzająca domieszkę krwi hiszpańskiej, ustąpiła miejsca jaśniejszemu odcieniowi. Nie przypominam sobie, aby zdarzało mi się na czyjejkolwiek twarzy obserwować podobnie gruntowne przeistoczenie z równie błahej przyczyny.

Odprowadził mnie do powozu w tej samej chwili, kiedy pan de Bassompierre wyszedł z hallu, towarzysząc swojej siostrzenicy.

Panna Fanshave była w fatalnym humorze: uważała wieczór za najzupełniej nieudany i nie ukrywała swego rozczarowania. Gdy usadowiliśmy się w powozie i zatrzaśnięto za nami drzwiczki, od razu dała upust rozdrażnieniu. Jej miotanie obelg na doktora Brettona było szczególnie zajadłe. Przekonawszy się o niemożności zarówno oczarowania go, jak skutecznego zranienia jego uczuć, nie potrafiła zdobyć się na nic innego poza gwałtowną nienawiścią. Nienawiści tej dała wyraz w sposób tak niepohamowany, w słowach tak potwornych, że słuchałam ich tylko przez chwilę z możliwym stoicyzmem, w jaki usiłowałam się uzbroić; w końcu nie wytrzyma-

149

łam, doprowadzona do pasji rażącą ich niesprawiedliwością. Nastąpił nieunikniony wybuch. I ja także potrafiłam rozpaść się do białej gorączki; podniecała mnie do niej zwłaszcza moja piękna, ale jakże nieznośna towarzyszką, której stale udawało się budzić we mnie najgorsze instynkty. Na szczęście koła powozu dudniły z tak przeraźliwym chrzęstem po gościńcu posypanym drobno tłuczonym krzemieniem, że zagłuszały to co działo się wewnątrz naszego wehikułu. Mogę zaś zapewnić cię, czytelniku, że nie panowała tam bynajmniej martwa cisza ani też nie prowadziłyśmy dyskusji w sposób godny, spokojny. Na wpół serio, na wpół pozornie rozpętałam nad głową Ginevry istną burzę zarzutów. Musiałam przecież uśmierzyć czymś rozwścieczenie, w jakim opuściła hotel Crécý, aby ochłoneła, zanim dostaniemy się na Rue Fossette. W tym celu było rzeczą nieodzowną wykazanie Ginevrze istotnej jej wartości i stanowiska, posługując się przy tym językiem, którego dosadność i brak wytworności mogłyby iść w parze z komplementami, z jakimi John Knox zwracał się do Marii Stuart. Był to bardzo odpowiedni sposób traktowania Ginevry, sądząc po skutkach. Tej nocy położyła się spać skruszona, w znacznie łagodniejszym nastroju i spała spokojnie po zdrowym wygarbowaniu moralnym, jakiego jej nie oszczędziłam.

Rozdział VIII

Łańcuszek do zegarka

Monsieur Paul Emanuel był wyjątkowo wrażliwy na przeszkadzanie mu z jakiegokolwiek powodu podczas wykładu. Przejście przez klasę w tych warunkach uważane było przez nauczycieli i uczennice, przez każdego z osobna i przez wszystkich razem, za wyczyn narażający życie śmiałka, który ważyłby się na to.

Nawet Madame Beck, o ile wyjątkowe okoliczności zmuszały ją do tak ryzykownego przedsięwzięcia, prześlizgiwała się cichaczem, unosząc w górę fałdy sukni i możliwie omijając budzącą postrach katedrę, niby okręt usiłujący wyminąć groźnie spiętrzoną falę. Co się tyczy Rozyny, odzwiernej, której przypadał co pół godziny niebezpieczny obowiązek sprowadzania uczennic z samego serca tego czy innego oddziału na lekcję muzyki i śpiewu — bądź w kaplicy, bądź w wielkim czy mniejszym salonie, w sali jadalnej czy wreszcie gdziekolwiek znajdował się fortepian — drętwiała biedaczka za każdym razem z przerażenia,

jakim przejmowało ją zwrócone ku niej niewypowiedziane groźne spojrzenie spoza grubych szkieł okularów.

Pewnego dnia siedziałam w *carre*, zajęta haftem, zaczęłym, a potem nie dokończonym przez jedną z uczennic. Moje ręce uwijały się przy tamborku; uprzyjemniałam sobie tę pracę słuchaniem dolatującego z sąsiedniej klasy głosu, wzmożonego chwilami, a potem znów opadającego harmonijnymi kadencjami; w pewnych momentach głos ten brzmiał groźnie, zdradzając pasję wykładowcy, to znów przycichał niczym łoskot gromu podczas burzy. Dość gruba ściana oddzielała miejsce mojego schronienia od miejsca ciskania piorunów, mogłam łatwo też, w razie zagrażającego mi bezpośrednio niebezpieczeństwa, wymknąć się przez oszklone drzwi na po-

151

dworze i dlatego bardziej bawiły mnie niż straszyły niepokojące te przejawy. Biedna Rozyna natomiast czterokrotnie tego rana zmuszona była leżeć wprost w paszczę lwa, a obecnie po raz piąty przy-padłej groźny obowiązek wyciągnięcia płonącej główki z paleniska — wyprowadzenia jednej z uczennic tuż sprzed nosa Monsieur Paula.

— Mon Dieu! Mon Dieu! — lamentowała biedaczka. — Que vais — je devenir? Monsieur va me tuer, je suis surę; car il est d'une colere!

W desperacji otworzyła drzwi.

— Mademoiselle La Maile au pianor — zawołała. Zanim jednak zdołała wycofać się, zagrział jowiszowy grom:

— Des ce moment la classe est defendue. La premierę qui ouvrira cette porte, sera pendue-fut-ce. Madame Beck elle-memer

Upłynęło zaledwie dziesięć minut od ogłoszenia tego dekretu, a już ponownie rozległ się na kamiennych płytach stuk francuskich pantofelków Rozyny.

— Mademoiselle — zwróciła się do mnie błagalnie — nie chciałabym nawet za pięć franków wejść jeszcze raz do tej klasy. Okulary Monsieur są naprawdę straszne, a tu jak na złość przyszedł posłaniec z Atheneum z ważną wiadomością. Powiedziałam Madame Beck, że nie mam odwagi zawiadomić Monsieur, kazała mi więc obarczyć tym panią, panno Lucy.

— Mnie?! Z jakiej racji?! Nie należy to przecież do moich obowiązków. Odwagi, Rozyno! Musisz dźwigać sama twój ciężar. Bądź mężna! Odważ się po raz szósty.

1 Mój Boże, mój Boże, co się ze mną stanie? Pan (Paul) zabije mnie, jestem pewna. Jest taki zły!

2 Panna La Maile do fortepianu!

3 Od tej chwili wstęp do klasy jest wzbroniony. Pierwsza, która otworzy te drzwi, zostanie powieszona, chociażby to była sama pani Beck!

152

— Mam tam leżeć jeszcze raz?! Nie, to niemożliwe! Pięć razy już dzisiaj rozzłościłam go. Madame będzie musiała chyba wynająć żandarma do tej roboty. Ouf! Je n'enpuisplus!

— O, widzę, że jesteś pospolitym tchórzem. Jaka to wiadomość?

— Taka właśnie, jaka może najbardziej rozwścieczyć Monsieur. Nie znosi, aby mu zawracano głowę tymi rzeczami: pilne wezwanie do stawienia się w Atheneum z powodu spodziewanej oficjalnej wizyty przedstawiciela wyższych władz — inspektora czy kogoś takiego. Wyznaczono Monsieur, aby go powitał. Musi pójść zaraz, a Mademoiselle wie najlepiej, jak Monsieur nienawidzi zmuszania go do czegoś.

O, tak, wiedziałam o tym aż nadto dobrze. Ruchliwy jak żywe srebro człou ieczek nie znosił żadnych ograniczeń ani dyrygowania nim: stale i niezmiennie buntował się przeciwko wszystkiemu, co było obowiązkowe i przymusowe. Zgodziłam się jednak wziąć na siebie odpowiedzialność — oczywiście nie bez lęku, ale lęku połączonego z innymi jeszcze uczuciami, z których nie najmniej silnym była ciekawość. Otworzyłam drzwi, weszłam i przymknęłam je za sobą tak szybko, cicho i spokojnie, jak na to pozwalało drzenie mojej ręki

— także nóg pode mną — wiedziałam, że ociąganie czy, odwrotnie, gwałtowne wtargnięcie, głośne poruszenie klamką czy pozostawienie drzwi szeroko otwartych pogorszyłyby znacznie sprawę; byłoby zbrodnią fatalniejszą w skutkach aniżeli główne przestępstwo. Stałam więc, a on siedział, wyraźnie w jak najgorszym humorze — odbywał właśnie lekcję arytmetyki. Udzielał lekcji wszystkiego, co mogło tylko wpaść mu w ręce, lecz arytmetyka, jako przedmiot ścisły, nie szła mu wyjątkowo. Nie było uczennicy, która nie drżałaby ze strachu, kiedy zabierał się do liczb. Siedział pochylony nad swoim pulpitem, niezdolny do zdobycia się na wysi-

1 Och, nie mogę już więcej!

153

łęk podniesienia oczu ^ szmef czyjegQŚ wejścia> IIIr ło oburzająco zuchwa^ pogwałcenie jeg0 woli j praw. Była to szczęśliwa dla mnie ol^^. zyskałam w ten sposób czas na przejście przez całą dU|0ŚĆ klasy Wolałam stanąć z nim oko w oko i z bliska przyjąć wybi^ wściekleg0 gniewU) niz znosić na odległość zawisłą nad moją ^ grQZC

Zatrzymałam się ty przed katedra) oczywiście jednak nie uznał mnie od razu za godna •■• Ł 11 л кт

ь " uwagi i nie przerwał wykładu. Na nic wsze-

lako nie przydało mu się tQ lekceważące igri0rowanie mnie: musiał wysłuchać, z czym pn^^, dać mi odpowiedź.

y z nis a, z^y sięgnąć głową ponad jego wzniesiony na P P1 > ! yr^ samym czułam się upośledzona w swojej chwilowej roli; usiłowa^m zajść gQ z boku> aby kpiej zobaczyć jeg0 twarz, która w pierws^ . c1mIII> gdy weszłam do klasy> zaskoczyła mnie uderzającym p0llobienstwern" do czarnego ponurego tygrysa. Dwukrotnie udało mi się bezkarnie zerknąć na niego w ten sposób z boku, zbliżając się . cofając> nie dostrzeżona przez niego, za trzecim razem wsza^ zaledwie zdążyłam sięgnąć wzrokiem za P б C Pu P1 u. PQ^azjt mnie groźnie zmieniony przez owe lunet-tes błysk źrenic. Roz^na miała zupełną shiszność: grube szkła okularów potęgowały gm ы skawic gniewu, jakie ciskały ukryte poza tymi szklami oczy.

eraz nareszcie znaiazjam się w sytuacji korzystnej dla siebie.

Stwarzała ją ta właśrwie bezpośrednia bliskość tygrysa: groźne lunet-tes krótkowidza nie ^adawały się do piorunowania nimi przestępcy ojącego uz Przed i\osem gromowładnego, który tym samym zmu- Y Y z J3C Je> wyrównując poniekąd tym gestem szanse nas obojga.

a a jes em, t\!0gac stwierdzić, że w rzeczywistości nie tak bardzo bałam się go ^ a Д\И^ stojac teraz tuz przed nit> nie odczu.

б 2Y cłVili. Gdyby więc zażądał szubienicy i postronka wa zei4a w czyn wydanego przed dziesięcioma minuta-

154

mi dekretu, mogłabym służyć mu kłębkim bawełny do haftu z tak uprzejmą gotowością, że musiałyby ta uprzejmość w części bodaj złagodzić jego gniew. Nie wykonałam oczywiście tego aktu grzeczności publicznie: podsunęłam mu kłębek ukradkiem, zachodząc z boku katedry, i zahaczyłam go o pręt grzbietu profesorskiego krzesła.

— Que me voulez-vous?1 — ofuknął mnie prawie niedosłyszalnie; głos uwiązał mu w krtani, mówił bowiem przez zaciśnięte gniewem zęby, zdając się ślubować samemu sobie, że nic na świecie nie będzie zdolne zmusić go do uśmiechu. Początek mojej odpowiedzi brzmiał zd '-cydowanie bezkompromisowo:

— Mtnsieur — rzekłam — je veux l'imposible, des choses inouies .

Uważając za najbardziej wskazane przystąpić od razu do rzeczy i zaaplikować mu douche — natrysk — zakomunikowałam przyciszonym, spokojnym głosem polecenie Татщйи

Atheneum, pompatycznie i kwieście podkreślając konieczność bezzwłocznego zastosowania się do otrzymanego za moim pośrednictwem nakazu.

Nie chciał oczywiście słyszeć o tym.

Nie pójdzie. Ani myśli pójść. Nie przerwie wykładu w połowie, chociażby posłały po niego wszystkie połączone władze Villette. Nie zrobi ani kroku nie tylko na rozkaz Zarządu Atheneum, ale na rozkaz samego króla, całego gabinetu i obu Izb pospołu.

Wiedziała jednak, że będzie musiał pójść, że, chociażby mówił, co chce, zarówno obowiązek, jak wzgląd na własny interes nakazują mu bezwzględne i niezwłoczne zastosowanie się do wezwania. Dlatego też stałam, czekając w milczeniu, jak gdyby nie odezwał się jeszcze ani słowem. Zirytowany warknął, czego chcę jeszcze.

1 Czego pani ode mnie chce?

2 Chcę niemożliwości, rzeczy niesłychanych.

155

— Czekam tylko na odpowiedź Monsieur, jaką mam zakomunikować przysłanemu w tym celu woźnemu.

Machnął niecierpliwie ręką na znak odmowy.

Odważyłam się wyciągnąć palce po bonnet grec, leżący na gzymsie okiennym. Dostrzegł mój zuchwały gest, przyjąwszy go ze Z(^Umieniem zarazem i politowaniem nad jego godną pogardy bezczelnością.

— O! — bąknął. — Skoro dochodzi już do tego, że Miss Lucy P°*wała sobie sięgać po mój bonnet grec, może zechce łaskawie wbić go na swoją własną głowę, stając się dzięki temu przebraniem m^żczyzną, i pójść zamiast mnie do Atheneum.

Z wielkim szacunkiem położyłam bonnet na pulpicie, skąd zwisający chwast klasycznego przybrania głowy zdawał się groźnie kiwać na mnie.

— Napiszę kilka słów wytłumaczenia. To wystarczy! — rzekł, zdecydowany wciąż jeszcze wykręcić się od pójścia.

Wiedząc, że to nie wystarczy, popchnęłam ostrożnie szacowną nakrycie głowy w kierunku jego ręki; nie byłam jednak widocznie d^ś ostrożna, gdyż zsunęło się po polituowanym pulpicie i spadło, Pociągając za sobą lekkie, oprawne w stal lunettes, które, o zgrozo! -^ upadły na podłogę katedry. Dziesiątki razy bywałam świadkiem, j^k przydarzało im się coś podobnego: padały, nic im się jednak nigdy nie stawało. Tym razem wszakże — sprawił to może przysłowiowy już brak szczęścia Lucy Snowe — upadły tak fatalnie, że %ydwa szkła roztrzaskały się w drobny mak.

Przeżalenie moje i żal nie miały granic — zbyt dobrze znałam \artość, jaką miały dla niego lunettes. Wzrok Monsieur Paula był tak szczególny, że niełatwo było dobrać odpowiednie dla niego okulary, a te właśnie szkła świetnie dopasowane były do jego oczu. Słyszałam niejednokrotnie, jak nazywał je swoim skarbem, nic dziwnego więc, że kiedy nachyliłam się, aby je podnieść, ręka dygotała mi jak liść na wietrze. Byłam jednak bardziej przygnębiona niż przera-

156

żona. Przez kilka minut nie śmiałam podnieść oczu na skrzywdzonego przeze mnie tak okrutnie profesora. On sam przemówił pierwszy: — Lu! — rzekł. — Me voilu veufde mes lunettes!1 Mademoi-selle Lucy przyzna teraz chyba, że postronek i szubienica w zupełności należały się jej —zasłużyła na nie uczciwie. Już teraz drży w przewidywaniu tego, co ją czeka. Ah, traitresse, traitresse — zdray-czyni, zdrajczyni! Ma pani teraz, czego pani chciała. Dostała mnie pani ślepego i zupełnie bezradnego w swoje ręce!

Odważyłam się wreszcie podnieść oczy... O, dziwo! Jego twarz, zamiast pałać gniewem, oburzeniem, rozjaśniła się w uśmiechu, zaróżowiła tym samym płomieniem, jaki stwierdziłam na niej owego wieczoru w hotelu Crécycy. Nie był ani rozgniewany, ani nawet zmartwiony.

Wobec prawdziwej krzywdy, jaką mu wyrządziłam, okazał się pełen pobłażania. Rzeczywisty, prawdziwie dotkliwy cios, jaki mu zadałam, zniósł cierpliwością i słodyczą świętego. Fatalny ten wypadek, który, jak mi się zdawało, winien był udaremnić wszelkie moje usiłowania wywarcia na niego skutecznego nacisku, okazał się, przeciwnie, największym moim sojusznikiem. Oporny, niepodatny na mój wpływ, dopóki nie zawiniłam niczym przeciwko niemu, stał się wdzięcznie uległy z chwilą, kiedy stanęłam przed nim jako żalująca, skruszona winowajczyni.

Podrwiwając wciąż jeszcze ze mnie i nazywając mnie *une forte femme* — *une Anglaise terrible*, *une petite casse-tout* — oświadczył, że nie ośmieliłby się okazać nieposłuszeństwa osobie, która dała dowody tak niebezpiecznej tężyzny, sprawiając zupełnie wrażenie *du grand Empereur*, rozbijającego wazon, aby porazić obecnych grozą.

Rzekłszy to, uwieńczył głowę nieodstępnym *bonnet grec*, wziął

1 Masz tobie! Jestem osierocony przez moje okulary!

2 Kobieta silna — straszliwa Angielka, mała tłukąca wszystko niezdara.

157

ode mnie pozostałe żalose szczątki *lunettes*, uściśnął mi dłoń wymownym gestem przebaczenia i zachęty, złożył ukłon pożegnalny swoim słuchaczkom i poszedł do *Atheneum* w jak najpodnioslejszym nastroju i w najlepszym humorze.

Po doznaniu z jego strony tak wielkiego dowodu przyjaźni wyznać muszę ku wielkiej niewątpliwie przykrości czytelnika, że tego samego dnia, zanim jeszcze zapadł wieczór, pokłóciłam się z Mr. Paulem ponownie. Fakt jednak, że tak się stało. Nic na to nie poradzę.

Miał zwyczaj, nader chwalebny i zupełnie zrozumiały, zjawiać się wieczorem zupełnie *à l'improviste* — niespodziewanie — bez uprzedzenia — i wpadać nagle podczas cichych godzin nauki, aby roztoczyć nad nami i nad naszymi zajęciami despotyczne rządy. Kazał nam odkładać książki, wyjmował jakiś gruby tom lub garść broszur, a nam polecał wyjąć koszyczki do robót. Zamiast ogłupiającej *lecture pieuse*, wyjąkiwanej przez zaspianą uczennicę, raczył nas jakąś tragedią czy dramatem, których wzniosłość potęgowało jeszcze wspaniałe czytanie i których akcja porywała nas. Rzadko wnikałam w istotę wartości odczytywanych utworów, jako że *Monsieur Paul* czynił z nich czarę, którą napełniał dyszącą namiętnością patosem, niby kordialem ożywczym. Czasem znów rozświetlał klasztorne nasze mroki nagłym rzuceniem na nie odbłasku jaśniejszego światła, uchylał rąbek zasłony, za którą ukrywano przed nami skarby literatury nowoczesnej, odczytywał ustępy porywającego jakiegoś opowiadania, a bodaj ostatni skrzący się dowcipem felieton, który pobudzał do śmiechu najwybredniejsze salony paryskie. Zawsze jednak przy tym, zarówno w tragedii, jak w melodramacie, opowiadaniu czy szkicu, starannie omijał wszelkie ustępy, zdania czy wyrazy, które mogłyby być uważane za nie nadające się dla uszu *jeunes filles*. Zauważyłam niejednokrotnie, że gdziekolwiek ominiecie takie, bez wstawienia słów zastępczych, spowodowałyby zmieniającą sens lukę czy poważniej osłabiałoby

158

wrażenie, umiał — i czynił to — improwizować całe ustępy, równie silne i nieskazitelnie dostosowane do całości utworu, jak owe opuszczone. Często zdarzało się nawet, że dialog czy opis, wsunięty w ten sposób przez niego, miał znacznie wyższą wartość od pierwotnego.

Otóż owego wieczoru, o którym mowa, siedziałyśmy milczące jak mniszki w naszym ustroniu; uczennice zajęte nauką, nauczycielki — robotami ręcznymi. Przypominam sobie, że biedziłam się nad wykonaniem pomysłu, który dość interesował mnie tyleż ze względu na sam rodzaj roboty, ile na cel, na jaki była przeznaczona. Nie obrałam jej wprost dla zabicia czasu; miała, po ukończeniu, być ofiarowana jako prezent; że zaś okazja obdarzenia nią była bliska, musiałam spieszyć się, wprawiając w żywy ruch moje palce.

Nagle usłyszałyśmy tak dobrze znany nam wszystkim ostry brzęk dzwonka; słowa Voila Monsieur! wyrwały się równocześnie z ust każdej z nas. W tej samej chwili rozwarły się drzwi (rozwierały się zawsze gwałtownie przy jego wejściu — użycie wyrazu „otworzyły się” byłoby nieodpowiednie, jako określające czynność dokonaną zbyt wolno) i oto on stał już pośród nas.

Były tu dwa stoły, oba jednakowo długie i oba otoczone ławkami; pośrodku każdego z nich zwisała z sufitu lampa, pod nią, z każdej strony stołu, siedziała nauczycielka, od której na lewo i na prawo zgrupowane były uczennice; najstarsze i najpracowitsze najbliżej lampy, czyli na zwrotnikach, małe czy leniwe — na krańcach, bliżej bieguna północnego i południowego. Zwyczajem Monsieur było uprzejme ofiarowanie krzesła którejś z nauczycielek, zazwyczaj głównej z nich, Zélie St. Pierre, a potem zajęcie opróżnionego przez nią miejsca na ławce i w ten sposób znalezienie się w pełnym świetle Raka czy Koziorożca, niezbędnym ze względu na jego krótki wzrok.

Jak zwykle w chwili jego wejścia Zélie usłużnie zerwała się,

159

odslaniając górny i dolny rząd zębów w dziwnym uśmiechu od ucha do ucha, któremu nie towarzyszył jednak ani jaśniejszy błysk oczu, ani zarysowanie mu policzków lekkim wgłębieniem, tak zwanym dołeczkiem. Przypuszczam, że Monsieur nie dostrzegł jej ruchu albo może podobało mu się udawać, że go nie widzi — był kapryśny, jak bywają albo za jego uważane są kobiety — a nadto jego lunettes służyły mu jako usprawiedliwienie tego rodzaju niedopatrzania. Jakikolwiek był po temu powód, faktem jest, że minął Zélie i przeszedł na drugą stronę, zanim zdążyłam się zerwać, aby zwolnić miejsce dla niej. — pje bougez pas! — i wsunął się pomiędzy mnie i pannę Fanshave, która zawsze sadowiła się tuż obok, trącając mnie stając fokciem, wskutek czego musiałam upominać ją, mówiąc: Chciałałybyście aby pani była w Jerycho, panno Ginevra. Łatwo było powiedzieć Ne bougez pas, nie miałam jednak na to rady. Musiałam zrobić dla niego miejsce, prosząc uczennice, aby cofnęły się niebezpiecznie, i mnie także. Wygodnie było przylepić się do mnie, „ogrzewając się jak zwykle — w ciepłe moje ciało” w wieczory zimowe i nieustannie wierceniemi przeszkadzając mi do tego stopnia, że nieraz zmuszona byłam wpinać umyślnie w pasek mojej sukni szpilkę, a następnie przed ciosami, jakie zadawał mi jej łokieć.

Przypuszczam,

że Monsieur Emanuel nie będzie narażony

na podobnie beceremonialne

traktowanie, przesunęłam moje przybory, aby mógł zamknąć swoją książkę, a

sama odsunęłam się, by zrobić mu miejsce. Zdolałam pozostawić mu tylko jard

wolnej przestrzeni

czym każdy rozsądny człowiek musiałby zadowolony być z takiej rzeczy. Ale Monsieur

Emanuel nie był nigdy rozsądny, i tyran — razem też, ze zwykłą swoją popędlivością, zareagował nagłym rozdrażnieniem.

Niech się pan

nie rusza.

160

— Vous ne voulez pas de moi pour voisin — warknął — vous vous donnez des airs de caste;

vous me traitez en paria... Sok! Je vais arranger la chose! — I zabrał się od razu do dzieła.

— Levez-vous toutes, mesdemoiselles! — wrzasnął. Dziewczęta zerwały się. Kazał im

wszystkim przesiąść się do

śsiedniego stołu. Mnie wskazał miejsce na końcu długiej ławki i ustawiwszy przede mną mój

koszyczek do robót, zwitki jedwabiu, nożyczki i wszystkie inne przybory, usiadł na

przeciwległym końcu. Mimo wyraźnej niedorzeczności wszystkich tych zabiegów nikt w

całym pokoju nie odważył się roześmiać. Biada tej, która pozwoliłaby sobie na choćby stłumiony chichot. Przyjęłam jego bezsensowne wyczyny z całkowitą obojętnością, usiadłam na wskazanym miejscu, oddzielona od reszty obecnych, czym bynajmniej nie przejęłam się, zadowolona, że mogę zająć się moją pracą, nie będąc molestowana przez nikogo.

— Est-ce assez de distance r — zapytał.

— Monsieur en est l'arbitre — odpowiedziałam.

— Vous savez bien que non. C'est vous qui avez cr  ce vide immense: moi je n'y ai pas mis la main .

Po tym oświadczeniu rozpoczął czytanie.

Na swoje nieszczęście obrał francuski przekład określonego przez niego pogardliwie un dramę de Williams Shackspeare —lefauc dieu, do czego dodał uzupełnienie:—de ces sotspaiens, lesAnglais .

1 Nie chce mnie pani za sąsiada — nadaje sobie pani przywileje kastowe; traktuje mnie pani jak pariasa... Niech i tak będzie. Urządzą tę rzecz!

2 Niech panie wstaną wszystkie!

3 Czy to dostateczna odległość?

4 Sąd o tym należy do pana.

5 Wiadomo pani dobrze, że nie. To pani stworzyła tę ogromną pustkę: ja nie przyłożyłem do tego ręki.

6 Dramat Williama Szekspira, fałszywego Boga... tych głupich pogan, Anglików.

161

Jak scharakteryzowałby go, gdyby nie był w tak złym humorze, zbyteczne chyba zaznaczać. Przekład, jako francuski, był oczywiście nader mierny, nie usiłowałam też bynajmniej ukrywać szyderczego usmiechu, jaki musiały z konieczności wywołać na moich ustach niektóre szczególnie niefortunne lapsusy. Nie było moją rzeczą wypowiedzenie jakiegokolwiek krytycznej uwagi, można jednak wyrazem twarzy ujawnić pogląd, jakiego nie chciałoby się czy nie wolno nawet wyrazić słowami. Monsieur miał się jednak na baczności: jego lunettes czujnie podchwytwały każde moje spojrzenie, nie sądzę też, aby przeoczył chociaż jedno z nich. W wyniku tego śledzenia rychło odrzucił szkła, aby oczy jego mogły bezpośrednio miotać iskry gniewu. Siedział pr^y biegunie północnym, który obrał na dobrowolne wygnanie, ale rozgorączkował się bardziej, aniżeli byłoby to — wobec temperatury pokoju — możliwe pod pionowo padającymi promieniami Koziorożca.

Niepodobna było przewidzieć, czy po ukończonym czytaniu opuści nas, nie wyładowawszy swojego gniewu, czy też pozwoli burzy ro2srożyć się w pełni. Powściągliwość nie należała wprawdzie do jego cnót, c ż jednak mogło dotknąć go tak bardzo, aby wywołać gwałtowny jego sprzeciw? Nie powiedziałam ani słowa, nie wydałam dźwięku nawet, nie mogłam zaś być uznana za zasługującą na ostry zarzut czy na poważne skarcenie z tego jedynie powodu, że pozwoliłam swojej mimice na grę trochę wyraźniejszą niż zwykle.

Przyniesiono kolację, składającą się z bułek i rozcieńzonego ciepłą \wodą mleka. Przez wzgląd na obecność profesora mleko i bułki ustawiono na stole, zamiast obnosić je, jak zwykle.

— Niech panie spożyją wieczerzę — rzekł udając, że jest zajęty robieniem notatek na marginesach „Williamsa Shackspeare'a". Dziewczęta usłuchały chętnie. Ja także wzięłam szklankę mleka i bułkę, bardziej jednak niż kiedykolwiek pochłonięta pracą nie ruszyłam się z miejsca, wyznaczonego mi za karę i nie zaprzestawałam z

162

najzupełniej zimną krwią skręcania jedwabnego kordonka podczas żucia bułki i popijania bawarki. Czyniłam to nawet z pewnym zadowoleniem, które było nowym dla mnie odczuciem, a w każdym razie sprzecznym ze stałymi moimi doznaniem. Jak gdyby obecność natury tak niespokojnej, tak łatwo wpadającej w bezsensowny, nieuzasadniony gniew, tak

nieogładzonej, jak Monsieur Paul, przyciągała do siebie, niby magnes, wszelkie wpływy jątrzące i podniecające, pozostawiając na mój użytek te jedynie, z których promieniował spokój i harmonia.

Monsieur Emanuel podniósł się.

Czyżby miał odejść, nie powiedziawszy więcej ani słowa?... Tak, skierował się ku drzwiom. Jednak nie. Zawrócił i podszedł ponownie do katedry, może tylko po to, aby zabrać pozostawiony na pulpicie piórnik.

Zabrał go, wyciągnął z wnętrza ołówek tak nerwowym ruchem, że złamał o drewnianą ściankę zaostrozony jego koniec, zatemperował ołówek, po czym schował go do piórnika i... nagle podszedł do mnie.

Uczennice i nauczycielki skupiły się przy sąsiednim stole, zajęte swobodną, niewymuszoną rozmową — gawędziły zawsze w ten sposób przy posiłkach; przyzwyczajone w takich chwilach mówić głośno i szybko, nie zniżały głosu i teraz.

Monsieur Paul podszedł i stanął tuż za mną pytając, czym jestem tak bardzo zajęta, na co odpowiedziałam, że robię łańcuszek do zegarka.

— Dla kogo? — zainteresował się.

— Dla pewnego pana, dla jednego z moich przyjaciół — odparłam.

Monsieur Paul pochylił się ku mnie i zaczął — jak określają to obrazowo powieściopisarze i co w danym wypadku odpowiadało istocie rzeczy — sączyć mi w ucho słowa zjadliwej krytyki.

Oświadczył mi, że ze wszystkich kobiet, jakie zna, potrafię

163

być najbardziej przykra; jestem tą, z którą najtrudniej pozostawać na stopie przyjacielskiej, że mam un caractere intraitable — charakter, z którym nie można dać sobie rady — i że jestem nieprawdopodobnie, bajkowo przewrotna. W jaki sposób wyrobiłam w sobie podobne cechy czy też co mnie opętało, nie umiałby wytłumaczyć. Faktem jest, że bez względu na najbardziej pokojowe, najżyczliwsze zamiary, z jakimi zbliża się człowiek do mnie, przeistaczam jakimś cudem zgodę w niezgodę, dobrą wolę we wrogość. On sam, Monsieur Paul, na pewno życzy mi jak najlepiej, o ile mu też wiadomo, nigdy niczym mnie nie skrzywdził, mógłby więc chyba — tak przynajmniej przypuszcza — rościć sobie prawo do uważania go za obojętnego znajomego, nie żywiącego żadnych nieprzyjaznych uczuć. A przecież — jak go traktuję? Z jak dotkliwą gwałtownością, z jak zaciętym buntem, z jak zapalczywą niesprawiedliwością!

W tym miejscu, niezdolna już dłużej się pohamować, otworzyłam szeroko oczy i zawołałam:

— Gwałtowność?! Bunt?! Zapalczywa niesprawiedliwość?! Nic o tym nie wiem!

— Chut! A l'instant! Vive comme lapoudre .

Żal mu jest mnie — bardzo, prawdziwie mu żal: martwi go przez wzgląd na mnie samą ta niefortunna wyjątkowość mojego charakteru. To emportement, ta chaleur² — szlachetne może w zasadzie, ale nadmierne — nie wyjdą mi na dobre — bardzo się tego obawia. Wielka to szkoda, wierzy bowiem w głębi duszy, że nie jestem całkowicie pozbawiona cech dodatnich. Gdybym tylko chciała posłuchać głosu rozsądku i być stateczniejsza, powściągliwsza, mniej en l'air, mniej coquette³; gdybym mniej zwracała

1 Cicho! Za chwilę! Żywa jak proch.

2 Ta porywczność, ten żar.

3 Żyjąca urojeniami, zalotna.

164

uwagi na pozory, była mniej skłonna do przypisywania niezasłużonej wartości pięknemu wyglądowi, walorom czysto zewnętrznym, mniej dumna z grzeczności okazywanych mi przez ludzi, wyróżniających się nade wszystko tyłoma a tyłoma stopami wzrostu, des coulews depoupee, un nezplus ou moins bienfait¹ przy bezgranicznej zarozumiałości — mogłabym

mimo wszystko okazać się człowiekiem użytecznym, może nawet ze wzorowym charakterem. Tak jednak, jak jest teraz... Głos mu załamał się nagle, uwiązał mu w krtani.

Miałam ochotę spojrzeć na niego albo też wyciągnąć do niego rękę czy szepnąć uspokajające słówko, bałam się jednak, że jeśli zrobię jakiś ruch, gotowa będę albo roześmiać się, albo rozpłakać, tak dziwacznie niepojęta była w tym wszystkim mieszanina wzruszenia i niedorzeczności zarazem.

Sądziłam, że wyładował już cały zapas swoich oskarżeń i napaści, ale nie! Usiadł, aby mówić swobodnie dalej.

Skoro on, Monsieur Paul, zdecydował się poruszyć te sprawy, nie cofnie się, nawet gdyby miał ściągnąć na siebie mój gniew. Mając na względzie moje dobro, pozwoli sobie zwrócić uwagę na zmianę, jaką dostrzegł w moim stroju. Musi przyznać, że kiedy poznał mnie — a raczej kiedy migąła mu od czasu do czasu w przelocie moja postać — czyniłam najzupełniej zadość jego wymaganiom. Powaga, surowa prostota, wyraźne w sposobie mojego ubierania się, mogły natchnąć najlepszymi nadziejami, dotyczącymi własnego mojego dobra. Jaki fatalny wpływ skłonił mnie do zdobienia kwiatami kapelusza, do noszenia cols brodes — haftowanych kołnierzyków — a nawet do ukazania się przy pewnej okazji w szkarłatnej sukni — może co najwyżej domyślać się, nie chce jednak otwarcie tego powiedzieć.

I znów przerwałam mu, tym razem nie bez oburzenia i zgrozy.

1 Kolorami lalki, nosem mniej lub bardziej kształtnym.

◆

165

*-- Szkarłatnej, Monsieur?! Wcale nie była szkarłatna! Była różowa, a nawet blad różowa, nadto przyćmiona czarną koronką.

— Różowa czy szkarłatna, żółta czy pąsowa, groszkowozielona czy lazuroniebieska — zupełnie bez różnicy: wszystko to są jaskrawe, obliczone na efekt kolory, a co się tyczy koronki, o której wspominam, to tylko jeszcze jeden więcej *colifichet* — jeszcze jedno dodatkowe świciełko — westchnął zgnębiony moim zwyrodnieniem, moim upadkiem moralnym. Nie może — z przykrością zmuszony jest wyznać — być tak ścisły i dokładny w tym względzie, jak pragn^{by}: nie znając nazw wszystkich tych *babioles* — *bawidełek* — mógłby popełnić drobne błędy w nazewnictwie, które niewątpliwie ściągnęłyby na niego moje szydercze uwagi i podnieciłyby moją nieszczęsną skłonność do nagłych namiętnych wybuchów. Powie więc tylko ogólnie — w takim ogólnym ujmowaniu nie popełni na pewno błędów — że mój strój przybrał ostatnio *defacons mondaines* — cechy światowe — których widok go rani.

Jakie *facons mondaines* zdołał wykryć w mojej zimowej merynosowej sukni z gładkim białym kołnierzykiem, nie potrafiłam domyślić się, a kiedy zażądałam od niego wyjaśnień, oświadczył, że zdradza zbyt wielką dbałość o efekt ogólny — a zresztą, czy i w tej chwili nawet nie noszę kokardy ze wstążki przy szyi?

—*— Jeśli pan nie uznaje kokardy w stroju kobiecym, nie uznaje pan oczywiście rzeczy takiej, jak ta, w stroju męskim? — zapytałam, pokazując mu wykańczany przeze mnie lśniący, spleciony z jedwabnego złotego kordonku łańcuszek do zegarka. Jedyne jego odpowiedzią był jęk — nad moją płochością, jak przypuszczam.

Siedział kilka chwil w milczeniu, przyglądając się łańcuszkowi, który splecałam teraz pilniej niż kiedykolwiek i wreszcie zapytał:

— Czy po tym, co powiedziałem przed chwilą, znenawidzi mnie pani ostatecznie?

Nie pamiętam, co mu na to odpowiedziałam ani też w jaki sposób doszło do pojednania, nie przypuszczam nawet, abym miała

166

w ogóle coś powiedzieć, wiem tylko, że udało nam się złożyć sobie nawzajem życzenia dobrej nocy tonem zupełnie przyjacielskim. Będąc już przy drzwiach prawie, zawrócił nagle i

podszedł do mnie, aby mi wyjaśnić, że „nie miał bynajmniej zamiaru potępić bezwzględnie mojej szkarłatnej sukni” (różowej! różowej! — wtrąciłam); wcale się nie upiera, że wyglądała nieładnie (gust Monsieur Paula skłaniał go raczej ku kolorom zdecydowanie jaskrawym), chciałby jedynie poradzić mi, abym, ilekroć ją włożę, czyniła to w takim samym nastroju, jak gdyby suknia zrobiona była z „bure” — grubego workowego materiału w odcieniu grain de pussie.

— A kwiaty na moim kapeluszu, Monsieur? — zapytałam. — Są bardzo małe...

— Niech pozostaną małe — rzekł. — Niech pani nie pozwoli im tylko rozkwitnąć w pełni.

— A kokarda, Monsieur, kawałek wstążki?

— Vapour le ruban! — Zgoda na wstążkę! — brzmiała pojednawcza odpowiedź.

W ten sposób ułożyliśmy sprawę.

Ładnie doczekałaś się, Lucy Snowe! — powiedziałam sobie. — Wysłuchałaś porządnego kazania, ściągnęłaś na siebie un rude savon — zdrowe wcieranie — i wszystko to z powodu grzesznego zamiłowania do próżnostek świata! Kto przypuściłby, że dojdzie do tego?

Uważałaś się za melancholijną skromniśnię. Panna Fanshave widzi w tobie nowoczesnego Diogenesa. Pan de Bassompierre przed kilkoma dniami uprzejmie zmienił temat rozmowy, która toczyła się dokoła szaleństw aktorki Vashti, bowiem, jak życzliwie wyraził się: „Widać po Miss Snowe, że razi ją to niemile”. Doktor John Bretton zna cię wyłącznie jako „cichą, zrównoważoną Lucy” — jako istotę, która nikomu wody nie zamąci, przesuując się przez życie „niby cień” — jak się wyraził. Słyszałaś także jego powiedzenie: „Ujemną stroną Lucy jest nadmierna powaga jej upodobań i sposobu bycia — brak barwności zarówno jej natury, jak i stroju”.

167

Takie właśnie sprawiasz wrażenie na samej sobie i na twoich przyjaciółkach, a tymczasem oto! — zjawia się człowiek, którego zdanie skrajnie różni się od zdania wszystkich innych ludzi, który oskarża cię wręcz o płochotę i lekkomyślność, o nadmierną światowość i próżność, o zbytnią jaskrawość i barwność! Ten szorstki, gburowaty człowieczek, ten surowy, nieubłagany sędzia podchwytuje i skrętnie liczy wszystkie twoje drobne grzeszki, próżności, twoją nieszczęsną różową szyfonową suknię, twoją małą skromną girlandkę kwiatów, twój kawałek wstążki, śmieszny skrawek koronki — i każe ci czuć się winną za to wszystko razem i za każdą z tych rzeczy z osobna. Przywykłaś już do tego, że ludzie przechodzą obok ciebie niby obok cienia w słonecznym blasku życia: czymś nowym jest więc dla ciebie zetknięcie się z człowiekiem, który osłania przed tobą oczy podniesioną dłonią, oślepiasz go bowiem swoją natrętnie narzucającą się jaskrawością.

Rozdział IX

Imieniny Monsieur Paula

Wstałam nazajutrz na godzinę przed świtem i dokończyłam robienie łańcuszka, klęcząc na podłodze sypialni tuż przy środkowym słupie, aby wykorzystać ostatnie słabe migotanie dogasającej lampki nocnej.

Cały materiał użyty do tej roboty, cały zapas perełek i kordonku został wyczerpany, zanim łańcuszek osiągnął pożądaną, zaplanowaną przeze mnie długość i grubość. Uplotłam go podwójnie: opierając się na regule przeciwieństwa, wiedziałam, że chcąc zadowolić gust osoby, którą miałam na względzie, muszę nadać łańcuszkowi odpowiednio efektowny wygląd. Potrzebna mi także była na zakończenie złota sprzączka, którą, na szczęście, posiadałam. Odczepiłam ją od jedyne go mojego naszyjnika i przyczepiłam do łańcuszka, który potem ciasno zwinęłam i umieściłam w pudełeczku, kupionym ze względu na jego wyjątkową kolorowość. Zrobione było z egzotycznych muszelek barwy perłowej masy, a wieczko miało wysadzone błyszczącymi niebieskimi kamykami, tworzącymi zgrabny

wianuszek. Po stronie wewnętrznej wieczka wyryłam starannie ostrzem nożyczek inicjały osoby, dla której łańcuszek był przeznaczony.

Czytelnik przypomina sobie może opis imienin Madame Beck, pamięta też prawdopodobnie, że z okazji każdej takiej rocznicy urządzano zbiórkę na wspianiały dar, ofiarowany zazwyczaj przez szkołę. Fetowanie imienin było wyróżnieniem przysługującym tylko Madame oraz, w nieco odmiennej formie, jej krewniakowi i głównemu doradcy, Monsieur Emanuelowi. W tym ostatnim wypadku był to hołd składany raczej spontanicznie, nie omawiany i nie przygotowywany naprzód, stanowił też dodatkowy — pośród wielu innych — dowód szacunku i uznania uczennic dla profesora literatury

169

bez względu na jego stronniczość i uprzedzenia, a zwłaszcza bez względu na jego drażliwość. Nie ofiarowywano mu kosztownych prezentów: dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie przyjąłby ani stołowych sreber, ani nic z biżuterii. Lubił jednak być obdarowywany. Wartość pieniężna prezentu nie obchodziła go; pierścień brylantowy, złota tabakierka, ofiarowane z odpowiednio pompatycznym ceremoniałem, mniej ucieszyłyby go niż dany mu ze szczerego serca kwiat czy własnoręczny rysunek. Taka była prawdziwa jego natura. Był człowiekiem nie uważanym za mądrego przez swoich równolat-ków, zdolny był wszakże wzbudzić prawdziwe synowskie uczucia w sercach młodzieży.

Imieniny Monsieur Paula przypadają pierwszego marca, w tym roku we czwartek. Pogoda była piękna, słoneczna. Jak zazwyczaj, byliśmy obecne na mszy tego dnia, który poza tym wyróżniał się wśród pozostałych dni tygodnia połowiczną rekreacją, jaka nań przypadła, pozwalając nam odbywać przechadzki, załatwiać sprawunki czy składać wizyty w godzinach popołudniowych. Wszystkie te okoliczności skłaniały nas do przywdziewania bardziej odświętnego stroju. Wkładano czyste kołnierzyki; codzienną ciemną, grubą, wełnianą suknię, noszoną na wykłady szkolne, zastępowała lżejsza jakaś i jaśniejsza czy barwniejsza. Tego szczególnego dnia Made-moiselle Zelig St. Pierre ustroiła się barwnie w robę de soie — jedwabną szatę — uważaną przez oszczędne mieszkanki Labasse-cour za strój wyjątkowo zbyt kowny i wspianiały. Co więcej nawet, zauważono, że posłała po coiffeur'a — fryzjera — aby utrefił jej włosy tego rana, a jeszcze bardziej spostrzegawcze uczennice wykryły, że zwilżyła chusteczkę i ręce nowymi, modnymi perfumami.

Biedna Zelig! Zwykła oświadczać w owym czasie, że śmiertelnie znużyła ją praca i samotność, że tęskni za zdobyciem środków materialnych i możliwością swobodnego wytchnienia; że chciałaby mieć kogoś, kto pracowałby za nią — męża, który pospłacałby jej długi (była fatalnie zadłużona) i dostarczałby jej strojów, pozosta-

170

wiając jej przy tym swobodę, jak mówiła, gouter unpeu lesplaisirs — zaznania trochę przyjemności. Od dawna już szeptano, że zarzuciła sieci na Monsieur Emanuela. Nie ulegało wątpliwości, że jego spojrzenie spoczywało często na Mademoiselle Zelig. Siedział nieraz minutami, nie przestając przyglądać się jej. Widywałam go nawet czyniącego to przez cały kwadrans, podczas kiedy uczennice w skupionym milczeniu pisały wypracowanie, a on siedział beczynnie na katedrze. Świadoma bazyliżkowego, wnikliwie utkwionego w niej wzroku, wierciła się niespokojnie, zarazem czując się mile polechtaną i nieco stropioną uporczywym śledzeniem przez Monsieur zmiany wyrazu jej twarzy. W wielu wypadkach instynkt pozwalał mu docierać do najgłębszych tajników myśli i serca, i wykrywać pod zewnętrznym połorem prawdziwe intencje — naga, niczyrrt nie przystrojona prawda. Dostrzegał wszystko: przewrotność dążeń, ukryte fałszywe wykręty — wszystko, czego większość ludzi, zarówno mężczyzn, jak kobiet, nie widziała, czego nie domyślała się wcale: zniekształcenie pleców, wrodzony defekt kończyn i, co znacznie gorsze, skrzywienia moralne, powstałe może z własnej winy obarczonych nimi. Nie istniały wszakże najgorsze nawet wady, których Monsieur Emanuel nie wybaczyłby, litując się równocześnie nad nimi, o

ile tylko ofiara tych braków przyznawała się do nich szczerze. Ilekroć wszakże wykrywał świadomą nieuczciwość i podstępne oszukiwanie, o, wówczas umiał być okrutny i, jak uważałam, niegodziwy nawet! Z triumfem odrzucał wówczas parawan, za którym ukrywali się nieszczęśnicy, zmuszał ich do zdarcia osłonek fałszu i bezwzględnego obnażenia utajonej pod nimi prawdy, która nie znosi bezlitosnego zrywania kryjącej ją maski.

Był przeświadczony, że tego okrucieństwa wymaga od niego poczucie sprawiedliwości; jeśli chodzi o mnie, to wątpię, aby człowiek miał prawo do podobnego wymierzania sprawiedliwości innym ludziom. Niejednokrotnie w takich wypadkach ofiary Monsieur Paula budziły we mnie szczerzy odruch współczucia, gdy on sam w

171

moim pojęciu w zupełności zasługiwał na najsurowsze wyrzuty, na oburzenie przeciwko sobie i gniew. Niepodobieństwem jednak było osłabić niezłomne jego przeświadczenie o słuszności i niezbędnosci podobnego ustosunkowania się do ludzkich wykroczeń, błędów i braków.

Po zjedzeniu śniadania i wysłuchaniu mszy uczennice i nauczycielki wypełniły na odgłos dzwonka pokoje szkolne, tworząc widok pełen niepowszedniego wdzięku: starannie ubrane, wyświeżone, z wyrazem uroczystego oczekiwania w oczach, każda z wiązką kwiatów w ręku, najwdzięczniejszych kwiatów wiosennych, wypełniających świeżym, balsamicznym aromatem atmosferę szkoły. Ja jedna nie miałam bukietu. Lubię kwiaty, kiedy rosną, zwłaszcza na łące i w lesie; zerwane przestają być dla mnie pońętne. Widzę w nich martwe, skazane na rychły uwiąd stwory; zasmuca mnie ich podobieństwo do życia ludzkiego. Nie ofiarowuję nigdy kwiatów tym, których kocham; nie chciałabym nigdy otrzymywać ich od osób mi drogich.

Mademoiselle St. Pierre zauważyła od razu, że nie mam bukietu — nie była zdolna jednak uwierzyć, abym mogła posunąć do tego stopnia moją opieszałość. Wypatrywała pilnie, czy nie ukrywam gdzieś rozmyślnie symbolicznego kwiatka, jakiegoś bukietu fiołków, czegoś osobliwego, czym mogłabym zasłużyć na pochwałę, co by świadczyło o moim dobrym guście, mojej niewinności i skromności. Okazało się jednak, że pozbawiona polotu i wyobraźni „Anglaise” nie ziściła obaw paryżanki: siedziała naprawdę nie zaopatrzona w żaden wonny dar, ogołocona z kwiatów i liści, jak drzewo w zimie. Upewniona co do tego, uśmiechnęła się Zćlie z nieukrywanym zadowoleniem.

— Jak rozumnie postąpiła pani, zaoszczędzając nieco pieniędzy, Miss Lucie — rzekła — a ja głupia wyrzuciłam dwa franki na bukiet kwiatów cieplarnianych — dodała, pokazując z dumą wspinałą istotnie wiązkę.

172

Ale oto: psyt! — krok, jego krok. Pośpieszny jak zwykle, tym razem wszakże ów pośpiech nie był wywołany nerwowym niepokojem i nie wynikał z gwałtownego temperamentu.

Wydało się nam, że, wyrażając się romantycznie, w sposobie kroczenia naszego profesora rozbrzmiewała dzisiejszego ranka przyjazna zapowiedź — jak też było w istocie.

Wszedł w radosnym nastroju, który udzielił się wszystkim zebrany w sali. Miłe powitanie, okraszone życzliwym uśmiechem Monsieur Paula, rozświecało bardziej jeszcze panującą w tym dniu atmosferę powszechnego rozanielenia. Jako prawdziwy Francuz (nie wiem, co prawda, dlaczego nazywam go tak, nie pochodził bowiem ani z Francji, ani z Labassecour) przystroił się ze względu na wyjątkową okazję i „sytuację”. Fałdy jego opończy w odcieniu sadzy, przypominającej raczej strój spiskowca, nie zasłaniały zarysów jego sylwetki; wprost przeciwnie: postać jego, korzystnie uwydatniona krojem ubrania i jasną jedwabną kamizelką, sprawiała przyjemne wrażenie. Znikł pogański, wyzywający bonnet grec — solenizant wszedł z obnażoną głową, trzymając w dłoni normalny kapelusz. Wyglądał dobrze, wyjątkowo dobrze: niebieskie oczy jaśniały dobrocią, smagłe policzki były zarumienione; był prawie piękny. Można było śmiało nie zwracać uwagi na to, że jego nos, bynajmniej nie małych

rozmiarów, nie odznaczał się klasycznym kształtem; nie raziły również jego chude policzki ani też usta dalekie barwą i wykrojem od różanego pączka. Przyjmowało go się chętnie takim, jakim był, czując, że ma się w każdym razie przed sobą osobę nieprzeciętną.

Podszedł do katedry, umieścił na pulpicie swój kapelusz i rękawiczki.

— Bonjour, mes amies — rzekł tonem usprawiedliwienia, jakby czuł się winny wobec niektórych spośród nas za niejedną surową burę czy opryskliwe warknięcie; nie był to ton wesoły, urwi-sowsko-koleżeński, ani namaszczony, kapłański, ale jego własny głos, używany jednak wówczas tylko, kiedy słowa płynęły mu z

173

serca. Bowiem serce to przemawiało czasem: organ ten, mimo że łatwo ulegał podrażnieniu, nie był skostniały; w jego środku było miejsce tkliwe niemęską tkliwością, umożliwiającą mu zniżanie się do poziomu małych dzieci, wiążące go z dziewczętami i kobietami, z którymi, mimo że buntował się przeciwko temu, nie mógł wyrzec się bliskiego pokrewieństwa ani też zaprzeczyć, że na ogół łatwiej trafiał do ich serc i umysłów niż do przedstawicieli własnej płci.

— Życzymy panu wszystkie dobrego dnia i składamy powinszowania w dniu pańskich imienin — wyrecytowała Mademoiselle Zelig, występująca w roli orędowniczki całego zgromadzenia. Podeszła do niego krokiem jak zwykle pretensjonalnym i złożyła przed nim swój kosztowny bukiet.

Za nią podchodziły wszystkie uczennice, prześlizgując się posuwistym tanecznym krokiem, charakterystycznym dla cudzoziemek, i pozostawiały na stole przed solenizantem swoje dary. Każda z dziewcząt tak zręcznie umieszczała swoje kwiaty, że kiedy ostatnia wiązanka została złożona na stole, stanowiła ona szczyt kwietnej piramidy, piętrzącej się z takim przepychem, że sam bohater znikł zupełnie za nią. Po dopełnieniu tej ceremonii usiadłyśmy wszystkie na naszych miejscach, oczekując w niemym milczeniu na przemówienie solenizanta.

Upłynęło, jak przypuszczam, pięć minut, nic jednak nie przerwało martwej ciszy; potem jeszcze pięć — i wciąż ani dźwięku.

Niejedna z obecnych zaczynała już niewątpliwie dziwić się, na co też Monsieur Paul może czekać. On wszelako, niemy, nieporuszony, nie znajdujący słowa, stał na swoim miejscu, za spiętrzoną piramidą kwiatów.

W końcu rozległ się głos, głęboki, jak gdyby wychodzący z próżni:

— Est-ce iñ tout?!

1 Czy to wszystko?

174

Mademoiselle Zelig rozejrzała się.

— Czy wszystkie złożyłyście wasze dary? — zwróciła się do uczennic.

Tak, wszystkie złożyły swoje wiązanki, od najstarszej do najmłodszej, od najwyższej wzrostem do najdrobniejszej. Główna nauczycielka stwierdziła to z naciskiem.

— Est-ce iñ tout? — powtórzył solenizant tonem głębszym niż poprzednio, zdającym się brzmieć o jeszcze kilka tonów niżej.

— Monsieur — rzekła Mademoiselle St. Pierre, podnosząc się i tym razem przybierając swój zwykły słodki uśmiech. — Mam zaszczyt oświadczyć panu, że my wszystkie obecne tutaj, z jedynym wyjątkiem, złożyłyśmy w hołdzie nasze kwiaty. Zechce pan jednak łaskawie wybaczyć Miss Lucie: jako cudzoziemka nie zna prawdopodobnie naszych zwyczajów albo może nie docenia jak należy ich znaczenia. Miss Lucie uważa widocznie uroczyście imieninową za zbyt mało znaczącą, aby miała zaszczyścić ją swoim aktywnym udziałem.

— Bravo! — mruknęłam przez zęby. — Nie jest pani, Mademoiselle Zelig, złym mówcą, z chwilą gdy podejmuje się pani obowiązku przemawiania.

Odpowiedź udzielona Mademoiselle St. Pierre z wysokości katedry ograniczyła się do gestu ręką spoza piramidy. Gest ten zdawał się zażegnywać słowa, nakazywać milczenie. Za ręką ukazała się po chwili cała postać. Monsieur wyłonił się spoza zasłaniających go kwiatów i wystąpiwszy na front estrady, wpatrzony tępo przed siebie w wielką mappe-monde — mapę obu półkul — pokrywającą całą przeciwległą ścianę, zapytał po raz trzeci, tym razem tragicznym już tonem:

— Est-ce iñ tout?

Mogłabym uratować sytuację, gdybym w tym momencie wystąpiła naprzód i wsunęła mu do ręki małe, kolorowe, wysadzone muszelkami pudełeczko, które trzymałam w mocno zaciśniętej ręce.

175

Z początku chciałam tak zrobić, ale komiczne zachowanie Monsieur Paula skusiło mnie, by zaniechać tego zamiaru, teraz zaś fałszywe wystąpienie Mademoiselle St. Pierre wywołało mój sprzeciw. Czytelnik, który nie miał dotychczas żadnego powodu przypisywania charakterowi Miss Snowe najmniejszych pretensji do doskonałości, nie będzie chyba zdziwiony dowiadując się, że wrodzona przekora nie pozwoliła jej bronić się przeciwko rzekomym przewinieniom, jakimi podobało się paryżance obarczyć ją. W dodatku Monsieur Paul brał całą sprawę tak poważnie i miał minę tak tragiczną, że zasługiwał na to, by się z nim podroczyć. Wstrzymałam więc mój pierwotny odruch, ścisnęłam jeszcze mocniej w rękę pudełko i siedziałam w dalszym ciągu obojętna i nieczuła jak kamień.

— Dobrze więc! — padło wreszcie oświadczenie z ust Monsieur Paula. Równocześnie z wypowiedzeniem tych słów na czoło jego padł cień nadchodzącej wielkiej burzy— zarysowała się na nim groźna bruzda gniewu, szyderstwa i ostatecznej decyzji; takim samym wyrazem odęły się jego usta i ściągnęły policzki. Przełknąwszy wszelki dalszy komentarz, rozpoczął swój zwykły discours.

Nie przypominam sobie jego treści; nie słuchałam go wcale; proces przełknięcia dalszych komentarzy, nagle bohaterskie opanowanie przez Monsieur Paula osobistej urazy i żalu natchnęły mnie uczuciem, które w połowie co najmniej równoważyło komiczny efekt powtarzania: Est-ce III tout?

Ku końcowi przemówienia wydarzyło się zabawne intermezzo, które w przyjemny sposób przykuło znów moją uwagę.

Wskutek nieostrożnego, przypadkowego —jak mi się wydaje — ruchu upuściłam na podłogę naparstek i pochyliwszy się, aby go podnieść, uderzyłam czubkiem głowy o ostry kant pulpitu. Drobnym ten wypadek wywołał oczywiście lekkie zamieszanie. Monsieur Paul zirytował się. Niezdolny zachować dłużej udawanej zimnej krwi, dał za wygraną trosce o godność własną i o pozory opano-

176

wania, którymi nigdy zresztą nie usiłował zaprzętać sobie głowy na dłuższą metę, i swobodnie już puścił wodze swojemu rozna-miętnieniu.

Nie umiałabym powiedzieć, jaką drogą w przebiegu swojego discours dostał się na drugą stronę kanału i wylądował na gruncie brytyjskim, fakt jednak, że tam właśnie go zastałam, kiedy zaczęłam słuchać jego mowy.

Ogarnąwszy szybkim krytycznym spojrzeniem cały pokój — spojrzeniem, które przebijano na wskroś albo też miało przebić na wskroś, kiedy padło na mnie — rzucił się z furią na les Anglaises.

Nie słyszałam nigdy, by kobiety angielskie potraktowano w taki sposób, w jaki potraktował je tego ranka Monsieur Paul: nie oszczędził niczego i nikogo — ani ich umysłowości, ani ich etyki, ani ich manier i wyglądu zewnętrznego. Szczególnie utkwilo mi w pamięci wyszydzenie ich wysokiego wzrostu, ich długich szyi, ich chudych ramion, niedbałego stroju, pedanterii, wykształcenia, bluźnierczego sceptycyzmu (!), nieznośnej dumy, udawanej cnoty.

W tym miejscu zgrzytnął zębami z gniewu, sprawiając wrażenie, że gdyby tylko zdobył się na odwagę, mógłby powiedzieć wiele na ten temat. O, był szyderczy, cierpki, rozgoryczony i w naturalnym tego wyniku brzydki, odrażający.

Mały, zły, zjadliwy człowieczku! — pomyślałam. — Czy warto dręczyć się obawą ściągnięcia na siebie twojego gniewu lub zranienia twoich uczuć? Nie, naprawdę nie! Będziesz mi obojętny, tak samo obojętny jak najnędzniejsza z więzank w twojej piramidzie. Przykro mi wyznać, że nie byłam w stanie urzeczywistnić w pełni tego postanowienia. Przez jakiś czas to miotanie przez niego obelg na Anglię i Anglików, zwłaszcza na Angielki, obijało się bezskutecznie o pancerz mojej nieczułości. Znosiłam te napaści z prawdziwym stoicyzmem w ciągu jakiegoś kwadransa co najmniej, widocznie jednak syczący bazyliśzek postanowił ukłuć mnie do żywego, zaczął bowiem obrzucać takiego rodzaju zniewagami nie

177
tylko nasze kobiety, ale największe nasze sławy narodowe, najlepszych naszych ludzi, plwać na nasz sztandar i tarzać w błocie flagę angielską, że wreszcie dopiął swego — ukłuł mnie. Ze złośliwym upodobaniem zaczął odgrzebywać najbardziej pieprzne kontynentalne fałszy historyczne — ponad które nie istnieje nic dotkliwiej urażającego. Zelic i cała klasa uśmiechały się wszystkie bez wyjątku z jednakową mściwą rozkoszą. Ciekawe było dla mnie przy tym wykrzyki, do jakiego stopnia te błazny labassecouryjskie nienawidzą Anglii. Przebrała się wszakże miarka. Uderzywszy z całych sił pięścią w pulpit, otworzyłam usta i krzyknęłam głośno:

— Vive l'Angleterre, l'Histoire et les Heros! A bas la France, la Fiction et les Faquins!
Klasa oniemiała. Przypuszczano prawdopodobnie, że oszalałam. Profesor zasłonił usta chusteczką, aby ukryć w jej fałdach złośliwy uśmiech. Potwór! Wyobrażał sobie na pewno, że zdoławszy doprowadzić mnie do wybuchu oburzenia, odniósł nade mną ostateczne zwycięstwo. W jednej chwili odzyskał dobry humor. Z wielką swadą zaczął mówić o otrzymanych tego dnia kwiatach, rozwodząc się poetycko i symbolicznie nad ich czarem, nad balsamicznym ich zapachem, nad ich niepokalaną czystością: przeprowadzał typowo francuskie porównania pomiędzy jeunes filles — młodymi dziewczętami — i czarownicami kwiatami, jakimi był otoczony; obdarzył Mademoiselle St. Pierre wielce wytwornym komplementem z racji i szczególnej wspaniałości jej bukietu i wreszcie zakończył oznajmieniem, że najbliższego prawdziwie pogodnego ranka wiosennego zabierze całą klasę na śniadanie za miasto.

— Te przynajmniej spośród uczennic i nauczycielek — dodał z naciskiem — które wolno mi zaliczyć do grona prawdziwych moich przyjaciółek.

1 Niech żyje Anglia, historia i bohaterowie! Precz z Francją, ze zmyśleniami i z nikczemnikami!

178

— Donc je n'y serai pas — oznajmiłam, nie namyślając się.

— Soit — rzucił za całą odpowiedź i zebrawszy w jedną naręcz wszystkie kwiaty, wyskoczył jak oparzony z klasy.

I ja także, pozostawiwszy w moim pulpicie robotę, nożyczki, napaśtek i zapomniane nieszczęsne, wysadzone muszelkami pudełko, uciekłam na górę. Nie wiem, do jakiego stopnia Monsieur Paul był zły i rozgorączkowany, szczerze wyznaję jednak, że ja byłam i zła, i rozgorączkowana.

A jednak, przejęta niezwykłym, chociaż przemijającym gniewem, przesiadziałam na krawędzi łóżka nie dłużej niż godzinę, mając wciąż w pamięci złe spojrzenie Monsieur, jego słowa i minę; gdy już gniew mój się rozwiął, mogłam uśmiechnąć się do całej tej wizji. Trochę żal mi było, że nie wręczyłam mojego pudełeczka. Zamierzałam sprawić solenizantowi przyjemność. Los chciał inaczej.

W godzinach popołudniowych, przypomniawszy sobie, że pulpity w klasie nie są bynajmniej pewnym schowkiem, pomyślałam, że należałoby zabrać pudełeczko ze względu na inicjały, wyryte na wewnętrznej stronie wieczka. Były to inicjały: P. C D. E. — Paul Carl (czy Carlos) David Emanuel — tak brzmiały pełne imiona i nazwisko; cudzoziemcy muszą mieć zawsze wiele imion. Nie ociągając się zeszłam do klasy.

Panowała tu świąteczna cisza. Uczennice przychodnie poroz-chodziły się do swoich domów; stałe pensjonarki były na spacerze; nauczycielki, z wyjątkiem dyżurnej surveillante, były w mieście, składały wizyty lub robiły zakupy w sklepach. Klasy były puste i tak samo pusta była wielka sala z olbrzymim, zapalonym w szczególności uroczystości świecznikiem, zwisającym z samego środka sufitu, oraz z dwoma bocznymi wieloramiennymi kandelabrami i z za-

1 Nie będzie mnie więc tam.

2 Zgoda!

179

mknictym długim fortepianem. Nad wszystkim tym zalegała niezmacona cisza dnia półświątecznego. Ze zdziwieniem dostrzegłam uchylone drzwi, wiodące do pierwszej klasy. Pokój ten bywał stale zamykany po opuszczeniu go przez uczennice; nikt nie miał wstępu do niego poza mną i Madame Beck, która miała zapasowy klucz. Bardziej jeszcze zdziwił mnie, kiedy podeszłam bliżej, dochodzący stamtąd szelest, niewyraźne odgłosy życia — krok, przesunięcie krzesła, lekki trzask jak gdyby otwieranego pulpitu.

To niewątpliwie Madame Beck na obchodzie inspekcyjnym — przyszło mi na myśl w pierwszej chwili. Zajrzałam przez uchylone drzwi, żeby przekonać się, czy przypuszczenia moje są słuszne. O, nie, to nie sylwetka szperającej czujnie Madame, jej szal i czyściutki czepeczek, ale surdut i przystrzyżona krótko ciemna głowa mężczyzny. Zajmował moje krzesło; swą smagłą, prawie oliwkowej barwy ręką otwierał mój pulpit; nos jego był niewidoczny, tkwił głęboko w moich papierach. Cała postać zwrócona była do mnie plecami, tożsamość jej nie mogła jednak ulegać żadnej wątpliwości. Monsieur Paul — był to on oczywiście — uwolnił się już od stroju świątecznego i powrócił do ukochanego, wypłamionego atramentem surduta; pogański bonnet grec leżał na podłodze, jak gdyby wypadł przed chwilą z przestępczo zajętej teraz ręki.

Nie było dla mnie bynajmniej nowiną, że ręka ta pozostawała w nader bliskich stosunkach z moim biurkiem: mogłoby ono zdradzić niejedną jej tajemnicę. Sprowokowana tą obecnością, a zarazem zadowolona, że mogłam go przyłapać — doświadczyłam uczucia gospodyni wykrywającej wreszcie, który to z duszków domowych zakrada się do mlecza i uwija się przy maselnicy. Cichutko wślizgnęłam się do klasy i stanęłam tuż za Monsieur Paulem, pochylona ostrożnie nad jego plecami.

Serce żywiej zabiło mi w piersi na widok przyniesionych mi przez niego — po wrogości tego rana, wywołanej moim rzekomym przewinieniem, po okrutnym jakoby zranieniu przeze mnie jego

180

uczuc — kilku ładnie oprawnych nowych tomów, których tytuły i nazwiska autorów były wystarczającą rękojmią ich wartości. Gotów był więc zapomnieć i przebaczyć! W tej chwili, pochylony nad moim biurkiem, wywracał do góry dnem całą jego zawartość, bardzo ostrożnie jednak i starannie, aby nic nie uszkodzić i nie zrobić nieporządku. Jego wyraźna życzliwość dla mnie, dbałość o niewyrządzenie mi żadnej krzywdy rozproszyły rychło mój gniew. W tej chwili nie żywiłam dla profesora Emanuela żadnych wrogich uczuć. Przypuszczam, że czujne ucho profesora podchwyciło szmer mojego oddechu, odwrócił się bowiem nagle. Pomimo swojej nerwowości nie wzdrygał się nigdy, zaskoczony niespodzianiem, i rzadko rumienił się. Była w nim niezwykła jakaś prostolinijność i nie-ugiętość.

— Myślałam, że poszła pani do miasta z innymi nauczycielkami — rzekł, usiłując nie tracić zwykłego opanowania, co jednak niezbyt mu się udało. — Wszystko jedno zresztą. Wyobraża

sobie pani, że coś robię sobie z tego, że mnie pani przyłapała? Nic a nic. Często przeglądam pani biurko.

— Wiem o tym.

— Tak, bo znajduje pani od czasu do czasu jakąś książkę albo broszurę, ale nie czyta ich pani prawdopodobnie dlatego, że cuchną cygarami.

— Tak, rażą mnie tym właśnie, ale czytam je.

— Bez przyjemności?

— Nie śmiem przeczytać temu, co mówi Monsieur.

— Podobają się pani? A przynajmniej niektóre z nich?

— Monsieur widywał mnie czytającą je setki razy, a wiadomo mu wszak, że nie mam tyłu przyjemności, abym mogła nie doceniać tych, które zawdzięczam panu.

— Mam w stosunku do pani najlepsze chęci, a skoro pani to docenia, mój wysiłek jest wynagrodzony. Dlaczego jednak nie możemy być przyjaciółmi?

181

— Fatalista odpowiedziałby: dlatego że nie możemy.

— Dzisiejszego rana — mówił dalej — obudziłem się w jak najlepszym usposobieniu i kiedy wszedłem do klasy, byłem szczęśliwy; pani zepsuła mi cały dzień.

— Nie — odparłam — tylko dwie czy trzy ranne godziny, a i to nierozmyślnie.

— Nierozmyślnie?! Nie. Był to dzień moich imienin; wszyscy, z wyjątkiem pani, złożyli mi życzenia szczęścia. Małe dziewczynki z najniższej klasy zdobyły się na dary dla mnie; każda przyniosła po bukietiku fiołków, każda wyszczebiotała swoje powinszowanie, a pani nic. Czy można więc twierdzić, że nie było to rozmyślne?

— Nie miałam zamiaru wyrządzać panu krzywdy.

— Czyżby pani naprawdę nie знаła naszych zwyczajów? Nie była pani przygotowana? Chętnie wydałaby pani parę centymów na kupno kwiatów, aby sprawić mi przyjemność, gdyby pani mogła przypuszczać, że będę na to liczył? Niech pani powie, że tak było, a zapomnę o przykrości, jakiej doznałem.

— Owszem: wiedziałam, że Monsieur spodziewa się tego po mnie; byłam przygotowana, nie wydałam jednak ani centyma na kwiaty.

— Dobrze pani robi, że szczerze i uczciwie przyznaje się do tego. Kłamstwo w pani ustach wzbudziłoby we mnie wstręt. Wolę już, aby pani oświadczyła wręcz: Paul Carl Emanuel, je te deteste, mon garçon¹, niżby miała pani udawać zainteresowanie i sztucznie uśmiechać się, a w głębi duszy pozostała zimna i obłudna. Nie sądzę, aby pani była zimna i obłudna; wierzę jednak, że popełniła pani wielki błąd i źle pokierowała swoim życiem. Przypuszczam, że sąd pani jest wypaczony — że jest pani obojętna tam, gdzie powinna pani być wdzięczna, oddana natomiast, a może nawet rozkochana tam, gdzie powinna pani być zimna, jak nazwisko, które

1 Pawle Karolu Emanuelu, nienawidzę cię, mój chłopcze.

182

pani nosi! Niech pani nie sądzi, że chciałbym widzieć ją rozkochaną we mnie, Mademoiselle. Dieu vous en garde!² Dlaczego pani tak drgnęła? Dlatego, że mówiłem o rozkochaniu? Mówię raz jeszcze o tym. Istnieje takie słowo i istnieje takie uczucie, jakkolwiek, chwała Bogu, nie w obrębie tych murów. Nie jest już pani dzieckiem, aby nie wolno było mówić w pani obecności o tym, co istnieje. Ja jednak wymieniłem tylko to słowo, bo uczucie — mogę panią zapewnić — jest obce całemu mojemu życiu i poglądom. Zamarło ono w przeszłości — obecnie leży pogrzebane — mogiła jego jest głęboka, a na niej usypany wysoki kurhan od wielu już zim. W przyszłości nastąpi zmartwychwstanie; chcę wierzyć w to na pocieszenie własnej duszy; wówczas jednak zmieni się wszystko — forma i uczucie, śmiertelny zyska nieśmiertelność, odrodzi się nie dla ziemi, ale dla nieba. Wszystko, co mogę powiedzieć pani,

Miss Lucy Snowe, to jedynie, że powinna pani traktować profesora Paula Emanuela przyzwoicie. Nie mogłam i nie chciałam przeczyć zasadności podobnego przeświadczenia. — Niech mi pani powie — dodał — kiedy są pani imieniny, a na pewno nie poskąpię kilku centymów na drobny dar.

— Zrobi pan to samo tylko, co ja zrobiłam, Monsieur, kosztowało to więcej niż kilka centymów, których nie poskąpiłam jednak.

Mówiąc to, wyjęłam z biurka małe pudełeczko i podałam mu je.

i

— Miałam je gotowe w ręku dzisiejszego rana — dodałam — i gdyby Monsieur miał nieco więcej cierpliwości, a Mademoiselle St. Pierre nie wtrącała się zgoła niepotrzebnie, a może także — zmuszona jestem zaznaczyć — może gdybym i ja sama była bardziej opanowana i rozsądna, wręczyłabym je panu we właściwej chwili.

1 Gra słów: Snów — po angielsku — śnieg. Snów i Snowe brzmi prawie jednakowo.

2 Niech panią Bóg od tego strzeże!

183

Spojrzał na pudełeczko: widziałam, że podobała mu się jego jasna, ciepła barwa i lazurowy wianuszek. Poprosiłam go, aby je otworzył.

— Moje inicjały! — zawołał, wskazując litery na wewnętrznej stronie wieczka. — Od kogo dowiedziała się pani, że na imię mi Karol Dawid?

— Od małego ptaszka, Monsieur.

— Czy leci on ode mnie do pani? Mógłbym więc w razie potrzeby przywiązać mu do skrzydełka wieść do przesłania.

Wyjął z pudełeczka łańcuszek — drobiazg oczywiście ze względu na jego wartość pieniężną, ale ładnie połyskujący jedwabiem kordonka, mile iskrzący się perełkami. Podobał mu się wyraźnie, zachwycał się nim z bezpośredniością niemal dziecięcą.

— To dla mnie?

— Tak, dla pana.

— Nad tym właśnie pracowała pani wczoraj wieczorem?

— Nad tym.

— Skończyła pani to dzisiaj rano?

— Nie wcześniej.

— I zabrała się pani do tej roboty z intencją ofiarowania jej mnie?

— Oczywiście!

— Aby ofiarować mi łańcuszek w dniu moich imienin?

— Tak.

— I nie zmieniła pani swojego zamiaru przez cały czas pracy nad nim?

I na to pytanie dałam twierdzącą odpowiedź.

— Nie mam potrzeby więc odcinać żadnego jego kawałka — mówiąc, że ta część jest moja, a ta nie moja; że ten kawałek łańcuszka był robiony z myślą o kim innym i służyć miał ku ozdobie kogo innego?

— Bynajmniej. Nie byłoby to ani potrzebne, ani słuszne.

184

— Zatem cały łańcuszek należy do mnie?

— Tak, całkowicie do pana.

Zdecydowanym ruchem rozpiął surduty, wspaniale ułożył łańcuszek na swojej piersi, starając się uwydatnić z jego całości, jak tylko dało się najwięcej i ukryć, jak tylko dało się najmniej: nie umiał ukrywać tego, czym się zachwycał i co uważał za szczególnie ozdobne i dekoracyjne. Co się tyczy samego pudełeczka, wyraził się

o nim, że jest prawdziwą bombonierką; nawiasem powiedziawszy, bardzo lubił bonbons — cukierki — że zaś lubił zawsze dzielić się z innymi tym, co sprawiało przyjemność jemu

samemu i co mu się podobało, rozdawał swoje dragées — pastylki — równie szczerze jak swoje książki. Pośród darów przyjaznego duszka, pozostawianych w moim pulpicie, zapomniałam wyliczyć niejednego rulonika nadziewanych czekoladek. Jego gusty w tym względzie były typowymi gustami południowca, dziecięcymi w naszym pojęciu. Jego drugie śniadanie składało się przeważnie z brioche — ciastka drożdżowego — które często dzielił z jednym z dzieci z najmłodszej klasy.

— A present c'est un fait accompli — rzekł, zapinając z powrotem surdut. Nie było już więcej mowy o tym pomiędzy nami.

Przejrzał jeszcze obie przyniesione książki, wyciął z nich scyzorykiem kilka kartek (stałe przeglądał książki i usuwał z nich to, co uważał za wskazane, zanim je pożyczył, zwłaszcza gdy były to powieści; nieraz gniewała mnie surowość jego cenzury: wycięte kartki psuły nieraz tok opowiadania) — po czym wstał, grzecznie dotknął dwoma palcami swego bonnet grec i tym gestem mnie pożegnał.

Jesteśmy teraz przyjaciółmi — pomyślałam — aż do następnej kłótni.

Omam nie pokłóciliśmy się jeszcze tegoż wieczora, ale —

1 Teraz to fakt dokonany.

185

rzecz nadzwyczajna! — tym razem nie wykorzystaliśmy po temu okazji.

Wbrew wszelkim przewidywaniom przybył w porze wieczornego przygotowywania lekcji.

Był z nami przez cały ranek, więc nie spodziewaliśmy się jego przybycia wieczorem.

Zaledwie jednak zasiadliśmy do pracy, zjawił się niespodziewanie. Przyznaję, że rada mi była, tak bardzo rada, że mimo woli przywitałam go uśmiechem, a kiedy skierował się ku temu samemu miejscu, które stało się wczoraj powodem tak poważnego starcia, uważałam pilnie, aby nie odsuwać się od niego zbyt daleko. Widziałam, że spogląda podejrzliwie spod oka, czy nie cofam się za daleko, nie uczyniłam tego jednak, mimo że zrobiło się ciasno.

Przestało mi zależeć na odsuwaniu się od Monsieur Paula. Przywykłam już do jego surduta i do bonnet grec, i dlatego sąsiedztwo ich nie wydawało mi się ani tak bardzo nieprzyjemne, ani przerażające. Nie siedziałam obok niego zduszona asfycją (jak się wyrażał):

poruszałam się, kiedy chciałam się poruszyć, nie krępowałam się odkaszlnąć, jeśli miałam na to ochotę, a nawet ziewnąć, gdy byłam zmęczona — słowem robiłam, co mi się podobało, ślepo ufna w jego pobłażliwość. Śmiałość moja nie ściągnęła na mnie — tego wieczoru przynajmniej — kary, na jaką może zasłużyłam: Monsieur Paul był nie tylko wyrozumiały, ale i przyjaźnie usposobiony; ani razu nie rzucił gniewnego spojrzenia, ani jedno popędliwe słowo nie wyrwało mu się z ust. Aż do końca wieczoru nie zwrócił się do mnie bezpośrednio, czułam jednak, że jest mi życzliwy. Milczenie bywa różnego rodzaju i odmienne miewa znaczenia: żadne słowa nie mogłyby wyrazić miłszej treści niż milcząca obecność Monsieur Paula. Kiedy wniesiono tacę z mlekiem i bułkami i zapanował gwar, towarzyszący zazwyczaj spożywaniu wieczery, powiedział tylko odchodząc, że życzy mi dobrej nocy i przyjemnych snów. Po tym pożegnaniu spędziłam dobrą noc i miałam przyjemne sny.

186

Rozdział X Monsieur Paul

Radzę jednak czytelnikowi, aby nie spieszył się z formułowaniem pochopnych wniosków, czyli z wyobrażaniem sobie, że od tego dnia charakter Monsieur Paula zmienił się gruntownie, że stał się on łatwy we współżyciu, że przestał zagrażać w każdej chwili sianiem zamętu i niepokoju wokół siebie.

Nie. Był w dalszym ciągu i pozostał małym człowieczkiem, ulegającym nieprzewidzianym, nieuzasadnionym kaprysom i nastrojom. Ile; roć bywał przepracowany, co zdarzało mu się często, wpadał w stan ostrego podrażnienia; w jego żyłach krążyła żywa belladonna, płynąca z zatrutego źródła zazdrości. Nie mam na myśli dyktowanej przez uczucie, tkliwej zazdrości serca, ale owo surowsze, ciaśniejsze uczucie, którego siedliska należy szukać raczej w mózgu.

Ilekróć przyglądałam się Monsieur Paulowi, marszczącemu groźnie brwi czy wysuwającemu dolną szczękę przy korygowaniu któregoś z moich wypracowań, nie zawierających tyle błędów, ile życzyłyby ich sobie (lubił stwierdzać moje błędy: kilka mylnie użytych wyrażen było mu równie miłe jak garść smacznych orzechów), przychodziło mi na myśl, że zachodzi pewne podobieństwo pomiędzy nim a Napoleonem Bonaparte. Żywię to przekonanie do dnia dzisiejszego.

Podobnie jak wielki cesarz, nie uznawał wielkoduszności. Tak samo jak Napoleon gotów był wyklócać się z dziesiątkami wykształconych kobiet i uprawiać bez zarumienienia się system drobnych intryg, waśni i wzajemnych oskarżeń, podsuwanych mu przez liczne, wzajem zwalczające się, kapiące pod sobą dołki koterie, jakimi zwykł się otaczać, nie dbając o to, że dzieje się to z ujmą dla jego

187

godności osobistej. Bez wahania skazałby na wygnanie pięćdziesiąt pań de Stael, o ile odważyłyby się urazić go czymś, współzawodniczyć z nim w jakiegokolwiek sprawie czy bodaj nawet przeciwstawić mu się.

Zapamiętałam jedną z gorętszych jego utarczek z niejaką Madame Panache — niewiastą zatrudnioną chwilowo przez Madame Beck, na której pensji udzielała lekcji historii. Była to osoba wykształcona, to znaczy mająca wiele wiadomości i, co ważniejsze, sztukę umiejętnego ich przekazywania. Umiała doskonale wysławiać się i miała bezgraniczną wiarę w samą siebie, w swoją nieomylność. Jej powierzchowność nie była również pozbawiona stron dodatnich. Przypuszczam nawet, że wielu uznałoby ją za piękną kobietę, mimo to jednak istniały pewne cechy jej dojrzałych, obfitych wdzięków, zarówno jak jej silnej, rzucającej się w oczy osobowości, z którymi nie mógł pogodzić się wysubtelniony, kapryśny gust Monsieur Paula. Już samo brzmienie jej głosu, rozlegającego się w *carre*, działało na niego jak ciecie ostrogą; jej długie, zamasytne kroki na korytarzu doprowadzały go do takiej pasji, że chwycił z katedry wszystkie książki, papiery i zniknął momentalnie.

Odważywszy się pewnego dnia z wyraźną złośliwą intencją wpaść do klasy podczas jej wykładu, błyskawicznie, ze zwykłą swoją bystrością i przenikliwością przejrzał na wskroś jej metodę nauczania, biegunowo różną od jego systemu. Bezceremonialnie, bez zachowania kardynalnych wymogów najpospolitszej grzeczności, brutalnie wykazał jej rzekome błędy, jakie popełniła, a raczej to, co uznał za błędy w jej wykładzie. Nie wiem, na co liczył: na jej ukorzenie się przed jego autorytetem czy chociażby na uważne wysłuchanie zarzutów.

Spotkał się wszakże z zaciętym oporem; ostro zgromiła go za nie dające się istotnie niczym usprawiedliwić wtrącanie się do nie swoich spraw.

Zamiast wycofać się z godnością, jak mógłby jeszcze uczynić, bez namysłu rzucił jej wyzwanie. Madame Panache, wojownicza

188

niczym Pentesilea, podjęła je odważnie i z najwyższym lekceważeniem obrzuciła wścibskiego przeciwnika stekiem obelżywych słów. Monsieur Emanuel był wygadany, ale Madame Panache przewyższała go stokrotnie obrotnością języka. Zawrzała między nimi niepohamowana walka na słowa. Zamiast wesoło podrwiwać z urodziwej przeciwniczki, z chorobliwej jej miłości własnej i z nie ukrywanej pewności siebie, Monsieur Paul zapalał do niej najgłębszą nienawiścią; całkiem na serio wściekał się na nią, prześladował ją bez litości i dopóty nie zasnął ani odpoczynku, nie miał należytych korzyści z odżywiania się, a nawet nie czuł właściwego smaku zaciągając się cygarem, dopóki nie wygryzł jej ostatecznie z posady. Profesor zwyciężył, nie mogę jednak powiedzieć, że laury zwycięstwa wdzięcznie przyozdobiły jego skronie. Pozwoliłam sobie kiedyś nawet na odnośną uwagę. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu przyznał, że mam słusność, zarazem jednak zaznaczył, że ilekróć zdarza mu się zetknąć z kobietą czy mężczyzną o naturze prostaczej, zadowolonej z siebie, słowem takiej jaką uosabia w całej pełni Madame Panache, nie jest w stanie zapanować nad

uczuciem wstrętu, jaki go ogarnia, wstrętu niewypowiedzianego, domagającego się uzewnętrznienia, prowadzącego do wytaczania wojny na śmierć i życie.

W trzy miesiące później, dowiedziawszy się, że pokonana przez niego przeciwniczka znalazła się w złych warunkach z powodu braku zajęcia, zapomniał o swojej nienawiści i jednakowo czynny w złym i dobrym, poruszył niebo i ziemię, aby wystarać się dla niej o posadę, aż wreszcie dopiął celu. Kiedy jednak przyszła, aby ostatecznie przekreślić dawne nieporozumienia i podziękować mu za okazane jej ostatnio względy, jej głos — zbyt donośny — jej butny, nieco narzucający się sposób bycia tak na niego podziałały, że po dziesięciu minutach zerwał się i z ukłonem pożegnalnym zmusił ją — a raczej siebie — do opuszczenia pokoju w przystępie najwyższego rozdrażnienia.

189

Jako dopełnienie śmiałego porównania Monsieur Paula z wielkim cesarzem Francuzów muszę zaznaczyć, że i w dążeniu do zagarnięcia władzy, a po jej osiągnięciu — utrzymania jej żelazną ręką, był Monsieur Paul podobny do Napoleona. Był człowiekiem, któremu nie zawsze należało ulegać. Czasem niezbędny był opór, odważne przeciwstawienie, nieustraszone spojrzenie mu wprost w oczy i wyjawienie szczere i otwarte, że jego wymagania przekraczają granice zdrowego rozsądku, że jego absolutyzm równa się tyranii. Zapowiedzi i pierwsze przebłyski wyjątkowych uzdolnień, na jakie natrafiał w swojej karierze nauczycielskiej i jakie zaczynały rozwijać się pomyślnie pod jego kierunkiem, w dziwny sposób podniecały, a nawet niepokoiły go. Niechętnie na pozór obserwował ich wywalczenie sobie prawa do życia, nie podając obdarzonym nim pomocnej ręki i zdając się mówić: „Utorujcie sobie drogę, jeśli czujecie się na siłach” — sam jednak nie czynił nic, aby przyspieszyć ich wyklucie się w pełni.

A i wówczas nawet, kiedy trudności i niebezpieczeństwa pierwszego, najtrudniejszego stadium walki były szczęśliwie pokonane, kiedy zaczerpnięty został oddech życia i kiedy widział sam, że płuca zaczynają działać sprawnie, a serce bić normalnie, kiedy rozpoznawał w oczach błysk ożywiającej je energii — i wówczas jeszcze nie spieszył z zaofiarowaniem swojego poparcia.

— Musicie dać dowód, że istniejecie naprawdę, zanim wezmę was pod moją opiekę — brzmiał jego nakaz. A jakimi trudnościami obwarowywał danie tego dowodu! Jakie ciernie i kolce, jakie kamienie ciskał pod stopy, nie nawykłe jeszcze do uciążliwej drogi! Pilnował czujnie i nieubłagane należytego, nieulekłego wykonania zadań, jakie narzucał. Szedł za śladami stóp, znaczoneymi często krwią w miarę zbliżania się do celu — szedł za nimi ponuro, dzierżąc straż najczujniejszą nad przynaglanym przez ból pielgrzymem. A kiedy wreszcie używał mu chwili odpoczynku, zanim jeszcze sen zdołał ogarnąć zmęczone powieki, rozwierał je szeroko nieubłaga-

190

nym, nie znającym litości palcem, zapuszczając wzrok przez źrenice i tęczęwki aż do dna mózgu, do dna serca, aby zbadać, czy nie znajdzie tam przyczajonych w najtajniejszych kryjówkach śladów próżności, dumy czy fałszu.

A kiedy pozwalał ciężko wypróbowywanemu nowicjuszowi wreszcie zasnąć, używał mu dobrodziejstwa snu na chwilę tylko, po czym budził go nagle, aby poddać go nowym sprawdzianom: wysyłał go w trudnych, przykrych misjach, mimo że biedak upadał ze znużenia; poddawał próbom jego temperament, sprawność zmysłów, wytrzymałość zdrowia i dopiero po przeprowadzeniu go przez najściślejszy probierz najsurowszych doświadczeń, kiedy użyte już były i zastosowane najbardziej żrące płyny, które nie przyćmiły jednak przyrodzonego blasku talentu, wówczas dopiero uznawał talent ten za samorodny i nie przerywając wciąż jeszcze chmurnego milczenia, decydował się przyłożyć ważką pieczęć swojej aprobaty.

Mówię o tych jego ujemnych rysach, opierając się na własnym doświadczeniu.

Aż do momentu, w którym kończy się ostatni rozdział tych wspomnień, Monsieur Paul nie był moim profesorem — nie udzielał mi lekcji. W owym czasie jednak, będąc przypadkowo świadkiem wykazania przeze mnie nie tylko nieznamości pewnego działu wykształcenia (zdaje mi się, że była to arytmetyka), ale tak wielkiej ignorancji, że —jak trafnie zauważył — powstydzilby się jej uczeń utrzymywanej kosztem dobroczynności szkoły elementarnej, wziął mnie pod swoją opiekę. Wyegzaminowawszy mnie przede wszystkim, stwierdził — zbyteczne chyba zaznaczać — kolosalne braki, wskazał mi odpowiednie podręczniki i wyznaczył zadania do przerobienia.

Czynił to zrazu z przyjemnością, a nawet z nie ukrywanym zadowoleniem, przyznając łaskawie, że uważa mnie za *bonne et pas trop faible* — dobrą i niezbyt słabą — to znaczy dość chętną i niezupełnie pozbawioną zdolności, jednakże wskutek, jak przy-

191

puszczał, niesprzyjających warunków w stanie fatalnie upośledzonego rozwoju.

Początkowe stadium wszelkiego wysiłku zaznaczało się u mnie zawsze stanem niezwyklego otępienia. Nie umiałam nigdy, nawet nawiązując zwykłą znajomość, dawać dowodów przeciętnej bystrości umysłu. Trudne, gnębiące przejście poprzedzało odwrócenie każdej nowej karty mojego życia.

Dopóki trwał ten stan przejściowy, Monsieur Paul był prawdziwie dobry i wyrozumiały dla mnie; widział, jak bardzo cierpię i litował się nade mną rozumiejąc, że muszę czuć się upokorzona własną nieudolnością. Nie mam słów, by opisać jego życzliwą gotowość udzielania mi pomocy. Oczy zachodziły mu mgłą wzruszenia, ilekroć łyzy wstydu z powodu daremności wysiłku zbierały się pod moimi powiekami. Mimo że i bez tego przeciążony był pracą, urywał połowę godzin wolnych, aby móc poświęcić je na udzielanie mi wskazówek. Ale, o dziwo! — z chwilą kiedy mój umysł zaczynał wyzwalać się z mroku i kiedy wybiła dla mnie wreszcie godzina energii i spełnienia się zapowiedzi; kiedy dobrowolnie podwajałam, potrajałam, czterokrotnie nawet mnożyłam zadania, jakie polecał mi odrobić (sądziłam, że sprawię mu tym przyjemność), jego pierwotna dobroć przeistaczała się w niesłychaną surowość, światło w jego oczach — w słabą iskierkę zaledwie; niecierpliwił się, zrzędził, hamował mój zapał. Im solidniej pracowałam, na im większy zdobywałam się wysiłek, tym mniej był ze mnie zadowolony. Sarkastyczne uwagi, których surowość płoszyła mnie i zdumiewała, sypały mi się nieustannie na głowę; za nimi następowały pełne rozgoryczenia napaści na „dumę intelektu”. Musiałam wysłuchiwać dziwnie mętnych gróźb Bóg wie jakiego nieszczęścia, o ile poważę się przekroczyć granice, jakie przystoją mojej płci i ośmielę się żywić niedozwolone dążenia do niekobiecej wiedzy. Niestety! Nie miałam podobnych dążeń. Nie żałowałam wysiłków, aby osiągnąć

192

to co lubiłam, ale szlachetny głód wiedzy abstrakcyjnej czy boskie pragnienie dokonywania odkryć — te podniosłe uczucia były mi prawie obce.

A jednak, właśnie te nieubłagane szyderstwa Monsieur Paula sprawiły, że zapragnęłam rozwinąć w pełni moje zdolności. Jego niesprawiedliwość pobudzała mnie do rojenia ambitnych dążeń, była dla mnie najskuteczniejszym bodźcem, dodawała skrzydeł moim pragnieniom.

Z początku, zanim jeszcze zdołałam wniknąć w kierujące nim pobudki, cierpiałam srodze z powodu tych niepojętych dla mnie szyderstw, jednak z czasem krew zaczęła mi się burzyć. Bez względu na to, jakimi władzami umysłowymi — kobiecymi czy niekobiecymi — podobało się Bogu obdarzyć mnie, postanowiłam nie wstydzic się żadnej z nich.

Walka, jaka rozgorzała pomiędzy mną a Monsieur Paulem, była bardzo zacięta przez jakiś czas. Wydawało się, że zupełnie straciłam jego życzliwość: traktował mnie dziwnie. Z największą niesprawiedliwością dowodził, że go oszukałam, udając/*un B/e* —jak to nazywał

— tępą; to znów utrzymywał, jakobym wprowadzała go w błąd, symulując fałszywe zdolności. Jeszcze kiedy indziej ostro napadał na mnie i oskarżał o najdalej idące naśladownictwo, a nawet o niemożliwe plagiaty; twierdził, że swoje mądrości czerpię z książek, o których w rzeczywistości nie słyszałam nawet i których czytanie pograżyłoby mnie nieuchronnie w sen jak najgłębszy.

Pewnego razu, kiedy rzucił mi w twarz podobne oskarżenie, nie wytrzymałam i ostro zaprotestowałam. Zebrawszy stos książek z biurka, wrzuciłam je do fartucha, aby cały ten balast cisnąć Monsieur pod nogi.

— Niech pan je zabierze, Monsieur — rzekłam — i niech pan przestanie mnie uczyć. Nie prosiłam pana nigdy, żeby zrobił pan ze mnie uczoną, a pan czyni co może, abym odczuła do głębi, że zdobywanie wiedzy nie jest szczęściem.

Powróciwszy do mojego biurka, oparłam głowę na ramieniu, zamilkłam i przez dwa dni nie odzywałam się do profesora ani słowem. Widziałam, że go to boli, a i ja byłam szczerze zmartwiona. Jego życzliwość była mi bardzo miła i droga — przyjemność nowa dla mnie i nie dająca się z niczym porównać. Teraz, kiedy mi ją odebrał, nie dbałam już o lekcje. Książek mi jednak nie zabrał, odłożył je starannie na poprzednie miejsce i przyszedł jak zwykle na lekcję. Pogodziliśmy się — może uległam zbyt pośpiesznie; może powinnam wytrzymać dłużej tę sytuację, kiedy jednak spojrzał na mnie takimi dobrymi, pocziwymi oczami i wyciągnął do mnie rękę przyjacielskim gestem, zapomniałam o chwilach przecierpianej z jego powodu udręki. A zresztą, pogodzenie bywa zawsze bardzo miłe! Pewnego rana przyszło zaproszenie od mojej chrestnej matki, abym wraz z nią wysłuchała ciekawego odczytu, jaki miał być wygłoszony w opisanej już poprzednio auli. Doktor John przyniósł to zaproszenie osobiście i przekazał je ustnie Rozynie, która nie zawahała się pójść za Monsieur Emanuelem, przechodzącym w owej chwili do najwyższego oddziału, w jego obecności stanęła *carre-ment* — śmiało — przed moim biurkiem i wsunawszy ręce w kieszonki zgrabnego fartuszka, powtórzyła głośno polecenie doktora Johna, dodając poufnie: — *Qu'il est vraiment beau, mademoiselle, ce jeune docteur! Quels yewc, quel regard! Tenez! J'en ai le coeur tout emu!*

Po jej odejściu profesor zapytał mnie, dlaczego pozwalam, aby *cette filie effrontee, cette creature sanspudeur*² zwracała się do mnie w takich słowach.

Nie mogłam odpowiedzieć mu na to w sposób uspokajający.

1 Jaki on jest prawdziwie piękny, ten młody doktor, proszę pani! Jakie oczy, jakie spojrzenie! Doprawdy, jestem wzruszona do głębi!

2 Ta zuchwała dziewczyna, to bezwstydnne stworzenie.

194

Rozyna użyła słów, jakimi zwykle posługują się młodzi ludzie, którzy mają za nic szacunek i powściągliwość. A zresztą, to co powiedziała o młodym doktorze, było w istocie rzeczy zgodne z prawdą. Graham był przystojny, miał piękne oczy i przenikliwe spojrzenie. Z ust wyrwała mi się uwaga, która to potwierdzała.

— *Elle ne dit que le verite* — rzekłam. — *Ah! Vous trouvezr*

— *Mais, sans douter*

Lekcja, jaka przypadła tego dnia, odbyła się w ten sposób, że byliśmy szczerze rade, kiedy skończyła się wreszcie. Uczennice wybiegły z klasy pędem, zadowolone, ale wciąż jeszcze drżące. I ja także zamierzałam wyjść. Zatrzymał mnie jednak rozkaz pozostania. Bąknęłam, że chciałabym zaczerpnąć świeżego powietrza — piec był rozpalony, klasa nadmiernie przegrzana. Nieubłagany surowy głos kazał mi zamilknąć. Ta salamandra, dla której nie było nigdy zbyt gorąco w pokoju, usiadła pomiędzy moim biurkiem a piecem — dziwię się, że nie upiekła się żywcem — i zaczęła od uraczenia mnie jakimś greckim cytatem!

W duszy Monsieur Emanuela czaiło się stałe podejrzenie, że znam zarówno grekę, jak łacinę. Podobnie jak o małpach utrzymuje się, jakoby posiadały zdolność mówienia, nie korzystają z niej jednak, ukrywając ją z obawy, że mogłaby być wyzyskana na ich niekorzyść, tak samo i mnie przypisywano zasób wiedzy, występnie i umiejętnie przeze mnie tajony. Posądzano mnie o zaznanie przywilejów „klasycznego wyŁształcenia”, o raczenie się miodem z gór Hymet, o przechowywanie w pamięci tej szczerozłotej skarbnicy i kontynuowanie obecnie w milczeniu usiłowań potajemnego ćwiczenia umysłu.

1 Ona mówi tylko prawdę.

2 O, znajduje pani?

3 Ależ oczywiście!

195

Setki wybiegów stosował Monsieur Paul, aby podpatrzeć mój sekret, aby groźbą czy zaskoczeniem niespodzianym wymusić na mnie przyznanie się. Kładł czasem przede mną greckie i łacińskie książki, a potem czujnie obserwował mnie, podobnie jak dozorca więzienni kusili Joannę d'Arc rozłożonym przed nią ubiorem wojownika i czekali, co z tego wyniknie. Innym znów razem cytował nie wiem jakich autorów i nie mam pojęcia jakie poetyckie ustępy i podczas wypowiedzania dźwięcznych, miłe wpadających w ucho wierszy (dźwięki klasyczne harmonijnie wychodziły z jego ust; miał piękny głos, osobliwie nadający się do modulowania i obdarzony nieźrównaną siłą wyrazu) nie spuszczał ze mnie wnikliwego, przewiercającego na wskroś i często złośliwego wzroku. Wyraźne było, że czekał na moją reakcję, oczekiwania jego nigdy wszakże nie urzeczywistniły się — nie rozumiejąc deklamacji, nie mogłam być oczywiście ani oczarowana nią, ani znudzona.

Stropiony — zły nieledwie — nie wyzbywał się jednak swojej myśli prześladowczej; moja wrażliwość uznana została za kamienną nieczułość, twarz moja za maskę. Nie był w stanie uwierzyć w to, co było prawdą i przyjmować mnie taką, jaką byłam w istocie: mężczyźni, a i kobiety także, muszą mieć jakieś urojenia, o ile zaś nie mają gotowych pod ręką, wymyślają coś sobie na własny użytek.

Bywały chwile, kiedy życzyłam sobie, aby podejrzenia jego były naprawdę uzasadnione, kiedy dałabym odrąbać sobie prawą rękę za posiadanie w rzeczywistości skarbów wiedzy, jakie mi przypisywał. Zasługiwał na należytą karę za podstępne zastawianie na mnie sideł. Mogłabym triumfować, wykazując mu, że urzeczywistniły się w sposób zdumiewający jego najgorsze obawy. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła narzucić się jego wizji, stanąć wobec jego przeklętych lunettes i olśnić go moimi wiadomościami. O, dlaczego nikt nie dbał o rozwój mojego umysłu i wzbogacanie mnie w wiedzę, kiedy byłam odpowiednio młodym dzieckiem, aby z

196

łatwością ją nabywać?! Dlaczego nie postarano się, abym w jednym, nagłym momencie mogła odnieść wielki, okrutny, miazdzący triumf, który na wieki pognębiłby szyderczego ducha Paula Karola Dawida Emanuela?!

Niestety! Zdobycie się na podobny wyczyn nie było w mojej mocy. Cytaty jego tak samo nie odniosły skutku dzisiaj, jak nie odnosiły go nigdy. Rychło też ustąpił z placu.

„Kobiety intelektualistki” — był to następny z kolei, szczególnie mu bliski temat. „Kobieta intelektualistka”, jak się okazało, była w jego pojęciu rodzajem *lusus naturae* — wybryku natury — nieszczęśliwym wydarzeniem, stworzeniem, dla którego nie ma ani miejsca, ani zastosowania na świecie, istotą niepotrzebną nikomu ani na żonę, ani na pracownika. W pierwszym wypadku wyższość nad nią miało piękno fizyczne. Wierzył w głębi duszy, że miła, nieuczona, bierna przeciętność kobieca jest jedyną poduszką, na której praca umysłowa i rozum mężczyzny mogą znaleźć ukojenie i odpoczynek dla obolałych skroni. Co się zaś

tyczy walorów pracownika, jedynie męski umysł może pracować z prawdziwie praktycznym wynikiem, hein!

To hein — i cóż — w tonie pytającym miało mnie pobudzić do zaprzeczenia czy przeciwstawienia się. Odpowiedziałam jednak tylko:

— Cela ne me regarde pas: je ne m'en souciepas! — a potem dodałam: — Czy mogę iść, Monsieur? Dzwoniono już na second dejeuner — na drugie śniadanie.

— I cóż z tego? Nie jest pani głodna?

Byłam głodna, odparłam więc: — Nie jadłam nic od rana i nie dostanę nic do obiadu, jeśli spóźnię się teraz na lunch.

— Jestem w tej samej sytuacji, myślę jednak, że mogłaby pani podzielić mój los.

1 To mnie nie dotyczy: nie dbam o to.

197

Rzekłszy to, przełamał swoje brioche, które miało być jego śniadaniem i oddał mi połowę. Słowa jego były naprawdę gorsze od jego czynów — ale prawdziwy atak miał dopiero nastąpić. Jedząc ofiarowane mi ciastko, nie mogłam powstrzymać chęci dowiedzenia się wszystkiego, o co mnie oskarża.

— Czy naprawdę czuje się pani ignorantką? — zapytał nieco łagodniejszym tonem.

Gdybym potulnie odpowiedziała twierdząco, przypuszczam — pewna nawet jestem — że wyciągnąłby do mnie rękę i od razu zawarlibyśmy pakt przyjaźni. Zamiast tego jednak odpowiedziałam:

— Niezupełnie. Jestem ignorantką, jeśli chodzi o taki zakres wiedzy, jaki mi pan przypisuje, czasem jednak, nie zawsze, czuję, że posiadam trochę wiedzy własnej.

— Nie rozumiem pani. Co ma pani na myśli? — zagadnął mnie ostro.

Niezdolna odpowiedzieć jednym tchem na to pytanie, ominęłam je, zmieniwszy temat.

Monsieur Paul zjadł tymczasem połowę swojej brioski: rozumiejąc, że nie może takim drobiazgiem zaspokoić apetytu, tak samo jak ja nie zaspokoiliłam mojego, czując nadto zalatujący z refektarza ponętny zapach pieczonych jabłek, pozwoliłam sobie zapytać, czy i on także czuje ten miły aromat. Przyznał, że czuje. Podsunęłam mu myśl, że gdyby wypuścił mnie drzwiami do ogrodu i pozwolił pobiec przez dziedziniec, przyniosłabym mu pełen talerz tego przysmaku. Dodałam, że wiem, jaki jest pyszny, Goton ma bowiem doskonały sposób pieczenia jabłek, a raczej duszenia ich w cukrze, zaprawionym szklaneczką czy dwiema szklaneczkami vin blanc — białego wina. — Czy mam pobiec?

— Petite gourmande — mały łakomczuchu — uśmiechnął się. — Nie zapomniałem, jaką uciechę sprawiły pani pates a la creme, którymi uraczyłem panią kiedyś. Niech więc pani idzie i powróci prędko.

198

Uwolnił mnie wreszcie pod warunkiem, że zaraz wrócę. Zamierzałam rzeczywiście pobiec, powrócić jak najspieszniej, postawić talerz z jabłkami przy drzwiach i zniknąć potem, nie zatrzymawszy się i odłożywszy na później jego rozprawienie się ze mną za ten podstęp. Wiedziony jednak niezwykłym instynktem, przeczuł mój zamiar: wyszedł mi naprzeciw na próg, wciągnął mnie do pokoju i przemocą zatrzymał na poprzednim miejscu. Wziąwszy z moich rąk talerz z jabłkami, podzielił pomiędzy nas oboje porcję, przyniesioną w rzeczywistości wyłącznie dla niego i nakazał mi, abym zjadła moją część. Usłuchałam niechętnie. Podrażniony moim ociąganiem skierował przeciwko mnie zamaskowany, niebezpieczny atak. Wszystko, co dotychczas powiedział, mogłam uważać za czcze wybuchy wściekłości, nie mające właściwie znaczenia: obecna napaść była jednak innego rodzaju. Polegała ona na nierozsądnej propozycji, jaką narzucał mi parokrotnie już poprzednio, mianowicie, abym przy najbliższym egzaminie publicznym zajęła, jako cudzoziemka, miejsce pośród uczennic najwyższej klasy i wraz z nimi zaimprovizowała francuskie wypracowanie

na dowolny temat podyktowany przez kogokolwiek z obecnych. Oczywiście nie będzie mi wolno posłużyć się ani słownikiem, ani podręcznikiem gramatyki.

Wiedziałam, jaki byłby wynik podobnej próby. Ja, której natura poskaپیła zdolności improwizacyjnych, ja, która przy występach publicznych byłam okrągłym zerem; ja, której porą pracy umysłowej nie było południe, ale której potrzebna była świeżość i cisza poranka lub samotny spokój wieczoru, aby uzyskać od własnego żywiołu twórczego skromny bodaj dowód jego istnienia, jego siły; ja, u której ten żywioł podlegał największym kaprysom, najtrudniejszy był do ujarznienia, był doprowadzającym do największego szału panem — bóstwem, które czasem, w pewnych warunkach pozornie najbardziej sprzyjających, nie zgadzało się ani odpowiadać na wezwanie, ani

199

śłuchać wezwania, ani znajdować się, kiedy go szukałam, i stało zimne, nieczułe jak granit, jak ciemny Baal z pociętymi wargami, z pustymi oczodołami i z piersiami niby kamienna grobowa płyta... I nagle, w pewnym momencie, pod wrażeniem jakiegoś odgłosu: przeciągłego, drżącego jęku wiatru, otarcia się o niewidzialny prąd magnetyczny — ten nieobliczalny demon budził się, zeskakiwał ze swojego piedestału niby zaniepokojony Dagon, wzywający swoich czcicieli do składania krwawych ofiar — niezależnie od pory dnia i od okoliczności — budzący kapłanów, zdradziecko zapowiadający prorocтва, może nawet wypełniający swoją świątynię dziwnymi głosami przepowiedni, stale wszelako gotowy przypisywać połowę znaczenia nieprzyjaznym wiatrom i nie użyczający zrozpaczonemu słuchaczowi nędznej pozostałej reszty — ustępujący mu jej niechętnie, jak gdyby każde słowo było kroplą nieśmiertelnej posoki, sączonej z własnych ciemnych żył...

I tego oto tyrana miałam ujarzmić, skrępować więzami niewoli i zmusić do improwizowania na zadany temat, zajmując miejsce na podwyższeniu pomiędzy panną Matyldą a panną Koralią, pod czujnym okiem Madame Beck, dla przyjemności i pod dyktando któregoś z labassecouryjskich obywateli?!...

Niejednokrotnie staczałam w tej sprawie walki z Monsieur Paulem — walki gwałtowne, zaznaczane skłóconymi odgłosami żądań i odmowy, wymagań i odtrącań.

Tego dnia moja odmowa była powodem szczególnie gwałtownej napaści.

Upór całej mojej płci jest, jak się zdaje, skoncentrowany we mnie; mam un orgueil de diable — diabelską dumę. Obawiam się niepowodzenia?! Jakże może mieć znaczenie, czy mi się powiedzie, czy nie? Kim jestem, że nie chcę ryzykować na równi z wszystkimi innymi? Przydałoby mi się, gdyby naprawdę nie poszło mi dobrze. Pragnie właśnie widzieć mnie upokorzoną (nie wątpiłam, że tak jest). Przerwał w końcu na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu.

200

A gdyby odwołał się do moich uczuć? Ustąpię?

— Nigdy nie ustąpię w tym względzie. Nawet prawo nie mogłoby mnie zmusić do tego. Raczej gotowa byłabym zapłacić karę, narazić się na więzienie, aniżeli zgodzić się pisać na pokaz czy na rozkaz, zasiadając na estradzie.

Ustąpiłabym może w imię przyjaźni?

— Ani na jotę, ani na włos. Żadna przyjaźń pod słońcem nie może rościć sobie prawa do podobnych ustępstw z mojej strony. Żadna prawdziwa przyjaźń nie dręczyłaby mnie w taki sposób.

Szyderczo wyraził wówczas przypuszczenie (Monsieur Paul umiał klasycznie zaznaczać szyderstwo wysunięciem naprzód dolnej wargi, rozdęciem nozdrzy i zmrużeniem powiek), że istnieje tylko jedno wezwanie, którego usłuchałabym, nie jego jednak jest rzeczą użyć tego sposobu.

— Pod wpływem namowy z pewnej strony, je vous vois d'ki — widzę panią — rzekł— skwapliwie zgadzając się na poniesienie tej ofiary, wyężając wszystkie swoje siły, aby spełnić godnie zadanie.

— Zrobienia z siebie głuptasa, służenia jako przestroga i przykład wobec stu pięćdziesięciu ojców i matek z Villette? — dokończyłam.

Straciwszy wreszcie cierpliwość, zawołałam ponownie, żeby mnie uwolnił, że muszę wydostać się na świeże powietrze. Krzyczałam jak w gorączce.

— Chut! — uciszył mnie nieubłagany prześladowca. To tylko pretekst do ucieczki. Jemu nie jest wcale gorąco, mimo że opiera się plecami o piec; jakże więc mogę narzekać na żar, korzystając z osłony, jaką jest dla mnie jego osoba?

— Nie mogę zrozumieć pańskiego organizmu, Monsieur — rzekłam. — Nie znam się na ustroju salamandry. Co się mnie tyczy, jestem zimnokrwistą wyspiarką i siedzenie przy rozprażonym piecu nie odpowiada mi ani trochę. Może pozwoli mi pan przynajmniej
201

pójść do studni i wypić szklanek zimnej wody. Pić mi się chce po tych słodkich jabłkach.

— Jeśli tylko o to pani chodzi, mogę przynieść szklanek wody.

Zrobił to. Poszedł po wodę. Otworzyłam drzwi zamknięte tylko na zasuwkę i skorzystałam z okazji. Zanim zdążył powrócić, umknęła jego doprowadzona nieomal do ostateczności ofiara.

Rozdział XI

Nimfa leśna

»

Zbliżała się pełnia wiosny i powietrze ociepliło się nagle. Ta zmiana temperatury wywołała u mnie, jak prawdopodobnie u wielu innych także, chwilowe osłabienie. Byle żywszy ruch powodował w owym czasie niewspółmiernie wielkie zmęczenie; po bezsennych nocach byłam dziwnie ospała.

Pewnego niedzielnego popołudnia, po odbyciu półmilowej drogi do kościoła protestanckiego, powróciłam znużona i wyczerpana, rada, że mogę schronić się, jak zwykle, w sali pierwszej klasy, gdzie usiadłam, oparłszy ramiona i głowę, niby na poduszce, na pulpicie biurka.

Przez chwilę jeszcze wsłuchiwałam się w brzękliwy szmer pszczół krążących wśród ukwieconego berceau i przyglądałam się, przez oszklone drzwi i świeżo rozwinięte, bladozielone liście wiosenne, Madame Beck i wesołej gromadzie jej gości. Podejmowani przez nią tego dnia śniadaniem po rannej mszy, przechadzali się główną aleją sadu pod gałęziami drzew, strojnych o tej porze roku w pęki kwiecica o barwie czystej i ciepłej jak śnieg górski o wschodzie słońca.

t

Przypominam sobie, że wśród tej rozbawionej grupy zwróciłam uwagę na przystojną młodą dziewczynę, którą widywałam poprzednio już w domu Madame Beck i o której mówiono mi, że jest la filleule — córką chrzestną — Monsieur Emanuela. Jej matkę czy ciotkę, czy inną jakąś bliską krewną, łączyły z profesorem więzy dawnej zażyłej przyjaźni.

Monsieur nie dołączył tej niedzieli do świątecznego grona, dostrzegłam jednak na chwilę przedtem ową dziewczynę w jego towarzystwie. Na ile mogłam wnioskować na podstawie przelotnego

203

obserwowania jej z dość znacznej odległości, zachowywała się w stosunku do niego z naturalną swobodą wychowanki wobec wyrozumiałego opiekuna. Ujrawszy go z daleka, podbiegła ku niemu i poufale wsunęła rękę pod jego ramię, na którym pieścizotliwie się oparła. Doznałam w tym momencie dziwnego uczucia — dość przykrego, muszę przyznać — przypuszczam, że musiało to być coś w rodzaju przeczuć, nie chciałam jednak ani analizować go, ani bliżej się nad nim zastanawiać. Przyglądając się dziewczynie, której nazwisko brzmiało: Mademoiselle Sauveur, i śledząc migotliwy połysk jej jasnej jedwabnej sukni pośród białoróżowych kwiatów i jasno-szmaragdowych liści sadu (była zawsze bogato

ubrana, jako osoba bardzo zamożna podobno), poczułam nagle ciężar znużenia, padający mi na oczy, które przymknęły się niebawem. Moje wyczerpanie, ciepło dnia wiosennego, jednostajne brzęczenie pszczoł i poćwierki-wanie ptaków ukołysały mnie na dobre. Zasnęłam. Dwie godziny minęły niepostrzeżenie. Kiedy spałam, tarcza słoneczna znikła za spiętrzonymi dachami domów; ogród i pokój klasowy poszarzały; pszczoły i ptaki zamilkły, a kwiaty stuliły płatki. Rozpierzchła się także gromada gości; wszystkie aleje i ścieżki ogrodowe były puste.

Obudziłam się z miłym uczuciem, wypoczęta — nie byłam zziębnięta, jak należało przypuszczać, po dwóch godzinach siedzenia bez ruchu, a moje policzki i ramiona nie zeszywniały na twardym pulpicie. Nic dziwnego. Zamiast gołego drewna, z którego zrobiłam sobie poduszkę, znalazłam gruby, starannie złożony szal, podsunęty mi pod głowę oraz inny, podobny, ciepło otulający mnie całą (oba wzięte z korytarza, gdzie zawsze wisiały wszelkie tego rodzaju okrycia).

Kto to zrobił? Kto okazał mi tyle serca? Która z nauczycielek? A może z uczennic? Żadna z nich — z wyjątkiem jedynej Mademoiselle St. Pierre — nie odnosiła się do mnie wrogo; kto jednak spośród nich wszystkich zdobył się na tyle subtelnej uwagi, na tak

204

tkliwy poryw serca? Która z nich poruszała się tak lekko, miała taki cichy chód i tak przedziwnie delikatny dotyk, że mogłam nie słyszeć jej kroków ani nie czuć jej rąk?

Co się tyczy Ginevry Fanshave, tej olśniewającej młodej istoty, nie odznaczała się ona bynajmniej łagodnością ruchów ani gestów i na pewno ściągnęłaby mnie raczej z krzesła, na którym spałam, gdyby to ona właśnie była owym opiekuńczym duchem. Powiedziałam sobie wreszcie: to robota Madame Beck. Weszła do pierwszej klasy i zastawszy mnie śpiącą, zaniepokoiła się, że mi to zaszkodzi, że mogłabym przeziębnić się. Uważa mnie za pożyteczną dla siebie siłę, za sprawną maszynę, odpowiadającą celowi, dla którego zostałam przyjęta i dlatego niepotrzebne moje narażanie się nie było w jej interesie.

A teraz — postanowiłam — przejdę się trochę; wieje miły wietrzyk, ale nie jest chłodno. Otworzyłam oszklone drzwi i weszłam do berceau, skąd udałam się wprost do mojej allee defendue. Gdyby było zupełnie ciemno, a nawet gdyby zapadł już zmrok, nie odważyłabym się na to — nie zapomniałam owej zjawy (o ile była to zjawa), jaka nawiedziła mnie w tym miejscu przed kilkoma miesiącami. Wciąż jednak ostatnie promienie zachodzącego słońca różowiły kopułę kościoła Świętego Jana Chrzciciela, nie zamilkły też jeszcze wszystkie ptaki w ogrodzie i nie utuliły się w swoich gniazdach pośród gąszczy drzew, krzewów i splątanych, obrastających mury bluszczy. Przechadzałam się tedy po mojej alei tam i z powrotem, roztrząsając w myśli te same mniej więcej sprawy, nad jakimi zastanawiałam się owej nocy, kiedy zagrzebałam mój szklany słój: jak powinnam postąpić, aby zapewnić sobie niezależność i zdobyć zupełnie samodzielne stanowisko. Staralam się ostatnio nie myśleć na ten temat, nie poniechałam go jednak całkowicie; ilekroć też pewne osobliwe oko odwrócone było ode mnie i dziwaczne zachowanie pewnego osobnika szczególnie dokuczyło mi swoją opryskliwością, szukałam instynktownie ulgi,

205

zwracając myśli ku tym właśnie sprawom i w ten sposób ułożyłam sobie stopniowo cały plan na przyszłość.

Utrzymanie — rozumowałam — kosztuje niewiele w oszczędnym, skromnym Villette, którego ludność jest rozsądniejsza, jak mi się wydaje, aniżeli ludność starej kochanej Anglii — nieskończenie mniej troszczy się o pozory i nic nie robi na pokaz. Tutaj, w Villette, nikt ani trochę nie wstydzi się żyć tak skromnie i oszczędnie, jak uważa to za odpowiednie i za wskazane dla siebie. Opłata za najem lokalu w przezornie obranej dzielnicy nie bywa tu z zasady wygórowana, jak tylko więc uda mi się zaoszczędzić chociażby tysiąc franków, wynajmę pomieszczenie, składające się z jednego obszernego pokoju i dwóch lub trzech

mniejszych, umebluję największy kilkoma ławkami i pulpitami, wstawię czarną tablicę, katedrę dla mnie, na niej krzesło i stół, kupię gąbkę i kilka kawałków kredy i przyjmując z początku tylko uczennice przychodnie, rozpocznę karierę właścicielki i kierowniczkę szkoły. Madame Beck, jak mi nieraz sama opowiadała, zaczynała równie skromnie, a do czego doszła teraz? Cały ten obszar gruntu, dom i ogród stanowią jej własność, nabytą za własne pieniądze; ma już bardzo przyzwoitą rentę, zabezpieczającą ją na stare lata, a także prowadzony pod jej kierunkiem, świetnie prosperujący zakład naukowy, który zapewni karierę jej córkom, gdy dorosną.

Odwagi, Lucy Snowe! Oszczędnością i wyrzeczeniem się na razie wielu wygod, a także siłą woli osiągniesz cel, jaki sobie nakreśliłaś. Nie próbuj tylko narzekać przed sobą, że tego rodzaju cel jest zbyt prozaiczny i egoistyczny; powiedz sobie, że pracujesz w imię niezależnienia się i zadowolaj się tym, dopóki osiągnięciem twego zamierzenia nie złożysz dowodu, że masz prawo do nakreślenia sobie celów wyższych. Ale potem, po dokonaniu tego, czy nie istnieje dla mnie nic więcej w życiu? Czy nie istnieje możliwość stworzenia sobie prawdziwej rodziny? Zdobycia czegoś takiego, co byłoby dla mnie droższe ode mnie samej i tą właśnie wyższą war-

206

tością zdolne byłoby wydobyć ze mnie inne talenty aniżeli te, na jakich pielęgnowaniu mogłoby mi zależeć ze względu na mnie samą jedynie? Czy nie istnieje dla mnie żaden ołtarz, u którego stóp byłabym gotowa złożyć cały egoizm, aby podjąć szczytniejsze zadanie poświęcenia się pracy dla innych? Przypuszczam, moja Lucy, że orbicie twojego życia nie jest sądzone zaokrąglić się i zamknąć w ten sposób: musi ci wystarczyć półksiężyc. Niech i tak będzie. Bodaj że tak być powinno. Widzę teraz liczne zastępy moich bliźnich, nie znajdujących się w lepszych niż ja warunkach. Widzę, że znaczny zastęp mężczyzn i jeszcze znaczniejszy kobiet zmuszony jest zamknąć cały bieg swojego życia w ciasnych ramach wyrzekania się wielu rzeczy i znoszenia niedostatku. Nie znajduję powodu, dla którego miałabym należeć do nielicznych uprzywilejowanych. Wierzę w źdźbło nadziei i blasku słonecznego, wystarczające do osłodzenia najcięższego nawet losu. Wierzę, że życie na tej ziemi nie jest wszystkim: ani początkiem, ani końcem. Wierzę drżąc; ufam płacząc.

Tak więc skończyłam z tą sprawą. Należy odważnie podsumować od czasu do czasu swoje życie i uczciwie ustalić swój budżet. Nędznym fałszem jest okłamywanie samego siebie przy stwierdzaniu ostatecznego wyniku i wypisywaniu — w nagłówku poszczególnych pozycji — szczęścia, tam gdzie w rzeczywistości jest nędza. Nazywaj śmiało i odważnie udręką — udręką, ą rozpacz — rozpacz; wypisz jedno i drugie wielkimi, wyraźnymi zgłoskami zamasyście i energicznie: w ten tylko sposób spłacisz dług swój przeznaczeniu. Jeśli zaś zechcesz fałszować prawdę i wpiszesz „korzyść”, tam gdzie powinna figurować „strata”, przekonasz się, że twój potężny wierzyciel pozwoli oszustwu przejść gładko lub, co gorsze, rozmyślnie przyjmie za dobrą monetę to, czym chciałeś go podejść. Spróbuj zaoferować najsilniejszemu, a zarazem najciemniejszemu z zastępów bożych wodę, kiedy żądał od ciebie krwi, a przekonasz się, czy ją przyjmie. Nie weźmie całego bladego, bezbarwnego

207

morza w zamian za jedną czerwoną kroplę. Ja osobiście inny zestawiałam obrachunek. Zatrzymawszy się przed Matuzalemem — olbrzymim patriarchą owocowego sadu, oparłam czoło o sękaty pień i postawiwszy nogę na kamieniu przykrywającym mogiłę, wyrytą tuż przy jego korzeniach, wskrzesiłam w pamięci pogrzebane w niej uczucia. Przypomniałam sobie doktora Johna, moje serdeczne przywiązanie do niego; moją wiarę w jego doskonałość; moje rozkoszowanie się jego łaskawością dla mnie. Co się stało z tą ciekawą jednostronną przyjaźnią, która była na wpół wykutym w marmurze tworem fantazji i na wpół rzeczywistością? Prawdą z jednej tylko strony, a z drugiej — może tylko żartem?

Czy uczucie to zamarło już? Nie wiem. Było w każdym razie pogrzebane. Wydawało mi się czasem, że w jego grobie porusza się coś niespokojnie: śniły mi się przedziwne sny o rozkopanej ziemi, o włosach wciąż jeszcze złotych i żywych, wysuwających się poprzez szczeliny trumny.

Czy się zbyt pospieszyłam? Zadawałam sobie wielokrotnie to pytanie, powracające do mnie ze szczególną ostrością po każdym przypadkowym przelotnym spotkaniu z doktorem Johnem. Tak przyjazny był wciąż jeszcze wyraz jego twarzy, tak ciepły uścisk jego ręki; imię moje tak mile brzmiało w jego ustach — nie sprawiało mi ono nigdy równie wielkiej przyjemności jak wówczas, kiedy on je wymawiał. W porę jednak przekonałam się, że ta dobroć, ta serdeczność, ta muzyka tak naprawdę nie odnosiły się do mnie; nie były niczym ze mną związane: były nieodłączną częścią jego samego, były miodem jego usposobienia, balsamem tkliwego nastroju; udzielał ich, jak dojrzały owoc poi swoją słodyczą pszczołę, która ją z niego wysysa; rozsiewał je dokoła siebie, jak pachnące rośliny rozsiewają dokoła balsamiczne wonie. Czy miodnik kocha pszczołę i ptaka, które żywi? Czy róża polna rozkochana jest w powietrzu?

208

— Dobranoc, doktorze Johnie; jesteś dobry, jesteś piękny, nie jesteś jednak mój. Nie należysz do mnie. Dobranoc i niech cię Bóg błogosławi!

Tak zakończyłam moje rozpamiętywanie.

— Dobranoc! — uleciało dźwiękiem cichym z moich ust; usłyszałam echo tego wyrazu, wypowiedzianego głośno tuż obok mnie.

— Dobranoc, Mademoiselle, a raczej dobry wieczór; słońce zaledwie zdążyło zejść; mam nadzieję, że dobrze się pani spało.

Wzdrygnęłam się, straciwszy równowagę, ale tylko na chwilę. Znałam głos i wiedziałam, z czyich wychodzi ust.

— Czy dobrze mi się spało, Monsieur? Kiedy? Gdzie?

— Słusznie pyta pani, kiedy i gdzie. Jak się wydaje, zmienia pani dzień w noc i obiera pulpit za poduszkę — przyznać trzeba, nieco twardą.

— Zmiękczone ją dla mnie, kiedy spałam. Niewidzialny duszek, nawiedzający moje biurko, przypomniał sobie o mnie. Nie wiem, w jaki sposób zasnęłam, mniejsza o to zresztą; fakt, że obudziłam się ciepło otulona i z miękkim posłaniem pod głową.

— Czy szale uchroniły panią od chłodu?

— W zupełności. Żąda pan za to ode mnie podziękowania?

— Nie. Była pani blada we śnie; może tęskni pani za domem?

— Aby tęsknić za domem, trzeba ten dom posiadać; nie mam tego szczęścia.

— Tym bardziej więc potrzebny pani jest prawdziwy, dbający o nią przyjaciel. Nie wydaje mi się, Miss Lucy, abym znał kogokolwiek, komu bardziej bezwzględnie potrzebna byłaby przyjacielska opieka aniżeli pani; same już braki pani wymagają tego kategorycznie.

Potrzebne jest pani tak bardzo powstrzymywanie jej, powściąganie i kierowanie panią.

Konieczność powściągania i powstrzymywania była stałym, nieodłącznym hasłem Monsieur Paula. Najbardziej bezwzględne

209

ujarzmienie nie byłoby zdolne, o ile miało mnie na celu, wyperswadować mu tej konieczności. Mniejsza z tym jednak. Jakie mogło to mieć znaczenie? Słuchałam go, ani myśląc być zbyt uległą; utraciłby cel w życiu, gdybym nie pozostawiła mu nic do „powściągania”.

— Tak, niezbędną jest pani nieustanna czujna opieka i surowy nadzór—dodał—szczęściem też dla pani zdaję sobie z tego sprawę i usiłuję sprostać temu zadaniu. Obserwuję panią i innych bardzo starannie i stale, bardziej czujnie i częściej, aniżeli pani sama czy owi inni

mogą się tego domyślać. Widzi pani to oświetlone okno? — zapytał, wskazując kratę w jednym z pensjonatowych pomieszczeń kolegium dla chłopców.

— Wynająłem ten pokój rzekomo dla studiów — faktycznie jako punkt obserwacyjny. Przesiaduję w nim i czytuję godzinami; czytuję na swój sposób, zgodnie z moim upodobaniem. Księgą, z której czytam, jest ten ogród; jej treścią jest natura ludzka. Znam was wszystkie na wylot. O! Znam was dobrze — St. Pierre, paryżankę i samą maitresse-femme, także tego zucha kobietę, moją kuzynkę Beckową.

— Wcale się panu nie chwali takie szpiegowanie, Monsieur. Nie jest słuszne.

— Comment? — Jak to? Dlaczego?! — Nie jest słuszne? Na mocy artykułów czyjej wiary? Może potępia to który z kanonów Lutra czy Kalwina? A cóż mnie to może obchodzić? Nie jestem protestantem. Mój bogaty ojciec (jakkolwiek bowiem zaznałem osobiście biedy i przez cały rok głodziłem się na nędznym poddaszu w Rzymie — umierałem nieomal z głodu, często zaledwie raz na dzień mając co włożyć do ust, a czasem nie mając i tego nawet — urodziłem się jednak w bogactwie) — otóż mój bogaty ojciec był dobrym katolikiem, dał mi też ojca jezuitę za duchowego przewodnika i wychowawcę. Nie zapominam nauk, jakie mi dawał. O, do jakich odkryć doprowadzają mnie te nauki! GrandDieu — wielki Boże — do jakich odkryć!

210

— Odkrycia dokonane systemem podkradania się, podpatrywania i podsłuchiwania wydają mi się haniebne.

— I ja nie wątpię o tym, purytanko! Przyjrzyj się jednak, jak działa ten mój jezuicki system. Zna pani St. Pierre?

— Trochę. Roześmiał się.

— Słusznie mówi pani „trochę” —gdy tymczasem ja znam ją na w y l o t! Na tym właśnie polega cała różnica. Udawała poprzednio słodką i przyjacielską; wyciągała do mnie sapatte de velours — swoją aksamitną łapkę — pochlebiała mi, łąsała się, przymilała. Otóż, muszę się przyznać do grzechu: jestem wrażliwy na kobiece pochlebstwa — wrażliwy wbrew własnemu rozumowi. Mimo że nigdy nie była ładna, kiedy poznałem ją była młoda albo przynajmniej umiała wydawać się młoda. Jak wszystkie jej rodaczki, potrafiła się ubierać; cechował ją też pewien rodzaj chłodnej łatwości towarzyskiej, którą niejednokrotnie umiała zaoszczędzać mi zakłopotania...

— Nie było to chyba potrzebne, Monsieur. Nigdy w życiu nie byłem świadkiem pańskiego zakłopotania.

— Mało zna mnie pani, Mademoiselle. Potrafię być zakłopotany jak pensjonarka; istotą mojej natury jest nieśmiałość i nieufność.

— Nie dostrzegłam tego nigdy, Monsieur.

— A jednak jest tak, Mademoiselle. Powinna pani to dostrzec.

j

— Obserwowałam pana publiczne wystąpienia, Monsieur —

na estradach, na trybunie, wobec ludzi utytułowanych, a nawet wobec koronowanych głów i podziwiałam zawsze swobodę, z jaką pan się zachowywał. Był pan niezmiennie taki sam i tak samo swobodny jak w naszej trzeciej klasie.

— O, Mademoiselle, ani tytuły, ani głowy koronowane nie mogą zaszkodzić mojej skromności, a występowanie publiczne jest właściwie moim żywiołem. Lubię je i obracam się w tej atmosferze zupełnie swobodnie, ale... tutaj... tutaj... słowem, w danym wypadku

211

działa czynnik uczuciowy, jakkolwiek gardzę nim zazwyczaj i nie pozwalam mu sobą kierować. Gdybym był mężczyzną dążącym do małżeństwa (co w tym przypadku nie wchodzi zupełnie w rachubę, może więc pani zaoszczędzić sobie wszelkich szyderczych uwag na ten

temat) i gdybym uważał za potrzebne zwrócić się do jakiej niewiasty z zapytaniem, czy może rozważyć moją kandydaturę na męża, pokazałoby się wówczas, że jestem skromny i nieśmiały, jak rzekłem.

Uwierzyłam mu całkowicie i poczułam dla niego szczerzy szacunek, który przeszył bólem moje serce.

— Co się tyczy panny St. Pierre — mówił w dalszym ciągu, wyraźnie usiłując opanować się, co poznałam po lekko zmienionym głosie — zamierzała ona niegdyś zostać panią Emanuelową. Nie wiem, dokąd zaprowadziłby mnie jej zamiar, gdyby nie to zakratowane, oświetlone małe okienko. O, czarodziejska krato! Jakie cuda działałaś! Ile odkryłaś mi tajemnic! Tak — dodał po chwili — ta mała czarodziejska krata ujawniła mi złość i zawziętość panny St. Pierre, jej próżność i płochość, nie tylko tutaj, ale i przy innych okazjach. Dzięki zbawczej mojej kracie byłem świadkiem rzeczy, które najskuteczniej opancerzyły mnie przeciwko sztuce uwodzenia, jaką w wysokim stopniu posiadała Mademoiselle St. Pierre. Dzięki mojej kracie jestem zabezpieczony przeciwko wszelkim zakusom biednej Zelie.

— A moje uczennice — zaczął znów po chwili — te blondes jeunesdles — jasnowłose młode dziewczęta — takie niby łagodne i potulne! Widziałem, jak najbardziej powściągliwe spośród nich łobuzowały jak chłopaki, a najpotulniejsze obrywały kiście winogron z muru, strząsały gruszki z drzew. Kiedy przybyła tu nauczycielka angielskiego, zauważyłem od razu jej upodobanie do pewnej szczególnej alejki, dostrzegłem, że szuka samotności, obserwowałem ją bacznie na długo przedtem, zanim zaczęliśmy rozmawiać z sobą. Przypomina sobie pani może, iż kiedyś podszedłem cichaczem

212

i podarowałem pani bukietek białych fiołków? Byliśmy sobie jeszcze zupełnie obcy...

— Pamiętam. Zasuszyłam fiołki, zachowałam je i mam je dotychczas.

— Podobało mi się, że przyjęła je pani spokojnie, bez wahania i pruderii, którą zawsze śmiertelnie obawiam się wywołać, której żywiołowo nie znoszę i na którą reaguję z całą mściwością, zwłaszcza gdy ujawnia się w spojrzeniu czy gestach. Powróćmy wszelako do naszej sprawy. Nie tylko ja obserwowałem i śledziłem panią, a często — w porze wieczorowej — inny jeszcze anioł opiekuńczy bezszelestnie krążył w pobliżu pani. Co wieczór moja kuzynka, Madame Beck, przekradała się cichaczem ku owej alejce, idąc trop w trop za panią, kiedy pani jej nie widziała.

— Ależ nie mógł pan przecież, Monsieur, widzieć z tej odległości, po nocy w dodatku, co się dzieje w ogrodzie?

— Mogłem, przy świetle księżycy, przez lornetkę — posługuję się zwykle lornetką — tutaj jednak nie mam potrzeby uciekać się do tego sposobu. Ogród jest dla mnie otwarty o każdej porze. W szopie, na jego końcu, są drzwiczki, które prowadzą na podwórze sąsiadujące z kolegium. Mam do nich klucz, dzięki czemu mogę przychodzić i wychodzić, kiedy mi się podoba. Wszedłem tedy właśnie dzisiaj po południu i zastałem panią śpiącą w klasie.

Wieczorem ponownie skorzystałem z tego samego wejścia.

Nie mogłam powstrzymać się od powiedzenia:

— Gdyby pan był niegodziwcem, żywiącym złe, podstępne zamiary, jakże straszne byłoby to wszystko.

Ten sposób zapatrywania się na rzeczy nie trafiał mu do przekonania: zapalił cygaro i kiedy pykał spokojnie, oparty o pień drzewa, spoglądając na mnie chłodnym, rozbawionym wzrokiem, jakim zwykł patrzeć, będąc w pogodnym nastroju, uważałam za właściwe wystosować do niego dłuższe kazanie. On sam często raczył mnie tego rodzaju przemówieniami, dlaczego więc i ja z kolei nie miała-

213

bym raz chociażby wypowiedzieć się w stosunku do niego zupełnie szczerze. Wyjawiłam mu też bez ogródek mój pogląd na stosowanie tego rodzaju jezuickiego systemu.

— Wiadomości, jakie daje ono panu, okupione są zbyt wysoką ceną; to przychodzenie i wychodzenie ukradkiem, podstępnie, przynosi ujmę pańskiej godności.

— Mojej godności?! — zawołał ze śmiechem. — Czy widziała pani kiedy, żebym się zamartwiał o własną godność? To pani, Miss Lucy, jest digne—osobą godną. Jak często wobec pani wyspiarskiej dostojności robiłem sobie przyjemność zdeptania nogami tego, co pani podoba się nazywać „moją godnością”, z darcia jej na strzępy i rozrzucania na wszystkie cztery wiatry podczas tych moich napadów opętańczych, którym pani przygląda się tak wyniośle i które, jak wiem, uważa pani za nieopanowany szal trzeciorzędnego aktora londyńskiego.

— Powtarzam panu raz jeszcze, Monsieur, że każde spojrzenie, jakie rzuca pan spoza tej kraty, jest krzywdą wyrządzoną lepszej stronie pańskiej natury. Studiowanie tą drogą serc ludzkich jest tajemnym i świętokradczym raczeniem się jabłkiem Ewy. Szkoda wielka, że nie jest pan protestantem.

Przyjmując obojętnie moje wymówki, z niezmaconym w dalszym ciągu spokojem palił cygaro. Po chwili milczenia uśmiechnął się i odezwał nagle:

— Widywałem inne jeszcze rzeczy.

— Jakie inne rzeczy?

Wyjął cygaro z ust i rzucił niedopałek w zarośla, gdzie zarzył się czas jakiś jeszcze w mroku.

— Niech pani spojrzysz — rzekł — czy ten iskrzący się koniec nie sprawia na pani wrażenia oka śledzącego nas czujnie, mnie i panią?

Skierował się ścieżką naprzód, zawrócił jednak po chwili i mówił dalej:

214

— Widziałem, proszę pani, rzeczy, których nie rozumiem i które zmuszały mnie do czuwania przez całą noc, aby doczekać się rozwiązania ich, nie doczekałem się jednak, dotychczas przynajmniej.

Powiedział to tonem tak dziwnym, że po plecach przebiegł mi dreszcz. Dostrzegł to.

— Przeraziłem panią, Miss Lucy? Czy dreszcz ten wywołały moje słowa, czy też to zazdrosne czerwone oko, żarzące się jeszcze w trawie?

— Ani jedno, ani drugie: zimno mi się zrobiło, późno już jest i coraz ciemniej, ochłodziło się znacznie. Najwyższy czas, żebym wróciła do domu.

— Zaledwie minęła ósma; powróci pani niebawem, musi pani tylko odpowiedzieć mi na to jedno jeszcze pytanie.

Zanim jednak zadał mi je, zatrzymał się na chwilę. Ściemniało się rzeczywiście w ogrodzie; zmierzch zapadł nagle wraz z zachmurzeniem się nieba; krople deszczu zaczęły skapywać przez liście drzew. Miałam nadzieję, że i Monsieur Paul także odczuje tę zmianę, na razie wszelako wydawał się zbyt pogrążony w myślach, aby być wrażliwym na cokolwiek.

— Proszę mi powiedzieć, Mademoiselle, czy wy, protestanci, wierzycie w zjawiska nadprzyrodzone?

— Jest pewna różnica pomiędzy teorią i wiarą, i nie dotyczy to tylko protestantów — odparłam. — Dlaczego pyta pan o to, Monsieur?

— Dlaczego pani drży i odpowiada mi takim słabym głosem? Jest pani przesądna?

— Jestem z natury nieco nerwowa. Nie lubię poruszania tego rodzaju tematów i dyskusowania o nich. Tym bardziej ich nie lubię, że...

— Wierzy pani?

— Nie. Zdarzyło mi się wszakże doznać czegoś takiego...

215

— Po przyjeździe pani tutaj?

— Tak. Przed paroma miesiącami.

— Tutaj? W tym domu?

— Tak.

— Bon! — Dobrze! Cieszę się. Wiedziałem o tym zresztą, zanim pani mi powiedziała. Czulem, że zachodzi jakiś związek pomiędzy mną a panią. Pani jest łagodna i cierpliwa, a ja mam naturę wybuchową; pani jest cicha i blada, moja skóra jest smągła i ogorzała, a temperament mam ognisty; pani jest surową protestantką, a ja jestem rodzajem świeckiego jezuitę. Mimo tych wszystkich zasadniczych różnic jesteśmy podobni do siebie; istnieje między nami wyraźne pokrewieństwo. Czy dostrzega to pani, Mademoiselle, przyglądając się sobie w lustrze? Czy zauważyła pani, że czoło jej jest tak samo ukształtowane jak moje, że oczy pani mają wykrój podobny do wykroju moich? Czy uzmysłowiła sobie pani, że głos jej ma niektóre tony zbliżone do tych, jakie brzmią i w moim głosie także? Czy wie pani o tym, że miewa pani często mój sposób patrzenia i przyglądania się? Stwierdzam to wszystko i wierzę, że urodziła się pani pod moją gwiazdą! Winna pani zdrzeć na tę wieść, jeśli się bowiem zdarza takie podobieństwo pomiędzy dwojgiem śmiertelników, to nici ich żywotów są tak wzajem z sobą splecione, że trudno je rozwikłać. Powstają supły i zadzierzgnięcia, których nagłe zerwanie pozostawia uszkodzenia w osnowie tkaniny. Powracając wszakże do tych wrażeń — czy „doznań”, jak wyraża się pani z typowo angielską oględnością — otóż ja również doznałem tego samego.

— Proszę, niech mi pan o tym opowie.

— Nie pragnę niczego bardziej i nie zamierzam bynajmniej wyrzec się tego. Znana jest pani legenda, związana z tym domem i z tym ogrodem?

— Owszem, znam ją. Opowiadano mi, jakoby przed wiekami jakaś zakonnica została zamurowana żywcem pod ziemią, u stóp

216

tego właśnie drzewa, w tym samym miejscu, na którym stoimy teraz oboje.

— Czy mówiono pani, że w dawnych czasach zjawia owej zakownicy zwykła nawiedzać ten dom i ogród?

— A gdyby nawet tak miało być, to i cóż z tego, proszę pana?

— Coś krąży tu wciąż jeszcze: zjawia jakaś snuje się po tym domu nocą. Ma ona wygląd zgoła odmienny od wszystkiego, co pojawia się tutaj za dnia. Ja sam niewątpliwie widywałem coś podobnego niejednokrotnie. Klasztorne zawoje tej tajemniczej postaci były dla mnie czymś dziwnym, przemawiały też do mnie bardziej niż do wszystkich innych żyjących istot.

Zakonnica!

— Ja n wnieź ją widziałam, Monsieur.

— Przypuszczałem, że tak być musiało. Zagadnienie, czy zakonnica ta jest istotą z ciała i krwi, czy też czymś takim, co pozostaje, kiedy krew zastyga i krzepnie, a ciało rozpada się, interesuje prawdopodobnie w tej samej mierze panią, co mnie. Otóż, postanowiłem dotrzeć do jądra tej sprawy; jak dotychczas jestem jedynie oszołomiony wizją, muszę jednak zbadać jej tajemnicę. Zamierzam...

Zamiast powiedzieć mi, co zamierza zrobić, podniósł nagle głowę. W tej samej chwili ja także zrobiłam identyczny ruch; oboje spojrzeliśmy w jednym kierunku — ku wysokiemu drzewu, ocieniającemu berceau i opierającemu się częścią swoich gałęzi o dach ponad pierwszą klasą budynku szkolnego. Doleciał stamtąd dziwny, niczym nie dający się wytłumaczyć odgłos, jak gdyby konary potężnego drzewa zakołysały się samoistnie i całym ciężarem otarły się o potężny pień. Tak. Powietrze stało w bezruchu, nie powiał nawet najlżejszy wietrzyk, a mimo to masywne drzewo zatrzęsło się, podczas gdy lekkie jak piórko krzewy nawet nie drgnęły. Parę minut jeszcze trwało to niesamowite trzeszczenie i skrzypienie drzewa. Ściemniło się już zupełnie, wydało mi się jednak, że coś bardziej solidnego, aniżeli zwykły cień nocy czy cień gałęzi, czerniało tuż przy pniu. Walka ustała wreszcie. Co miało się z niej narodzić? Jaka

217

nimfa leśna miała wyłonić się z męki tych bólów porodowych? Obserwowaliśmy czujnie. Nagle powietrze przeszył dźwięk dzwonka, dolatujący z wnętrza domu — był to dzwonek, który wzywał na modlitwę wieczorną. W tym samym momencie wysunęła się spoza berceau, ku naszej alejce, czarno-biała postać. Z gniewnym pośpiechem przemknęła tuż obok nas zjawia zakonnicy! Nigdy dotychczas nie widziałam jej tak wyraźnie. Wydawała się bardzo wysoka, a ruchy jej dziwnie zamaszyste. Przemknięciu jej towarzyszył głośniejszy świst i jęk wiatru; mroźny deszcz lunął gwałtownie — jak gdyby cała noc miała odczuć jej obecność.

Rozdział XII

Pierwszy list

Czas już dowiedzieć się, gdzie podziała się Paulina Maria. Jak się ułożyły moje tak mile zapoczątkowane stosunki z wspaniałym hotelem Crécý? Otóż przez czas jakiś przestałam w nim bywać z powodu nieobecności pana i panny de Bassompierre. Podróżowali oni, spędzając kilka tygodni w stolicy Francji i na francuskiej prowincji. Przypadek sprawił, że dowiedziałam się o ich powrocie wkrótce po nastąpieniu tego faktu.

Pewnego spokojnego popołudnia, snując dość miłe rojenia, przechadzał* m się wolnym krokiem po jednym z cichych bulwarów, korzystając z dobroczynnego słońca kwietniowego, kiedy nagle dostrzegłam przed sobą grupę jeźdźców konnych, którzy zatrzymali się, jak gdyby w tej chwili właśnie spotkali się i wymieniali powitania w środku szerokiej, gładkiej, obrzeżonej lipami alei. W grupie tej wyróżniłam z jednej strony wytwornego pana w średnim wieku oraz młodziutką amazonkę, a z drugiej młodego, dorodnego mężczyznę. Twarz i cała postać młodej damy tchnęła przedziwnym urokiem, jej strój był wytworny, a ona sama sprawiała wrażenie istoty kruchej i wiotkiej, zarazem jednak z pańska dostojnej i imponującej. Kiedy wszakże przyjrzałam się całej grupie bliżej, poczułam, że wszyscy troje są mi dobrze znani, przysunawszy się też nieco, poznałam wszystkich: hrabiego Hore'a de Bassompierre, jego córkę i doktora Grahama Brettona.

Jaka ożywiona była twarz Grahama! Jaką szczerą, serdeczną wyrażała radość! Sytuacja, wywołana dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a zarazem szczególnemu splotowi warunków, wpłynęła na doktora Johna podniecająco i przykuwająco. Perła, którą podziwiał, miała sama przez się wysoką wartość; była prawdziwie

219

cenna i nieskazitelnie czysta, nie należał on wszelako do typu ludzi, którzy, oceniając należycie klejnot, potrafiliby nie brać pod uwagę jego oprawy. Gdyby spotkał Paulinę, tak samo czarowną powabem młodości, urody i wdzięku, ale idącą pieszo, samą, nie strzeżoną przez nikogo i skromnie ubraną, występującą w roli zależnej pracownicy czy czegoś w rodzaju gryzетки, wydałaby mu się ładniutki, miłym stworzonkiem i niczym więcej. Czegoś innego wszakże niż te skromne walory potrzeba było, aby podbić go i zdobyć jego serce, jak było ono zdobyte teraz; aby zwycięsko ujarzmić go, bez ujmy, a nawet z korzyścią dla męskiego jego honoru, jak to wyraźnie działo się obecnie. Zasadniczym rysem charakteru doktora Johna była wybitnie wyrażona światowość. Nie wystarczało mu zadowolenie i uznanie własne—świat musiał pochwalić jego wybór, musiał zachwycać się tym właśnie i podziwiać to, co wywoływało jego własny podziw i zachwyt — w przeciwnym razie uważałby przedsięwzięcie swoje za fałszywe, a w każdym razie niecelowe. W swojej wybrance szukał tego, co w danym wypadku rzucało się w oczy tak przemożnie — wybitnych cech wysokiej kultury, roztoczenia starannej i zdolnej nakazać posłuch opieki, zewnętrznych ozdób i dodatków, narzuconych przez modę, zdobywanych przez majątek i umiejętnie przystosowanych przez dobry smak. Tych warunków wymagał podświadomie, zanim poddał się całkowicie urokowi samej wybranej. Tutaj, w osobie hrabianki de Bassompierre, znajdował je w najwyższym stopniu i w całej pełni, dlatego też dumny, porwany, a zarazem trwożliwie niepewny, składał hołd Paulinie jako swojej władczyni. Co się jej tyczy, tkliwy uśmiech odczuwania raczej, aniżeli świadomej potęgi, czał się miękko w jej oczach.

Rozstali się. Doktor John przejechał obok mnie pędem, nie czując nieomal ziemi, której powierzchnię zaledwie muskały kopyta jego wierzchowca i nie widząc nic i nikogo dokoła siebie. Wyglądał wyjątkowo dorodnie; jego uczucia i trzeźwa świadomość własnych celów jednakowo były podniecone i ożywione.

220

— Ojczulku, patrz, to Lucy! — zawołał dźwięczny, przyjazny głosik. — Lucy, droga, kochana Lucy, chodź do nas! Proszę cię, chodź!

Pospieszyłam na jej wezwanie. Odrzuciła woalkę osłaniającą jej twarz i przechyliła się na siodle, aby mnie uściskać.

— Miałam przyjść przywitać się z tobą jutro — rzekła — teraz wszakże, wobec szczęśliwego naszego spotkania, ty przyjdiesz do nas jutro, prawda?

Wymieniła godzinę, a ja obiecałam się stawić.

Nazajutrz wieczorem byłam u niej. Zamknęłyśmy się obie w jej pokoju. Nie widziałam Pauliny od owego dnia, kiedy jej prawa, zestawione z prawami, jakie rościła sobie Ginevra Fanshave, zyskały tak wybitną nad tamtymi przewagę. Miała mi wiele do opowiedzenia o swej podróży. Podczas podobnych lete-a-tele — sam na sam — była nader ożywioną i wymowną narratorką, umiejącą barwnie opisywać przeżycia i doznania, nigdy wszelako, dzięki niesłuchanej prostocie i naturalności dykcji i czystemu, łagodnemu głosowi, nie mówiła ani zbyt szybko, ani zbyt wiele. Uwaga moja nie osłabłaby na pewno, ona sama wszakże zapragnęła widocznie zmiany tematu, pospieszyła bowiem zakończyć jak najrychlej swoje opowiadanie. Nie od razu jednak pojęłam, dlaczego tak nagle urwała swoje sprawozdanie z odbytej podróży. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, zdradzającego wszelako wyraźne oznaki niepokoju i głębokiej zadumy. Wreszcie zwróciła się do mnie nieufnym, na wpół błagalnym tonem:

— Lucy...

— Jestem przecież przy tobie.

— Czy moja kuzynka Ginevra pozostaje wciąż jeszcze u Madame Beck?

— Tak. Tęsknisz prawdopodobnie za nią? Chciałabyś ją zobaczyć?

— Nie, nie bardzo.

221

— Chciałabyś zaprosić ją znów na wieczór?

— N... nie... Przypuszczam, że wciąż jeszcze mówi o swoim zamążpójściu?

— Za nikogo takiego w każdym razie, na kim mogłoby ci zależeć.

— Ale myśli naturalnie wciąż jeszcze o doktorze Brettonie? Nie mogła przecież zmienić swojej decyzji w tym względzie. Wszystko było już wszak ułożone przed dwoma miesiącami.

— Bynajmniej. Wiesz najlepiej, jak rzeczy stoją. Byłaś świadkiem ich wzajemnego stosunku.

— Tak. Było pomiędzy nimi jakieś nieporozumienie owego wieczoru. Nie ulega wątpliwości. Czy Ginevra sprawia wrażenie nieszczęśliwej?

— O, nie. Nie pokaże tego po sobie. Powiedz mi lepiej, czy przez cały czas od twojego wyjazdu nie widywałaś doktora Grahama ani też nie miałaś od niego wiadomości?

— Ojczulek otrzymywał od niego listy — raz czy dwa, w interesie, o ile mi wiadomo. Doktor Bretton zajął się jakimiś jego sprawami, które wymagały dopilnowania podczas naszej nieobecności. Zdaje się, że ma dużo szacunku dla ojczulka i z przyjemnością wyświadcza mu przysługi.

— Tak. Spotkałaś się z nim wczoraj na bulwarze; przekonałaś się chyba, sądząc z jego wyglądu, że przyjaciele mogą nie martwić się o jego zdrowie?

— Ojczulek zdaje się być tego samego zdania co ty, Lucy. — Uśmiechnęłam się mimo woli na to powiedzenie. — Bo mój papuś nie jest szczególnie spostrzegawczy: jak ci wiadomo, myśli jego zaprzątnięte są czym innym poza tym, co ma przed oczami. Powiedział jednak,

gdy doktor Bretton pokłusował z powrotem: „Prawdziwą przyjemność sprawia obserwowanie energii i przedsiębiorczości tego chłopca”. Nazwał doktora Brettona chłopcem; przypuszczam, że rzeczywiście uważa go jeszcze za chłopca, tak samo

222

jak mnie wciąż ma za małą dziewczynkę. Nie mówił właściwie do mnie. Rzucił tę uwagę mimochodem, jak gdyby głośno myślał. Lucy...

I znów zabrzmiał ten sam błagalny ton. Równocześnie podniosła się ze swojego krzesła i podbiegła do mnie, aby usiąść na małym stołeczku przy moich nogach.

Polubiłam ją. Nieczęsto w toku tego opowiadania wyjawiałam podobne uczucia w stosunku do moich znajomych, dlatego też zechce łaskawy czytelnik tym razem nie brać mi mojego wynurzenia za złe. Poufne obcowanie, bliższa obserwacja ujawniły mi całą subtelność, inteligencję, szczerłość i prostotę Pauliny, potęgując tym samym i pogłębiając mój szacunek dla niej i moje przywiązanie. Zachwył bardziej powierzchowny byłby może bardziej demonstracyjny, aleja nie byłam zbyt wylewna.

— O co chcesz zapytać mnie, dziecko? — rzekłam. — Odważnie, wypowiedz się otwarcie. Nie było jednak odwagi w jej oczach: spojrzenie jej, spotka-wszy się z moim, przygasło; policzki utraciły zwykły swój chłód, okrywszy się gorącym, żywym rumieńcem wewnętrznego podniecenia.

— Lucy, chciałabym bardzo wiedzieć, jakie jest twoje zdanie o doktorze Brettonie. Proszę cię, powiedz szczerze, co o nim myślisz: o jego charakterze, o jego usposobieniu.

— Jego charakter w zupełności zasługuje na wysokie uznanie.

— A jego usposobienie? Powiedz mi coś bliższego o tym — nalegała. — Znasz go przecież dobrze.

— Tak. Znam go dość dobrze.

— Znasz go takim, jakim jest u siebie w domu. Widujesz go w towarzystwie jego matki; opowiedz mi wszystko, co ci wiadomo o nim jako synu.

— Jest idealnym synem, największą pociechą i całą nadzieją swojej matki, jej dumą i rozkoszą.

223

Trzymała moją rękę w swoich dłoniach i przy każdym przychylnym, wychwalającym słowie głaskała ją pieczołtliwie.

— A pod jakim innym jeszcze względem jest on dobry, droga Lucy?

— Doktor Bretton jest bardzo serdecznie, a w każdym razie naprawdę życzliwie usposobiony do wszystkich ludzi. Jestem pewna, że byłby taki względem najbardziej nieokrzesanych dzikusów, bodaj nawet względem najgorszych zbrodniarzy.

— Tak, słyszałam, jak kilku przyjaciół ojczulka wyrażało się o doktorze Brettonie w taki sam sposób. Mówili oni, że wielu pacjentów w szpitalu, trzęsących się ze strachu przed nieznającymi litości, obojętnie samolubnymi chirurgami, wita go z radosnym uśmiechem i błogosławi jako swojego zbawcę.

— Mają zupełną słuszność. Ja sama byłam świadkiem takiego ich ustosunkowania się do niego. Widziałam, jak go przyjmowali. Przyjaciele twojego ojca mają rację.

W jej oczach pojawiła się tkliwa wdzięczność, kiedy podniosła je na chwilę i skierowała na mnie. Miała więcej jeszcze do powiedzenia, zdawała się jednak taić jakieś wątpliwości, a może wahała się, czy czas i miejsce są odpowiednie do takich zwierzeń. Zaczął zapadać zmierzch; ogień na kominku w bawialni rzucał czerwone błyski, wydawało mi się jednak, że czekała, aż w pokoju zupełnie się ściemni.

— Jak bezpiecznie, cicho i spokojnie jest w tej chwili w twojej bawialni — zauważyłam, aby ją uspokoić.

— Czujesz to naprawdę?... Tak, wieczór jest szczególnie cichy, nie będę też wezwana na dół na herbatę; ojczulek zje obiad na mieście.

Trzymając wciąż moją rękę bawiła się, bezwiednie może, moimi palcami, wkładając na nie własne pierścionki, to znów owijając dokoła nich pasemka swych pięknych włosów; przykładała moje chłodne dłonie do swych rozgrzanych policzków i

224

wreszcie, odchrząknąwszy, odezwała się zwykłym dźwięcznym głosem:

— Wydaje ci się dziwne na pewno, że mówię tak wiele o doktorze Brettonie, że zadaję takie mnóstwo pytań, które go dotyczą, że zdradzam tak żywe zainteresowanie jego osobą... Ale...

— Wcale nie wydaje mi się to dziwne; przeciwnie, uważam to za najzupełniej naturalne — lubisz go przecież.

— A gdybym nawet go lubiła — przerwała mi dość porywczo — czy starczy to za powód, żeby tyle o nim mówić? Przypuszczam, że uważasz mnie za istotę tak samo słabą jak moja kuzynka Ginevra.

— Gdybym uważała cię za podobną choć trochę do panny Ginevry, nie siedziałabym tutaj, czekając na to, co masz mi do powiedzenia. Wstałabym, przechadzałabym się swobodnie po pokoju i uprzedziłabym wszystko, co miałabyś mi do powiedzenia porządnym zmyciem ci głowy. Nie dopuściłabym cię do słowa. Ale teraz mów dalej, dziecko.

— Chcę mówić dalej — odparła. — Cóż miałabym robić innego? Jak ci się wydaje? — Rozejrzała się i zaczęła mówić, a wyraz jej twarzy i głos upodobniały ją do dawnej małej Polly z Bretton. — Gdybym — oświadczyła z naciskiem — gdybym nawet lubiła go tak, że gotowa byłabym umrzeć za niego, i to jeszcze nie upoważniałoby mnie do zachowania się inaczej aniżeli milcząco jak grób, nieomal jak ty, droga Lucy Snowe. Wiesz o tym najlepiej i wiesz o tym również, że pogardzałabyś mną, gdybym nie była zdolna zapanować nad sobą i rozczułała się z powodu pensjonarskie-go zadurzenia, i to bez wzajemności.

— Prawda, że niewielki żywioł szacunek dla kobiet i dziewcząt zbyt wylewnych bądź w popisywaniu się swoimi triumfami, bądź w utyskiwaniu na zawody miłosne. Jeśli jednak o ciebie chodzi, Paulino, mów, proszę; zapewniam cię zupełnie serio, że pragnę wysłuchać tego, co masz mi do powiedzenia. Powiedz mi wszystko,

225

co może sprawić ci przyjemność lub ulgę — tylko o to cię proszę, tylko tego pragnę dla ciebie.

— Lubisz mnie choć troszkę, Lucy?

— Tak, Polly, lubię cię szczerze.

— A ja cię kocham. Szczególnego rodzaju przyjemność sprawiało mi przebywanie z tobą wówczas, kiedy byłam małą, krnąbrną, sprawiającą dużo kłopotu dziewczynką: rozkoszowałam się możliwością robienia z Lucy ofiary mojej niegrzeczności i moich kaprysów. Teraz Lucy stała się moją powiernicą i miłą towarzyszką, z którą lubię rozmawiać i której ufam bezgranicznie. Chciej więc mnie wysłuchać, moja Lucy.

Przykucnęła u moich stóp, opierając się na moim ramieniu łagodnie i nie całym ciężarem ciała, jak panna Fanshave.

— Przed paroma minutami, kiedy zapytałaś, czy miałam wiadomości od Grahama podczas naszej podróży, odpowiedziałam, że nadeszły od niego dwa listy do ojczulka w sprawach handlowych. Była to prawda, nie wyjawiałam ci jednak wszystkiego.

— Zataiłaś więc coś przede mną?

— Nie, nie tyle zataiłam, ile nie odpowiedziałam, aby uniknąć szczerego, całkowitego wyznania. Teraz jednak postanowiłam powiedzieć wszystko: ściemniło się, mogę więc mówić z większą swobodą. Otóż ojczulek pozwala mi często otwierać pocztę i podawać mu nadchodzącą korespondencję. Pewnego rana, mniej więcej przed trzema tygodniami, nie umiem wcale powiedzieć jak bardzo zdziwiłam się, znalazłszy pośród tuzina listów, adresowanych do pana de Bassompierre, liścik zaadresowany do panny de Bassom-pierre. Wykryłam go natychmiast wśród wielu innych; charakter pisma na kopercie nie był mi obcy;

zaciekał mnie też od razu. Już miałam powiedzieć: „Ojczulku, jest tu jeszcze jeden list od pana doktora Brettona”, zamknął mi jednak usta wyraz „Miss” w adresie. Nigdy jeszcze dotychczas nie otrzymałam listu od obcego mężczy-

226

zny. Czy powinnam najpierw pokazać pismo ojczulkowi, pozwalając mu, aby on pierwszy otworzył je i odczytał? Nie mogłam jednak, nie byłam zdolna tego zrobić, nie byłam w stanie za nic na świecie. Zbyt dobrze znam pojęcie ojczulka o mnie. Zapomina on zupełnie o moim wieku, uważa mnie wciąż jeszcze za pensjonarkę; nie zdaje sobie sprawy, że inni ludzie widzą we mnie dorosłą dziewczynę, która nie ma już nawet szans urosnąć, osiągnęła bowiem przeznaczony jej wzrost. Z tak dziwnie skłóconymi uczuciami — zarazem wyrzutów sumienia i zadowolonej miłości własnej — że nie potrafię nawet ich opisać, oddałam ojczulkowi tuzin jego listów i zachowałam dla siebie mój jedyny, moje jedyne białe jagniętko. Leżało ono na moich kolanach przez cały czas śniadania, spoglądając na mnie zagadkowo, nasuwając mi poczucie prowadzenia podwójnej egzystencji: dziecka w stosunku do drogiego mojego ojczulka, wcale już jednak nie dziecka w stosunku do siebie samej. Po śniadaniu zaniósłam mój list na górę i zabezpieczywszy się zamknięciem na klucz drzwi mojego pokoju, zagłębiłam się przede wszystkim w studiowaniu zewnętrznej strony mojego skarbu. Dobrych kilka minut trwało, zanim zdołałam uświadomić sobie brzmienie adresu i zanim zdobyłam się na złamanie pieczęci: nie bierze się podobnej reduty szturmem; należy usiąść przed nią na chwilę w skupieniu, jak mawiają oblegający. Charakter pisma Grahama jest taki jak on sam i taka jest jego pieczęć—dokładnie zaokrąglona, równa, odcisnięta ręką nawykłą do śmiałych, energicznych decyzji. Nie widać tu niedbałego, niepo-rządne rozchlapania wosku — pełna, solidna, ściśle ograniczona kropla, wyraźne, mocne odcisnięcie; charakter pisma równy, bez żadnych ostrych zakrętasów, żadnych nagłych odchyłeń, niemile drażniących wzrok, ale spokojny, gładki, sprawiający przyjemne wrażenie, dziwnie kojący przy czytaniu. Podobny do jego twarzy, do jego męskich rysów. Czy znasz jego pismo? — Widziałam je. Ale mów dalej.

227

— Pieczęć była zbyt piękna, aby ją złamać, więc wycięłam ją cienko zaostrozonymi nożyczkami do haftu. Gotowa już wreszcie zabrać się do czytania listu, raz jeszcze powstrzymałam się dobrowolnie: zbyt wcześnie było na pociągnięcie czarownego haustu — pieniający się błysk w filizance był tak piękny, że zapragnęłam napatrzeć się chociażby przez chwilę. Nagle przypomniałam sobie, że nie odmówiłam jeszcze modlitwy tego rana. Usłyszawszy kroki ojczulka, schodzącego wcześniej niż zazwyczaj na dół na śniadanie, nie chciałam dać mu czekać, pospieszyłam też do niego, jak tylko zdążyłam się ubrać, nie widząc nic złego w odłożeniu na później odmówienia pacierzy porannych. Niejeden powiedziałby może, że powinnam złożyć przede wszystkim należny hołd Bogu, a potem dopiero daninę człowiekowi, nie wydaje mi się jednak, aby niebo mogło być zazdrosne o cokolwiek z tego, co robię dla mojego ojczulka. Możliwe, że jest to mój przesąd. Jakiś głos mi podszeptował, że wchodzi tu w grę odmiennego rodzaju uczucie aniżeli przywiązanie córki i że to właśnie szczególne uczucie skłania mnie do pomodlenia się, zanim odważę się odczytać słowa, do których tak tęskniłam całą duszą, do odmówienia sobie tej rozkoszy przez chwilę jeszcze i pamiętania nade wszystko o świętym obowiązku, jaki winnam spełnić. Kierowałam się zawsze podobnymi impulsami, od czasu jak tylko sięgam pamięcią. Odłożyłam list i odmówiłam pacierze, a po ich ukończeniu podjęłam surowe postanowienie, że cokolwiek miałoby nastąpić, nie dam się skusić ani doprowadzić do przyczynienia ojczulkowi najmniejszej troski i że nigdy miłość, jaką mogłabym żywić dla kogokolwiek innego, nie pozwoli mi zaniedbywać go. Sama myśl o podobnej możliwości tak boleśnie ścisnęła mnie za serce, że doprowadziła mnie do płaczu. Mimo to czułam, że ojczulek we właściwym czasie będzie musiał dowiedzieć się prawdy i wysłuchać rozsądnych perswazji.

Przeczytałam list. O, Lucy, życie, jak utrzymują, ma składać się z samych rozczarowań. Nie wiem, czy słuszna jest ta uwaga, wiem

228

natomiast, że ja nie byłam rozczarowana. Zanim przeczytałam i podczas czytania nie tylko serce biło mi szybciej, ale drgało przy każdym skurczu jak gwałtownie dyszące, śmiertelnie spragnione zwierzę, które ułożono przy źródle, aby mogło pić z niego; źródło okazało się cudownie pełne i bosko czyste; bogato wytrysło własną siłą, własnym impulsem. Poprzez ten zdrój, którego nie zmącił żaden owad ani żadne żdźbło mchu, ujrzałam słońce.

Życie, jak utrzymują, jest dla wielu nieprzerwanym pasmem cierpień. Czytałam życiorysy ludzi, którzy zdawali się przechodzić bezpośrednio od jednego cierpienia do następnego. Nadzieja szybko od nich odlatywała, mknąc przed nimi w dal i nigdy nie zatrzymując się tak blisko nich ani też nie zwalniając swojego pędu o tyle, aby raz bodaj skutecznie wyciągnąć do nich pomocną dłoń. Czytałam o tych, którzy sieli we łzach i których żniwo, dalekie od zbierania go w radości, zmarnowała przedwcześnie padła na nie śnieć lub też zniszczył huragan. Niektórych spośród nich zaskoczyła zima przy pustych spichrzach, wymarli więc z głodu i niedostatku, w najciemniejszej i najsurowszej porze roku.

— Czy była to ich wina, Paulino, że ci, o których mówisz, powymierali w ten sposób?

— Nie zawsze. Niektórzy z nich byli dobrymi, zapobiegliwymi ludźmi. Ja sama nie jestem ani zapobiegliwa, ani dobra, Pan Bóg sprawił jednak, że wyrosłam w słońcu i w dostatku, bezpieczna pod tkliwą opieką, otoczona staraniami, rozwijana i kształcona przez mojego drogiego ojczulka, a teraz... teraz... przychodzi inny. Graham kocha mnie.

Po jej oświadczeniu nastąpiło parominutowe milczenie. Był to ważny, przełomowy moment dla nas obu.

— Czy twój ojciec wie? — zapytałam przyciszonym głosem.

— Graham pisał w tym liście z wielkim szacunkiem o ojczulku, zaznaczył jednak, że nie śmie jeszcze wyjawić przed nim swoich uczuć; miisi przede wszystkim udowodnić mu swoją wartość; dodał

229

również, że musi upewnić się, jak ja traktuję tę sprawę i jakie są moje uczucia, zanim odważy się zwrócić w sposób decydujący do mojego ojca.

— Co na to odpowiedziałaś?

— Odpowiedziałam krótko, ale nie odtrąciłam go. Zarazem drżałam z obawy, aby moja odpowiedź nie brzmiała zbyt serdecznie. Graham ma taki wybredny gust. Pisałam ten list trzykrotnie, osłabiając i łagodząc każde nieomal wyrażenie, aż wreszcie, po ułożeniu zdań w ten sposób, że list wydał mi się podobny do kawałka lodu, ocukrzonego odrobiną owocowego zapachu i słodczy, odważyłam się zapieczętować go i wysłać.

— Doskonale, Paulino! Kierowałaś się cudownie wysubtelnio-ną intuicją — zdajesz się rozumieć i wyczuwać doktora Brettona na wskroś.

— Jak jednak mam postąpić wobec ojczulka? Wciąż nad tym rozmyślam i nie wiem, jak sobie poradzić.

— Nie radź sobie wcale. Czekaj. To jedyne, co masz na razie do zrobienia. Nie podtrzymuj tylko dalszej korespondencji, dopóki twój ojciec nie dowie się o wszystkim i nie da ci na to swojego przyzwolenia.

— Czy da je kiedykolwiek?

— Czas pokaże. Czekaj cierpliwie.

— Doktor Bretton napisał jeszcze jeden list, wyrażając mi głęboką wdzięczność za mój krótki, utrzymany w spokojnym tonie bilecik, wyprzedziłam bowiem twoją radę, droga moja Lucy, i napisałam mu zaraz w pierwszym owym krótkim liściku, że, mimo niezmienności moich uczuć, nie będę mogła bez wiedzy ojczulka podtrzymywać korespondencji z nim.

— Postąpiłaś, jak powinnaś postąpić. Doktor Bretton odczuje to na pewno w ten sposób i nie inaczej; spotęguje to tylko jego dumę z siebie i jego miłość, o ile oba te uczucia mogą u niego być jeszcze spotęgowane. Rozumna ta ochronna powłoka szronu, jaką opance-

230

rzyłaś tak czysty, tak jasny płomień twojej miłości, jest bezcennym przywilejem natury.

— Wyczuwam, tak mi się przynajmniej wydaje, usposobienie Grahama — rzekła. — Rozumiem, że nie istnieje w jego pojęciu dostatecznie subtelna ostrożność w traktowaniu spraw takich jak nasza.

— Dajesz bezsprzeczny dowód, że rozumiesz go i oceniasz najtrafniej. Chociażby jednak doktor Bretton miał zapatrywać się na to inaczej, chociażby nawet miał spodziewać się gorętszego odzewu z twojej strony — postąpiłaś w każdym razie uczciwie, szczerze i z należnym córce uczuciem względem ojca.

— Nie wątpię, że zawsze będę postępowała w ten sposób. Możesz mi zaufać pod tym względem, droga Lucy. O, wiem i tak, że sprawię ojczulkowi ból odebraniem mu złudzeń i uświadomieniem, że przestałam już być małą dziewczynką.

— Nie spiesz się z tym, Paulino. Pozostaw rozwiązanie spraw czasowi i przyjaznym losom. Zauważyłam ich życzliwą opiekę nad tobą: możesz być pewna, że wpłyną one na jak najkorzystniejsze ułożenie się dla ciebie okoliczności i same obiorą moment dla ciebie najodpowiedniejszy. Rozmyślałam o biegu twojego życia, tak samo jak i ty niewątpliwie rozmyślałaś o nim; i ja także przeprowadziłam porównania podobne do tych, jakie wysunęłaś i ty sama. Nie wiem, co nam gotuje przyszłość, przeszłość była wszakże pomyślna. Kiedy byłaś dzieckiem, obawiałam się o ciebie: nie spotkałam nigdy natury bardziej wrażliwej niż twoja w dzieciństwie. Stosowana względem ciebie szorstkość czy zaniedbanie nie pozwoliłyby ci rozwinąć się i dojrzeć zarówno duchowo, jak fizycznie, i stać się taką, jaką jesteś teraz. Głębsze troski, obawy, konieczność uciążliwych walk wpłynęłyby na zniekształcenie regularności rysów twojej twarzy, na wynaturzenie twojego charakteru i na zmianę kierunku twojego myślenia, poszarpałyby twoje nerwy, doprowadzając je do stanu stałego podrażnienia; zatraciłabyś zdrowie i humor, wdzięk i słodycz.

231

Szczęśliwie dla ciebie czuwała nad tobą opatrność, przyczyniając się do ukształtowania cię w sposób najbardziej pożądany nie tylko ze względu na własne twoje dobro, ale jak mniemam i na dobro Grahama. On także urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, do pełnego wszakże rozwoju wszystkich najbardziej dodatnich cech jego natury potrzebna mu jest towarzyska życia taka właśnie jak ty — i oto zjawiała się, gotowa spełnić to zadanie. Musicie być połączeni. Wiedziałam o tym zaraz od pierwszego dnia, kiedy ujrzałam was razem w La Terrasse. We wszystkim, co dotyczy ciebie i Grahama, widzę najlepsze zapowiedzi przyszłości, mądrą celowość i harmonię. Nie wydaje mi się, aby słoneczna młodość was obojga miała być dla was zwiastunką burzliwej starości. Wierzę, że w wyrokach opatrności jest zapisane, abyście wiedli spokojny, szczęśliwy żywot — nie tak doskonale szczęśliwy, jaki wiodą aniołowie, alejaki dane jest wieść niewielu spośród śmiertelnych. Niektóre żywoty są błogosławione w ten sposób z woli Najwyższego, stanowiąc oczywiste świadectwo i wyraźny dowód możliwości istnienia raj. Są znów inne, skazane od samego zarania na odmienne ukształtowanie ich losów. Jednym spośród wędrowców towarzyszą stale na ich drodze przyjazne wiatry, innym, przeciwnie, burze i śloty; jedni kroczą stale w słońcu, innych od kolebki nieomal zaskakuje zimowa noc. Ani jedno, ani drugie nie dzieje się bez sankcji Najwyższego. Wiem, że w nieskończonym, nie znającym granic szeregu działań opatrności kryje się gdzieś tajemnica ostatecznych wyroków; wiem, że skarbnica boża zawiera zarówno dowody, jak zapowiedzi ich sprawiedliwości i miłosierdzia.

Rozdział XIII

Monsieur Paul dotrzymuje przyrzeczenia

Na pierwszy dzień maja otrzymałyśmy wszystkie — to znaczy dwadzieścia stałych pensjonarek i cztery nauczycielki — nakaz zerwania się o piątej z rana, aby o szóstej wyruszyć pod przewodnictwem profesora Emanuela, który miał wyprowadzić nas z Villette, spełniając obietnicę urzędnika dla nas śniadania na łonie natury. O ile łaskawy czytelnik może przypomina sobie, nie miałam zaszczytu zostania zaproszoną w momencie pierwotnego projektowania wycieczki —wprost przeciwnie, wyraźnie byłam z niej wykluczona. Kiedy jednak wspomniałam o tym obecnie, chcąc dowiedzieć się, jak mam postąpić, zostałam mocno pociągnięta za ucho, bojąc się więc narazić drugie ucho na takie samo potraktowanie, nie stawiałam już więcej pytań ani też nie wysuwałam żadnych dalszych trudności.

— Je vous conseille de vous faire prier! — ostrzegł mnie Monsieur Emanuel, zagrażając władczy gestem całości drugiego ucha. Jeden napoleoński poczęstunek wystarczał mi jednak w zupełności, od razu też zdecydowałam się na wzięcie udziału w wycieczce. Ranek był ciepły i pogodny, ożywiony trelami[^] ptasimi, rozbrzmiewającymi w ogrodzie. Zwiewne welony mgły, unoszące się sponad sperlonej rosą ziemi i trawy, zapowiadały upał. Wszystkie orzekłyśmy, że będzie gorąco, i z przyjemnością odrzuciłyśmy ciężkie welny, strojąc się zamiast nich w suknie odpowiednie na słoneczną pogodę. Czyste, świeże, wzorzyste perkalikowe sukienki, lekkie słomkowe kapelusze, proste, skromne i nadzwyczaj twarzowe, uplecione tak zręcznie, jak tylko upleść je potrafią francuskie robotnice

1 Niech się pani waży tylko dać prosić!

233

— oto nasze stroje na ten dzień. Żadnej z nas nie przyszło na myśl paradować w zeszłosezonowych wypłowiałych jedwabkach, żadna nie wyciągnęła znoszonego, przyblakłego, ongiś eleganckiego kapelusza.

O szóstej rozbrzmiał wesoło dzwonek, zbiegłyśmy więc hurmem ze schodów, przez carre, wzdłuż korytarza do przedsionka. Stał już tam nasz profesor, odziany nie jak zwykle w zbójcejką fałdzistą pelerynę i w odwieczny bonnet grec, ale strojny w młodzieńczą sportową bluzę z paskiem i nieco zawadiacki słomkowy kapelusz. Przywitał nas wszystkie najuprzejmiej „dzień dobry”, na co większość odpowiedziała uśmiechem. Ustawił nas parami i wnet ruszyliśmy w drogę.

Ulice były jeszcze zupełnie ciche, bulwary świeżością i panującym na nich spokojem sprawiały wrażenie łąk i pól. Czuliśmy się naprawdę szczęśliwe, maszerując dziarsko i zamasyście. Nasz przewodnik umiał wzbudzać wesołość, jeśli sam był w dobrym humorze; w przeciwnym razie mógł wprawić w przygnębienie i wzbudzić paniczny lęk.

Nie prowadził nas ani też nie szedł za nami, ale wzdłuż naszych szeregów, zwracając się do każdej z nas z osobna, wyróżniając przy tym swoje faworytki, nie zaniedbując jednak całkowicie tych nawet, których wyraźnie nie lubił. Miałam specjalny powód, żeby trzymać się z dala od niego i nie wysuwać się na pierwszy plan; a ponieważ szłam w jednej parze z Ginevrą Fanshave, starałam się wykorzystać ten traf, używając jej jako parawanu, który miał odgradzać mnie od Monsieur Paula, i zmieniając miejsce w zależności od tego, czy zbliżał się ku nam z prawej, czy z lewej strony. W zamian za tę nieświadomie wyświadczaną mi przez pannę Fanshave przysługę musiałam z dobrą miną znosić na moim ramieniu ucisk bynajmniej nie znikomego ciężaru górnej kończyny tej anielskiej istoty (będąc w doskonałym stanie zdrowia, nabierała stale ciała, mogę też zapewnić czytelnika, że nie było bagatelą dźwigać ciężar jej wdzięków:

234

niejednokrotnie w ciągu tego upalnego przedpołudnia wzdychałam do opatrności, aby jej trochę odjęła tych czarujących zaokrągłych). Osobliwym ukrytym powodem takiego manewrowania był różowy kolor mojej nowej wzorzystej perkalikowej sukni, zatem — fakt, który w obecnych okolicznościach budził we mnie takie samo mniej więcej uczucie, jakiego

doznawałam niegdyś, przechodząc w szalu z szerokim pasowym obrzeżeniem łąką, na której pasł się okazały byk.

Przez jakiś czas ten system przebiegania to na prawą, to na lewą stronę, a także udrapowania na sobie czarnej koronkowej narzutki, okazywał się celowy, z czasem jednak Monsieur Paul połapał się, że bez względu na to, czy podchodzi do naszej pary z prawej, czy z lewej strony, zawsze natrafia na pannę Fanshave, jako na bezpośrednią swoją sąsiadkę. Ich wzajemne kontakty towarzyskie nie przebiegały nigdy tak gładko, aby jego pobudliwy temperament nie kazał mu wzdrygać się niecierpliwie, ilekroć obił mu się o uszy jej angielski akcent. Pod każdym względem tak zasadniczo różnili się oboje, że nie potrafili nigdy godzić się z sobą. Stale dochodziło pomiędzy nimi do scysji: on uważał ją za próżną i afektowaną, jej zaś nie przedstawiała razić jego niedźwiedziowatość i wtrącanie się nie do swoich rzeczy; był jej wręcz wstrętny.

Kiedy wreszcie po raz szósty zmienił miejsce, zawsze z tym samym ujemnym wynikiem — szarpnął się naprzód, wpił we mnie groźny wzrok i zawołał zniecierpliwiony:

— Qu'est-ce que c'est? Vous me jouez des tours?¹

Ledwie zdążył to powiedzieć, a już ze zwykłą swoją bystrością dotarł do sedna rzeczy: daremnie usiłowałam rozpostrzeć szerokie frędzle i brzeg koronkowej narzutki. — Ah... ahf... C'est la robe rose! — wrzasnął głosem tak ostrym, że wywarł na mnie wrażenie ryku rozjuszonego władcy łąki.

1 Cóż to? Urządza mi pani kawały?

2 Aha!... To różowa suknia!...

235

— To perkalik tylko! Bawełna! — pospieszyłam usprawiedliwić się. — Tańszy i lepiej się pierze, a co najważniejsze, nie blaknie na słońcu.

— Et Mademoiselle Lucie est coquette comme dix Parisiennes

— odparł. — A-t-on jamais vu une Anglaise pareille? Regardez plutôt son chapeau, etsesgants, et ses brodequins! — Wymienione dodatki były zupełnie takie same, jak noszone przez moje towarzyszkę — może nawet skromniejsze jeszcze niż większość spośród nich

— Monsieur wpadł wszelako w zwykłą swoją wenę, byłam już więc przygotowana na wysłuchanie potężnego kazania. Okazało się ono jednak tak łagodne, jak zapowiedź groźnej burzy, która czasem w letni dzień kończy się na lekkim, przemijającym deszczu. Ugodził we mnie jeden tylko jowiszowy grom w postaci szyderczego błysku jego oczu i równie szyderczego uśmiechu, złagodzonego wnet jednak powiedzeniem:

— Courage! — a vrai dire je ne suis pas fache, peut-etre tete suis — je content qu'on s'est fait si belle pour mapetite fetę .

— Mais ma robe n'est pas belle, Monsieur — elle n'est que propre .

— 3'aime lapropre⁴ — rzekł. Nie był, słowem, wyprowadzony z równowagi. Słońce dobrego humoru miało jaśnieć, niezmiennie zwycięskie, tego pomyślnego dnia; stale udawało mu się rozpędzać chmury, zanim jeszcze zdołały one zaciemnić widnokrąg.

Dostałyśmy się wreszcie na prawdziwą wieś, pośród, jak nazy-

1 A panna Lucy jest zalotna jak sto paryżanek. Czy widziano kiedy podobną Angielkę? Przyjrzyjcie się jej kapeluszkowi, jej rękawiczkom, jej ozdobnym pantofelkom!

2 Odwagi! Prawdę powiedziawszy, nie jestem wcale zły; może nawet jestem rad, że ustrojono się tak na moje małe święto.

3 Ależ moja suknia nie jest wcale piękna, proszę pana. Jest tylko czysta.

4 Lubię czystość.

236

wano to tutaj les bois et les petits sentiers — lasów i małych ścieżek. W miesiąc później mniej zachwycałyby nas te lasy i łąki, wyłysiałe z trawy i poszarzałe od kurzu, teraz wszakże, w majowej zielonej krasie i świeżości porannej, wyglądały bardzo pociągająco.

Znalazłyśmy się przy źródle, dokoła którego obyczajem tutejszym zasadzono lipy. Przodownik nasz dał tutaj hasło spoczynku. Porozsiadałyśmy się wokół niego na otaczającej źródło zielonej murawie. Te, które bardziej lubiły go aniżeli się go bały, usiadły bliżej, zaś te, w których budził więcej strachu niż uczuć cieplejszych, trzymały się nieco z dala; były to przeważnie dziewczęta najmłodsze; te, których głębsze przywiązanie nadawało nawet resztkom lęku przyjemny posmak, trzymały się w największej odległości. Monsieur Paul zaczął nam opowiadać zajmującą historię. Celował w tym: miał dykcję, jaką dzieci szczególnie lubią i jaka pobudza wykształconych ludzi dorosłych do współzawodniczenia z nim w tym kunszcie. Prostota była jej siłą i największym powabem. W opowieści, wysnutej przez niego tego dnia z własnej wyobraźni, znalazły się ustępy prawdziwie piękne, głęboko odczute, a także inne, wabiące obrazowością. Zapadły mi one w pamięć i pozostały w niej na zawsze. Opisał on między innymi scenę zapadania zmroku — mam ją jeszcze przed oczyma — nigdy nie oglądałam odtworzonej równie plastycznie pędzlem malarza.

Wspomniałam już kiedyś, że ja sama nie mam i nigdy nie miałam daru improwizacji. Możliwe, że świadomość tego właśnie braku potęgowała jeszcze moje zdumienie i zachwyty przy zetknięciu z człowiekiem, który dar ten posiadał w stopniu doskonałym. Monsieur Emanuel nie należał do ludzi celujących w słowie pisanym, niejednokrotnie natomiast bywałam świadkiem rozrzucania przez niego z hojną, niedbałą, bodaj nawet bezwiedną szczodrością takich skarbów duchowych, jakimi rzadko mogą pochwilić się książki. Jego umysł służył mi najczęściej za bibliotekę, ilekroć też otwierała się ona przede mną, dobieierałam się do niej uszczęśliwiona. Moje

237

intelektualne braki nie pozwalały mi czytać wiele. Nieliczne były drukowane i oprawne tomy, które nie nużyłyby mnie, których przeglądanie nie porażałoby mnie i nie oślepiało—tomy myśli Monsieur Paula natomiast były balsamem dla mego umysłu; ich przystępna zawartość wzmagała moją pracę umysłową. Wyobrażałam sobie często, jaką rozkoszą byłoby dla człowieka, który kochał go bardziej, aniżeli on sam kochał siebie, zbierać i gromadzić te garści złotego pyłu, tak niedbale rozsiewanego na wiatry beztroskie.

Po ukończeniu swej opowieści podszedł do małego pagórka, na którym ja i Ginevra usiadłyśmy z dala nieco od reszty. Jak zwykle, nie mógł się doczekać naszej opinii, a raczej pochwały, więc zapytał:

— Były panie zainteresowane?

W zwykły mój, mało demonstracyjny sposób odpowiedziałam:

— Tak.

— Czy opowieść moja była dobra?

— Bardzo dobra.

— Nie potrafiłbym jednak napisać jej — rzekł.

— Dlaczego nie mógłby pan, Monsieur?

— Nienawidzę mechanicznego procesu pisania; ślęczenie z piórem w ręku nad arkuszem papieru budzi we mnie wstręt. Mógłbym jednak podyktować ją z przyjemnością kopiście, który odpowiadałby moim wymaganiom. Czy Mademoiselle Lucy zgodziłaby się napisać ją dla mnie, gdybym chciał?

— Monsieur dyktowałby zbyt spieszenie, popędzałby mnie i gniewałby się, że moje pióro nie dotrzymuje kroku jego ustom.

— Niech pani spróbuje kiedyś; przekonamy się, jakim potworem potrafię być w pewnych warunkach. W tej chwili wszakże nie ma mowy o dyktowaniu; zamierzam wykorzystać panią w innej roli. Widzi pani ten dom folwarczny, położony tam, za tymi wzgórzami?

— W wianku drzew? Widzę.

— Zjemy tam śniadanie i podczas kiedy zacna fermiere—żona właściciela tego folwarczku
— przygotuje nam w wielkim saganie

238

j[^]wę z mlekiem, pani wraz z pięcioma towarzyszkami, które pani s[^]ma sobie doberze,
posmaruje masłem pół setki bułek.

Uszeregowawszy ponownie swoją małą armię, powędrował na jej czele ku domowi folwarcznemu, który na widok naszej liczebności poddał się bez sprzeciwu. Czyste noże i talerze oraz świeże masło zostały nam dostarczone niebawem, wnet też pół tuzina nas, wybranych przez profesora, wzięło się do pracy pod jego kierunkiem, aby napelnić wielki kosz przekrajanymi na pół i nasmarowanymi bułkami, których przywiezienie w porę na folwark zostało zlecone zamieszkałemu w pobliżu piekarzowi. Kawa i czekolada parowały już w dzbanach, śmietanka i świeże gotowane jajka uzupełniały jadłospis. Monsieur Emanuel, hojny jak zwykle, gotów był wspaniałomyślnie wydać dyspozycje dotyczące jambon — szynki — i confitures — konfitur, gdyby nie sprzeciw niektórych spośród nas, wmawiających sobie wywieranie jakiegoś wpływu na niego i zapewniających go, że byłoby to najnie-rozsądniejszym trwonieniem artykułów spożywczych. Drwił z naszej oszczędności, nazywając nas des menageres avares — skąpymi gospodyniami; pozwoliłyśmy mu wszelako urągać nam i przeprowadziłyśmy wedle własnej woli nakazaną przez rozsądek oszczędność. Z jakim zadowoleniem stał w kuchni folwarcznej, przyglądając się przygotowaniom! Jak promieniał na widok naszego ożywienia! Należał do ludzi, których uszczęśliwia uszczęśliwianie innych: lubił widzieć dokoła siebie ruch, wesołe podniecenie, dostatek i zabawę. Na nasze pytanie, gdzie usiądzie, odpowiedział, że — jak dobrze nam wiadomo — jest dzisiaj naszym niewolnikiem, a my jego tyrankami, nie śmiałyby więc, nie upoważniony przez nas, wybrać sobie krzesła. Wobec tego postawiłyśmy dla niego wielki fotel farmera przy stole i usadowiłyśmy go na honorowym miejscu.

Szczerze lubiłyśmy go, ilekroć bywał w tak dobrotliwym, łagodnym usposobieniu jak obecnie; chętnie zapominałyśmy wów-

239

czas o burzliwych jego wybuchach i ciskanych przez niego tak często piorunach.

Wiedziałyśmy w istocie, że w najgorszych nawet momentach przypisywać należało winę tych jego wybuchów jedynie pobudliwości nerwów, bynajmniej zaś z gruntu złemu jego charakterowi. Kto umiał właściwie zabrać się do niego, łagodzić go, uspokajać i koić, robił z niego niewinnego baranka, niezdolnego skrzywdzić nawet muchy. Jedyne wobec zupełnie tępych, głupich, przewrotnych czy egoistycznie obojętnych stawał się chwilowo niebezpieczny — i to w stopniu jak najslabszym.

Przed przystąpieniem do spożycia śniadania kazał najmłodszemu uczestniczkom wycieczki odmówić modlitwę, a sam przeżegnał się z żarliwością starej dewotki. Nigdy przedtem nie widziałam go modlącego się ani też żegnającego się znakiem krzyża, czynił to wszelako z tak dziecięcą prostotą i wiarą, że nie mogłam powściągnąć uśmiechu zadowolenia na jego widok; dostrzegłszy mój uśmiech, wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

—Donnez-moilamain!—Niech mi pani poda rękę! —Widzę, że wielbimy tego samego Boga, w tym samym duchu, mimo że wedle odmiennego obrządku.

Większość kolegów Monsieur Emanuela, profesorów, jak on sam, należała do typu wyzwolonych wolnomyślicieli, ateistów, wielu też z nich wiodło żywot, który nie zniósłby ściślejszego wglądu w ich poczynania, zaś on sam był raczej typem dawnego rycerza, głęboko religijnego, o nieposzlakowanej opinii. Niewinna działość i czysta myśl, piękna młodzież mogły mu być powierzone jednakowo bezpiecznie. Cechowały go żywe namiętności i ogniste porywy, jego nieskalane wszelako poczucie honoru i dziecięco naiwna pobożność były jak magia, którą potrafił ujarzmić przycażonego czy uspiętego lwa.

Śniadanie na folwarku było arcywesołym posiłkiem, a panujące wśród wszystkich nas szczere rozbawienie nie było pustym brzękiem jedynie. Monsieur Paul występował w roli inicjatora i przy-

240

wódcy; był duchem ożywiającym zabawę; jego towarzyski, pełen zapału temperament znajdował tu swobodne ujście; w otoczeniu kobiet i dzieci nic nie zdołało go rozdrażnić i pokrzyżować jego zamierzeń: postępował jak uważał za właściwe, po swojemu, robił co chciał, był więc nad wyraz miły i uprzedzająco grzeczny.

Po zjedzeniu śniadania całe nasze towarzystwo mogło bawić się i hasać do woli na łące; kilka spośród nas pozostało w kuchni, aby pomóc żonie farmera przy uprzątnięciu, zmyciu i odstawieniu do kredensu fajansowych filiżanek i talerzy. Należałam do tej małej grupki, ale Monsieur Paul odwołał mnie prosząc, abym usiadła z nim pod drzewem (obrał miejsce, z którego mógł czuć nad rozbawioną, hasającą po rozległym pastwisku gromadką) — i abym czytała mu, a on przez ten czas wypali cygaro. Usiadł na wyciosanej z grubsza wiejskiej ławce, a ja wprost na trawie, oparta o szeroki pień. Wybrał dla mnie do czytania tomik kieszonkowego wydania klasyków francuskich — Corneille'a, którego nie lubiłam, on jednak znajdował w nim piękno, którego, przyznaję, nie umiałam nigdy dostrzec. Podczas mojego czytania słuchał ze spokojem i wyrozumiałością, tym bardziej zdumiewającą wobec zwykłej drażliwości jego natury. Jego niebieskie oczy promieniały głębokim uczuciem szczęścia, pod którego wpływem wygładzały się zmarszczki, zasępiające zazwyczaj jego czoło. I ja także byłam szczęśliwa, zadowolona z pięknego dnia, bardziej jeszcze zadowolona z obecności Monsieur Paula i najbardziej zadowolona z jego życzliwego nastroju.

Po chwili zapytał mnie, czy nie wolałabym raczej przyłączyć się do moich towarzyszek, aniżeli siedzieć tutaj. Odpowiedziałam, że nie i że zadowala mnie w zupełności miejsce, jakie zajmuję obecnie. Wobec oświadczenia mojego zapytał, czy gdybym była jego siostrą, lubiłabym przebywać stale z bratem takim jak on. Odpowiedziałam i na to pytanie twierdząco i rzeczywiście tak czułam. Po chwili zapytał znów, czy byłoby mi przykro, gdyby musiał

241

opuścić Villette i odjechać daleko. Tom Corneille'a wypadł mi z ręki. Nic nie odpowiedziałam.

— Petite soeur — siostrzyczko — rzekł. — Jak długo zachowałaby mnie pani w pamięci, gdybyśmy byli rozdzieleni?

— Tego nie umiałabym powiedzieć, bo nie wiem przecież, jak długo będzie trwało, zanim przestanę pamiętać o wszystkim, co ziemskie.

— Gdybym miał odjechać za morza na dwa czy trzy lata, cieszyłaby się pani mną po powrocie?

— O, Monsieur, jak mogłabym żyć w tym czasie?

— Pourtant j'ai etepour vous bien dur, bien exigeant . Zasłoniłam książką twarz, aby nie zdradzić płynących po niej

łez. Zapytałam go, dlaczego o tym mówi, na co odpowiedział, że nie poruszy już więcej tej sprawy, zmienił też w istocie temat, usiłując rozweselić mnie i podnieść na duchu. Łagodność i serdeczność, z jaką przemawiał do mnie przez całą resztę tego dnia, wzruszyły mnie głęboko. Był zbyt tkliwy. Zarazem jednak obudził we mnie dziwny smutek. Wolałabym już, aby był po swojemu szorstki i gwałtowny, kapryśny i nerwowy.

Kiedy nastąpiło upalne południe — dzień, jak przewidziałyśmy, okazał się iście czerwcowy — zgromadził nasz pasterz swoją owczarnię, ściągawszy ją z miejsca zabawy na pastwisku i przygotował się do zabrania nas w drogę powrotną. Miałyśmy całą milę do odrobienia — francuską, nie angielską milę — tyle bowiem wynosiła odległość z folwarku do Villette; mniejsze dzieci zwłaszcza znużone były zabawą, a i większości starszych nie uśmiechała się bynajmniej konieczność odbycia w samo południe długiego marszu po żwirze i piachu nie

ocienionej drzewami szosy. Okazało się wszelako, że Monsieur Paul przewidział ten stan rzeczy i z góry już zapobiegł mu. Tuż za obejściem gospodarskim folwarku ujrzałyśmy

1 Bywałem jednak wobec pani bardzo surowy, bardzo wymagający.

242

dwa obszerne pojazdy, które przybyły, aby nas zabrać — wielkie omnibusy, wynajmowane zazwyczaj specjalnie na potrzeby wycieczek szkolnych; po krótkiej chwili zamętu znalazło się we wnętrzu wehikułów miejsce dla wszystkich i po upływie godziny bezpiecznie dowiózł Monsieur Paul powierzoną jego opiece gromadkę na Rue Fossette. Spędziłyśmy mile dzień. Byłby on dla mnie cudowny, gdyby nie tchnienie melancholii, które przyćmiło mi przez chwilę jasność słońca.

Ponowiło się to jeszcze tego samego wieczoru.

W porze zachodu dostrzegłam Monsieur Emanuela, wychodzącego drzwiami frontowymi w towarzystwie Madame Beck. Przez godzinę nieomal przechadzali się oboje tam i z powrotem po środkowej alei zajęci, jak widać było, bardzo poważną rozmową: on miał minę zaszępiłą, niemal ponurą, ona — zdziwioną, niezadowoloną i podnieconą.

Intrygowało mnie, o czym oboje tak żywo dyskutowali. Kiedy się całkiem ściemniło, Madame wróciła do domu, pozostawiając kuzyna samego w ogrodzie. Pomyślałam wtedy: nazwał mnie petite soeur tego ranka. Gdyby był naprawdę moim bratem, chętnie podeszłabym teraz do niego i zapytała, co go tak gnębi. Stał oparty o drzewo, skrzyżowawszy ręce na piersiach i smutnie pochyliwszy głowę. Czułam, że potrzebne mu jest pocieszenie, którego Madame nie mogła mu dać — umiała tylko prawić kazania. O, ale co to?...

Otrząsnąwszy się z bezruchu i zgnębienia, podążył nasz profesor wielkimi pospiesznymi krokami przez ogród w kierunku domu. Drzwi *carre* były jeszcze otwarte; przypuszczałam, że zamierza prawdopodobnie, jak to bywało jego zwyczajem, podlać rosnące w wielkich pojemnikach drzewa pomarańczowe. Skręcił wszakże raptownie i zawrócił ku *berceau*, a stąd już przeszedł oszklonymi drzwiami do pierwszej klasy. Tutaj właśnie, w tej pierwszej klasie, siedziałam i stąd obserwowałam go; nie miałam jednak odwagi

243

czekać tutaj na jego przyjście. Zawrócił tak nagle, szedł tak szybko i wyglądał tak dziwnie! Odezwała się we mnie tchórzliwa moja natura, nie czekając na przemówienie jej do rozumu: zbladłam, cofnęłam się i kiedy usłyszałam tuż blisko szelest potrącanych gałęzi i chrzęst żwiru pod nogami, zwiastujące jego zbliżanie, umknęłam jak na skrzydłach, gnana panicznym strachem.

Nie zatrzymałam się, dopóki nie znalazłam bezpiecznego schronienia w pustej w tej chwili kaplicy. Wsłuchując się tutaj z bijącym gwałtownie sercem i nie dającym się usprawiedliwić lękiem, śledziłam słuchem, jak przebiegł przez wszystkie pokoje klasowe, niecierpliwie zatrząskiwał za sobą drzwi, potem wpadł do sali refektarzowej, gdzie odbywała się, jak zwykle o tej porze, *lecture pieuse* i wreszcie głośno zawołał:

— Oñ est Mademoiselle Lucie? — Gdzie jest panna Lucy?

I w chwili właśnie, kiedy, zdobywszy się na odwagę, zamierzałam zejść na dół, aby uczynić to, czego najbardziej pragnęłam w danym momencie, to znaczy zobaczyć się z nim, odpowiedział twardy głos Mademoiselle St. Pierre fałszywie, bez zająknięcia: — Elle est au lit — Leży w łóżku. — Usłyszawszy to oświadczenie, tupnął obcasem ze zniecierpliwieniem i wpadł na korytarz. Tutaj wszakże natknął się na Madame Beck, która zatrzymała go, odprowadziła do drzwi wyjściowych i wreszcie pożegnała się z nim.

Kiedy te drzwi zamknęły się za nim, doznałam uczucia nagłego osłupienia na myśl o mojej przewrotnej naturze. Czułam wszak od pierwszej chwili, że ja właśnie byłam tą, której szukał z takim zniecierpliwieniem i która była mu potrzebna — a czyż i on nie był potrzebny mnie również? Co więc skłoniło mnie do trzymania się z daleka? Dlaczego się ukryłam? Miał mi

coś do powiedzenia; zamierzał właśnie powiedzieć mi to: chciałam usłyszeć jego wyznanie i ja sama to uniemożliwiłam... Pragnęłam przecież wysłuchać go i pocieszyć, wówczas kiedy sądziłam, że nie mam żadnej nadziei wysłuchania go i rozstrzygnięcia jego wątpliwości, zaledwie jednak

244

nadarzyła się okazja, umknęłam przed nią, jak umknęłabym przed wymierzonym w moją stronę zabójczym ciosem.

Oto jak zostałam ukarana za obłądną niestałość moich doznań! Zamiast pociechy i niewątpliwego zadowolenia, jakie byłyby moim udziałem, gdybym potrafiła stłumić w sobie niewytlumaczony lęk i zaczekać spokojnie parę minut — miałam dokoła siebie niemą pustkę, pozostawiona byłam na łup zwątpień i niepewności, co dalej nastąpi.

Zabrałam moją zapłatę do nieodmiennej powiernicy moich trosk i smutków — do poduszki — i całą noc spędziłam na rozmyślaniu o tym, co dobrowolnie na siebie ściągnęłam.

Rozdział XIV Duchy nieprzyjazne

Madame Beck wezwała mnie w czwartek po południu, by zapytać, czy mam jakieś zajęcie, które przeszkodziłoby mi pójść do miasta, aby załatwić dla niej pewne drobne sprawunki w sklepach.

Nie byłam zajęta, powiedziałam więc, że może rozporządzać mną i moim czasem.

Otrzymałam od niej listę włóczek, jedwabi i bawełny do haftu dla uczennic na lekcje robót ręcznych. Ubrałam się odpowiednio, bo dzień był pochmurny, posępny. Odsunęłam już rygiel drzwi wyjściowych, zamierzając wyjść, kiedy głos Madame wezwał mnie raz jeszcze do salle a manger.

— Pardon, Miss Lucie! — Przepraszam, Miss Lucie! — zawołała z pozornym pośpiechem, jakby w tej ostatniej chwili dopiero wpadła jej do głowy jakaś myśl. — Przypomniałam sobie o jeszcze jednym poleceniu dla pani, o ile dobre serce nie pozwoli jej buntować się przeciwko temu przeciążeniu.

Zapewniłam oczywiście, że nie może być mowy o żadnym przeciążeniu i że jestem najchętniej do jej usług, wobec czego Madame pobiegła do saloniku, skąd przyniosła śliczny koszyczek wypełniony najprzedniejszymi owocami cieplarnianymi, różowymi, bez cienia plamki, bardzo starannie, a nawet artystycznie ułożonymi pośród ciemnozielonych, błyszczących, jak gdyby utoczonych z wosku liści i bladeżółtych gwiazd nie wiem doprawdy jakiej rośliny egzotycznej.

— Powierzam pani ten koszyczek; nie jest ciężki i nie oszpeci skromnego, ale starannego jak zawsze stroju pani, jak mógłby oszpeci go zwykły kosz na zakupy, używany przez służące. Proszę, niech pani zechce wyświadczyć mi przysługę i doręczy ten koszyczek pani Walravens osobiście wraz z najserdeczniejszymi życze-

246

niami w moim imieniu z okazji dnia jej patronki. Mieszka ona w starej dzielnicy miasta, pod numerem trzecim przy Rue des Ma-ges. Obawiam się, że wyda się to pani nieco daleko, ma pani jednak przed sobą całe popołudnie, nie widzę też powodu do pośpiechu. Jeśli nie zdąży pani powrócić w porę na wieczorny posiłek, każę pozostawić pani jej porcję, a Goton, której jest pani ulubienicą, obmyśli na pewno dla pani jakiś specjalny przysmak. Nie zapomnimy o pani, ma bonne Miss... O, ale niech pani tylko nie zapomni — dodała, wzywając mnie raz jeszcze — że zależy mi szczególnie na tym, aby pani wręczyła koszyk samej pani Walravens, do jej własnych rąk. Tak bardzo obawiam się, aby nie zaszła jakaś pomyłka, jest to osoba wielce wymagająca. Adieu! Au revoir! — Do widzenia!

Wydostałam się wreszcie. Sprawunki w sklepach zajęły mi sporo czasu. Dobieranie włóczek i jedwabi bywa zawsze dość nudne i mozolne, w końcu jednak uporałam się szczęśliwie ze wszystkim. Wybrałam też wzory haftu na pantofle, na taśmy do dzwonek i na woreczki; dopasowałam do nich zapinki i chwasty — słowem cały trópotage — mieszanina — miałam z

głowy: nie pozostało już nic poza oddaniem koszyczka z owocami wraz z życzeniami imieninowymi.

Byłam dość zadowolona z dalekiej przechadzki, z konieczności zapuszczenia się w głąb starej i ponurej Basse-Ville (Dolnego Miasta). Byłam tym bardziej zadowolona, że niebo wieczorne, rozpostarte ponad miastem, przybierało barwę i konsystencję ciemnogramatowego metalu, rozgrzanego na krawędzi i rozplamionego się z wolna w ciężki szkarłat.

Boję się silnych wichrów; burza wymaga wysiłku i wzmożonej zdolności opierania się jej, czemu z wielką trudnością jedynie potrafię podołać. Ulewa jednak i zawieja śnieżna czy nagły spadek temperatury nie wymagają niczego poza biernym poddaniem się im, poza wystawieniem ubrania i własnej osoby na doszczętne prze-

247

moknięcie czy przemarznięcie. W zamian zmiatają ulewne deszcze i obmywają w oczach naszych jezdnie i chodniki ulic stołecznych, umożliwiając tym samym swobodne chodzenie po ich wygodnych wspaniałych flizach i brukach; powodują, niby magia Wschodu, skamienienie i zamarcie tętniącego życiem miasta; przeistaczają stolicę taką jak Villette w Tadmor chociażby. Niech więc deszcz leje jak z cebra, niech strumienie i potoki wody zalewają ulice — bylebym przedtem jeszcze pozbyła się tego koszyka z owocami.

Nieznany zegar na nieznannej wieży (byłam w tej chwili zbyt daleko od kościoła Świętego Jana Chrzyciela, abym mogła słyszeć bicie jego zegara) wybił trzeci kwadrans po piątej, kiedy wreszcie dotarłam do wskazanej mi przez Madame Beck ulicy i do domu oznaczonego trzecim numerem. Nie była to właściwie ulica, wydawała się raczej częścią skweru; była cicha i pustynna; trawa wyrastała pomiędzy szerokimi płytami kamiennymi; domy były wysokie i sprawiały wrażenie bardzo starych — na tyłach ich widoczne były szeroko rozpostarte konary drzew, pozwalając domyślać się ogrodów w głębi. Tchnęło tu wszystko starożytnością, wszelki ruch handlowy zdawał się wymieciony stąd doszczętnie. Niegdyś posiadaczami domów w tej dzielnicy byli ludzie bogaci, dostojne rody miały tu ongi swoje siedziby. Ów kościół, którego ciemne, poczerwiałe, na wpół zmurszałe wieżyczki górowały nad skwerem, był dawniej bogatą świątynią magów. Od dawna wszelako wielkość i bogactwo rozpostarły swoje złożone skrzydła i uleciały stąd, opuściwszy rodzime gniazda i pozostawiwszy je skazane na niedostatek, na chłód i pustkę, na kruszenie się i walenie w gruzy w przebiegu zim z powodu braku lokatorów, którym zależałoby na utrzymaniu domów w możliwie dobrym stanie.

Przechodząc na przełaj przez to opustoszałe miejsce, gdzie na bruku ciemniały powoli krople wielkości monety pięciofrankowej, nie dostrzegłam nigdzie żadnego znaku ani świadectwa życia, z

248

wyjątkiem ułomnego starego księdza przechodzącego obok mnie, ugiętego wpół i ciężko opartego na kiju — symbolu starości i zamierania.

Wyszedł z tego właśnie domu, ku któremu kierowałam moje Kroki, a kiedy zatrzymałam się przed drzwiami tylko co zamkniętymi za nim i pociągnęłam za dzwonek, odwrócił się, aby na mnie spojrzeć. Nie oderwał też rychło oczu od mojej osoby: uważał może mnie i mój koszyk z owocami, a także mój brak dostojności, za całość nie pasującą do takiego środowiska.

Wiem, że gdyby na mój dzwonek otworzyła drzwi młoda, hoża, ogorzała bonne — służąca — uważałabym tego rodzaju typ za bardzo mało harmonizujący z otoczeniem, kiedy wszakże stanęłam oko w oko z bardzo starą, zgrzybiałą kobietą w odwiecznym stroju chłopskim, w czepku równie ohydny jak kosztownym, z długimi powiewającymi tasiemkami z koronki miejscowego wyrobu, w sukiennej spódnicy i kaftanie, w sabotach, bardziej przypominających czółna niż obuwie, wydało mi się to zupełnie w porządku i podzielało prawdziwie kojąco swoim charakterem i stylowością.

Wyraz jej twarzy natomiast nie był taki uspokajający, jak krój i rodzaj jej stroju — rzadko zdarzało mi się widzieć kogoś równie wrogiego. Na moje zapytanie o Madame Walravens bąknęła półgębkiem jakąś niezrozumiałą odpowiedź; jestem pewna, że wyrwałaby mi przemocą z ręki koszyk owoców, gdyby nie przeszkodził jej w tym stary ksiądz, który przydreptał w ślad za nią, aby osobiście wysłuchać, z czym przychodzę.

Jego głuchota utrudniła mi wyjaśnienie mu, że muszę widzieć się z samą Madame Walravens i oddać przysłane owoce do jej własnych rąk. W końcu jednak zrozumiał, że otrzymałam takie polecenie, jest więc moim obowiązkiem wykonać je skrupulatnie. Zwróciwszy się do starej bonne, nie po francusku jednak, ale w miejscowym narzeczu labassecouryjskim, przekonał ją wreszcie, że musi pozwolić mi przekroczyć niegościnnie próg, po czym osobiście

249
wskazał mi drogę na piętro, gdzie zostałam wprowadzona do salonu i pozostawiona w nim zupełnie sama.

Pokój był obszerny i miał piękny staroświecki sufit z kolorowego szkła; był jednak zaniedbany i w cieniu nadchodzącej burzy sprawiał wrażenie dziwnie, przytłaczająco niskiego. Drzwi w głębi były otwarte i prowadziły do mniejszego pokoju, w którym jedyne okno było zasłonięte okiennicą. W panującym tu półmroku zaledwie mogłam rozróżnić zarysy mebli. Z braku innego zajęcia urządziłam sobie zabawę z wpatrywania się w nie i odgadywania, czym one właściwie mogły być. Uwagę moją przykuł zwłaszcza wiszący na ścianie obraz.

Po chwili zauważyłam, że coś się z nim dzieje: ku mojemu osłupieniu zadygotał, opuścił się w dół, po czym odsunął się i zniknął. Jego zniknięcie pozostawiło wolny otwór sklepionego korytarza z tajemniczo krętymi schodami. Zarówno korytarz, jak schody były kamienne, nie pokryte żadnym chodnikiem ani dywanem i nie malowane. Na schodach tych, sprawiających wrażenie więziennych, rozległ się stuk — tap, tap — jak gdyby obijanego o stopnie kija; niebawem padł na te stopnie cień i wreszcie zdałam sobie sprawę z obecności jakiejś żywej, materialnej istoty.

Czy jednak ta zbliżająca się ku mnie postać była w istocie stworem z ciała i kości? Czy owo coś, częściowo zaciemniające łukowaty otwór, było naprawdę żywą materią?

Dziwna postać podeszła bliżej, dzięki czemu mogłam przyjrzeć się jej dokładnie. Zaczęłam rozumieć, gdzie się znajduje. Niedawno bodaj nosił ten stary plac nazwę dzielnicy Magów, a trzy górujące nad nim wieże miały za ojców chrzestnych trzech mitycznych mędrców dawno zamarłego, zamierzchłego okresu. Otaczała mnie tutaj na każdym kroku patyna starości i czar tajemnicy legendarnej — otwarła się przede mną kraina duchów. Ten pokój, przypominający celę klasztorną, ten niknący nagle obraz, to sklepienie i to wąskie przejście, te schody kamienne — wszystko to było częścią

250

składową zaczarowanej krainy. Wyraźniej jeszcze, aniżeli wszystkie te szczegóły sceniczne, odcinała się główna postać: Kunegunda, czarownica! Malewoła — zła wróżka. Jak wyglądała? Mogła mierzyć trzy stopy wysokości, nic miała jednak wyraźnych kształtów; jej chude ręce — właściwie obciągnięte skórą cienkie kości — złożone jedna na drugiej, przyciskały złotą gałkę czegoś w rodzaju laski z kości słoniowej. Jej twarz była szeroka, osadzona nie na barkach, ale przed piersią; zdawała się być pozbawiona szyi; mogłabym powiedzieć, że rysy jej sprawiały wrażenie rysów stuletniej staruszki, a oczy istoty może jeszcze bardziej zgrzybiałej. Złe, niezyczliwe oczy, patrzące ponuro spod krzaczastych siwych brwi i przejrzysty -h nieomal, bezbarwnych powiek. Jak surowo patrzyły one na mnit z rodzajem tępego, ponurego niezadowolenia!

Ta nieś imowita istota odziana była w brokatelową szatę, jask-rawobłękitnej barwy kwiatu goryczki i pokrytą atlasowymi liśćmi, tworzącymi szeroko zakreślony deseń; na suknię narzucony był kosztowny szal z wspaniałymi końcami, tak obszerny, że jego różnobarwne

frędzle zamiatały podłogę. Głównym wszakże jej strojem były klejnoty: miała długie, olśniewające świetnymi ogniami kolczyki; miała pierścionki na swoich wyschłych jak u szkieletu palcach; z przegubów jej rąk zwisały grube złote koła bransolet, usianych purpurowymi, zielonymi i krwistoczerwonymi drogimi kamieniami. Cała jej garbata, skarłowaciała, zniekształcona postać ustrojona była niczym barbarzyńska królowa.

— Que me voulez-vous? — Czego pani ode mnie chce? — zapytała szorstkim, ochryplym głosem, raczej zgrzybiałego starca aniżeli zgrzybiałej staruszki; dla dopełnienia cech męskich jeżył się na jej podbródku szczeciniasty srebrny zarost.

Wręczyłam jej koszyk z owocami i powtórzyłam przysłane jej przez Madame Beck powinszowania.

— Czy to wszystko? — zapytała.

— To wszystko — odparłam.

251

— Bardzo było warte zachodu — rzuciła szyderczo. — Proszę iść z powrotem do Madame Beck i powiedzieć jej, że sama mogę kupić sobie owoce, kiedykolwiek będzie mi ich potrzeba, etąanta ses felichations, je t'en moque — a co się tyczy jej powinszowań, kpię sobie z nich!

To rzekłszy, odwróciła się do mnie uprzejma niewiasta plecami.

W tejże chwili huknął grzmot i równocześnie nieomal błyskawica rozjarzyła oślepiającym blaskiem cały salon i przyległy buduar. Opowieść o ciemnych jakowychś czarach zdawała się stwierdzona odpowiednim akompaniamentem rozszalałych żywiołów. Przybysza, zwabionego do tych zaczarowanych komnat, ogłuszały potęgujące się z każdą chwilą ryki burzy, rozszalonej na zewnątrz.

Co miałam wobec tego wszystkiego sądzić o Madame Beck? Przyznać należy, że miała osobliwe znajomości: przesyłała dary i wyrazy hołdu pod adresem kapłanki jedynej w swoim rodzaju świątyni; złowróźbne wydawało się zachowanie tej niesamowitej istoty, dla której miała tyle względów. Z pokoju wychodziła ponura Sydo-*nia*, trzęsąca się i chwiejąca na starczych nogach, jak gdyby w ataku padaczki, postukując po mozaice posadzki swoim kosturem z kości słoniowej i nie przestając zjadliwie mamrotać.

Deszcz lał się potokami, strop nieba zwiślał nisko nad ziemią; chmury, przed chwilą jeszcze rdzawe, następnie atramentowe, teraz zbladły śmiertelnie, jak gdyby przerażone wściekłym szaleńcem żywiołu. Bez względu na moje niedawne chełpienie się, jakoby nie bała się ulewy, nie miałam odwagi wyjść na ulicę podczas podobnego potopu. W oślepiającym blasku błyskawic pioruny były raz po raz, jeden z nich padł tuż blisko: burza szalała bezpośrednio nad Villette; ulewa zdawała się osiągać szczyt swojego nasilenia; parła naprzód ukośnymi smugami; rozwidlone groty burzy przebijały poprzeczne i pionowe potoki deszczu; szkarłatne zygzaki, zblichowane natychmiast jak metal, przesywały je na wskroś. Wszyst-

252

ko to waliło się z czarnego nieba w potężnie nabrzmiałej obfitości i grozie.

Opuściwszy niegościany salon Madame Walravens, skierowałam się ku zimnej klatce schodowej; stała tam na podeście kanapka, na której usiadłam, by przeczekać burzę. Rozległo się szuranie nogami: ktoś nadchodził wzdłuż galerii tuż ponad podestem — był to stary ksiądz.

— Nie, Mademoiselle nie może siedzieć tutaj — rzekł. — Przykrość sprawiłoby naszemu dobroczyńcy, gdyby wiedział, że ktoś został potraktowany w podobny sposób w tym domu. Tak poważnie mnie prosił, abym powróciła do salonu, że nie chcąc okazać się niegrzeczna, spełniłam jego prośbę. Mniejszy pokój był lepiej umeblowany i miał bardziej mieszkalny charakter aniżeli ów większy salon; do tego mniejszego właśnie wprowadził mnie ksiądz. Rozsunąwszy częściowo okiennicę, odsłonił to, co okazało się raczej kaplicą niż buduarem,

bardzo uroczystą małą komnatą, wyglądającą tak, jak gdyby była miejscem przechowywania relikwii, a nie wygodnym pomieszczeniem dla żywych ludzi.

Zacny padre usiadł, widocznie aby dotrzymać mi towarzystwa, zamiast jednak wszcząć ze mną rozmowę, wyjął brewiarz, przywarł wzrokiem do jednej z jego kartek i zaczął szeptem odmawiać coś brzmiącego jak modlitwa. Żółte światło lampy, padające na niego z góry, złociło jego łysą czaszkę; cała postać pozostawała w cieniu — głębokim i purpurowym; siedział nieruchomo jak rzeźba i tak był pogrążony w modlitwie, że zdawał się zapominać zupełnie o mojej obecności; od czasu do czasu tylko podnosił oczy, ilekroć gwałtowniejszy, bliżej rozlegający się huk grzmotu zapowiadał bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale i wówczas nie widać było po nim strachu — raczej podziw dla potęgi żywiołu. Byłam przejęta grozą; nie podlegając wszakże wpływowi obojętnego, panicznego lęku, mogłam snuć swobodnie myśli i rozważania.

Jeśli mam wyznać prawdę, zaczęłam wyobrażać sobie, że ów

253

stary ksiądz to ojciec Silas, przed którego konfesjonałem klęczałam w kościele Béguinage. Oczywiście nie mogłam być tego pewna, widziałam bowiem mojego spowiednika w mroku i z profilu jedynie, mimo to zdawało mi się, że rozpoznaję pewne podobieństwo rysów, a także brzmienie głosu. Chciałam mu się przyjrzeć dyskretnie, ale on zdradził jednym przelotnym spojrzeniem, że czuje skierowany na siebie mój badawczy wzrok. Wobec tego odwróciłam głowę i zaczęłam rozglądać się po pokoju, który zaciekał mnie również.

Obok krzyża z rzeźbionej w niezwyklej sposób starej, mocno pożółkłej kości słoniowej, wiszącego ponad obitym ciemnopąsowym aksamitem *prieDieu* — klęcznikiem, zaopatrzonym w bogato zdobiony mszał i różaniec z hebanu — wisiał obraz, którego niewyraźne zarysy przykuły poprzednio już moją uwagę. Obraz ów, ruchomy, zapadał się w ścianę i znikał widmowo niby zjawa. Zrazu, niezdolna rozróżnić dokładnie, co przedstawiał, wzięłam go za wizerunek Madonny; przy jaśniejszym świetle okazał się on portretem kobiety w stroju mniszki. Twarz, mimo że nie odznaczała się szczególnym pięknem rysów, była pociągająca: blada, młoda i omroczone mgłą smutku czy cierpienia. Powtarzam raz jeszcze, że nie była piękna; nie zdradzała nawet wyjątkowego uduchowienia; jej powab wynikał raczej z wężkości i kruchości postaci, bierności usposobienia i nieśmiałej ustępliwości anizeli z istotnej urody, mimo to wpatrywałam się długo w ten wizerunek, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Stary ksiądz, który wydał mi się pierwotnie głuchym, niedołącznym kaleką, zachował jednak widocznie sprawność we wcale niezłym jeszcze stopniu: mimo że na pozór był pogrążony w odczytywaniu modlitw ze swojego brewiarza i nie podnosił ani na chwilę oczu od jego kart ani też nie odwracał głowy, dostrzegł widocznie punkt, na który zwrócona była moja uwaga, bowiem wolnym, przeciągłym głosem rzucił kilka urwanych, dotyczących portretu uwag:

— Była bardzo kochana...

— Oddała się Bogu...

254

— Umarła młodo...

— Wciąż jeszcze jest wielbiona, wciąż jeszcze opłakiwana...

— Przez tę wiekową damę, panią Walravens? — zapytałam wyobrażając sobie, że w bezmiernym tym smutku odnalazłam klucz do zrozumienia cierpkości zgrzybiałej niewiasty. Ale padre potrząsnął głową z półuśmiechem.

— Nie — rzekł — miłość wielkiej damy dla córki jej córki może być wielka, a ból po jej utracie żywy, lecz jedynie związany z nią ślubami narzeczony, którego los, wiara i śmierć potrójnie pozbawiły błogosławieństwa związku małżeńskiego, tak szczerze i niezmiernie opłakuje tę, którą utracił, jak wciąż jeszcze opłakiwana jest Justyna Maria.

Wydało mi się, że padre czeka tylko na moje dalsze pytania i dlatego pozwoliłam sobie zagadnąć go, kim jest ten, który utracił „Justynę Marię” i który wciąż jeszcze boleje nad jej utratą. W odpowiedzi usłyszałam nader romantyczną opowieść, podaną mi w sposób wcale obrazowy przy wtórze przycichającej już teraz burzy. Przyznać muszę, że opowiadanie brzmiałoby bardziej dramatycznie, gdyby było w nim mniej francuszczyzny, mniej sentymentalizmu a la Rousseau i mniej nazbyt wyraźnego naciągania, a w zamian więcej prostoty i niedbania o ogólny efekt. Zacny kapłan był jednak widocznie typowym Francuzem z urodzenia i wychowania (coraz bardziej przekonywało mnie jego podobieństwo do mojego spowiednika) — zarazem jednak był wiernym synem Rzymu. Kiedy podniósł oczy, spojrzał na mnie bardziej badawczo i wnikliwie, aniżeli można by posądzić o to steranego wiekiem i przeżyciami siedemdziesięcioletniego starca. Wydaje mi się jednak, że był to dobry, poczciwy staruszek.

Bohaterem opowieści był jeden z dawniejszych jego wychowanków, którego obecnie nazywał swoim dobroczyńcą i który, jak się okazuje, kochał tę bladą Justynę Marię, córkę zamożnych rodziców. Pokochał ją w czasie, kiedy jego własne widoki na przyszłość

255

usprawiedliwiały w zupełności sięganie po rękę posażnej panny. W trakcie tych konkurów ojciec wychowanka starego padre — niegdyś bogaty bankier — zbankrutował i rychło potem umarł, pozostawiając zamiast majątku długi. Synowi wzbroniono wówczas myśleć nadal o Marii; sprzeciwiła się zwłaszcza ich związkowi ta sama stara czarownica, wielka dama, którą widziałam przed chwilą, babka młodej dziewczyny, Madame Walravens. Gwałtowność jej oporu miała charakter demoniczny nieledwie, wywołany rozgoryczeniem, o jakie ją przyprawiła własna ułomność. Potulna Maria nie posiadała ani dość obłudy i zdradliwości, aby być fałszywą, ani też dość siły, aby przeciwstawić się otwarcie i dotrzymać wierności swojemu narzeczonemu. Pod presją, wywieraną na nią przez babkę, zgodziła się zerwać z nim, nie chcąc wszakże przyjąć starań następnego konkurenta, posiadacza wypchanej sakiewki, schroniła się do klasztoru i tam umarła, zanim skończył się jej nowicjat.

Nieprzemijający ból opanował, jak widać, wiernie wielbiące ją serce. Siła i prawdziwość tej miłości i tego smutku zobrazowana była przez starego padre w sposób, który szczerze wzruszył mnie podczas słuchania jego opowieści.

W kilka lat po śmierci Justyny Marii także jej rodzinę dotknęła ruina majątkowa. Ojciec jej, z zawodu jubiler, uprawiający jednak zarazem w znacznym stopniu grę giełdową, uwikłał się w jakąś fatalną aferę finansową, której wynikiem było pociągnięcie go do odpowiedzialności i skazanie na rujnującą karę. Umarł, niezdolny przeżyć utraty majątku i hańby niesławy. Jego stara garbata matka i opłakująca go, nieszczęśliwa żona pozostały bez środków do życia i zginęłyby z nędzy, gdyby nie to, że wzgardzony niegdyś przez nie, ale niezmiennie wierny naręczony Justyny Marii, dowiedziawszy się o złych warunkach materialnych obu pań, pospieszył dopomóc im ze szczególną skwapliwością i szczerym oddaniem. Zrewanżował się za ich zuchwałą pychę świadczeniem im największych dobrodziejstw, dał im dach nad głową w domu, który pozostał mu

256

jeszcze po ojcu, dbając o nie i opiekując się nimi pod każdym względem tak ofiarnie i tkliwie, że syn rodzony nie mógłby uczynić tego lepiej. Matka — na ogół kobieta dobra — umarła, błogosławiąc go; dziwaczka babka, bezbożna, wyzbyta wszelkich uczuć, nienawidząca ludzi, żyje w dalszym ciągu, całkowicie utrzymywana przez tego ofiarnego człowieka. Ona, która była zgubą jego życia, która unicestwiła wszystkie jego nadzieje, która pozbawiła go miłości i szczęścia domowego ogniska, skazując go w zamian na dożywotnią żalobę i bolesną, posępną samotność, jest teraz traktowana przez niego z szacunkiem, na jaki tylko kochający syn może zdobyć się w stosunku do najczulszej matki.

— Sprowadził ją do tego domu, w którym — dodał kapłan ze łzami w oczach — daje schronienie i mnie również, jego dawnemu duchowemu przewodnikowi i wychowawcy, a także Agnieszce, zgrzybiałej już obecnie dawnej służącej rodziny swego ojca. Wiem, że poświęca na nasze utrzymanie, a także na inne cele dobroczynne, trzy czwarte dochodu ze swojej pracy nauczycielskiej, zatrzymując jedynie czwartą część na własne najskromniejsze potrzeby: zadowala się chlebem i najbardziej prymitywnymi wygodami. Kierując w ten sposób własnym życiem, uniemożliwił sobie ożenienie się: ofiarował się Bogu i przebywającej wśród aniołów oblubienicy swojej, jak gdyby był kapłanem, jak ja. Przy tych ostatnich słowach otarł zacny podrę łyzy z oczu, które na jedną chwilę skierował na mnie. Podchwyciłam w tym spojrzeniu szczególny błysk; pomimo rozmyślnie przezornego przyćmienia zdradził nagły ten błysk znaczenie, które olśniło mnie w sposób przerażający. Dziwne istoty z tych papistów! Rzymskiego obrządku kapłan, którego znamy nie lepiej niż ostatniego ze szczepu Inkasów z Peru czy też pierwszego cesarza chińskiego — wie o nas wszystko, dokładnie poinformowany jest o wszystkim, co nas dotyczy. Ilekroć słyszymy z jego ust coś takiego, co, jak nam się wydaje, wyrwało

257

się z nich zupełnie przypadkowo, pod wpływem nagłego impulsu, było w rzeczywistości powiedziane po dojrzałej rozwadze, z powodów jemu samemu jedynie wiadomych. Z góry uplanował sobie zniewolenie cię, abyś stawiała się tego a tego dnia, na takie a takie miejsce, w takich a takich okolicznościach, gdy ty tymczasem wyobrażałaś sobie, że stało się to jedynie wskutek szczególnego trafu, wyjątkowego zbiegu okoliczności czy też było wynikiem nieuniknionej konieczności. Nagłe przypomnienie sobie przez Madame Beck o obowiązku przesłania powinszowań i prezentu, wysłanie mnie przez nią na Rue des Mages, rzekomo przypadkowe wyjście starego księdza z domu i przechodzenie jego na przełaj przez plac w momencie, gdy ja się tam znalazłam, jego stanięcie w mojej obronie wobec nieprzystępności starej służącej, która nie chciała mnie wpuścić, ponowne jego ukazanie się na klatce schodowej, wprowadzenie mnie do tego pokoju, portret, opowiadanie i wyznanie, uczynione tak ochoczo w stosunku do osoby zupełnie mu obcej — wszystkie te drobne wydarzenia, rozpatrywane każde z osobna, w miarę jak następowały po sobie, zdawały się, ot, zwyczajnie garścią luźnych paciorków; nanizane wszelako łącznie nagłym owym błyskiem oka jezuita, utworzyły jeden długi sznurek, niby ów różaniec n&prie Dieu. Gdzie szukać klamry, spinającej ten mnisi różaniec? Dostrzegłam, a bodaj tylko wyczułam łączność, nie byłam jednak zdolna znaleźć miejsca ani też wykryć sposobu połączenia. Możliwe, że zaduma, w jaką wpadłam, rozmyślając nad tym zagadnieniem, wydała się nieco podejrzana swoim oderwaniem od otaczającej mnie rzeczywistości, po chwili bowiem wyrwał mnie z niej padre łagodnie.

— Mademoiselle — zapytał — mam nadzieję, że nie będzie pani zmuszona iść daleko przez te zalane powodzią ulice?

— Z górą pół mili dzieli mnie od domu.

— Mieszka pani...?

258

— Przy Rue Fossette.

— Chyba nie — dodał z nagłym ożywieniem — na pensji Madame Beck?

— Tam właśnie.

— Donc — rzekł, klasnąwszy w dłonie — donc vous devez connaitre mon noble eleve, monsieur Paul?!

— Czy Monsieur Paula Emanuela, profesora literatury?

— Tak, jego i nikogo innego.

Zapadła krótka chwila milczenia. Sprężyna łączącego zamka wydała mi się nagle wyczuwalna: doznałam wyraźnego wrażenia, że ustępuje on pod naciskiem.

— Zatem owym dobroczyńcą, o którym pan mówił, jest Monsieur Paul? — wykrztusiłam z siebie wreszcie. — Czy to on jest pańskim wychowankiem i dobroczyńcą Madame Walravens?

— Tak, i Agnieszki także, starej służącej. A nadto — podkreślił ze szczególnym naciskiem — był i jest wiernym, stałym i niezmiennym oblubieńcem owej świętej w niebie: Justyny Marii. — A kim pan jest, ojczy? — dodałam i chociaż zaakcentowałam mocniej to pytanie, stało się już ono właściwie zbędne: byłam z góry najzupełniej przygotowana na odpowiedź, jaką w istocie otrzymałam.

— Ja, moja córko, jestem ojcem Silasem, niegodnym synem Świętego Kościoła, spowiednikiem, którego zaszczycałaś niegdyś szlachetnym i wzruszającym zwierzeniem, odsłaniającym najgłębszą tajemnicę serca, wewnętrzny ołtarz ducha. Kierowaniem tym duchem, jeśli mam wyznać prawdę, zająłbym się chętnie na chwałę jedynej prawdziwej wiary. Nie spuściłem cię już od tego dnia ani na chwilę z oczu, ani na godzinę nie przestałem interesować się tobą. Wyćwiczony w dyscyplinie Rzymu, urobiony przez jego wzniosłe

1 Zatem winna pani znać mojego szlachetnego wychowanka, pana Paula?

259

wyszkolenie, mając wszczepione w siebie zbawcze jego nauki, natchniony gorliwością, do jakiej on jeden tylko zdolny jest urobić — zdaję sobie sprawę z duchowego twojego poziomu, z istotnej twojej wartości, zazdroszczę też herezji jej zdobyczy.

Słowa jego uderzyły mnie, ujawniając osobliwy stan rzeczy — ■ byłam bliska wyobrażenia sobie własnej osoby w takich samych warunkach: wyćwiczonej w surowej dyscyplinie, urabianej odpowiednio, mającej wszczepiane w krew osobliwe doktryny i tym podobne. Nie, nie byłoby to możliwe — pomyślałam, nie byłam jednak zdolna potępić, siedziałam też w dalszym ciągu dość spokojnie.

— Przypuszczam, że Monsieur Paul nie mieszka tutaj? — zapytałam, powracając do poprzedniego tematu, którego poruszenie uważałam za bardziej celowe, aniżeli snucie bezsensownych przypuszczeń.

— Nie, przychodzi tu tylko od czasu do czasu składać hołd na ołtarzu swojej wielbionej świętej, wypowiadać się przede mną i odwiedzać tę, którą z niezmiennym szacunkiem nazywa matką. Jego własne mieszkanie składa się tylko z dwóch pokojów, nie trzyma służącej, nie chce jednak pozwolić, aby Madame Walravens wyzbyła się wspaniałych klejnotów, w jakie widziałaś ją ustrojona, córko moja, i jakimi pyszni się po dziecięcemu, widząc w nich ozdoby z czasów swojej młodości i ostatnie resztki wielkiego niegdyś majątku swojego syna, jubilera.

Jak często — szepnęłam sama do siebie — zdawał się ten człowiek, ten Monsieur Emanuel, grzeszyć brakiem wspaniałomyślności w drobiazgach, a jak wzniosły i szczodry jest w rzeczach wielkich.

Przyznaję, że nie zaliczałam do dowodów jego wielkości ani ponawianego wciąż aktu spowiedzi, ani też wielbienia świętej.

— Jak dawno ona umarła? — zagadnęłam, patrząc na portret Justyny Marii.

260

— Przed dwudziestu laty. Była nieco starsza od Monsieur Emanuela, bardzo młodego jeszcze w owym czasie, teraz bowiem ledwie przekroczył czterdziestkę.

— Czy wciąż jeszcze ją oplakuje?

— W głębi serca będzie ją zawsze oplakiwał: istotą natury Emanuela jest wierność. Powiedział to ze szczególnym naciskiem.

Blade, jak gdyby rozwodnione słońce przedarło się nareszcie przez chmury, wciąż jednak jeszcze padał deszcz, burza jedynie przycichła już: rozprażony firmament rozszczepił się i wyrzucił z siebie wszystkie swoje błyskawice. Musiałam już iść, żeby zdążyć z powrotem

przed zmierzchem. Wstałam więc, podziękowałam u-przejmie padre za jego gościnność i za informacje, na co otrzymałam w odpowiedzi dobrotliwe pax vobiscum, które przyjął z wdzięcznością. Wydało mi się, że wypowiedział je ze szczerą przyjaźnią. Mniej natomiast przypadło mi do gustu sybilińskie zdanie, jakie towarzyszyło temu pobożnemu życzeniu: — Córko moja, będziesz tym, czym być powinnaś! — Wzruszyłam tylko ramionami na tę przepowiednię, rada, że mogłam zrobić to bezpiecznie, znalazłszy się wreszcie za drzwiami. Niewielu z nas wie z całą pewnością, w jakim kierunku poprowadzą go drogi, mimo wszystko wszakże, co wydarzyło się do owego czasu w moim życiu, mogłam mieć uzasadnioną nadzieję, że będę żyła w dalszym ciągu i umrę jako trzeźwo myśląca protestantka: pustka wewnętrzna i gloria, otaczająca „Święty Kościół” na zewnątrz, pociągała mnie nader umiarkowanie. Skierowałam się w drogę powrotną, rozmyślając o wielu rzeczach. Niezależnie od tego — rozważałam — czym może być sam papizm, nie ulega wątpliwości, że istnieją prawdziwie dobrzy i zacni papiści, a ten człowiek, Monsieur Emanuel, zdaje się należeć do najlepszych spośród nich. Niewolny od przesądów, pozostający pod wpływem kleru, ale jakże godny podziwu za swoją wzruszającą wierność w miłości, za szczerą pobożność, za ofiarności

261

swoją, za bezgraniczne miłosierdzie, jakie uprawiał. Należało tylko jeszcze przekonać się, w jaki sposób — za pośrednictwem podwładnych mu czynników — ustosunkowuje się Rzym do podobnych cnót: czy umie on ocenić je ze względu na nie same i na ich zboż-ność, czy też wykorzystuje je, ciągnie z nich zyski na rzecz własnych tylko interesów!

Rozmyślając tak, dostałam się na Rue Fossette już o zachodzie słońca. Goton życzliwie pozostawiła mi moją porcję obiadową, na którą miałam już wielką ochotę. Zawołała mnie na posiłek do małego gabinetu, gdzie niebawem zjawiała się Madame Beck, przynosząc mi własnoręcznie kieliszek wina.

— I cóż—zaczęła chichotliwie —jak przyjęła panią Madame Walravens? Elle est drôle, n'est-cepas?¹

Opowiedziałam jej, jak spełniłam poruczoną mi przez nią misję, powtórzywszy dosłownie otrzymaną odpowiedź i polecenie, jakim zostałam obarczona.

— Oh, la singuliere petite bossue! — roześmiała się. — Et figurez-vous, qu'elle me d'écoute, parcequ'elle me croit amoureuse do mon cousin Paul; cepetit devot, qui n'osepas bouger, a moins que son confesseur ne lui donne sa permission. —Au restel — dodała — gdyby naprawdę tak bardzo chciał poślubić kogoś — soit moi, soit une autre² — nie mógłby tego zrobić; ma już i tak zbyt liczną rodzinę na swoich barkach: Merę Walravens, ojca Silasa, jejmościankę Agnieszkę i cały jeszcze zastęp bezimiennych biedaków. Nie istniał nigdy chyba człowiek podobny do niego w obarczaniu się ciężarami większymi, aniżeli zdoła udźwignąć, w dobro-

1 Śmieszna jest, prawda?

2 O, dziwaczna mała garbuska! I niech pani sobie wyobrazi, że mnie nienawidzi, bo wyobraża sobie, że jestem zakochana w moim kuzynie Pawle, w tym małym bigocie, który nie śmie poruszyć się, jeśli nie da mu na to pozwolenia jego spowiednik (...) zarówno mnie, jak każdą inną.

262

wolnym braniu na siebie zbędnej zgołą odpowiedzialności. Poza tym nie rozstaje się wciąż jeszcze z romantyczną mrzonką o pewnej bladolicyj Marii Justynie — personnage assez niais a ce que je pense¹ — dodała lekceważąco — o istocie, która pełni od dwudziestu już lat funkcję anioła w niebie. Z aniołem tym zamierza on połączyć się, wolny od wszelkich więzów, czysty comme un lis a ce qu'il di². O, uśmiecha się pani; gdyby pani mogła poznać połowę bodaj dziwactw i przesądów Monsieur Emanuela! Przeszkadzam jednak pani, ma bonne Mbs, na pewno jest pani bardzo głodna. Proszę, niech pani zje na zdrowie swoją

wieczerzę, napije się wina, oubliez les anges, les bossues, et surtout les Professeurs —et bon-soir?

>

- 1 Osobistość dość ograniczona, jak sędzę.
- 2 Jak lilia, wedle własnych jego słów.
- 3 Niech pani zapomni o aniołach, o garbuskach, a nade wszystko o profesorach — i dobranoc!

Rozdział XV

Braterstwo

„Oubliez lesProfesseurs!” — tak powiedziała Madame Beck. Madame Beck, jako kobieta prawdziwie mądra, nie powinna była wypowiedzieć tych słów. Zrobiła duży błąd. Tego wieczoru należało pozostawić mnie w spokoju, a nie podniecać, pozostawić mnie obojętną, nie zainteresowaną. Skoro miałam o nim zapomnieć, to zarówno w mojej świadomości, jak i w opinii innych nie powinna mnie z nim łączyć nawet jedna myśl.

Zapomnieć o nim? O, ukartowali przemyślny plan, aby mnie zmusić do zapomnienia o nim — mądre głowy! Pokazali mi, jaki jest dobry; uczynili w moim pojęciu z kochanego małego człowieczka bohatera bez skazy. A potem wyszydili jego sposób kochania, jego nerwowość. Jaką miałam do owego dnia możliwość ocenienia, czy potrafi on w ogóle kochać, czy też nie jest zdolny wcale do głębszych uczuć?

Poznałam jego zazdrość, podejrzliwość, dostrzegłam w nim ukrytą tkliwość, nagle przebłyski humoru, pewną miękkość, która promieniowała z niego chwilami, niby tchnienie ciepłego wiosennego powietrza, okrucieństwo współczucia, które zanikało i rozwiewało się jak rosa poranna, wysychająca w żarze jego łatwych podrażnień — to było wszystko, co zdołałam dostrzec w nim. A oto oni, ojciec Silas i Modesta Maria Beck (nie wątpiłam, że oboje działali w zмовie) otworzyli przede mną najtajniejsze skrytki jego serca, ukazali mi w nim jedną wielką miłość, zrodzoną w dniach młodości tego południowca, tak silną i nieskazitelną, że urągała nawet śmierci, zdolnej porazić jedynie materię i uniemożliwić zetknięcie z nią, zmuszonej wszelako pozostawić mu ducha nieśmiertelnego, któremu dochował wierności, czuwając zwycięsko nad mogiłą w ciągu dwudziestu lat.

264

Nie było to zrobione nadaremnie; nie było też jedynie bezcelowym i bezpłodnym uleganiem porywowi uczucia; dowiódł wierności poświęceniem największych starań i najlepszych swoich możliwości na rzecz celów nieegoistycznych, zaświadczył ją bezgraniczną ofiarnością. Poświęcał się dla tych, którzy byli drodzy niegdyś jego ukochanej, nie myślał o zemście i dźwignął dobrowolnie ciężki krzyż.

Co się tyczy Marii Justyny, znałam ją tak dobrze i tak dobrze wiedziałam, kim była, jak gdybym poznała ją osobiście. Wiedziałam, że była bogata — tak wiele było na pensji Madame Beck dziewcząt do niej podobnych: flegmatycznych, bladych, pozbawionych wszelkiej inicjatywy, ale poczciwego serca, niezdolnych do popełnienia zła, zarazem jednak nie umiejących wznieść się na wyżyny dobra.

Jeśli miała skrzydła anielskie, wiem, czyja wyobraźnia ustroiła ją w nie. Jeśli czoło jej opromieniała świetlana aureola, wiem, w czyich oczach zrodziła się ta gloria świętego płomienia.

Miałabym ulęknąć się Justyny Marii? Czyżby obraz bladej, zmarłej mniszki miał wznieść zaporę nie do obalenia? Cóż przeszkadzały mi uczynki miłosierne, pochłaniające ziemskie jego dobra? Co obchodzić mnie mogły śluby, jakie złożyło jego serce?

O, Madame Beck, o, ojczyźnie Silasie, błędem było z waszej strony podsuniecie mi tego rodzaju zagadnień. Były one zarazem najgłębszą zagadką, najsilniejszą przeszkodą i najostrzejszym biczem podniety, jakim zacięto mnie kiedykolwiek. W ciągu tygodnia zasypiałam i budziłam się, roztrząsając w myśli nieustannie te sprawy. Na całym świecie nie było jednak dla mnie odpowiedzi na nie, z wyjątkiem miejsca, na którym stał czy siedział, chodził czy wygłaszał przemówienia mały smagły człowiek, którego głowę okrywał bandycki bonnet grec, a ciało marny, wyplamiony atramentem i poszarzały od kurzu surdut.

Po owej bytności na Rue des Mages pragnęłam widywać go

265

jak najczęściej. Czułam, że wiedząc o tym, o czym już wiedziałam, potrafię z łatwością odczytywać z jego zachowania rzeczy bardziej interesujące mnie w nim teraz niż kiedykolwiek: chciałam w nim odnaleźć ową naiwną pobożność i na wpół heroiczną, na wpół świątobliwą rycerskość, którą opowieść jezuita przypisała jego naturze. Stał się moim bohaterem chrześcijaństwa i w tym właśnie charakterze pragnęłam go widzieć.

Sposobność po temu niedługo dała mi czekać na siebie: moim nowym wrażeniom sądzone było przejść zaraz nazajutrz przez decydującą próbę. Tak. Los udzielił mi możliwości dokonania wywiadu z moim „bohaterem chrystianizmu”, wywiadu niezbyt heroicznego ani sentymentalnego, ani biblijnego nawet, dość żywego wszelako w swoim rodzaju.

Okolo trzeciej po południu, kiedy cisza w pierwszej klasie zapewniona była nienaruszalnie, jak się zdawało, pod pogodnym okiem Madame Beck, która prowadziła jeden ze zwykłych swoich pożytecznych wykładów — cisza ta została nagle zakłócona gwałtownym wtargnięciem znanej mi rozwiewającej się, bandyckiej peleryny.

Nikt w tym momencie nie czuł się spokojniejszy ode mnie. Uwolniona od odpowiedzialności dzięki obecnej na miejscu Madame Beck, pogodnie nastrojona jednostajnym brzmieniem jej głosu, zadowolona i zbudowana jasnością i przejrzystością jej wykładu (umiała w istocie dobrze wykladać), siedziałam pochylona nad moim biurkiem rysując, to znaczy kopiując kunsztownie wypracowany, złożony z drobnych kresek wzór. Naśladowałam go mozolnie w najdrobniejszych szczegółach — na tym w owym czasie streszczało się moje pojęcie o oddawaniu się sztuce. Wydać się to może dziwne, znajdowałam jednak nadzwyczajną przyjemność w tej pracy, polegającej na produkowaniu wiernych naśladownictw stalorytów i miedziorytów — rzeczy takiej samej mniej więcej wartości, jak tyle rozmaitego rodzaju

kanwo-

266

wych ręcznych robótek, które wówczas uważałam nieomal za arcydzieła.

Co się nagle stało? Mój rysunek, moje ołówki, mój cenny wzór — zmięte i pochwycone w garść, znikły mi sprzed oczu; ja sama, energicznie potrząśnięta, zerwana zostałam z krzesła, jak pojedyncza przywiedła gałka muszkatołowa wrywana bywa przez rozzłoszczoną kucharkę z pudełka na korzenie. Krzesło i pulpit, porwane przez właściciela bandyckiej peleryny i wsunięte każde pod jedną pachę, uniesione zostały daleko; w następnej sekundzie poszłam i ja w ślad za tymi sztukami umeblowania; po dwóch minutach one i ja zostałyśmy umieszczone pośrodku grandę salle — obszernego sąsiedniego pokoju, rzadko używanego, chyba tylko na tańce oraz na lekcje śpiewu chóralnego — i to w sposób tak władczy, że zdawał on się nie dopuszczać cienia nadziei, aby wolno nam było ruszyć się stąd kiedykolwiek.

Kiedy wreszcie częściowo przynajmniej oprzytomniałam z mojego oszołomienia niesłychaną nagłością całej tej sceny, ujrzałam przed sobą dwóch mężczyzn — przypuszczam, że powinnam nazwać ich raczej panami — jednego smagłego, drugiego jasnowłosego i o jasnej cerze. Pierwszy, dziwnie sztywny, w szamerowanym ubraniu, wyglądał jak wojskowy, drugi zaś zdradzał zachowaniem i odzieniem należenie do klasy studiujących sztukę: obaj mogli imponować wspaniałością wąsów, bokobrodów i cesarskiej muszki na podbródku.

Monsieur Emanuel stał nieco z dala od nich; wygląd jego, oczy zwłaszcza, ujawniały stan gwałtownego podniecenia. Wyciągnął rękę zwykłym swoim gestem trybuna ludowego i oznajmił:

— Mademoiselle, musi pani udowodnić tym panom, że nie jestem kłamcą. Ma pani odpowiadać, najtrafniej jak pani potrafi, na wszystkie pytania, które zechcą pani zadać. Będzie pani także pisała na temat dowolnie przez nich obrany. Mają mnie, jak się okazuje, za oszusta, wyzbytego wszelkich zasad moralnych. Jestem oskarżony

267

o pisywanie szkiców, które z rozmyślnym fałszowaniem prawdy podpisuję nazwiskiem moich uczennic, chełpiąc się tymi elaboratami jako samodzielną ich pracą. Pani rzeczą będzie wykazać i udowodnić niesłuszność tego oskarżenia.

Grand Ciel! — Wielkie nieba! — Znalazłam się więc wobec tak wytrwale przeze mnie unikanej konieczności publicznego popisu, która spadła teraz na mnie nagle niczym burza gradowa. Ci dwaj eleganccy, wyszamerowani, wąsaci jegomości nie byli nikim innym, tylko dwoma eleganckimi profesorami kolegium — Messieurs Boissec i Rochemorte — parą zimnych fanfaronów, pedantycznych, sceptycznie usposobionych szyderców. Jak się okazało, Monsieur Paul wystawił nieopatrznie na pokaz coś z rzeczy napisanych przeze mnie, z rzeczy, których nie pochwalił nigdy i o których nie wspomniał ani jednym słówkiem w mojej obecności, sądziłam więc, że zupełnie o nich zapomniał. Szkic ten nie wyróżniał się bynajmniej niczym szczególnym; może tylko wydawał się wyróżniający w porównaniu z przeciętnymi tego rodzaju produkcjami uczennic szkół dla cudzoziemek. W szkole angielskiej przeszedłby bez zwrócenia na siebie szczególnej uwagi. Messieurs Boissec i Rochemorte uważali jednak za właściwe zakwestionować autentyczność tego szkicu, pomawiając tym samym profesora o rozmyślny podstęp, o oszustwo. Otóż zadaniem moim było teraz dowieść prawdy, tym samym być poddaną torturze publicznego wyegzaminowania mnie przez tych panów.

Rozegrała się pamiętna scena.

Rozpoczęli od klasyków. Śmiertelna pustka. Spróbowali z kolei przejść do historii Francji. Zaledwie zdolna byłam odróżnić Mero-winga od Faramunda. Wypróbowywali moją wiedzę w najrozmaitszych dziedzinach, nie otrzymując w odpowiedzi nic poza bezradnym potrząśnięciem głową wraz z niezmiennym: je n'en sais rien — nic mi o tym nie wiadomo.

Po wymownej pauzie spróbowali przejść do spraw związanych

268

z pojęciami ogólnymi, poruszywszy kilka tematów, które znałam bardzo dobrze i nad którymi często rozmyślałam. Monsieur Emanuel, który stał dotychczas ponury niczym przesilenie zimowe, rozpogodził się nieco. Przypuszczał, że teraz wreszcie dowiodę, iż nie jestem zupełną kretynką.

Rychło się miał przekonać, w jak wielkim jest błędzie. Mimo że odpowiedzi na zadawane mi pytania budziły się w moim umyśle szybko, wypełniając go niby tryskające z głębi źródło, nie potrafiłam jednak ująć ich w formę słowną. Nie wiem, czy nie mogłam, czy też nie chciałam przemówić: myślę, że winne temu były po części moje rozklekotane nerwy, po części zaś zirytowanie tym egzaminem, który wprawił mnie w zły humor.

Usłyszałam, jak jeden z egzaminatorów — ów z szamerowaniem — szepnął do swojego kolegi: — Est-elle donc idiote ? — Czy jest idiotką?

Tak — pomyślałam — jest i będzie zawsze idiotką dla takich jak wy obaj. Cierpiałam — cierpiałam okrutnie; dostrzegłam pot występujący kroplami na czole Monsieur Paula, gdy ciskał mi spojrzenia wściekle, a zarazem pełne bolesnego wyrzutu. Nie chciał wierzyć, że zupełnie brak mi rozumu, był pewien, że mogłabym zdobyć się na więcej sprytu, gdybym tylko chciała.

Wreszcie, pragnąc uwolnić od tej bezpłodnej ręki obu profesorów, Monsieur Paula i siebie samą, wyjąkałam:

— Pozwólcie mi panowie odejść, i tak nic ze mnie nie wydobędziecie. Sami przecież uznaliście, że jestem idiotką.

Żałuję, że nie mogłam zachować spokoju i godności, kiedy to mówiłam, a raczej żałuję, że rozsądek nie zmusił mnie do trzymania języka za zębami: zdrajca ten potykał się skołowaciały. Dostrzegłszy triumfalne spojrzenia, rzucone przez obu panów na Monsieur Paula, usłyszawszy drzenie mojego własnego głosu, wybuchnęłam zapierającym mi oddech łkaniem. Płakałam raczej ze złości niż ze zmar-

269

twienia. Gdybym była mężczyzną i miała dość sił, zdolna byłabym od razu na miejscu wyzwać obu na pojedynek. Wstrząśnięta do głębi, za żadną cenę nie dopuściłabym do okazania mojego wzruszenia.

O, nieudolni! Powinni byli przecież na pierwszy rzut oka poznać surowy, niezdarny styl nowicjuszek w tym opracowaniu, które nazwali fałszerstwem. Temat był klasyczny. Kiedy Monsieur Paul podyktował fragment, który miał posłużyć za podstawę opracowania, usłyszałam o tym temacie po raz pierwszy w życiu. Przedmiot był dla mnie zupełnie nowy, brakło mi więc materiału, na którym mogłabym się oprzeć. Poszukałam jednak odpowiednich książek, z których zaczerpnęłam niezbędne fakty, z wysiłkiem ułożyłam plan wypracowania, po czym dopiero przybrałam go w szatę zewnętrzną i spróbowałam tchnąć w niego życie, co sprawiło mi najwięcej przyjemności. Dopóki jednak podstawowe fakty nie zostały odszukane, dobrane i we właściwy sposób skojarzone, przeszłam okres nader trudny i pełen wielkiego niepokój u. Nie zazałam też spoczynku i nie dałam za wygraną, dopóki mnie samej nie zadowoliła dokładność i ścisłość dokonanej analizy. Siła wrodzonego wstrętu do wszelkich braków i niedociągnięć, a nade wszystko do popełniania fałszów, umożliwia mi czasem unikanie grubych, zasadniczych błędów. Brak mi było jednak prawdziwej wiedzy, gotowych sądów i wniosków. Nie była to wiedza posiana wiosną; nie wyrosła w lecie, nie dojrzała i nie została zebrana jesienią i przechowana bezpiecznie na zimę. Czegokolwiek było mi potrzeba, musiałam wyruszać na zebranie pełnych naręczy zielonej niedojrzałej jeszcze trawy, którą w tym surowym stanie zmuszona byłam kłaść do garnka. Ale Messieurs Boissec i Rochemorte nie umieli tego dostrzec. Popełnili błąd kapitalny, biorąc wykoncypowaną przeze mnie w ten sposób, niedojrzałą pracę za dzieło dojrzałego umysłu, za pracę uczzonego.

Nie pozwolili mi jednak jeszcze odejść: kazali mi usiąść i pisać

270

w ich obecności. Kiedy trzęsącą się ręką zanurzyłam pióro w atramencie i na wpół oślepiionymi wilgocią oczami przyjrzałam się białej ćwiartce papieru, jeden z moich sędziów zaczął przesadnie usprawiedliwiać się za takie dręczenie mnie:

— Nous agissons dans l'interet de la verite. Nous ne voulons pas vous blesser! — rzekł.

Pogarda dodała mi odwagi. Za całą odpowiedź rzuciłam tylko:

— Niech pan mi dyktuje, Monsieur.

Rochemorte podyktował temat: „Ludzka sprawiedliwość”.

„Ludzka sprawiedliwość"! Co miałam o tym napisać? Zimna, czcza abstrakcja, nie nasuwająca mi ani jednej twórczej myśli! Miałam jednak przed sobą Monsieur Emanuela, smutnego jak Saul i ponurego jak Hiob, a obok niego triumfujących oskarżycieli.

Przyjrzałam się im obu. Zbierałam się już na odwagę, by im oświadczyć, że nie mam zamiaru napisać ani powiedzieć ani jednego słowa więcej, aby uczynić im zadość, gdyż nie odpowiada mi dany przez nich temat, a ich obecność nie daje mi natchnienia do pracy. Pomimo to, ktokolwiek poważy się wystąpić z cieniem zwątpienia o nieskazitelności honoru profesora Emanuela, znieważa prawdę, której mianuje się głosi-cielem. Chciałam właśnie powiedzieć to wszystko, kiedy nagle błyskawica rozświetliła mroczne zakamarki mojej pamięci.

Te dwie twarze, spoglądające na mnie spośród gąszcza długich włosów, wąsów i bokobrodów — zimne, a równocześnie tak zuchwałe, nie wzbudzające ufności, mimo to pewne siebie, aroganckie — były to te same twarze, na które padło niegdyś światło ulicznej latarni w momencie ich wynurzenia się spoza kolumny portyku i które śmiertelnie przeraziły mnie pierwszego wieczoru po smutnym, beznadziejnym, jak mi się wydało, przybyciu moim do Villette. Byłam teraz pewna, że to oni byli owymi bohaterami, którzy zmusili

1 Działamy w interesie prawdy. Nie chcemy pani ranić.

271

samotną cudzoziemkę do uciekania przed nimi bez tchu przez nieznaną dzielnicę obcego miasta.

Obłudni kłamcy! — pomyślałam. — Piękni z was przewodnicy młodzieży! Gdyby „sprawiedliwość ludzka” była w samej rzeczy tym, czym być powinna, nie utrzymywalibyście się bodaj na zajmowanych przez was stanowiskach ani też nie cieszylibyście się uznaniem, na które nie zasłużyliście.

Wpadłszy szczęśliwie na pomysł, zabrałam się gorliwie do pracy... „Sprawiedliwość ludzka”. W moich oczach te słowa przybrały nową postać czerwonej jędry, podpartej pod boki grubymi rękami. Widziałam ją w jej domu, jak odmawiała rady i pomocy służbie, która ich u niej szukała; jak nie zwracała uwagi na żebraków, ginących z głodu i daremnie czekających przed jej drzwiami na jałmużnę; mrowie dziatwy, chorej i swarliwej, plątało się dokoła jej nóg, błagając z wrzaskliwym zawołaniem o zmiłowanie, o udzielenie opieki lekarskiej, o możliwy przydziewek, o naprawienie wyrządzonych krzywd. Zaczynała dbać o nic podobnego. Zajęła wyłącznie na własny użytek ciepłe miejsce przy kominku, rozkoszowała się pykaniem z krótkiej czarnej fajeczki i pociąganiem z butelki kojącego syropu pani Sweeny; paliła, popijała i zażywała w pełni tego raj, ilekroć zaś okrzyk cierpienia i bólu udręczonych dusz odzywał się zbyt donośnym echem w jej uszach — dziarska dama chwyciła pogrzebacz, porażając nim śmiałka, o ile okazywał się słaby; o ile zaś był silny i gwałtowny, straszyla go tylko, po czym zanurzała rękę w głębokie swoje sakwy i rzucała mu na odczepnego garść najdrobniejszej, prawie bezwartościowej monety.

Taka była mniej więcej notatka na temat „sprawiedliwości ludzkiej”, nagryzmołona przeze mnie pospiesznie i przedstawiona na użytek panów Boissec i Rochemorte. Monsieur Emanuel odczytał ją, pochylony nade mną. Nie czekając na niczyje komentarze, złożyłam niski ukłon przed całą trójką i wycofałam się co rychlej z pokoju.

272

ro uKonczeniu zajęć szicoiny nycn tego anią spotkałam Monsieur Paula ponownie. Spotkanie to nie przeszło, oczywiście, gładko; nie obyło się naturalnie bez drobnej utarczki; nie tak łatwo mogłam przetrwać ten przymusowy egzamin. Nieco cierpki dialog, jaki nawiązał się pomiędzy nami, skończył się nazwaniem mnie unepetite moqueuse et sans-coeur i chwilowym wyjściem Monsieur Paula z pokoju.

Nie chciałam, aby odszedł na dobre, a tylko pragnęłam dać mu odczuć, że podobny wybuch, na jaki pozwolił sobie tego dnia, nie może być tolerowany bezkarnie i dlatego też, nie bez przyjemności, ujrzałam go wkrótce potem, zajętego podlewaniem roślin w berceau. Na mój widok podszedł do oszklonych drzwi, do których zbliżyłam się i ja także. Zaczęliśmy rozmawiać o rosnących dokoła altany kwitnących krzewach. W miarę przedłużania się tej

pogawędki Monsieur odkładał swoje narzędzia ogrodnicze, przechodząc z kolei na inne tematy, a wreszcie poruszył sprawę najbardziej interesującą.

Czując, że jego zachowanie tego dnia zasługiwało co najmniej na miano niedopuszczalnego wyskoku, zaczął z lekka usprawiedliwiać się; wyraził nawet coś w rodzaju skruchy z powodu napadających go chwil złego humoru, zaznaczył jednak, że należą mu się pewne względy, dodając przy tym:

— Nie mogę, oczywiście, spodziewać się ich z pani strony, Miss Lucy — za mało zna pani mnie, moje dzieje i moje położenie.

Jego dzieje. Podchwyciłam ten temat, aby go rozwinąć w dalszej rozmowie.

— Nie, Monsieur — odparłam. — Oczywiście, jak pan mówi, nie znam ani pańskich dziejów, ani pańskiego położenia, ani ofiar, jakie pan ponosi, ani także żadnej z pańskich trosk, żadnego z pańskich przeżyć, żadnego z pańskich uczuć i przywiązań. O, tak, nie wiadomo mi nic o panu; jest pan dla mnie człowiekiem zupełnie obcym.

1 Mała szyderczyni bez serca.

273

— Her?! — mruknął, marszcząc i równocześnie podnosząc brwi w zdumieniu.

— Widuje pana przecież tylko w klasie. Jest pan wówczas poważny, zaaferowany, zajęty wykładem, despotyczny, władczy. W mieście słyszę o panu jako o człowieku aktywnym, nader przedsiębiorczym, dość kapryśnym, chętnym do rządzenia, ale z trudnością ulegającym perswazji i nie dającym się ugiąć niczyjej obcej woli. Człowiek taki jak pan, nie związany z nikim, nie może mieć żadnych słabości: nie obarczony rodziną, nie może mieć żadnych obowiązków. My wszyscy, z którymi wchodzi pan w kontakt, jesteśmy maszynami, którymi pan kieruje według własnej woli; warsztatami pańskimi są: наша szkoła i położone w sąsiednim gmachu męskie kolegium, a produktami pańskimi uczniowie, a także uczennice. Nie wiem nawet, gdzie pan mieszka; mogę przypuszczać, że nie ma pan ogniska domowego ani też nie jest ono panu potrzebne.

— Jestem więc osądzony — rzekł. — Zdanie pani o mnie jest takie, jakie przewidywałem z góry, że będzie. W oczach jej nie jestem ani człowiekiem, ani chrześcijaninem. Uważa mnie pani za pozbawionego wszelkich uczuć, nie związanego z nikim przyjaźnią czy stosunkami rodzinnymi, nie kierującego się żadnymi zasadami moralnymi, żadnymi doktrynami wiary. Zupełnie słusznie sądzi pani, Mademoiselle; taka spotyka nas nagroda w życiu.

— Jest pan filozofem, Monsieur; filozofem-cynikiem — rzuciłam przy tych słowach okiem na jego surdut, którego wyrudziały rękaw gładził ręką — mającym w pogardzie ludzkie słabostki — wyższym nad nie, nad potrzebę dogadzania sobie — lekceważącym wygody życiowe, o jakie zwykła dbać ludzkość.

— Et vous, mademoiselle, vous etes proprette et douillette et affreusement insensible par-dessus le marche .

1 A pani jest czyściutka, wygodnicka i straszliwie obojętna w dodatku.

274

— Zastanawiając się jednak bliżej nad tą sprawą wnioskuje, że musi pan przecież gdzieś mieszkać. Proszę, niech mi pan powie, gdzie i jaką ma pan służbę dokoła siebie?

Groźnie wysunawszy dolną wargę, z najwyraźniejszą wzdargą wybuchnął:

— Je vis dans un trou! — Mieszkam w norze! — W dziurze, łaskawa pani, do której nie chciałyby pani wsunąć swojego wrażliwego noska. Kiedyś, wstydząc się przyznać do szczerej prawdy, wspomniałem o moim „gabinecie do pracy” w sąsiednim kolegium; otóż oznajmiam teraz pani, że ów „gabinet do pracy” jest moim jedynym miejscem zamieszkania: zarazem salonem i sypialnią. A co się tyczy „służby” — dodał, naśladowując mój głos — mam jej dziesięcioro: les voila! — oto one!

Mówiąc to, podsunął mi pod sam nos wszystkie dziesięć rozpostartych palców.

— Szuwaksuję sobie obuwie — dodał z goryczą — czyszczę sobie ubranie.

— Nie, Monsieur, to byłoby zbyt proste i przyziemne, nie robi pan tego — wtrąciłam.

— Je fais mon lit et mon menage! Przynoszę sobie obiad z jadłodajni. Moja wieczerza robi się sama. Spędzam pracowite, samotne dni i noce długie i smutne. Jestem dziki, brodaty, wiodę żywot mnisi. Nikt z ludzi żywych nie kocha mnie, z wyjątkiem paru starych, zasuszonych serc, jak moje własne i paru istot zbiedniałych, cierpiących, ubogich sakiewką i duchem, których wypierają się królestwa tego świata, a którym wola i testament nie do obalenia przekazały królestwo niebieskie.

— O, Monsieur! Wiem, wiem o wszystkim!

— O czym pani wie? Wiadome pani są różne rzeczy, wiele rzeczy, nie wątpię wcale, nie wie pani jednak nic o mnie, Lucy! -----

1 Ściele sobie łóżko i obrządzam gospodarstwo.

275

— Wiem, że jest pan posiadaczem ładnego starego domu, położonego na miłym starym placu w Basse-Ville — dlaczego więc nie mieszka pan tam?

— Hein?! — mruknął ponownie.

— Podobał mi się bardzo ten dom, Monsieur, podobały mi się schodki, prowadzące do jego drzwi wejściowych, szare płyty kamienne przed nim, widoczne za nim drzewa, kiwające swoimi koronami — prawdziwe wielkie drzewa, nie krzewy, lecz ciemne, wysokie, stare, odwieczne drzewa. A buduar-kaplica? Powinien pan zmienić ten pokój na gabinet do pracy, jest taki cichy i taka uroczysta panuje w nim atmosfera.

Przyjrzał mi się badawczo, na wpół uśmiechnięty, na wpół spłoszony, zarumieniony z podniecenia.

— Skąd pani wie o tym wszystkim? Gdzie dowiedziała się pani tego? Kto pani powiedział?

— Nikt mi nie powiedział. A może przypuszcza pan, że przyśniło mi się tylko to wszystko?

— Jakże mogę odgadnąć pani sensowne wizje? Czy jestem zdolny przeniknąć myśli kobiece, snute na jawie, a tym bardziej kobiece rojenia sensowne?

— Jeśli śniłam o tym, widziałam we śnie równie wyraźnie istoty ludzkie, jak dom. Widziałam starego księdza, pochylonego ciężarem lat, posiwiatego, widziałam także starą służącą, wyglądającą bardzo charakterystycznie i malowniczo. Widziałam starą damę, olśniewającą, ale dziwną; nie sięga mi głową do łokcia, ale za strojącą ją wspaniałe klejnoty można by nabyć księstwo. Miała na sobie szatę jaśniejącą jak lapis-lazuli i szal wartości jakich tysiąca franków. Była cała obwieszona drogocennymi kamieniami, ale jej postać sprawiała wrażenie przełamanej na dwoje; zdawało się też, że przeżyła już wiek sądzony przeciętnemu człowiekowi i osiągnęła kres, wypełniony tylko ciężką troską i cierpieniami. Stała się posępną, złą czarownicą, a jednak ktoś, jak się okazuje, dba o nią

276

w jej ułomnościach i kalectwie — ktoś taki, kto wybaczył jej wszystkie winy, mając nadzieję, że będą mu w zamian wybaczone jego przewinienia również. Te wszystkie trzy osoby: pani, kapłan i służąca — mieszkają razem; wszyscy starzy, wszyscy słabi, wszyscy bezpieczni pod jednym życzliwym, ciepłym, opiekuńczym skrzydłem.

Przykrył dłonią górną część twarzy, nie ukrył jednak ust, w których zarysie dostrzegłam wyraz, jaki tak bardzo lubiłam.

— Widzę, że pani przeniknęła moją tajemnicę — rzekł — ale w jaki sposób?

Opowiedziałam mu, jak się to stało: opowiedziałam o powierzonej mi przez Madame Beck misji, o burzy, jaka mnie zaskoczyła, o przykrym, opryskliwym przyjęciu mnie przez starą damę, o uprzejmości kapłana.

— Pere-Silas skrócił mi czas czekania na ustanie deszczu. Usłyszałam od niego ciekawą historię.

— Historię?! Jaką historię?! Silas nie jest powieściopisarzem.

— Czy mam ją opowiedzieć?

— Tak. Niech pani zacznie od początku. Chciałbym wysłuchać francuszczyzny Miss Lucy — najlepszej czy najgorszej — wszystko jedno zresztą, jakiej. Gotów jestem przełknąć porządną porcję bar-baryzmów i nie mniej obfitą dawkę wyspiarskiego akcentu.

— Niech pan zawczasu nie ostrzy sobie zębów nadzieją usłyszenia opowieści o imponujących rozmiarach i oglądania budującego widoku narratorki, która utkwi rychło w środku opowiadania. Nade wszystko jednak podam panu tytuł opowieści: „Wychowanek księdza”.

— Ba! — bąknął, a fala ciemnej krwi zalała ponownie jego smagłe policzki. — Zaczny stary padre nie mógł obrać gorszego tematu: to jego słaba strona. Wracając jednak do „wychowanka księdza”, jakże tam z tym było?

— O, różnie!

277

— Mogłaby pani bliżej określić, jak mianowicie? Chciałbym się dowiedzieć.

— Było dzieciństwo wychowanka, wiek młodzieńczy, potem męski; jego skąpstwo, niewdzięczność, nieczułość, niestałość. Taki typ niegodziwego wychowanka, Monsieur! O tak zimnym, nieczułym sercu, o takim braku rycerskości, o takiej niezdolności zapominania uraz i wybaczenia!

— Etpuis? — A co potem? — zapytał, wyjmując cygaro.

— Etpuis — powtórzyłam — spadły na niego klęski. Znosił je nie wzbudzając w nikim ani podziwu, ani współczucia. Nie znalazł nigdzie dla siebie litości i zrozumienia, toteż zemścił się nie po chrześcijańsku gromadzeniem płonących zarzewi nad głową swojego wroga.

— Nie opowiedziała mi pani wszystkiego, Mademoiselle — rzekł.

— Prawie wszystko, jak sądzę: wymieniłam nagłówki rozdziałów księżej opowieści.

— Zapomniała pani o jednym — o tym, który dotyczył braku przywiązania wychowanka, jego nieczułego, zimnego, mnisiego serca.

— Słusznie, przypominam sobie teraz. Pere-Silas opowiedział mi istotnie, że jego właściwym powołaniem było zostać księdzem. Uważano, że poświęcił temu życie.

— Na mocy jakich więzów czy obowiązków?

— Na mocy ciężących na nim więzów przeszłości i świadczonych przez niego obecnie dobrodziejstw.

— Zna więc pani cały stan rzeczy?

— Powtórzyłam panu już teraz wszystko, co słyszałam. Upłynęło kilka minut poważnej zadumy.

— A teraz, Miss Lucy, niech pani spojrzy mi w oczy i ze zwykłą swoją prawdomównością, której świadomie nigdy pani nie gwałci, niech mi pani odpowie na jedno pytanie. Proszę podnieść

278

oczy i utkwic je we mnie: niech pani nie obawia się zaufać mi. Jestem człowiekiem, któremu można zaufać. Podniosłam oczy.

— Teraz, kiedy poznała mnie pani na wskroś, wszystkie moje przeżycia, obowiązki i ciężącą na mnie odpowiedzialność, kiedy pani zna od dawna moje wady — jak pani sądzi, czy my oboje, ja i pani, możemy być przyjaciółmi?

— Jeśli pan chce mieć przyjaciółkę we mnie, rada będę znaleźć w panu przyjaciela.

— Mówię jednak o serdecznej przyjaźni, szczerzej i prawdziwej, o bliskości w każdym punkcie, o złączeniu się wszelkimi więzami, z wyjątkiem więzów krwi. Czy Miss Lucy zechce być siostrą człowieka bardzo biednego, obciążonego mnóstwem obowiązków, człowieka o bardzo ograniczonych możliwościach?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć mu słowami, a jednak w jakiś sposób musiałam odpowiedzieć, ujął bowiem moją rękę, a ja odczułam w tym uścisku ulgę i pociechę. Jego

przyjaźń nie była wątpliwym, chwiejnym darem — zimną daleką nadzieją — uczuciem tak kruchym, że byle dotknięcie mogło je zburzyć. Poczułam w nim od razu (albo też zdawało mi się, że poczułam) niezachwiane, mocne oparcie.

— Mówiąc o przyjaźni, mam na myśli prawdziwą przyjaźń — powtórzył z naciskiem, a ja mogłam ledwie uwierzyć, że wypowiedział słowa tak ważne jak błogosławieństwo. Nie mogłam nieledwie uwierzyć w jego ciepłe, serdeczne, pełne niepokoju spojrzenie. Jeśli rzeczywiście pragnął znaleźć we mnie rozumiejącą go przyjaciółkę i powiernicę i zamierzał rzeczywiście darzyć mnie zaufaniem i przyjaźnią — o, wydało mi się w tej chwili, że nic lepszego nie może już spotkać mnie wżyciu! Gdyby naprawdę ziścić się to miało, stałabym się silna i bogata: ta jedna chwila uczyniłaby mnie naprawdę szczęśliwą. Aby upewnić się, czy stoję naprawdę w obliczu faktu i przypieczętować go, zapytałam:

279

— Czy Monsieur mówi to zupełnie na serio? Czy naprawdę sądzi pan, że jestem mu potrzebna, że mogłabym przydać mu się jako siostra?

— Oczywiście, oczywiście — zapewnił mnie — człowiek taki samotny jak ja, nie mający siostry, musi z konieczności być nad miarę szczęśliwy, znalazłszy w kobiecym sercu uczucie siostrzane.

— A czy mogę polegać na względach Monsieur? Czy będę miała prawo zwracać się do pana, ilekroć poczuję taką potrzebę?

— Moja mała siostrzyczka musi sama przekonać się o tym — rzekł. — Nie chcę jej nic obiecywać. Musi sama karcieć i naprowadzać na właściwą drogę błądzącego brata, aż wreszcie stanie się taki, jakim pragnie go ona widzieć. Nie będzie on na pewno materiałem opornym w prawdziwie powołanych rękach.

Kiedy słuchałam tych słów, brzmienie jego głosu, błysk przyjaznego w tej chwili spojrzenia sprawiły mi taką radość, jakiej nie odczuwałam nigdy na pewno. Nie zazdrościłam żadnej z młodych dziewcząt jej wielbiciela, żadnej oblubienicy jej oblubieńca, żadnej żonie jej męża. Zadowalało mnie w zupełności znalezienie dobrowolnie ofiarującego mi swoją przyjaźń przyjaciela. Jeśli okaże się godzien zaufania, a wyglądał na godnego zaufania, czegoż, poza jego przyjaźnią, mogłam pragnąć jeszcze kiedykolwiek? Gdyby jednak wszystko miało rozwiązać się jak sen, jak to zdarzyło się już raz poprzednio...?

— Qu'est-ce donc? — Co to takiego? Co się stało? — rzekł w momencie, kiedy ta myśl padła na mnie i poraziła mnie swoim ciężarem. Powiedziałam mu i po chwilowej pauzie, opromieniony pełnym zadumy uśmiechem, wyznał mi, że taka sama obawa — czy nie będę rychło miała go dość z jego trudnym, kapryśnym usposobieniem — nie daje mu spokoju od wielu dni, od wielu nawet miesięcy.

Te upragnione słowa natchnęły mnie spokojem i odwagą, podniosły mnie i pokrzepiły na duchu. Powiedziałam mu i ja kilka

280

uspokajających słów. Nie tylko przyjął je, ale domagał się ich powtórzenia. Byłam najdoskonalej szczęśliwa — dziwnie szczęśliwa

— że mogłam swoim stwierdzeniem zapewnić mu spokój, zadowolenie i bezpieczeństwo. Jeszcze dnia poprzedniego nie byłabym zdolna uwierzyć, że mogą istnieć podobne chwile i że życie może dostarczyć momentów podobnych do tych, jakie przeżywałam teraz. Niezliczone razy obserwowałam z drżeniem serca coraz groźniejsze zgęszczanie się na moim widnokręgu ciemnej chmury trosk i zmartwień. Nowym natomiast, nieoczekiwanym dla mnie przeżyciem było coraz wyraźniejsze spełnianie się zgoła niespodziewanego szczęścia.

— Lucy — zapytał Monsieur Paul przyciszonym głosem, trzymając wciąż moją rękę — widziała pani obraz w buduarze?

— Widziałam. Obraz malowany na tafli ściennej?

— Portret mniszki?

— Tak.

— Zna pani jej dzieje?

— Tak.

— Pamięta pani tę zjawę, którą widzieliśmy owej nocy w berceau?

— Nigdy jej nie zapomnę.

— Nie sądzi pani chyba, że mają ze sobą coś wspólnego? Byłoby to szaleństwem.

— Przyznaję, że ujrawszy portret, pomyślałam o owej zjawie

— odparłam, chcąc być w zgodzie z prawdą.

— Nie wyobraża sobie pani przecież — dodał — aby święta w niebie miała zaprzętać sobie głowę szukaniem współzawodnictwa na ziemi? Protestanci rzadko bywają przesądni, mam więc nadzieję, że te chorobliwe urojenia nie znajdą do pani przystępu, Miss Lucy.

— Nie wiem, co mam myśleć o tej sprawie, przypuszczam jednak, że prędzej czy później tajemnica się wyjaśni.

— Niewątpliwie, niewątpliwie. A zresztą, żadna prawdziwie

281

zacna, dobra kobieta, a tym bardziej żaden czysty, szczęśliwy duch, nie zakłóci przyjaźni takiej jak nasza, — n'est-ilpas vraP. — nieprawda?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wpadła Fifinka wołając, że jestem potrzebna. Matka jej wychodzi na miasto, aby odwiedzić jakąś angielską rodzinę, która zażądała od niej prospektu; niezbędna jest moja pomoc jako tłumaczki. Przeszkoda, stworzona w ten sposób, nie była tak bardzo nie w porę: porcja zła jest zawsze wysfar-czająca na jeden dzień; na tę godzinę wystarczało zaznane dobro. Żałowałam jednak, że nie zdążyłam już zapytać Monsieur Paula, czy owe „chorobliwe urojenia”, przed którymi mnie ostrzegął, nie powstały także w jego głowie.

Rozdział XVI

Kość niezgody

Poza matką Fifinki Beck inna jeszcze siła miała coś do powiedzenia w sprawie dotyczącej mnie i Monsieur Paula, zanim potwierdzone zostało zawarte pomiędzy nami przymierze przyjaźni. Pozostawaliśmy pod czujnym, nie znającym snu okiem. Rzym czuwał zazdrośnie nad swoim synem poprzez ową tajemniczą kratę, przy której klęczałam niegdyś i do której nieprzeparcie ciągnęło Monsieur Erau i eia co miesiąc: poprzez zasuwane drzwi konfesjonatu. Dlaczego ;o tak się ucieszyłaś z zawarcia przyjaźni z Monsieur Paulem? — j;otów zapytać czytelnik. — Czyż nie był już od dawna twoim przyjacielem? Czy nie dawał ci niezliczonych dowodów, że cię wyróżnia?

Owszem, dawał, mimo to przyjemnie mi było słuchać, kiedy bardzo poważnie mówiło tym, że jest moim prawdziwym, wiernym, serdecznym przyjacielem. Podobały mi się jego świadczące o niesłychanej skromności zastrzeżenia i pełne szacunku względy dla osób trzecich, jakimi powodował się — owa ufność, którą pragnął umocnić. Szczerze też byłam mu wdzięczna za wskazanie mi, w jaki sposób i czym mogę uspokoić go i zadowolić.

Nazywał mnie siostrą. Tak było dobrze. Mógłby nazywać mnie, jak sam chciał, byle tylko ufał mi i wierzył w moją przyjaźń. Zgadzałam się chętnie na to, aby być jego siostrą, pod warunkiem, że nie będzie żądał ode mnie, abym siostrzanym uczuciem obdarzyła również jego ewentualną przyszłą żonę. Że jednak złożył cichy ślub celibatu, nie zachodziła w tym punkcie żadna obawa.

Większą część nocy, która nastąpiła po owym dniu, spędziłam na rozmyślaniu o naszej ostatniej rozmowie. Pragnęłam, aby jak najprędzej nastąpił już ranek, czekałam na pierwsze brzmienie

283

dzwonu, po czym, wstawszy i ubrawszy się, odmówiłam modlitwy i spożyłam powoli śniadanie, ociągając się z dokonywaniem wszystkich czynności, aż wreszcie doczekałam się godziny wyznaczonej na lekcję literatury. Pragnęłam zyskać dokładniejszą świadomość, na czym miał polegać ów sojusz braterstwa; przekonać się, ile Monsieur Paul zdradzi swoim zachowaniem uczuć brata przy ponownym naszym spotkaniu, a także ile okaże się uczuć siostrzanych w moim sercu; uświadomić sobie, czy zdobędziemy się oboje na dostateczną odwagę szczerości wzajemnej, ja — siostry, on — brata.

Przyszedł. Życie tak się układa, że nigdy nie przynosi tego, czego się po nim spodziewamy. Przez cały ten dzień Monsieur Paul nie zbliżył się do mnie ani razu. Wykład jego odbył się spokojniej bodaj niż zazwyczaj, wypowiedziany łagodniej, zarazem też poważniej. Profesor był bardziej ojcowski w stosunku do swoich słuchaczek, nie był wszelako braterski w stosunku do mnie. Oczekiwałam jeśli nie słowa, zwróconego bezpośrednio do mnie, to przynajmniej skierowanego w moją stronę uśmiechu, zanim wyjdzie z klasy — nie nastąpiło nic podobnego. Pożegnał mnie pospieszonym, jak gdyby onieśmielonym skinieniem głowy. Przypuszczałam, że ta powściągliwość była przypadkowa, bezwiedna. Uważałam, że muszę uzbroić się w cierpliwość, a minie ona. Nie minęła; trwała w ciągu wielu dni, wzmogła się nawet. Pokonałam moje zdziwienie, usiłując uporać się z innymi uczuciami, jakie zaczynały budzić się we mnie.

Pytałam go, co prawda, w chwili kiedy zapewniał mnie o swoich uczuciach braterskich, czy będę mogła polegać na nim, on jednak, znając niewątpliwie dobrze samego siebie, powstrzymał się od dania mi jakichkolwiek obietnic. Radził mi natomiast, abym polegała raczej na samej sobie i starała się naprowadzić go na właściwą drogę i odpowiednio go urabiać. Daremne pouczenie! Przywilej nominalny jedynie i niedostępny. Znalazłyby się może kobiety zdolne korzystać z niego i umiejętnie posługiwać się nim.

284

Moje własne możliwości i własny mój instynkt nie pozwalały mi zaliczać się do ich grona. Pozostawiona samej sobie, byłam zupełnie bierna; odsunięta — wycofywałam się; zapomniana — nie zdobywałam się na przypomnienie o sobie ani słowem, ani spojrzeniem. Wydało mi się, że popełniłam widocznie jakiś błąd w obliczeniach, cierpliwie czekałam też, aby czas przyniósł mi ujawnienie tego błędu i dał możliwość naprawienia go czy wyrównania. Nadszedł tymczasem dzień, w którym, jak zazwyczaj, profesor miał odbyć ze mną lekcję. Od dawna już wspaniałomyślnie ofiarowywał mi jeden wieczór w tygodniu, poświęcając go na egzaminowanie mnie z postępów, poczynionych przeze mnie w ciągu całego minionego tygodnia oraz na wskazanie mi zadań i prac, jakich miałam dokonać w ciągu następnego. Przy podobnych okazjach urządzaliśmy sobie pokój szkolny byle gdzie, gdziekolwiek znajdowały się przypadkowo o tej porze uczennice i inne nauczycielki, albo też w najbliższym ich sąsiedztwie; bardzo często w obszernym drugim oddziale, gdzie łatwo było obrać spokojny kąt pod nieobecność wypełniających klasę uczennic przychodnich. Nieliczne pensjonarki stałe gromadziły się zazwyczaj dokoła katedry surveillante.

W zwykłym dniu i o zwykłej godzinie przeznaczonej na lekcję Monsieur Paula ze mną, usłyszawszy znany mi dobrze dzwonek, zabrałam wszystkie moje książki i zeszyty, pióro i atrament i skierowałam się ku owemu obszernemu oddziałowi.

Nie było tam nikogo. Klasa pogrążona była w chłodnym, głębokim cieniu. Poprzez podwójne oszklone drzwi widoczne było carré, jasne w tej chwili i pełne uczennic; zachodzące słońce wyzła-cało łuną cały hall i zgromadzone w nim postacie. Barwa tej łuny była tak żywa i ciepła, że ściany i ubrania kobiece zdawały się tonać w wesołym, rumianożłocistym świetle. Dziewczęta siedziały, ucząc się i pracując; w środku ich kręgu stał Monsieur Emanuel, zajęty pogodną rozmową z jedną z nauczycielek. Jego ciemny surdut i krucze włosy płonęły szkarłatnymi odbłyskami, rzucanymi przez

285

zachodzące słońce; jego hiszpańska twarz w chwili, kiedy odwrócił ją ku oknu, odpowiedziała uśmiechem pełnym ożywienia na ciepły pocałunek słońca. Zajęłam miejsce przy biurku.

Drzewa pomarańczowe oraz inne egzotyczne rośliny w pełni pławiły się również w szcudrobliwiej łaskawości blasków słonecznych; korzystały z niej przez cały dzień i teraz prosiły wyraźnie o trochę wody. Monsieur Emanuel miał szczególne upodobanie do zajmowania się ogrodnictwem; lubił hodować i pielęgnować rośliny zarówno doniczkowe, jak rosnące swobodnie w ogrodzie. Wydawało mi się zawsze, że praca przy okopywaniu ich, oczyszczaniu z suchych liści i podlewaniu wpływała kojąco na jego nerwy, była dla niego w każdym razie rozrywką, z której starał się często korzystać. I w owej chwili także uwijał się dokoła drzew pomarańczowych, geranii pąsowych, białych i różowych i wspaniałych okazów kaktusów, darząc je wszystkie, jedno po drugim, ożywczymi strumieniami i bryzgami wody z polewaczki. Pomiedzy wargami trzymał równocześnie cenne swoje cygaro, które było dla niego najnie-odzwonniejszą potrzebą życia, jedynym zbytkiem, na jaki sobie pozwalał. Sinawe wstęgi dymu snuły się i kłębiły pośród kwiatów, prześwietlone rumianymi promieniami zachodu. Nie rozmawiał już ani z uczennicami, ani z nauczycielkami, rzucając tylko raz po raz pieszczotliwe słowa małej suczce, będącej własnością domowników Madame Beck, faktycznie jednak uważającej Monsieur Paula za swojego jedynego pana i nieskończenie bardziej przywiązanej do niego, aniżeli do wszystkich innych. Była to delikatna, o jedwabistej sierści, dająca się lubić psina, nie odchodząca od niego ani na krok, idąca wszędzie jego śladem, wpatrzona chcącymi przemówić nieledwie, wiernymi oczami w jego twarz. Ilekroć upadały mu na ziemię lub na posadzkę bonnet grec czy chustka do nosa, co często zdarzało się wobec stałego jego zwyczaju bawienia się tymi przedmiotami, suczka układała się obok nich, warując z groźną miną miniaturowego lewka, leżącego wiernie na straży sztandaru królestwa.

286

Roślin było wiele, że zaś ogrodnik-amator własnoręcznie czerpał wodę ze znajdującej się na dziedzińcu studni, podlewanie przeciągało się dość długo. Wskazówki wielkiego ściennego zegara klasowego posuwały się naprzód; minęła godzina. Carre i młodociana grupa przygasły, utraciwszy złocisty odbłask, w jaki stroił je zachód. Dzień miał się ku schyłkowi. Zdałam sobie sprawę, że moja lekcja tego wieczoru może już tylko być bardzo krótka. Drzewa pomarańczowe, geranium i kaktusy otrzymały wystarczającą porcję wody. Czy miała wreszcie nastąpić moja kolej?

Niestety! Okazało się, że w ogrodzie było więcej jeszcze roślin, wymagających troskliwej opieki Monsieur Paula —jego ulubione krzewy różane, niektóre rzadkie okazy kwiatów. Wesole szczekanie małej Sylwii (tak wabił się piesek) rozlegało się wzdłuż alejek ogrodowych trop w trop za posuwającym się po nich ciemnym długopółym surdudem, jaki Monsieur nosił stale pod peleryną. Odłożyłam pewną część książek, wiedząc już teraz, że nie będą mi potrzebne. Siedziałam, rozmyślałam i czekałam, bezwiednie zanosząc modły do zmierzchu, aby powstrzymał się jeszcze z zapadnięciem.

Radośnie wymachująca ogonkiem Sylwia wyłoniła się na widowni raz jeszcze, zapowiadając swoim zjawieniem się powrót rozwianego surduta; polewaczka została odstawiona na zwykłe jej miejsce przy studni, jako że spełniła już na ten cziern swoje zadanie. Bardzo mnie to ucieszyło. Monsieur umył ręce. Nie było już teraz czasu na lekcję, za chwilę miał rozbrzmieć dzwonek wzywający na modlitwę wieczorną, ale spotkamy się przecież; odezwie się do mnie, nastrojąc mi sposobność wyczytania mu z oczu zagadki jego naglej powściągliwości czy onieśmienia. Po dokonaniu ablu-cji wstał, z wolna wkładając z powrotem mankiety, wpatrując się w sierp wypływającego na poblądle niebo księżycy, rzucającego migotliwe srebrne błyski na wykusze kościoła Świętego Jana Chrzciciela. Mała Sylwia ze zdziwieniem przyjęła ten kontemplacyjny

nastrój; drażniło ją niezwykle milczenie jej pana, skowyczała więc i wierciła się, aby je przerwać. Monsieur spojrział na wierną psinę.

— Petite exigeante — wymagająca bestyjko — rzekł. — Jak widzę, nie wolno zapominać o tobie ani na chwilę.

Pochylił się, wziął psinę na ręce, przeszedł z nią wolnym krokiem na przełaj przez dziedziniec w odległości metra mniej więcej od okna, przy którym siedziałam: szedł ociągając się, pieszcząc i tuląc suczkę, tkliwie do niej przemawiając i nadając jej zabawne pieszczotliwe nazwy. Doszedłszy do frontowych schodów odwrócił się, jeszcze raz spojrział w górę na księżyc, na osrebrzoną jego blaskiem szarą katedrę, na jej najwyższą, ostro zakończoną wieżyczkę i na dachy domów, tonące w sinawym oceanie nocnej mgły. Wciągnął z lubością w nozdrza upojne zapachy płynące z ogrodu i dostrzegłszy stulające się kielichy kwiatów, rozejrzał się nagle dokoła. Ogarnął bystrym wzrokiem białą fasadę pokojów szkolnych i prześlizgnął się spojrzeniem wzdłuż ich okien. Miałam wrażenie, że uklonił się, a przynajmniej skinął głową. Jeśli nawet tak było, nie miałam czasu odwzajemnić tej uprzejmości. W następnej chwili znikł. Skąpany w świetle księżycy próg domu jaśniał blado, nie rzucając cienia przed zamkniętymi drzwiami frontowymi.

Zebrawszy wszystko, co było rozłożone na biurku przede mną, odniosłam niepotrzebny, nietknięty plik na jego zwykle miejsce w trzeciej klasie. Zadzźwięczał dzwon na modlitwę; poszłam za jego wezwaniem.

Nazajutrz nie miał Monsieur Paul przyjść na Rue Fossette: dzień ten poświęcony był wyłącznie męskiemu kolegium. Odbyłam zwykle moje wykłady języka angielskiego; w żółtym tempie minęły godziny wolne od nauczania i wreszcie doczekałam się zapadnięcia wieczoru, usiłując uzbroić się do cierpliwego zniesienia przytłaczającej nudy. Nie zastanawiałam się, co będzie gorsze: pozostać wśród moich towarzyszek czy siedzieć samotnie, obrałam jednak instynktownie to drugie wyjście. O ile jeszcze istniała dla mnie jakaś na-

dzieją znalezienia pociechy, nie mogłam szukać jej w sercu ani w myślach żadnej żywej istoty w tym domu. Jedyłą drogę jakiego takiego ukojenia mogłam znaleźć pod wiekiem mojego pulpitu, gdzie czekały na mnie ulubione książki, których kartki mogłam przerzucać, ołówki, pióra i buteleczka tuszu, które posłużyć mi mogły do wykonania jakiegoś rysunku. Z ciężkim sercem podniosłam wieko pulpitu; ociężałą ręką zaczęłam przerzucać jego zawartość.

Jedną po drugiej wyjmowałam i odkładałam z powrotem na miejsce tylokrotnie przeczytane książki, tomiki oprawne w aż nadto dobrze mi znane płótno. Nie miały one dla mnie dzisiaj zwykłego uroku, niezdolne były darzyć mnie pociechą. Ale co to? Czy to coś nowego, ta liliowa broszurka? Nie widziałam jej poprzednio, a przecież nie dalej niż tego samego popołudnia porządkowałam w moim biurku. Traktacik musiał być włożony w ostatniej chwili, podczas obiadu.

Otworzyłam broszurkę. Jaka jest jej treść? Co zawiera? Co mi powie?

Nie była ani opowiadaniem, ani poematem, ani także szkicem literackim czy historycznym; nie była ani pieśnią, ani opowieścią, ani dyskusją. Była to rozprawka teologiczna; rodzaj kazania, nauki moralnej czy perswazji.

Zagłębiłam się od razu w jej treść, mimo bowiem, że tak drobnych rozmiarów, miała dla mnie swoisty urok, z miejsca też przykuła moją uwagę. Usiłowała nawracać na katolicyzm, przekonywała o konieczności nawrócenia. Przemawiała miodowym głosem; jej akcenty tchnęły namaszczeniem i balsamem. Nie huczały w niej gromy rzymskie, nie rozlegały się pioruny kłatw, rzucanych na tych, którzy ściągali je na siebie przeciwstawianiem się Rzymowi. Protestantka miała stać się papistką, nie tyle ze względu na lęk przed piekłem

czekającym heretyków, ile ze względu na ukojenie, na tkliwe przygarnięcie jej do swojego łona, jakie przyobiecuje nawró-

289

conym jedyna prawdziwa wiara, daleka od grożenia czy zniewalania. Jej dążeniem było kierować i zdobywać. Ona miałyby prześladować?! O, nie, zaprawdę nie! Za żadną cenę! Ten tomik nie był przeznaczony dla zatwardziałych grzeszników ani dla światowców, nie przemawiał nawet dość mocno do umysłów silnych; był mlekiem dla niemowląt; łagodnym głosem kochającej matki, tkliwie tulącej do piersi swoje najmłodsze i najbardziej bezbronne dziecię. Był przeznaczony całkowicie i wyłącznie dla tych, do których intelektu prowadziła droga przez serce jedynie. Nie zwracał się do rozumu; usiłował zdobyć uczuciowców, działając na ich sentyment; zjednywał sympatyków wzbudzaniem ich sympatii. Święty Wincenty a Paulo, gromadzący dokoła siebie sierotki, nie przemawiał nigdy łagodniej i czulej.

Jedna ważka zachęta do odstępstwa polegała, jak sobie przypominam, na wykazaniu, że katolicy, którzy przez śmierć utracili drogie ich sercu istoty, mogą zaznać nieopisanego ulgi wybawianiem modlitwą ich dusz z mąk czyścowniczych. Autor pominął przy tym całkowicie sprawę nieskończenie pewniejszego spokoju tych, których wiara uwalnia od myśli o jakichkolwiek czyścicach z tej prostej przyczyny, że nie mieści ona wcale podobnego pojęcia; ja natomiast brałam pod uwagę tę różnicę, bardziej też przemawiała do mnie ostatnia doktryna, jako niezawodnie pocieszająca.

Książeczka zabawiła mnie, nie urażając zbyt dotkliwie moich uczuć. Ogólnie była to broszurka obłudnie sentymentalna i płytka, coś w niej jednak rozpogodziło mój posępny nastrój i wywołało uśmiech na moich ustach: bawiła mnie dość przejrzysta gra tego nieobliczalnego wilczątko, zamaskowanego runem i naśladowującego pobekiwanie niewinnego jagnięcia. Niektóre ustępy broszury przypominały mi traktaciki pewnego wexleyańskiego metodysty, które czytałam niegdyś, będąc dzieckiem jeszcze. Były one zaprawione tym samym pikantnym sosem podniecania do fanatyzmu. Ten, kto to napisał, nie był złym człowiekiem i mimo że zdradzał w każdym

290

słowie wyćwiczenie w przebiegłości — dwutorowość swojego systemu — namyśliłabym się przed pomawianiem go o nieszczerłość. Jego rozumowaniu wszakże brakło solidnych, nieodpartych podstaw: było nazbyt chwiejne.

Uśmiech wywołała na moich ustach dawka macierzyńskiej tkliwości, wychodzącej z wilczego gardła, a także własna moja niechęć, a może właściwie niezdolność do odzewu na te czułe zabiegi. Rzuciwszy okiem na kartę tytułową, odnalazłam na niej imię ojca Silasa. Na oddzielnej, dołączonej do broszurki kartce wypisane było drobnym, ale czytelnym i znanym mi maczkiem: „Od P. C D. dla L...y”. Przeczytawszy to, uśmiechnęłam się ponownie, inaczej jednak niż poprzednio. Odżyłam.

Ustąpiło nagle otepiałające przygnębienie, wyjaśniła się sfinksowa zagadka. Połączenie obu tych imion: ojciec Silas i Paul Emanuel — było kluczem do niej. Kajający się grzesznik był u duchowego swego przewodnika, który nie pozwolił mu nic ukrywać, nakazując, aby żaden kącik jego serca nie pozostał świątynią niedostępną dla jego Boga i dla jego spowiednika. Wydostał z penitenta tą drogą dokładne powtórzenie całego przebiegu naszej ostatniej rozmowy, przyznanie się do zawartego przez nas braterskiego przymierza, wspomnienie o mnie jako o przybranej siostrze. Jakże mogło podobne przymierze, podobne zaadoptowanie, być przyjęte przez Kościół? Braterskie obcowanie z heretyczką? Wydawało mi się, że słyszę ojca Silasa przekreślającego, unicestwiającego zawarty przez nas pakt i ostrzegającego wychowanka przed zgubnymi skutkami takiego skojarzenia, nakazującego mu powściągnięcie się od dalszego tkwienia w błędzie, zaklinającego niebacznego grzesznika mocą swego święcenia kapłańskiego i zalecającego mu — w imię i przez pamięć wszystkiego, co było

Paulowi Emanuelowi drogie i święte — takie postępowanie, którego lodowaty chłód zmroził mnie do szpiku kości.

Przypuszczenie takie może nie wydać się zbyt przyjemne, uch-

291

wyciłam się go jednak, jako nieporównanie bardziej pożądanego dla mnie. Wizja upiornego mąciciela, czającego się na drugim planie i działającego z zaplecza, była niczym w porównaniu z obawą przed nagłą zmianą, jaka mogła dokonać się w sercu i umyśle samego Monsieur Paula.

Dzisiaj, po tak długim czasie, nie mogę twierdzić z całą pewnością, w jakim stopniu te przypuszczenia były wynikiem autosugestii czy też w jakiej mierze zawdzięczałam ich powstanie i potwierdzenie innemu źródłu? Nie brakło na pewno pomocników.

Tego dnia nie było olśniewającego zachodu słońca: jedna nieprzerwana chmura zasnuła niebo od wschodu do zachodu; ostrości dalekich zarysów nie łagodziły welony mgły letniej, sinawej, prześwieczonej jednak różowo: gęsta lepka mgła, płynąca sponad trzęsawisk, zasnuwała nieprzeniknioną szarzyzną całą okolicę Villette. Polewaczka mogła tego wieczoru spoczywać spokojnie swoim zwykłym miejscu przy studni: drobny deszczyk mżył przez całe popołudnie i wciąż jeszcze nie przestawał mżyć spokojnie i jednostajnie. Przy takiej pogodzie nie można było krążyć po przemokłych alejach ogrodowych pod ociekającymi deszczem drzewami, wdrygnęłam się więc usłyszawszy dochodzące z ogrodu nagłe powitalne szczeknięcie Sylwii. Nie oznajmiało ono chyba obecności umiłowanego jej pana, a jednak to radosne brzmienie głosu psiny zwykło rozlegać się jedynie w hołdzie dla Monsieur Paula.

Przez oszklone drzwi i sklepione lukowato berceau mogłam ogarnąć okiem całą allee défendue: stamtąd właśnie wybiegła pędem małeńka Sylwia, połyskując w mroku niby kula buldeneża. Biegała to tu, to tam, kręcąc się, warując, poszczekując, wypłaszając ptaki spośród gąszcza krzewów. Obserwowałam ją przez jakieś pięć minut, nie doczekałam się jednak spełnienia zapowiedzi jej radosnego szczekania. Powróciłam do książek. Szczekanie Sylwii nagle ustało. Podniosłam ponownie głowę i wyrzesałam przez oszklone drzwi berceau. Psina stała co najwyżej o parę metrów ode mnie, wymachując

292

białym postrzępionym ogonkiem w tak przyspieszonym tempie, jak tylko mogły na to pozwolić jej słabe mięśnie i z napięciem śledząc zagłębianie szpadla w przemokłą ziemię, dokonywane nie mniej pospiesznie ręką nie znającą znużenia. To Monsieur Emanuel, pochylony nad szpadlem i okopujący rozmiękłą ziemię dokoła mokrych, ociekających deszczem krzewów, pracował tak ciężko, jak gdyby musiał w pocie czoła znoić się za kęs chleba dla siebie.

Domyśliłam się, że profesor był w fatalnym humorze. Zdarzało mu się kopać w ten sposób, przebijając zmarzniętą skorupę śnieżną w najmroźniejszy dzień zimowy, gdy jakieś bolesne przeżycie i wywołane nim podniecenie lub też dręczące myśli zmuszały go do szukania ujęcia w pracy fizycznej. Godzinami wówczas potrafił kopać zawzięcie ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi zębami, nie podnosząc ani na chwilę głowy, nie mówiąc ani słowa.

Sylwia stała przy nim i przyglądała mu się, w końcu jednak znużyło ją to widocznie. Chcąc rozerwać się nieco, zaczęła biegać i węszyć dokoła, aż wreszcie wykryła moją obecność w klasie. Natychmiast, szczekając radośnie, podbiegła do okna, jak gdyby zamierzając skłonić mnie do wzięcia udziału w pracy jej pana, a przynajmniej do asystowania mu przy tym.

Suczka widywała mnie często, jak przechadzałam się po tej alejce z Monsieur Paulem i uważała, że moim obowiązkiem jest wyjście teraz do niego pomimo wilgoci i słoty.

Narobiła tyle wrzawy, że Monsieur Paul podniósł wreszcie głowę i oczywiście zrozumiał od razu, na kogo i dlaczego psina tak zajadle szczeka. Gwizdnął, aby przywołać ją z powrotem, ona jednak w odpowiedzi na to zaszczekała jeszcze donośniej. Zdawało się, że nie ustąpi,

dopóki nie otworzę oszklonych drzwi. Zirytowany, jak przypuszczam, jej natarczywością, Monsieur rzucił szpadel na ziemię, podszedł i uchylił drzwi. Sylwia wpadła z impetem, wskoczyła mi na kolana, oparła obie łapki na mojej szyi i zaczęła zawzięcie oblizywać mi twarz, usta i oczy, zamiatając równocześnie puszy-

293

stym ogonkiem moje biurko, rozsypując na nim bezlitośnie wszystkie książki i papiery. Monsieur Emanuel podszedł, aby ją uspokoić i naprawić wyrządzone przez nią straty. Po uporządkowaniu książek i papierów schwycił Sylwię i wpakował ją sobie pod pachę, gdzie wtuliła się cicho jak myszka, wysunawszy tylko kudłaty łepiek na zewnątrz. Była bardzo drobna i miała najładniejszą w świecie mordkę, najbardziej jedwabiste długie uszy, najcudowniejsze ciemne ślepia. Ilekroć patrzyłam na nią, mimo woli przychodziła mi na myśl Paulina de Bassompierre. Daruj mi, łaskawy czytelniku, to niedorzeczne skojarzenie, ale tak właśnie było.

Monsieur Paul pieścił suczkę i głaskał ją, trudno też było dziwić się karesom, jakimi ją darzył: jej uroda i żywość prowokowały wręcz, by okazywać jej szczególne przywiązanie.

Pieszcząc psinę, rozglądał się równocześnie po ułożonych przed chwilą książkach.

Dostrzegłszy traktacik religijny, zatrzymał na nim wzrok. Wargi jego poruszyły się, jakby chciał się odezwać, zdławił jednak tę chęć. Czyżby ślubował, że nie odezwie się nigdy więcej do mnie? Jeśli tak było, uznała widocznie lepsza strona jego natury, że złamanie uczynionego ślubu będzie zaszczytniejsze aniżeli dotrzymanie go, wnet bowiem, zdobywszy się na ponowny wysiłek, rzekł:

— Nie przeczytała pani jeszcze broszurki, jak przypuszczam? Nie jest dostatecznie pociągająca?

Odpowiedziałam, że przeczytałam ją.

Milczał przez chwilę, jak gdyby czekał, abym ja sama, nie zapytana, wyraziła mój sąd o niej. Nie kwapiłam się jednak z udzielaniem tego rodzaju informacji, nie zagadnięta o nią wprost. Była to przecież sprawa wielce potulnego, posłusznego wychowanka ojca Silasa, nie moja. Patrzył na mnie łagodnym wzrokiem. W jego oczach jaśniała w tej chwili tkliwość — wyraźne zatroskanie, wzruszający odcień patosu. Walczyły w nim sprzeczne uczucia: wyrzutu

294

i żalu zarazem. Byłby niewątpliwie rad, gdyby w tym momencie mógł podchwycić wzruszenie i w moim wzroku. Nie okazałam, nie mogłam okazać go jednak. W następnej chwili zdradziłabym niewątpliwie spłoszenie, gdyby nie przyszło mi szczęśliwie na myśl wyjąć z biurka kilka gęsich piór, które zaczęłam najspokojniej temperować.

Wiedziałam, że czynność ta wywoła zmianę jego nastroju. Niechętnie patrzył zawsze na temperowanie przeze mnie piór: mój scyzoryk bywał stale tępy, a ręka mało sprawna, wskutek czego temperowałam nierówno z mnóstwem niepotrzebnych zadraśnień i zadarć.

Tym razem zacięłam się w palec — na wpół rozmyślnie. Chciałam przywrócić profesora do normalnego stanu, podrażnić go, doprowadzić do zwykłego urągania na moją niezręczność.

— Maladroite! — Niezdara! — syknął wreszcie — jeszcze kiedy odrąbie sobie palce.

Spuścił Sylwię na podłogę, położył ją obok swojego bonnet grec i wyrwawszy mi z rąk pióro i scyzoryk, zaczął przycinać ostrze z dokładnością i szybkością maszyny.

— Czy podobała się pani ta książeczka? — zapytał. Powstrzymując ziewnięcie odpowiedziałam, że sama doprawdy nie wiem.

— Czy wzruszyła panią?

— Powiem prawdę, że zachciało mi się spać przy jej czytaniu. — Allons donc! — Gadanina!

Po dłuższej pauzie powiedział, że nie ma sensu przybieranie podobnego tonu w rozmowie z nim. Mimo że mam tak wiele wad

— przykro byłoby mu wymienić je wszystkie jednym tchem. Stwórca i natura obdarzyły mnie trop de sensibilite et de sympathie — zbyt wielką wrażliwością, aby nie miał przemówić do mnie tak szczerze wzruszający apel.

— Myli się pan! — odparłam, odzyskując szybko równowagę.

— Nie byłam ani trochę wzruszona nim, ani odrobinę!

295

Na dowód wyjęłam z kieszeni chusteczkę zupełnie czystą i suchą.

W odpowiedzi posypały się na mnie najostrzejsze zarzuty, bardziej dosadne niż grzeczne. Słuchałam skwapliwie. Po dwóch dniach nienaturalnego milczenia miłe mi było to urąganie Monsieur Paula, przemawiającego dawnym swoim tonem, miłsze niż najpiękniejsza muzyka. Słuchałam, racząc od czasu do czasu siebie i Sylwię zawartością bombonierki, którą Monsieur Paul stałym swoim zwyczajem hojnie zapełnił czekoladkami. Przyjemność sprawiał mu zawsze widok należytego oceniania przeze mnie najdrobniejszego nawet jego daru. Z wyraźnym wzruszeniem spoglądał na mnie i na psinę, z którą szczerze dzieliłam się słodyczami. Odłożywszy scyzoryk i dotknąwszy mojej ręki wiązką świeżo zatemperowanych piór, rzekł:

— Dites donc, mapetite soeur — powiedz, mała siostrzyczko — co myślała pani o mnie przez te ostatnie dwa dni.

Gdyby to pytanie nie było tak bezpośrednie, mogłabym w dalszym ciągu udawać obojętność, lecz po tych słowach oczy nabie-gły mi łzami. Milczałam, nie przestając pieścić Sylwii.

Monsieur Paul, oparty o biurko, przechylił się ku mnie:

— Nazwałem się bratem — rzekł — sam jednak nie wiem i nie umiałbym powiedzieć, kim jestem: bratem... przyjacielem... Wiem, że myślę o pani — czuję, że życzę pani jak najlepiej, muszę jednak powstrzymać się; nakazano mi obawiać się pani. Moi najlepsi przyjaciele ostrzegają mnie przed zagrażającym mi z pani strony niebezpieczeństwem i podszeptują, że muszę być ostrożny.

— Słusznie pan czyni, słuchając swoich przyjaciół. Radzę panu być w każdym razie ostrożnym.

— To wyznanie pani, ta dziwna wiara, skłaniająca panią do polegania nade wszystko na samej sobie, odporna na wszelkie ataki, zdaje się opancerzać panią, sam doprawdy nie wiem jaką, przekłętą zbroją. Jest pani dobra — ojciec Silas nazywa panią dobrą i kocha

296

panią — ale straszliwy, dumny, traktowany przez panią tak bardzo serio protestantyzm — w nim właśnie tkwi niebezpieczeństwo... Ujawnia się ono często w pani spojrzeniu; nadaje pani głosowi szczególne brzmienie, każe pani wykonywać pewne gesty, wobec których skóra cierpnie na mnie z przerażenia. Nie należy pani do osób zwykłych popisywać się swoimi uczuciami ani nawet ujawniać je, a jednak, przed chwilą właśnie, kiedy mówiła pani o tym traktaciku, wydało mi się — o, mój Boże! — że widzę na pani ustach uśmiech samego Lucyfera.

— Oczywiście, że nie żywię żadnego szacunku dla tego traktaciku — cóż z tego jednak?

— Nie żywi pani szacunku dla tego traktaciku? Ależ to najczystsza treść wiary, miłości, miłosierdzia! Byłem pewien, że wzruszy panią, że przemówi swą łagodnością do pani serca! Wierzyłem, ufałem, że nie może nie wzruszyć pani! Włożyłem go do pulpitu pani z modlitwą. Wielkim jednak widocznie jestem grzesznikiem. Niebo nie chce wysłuchać moich najgorętszych próśb płynących z głębi serca. A pani wyszydza moją skromną ofiarę. Oh, que cela mefait mai! — O, jak to mnie boli!

— Myli się pan, Monsieur, nie wyszydzą jej bynajmniej — a w każdym razie nie jako pański dar. Proszę, niech pan usiądzie i wysłucha mnie. Nie jestem poganką, nie mam nieczułego serca, jestem chrześcijanką, nie stanowią niebezpieczeństwa dla nikogo wbrew

zapewnieniom pańskich przyjaciół; nie zmaćlałabym pana wiary: wierzy pan w Boga, w Chrystusa, w Biblię, i w to samo wierzę ja także.

— Czy naprawdę wierzy pani w Biblię? Czy wierzy pani w Objawienie? Jakie są granice dzikich, nie liczących się z niczym zuchwałstw pani kraju i sekty? Ojciec Silas wspominał mi coś o tym, w sposób ogólnikowy zresztą.

Zmusiłam go perswazją do bliższego określenia tych napomknien. Sprowadzały się one do podstępnych, typowo jezuickich

297

oszczerstw. Tego wieczoru rozmawialiśmy oboje, Monsieur Paul i ja, poważnie i serdecznie.

Przekonywał mnie, argumentował. Co się mnie tyczy, nie potrafiłam argumentować.

Szcześliwa nieudolność: wystarczyłoby logiczne zwycięskie przeciwstawienie się, aby osiągnąć wszystko, co duchowy jego przewodnik pragnął osiągnąć. U-miałam jednak dowodzić na swój sposób — do którego Monsieur był przyzwyczajony, którego okrężnymi drogami umiał chodzić. Moje okrężne sposoby wyrażania myśli potrafił wypełnić właściwym znaczeniem, wybacząc nawet obcy akcent w słowach dobieranych wciąż jeszcze z pewną trudnością. Bez skrępowania umiałam przed nim bronić moich wierzeń i mojego wyznania: udało mi się nawet do pewnego stopnia rozwiać jego uprzedzenia. Mimo to nie był zadowolony odchodząc; może nawet nie był w zupełności uspokojony. Bądź co bądź jednak wykazałam mu niezbitcie, że protestanci nie są z natury rzeczy bezbożnymi poganami, jak chciał wmówić mu jego spowiednik. Zrozumiał dzięki mnie coś niecoś ze sposobu czczenia przez nich Światła, Życia, Słowa. Umożliwiłam mu, po części przynajmniej, zdanie sobie sprawy z tego, że jakkolwiek ich wielbienie rzeczy godnych wielbienia nie jest zupełnie takie samo, jak w jego Kościele, ma ono własną, głębszą bodaj siłę — własną, bardziej uroczystą formę kultu.

Przekonałam się, że ojciec Silas (który, powtarzam, nie był złym człowiekiem) bronił tylko złej sprawy, potępiając w czambuł wszystkich protestantów, a tym samym i mnie także, przypisując nam najdziwaczniejsze „izmy”, przezywając nas najdziwaczniejszymi nazwami.

Monsieur Emanuel ujawnił mi to wszystko ze zwykłą swoją szczerością, niezdolną do utrzymania czegokolwiek w tajemnicy, i przez cały czas przedstawiania mi tych rewelacji wpatrywał się we mnie z poważnym lękiem, dygocąc nieledwie ze strachu, czy aby w oskarżeniach tych nie ma pewnej dozy słuszności. Jak się okazało, ojciec Silas śledził mnie wytrwale. Stwierdził, że chodzę do wszystkich trzech protestanckich kościołów, jakie znajdowały się w Vil-

298

lette: do francuskiego, niemieckiego i angielskiego — to znaczy: prezbiteriańskiego, luteranckiego i episkopalnego. Taka dowolność i tolerancja były w oczach zacnego padre dowodem głębokiego indyferentyzmu: kto toleruje wszystkie kościoły i wszystkie wyznania — rozumował — nie jest przywiązany do żadnego. Otóż mnie osobiście dziwiły nieraz w głębi duszy drobne i mało ważne różnice, zachodzące pomiędzy tymi trzema odłamami wyznaniowymi, które łączyła jednolitość i tożsamość ich podstawowych doktryn. Nie widziałam też żadnych przeszkód, jakie mogłyby stać na drodze zlania się ich kiedyś w jedno wielkie Święte Przymierze. Szanowałam je wszystkie, mimo że dostrzegałam w każdym z nich pewne błędy form zewnętrznych: braki i drobiazgi bez znaczenia. Tymi moimi uwagami i spostrzeżeniami podzieliłam się z Monsieur Paulem i wyjaśniłam mu, że moją ostatnią, najwyższą ucieczką, przewodnikiem i nauczycielem, do którego zwracam się zawsze i niezmiennie, jest, była i będzie Biblia raczej, aniżeli jakakolwiek sekta, nazwa czy narodowość.

Opuścił mnie ukojony, wciąż jednak jeszcze poważnie zatroskany, zanoszący z głębi duszy modły najgorętsze, aby o ile nie mam słuszności — Niebo zechciało oświecić mnie i naprowadzić na właściwą drogę. Usłyszałam szeptane przez niego na progu jeszcze słowa

żarliwych modłów do Marie, Reine du Ciel — Marii, Królowej Niebios — aby jego nadzieja i wiara mogły jednak stać się i moimi także.

Dziwne! Ja sama nie pragnęłam wcale tak żarliwie odciągnąć go od wiary jego ojców.

Dopatrywałam się w niej błędów, uważałam ją za wielki obraz zrobiony z mieszaniny złota i gliny, wydawało mi się wszelako, że ten papista wyznaje w niewinności swojego serca najczystsze zasady wiary, która musi podobać się Bogu.

Opisana poprzednio rozmowa odbyła się pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem na cichej Rue Fossette w jednej z klas, której okna wychodziły na zamknięty ogród. O tej samej prawdopodobnie

299

<

albo też o nieco późniejszej godzinie następnego wieczora echa tej rozmowy, zapamiętane na mocy nakazanego przez Kościół posłuszeństwa, wyszeptane zostały dosłownie do nastawionego z uwaga ucha przy kracie konfesjonału, w starym kościele Magów. W wyniku tej spowiedzi przyszedł ojciec Silas w odwiedziny do Madame Beck i, wysunąwszy nie wiem jakie motywy, przekonał ją, że powinna pozwolić mu podjąć się przez pewien czas misji roztoczenia duchowego przewodnictwa nad Angielką.

Wskutek tej rozmowy musiałam wysłuchać wielu wykładów i przeczytać mnóstwo książek, a właściwie rzucić okiem na łaskawie użyczone mi książki: zbyt mało odpowiadały mi, abym miała przeczytać je dokładnie i zapamiętać czy bodaj przetrawić. Miałam zresztą na górze u siebie pod poduszką książkę, której pewne rozdziały zaspokajały moje potrzeby duchowe, znajdowałam w nich bowiem takie nauki i przykłady, od których — czułam najgłębiej sercem — nie ma, nie może być lepszych.

Potem ojciec Silas wskazał mi piękne strony rzymskiego kościoła, jego wzniosłe dzieła i kazał mi sądzić drzewo po jego owocach.

Odpowiedziałam na to, że dzieła te nie są owocem Rzymu, ale jego obfitym, bujnym kwieciem, piękną zapowiedzią, ukazywaną przezeń światu. Kiedy kwiecie to padnie i zawiąże się owoc, nie ma posmaku miłosierdzia; jabłkiem w zupełności z niego ukształtowanym jest ciemnota, poniżenie i bigoteria. Z trosk, smutków i przywiązań ludzi wykuwa on więzy ich niewoli. Żywi, odziewa biedaków i daje im dach nad głową po to, aby skrępować ich zobowiązaniami „wobec Kościoła”; wychowuje i kształci sieroty, aby wyrastały „na łonie Kościoła”. Przecięża pracą mężczyzn, poświęca w sposób niesłychanie morderczy kobiety i wszystko na tym świecie, który Bóg w swojej łaskawości uczynił miłym dla dobra stworzonych przez siebie istot, każe im dźwigać Krzyż o potwornym, zabójczym ciężarze, aby mogli służyć rzymskiemu kościołowi, prze-

300

konywać o jego świętości, stwierdzać jego potęgę i szerzyć królestwo swojego tyrańskiego „Kościola”.

Dla dobra człowieka mało się czyni, na chwałę Boga jeszcze mniej. Tysiące dróg otwieranych jest w największym znoju krwawiącymi dłońmi, w pocie czoła, z nazbyt szczodrym szafowaniem życiem ludzkim; drążone są i prześwidrowywane góry na wylot, skały rozłupywane są aż do samych podstaw — a wszystko to w jakim celu? Aby duchowieństwo mogło bez przeszkód kroczyć po nich naprzód i wspinać się wzwyż, dążąc do wybicia się ponad wszystkich i ponad wszystko i stanięcia na górującym nad światem szczycie, z którego będzie mogło wreszcie roztoczyć wszechwładnie berło swojego molocha — „Kościola”.

Tak jednak nie będzie. Bóg nie stoi po stronie Rzymu, a gdyby Syn Boży miał w dalszym ciągu cierpieć za wszystkie bóle i smutki ludzkie, czy nie bolałby nad okrucieństwem i nad ambitnymi dążeniami Rzymu, jak niegdyś bolał nad zbrodniami i klęskami skazanej na zagładę Jerozolimy?

O, czciciele potęgi! O, strojni w infuły, ubiegający się o królowanie nad światem! Wybije godzina i dla was nawet, kiedy szczęśliwie będzie dla serc waszych — omdlewających przy każdym słabym, urywanym uderzeniu — że istnieje Miłosierdzie przekraczające granice współczucia ludzkiego i Miłość silniejsza aniżeli mocarna śmierć, wobec której i wy nawet zmuszeni będziecie stanąć i paść pokonani przez nią; Miłosierdzie, potężniejsze niż wszelki grzech, niż wasze grzechy nawet; Litość, która zbawia światy — nie, która rozgrzesza kapłanów.

Po raz trzeci usiłowano mnie skusić wystawnością Rzymu — glorią jego królestwa.

Prowadzono mnie do kościołów na uroczyste obchody — w dniu fetę — świąt zarówno kościelnych, jak państwowych; pokazano mi cały rytuał i ceremoniał papieżstwa.

Wielu ludzi — mężczyzn i kobiet — niewątpliwie przerastających mnie o wiele pod tysiącem względów, uległo olśnieniu

301

tym roztoczonym przed nimi przepychem, oświadczając, że jakkolwiek rozum ich protestuje przeciwko temu, wyobraźnia ich wszakże jest olśniona i podbita. O sobie jednak nie mogę tego powiedzieć. Ani okazałe gromadne procesje, ani wielkie msze, ani jarzące mnóstwa świec, ani ślące ku niebu swoje wonne dymy, potrząsane przez cały czas kadzielnice, ani przepych strojów kapłańskich i różnorodność nakryć głów księży, ani przytłaczające bogactwo drogich kamieni na ich szatach nie działały absolutnie na moją wyobraźnię. To, co widziałam, uderzyło mnie jako pstrokaczna, ale nie jako wielkość, jako gruby materializm, a nie jako uduchowanie poetyckie.

Nie wyznałam tego wszystkiego ojcu Silasowi: był stary i sprawiał wrażenie czcigodnego kapłana. Mimo wszystkich bezowocnych prób, mimo powtarzających się, doznawanych z mojego powodu rozczarowań zachował dla mnie życzliwość. Nie chciałam więc ranić jego uczuć. Pewnego wieczoru jednak, kiedy pokazano mi z balkonu okazałego domu wielką gromadną procesję przedstawicieli kościoła i armii pospołu — księży niosących relikwie i żołnierzy w pełnym uzbrojeniu, otylego, sędziwego arcybiskupa, odzianego w koronki i batysty, który wyglądał jak szary gołąb strojny w pióra rajskiego ptaka, i gromadę młodych dziewcząt w fantastycznych, zdobnych w girlandy sukniach — otwarcie powiedziałam Monsieur Paulowi, co o tym myślę.

— Nie podobało mi się to — przyznałam — nie mogę wykrzesać z siebie szacunku dla tego rodzaju ceremonii; nie chcę już więcej patrzeć na nie.

Ulżywszy tym oświadczeniem mojemu sumieniu, mogłam już mówić śmielej i swobodniej niż zwykle i wykazać mu, że ani myślę odstępować od moich wierzeń kościoła reformowanego i że im bliżej stykam się z papizmem, tym mocniej tkwię przy protestantyzmie. Niewątpliwie można dopatrzeć się błędów w każdym kościele, teraz wszakże siłą kontrastu przekonuję się, jak nienagannie czysty

302

jest mój własny w porównaniu z tym, którego pstra, nazbyt ozdobna strona zewnętrzna została mi odsłonięta, aby wzbudzić mój zachwyt dla niej. Powiedziałam mu, że my, protestanci, zachowujemy mniej form w naszych stosunkach z Bogiem, utrzymując w istocie nie więcej ich aniżeli wymaga tego natura ludzi wziętych w masie, aby zapewnić im niezbędne podstawy obrządkowości. Powiedziałam mu, że nie mogę patrzeć na te wszystkie kwiaty, na świece woskowe, na cały ten blichtr, na hafty i koronki w czasie, miejscu i okolicznościach, poświęcanych na podnoszenie wzroku ku Temu, którego siedzibą jest Nieskończoność, a Jego istnienie Wiecznością. Mówiłam w dalszym ciągu, że myśląc o grzechu i smutku, o zepsuciu i zdeprawowaniu moralnym, jakie panuje na ziemi, o ciężkich klęskach i niedolach doczesnych — nie mogę zachwycać się intonującymi pieśnią religijne księżmi czy mamroczącą je służbą kościelną. A kiedy muszę patrzeć na udreki bytu i grozę rozwiązłości — kiedy narzuca mi się przemożnie potęga nadziei i bezmiar zwątpienia w

przyszłość — o, wówczas wszelkie uczone wywody czy modlitwy w języku narzuconym i martwym są dokuczliwą przeszkodą dla serca, które pragnie jedynie wołać: — Boże, bądź miłościw dla mnie grzesznej!

Kiedy dałam w ten sposób wyraz moim wierzeniom i tak zdecydowanie odcięłam się od jego wiary, doczekałam się wreszcie zgodnie nastrojonego tonu, wtóru sympatii, niezmaconej harmonii, łączącej w jeden zgodny akord dwa pozostające w konflikcie wzajemnym umysły. — Bez względu na to, co mówią księża czy ich oponenci — mruknął Monsieur Emanuel — Bóg Najwyższy jest dobry i kocha wszystko, co szczerze. Może więc pani wierzyć, w co pani chce i potrafi, może pani wierzyć, jak pani dyktuje jej przekonanie: jedną przynajmniej modlitwę zanosimy wspólną. I ja także wołam: O, Dieu, sok appaisé etwers moi, qui suis pecheur! — O, Boże, bądź miłościw dla mnie, który jestem grzesznikiem.

303

Oparł się o grzbiet swojego krzesła. Po chwili milczenia zaczął mówić ponownie:

— Czym w oczach Tego, którego dziełem są wszystkie firmamenty, który tchnął życie we wszystko, co istnieje na ziemi i pośród gwiazd tam w górze, wydają się różnice dzielące ludzi? Tak samo jednak, jak nie istnieje dla Stwórcy czas, nie istnieje dla Niego i miara również ani porównanie. Poniżamy się w naszej małości i słusznie tak czynimy, możliwe wszelako, że stałość jednego serca, wierność bodaj jednego umysłu dla światła, jakie wskazał mu On, mają dla Niego takie samo znaczenie, jak odpowiednie krążenie satelitów dokoła ich planet, planet dokoła ich słońca, a słońca z kolei dokoła potężnego, niewidzialnego owego ośrodka, niepojętego, nie-ziszczalnego, zaledwie możliwego do odgadywania, i to z wielkim wysiłkiem i napięciem umysłu.

Niech Bóg Wszechmocny prowadzi nas wszystkich! Niech Bóg Wszechmocny pobłogosławi pani, Lucy!

Rozdział XVII

Jasność słońca

Paulina wyrzekła się wprawdzie dalszej wymiany listów z Grahamem, dopóki nie uzyska zezwolenia ojca na tę korespondencję, ale doktor Bretton nie mógł przebywać o milę od hotelu Crécycy nie urządzając się tak, aby móc często odwiedzać jego mieszkańców. Oboje zakochani mieli, jak przypuszczam, szczerzy zamiar trzymać się z dala od siebie; nie odstąpili od tego zamiaru, o ile dotyczył on wyraźnych konkurów, jednak uczucia, jakie żywili dla siebie, zbliżały ich coraz bardziej.

Wszystko, co było najlepsze w Grahamie, porywało go ku Paulinie; wszystko, co miał w swojej naturze wzniosłego i szlachetnego, wyzwalalo się w nim i potęgowało w jej obecności. Intelkt jego brał, jak sądzę, słaby udział w adorowaniu Miss Fanshave, teraz wszakże wchodziły w grę wszystkie jego władze umysłowe, najwyższe umiłowania i wzloty ducha. Wszystkie one, podobnie jak wszystkie jego uzdolnienia, łaknęły dla siebie pożywki, wdzięczne za jej znalezienie, ilekroć to się wydarzyło.

Nie powiem, aby Paulina rozmyślnie naprowadzała Grahama na rozmowy o książkach albo też postanowiła pobudzać go do rozważań na ich temat czy do zastanowienia się nad rozmaitymi sprawami, a tym bardziej, aby miała specjalnie na względzie kształcenie i rozwijanie jego umysłu. Nie wyobrażała sobie wcale, aby jego umysł mógł być w jakimkolwiek kierunku doskonalony jeszcze i rozwijany. Uważała doktora Johna za skończoną doskonałość. On sam, przypadkiem, kiedy częściej zaczął bywać w hotelu Crécycy, wspominał o jakiejś książce, którą czytał właśnie, a kiedy w odpowiedzi spotkał się z tak miłą dla niego zgodnością sądów i upodobań ich obojga, zachęćto go to do coraz obszerniejszego poruszania

305

podobnych zagadnień, o których mówił więcej i lepiej, niż zdarzało mu się mówić kiedykolwiek. Paulina słuchała go z rozkoszą i odpowiadała mu z ożywieniem. Każda jej

odpowiedź była dla Grahama muzyką, przemawiającą coraz subtelniej do jego uczucia. W każdej z nich znajdował akcent sugestywny, przekonywający, otwierający przed nim jak gdyby zaklęciem czarodziejskim zaledwie przeczuwaną przez niego skarbnicę jej ducha, wykazujący mu zarazem nie podejrzewane wcale potęgi własnego jego umysłu i co ważniejsze, drzemiące skarby uczuć jego serca. Każde z nich obojga zachwycało się sposobem mówienia i ujmowania rzeczy przez drugie; podobała się im wzajem ich dykcja, sposób wyrażania; każde z nich rozkoszowało się sprytem i dowcipem rozmówcy; porozumiewali się z sobą, podchwytyjąc znaczenie wypowiedzianych sądów z niesłychaną łatwością i szybkością. Ich myśli dopasowywały się wzajem, niby starannie dobierane cenne perły. Graham miał w naturze swojej nieustannie tryskające źródło szczerego humoru, jakiego pozbawiona była, w takim stopniu przynajmniej, Paulina. O ile nie była pobudzona czymś szczególnie, skłonna była raczej do wpadania w zadumę i medytację — teraz wszakże zdawała się wesolutka jak skowronek. W obecności ukochanego promieniała łagodnym, ale radosnym światłem. Trudno opowiedzieć, jak piękną uczyniło ją szczęście. Nie mogłam dość napatrzeć się jej. Gdzie się podziała ta, cienka zresztą, lodowa powłoka rezerwy, na której pomoc liczyła z taką pewnością? O, Graham nie zniósłby jej na dłuższą metę! Pod jego wpływem roztąjała, a wraz z tym znikło onieśmienie, znikła powściągliwość, jaką narzuciła sobie rozmyślnie.

Innym tematem rozmów były dawne czasy spędzone razem w Bretton; najpierw wspominali je wyrывkowo tylko, z żartobliwym przekomarzaniem, powoli jednak z coraz bardziej wzrastającą wzajemną ufnością. Graham znalazł dla siebie lepszą sposobność, aniżeli pragnął znaleźć z moją pomocą: uniezależnił się od pośrednictwa, którego odmówiła mu ta nieuczynna Lucy. Wszystkie

306

jego wspomnienia o „małej Polly” zostały wypowiedziane w sposób właściwy i najmiłszy dla niej: jego własnymi, ślicznie wykrojonymi ustami. O ile lepiej uczynił to, aniżeli korzystając z mojej pomocy!

Niejednokrotnie, kiedy byliśmy same, Paulina powtarzała mi, jak bezcennym dla niej odkryciem było przekonywanie się o ścisłości jego pamięci w tych rzeczach. W chwili kiedy patrzył na nią, bezwiednie wyczarowywał tysiączne drobne wspomnienia. Odtwarzał między innymi scenę, kiedy to malutka Polly objęła pewnego dnia głowę chłopca obu swoimi ramionkami, pieszcząc lwią jego grzywę i wołając: „Kocham cię, Grahamie, naprawdę cię kocham”. Z kolei ten duży, ten wielki Graham przypomniał jej, że zwykle stawiała stołeczek u jego nóg i po tym stołeczku wdrapywała mu się na kolana. Utrzymywał, że do dzisiejszego dnia pamięta dotyk jej maleńkich rączek, głaszczących pieszczotliwie jego policzki lub tonących w gąszczu jego włosów.

Pamiętał dotknięcie wskazującego paluszka, który wkładała na wpół drżąca i onieśmiona, zarazem jednak zaciekawiona, w poprzeczne wgłębienie na jego podbródku, jej sepleniącą wymowę i wyraz jej twarzyczki, kiedy nazywała to wgłębienie „ślicznym małym dołeczkiem”, po czym patrzyła mu w oczy i pytała, dlaczego „prześwidrowuje” ją nimi tak aż „do dna”, mówiąc zarazem, że ma „ładną, dziwną twarz: o wiele ładniejszą i o wiele dziwniejszą niż twarz jego mamy czy Lucy Snowe”.

— Byłam jeszcze takim dzieciakiem — zauważyła Paulina, powtarzając mi tę rozmowę — że mogę tylko dziwić się własnej śmiałości. Wydaje mi się on teraz i wszystko w nim świętością nieomal, nietykalną świętością; czuję prawie lęk, gdy patrzę na jego energiczny, jak gdyby wykuty z marmuru podbródek, na jego wyrzeźbione greckie rysy. Nazywamy kobiety pięknymi; Graham nie ma w sobie przecież nic kobiecego i dlatego, jak przypuszczam, nie można nazwać go pięknym; jaki więc jest w takim razie? Czy i inni

307

ludzie patrzą na niego tak jak ja? Czy i pani również zachwyca się nim? Czy i pani podziwia go tak samo, jak ja?

— Powiem ci, co robię — odpowiadałam jej pewnego razu na jedno z pytań tego rodzaju.

— Nie widzę go nigdy. Przyjrzałam mu się parę razy przed rokiem mniej więcej, zanim jeszcze poznałam we mnie dawną Lucy Snowe, potem zamknęłam oczy. Gdyby postać jego miała dwanaście razy przesunąć się przede mną pomiędzy wschodem a zachodem słońca, nie wiedziałabym — chyba że podsunęłaby mi to moja pamięć — kto przeszedł w tej chwili.

— Co chce pani powiedzieć przez to, Lucy? — zapytała szeptem.

— Chcę powiedzieć, że doceniam jego wygląd i boję się, że mnie olśni. — Należało dać jej od razu surową odprawę, aby położyć kres tym czułym, namiętym zwierzeniom, płynącym z jej ust ze słodyczą miodu, a jednak często wpadającym w moje uszy z żarem i wagą roztopionego ołowiu. Osiągnęłam zamierzony cel. Nigdy już odtąd nie unosiła się w rozmowie ze mną zachwytem nad urodą ukochanego.

Nie przestała jednak mówić o nim; czasem nieśmiało, cichymi, krótkimi zdaniami, a czasem znów z tkliwością rytmu i muzyką głosu, które same przez się pieściły czarem niepowszednim. Mnie wszakże drażniły one nieraz niepomierne i wówczas, wiem, że patrzyłam na nią i przemawiałam do niej surowo, na co nie reagowała. Niezmałowane szczęście znieczuliło jej wrodzoną wrażliwość, co najwyżej więc mogła uważać Lucy Snowe za istotę podlegającą niewytłumaczonym nastrojom i kaprysom.

— Spartanko! Dumna, nieprzystępna Lucy! — mówiła w takich razach, uśmiechając się do mnie. — Graham mówi, że jest pani najdziwniejszą, najbardziej nieobliczalną kobietą, jaką zna. Jest pani jednak samą doskonałością. Oboje tak myślimy.

— Oboje myślicie, sami nie wiecie co — zgromiłam ją. — Bądźcie tak dobrzy i zechciejcie czynić mnie możliwie rzadko obie-

308

ktem waszych rozmów i myśli. Mam mój własny rytm i rodzaj życia, odrębny od waszego.

— Ale nasz rodzaj życia jest piękny, a raczej będzie piękny, droga Lucy, a pani będzie brała w nim udział wraz z nami.

— Nie będę brała udziału w życiu żadnej kobiety ani żadnego mężczyzny na tym świecie, w tym pojęciu, jak wy to rozumiecie. Wydaje mi się, że mam jednego tylko przyjaciela, nie jestem jednak tego pewna: dopóki nie zdobędę tej pewności, żyję i żyć będę samotnie.

— Ależ samotność jest smutna.

— Tak. Prawda. Jest smutna. W życiu jednak spotykają nas gorsze rzeczy niż samotność. Czymś stokroć gorszym i sięgającym głębiej niż melancholia jest złamane serce.

— Wie pani, Lucy, zadaję sobie nieraz pytanie, czy znajdzie się kiedykolwiek ktoś taki, kto zdolny będzie w ogóle panią zrozumieć.

Zakochanych cechuje osobliwe zaślepienie i egoizm: chcą mieć świadka swojego szczęścia, chociażby miało go to kosztować Bóg wie ile. Paulina wzbroniła Grahamowi pisanie listów, ale on pisywał je w dalszym ciągu; postanowiła, że nie będą korespondowali, odpowiadała mu wszelako chociażby po to jedynie, aby karcić go za pisanie. Pokazywała mi te listy; z kapryśnością psutego nad miarę dziecka i władczą zaborczością bogatej jedynaczki zmuszała mnie do czytania. Nie dziwiłam się jej tak bardzo, ponieważ czytałam również listy Grahama i rozumiałam jej usprawiedliwioną dumę: były to piękne listy, męskie i czułe zarazem — skromne i rycerskie. Jej odpowiedzi musiały wydać mu się piękne. Nie były pisane w celu wykazania jej uzdolnień w tym kierunku, tym mniej, sądzę, w celu wyrażenia całej głębi jej miłości. Mogło wydawać się wprost przeciwnie, że postawiła sobie za zadanie kryć się z tym uczuciem, a zarazem przygasić miłosny zapach Grahama. Czy mogły jednak takie listy służyć podobnemu celowi? Graham stał się jej drogi na równi z jej własnym życiem, przyciągał ją do siebie z siłą

309

potężnego magnesu. Znajdowała czar i wpływ nieodparty we wszy. stkim, co mówił, pisał, myślał, na czym spoczęły jego oczy. Jej listy były przepojone tym nie wyznany wyznaniem: każdy wyraz, zaczawszy od nagłówka i skończywszy na podpisie, jarzył się nim wręcz.

— Chciałabym, żeby ojczulek się dowiedział!... O, tak bardzo chciałabym, aby się dowiedział! —wzdychała niespokojnie coraz częściej. — Chciałabym i zarazem boję się! Z trudem powstrzymuję Grahama, żeby nie powiedział mu o wszystkim. Niczego nie pragnę goręcej, aniżeli ujawnienia i ustalenia tej sprawy: chciałabym mówić o niej otwarcie — równocześnie jednak obawiam się tego momentu przełomowego. Wiem, jestem pewna, że ojczulek bardzo się rozgniewa. Obawiam się, że będzie oburzony na mnie, że straci dla mnie serce, wyda mu się to może czarną niewdzięcznością z mojej strony; będzie dla niego bolesną niespodzianką, ciosem, wstrząsem; nie jestem zdolna przewidzieć, w jaki sposób wpłynie na niego ta wiadomość. Jak ją przyjmie!

To prawda, że jej ojciec, nie podejrzewając przez długi czas nic zgoła, zaczął zdradzać ostatnio pewien niepokój. On, tak długo zaślepiony w tym jednym punkcie, zaczął miewać chwile nagłych, na razie przelotnych tylko olśnień.

Córce nie powiedział nic o tych swoich podejrzeniach, w momentach wszakże, kiedy nie patrzyła na niego, a może nie myślała o nim, dostrzegłam, że przypatruje się jej badawczo, rozważając coś w duchu.

Pewnego wieczoru — Paulina zajęta była, jak przypuszczałam, w swoim pokoju pisaniem listu do Grahama, pozostawiwszy mnie przy czytaniu — wszedł do biblioteki, gdzie siedziałam, pan de Bassompierre. Usiadł, a ja w tej samej chwili chciałam odejść.

Dostrzegłszy mój ruch, poprosił mnie, abym pozostała. Zrobił to uprzejmie, ale wyczułam w tym pewien nakaz. Zająwszy miejsce przy oknie, z dala ode mnie, otworzył biurko i wyjął z niego coś, co

310

wyglądało jak notatnik. Przez chwilę przerzucał kartki, po czym zatrzymał wzrok na jednej ze stronic.

— Miss Snowe — rzekł, odkładając notatnik — czy wiadomo pani, w jakim wieku jest moja córka?

— Ma około osiemnastu lat; czy tak, proszę pana?

— Tak się zdaje. Ten stary notatnik podaje wyraźnie, że urodziła się 5 maja w roku 18... przed osiemnastu laty. Może to wydać się dość dziwne, fakt jednak, że zatraciłem zupełnie rachubę jej lat. Wciąż nie przestałem myśleć o niej jako o dziecku dwunasto- czy czternastoletnim — jako o dziewczynce w nieokreślonym wieku; wydawała się jednak dzieckiem.

— Tak, ma około osiemnastu lat — powtórzyłam. — Jest dorosła, mimo że taka drobna. Nie będzie już większa.

— Moja kruszyna! Mój klejnocik! — szepnął pan de Bassompierre tonem przenikającym w głąb serca, tym samym, który dźwięczał nieraz w słowach jego córki.

Siedział pogrążony w myślach.

— Niech się pan nie martwi — rzekłam domyślając się, co czuje w tej chwili, jakkolwiek nie zdradził swoich uczuć ani jednym słowem.

— Polly jest jedynym skarbem, jaki posiadam — jęknął — a teraz inni wykryją, jak czystą i cenną perłą jest moja córka; będą pożąдали jej, wyciągną po nią ręce.

Nic nie odpowiedziałam. Graham Bretton, który był tego dnia na obiedzie w hotelu Crécy, bardziej niż kiedykolwiek olśniewał zarówno urodą, jak sposobem prowadzenia rozmowy. Nie wiem jaki tajny rozkwit upiększał tym razem jego powierzchowność i wpływał czarownie na wzniosłe uduchowanie wypowiedzianych przez niego uwag. Szczytna nadzieja czy inna tego rodzaju szlachetna pobudka wpłynęła ostatnio na całe jego zachowanie w sposób

przyciągający powszechną uwagę. Myślę, że tego dnia właśnie zamierzał ujawnić motywy swoich usiłowań i cel ambitnych dą-

311

żeń. Pan de Bassompierre zmuszony był niejako dostrzec kierunek jego myśli i charakter nie wypowiedzianych otwarcie, ale wyraźnie zaznaczanych wynurzeń. Nierychliwy w postrzeganiu, był wszelako ściśle logiczny w rozumowaniu: pochwyciwszy wątek, szedł za nim jak za nicią niezawodną, wiodącą go poprzez długi labirynt mroku.

— Gdzie podziwewa się Polly?

— Jest na górze, u siebie.

— Co robi?

— Pisz.

— Pisz? Co pisze? Czy otrzymuje listy?

— Żadnych innych poza takimi, które może mi śmiało pokazać. I... od dawna już zamierzają obój e zwrócić się do pana.

— Gadanie!... Nie myślą wcale o mnie! O starym ojcu! Stoję im tylko na zawadzie!...

— O, proszę pana... Nie w ten sposób!... Tak nie wolno rozumować! Paulina musi sama przemówić w swojej obronie, a i doktor Bretton także musi osobiście bronić swojej sprawy.

— Nieco za późno. Sprawa zaszła już za daleko, jak widzę.

— O, nie, dopóki nie zyskają pańskiej aprobaty, nic jeszcze nie zostało postanowione ani ustalone — poza tym jedynie, że kochają się wzajemnie.

— Jedynie?... — powtórzył z goryczą.

Wobec narzuconej mi przez los roli powiernicy i pośredniczki zmuszona byłam brnąć dalej.

— Setki razy był doktor Bretton bliski zwrócenia się do pana, pomimo niepospolitej jednak odwagi, jaką zwykł wykazywać, boi się pana śmiertelnie.

— Ma słuszość, że się mnie boi, ma najzupełniejszą słuszość. Śmiał sięgnąć zuchwale po najcenniejsze moje dobro. Gdyby nie zmałił spokoju ducha Polly, pozostałaby przez długie lata jeszcze dzieckiem, jakim była dotychczas... Czy są zaręczeni?

312

— Nie mogliby zaręczyć się, nie otrzymawszy na to pańskiego zezwolenia.

— Łatwo pani, Miss Snowe, mówić i myśleć w sposób nieposzlakowanie rozsądny i prawy, jaki stale i we wszystkim panią cechuje. Niech pani zrozumie jednak, że dla mnie wiadomość ta jest ciosem: moja mała dziewczynka była wszystkim, co posiadałem; nie mam więcej córek ani synów, pan doktor Bretton mógł zwrócić swoje zapęły ku komu innemu. Istnieją dziesiątki bogatych i ładnych kobiet, które przyjęłyby go bardzo chętnie, nie wątpię o tym, jest bardzo przystojny, dobrze ułożony, ma stosunki. Czy nie mógł znaleźć sobie nikogo innego poza moją Polly?

— Gdyby nie spotkał na swojej drodze pańskiej Polly, mógłby — i na pewno podobałyby mu się inne. Siostrzenica pańska, Miss Fanshave, chociażby.

— O, oddałbym mu Ginevrę z całej duszy; ale Polly!... Nie mogę dać mu Polly!... Nie, nie mogę! Nie jest jej równy—zaznaczył z naciskiem. —Czym, proszę mi powiedzieć, dorównuje jej? Mówią wiele o moim majątku. Nie jestem ani skąpcem, ani człowiekiem dbającym nade wszystko o swój interes, świat myśli jednak o takich rzeczach i dba o nie przede wszystkim

— a Polly będzie bogata.

— Tak, to rzecz wiadoma. Całe Villette zna ją jako bogatą spadkobierczynię.

— Czy w ten sposób mówią o mojej małej dziewczynce?

— Tak, panie hrabio.

Zamyślił się głęboko. Pozwoliłam sobie zagadnąć go:

— Czy uważałby pan kogokolwiek w ogóle za godnego Polly? Czy wolałby pan kogo innego dla niej, aniżeli doktora Brettona? Czy sądzi pan, że wyższe stanowisko społeczne czy większy majątek wpłynęłyby na zmianę pańskich uczuć dla przyszłego zięcia?

— O, tą drogą chce mnie pani wziąć?

— Niech pan rozejrzy się po arystokracji Villette — podobałby się panu ktoś spośród niej na męża dla Polly?

313

— Nie, nigdy! Żaden książę ani baron czy vicomte z całej tej gromady pustaków.

— Jak słyszę, wielu z tych panów interesuje się nią—dodałam, nabierając otuchy; widziałam, że spotykam się z uważnym raczej słuchaniem moich uwag aniżeli z oburzeniem na mnie. — Jeśli doktor Bretton—dodałam — odejdzie wzgardzony, przyjdą na jego miejsce inni starający się o rękę pańskiej córki. Dokądkolwiek pojedzie pan z nią, nie brak jej będzie, jak przypuszczam, poważnych konkurentów. Niezależnie od bogatego wiana, jakie ją czeka, wydaje mi się, że Paulina oczarowuje swoją osobą większość tych, którzy ją poznają.

— Czyżby? Czy to możliwe? Moja dziewczynka nie jest przecież zaliczana do piękności!

— O, myli się pan, sir, panna de Bassompierre jest piękna.

— Nic podobnego! Daruje pani, Miss Snowe, wydaje mi się jednak, że sądzi ją pani zbyt stronniczo, zbyt pobłażliwie. Mnie osobiście podoba się Polly, podoba mi się jej uroda, jej cały sposób bycia, ale ja przecież jestem jej ojcem! A jednak i ja nawet nie uważałem jej nigdy za piękność. Jest powabna, interesująca, ma w sobie coś z czarującej rusałki leśnej, bierze tym mnie — i niewątpliwie innych także — myli się pani jednak, mówiąc o niej jako o piękności.

— Pociąga ludzi ku sobie, pociągałaby ich nawet bez upiększających ram pańskiego majątku i pańskiej pozycji towarzyskiej.

— Mojego majątku i mojej pozycji towarzyskiej?! Czy to one są przynętą dla Grahama? Gdybym tak przypuszczał...

— Doktor Bretton zna dobrze te walory, jak pan nie wątpi oczywiście, panie de Bassompierre, ocenia je też tak, jak oceniałby je każdy gentleman, jak pan sam oceniłby je w podobnych warunkach — nie one jednak były przynętą dla Grahama. On kocha pańską córkę, widzi w niej najpiękniejsze, najwznieściejsze jej zalety i umie należycie je ocenić.

314

— Jak to? Czyżby małe moje ukochanie miało naprawdę „najpiękniejsze, najwznieściejsze zalety”?

— O, sir, czy przyjrzał jej się pan owego wieczoru, kiedy tylu wybitnych luminarzy wiedzy, tyle znakomitości ze świata nauki obiadowało tutaj?

— Byłem istotnie zdumiony i zaskoczony jej zachowaniem owego wieczoru; jej maniery dojrzałej kobiety wywołały uśmiech na moich ustach.

— A czy dostrzegł pan, jak ci wszyscy najwybitniejsi Francuzi skupili się dokoła niej w salonie?

— Tak, dostrzegłem, sądziłem jednak, że szukają odprężenia niejako, że Sawią się nią, jak bawiliby się ładnym dzieckiem.

— O, s r, Paulina zachowywała się z niepospolitym urokiem i dystynkcją, i, słyszałam też, jak ci francuscy panowie mówiąc o niej, nazywali ją p'trie d'esprit et de grace — pełną rozumu i wdzięku. Doktor Bretton był o niej tego samego zdania.

— Jest dobrym, kochanym dzieckiem—nie ulega wątpliwości, przyznaję też w istocie, że ma silny charakter. Przypominam sobie teraz, że pielęgnowała mnie pieczołowicie, kiedy byłem chory w pewnym okresie mojego życia; przypuszczano, że umrę. Pamiętam, że w miarę pogarszania się stanu mojego zdrowia przybywało jej sił i tkliwości zarazem. A kiedy nastąpiła wreszcie rekonwalescencja, jakim promieniem słońca była ta dziecina w pokoju chorego! Krążyła dokoła mojego fotela bezszelestnie i była promienna jak mały duszek świetlny. A teraz przychodzi ktoś i pragnie pojąć ją za żonę! Nie chcę, nie zgadzam się rozstać z nią! — zakończył z jękiem.

— Zna pan panią Bretton i jej syna od tak dawna — próbowałam podsunąć mu nową myśl — wydanie Polly za niego byłoby w mniejszym stopniu rozstaniem się z nią, aniżeli wydanie jej za kogokolwiek innego.

Zamyślił się ponuro.

— Słusznie. Znam od dawna Luizę Bretton — szepnął. — Ona

315

i ja jesteśmy w istocie bardzo starymi serdecznymi przyjaciółmi; była za swoich młodych lat miłą, kochaną dziewczyną. Mówi pani o piękności, Miss Snowe — ona właśnie była prawdziwą piękną. Dorodna, słusznego wzrostu, zgrabna, kształtna, kwitnąca — nie jak ta moja mała rusałka, Polly. Luiza Bretton, mając osiemnaście lat, miała postawę i ruchy monarchini. Teraz już jest tylko przystojną, zącną starszą kobietą. Chłopak wrodził się w nią — zawsze byłem o nim tego zdania, miałem dla niego szczególne względy; życzyłem mu jak najlepiej. A teraz odwdzięcza mi się za to chęcią wydarcia mi mojego skarbu! Moja mała pociecha kochała zawsze szczerze i wiernie starego ojca. Teraz już skończyło się to niewątpliwie — jestem na jej drodze tylko zawadą!

Drzwi otworzyły się; jego „mała pociecha” weszła do pokoju. Stroił ją, jeśli można tak się wyrazić, urok wieczorny: promieniała ożywieniem, jakie przynosi czasem z sobą schyłek dnia. Jej oczy i policzki płonęły ciepłym blaskiem, cerę różowiła łuna letniego zachodu; jej loki opadały swobodnie na długą szyję białą jak lilia, a biała suknia była odpowiednia na czerwcowy upał. Przypuszczając, że zastanie mnie w bibliotece samą, przyniosła i trzymała w ręku list, który tylko co napisała — list był włożony do koperty, rozmyślnie jednak nie zaklejonej jeszcze. Chciała przeczytać mi, co napisała. Na widok ojca zatrzymała się na chwilę, jej drobny krok zachwiał się nieco, rumieniec, skupiony na jej policzkach wyłącznie, oblał całą jej twarz.

— Polly — odezwał się do niej pan de Bassompierre — rumienisz się na widok ojca? To coś nowego. Nie było tego nigdy jeszcze.

— Nie rumienię się, nigdy się nie rumienię — zapewniła, słowom jej zaprzeczyła jednak nowa fala szkarłatnej krwi, która, płynąc z serca, zabarwiła jeszcze żywiej jej twarz. — Myślałam, że jesteś w jadalni. Szukałam Lucy.

— Myślałaś, że jestem z Johnem Grahamem Brettonem, przypuszczam? Odwołano go przed chwilą, ale powróci wkrótce, moja

316

Polly. Będzie mógł wrzucić twój list do skrzynki: zaoszczędzi to Mateuszowi sa course — jak nazywa konieczność odbycia drogi.

— Nie wysyłam żadnych listów — rzekła nieco podrażniona.

— Cóż więc robisz z nimi w takim razie? Chodź tutaj i opowiedz mi.

Wahała się przez chwilę — widać to było z wyrazu jej twarzy i z gestu, jak gdyby chciała powiedzieć: „Czy mam podejść naprawdę?” Podeszła jednak.

— Od kiedy to moja córeczka stała się korespondentką, pisującą listy? Wydaje mi się, że wczoraj jeszcze usadzałaś na papierze kulfoniki, smarując po nim zawzięcie piórem podtrzymywanym obu rączkami.

— Ojczulku, to nie są listy do wysyłania pocztą, jak twoje, to tylko notatki, które wręczam komuś od czasu do czasu, ot tak, dla przyjemności.

— Tym kimś jest naturalnie Miss Snowe?

— Nie, ojczulku, nie Lucy.

— Któż więc w takim razie? Może pani Bretton?

— Nie, ojczulku, nie pani Bretton.

— Któż to więc taki, córeczko? Powiedz prawdę twojemu ojczulkowi.

— O, ojczulku! — zawołała, zbrojąc się w odwagę. — Powiem... powiem ci prawdę, całą prawdę. Cieszę się, że mogę wreszcie wyjawic ci ja, mimo że drzę z lęku.

Dygotała w istocie, dreszczem przejmowało ją wzrastające Podniecenie, opanowujące ją uczucie i zdobywanie się na odwagę Wyjawienia prawdy.

— Czuję wstręt do ukrywania przed tobą moich postępów, ojczulku. Boję się ciebie i kocham cię ponad wszystkich i ponad Wszystko, z wyjątkiem Boga jedynie. Przeczytaj list, spójrz na adres.

Położyła list na kolanach ojca. Wziął go, wyjął z koperty i przeczytał cały, do końca: ręce mu drżały, oczy zachodziły wilgotną mgłą.

317

Złożył list i wsunął go z powrotem do koperty, wpatrzony z tkliwym, żalonym zdziwieniem na istotę, której pismo to było dziełem.

— Czy to ona zdolna była napisać te słowa?... Mała dziewczynka, która wczoraj dopiero stała przy moich kolanach? Czy ona naprawdę może odczuwać w ten sposób?

— Ojczulku, powiedz, czy popełniłam coś złego? Czy sprawia ci to przykrość?

— Nie ma w tym nic złego, niewinna moja dziecino, boli mnie jednak.

— Ależ ojczulku, wysłuchaj mnie! Nie będziesz odczuwał bólu z mojego powodu. Wyrzeknę się raczej wszystkiego — prawie wszystkiego — poprawiła się — wolałabym umrzeć raczej, aniżeli unieszczęśliwić cię; byłoby to zbyt wielką niegodziwością z mojej strony!

Wzdrygnęła się.

— Czy list ten nie podoba ci się? Czy nie powinnam go wręczyć? Czy mam go podrzeć?

Podrę go, jeśli każesz, jeśli zażadasz. Zrobię to dla ciebie.

— Nie każę nic. Nie żądam niczego.

— Żądaj ode mnie wszystkiego, czego tylko chcesz! Nakaż mi coś! Wyjaw twoje życzenie; nie urażaj tylko Grahama, nie krzywdź go. Kocham cię, ojczulku, ale kocham i Grahama także, bo... bo... nie mogę go nie kochać!

— Ten twój wspaniały Graham jest młodym nicponiem, moja Polly — takie jest teraz moje zdanie o nim. Dziwi cię, że słyszysz to z moich ust, faktem jest jednak, że nie mam już dla niego ani krzty dawnej przyjaźni. O, dawniej dopatrywałem się czegoś w tym chłopcu, nie potrafiłem jednak nigdy przejrzeć go do dna. Jest w nim coś takiego, czego nie ma w jego matce; utajona jakaś treść, ostrzegająca człowieka, aby nie zapuszczał się zbyt daleko w jej głębię, a teraz nagle wpadłem w nią, zanurzyłem się powyżej głowy.

318

— Ojczulku, nie masz racji, nie wpadłeś; pozostaniesz w dalszym ciągu bezpiecznie na brzegu; możesz postąpić jak zechcesz; masz nade mną nieograniczoną, despotyczną władzę. Możesz zamknąć mnie jutro w klasztorze i złamać serce Grahamowi, o ile zechcesz być tak okrutny. Władco mój nieograniczony, autokrato, carze, czy zrobisz to?

— Precz z nim w głąb tajg Sybiru, wraz z jego czerwonymi bokobrodami; powtarzam, że nie lubię go, dziwię się też, że ty możesz go lubić, Polly.

— Ojczulku, wiesz, że jesteś bardzo niedobry? Nie widziałam cię nigdy jeszcze tak niemiłym, tak mściwym. Na twarzy twojej dostrzegam jakiś obcy, nie twój wyraz.

— Precz z nim! — powtórzył pan Home z miną naprawdę gniewną i zatroskaną, a w każdym razie szczerze rozgoryczoną. — Przypuszczam — dodał z wyrzutem — że gdyby odjechał, zapakowałaby Polly w tłumoczek swoje rzeczy i uciekłaby za nim; zdobył jej serce, z którego wyparł starego ojca. Odłączył cię ode mnie.

— Jesteś naprawdę niedobry, ojczulku, mówiąc w ten sposób. Stanowczo niesłusznie czynisz. Nie wypierał cię nikt z mojego serca; nie możesz być z niego wyparty! Żadna istota ludzka, niczyja siła i niczyje wpływy nie byłyby zdolne odłączyć mnie od ciebie.

— Dobrze, wyjdź za mąż, Polly! Możesz poślubić rude bokobrody. Przestań być córką, bądź odtąd tylko żoną!

— Rude bokobrody?! Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, ojczulku. Powinieneś unikać niesprawiedliwych uprzedzeń. Utrzymywałeś... często, że wszyscy Szkoci, twoi ziomkowie, są ofiarami niedorzecznych uprzedzeń. Dajesz tego dowód teraz ty sam, nie umiając odróżnić koloru czerwonego od ciemnoKasztano-wego.

— Daj spokój starym, skorym do uprzedzeń Szkotom, idź sobie!

Stała, wpatrzona w niego przez chwilę. Chciała okazać stanow-

319

czość, wyższość swoją ponad szyderstwo i niezasłużone wyrzuty: znając charakter ojca, wyczuwając jego nieliczne słabe strony, była przygotowana na scenę, jaka rozegrała się teraz. Nie zaskoczyła jej też ona jako niespodzianka; pragnęła jedynie, licząc się z możliwością gwałtownej reakcji ze strony ojca, aby nie narażona była przy tym na szwank godność żadnego z nich trojga. Jej własne poczucie godności nie przydało się jednak na nic. Załamał się nagle cały z wysiłkiem zdobyty hart jej duszy, oczy zaszklily się łzami; rzuciła się ojcu na szyję.

— Nie opuszczę cię, ojczulku! — zawołała z łkaniem. — Nigdy cię nie opuszczę! Nie sprawię ci nigdy bólu!

—Jagniątko moje! Mój skarbie! —szeptał kochający, a mimo to twardy, uparty, nieubłagany ojciec. Nie powiedział nic więcej na razie, a i te wyrazy brzmiały dziwnie ochryple.

W pokoju ściemniło się już. Usłyszałam kroki za drzwiami. Przypuszczając, że może to być służący wchodzący z zapalonymi świecami, otworzyłam, aby uniknąć jego nagłego wejścia.

W przedpokoju nie było jednak służącego: wysoki mężczyzna umieszczał swój kapelusz na stole, ściągając z wolna z rąk rękawiczki. Miałam wrażenie, że ociąga się z wejściem do biblioteki. Nie wezwał mnie ani znakiem, ani głosem, wyczytałam jednak wyraźnie w jego oczach: „Niech pani przyjdzie tu, Lucy”.

Podeszłam do niego.

Po twarzy przemknął mu uśmiech, kiedy spojrzał na mnie: nikt oprócz niego nie byłby zdolny uśmiechem wyrazić gwałtownego wzruszenia, jakie miotало nim w tej chwili.

— Pan de Bassompierre jest tutaj? — zapytał, wskazując oczami pokój biblioteczny.

— Tak.

— Zauważył moje podniecenie przy obiedzie? Zrozumiał mnie?

— Tak, panie Grahamie.

— Czeka mnie więc wyrok! A o na ?

320

— Pan Home — nie przestawaliśmy mówić o nim często jako o panu Home — rozmawia z córką.

— O! To ciężka chwila, droga Lucy!

Był wyraźnie poruszony do głębi; jego młode, mocne ręce dygotały; żywe (chciałam napisać śmiertelne napięcie, wyrazu tego wszelako niepodobna użyć w zastosowaniu do człowieka tak jak on kipiącego pełnią sił żywotnych) napięcie przyspieszało teraz gwałtownie jego oddech; pomimo jednak całego podniecenia i niepokoju nie przygasł ani na chwilę uśmiech na jego twarzy.

— Bardzo rozgniewany, jak pani sądzi, Lucy?

— Ona dzielnie dochowuje panu wiary, Grahamie.

— Jaki będzie mój los?

— Urodził się pan znać pod szczęśliwą gwiazdą.

— Naprawdę? Dobra, kochana Sybillo! Dodała mi pani tyle otuchy, że musiałbym mieć doprawdy zajęcze serce, aby tchórzyc teraz jeszcze. Wydaje mi się, że wszystkie kobiety są dobre i uczciwie dochowują wierności, kochana Lucy. Czuję, że powinienem je kochać i kocham je w istocie. Moja matka jest dobra; ona jest boska, a pani, droga Lucy, ma serce wierne niczym złoto. Może nie mam słuszności?

— Tak, Grahamie, ma pan słusność.

— Podaj mi dłoń, kochana mała chrzestna siostrzyczko: życzliwa to dla mnie dłoń i zawsze nią była. A teraz ruszajmy na wielki bój! Oby Najwyższy stanął po stronie sprawiedliwego! Powiedz: amen, Lucy!

Odwrócił się w moją stronę i czekał, dopóki nie powiem: „amen”. Na chwilę wskrzesił we mnie chęć bezwzględnego podporządkowania się jego woli. Życzyłam mu powodzenia; wiedziałam, że będzie ono jego udziałem. Urodził się zwycięzcą, tak jak są ludzie, którzy rodzą się zwyciężonymi.

— Niech pani idzie za mną, Lucy! — rzekł. Poszłam za nim, aby stanąć z nim pospołu przed obliczem pana Hore'a.

321

— Sir — zagadnął go Graham od razu na wstępie — jaki jest wydany na mnie wyrok?

Ojciec Pauliny spojrział na niego: córka zasłoniła twarz rękami.

— I cóż, doktorze Brettonie, spotkała mnie z pańskiej strony zwykła zapłata za gościnność?!... Przyjmowałem pana z otwartym sercem, a pan pozbawił mnie najdroższego mojego skarbu. Zawsze rad widziałem pana w moim domu, a pan przychodził tutaj po to, aby wydrzeć mi jedyny bezcenny dla mnie klejnot. Przemawiał pan do mnie głosem człowieka poczciwego i równocześnie — nie chcę powiedzieć, że o g r a b i ł mnie pan, jestem jednak ograbiony, a to co ja utraciłem, pan zdobył, jak się zdaje.

— Wyznać muszę, sir, że nie czuję wyrzutów sumienia.

— Wyrzutów sumienia?! O, nie należy pan do tych, którzy zdolni są je odczuwać... Triumfuje pan niewątpliwie, Grahamie. Jest pan, w pewnej mierze przynajmniej, potomkiem wodza szczepu Highlanderów szkockich, w całym też pańskim wyglądzie, we wszystkim, co pan mówi i w pańskim nastawieniu widoczne są ślady pochodzenia celtyckiego. Ma pan celtycką przebiegłość i zarazem celtycki urok. Rude... (niech będzie po twojemu, Polly, kasztanowate) włosy, chytrze podstępna mowę, przebiegły rozum — wszystko to odziedziczył pan po swoich przodkach, doktorze Brettonie.

— Czuję, że jestem uczciwy, sir — rzekł Graham, przy czym typowo angielski rumieniec oblał jego twarz, jako żywe, ciepłe świadectwo szczerości jego wyznania. — A jednak pod pewnym względem nie myślę przeczyć, że oskarża mnie pan słusznie. Będąc w towarzystwie pańskim, tailem zawsze wobec pana myśl, której nie śmiałem ujawnić. Patrzyłem na pana w istocie jako na posiadacza skarbu najcenniejszego dla mnie na świecie. Pragnąłem go. Czyniłem, co było w mojej mocy, aby go zyskać. Proszę teraz, niech mi wolno będzie nazwać go moim, sir!

— Wiele żądasz pan, Johnie.

322

— Bardzo wiele, sir. Musi pan jednak ofiarować mi to wspaniałomyślnie, jako dar; sprawiedliwie, jako nagrodę. Nie mógłbym nigdy zdobyć jej w inny sposób.

— O, posłuchajcie tego tonu Highlanderów! — rzucił pan Home ironicznie. — Spójrz na niego, Polly! Podnieś oczy! Odpowiedz śmiałkowi. Każ mu iść precz!

Podniosła posłusznie oczy, spoglądając nieśmiało na swego pięknego wielbiciela i czule równocześnie na chmurnego, zasepionego swojego „starszego pana”.

— Ojczulku, kocham was obu — szepnęła — mogłabym się troszczyć o jednego i drugiego. Nie mam potrzeby odsyłać Grahama — może mieszkać tutaj: nie będzie stał nikomu na przeszkodzie — broniła się z prostotą wysłowienia, która zwykła budzić uśmiech na twarzy zarówno jej ojca, jak Grahama. Uśmiechnęli się obaj i teraz także.

— Będzie ogromną przeszkodą dla mnie — upierał się w dalszym ciągu pan Home. — Nie chcę go tutaj, Polly. Jest za wysoki, przeszkadza mi. Każ mu odejść!

— Przyzwyczajasz się do niego, ojczulku. Przekonasz się, że przywykniesz. I mnie także wydawał się z początku niepomiarne wysoki, jak wieża, ile razy musiałam zadzierać głowę do góry, żeby spojrzeć na niego; na ogół jednak nie chciałam wcale, żeby był inny.

— A ja nie zgadzam się na niego pod żadnym względem, Polly. Mogę doskonale obejść się bez zięcia. Nie pragnąłbym nigdy, aby najlepszy nawet człowiek w całym kraju związany miał być ze mną podobnego rodzaju więzami rodzinnymi. Każ temu panu odejść.

— Zna cię przecież już od tak dawna ojczulku i tak dobrze umie dostosować się do ciebie. Tak odpowiadało ci zawsze jego towarzystwo...

— Komu odpowiadało? Mnie?!... Przenigdy! Tak, udawał, że zgadza się ze mną we wszystkim. Udawał, że podziela wszystkie

323

moje sądy i upodobania. Ustępował mi, mając po temu aż nadto ważne własne swoje powody. Myślę, moja Polly, że czas już najwyższy, abyśmy oboje, ty i ja, pożegnali raz na zawsze tego pana.

— Nie na zawsze, tylko do jutra. Podaj rękę Grahamowi, ojczulku.

— Ani myślę! Nie jestem jego przyjacielem. Nie mam wcale zamiaru wciskać się pomiędzy was oboje, przymilać się wam obojgu.

— Wiem na pewno, z całą pewnością, że jesteście sobie wzajem przyjaciółmi. Grahamie, wyciągnij do ojczulka prawą rękę. Ojczulku, wyciągnij i ty swoją. A teraz każcie obu waszym ręko~ zetknąć się z sobą... Ojczulku, nie stój sztywno jak drąg. Zamknij swoje palce; bądź posłuszny! Tak! Ależ to nie jest uścisk, to chwy jak w pasji. Ojczulku, wpijasz się w rękę Grahama jak śruba. Miażdżysz ją do kości, sprawiasz mu ból.

Musiał mu istotnie sprawić ból. Graham nosił na palcu masywny pierścień wysadzany brylantami, których ostre kanty werżnęły si w ciało, raniąc je do krwi, ból jednak tak samo wywołał uśmiech n jego ustach, jak poprzednio wywołał go miotający nim niepokój.

Niech pan wejdzie ze mną do mojego gabinetu — zwrócił się wreszcie pan Home do młodego lekarza. Poszli obaj. Ich rozmowa nie trwała długo, przypuszczam jednak, że była decydująca. Konkurent został poddany ścisłemu badaniu i musiał dawać wyczerpujące odpowiedzi na wiele pytań co do przeróżnych spraw. Niezależnie od tego, czy doktor Bretton był, czy nie był chwilami podstępny w mowie i spojrzeniu, jego intencje były szczerze. W swoich odpowiedziach, o czym dowiedziałam się później, wykazał zarówno poważną znajomość rzeczy, jak nieskazitelną uczciwość. Bardzo dobrze pokierował swoimi sprawami. Wywalczył sobie zwycięsko drogę poprzez gąszcz powikłań i trudności; był bliski już odzyskania utraconego, odziedziczonego po ojcu majątku; dowiódł panu de Bassompierre, że jest w stanie, nie licząc na niczyją pomoc, stworzyć własny dom, ożenić się.

324

Ojciec i konkurent zjawili się ponownie w bibliotece. Pan de Bassompierre zamknął drzwi i wskazał na swoją córkę.

— Bierz ją — rzekł — bierz ją, Johnie Brettonie, i niech Bóg, nasz Sędzia Najwyższy, tak postąpi z tobą, jak ty postąpisz z nią!

Niedługo potem, po upływie dwóch tygodni może, ujrzałam trzy osoby: hrabiego de Bassompierre, jego córkę i doktora Grahama Brettona, siedzących razem na ławce pod rozłożystym, dającym miły cień drzewem, rosnącym na gruntach pałacu w Bois l'Etang. Przybyli tutaj, aby zażyć świeżości letniego wieczoru; przed wspaniałymi wrotami oczekiwali na nich powóz, który miał zabrać ich do domu. Zielone obszary murawy słały się dokoła nich miękko zamglone, w oddali wznosił się pałac biały, jak stroma skała w Pente-likonie; ponad ich głowami jaśniała gwiazda wieczorna; gaj kwitnących krzewów owiewał balsamem powietrze uroczego zakątka. Pora była cicha i łagodna. Poza ich trojgiem nie było tutaj nikogo.

Paulina siedziała pomiędzy obu panami. Słuchając ich rozmowy, wprawiała w ruch drobne ręce, zajęte misterną jakąś robotą. Sądziłam zrazu, że wiąże bukiet, ale nie: maleńkimi nożyczkami, połyskującymi na jej kolanach, odcięła po pasemku z każdej męskiej pochylonej w jej stronę głowy, a teraz splatała razem siwe włosy ze złocistymi. Po upleceniu z nich cienkiego warkoczyka — nie mając pod ręką jedwabnej nitki do jego związania, użyła włosa z własnej głowy do tego celu, umocniwszy go supełkiem i zamknąwszy całość w medalioniku, schowała go na swoim sercu.

— Mam teraz — rzekła — niezawodny amulet, mający czarodziejską moc utrzymywania przyjaźni pomiędzy wami obydwoma. Dopóki będę go nosiła na sercu, nie może poróżnić was żaden spór ani nawet najdrobniejsza sprzeczka.

Spleciony został w istocie jej drobnymi palcami amulet i zaklęty w nim czar, który uniemożliwiał wszelką pomiędzy obu najdroższymi jej istotami wrogość. Paulina stała się węzłem trwale je łączą-

325

cym, wywierającym na nie wpływ magiczny, zadzierzgującym trwałą pomiędzy nimi zgodę i duchową spójnię. Z nich obu czerpała swoje szczęście, a wszystko, co brała od nich, oddawała im z sutą nawiązką.

Czy może naprawdę istnieć podobnie niezmacone szczęście na ziemi? — zadawałam sobie pytanie, obserwując tę trójkę: ojca, córkę i przyszłego jej męża — już teraz zjednoczonych, błogosławionych i błogosławiących.

Tak. Istnieje. Bez wszelkiego zabarwienia romantycznego, bez przesady czy fantazjowania. Niektóre istoty ziemskie zaznają naprawdę — w ciągu pewnego szeregu dni czy lat — szczęścia rajskiego, mam też głęboką wiarę, że o ile szczęście takie staje się raz życiu bodaj udziałem ludzi dobrych (źli nie zaznają go nigdy), ni ztracają się w zupełności ślady dobroczynnego wpływu, jaki wywarło ono na nich. W jakikolwiek sposób miałby ich później do świadczyć los, jakiegokolwiek miałyby czekać ich przejścia, choroby czy straty istot najbliższych, prześwieśla najcięższe dla nich chwile niezagasły blask dawnego szczęścia, darzący ich pociechą w najgłębszych smutkach, rozjaśniający najczarniejsze, zgromadzone nad ich głowami chmury.

Powiem więcej nawet. Wierzę naprawdę w istnienie na ziemi ludzi urodzonych pod tak szczęśliwą gwiazdą, wychowanych w tak korzystnych warunkach, kierowanych, strzeżonych i ochranianych tak serdecznie od miękkiej kołyski aż do późnego, cichego grobu, że nie przenika do ich życia żadne nadmierne cierpienie, żadna chmura burzowa nie rzuca cienia mrocznego na drogę ich doczesnej wędrówki. Co ciekawsze, nie bywają to często rozpieszczone przez los, samolubne natury, ale jej najszczytniejsi, najlepsi wybrańcy: mężczyźni i kobiety, siejący wokół swój wpływ dobroczynny, błogosławione czynniki, niosące ludziom błogosławione dary boże.

Nie zwlekajmy jednak z opisem przykładu takiego prawdziwego szczęścia. Graham Bretton i Paulina de Bassompierre zostali

326

/

połączeni węzłem małżeńskim. Doktor Bretton okazał się takim właśnie błogosławionym czynnikiem, takim nieustannym źródłem i siewcą łask. Czas nie przyniósł mu najslabszych oznak zwyrodnienia, wprost przeciwnie, pewne drobne jego wady zatarły się, cnoty natomiast dojrzały i utrwaliły się. Jego władze duchowe rozwijały się coraz subtelniej, zyskiwał coraz bardziej na sile moralnej, która w zamian darzyła go korzyściami moralnymi; odpłynęły gdzieś bezpowrotnie wszelkie męty zanieczyszczające, pozostało czyste, nie zmacone żadnymi naleciałościami szlachetne wino. Świetlany był również los jego żony. Utrzymała w pełni miłość swojego męża, przyczyniła się do nieustannego uszlachetniania jego natury, była niezachwianą podstawą i racją jego istnienia.

Szczęśliwe to było w istocie stadło: z biegiem lat, które przyniosły im obojgu wielkie powodzenie materialne, wzrastała także ich dobroć: szczerze, z otwartymi rękami, ale przezornie i rozumnie, dzielili się z innymi dobrami tego świata, które tak obficie przypadły im samym w udziale. I oni także, niewątpliwie, zaznali rozczarowań, trudności i smutków, i na nich także spadły ciosy, umieli jednak znosić wszystko mężnie i z poddaniem. Niejednokrotnie także stawał na ich drodze Ten, którego oblicze jest niewidzialne dla śmiertelnych, kiedy jednak znajdują się z Nim oko w oko, staje się dla nich życie niemożliwością: i oni oboje także musieli spłacić dług Władcy Grozy. W pełni sił jeszcze zszedł z tego świata pan de Bassompierre; Luiza Bretton rozstała się z życiem doczesnym w wieku sędziwym. Raz także rozległ się w siedzibie młodej pary jęk rozpacz Racheli, oplakującej swoje dzieci, inne wszakże biegały zdrowe i kwitnące, aby zastąpić utracone. Doktor Bretton odrodził się w synu, który odziedziczył po nim urodę i pogodne usposobienie; miał także piękne, jak on sam, córki; dzieci te wychowywał kochającą, ale stanowczą ręką, wyrosły też zgodnie z zapowiedziami, do jakich upoważniały cechy odziedziczone po rodzicach oraz staranne wychowanie i wykształcenie, jakie zawdzięczały im również.

327

Słowem, pozostaję w najściślejszej zgodzie z prawdą twierdząc, że oba te żywoty, Pauliny i Grahama, były błogosławione, na podobieństwo żywota ulubionego syna Jakubowego „błogosławieństwem, jakim darzyły ich Niebiosa w górze ponad nimi i błogosławieństwem głębin, leżących pod ich stopami”.

Było tak, albowiem Bóg Najwyższy widział, że tak będzie dobrze.

Rozdział XVIII

Chmury

Nie było tak jednakże dla wszystkich. I cóż z tego? Niech się stanie wedle Jego woli, jak na pewno stanie się, niezależnie od tego, czy przyjmujemy Jego wyroki z rezygnacją i pokorą, czy nie. Ten stan rzeczy jest wynikiem impulsu twórczego; potęgi widzialne czy niewidzialne spełniają to zadanie. Musi być dany wzór życia, jakie ma nastąpić. Próba ta wypisana być musi, jeśli zajdzie tego potrzeba, krwią i ogniem. Ogniem i krwią kreślimy kronikę dziejów poprzez wszechświat cały. Ogniem i krwią znaczone są ich ślady we własnym naszym życiu. Człowieku cierpiący, nie przerażaj się nadmiernie grozą palącej tej oczywistości. Znużony wędrowcze, opasz mocniej swe biodra, ufnie skieruj swój wzrok ku górze i maszeruj odważnie przed siebie. Pielgrzymi i bracia żałobnicy, złączcie się przyjaźnią. Nasze drogi, ciemne dla większości spośród nas, prowadzą poprzez dzikie pustkowia tego świata: obyśmy kroczyli po nich równo i stanowczo. Niech krzyż, jaki dźwigamy, służy nam za sztandar. Za kij pielgrzymi, jako za podporę naszą, mamy obietnicę Tego, którego „słowo jest wypróbowane, którego drogi i sposoby są doskonałe”. Nasząfobecną nadzieją jest przezorność Tego, „kto darzy nas tarczą zbawienia, Tego, czyja dobroć czyni ludzi wielkimi; ostateczną naszą siedzibą łono Tego, który przebywa na wyżynie niebios”; nagrodą wieńczącą — gloria wiekuista i bezmierna. Żyjmy tak, abyśmy mogli ją uzyskać: znośmy trudy i przeciwności jak dobrzy żołnierze, dokończmy naszego biegu i zachowajmy wiarę, że w ostatecznym wyniku wyjdziemy z tych zapasów czymś więcej jeszcze niż zwycięzcami. Nie umrzemy!

329

Pewnego poranka byłyśmy wszystkie zgromadzone w klasie w oczekiwaniu na wykład literatury. Wybiła godzina, spodziewałyśmy się przyjścia profesora.

Uczennice pierwszej klasy siedziały wyjątkowo spokojnie i cicho; przepisane na czysto, przygotowane na lekcję wypracowania leżały w pogotowiu przed nimi, starannie przewiązane wstążeczkami, aby profesor, przebiegając pospiesznie od pulpitu do pulpitu, mógł od razu pozbierać wszystkie. Był już lipiec, poranek wyjątkowo piękny; przez oszklone, szeroko

otwarte drzwi wpadał rzeźwiący wietrzyk, pod którego tchnieniem kołysały się rosnące przy oknach rośliny, pochylając główki, zaglądając do wnętrza, zdając się szeptać jakieś wieści. Monsieur Emanuel nie zawsze był punktualny, nie dziwiłyśmy się też jego spóźnieniu, zaskoczone natomiast byłyśmy, kiedy drzwi z korytarza otworzyły się wreszcie i zamiast niego, wbiegającego jak zwykle pospieszonym, ożywionym krokiem, weszła spokojna, opanowana Madame Beck.

Podeszła do katedry, zajmowanej zazwyczaj przez Monsieur Paula, stanęła przed nią, owinęła się szelkierem, okrywającym jej ramiona szalem i utkwivszy wzrok w klasie, zaczęła mówić przyciszonym, zupełnie jednak spokojnym głosem:

— Dzisiejszego rana nie odbędzie się wykład literatury.

Po dwuminutowej przerwie nastąpiła druga część przemówienia:

— Wykłady te będą prawdopodobnie zawieszane na tydzień. Tyle czasu co najmniej będę zmuszona poświęcić na wyszukanie odpowiedniego zastępcy Monsieur Emanuela. Na razie zadaniem naszym będzie zająć w sposób pożyteczny te wolne godziny.

— Profesor wasz, moje panie — dodała — zamierza w odpowiednim momencie i w odpowiedni sposób pożegnać się z wami. W tej chwili nie ma czasu na to. Przygotowuje się do dalekiej, długotrwałej podróży. Nagły, nader ważny obowiązek wzywa go na miej-

330

sce bardzo odległe od Labassecour. Postanowił opuścić Europę na czas nieokreślony. On sam zresztą zechce na pewno opowiedzieć wam o tym coś więcej. Zamiast wysłuchania wykładu profesora Emanuela poświęćcie, moje panienki, tę godzinę na czytanie po angielsku pod kierunkiem Mademoiselle Lucy.

Skłoniła głowę w dostojnym ukłonie, otuliła się szelkierem i wyszła z klasy. Zapadło głębokie milczenie. Po chwili przyciszony szept i niezwykle odgłos pochlipywania rozległ się w klasie. Wyraźne dla mnie było, że niektóre z uczennic płaczą...

Minęło kilka minut. Wzmogły się szmery, szepty, tu i ówdzie odgłosy łkań. Uświadomiłam sobie nagle, że jest to niedopuszczalne rozluźnienie dyscypliny, rodzaj wzrastającego bezładu, jak gdyby dziewczęta poczuły brak kierowniczej żelaznej ręki, brak zwykłej surveillance. Przyzwyczajenie i stałe wdrażanie do obowiązku nakazały mi opanować szybko sytuację, przybrać zwykły surowy ton i dzięki temu doprowadzić klasę do normalnego stanu, przywrócić ład i ciszę. Na lekturę angielską obrałam ustęp dość długi i wymagający poważnego skupienia. Czytanie zajęło dziewczętom cały ranek. Przypominam sobie, że wyraźnie zniecierpliwily mnie te spośród uczennic, które łkaniem przyjęły wiadomość o wyjeździe Monsieur Emanuela. Wiedziałam, że ich wzruszenie nie miało głębszego źródła ani znaczenia: było raczej wybuchem hysterii. Powiedziałam im to bez ogródek, nie oszczędzając ich bynajmniej. Nieomal wyśmiałam je. Byłam surowa i bezwzględna. W rzeczywistości nie byłam w stanie znieść ich łez ani odgłosu ich łkania. Jedna zwłaszcza z dość ograniczonych, nieomal zupełnie tępych dziewcząt nie przestawała szlochać, kiedy inne uspokoiły się już od dawna. Nieuchronna konieczność dopomogła mi, każąc zwrócić się do niej w taki sposób, aby nie śmiała już dłużej pozwalać sobie na nieopanowane demonstrowanie swoich uczuć i musiała pokonać za wszelką cenę wstrząs, jakiego doznała.

331

Miałaby najzupełniejsze prawo i słusność nienawidzić mnie, gdyby nie to, że po skończonej lekcji, w momencie kiedy wszystkie uczennice wychodziły z klasy, kazałam jej pozostać, a po ich odejściu zrobiłam to, czego nie robiłam dotychczas nigdy i wobec nikogo: przytuliłam ją do serca i ucałowałam w oba policzki. Uległszy jednak temu nagłemu popędowi, wyprowadziłam ją pospiesznie na korytarz, zwłaszcza że po dokonanych wysiłku uspokojenia się, rozczulona moim zachowaniem rozszołała się jeszcze rozpaczliwiej niż poprzednio. Staralam się mieć wypełnioną obowiązkami każdą minutę tego dnia, chętnie też posiedziałybym przy pracy do rana, gdyby wolno było mieć zapalone światło. Noc przyniosła

mi w istocie ciężkie chwile, które pozostawiły na mojej twarzy aż nadto wyraźne ślady, źle oczywiście uzbrajające mnie do znalezienia się nazajutrz wobec nieznośnej paplaniny uczennic i nauczycielek. Jak należało się spodziewać, wszystkie rozmowy krążyły dokoła niezwyklej nowiny. Pierwszej chwili zaskoczenia towarzyszyło jeszcze zachowanie pewnej powściągliwości, szybko jednak uporały się dziewczęta z chwilowym wzruszeniem; wszystkie usta otworzyły się, obrotne języki zostały puszczone w ruch; nauczycielki, uczennice, służące nawet wymieniały raz w raz imię Monsieur Emanuela. Jak to, on, którego związek ze szkołą datował się od pierwszej chwili jej powstania, miałby nagle wycofać się z niej zupełnie?! Dziwne! Niepojęte! Nikt nie był w stanie tego zrozumieć.

Tak namiętnie, długo i często wałkowały tę sprawę na wszystkie strony i sposoby, że z całej tej niepowstrzymanej lawiny słów zaczęły wreszcie wyłaniać się pewne bliższe szczegóły. Trzeciego dnia mniej więcej usłyszałam, że ma odplłynąć za tydzień oraz że celem jego podróży są Indie Zachodnie. Spojrzałam w oczy Madame Beck, szukając w nich zaprzeczenia lub potwierdzenia tej wiadomości; usiłowałam wyczytać prawdę z jej twarzy, z jej rysów, nie uchyliła mi jednak ani rąbka tajemnicy poza tym, co było banalne,

332

bez znaczenia. Rozstanie z nim — deklamowała patetycznie — jest dla niej olbrzymią stratą. Nie ma pojęcia, w jaki sposób wypełni tę dotkliwą lukę. Tak jest zżyta ze swoim krewniakiem, który stał się jej prawą ręką! Jak poradzi sobie bez niego? Była zrazu bardzo przeciwna jego wyjazdowi, Monsieur Paul przekonał ją jednak, że wzywa go obowiązek, wobec czego zmuszona jest poddać się nieubłaganej konieczności.

Powiedziała to wszystko publicznie, w klasie, a potem powtórzyła przy obiedzie, mówiąc o tym głośno z Zelig St. Pierre.

— Dlaczego miałoby to być jego obowiązkiem? — mogłam ją zapytać. Miałam szczerą ochotę, a nawet zamiar przyłapać ją nagle, w momencie kiedy spokojnie przechodziła obok mnie w klasie, wyciągnąć ku niej rękę, przytrzymać ją i rzec: — Niech pani powie nam, dlaczego obowiązkiem jego jest iść na wygnanie? — Ale Madame zwracała się do coraz innej nauczycielki, nie spojrzawszy ani razu na mnie, jak gdyby nie przypuszczała wcale, że rzecz ta mogła obchodzić i mnie także.

Dni mijały. Już nikt nie mówił, że Monsieur Emanuel przyjdzie, aby się z nami pożegnać; nikt zresztą nie pytał o to, czy przyjdzie czy nie, nikt nie zdradzał zaniepokojenia ani przygnębienia, że mógłby odjechać, nie przemówiwszy do nas, nie zobaczywszy się raz jeszcze z nami; przez cały czas nieustannej paplaniny na jego temat nikt nie poruszył tej najważniejszej sprawy. Co się tyczy Madame, miała ona oczywiście możliwość widywania go i mówienia mu wszystkiego, co miała mu do powiedzenia. Cóż więc mogło ją obchodzić, czy ukaże się on raz jeszcze wśród nas, w klasie?

Tydzień miał się ku końcowi. Oznajmiono nam, że data wyjazdu profesora ustalona jest na ten a ten dzień, że celem jego podróży jest Gwadelupa, a właściwie połączona z nią wąskim przesmykiem Basse-Terre. Na te dalekie wyspy powoływać go miały rzekomo sprawy jego przyjaciół, nie jego własne. O tym byłam i ja najmocniej przekonana.

333

Basse-Terre i Gwadelupa. Mało sypiałam w tym okresie, a ilekroć się zdrzemnęłam, budziło mnie wnet nagle wzdrygnięcie, wydawało mi się bowiem, że słowa „Basse-Terre” i „Gwadelupa” zostały przez kogoś głośno wypowiedziane tuż nad moją poduszką lub też przebiegały poprzez ciemność przede mną i dokoła mnie czerwonymi, fioletowymi skrętami świetlnymi.

Wiedziałam, że nie ma żadnej rady na to, co czułam, czy mogłam jednak nie odczuwać? Monsieur Emanuel był bardzo serdeczny dla mnie ostatnio; z każdą godziną stawał się lepszy i serdeczniejszy. Miesiąc już upłynął od owego dnia, kiedy porozumieliśmy się co do

odrębności naszych zapatrywań na kwestie teologiczne i przez cały ten czas nie było pomiędzy nami żadnych tarć ani sporów. Spokój, jaki pomiędzy nami zapanował, nie oznaczał wcale, że nasze drogi się rozeszły. Przychodził częściej i rozmawiał ze mną dłużej niż przedtem; spędzał ze mną całe godziny w nastroju łagodnie ukojonym, z pogodą w oku i miłym zrównoważeniem w sposobie bycia. Zaczęliśmy poruszać w naszych rozmowach miłe tematy: wypytywał mnie o plany i zamierzenia na przyszłość, a ja zwierzałam mu się ze wszystkiego. Musiałam na jego żądanie powtarzać mu niejednokrotnie, jakie mam zamiary, mimo że nazywał je rojeniami Almaszara. Nie było już pomiędzy nami żadnych zgrzytów; nasze wzajemne porozumienie utrwaliło się i pogłębiło; serca nasze wypełniały uczucia zespolenia i nadziei; wzajemne przywiązanie, głęboki szacunek i wzrastająca ufność umocniły zadzierzgnięte pomiędzy nami obojgiem więzy wspólnoty.

Jaki spokój niezmacony panował na wykładach, których udzielał mi w dalszym ciągu. Nie było już szydzenia z mojego „intelektu”, nie było grózb wystawiania mnie na publiczny egzamin. Milczące uznanie, życzliwość, światła, wyrozumiała pomoc i łagodne wybaczenie — przy powstrzymaniu się od głośnych pochwał — miłe zastąpiły dawne zawistne szyderstwa i jeszcze bardziej zawistne namiętne zachwyty. Długie chwile przesiadywał czasem bez słowa,

334

*

a kiedy zapadający zmierzch czy obowiązki zmuszały nas do rozstania, odchodził szepcząc: — // est dowc le répos! II est preciewc, le calme bonheur! I

Pewnego wieczoru, nie dalej niż przed dziesięcioma dniami, kiedy przechadzałam się po mojej alejce, podszedł do mnie i wziął mnie za rękę. Podniosłam oczy, aby spojrzeć na niego, sądziłam bowiem, że chce zwrócić na coś moją uwagę.

— Bonne petite amie! — rzekł łagodnie. — Douce consolatri-cel — Ale pod wpływem dotknięcia jego ręki i słów zrodziło się w moim sercu nowe uczucie, powstała dziwna myśl. Czy możliwe, aby stawał się on dla mnie kimś więcej, aniżeli przyjacielem tylko, niż bratem? Czy wyraz jego twarzy zdradza uczucie silniejsze niż braterstwo i przyjaźń?

Jego wymowne spojrzenie zdradziło coś więcej jeszcze, jego ręka pociągnęła mnie ku sobie, wargi jego, mające wypowiedzieć jakąś myśl, poruszyły się. Nie, nie teraz. W mrok alejki wdarła się podwójna i podwójnie złowroga przeszkoda — przed nami, jak gdyby spod ziemi wyrosły dwie postaci — kobiety i księdza: Madame Beck i ojca Silasa.

Nie zapomnę nigdy wyglądu ojca Silasa. Pierwszym jego odruchem, na widok pochwyconego na gorącym uczynku przejawu żywszego uczucia, było dziwne Jean Jacques'owskie podniecenie, wnet potem wszakże przyćmiła je śledziennicza zazdrość księdza. Przemówił do mnie z namaszczeniem. Na swego wycńowanka rzucił surowe spojrzenie. Co się tyczy Madame Beck, nie dostrzegła, oczywiście, nic a nic, mimo że kuzyn jej nie wypuszczał w jej obecności z uścisku ręki heretyckiej cudzoziemki, nie pozwalając jej wycofać się i wręcz przeciwnie, przytrzymując ją jeszcze mocniej.

Nagle oznajmienie o wyjeździe, jakie nastąpiło po wszystkich

1 Słodki jest wypoczynek! Cenne jest ciche szczęście!

2 Dobra, mała przyjaciółko! Miła pocieszycielko!

335

tych wydarzeniach, uderzyło mnie zrazu jako rzecz nieprawdopodobna. Trzeba było dopiero częstego powtarzania tej wiadomości i uwierzenia w nią stu pięćdziesięciu osób dokoła mnie, aby zmusić i mnie wreszcie do uwierzenia w nią. Tydzień daremnego wyczekiwania, wypełniony pustką spopielałych do cna dni, podczas których nie otrzymałam od niego ani jednego słowa wyjaśnienia, jakże pamiętny mi pozostał, mimo że nie byłabym zdolna opisać jego przebiegu.

Nadszedł dzień ostatni. Teraz chyba przyjdzie do nas. Przyjdzie i pożegna się z nami, niepodobna bowiem, aby tak bez słowa zniknął z naszego życia i nie pokazał się nigdy więcej.

Z podobną myślą nie mogłaby pogodzić się ani jedna z przebywających w obrębie szkoły istot. Wstałyśmy wszystkie o zwykłej godzinie; zjadłyśmy, jak zwykle, śniadanie i nie wspomniawszy ani słowem, nie pomyślawszy na pozór wcale o odjeżdżającym profesorze, zabrałyśmy się do zwykłych naszych czynności. W całym domu panowało takie zapomnienie o wszystkim, poza obowiązkami szkolnymi, ich zwykły tryb tak niezmiennie był ustalony, rozkład dnia tak niezachwianie przestrzegany, tak zupełnie nie było w nim miejsca na żadne niespodzianki, że nie wiedziałam nieomal, jak mam oddychać w tej martwej atmosferze. Czy nikt nie zwróci się do mnie z zapytaniem? Nikt nie wypowie prośby, którą mogłabym spełnić? Nie zażąda czegoś takiego, na co mogłabym pozwolić?

Pensjonarki i uczennice przychodnie bywały tylokrotnie jednogłośnie i jednomyślnie w domaganiu się najzwyklejszych drobiazgów — rozrywki jakiejś, zwolnienia od zajęć, odłożenia lekcji — teraz wszakże nie przychodzi im na myśl osaczyć gromadnie Madame Beck, nalegając, aby umożliwiła im widzenie się i pożegnanie po raz ostatni z profesorem, niewątpliwie lubianym przez wszystkie, a przynajmniej przez niektóre, kochanym tak, jak mogły i umiały one kochać. Czym jest jednak miłość ogółu?! Wiedziałam, gdzie mieszka, wiedziałam, gdzie mogę dowie-

dzieć się czegoś o nim czy skontaktować się z nim, gdyby jednak było to w sąsiednim pokoju nawet, nie byłabym zdolna, nie wezwana, skorzystać z takiej możliwości. Iść za kimś, przypominać o sobie, szukać — nie umiałabym zdobyć się na tego rodzaju rzeczy.

Monsieur Emanuel mógł przejść tak blisko mnie, że mogłabym dosięgnąć go wyciągniętą ręką, gdyby jednak przeszedł obok mnie w milczeniu, bez zwrócenia na mnie uwagi, pozwoliłabym mu przejść i milczałabym również, nieporuszona.

Ranek był zmarnowany. Nadeszło popołudnie. Przypuszczałam, że wszystko już przepadło. Serce dygotało mi w piersi, krew była zmacona i zahamowana w swoim obiegu. Czułam się chora i złamana, gdy dokoła mnie cały młody światek obojętnie uwijał się w dalszym ciągu; wydawał się wesoły, beztroski, nie zaprzątnięty żadną poważniejszą myślą: te same uczennice, które zaledwie przed tygodniem łkały histerycznie po usłyszeniu poruszającej je wszystkie nowiny, zdawały się nie pamiętać już wcale o niej, ojej doniosłości i o swoim wzruszeniu.

Na krótko przed piątą po południu, przed godziną rozejścia się półpensjonarek, Madame Beck przysłała po mnie żądając, abym zjawiła się w jej pokoju celem przeczytania jej i przełożenia na francuski otrzymanego przez nią angielskiego listu, na który miałam także dać odpowiedź. Zanim zabrałam się do powierzonego mi zadania, zdołałam dostrzec, że Madame zamknęła cichutko jedno i drugie drzwi swojego pokoju, a nawet zamknęła na antaby okna, mimo że dzień był upalny, a ona zazwyczaj bardzo dbała o dopływ świeżego powietrza. Skąd ta przezorność? Pytanie to nasunęło mi się pod wpływem nagle zrodzonego w moim umyśle podejrzenia. Czy chciała zapobiec w ten sposób dojściu do moich uszu pewnego odgłosu? Odgłosu czego?

Nadśluchiwałam tak czujnie, jak nigdy w życiu; nadśluchiwałam, jak wilk w zimie wietrzy z nadejściem wieczoru śnieg, jak wypatruje i nadśluchuje obecności łupu, zdolny słyszeć dalekie kro-

337

ki wędrowca czy uderzenie kopyt jego konia. Potrafiłam jednak równocześnie słuchać i pisać. Doszedłszy mniej więcej do połowy pisania po angielsku dyktowanej mi przez Madame Beck po francusku odpowiedzi na list, usłyszałam coś, co powstrzymało moje pióro — kroki w przedsionku. Nie słychać było dzwonka przy drzwiach wejściowych; najwidoczniej Rozyna,

stosując się do wydanego jej niewątpliwie rozkazu, uprzedziła reveillee — hałaśliwe dzwonięcie. Madame spostrzegła, że przerwałam pisanie. Zakasłała, żywo poruszyła się i zaczęła dyktować głośnie. Kroki skierowały się ku klasie.

— Niech pani pisze dalej — rozkazała Madame, ale ręka moja była jak spętana, ucho nieczułe na żadne inne dźwięki poza odgłosem owych kroków, myśli wypełnione odmienną zupełnie treścią.

Klasy mieściły się w oddzielnym budynku, hall — tak zwane carré—odgraniczał je od domu mieszkalnego; mimo jednak odległości i odgradzenia usłyszałam nagle poruszenie w jednej z klas.

— Skończyły widocznie swoją pracę — zauważyła Madame. Była to w istocie godzina zakończenia zajęć, dlaczego jednak

to wielkie poruszenie — ten powstały tak nagle hałas i zamęt?

— Proszę, zechce pani poczekać na mnie. Pójdę zobaczyć, co się stało — rzekłam.

Nie dodawszy ani słowa, odłożyłam pióro i opuściłam ją. Opuściłam ją? Nie. Nie należała do tych, które się opuszcza: nie mogąc przeszkodzić mojemu odejściu, wstała i poszła w ślad za mną jak cień. Na ostatnim stopniu schodów odwróciłam się.

— Czy i pani idzie także, Madame?

— Tak — rzekła, patrząc mi w oczy ze szczególnym wyrazem: chmurnym, ale stanowczym. Poszłyśmy więc, nie pospołu jednak; Madame szła tuż za mną, krok w krok.

Był na miejscu. Weszłam do pierwszej klasy i zobaczyłam go. Raz jeszcze stanęła przede mną tak dobrze znana, tak bliska mi

338

postać. Nie wątpię, że uczyniono wszystko, aby powstrzymać go od przyjścia tutaj, przyszedł jednak.

Dziewczęta otoczyły go półkolem, a on obchodził je, jedną po drugiej, żegnając się z nimi, ściskając je za ręce, dotykając ustami policzka każdej. Obyczaj cudzoziemski pozwala na to przy podobnej ceremonii uroczystego pożegnania przed tak długą rozłąką.

Dręczyła mnie świadomość, że mam nieustannie na karku idącą tuż za mną Madame Beck; szyja moja i plecy wzdrygały się gorączkowo pod owiewającym je oddechem; byłam straszliwie podniecona.

Zbliżał się, obszedł już prawie całe półkole dziewcząt, podszedł do ostatniej i wreszcie zawrócił. Ale Madame zdążyła wysunąć się przede mną, pierwsza, zdając się powieleć swoje rozmiary, poszerzać, rozpościerać i pogrubiać fałdy okrywającego ją szala; zasłoniła mnie całą, byłam całkowicie ukryta przed wzrokiem tego, kto niewątpliwie mnie szukał. Znała moją słabość, moją niezdarność w wywalczeniu czegokolwiek dla siebie przebojem; umiała obrachować stopień mojej bezradności, mojego moralnego bezwładu i zupełnego braku zdolności samoobrony, jakie paraliżowały mnie w momentach przełomowych. Pospieszyła ku swemu krewniakowi, zalewając go od razu potokiem wymowy, ściągając na siebie całą jego uwagę, przepychając go przemocą nieomal ku oszklonym drzwiom, wychodzącym na ogród. Miałam wrażenie, że rozejrzał się dokoła. Gdybym mogła ściągnąć na siebie jego Wrok, zdobyłabym się, sądzę, na odwagę wystąpienia i może nawet odbicia jeńca, którym tak wyłącznie zawładnęła Madame. W klasie zapanował już jednak zamęt, półkole rozpadło się na pojedyncze grupki, a moja postać utonęła pośród trzydziestu innych, bardziej rzucających się w oczy. Madame dokonała, jak zwykle, tego czego chciała dokonać. Tak, udało jej się wprowadzić go, zanim zdołał mnie dostrzec. Pewien był oczywiście, że nie ma mnie pośród obecnych. Wybiła piąta; rozbrzmiał dzwonek oznajmiający zakończenie dnia szkol-

339

nego, półpensjonarki odłączyły się od stałych uczennic, pokój się opróżnił.

W pamięci pozostało mi wrażenie głębokiego mroku, jakie przeżyłam, pozostawszy zupełnie sama — oddana na łup niewypowiedzianego przygnębienia i oderwania od otaczającej mnie

rzeczywistości w ciągu kilku minut z powodu straty, która wydała mi się niemożliwa do przeżycia. Co należało przedsięwziąć? O, co pozostało mi do zrobienia? Co począć teraz, kiedy jedyną nadzieję wydarto mi doszczętnie z śmiertelnie zranionego serca?

Nie wiem, na co ważyłabym się w bezbrzeżnej rozpacz, gdyby w tym właśnie momencie nie nadbiegła najmłodsza uczennica, wpadając z całą naiwnością i prostotą dziecięcą w sam środek szalejącego w mojej duszy żywiołu.

— Mademoiselle — wyseplenila cienkim głosikiem — mam to oddać pani. Monsieur Paul nakazał mi, żebym szukała pani w całym domu, od grenier — strychu — do cave — piwnicy — a jak panią znajdę, żebym pani to oddała.

Z tymi słowami wręczyła mi kartkę: niby mała biała gołębica sfrunęła na moje kolana wyrwana z notatnika gałązka oliwna. Nie było na kartce ani adresu, ani nazwiska, tylko następujące słowa:

„Nie zamierzałem pożegnać się i z panią, kiedy zegnałem się z wszystkimi innymi, miałem jednak nadzieję, że zobaczę panią w klasie. Spotkało mnie przykre rozczarowanie. Zobaczymy się więc później. Zanim odpłynę, musimy raz jeszcze widzieć się przez dłuższy czas, aby swobodnie porozmawiać. Niech pani będzie gotowa; godziny mojego pozostawania jeszcze tutaj są policzone, ale w tej chwili właśnie jestem bardzo zajęty. Poza tym mam jeszcze do załatwienia pewną prywatną sprawę, której nie chcę powierzyć nikomu — nawet pani — Paul”.

„Niech pani będzie gotowa”. A zatem nastąpi to dzisiaj wieczorem: ma wszak odpłynąć jutro. Tak, tego byłam pewna. Widziałam ogłoszoną w miejscowym dzienniku datę odpłynięcia jego parowca.

340

O, stawię się gotowa na wezwanie. Czy jednak to upragnione spotkanie będzie naprawdę mogło dojść do skutku? Tak mało pozostaje czasu! Ci, których dziełem była piekielna intryga, roztoczyli tak niesłychanie czujny nadzór, są tacy niezmordowani, tak wrogo usposobieni! Wydało mi się, że dzieli nas droga nieprzebyta jak przepaść, głęboka jak otchłań; Apollyon osadzony okrakiem ponad przepaścią, zionący ogniem. Czy mój rycerz wzniesłego serca będzie zdolny przebyć taką drogę? Czy mój duchowy przewodnik będzie w stanie dotrzeć do mnie?

Kto zdolny jest to przepowiedzieć? Zaczęłam jednak nabierać nieco otuchy, spłynęło na mnie źdźbło pociechy; wydało mi się, że czuję tętno j ego serca, bijącego wiernie w dalszym ciągu do wtóru z moim.

Czekałam na mojego mistrza. Apollyon przybywał, ciągnąc za sobą czeluści piekielne. Myślę, że gdyby wieczność mieściła w sobie udrękę serca, jej postacią nie byłby stos ognisty ani pień ofiarny, ani też istotą jej nie byłaby rozpacz. Myślę, że pewnego dnia, jednego spośród tych dni, które nigdy nie zaznały wschodu i nigdy także nie zaznają zachodu, zstąpił anioł do Hadesu — stanął tam jaśniejący, uśmiechnięty i obwieścił możliwość wybawienia, wzniecił nadzieję przyszłego szczęścia, które ma nastąpić nie teraz, ale o niewiadomej godzinie nie dającego się przewidzieć dnia, urzeczywistniając w całej rozciągłości i wielkości wspaniałą zapowiedź — a po tym oświadczeniu, wzbiwszy się na skrzydłach na wyżyny, stał się gwiazdą i znikł w rodzimych swoich niebiosach. Tym, co pozostawił po sobie, byłaby niepewność oczekiwania, gorsza niż rozpacz.

Cały ten wieczór spędziłam na wyczekiwaniu, ufna w zesłaną przez gołobicę gałązkę oliwną, mimo tej ufności jednak przejęta straszliwą obawą. Strach też ciążył mi okrutnie. Znałam ten zimny, osobliwy ciężar, towarzyszący uzasadnionym przeważnie przeczuciom. Pierwsze godziny wydawały się długie i przebiegały wolno; następne ulatywały tak szybko, że myślałam już tylko, w jaki sposób

341

je zatfzymać. Przeminięły z szybkością pędzącej i znikającej chmury — niby obłok odlatujący przed burzą.

Minęły. Rozproszył się żar letniego dnia, jak rozsypuje się na popiół kłoda drewna spalona na Boże Narodzenie; zbladł szkarłat łuny zachodu; pozostałam pochylona pośród chłodnych, sinych cieni ponad bladym, popielatym lśnieniem nocy.

zakończyły się wieczorne modlitwy, nadszedł czas udania się na spoczynek: moje współmieszkanki poszły na górę do sypialni. Tylko ja wciąż jeszcze pozostawałam w cichej, mrocznej klasie, zapominając, a w każdym razie lekceważąc domowy regulamin, o którym nigdy dotychczas nie zapominałam i którego nigdy dawniej nie lekceważyłam.

Nie umiałabym powiedzieć, jak długo przemierzałam klasę tam i z powrotem. Chodziłam tak przez wiele godzin; automatycznie podsuszałam wszystkie stojące mi na drodze ławki i pulpity, oczyściwszy dla siebie w ten sposób wolne przejście wzdłuż nich. Cho-! dziłam. tam i z powrotem, a kiedy nareszcie mogłam być pewna, że wszyscy domownicy pogrążeni są we śnie i nie mogą mnie słyszeć, pozwoliłam sobie wreszcie dać upust dławiającym mnie łzom. Polegając tia tajemnicy nocy, ufając samotności, nie wstrzymywałam już dłużej łkań rozsadzających mi pierś, nie zaciskałam kurczowo powiek, pozwalając wytrysnąć skupionym pod nimi łzom. Ciężyły mi one jak rozpalony ołów i wreszcie, wyzwolone, przedarły się na zewnątrz. Jaki smutek mógł być jednak uświęcony w tym domu?

W kilka minut po jedenastej, zatem o niezwykle późnej godzinie jak; na obyczajnie Rue Fossette, otworzyły się drzwi, ostrożnie, ale nie ukradkiem. W świetle lampy zatonała poświata księżycy: weszła Madame Beck — tak spokojnie, jak gdyby zjawiała się o zwykłej porze i w zwykłej sprawie. Zamiast zwrócić się wprost do mnie, podeszła do swojego biurka i wzięła leżące na nim klucze udając, że szuka czegoś w szufladzie i ociągając się długo, nazbyt długo, ze znalezieniem tego, czego rzekomo szukała. Zachowała swój zwykły,
342

może tylko nieco nadmierny spokój. Nie byłam w stanie znieść tej komedii. Dwie godziny spędzone na samotnym, daremnym oczekiwaniu wyprowadziły mnie zupełnie z równowagi, każąc zapomnieć o lęku, szacunku i uległości, jakie cechowały stale mój stosunek do przełożonej. Nie byłam już teraz zdolna znosić dłużej jarzma, nie mogłam podporządkować się jej woli.

— Najwyższy czas, aby pani udała się na spoczynek — rzekła Madame — już dawno przekroczyła pani nasze przepisy.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu nie zareagowałam na jej słowa: nie zaprzestałam ani na chwilę przemierzania pokoju tam i z powrotem, a kiedy stanęła mi na drodze, usunęłam ją bez ceremonii.

— Niech pani posłucha mnie i uspokoi się, Miss Lucy; pozwoli pani, że odprowadzę panią do jej pokoju — rzekła, usiłując przemawiać do mnie łagodnie jak do dziecka.

— Nie — odparłam — ani pani, ani nikomu innemu nie pozwolę, żeby mnie uspokajał ani wyprowadzał mnie stąd.

— Każę dobrze wygrzać pani łóżko. Goton nie śpi jeszcze. Ona sama dopilnuje, aby urządzić pani wygodne posłanie i da pani jakiś środek uspokajający.

— Madame — wybuchnęłam — jest pani sensualistką. Przy całej pozornej wzniosłości, przy całym dbaniu o dostojność zachowania, jest pani bezsprzeczną sensualistką — istnieją dla pani tylko uciechy i wymogi zmysłów. Może pani do woli wygrzewać i miękko uścielać własne łóżko, brać środki uspokajające, raczyć się, ile dusza zapagnie, mięsiami, korzennymi przyprawami, napojami i słodyczami. O ile doświadcza pani jakichś smutków i rozczarowań, przeżywa je pani może — nie! wiem, że je pani przeżywa — wolno pani szukać dla siebie własnych środków zapobiegawczych, jakie pani dyktuje jej upodobanie. Mnie jednak niech pani da spokój. Słyszysz pani?! Niech mi pani da spokój!

— Muszę przysłać kogoś innego do pilnowania pani. Przyślę pani Goton.

343

— Zabraniam tego. Proszę pozostawić mnie w spokoju. Proszę mnie nie dotykać i nie interesować się ani mną, ani moim życiem, ani moimi troskami. O, Madame, pani ręce niosą chłód i truciznę! Zatrują pani i obezwładnią.

— Co uczyniłam pani złego, Miss Lucy? Nie wolno pani poślubić Paula. On nie może się ożenić. Nie ma prawa.

— Pies pilnujący stogu siana! — rzuciłam jej. Wiedziałam, że ona sama, mimo że ukrywa się z tym, chce, zawsze chciała wyjść za niego za męża. Nazywała go insupportable — nieznośnym — drwiła z niego, że jest devót — pobożnisiem — nie kochała go, ale chciała mieć go za męża, aby związać go jeszcze bardziej nierozzerwalnie ze swoim zakładem wychowawczym. Przeniknęłam niektóre tajemnice Madame — nie wiem, w jaki sposób: czy intuicyjnie, wiedzona natchnieniem? Nie umiałabym tego powiedzieć. Znałam ją długo i przekonałam się, że jeśli nie ma do czynienia z kimś niższym od siebie, musi zawsze być współzawodniczką, zwycięską przeważnie. Była moją współzawodniczką, wypowiedziała mi walkę na śmierć i życie, trzymała to jednak w najściślejszej tajemnicy, ukrywała pod maską największej słodyczy. Nikt prócz mnie i —oczywiście— jej samej nie wiedział, co kryje się pod tym najłagodniejszym, najnie-winniejszym pozorem.

Dwie minuty stałam nad Madame czując, że ta nieugięta kobieta jest w tej chwili w mojej władzy; w pewnych warunkach — zależnych od mojego nastroju, takiego jak ten obecny — jej ukrywanie się, jej maska i domino były dla mnie jak zwykła siatka, przez którą w całej pełni obnażała się przed moimi oczami istota bez serca, samolubna, myśląca jedynie o dogadaniu samej sobie, niecznie przyziemna. Cofnęła się spokojnie; łagodna na pozór i bardzo opanowana rzekła:

— Skoro pani nie życzy sobie, abym nakłoniła panią do udania się na spoczynek, zmuszona jestem, acz niechętnie, pozostawić panią jej własnemu losowi. — Rzekłszy to wyszła z pokoju, nie ocią-

344

gając się już, bardziej może nawet rada z możliwości wydostania się, aniżeli ja z jej odejścia i zniknięcia mi sprzed oczu.

Było to jedyne, wydobywające na zewnątrz błysk prawdy starcie, jakie nastąpiło kiedykolwiek pomiędzy mną a Madame Beck: ta krótka scena nocna nie powtórzyła się nigdy. Madame nie zmieniła ani o krztę swojego stosunku do mnie. Nie wiem nawet, czy pomściła na mnie doznaną zniewagę; nie umiałabym także powiedzieć, czy bardziej jeszcze niż dotychczas znienawidziła mnie za moją zabójczą szczerość. Mam wrażenie, że opancerzyła się uprawianą tajemnie filozofią, jaką zdołał wyrobić sobie jej mocny, trzeźwy umysł; postanowiła zapomnieć o tym, o czym niechętnie sobie przypominała. Wiem to jedynie, że do końca naszych wzajemnych stosunków nie powtórzyła się ani razu podobna scena ani nawet nie padło pomiędzy nami nigdy napomknienie o tym burzliwym przejściu. Ta szczególna noc minęła; wszystkie noce — nawet bezgwiazdne przed końcem ostatecznym — muszą przemijać. Około godziny szóstej, wzywającej domowników do wstania, wyszłam na dziedziniec i obmyłam twarz zimną świeżą wodą studzienną. Kiedy przechodziłam przez carre, ujrzałam w lustrze dębowej szafy odbicie mojej twarzy. Uderzyła mnie zmiana, jaka w niej zaszła: policzki i wargi były białe jak papier, oczy zaszklone, powieki opuchnięte i sinoszkarlałe.

Kiedy znalazłam się wśród moich towarzyszek, spojrzały na mnie wszystkie z zaciekawieniem — moje serce zdawało się obnażać przed nimi: byłam pewna, że w tej chwili poznały moją tajemnicę. Najpotworniejsza była dla mnie myśl, że najmłodsze dziewczęta w szkole domyślają się bez wątplenia, dlaczego i ze względu na kogo tak straszliwie rozpaczam.

Izabella, dziecko, które niegdyś pielęgnowałam w chorobie, podeszła do mnie. Czy i ona także mnie wyszydzi?

— Que vous etes pale! Vous etes donc hien malade, mademo-
345

iselle! — rzekła, wkładając palec do ust, wpatrzona we mnie z tępą bezmyślnością, która w tej chwili wydała mi się wspanialsza od przejawów najbystrzejszego rozumu.

Izabella nie pozostała odosobniona w błogosławionej niewiedzy: zanim jeszcze dzień ten zakończył się, miałam dostateczne powody wdzięczności względem wszystkich domowników, którzy, podobnie jak ona, nie wiedzieli o niczym. Ogół ma co innego do roboty niż odczytywanie cudzych serc, wyławianie mętnych pogłosek i usiłowanie wyjaśniania ich sobie. Kto chce, może zachować własne sprawy w tajemnicy i być jedynym jej panem. Tego dnia przekonałam się nie tylko o tym, że większość nie domyśla się powodu mojego obecnego strapienia, ale że całe moje życie wewnętrzne z ostatniego półrocza jest wciąż ukryte, niedostępne dla wszystkich poza mną. Nikt o niczym nie wiedział, nikt nie zauważył, że jedna szczególna istota i jej życie mają dla mnie wyjątkowe znaczenie spośród wszystkich innych istot i ich żywotów. Plotka nie wciągnęła mojej osoby w swoją plugawą orbitę; ciekawość przeoczyła mnie i moje sprawy: czający się zawsze w pobliżu zjadliwy wpływ ich obu nie ześrodkował się nigdy na mnie. Istnieją organizmy zdolne przebywać w szpitalach przepełnionych chorymi na tyfus i unikać zakażenia. Monsieur Emanuel przychodził i odchodził; udzielał wykładów i szukał mnie; w porę i nie w porę wzywał mnie do siebie, a ja szłam zawsze na jego wezwanie. „Miss Lucy jest potrzebna Monsieur Paulowi”; „Miss Lucy jest na wykładzie Monsieur Paula” — tak brzmiało stałe sprawozdanie, którego nikt nie komentował w sposób dwuznaczny, a tym bardziej nie potępiał. Nikt nie wspominał o tym, nikomu nie wpadło na myśl podkpiwać z tego. Jedynie Madame Beck odgadła zagadkę, której nie rozwiązał nikt inny. Moje obecne cierpienie przyjęto jako silny napad migreny — nie zaprotestowałam przeciwko takiemu nazwaniu go.

1 Jaka pani blada! Jest pani widocznie bardzo chora!

346

Jakaż jednak choroba ciała mogła dorównać temu cierpieniu duszy? Pewność, że odjechał bez pożegnania oraz okrutne przeświadczenie, że los i prześladowające mnie furie: zazdrość kobiety i bigoteria księdza nie pozwoliły mi zobaczyć go raz jeszcze, były udręką nie do zniesienia. Cóż dziwnego, że drugi z kolei wieczór zastał mnie taką samą jak pierwszy — niepokieszoną, zranioną do głębi w sposób niewypowiedzianie okrutny, ponownie przemierzającą tam i z powrotem samotny pokój w nieukozonej niemej rozpacz.

Madame Beck nie potrudziła się tej nocy osobiście, aby wezwać mnie do udania się na spoczynek — nie zjawiała się wcale. Chcąc unikać zetknięcia ze mną, przysłała Ginevrę Fanshave. Nie mogła użyć odpowiedniejszego i zręczniejszego pośrednika. Pierwsze słowa Ginevry: — Czy migrena jeszcze tak bardzo dokucza pani dzisiaj? (Ginevra, tak samo jak wszyscy inni, była pewna, że mam migrenę, która spowodowała niezmierną bladość mojej twarzy i dziwną nerwowość, nie pozwalającą mi usiedzieć na miejscu) — jej pierwsze słowa wzbudziły we mnie chęć ucieczki dokąd bądź, byle nie znajdować się w jej zasięgu. Wkrótce sama zaczęła uskarżać się na ból głowy i tego już było za wiele.

Dobrowolnie poszłam na górę do sypialni. Leżałam już w łóżku, na nędznym posłaniu, wydana na łup wwiercających się w mój mózg skorpionów; nie minęło więcej niż pięć minut, kiedy przybył inny jeszcze poseł: Goton, która przyniosła mi jakiś napój... Paliło mnie pragnienie — wypitałam duszkiem podany mi płyn. Był słodki, wyczułam w nim jednak ostry smak i zapach lekarstwa.

— Madame mówi, że zaśnie pani pod wpływem tego napoju, chou-chou — rzekła Goton, biorąc ode mnie opróżnioną do dnia filiżankę.

Wlano więc we mnie jednak środek uspokajający! Dano mi w istocie silnie działający narkotyk, który miał unieruchomić mnie i obezwładnić na jedną noc.

347

Wszyscy domownicy pokładli się spać, zapalono nocne światelko; w sypialni zapanowała cisza. Sen ogarnął rychło moje współ-mieszkanki. Do tych wszystkich wezglowi sen miał łatwy dostęp; był panem i władcą głów i serc, którymi nie zawładnęły ból i troska, omijał natomiast niepokojących się, stroskanych i cierpiących, nie zatrzymując się przy nich wcale. Wiedział, że jego dobroczynna władza nie znajdzie tu zastosowania.

Środek zaczął działać. Nie wiem, czy Madame zaaplikowała nadmierną, czy niedostateczną dawkę, lecz wiem, że efekt był odwrotny od zamierzonego. Zamiast odrętwienia wywołał podniecenie. Ogarnął mnie całkiem nowy, nie znany mi nastrój — jak gdyby nagły potężny zew ożywił moją wyobraźnię i pobudził mnie do czynu, wzywając dźwiękiem trąb o tak niewczesnej porze. Moja wyobraźnia, znieczulona od dłuższego czasu, ocknęła się nagle, zrywając się do lotu z niesłychanym impetem. Z pogardą spojrzała na moje ciało — swoją towarzyszkę.

— Zbudź się! Do działania! — ofuknęła mnie. — Leniwcze! Tej nocy ja obejmuję rządy; kierować będzie tobą moja wola; ty sama nic nie będziesz miała tutaj do powiedzenia.

— Wyjrzyj na świat boży i spójrz, jak wygląda spowity mrokiem! — rozkazała, a kiedy podniosłam ciężką zasłonę z najbliższego otworu okiennego, wskazała mi królewskim gestem księżyc wysoko na niebie, płynący pośród głębokiego, wspaniałego żywiołu.

Sprawiła nade wszystko, że moje zbudzone do nowego, pełnego życia zmysły nie były już w stanie znieść dłużej ciasnoty, przytłaczającego zaduchu i mroku sypialni, rozjaśnionego jedynie pełzającym światelkiem nocnej lampki. Skusiła mnie do opuszczenia tej nory i pójścia za nią do królestwa rosy, chłodu i promiennego światła.

Ukazała mi wyjątkowy widok Villette o północy. Pokazała mi zwłaszcza park latem, z jego długimi, samotnymi, cichymi, mimo to zupełnie bezpiecznymi alejami; pośród nich spoczywała ujęta w

348

kamienne ocembrowanie sadzawka — znałam ją; stawałam często nad nią, ukrytą głęboko w cieniu drzew, pełną po brzegi chłodnej wody, przejrzystej na zielonym, omszałym, porośniętym sitowiem podłożu. Co to wszystko ma znaczyć? Brama parku była zamknięta, czuwała przy niej straż nocna: niepodobna było dostać się do wnętrza.

Czy naprawdę niepodobna było dostać się? Rzecz warta namysłu. Zastanawiając się nad tym, zaczęłam automatycznie ubierać się. Bezwzględnie niezdolna ani zasnąć, ani uleżeć spokojnie, drgając wszystkimi nerwami od stóp do głowy — cóż mogłam zrobić lepszego, niż się ubrać?

Brama była zamknięta, straż ustawiona przed nią: czyżby naprawdę nie było dostępu do parku?

Parę dni przedtem, przechodząc obok ogrodzenia, zauważyłam w nim otwór; jeden z kołków był wyłamany. Przypomniało mi się to właśnie w tej chwili; widziałam otwór przed sobą zupełnie wyraźnie — wąski, nieregularny, widoczny pomiędzy pniami lip, posadzonych szeregiem w regularnych odstępach, niby zielona kolumnada. Dorosły mężczyzna nie mógłby przedostać się tędy ani też kobieta korpulentna, może nawet nie Madame Beck, przypuszczałam jednak, że ja mogłabym. Przyszło mi na myśl, że mogłabym spróbować, a gdy się już dostanę, cały park będzie należał do mnie w tym momencie — cały obłany światłem księżycyca park o północy!

W jak mocnym, zdrowym, głębokim śnie pogrążyły się wszystkie mieszkanki sypialni! Jak spokojnie oddychały! Jaka martwa cisza panowała w całym wielkim domu! Która mogła być godzina? Czułam, że nie uspokoję się, dopóki nie dowiem się tego. W klasie na dole był zegar: co mogło mi przeszkodzić zejść na dół, aby spojrzeć na jego tarczę? Przy tak jasnym

świetle księżycy będzie na pewno wyraźnie widoczna biała, wielka tarcza oraz rozmieszczenie na niej obu czarnych wskazówek — długiej i krótkiej — i czarnych kolejnych cyfr.

Jedyną przeszkodą mogłoby być skrzyknięcie drzwi przy ich otwieraniu czy zgrzytnięcie zamka, gdyby nie to, że w takie gorące lipcowe noce niepodobieństwem byłoby oddychać w zamkniętym pomieszczeniu i dlatego drzwi sypialni pozostawiano przez całą noc szeroko otwarte. Czy jednak deski podłogi w sypialni nie zatrzeszczą zdradziecko pod ciężarem mojego ciała? Znałam na szczęście miejsca, w których deski były obluźnione, będę więc mogła uniknąć stąpienia na nie... Dębowe schody skrzypią nieco, gdy po nich schodzę, nie bardzo jednak: jestem już w *carre*.

Wielkie drzwi do klasowych pokoi są zamknięte, zaryglowane nawet. Wejście na korytarz stoi wszelako otworem. Klasy wydają się teraz wielkimi, ponurymi lochami więziennymi, zagrzebanymi hen, daleko, poza szlakami życia, dla mnie osobiście pełnymi upiornych, nie do zniesienia bolesnych wspomnień, ukrytych pomiędzy ogniwoami ich kajdanów i wiązkami nędznej słomy. Korytarz przedstawia widok weselszy, prowadząc do sklepionego, obszernego przedsionka, z którego wyjście wiedzie wprost na ulicę.

Tss... bije zegar. Mimo upiornej ciszy, jaka panuje w tym klasztorze, wybiła dopiero jedenasta. Kiedy wsłuchuję się w prze-brzmiewające ostatnie uderzenie zegara, słabo podchwytuję z dobudowanego kapitelu dźwięk podobny do dzwonów czy do orkiestry — dźwięk, w którym zlały się w jedno: upojna słodycz, triumf zwycięstwa i smutek żalobnego oplakiwania. O, gdybym mogła usłyszeć tę muzykę z bliska, wsłuchiwać się w nią, siedząc samotnie przy obrośniętej sitowiem sadzawce! Pójdę!... Tak, pójdę tam! Co może stanąć mi na zawadzie? Czy istnieją przeszkody, jakich nie przezwycięży wolność?

Tam, w korytarzu, wisi mój strój ogrodowy, moja wielka słomkowa pasterka i mój szal. Ciężka, wielka portecochere — brama — nie ma zamka: zamyka się na rodzaj zasuw na sprężynie, której niepodobna otworzyć z zewnątrz; od wewnątrz natomiast może być odsunięta bezszelestnie. Czy potrafię sobie z nią poradzić? O, ustę-

350

puje pod naciskiem ręki z rozbrajającą łatwością. Jestem zdumiona bezpośrednim po tym odsunięciu otwarciem się bramy — zdumiona jestem, że udaje mi się przekroczyć próg domu i wyjść od razu na bruk uliczny, oszołomiona jestem niepojętą łatwością, z jaką wyzwoliłam się z mojego więzienia. Jak gdyby jakaś niewidzialna moc kierowała moimi krokami, idąc przede mną: ja sama nie byłam zmuszona do prawie żadnego wysiłku. Cicha Rue Fossette! Odnajduję na jej bruku ową upragnioną przez wędrowca, sprzyjającą mu noc letnią, o jakiej marzyłam: czuję rosę w powietrzu; widzę księżyc nad moją głową. Nie mogę tu wszakże pozostać; jestem wciąż jeszcze zbyt blisko miejsc prześladowających mnie dawnymi wspomnieniami, tak blisko mojego lochu więziennego, że słyszeć mogę stąd jęki zamkniętych w nim więźniów. Ta uroczysta cisza nie jest tym, czego szukam; nie jest tym, co jestem w stanie znieść; dla mnie oblicze tego nieba ma pozór zagłady świata. I park także będzie cichy — wiem o tym, śmiertelna cisza panuje wszędzie — chcę jednak pójść do parku. Obrałam dobrze mi znaną drogę i skierowałam się ku pałacowej i królewskiej części — Haute Ville. Stamtąd na pewno płynęły dźwięki podchwyczonej przeze mnie dalekiej muzyki; przycichła teraz, mogła jednak ozwać się ponownie. Szłam dalej, nie słyszałam wszakże ani dźwięków orkiestry, ani bicia dzwonów; zastąpił je inny odgłos, podobny do huku morza w porze przyływu, do łoskotu wielkiej, potężnej fali, wzrastającego w miarę mojego zbliżania się ku tej stronie. Mnożyły się światła, ruch potęgował się, coraz głośniejsze rozbrzmiewały dzwony — ku czemu szłam? Dotarłszy do Grandé Place, znalazłam się nagle, przeniesiona niepojętą siłą czarodziejską, w samym środku wesołego, ożywionego, radosnego tłumu.

Całe Vilette było jednym płomiennym morzem światła; cały świat wydawał się poza jego granicami; niebo i światło księżyca wyparte; skazane na banicję miasto przy świetle własnej iluminacji ogląda swą wspaniałość — jasne, świetne stroje, pyszne pojazdy,

351

piękne wierzchowce i rycerskie postacie jeźdźców tłumnie zapełniają oświetlone rzęsiście ulice. Widzę nawet dziesiątki masek. Niesamowita jest ta scena, bardziej niesamowita niż marzenia senne. Gdzie jednak podział się park? O ile mi się zdawało, powinnam znajdować się w jego pobliżu. Wśród tej oślepiającej powodzi światła park musi tonąć w ciszy i cieniu — tam chyba nie będzie płonących pochodni, pozapalanych latarni ani rozbawionego tłumu? Zadałam sobie to pytanie w momencie, kiedy przejeżdżał koło mnie otwarty powóz, w którym dostrzegłam znajome twarze. Powóz toczył się powoli przez zwartą ciżbę, chociaż ręce konie z trudnością dawały się powstrzymywać. Mogłam dobrze rozróżnić twarze siedzących w powozie, którzy nie mogli jednak mnie widzieć, a w każdym razie poznać, tak mocno byłam okutana w swój szal i tak szczelnie osłonięta wielką pasterką (w pstrym tłumie żaden strój nie raził i nie wydawał się dziwaczny). Dostrzegłam hrabiego de Bas-sompierre, moją matkę chrzestną, pięknie ubraną, dostojną i pogodną, dostrzegłam także Paulinę de Bassompierre, promieniejącą potrójnym blaskiem: urody, młodości i szczęścia. Patrząc na jej rozradowaną twarz, na oczy błyszczące zadowoleniem, trudno było zwrócić uwagę na odświętną wytworność zdobiącej ją toalety; wiem tylko, że opływające ją draperie sukni były śnieżnobiałe, niczym ślubna szata oblubienicy. Naprzeciwko niej siedział Graham Bret-ton; blask twarzy i całej postaci Pauliny wywołany był wpatrywaniem się w niego — promienność jej oczu czerpała światło z jego źrenic, w których rozpalało się ono najpierw.

Osobliwą przyjemność sprawiało mi przyglądanie się moim przyjaciółom, nie będąc przez nich widzianą; śledziłam ich wzrokiem aż do bramy parkowej, jak sądziłam. Obserwowałam ich wysiadających (pojazdy nie były wpuszczane) pośród nowych, zgoła nieprzewidzianych wspaniałości. Patrzcie, oto wrota żelazne pomiędzy dwiema kamiennymi kolumnami, spiętymi klamrą ognistego łuku, utworzonego z nagromadzonych gęstym szeregiem gwiazd

352

światlnych. Posuwałam się w ślad za moimi przyjaciółmi ostrożnie pod tym łukiem. Gdzie znaleźli się oni i gdzie znalazłam sieja?

W krainie zaczarowanej, w najprzepyszniejszym ogrodzie, na polanie usianej barwnymi meteorami, w lesie skrzącym się purpurowymi, rubinowymi i złotymi ogniami, niby klejnotami pstrzącymi ulistwienie. Była to kraina utworzona nie z drzew i cienia, ale z najdziwaczniejszego bogactwa architektury — z ołtarzy i świątyń, z obelisków, piramid i sfinksów; trudno uwierzyć, aby symbole i cuda Egiptu mogły być wyczarowane w tak wielce różnorodnej obfitości w parku Vilette.

Mniejsza o to, że po upływie pięciu minut zgłębiłam tajemnicę — znalazłam klucz do jej odgadnięcia, a stworzona dzięki niej ułuda została rozwiana. Bez znaczenia też był fakt, że rozpoznałam wnet materiał, z jakiego powstały te imponujące dostojnością fragmenty: drewno, malaturę i tekturę — nieuniknione odkrycie nie było zdolne zniweczyć w zupełności czaru ani osłabić cudowności tej nocy. Nic to, że znalazłam wreszcie wyjaśnienie niezwyklej uroczystości, której posmaku nawet nie zakosztował klasztorny zakład wychowawczy na Rue Fossette, mimo że otworzył swoje podwoje, jak zazwyczaj, od świtu tego dnia i był czynny prawie do północy.

W czasach minionych wydarzył się — jak podają dzieje — w losach Labassecour fatalny moment przełomowy, narażający na nie wiem jakie już niebezpieczeństwa prawa i swobodę rycerskich obywateli tego kraju. Zagrażała mu wojna domowa, o ile nawet nie doszło do niej w rzeczywistości; były walki na ulicach — zamęt — bieganie w różne strony, wznoszenie barykad, tumult i rozruchy wywołane przez część Biirgers, wzywianie oddziałów wojsk,

wzajemne obrzucanie się kawałami wyszarpywanych z murów cegieł, nie obeszło się nawet tu i ówdzie bez strzelaniny.

Wedle tradycji paść miało wielu patriotów; w starym Basse--Ville pokazywano ogrodzenie uroczyscie zamurowane i pozostawione z dala od reszty budynków. Na tym uświęconym tradycją

353

miejscu spoczywać mają jakoby kości męczenników. Ile prawdy tkwi w tej legendzie, trudno dzisiaj dociec, faktem jest wszelako, że pewien określony dzień w roku święcony bywa jako uroczystość ku czci owych poległych patriotów i męczenników apokryficznej bodaj pamięci. Z rana odprawiane jest uroczyste Te Deum w kościele Świętego Jana Chrzciciela, wieczorem urządzone są publiczne widowiska, a także wspaniale dekorowane i oświetlane jest miasto, czego właśnie teraz byłam świadkiem.

Przyglądając się z zaciekawieniem umieszczonemu na wysokiej kolumnie białemu ibisowi i zapuszczając wzrok w głąb długiej, oświetlonej pochodniami perspektywy jednej z avenues — alei, na której końcu jaśniał olbrzymi sfinks — straciłam z oczu towarzystwo, którego śladami nie przestawałam kroczyć od środka wielkiego placu. Znikło ono z pola mojego widzenia niczym zjawia senna. Cała scena miała w ogóle charakter sennego widzenia. Zarysy postaci były zamglone, chwiejne, ich ruchy dziwnie falujące, głosy niby echo, na wpół szydercze i na wpół niepewne. Po zniknięciu Pauliny i jej najbliższych nie potrafiłabym nawet twierdzić z całą pewnością, że widziałam ich wszystkich. Nie brakło mi ich jako przewodników poprzez chaos, tym mniej jeszcze żałowałam ich utraty jako opiekunów pośród mroku.

Tej uroczystej nocy nawet dziecko czułoby się i byłoby w istocie zupełnie bezpieczne. Połowa ludności wiejskiej z bliższych i dalszych okolic Villette przybyła do miasta, a solidni Burger zgromadzeni byli w komplecie, strojni w najlepszą, odświętną odzież. Moja słomiana pasterka wśród czapek i kaftanów, krótkich wełnianych spódnic i długich peleryn z kretonu czy satyny nie zwróciła może nawet niczyjej uwagi; przezornie tylko związałam wstążką szerokie skrzydła kapelusza, jak to czynią Cyganki, i w ten sposób czułam się bezpiecznie ukryta pod nimi, jak gdyby zamaskowana.

Bezpieczna, nie nagabywana przez nikogo przeszłam wzdłuż

354

licznych avenues — i tak samo bezpiecznie wdzieralam się w tłum, gdzie był on najbardziej zwarty. Nie mogłam stać bez ruchu i spokojnie obserwować. Napawałam się rozgrywanym przede mną widowiskiem, upajałam się krzepiącym powietrzem nocy, wchłaniałam bogactwo dźwięków i nie wiadomo skąd lejących się świateł, chwilami rozbłyskujących mocniej, a chwilami ponownie przygasających. Zetknęłam się bezpośrednio ze szczęściem i nadzieją, sztydziłam z rozpacz. Przestała dla mnie istnieć.

Celem mojej wędrówki, ukrytym w głębi podświadomości, było odnalezienie ujętej w kamienne ocembrowanie sadzawki z jej przejrzystą, chłodną taflą wodną i zielonym obrzeżeniem z sitowia; myślałam o tym chłodzie i o tej zieleni z nienasyconym pragnieniem spalającej mnie gorączki. Pośród bijącej ognistą łuną powodzi świateł, pośród ogólnego wiru zabawy, pośród tumultu odświętnego upojenia tęskniłam w głębi duszy nade wszystko za znalezieniem się przy tym okrągłym kryształowym zwierciadle, aby przychwycić księżyc, odbijający w nim swą perłową tarczę.

Znałam dobrze drogę, wydawało mi się jednak, że znajduję coraz to nowe przeszkody w bezpośrednim dotarciu do celu; odciągał mnie co chwila to dźwięk jakiś, to znów jakiś widok, kusząc do zapuszczania się to w tę, to w inną aleję. Dostrzegłam już gąszcz drzew, obrastających rozedrganą przejrzystą taflę, kiedy nagle na prawo od polany rozległy się dźwięki, które mogłyby, jak mi się wydało, być usłyszane, gdyby otwarto się niebiosa—

dźwięki, jakim równe słyszane były może ponad betlejemską równiną w noc obwieszczenia radosnej nowiny.

Pieśń o donośnych, przepojonych dziwną słodczą tonach rozbrzmiewała z dala, płynęła wszakże z taką szybkością niesiona przez wiatr, że wzrosła, przelatując poprzez mroczne cienie, do potęgi harmonii, która zwałałaby mnie z nóg przejmującą siłą, gdybym szczęśliwie nie znalazła się w pobliżu drzewa, darzącego mnie podporą swojego pnia. W dźwiękach tych brzmiały, jak mi się wydało,

355

niezliczone głosy, najróżnorodniejsze instrumenty, których było bez liku, a z których rozpoznałam jedynie odgłosy trąb i rogów. Efekt ogólny podobny był do morza rozhukanego, rozedrganego wszystkimi swoimi falami.

Wezbrana, rozlewająca się fala dźwięków dotarła aż do miejsca, na którym stałam, a potem cofnęła się, a ja poszłam jej śladem. Poprowadziła mnie do budynku w stylu bizantyjskim, podobnego do czegoś w rodzaju pawilonu i wzniesionego w pobliżu środka parku. Był to pawilon muzyczny. Dokoła niego tłoczyły się tysiące ludzi, zgromadzonych w celu wysłuchania wielkiego koncertu na otwartym powietrzu. To, co usłyszałam, było jak gdyby potężnym chórem myśliwskim: noc, tło sceny, wolna, otwarta przestrzeń i mój dziwny nastrój przyczyniły się do uwielokrotnienia siły dźwięków i spotęgowania wrażenia, jakie one na mnie wywarły.

Zgromadzone tu były wytworne damy, którym niezwykle o-świetlenie użyczało niepospolitego piękna; suknie niektórych spośród nich były lekkie, powiewne, tiulowe czy gazowe, innych lśniły połyskliwością ciężkiego jedwabiu i atłasu; kwiaty i koronki trzepotały na wietrze, woale falowały dokoła strojnych kapeluszy, wprawiane w drganie falami dźwiękowymi śpiewu chóralnego i muzyki instrumentów dętych. Większość dam obsiadła krzesła w zalanej światłem części parku, obok nich zaś i za nimi stali panowie jako ich straż przyboczna. Ostatnie, mieszczące się najbardziej na zewnątrz szeregi tłumu tworzyli mieszczanie, lud i policja.

W tym plebejuszowskim, najdalszym od środka szeregu stanęłam i ja. Rada byłam, że cicha, nikomu nie znana, a tym samym nie nagabywana przez nikogo, mogę zająć miejsce w najbliższym sąsiedztwie krótkich wełnianych spódnic i sabotów, z daleka tylko przypatrując się jedwabnym i atłasowym sukniom, aksamitnym okryciom i przybranym strusimi piórami kapelusiom. Pośród całego radosnego ożywienia najbardziej odpowiadała mi rola samotnej obserwatorki. Nie pragnąc ani też nie mogąc przedostać się przez

356

tłoczną cizbę, obrałam miejsce na najdalszym krańcu, gdzie mogłam słyszeć wszystko, widziałam jednak niewiele.

— Mademoiselle niedobrze stoi — odezwał się jakiś głos tuż przy mnie. Kto śmiał zwrócić się do mnie, tak mało usposobionej do rozmowy towarzyskiej? Odwróciłam się nie w celu dania odpowiedzi, ale wprost przeciwnie, zniechęcenia do odzywiania się do mnie. Stałam oko w oko z mężczyzną, Burgerem, zupełnie mi obcym, jak wydało mi się w pierwszej chwili, w następnej wszakże poznałam w nim kupca, mającego sklep z książkami i materiałami piśmiennymi, w które stale zaopatrywał pensjonat Madame Beck. Znałyśmy go wszystkie jako człowieka uczciwego, lecz o nader nierównym usposobieniu, czasem burkliwego i opryskliwego nawet w stosunku do nas, jego stałych klientek. Ja osobiście lubiałam go zawsze, widząc w nim człowieka kulturalnego, często nawet uprzejmego i czynnego; pewnego razu oddał mi prawdziwą przysługę, dopomógł mi przy dość kłopotliwej dla mnie wymianie pieniędzy cudzoziemskich. Był człowiekiem inteligentnym, miał też — pomimo szorstkich pozorów — w rzeczywistości dobre, współczujące serce. Przychodziło mi czasem na myśl, że pewną stroną jego charakteru cechuje wyraźna pokrewność z odpowiednią stroną charakteru Monsieur Emanuela (którego znał dobrze i

którego często widywałam w sklepie Monsieur Mireta, gdzie przeglądał wydawnictwa ostatniego miesiąca): tą właśnie pokrewnością tłumaczyłam sobie moje życzliwe nastawienie do starego księgarza.

Wydało mi się dziwne, że poznał mnie pod tak całkowicie osłaniającą moją twarz słomkową pasterką i pod szczelnie opinającym moją figurę, grubo złożonym szalem. Mimo że wymawiałam się, jak mogłam, dołożył wszelkich starań, aby utorować mi drogę poprzez tłum i wynaleźć dla mnie lepsze miejsce. Posunął dalej jeszcze bezinteresowną swoją uprzejmość, przytaszczywszy z nieznanego jakiegoś źródła krzesło, abym mogła wygodnie siedzieć. Raz jeszcze przy tej sposobności przekonałam się, że ludzie najbar-

357

kiej szorstcy, zajmujący najskromniejsze stanowiska społeczne, nie są najmniej subtelni w sposobie odczuwania i reagowania na bodźce psychiczne. Monsieur Miret, powodowany niewątpliwie życzliwością, nie widział nic dziwnego w mojej obecności tutaj bez niczyjej asysty, dopatrując się jedynie dla samego siebie w tym fakcie obowiązku możliwego roztoczenia nade mną dyskretnej, ale skutecznej opieki. Wystarawszy się dla mnie o miejsce i krzesło, wycofał się bez zadawania mi jakichkolwiek pytań, bez dodania zbytecznego słowa. Nic dziwnego, że profesor Emanuel lubił wypalić cygaro, wypocząć i przeczytać gazetę w księgarni tak dyskretnie nie narzucającego się Monsieur Mireta — obaj doskonale do siebie pasowali.

Zaledwie zdążyłam usiąść na moim nowym miejscu, od razu zorientowałam się, że przypadek — przy życzliwym współdziałaniu mojego godnego przyjaciela — dopomógł mi ponownie znaleźć się w pobliżu znanej mi dobrze grupy. Wprost przede mną siedzieli matka i syn Brettonowie oraz ojciec i córka de Bassompierre'owie. Gdybym chciała wyciągnąć rękę, mogłabym dosięgnąć nią drobnej figurki, sprawiającej wrażenie królowej elfów. Strój jej zapożyczył uroczej swojej świetności od kwiatów i liści lilii wodnej; cokolwiek nie było w jej ubraniu śnieżnobiałe, było barwy zielonego lasu wczesną wiosną. I moja chrzestna matka również siedziała tak blisko, że gdybym przechyliła się nieco naprzód, mój oddech mógłby poruszyć wstążki jej kapelusza. Siedziałam zbyt blisko nich; wobec tego, że przed chwilą zostałam rozpoznana przez człowieka prawie obcego, zaniepokoiło mnie to nazbyt bliskie sąsiedztwo ludzi znających mnie tak dobrze.

Wzdrygnęłam się też, kiedy pani Bretton, zwróciwszy się do pana Hote'a, rzekła, jak gdyby pod wpływem nagłego serdecznego impulsu:

— Ciekawa jestem, co powiedziałyby moja poważna mała Lucy, gdyby znalazła się tutaj. Żałuję, że nie sprowadziliśmy jej z sobą: podobałoby się jej bardzo to wszystko.

358

— O, tak, na pewno, oczywiście, zachwycona byłaby w swój poważny, rozsądny sposób; wielka szkoda, że nie zaprosiliśmy jej

— potwierdził uprzejmy, jak zawsze, pan de Bassompierre, dodając:

— Lubię obserwować jej pełne spokoju i umiaru odczuwanie i wyrażanie zadowolenia; wydaje się tak mało wzruszona, a jednak umie tak prawdziwie cieszyć się doznawaną przyjemnością.

O, jacy drodzy byli mi oboje! Jak drogimi pozostali dotychczas we wdzięcznej mojej o nich pamięci. Nie zapomnę im nigdy ich zacnej życzliwości dla mnie. Niewiele wiedzieli o strapieniu, jakie przyprawiło tę ich Lucy o gorączkę nieledwie, doprowadzając ją, bezradną i bezbronną, na krawędź rozpacz. Bliska byłam prawie przechylenia się naprzód ku tym drogim moim przyjaciołom i odpowiedzenia na ich dobroć wyrazem wdzięczności w oczach. Pan de Bassompierre nie znał mnie tak dobrze, ja za to znałam go, czułam i podziwiałam jego szlachetną, szczerą, pełną prostoty naturę, ceniłam go za jego serdeczność i za nie ostygły zapał młodzieńczy, jaki ożywia wcióż jeszcze wszystkie jego poczynania. Kto wie nawet, czy nie przemówiłabym w istocie, gdyby w tej samej chwili Graham nie odwrócił się

znanym mi tak dobrze, dostojnie imponującym ruchem, tak odmiennym od ostrych, kanciastych ruchów mężczyzn niskiego wzrostu. Poza nim stał zwarty tłum, stłoczony setkami szeregów; były tysiące ludzi, na których mogło paść jego spojrzenie i zatrzymać się badawczo — dlaczego więc skupił on całą siłę swojego wzroku na mnie, przytłaczając mnie miazdzącą potęgą błękitnych źrenic, które wpił we mnie tak przenikliwie? Dlaczego, gdy już skierował wzrok w moją stronę, nie zadowoliło go rzucenie jednego przelotnego spojrzenia? Dlaczego odwrócił się na krzesło, które zajmował, oparty ręką o jego grzbiet i przyglądał mi się tak bacznie? Nic mógł widzieć mojej twarzy, którą rozmyślnie pochyliłam; nie ulega wątpliwości, że nie mógł mnie poznać: byłam odwrócona, nie chciałam być poznana. Podniósł się, w jakiś sposób udało mu się zbliżyć, w ciągu dwóch minut bez wątpienia

359
przeniknąłby moją tajemnicę; stwierdzenie mojej identyczności dokonane zostałoby jednym ruchem jego rąk, nigdy despotycznych, ale zawsze władczych. Pozostawała mi tylko jedna droga uniknięcia tej ewentualności: musiałam dać mu do zrozumienia błagalnym gestem, że pragnę tylko jednego, modłę się tylko o jedno, aby pozostawił mnie w spokoju. Gdyby i po tym jednak chciał trwać w swoim zamiarze, byłby świadkiem wybuchu gniewu Lucy i nic z tego wszystkiego, co było w nim wielkie, dobre i życzliwe (a Lucy świadoma była pełnej wartości tego wszystkiego), nie byłoby w stanie ułagodzić jej ani przebłagać i uczynić po dawnemu bezwonną wobec niego jak cień. Patrzył w dalszym ciągu, poniechał jednak dalszych prób. Potrząsnął piękną głową, ale milczał. Zajął ponownie krzesło, nie odwracając się już więcej, nie niepokojąc mnie dłużej spoglądaniem na mnie z wyjątkiem może jednego jedyne momentu, kiedy rzucił ukradkiem w moją stronę spojrzenie bardziej zatroskane aniżeli zaciekawione. Spojrzenie to wyrażało coś takiego, co dziwnie ukoilo moje serce „niby wiatr południowy, kojący ziemię”. Tak więc, jak okazało się ostatecznie, Graham nie myślał o mnie z zupełnie lodowatą obojętnością. Wierzę, że w tym przybytku dobroci i uczuć przyjaznych — w swoim sercu — zachował wysoko pod powalą maleńki kącik, w którym Lucy mogła zawsze liczyć na serdeczne przyjęcie, o ile chciałaby tam zapukać. Nie był on tak wspaniały i piękny jak komnaty, w których gościł męskich swoich przyjaciół nie był także podobny do przedsionka, w którym uprawiał filantropię, ani też do biblioteki, gdzie zbierał skarby swojej wiedzy; tym mniej oczywiście podobny był do pawilonu, w którym miała odbyć się jego wspaniała uczta weselna, a jednak stała, niezmienną swoją życzliwością dla mnie dał mi dowód właściciel tego serca, że wciąż jeszcze wiernie przechowuje w nim małą skrytkę, na której drzwiach wypisane jest wyraźnie: „Miejsce Lucy”. I ja także zachowałam dla niego miejsce, którego doniosłości ani rozciągłości nie wymierzałam, ani stale, ani w ciągu krótkiego prze-

360
cięż czasu — myślę, że musiało ono być czymś w rodzaju namiotu peri-Banou. Przez całe życie trzymałam je złożone i zamknięte w zagłębieniu dłoni — nie wiem jednak, czy uwolnione z tego zamknięcia nie wyolbrzymiałoby — dzięki wrodzonej swojej zdolności do ekspansji — do rozmiarów przybytku zdolnego pomieścić zastępy.

Bez względu na wyrozumiałość czy ustępliwość, jaką okazał mi Graham tego wieczoru, nie mogłam pozostawać nadal tak blisko niego: musiałam wyrzec się łaskawie ofiarowanego mi miejsca i krzesła. Skorzystawszy tedy z pierwszej nadarzającej się sposobności, wstałam i wykradłam się. Mógł przypuszczać, mógł nawet wierzyć, że pod fałdami grubo złożonego szala, w cieniu szerokoskrzydłego kapelusza ukrywa się Lucy, nie mógł jednak mieć pewności: ani przez ułamek sekundy nie widział wyraźnie mojej twarzy.

Moje podniecenie i potrzeba nieustannego ruchu zdążyły się już chyba uspokoić? Czyżbym jeszcze nie miała dość przygód? Czy nie zaczęłam już słabnąć, upadać na duchu i dążyć do znalezienia się bezpiecznie pod dachem? Nie, jeszcze nie. Wciąż czułam wstręt do mojego łóżka w sypialni szkolnej, wstręt większy aniżeli da się wyrazić słowami: wciąż jeszcze

kurczowo czepiałam się wszystkiego, co mogło oderwać od tego moją myśl. Czułam, że nocny dramat zaledwie się rozpoczął, że zaledwie wypowiedziany został prolog. Na tej utworzonej z drzew i murawy scenie panował jakiś cień tajemniczości, występowali tu aktorzy i rozgrywały się wydarzenia nieprzewidziane, jak gdyby przyczajone za sceną. Tak mi się wydawało: mówiło mi to przecucie.

Idąc przed siebie na oślep, potrącana i popychana na wszystkie strony, dostałam się na jakieś miejsce, gdzie drzewa rosnące kępami czy strzelające pojedynczo w górę przełamywały zwarte szeregi tłumu, nadając mu charakter bardziej rozsiany. Daleko tu było od muzyki, a nawet poniekąd od światła latarni, to wszakże, co dochodziło tu z dźwięków, wystarczało do wywierania przez nie kojącego

361

wpływu, a przy pełnym świetle księżyca nie były właściwie potrzebne latarnie. W tej części parku obrały miejsce grupy rodzinne, zażywni Burger, wielu, pomimo późnej pory, w otoczeniu drobnych dzieci, z którymi nie uważali za bezpieczne wciskać się w gęsty tłum. Trzy piękne wysokie drzewa, rosnące bardzo blisko siebie i nieomal zespolone w jedną całość pniami, tworzyły zwarty cienisty baldachim nad zielonym pagórkiem, na którego szczycie stała ławka. Dość obszerna, aby pomieścić kilku członków grupy, obejmującej ją w chwilowe posiadanie, wydawała się zajęta przez jednego tylko spośród nich — właściwie jedną — gdy reszta stała dokoła jak gdyby na straży; w tym gronie znajdowała się jakaś dama, trzymająca za rękę małą dziewczynkę.

Dziewczynka zachowywała się dziwnie niesfornie: wierciła się, wykręcała się na pięcie, wyrwała się z rąk swojej opiekunki, rzucała się z boku na bok, wykonując przy tym niesamowite, bezcelowe, nieomal konwulsyjne ruchy. To jej dzikie mitanie, szarpanie i obracanie się w kółko uderzyło mnie jako coś dobrze mi znanego. Przyjrzawszy się jej bliżej, rozpoznałam również, jako coś nie mniej mi znanego, ubranie dziewczynki: okrycie z fioletowego jedwabiu, niewielkie boa z łabędziego puszkę, biały kapturek — cały ten galowy strój dziecięcy żywcem przypominał mi sposób ubierania małej, przewrotnej, jędzowatej Desirée Beck. Była to rzeczywiście Desirée Beck: ona lub też psotny, złośliwy chochlik w jej postaci.

Odkrycie to mogłoby uderzyć mnie jak grom, ale przesada taka byłaby przedwczesna; za tym odkryciem miało nastąpić inne, porażające mnie z jeszcze większą siłą.

Trzymana czyją dłonią mogła miła Desirée wiercić się i wydierać tak krnąbrnie? Czyją rękawiczkę mogła szarpać tak niebacznie? Czyje ramię wydierać tak bezkarnie? Sięgające ziemi fałdy czyjej sukni deptać tak zuchwale, jeśli nie rękę, rękawiczkę, ramię i suknię swojej matki? Tak, tą damą w kaszmirowym szalu i związa-

362

nym pod brodą kapeluszu — kapotce z bladozielonej krepy, tą dostojną, mile uśmiechniętą damą była Madame Beck we własnej osobie.

Dziwne! Byłam przekonana, że o tej porze Madame Beck spoczywa w swoim łóżku, a Desirée w swoim łóżeczku, obie śpiące snem sprawiedliwego pośród głębokiego klasztornego zamknięcia zakładu wychowawczego przy Rue Fossette. Nie ulega również wątpliwości, że i żadnej z nich nie przyszłoby ani na chwilę na myśl przypuszczać, iż „Miss Lucy” mogła znajdować się gdzie indziej niż w swojej sypialni, a tymczasem oto jesteśmy tutaj wszystkie trzy, prenant leurs ebats — rozswawolone — pośród drzew jarząco iluminowanego parku o północy.

Madame Beck postąpiła i tym razem tak, jak postępować było stałym jej, zupełnie usprawiedliwionym w jej pojęciu zwyczajem. Przypomniałam sobie, co o tym mówiły nauczycielki, a co w swoim czasie puściłam mimo uszu, uważając ich opowiadanie za złośliwe plotki. Otóż często, kiedy byłyśmy przekonane, że Madame Beck śpi spokojnie w swojej sypialni, przebywała ona w rzeczywistości poza domem, udawszy się w pełnej gali na

operę, do teatru komediowego czy na zebranie towarzyskie. Madame nie miała upodobania do życia klasztornego, toteż starała się — czyniąc to z całą ostrożnością oczywiście, zawsze w sekrecie — uprzyjemnić sobie egzystencję miłymi rozrywkami światowymi. Otaczała ją jakie pół tuzina jej krewnych i przyjaciół, samych mężczyzn. Pośród nich rozpoznałam rychło dwóch czy trzech. Był tu jej brat, pan Wiktor Kint. Był inny jeszcze, wąsaty, długowłosa mężczyzna o posępnej twarzy, którego rysy zdradzały bezsprzeczne, poruszające mnie do głębi podobieństwo. Pomimo niewątpliwych różnic charakteru, pomimo usposobienia bardziej flegmatycznego i powściągliwego, było coś w jego powierzchowności, co nazbyt żywo przypominało mi inne oblicze — ruchliwe, ożywione, ulegające tak łatwo zmianom, omroczone gniewem czy zgnębieniem bądź

363

rozpromienione — twarz wykreśloną z mojego świata, utraconą dla moich oczu, ale wypełniającą najlepsze wiosenne dni mojego życia smutkiem i radością, cieniem i światłem; twarz, na której dostrzegałam często znamiona geniuszu... Tak, ten prawie sobowtór, stojący o parę kroków przede mną, był to Monsieur Joseph Emanuel, zarazem tak bardzo podobny i tak zupełnie niepodobny do brata, Monsieur Paula.

Oprócz nich znałam jeszcze jednego mężczyznę z tego grona. Ten trzeci, stojący w tyle za nimi, w głębszym jeszcze cieniu, był pochylony, ale jego strój i biała, łysa czaszka czyniły go postacią najbardziej rzucającą się w oczy spośród wszystkich. Był to ksiądz — ojciec Silas. Nie przypuszczaj, czytelniku, aby obecność jego na fetę miała być dowodem niestałości jego przekonań. Owa fetę nie mogła być zaliczona do rzędu zwykłych popisów targowicy próżności, stanowiąc jedynie święcenie pamięci ofiary patriotycznej. Kościół patronował temu obchodowi, czyniąc to nawet z wyraźną ostentacją. Dlatego też mnóstwo księży snuło się tej nocy po odświętnie iluminowanych alejach parku.

Ojciec Silas pochylał się nad ławką, a raczej nad jedyną zajmującą na niej miejsce osobą. Była to postać dziwnie bezkształtna, pokraczna, lecz bił od niej wspaniały blask. Widać było jej twarz wyglądającą jak trupia maska i tak osobliwie umieszczoną, że można było nieledwie wyobrazić sobie całą głowę jako odciętą od tułowia i osadzoną na nagromadzonych bogatych strojach. Promienie światła stojącej z dala latarni odbijały się w olśniewających drogich kamieniach koleczyków i szerokich, ciężkich pierścieni; ani srebrzy-stość blasków księżycowych, ani dalekie światła płonących pochodni nie były w stanie zaćmić jaskrawych kolorów wspaniałych szat. Witaj na tym miejscu, Madame Walravens! Wydaje mi się, że tej nocy bardziej niż kiedykolwiek przypomina pani wiedźmę. Na razie jednak godna ta dama dała dowód, że nie jest ani trupem, ani zjawą upiorną, ale surową, despotyczną starą kobietą: w odpowiedzi na

364

głośniejsze i bardziej natarczywe domagania się Desirée Beck, aby wolno jej było pobiec do kiosku i kupić tam trochę łakoci, schwyciła nagle swoją laskę o złotej gałce i dzieliła nią małą tak zdrowo, że uderzenie rozległo się głośnym echem.

Byli tu więc wszyscy: Madame Walravens, Madame Beck, Pere-Silas — cała trójka sprzysiężonych, tajemna junta. Widok ich, zgromadzonych wszystkich pospołu, wpłynął na mnie dodatnio. Nie mogę powiedzieć, abym czuła się słaba wobec nich, stropiona czy wylękniona. Wzięli nade mną górę, stratowali mnie, leżałam zmasakrowana pod ich stopami, jako ofiara ich przewrotnych machinacji; ale, jak dotychczas, jeszcze żyłam.

Rozdział XIX

Dawni i nowi znajomi

Przykuta do miejsca, jak gdyby zaczarował mnie wzrok trójgłowego bazyliuszka, nie byłam w stanie oddalić się od tej grupy. Ziemia, na której stali, zdawała się trzymać mnie na uwięzi. Baldachim zrosniętych z sobą drzew pogrążał cały krąg w cieniu; noc użyczała

dobrodziejstwa swojej opieki i ochrony, a dodatkowa, nie paląca się stale latarnia rzuciła pojedynczy promień, który wskazał mi dobrze osłoniętą, bezpieczną ławeczkę, i zgasł wnet potem.

Pozwolisz, czytelniku, że opowiem ci teraz pokrótce, co — na podstawie rozmów, jakim przysłuchiwałam się w ciągu ostatnich dwóch tygodni — wywnioskowałam w sprawie powodu i celu wyjazdu Monsieur Paula. Opowieść moja będzie krótka i banalna, jej alfą jest mamona, a omegą — interes.

Madame Walravens, odrażająco potworna, niczym hinduski bożek, zdawała się mieć również w pojęciu swoich czcicieli cechy nieodłączne od charakteru bożka. Była ona niegdyś w istocie bogata, bardzo bogata, jakkolwiek też na razie nie posiadała żadnych pieniędzy, było nader prawdopodobne, że będzie kiedyś znowu bardzo bogata. W Basse-Terre posiadała obszerne włości, które otrzymała w wianie, kiedy wychodziła za mąż przed sześćdziesięciu laty. Włości te zostały obłożone sekwestrem wskutek bankructwa jej męża; obecnie jednak, jak się zdaje, wolne już były od wszelkich ciężących na nich zobowiązań i roszczonych do nich pretensji, gdyby więc odpowiednio obrotny i bezwzględnie uczciwy pełnomocnik zajął się ofiarnie i umiejętnie tą sprawą, była nadzieja, że w ciągu paru lat te włości okażą się wielce rentowne.

Ojciec Silas żywo interesował się — ze względu na dobro religii i Kościoła, którego Madame Walravens była wierną i odda-

366

ną córką — pomyślnym przeprowadzeniem odpowiednich kroków. Madame Beck, daleka krewna zgrzybiałej garbuski, która, jak dobrze było jej wiadomo, nie miała własnej rodziny, rozważała z macierzyńską zapobiegliwością możliwość w dalszej perspektywie pożądaných dla siebie wyników transakcji; mimo więc, że Madame Walravens traktowała ją wielce opryskliwie, nie przestawała nigdy, działając oczywiście we własnym, dobrze zrozumianym interesie, okazywać jej jak największych atencji. Tak więc kwestie pieniężne sprawiły, że Madame Beck i ksiądz jednak szczerze i gorąco popierali sprawę należytego dopilnowania rewindykacji włości na Gwadelupie.

Odległość była jednak wielka, a klimat nader ryzykownie niesprzyjający zdrowiu.

Odpowiednio uzdolniony i nieskazitelnie uczciwy pośrednik musiałby być człowiekiem całkowicie ofiarnym i oddanym. Takim właśnie człowiekiem Madame Walravens rozporządzała w ciągu dwudziestu lat. Zrujnowała mu życie, a on w zamian przez cały ten czas całkowicie ją utrzymywał. Bez skrupułów wyciągała z niego, niczym grzyb, wszystkie soki żywotne. Takiego oto człowieka urobił i wyszkolił ojciec Silas, przykuwszy go do siebie więzami wdzięczności, nawyku i wiary. Takiego człowieka znała Madame Beck, zdolna w pewnej mierze wywierać na niego wpływ.

— Jeśli mój wychowanek pozostanie w Europie — twierdził ojciec Silas — zagraża mu niebezpieczeństwo odstępstwa od zasad naszej wiary: związał się z heretyczką.

Madame Beck powodowały nadto względy czysto osobiste, które kazały jej w skrytości ducha pragnąć opuszczenia kraju przez Monsieur Paula. Jeśli nie mogła sama osiąść czegoś, nie była zdolna znieść myśli, aby posiadał to ktoś inny: wolała raczej narazić przedmiot swojego pożądania na możliwość, a nawet wielkie prawdopodobieństwo zagłady. Co się tyczy Madame Walravens, chciała ona nade wszystko odzyskać swoje pieniądze i swoją ziemię, wie-

367

działa zaś, że jeśli Monsieur Emanuel zgodzi się pojechać, będzie najlepszym i najwierniejszym jej pełnomocnikiem. Takie były motywy, które skłoniły tych troje interesownych samolubów do wywarcia presji na jednym bezinteresownym i niesamolubnym. Perswadowali mu, prosili go, błagali; odwoływali się do jego serca, w jego ręce składali ufnie swoje sprawy. Prosil go o poświęcenie im tylko dwóch czy trzech lat — po których upływie

będzie mógł żyć dla siebie, jak tylko sam zechce. Nie było wykluczone, że jedno z tych trojga nie miałooby nic przeciwko temu, a bodaj nawet życzyłyoby sobie, aby umartw tym czasie, oczywiście już po spełnieniu powierzony mu misji.

Nie zdarzyło się, aby żywa jakaś istota ufnie i potulnie złożyła swoje sprawy w ręce Monsieur Emanuela, prosząc go o zajęcie się nimi, a on odrzucił taką prośbę czy zlekceważył pokładaną w nim ufność. Nikt nie pytał ani nie interesował się, nikt też nie wiedział, jak bolesnym przeżyciem osobistym była dla niego konieczność opuszczenia Europy. Obojętną było dla nich sprawą, czy i jakie roił dla siebie plany na przyszłość. I ja również nie miałam o tym pojęcia; i dla mnie było to księgą zamkniętą na siedem pieczęci. Mogłam domyślać się treści rozmów, jakie prowadził z nim jego spowiednik; mogłam odgadywać, jaką rolę w perswazjach, mających na celu skłonienie go do spełnienia prośby, odgrywały względy religii i obowiązku. O tym mogłam wnioskować jedynie na podstawie uczynionych mi przez niego samego zwierzeń. Nic bliższego ani pewnego nie było mi o tym wiadomo. Wyjechał i nie dał znaku życia. Kładło to kres ostateczny moim próbom i usiłowaniom dotarcia do prawdy. Z pochyloną głową i czołem opartym na dłoniach siedziałam ukryta pośród pni rosnących przy sobie drzew i gęstych krzewów. Z tego miejsca mogłam słyszeć wyraźnie, jeśli chciałam, każde słowo wypowiedane przez panią Walravens i jej otoczenie, tak blisko nich

368

siedziałam. Przez jakiś czas jednak nie mówili o niczym takim, co mogłoby mnie zainteresować. Rozmowy krążyły dokoła strojów, muzyki, iluminacji, pięknej nocy. Czekałam na to tylko, aby bodaj jedno z nich wspomniało: „Powietrze jest spokojne, wiatr pomyślny sprzyja jego podróży. »Antigua« (jego statek) odpłynie w dobrą chwilę”. Z niczyich ust nie padła jednak taka uwaga. Ani „Antigua”, ani jej kurs, ani też jej pasażer nie zostali wspomniani ani jednym słówkiem przez nikogo.

Możliwe, że lekka, pusta pogawędka równie mało jak mnie interesowała i Madame Walravens. Zdradzała pewien niepokój, odwracała głowę to w jedną, to w drugą stronę i ciekawie zapuszczała raz w raz wzrok poprzez drzewa i zgromadzony tłum, jak gdyby spodziewała się kogoś zobaczyć i niecierpliwiło ją długie wyczekiwanie.

— Oñ sont-ils? Pourquoi ne viennent-ils pas? — mruknęła parę razy do siebie i wreszcie, jak gdyby zdecydowana była otrzymać odpowiedź na swoje pytanie — które, jak dotychczas, nie zdawało się interesować nikogo — wypowiedziała głośno zdanie dość krótkie i proste, na którego dźwięk wzdrygnęłam się jednak gwałtownie.

— Messieurs et Mesdames — rzekła — oñ donc est Justine--Marie r

Justine-Marie?... Co to znaczy?... Justine-Marie — zmarła zakonnica?!... Gdzież ona jest? Jak to?! Pani, Madame Walravens, wie wszak najlepiej, że Justyna Maria spoczywa od dwudziestu lat w grobie, czegoż więc jeszcze może pani od niej oczekiwać? Pani będzie musiała pójść do niej, ona wszakże nie będzie mogła przyjść do pani.

Tak bym odpowiedziała, gdyby moją rzeczą było udzielenie

1 Gdzie sa? Dlaczego nie przychodzę?

2 Panowie i panie, gdzież jest Justyna Maria?

369

odpowiedzi na natarczywe pytanie Madame Walravens. Nikt wszelako nie zdawał się zapatrywać tak jak ja, nikt nie zdawał się zdumiony ani zaskoczony, nikt nie zdradzał wahania, co ma odpowiedzieć. Osobliwe, dziwaczne, oszałamiające, zagadkowe pytanie, zadane przez Madame Walravens, spotkało się z najzwyczajszą, najpospolitszą odpowiedzią.

— Justyna Maria — rzekła jedna z otaczających ją osób — przyjdzie niebawem; jest w kiosku. Będzie tutaj za chwilę.

Po tym pytaniu i po tej odpowiedzi zmienił się nieco nastrój i ton pogawędki, która pozostała jednak w dalszym ciągu równie swobodna, lekka, powierzchowna, nieco bezładna i przeplatana drobnymi ploteczkami jak poprzednio. Słyszeć się jedynie dawały nowe, nie

zaznaczone dotychczas wzmianki, aluzje, komentarze, docinki, wszystkie wszakże były tak niejasne i urywane, tak ściśle dotyczyły osób nie wymienianych z imienia ani nazwiska czy okoliczności bliżej nie określanych, że mimo starannego wsłuchiwania się — a rozmyślnie wsłuchiwałam się z taką uwagą, jak gdyby od tego, co usłyszę, zależały moje losy — mogłam wywnioskować tylko tyle, że uknuto jakiś plan, dotyczący owej upiornej Justyny Marii, martwej czy żywej. Rodzinna junta zdawała się planować jakiś zamach na nią z nie znanego mi, ale im wszystkim bardzo leżącego na sercu powodu. Była mowa o małżeństwie, o majątku — nie mogłam jednak domyślić się, o kogo chodziło — może o Wiktora Kinta, a może o Monsieur Josepha Emanuela, jako że obaj byli bezzenni. Wydało mi się nawet w pewnej chwili, że owe wzmianki, docinki i żarciki miały na względzie młodego jasnowłosego cudzoziemca, należącego do tego samego towarzystwa, który, jak się zdołałam zorientować, nazywał się Heinrich Muller. Do całej tej beztróskiej paplaniny natrętnie od czasu do czasu dorzucała Madame Walravens swoim ochryplym, skrzekliwym głosem jakieś dziwaczne, oderwane zdania; jej niecierpliwość znajdowała chwilami upust w nieubłaganym strofowaniu Desirée, której nie wolno było

370

zroDic kroki ani poruszyć się, aoy stara wiedźma nie pogroziła jej laską.

— La voila! — Oto ona! — zawołał nagle jeden z panów. — Voila Justine-Marie qui arrive! Chwila ta była dla mnie osobliwa. Wydobyłam z pamięci smutną historię miłosną, osnutą wokół portretu zakonnicy oraz wizję poddasza, alei, berceau. Miałam przecucie rozwiązania wreszcie zagadki, niezłomne przeświadczenie, że wyjaśni się ona w następnym momencie. Z chwilą gdy pozwalamy sobie puścić wodze fantazji, gdzie się ona zatrzyma? Czy istnieje tak nagie drzewo zimowe, tak pokorne, trzymające się z dala od drogi, obrywające korę z żywopłotów bydłatko, aby fantazja, przepływający obłok czy przedzierający się przez chmury promień księżycy nie nadały jednemu i drugiemu cech zjawy nieziemskiej?

Niezwykłym ciężarem legło mi na sercu uroczyste wyczekiwanie wyjaśnienia tajemnicy: dotychczas oglądałam mętną zjawę mniszki jedynie z oddalenia; teraz miała stanąć przede mną w pełnym świetle. Przechyliłam się naprzód i wpiłam oczy w drogę.

— Idzie! — zawołał Monsieur Joseph Emanuel.

Krąg otworzył się, jak gdyby na przyjęcie nowego, upragnionego gościa. W tym samym momencie przeszedł ktoś przypadkowo z płonąca pochodnią w ręku; jej blask dopełnił blade światło księżycy, wyraźnie akcentując wspólnym wysiłkiem bliski już moment denouement — rozwiązania. Niepodobna, aby tym/którzy stali tak blisko mnie, nie udzielił się w drobnej części bodaj niepokój, jaki mną miotał w stopniu tak niebywałym. Najchłodniejszy z grupy musiał niewątpliwie powstrzymać oddech na chwilę. Co się mnie tyczy, krew zakrzepła we mnie, życie moje było w zawieszeniu.

Po wszystkim. Mniszka nadeszła. Rewelacyjny moment przełomowy minął.

1 Otóż i ona! Oto Justyna Maria, która przybywa!

371

Pochodnia, trzymana wciąż jeszcze w pobliżu przez jednego z dozorców parku, rzuca w dalszym ciągu lunę świetlną. Blask muska nieomal twarz wyczekiwanej w ten sposób, że czyni ją dla mnie najdoskonalej widzialną. Jak wygląda? Jaki ma na sobie strój? Kim jest? Snuje się tego wieczoru wiele masek po alejach parku, że zaś pora jest późna, tak wszechwładnie panować zaczyna atmosfera tajemniczości i zjawowej upiorności, że gotów byłbyś chyba u-wierzyć mi, czytelniku, gdybym ci powiedziała, iż wydała mi się ona podobna do zakonnicy z poddasza; że, obleczona jak tamta w czarno-białe szaty, w białym zawoju na głowie, wyglądała jak zmartwychwstała Justyna Maria, jakby była jej powstałym z grobu duchem.

Wszystko to fałsz, zmyślenia! Nie będziemy się w nie bawili! Bądźmy uczciwi i trzymajmy się, jak to czyniliśmy dotychczas, ścisłej, niezafałszowanej prawdy. Prostej, zwykłej, może nieponętnej, ale niewątpliwej prawdy.

Prostej, zwykłej, nieponętnej?! Żle w danym wypadku dobrane określenia. Ta, którą mam przed sobą, nie jest w ścisłym znaczeniu tego słowa ani prosta, ani zwykła, ani tym mniej nieponętna. Stoi tu młode dziewczę z Villette — świeżo po ukończeniu pensji. Jest bardzo ładna, urodą typowo tubylczą. Wydaje się dobrze odżywiona, jasna, o wyraźnie zaokrąglonych kształtach. Pulchniutka. Ma pełne policzki, poczciwy wyraz oczu, bujne włosy. Jest ładnie ubrana. Nie przyszła sama. Eskorta jej składa się z trzech osób, w tym dwóch starszych, które nazywa: mon oncle — mój wuj — i ma tante — moja ciocia. — Śmieje się, szczebiocze, wesoła, żwawa, kwitnąca. Typowa belle bourgeoisie — piękna mieszcza. Pod każdym względem.

Tyle o „Justynie Marii”, tyle o duchach i tajemnicach. Nie znaczy to, aby ta, która szczególnie mnie interesowała, została wyjaśniona: dziewczę, które mam przed sobą, nie jest na pewno moją

372

mniszka; zjawa, którą widziałam na poddaszu i w ogrodzie, była o wiele wyższa. Przyjrzałam się dokładnie pięknej mieszcze z Villette, ogarnęłam gniewnym wzrokiem jej godnych oncle i tante. Czy zdołałam rzucić jeszcze przelotne chociażby spojrzenie na trzeciego jej towarzysza? Czy mogłam poświęcić mu choć odrobinę uwagi? Powinam, mój czytelniku, rozpoznać go od razu, na pierwszy rzut oka; miał niezaprzeczone prawo do tego. Należy mu się, abym go rozpoznała. Nie spotykamy się po raz pierwszy. Zaciśnęłam dłonie aż do bólu, wciągnęłam w płuca ogromny haust powietrza; powstrzymałam okrzyk, przełknęłam cisnący mi się na usta okrzyk zdumienia, nie pozwoliłam sobie na wzdrygnięcie się nawet, byłam nieporuszo- na i niema jak kamień. A przecież wiedziałam, kogo mam przed oczami: poznałam go poprzez ich zamglenie, jakie pozostawiły mi przeplakane noce. Miał odpłynąć na pokładzie statku „Antigua”. Tak powiedziała Madame Beck. Skłamała albo też powiedziała to, co było pierwotnie prawdą i czego nie sprostowała, kiedy okazało się fałszem. „Antigua” odpłynęła, a tu, o parę kroków przede mną, stał Paul Emanuel.

Czy byłam zadowolona? Olbrzymi ciężar spadł mi z serca. Czy ten niewątpliwy fakt był dla mnie radosną zapowiedzią? Nie wiem. Należałoby zbadać, jakim okolicznościom zawdzięczałam opóźnienie jego wyjazdu. W jakim stopniu pozostawało ono w związku z moją osobą? Czy nie istnieli tacy, których sprawa ta dotyczyła bliżej niż mnie?

Kim mogła ostatecznie być ta młoda dziewczyna, ta Justine--Marie? Nie była dla mnie osobą zupełnie obcą, mój czytelniku: odwiedzała często pensjonat na Rue Fossette; bywała stale na niedzielnych prywatnych spotkaniach u Madame Beck. Jest krewną zarówno Becków, jak Walravensów. Nadano jej imię chrzestne od owej czczonej zakonnicy, która — gdyby żyła — byłaby jej ciotką. Nazwisko obecnej Justyny Marii brzmi Sauveur; jest spadkobierczy-

373

nią znacznej fortuny i sierotą; Monsieur Emanuel pełni obowiązki jej opiekuna; jest, jak mówią niektórzy, jej ojcem chrzestnym. Junta rodzinna pragnie, aby Justyna Maria poślubiła jednego z otaczających ją młodych panów — który z nich ma być tym wybranym?

Najważniejsza, rozstrzygająca dla mnie kwestia: który z nich?

Ucieszyłam się, że lek, jakim napoiła mnie Madame Beck, natchnął mnie uczuciem niepokonanego wstrętu do pozostawania w sypialni pensjonatowej i w moim łóżku. Zawsze, przez całe życie, lubiłam i usiłowałam docierać do rdzenia prawdy, zwykłam szukać bóstwa w jego świątyni, unosić zasłonę kryjącą właściwą istotę rzeczy, narażać się bodaj na grozę wyjawienia. O, tytanko pośród bogiń! Zamglone zasłoną zarysy twojej postaci stają się jeszcze bardziej dokuczliwie niewyraźne z powodu swojej niepewności, uwydatniają się natomiast z całą wyrazistością, uwypuklają wszystkie swoje linie, o ile zastosujemy przy ich

badaniu okrutną, bezlitosną, nie uznającą żadnych kompromisów bezpośrednio i szczerą. To, co ujrzymy, może zaprzeczyć nam dech z niewypowiedzianego przerażenia, zarazem jednak wchłaniamy w siebie w tym momencie technię boskości. Serce nasze dygoce i prądy jego falują jak rzeki podniesione z łożysk wstrząsem, jakiemu uległa ziemia, zarazem jednak wchłonęliśmy w siebie siłę. Widzieć i wiedzieć najgorsze — to pozbawić lęk jego głównej przewagi, największego jego atutu.

Powiększone w ten sposób o trzy osoby towarzystwo pani Walravens ożywiło się i rozweseliło. Panowie przynieśli łąkocie i napoje z kiosku. Wszyscy rozsiedli się na murawie pod drzewami, pili i wygłaszali toasty, śmieli się, dowcipkowali. Monsieur Emanuel stał się przedmiotem żartów i drwinek na wpół niewinnych i, jak mi się wydało, na wpół złośliwych, zwłaszcza gdy wychodziły z ust Madame Beck. Wywnioskowałam z nich w każdym razie, że jego podróż została chwilowo odroczone na jego własne żądanie, wbrew życzeniom jego przyjaciół, a nawet wbrew ich naleganiom i radom. Pozwolił statkowi „Antigua” odpłynąć i zamówił kajutę na

374

pokładzie „Pawła i Wirginii”, który miał wyruszyć o dwa tygodnie później. Droczone się z nim na temat powodów, jakie skłoniły go do tej zwłoki, domagając się, aby je ujawnił. On wszelako niewyraźnie jedynie wzmiankował, że musi przedtem załatwić pewną ściśle prywatną sprawę, na której pomyślnym przeprowadzeniu szczególnie mu zależy. Jaka mogła to być sprawa? Nikt nie wiedział. A właściwie był ktoś, częściowo przynajmniej wtajemniczony w jego zamiary: podchwyciłam porozumiewawcze spojrzenie, jakie zamienili z sobą — on i Justyna Maria.

— La petite va m'aider, n'est ce pas ? — zapytał.

— Mais oui, je vous aiderai de tout mon coeur. Vous ferez de moi tout ce que vous voudrez, mon parrain .

Drogiparrain — ojciec chrzestny — ujął jej rękę i podniósł ją gestem pełnym wdzięczności do swoich ust. Dostrzegłam, że jasnowłosy i różowolicy młody Niemiec, Heinrich Muller, wzdrygnął się na widok takiej demonstracji uczuć, która najwidoczniej nie zyskała jego uznania. Pozwolił sobie nawet mruknąć parę gniewnych słów, na co Monsieur Paul roześmiał się tylko i z niezachwianą pewnością siebie zdobywcy przyciągnął młodą wychowankę jeszcze bliżej ku sobie.

Monsieur Paul był w istocie bardzo wesoły tego wieczoru, a raczej tej nocy. Był duszą całej gromadki; nieco despotyczny może, dążący, jak zawsze, do przewodzenia i w zabawie, i w pracy, z każdą chwilą coraz bardziej uwydatniał górującą, kierowniczą swoją rolę. Z jego ust wychodziły najprzedniejsze dowcipy, najweselsze anegdoty, najszczęśliwy śmiech.

Niezmordowany, jak zawsze, dwoił się i troił, aby zabawić wszystkich, aby wszystkich zadowolić, widziałam jednak, aż nadto dobrze widziałam, kogo faworyzuje. Widziałam, u

1 Mała pomoże mi, prawda?

2 Ależ tak, pomogę ci z całego serca. Zrobisz ze mną, co tylko zechcesz, ojcie chrzestny.

375

czyich stóp leżał na murawie, kogo osłaniał pieczołowicie przed nocnym chłodem, kim opiekował się czulei kogo strzegł czujnie jak oka w głowie.

Żartobliwe wzmianki i docinki sypały się w dalszym ciągu jak z rogu obfitości. Pojęłam z nich bez trudu, że wszyscy obecni uspokajali Monsieur Paula zapewnianiem go, iż przez cały czas jego nieobecności będą przez wdzięczność, świadomi ile mu są winni, strzegli dla niego skarbu, jaki pozostawi w Europie. Niech tylko przywiezie im z Gwadelupy wielką fortunę, a dadzą mu w zamian młodą oblubienicę, która wniesie mu sute wiano. Puścił całkowicie w niepamięć uczyniony przez niego ślub wierności: kwitnąca, czarująca terażniejszość kazała zapomnieć o upiornej przeszłości, łatwo odnosząc nad nią przewagę. Jego zmarła mniszka została więc nareszcie pogrzebana na dobre.

Musiałoby być tak w istocie. Przyszło zatem objawienie. Przeczucia mnie nie myliły; istnieje rodzaj przeczucia, które nigdy nie mylą; to tylko ja źle rozeznałam się na razie, nie dostrzegłszy właściwego znaczenia wyroczeni, sądząc, że ma ona na względzie wizję, majaki fantazji jedynie; gdy, wręcz przeciwnie, orzeczenie jej dotyczyło tętniącej życiem rzeczywistości. Powinna byłam zatrzymać dłużej uwagę na tym, co widziałam; rozpatrzeć dokładnie stan rzeczy, zanim wyciągnęłam wnioski. Znaleźliby się może tacy, którzy uważaliby podstawy mojego wnioskowania za nazbyt kruche, dowody — za niewystarczające; sceptycy zbadaliby nieufnie wszystkie dane, zanim zdobyliby się w ostatecznym wyniku na przypuszczenie możliwości projektów połączenia węzłem małżeńskim biednego i wyzbytego cienia samolubstwa mężczyzny czterdziestoletniego z jego bogatą osiemnastoletnią wychowanką i córką chrestną. Ja jednak daleka byłam od tego, by próbować złagodzić zabójczy cios, tchórzliwie uciekać od rzeczywistości. Obca mi była niechęć do spojrzenia faktom, chociażby najokrutniejszym, prosto w oczy, a także do obowiązku bezwzględ-

376

nego hołdowania jedynej władczyni, kroczącej stale w zwycięskim pochodzie naprzód — prawdzie.

Nie. Wszystko to było dalekie ode mnie, jak najdalsze. Pospieszyłam też przyjąć cały plan za stan faktyczny, uznać go za nie ulegający wątpliwości. Wraz z nim przyjąłm za fakt i wszystko inne także. Usiłowałam skupić wszystko dokoła siebie z rodzajem gorączkowego pośpiechu, jak chorąży padający na polu bitwy zbiera dokoła siebie fałdy swojego sztandaru. Błagałam przeświadczenie, aby wbiło we mnie głęboko gwoździe niezłomnej pewności, nienawidzonej przeze mnie w momencie przyjmowania jej, mimo to przyjmowanej, aby trwale umocowało je najsilniejszymi uderzeniami, na jakie mogło się zdobyć, a kiedy żelazo wbiło się głęboko w moją duszę, podniosłam się odrodzona, jak mi się wydało.

W ekstatycznym upojeniu zawołałam: — Jesteś dobrą panią, o prawdo, dla twoich wiernych sług! — Kiedy przytłaczało mnie kłamstwo, jakże cierpiałam okrutnie! Mimo że fałsz był słodki, złudnie kołyszący wyobraźnię i rozgrzewający serce, dręczył mnie nieustannie. Przeświadczenie o zyskanym przywiązaniu nie było ani na chwilę wolne od obawy, że przy następnym obrocie koła fortuny może łatwo być utracone. Prawda usunęła bezpowrotnie fałsz, bezpodstawne, próżne wmawianie sobie i nieuzasadnioną nadzieję — i oto stoję wolna! Nie pozostało mf już nic innego, tylko powrócić z tym moim uczuciem wyzwolenia do pokoju, zabrać je z sobą do łóżka i przekonać się, jak sobie z nim poradzę. Gra nie była jednak jeszcze całkowicie skończona. Powinna byłam zaczekać jeszcze i dłużej przyglądać się tej scenie miłosnej pod drzewami, tej sielance leśnej. Gdyby nawet w przejawach tych nie było cienia prawdziwej miłości, była jednak moja wyobraźnia, wówczas tak szczodra i tak twórcza, że mogłabym sama wymodelować najbardziej znamienne jej rysy i nadać im największą siłę życia, najżywsze zabarwienie uczucia. Nie chciałam jednak patrzeć; zdobyłam się na uczynienie nieodwoła-

377

nego postanowienia, nie mogłam wszelako gwałcić mojej natury. A zresztą, coś tak straszliwie szarpało mnie pod szalem, coś tak świdrująco wwiercało mi się w bok — sęp o tak ostrych szponach i tak okrutnym dziobie — że musiałam być sama, aby dać sobie z tym radę. Zdaje mi się, że nigdy do tej chwili nie odczuwałam zazdrości. Nie było to podobne do mojego reagowania na widok uczuciowego stosunku doktora Johna i Pauliny, na którego objawy zamknęłam oczy i uszy, a chociaż nie chciałam o nich myśleć, musiało jednak moje poczucie harmonii przyznać im ich czar niewątpliwy. Nie dla mnie była miłość zrodzona z piękna, oparta na urodzie; nie miałam z nią nic wspólnego; nie mogłam pokusić się o nią. Inna wszelako miłość, nieufnie torująca sobie drogę poprzez długą znajomość, wypróbowana w ogniu cierpienia, nacechowana stałością, umocniona domieszką trwałego, czystego

przywiązania, poddana przez rozum intelektualnemu sprawdzianowi, ukształtowana własną zasługą i doprowadzona do stanu doskonałego — taka miłość, nie znająca namiętnych, ale nazbyt szybko wybuchających zapalów i równie szybkiego i namiętnego ich wygasania, pochłonęła najgłębsze moje zainteresowanie, oddane całkowicie w jej władzę. Cokolwiek też przyczyniło się bądź do jej podtrzymania i rozwoju, bądź też do jej zaniku, nie mogło być traktowane przeze mnie bez głębokiego przejęcia.

Zawróciłam i odeszłam od „wesołego towarzystwa” pod drzewami. Było już dawno po północy; koncert był skończony, tłumy zaczęły się rozchodzić. Poszłam i ja za tą odpływającą falą. Opuściwszy jaśniejący wciąż jeszcze mnóstwem świateł park i suto oświetlone ulice Haute-Ville (latarnie paliły się przez całą noc; miała to być, jak się zdaje, une nuit blanche — biała noc w Villette), skierowałam się ku mrocznej dolnej części miasta.

Niesłusznie właściwie nazywam ją mroczną, bowiem piękno poświaty księżycowej, które poszło w zapomnienie w parku, dało tutaj ponownie znać o sobie, ujawniając się nieco mgliście. Księżyc

378

płynął wysoko na niebie, oblewając równym, nieskazitelnym światłem ziemię i wszystko, co było na niej. Muzyka i wesołość wielkiej fetę, jasne światła pochodni i sutej iluminacji zaćmiły je i wyparły na godzinę, teraz wszelako triumfowała srebrzysta jego wspaniałość, jego niezmacona cisza. Współzawodniczące ze światłem księżycowym latarnie dogasały, ale księżyc płynął i świecił w dalszym ciągu niby białe przeznaczenie. Rogi i surmy wyładowały z siebie góry dźwięków i zostały zapomniane, księżyc natomiast nieprzerwanie swoimi promieniami kreślił na niebie i na ziemi karty wiecznie trwałych archiwów. Wydało mi się nagle, że księżyc i gwiazdy są głoskami i świadkami wszechwładnej prawdy. Nocne niebo znaczyło poświatą panice jej królestwa: jego z wolna toczące się posuwanie ustalało ego zwycięstwo — ów pracy naprzód ruch, który powtarzał się, powtarza i będzie się powtarzał poprzez wieczność.

Migotliwie oświetlone naftowymi latarniami ulice są bardzo ciche: lubię je za to, że są takie miłe i że tchną takim spokojem. Śpieszący do swoich domów Burger mijają mnie od czasu do czasu, wszyscy oni wszakże idą pieszo, mało robią hałasu i szybko znikają. Tak bardzo podoba mi się obecny wygląd Villette, że nie powróciłabym dobrowolnie pod dach, zmuszona jednak jestem, chcąc szczęśliwie zakończyć tę przygodę, znaleźć się ponownie w moim łóżku w sypialni, zanim Madame Beck powróci do domu.

Od Rue Fossette dzieli mnie już tylko jedna ulica; w momencie gdy wkraczam w jej obręb, zamącą po raz pierwszy głęboką ciszę dzielnicy turkot kół powozowych. Zbliża się ku mnie, zbliża się bardzo szybko. Jak rażąco głośno rozlega się po wyboistym bruku! Ulica jest wąska, a ja trzymam się przezornie chodnika. Powóz przemyka z hukiem. Co jednak widzę albo też co wyobrażam sobie, że widzę, kiedy mija mnie pędem? Nie, nie wydaje mi się. Nie ulega wątpliwości, że coś białego mignęło w oknie powozu — czyjaś ręka dała znak chusteczką. Czy ten sygnał był przeznaczony dla mnie? Komu jestem znana? Kto mógł mnie poznać o tej porze? Nie był to

379

powóz pana de Bassompierre ani pani Bretton; a zresztą ani hotel Crécycy, ani La Terrasse nie są położone w tej okolicy, ani też nie prowadzi tędy droga do nich. Nie mam zresztą czasu na snucie domysłów — muszę spieszyć do domu.

Kiedy wreszcie dotarłam do pensjonatu, panowała tu absolutna cisza. Żaden powóz ani dorożka nie przywiozły jeszcze Madame Beck i Desiree z powrotem. Pozostawiłam wielkie frontowe drzwi uchylone; czy znajdę je w tym samym stanie? Wiatr czy inny przypadek mógł spowodować zatrzaśnięcie sprężyny. Gdyby tak się stało, beznadziejne byłoby moje usiłowanie dostania się do wnętrza: moja awanturnicza przygoda musiałaby mieć

katastrofalne skutki. Nacisnęłam ciężką zasuwę — czy podda się? Czy ustąpi pod naciśnięciem?

Tak. Ustąpiła bezszelestnie i bez oporu, jak gdyby jakiś dobry, ukryty w przedsionku duszek sprawował tutaj czary sezamowe. Wchodząc z zapartym oddechem, cichutko zdjęłam obuwie, wspierałam się po schodach, namacałam drzwi sypialni, wślizgnęłam się do niej i podeszłam do mojego łóżka.

O! Podeszłam i odetchnęłam z ulgą. Już w następnej chwili wszakże omal nie krzyknęłam. Omal. Nie krzyknęłam jednak dzięki niebu.

W całej sypialni, w całym domu panowała o tej porze cisza grobowa. Wszyscy spali tak cicho, jak gdyby nikomu nic nie śniło się nawet. Na dziewiętnastu łóżkach leżało wyciągniętych bez ruchu w całej długości dziewiętnaście postaci. Na moim — dwudziestym — nie powinno było nic leżeć: pozostawiłam je puste, powinna więc byłam zastać je tak samo nie zajęte przez nikogo. Co jednak dostrzegam spoza na wpół zaciągniętych zasłon? Jakiś ciemny, bezprawnie zajmujący to miejsce, wyciągnięty wzdłuż, dziwny kształt? Czyżby to był złodziej-włamywacz, który dostał się tutaj przez uchylone drzwi wejściowe i leży na moim łóżku w oczekiwaniu

380

odpowiedniej chwili? Jest tak czarny, jak gdyby nie był żywym człowiekiem. A może to jakiś bezpieczny, wałęsający się pies wsunął się tutaj z ulicy i przyczaił się na moim posłaniu? Czy nie wyskoczy i nie rzuci się na mnie, w chwili gdy odważę się podejść? Muszę jednak zbliżyć się. Odwagi! Jeden krok...

Zakręciło mi się w głowie. Przy mdłym, pełgającym świetle lampki nocnej ujrzałam wyciągniętą na moim łóżku dawną zjawę __. zakonnicę.

Wydanie okrzyku w tym momencie zgubiłoby mnie niechybnie. Bez względu na straszliwy, upiorny widok nie mogłam pozwolić sobie ani na głośny okrzyk przerażenia, ani na zemdlenie. Nie byłam zresztą przewrażliwiona. Moje nerwy, zahartowane ostatnimi wypadkami, nie poddawały się hysterii. Ożywiona i rozgrzana tysiącami świateł iluminacji, muzyką, widokiem rozbawionych tłumów, wy-chłostana biczem nowej klęski nie ulęknęłam się zjawy. Nie wydawszy dźwięku, rzuciłam się bez namysłu ku mojemu nieszczęsnemu, nawiedzonemu przez niewczesnego intruza posłaniu; nic nie poruszyło się, nic nie skoczyło na mnie. Czulałam instynktownie, że tylko ja jestem tu żywą istotą, tylko ja jestem zdolna się poruszyć, tylko ja jestem rzeczywistością, materią, siłą. Ściągnęłam z łóżka zmorę! Podniosłam zjawę wysoko w górę i potrząsnęłam nią z rozmachem. Szarpnęłam i potrząsnęłam z całych sił — tajemnicę! Runęła na podłogę, rozlatując się dokoła mnie, rozpadając się na kawałki, które stratowałam nogami.

I oto znów ogołoczone z liści i gałęzi drzewa zimowe, nie osiodłany Rosynant, który wyrwał się ze stajni, welon chmur, migotanie światła księżycowego. Wysoka zakonnica okazała się długą deską, ustrojoną w długą czarną szatę i kunsztownie owiniętą białym welonem. Ubranie jej, jakkolwiek może wydać się to dziwne, było naprawdę ubraniem zakonnicy, czyjąś zręczną ręką nałożonym na gołą deskę. Skąd wziął się ten strój? Kto obmyślił podobną maskaradę? W jakim celu? Na wszystkie te pytania nie znalazłam jeszcze

381

odpowiedzi. Do zawoju zakonnicy przypięto szpilką skrawek papieru, na którym nagryzmołono naprędcę ołówkiem zagadkowe szydercze słowa:

„Mniszka z poddasza przekazuje Lucy Snowe swoją garderobę. Nie będzie już więcej oglądana na Rue Fossette”.

Co to było czy kto to był? Kto mnie nawiedzał? A raczej co? Widziałam zjawę trzykrotnie. Ani jedna ze znanych mi kobiet nie miała jej wzrostu. Nie był to w ogóle wzrost kobiety.

Żadnemu zaś z mężczyzn, jakich znałam, nie mogłam ani na chwilę przypisać zdolności zdobycia się na podobne wyczyny.

Wciąż jeszcze stojąc wobec nie rozwiązanej i nierozwiązalnej zagadki, równie jednak całkowicie, jak nagle uwolniona od wszelkiej wiary w istnienie zjaw niezemijskich, upiornych, ani myśląc zresztą zaprzętać sobie dłużej głowy usiłowaniem zbadania tajemnicy, pozbawionej dla mnie głębszego znaczenia, zwinęłam razem szatę, zasłonę i zawoje, wsunęłam je sobie pod poduszkę i położyłam się nadsluchując, dopóki nie doleciał do moich uszu stuk kół dorożki, która przywiozła Madame Beck z powrotem do domu. Usłyszawszy ten odgłos, odwróciłam się i wyczerpana czuwaniem w ciągu wielu nocy, a może także odurzona zaczynającym wreszcie właściwie działać narkotykiem, usnęłam głęboko.

Rozdział XX

Szczęśliwe stadło

Dzień, który nastąpił po owej znamiennej nocy letniej, okazał się niezwykle. Nie znaczy to, że pokazały się znaki szczególne na niebie czy na ziemi, nie mam też na myśli osobliwych zjawisk meteorologicznych — burz, potopów czy zawrotnych wichrów. Wprost przeciwnie: słońce wstało nazajutrz wesołe w świetnej lipcowej glorii. Poranek okrył jej piękno blaskiem rubinów i tak wypełnił ją promiennością różaną, że lała się z niej na ziemię potokiem, rumieniąc jej drogę. Godziny rodziły się hoże jak nimfy i pozostawiwszy na wzgórzach zapasy mgieł, wynurzały się wolne od nich, lazurkowe, olśniewające, bez śladu cienia, wiodły one rumaki słoneczne w ich obieg prażący, nie skażony plamką najlżejszej chmurki.

Słowem, był to najpiękniejszy z dni, jakimi może poszczycić się najpiękniejsze lato; wątpię jednak, czy znalazła się poza mną jeszcze jedna mieszkanka pensjonatu przy Rue Fossette, która zwróciła uwagę na ten miły szczegół lub zdołała go zapamiętać. Inna myśl zaprzętała wszystkie głowy: myśl, której i ja poświęciłam nieco rozważań. Cała sprawa nie miała dla mnie jednak uroku oszałamiającej niespodzianki, ponieważ nie zaskoczyła mnie tak nagle i nieoczekiwanie jak innych, nie była też tak tajemnicza i zagadkowa. Mogłam więc — z większą swobodą niż wszyscy — czynić uwagi osobiste i zdobyć się na bardziej obiektywną ocenę doznanych wrażeń.

Mimo to, przechadzając się po ogrodzie, wygrzewając się z lubością na słońcu i obserwując rozwój i rozkwit roślin, myślałam o tym samym, o czym rozmawiali wszyscy domownicy.

O czym?

383

Otóż o tym jedynie: podczas odmawiania modlitw porannych uderzyło wszystkich puste miejsce w pierwszym szeregu stałych pensjonarek. Przy śniadaniu nie upomniano się o jeszcze jedną filiżankę kawy. Służąca, która przyszła zaściła łóżka, znalazła w jednym z nich deskę, położoną wzdłuż posłania i przystrojoną w koszulę nocną i w nocny czepeczek; a kiedy nauczycielka muzyki panny Ginevry Fanshave zjawiła się o wczesnej porze, jak zwykle, aby udzielić jej lekcji porannej, nie mogła dowołać się tej utalentowanej i wielce obiecującej młodej uczennicy.

Szukano Miss Fanshave wszędzie, od strychu do piwnic; przetrząsnięto cały dom wszczep i wzdłuż — nadaremnie. Żadnego śladu, żadnej wskazówki, ani skrawka papieru nawet, jako wyniku mozolnych poszukiwań: nimfa znikła, przepadła niby spadająca, zagasła w mrokach nocy gwiazda.

Głębokie przerażenie ogarnęło personel nauczycielski i wychowawczy, który miał sobie poruczoną surveillance, głębsze jeszcze — najbardziej odpowiedzialną i poczuwającą się do winy przełożoną. Nigdy dotychczas nie widziałam Madame Beck tak bladej i przygnębionej. Cios ugodził ją w najczulsze miejsce, w najsłabszy punkt: jej interesy materialne były nie tylko zagrożone, ale poniosły faktyczny poważny uszczerbek. W jaki sposób mogło wydarzyć się coś podobnie niepojętego, coś tak niesłychanego? Jaką drogą mogło nastąpić porwanie? Ani jedno okno nie było otwarte czy nie zahaczone, ani jedna szyba wybita, wszystkie drzwi

należycie zaryglowane. Nigdy, do dnia dzisiejszego, nie udało się Madame Beck wyjaśnić tej okoliczności, tak samo jak nikomu innemu z zainteresowanych, z wyjątkiem jednej jedynej Lucy Snowe, która nie mogła zapomnieć, że celem ułatwienia niezwyklej eskapady zasuwa wielkich drzwi frontowych została leciutko pchnięta, a same drzwi zamknięte wprawdzie, ale nie zatarasowane należycie i nie zabezpieczone. Lucy przypomniała sobie także uwożący młodą parę powóz, który przejechał pędem z grzmiącym turkotem kół po nierównym

384

bruku, jak również zagadkowe powiewanie z okna powozu białą chusteczką.

Na podstawie tych danych oraz paru jeszcze innych, niedostępnych dla nikogo prócz mnie, mogłam wyciągnąć jednoznaczny wniosek: był to niewątpliwy wypadek porwania.

Przeświadczona moralnie o trafności tego wniosku, uważałam za właściwe, widząc głębokie strapienie i szczerą udrękę Madame Beck, podzielić się z nią moim przekonaniem.

Wspomniawszy o zalotach pana de Hamala upewniłam się, że Madame była w zupełności au fait — świadoma — całej sprawy i że dawno już przeprowadziła długą, szczegółową dyskusję na ten temat z panią Cholmondeley, złożony na barki czcigodnej damy całą odpowiedzialność co do tej niemiłej afery. I teraz też zwróciła się najpierw do niej i do pana de Bassompierre, jako do finansującego pobyt Ginevry na pensji.

Jak się okazało, hotel Crécý był powiadomiony o tym, co zaszło. Ginevra napisała do kuzynki swojej, Pauliny, wzmiankując niewyraźnie o swoim zamiarze zamążpójścia; podobnie brzmiące zawiadomienie nadeszło również od rodziny pana de Hamala. Pan de Bassompierre był już na tropie uciekinierów. Przechwycił ich jednak za późno.

Tego samego tygodnia jeszcze przyniosła mi poczta list. Sądzę, że najlepiej zrobię, przytaczając dosłownie jego treść, jako że zawiera on wyjaśnienia niejednego ciemnego dotychczas punktu:

„Drogi mój stary Tymie (skrót Tymona). Znikłam, jak widzi pani, i nie ma po mnie śladu. Zamiarem Alfreda i moim od samego początku było pobrać się w ten sposób. Nie chcieliśmy nigdy połączyć się węzłem małżeńskim przy stałym, utartym ceremoniale, jak czynić to zwykli wszyscy inni. Dieu merci!—Chwała Bogu! — Wie pani, że Alfred, który z początku nazywał panią »smokiem«, tylokrotnie widywał panią w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, że zaczyna doświadczać zupełnie przyjaznych uczuć dla pani. Mam nadzieję, że nie będzie pani odczuwała braku osoby—a raczej jego aparycji

385

— teraz, kiedy znikł z pola widzenia. Prosi mnie też, abym usprawiedliwiła go przed panią za wszelkie drobne przykrości, jakie zdarzyło mu się wyrządzić. Obawia się, że nieprzyjemnie zaskoczył panią, ukazawszy się pewnego razu na poddaszu, w chwili kiedy nasz kochany stary Tym pograżony był w odczytywaniu listu, jak mu się wydało, tak osobliwie dla dawnego »smoka« interesującego, że nie mógł oprzeć się pokusie przestraszenia go: bardzo porwany wydawał się swoją korespondencją. En revanche — w zamian — opowiada, że innym razem pani znów przeraziła go, wpadając na poddasze po jakiś szal czy inne okrycie, w momencie kiedy potarł zapalną, aby spokojnie wypalić cygaro podczas czekania na mnie.

Czy zrozumiała pani wreszcie, że to pan de Hamal był ową zjawą mniszki, ukazującą się na poddaszu, dokąd przychodziłw celu widzenia się z pokorną służką łaskawej pani? Wyjaśnię pani, w jaki sposób sobie radził. Otóż wiadomo pani, że miał entree — wstęp — do Athenée, którego wychowankami są dwaj czy trzej jego siostrzeńcy, synowie jego siostry, Madame de Meley. Wie pani na pewno, że dziedziniec kolegium mieści się po drugiej stronie wysokiego muru, okalającego ogród od strony ulubionej pani allee defendue. Alfred umie równie zręcznie wspinać się na najwyższe mury, jak tańczyć czy fechtować; bawiło go dostawanie się do naszego pensjonatu, wdrapując się najpierw po murze, a potem korzystając z pomocy wysokiego drzewa, rozpościerającego się ponad berceau i opierającego część gałęzi o dach niższego budynku naszej siedziby. Tą drogą dostawał się do pierwszej klasy i do grandę salle.

Pewnej nocy, notabene, spadł z tego drzewa, odłamawszy swoim ciężarem niektóre gałęzie. Omal nie skręcił przy tym karku, nade wszystko jednak straszliwie przeraził się, o mały włos bowiem nie został przyłapany przez dwoje ludzi: przez Madame Beck i Monsieur Emanuela, jak mu się wydało, którzy przechadzali się o tej porze po alei. Z grandę salle nietrudno jest przedostać się do najwyższego gmachu mieszkalnego, zakończonego obszernym poddaszem.

386

Okienko w dachu pozostaje, jak pani wiadomo, otwarte do połowy dniem i nocą dla umożliwienia dostępu powietrza: tym właśnie okienkiem dostał się na poddasze. Przed rokiem mniej więcej powtórzyłam mu przy jakiejś okazji krążącą tutaj legendę o mniszce, i to właśnie nasunęło mu romantyczną myśl przebrania się za jej widmo. Przyzna pani chyba, że nader sprytnie zaaranżował całą rzecz i umiejętnie ją przeprowadził.

Gdyby nie ta czarna szata mniszki i biały welon, byłby niechybnie przyłapany nie dziś, to jutro przez panią i przez tego tygrysa-je-zuite, Monsieur Paula. Uważał was oboje, jego i panią, za zdolnych uwierzyć w duchy i zjawy wędrujące po ziemi, zarazem jednak za ludzi bardzo odważnych. Co się mnie tyczy, bardziej podziwiam pani zdolność dochowania tajemnicy aniżeli odwagę. Jak była pani w stanie znieść nawiedzanie co pewien czas przez upiора, nie krzyknąwszy nawet, nie opowiedziawszy każdemu napotkanemu o swojej przygodzie i nie poruszywszy tą wieścią całego domu wraz z najbliższym sąsiedztwem? O, a jak podobała się pani zakonnica jako towarzyszka, dzieląca z panią jej łóżko? To ja ustroiłam tak tę kukłę — prawda, że wcale zręcznie mi się udało? Ciekawa jestem, czy pani wrzasnęła, zobaczywszy ją? Ja na pani miejscu oszalałabym chyba z przestachu. Ale pani ma nerwy jakże stali. Albo może jak postronki. Myślę, że pani nie potrafi nic odczuwać. A w każdym razie pozbawiona jest pani wrażliwości, jaką jest obdarzona osoba taka jak ja. Wydaje mi się pani nieczuła zarówno na ból, jak na strach czy smutek. Jest pani prawdziwym starym Diogenesem z beczki.

I cóż, droga prababuniu, bardzo jest pani zła na mnie za ucieczkę w noc księżycową i na moje małżeństwo przez porwanie? Zapewniam panią, że to świetna zabawa; po części zrobiłam to na przekór tej woskowej lali, Paulinie, i temu niedźwiedziowi, doktorowi Johnowi: ażeby im dać dowód, tym nadętym pyszałkom, że tak samo łatwo mogę wyjść za mąż jak ona. Pan de Bassompierre był z

387

początku dziwnie rozwścieczony na Alfreda, zagroził mu nawet pociągnięciem go do odpowiedzialności sądowej za detournement de mineure — uwiedzenie nieletniej — i Bóg wie czym jeszcze. Zachowywał się tak wstrętnie, że byłam zmuszona odegrać małą scenkę: paść przed nim na kolana, płakać, łkać, przemoczyć łzami trzy chusteczki do nosa. Mon oncle ustąpił wnet, rozumie się. Jaki był właściwie cel robienia takiego hałasu? Jestem zamężna i na tym koniec. Nie da się tego odrobić. Utrzymuje on wprawdzie wciąż jeszcze, że nasze małżeństwo nie jest legalne, jako że nie jestem pełnoletnia. Też mi gadanie! Jak gdyby na tym miała polegać cała różnica! Jestem zupełnie w takim samym stopniu mężatką, jak gdybym miała sto lat. Musimy jednak, jak się okazuje, zawrzeć wkrótce powtórny ślub. Nie mam nic przeciwko temu, bo dostanę wyprawę, której sporządzeniem zajmuje się pani Cholmondeley. Istnieje nawet nadzieja, że pan de Bassompierre nie poskąpi mi przyzwoitego posagu, co bardzo nam się przyda; biedny Alfred nie posiada nic prócz swojego klejnotu szlacheckiego, z którym przyszedł na świat, odziedziczywszy go po swoich przodkach, a także prócz swojej gaży oficerskiej. Żałuję tylko, że wuj nie okazał się prawdziwym gentlemanem i nie potrafi szeroko, bez żadnych zastrzeżeń i warunków otworzyć swojej kieszeni. Niestety, okazał się tak dalece przykry, że uzależnił danie mi posagu od złożenia przez Alfreda zobowiązania na piśmie, że nigdy więcej, od dnia, kiedy posag będzie mu wypłacony, nie weźmie do ręki kart ani kości do gry. Pomawiają mojego anioła o skłonność do hazardu: nic mi o tym nie

wiadomo, wiem natomiast z całą pewnością, że jest on najukochańszą, najdroższą, czarującą istotą.

Brak mi słów na dostateczne wychwalanie de Hamala za to, że tak genialnie urządził naszą ucieczkę. Jak mądrym krokiem było z jego strony obranie w tym celu nocy fety, kiedy Madame (której obyczajnie zna dobrze, jak zapewnia) wyjedzie z domu, aby być obecną na koncercie w parku. Przypuszczam, że i pani musiała

388

pojechać razem z nią. Widziałam, jak pani wstała i wyszła z sypialni około jedenastej w nocy. Jak to się jednak stało, że pani powróciła sama pieszo, nie mogę zupełnie zrozumieć. Bo przecież na pewno pani była tą osobą, którą widzieliśmy w starej wąskiej uliczce Świętego Jana? Czy zauważyła pani, że powiewałam w pani stronę chusteczką z okna powozu?

Adieu! Niech się pani cieszy moim szczęściem: niech mi pani powinszuje losu, jaki mnie spotkał i niech pani, drogi mój cyniku i mizantropie, przyjmie, będąc w najlepszym zdrowiu i usposobieniu, zapewnienia mojej przyjaźni i oddania,

z jakimi pozostaje Ginevra Laura de Hamal

née — urodzona — Fanshave.

PS.: Niech pani pamięta, że jestem teraz hrabiną. Mój ojciec, moja matka i dziewczęta w domu będą zachwyceni, gdy się o tym dowiedzą. »Moja córka, hrabina!«... »Moja siostra, hrabina!« Brawo! Lepiej to brzmi aniżeli »Pani doktorowa Johnowa Bretton«... Jak się pani wydaje, co?..."

Wnioskując na podstawie tego listu oraz tego, co sam wie o pannie Fanshave i o jej wielbicielu, będzie czytelnik niewątpliwie spodziewał się wkrótce usłyszeć, jak gorzko ona żałuje swej młodzieńczej lekkomyślności. Nie ulega oczywiście kwestii, że czekało ją w życiu wiele cierpień i trosk. Na razie jednak wyglądało wszystko bardzo różowo.

Parę słów wystarczy, aby zdać sprawę z tego, co mi wiadomo o dalszych jej losach.

Widziałam ją pod koniec miodowego miesiąca. Złożyła wizytę Madame Beck i posłała po mnie, abym przyszła do niej do salonu. Zaraz na wstępie rzuciła się, roześmiana, w moje objęcia. Wyglądała kwitnąco i bardzo pięknie; loki jej były dłuższe, policzki bardziej zaróżowione niż kiedykolwiek; jej biały kapelusz i woal z brabanckich koronek, przybrane bukietami kwiatu pomarańczo-

389

wego, składały się na strój oblubienicy, w którym było jej prześlicznie.

— Dostałam posag! — oznajmiła mi przede wszystkim (jak zawsze dbała najbardziej o stronę materialną; uważałam, że ma w sobie wiele z kupcowej, mimo całej jej pogardy dla burżuazji). — Wuj de Bassompierre jest prawie zupełnie pogodzony — dodała. — Niewiele sobie robię z tego, że nazywa Alfreda durkiem. To tylko jego zwykła szorstkość szkocka i szkocki brak wychowania. Myślę nawet, czy Paulina nie żałuje w głębi duszy, że nie jest na moim miejscu, a doktor John wścieka się z zazdrości, jestem tego pewna. Gotów pęknąć z niej!... Taka jestem szczęśliwa! Nie wyobrażam sobie, abym mogła życzyć sobie jeszcze czegoś więcej — chyba tylko powozu i własnego pałacu, i... ale muszę przedstawić pani, Miss Lucy, mon mañ — mojego męża! Alfredzie, chodź tutaj do nas!

Alfred przyszedł z wewnętrznego salonu, gdzie rozmawiał z Madame Beck, przyjmując tyleż powinszowania, ile łajania dostojnej przełożonej. Przedstawiona zostałam panu hrabiemu pod rozmaitymi moimi nazwami: smoka, Diogenesa i Tymona. Piękny pułkownik był uprzedzająco grzeczny. W nader zręcznej formie usprawiedliwił się przede mną, prosząc o wybaczenie mu wizyt zjaw zakonnicy i zakończył przeprosiny słowami: — Najlepsze i wystarczające chyba usprawiedliwienie wszystkich popełnionych przeze mnie niegodziwości stoi tutaj przed nami! — przy czym wskazał na swoją młodziutką żonę.

Odesłała go ona niebawem z powrotem do Madame Beck, objawwszy mi w wyłączne posiadanie, aby oszołomić mnie do reszty swoim niepokromionym temperamentem, swoim

beztroskim, prawdziwie pensjonarskim humorem. Nie przestawała z wyrazem dziecięcego triumfu popisywać się obrączką, nazywać siebie samą Madame la Comtesse de Hamal, pytając mnie za każdym razem, jak to brzmi. Prawie nic nie odpowiadałam, nie mając zmia-

390
ru wyjawiać, co o tym wszystkim myślę. Nie płoszyło jej to bynajmniej. Nie spodziewała się po mnie niczego lepszego: знаła mnie zbyt dobrze, aby łudzić się nadzieją usłyszenia z moich ust komplementów. Zbywałam ją lakonicznymi odpowiedziami, a raczej monosylabami, a to zupełnie jej wystarczało; im sztywniej i obojętniej się zachowywałam, tym weselej śmiała się i dowcipkowała.

Wkrótce po ślubie zdołano przekonać pana de Hamala, że winien wystąpić z wojska, jeśli chce znaleźć najskuteczniejszy sposób uwolnienia się od pewnych niepożądanych, niekorzystnie wpływających na niego kolegów i zerwać raz na zawsze ze złymi nawykami. Wystarano się dla niego o stanowisko attache przy jednym z poselstw, wskutek czego on i jego młoda żona przenieśli się na stałe za granicę. Przypuszczałam, że Ginevra zapomni o naszej znajomości, omyliłam się jednak. W ciągu wielu lat podtrzymywała nieregularną wprawdzie, dorywczą korespondencję ze mną, bądź co bądź jednak pisywała od czasu do czasu. W pierwszym roku pisała wyłącznie o sobie i o Alfredzie; stopniowo zaczęło imię męża powtarzać się coraz rzadziej w jej listach; była już w nich przeważnie mowa o niej samej tylko oraz o nowym przybytku. Alfred Fanshave de Bassompierre de Hamal zapanował w jej sercu wszechwładnie, zajmawszy miejsce niegdyś należne tu jego ojcu. Unosiła się zachwytem nad tym nowym osobnikiem, przytaczała, wyraźnie przesadzone, opisy cudów jego przedwczesnego rozwoju, do których dołączała wyrazy najgwałtowniejszego oburzenia na okazywane przeze mnie niedowiarstwo. Wymawiała mi, że nie mam pojęcia, co to jest „być matką”, że jestem nieczuła jak głaz, że uczucia macierzyńskie są mi równie obce jak język grecki i hebrajski, i tak dalej, i tym podobnie. We właściwym czasie przechodził młody gentelman ząbkowanie, odrę, koklusz — były to straszne okresy dla mnie: listy młodej mamusi stawały się nieustannym krzykiem rozpacz; nie było na świecie kobiety dotkniętej cięższymi klęskami; żadna istota ludzka nie zasługiwała w takim jak ona stopniu na okazywanie jej

391

współczucia. Zrazu byłam przerażona, odpisywałam jej też czule z prawdziwym wzruszeniem, przekonawszy się jednak rychło, że więcej było w tym wszystkim z jej strony krzyku niż bólu, powróciłam do dawnego obojętnego tonu. Co się tyczy samego młodego cierpiętka, wychodził on ze wszystkich oparów zwycięsko, jak prawdziwy bohater. Znalazłszy się pięciokrotnie in articulo mortis, zmartwychwstał cudownie pięć razy. W następnych latach zaczęły w listach Ginevry pojawiać się złowrogie wzmianki o Alfredzie. Pierwszym: zaszła konieczność zwrócenia się do pana de Bassompierre z prośbą o pospłacanie długów pięknego dyplomaty, a zwłaszcza długów o brzydkim posmaku, tak zwanych honorowych, nie zasługujących zresztą bynajmniej na takie miano. Mnożyły się coraz bardziej nie przynoszące zaszczytu panu hrabiemu skargi i powikłania. Każda chmura, bez względu na jej rodzaj, przysyłająca horyzont Ginevry, wywoływała z jej strony niepowstrzymane utyskiwania na los, żądania współczucia i pomocy. Nie przychodziło jej nigdy na myśl, że można i należy samej brać się za bary z życiem i jego trudnościami. Była zawsze pewna, że z jakiejś strony i w jakiejś formie przyjdzie pomoc i ratunek, że sprawy ułożą się wedle jej chęci i woli, i dlatego w dalszym ciągu prowadziła walkę z życiem za pośrednictwem osób trzecich, zaś ona sama cierpiała przy tym na ogół mniej niż ktokolwiek z ludzi, jakich miałam sposobność znać kiedykolwiek.

Rozdział XXI

Faubourg Clotilde

Czy muszę, zanim skończę moją opowieść, zdać jeszcze sprawę z wolności i odrodzenia, jakie zdobyłam w noc uroczystego święta? Czy muszę opowiedzieć, w jaki sposób ja i tych dwoje moich dzielnych towarzyszy, których sprowadziłam z sobą z rześcicie oświetlonego parku, wytrzymałyśmy próbę bliższego wzajemnego kontaktu, bardziej poufałej znajomości? Poddałam ich oboje próbie zaraz nazajutrz. Przechwalali się głośno swoją siłą, próbując perswazją wyzwolić mnie z więzów miłości i jej niewoli, gdy wszakże zażądałam czynów, a nie słów tylko, jakiegoś dowodu skuteczniejszej pociechy, zaznania prawdziwie wyzwolonego życia — usprawiedliwiała się chwilowo wolność, że zubożała i nie jest na razie w stanie mi pomóc. Odrodzenie nie dało żadnej odpowiedzi; zamarło nagle tej samej nocy. Nic mi więc nie pozostało — jeśli zdolna być miałam do zniesienia gnębiących chwil przypominania sobie o wynaturzającym i zniekształcającym wpływie zazdrości — jak tylko ufać w głębi duszy, że wyciągnęłam wnioski zbyt pospiesznie i że zaprowadziły mnie one zbyt daleko. Po krótkiej i daremnej walce przekonałam się, że pozostaję nadal w pętach zawieszenia i niepewności, skrępowana nimi na nowo i wydana na łup nowych nadziei i zawodów.

Czy zobaczę go przed jego odjazdem? Czy zachowa mnie w pamięci? Czy zamierza przyjść? Czy ten dzień, czy następna godzina sprowadzi go do mnie? Czy też w dalszym ciągu będę musiała znosić okrutną mękę daremnego wyczekiwania; długie powolne konanie przed ostatecznym momentem zerwania; nieme, znoszone bez słowa skargi, zabójcze chwile załamania się wewnętrznego

393

między błyskającą chwilowo iskierką nadziei a omraczającymi ją ponownie wątpliwościami.

Nadszedł dzień 15 sierpnia, obchodzony w katolickiej Belgii jako Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny. Tego dnia nie było oczywiście lekcji. Pensjonarki i nauczycielki poszły po mszy porannej na daleki spacer na wieś, aby spożyć gouter—podwieczorek — na jednej z pobliskich farm. Nie poszłam z nimi. Pozostały już tylko dwa dni do odpłynięcia „Pawła i Wirginii”. Czepiałam się wciąż jeszcze ostatniej iskierki nadziei, jak jedyny uratowany z rozbitego okrętu marynarz kurczowo czepia się wciąż jeszcze, do ostatka, resztek strzaskanego masztu czy porwanej liny.

W pierwszej klasie była do wykonania jakaś robota stolarska czy ciesielska, jakaś uszkodzona ławka czy tablica, którą należało doprowadzić do porządku — w święta często dokonywano takich drobnych napraw, niemożliwych do wykonania, kiedy pokoje pełne były uczennic. Siedząc samotnie w pierwszej klasie i zamierzając udać się do ogrodu, aby zwolnić miejsce i nie krępować ludzi przy ich pracy, zbyt bezwolna jednak, aby wprowadzić zamiar w czyn, usłyszałam kroki nadchodzących robotników.

Zagraniczni rzemieślnicy i najemnicy zwykli robić wszystko we dwóch. Wkładając na głowę moją pasterkę, którą dotychczas trzymałam zawieszoną na ręku, usłyszałam niewyraźnie, z pewnym zdziwieniem poniekąd, kroki jeszcze jednego ouvrier — robotnika.

Poznałam po krokach — jak więzień w lochu, mający czas skrzętnie notować w pamięci najbliższe drobiazgi — że człowiek ten nie miał na nogach sabotów, ale zwykłe obuwie. Wywnioskowałam, że musi to być sam majster ciesielski, który przyszedł dozorować robotników. Zarzuciłam na siebie szal gazowy. Kroki zbliżały się. Z tyłu za mną otwarto drzwi. Poczułam na plecach jakiś lekki dreszcz — dziwne wrażenie, zbyt szybkie jednak i przelotne, aby je analizować. Odwróciłam się, by zobaczyć owego majstra. Spojrza-

394

wszy w kierunku drzwi, ujrzałam w nich dobrze znaną postać... Monsieur Paula.

Setki modłów, jakimi zanudzamy niebiosą, nie spełniają się. Raz jeden trafem szczególnym spada nam złoty dar wprost na kolana — jedno dobrodziejstwo, pełne i jasne, zesłane nam

zostaje z mennicy twórczej w stanie doskonałym, gotowe do skorzystania z niego.

Monsieur Emanuel miał na sobie ubranie, w którym zamierzał prawdopodobnie odbyć podróż — wierzchnie okrycie z aksamitnym kołnierzem — mogłabym więc przypuszczać, że jest przygotowany do niezwłocznego wyruszenia w drogę. Mogłam jednak wywnioskować z tego, co doszło do moich uszu, że jego statek miał wypłynąć z portu dopiero za dwa dni. Monsieur Emanuel miał minę wesołą i zadowoloną, na twarzy jego jaśniał wyraz życzliwej dobrotności: wszedł żwawym, młodzieńczo sprężystym krokiem; w mgnieniu oka był przy mnie, niezwykle serdeczny. Może to stan narzeczeński rozpromieniał go tak bardzo? Jakakolwiek wszakże była przyczyna tego roz pogodzenia, nie mogłam odpowiedzieć na nie posępną chmurnością. Jeśli miała to być ostatnia chwila spędzona z nim, nie chciałam marnować jej utrzymywaniem sztucznego, wymuszonego dystansu. Zbyt go kochałam, aby nie móc wznieść się ponad uczucie zazdrości, o ile miałyby ono rzucić przykry cień na serdeczność naszego pożegnania. Życzliwe słowo z jego ust, ciepłe, łagodne spojrzenie jego oczu wpłynęłyby na mnie kojąco, przyniosłyby mi ulgę na resztę dni mojego życia, byłyby pociechą w oczekującej mnie pustce i samotności, pragnęłam więc wchłonąć je, pragnęłam zakosztować tego ożywczego eliksiru. Postanowiłam nie pozwolić, aby fałszywa duma pozbawiła mnie jednej bodaj cennej jego kropli.

Wiedziałam, oczywiście, że nasze spotkanie będzie musiało z konieczności trwać krótko: powie mi dokładnie to samo, co miał do powiedzenia każdej ze zgromadzonych wówczas w klasie uczennic; uściśnie na chwilę moją rękę, dotknie po raz pierwszy, ostatni i

395
jedyny ustami moich policzków — a potem nie zobaczę go już nigdy więcej. Rozstaniemy się na zawsze. Rozdzieli nas nie tylko olbrzymia odległość, ale i niezgłębiona przepaść, poprzez które nie będę mogła przerzucić mostu, by się z nim połączyć, i przez którą nawet przypadkiem nie rzuci nigdy okiem, żeby sobie o mnie przypomnieć.

Wziął mnie za rękę, zsunął mi z głowy słomkowy kapelusz, wnikliwie zajrzał mi w oczy i w tym momencie jego promienny uśmiech zgasł. Na jego wargach zarysował się grymas przypominający nieomal bezsłowną mowę matki, która znajduje swoje dziecko niespodziewanie bardzo zmienione, złamane chorobą czy zgnębione nadmierną troską... W tej samej chwili wdarła się pomiędzy nas nieprzewidziana przeszkoda.

— Pawle! Pawle! — zawołał z nagłą głosem kobiecy tuż obok. — Chodź do salonu, Pawle, mam ci jeszcze bardzo wiele rzeczy do powiedzenia, rozmowa zajmie nam cały dzień. I Wiktor także, i Józef, który jest tutaj ze mną, chcą z tobą pomówić. Chodź, Pawle, do twoich przyjaciół!

Madame Beck, gnana czujnością czy niepojętym instynktem tropicielskim, wpadła do pokoju, wciskając się przymocą nieomal pomiędzy mnie i Monsieur Paula.

— Chodź, Pawle! — powtórzyła, przesywając mnie twardym błyskiem oczu niby ostrzem sztyletu i nacierając otwarcie, bez ceremonii, na swojego krewniaka. Przypuszczałam, że on jej ustąpi jak zazwyczaj, że pójdzie za nią. Ugodzona głębiej, aniżeli byłam w stanie znieść, nie mogąc powstrzymać się już dłużej, jęknęłam:

— Serce mi chyba pęknie!

Czułam naprawdę, że serce pęka mi w piersi; napięcie było tak wielkie, że wezbrały we mnie tajone dotychczas i zamknięte na siedem pieczęci uczucia. Szepnięcie Monsieur Paula: — Niech mi pani zaufa — zdjęło mi od razu z duszy przygniatający ją nieznośny ciężar i utorowało mu ujście na zewnątrz. Wstrząsana lodowatym

396

dreszczem, dygocąc całym ciałem, dławiąc się powstrzymywanym łkaniem, rozszlochałam się. Ten wyzwolony wreszcie płacz przyniósł mi nieco ulgi.

— Pozostaw ją mnie, to atak hysterii: dam jej środek uspokajający, wszystko przejdzie od razu.

Być oddaną na łup Madame Beck i jej środków uspokajających wydało mi się równe wydaniu mnie w ręce trucicielki i jej czary morderczej. Ale Monsieur Paul za całą odpowiedź ofuknął ją krótko i ostro:

—Laissez moi! — Pozostaw mnie! — Ten szorstki ton był dla mnie najpiękniejszą muzyką, przywracającą mnie od razu do życia.

—Laissez moi — powtórzył z drgającymi z gniewu nozdrzami i wszystkimi mięśniami twarzy.

— Ależ to do niczego niepodobne! To nie ma sensu! — surowo zgromiła go Madame. Krewniak jej nie uląkł się wszakże tego tonu i zawołał jeszcze surowiej:

— Sortez d'ki! — Wyjdź stąd!

— Poślę po ojca Silasa, natychmiast poślę po niego — zagroziła z twardym uporem.

— Femme! — Kobieto! — wrzasnął profesor, doprowadzony już do najwyższej pasji. —

Femme! Sortez a Uinstant! — Kobieto! Wynoś się natychmiast!

Był wściekły, lecz ja kochałam go w tym jego gniewie tak, jak nigdy dotąd.

— To, co robisz, jest złe — upierała się Madame. — Jest czynem niegodnym, wynikającym z twego nieposkromionego temperamentu; jest krokiem podyktowanym chwilowym popędem, szaleństwem nie do wybaczenia. Twoje zachowanie jest obraźliwe, nie zasługuje na szacunek ludzi o charakterze prawdziwie stałym, ludzi przywykłych działać rozważnie.

— Nie znasz mnie, nie masz pojęcia, jak bardzo stały potrafię być, stały i stanowczy — rzekł — ale przekonasz się o tym, po-

397

uczają cię fakty. Modesto — dodał nieco łagodniej — zdobądź się na odrobinę dobroci, wykrzesz z siebie iskierkę współczucia, bądź prawdziwą kobietą; spójrz na tę biedną, wymizerowaną twarz i ustąp. Wiesz przecież, że jestem przyjacielem twoim i twoich przyjaciół; pomimo opacznego, nieufnego twojego stosunku do ludzi wiesz dobrze i jesteś najgłębiej przekonana, że zasługuję na zaufanie. Nie robiłem żadnych trudności, kiedy szło o uczynienie ofiary ze mnie samego, to wszelako, co widzę w tej chwili, rani zbyt boleśnie moje serce; musi to ustać, musi się zmienić. Wyjdź stąd! Zostaw mnie w spokoju!

Tym razem w słowach: „Wyjdź stąd! Zostaw mnie w spokoju!” — było tyle gorczy, tyle władczego nakazu, że nie mogłam pojąć, w jaki sposób nawet osoba taka jak Madame Beck mogła chwilę jeszcze chociażby ociągać się z usłuchaniem go. Nie poruszyła się jednak, stała jak wmurowana, utkwiwszy w nim nieulekłe spojrzenie, patrząc mu wprost w oczy z kamiennie niezachwianym spokojem. Otworzyła już nawet usta, aby coś odpowiedzieć. Na twarzy Monsieur Paula drgnął nagle błysk ognisty; nie umiałabym powiedzieć, na czym polegał ten wyraz, który nie zdawał się zdradzać gwałtownego gniewu: zachowując pozornie formy grzeczności, wyciągnął rękę, zaledwie, jak mi się wydało, dotknąwszy nią Madame, ona jednak pod tym dotknięciem zawróciła błyskawicznie i wybiegła pędem z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Jej nagły odwrót trwał sekundę zaledwie.

Nagły błysk gniewu znikł natychmiast z twarzy Monsieur Paula. Z uśmiechem poradził mi, abym otarła oczy, czekał cierpliwie, dopóki nie uspokoiłam się i tylko od czasu do czasu rzucał mi kojące, pocieszające słówko. Niebawem siedziałam obok niego pokrzepiona na duchu, nie martwiąc się już więcej ani nie rozpaczając; nie czułam się już opuszczona i zapomniana przez człowieka najbliższego, wyzbyta nadziei, zniechęcona do życia; przestałam pragnąć śmierci.

398

— Tak bardzo więc zasmucało panią, że traci pani przyjaciela?

— zapytał.

— Zabija mnie poczucie, że zapomniał o mnie — odparłam.

— W ciągu tych wszystkich dręczących dni nie słyszałam z jego ust ani jednego słowa, zgnębiła mnie też myśl, że odjedzie, nie pożegnawszy się ze mną.

— Czy mam pani powiedzieć to samo, co powiedziałam Mo-deście Beck — że nie zna mnie pani? Czy muszę dopiero wykazać pani, kim jestem i jaki mam naprawdę charakter? Będzie pani miała dowód mojej stałości, przekona się pani, że umiem być wiernym przyjacielem. Bez wyraźnego dowodu nie będzie ręka ta spoczywała w mojej, nie zaufa mojemu ramieniu jako bezpiecznej ochronie. Zgoda? Dowód jest gotów. Przyszedłem się usprawiedliwić.

— Cokolwiek pan powie, czegokolwiek zechce pan dowieść, o czymkolwiek zechce pan mnie pouczyć — wysłucham wszystkiego z ufnością.

— Jeśli tak jest w istocie, musi pani przede wszystkim wyjść ze mną, aby towarzyszyć mi dość daleko w głąb miasta. Przyszedłem właśnie po panią.

Nie zadając żadnych pytań, o co mu idzie, nie badając, jaki ma plan, nie myśląc ani przez chwilę o stawianiu jakichkolwiek sprzeciwów, zawiązałam ponownie wstążki kapelusza i byłam gotowa do wyjścia.

Droga, jaką mnie poprowadził, wiodła przez bulwary; kilkakrotnie zmuszał mnie podczas niej do odpoczywania na ławkach ustawionych w alei pod lipami. Nie pytał wcale, czy jestem zmęczona, patrzył tylko na mnie i sam wyciągał wnioski.

— W ciągu tych wszystkich dręczących dni — powtórzył moje słowa z łagodnym, miłym przedrzeźnianiem mojego głosu i cudzoziemskiego akcentu (tonem, który nie był dla mnie nowy w jego ustach, ale którego żartobliwe brzmienie nigdy mnie nie raniło,

399

nawet wówczas, kiedy szło z nim w parze utrzymywanie, że jakkolwiek władam wcale poprawnie w piśmie jego ojczystym językiem, mówię i zawsze będę nim mówiła wadliwie i niepewnie). — W ciągu tych wszystkich dręczących dni — rzekł — ani na jedną godzinę nie zapomniałem o pani. Wierne kobiety błędzą, uważając się za jedyne istoty na ziemi dochowujące wiary. I ja także aż do ostatnich dni nie śmiałem liczyć na niczyje prawdziwe, trwałe uczucie, a jednak... niech pani spojrzy na mnie.

Podniosłam rozradowane oczy: o, naprawdę rozradowane w tej chwili, nie byłyby bowiem w przeciwnym razie wyrazicielami moich uczuć.

— Otóż, widzi pani — rzekł po paru sekundach wpatrywania się — niepodobna zaprzeczyć prawdzie tego, co w nich czytam. Wierność wypisała te litery; jej pióro jest z żelaza. Czy zapisywanie to było bolesne?

— Okrutnie bolesne — rzekłam szczerze. — Niech pan wycofa jej rękę; nie mogłabym znieść jej rylca w moim sercu.

— Elle est toute pale... — szepnął jak gdyby sam do siebie — cette figurę — iï te jak mai l.

— O, wiem, że nie jest przyjemnie patrzeć na mnie...!

Nie mogłam powstrzymać się od powiedzenia tych słów, które wyrwały mi się z ust nieomal wbrew mojej woli: nie mogę przypomnieć sobie takiego czasu, kiedy nie dawałby mi boleśnie znać o sobie dręczący niepokój o to, jak wielkie mogą być moje braki zewnętrzne. W tym momencie zaciążył mi ów lęk wyjątkowo dokuczliwie.

Zdziwiła mnie bezmierna tkliwość, jaką tchnęło w tej chwili całe jego zachowanie. Jego fiołkowe oczy zaszklily się, lśniąc wilgotnym blaskiem spod długich czarnych rzęs. Zerwał się nagle. — Chodźmy! — rzekł.

1 Jest bardzo blada... Ból mi sprawia ta twarz.

400

— Czy bardzo nie podobam się panu? — zdobyłam się na odwagę i zapytałam. Miało to dla mnie znaczenie decydujące.

Zatrzymał się i dał mi krótką, mocną odpowiedź, która pokonała mnie, zamknęła mi usta, a równocześnie głęboko mnie zadowoliła. Odtąd wiedziałam już raz na zawsze, kim byłam dla niego; kim zaś mogłam być w oczach reszty świata, przestało mnie tak boleśnie interesować. Czy było słabością z mojej strony przywiązywać tak wielką wagę do sądu o mojej powierzchowności? Muszę przyznać się do odczuwania szczerego lęku, że nie podobam się Monsieur Paulowi, a zarazem do wielkiego pragnienia podobania mu się bodaj umiarkowanie. Dokąd wędrowaliśmy, nie miałam pojęcia. Nasza droga była długa, wydawała mi się jednak krótka; było przyjemnie, dzień prześliczny. Monsieur Emanuel mówił o swojej podróży — zamierzał być poza Europą trzy lata. Spodziewał się, że po powrocie z Gwadelupy będzie wolny od przyjętych na siebie zobowiązań. A co ja zamierzam robić podczas jego nieobecności w kraju? — zapytał. Przypomniał mi, że kiedyś zwierzyłam mu się z planu uniezależnić- ■ nia się i otwarcia własnej niewielkiej szkoły: czy poniechałam tej myśli? — Oczywiście nie poniechałam: robię, co jest w mojej mocy, aby zaoszczędzić sumę, która umożliwiłaby mi wprowadzenie w czyn tego zamiaru.

— To dobrze — rzekł. — Niechętnie patrzyłbym na pozostawienie pani na Rue Fossette. Obawiam się, że zanadto dawałaby się tam pani we znaki moja nieobecność. Czułaby się pani osamotniona, byłoby pani smutno...

Miał słuszność. Obiecałam mu, że uczynię, co tylko będę mogła, aby jednak wytrwać, dopóki to okaże się konieczne.

— Poza tym — dodał, przyciszając głos — pozostawanie nadal tam gdzie pani jest teraz, ma jeszcze inną ujemną stronę. Pragnąłbym pisywać do pani od czasu do czasu, a źle byłoby nie mieć pewności,

401

czy moje listy będą doręczane pani skrupulatnie. Na Rue Fossette... krótko mówiąc, nasza katolicka dyscyplina w niektórych punktach —jakkolwiek w zupełności usprawiedliwiona i owocna — mogłaby w pewnych wyjątkowych warunkach i okolicznościach być źle zastosowana, a nawet nadużywana.

— Jeśli jednak będzie pan pisał do mnie, muszę przecież otrzymywać pańskie listy; chcę je mieć: dziesięciu dyrektorów i dwadzieścia pań przełożonych nie może przejmować ich zamiast mnie, pozbawiając mnie ich tym samym. Jestem protestantką, Mon-sieur. Nie pozwolę stosować do siebie tego rodzaju dyscypliny; nie życzę sobie jej.

— Doucement, doucement — spokojnie, spokojnie — odparł — obmyślimy plan; mamy nasze sposoby — soyez tranqulle — niech pani będzie dobrej myśli.

Nie dokończył. Wypowiedziawszy te słowa, zatrzymał się.

Stanęliśmy, jak się zdawało, u kresu naszej długiej wędrówki. Znaleźliśmy się w środku schludnego faubourg — przedmieścia — gdzie domy były niewielkie, wyglądały jednak mile. Monsieur Paul zatrzymał się przed białymi schodkami, prowadzącymi do bardzo zadbanej, estetycznej siedziby.

— Wejdziemy tutaj — rzekł.

Nie zapukał, ale wyjętym z własnej kieszeni kluczem otworzył drzwi i wszedł bez pytania. Wpuściwszy mnie do środka, zamknął drzwi. Nie ukazał się na nasze powitanie nikt z mieszkańców ani ze służby. Przedpokój był mały, tak samo jak dom, ale miał świeżo i gustownie pomalowane ściany i sufit; światło wpadało przez szerokie weneckie okna, oplecione pędami dzikiego wina; pączki i liście dotykały szyb. W tym miłym wnętrzu panowała cudowna cisza.

Otworzywszy jedno z wewnętrznych drzwi, wprowadził mnie Monsieur Paul do gabineciku czy saloniku, bardzo małego, ale ślicznego na mój gust. Ściany jego były delikatnej barwy rumianej zorzy porannej, podłoga starannie wywoskowana; czworobok jasnego dy-

402

wanu pokrywał jej środek, na którym stał mały okrągły stolik o blacie lśniącym tak samo nieskazitelnie, jak lustro nad kominkiem. Stały tu jeszcze niewielka kanapka i mała szatfka, której na wpół otwarte, zaciągnięte szkarłatnym jedwabiem oszklone drzwi ukazywały porcelanę na półkach; były prócz tego sto»jący zegar i lampa, było trochę ozdobnych figurek z nie pokrytej szklivem porcelany, czyli tak zwanego biskwitu; z umieszczonej p«od oknem skrzynki wyrastały trzy bujnie ulistwione i pstrzące si»e kwiatami rośliny doniczkowe; w jednym rogu stał stolik z marmurową płytą, na której mieścił się koszyk z przyborami do szycia i robót ręcznych oraz wazonik pełen fiołków. Przez otwarte okno wpjadały swobodnie z zewnątrz fale świeżego powietrza; słodki zapach fiołków wypełniał cały pokój.

— Śliczne, urocze miejsce! — zawołałam % zachwytem. Monsieur Paul uśmiechał się, widząc moje szczere zadowolenie.

— Czy możemy usiąść tutaj i zaczekać? — napytałam szeptem, onieśmielona niezwykłością otoczenia i panującą dokoła ciszą.

— Zajrzemy przedtem jeszcze do paru zakątków tej łupiny orzecha — odparł.

— Odważa się pan krążyć tak bez ceremonii po całym domu?

— Tak, odważam się — odrzekł spokojnie.

Poszedł pierwszy, aby wskazać mi drogę J przede wszystkim wprowadził mnie do miniaturowej kuchenki z małym paleniskiem i piecykiem, których mosiężne obramowania błyszcząły niczym złoto. W kuchence stał stół i dwa krzesła. Mały kredens mieścił skromny, ale dobrze wyposażony serwis fajansowych talerzy, filiżanek i spodków.

— Porcelanowy serwis do kawy jest w saloniku — pouczył mnie Monsieur Paul widząc, że przyglądam się sześciu zielono-bia-łym talerzom, czterem dopasowanym do nich półmiskom, filiżankom i dzbanuszkom.

Następnie zaprowadził mnie po wąskich czystych schodach na
403

piętro — raczej piéterko — gdzie pokazał mi dwie ładne sypialnie i wreszcie, raz jeszcze powróciwszy ze mną na dół, zatrzymał się w sposób szczególnie uroczysty przed drzwiami większymi od wszystkich, jakie otwierał przede mną dotychczas.

Wyciągnąwszy z kieszeni jeszcze jeden klucz, wsadził go Mon-sieur Emanuel w zamek, otworzył szeroko drzwi i wpuścił mnie pierwszą do środka.

— Voici! — Oto jest! — zawołał.

Znalazłam się w dość obszernym — w porównaniu z resztą pokoiów w tym domu — pomieszczeniu, olśniewającym nieskazitelną czystością, ale pustawym. Wyszorowane do białości podłogi nie były pokryte żadnym chodnikiem ani dywanem; jedyne umeblowanie stanowiły tu dwa rzędy zielonych ławek i pulpity, przedzielonych pośrodku przejściem, prowadzącym ku wzniesieniu, rodzajowi estrady, na której stały stół i krzesło, a za nimi czarna tablica. Na ścianach rozwieszono były mapy, na oknach ustawione kwitnące rośliny doniczkowe, słowem — była to mała, ale prawdziwie wzorowa sala szkolna, kompletnie urządzona, czysta, sprawiająca wyjątkowo miłe wrażenie.

— To szkoła? — rzekłam. — Kto ją prowadzi? Nie słyszałam nigdy o zakładzie szkolnym na tym faubourg.

— Zechce pani być tak dobra i przyjąć trochę prospektów do rozdawania na rzecz mojej przyjaciółki? — zapytał, wyciągając z kieszeni swojego okrycia spory plik papierów i wkładając mi je do ręki. Spojrzałam na nie. Rzuciłam okiem na wydrukowany ozdobnymi czcionkami nagłówek:

Externatde demoiselles. Numero 7, Faubourg Clotilde, Direc-trice —Mademoiselle Lucy Snowe1.

Co odpowiedziałam Monsieur Paulowi Emanuelowi?

1 Pensja dla uczennic przychodnich, Faubourg Clotilde 7. Przełożona — panna Lucy Snowe.
404

Wydarzają się w życiu chwile wyjątkowo trudne do odtworzenia ich nawet we własnej pamięci, a cóż dopiero słowami na piśmie! Pewne momenty przełomowe, pewne uczucia i doznania, radości, smutki i osłupienia, które — ilekroć usiłujemy przypomnieć je sobie — sprawiają na nas wrażenie zawrotnie skłębionych, zlewających się w jedną niewyraźną, mgliście splątaną całość, niby koło obracane z błyskawiczną szybkością.

Zupełnie tak samo nie jestem w stanie przypomnieć sobie, jakie myśli rodziły się i krążyły z zawrotną szybkością w mojej głowie w ciągu pierwszych dziesięciu minut po tym wielkim objawieniu, jak nie jestem w stanie odtworzyć sobie wrażeń zaznanych w ciągu pierwszego, najwcześniejszego roku mojego życia: jedyne wyraźne wspomnienie stanowi świadomość wyrzucania z siebie słów niezmiernie szybko, powtarzania wciąż jednych i tych samych pytań:

— To pańskie dzieło, Monsieur Paul? Pan zrobił to wszystko?! Czy to pański dom? Czy pan go umeblował? Czy pan kazał wydrukować te prospekty? Czy naprawdę miał pan mnie na myśli? Ja mam być tą kierowniczką, tą przełożoną? A może istnieje jakaś inna Lucy Snowe? Niech mi pan powie! Niech pan coś powie!

Milczał. Nie chciał czy nie mógł mówić. Jego tchnące zadowoleniem milczenie, jego roześmiany, utkwiony we mnie wzrok, jego pochyłona nieco ku mnie sylwetka — wszystko to mam wyraźnie przed oczami jeszcze teraz.

— W jaki sposób to się stało? Muszę przecież dowiedzieć się o wszystkim, o wszystkim! Prospekty upadły na podłogę. Monsieur Paul wyciągnął do mnie rękę, a ja, zapomniawszy o wszystkim, uchwyciłam ją i spłotłam z nią.

— Powiedziała pani, że zapomniałem o niej przez te wszystkie dręczące dni?! — rzekł wreszcie. — Biedny stary Paul Emanuel! Taka spotyka go nagroda za użeranie się w ciągu trzech morder-

405

czych tygodni z malarzami, tapicerami, stolarzami i najemnicami do szorowania i sprzątnia! Przez cały ten czas, kiedy Lucy i siedziba Lucy wypełniały wyłącznie jego myśli.

Nie miałam pojęcia, co mam czynić, jak mam okazać mu moją wdzięczność. Zrazu pieściłam tylko miękki aksamit mankietów jego okrycia, a potem zaczęłam głaskać bielejącą spod niego rękę. Jego troska o mnie, zapobiegliwość, jego cicha, niezwykła, ujawniona czynami dobroć wzruszyły mnie ponad wszelką miarę. Olśniło mnie, niby nagłe światło z nieba, uświadomienie sobie w całej pełni, że zainteresowanie, jakie mi kiedyś okazywał, nie osłabło ani na chwilę. Poruszył mnie do głębi tkliwy, kochający — nie waham się użyć tego określenia — wyraz wpatrzonych we mnie oczu. Wśród tego wszystkiego wszelako zmusiłam się do praktycznego ujęcia sprawy:

— Ile pan miał z tym kłopotu! — zawołałam. — A jakie ogromne koszty! Czy miał pan pieniądze, Monsieur Paul?

— Miałem dość pieniędzy! — odparł wesoło. — Dzięki moim rozległym stosunkom nauczycielskim stałem się posiadaczem znacznej kwoty: za część jej postanowiłem sprawić sobie najrozkoszniejszą przyjemność ze wszystkich, jakich mogłem zaznać dotychczas czy sążone mi będzie zaznać kiedykolwiek. Cieszę się tym jak dziecko. Dniami i nocami myślałem ostatnio o chwili, kiedy sprowadzę tu panią i pokażę, co zrobiłem. Nie chciałem widzieć się z panią wcześniej, aby nie uprzedzać faktów, nie wygadać się przed czasem. Bałem się wyrwać i zdradzić jakimś niebaczny słowem. Powściągliwość nie należy do moich cnót ani też do moich występków. Gdybym znalazł się w zasięgu pani władzy i pani zaczęła pytać mnie oczami i ustami: „Gdzie pan się podziewał, Monsieur Paul? Co pan robił przez cały ten czas? Jaką kryje pan przede mną tajemnicę?” — na pewno wypaplałbym mój pierwszy i ostatni, mój jedyne sekret... A teraz — zakończył — zamieszka pani tutaj i otworzy swoją szkołę; poświęci się pani temu podczas mojej nieobecności;

406

będzie pani myślała o mnie od czasu do czasu; będzie pani dbała o swoje zdrowie i będzie pani starała się być wesoła i zadowolona przez wzgląd na mnie... A gdy powrócę... Nie dokończył.

Przyrzekłam, że zastosuję się w zupełności do jego woli, zrobię wszystko, co mi zalecił, będę pracowała usilnie i chętnie.

— Będę wiernym stróżem i ob rońcą pańskiego dobra — rzekłam — a gdy pan powróci, wszystkie; rachunki będą czekały na pana, gotowe do najsurowszego skontrolowania ich przez mojego mocodawcę. O, Monsieur Paul, panjests, tanowczoza dobry!

W takich niewłaściwie zastosowanych, w takich opacznie użytych słowach usiłowałam wyrazić swoje uczucia. Mowa moja była dziwnie bezładna i nieporadna; zamiast gorących podziękowań i zasłużonych zachwytów wychodziły z moich ust słowa zimne jak lód, ciężkie i nic nie mówiące. On wszelako nie odrywał ode mnie oczu, łagodnie podniósł rękę, aby pogłaskać moje włosy; ręka ta w przelocie musnęła moje wargi; przycisnęłam je do niej, znajdując tą drogą ujście dla czci, jaką mnie ona przejmowała. Był moim królem, królewską dobroć okazała mi ta dłoń: złożyć na niej pokorny pocałunek, jako należny jej hołd, było zarazem moim obowiązkiem i najwyższą radością.

Godziny popołudniowe minęły i cichsza od nich jeszcze pora wieczorna otuliła swym cieniem cichy i bez tego faubourg. Monsieur Paul odwołał się do mojej gościnności: zajęty i nieustannie na nogach od rana, czuł konieczność pokrzepienia się, poprosił mnie więc o poczęstowanie go filiżanką czekolady podanej w moim ślicznym biało-złotym serwisie porcelanowym. Wszedł, aby kazać przynieść z pobliskiej restauracji wszystko, co było do tego potrzebne, postawiwszy uprzednio mały stolik i dwa krzesła na oplecionym dzikim winem balkonie, na który wychodziło weneckie okno saloniku. Z jakąż nieśmiałą radością wciąłam na siebie rolę gospodyni,

407

usiawiram wszystKO na tacy i obsłużyłam mojego gościa — dobroczyńcę!

Balkon położony był z tyłu domu; dokoła zieleniły się sąsiednie ogrody faubourg, za nimi ciągnęły się już szczerze pola. Powietrze było ciche, świeże i łagodne. Ponad topolami, drzewami laurowymi, tujami i różami płynął księżyc taki cichy i czarowny, że serce drgało w piersi pod wpływem jego blasku; tuż obok księżycy świeciła gwiazda, promienna czystą, nie rywalizującą z nim o wpływy jasnością. W rozległym ogrodzie pobliskim wytryskiwał strumień wody z fontanny, ponad której ocembrowaniem wznosiła się bielejąca na tle zieleni i wody wyrzeźbiona figura.

Monsieur Paul gawędził ze mną. Jego głos był łagodny, stanowiąc wtór harmonijny do srebrzystego szmeru wytryskującej wody, zlewając się w łączny akord muzyczny, jakim lekki wietrzyk, fontanna i drżące na drzewach liście intonowały kołyszącą do snu modlitwę wieczorną.

Zatrzymaj się na chwilę jeszcze, szczęśliwa godzino! Opuść zwiewne pióropusze, stul miękkie skrzydła, pochyl ku mnie krawędź nieba! Białe aniele! Nie cofaj jeszcze swojego światła: pozostaw jego odbicie na przepływających jedne za drugimi obłokach; przekaz otuchę, jaką darzysz świat, owym chwilom, którym potrzebna jest ta odbita promienność! Posiłek nasz był skromny, złożony z filiżanki czekolady, bułeczek i salaterki świeżych owoców letnich — wiśni i truskawek — które umieściłam na podłożu z zielonych liści; oboje jednak woleliśmy to niż ucztę lukullusową, a mnie osobiście sprawiała niewypowiedzianą rozkosz możliwość usługiwania Monsieur Paulowi. Zapytałam, czyjego przyjaciele, ojciec Silas i Madame Beck, wiedzą o tym, co zrobił; czy widzieli mój dom?

— Mon amie — moja przyjaciółko — rzekł — nikt nie wie o niczym prócz mnie i pani; nie dzielimy z nikim tej należącej wyłącznie do nas przyjemności; nikt nie bezcześci jej uświęconego charak-

408

teru przyziemnymi, uszczypliwymi uwagami. Jeśli mam wyznać prawdę, sprawa ta była dla mnie źródłem tak subtelnej rozkoszy, że nie chciałem pospolitować jej mówieniem o niej z kimkolwiek. A zresztą — dodał z uśmiechem — chciałem dowieść Miss Lucy, że i ja umiem dochować tajemnicy. Jak często zarzucała mi brak powściągliwości i niezbędnego umiaru! Jak często szydziła ze mnie, że wszystkie moje doznania i przeżycia są tajemnicą poliszynela! Było to zupełną prawdą: nie oszczędzałam go pod tym względem ani może pod żadnym innym, jaki się nasuwał. Wspaniałomyślny, wielkoduszny, drogi, zarazem mający tyle wad człowieku! Zasługiwałeś na pobłażliwość i doznawałeś jej zawsze z mojej strony.

W dalszym ciągu naszej rozmowy zapytałam, do kogo należy ten dom, kto jest moim gospodarzem i ile wynosi roczna opłata najmu. Przewidział, że zapytam go o te wszystkie szczegóły, wręczył mi je też od razu przygotowane i wypisane już dokładnie z góry.

Domyśliłam się, że dom nie jest własnością Monsieur Paula; nie należy on do typu ludzi, zdolnych stać się posiadaczami. Nie tylko podejrzewałam go o godny pożałowania brak zmysłu oszczędności, ale byłam go pewna u niego. Umiał zarobić, nie potrafił jednak utrzymać zarobionych pieniędzy; nieodzowny był mu skarbnik. Dom należał do pewnego obywatela z Basse-Ville, człowieka zamożnego, jak utrzymywał Monsieur Paul, dodając ku wielkiemu mojemu zdumieniu:

— Jest on pani szczerym przyjacielem/ Miss Lucy, człowiekiem żywiącym dla pani jak najgłębsze uznanie.

Miał niespodzianką było dla mnie dowiedzenie się, że człowiekiem tym jest nie kto inny, tylko Monsieur Miret, ów pozornie opryskliwy, w rzeczywistości zacny właściciel księgarni, który tak uprzejmie wyszukał i przyniósł dla mnie krzesło pamiętnej nocy w parku. Jak się okazuje, wzbogacił się na uprawianiu swojego zawodu, będąc zarazem na wskroś uczciwym, wielce szanowanym kupcem. Posiadał kilka domów na Faubourg Clotilde; opłata roczna, 409

jakiej zażądał za najem, była umiarkowana: wynosiła zaledwie połowę tego, ile wyniosłaby, gdyby dom takiej samej wielkości położony był bliżej centrum Villette.

— A w dodatku — zauważył Monsieur Paul — gdyby nie powiodło się pani — nie wątpię jednak, że się powiedzie — będę miał przynajmniej pewność, że pozostawiam panią w dobrych rękach: Monsieur Miret nie będzie zdziercą, natarczywie domagającym się swojej należności. Z własnych zaoszczędzonych pieniędzy pokryje pani koszty za pierwszy rok najmu; co się tyczy dalszych losów szkoły, musi pani, Miss Lucy, pokładać ufność w Bogu i w samej sobie. A teraz co pani robi, aby starać się o uczennice?

— Muszę rozdać prospekty.

— Słusznie. Aby nie tracić czasu, wręczyłem już jeden wczoraj samemu Monsieur Miretowi. Czy miałaby pani coś przeciwko rozpoczęciu od trzech petites bourgeois — małych mieszczek — Demoiselles Miret?

— O, Monsieur, nie zapomina pan o niczym! Jest pan nadzwyczajny! Jak może pan przypuścić, że mogłabym czynić tego rodzaju wstręty? Czy przystałoby mi to? Nie spodziewam się bynajmniej zaliczania patrycjuszek do grona uczennic mojej skromnej szkoły dla dziewcząt przychodnich. Nie dbam wcale o to, czy panienki z arystokratycznych domów zgłoszą się do mnie kiedykolwiek. Będę czuła się dumna natomiast z możliwości przyjęcia do mojej szkoły córek zacnego Monsieur Mireta.

— Poza tym inna jeszcze uczennica pragnie pobierać u pani codziennie lekcje języka angielskiego, że zaś jest osobą zamożną, będzie panią sownie wynagradzała. Mówię o mojej córce chrestnej i wychowanicy, Justynie Marii Sauveur.

Jak potężny bywa wpływ imienia i nazwiska! Co miały w sobie owe trzy składające się na nie słowa?... Do owej chwili wsłuchiwałam się z rozkoszą we wszystko, co mówił Monsieur Paul i odpowiadałam mu z radosnym pośpiechem. Wymienienie imienia tego i

nazwiska zmroziło mnie, dźwięk trzech wyrazów zamknął mi usta, odebrał mi mowę. Efekt ten nie mógł być ukryty, nie siliłam się też, co prawda, na ukrywanie go.

— Co się pani stało?

— Nic.

— Nic?! Zmieniła się pani od razu, rumieniec zgasł na pani twarzy, uśmiech znikł z oczu i z ust?!... Nic?! Jest pani chora wyraźnie, cierpi pani. Proszę, niech mi pani powie, co pani dolega.

Nie miałam nic do powiedzenia.

Przysunął bliżej do mnie swoje krzesło. Nie był urażony, mimo że milczałam uparcie w dalszym ciągu. Usiłował wydostać ze mnie słowo, prosił, błagał wytrwale, czekał cierpliwie.

— Justyna Maria jest dobrą dziewczyną — rzekł — posłuszną i dającą się lubić; nie ma szczególnie bystrego umysłu, ale będzie podobała się pani.

— Nie wydaje mi się. Myślę, że nie powinna przychodzić tutaj — bąknęłam wreszcie.

— Upiera się pani mówić ze mną zagadkami? Czy znają pani? Nie, stanowczo m u s i w tym coś być. I znów pani zbladła i zbielała jak ten posąg w ogrodzie. Proszę, niech pani zaufa Paulowi Carlo-sowi — niech mu pani wyzna, co pani dolega.

Jego krzesło dotykało mojego. Wyciągniętą do mnie życzliwie ręką odwrócił moją twarz w swoją stronę. — Czy zna pani Justynę Marię? — powtórzył.

Imię to, wypowiedziane ponownie jego ustami, podziałało na mnie w sposób nieobliczalny. Nie zgnębiło mnie, ale podnieciło, rozlewając się bystrym potokiem ognistej lawy po moich żyłach, wskrzeszając w pamięci momenty przeszywającego bólu, długi szereg dni i nocy, wypełnionych udręką serca. Teraz, kiedy siedział tak blisko mnie, splótszy tak silnie i poufnie swoje życie z moim, kiedy tak daleko posunął się — a właściwie zakończył się już nie-ledwie — proces naszego zespolenia duchowego i uczuciowego,

411

sama już wzmianka o możliwości wtrącenia do harmonii naszego dwugłosu osoby trzeciej, o ponownej rozłacie naszych serc, nie mogła być wysłuchana przeze mnie inaczej, aniżeli z wzmagającym się podnieceniem, z męką okrutną, z pogardliwą decyzją, z oburzeniem i oporem, których żaru nie było w stanie ukryć żadne oko ludzkie, których okrzyku nie mógł zdławić nawykły do prawdy język.

— Chcę panu coś powiedzieć — rzekłam. — Chcę wyznać panu wszystko.

— Mów, Lucy, mów, nie wzdragaj się! Kto jest zdolny lepiej i wyżej cenić panią niż ja? Kto jest szczerym przyjacielem pani, jeśli nie Paul Emanuel? Słucham. Mów, Lucy.

Zdobyłam się na odwagę. Wyrzuciłam z siebie wszystko. Wszystko trzymane dotychczas na uwieży wyrwało się i trysnęło niepowstrzymanym strumieniem z moich ust; mówiłam, wyrzucając z siebie słowa pospiesznie, opowiedziałam płynnie, mimo że po francusku, wszystko co miałam do opowiedzenia. Zaczęłam od opisu owej nocy w parku; wspomniałam o zaaplikowanym mi przez Madame Beck środka uspokajającym; wyjaśniłam powód, dla którego został mi dany; zaznaczyłam jego, wręcz odmienny od zamierzonego, skutek — podniecający, zmuszający mnie do zerwania się z pościeli i zawędrowania daleko pod presją niewytłumaczonego, nieopanowanego popędu. Opisałam noc spędzoną samotnie pod drzewami, w pobliżu głębokiego, chłodnego jeziora. Odmalowałam cały, przewijający się przed moimi oczami, scenariusz: tłumy zapełniające park, maski, muzykę, pochodnie, wspaniałą iluminację, rozlegające się z dala huki wystrzałów armatnich, bicie w dzwony. Odtworzyłam mu szczegółowo wszystko, czego byłam świadkiem, wymieniłam wszystkich, których spotkałam, których poznałam, widziałam i słyszałam, opowiedziałam, w jakiej pozie widziałam jego samego, czego się nasłuchiwałam, jakie wyprowadziłam z tego wnioski — słowem, uczyniłam przed nim całkowitą spowiedź, nie zata-

412

jając nic, ujawniając całą gorycz i cały zawód zranionego do głębi serca.

Podczas mojego opowiadania nie tylko nie usiłował powstrzymać mnie, ale wręcz przeciwnie, podniecał mnie i zachęcał do opowiadania w dalszym ciągu, pobudzał gestem, uśmiechem, rzucanym od czasu do czasu półsłówkiem. Zanim doszłam do połowy opowieści, trzymał w swoich dłoniach obie moje ręce, wpijając równocześnie w moje oczy najbardziej przenikliwy, najgłębiej badawczy wzrok. Było coś w jego twarzy, co nie przyczyniało się ani do uspokojenia mnie, ani do przerwania mi: zapomniał o swojej własnej teorii, o swoim własnym systemie powściągnięcia, na które najbardziej się teraz napraszałam. Zasługiwałam przecież na surową naganę. Czy jednak spotyka nas kiedykolwiek to, na co w rzeczywistości zasługujemy? Zasłużyłam na surowe potraktowanie, widziałam natomiast w jego oczach pobłażliwość. Samej sobie wydałam się nierozsądna i despotyczna, bo przecież wzbraniałam Justynie Marii wstępu do mojego domu, zamykałam przed nią moje drzwi — on jednak uśmiechał się tylko, zdradzając, zamiast gniewu, rozkoszowanie się moimi słowami. Byłam porywcza, zazdrosna, wyniosła — nie miałam dotychczas pojęcia, że tkwią w mojej naturze podobne cechy — on mirno to nie zamknął przede mną swojego serca. Byłam pełna wad — zgadzał się na nie wszystkie i przyjmował mnie wraz z nimi. Wybuchowi najzuchwalszego buntu przeciwstawił czar błogosławionego spokoju. Pieszczotą najśłodsza rozbrzmiały w moich uszach słowa:

— Lucy, przyjm moją miłość. Zgódź się podzielić ze mną kiedyś w przyszłości życie. Bądź moją najdroższą, najważniejszą na świecie!...

Przy świetle księżyca powróciliśmy na Rue Fossette — przy takim świetle księżyca, jakie musiało osrebrzać raj, połyskując poprzez cienie Wielkiego Ogrodu, opromieniając ścieżkę przeznaczoną na boskie kroki, na służenie Nienazwanemu. Raz w swoim życiu

413

powracają niektórzy spośród mężczyzn i kobiet do tych pierwszych zarannych dni wielkiego Ojca naszego i naszej Matki — aby zakosztować rosy wspaniałego poranku, skąpać się w promieniach wschodzącego słońca.

W drodze powrotnej Monsieur Paul powiedział mi, że jego stosunek do Justyny Marii był zawsze ojcowski, że za jego zgodą i aprobatą jest ona od wielu miesięcy zaręczona z jakimś Heinrichem Mullerem, zamożnym kupcem niemieckim, i że ślub ich ma się odbyć jeszcze w tym roku. W istocie, jak się zdaje, niektórzy krewni i znajomi Monsieur Paula patrzyliby chętnym okiem na poślubienie przez niego Justyny Marii, mając oczywiście na względzie utrzymanie jej majątku w rodzinie, lecz jemu samemu wydaje się podobny pomysł absolutnie niedopuszczalny, wręcz potworny.

Dotarliśmy do drzwi wejściowych domu Madame Beck. Zegar na wieży kościoła Świętego Jana Chrzyciela wybił dziewiątą. O tej godzinie w tym domu półtora roku temu człowiek, który siedł teraz przy mnie, pochylił głowę przede mną, spojrzął mi badawczo w oczy, zlustrował moją twarz i zdecydował o moim losie. Tego wieczoru pochylił się ponownie, spojrzął na mnie i wydał wyrok. Jakie odmienne wszelako było teraz jego spojrzenie — jakie biegunowo odmienne moje losy!

Uznał mnie za zrodzoną pod jego gwiazdą: zdawał się rozpościerać nade mną jej promienie niby ochronną chorągiew. Ongi, kiedy nie znałam go jeszcze i nie kochałam, uważałam go za szorstkiego i za dziwaka: niski jego wzrost, niezwykła ruchliwość, kan-ciastość, smagłość cery — cała jego powierzchowność i zachowanie nie podobały mi się. Teraz, przesiąknięta jego wpływem, żyjąc jedynie jego uczuciem dla mnie, należycie oceniając jego wartość rozumem, a dobroć — sercem, stawiałam go wyżej nad wszystkich, nad całą ludzkość.

Rozstaliśmy się: dał mi uroczyste zobowiązanie, a potem pożegnał się ze mną. Nazajutrz statek odpłynął wraz z nim na pokładzie.

Finis

Człowiek nie jest w stanie prorokować. Lęk nasuwa czasem wyobraźni zgoła opaczne przewidywanie biegu spraw. O, ten czas rozłąki! Jego nieobecności! Jak straszliwą obawą przejmowała mnie sama myśl o tym! Pewna, nieuchronna jak śmierć, wydawała mi się męka, jaka czekała mnie przez te lata. Znałam ich naturę. Nie miałam żadnych wątpliwości co do udręki, jaką sprowadzą one w miarę posuwania się ich naprzód. Ładunek cierpień nie do zniesienia obciąża ponad wszelką miarę ich ponuro toczący się wóz ofiarny. Widząc jego nadciąganie, zagłębianie się wielkich jego kół w nieodporny grunt — ja, zdana na jego łaskę, powalona przed nim na kolana, poświęcona jego służbie, czcicielka, odczuwałam naprzód już miażdżące jego przetaczanie się po mnie.

Dziwne wszelako — dziwne i niepojęte, ale prawdziwe, podobnie jak wiele doświadczeń życiowych! Owo wyobrażenie sobie z góry miażdżącego przetaczania się po mnie wielkich kół tragicznego wozu udręk okazało się wszystkim — tak, okazało się prawie całą torturą. Wielki wóz, obładowany tymi budzącymi przerażenie latami nieobecności Paula Emanuela, nadciągnął groźny, złowróżbny, ponury. Przejechał, przemijając lekko, łagodnie, niby cień prześlizgujący się po niebie w południe, nie budząc innego uczucia, nie nasuwając innego widoku poza ziębiącym z lekka przyćmieniem. Podniosłam oczy w górę. Wóz i demoniczny woźnica potoczyli się dalej — osamotniona czcicielka żyła w dalszym ciągu. Nieobecność Monsieur Paula trwała trzy lata. Czytelniku, te trzy lata były najszcześniejsze w całym moim życiu. Odrzucisz niewątpliwie z pogardą podobny paradoks. Słuchaj więc. Otworzyłam moją szkołę. Pracowałam, znoić się, ile tylko

415

starczyło mi sił, uważając się za strażniczkę własności Monsieur Paula, postanowiwszy przedstawić mu, jeśli Bóg pozwoli, obrachunki wykazujące jak najkorzystniejszy wynik. Uczennice zaczęły zjawiać się — zrazu tylko z klasy drobnomieszczańskiej — rychło jednak i z wyższych warstw społecznych także. Około połowy drugiego roku istnienia mojej szkoły nieprzewidziane szczęśliwy zbieg okoliczności uczynił mnie posiadaczką dodatkowych stu funtów. Pewnego dnia otrzymałam z Anglii list zawierający tę sumę. Przysłał ją pan Marchmont, kuzyn i spadkobierca mojej drogiej zmarłej chlebobawczyni. Wyzdrowiał świeżo po długotrwałej, ciężkiej chorobie: pieniądze te były okupem złożonym dla uspokojenia własnego sumienia, które dręczyło go wyrzutami na podstawie nie wiem jakich zapisek czy notatek, znalezionych po śmierci jego krewniaczki, podającej w nich moje imię i nazwisko i polecającej mnie jego opiece. Adres mój wskazała mu pani Barret. Jak dalece zgrzeszył przeciwko własnemu sumieniu, nie dopytywałam się nigdy, nigdy też tego nie badałam. Przyjęłam pieniądze i użyłam ich w sposób możliwie najpożyteczniejszy. Odważyłam się wynająć za nie dom sąsiadujący z moim. Nie chciałam opuścić tego, który wybrał dla mnie Monsieur Paul, w którym mnie pozostawił i w którym spodziewał się zastać mnie po swoim powrocie. Moja szkoła dla uczennic dochodzących przekształciła się w szkołę z internatem — i ona także rozwijała się nie mniej pomyślnie.

Tajemnica mojego powodzenia nie tyle zależała ode mnie, od jakichś moich uzdolnień w tym kierunku czy szczególnych predyspozycji psychicznych, ile od nowego układu okoliczności i warunków, cudownie zmieniających moje życie, niezrównanie kojących stan mojego serca. Sprężyna, wprawiająca w ruch całą moją energię, ukryta była daleko poza morzami, na Gwadelupie. Przy rozstaniu pozostawiono mi legat; nie mogłam przecież upaść na duchu, mając przekazany sobie taki obowiązek troszczenia się o chwilę obecną, taką nadzieję przyświecającą mi na przeszłość, taki bodziec do

416

wytrwałej, żmudnej, cierplivej, przedsiębiorczej, śmiałej działalności. Tak. Nie mogłam upaść na duchu. Niewiele było teraz rzeczy, które mnie drażniły, onieśmiały czy gnębiły;

większość tego, co mnie spotykało, sprawiało mi zadowolenie; nawet drobiazgi miały swój osobliwy urok.

Nie myśl, czytelniku, że ten ożywczy płomień podtrzymywał się sam czy też miał jedyne źródło istnienia i działania w przekazanej nadziei i obietnicy danej przy rozstaniu.

Wspaniałomyślny, hojny dostarczyciel obficie zaopatrywał mnie w zasilające paliwo.

Zaoszczędzał mi uczucia chłodu czy znużenia; nie pozwalał mi cierpieć z powodu braku środków; nie narażał mnie na daremne wyczekiwanie. Korzystał z każdego odpływającego do Europy okrętu, aby pisywać do mnie, pisywał w taki sam sposób, w jaki umiał dawać i jak umiał kochać — pełną, szczerze otwartą ręką, szczerym, otwartym sercem. Pisywał, bo lubił pisać, nie starał się streszczać, bo nie zależało mu na streszczaniu się. Siadał, brał do ręki pióro i papier, dlatego że kochał Lucy i miał jej wiele do powiedzenia, dlatego że był stały i wierny w uczuciach, tkliwy i prawy. Nie było w jego listach udawania ani oszukiwania, żadnej sztucznie zapełnionej pustki. Nie skalał się nigdy wykrętami i przeproszaniem — pióro jego nie czerniło nigdy papieru kreśleniem na nim tchórzliwych zmyśleń i beztreściwych, marnych błahostek; nie zwykł rzucać nigdy w nikogo kamieniem ani też znajdować wymówek na własną obronę, nie docinał kąśliwie i nie rozczarowywał, nie sprawiał zawodu. Jego listy były prawdziwą manną odżywczą, żywą wodą odświeżającą.

A czy ja byłam za nie wdzięczna? Bogu jedynemu wiadomo, jak bardzo. Wydaje mi się, że niepodobna, aby znalazła się żywa istota, zasypywana takimi dowodami pamięci, w taki sposób podtrzymywana na duchu, traktowana z tak wytrwałą wiernością, tak szlachetnie i szlachetnie wyróżniana, która nie odpowiedziałaby na to wszystko dozągoną wdzięcznością. Niezłomnie trzymając się zasady własnej wiary (nie należał on

417

do typu ludzi łatwo decydujących się na odszczepieństwo), pozostawiał mi najzupełniejszą swobodę wyznawania mojej. Nie kusił mnie, nie namawiał ani nie drażnił. Napisał:

„Pozostań protestantką. Kocham w tobie, moja droga mała purytanko angielska, ten twój protestantyzm. Uznaję jego surowy czar. Jest coś w jego rytuale, czego nie mógłbym sam przyjąć, ale co jest jedynym właściwym wyznaniem dla Lucy”.

Cała siła wpływów Rzymu nie była zdolna natchnąć go bigo-terią ani też propaganda rzymska zrobić z niego prawdziwego jezuitę. Urodził się jako człowiek uczciwy, brzydzący się fałszem, nie znający sztuczności ani podstępów — jako człowiek wolny, a nie niewolnik. Jego tkliwość uczyniła go miękkim woskiem w rękach kapłana; jego przywiązanie, jego ofiarne oddanie, jego szczerą pobożność zaślepiwały częstokroć jego dobre, kochające ludzkość oczy, kazały mu zapominać o sprawiedliwości względem samego siebie, dźwigać na swoich barkach ciężar ponad siły i zaprzęgać się w służbę cudzego samolubstwa. Są to jednak wady spotykane tak rzadko, tak wiele kosztujące obarczonego nimi i niezdolnego wyzwolić się z ich przemocy, że nie wiemy doprawdy, czy nie będą one zaliczane kiedyś do klejnotów.

A teraz trzy lata upłynęły: powrót Monsieur Emanuela jest już wyznaczony. Jesień; nadchodzi pora listopadowych mgieł. Moja szkoła świetnie prosperuje, dom mój gotów na jego przyjęcie. Urządziłam mu małą bibliotekę, której półki zapełniłam książkami pozostawionymi przez niego pod moją opieką. Z miłości dla niego (nie miałam w sobie z natury zamiłowania do ogrodnictwa) hodowałam jego ulubione rośliny; niektóre z nich są teraz w pełni kwitnienia. Wydawało mi się, że kochałam go, kiedy odjeżdżał; kocham go teraz inaczej; jest bardziej mój! Mój wyłącznie!

Słońce przechodzi okres zrównania dnia z nocą: dni stają się krótsze, liście schną i więdną; ale o n przybywa.

418

Nocą zdarzają się przymrozki; listopad zapowiedział już swoje nadejście wysłanymi naprzód mgłami; wiatr zawodzi po jesiennemu, ale — on przybywa.

Niebo jest przeważnie zasnuwane ciężkimi, ciemnymi chmurami

— obłoki nadpływają z zachodu; chmury przybierają dziwaczne kształty — łuków i rozległych promieni; poranki bywają czasem przepiękne, olśniewające królewską purpurą; niebo staje się rozległym morzem płomieni; jest tak rozognione, że może współzawodniczyć z bitwą w momencie największego jej nasilenia, tak krwawe, że mogłoby służyć za symbol dumnego zwycięstwa. Znam się nieco na znakach! na niebie; zwracałam na nie uwagę zawsze, od moich lat dziecięcych. Boże, czuwaj nad jego powrotem! Strzeż go, o, Boże!

Wiatr i mienia kierunek na zachodni. Uspokój się, uspokój się, złowieszczy Banshee, zawadzający przy każdym oknie! Spotęguje się on — wzmoże się na sile — już teraz wydaje przeciągłe jęki: chociażbym krążyć miała pełna niepokoju przez tę noc po całym domu, nie będę mogła uciszyć ani złagodzić jego dzikiego wycia. Im bardziej posuwają się godziny nocne, tym bardziej wzmagają się jego siły; około północy wszyscy, którzy nie śpią, będą wsłuchiwać się ze zgrozą w dziki, rozszalały południowo-zachodni wichur.

Wściekły, groźny wyl przez siedem dni z rzędu. Nie ustał, dopóki szczątki rozbitych okrętów nie usiały całego Atlantyku; nie uciszył się, dopóki głębiny morskie nie wchłonęły martwych. Dopóki niszczycielski anioł burzy nie dokonał w pełni swojego dzieła, nie stulił on swych skrzydeł, których łopot był gromem, a drganie piór

— burzą.

Nastań, o ciszo! Tysiące rozszlochanych, zanoszących w oczekiwaniu żarliwe modły na wybrzeżach, nadśluchiwały twojego głosu, nie ozwał się on jednak — nie ozwał się, aż wreszcie, kiedy nastąpiłaś, ciszo, nie mogli już odczuć cię niektórzy; aiciedy słońce zajaśniało wreszcie, było już światło jego nocą dla wielu.

Na tym zatrzymajmy się wszakże; zatrzymajmy się od razu.

419

Powiedziane zostało i tak dość dużo. Nie zmacaj my spokój u zacnych serc, pozostawmy słonecznym wyobraźniom rojone przez nie nadzieje!

Pozwólmy im zakosztować w pełni rozkoszy odrodzenia się na nowo po przeżytej wielkiej grozie, napawać się radością wybawienia z niebezpieczeństwa i cudownym wyzwoleniem z dręczącego lęku, zaznać słodczy powrotu. Pozwólmy im snuć promienne wizje połączenia się wreszcie i długiego, szczęśliwego życia, jakie po nim nastąpiło.

Madame Beck wiodło się dobrze aż do końca jej dni, tak samo ojcu Silasowi. Madame Walravens doczekała ukończenia przed śmiercią dziewięćdziesiątego roku życia.

Zegnajcie! Bywajcie zdrowi!

KONIEC

SPIS TREŚCI

I. Reakcja	5
II. List.....	30
III. Vashti	45
IV. Pan de Bassompierre	65
V. Mała hrabianka	86
VI. Pogrzeb.....	105
VII. Hotel Crecy	127
VIII. Łańcuszek do zegarka.....	151
IX. Imieniny Monsieur Paula.....	169
X. Monsieur Paul.....	187
XI. Nimfa leśna	203
XII. Pierwszy list.....	219
XIII. Monsieur Paul dotrzymuje przyrzeczenia.....	233
XIV. Duchy nieprzyjazne.....	246
XV. Braterstwo.....	264
XVI. Kość niezgody.....	283

XVII. Jasność słońca.....	305
XVIII. Chmury	329
XIX. Dawni i nowy znajomi	366
XX. Szczęśliwe stadło	383
XXI. Faubourg Clotilde.....	393

)

W SERII Z KROKUSEM

ukazały się dotychczas następujące pozycje:

1. Edith Wharton — Wiek niewinności
2. Jane Austen — Perswazje
3. Jane Austen — Opactwo Northanger
4. Henry James — Dom na placu Waszyngtona

Druk i oprawa: Tomaszowskie Zakłady Graficzne
97-200 Tomaszów Maz., ul. Farbiarska 32/34
Zam. 422